



JERZY
URBAN

wszystkie nasze
ciemne sprawy

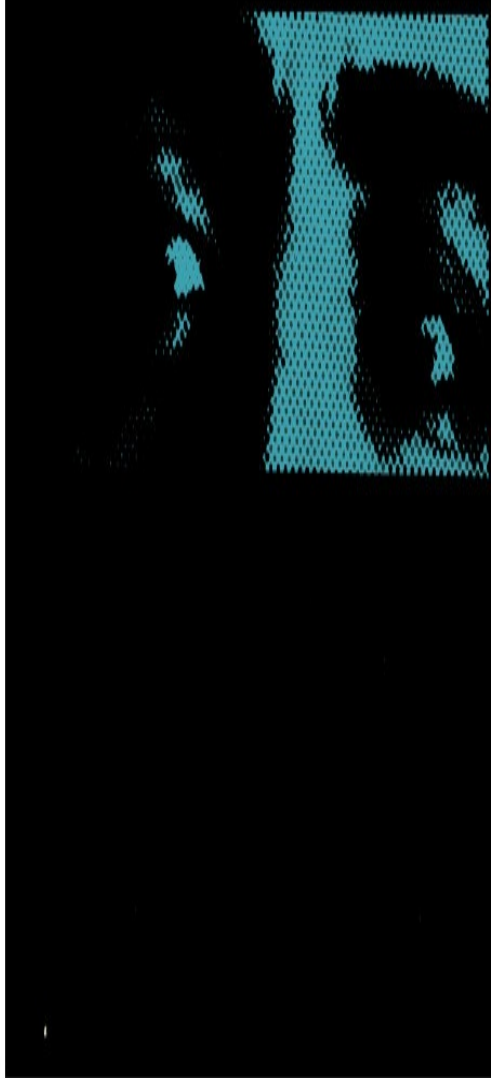


JERZY URBAN



Jerzy Urban

grzechy
chodzą
po ludziach



Wszystkie nasze ciemne sprawy Grzechy chodzą po ludziach

Jerzy Urban

Spis treści

Wszystkie nasze ciemne sprawy

Biuro

Kupon

Na służbie

Goła

Sceneria romansów

Z soboty na poniedziałek

Lekarz zagapiony

Pod karetą

Pociąg I

Pusty ekran

Miraż

Jasne plamy

Poker

Ulica Leona Ż.

Warkocz

Święty

Wójcik

Mąż aktorki

Pretendentka

Dyzma

Prorok ze spółdzielczych bloków

Czekolada

Doktor Karol N.

[Recydywa](#)

[Ład moralny](#)

[Grzybek](#)

[Sprawiedliwość](#)

[Walizka](#)

[Prawo i władza](#)

[Do końca życia](#)

[Dwa żywioły](#)

[Strach I](#)

[Rodzaj randki](#)

[Ucieczka](#)

[Koleina](#)

[Egzamin](#)

[Okulary](#)

[Pożar](#)

[Urok miłości](#)

[Umowa](#)

[Sufit](#)

[Pociąg II](#)

[Dom I](#)

[To załóż się pan](#)

[Taksówkarz](#)

[Okazja](#)

[Wedle potrzeb](#)

[Kula](#)

[Pokłosie romansu](#)

[Cukier krzepi](#)

[Strach II](#)

[Zaproszenie do ambulansu](#)

[Julia W.](#)

[Pomoc domowa](#)

[Wcielenia](#)

[Odrzutowce](#)

[Mamusia mnie sprzedała](#)

[Taki syn](#)

[Powieść](#)

[Temat](#)

[Wypadek](#)

[Pistolet](#)

[Trochę nieporozumień](#)

[Ból zęba](#)

[Pieniądze na „Trabanta”](#)

[Kangur](#)

[Biurko](#)

[Ten od słoni](#)

[Futro z oposów](#)

[Żona malarza](#)

[Krewetki](#)

[Łańcuch](#)

[Love story](#)

[1 + 1 = 0](#)

[List](#)

[Przyjaźń](#)

[Szczotki do zębów](#)

[Obrazek rodzinny](#)

[Gdyby nawet](#)

[Salomonowa sprawa](#)

[Dom II](#)

[Grzechy chodzą po ludziach](#)

[Wstęp](#)

[Wstyd](#)

[„Palenie wzbronione”](#)

[Zaświadczenie](#)

[Sielska miłość](#)

[Dzieje pary spodni](#)

[Anioł](#)

[Zbrodnia przez kalkę](#)

[Kaszłaca i słaba](#)

[Nie bij jej](#)

[List gończy](#)

[Pod ryzyką](#)

[Najpiękniejsza we wsi](#)

[Testament Jaśnie Cioci](#)

[Sprawa z aniołkiem w roli głównej](#)

[Kawałek Ameryki](#)

[Już niedługo pożyjecie](#)

[Lochy Gniewowa](#)

[Zabawa](#)

[Interesant](#)

[Transakcja](#)

[W rodzinie](#)

[Pierścionek](#)

[Norki](#)

[Rzetelność oszusta](#)

[Człowiek na wagę złota](#)

[Wspólna łazienka](#)

[Za co biją poetów?](#)

[Trochę codzienności](#)

[Ściana](#)

[Ojcowie i konwenanse](#)

[Kanikuła](#)

[Dobroć](#)

[Młoda siła z księgowości](#)

[Wszystkie chwyt dozwolone](#)

[Milion](#)

[Sylwetka](#)

[Zegarmistrz](#)

[Pogłoski](#)

[Winiak mieszany](#)

[W górach](#)

[Ofiara napadu](#)

[Zmartwychwstanie](#)

[Romans wędliniarski](#)

[Zjedz zupkę](#)

[Drzwi](#)

[Historia przez duże „W”](#)

[Kark](#)

[Wiara](#)

[Porwanie](#)

[Trzy panie W.](#)

[Magazyn manekinów](#)

[Motyw zbrodni](#)

[Nowy obywatel](#)

[Auto](#)

[Równouprawnienie](#)

[Zabawa tu głuchy telefon](#)

[Amerykanin w domu](#)

[Kolorowe fotografie](#)

[Spisek](#)

[Kadrowiec](#)

[Gra tu łapki](#)

[Opowieść rewolwerowa](#)

[Kompleks zastępcy](#)

[Koszula](#)

[Aria na głos męski](#)

[Anons](#)

[Prawda i nieprawda](#)

[Ciężka sprawa](#)

[Rodzice](#)

[Prawo i życie](#)

[Atrapa](#)

[Walizki](#)

[Cień drogisty](#)

[Piramidy](#)

[Parasol na surowo](#)

[Siostra](#)

[Przygoda z rogu ulicy](#)

Wszystkie nasze ciemne sprawy [\[1\]](#)

Biuro

Sprawy rozgrywające się wewnątrz owych wielopiętrowych biurowców ze szkła i aluminium rzadko wydostają się na zewnątrz, ta jednakże poruszyła nie tylko kilkaset osób siedzących za biurkami w 183 pokojach. Sensacji nie udało się zamknąć w obrębie murów, gdyż wypadła na ulicę. We wtorek 6 marca 1973 roku, o godzinie 12 min. 28, z okna dziewiątego piętra wyskoczyła na bruk i poniosła śmierć na miejscu 43-letnia Jadwiga K., zaszeregowana w stopniu starszego inspektora z pensją 3800, wykształcenie wyższe ekonomiczne, matka 19-letniego studenta, żona 47-letniego naczelnika wydziału w centralnym urzędzie, wedle dokumentacji lekarza zakładowego cierpiąca tylko na wątrobę, współposiadaczka nowoczesnego mieszkania o przeciętnym standardzie - i to byłoby na razie wszystko o denatce.

W pokoju, który opuściła przez okno, oprócz niej pracują trzy osoby. Wszystkie były obecne w tragicznej chwili. Wypadek trzeba było niestety wykluczyć, bo przed śmiercią Jadwiga K. ogłosiła, że ma tego wszystkiego dosyć i nim skoczyła - uklękła na parapecie. Zabójstwo - rzecz jasna - wykluczone także. Pani, która przez prawie 5 lat siedem i pół godziny dziennie, w soboty zaś cztery i pół godziny, twarzą w twarz siedziała ze zmarłą, powiedziała reporterowi w pierwszym odruchu, jeszcze bez głębszego zastanowienia: „Wszystko przez te przekłete okna”. Budynek projektowany był jako klimatyzowany. Okna nie otwierały się. Klimatyzacja jednak nawalała i trzeba było okna przerabiać. Oczywiście, że gdyby nie to - skok z okna w ogóle byłby niemożliwy.

Okno przez całe lato było w tym pokoju przedmiotem swarów. Jadwiga K. i pani z naprzeciwka nie lubiły przeciągów, a pan i pani, których biurka ustawione były obok (tak że wszystkie cztery tworzyły jeden prostokąt), woleli powietrze niż duchotę. Kwestia ta odżywała codziennie, latami. Dzień za dniem: otwarcie okna, protesty, zamknięcie, otwarcie, obraza lub awantura. Ze sprawą okna łączyły się spory o palenie papierosów.

Gdy Jadwiga K. zrobiła to, co zrobiła, nie była wtedy zupełnie przytomna, ale zamroczona i poirytowana zarazem. Godzinę wcześniej zaczęła płakać i wyszła do toalety zabierając ze sobą słoiczek „elenium”. Musiała zażyć - wykazała sekcja - około 10 sztuk. Za powrotem do pokoju dalej płakała, mdliło ją, dostała zawrotu głowy. Położono ją na czterech krzesłach, wszystkich czterech, jakie stały w pokoju. Szlochała, szlochała, okno było otwarte, podeszła doń, myśleli, że musi zaczerpnąć powietrza, powiedziała, że ma wszystkiego dosyć i nim kto zdążył się zorientować...

Dyrekcja twierdzi, że sprawa jest niezrozumiała. Do Jadwigi K. nie miano żadnych

zastrzeżeń. Pracowała spokojnie, awansowała o czasie, premię otrzymywała regulaminową, nie było żadnych konfliktów. Głównemu Specjaliście zwrócono uwagę, że zachował się niewłaściwie, ale dyrekcja nie widzi podstaw, aby dać mu choćby naganę. To bardzo dobry fachowiec, lubiany przez personel, jako przełożony uprzejmy i zawsze na miejscu, Jadwiga K. rozplakała się i poszła do toalety łykać „elenium” właśnie po wizycie w pokoju Głównego Specjalisty, usytuowanego w hierarchii ponad kierownikiem działu - przełożonym zmarłej. Inni szefowie tak wysokiego szczebla wzywają podwładnych do siebie, ale Główny Specjalista, inż. Z., jest bardzo bezpośredni, poza tym młody, żywy, potrzebuje ruchu. Sam przychodzi. Nie miał on sprawy do Jadwigi K. Odezwał się do niej tylko towarzysko.

Inżynier Z. ma 28 lat, a nie wygląda nawet na tyle, ubrany jest tak modnie, aż razi, samochód posiada żółty, zachodni, sportowy, bardzo głośny i drogi. Bierze 6700 na rękę, a ma jeszcze drugą posadę, i ciągle jeździ za granicę. Inżyniera Z. lubią młode panienki: sekretarki, maszynistki, kreślarki i taki tam personel. Jadwiga K. nie znosiła go.

Wychodząc już z pokoju Główny Specjalista powiedział pod adresem przyszłej denatki: „O, pani Jadwiga kupiła sobie perukę! A głowa się w tym nie poci?” Po jego wyjściu Jadwiga K. wyraziła się: „gówniarz”, powiedziała też „jak mu nie wstyd”, poczęła płakać, potem wyjęła „elenium” i wybiegła do toalety.

Dyrekcja informuje: ze względu na tragiczne skutki incydentu nie tylko zwrócono uwagę inżynierowi Z., ale także cały personel kierowniczy pouczono, że ponieważ ludzie są przepracowani, nerwowi, jakiegokolwiek uwagi prywatne w stosunku do personelu, szczególnie uwagi uszczypliwe - są absolutnie zakazane. Nie wolno mącić atmosfery pracy. Przewodniczący rady zakładowej zgłosił wniosek, żeby wydać zarządzenie dyrekcji zakazujące w ogóle prowadzenia w biurze prywatnych rozmów, ale naczelny sprzeciwił się. Nie należy - mówił - wydawać dyspozycji nierealnych. „Chodzi o to, żeby z naszej strony była jakaś reakcja” - upierał się przewodniczący, ale jego pomysł nie znalazł niczyjego uznania.

Jadwiga K. pracowała w dziale analiz ekonomicznych, powierzano jej prace pomocnicze. Przygotowywała materiały, które opracowywał ktoś inny. W niektórych okresach miewała sporo pracy, w innych mało, albo i wcale. Pracowała bardzo powoli, ale solidnie. Była drażliwa, kostyczna, stale się obrażała, z nikim nie przyjaźniła się, sepleniała. „Z początku to raziło, ale później człowiek tak się przyzwyczaił, że w ogóle nie zwracał uwagi” - opowiada pani z vis à vis. Odzywała się mało, na ogół siedziała i patrzyła w okno, albo czytała tygodniki ilustrowane. Natomiast przez telefon prowadziła nie kończące się rozmowy. Miała niepracującą siostrę i potrafiła dzwonić do niej trzy, pięć razy dziennie, a taka rozmowa mogła trwać i godzinę. Mówiła, jak spała, co jadła, jakie zażyła

lekarstwa, co widziała w sklepach albo w telewizji. Blokowała aparat. O to także były awantury.

Obrażała się o wszystko. W roku 1971 złożyła nawet wymówienie. Była kontrola sposobu przechowywania dokumentów tajnych i poufnych. Z tej okazji komisja szperała w jej biurku i wyciągnęła stamtąd jakieś stare kapcie. Chodziła w tej sprawie do dyrektora, do rady zakładowej, dzwoniła do męża-naczelnika. Przez kilka dni była półprzymiotna. Wymówienie wyperswadowali jej w kadrach.

Identycznie zachowała się, kiedy jej biurko, ongiś stojące przy oknie, przesunięto bliżej drzwi, bo w pokoju, gdzie wpierw siedziały cztery osoby równe rangą, jedną z nich, mężczyznę, akurat mającego biurko stojące bliżej drzwi, awansowano na kierownika sekcji. Przesunięcie biurka było więc uzasadnione, a nawet konieczne, ale Jadwiga Z. nie mogła się z tym pogodzić, interweniowała, składała wymówienie, przez ponad miesiąc nie odzywała się do swego bezpośredniego szefa.

Obraziła się także, gdy wysunięto ją na męża zaufania. Powiedziała, że to złośliwość i kpiny.

Kierownik działu, inżynier, budował dom i dużo o tym mówił, szczególnie, ile za co płaci. Widać było, że Jadwigę K. to złości. Miesiącami milczała albo wychodziła demonstracyjnie z pokoju, gdy kierownik przychodził mówić o domu. Raz wreszcie wybuchnęła, że to nieprzyzwoicie tyła gadać o tej willi, że ludzie tu ciężko pracują za niewielkie pieniądze - i rozplakała się. Poprosiła wtedy o przeniesienie do innego działu. Nie zostało to uwzględnione.

Raz ów kierownik, który budował dom, przyszedł zapytać, czy ona zna rosyjski, bo w ankiecie personalnej napisała, że tak, więc chciałby ją wysunąć na wyjazd służbowy za granicę, do pomocy dyrektorowi ekonomicznemu. Rozplakała się i napisała pismo do dyrekcji, że do wyjazdu nie wolno zmuszać, chociaż ją tylko zapytano, czy nie chce. Jak się okazało, chodziło o to, że ona nie zna rosyjskiego, i że kierownik składał tę propozycję z uśmiechem.

W pokoju - wspomina pani, która siedziała vis à vis obecnej denatki - toczyły się rozmowy na różne tematy, głównie o życiu. Raz rozprawiano o tym, czy mężczyzna musi zdradzać żonę. Jadwiga K. wbrew swoim zwyczajom włączyła się żywo do wymiany myśli. Twierdziła, że mężczyzna musi, i że jeśli żona się tym nie przejmuje - mąż nigdy jej nie porzuci. Na pytanie, czy mąż ją zdradza, odparła spokojnie, że chyba tak, jak każdy. Na pytanie, czy ona zdradza lub zdradzała męża, wpadła w szal, zaczęła strasznie krzyczeć, potem zadzwoniła po męża, żeby zaraz po nią przyjechał i zabrał do domu, gdyż jest chora, i potem przedstawiła trzy dni zwolnienia.

To już są wszystkie w ogóle sprawy związane z biurem i Jadwigą K., które zapamiętano w jej pokoju.

Obecnie, to znaczy od dnia 1 kwietnia, jej dawne biurko zajmuje młoda dziewczyna po studiach ekonomicznych, która na razie wciąga się do pracy. Czyta literaturę fachową, chodzi do szefów pytać o różne sprawy i w ogóle bardzo się przejmuje. Jest miła, chętna, usłużna. Na przykład schodzi do bufetu i przynosi dla wszystkich pączki do herbaty, podczas kiedy - wspomina pani vis à vis - zmarła codziennie zjeżdżała windą po jeden pączek dla siebie, a gdy ją proszono, żeby i innym przy okazji przywiozła, odpowiadała, że nie jest niczyją służącą. Oczywiście, dopóki ją jeszcze o to w ogóle proszono.

Dlaczego ostatecznie skoczyła? „Trudno powiedzieć - mówi pani, dawne vis à vis obecnej denatki - powodu żadnego na pewno nie było. To w niej narastało i narastało.”

Milicja szybko zakończyła dochodzenie. Śmierć Jadwigi K. zanotowana będzie na arkuszach statystycznych w rubryce samobójstw z powodów nieznanych. W biurowcu śmierć ta spowodowała szok krótki, ale wielki. Wykwity biura zwykle na zawsze pozostają w środku biurowca i rzadko wydostają się na zewnątrz, do tego jeszcze przez okno dziewiątego piętra.

Kupon

Mgr inż. Dariusz T. - dyrektor centrum informacji naukowo-technicznej przy zjednoczeniu przemysłowym - złożył prośbę o dymisję, i to z dnia na dzień, natychmiast. Tak nagle obsunął się bowiem zdrowotnie. Odmówiono mu zwolnienia, uznając, że tak ważna placówka nie może zostać bez kierownika, póki nie znajdzie się nowego i nie zostanie on wdrożony do pracy. Dariusz T. wysłuchał tego, nic nie odpowiedział, ale przestał przychodzić do pracy. W kilka dni później dykcja zjednoczenia dowiedziawszy się o skandalu uznała, że jego dymisji w ogóle nie można przyjąć, tylko należy zwolnić go dyscyplinarnie, bo jak się okazało, dyrektorowi T. kroi się przykra sprawa karna. Że jednak nie można wyrzucać dyscyplinarnie, póki sąd nie orzeknie o winie, więc zwolnienie w trybie natychmiastowym umotywowane było niestawieniem się do pracy oraz zachowaniem wobec personelu sprzecznym z tym, jakiego można oczekiwać od kierownika placówki. Próżno mgr inż. Dariusz T., aby nie mieć dyscyplinarki w aktach personalnych, słał post factum lecarskie zwolnienia. Powiedziano mu, że dymisja na jego prośbę nie wchodzi w rachubę i były dyrektor oczekiwał swojej rozprawy już jako bezrobotny.

Kierowanie centrum informacji naukowo-technicznej jest pracą odpowiedzialną, ale niezbyt męczącą. Placówka składa się z kilku reprezentacyjnie urządzonych salonów, pełnych foteli i dywanów. Głównym, najbardziej widocznym jej zajęciem, jest wydawanie biuletynów. Nadto przyjmuje się tu interesantów, jeśli akurat tacy się pojawiają, ale obsługą ich zajmują się inżynierowie będący ekspertami od konkretnych dziedzin. Dyrektor Dariusz T., sprawujący kierownictwo ogólne, siadywał w swoim gabinecie, pił coca-colę, podpisywał pisma przewodnie, sporządzał plany pracy i czytał gazety. To nie chęć zysku, czy żyłka hazardowa, ale nadmiar czasu sprawił, iż swoje zainteresowanie skierował na toto-lotka.

Nad systemem gry pracował długo i metodycznie, studiując zagraniczne książki o teorii gier i rachunku prawdopodobieństwa. Zapisywał arkusze papieru obliczeniami. Godzinami stukał na arytmometrze. Twierdził, że gdyby dysponował komputerem do przeprowadzenia obliczeń oraz stu tysiącami złotych do jednorazowego włożenia w grę - miałyby 80% prawdopodobieństwa, że wygra milion. Z braku maszyny liczącej innej niż buchalteryjny arytmometr elektryczny oraz gotówki - stawiał po kilkadziesiąt złotych tygodniowo. Twierdził, że system, który wymyślił i obliczenia, jakich w oparciu o ten system dokonywał co tydzień, dwunastokrotnie zwiększają prawdopodobieństwo jego wygranej w stosunku do szans przeciętnego gracza, skreślającego liczby na kuponie bez żadnego systemu.

Irena Ż., sekretarka Dariusza T., wierzyła w szefa i system. Grali do spółki.

Dyrektor dawał jej co sobota kartki z liczbami, które były owocem jego całotygodniowych obliczeń, oraz kilkadziesiąt złotych, ona skreślała na kuponie odpowiednie liczby i szła do punktu toto-lotka, gdzie - dopłacając swoją dolę pieniężną - zawierała zakłady.

Magister inż. T. ma 43 lata, żonę uczącą angielskiego w szkole średniej i dwoje dzieci. Pracował na politechnice, potem w zapleczu badawczym przemysłu, skąd awansował na dyrektora. Bezczylnie urozmaicał sobie pólętkiem konsultanta w jednej z fabryk. Irena Ź., tęga równolatka dyrektora, jest rozwódką, mieszka z synami: siedemnasto- i czternastoletnim, ma średnie wykształcenie i początki języków obcych. Po raz pierwszy w życiu poszła do pracy po rozwodzie, aby mieć z czego żyć. Bardzo zależało jej na wygranej, więc wierzyła w system dyrektora. W końcu inteligentny człowiek nie męczyłby się po kilka godzin dziennie nad obliczeniami, gdyby to nie miało sensu.

Którejś niedzieli siedząc przed telewizorem Dariusz T. stwierdził, że wreszcie strzelił milion. Liczby wylosowane identyczne były z tymi, które wyłonił po tygodniu trudów i poprzedniego dnia, pamięta, wypisał sekretarce na kartce. Milioner zdenerwował się, powiedział rodzinie „chyba coś wygrałem, ale to się dopiero okaże”. Potem popadł w straszną złość. Sądowi mówił: „Nie czułem żadnej przyjemności z wygrania pół miliona, a tylko przykrość, że drugie pół miliona muszę oddać”. Wygrana była owocem jego wielomiesięcznej pracy i jego inteligencji. Sekretarka Irena Ź., o której nie miał zbyt wysokiego mniemania, mechanicznie nanosiła na kupony rezultat jego obliczeń i szła sto metrów do punktu toto-lotka, tyle jej zasługi, jeżeli nie liczyć głupich kilkudziesięciu złotych tygodniowego wkładu. I teraz ma mu zabrać połowę jego wygranej!

Miał różne myśli; rzucić jej w gębę cały milion i niech się za to więcej nie pokazuje w pracy. Wieczorem pojechał do niej z zamiarem - to przyznaje - przedstawienia innej jednak propozycji: ćwierć miliona dla niej i fora ze dwóra. A jak nie, to proces, na którym przeprowadzi dowód, że wygrana nie była przypadkiem, tylko owocem opracowanego przezeń systemu, więc jego własnością.

Nim pojechał do sekretarki, musiał wpaść do biura i wziąć jej adres. Zajechał do niej około ósmej. Była w domu, synowie także. Zdumiała się na jego widok. Zorientował się zaraz, że ona nic nie wie o wygranej. Nawet się takiej nie chciało otworzyć telewizora czy radia. Uznał to za okoliczność korzystną. Nie zdążyła się przyzwyczaić do myśli, że ma pół miliona, to łatwiej przyjmie ćwiartkę. Powiedział, że przywiodła go pewna pilna sprawa i musi porozmawiać na osobności. Poczęła ponaglać chłopców, żeby skończyli kolację, wynieśli się do swojego pokoju i nie kręcili więcej po mieszkaniu. Długo trwało, nim zostali sami. Kiedy tak siedział i czekał wielce zdenerwowany, usiłując podtrzymać rozmowę na obojętne tematy, spostrzegł na tapczanie jej torebkę. Tam był kupon. Postanowił

począkać na moment, kiedy będzie sam w pokoju, wyjąć kupon i iść sobie. Ona nie pamięta, jakie liczby były skreślone, on się nie przyzna do wygrania miliona, ona pomyśli, że kupon zgubiła i w ogóle nie będzie na ten temat nic mówić, albo wręcz nie zorientuje się, że brak jednego z kilku kuponów.

Kiedy zostali sami, zaczął mówić, że wpadł poprosić ją, aby nazajutrz przysłała do biura kwadrans wcześniej i napisała pismo, które jej zostawił do przepisania, bo punkt w pół do dziewiątej (pora rozpoczęcia pracy) musi z nim jechać do zjednoczenia. Zgodziła się i patrzyła ze zdziwieniem i niedowierzaniem, że to jest powód wizyty. Zaczął więc mówić, że wpadł także dlatego, żeby prywatnie porozmawiać o stosunkach w biurze. Wyjęła więc wino, nalała i zaczęła opowiadać o swoim byłym mężu. Jaki był z początku, jaki przed rozwodem, jaki w trakcie, jaki teraz. Gadała tak o swoim życiu i wynikało z tego, że jej obecne życie to jest ciągle były mąż, mający zresztą już następną żonę. Około dziesiątej poprosił o herbatę. Nic to nie dało. Kuchnia była na wprost, a ona zostawiła jedne i drugie drzwi otwarte. Robiła herbatę, gadała i coraz na niego pozierała z kuchni.

Około północy ona zdecydowała, iż przylazł w celach erotycznych, i była wniebowzięta. Dała to poznać: zmieniła ton na bardziej intymny i certoląc się zaproponowała wypicie „na ty”, z tym że oczywiście w biurze dalej będzie mówić: „panie dyrektorze”. Wypili, pocałowali się, udawała, że jest trochę podchmielona, aby go ośmielić. Uznał, że teraz musi albo stąd wyjść, albo tę grę podjąć. W końcu siedzi tu już cztery godziny i jest północ. Po wstępnych jego manipulacjach uwodzicielskich oświadczyła, że musi iść do łazienki.

O to mu chodziło. Liczył na co najmniej kwadrans samotności.

W torebce miała mnóstwo szpejów i straszny bałagan. Zirytowany wyrzucił wszystko na kapę okrywającą tapczan, znalazł zwitek kuponów, zaczął szukać właściwego. Wróciła w tym właśnie momencie. Nie myła się, tylko rozebrała i włożyła szlafrok. „Panie dyrektorze!” - usłyszał. Złapał zwitek kuponów i wsadził do kieszeni. Zorientowała się, że po to tu przyszedł, i domyśliła się, iż było po co. Nie wiadomo, czy zaczęła się ze swoim szefem mocować powodowana głęboko urażoną kobiecą ambicją, czy motywami materialnymi. Inżynier Dariusz T. pchnął ją silnie i wybiegł z mieszkania unosząc milion. Irena Ź. urządziła kanonadę do drzwi mających telefon sąsiadów, prosząc o wezwanie milicyjnego pogotowia, bo była ofiarą napaści.

Kiedy nadjechała milicja, dyrektor stał uwięziony przed zamkniętymi drzwiami na ulicę, obok niego sekretarka w szlafroku i rannych pantoflach, wymyślając szefowi z dużą inwencją, oraz gospodarz domu. Irena Ź. wniosła oskarżenie o okradzenie jej torebki.

Kupon, na którym jeden z kapitanów przemysłu, dyr. inż. mgr Dariusz T., zwichnął

kariere, nie był wart takiego zachodu. Zawierał cztery trafienia. Sekretarka Dariusza T. omyliła się dwukrotnie, jak to sekretarka.

Na służbie

- Dałby kto wiarę, że ja teraz, po tym wszystkim, chodzę w przebraniu?

Człowiek, który chciał, by mu w to uwierzyć, nosił się tak jak miliony mężczyzn mijanych na ulicach: jakieś ubranie, ani dobre, ani złe, jakaś koszula, jakiś krawat. Ale wyjął zdjęcia: broda, wąsy, koszula w kwiaty, z tegoż materiału krawat.

- Musiałem. Każdy chce żyć.

Ten człowiek cierpi, ponieważ musiał zmienić fryzurę i ubiór, ale nie są to cierpienia estety. Jest to dramat moralny: wyrzekł się własnej osobowości, dostosował się, poddał, zaparł samego siebie. Żeby nie nastawiać przeciwko sobie tych z milicji, żeby nie drażnić sądu, żeby dostać pracę.

Uzasadnienie aktu oskarżenia zaczyna się od butelki francuskiego koniaku. „Nieprawda - powiada Roman W., człowiek w przebraniu - to się zaczęło wcześniej.”

Pracował w biurze dykcji wielkiego kombinatu przemysłowego. Jego funkcje były nieokreślone. Zajmował się gośćmi, organizacją przyjęć, kupowaniem wieńców, jeśli umarł zasłużony pracownik, pisywał dyrektorowi przemówienia. Na ogół wszakże nic nie robił. Nie będzie teraz czarował, że był rzeczywiście do czegośkolwiek potrzebny. Co to, to nie. Miał osobny pokój, dobrą pensję, i tytułowano go magistrem. Wyjątkowo dobra posada. Nie umiał tego docenić.

Zaczął się od tego, że kierownik klubu napisał wniosek o kupienie foteli i z sekretarzem rady poszli w tej sprawie do naczelnego. Zabrali go ze sobą, bo gdyby była zgoda na fotele, on, Roman W., miał je wybrać w domu meblowym, bo zaopatrzenie nie ma gustu. Dyrektor odmówił. „Nie ma funduszy.” Tamci jeszcze chwilę stali, zastanawiali się, co powiedzieć. „Przecież widzicie, ludzie, że nie ma funduszy” - ponaglił ich do wyjścia Roman W. Chodziło o to, że powiedział „widzicie” zamiast „słyszycie” i że zrobił jakiś taki gest ręką, i że w jego głosie była kpina. Bo w trakcie tej rozmowy w gabinecie pracowali rzemieślnicy, zakładali boazerie, w kącie stały spiętrzone nowe meble. Dyrektorowi urządzano gabinet i za sam projekt wnętrza architekt wziął 40 tysięcy. Dyrektor tylko uważnie popatrzył. A Roman W. poczuł, że w tym spojrzeniu jest wyrok, od którego nie będzie apelacji. Nie przypuszczał tylko, że to wyrok więzienia. Ale oficjalnie zaczęło się od butelki francuskiego koniaku.

Sprawa Romana W. jest taka: Do kombinatu przyjechało dziewięciu cudzoziemców: dwóch inżynierów, trzech techników i czterech robotników. Instalowali aparaturę, siedzieli prawie rok. Opiekę nad gośćmi powierzono Romanowi W. i odtąd już miał

robotę: zakwaterować, służyć im jako tłumacz, urządzić wycieczkę, pomóc w sprawunkach, załatwić im to mycie samochodu, to reperacje. Całymi miesiącami był ich niańką. Czy można się dziwić, że chcieli się jakoś zrewanżować? Wpierw była butelka koniaku, potem płyty, woda kolońska, krawat, znowu koniak, jakiś karton papierosów i tak dalej. Chwalił się tymi upominkami w biurze, bo dlaczegóż miał to ukrywać? Rewanżował się zresztą cepeliowską tandetą. Sekretarka dyrektora, bardzo porządna starsza pani, powiedziała mu: „Uważaj, Roman, z tymi koniakami. Dyrektor nic od nich nie dostał”. Czy dyrektorowi, szczególnie naczelnemu - pomyślał - w ogóle wypadałoby brać? Jeszcze wtedy był aż tak naiwnym człowiekiem. Wiedział, że robi się wokół niego smród, i czuł, że długo nie zagrzeje tu miejsca. Kto jednak mógł przypuścić, że zrobią mu sprawę karną? I to nie o łapówki, bynajmniej. Oficjalnie wymówiono mu pracę i zawiadomiono prokuratora wtedy, kiedy na adres biura nadszedł dla niego kosz z „Delikatesów”. Ale to nie był kosz od cudzoziemców. Takich prezentów to oni na raz nie dawali: pięć butelek whisky i koniaku, kawa, czekolada i sardynki, karton amerykańców. W te wiktuały wetknięta była także zapalniczka marki „Ronson”. Zresztą wszystko jest wymienione w akcie oskarżenia. Żeby zrozumieć sprawę tego kosza, trzeba się porządnie cofnąć w czasie.

W kilka tygodni po przyjeździe cudzoziemców jeden z nich powiedział normalnie i po ludzku: „Roman, będziemy tu prawie rok. Trzeba by było wiesz... jakieś dziewczyny”.

To jest przecież zrozumiałe. Sam już przedtem myślał o tej sprawie. Traktował to jako zwyczajny służbowy obowiązek, taki sam jak załatwienie kwatery. Potem prowadzący dochodzenie mówił: „Służbowy obowiązek? Słuchajcie, W.! Mieliście takie rzeczy w umowie o pracę?” Roman W. odpowiedział: „Panie poruczniku, gdyby ludzie robili tylko to, co mają w umowie o pracę, to przemysł by nie pracował, koleje by nie jeździły, teatry nie grały, a pan by mnie nie przesłuchiwał”.

Znaleźć dobrą dziewczynę dla cudzoziemca to nie jest znowu wielka sztuka, ale okazało się, że potrzeba dziewięciu dziewczyn, a potem dwudziestu i więcej. Nie, tu nie chodzi o to, że oni zakładali sobie jakieś haremy. To bardzo spokojni, skromni ludzie bez polotu. Raczej niedzisiejsi. Tylko że dziewczyna musi przecież człowiekowi podpadać, a z drugiej strony u nas dziewczyny nie są znowu takie, że wystarczy, że cudzoziemiec, i już wszystko gra. Była randka, jedna czy druga, coś nie wychodziło i: „Szukaj, Roman, innej dziewczyny, tylko żebyś znalazł do soboty”. Szukał. Wpierw skupił się na zakładzie, gdzie jest od metra młodych urzędniczek, ale z tym było za dużo kłopotów. Ci cudzoziemcy mają swoje ustawodawstwo i z początku nie pracowali w soboty. Dopiero później dostali nadgodziny. Była w planowaniu taka Luśka. Pojechała z jednym z cudzoziemskich inżynierów na weekend, urwała się na sobotę z pracy - draka i inżynier zaraz do

niego, że on przecież nie jest jakiś Belmondo, żeby jemu dziewczyna była potrzebna na co dzień, lubi tylko w weekend. „Poszukaj, Roman, czegoś innego.” Albo była dobra dziewczyna, młoda, ładna, znająca języki, chociaż goniec. Okazało się, że ma narzeczonego w narzędziowni, który narobił rabanu u wszystkich świętych i zaraz czynnik społeczny z pretensjami do Romana W. Była także lekarka, mężatka, ale chętna. Pojechała na weekend z jednym z tych techników i z mety się zakochała. W ogóle prawie przestała przyjmować chorych, tylko stała nad nim cały dzień, nie dawała pracować, robiła sceny zazdrości. Ten technik zaraz do Romana W.: „Przetłumacz jej, Roman, że jak tak, to nie mogę. Przecież mam żonę. Powiedz jej, że bardzo kocham żonę”. Jeszcze by trochę to potrwało, a Roman W. by zwariował. I co zbliżała się sobota, to zaczęli naciskać: „Roman, dziewczyny!” W końcu to interes zakładu i w ogóle kraju, żeby oni byli zadowoleni i z sercem montowali te jakieś tam maszyny czy aparaty!

Roman W. urodził się i wychował w tym mieście. Tu studiował, tu żył i żyje. Usposobienie ma towarzyskie, świętym nie jest, owszem, lubi kawiarnie, czy nawet nocny lokal. Zna w ogóle dużo ludzi, cóż dopiero dziewczyn! Kiedy kłopoty z zakładowymi dziewczynami robiły się coraz większe i zobaczył, że to w ogóle nie wychodzi, zdecydował, że jedyna rada to profesjonalistki. Zresztą, czy one wszystkie były takie zawodowe? Obyczajówka mu nie pokazywała kartoteki. Może i niektóre z tego żyły, ale głównie brał takie półamatorki, co to trochę popracują czy pouczą się, trochę się popuszczają, zarobią na tym - dobrze, zjedzą tylko kolację czy odbędą ładną wycieczkę i ewentualnie złapią jakiś sweterek - też nie ma dla nich nieszczęścia. Półzawodowe są miłsze i mniej wyrachowane. Zresztą, co tu dużo mówić, on nie kazał im wypełniać ankiet, czy zawodowa, czy nie zawodowa, a szukał dziewczyn ładnych, chętnych, z wolnym czasem, no i żeby nie były złodziejki. Od kiedy tak się ustawił, goście byli zadowoleni, dziewczyny rzecz jasna też, a Roman W. miał wolną głowę.

Jest całkowitą nieprawdą, że brał pieniądze za pośrednictwo w nierządzie. Jeśli mu ta Ada posłała do zakładu kosz z „Delikatesów” i kartkę, która zresztą jest w aktach: „Dziękuję i serdecznie pozdrawiam. Całusy Ada” - no to przecież właśnie dowód, że nie brał pieniędzy, bo inaczej po co by ten kosz i skąd by wtedy ta wdzięczność?

Wpierw wypowiedziano mu pracę „za zaniechywanie obowiązków”. Póki w zakładzie nie było tych cudzoziemców, w ogóle nie miał obowiązków. Dopiero kiedy tyrał jak dziki osioł, przyczepili się, że je zaniechuje. Zwolnienie było zwykłe, trzymiesięczne, niczego złego nie podejrzewał. Cudzoziemcy już wyjechali i wtedy dostał wezwanie na milicję. Policzyli wartość tych wszystkich płyt, koniaków i krawatów. Czemu nie odliczyli ceny prezentów, które on dawał cudzoziemcom? Wypomnieli mu w akcie oskarżenia, że pił na koszt cudzoziemców i że też używał tych dziewczyn, jakby nawet tego człowiekowi nie było wolno. Ale

główny zarzut, bez którego, jak mu powiedziano, nie byłoby sprawy - to to, że brał od dziewczyn pieniądze. Tymczasem prawda jest taka, że od niejkiej Jolanty Ch., dwukrotnie karanej za paserstwo, pożyczył raz dwa tysiące i raz półtora. Nie zwrócił o czasie, bo był w kłopotach finansowych. I za to właśnie tak się ona zemściła. Drugi zarzut jest jeszcze bardziej dęty: miał przyjąć 600 zł od Marii B., dziewczyny jednego z cudzoziemskich robotników. Tymczasem ona dała mu te pieniądze, kiedy jechał do Warszawy, żeby kupić jej ręcznej roboty sweter w dziury. Nie dostał takiego, jaki chciała, i miał jej oddać pieniądze, ale nie miał okazji, bo jakoś od tamtej pory nie widział Marii B. To Jolanta Ch. ją napuściła, żeby poszła zeznawać przeciw niemu. A cała sprawa z Jolantą Ch. wynikła po prostu z tego, że on, który miał służbowy obowiązek opiekować się zagranicznymi gośćmi zakładu, uprzedził faceta - cudzoziemca, z którym ona żyła i pieniądze ciągnęła z niego, żeby uważał, bo o dziewczynie mówią w mieście, że jest zarażona. Jolanta Ch. zeznała, że to pozornie tylko była pożyczka, tak dla elegancji, ale od razu zrozumiała, że musi się Romanowi W. opłacić.

Wpierw człowieka wpychają do takiej pracy, mówił Roman W., a później ładują go do pudła - taka to jest w Polsce sprawiedliwość. Gdyby żył dobrze z dyrektorem, odpalił mu jakiś koniak, ubierał się inaczej - nikt nie powiedziałby mu złego słowa. Dostał dwa lata z zawieszeniem. Przyszedł więc, żeby jego sprawę poruszyć w prasie. I także, żeby się poradzić. Adwokat założył rewizję: czy ma ona jakieś szanse?

Goła

Każde biuro ma w sobie coś, co można nazwać czynnikiem konstytucyjnym. Czasem jest nim oczywiście oficjalny cel istnienia i pracy urzędu. Często rozgrywki wewnętrzne. Gdy brak zajęć mogących tak silnie organizować zbiorowe emocje, zapełniać czas i koncentrować zainteresowania, zjawiają się namiastki: układy romansowe, urządzenie zbiorowych posiłków i uroczystości imieninowych, gra w toto-lotka, krzyżówki, kibicowanie rozgrywkom sportowym. Różne są nurty dominujące w zespołowym życiu grona osób skazanych na wspólne codzienne przebywanie przez określony czas w zamkniętym pomieszczeniu. Gdyby ktoś zechciał zająć się dociekaniem, jakie w których biurach istnieją czynniki konstytucyjne, tak jak bada się w fabrykach geografię grup nieformalnych - posłużyłoby to prawdziwemu usprawnieniu administracji i umożliwiło kasowanie zbędnych czynności, urzędników i biur, albo też zamianę istniejącego czynnika konstytucyjnego na społecznie bardziej pożądany.

Biuro, o którym mowa, jest to mała, kilkunastoosobowa placówka badawcza przy dużej instytucji lecznictwa otwartego, działającej na rzecz pacjentów będących pracownikami jednej, określonej branży. (Musimy to tak omówić, aby nasza sprawozdawcza działalność nie zamieniła się w donosicielską.) Poza szefem-docentem medycyny i trzema jeszcze lekarzami-pracownikami naukowymi, dorabiającymi na innych jeszcze posadach, zabieganymi, zajętymi i wyobcowanymi z kolektywu, placówka skupia paręnaście osób stale siedzących w biurze dla wypełniania różnych kartotek, przeliczania danych z kart chorobowych, pisania sprawozdań, prowadzenia archiwum. Są to zajęcia niepilne, nudne, nie angażujące uwagi ni ambicji.

Czynnikiem konstytucyjnym tej placówki stała się naga kobieta.

Naprzeciwko gmachu mieszczącego owo biuro stoi dom mieszkalny. Zauważono, że w jednym z jego okien, akurat położonym vis-à-vis i nieco poniżej (co ułatwia obserwację), czasem ujrzeć można dziewczynę całkiem gołą. Odległość między budynkami nie przerastała 25 metrów, więc widać było, że dziewczyna jest atrakcyjna, młoda, godna uwagi. Oczywiście o przyjemność tę nie było łatwo. Aby inni mogli jej zażyć, lokatorka z naprzeciwka musiała pojawić się blisko okna i akurat być naga. Ustalono więc stałe dyżury na czatach. Czasem przechodził cały dzień pracy, potem drugi, nawet trzeci - i nic. Czasem było co obejrzeć nawet parę razy dziennie. Większość personelu biura stanowiły kobiety i dziewczyny, ale jak się okazało, ich zainteresowanie rozebraną dziewczyną wcale nie było mniejsze niż mężczyzn.

Co jeszcze zaobserwowano, poza samą nagością? Więc, że w mieszkaniu, po

którym kręci się ta goła, nie ma firanek, co zwiększa spektakularność widowiska. Że jest ono umeblowane skąpo i biednie - prawie puste. Że przedmiot obserwacji nigdzie nie pracuje i nie uczy się, najpewniej zawsze jest w domu. Że się nudzi, że dziewczyna mieszka sama i nigdy nikogo z nią nie ma. Przynajmniej w godzinach urzędowych.

Później to mniemanie okazało się niesłuszne. Zaobserwowano, że nieregularnie, o różnych porach, raz na parę dni zjawia się u niej mężczyzna. Nosił on zawsze ciemne ubranie, chociaż działo się to wszystko późną wiosną i latem, a pogoda bywała upalna. Zauważono też, że mężczyzna zjawia się zawsze z paczkami i ustawia je na stole. Że dziewczyna nie krępuje się go. Jeśli jest naga w czasie wizyt - nagą pozostaje. Że mimo tak sprzyjających okoliczności jej gość nigdy nie zdejmuje nawet marynarki, raczej nie siada, na ogół bawi tylko chwilę. Brat - zastanawiano się - może ojciec? Ale czyż brata lub ojca przyjmuje się na nagusa? Najpewniej więc - domyślano się - to mąż, który przed obiadem pracuje i w czasie pracy wpada do domu ze sprawunkami. Wraca zaś najpewniej w porze, kiedy kolektyw obserwatorów już nie siedzi w biurze, ale odpoczywa po pracy.

I to przypuszczenie okazało się z czasem nietrafne. Maszynistka owej placówki badawczej uzyskała prace zlecono i przez pewien czas do późna w noc przesiadywała w biurze stukając na maszynie. Nigdy nie doczekała się tego, aby naguska zgasła światło i poszła spać. Późno się kładzie - raportowała. Wieczorami także jest sama. Pysnie eksponuje się w świetle elektrycznym.

Kiedy naga dziewczyna ukazywała się w oknie, a kolektyw biura ustawiał się przy parapecie i uprawiał demonstracyjne gapiostwo - przedmiot obserwacji nie objawiał wstydlivości. Nie umykał. Po prostu nie zwracał na gapiów uwagi. Nie można bowiem także powiedzieć, aby dziewczyna eksponowała się umyślnie. Najwidoczniej nic jej to nie szkodziło, że jest podpatrywana, gdyż dostrzegając gapiów nie narzucała szlafroka ani nie usiłowała zasłonić okien. Była to z jej strony postawa nadzwyczaj irytująca.

Kolektyw biurowy z czasem ośmielił się i podjął zaczepki. Puszczano jej zajączki lusterkiem, kobiety demonstrowały, że oklaskują jej ukazanie się, mężczyźni słali całusy. Konsekwentnie udawała, że tego nie zauważa. Dużo gapiła się przez okno, szczególnie że w pokoju nie miała telewizora. Godzinami leżała na podłodze i opalała się, i wtedy bardzo długo można było na nią patrzeć.

Raz w biurze obchodzono imieniny i pito jarzębiak, dla niepoznaki nalany do szklanek od herbaty. Alkohol przydał dwóm panom śmiałości. Postanowili wyprawić się do znudzonej pięknotki tak bardzo oszczędzającej odzieży. Wyprawę poprzedziły szczegółowe studia układu budynku naprzeciwko: które drzwi - któremu odpowiadają oknu. Panowie wzięli butelkę jarzębiaku, nie poskapili na

kwiaty. Poszli. Kolektyw skupił się przy oknie i usłyszał, jak u jej drzwi dzwoni dzwonek, i zobaczył, że zareagowała na to bardzo żywo. Potem zniknęła z pola widzenia. Koledzy wszakże wrócili z kwiatami, wódką i z niczym. Nie otworzyła ani nie odezwała się, chociaż z pewnością drzwi nie pomylili.

Próbowano jeszcze pisać do niej listy - wielkimi literami na arkuszach papieru do pakowania. Rozpościerali te transparenty w oknie: „Jak pani ma na imię?” „Czy można panią odwiedzić?” „Dlaczego pani nie otwiera?” Podchodziła do okna, patrzyła, z pewnością czytała, ale żadnej reakcji. Raz kolektyw akurat gapił się na nią, bo była blisko okna i naga, kiedy wszedł ten mężczyzna w ciemnym ubraniu i zauważył widownię w oknie vis-à-vis. Zamknął okno i chociaż nic już teraz nie było widać, bo szyby miała ta dziewczyna bardzo brudne, nakleił na szybach gazety. Tak już zostało, ale oczywiście nie umniejszało to możliwości obserwacyjnych. W dni pogodne dziewczyna trzymała okno otwarte na oścież.

Z czasem wszyscy się napatrzyli, uznali, że nawiązanie kontaktu z tą dziewczyną się nie uda, jej nagość spowszedniała i gapiostwo zaczęło zamierać, tym bardziej że w biurze zrodziła się hipoteza, iż naguska jest chyba nienormalna.

W dobie gdy naga dziewczyna w oknie nie powodowała już emocji większych niż widok ubranego staruszka, stało się coś zupełnie niezwykłego. Zauważono jednego razu, że ona stoi przy oknie i macha, daje znaki. Była ubrana. Gdy dostrzegła, że została zauważona, rozpostarła arkusz papieru do pakowania, na którym nagryzmoliła: „WODY!”

Dali jej gestem do zrozumienia, że dobrze, że zaraz, że już lecą. Pokiwała głową, że rozumie. To było naprawdę sensacyjne wydarzenie, najbardziej emocjonujące w całej historii biura.

Z wodą wyprawiono się siedem osób obojga płci. Nieśli napełnione wodą wszystkie butelki, jakie udało się znaleźć. Zadzwonili. Dziewczyna powiedziała przez drzwi, że nie może im otworzyć, bo jest zamknięta na klucz od zewnątrz. W domu jest widać jakaś awaria, bo w kranie nie ma wody. Niczego nie piła już od dwóch dni i nie może wytrzymać z pragnienia.

Sprawdzili ślusarza z administracji budynku, gdzie mieści się ich placówka. Hałas, który on robił, i tkwienie na schodach sporej gromady kibiców ściągnęły gospodarza domu. Drzwi ustąpiły. Dziewczyna piła łapczywie wodę, a kolektyw biura obserwował ją łakomie. Była ubrana, niestety, ale za to gapić się można było z bliska. A więc ją więziono! Nie ma nawet telewizora. Tylko tranzystor.

Gospodarz domu zasypywał tę bardzo przystojną, chyba niespełna dwudziestoletnią dziewczynę pytaniami: a czy jest krewną lokatora, a czy meldowana, a dlaczego zamknięta od zewnątrz? Odpowiadała niechętnie. Właściciele mieszkania wyjechali

na jakiś czas, a ona je wynajęła. Była zamknięta, bo tak się złożyło.

Potem dozorca oraz kolektyw biura, który przyniósł wodę, wyszli z tego mieszkania i odbyli małą naradę. Opowiedzieli dozorczy wszystko, co widzieli, on zaś orzekł, że to bardzo dziwne, że bez meldowania i jego wiedzy mieszkać nie można i że chyba warto zawiadomić milicję. On to zrobi, niech MO skontroluje, co się tu właściwie dzieje.

Tego dnia w kolektywie biurowym odżyła ciekawość. Pozierali w okna dziewczyny, mimo że nadal była ona ubrana. I nie doznali zawodu. Zjawił się mężczyzna w ciemnym ubraniu. Rozmawiał z dziewczyną dłużej niż zwykle. Wyglądało to na awanturę. Następnie widać było, że dziewczyna wyciągnęła na środek pokoju torbę i pakuje się. Mężczyzna nie odchodził. W biurowym pokoju zorientowano się, że ich czynnik konstytucyjny za chwilę zniknie na zawsze, i zadzwoniono na milicję, opowiadając o obserwacjach ostatnich miesięcy i zdarzeniach tego dnia. Radiowóz nadjechał w chwili, kiedy ta dziwna para już zabierała się do odejścia. A o wszystkim, o czym tu opowiedzieliśmy, pracownicy biura po kolei zeznawali potem do protokołu. Niektórym powiedziano, że będą powołani do sądu jako świadkowie.

I oto czynnikiem konstytucyjnym zakładu badawczego przy instytucji medycznej stała się afera kryminalna, w którą przypadkiem personel został zaplątany. Jej przebieg w największym skrócie:

Pracownik biura handlu zagranicznego Zdzisław J. zjawił się u swojego szefa, kierownika działu Mariana S., z propozycją zawarcia transakcji importowej, którą wynegocjował. Marian S. zgłosił zastrzeżenia, nie dał akceptu. Wówczas - jak potem oświadczył swojej dyrekcji, a następnie prokuratorowi - Zdzisław J. zaproponował mu 600 dolarów za nieczynienie przeszkód i danie projektowanemu zakupowi poparcia. Otrzymał na ten cel środki - jak wyjaśnił - od kupca z zachodniej półkuli, który jest w Polsce i któremu zależy na tym, aby tę partię towarów u nas upchnąć. Jest ona już w jednym z portów zachodniej Europy, tamtejszy odbiorca zerwał z nim wszakże kontrakt. Transportowanie towaru z powrotem do Ameryki Południowej byłoby bardzo nieopłacalne i gość jest gotów dobrze smarować, żeby to tylko w Polsce kupiono. (Potem okazało się, że ów kupiec nie bez kozery został na lodzie, gdyż w Europie zachodniej usiłował zbyć buble, a gdy się to nie udało, uznał, że Polska może być łatwiejszym rynkiem zbytu.)

Zdzisław J. kategorycznie zaprzeczył tym zeznaniom. Ani łapówki nie brał, ani nie proponował jej swojemu kierownikowi. Marian S. zmyślił to wszystko, aby go pogrążyć, gdyż ubiegał się o wyjazd na placówkę, a wybrano zamiast niego Zdzisława J. Marian S. uznał, że Zdzisław J., jego podwładny, wygryzł go

podstępnie, i wygrażał przy kolegach, że mu się za to zrewanżuje, że i tak uniemożliwi mu wyjazd. Są na to świadkowie. Świadcowie istotnie potwierdzili te zeznania - przy nich odbyła się awantura z pogrózkami. Przesłuchano zagranicznego handlowca. Nie proponował - twierdził - żadnej łapówki ani jej nie dawał. Prowadził normalne rozmowy handlowe. Oskarżenie o łapownictwo straciłoby wszelkie podstawy, gdyby nie tzw. okoliczności uboczne.

Stwierdzono, że Zdzisław J. był u owego handlowca w numerze hotelowym. Z zeznań portiera wynikało, że w czasie tej wizyty handlowiec miał w numerze dziewczynę, z którą zresztą był związany przez cały pobyt w owym hotelu. prostytutkę, rzecz jasna. I portier powiedział, która to dziewczyna. Ale owa dziewczyna zniknęła. Szukano jej intensywnie: może się okazać, że jest ona najważniejszym świadkiem ewentualnego oskarżenia o dawanie i branie łapówki.

Dziewczyna znalazła się dzięki awarii rur wodociągowych, która sprawiła, że w domu, gdzie była ulokowana pod kluczem, przez dwa dni nie było wody w kranie. Panienka owa zeznała, że otrzymała duże pieniądze za to, żeby przez jakiś czas siedzieć w wynajętym mieszkaniu nie wychodząc, zamknięta od zewnątrz na klucz. I zeznała także, że kiedy była u Latynosa w pokoju hotelowym, mężczyzna, którego obecnie rozpoznaje w Zdzisławie J., złożył jej amantowi wizytę. Została wtedy wygnana przez amanta do łazienki. Wyjrzała z niej jednak prosząc o wydanie kosmetyków, w chwili kiedy jej wielbiciel wyjmował z portfela i odliczał studolarówki. On zauważył, że ona to widziała.

Co się zaś tyczy biura, którego kolektyw strawił prawie trzy miesiące na podglądaniu naguski w oknie naprzeciwko, to powiedzieć można, iż nigdy nie wiadomo, jaki czynnik konstytucyjny instytucji zaowocuje społecznym pożytkiem, i to większym niż praca zgodna z jej powołaniem. Zdarzenia opowiedziane są chyba wymowną ilustracją przekonania, że nie należy walczyć z biurowym wałkoństwem, bo przy sprzyjających okolicznościach może zeń wyniknąć pożytek większy niż ten, jaki bierze się z pilnej pracy urzędniczej.

Sceneria romansów

Przed sądem postawiono starszego księgowego Sylwestra N., a był on obwiniony o to, że w ciągu czterech lat i ośmiu miesięcy przywłaszczył sobie dobra wartości co najmniej półtora miliona złotych. Ładny pieniądz. Akt oskarżenia podkreślał jednak, że szkody gospodarcze wynikające z przestępczej działalności Sylwestra N. przerastają półtora miliona, są ogromne a niewymierne. Mniejsza już bowiem o to, że nie wiadomo, ile N. ukradł, bo półtora miliona to jest tylko kwota dowiedziona, ale ogólnie wiadomo, że w grę wchodził jeszcze większy zysk. Zasadnicze szkody gospodarcze wynikają z mechanizmu tego przestępstwa.

Sylwester N. pracował w przedsiębiorstwie handlu zagranicznego i z ramienia księgowości nadzorował magazyn próbek. Zawierał on towary, często znacznej wartości, jakie wysyłano zagranicznym kontrahentom na wystawy, targi itp. albo wystawiano we własnym salonie probierczym. Część zgromadzonego tu dobra, nadsyłanego przez producentów, przechowywana była tylko do czasu, aż obejrzą ją eksperci z przedsiębiorstwa handlowego, i następnie zwracana. Sylwester N. otrzymywał zlecenia na wysyłkę eksponatów i wtedy często je sobie przywłaszczał, zaś z papierów wynikało, że były one ekspediowane do miejsca przeznaczenia. Mógł to czynić, gdyż on sam i podpisywał dokumenty, i dokonywał kontroli gospodarki magazynowej. Ponieważ próbki nie docierały do miejsca przeznaczenia, efektywność działania przedsiębiorstwa handlu zagranicznego była odpowiednio mniejsza. Sylwester N. w swej działalności wyzyskiwał zaniedbania w pracy jego przełożonych, którzy dopuścili do tego, aby był on swoim własnym kontrolerem, a ponadto, kiedy otrzymywali sygnały, że anonsowane przez nich przedmioty nie przychodziły do miejsca przeznaczenia - ustawicznie podejrzewali kradzieże po drodze, choć wystarczyło sprawdzić w przedsiębiorstwach spedycyjnych, czy zaginione przesyłki w ogóle odeszły.

Sylwester N. przyznał się do winy w całej rozciągłości natomiast nie chciał powiedzieć, gdzie ma pieniądze lub co z nimi uczynił. Stwierdzono, że wraz z niepracującą żoną mieszka i żyje bardzo skromnie. Wciąż brał różne pożyczki - najpewniej wszystko dla kamuflażu.

Oskarżony ma 63 lata i znakomite opinie zewsząd, gdzie pracował. W jego całym życiu nie ma najmniejszego śladu nieuczciwości. Najwidoczniej tu nie złodziej szukał okazji, lecz okazja stworzyła złodzieja.

Przed wojną był ziemianinem i używał tytułu hrabiowskiego, który, jak twierdzi, jeszcze w ubiegłym stuleciu nadany był przez Rzym jego ojcu. Majątek ziemski odziedziczył w 1937 roku, puścił go w dzierżawę i odtąd nigdy nawet tam nie zajrzał. Niewielkie pieniądze z tytułu dzierżawy uzyskiwał tylko do wojny. Nie

zadbał nawet o to, by spieniężyć czy choćby zainteresować się ruchomościami, jakie miał w pałacu. Od 1935 roku pracował w dyplomacji i rzadko przyjeżdżał do kraju.

Ponieważ jego placówka znajdowała się w kraju, który rychło zajęli Niemcy, a on nie ewakuował się na czas - tedy od włoskiego kolegi otrzymał paszport jego kraju, pojechał do Rzymu i poprzez tamtejsze koneksje uzyskał rządową posadę w koloniach, gdzie w następnym etapie wojny zasłużył się aliantom robotą szpiegowską i dywersyjną. W Afryce ożenił się z córką polskich emigrantów. Po wojnie wrócił do kraju ze znacznym kapitałem uciętym na włoskiej służbie. Część spożytkował na założenie kawiarni, którą prowadziła żona, większość przehulał. Zajęło mu to aż cztery lata. Zamknięcie kawiarni zbiegło się z wyczerpaniem funduszy. Żona zajęła się domem, on wyuczył się księgowości. Miał kolejno parę posad. Byli i są bezdzietni. Zawsze był uczciwy, skusił go magazyn próbek. Miał go pod całkowitą kontrolą. Kierowała magazynem dziewczyna 22-letnia, z ogólnokształcącą maturą, nie mająca pojęcia o gospodarce magazynowej, przyjęta zaraz po szkole. Wobec tego dyrekcja powierzyła jej tylko pilnowanie porządku, układanie przedmiotów i zleciła pomagać w inwentaryzacji - a wszystko, co było trzeba, podpisywał on sam. Do niego także należały czynności kontrolne. Kiedy po raz pierwszy, odkąd tam pracuje, zjawiła się kontrola z zewnątrz i stwierdziła braki - przyznał się od razu do wszystkiego.

Nie tylko do zabrania tego, czego w danym momencie brakowało, ale także do podpisywania dokumentów, które kamuflowały przeszłe kradzieże. Nie powie natomiast, co zrobił z pieniędzmi ani jaką drogę spieniężył przedmioty. Działal sam, bez współników, sprzymierzeńcem był mu tylko ogólny bałagan.

Proces był długi i nudny. Zeznawali biegli. Mówiono o fakturach, rachunkach, księgach, listach spedycyjnych - najmniej o samym oskarżonym.

Obrona zakwestionowała tezy oskarżenia. Dowodziła, że proces nie mógł odzwierciedlać prawdziwego stanu rzeczy, a Sylwester N. w pojedynkę popełniać nadużyć. Mógł być tylko ogniwem większego złodziejskiego mechanizmu, a teraz kryje współników. Nie można - mówił adwokat - zamknąć sprawy, gdy wszyscy uczestnicy procesu mają przekonanie, że prawda o kradzieżach w magazynie nie została wyświetlona. Tu adwokat pytał: a kto wynosił kradzione dobro z magazynu? Kto je dzwigał? Czym je wywożono i dokąd? Dlaczego nie reagowano na monity zawiedzionych adresatów przesyłek? Dlaczego, podejrzewając kradzieże w czasie transportu przesyłek, nie zawiadamiano milicji? Jak kierowniczka magazynu, 22-letnia Elżbieta C., mogła w ogóle nie wiedzieć, co się dzieje, jeśli częstokroć wpierw zabierano towary, a podkładkę na to uzyskiwała dopiero po tygodniach? Nie można skazywać człowieka nie mając rzeczywistego obrazu przestępstwa.

Prokurator w swej replice przyznał, że mało co udało się wyświecić, a to skutkiem złej woli obwinionego, który milczy o wszystkich swoich ewentualnych współnikach. Natomiast wina jego samego nie ulega wątpliwości: podpisywał kilogramy fikcyjnych dokumentów. Podstawowe fakty są stwierdzone, oskarżony przyznaje się do winy. Czy złodziejstwo i szkodnictwo gospodarcze na wielką skalę ma pozostać nie ukarane, mimo że jest udowodnione, tylko dlatego, iż aparat ścigania doznał niepowodzenia, gdy usiłował ujawnić przypuszczalnych współników? Czy jeśli dwóch ludzi ograbia sklep, jeden ucieka i nie wiadomo, kto to był, a drugi jest złapany, to ów drugi ma iść wolno dlatego, że jego kamrata nie schwytano?

Sąd skazał Sylwestra N. na 12 lat więzienia. Obrona wniosła rewizję. Decyzją sądu drugiej instancji wyrok uchylono, sprawę przekazano do ponownego rozpatrzenia, co implikowało wznowienie śledztwa.

W jego rezultacie obok Sylwestra N. na ławie oskarżonych zasiadła Elżbieta C. i Jan W. - kierownik tego działu w przedsiębiorstwie, który wystawiał zlecenia na wysyłkę towarów z magazynu, po czym nie reagował właściwie na nieliczne zresztą sygnały, że nie doszły one do miejsca przeznaczenia. Współtowarzysze starszego księgowego obwinieni byli tylko o zaniedbania służbowe. Za kradzież dalej odpowiadał on sam.

W trakcie rozprawy adwokat Sylwestra N. wystąpił z nagłym wnioskiem o przesłuchanie żony jego klienta jako świadka. Stwierdziła ona, że matka Elżbiety C. przyszła do niej poprzedniego dnia przynosząc sto tysięcy złotych. Stanowiły one poparcie prośby, żeby pan N. nie zmienił zeznań.

Sprawę znowu przerwano. Sąd zarządził wznowienie dochodzenia. Matka panny C. skorzystała co prawda z prawa odmowy zeznań, ale w jej mieszkaniu znaleziono dużo pieniędzy, a w domu kuzynki Elżbiety C. przedmioty pochodzące z magazynu.

Wobec tego Elżbiecie C. przedstawiono nowe zarzuty. Jest oskarżona o współnictwo w kradzieży państwowego dobra.

I są na to dowody, a kuzynka siedzi.

Elżbieta C. zaczęła teraz mówić.

Zakochała się w Janie W., swoim szefie, kierowniku działu przedsiębiorstwa. Tym samym, który wystawiał zlecenia na wysyłanie oddanych jej pieczy eksponatów, i tym samym, który kolegował z nią na ławie oskarżonych w ostatnim procesie. Umizgała się doń prosto, to znaczy powiedziała, że on się jej podoba, więc jeśli ona jemu także, to jest do dyspozycji. Zignorował to jednak, a także list, który doń napisała, i prezent, który przyniosła mu na imieniny. Kierownik miał auto, 34 lata i nie takie jak ona dziewczyny - obiektywnie musi to przyznać.

Razu jednego przyszedł zapytać, czy nie mógłby sobie wziąć z magazynu jakiegoś drobiazgu. Musi dać komuś prezent. Pozwoliła mu z ochotą i to się powtarzało. Były to jednak przedmioty niewielkiej wartości. Z czasem brał coraz częściej, coraz droższe, już nie dla własnego użytku, ale na sprzedaż. Zaczęło to iść w dziesiątki tysięcy, stała się jego współpracowniczką, brała połowę. Wspólnictwo ich złączyło, sypiał z nią, ale czuła, że robi to raczej dla wzmocnienia wspólnoty interesów niż dla przyjemności.

W wersji Jana W. dziewczyna występowała jako inicjatorka kradzieży. Poza tym fakty się zgadzały, tyle że opowiedziane były z mniejszym naciskiem na sferę romansową; Elżbieta C. - twierdził - z osobna miała apetyt na niego, a z osobna, i to nie mniejszy, na pieniądze.

Oboje wsypali drugorzędnych współników: paserów, kierowcę, jeszcze bodaj kogoś. Natomiast rewelację w sprawie stanowiły ich zeznania na temat Sylwestra N. Starszy wiekiem i rangą księgowy nie był współnikiem. Stał się nim dopiero wówczas, kiedy złodziejstwo wyszło na jaw. W każdym razie od początku do końca nie zarobił ani grosza. Sylwester N. zakochany był w Elżbiecie C., młodszej odeń o 41 lat.

Czy podpisywał faktury, zlecenia, rachunki świadom., że kryją się za nimi kanty? Czy kontrolował magazyn tak, żeby niczego nie skontrolować? Przypuszczalnie tak. W każdym razie jest teraz oskarżony o udzielanie złodziejom pomocy. Jego awanse wobec magazynierki nie skutkowały. Jan W. namawiał Elżbietę C., w czasach kiedy razem kradli, pełną parą, lekceważąc już niebezpieczeństwo i nie dbając zbytnio o środki ostrożności, żeby albo księgowego wciągnęła do spółki, albo się z nim przespała. Magazynierka twierdziła, że pierwsze się nie uda, zaś do drugiego nie umie się przymusić.

W potrzebie potrafiła. Milicja zaczęła badać sprawę jakiejś jednej przesyłki. Z magazynu wyszła, do spedytora nie doszła, a odbiorca zagraniczny w czasie bytności w Polsce ustnie reklamował naczelnemu dyrektorowi, że jej nie otrzymał. Elżbieta C. wpadła w panikę, przespała się więc z księgowym, ale nie opowiedziała mu bynajmniej o defraudacjach. Dała tylko do zrozumienia, że boi się przeprowadzonej kontroli, i dopytywała się, czy w jego papierach wszystko sztykuje.

Przy pierwszym przesłuchaniu Sylwester N. wszystko wziął na siebie. Wytrwał w roli ofiary przez kilkanaście aresztanckich miesięcy, a Elżbieta C. przyjęła bez sprzeciwu upominek z 12 lat więzienia. Zrezygnował z adwokata, który kwestionował jego przyznanie się do winy. To już nie była rycerskość wobec kobiety, z którą coś go łączyło, tylko silna przypadłość uczuciowa.

Obecnie Sylwester N. przeczy, że zdawał sobie sprawę z popełnianych nadużyć

i krył je świadomie. Fałszowane dokumenty - twierdzi - podpisywał nieświadomie. Ale nie jest to linia obrony, która ma szansę być skuteczną. Jakież sądy uwierzy, że człowiek, który był gotów odsiedzieć dla dziewczyny 12 lat, nie przymykał oka na jej nadużycia.

Z soboty na poniedziałek

Na zabawie ZMS pracownik budownictwa Mirosław P. opowiadał przygody z wojska, a w tym czasie jego narzeczona Cecylia U. tańczyła z Waławem J., także pracownikiem budownictwa. Mirosław P. miał w wojsku dużo przygód, więc dopiero po godzinie czy dwóch wrócił do rzeczywistości i w połowie opowiadania o zawaleniu się latryny poszedł szukać narzeczonej. Znalazł ją siedzącą na podium dla orkiestry, skrytą za perkusją. Zdjęła stanik i trzymała go w rękę, a kolega Waław J. miętosił jej biust. Widząc to Mirosław P. zabrał dziewczynę do bufetu i kazał jej siedzieć koło siebie, kiedy kończył opowiadać historię zawalenia się latryny. Spozrzegł jednak, że Waław J. przyszedł tu za Cecylią i do czegoś ją namawia na ucho, na pewno do niczego dobrego. I rzeczywiście, kiedy skończył opowieść, narzeczonej już koło niego nie było. Kolegę Waław J. i Cecylię dogonił już na ulicy. Jego pchnął dłonią w pierś, dziewczynę zaś odciągnął na bok mówiąc, że ma do niej słowo. I Mirosław P. posunął się do pogróżek, że jeśli ona, narzeczona, odejdzie z Waławem J., tym samym wszystko pomiędzy nimi ulegnie raptownemu skończeniu. Tak nastraszona Cecylia wróciła z Mirosławem P. na zabawę, gdzie zjawiał się także Waław J., chodził za kolegą i tłumaczył mu, że nie powinien czuć do niego żalu, gdyż dziewczyna sama chciała dać z nim dyla i nawet go do tego namawiała.

W kilka dni później na budowie osiedla mieszkaniowego odbywał się poker towarzyski i od początku do końca chodziły szczególnie ciekawe układy kart. W pokerowej czwórce znajdował się zarówno Mirosław P., jak i Waław J. Grali z dowolnym przebicim. Mirosław P. był do Waław J. wygrany 300 złotych w gotówce i 1200 na słowo, kiedy nadział się ze swoim fullem maxem na karetę kolegi i przegrał te 1500 oraz 1100 własnej gotówki, a na słowo jeszcze 3600 złotych - trzy kolejne wypłaty. Przy następnym rozdaniu dostał trójkę dam, więc rzucił do puli wodoszczelny zegarek i tranzystor, a Waław J. dołożył równowartość gotówką i kwitami Mirosława P. Dwaj pozostali gracze spasowali. Mimo że kolega Waław wymienił aż cztery karty, postawił w ciemno do puli swój wkład na mieszkanie spółdzielcze, które miał otrzymać za dwa kwartały.

Powiedział, że stawia wkład w wysokości 26 tysięcy z groszami i z zastrzeżeniem, że na przebicie będzie miał prawo postawić swój przydział na mieszkanie. Widząc, że jego kolega zwyczajnie dostał wariacji, bo przecież z taką kartą nie wyjdzie na swoje, Mirosław P. zaproponował, żeby od razu wyrównali stawkę i jeśli Wacek postawi wkład pieniężny do spółdzielni, pożyczkę, którą ma otrzymać i przydział na mieszkanie, który w razie jego przegranej zostanie przepisany na niego, Mirosława, to on stawia przeciwko temu, także w ciemno, Cecylię U. Przy tym umawiają się, że już nie będą przebijać, tylko sprawdzą karty. Waław J. zgodził się,

żeby Cecylia U. legła w puli jako równowartość mieszkania, i powiedział, że to nawet dobrze się składa. Dotąd jeden z nich miał narzeczoną, a drugi przydział i wkład, zaś człowiekowi równie mało przychodzi z mieszkania bez dziewczyny, jak z dziewczyny bez mieszkania. Obecnie jeden z nich uzyska wszystko, co potrzeba, a drugi nie będzie miał nic. Bojąc się odkryć karty, przeciągali ten moment, a wokół nich zgromadziło się z trzydziestu chłopów. Stali w milczeniu, czekając na wynik.

- A jeśli Ceśka się nie zgodzi? - zapytał Waław J.

- A jeśli przydziału nie zechcą na mnie przepisać? - odparł Mirosław P.

Żeby rozgrywka była uczciwa i nie było potem żadnych kręctw ani komplikacji, jeden z kibiców udał się do technikum handlowego, gdzie uczy się Cecylia U., żeby ją zapytać, czy godzi się leżeć w puli i przystaje na to, by karta zdecydowała o jej losie. Równocześnie asystujący graczom związkowy mąż zaufania poszedł do telefonu łąpać osoby kompetentne, aby się dowiedzieć, czy możliwa jest rezygnacja Waław J. z przydziału na mieszkanie na rzecz Mirosława P., który także jest członkiem spółdzielni, żeni się i pilniej potrzebuje.

Przez około dwie godziny karty leżały zakryte, na pustaku, przyciśnięte kamieniami. Gracze zaś leżeli na ziemi starając się na nie patrzeć i nie okazywać zdenerwowania przed sobą nawzajem i przed kibicami, którzy co do jednego nie ruszali się cały ten czas z miejsca, mimo że nie tylko mistrz, ale i kierownik budowy przybiegali gnać ich do roboty.

Biegły minuty i kwadransy. Gracze zgodnie oświadczyli kierownikowi, że może ich od zaraz powyrzucać, jak mu się nie podoba, i słyszeli jakby przez watę jego krzyk i pogróżki. Potem jednak kierownictwo budowy uciszono, mówiąc kierownikowi i mistrzowi, o co toczy się gra.

Wpierw wrócił mąż zaufania z wiadomością, że przepisanie przydziału da się zrobić. Potem zjawił się ów kolega wysłany do Cecylii. Dziewczyna wypowiedziała się bardzo ładnie, jak poetka: że „los na pewno lepiej niż ona sama wybierze, w którą stronę się obrócić, żeby być szczęśliwą”. Wtedy obaj gracze, nie patrząc na stół, ale sobie w oczy, równocześnie odkryli karty i wyniku rozgrywki dowiedzieli się z krzyku kibiców: „Wacek!” Mirosław P. dalej miał trójkę damową, a Waław J. dostał kolor.

- W porządku - powiedział Mirosław P. i bez zbędnego słowa poszedł do roboty.

Wszystko to działo się w sobotę. Obaj gracze mieli tego dnia pracować do późnego popołudnia. Cecylia U. zjawić się miała pod koniec ich pracy, aby być przytomną przy ceremonii zdawania jej przez Mirosława P., a odbierania przez Waław J. Spotkali się istotnie w trójkę. „Więc tak rzeczy stoją - rzekł Mirosław P. - Nie

chciałem tego, więc nie miej żalu.” „Nie będziesz żałowała” - powiedział Waław J. Uzgodnili, że Mirosław P. jeszcze z nią chwilę porozmawia sam na sam, a Waław J. poczeka na dziewczynę w pobliskim barze kawowym i stamtąd już weźmie ze sobą, żeby wejść w prawa i przyjemności narzeczeńskie.

„Głupi byłem. Tak bywa” - odezwał się dotychczasowy narzeczoney i powiedział, że najspokojniej będą mogli porozmawiać u niego. Miejsce zwane „u niego” wielce było osobliwe jak na narzeczeńską rozmowę. Mirosław P. pracował bowiem jako operator gigantycznego dźwigu. Pojechali do jego kabiny zawieszanej gdzieś pod chmurami.

Waław J. czekał w owym barze kawowym godzinę, drugą i trzecią, zaprawił się ze złości winem i pojechał do Mirosława P. do domu, przekonany, że kolega go wykiwał, dziewczynę zatrzymał i teraz powie, że ona się namyśliła, a on nie ma na to rady. Mirosława P. nie było jednak w domu. Szukał go w różnych miejscach, aż przydybał w knajpie, gdzie często razem popijali. Mirosław P. był w dym pijany, ale sam. Cecylii U. z nim nie było.

„Nie przysłała? Widocznie dała dyla! Coś mi się zdaje, że jej się odechciało i mnie, i ciebie.”

W nocy pijany Waław J. pojechał do dziewczyny do domu, obudził domowników i krzyczał, że jest nowym narzeczoney Cecylii. Dowiedział się, że jest pijaną łachudrą, że ma się wynosić, że Cecylia nie wróciła na noc. Pojechał teraz do domu Mirosława P., postawił na nogi z kolei jego rodziców i rodzeństwo. Samego kolesia nie udało mu się postawić, bo spał pijany. Sam! Nie mając już siły wracać do domu, uwalił się koledze do łóżka. Pół niedzieli przekacowali, drugie pół pili, żeby umocnić nadszarpniętą nieporozumieniami przyjaźń. Noc z niedzieli na poniedziałek znów przespali we wspólnym łóżku, a rano Mirosław P. nie kwapił się z pójściem do roboty. Usnęli więc i koło południa powlekli się do lekarza, żeby mieć jakieś wytłumaczenie zawałonej dniówki.

W dwa tygodnie później Mirosław P. wniósł do sądu sprawę. Twierdził w pozwie, że nie było uzasadnione dyscyplinarne wyrzucenie go z pracy.

Pełnomocnik dyrekcji utrzymywał, w trakcie rozprawy, że kara jest słuszna i wymierzona za bardzo ciężkie przewinienie służbowe, jakim było wejście na teren budowy, wbrew przepisom, z jakąś dziewczyną, wprowadzenie jej do kabiny dźwigu, zamknięcie tam i odcięcie od świata przez dwie noce i jeden dzień. Operator to za poważna funkcja, żeby trzymać na niej takich chuliganów! Na to Mirosław P. odpowiedział przed sądem, że z obowiązków zawodowych zawsze wywiązywał się dobrze. Co ma dziewczyna do przedsiębiorstwa i do jego pracy? To jest bez wątpienia grubsza niesprawiedliwość, żeby zasłużonego i wykwalifikowanego pracownika usuwać dyscyplinarne z tej przyczyny, że nie

mógł on znieść myśli, iż jego dziewczyna za chwilę pójdzie do łóżka kolegi. „To jest ludzkie? A w socjalizmie nie ma takiego prawa, żeby za coś, co ludzkie, wyrzucać człowieka z roboty.”

Lekarz zagapiony

Znowu coś z Polski powiatowej, czyli te prawdziwej. Klara U., nauczycielka, przybyła rano do przyszpitalnego ambulatorium laryngologicznego, przyprowadziwszy ze sobą 10-letniego syna Mariana. Lekarz poprosił dziecko do gabinetu, a jej kazał czekać w poczekalni. Zdziwiła się, ale nic nie powiedziała. Wizyta przeciągnęła się godzinę. Potem wyszła pielęgniarka, mówiąc, że jest już po wszystkim. Mały leży w sali szpitalnej. Jeśli matka chce na chwilę wejść i go zobaczyć - bardzo proszę.

- Jak to w sali szpitalnej! Co znaczy po wszystkim!?! - krzyczy przerażona matka i biegnie do lekarza.

Doktor Lucjan W. traktuje ją z pobłażaniem:

- A co pani myślała? Że tu będą jakieś dłuższe ceregiele? Po prostu dokonałem zabiegu i już.

- Jakiego zabiegu? - krzyczy matka. Lekarz patrzy na nią, jakby chciał wołać kolegę z psychiatrii.

- Oczywiście, usunęliśmy migdałki. Przecież pani syn miał dziś przyjść na usunięcie migdałków.

- Omyłka, doktorze! - rozpacza matka. - Syn miał przyjść po prostu na wizytę. Pan miał go obejrzyć po tej anginie, którą przeszedł.

- Mam zapisane, proszę pani: Jerzy B., dzień, godzina, usunięcie migdałków.

- Mój syn nazywa się Marian U. - wścieka się matka, a lekarz blednie.

- Proszę pani, pielęgniarka świadkiem. Zapytałem dziecko: „Jerzy R., tak?” - a chłopiec kiwnął głową. Wtedy przejrzałem kartę badań i przystąpiłem do roboty.

- Jakże mógł kiwać głową, kiedy nazywa się inaczej. To przecież nie niemowlę, a dziesięcioletnim młodzieńcom nie żarty są w głowie, kiedy znajdują się w lekarskim gabinecie!

Lekarz i matka idą na salę szpitalną. Chłopak leży, mówić nie może. Lekarz pyta go, czy przytaknął, gdy go pytał o nazwisko „Jerzy R.” i podaje mu papier i ołówek.

„Pan doktor pytał, czy jestem Marian U.” - odpisuje dziecko.

Przybywa dyrektor szpitala. Pielęgniarka oświadcza: słyszała, że lekarz pytał malca „jesteś taki i taki?”, nie pamięta tylko, jaki i jaki: Marian U. czy Jerzy R.

Dyrektor ustala: Lucjan W. przyjąć miał tego dnia pięciu pacjentów. Trzej pierwsi

wyznaczeni byli na wcześniejszą godzinę i mieli być tylko zbadani, dwóm następnym miano usunąć migdałki.

Marian U. przybył z matką później, niż miał to uczynić, w czasie przewidzianym na zabiegi i w chwili, kiedy wszystko było do zabiegów przygotowane. Jerzy R., któremu miano rzezać w gardle, w ogóle się nie zjawił.

Lucjan W. wygłasza dłuższe oświadczenie. Oczywiście wynikło karygodne nieporozumienie. Oczywiście mogłoby mieć złe skutki to, że operował chłopca opierając się na wynikach badań wstępnych dotyczących się innego młodzieńca. Ale najważniejszy jest rezultat: zabieg przeszedł pomyślnie i był potrzebny. Wyciął Marianowi U. migdałki, które koniecznie trzeba było usunąć. Oglądał je przecież przed operacją i gdyby nie były w złym stanie, nie przystąpiłby do zabiegu, niezależnie od wyników poprzednich badań. Nie ma więc tego złego, co by na dobre nie wyszło. Chłopiec nie musiał tygodniami czekać, on i matka oszczędzili sobie zdenerwowania.

Klara U. nie podziela tej opinii. Chłopiec zapadł na anginę, miał komplikacje uszne, pediatra zaordynował mu antybiotyki i kazał iść do laryngologa, gdy chłopiec zacznie chodzić, żeby po prostu sprawdzić, czy po kuracji wszystko jest w porządku. Dziecko w ostatnich latach nie zapadało na anginę, laryngolog dwukrotnie, a pediatra kilkakrotnie w ciągu tych lat, oglądał mu gardło i nigdy nie było mowy o potrzebie wycinania migdałków.

Lucjan W. unosi się: jest kompetentny co do orzekania na ten temat. Klara U. oświadcza wprost, że mu nie wierzy. To jest dorabianie diagnozy post factum. Zaczyna się awantura, w której dyrektor szpitala bezskutecznie próbuje mediacji.

W kilka godzin później Klara U. przyjęta zostaje przez prokuratora. Tu jej oskarżenia idą dalej. Twierdzi mianowicie, że to nie była pomyłka, ale złośliwość, chęć odegrania się na niej i dziecku.

Dwa dni wcześniej Klara U. przybyła z synem do ambulatorium, w którym ordynował Lucjan W. Pokazała skierowania od pediatry i domagała się przyjęcia syna, mimo że nie był na ten dzień zapisany, ponieważ chodzi tylko o zajrzenie mu w ucho i skontrolowanie wyników kuracji, co jest dla niej pilne, bo nie wie, czy trzymać dziecko dalej w domu, czy posłać do szkoły.

Pielęgniarka odmówiła wpuszczenia jej do lekarza i zapisała na wizytę w terminie o dwa dni późniejszym. Wtedy Klara U. zaczęła czynić jej wyrzuty: jest nauczycielką, nie ma czasu w kółko tu chodzić, przez to cała klasa nie ma lekcji. W trakcie wymiany zdań wszedł do gabinetu Lucjan W. i potraktował ją ostro i niegrzecznie.

W czasie przykrew rozmowy z lekarzem Klara U. powiedziała, że gdyby przez ten

czas, który poświęca na awanturowanie się, lekarz obejrzał małego, byłby większy pożytek i znaczna dla niego oszczędność czasu. Doktor odparł, że chodzi tu o zasady i jakiś porządek przyjęć, po czym kazał jej opuścić pokój. Na odchodnym powiedziała, że jest biurokrata, nie lekarzem. Teraz jest przekonana, że wycinając chłopcu zdrowe, jak jest tego pewna, migdały, odgrywał się na dziecku za przykrą scenę z matką.

Prokurator wyraził powątpiewanie. Nie przypuszcza, żeby znany i ceniony lekarz brał tego rodzaju odwet za nieprzyjemną, ale dosyć banalną jak na zwyczaje ambulatorium wymianę zdań. Żeby postępował świadomie wbrew zasadom etyki i sam narażał się niemało.

Klara U. replikuje na to, że może i nie narażałby się tak, gdyby był tego rana trzeźwy. Ale Lucjan W. nie był trzeźwy. Klara U. zdążyła już ustalić, że wczoraj były imieniny jego żony, a goście wychodzili odeń dziś nad ranem.

W kilka miesięcy później doszło do procesu. Toczył się on z oskarżenia publicznego, ale Klara U. wносиła powództwo cywilne.

Lucjan W. oskarżony był o przestępcze zaniedbanie obowiązków i o dopuszczenie się karalnego błędu w sztuce lekarskiej, jakim było usunięcie zdrowych migdałów.

Spór na procesie tyczył się drugiego oskarżenia, bo zasadność pierwszego nie ulegała wątpliwości, a lekarz sam uznał swoją winę. Twierdził, że odciążają go tu następujące fakty: nadmierna intensywność zajęć, wadliwa organizacja pracy personelu pomocniczego oraz to, że młody pacjent wprowadził go w błąd, potwierdzając, że nazywa się Jerzy R.

Co do drugiej sprawy wypowiadali się biegli. Wywody ich można by tak streścić: nie sposób jest post factum ustalić, czy migdałki już usunięte należało usunąć, czy nie. Lucjan W. wszakże, jak każdy laryngolog przystępujący do zabiegu, obejrzał migdałki pacjenta.

W zasadzie taki ogląd pozwala lekarzowi stwierdzić, czy zabieg jest konieczny, choć nie tylko owo obejrzenie, a raczej nie zawsze to obejrzenie jest dostateczną przesłanką decyzji. Gdyby Lucjan W. stwierdził, że migdałki są w dobrym stanie, na pewno by ich nie usuwał, mimo iż karta chorego, którą miał w ręku, zawierała takie zalecenie.

Sąd w uzasadnieniu wyroku stwierdził:

Prawdopodobnie lekarz zapytał malca o jego właściwe nazwisko, po czym sięgnąwszy drugi raz po kartę pacjenta i wyniki badań - wziął do ręki inną kartę i wyniki badań innego chłopca. Niedbałe stwierdzenie tożsamości stanowi istotę jego przestępstwa.

Jednocześnie sąd uniewinnił dr Lucjana W. z zarzutu błędu w sztuce, przyjmując, że niezależnie od treści karty chorego, jaką trzymał w ręku, przystąpił do zabiegu po ustaleniu, że stan migdałków dziecka zabiegu takiego wymaga. Dokonanie bezprawnego zabiegu, to znaczy bez zgody matki, stanowiło konsekwencję owej pomyłki. Funkcja lekarza wymaga odpowiedniego kredytu zaufania. Tu Lucjanowi W. należy się od sądu zaufanie, iż jego diagnoza weryfikacyjna, ustalona po obejrzeniu gardła pacjenta, a przed przystąpieniem do operacji, była prawidłowa. Nie ma bowiem poszlak świadczących o czymś przeciwnym.

Sąd ustosunkował się też do zarzutów wnoszonych tylko przez powoda cywilnego, a nie podtrzymywanych przez prokuraturę, iż zabieg nie był wynikiem omyłki, ale stanowił akt świadomej zemsty na matce, oraz do imputowania lekarzowi nietrzeźwości. Stwierdził mianowicie sąd, że nie ma żadnych przekonujących poszlak, które by potwierdziły tak daleko idące zarzuty.

Sąd skazał lekarza na 8 miesięcy więzienia, zawieszając wykonanie kary i przyznał powódce cywilnej 6-tysięczne odszkodowanie, co stanowi połowę sumy, jakiej się domagała, uzasadniając żądanie kosztami leczenia i uszczerbkiem zarobkowym, jaki w wyniku całej historii poniosła.

Obrona wywodziła, że oskarżony nie powinien ponosić kosztów działań matki, nie uzasadnionych jakkolwiek, medyczną potrzebą. Chłopiec przebył operację banalną, dokonana była ona pomyślnie i nie było potrzeby przewożenia go do innego szpitala, a co za tym idzie - przerywania przez matkę na pewien czas działalności zarobkowej.

Sąd nie zgodził się z tymi wywodami, uznając, że Klara U. miała subiektywne podstawy, by nie obdarzać zaufaniem placówki leczniczej, w której ją coś takiego spotkało.

Sprawa powędrowała do wyższej instancji sądowej, na wniosek obu stron procesowych. Komisja kontroli zawodowej zawiesiła Lucjana W. w funkcji ordynatora i udzieliła nagany dyrektorowi szpitala za niewłaściwą organizację pracy w ambulatorium, w szczególności zaś za tolerowanie niezgodnego z przepisami systemu obiegu dokumentów chorych.

Historię tę zreferowałem znajomym lekarzom, oczywiście obszerniej, niż to tutaj czynię. Wywiązała się między nami dyskusja, o której słów kilka. Wszyscy ludzie się mylą - twierdzili moi rozmówcy. Powiedzmy, biorą nie ten co trzeba dokument do ręki. Cóż bardziej ludzkiego? Statystycznie można ustalić, iż jest żelazną prawidłowością, że raz na ileś tam razy pomyłka musi nastąpić. W jakiś analogiczny, jak Lucjan W., sposób mylą się kasjerzy, uczeni, urzędnicy (ci nagminnie) i inni. Co jakiś czas co któryś lekarz musi się omylić, tak jak co któryś człowiek co jakiś czas musi wpaść pod auto. Ale nie ma tu większej subiektywnej

winy, niż w przypadku wypadnięcia pod samochód.

Omyłki lekarza są jednak szczególnie groźne. Opisana historia jest jeszcze stosunkowo mało drastyczna. Ale czasem bywa gorzej. Zdarzyło się amputowanie człowiekowi zdrowej nogi zamiast chorej. Wypadki takie trzeba karać po prostu dlatego, że karanie zwiększa czujność. Karze się np. subiektywnie niewinnych, to znaczy nie pragnących nikomu uczynić nic złego kierowców, którzy w wyniku niedbalstwa lub błędu sztuki szoferskiej kogoś przejechali, mimo że wiadomo, iż co jakiś czas co któryś tam szofer musi kogoś przejechać.

Ale społeczna konieczność karania to jedno, a moralne potępienia to drugie. Do Lucjana W. - powiedziano mi - jako do człowieka nie można mieć pretensji natury etycznej.

Wyraziłem odmienny pogląd. Niezależnie od prawidłowości statystycznych, sprawcą pomyłki jest konkretny człowiek. Ów konkretny człowiek myli się lub nie zależy od staranności, z jaką wykonuje swoje obowiązki. Jeśli myli się urzędnik, wydając petentowi nie ten co trzeba dokument, szkoda jest mała i łatwa do naprawienia, dlatego od urzędnika nie trzeba wymagać aż takiego nasilenia uwagi.

Lucjan W. zawinił w sensie moralnym bardzo konkretnie. Wziął kartę chorego, sprawdził nazwisko, odłożył, zajrzał do gardła i potem znowu podniósł ze stołu kartę chorego, przeocząc to, że ma już w ręku inną kartę. To znaczy, że zaniedbał albo zapamiętać nazwisko, albo spojrzeć na nazwisko, czyli że w tych sekundach myślał o czymś innym. Ten sam mechanizm powodujący niedbałość, który u urzędnika nie jest moralnie naganny, w działaniu zawodowym lekarza jest moralnie naganny. We współczesnym świecie można stać się nawet przestępcą - nie tylko w sensie prawnym, ale i moralnym - w rezultacie zagapienia, myślenia o minionym urlopie czy na skutek innego równie niewinnego odruchu. O tym, czy się nim zostaje, decyduje efekt. Bo jeśli w pewnych sytuacjach lekarz czy szofer zagapia się lub staje się myślami na chwilę nieobecny, raz na tysiąc zamyśleń i zagapien prowadzi to do dramatu.

Pod karetą

Pewien ginekolog-nonkonformista, wiedziony przekorą, praktycyzmem i nadmiarem pieniędzy, nabył karetę. Stało się to w małym miasteczku i spowodowało niesłychany skandal. Miejscowi notable wiedzieli, że ginekolog z czegoś tu się wyśmiewa, nie wiedzieli wszakże, z czego, ale podejrzania mieli jak najgorsze. Wezwany do kierownika wydziału zdrowia na przyjacielską - bo do urzędowej nie było powodu - rozmowę (kodeks karny, jakby kto chciał wiedzieć, nie zabrania posiadania karety), ginekolog oświadczył:

Przed wojną posiadał bryczkę, którą jeździł do pacjentów. Po wojnie przez 20 lat chodził pieszo. Na auto go nie stać, zresztą jest do takowego nie nawykły i nie umie prowadzić. Ma 71 lat. Pieszo mu chodzić ciężko. Karetą ma nad bryczką przewagę w postaci ścian i dachu, a od wojny zepsuł się nam klimat.

Kierownik odparł, że to wszystko jest sprawą szanownego kolegi. Chciałby tylko zauważyć, że jeżdżąc karetą wystawia na pośmiewisko stan lekarski, wzmaga wrogie plotki o wysokich dochodach niektórych ginekologów. Funkcjonariusz służby zdrowia nie powinien więc rozbijać się takim symbolem.

Odrzekł ginekolog, że ma za dużo już lat, żeby się przejmować tym, czy się komuś podoba, czym on będzie jeździł, czy nie, co zaś do dochodów, to konia miał zawsze, boć ma gospodarstwo, karetę zaś dostał w prezencie w jednym z PGR-ów i wyrzucili mu ją za cztery tysiące.

Potem nastąpiły zdarzenia, które miały niewiele wspólnego ze sprawą karety, samą karetą i ginekologiem, ale w lokalnej opinii publicznej zostały ściśle powiązane. Ginekolog bowiem miał na swoim oddziale młodego asystenta, asystent zaś pecha.

Ów młody lekarz zwie się Paweł T. W trakcie nocnego dyżuru w Pogotowiu Ratunkowym dr T. został wezwany do żony swojego znajomego, mgr Szymona Sz., pracownika Prezydium PRN, która zażyła nadmiar leków, zapewne w intencji samobójczej. Paweł T przybył do Heleny Sz., dał jej zastrzyk i zostawił w spokoju, mówiąc mężowi, że ma ona swoje odespać, a gdyby się pogorszyło - to należy dzwonić. Było to o trzeciej w nocy. O siódmej rano stan chorej uległ pogorszeniu. Pogotowie wezwane zostało powtórnie, tyle że przybył inny lekarz i zastał magistrową Sz. w agonii. Przywieziono ją do szpitala, zastosowano liczne zabiegi lecznicze. Wyprowadzono ją dwukrotnie ze śmierci klinicznej. Po trzech dobach Helena Sz. zmarła.

Zabrano się do doktora Pawła T. W jego raporcie znaleziono pozytywną ocenę stanu chorej, wzmiankę o pulsie nie budzącym obaw, opinię, że uległa ona lekkiemu zatruciu oraz uwagę, że doktor nawiązał z chorą kontakt słowny. Wszystko to było

wysoce nieprawdopodobne; na stoliku stały opakowania od wszystkiego, co zmarła zażyła, a po takiej dawce nawet słoń znalazłby się natychmiast w stanie agonalnym.

Doktora Pawła T. obwiniono o niedbalstwo, które spowodowało śmierć pacjentki, a w każdym razie w dużej mierze zminimalizowało istniejącą jeszcze w pierwszych chwilach szansę ratunku. I wsadzono do pudła.

Obwiniony pierwotnie utrzymywał, że znalazł chorą w stanie na tyle dobrym, że nie widział potrzeby przewiezienia jej do szpitala czy samodzielnego stosowania radykalniejszych metod leczniczych. Kiedy jednak przedstawiono mu dokumentację sekcji zwłok, sam widać uznał to tłumaczenie za naiwne i złożył obszerniejsze zeznania.

Helena Sz. była osobą nie zrównoważoną psychicznie i - choć co prawda de mortuis aut bene, aut nihil - miała szmergla na punkcie swojego męża. Było tak, że mąż, mgr Sz., był zapalonym brydżystą, i co wychynął z domu na brydża, to małżonka urządziła brewerie Dzwoniła np. wzywając go natychmiast do domu, bo ma migrenę, lub też zjawiała się w domu, gdzie brydżowano, ze szlochem, spazmami albo krzykiem. Pani Sz. nie lubiła, jak mąż zasiadywał się na brydżu, a gusta męża były odwrotne: lubił się zasiadywać. Helena Sz. twierdziła, że boi się być sama w domu.

Z czasem jej telefony, spazmy, krzyki i inne formy widowiskowe przestały robić jakiegokolwiek wrażenie i na całym towarzystwie, i na mężu. Wiadomo było, że o pewnej porze Helena Sz. przerwie brydża telefonicznie lub osobiście, i dbano tylko, żeby w takim wypadku dograć robra, a bestię obłaskawić. Znieczulenie to zapewne sprawiło, że Helena Sz. poczuła, iż musi udrastyczyć formę swoich ingerencji w męzowskie brydże, i ostatnimi czasy ulubionym jej sposobem bycia było targanie się na życie. Wpierw co kilka tygodni, potem co kilka dni urządziła samobójstwo. Miejscowe Pogotowie w ciągu 8 miesięcy zanotowało 17 zamachów samobójczych Heleny Sz. Zawsze były one niegroźne i ani razu sytuacja nie wymagała przewiezienia jej do szpitala, raz tylko przewieziono ją na stację Pogotowia, by wypłukać żołądek, ale uczyniono to nie tyle z konieczności, ile dla celów dydaktycznych, bo płukanie takie nie jest dużą przyjemnością i ponoć odstręcza od łykania nadmiaru pigułek.

Szczególnie wiele zamachów samobójczych Heleny Sz. przypadło na dyżury w Pogotowiu doktora Pawła T. Sześć razy ratował on Helenę Sz. w podobnych sytuacjach. Miał więc o tej wiernej pacjentce wyrobioną opinię, tym zresztą pełniejszą, że był osobistym znajomym państwa magistrstwa Sz.

Feralna noc przypadała z soboty na niedzielę. Po obiedzie Paweł T. grał z panem Sz. w brydża u ich wspólnego znajomego i przed wieczorem pożegnał graczy, udając się na dyżur. Zastąpiła go inna czwarta ręka. Ta noc była w Pogotowiu

spokojna. Dr Paweł T. nudził się. Kiedy więc koło pierwszej w nocy wyjrzawszy przez okno zobaczył, że u znajomego, gdzie tego popołudnia grał w brydża, jeszcze pali się światło, wywnioskował stąd, że partyjka trwa i zadzwonił dowiedzieć się, jak leci. Gospodarz poinformował go, że zaczynają nowego robra. Na to dr Paweł T. powiedział, że już bardzo późne, pewno lada chwila więc usłyszy, że Helena Sz. targnęła się na życie. Istotnie po półtorej godzinie to się stało. W tym czasie dr T. już spał na kozetce Pogotowia i był bardzo zły, bo sądził, że już pośpi spokojnie do rana.

Sześciokrotnie oglądając Helenę Sz. w analogicznej sytuacji i mając wyrobioną opinię, że to zwykła komediantka, która pilnie baczy, żeby nie zrobić sobie choćby maleńkiej krzywdy, nie zbadał chorej, a raczej uczynił to bardzo pobieżnie. Nie przejął się też baterią fiolek i flaszeczek od lekarstw na jej nocnym stoliku. Samobójczyni zawsze dbała o efekty scenograficzne i musiała tu wysilać pomysłowość, z czasem bowiem nie tylko na lekarzach Pogotowia i lokalnej opinii towarzyskiej, ale i na jej mężu owe samobójcze zamachy nie robiły wielkiego wrażenia.

W takiej to psychologicznej sytuacji dr Paweł T. popełnił owo fatalne zaniedbanie.

Zaczął się proces lekarza. Biegli wypowiadali się w sposób dla niego niepomyślny. Po pierwsze twierdzili, że lekarz musi w każdej sytuacji starannie badać chorego i nie zwalniają go od tego obowiązku poprzednie doświadczenia ani opinie o osobie chorej. Po drugie, objawy zatrucia musiały być na tyle uderzające, że nawet początkującego lekarza powinno to było zaniepokoić na pierwszy rzut oka, to znaczy bez szczegółowego badania. Po trzecie, jest już nie karygodnym zaniedbaniem, ale aktywnym fałszerstwem wpisywanie do karty nie stwierdzonych danych o stanie zdrowia chorej, danych z imaginacji. Po ostatnie, każdemu lekarzowi powinno być wiadome, że uporczywe powtarzanie przez pacjenta symulowanych prób samobójczych często prowadzi do samobójstwa rzeczywistego. Nie jest bowiem tak, że kto x razy udawał, zawsze będzie udawał. Samobójstwa lipne robią na otoczeniu coraz mniejsze wrażenie, co pobudza w pacjencie mającym manię samobójczą chęć zastraszenia go poprzez groźniejsze próby. Mania samobójcza oswaja też z myślą o śmierci, czyni z takich zamachów nawyk, i często prowadzi do zamachu skutecznego, choćby niechcianego. Niegroźność prób poprzednich - wywodzili biegli - likwiduje strach przed skutkami zamachu.

W pierwszej instancji dr Paweł T. został skazany na karę więzienia, druga instancja karę tę zatwierdziła. Zdarzeniom tym towarzyszy niezwyuczajny klimat. Niezwyuczajne było to, że lekarze-biegli, lekarze-świadkowie i lekarze-autorzy dokumentów procesowych dostarczyli sądowi materiału jednoznacznie obciążającego młodego doktora. Zwykle bowiem w lekarskich sprawach

zarysowuje się wśród biegłych różnica zdań i widać chęć tłumaczenia kolegi, a tym samym rozluźnienia prawnych ram zawodowego działania stanu lekarskiego. I przeciwnie: opinia publiczna stała za skazanym. Jej odczuciom dała wyraz pani zeznająca jako świadek, a powołana dla scharakteryzowania sumienności dr Pawła T. jako lekarza Pogotowia: „Umarła komediantka, sądzicie człowieka”.

Taż sama lokalna opinia pospieszyła połączyć opisane tu zdarzenia: tragiczne, ale przecież dosyć zwyczajne - z niezwykłym, jakim było sprawienie sobie karety przez starego ordynatora, patrona Pawła T. Stary doktor przeżył w tym miasteczku 40 lat ordynatury i własnymi rękami odbierał w porodówce statystyczną większość jego obywateli. Jego karetę opinia przyjęła jako wdzięczną osobliwość. I też opinia uważa, że dla przyczyn niezbyt dla niej pojętych, lecz związanych z niechęcią klanów zawodowych do tych swoich członków, którzy się wyróżniają niestosowną ekstrawagancją - właśnie od karety zaczęła się nienawiść światka lekarskiego do starego ordynatora. Dowodem tego jest choćby to, że natychmiastową reakcją na pojazd był wniosek o szurnięcie ginekologa na emeryturę, uzasadniony m. in. karetą, jako objawem starczego dziwaczenia. Panuje tedy powszechne przekonanie, że nienawiść ta objęła również pupila starego ginekologa - dr Pawła T., i gdy tylko podwinęła mu się noga - wydano go sądom na żer.

My oczywiście widzimy tu wyłącznie przestępstwo zawodowe osądzone zgodnie z prawem, ale któż by kładł głowę pod topór za to, że po sięgnięciu do głębszych uwarunkowań, w jakie obfituje każdy fakt społeczny, nie można powiedzieć, że dr Paweł T., asystent oddziału ginekologiczno-położniczego - wpadł pod powóz swego szefa? Któż by przysiągł, że jego sprawa ma się do skandalu związanego z tym ekwipażem jak wół do karety?

Pociąg I

Skandal wybuchł w rezultacie porwania pociągu. Zakłady w Ch. monitorowały w DOKP: 36 pracowników nie zjawiło się rano do pracy, co spowodowało ogólną dezorganizację produkcji i straty idące w setki tysięcy. Wszyscy nieobecni tłumaczyli się tym, że pociąg lokalny, odchodzący o 6 rano z minutami, którym codziennie dojeżdżają, niespodziewanie pojechał w zupełnie innym kierunku. Zakłady w Ch. wyjaśniały, że ich przedsiębiorstwo nie jest jedynym poszkodowanym. Pociągiem, o którym mowa, codziennie dojeżdża 600-700 osób. Straty materialne i dezorganizacja życia, jaka z tego wynikła, są trudne do oszacowania w złotówkach, ale ogromne.

W oparciu o to pismo prokuratura przedstawiła oskarżonemu, maszyniście kolejowemu Witoldowi O., dodatkowe zarzuty. Dotychczas obwiniony był on o spowodowanie niebezpieczeństwa powszechnego w ruchu lądowym przez samowolne, nie anonsowane ośrodkom dyspozycyjnym, skierowanie pociągu w innym kierunku i przejechanie trasy niezgodnej z rozkładem jazdy. Obecnie doszedł zarzut o spowodowanie strat znacznego rozmiaru dla gospodarki narodowej.

28-letni Witold O. przyznał się, że za swój czyn wziął od osobnika, rozpoznanego później jako Karol D., kwotę zł 500, ale twierdził, że pobudką jego działania nie była chęć zysku. Jest świadom, że maszynista kolejowy to nie taksówkarz, który może brać pieniądze i jechać, gdzie mu każą. Sumę tę traktował wszakże jako napiwek, dodatkowe wynagrodzenie. Natomiast był przekonany, że zmiana kierunku jazdy pociągu, także zresztą opóźnienie odjazdu, są uzgodnione z jego władzami przełożonymi. Nawet przez głowę mu nie przeszło, że jest inaczej. Karol D. istotnie nie precyzował szczegółowo, czy i jak zmiana w rozkładzie jazdy została u góry uzgodniona, nie pokazał też żadnego pisanego w tej sprawie dokumentu. Ale przemawiał tonem rozkazującym, więc czynił wrażenie, że działa w porozumieniu z władzami kolejowymi. Zresztą - rozumował maszynista - dyżurny ruchu nie wypuściłby pociągu na Jelitkowo zamiast w kierunku Ch., jak co dzień od niepamiętnych lat, gdyby nie miał w tej sprawie odpowiednich dyspozycji.

Dyżurny, który żadnych pieniędzy nie otrzymał, tłumaczył się także tonem rozkazującym, jakim Karol D. doń przemówił. Działał w przekonaniu, że skoro chodzi o coś tak ważnego i wielkiego, jak kręcenie filmu - sprawa musi być uzgodniona co najmniej z ministrem komunikacji.

Tak więc afera Karola D. wypłynęła na światło dzienne jako wątek uboczny sprawy sądowej (i równolegle - dyscyplinarnej) o samowolną zmianę kursu pociągu. W rozumieniu prawnym proces kolejarzy jest poważniejszy, przypuszczalnie

zapadną wyższe wyroki. Dla nas jednakże hierarchia wydarzeń rysuje się odwrotnie: istotna jest działalność Karola D. jako twórcy filmowego, ubocznym zaś wątkiem - afera z pociągiem.

Karol D. - lat 37, wykształcenie niepełne wyższe (dwa lata studiów polonistycznych). Przed parunastu laty czynny w studenckim, amatorskim ruchu artystycznym. Organizator i kierownik zespołów. Studiował ongiś przez rok w łódzkiej szkole filmowej, skąd relegowany był w wyniku zwykłej selekcji mniej uzdolnionych. Nie rozliczył się w szkole z jakiegoś sprzętu. Pracował potem kolejno w dwóch terenowych ośrodkach telewizyjnych jako asystent operatora filmowego. W takim samym charakterze działał dorywczo, na podstawie krótkoterminowych umów, w jakichś placówkach reklamy kinowej. W gruncie rzeczy od szesnastu lat bez zawodu i stałej pracy. Żył nie tyle z filmu, co z kręcenia się przy filmie. Bywał robotnikiem w wytwórni filmowej, często statystował. Trzykrotnie żonaty, obecnie jest mężem Teresy W., 30-letniej plastyczki z Sopotu, która indagowana w tej sprawie powiedziała, że nie widziała męża od czterech lat, to jest prawie od dnia ślubu, od dwóch zaś lat nie miała o nim żadnej wiadomości.

Ten to więc Karol D. zjechał do 14-tysięcznego miasta J., tego samego, skąd pewnego dnia za jego przyczyną nie odszedł poranny pociąg lokalny do Ch. Zjawił się u władz powiatowych zaopatrzone w pismo wystawione na blankiecie pełnomocnika do spraw deglomeracji Warszawy. Ustalono później, że było ono sfałszowane, a Karol D. sam złożył pod nim podpis, w imieniu nie istniejącego zastępcy pełnomocnika mgr Tomasza Wiewióry, którego nazwisko wystukał na maszynie pod dokumentem. Dokument upoważniał Karola D., tytułowanego „realizatorem filmowym”, do zorganizowania w J. „filii zespołu filmowego”. Celem przedsięwzięcia miało być związanie twórczości filmowej z terenem i życiem ludzi pracy w J., wyzyskanie miejscowych plenerów i talentów oraz decentralizacja kinematografii. Rzekomy wicepełnomocnik prosił o udzielenie Karolowi D. wszelkiej pomocy i poparcia w, cytujemy: „jego pionierskim dziele”.

Karol D. w swoich zeznaniach nie ukrywa, że władze w J. przyjęły go nieufnie, pytając z lękiem: „Dlaczego akurat w J.?” Dopytywano się także, czy zamysł jest wiadomy władzom wojewódzkim i przez nie akceptowany oraz kto będzie finansował przedsięwzięcia Karola D. w J. Nasz bohater na jedno pytanie odpowiedział, że ma w J. ciotkę, posiadaczkę obszernego domu i zabudowań, które da się wyzyskać dla twórczości filmowej. Ciotka owa istniała i istnieje rzeczywiście. Na drugie pytanie odparł, że właśnie jest w trakcie załatwiania wszystkiego w województwie i sypanął nazwiskami. Powiedziano mu, że jak pozalátwia wszystko w województwie i będzie miał stosowne dokumenty - niechaj wówczas powtórnie przyjdzie, a otrzyma pomoc. Na tym skończyły się kontakty Karola D. z miejscowymi władzami, które ku jego rozczarowaniu, a wbrew

spodziewaniom, nie objawiły ambicji, żeby miasto J. stało się polskim Hollywoodem.

Od chwili przybycia do wybuchu afery (w dzień po uprowadzeniu pociągu) upłynęły 53 dni. Karol D. mieszkał u ciotki, wdowy po ogrodniku, utrzymującej się z pszczelarstwa i sadownictwa oraz sprzedaży parcel, na które kroić majątek męża. Ogrodnictwo znajdowało się w stadium likwidacji, a po dawnym gospodarstwie rolnym zostały obszerne, murowane zabudowania gospodarskie. W ogromnej, pustej teraz stodole Karol D. urządził atelier filmowe.

Gdy działalność jego stała się przedmiotem pretensji prokuratora, wezwano rzeczoznawcę, aby wypowiedział się na temat wyposażenia zaimprovizowanego studia. Okazało się, że jupitery to były lampy używane przy nocnych robotach na ulicach miasta lub na torowiskach. Duża kamera filmowa, która robiła w J. tak oszałamiające wrażenie, gdy rozgłośnie terkotała, była produkcji 1937 roku, całkowicie niezdatna do zdjęć. Artysta dysponował dwiema rolkami dawno nakręconej taśmy, które do kamery tej zakładał. Wszystko, co posiadał - ukradł. Lampy z ulicy. Już po osiedleniu się w J. wyprawił się po nie do Ch. Kamerę zabrał z jakiejś rupieciarni już wiele lat temu. Dysponował nadto zepsutym światłomierzem, który lubił nosić na szyi, oraz dobrym, nowym magnetofonem reporterskim z mikrofonem, który, jak utrzymywał, kupił u pewnego kolegi. Przez pierwsze cztery tygodnie pobytu w J. Karol D. zajmował się wizytami u władz, sprzątaniami i urządzaniem stodoły, zdobywaniem lamp i podłączaniem ich do sieci elektrycznej, pisaniem scenariusza filmowego, nawiązywaniem znajomości w J., czytaniem swoim nowym znajomym fragmentów scenariusza, angażowaniem spośród miejscowej młodzieży artystów do zamierzonego filmu, a także innych współpracowników, jak kierownik produkcji, scenograf i asystent. Ostatnie niespełna trzy tygodnie był to już etap kręcenia filmu, przy czym Karol D. nie zaprzestał angażowania wciąż nowych artystów i robienia im „próbnych zdjęć”.

Poczynaniami tymi nie interesował się żaden miejscowy czynnik oficjalny. Bo też nie było powodu, chociaż o działalności Karola D. wszyscy w J. mówili.

Po zdemaskowaniu fałszywego reżysera i kierownika rzekomej filii zespołu filmowego okazało się, że Karol D. nie napisał scenariusza filmowego. Znalaziono u niego kilkanaście stron maszynopisu (maszynę do pisania miała ciocia), zawierających opisy różnych scen filmowych z rozmaitych jak gdyby filmów. Treść zamierzonego dzieła Karol D opowiadał swoim rozmówcom. Za każdym razem było to dzieło inne i inaczej opowiedziane. Miejscem, gdzie prowadził tę przygotowawczą działalność artystyczną, była kawiarnia „Rynkowa”. Przesiadywał tam całe przedpołudnia. Wpadał także i po obiedzie.

Jego pomocnicy pracowali honorowo, obiecywał im wynagrodzenie po wejściu

filmu na ekrany. Inna rzecz, że nie mieli oni żadnych określonych zajęć, cała zaś praca asystenta, kierownika produkcji, a także scenografa ograniczała się do towarzyszenia Karolowi D. przy jego kawiarnianym stoliku, asystowania przy rozmowach i płacenia za kawę, czasem za wino. W czasie tych w gruncie rzeczy zaledwie kilku dni, kiedy „kręcono” już film, współpracownicy stali za nim na planie i gapili się. Trudno więc tu mówić o wyzysku.

Karol D. zaangażował kolejno 11 osób na aktorów, którzy w filmie jego mieli przedstawiać. Było wśród nich dziewięć dziewcząt i dwóch chłopców. Jeden z chłopców był uczniem liceum, drugi pracował w dziale ewidencji ludności miejscowego prezydium powiatowego. Trzy spośród dziewcząt były uczennicami, dwie kelnerkami w kawiarni „Rynkowa”, jedna żoną aplikanta w prokuraturze, jedna córką dyrektora szpitala, oczekującą rok po niedostaniu się na studia, żeby od nowa próbować szczęścia, jedna bibliotekarką w wypożyczalni książek dla dzieci i młodzieży, jedna żoną młodego agronoma. Ta dojeżdżała PKS-em 12 kilometrów, aby brać udział w zdjęciach i rozmowach przygotowawczych. Dziewiąta pracowała jako ekspedientka w drogerii. Najmłodszy spośród artystów, chłopiec, miał 15 lat. Najstarszą była ekspedientka - 28 lat. Wszyscy artyści, niezależnie od wieku, przynieść musieli na piśmie zgodę rodziców albo współmałżonków na udział w filmie. Wszyscy ją dostali. Karol D. dokonywał „próbnych” zdjęć fikcyjną kamerą i rzeczywiście działającym aparatem fotograficznym „Zorkij”. W trakcie zeznań na MO kładł nacisk na zaprotokołowanie, że nie robił zdjęć rozbieranych, z wyjątkiem biustu ekspedientki. W każdym wypadku mówił swoim artystom, że zdjęcia wypadły negatywnie, demaskując nieprzydatność artystyczną modela czy modelki. Opinia ta nie przeszkadzała mu jednak w wzywaniu członków jedenastki na plan. Wszyscy oni trzymanymi byli jednak w niepewności co do tego, czy dalej trwają tylko próby, których wynik jest niewiadomy, czy mimo ujemnej oceny ich starań - już grają w filmie. Karol D. w ogóle nigdy nie mówił nic wiążącego, określonego, często zmieniał zdanie, był kapryśny i zmienny, jak prawdziwy artysta.

W rezultacie tego nastroju niepewności, wśród aktorów zawiązywały się intrygi, tym bardziej że co innego Karol D. danemu artyście lub artystce mówił w oczy, a co innego o nim lub o niej - innym artystom.

Zeznając później w sprawie Karola D., zespół kandydatów na gwiazdy filmowe był zgodny co do tego, że Karol D. nie żądał pieniędzy za przyjęcie kogokolwiek do filmu. Natomiast jak ustalono - i to właśnie było jednym z punktów oskarżenia - od dyrektora szpitala przyjął 3 tys. złotych za to, żeby jego córka grała w filmie. Pan reżyser powiedział jej, że rusza się przed kamerą jak krowa i że nie nadaje się na artystkę, co zdopingowało tatusia do płacenia. Dyrektor dał pieniądze, prosząc, aby jego córka grała i aby reżyser trzymał w tajemnicy przed nią, że ojciec w ten

sposób zachęcał go do dania jej szansy artystycznej. Ponadto Karol D. przyjął 500, a potem drugi raz 500 złotych od rodziców ucznia liceum, owego piętnastolatka. Dawała forszę matka chłopca, za wiedzą ojca, robotnika w miejskim przedsiębiorstwie gospodarki komunalnej.

Nikt inny pieniędzy nie dawał, Karol D. nie starał się, jak powiedziano, ich wyłudzić ani też nie faworyzował dzieci rodziców, którzy go przekupili. Mówił zresztą potem prokuratorowi, że w czasie pobytu w J. po raz pierwszy w życiu nie potrzebował w ogóle pieniędzy. Karmiła go ciocia. Artyści, których wziął do filmu, a także ich znajomi, wreszcie mnóstwo różnych ludzi z J. - poznawał ich w błyskawicznym tempie - stawiali mu w knajpie i niemal codziennie zapraszali na jakieś popijawy domowe. Wydawał wyłącznie na papierosy.

Karol D. oskarżony został ostatecznie tylko o wyłudzenie 4 tys. złotych. W trakcie przesłuchania zamykającego dochodzenie prokurator zapytał go, po jakiego diabła zerwał swoich artystów na 6 rano, zapakował do pociągu i kazał maszyniście zmienić kierunek jazdy. Dlaczego uparł się „kręcić” scenę z pociągiem koniecznie w Jelitkowie? Zrobił sobie przecież niezłe wakacje, po co mu było rozpętywać taką chryję? Chyba zdawał sobie sprawę, że zmiana biegu pociągu z kilkuset ludźmi nie przejdzie nie zauważona.

Karol D. odpowiedział, że tę historię z pociągiem urządził po to, aby się wreszcie coś działo, bo już mu się strasznie w J. nudziło.

Pusty ekran

4 lipca 1972 r. stało się w Rz. wiadome, że za dni jedenaście Elżbieta T., sekretarka jednej z tutejszych szkół, wystąpi w telewizji jako aktywistka i bardzo ładna dziewczyna. W ciągu niewielu dni stało się to wiadome powszechnie i tutejsza krawcowa zgodziła się z rozrzewnieniem i z miłą chęcią uszyć jej jedwabną sukienkę na miesięczne spłaty. Owa krawcowa, zresztą nielegalna (żona naczelnika poczty po cichu dorabiająca szyciem dla bardzo wąskiego kręgu osób zaprzyjaźnionych a dyskretnych), wspomniała, że jeszcze nie tak dawno Elżbietę T. obszywała do pierwszej komunii, a proszę, do czego to doszło. Po wzięciu miary i skrojeniu sukni naczelnikowa przybyła do matki dziewczyny mającej wystąpić w telewizji i była bardzo zdenerwowana tym, co się stało. A stało się, że już po skrojeniu toalety przyszła do niej żona mecenasa C., proponując, że odda suknię z prawdziwego japońskiego jedwabiu, która jej została po zmarłej siostrze. Odda zupełnie bezinteresownie, aby to przerobić „dla naszej małej gwiazdki”.

Wiadomość o sukni z japońskiego, naturalnego jedwabiu widocznie rychło się rozeszła, gdyż do naczelnikowej poczty przyszła osobiście komendantka hufca ZHP, wiceprzewodnicząca okręgu ZNP i radna powiatowa w jednej osobie. Uważała, że jeśli Elżbieta T. ma reprezentować miasto i powiat Rz. w TVP, byłoby dla miasta rzeczą uwłaczającą, gdyby stanęła przed Polską w przerabianej sukience, i to z sukni znoszonej przez jakąś szwagierkę adwokata, kto wie, czy nie przedwojennej jeszcze. Komendantka przyniosła kupon elastycznej dzianiny, kupiony w czasie podróży służbowej do miasta Lubljana w Jugosławii.

Suknia od mecenasowej była już przypasowana, pozostawało tylko wykończenie. Z drugiej strony nie można było urazić komendantki. Na szczęście krojczyni ze spółdzielni ofiarowała się pomoc naczelnikowej, jakby trzeba, to i noce posiedzieć. „W końcu nie co dzień się zdarza, żeby ktoś z Rz. występował w telewizji.” Krojczyni nie znała osobiście Elżbiety T., ale była równie jak jej zakład uspołeczniiona. Dwie suknie, modne, lecz bez przesady, gotowe były na dwa dni przed czasem, i już rzeczą Elżbiety T. zostawało, na co się zdecyduje: czy urazić mecenasową, czy, nie daj Boże, komendantkę.

Sprawę pantofli wzięła w ręce dyrektorka szkoły; jej siostrzenica w zeszłym roku na maturę dostała komisowe. Należało je bezwzględnie zwrócić, gdyż w tej dziewczynie nie było takiego jak w starszych paniach uspołecznienia. Dyrektorka dostarczyła także mężowską walizeczkę ze świńskiej skóry. Bo co tu mówić - występ Elżbiety T. był wyróżnieniem dla całej szkoły.

Można było żywić wątpliwości, czy Elżbieta T., występując jako aktywistka, powinna przed kamerami nosić prawdziwą biżuterię, szczególnie gdy już ma

wystąpić w jedwabnej sukni z japońskiego jedwabiu w delikatny wzór kwiatowy i nosić komisowe pantofle na koturnie. Osoby starsze nie znają się jednak na politycznych subtelnościach dzisiejszej doby. Trudno było tłumaczyć je rencistce, przedwojennej kapitanowej L., wdowie po powojennym kierowniku biura spółdzielczości ogrodniczej, która Elżbiecie T., swojej byłej uczennicy (francuski), przyniosła broszkę z brylantem. Należy ją - pouczała - starannie zapinać, bo zamek jest zepsuty, a ta broszka - mówiła rencistka - to jej ostatnie zabezpieczenie.

Żona laryngologa głośno wyrażała opinię, że byłoby czymś nad wyraz niestosownym, aby dwudziestoletnia, ładna przecież dziewczyna, kto wie, czy nie najładniejsza w Rz., eksponowała się w telewizji z brylantową broszką, nie mówiąc już o okropnej kiece prowincjonalnego kroju. Powinna zjawić się przed kamerami w kostiumie współczesnym, najlepiej w rozszerzanych spodniach z krempliny i indyjskiej bluzce w paski. Rzeczy te, jak również bardzo oryginalny złoty wisior na szyję: koral w kształcie kła, przypominający amulet, laryngologowa sama przyniosła. Do tego kurtkę skórzaną, kupioną w Jugosławii. Dodać trzeba, że laryngologowa nie znała uprzednio Elżbiety T.

Matka jednej z uczennic, jakaś nieśmiała kobieta, przez woźnego szkolnego przekazała pani sekretarce parasolkę i rękawiczki, zresztą zaznaczając, że do zwrotu. W tej atmosferze naczelnikowa poczty odmówiła wzięcia pieniędzy za szycie obu sukien, co było dla Elżbiety T. ważne, bo chociaż z kasy przyznano jej pożyczkę siedem tysięcy, to jednak pieniądze te musiała dać matce, która - rzecz jasna - właśnie oddała stary telewizor do ZURT-u i korzystając z rabatu kupiła nowy.

W wigilię występu Elżbieta T. z całym tym ekwipunkiem - wyłączając parasolkę, którą zostawiła w domu - wyjechała do Warszawy. Na dworcu otrzymała siedem bukietów: od trzech goździków po 29 róż, przywiezionych autem przez właściciela gospodarstwa ogrodniczego, zresztą inwalidę wojennego i społecznika. Na tablicy ogłoszeń w hallu domu kultury pojawił się napis: „Uwaga! Jutro, w dniu 15 lipca br., o godzinie 16.40, odbędzie się w telewizji występ mieszkanki naszego miasta Elżbiety T. W związku z remontem sali świetlicowej czynny jest telewizor w pokoju nr 8”.

W dniu 15 lipca o godzinie 16.40 Elżbieta T. nie wystąpiła w TVP. Nie wystąpiła też o żadnej innej godzinie, ani żadnego innego dnia! 15 lipca, ani nazajutrz, ani później. Elżbieta T. nie wróciła też do Rz. Zniknęła razem z dwiema sukienkami, z jedwabiu i dzianiny, walizeczką ze świńskiej skóry, spodniami z krempliny, kurtką skórzaną, co gorsza także ze złotym wisiorkiem laryngologowej, i co najgorsza - z brylantową broszką swej byłej nauczycielki francuskiego. Matka mówiła, że nie wie, co się z nią stało, nie ma żadnych wiadomości i podejrzewa nieszczęśliwy wypadek. Panie odwiedzały sklep winno-cukierniczy, gdzie matka nie spełnionej

bohaterki pracuje, i radziły poszukiwać córkę przez milicję. Pani T. miała tę wersję wypadku widocznie tylko na wynos, bo nie zwracała się do milicji. Uczyniła to natomiast laryngologowa. Złożyła skargę. Sugerowała, że Elżbieta T. świadomie wyłudziła od kilku osób przedmioty znacznej wartości. Podała nazwisko właścicielki broszki. Milicja przesłuchiwała więc także emerytkę. Laryngologowa utrzymywała, że wiadomość o rzekomym występie „tej lekkomyślnej dziewczyny” w TVP wyszła od samej Elżbiety T. Przypuszczalnie ona to po prostu zmyśliła, aby od różnych osób wyłudzić wartościowe rzeczy przed planowanym widać wyjazdem na stałe z Rz.

Pani laryngologowa nie mogła jednak powiedzieć, że Elżbieta T. zwracała się do niej, czy kogokolwiek, o pożyczenie czegokolwiek, a trudno, aby z góry przewidywała, iż wieść o występie w TV zaopatrzy ją w biżuterię. Jeśli więc dziewczyna nawet zabrała cudze rzeczy, to nie mogła całej afery z góry i na zimno planować.

Prokurator nie postawił Elżbiety T. w stan oskarżenia. Przyjęła pożyczone jej przedmioty, ale termin zwrotu ich nie był sprecyzowany - wyjaśniono laryngologowej. Trzeba czekać. Przypuszczalnie za jakiś czas wróci i odda.

Elżbieta T. przyjechała do domu na Wielkanoc w 1973 r. Nie miała broszki ani złotego wisiora. Obiecała spłacić laryngologową i swoją dawną nauczycielkę francuskiego. Zacznie zarabiać i będzie pieniądze wysyłać ratami. Nie wyglądała na przejętą tym, że spieniężyła cudzą własność, ani na skruszoną.

Matce powiedziała (a matka różnym paniom, czyli miastu), że z występu w TV nic wtedy nie wyszło - ona nie wie, dlaczego. Pytała za to, czy teraz, tydzień temu, widziano ją w telewizji. Nikt Elżbiety T. w TV nie widział. Pokazała fotos. Na pierwszym planie - piosenkarka. Na drugim - zespół akompaniujący. Na trzecim oparta o coś - uśmiechnięta Elżbieta T. w czarnych, połyskujących spodniach i jakiejś bluzce. Pochylona jest nad jednym z grajków. Może przewracała mu nuty?

Do fotosu tego opinia publiczna Rz. odniosła się kpiąco. Wyrażano przypuszczenie, że Elżbieta T., zniknęła z Rz. nie w związku z broszką, tylko z niedoszłym występem i że jej obecny przyjazd ma związek z tym, pożał się Boże, fotosem. Mówiono: idiotka.

Miraż

Zygmunt Sz. otrzymał wezwanie na milicję, nie zjawił się, więc wysłano milicjanta, żeby go doprowadził. Spełniający to banalne zadanie kapral doznał wrażeń niecodziennych. Podejrzany mieszkał na bezokiennym strychu. Na pukanie nie reagował. Kapral znalazł otwarte drzwi wejściowe, na których był napis: „Atelier artystyczne”, umieszczony na tle skomponowanym z powycinanych z gazet biustów i pośladków. Artysta spał bez pościeli, na materacu z gąbki przykrytym różowym jedwabiem. Nad pościelą pochylały się lampy fotograficzne. Inne narzędzie przestępstwa - magnetofon, stało na stoliku przykrytym kapą, ozdobionym świecami, imitującym ołtarz. Poza tym nie było tu żadnych mebli, tylko na podłodze rozrzucone zdobne falbankami poduszki. Różowe draperie ze sztucznego jedwabiu kontrastowały ze skupionymi w kącie urządzeniami ciemni fotograficznej. Sporo lalek i pluszowych zwierzątek.

Obudzony z głębokiego snu artysta, zapytany, czy jest Zygmuntem Sz., wykazał znakomity refleks. Zaprzeczył, powiedział, że zaraz go zawoła, naciągnął spodnie i bosy, do połowy nagi, wyszedł z pokoju. Milicjant daremnie czekał na jego powrót. Wkrótce go odnalazł ukrytego w kotłowni tego samego budynku. Ta naiwna, strachliwa rejterada była tym dziwniejsza, że Zygmunt Sz. sam sprowadził sobie na kark milicję i sprowokował jej zainteresowanie swą działalnością. Potem w sądzie biegły mówił: „skrajny infantyizm, mentalność dwunastoletniego chłopca”. „Raczej dziewczynki” - wtrącił oskarżyciel.

Któregoś dnia Zygmunt Sz. zadzwonił na MO, podał swe nazwisko, adres, poinformował, że wykonuje właśnie zdjęcia artystyczne i że na korytarzu przed jego atelier czeka kilkadziesiąt modelek. Otóż pokłóciły się one strasznie o kolejność i doszło do bójki, której nie umie opanować. Spokój lokatorów domu został zakłócony. Prosi więc o interwencję. Zajechał radiowóz. Parę najbardziej rozjuszonych i poturbowanych dziewcząt wyprowadzono. Potem milicjanci jakiś czas zostali w korytarzu jako gwaranci ładu. Zorientowali się wówczas, że wchodzące do środka dziewczęta płacą przyjmującemu je fotografowi, i to po kilkaset złotych, a także, że w atelier odbywają się jakieś popisy wokalne. Nie zapytali wszakże o uprawnienia artysty do działalności komercyjnej, bo człowiek, który sam wzywa milicję, oddała od siebie podejrzenie. Milicjanci zwyczajnie opowiedzieli swoim przełożonym o dziwaczności, których byli świadkami: o ogromnym podnieceniu czekających dziewcząt, o tym, że fotograf urzędował ubrany w same tylko bermudy, ale miał ciało jaskrawo pomalowane olejną farbą, o tym, że odchodzą tam zdjęcia rozbierane i są trzy stawki: za czarno-białe, kolorowe i za sfilmowanie. Co jednak dziwniejsze, fotografowane dziewczyny muszą w trakcie seansu śpiewać, i co jeszcze osobliwsze, wpięrcz robią to okropnie, a po kilku

próbach bardzo ładnie.

Wszystkie te sensacje bardzo zainteresowały przełożonych owych dwóch milicjantów, którzy zaprowadzali porządek przed dziwnym atelier.

Akta: „... i udałam się z koleżanką Genowefą J. do Wydziału Zatrudnienia. W poczekalni podszedł do mnie bardzo elegancki i przystojny chłopiec, z okazanego zdjęcia rozpoznaję, że był to Zygmunt Sz., i zapytał, względem jakiej pracy stoimy. Odpowiedziałam, że względem kursów zawodowych, bo na razie obie nie posiadamy kwalifikacji. Zygmunt Sz. pochwalił ten zamiar, ale powiedział, że na kursy mamy jeszcze czas, bo on się nami zainteresował i widzi inne możliwości. Następnie Zygmunt Sz. powiedział, że powinniśmy na jeden miesiąc wziąć jakąkolwiek pracę, żeby zarobić przynajmniej do tysiąca złotych, i zaraz po wypłacie zgłosić się do niego, gdyż na jego wycucie mamy, jak się wyraził, „magnetyzm estradowy”. W dalszym ciągu wzmiankowanej rozmowy Zygmunt Sz. powiedział, że ma pełnomocnictwa firm światowych do werbunku adeptek artystycznych w zakresie śpiewu, tańca i striptizu artystycznego. Po przejściu przez jego eliminacje wykonuje on filmy i nagrania za zwrotem kosztów i wysyła wzmiankowane filmy i taśmy do swoich klientów.

Pragnę w tym miejscu wyjaśnić, że jak mi Zygmunt Sz. powiedział, klientami tymi są kierownicy artystyczni występów na całym świecie w różnych lokalach i temu podobnych. Następnie Zygmunt Sz. uprzedził, że koszt jest do tysiąca złotych, chociaż on nie udziela żadnej gwarancji. Wysyła swoim klientom materiał filmowy i dźwiękowy, ale zaangażowanie i sprowadzenie osoby za granicę zależy już nie od niego. Każda dziewczyna musi postąpić na własne ryzyko. Na pytanie, czy przy zdjęciach trzeba się zupełnie rozbierać, Zygmunt Sz. odpowiedział, że bezwzględnie nie, ale nagie fotografie zwiększają szanse. Tu pragnę dodać, że wzmiankowanego uprzedziłam, że nie miałabym życzenia się rozbierać, na co on powiedział, że codziennie fotografuje dziesiątki dziewczyn i u niego można się rozebrać bez wstydu, jak u lekarza, gdyż on na to nie patrzy jak mężczyzna, lecz tylko pod względem artystycznym. Po otrzymaniu od Zygmunta Sz. adresu, który sobie zanotowałam, zrezygnowałyśmy tego dnia razem z Genowefą J. z załatwiania spraw w Wydziale Zatrudnienia. Umówiłyśmy się z Zygmuntem Sz., że przyjdziemy do niego jutro, jeśli do tego czasu uda nam się pożyczyć pieniądze. Co się tyczy mnie, to wyjaśniam, że 1000 złotych dał mi ojciec pod warunkiem, że pobiorę kwit. Tu muszę wyjaśnić, że ponieważ krępowałam się prosić Zygmunta Sz. o pokwitowanie, sfałszowałam takowe przy pomocy kolegi Jerzego B. (następuje adres) i oddałam ojcu, który wziął go i nic nie powiedział”. (...) „Widząc, że inne dziewczyny rozbierają się, ja także nie robiłam już z tego kwestii, bo nie chciałam, żeby przez to moje szanse były mniejsze niż innych. Po rozebraniu się Zygmunt Sz. zapalił lampy i kazał mi położyć się, potem wstać, tak jakbym budziła się wolno ze

snu, przejść tanecznym krokiem i wyciągnąć ręce z uśmiechem. Całe filmowanie trwało minutę, najwyżej dwie i potem kazał się ubrać, co też uczyniłam. Na zadane mi pytanie wyjaśniam, że w trakcie wizyty w tym atelier Zygmunt Sz. nie podejmował żadnych zaczepek ani nie robił żadnych propozycji. Następnie Zygmunt Sz. zapytał, co pragnę zaśpiewać, dając mi do wyboru kilka ogólnie znanych piosenek. Wybrałam Wozy kolorowe, na co on podał mi mikrofon. W tym momencie poczułam, że za nic nie otworzę ust, bo poczułam zawstydzenie. Zygmunt Sz. wyłączył mikrofon i sam zaczął nucić tę melodię. Zaczęłam mu towarzyszyć, potem śpiewać i tak zachęcona zaśpiewałam do mikrofonu. Chociaż wszyscy mi mówią, że mam bardzo czysty głos, wyszło to okropnie. Wówczas Zygmunt Sz. wyłączył tę melodię z magnetofonu i śpiewałam pod akompaniament. Kiedy dał mi posłuchać z orkiestrą, wyszło to bardzo ładnie.”

Zygmunt Sz. wziął od tej dziewczyny i od jej koleżanki po 900 złotych. Po tygodniu kazał im znowu przyjść, żeby obejrzały nakręcone filmy. Następnie polecił zgłosić się za dwa miesiące, bo do tego czasu, mówił, nadejdą w ich sprawie odpowiedzi z zagranicy. Nie było tu żadnej lipy, gdyż po dwóch miesiącach właściciel atelier wręczył im istotnie list z nagłówkiem firmowym jakiejś niemieckiej knajpy, z tekstem zdawkowym, odrzucającym skierowaną tam ofertę. Dziewczyna, która składała cytowane zeznania, nie dowierzając już fotografowi poszła z tym świstkiem do kogoś znajomego niemiecki i dowiedziała się, że Zygmunt Sz. mówił prawdę i że w liście, co jej pochlebilo, wymienia się jej nazwisko. Jedyne, co ją zirytowało, to wzmianka o tym, iż nadesłanego niemieckiemu knajpiarzowi filmu 8 mm nie zdołano odtworzyć, gdyż lokal dysponuje tylko aparatem 16 mm. Jeśli pominąć ten szczegół, świadczący o niesolidnej robocie Zygmunta Sz., autorka zeznań nie ma pretensji do Zygmunta Sz., gdyż on uprzedzał, że za wynik nie odpowiada. Ona zaś próbowała sił tylko na wszelki wypadek, bez zbytej wiary w skuteczność oferty rozesłanej na pośrednictwem Zygmunta Sz., ponieważ wie, że przecież nie ma żadnego wykształcenia artystycznego, nadto posiada za duży biust.

Obiektywnie rzecz biorąc strata, jaką poniosła, nie zamyka się kwotą 900 zł, gdyż dziewczyna, która rzekomo nie liczyła na angaż, nie poszła jednak więcej do Wydziału Zatrudnienia i nie podjęła nauki ani pracy, póki nie otrzymała odpowiedzi negatywnej. Podobnie jej przyjaciółka i towarzyszka tej przygody, owa Genowefa J., notabene dziewczyna ułomna, gdyż urodzona ze zwichniętym biodrem.

Podobne mniej więcej zeznania złożyło 21 dziewczyn. Większość z nich nie była zwabiona do atelier bezpośrednio przez Zygmunta Sz., zjawiały się same, uzyskując adres od koleżanek. Ceremonia filmowania lub fotografowania wyglądała zawsze tak samo. Jeśli w atelier artystycznym działy się także rzeczy niezbyt obyczajne, to nigdy w trakcie robienia zdjęć i nagrań. Po prostu niektóre klientki przyjmowały

zaproszenie towarzyskie na wieczór.

W trakcie procesu obrona podjęła zasadniczy spór prawny z oskarżeniem i wygrała go. O tym jednak za chwilę. Nadto adwokat eksponował pewne, świadczące na korzyść jego klienta fakty z działalności samozwańczego ajenta artystycznego. Po pierwsze: w czasie jego dziesięciomiesięcznej kariery trzykrotnie nadeszły z zagranicy odpowiedzi pozytywne. W jednym zaś wypadku jego klientka istotnie wyjechała do Danii, podejmując decyzję podróży w oparciu o list właściciela nocnego lokalu, który deklarował zainteresowanie jej wdziękami. Wyjazd załatwiła sama i na własny koszt. Jej dalsze losy są nieznane. Po drugie: zdarzyło się, że do Zygmunta Sz. przychodziły dziewczyny bez pieniędzy, prosiły i, bywało, płakały, żeby gratis stworzył im szansę. W takich przypadkach zwykle ulegał i rzetelnie a bezinteresownie posyłał zdjęcia i taśmę na swój koszt. Po trzecie: dwie występujące w charakterze świadków dziewczyny powiedziały sądowi, że dawał im pieniądze. Jeden taki wypadek uznać należy za bezinteresowny. Po prostu w trakcie gratisowego filmowania i nagrywania Zygmunt Sz. tak się wzruszył opowieścią o dramatycznych kłopotach materialnych klientki, że dał jej w prezencie dwa tysiące, nic w zamian nie żądając.

Żadna z dziewczyn, które przewinęły się przez atelier, nie złożyła na Zygmunta Sz. skargi. Zakwestionowano u niego kartotekę zawierającą zaledwie 29 nazwisk, gdyż trzymał adresy tylko tych dziewczyn, które nie otrzymały jeszcze odpowiedzi z zagranicy. Z tego 18 dziewczyn udało się milicji odnaleźć, a prokuratorowi - przedstawić w sądzie jako świadków. Pozostałe trzy zeznające dziewczyny były to: przyjaciółka, siostra klientki oraz dziewczyna, której adres i nazwisko Zygmunt Sz. zapamiętał i sam wskazał milicji. Łącznie w ciągu dziesięciu miesięcy działalności przyjął on - jak sam szacuje - około 150 dziewczyn. Raz tylko wyznaczył dużej grupie ten sam termin i wtedy właśnie doszło do ekscesów na korytarzu. Pragnął wówczas jednego dnia zgarnąć dużo pieniędzy, zwinąć interes i wyjechać. Swój dochód, po odliczeniu kosztów własnych, szacuje na około 90 tysięcy złotych.

Oskarżony wyjaśnił w trakcie dochodzenia i potem na procesie, że adresy knajp, którym oferował swe klientki, brał z ogłoszeń w zagranicznych pismach. Pomysł zaś zarabiania w ten sposób wziął się stąd, że pewna znajoma dziewczyna - wiedząc, że jest fotoamatorem, filmuje, nagrywa i ma odpowiednią aparaturę - zwróciła się doń prosząc, żeby .zrobił jej zdjęcia filmowe i nagranie, gdyż chce to wysłać znajomemu pracującemu w Paryżu, w orkiestrze nocnego lokalu, aby w oparciu o ten materiał spróbował ją tam wkręcić,

Akt oskarżenia zarzucał Zygmuntowi Sz. oszustwo. To, że filmowe i magnetyczne oferty naprawdę wysyłał za granicę, prokurator uważał za trik ułatwiający oszukańczą działalność. Na dowód tego przytoczył fakt, że Zygmunt Sz. jedną nadeszłą z Budapesztu odpowiedź pokazywał trzem klientkom, każdej z nich

wmawiając, że to jej ona dotyczy. Zygmunt Sz. - wywodziło oskarżenie - zdawał sobie sprawę, że jego oferty nie mają szans skuteczności. Odmiennego zdania była obrona. Twierdziła, że nie zdawał on sobie z tego sprawy, gdyż sam jest równie naiwny jak jego klientki, nie zna reguł rządzących rynkiem rozrywkowym ani też obowiązujących w Polsce przepisów, które regulują tego rodzaju działalność zarobkową. Jest skrajnie infantylny. Nie reprezentuje osobowości cynicznego oszusta.

Punkt widzenia obrony przeważył. Ostatecznie sąd zmienił kwalifikację prawną czynu i skazał Zygmunta Sz. na wysoką grzywnę za prowadzenie przedsiębiorstwa bez stosownych uprawnień i licencji oraz za niepłacenie podatków. Sąd oparł się w wyroku na ustawie karno-skarbowej. Prokurator wniósł rewizję. Akcentuje w niej kolosalną szkodliwość społeczną czynu: 150 dziewcząt! Ileż z nich zostało wytraconych z życiowej koleiny - nauki, pracy - bo uległo zarażeniu bakcylem pseudoartystycznej kariery za granicą? Ile opóźni podjęcie nauki i pracy i przegapi jakąś tam swoją normalną życiową szansę? Ile z tych, które postąpią rozumnie i będą normalnie pracować, uczyć się, rodzić dzieci, skutkiem rozbudzenia w nich nadziei na inny los ulegnie głębokiej frustracji?

Prokurator ma pewno rację, ale czyż Zygmunt Sz. był jedynym czynnikiem frustrującym i podniecającym nierealne nadzieje, jakie pojawiły się w życiu tych 150 dziewczyn? Czy jego wpływ na ich osobowość i postęпки da się zmierzyć? I czy można wymagać od infantylnego chłopczyka lat 31, żeby miał taką wyobraźnię psychosocjologiczną, jak podprokurator Prokuratury Powiatowej?

Jasne plamy

Milicję wezwali sąsiedzi, ale i tak Olga H. nie chciała z nią rozmawiać, bo była w ciężkiej depresji, chociaż trup u niej nie padł. Siedziała na krześle odrętwiała, skamieniała. W pokoju panował półmrok, gdyż na oknach zaciągnięte były ciemne zasłony. Jak żałoba, to żałoba. Milicji zdarza się stawać przed wdową po denacie, ale mało już jest ludzi, których odejście taką powoduje boleść u bliskich, żeby w ogóle nie chcieli mówić z Milicją Obywatelską. Olga H. wstała wreszcie i odsłoniła jedno i drugie okno. Oczom przybyłych osób urzędowych ukazały się szerniałe od brudu ściany spółdzielczego mieszkania, które zgodnie z regulaminem dla lokatorów odnawiać się powinno przynajmniej co pięć lat. Z czernią ścian kontrastowały białe prostokątne ślady po obrazach, jakie tu wisiały, ale zostały skradzione. Świadczył o tym wyważony zamek w drzwiach wejściowych, świadczyli sąsiedzi i kuzynka gospodyni, która niebawem nadjechała, a była mowna.

Olga H. ma lat 55, od ośmiu jest wdową, pracuje w zjednoczeniu przemysłowym jako kierowniczka kancelarii, czyli w dni, kiedy nie jest okradana, musi umieć kontaktować się ze światem. Żyje samotnie. Za dnia patrzy pracy, wieczorem w telewizor. Z bliskich krewnych ma siostrę w Krakowie, przy mężu-prymariuszu, ale się nie lubią. Najbliżej jest z kuzynką. Kiedy była w pracy, ktoś włamał się do mieszkania i wyniósł ogromny majątek, jaki miała po ojcu - współwłaścicielu browaru. Obrazów posiadała dziewięć: po dwóch Fałatów i Chełmońskich, jednego Wyczółkowskiego, jednego Juliusza Kossaka i jednego Wojciecha. Te rzeczy idą w dziesiątki, nawet setki tysięcy złotych, jeśli wartość liczyć w pieniądzu, nie mówiąc już o sentymentach. Ale to wszystko pestka! Olga H. miała bowiem jeszcze słynną *Tancerkę* Renoira i miała *Madonnę* Rubensa, a to już są miliony dolarów. Patrzyła na ściany w swoim M-2 i widziała zabezpieczoną starość, a teraz jednego dnia nagle została bez niczego, jak wszyscy. „Było siedzieć w domu i pilnować majątku, a nie biegać do pracy i za sto dziesięć złotych, które wypadają na dniówkę, ryzykować miliony w dolarach” - mówiła kuzynka. „Lepiej, że się tak stało, jak się stało - rzekł sąsiad. - Zastaliby panią Olgę w domu, to nie oszczędziliby człowieka. Miliony dolarów - gdzie to dzisiaj w Polsce ukraść!”

Śledztwo poszło dwiema drogami: kto ukradł i co ukradł? Ustalono, że o istnieniu tych obrazów nie wiedziała żadna placówka muzealna, nikt zajmujący się ewidencjonowaniem dzieł sztuki. Fachowcy wykluczyli możliwość posiadania przez Olgę H. *Tancerki* Renoira, chociaż ona mówiła, że rzecz była przecież podpisana. Wątpili, czy mała *Madonna* była akurat Rubensa - nawet mocno wątpili. Z drugiej jednak strony współwłaściciel krakowskiego browaru mógł mieć Fałatów, Wyczółkowskich, Kossaków i Chełmońskich ile wlezie. Kraków

informował, że taki browarnik H. kiedyś tam istniał i był znany jako kolekcjoner.

Włamania mógł dokonać tylko ktoś, kto wiedział, co na tych ścianach wisiało. Sprawcy należało szukać wśród osób, które w tym domu bywały. Przypadkowy włamywacz nie ogałaca ścian. Olga H. twierdziła, że w ostatnich miesiącach przyjęła w domu raptem cztery, pięć osób: kuzynkę, sąsiada i jego żonę, swoją przyjaciółkę i pewną koleżankę z pracy - wszyscy poza podejrzeniem. Większe towarzystwo było u niej przed ośmioma miesiącami - siedem osób. Sami ludzie starsi, stateczni. Właścicielka obrazów ma pewne przypuszczenie, raczej wewnętrzne przekonanie. Musiała to być sprawka Józefa M. Jest to syn jej dalekiej, niezbyt sympatycznej znajomej, którą gościła wśród owych siedmiu osób. Matka musiała mu opowiedzieć o tych obrazach. Zresztą, nim Józef M. wyrósł na nic dobrego, był tu chyba przed dziesięciu laty, jeszcze jako mały chłopak. Wbił wtedy złote pióro jej męża stalówką w blat stołu. Obecnie jest technikiem budowlanym i pije wódkę. Człowiek pijący alkohol ma wielkie potrzeby finansowe i nie cofnie się przed niczym.

Zainteresowano się więc Józefem M., kiedy okazało się, że nie ma w tej sprawie żadnych lepszych śladów niż przecucie Olgi PI. Nikt złodzieja nie zauważył, chociaż musiał podjechać pod dom autem i potem narobić hałasu, kiedy prymitywnie, łomem wyważał drzwi. Przy tym - albo miał współników i złodziei było więcej, albo obracał ze dwa, trzy razy. Płótna były wszystkie oprawne w ciężkie ramy, nie da się tego wynieść jak paczkę papierów.

Tego przedpołudnia, kiedy Oldze H. obrabowano mieszkanie, Józef M. był w pracy, ale on codziennie kręci się po mieście, załatwiając sprawy zaopatrzenia. Nie sposób ustalić, czy urwał sobie jakąś godzinę, czy nie. I żadnych przeciwko niemu poszlak. Panią H. pocieszano, że obrazy skradziono z pewnością na handel, a jeśli tak, to wypłyną, a jak wypłyną na rynku dzieł sztuki - to się je odzyska i złodzieja ucapi. Olga H. nie chciała jednak czekać i zabrała się do rzeczy na własną rękę. Wkrótce przybyła na milicję oświadczając, że jej podejrzenia zamieniły się w pewność. Odwiedziła Józefa M. i zapytała go, jak był ubrany w środę, dziesięć dni wcześniej, kiedy u niej skradziono obrazy. Chciałaby, żeby ubrał się tak samo, to milicyjny piesek go obwącha i wykryje prawdę, gdyby była do wykrycia. Józef M. zmieszał się i powiedział, że nie pamięta, jak był ubrany. A przecież taki pijak nie ma dziesięciu garniturów, żeby co drugi dzień zmieniać i potem nie pamiętać, co nosił!

Milicja była sceptyczna. Zdarza się człowiekowi nie pamiętać, co nosił przed dziesięciu dniami. A że był gość zakłopotany? Cóż, jej propozycja, żeby dać się wąchać, była dość kłopotliwa.

Niebawem jednak Olga H. znów zjawiła się u oficera mającego jej sprawę w ręku i zajmującego się, ku jej złości, bardziej identyfikacją obrazów niż złodzieja („Pan

myśli, że mój ojciec kupowałby falsyfikaty?”). Była u niej - twierdziła - matka Józefa M., prosząc, żeby odczepiła się od jej syna, który jest w tej sprawie niewinny. Gdyby był niewinny, toby przecież nie przychodziła prosić.

Milicja przesłuchiwała Józefa M. Załatwiono to koło baraku kierownictwa budowy, gdzie pracował. Józef M. twierdził, że nawet nie wiedział o istnieniu obrazów u Olgi H., znajomej jego matki. O co go się właściwie podejrzewa?

- A matka mówiła, że wspominała panu o tych obrazach.

- Co ona głupstwa zalewa, stara idiotka - odezwał się technik wyzbyty synowskiego szacunku, i jakoś rzeczywiście nie wzbudził zaufania. Zbyt nerwowo to wszystko traktował. Oficer, który złożył mu wizytę, odszedł, ale jego współpracownik, który pozostał w pobliżu, zauważył, że zaraz potem Józef M. wyszedł pospiesznie z placu budowy i tramwajem pojechał dwa przystanki, następnie zaś wszedł w podwórze, gdzie parkował samochód. Chwilę pogadał z jakimś gościem, wsiedli obaj do auta i pojechali. Celem podróży były ogródki działkowe. Za nimi dyskretnie pojechał wóz milicyjny. Z daleka zauważono, że obaj młodzi ludzie wzięli łopaty i coś na działce kopią. Milicja wkroczyła do ogródka działkowego. Jamę, którą dopiero co zaczęli drążyć w ziemi, kopali tamci koło leżącej w ogródku kupki popiołu. Analiza wykazała, że były to spalone resztki drewna, płótna i farby olejnej.

Józef M. zeznał, że jeszcze od dziecka wiedział, iż znajoma jego matki ma wielki majątek w obrazach. Pomysł włamania zrodził się, kiedy poznał przypadkiem pewnego starszego pana, znawcę obrazów, gotowego pośredniczyć w sprzedaży. Włamania dokonali z kolegą-kierowcą byle jak. Drzwi ustąpiły pod łomem. Jeden z nich stał na czatach, drugi nosił obrazy, skarb ukryli na działkach. Tu przyjechał ów znawca. Stało się to dopiero w osiem dni po kradzieży, bo pech chciał, że kiedy załatwili mieszkanie Olgi H., starszy pan akurat leżał w szpitalu. Ekspertyzy dokonał więc w czasie, kiedy już milicja interesowała się Józefem M. Starszy pan wściekł się na widok łupu. Zwymyślał obu włamywaczy od idiotów. *Tancerka Renoira* to stary niemiecki oleodruk. Mogą iść na bazar i sprzedać ramę. Obrazy polskich malarzy to kopie robione w sukiennickim muzeum krakowskim przez amatora, który skopiował także podpisy. Tak źle toby tego nie odrobił nawet student Akademii. Jedyne dzieło oryginalne i zrobione przez zawodowca, to ów rzekomy Rubens, jakaś nie wiadomo czyja dziewiętnastowieczna Madonna. To można ewentualnie spuścić w jakiejś „Desie” za dwa patyki, jeśli chcą się narażać dla tej kwoty. Tylko niech nie próbują wmawiać, że to bardzo stare. Płótno jest polskie, konopne, już maszynowe. Tak więc dużo nie myśląc spalili cenną kolekcję w obecności swojego eksperta, a teraz przyszli pochować prochy.

Olga H. oświadczyła, że to wszystko kłamstwo. Jej ojciec, który był wybitnym znawcą, cały majątek włożył w tę kolekcję. Kiedy była dzieckiem, kustosze

z Wawelu przychodzili do ich salonu podziwiać obrazy. Złodzieje łąą. Spalili nie wiadomo co, a milionowej wartości obrazy gdzieś sprzedali lub ukryli.

Milicja zasięgała opinii znawców historii sztuki, biegłych takie w historii obrotu dziełami sztuki. Opowiadali się za wersją kopii i oleodruków. Takie obrazy, jakie, wedle opisu właścicielki i jej gości, zniknęły z mieszkania - wiszą bowiem w muzeach.

Olga H. nie wierzy w żadne ekspertyzy, a tylko we wszechogarniającą znowę przeciwko niej. I próżno by jej tłumaczyć, że włamywacze - oczekujący zresztą na sąd i wyrok - wyświadczyli jej właściwie przysługę. Teraz może na zawsze zachować wiarę w to, że posiadała miliony - nie czeka, jej okrutne rozczarowanie i śmieszność, których by doznała usiłując kiedyś sprzedać swojego Rubensa.

Poker

Było około dwunastej w nocy. Czterech inteligentów od siedmiu godzin grało w karty. Żona gospodarza, Halina T., siedziała w kuchni na stołku, tors złożyła na stole, między naczyniami, drzemała i myślała, że to jej się wcale nie podoba i takiego życia ma dość. Pech chciał, że wyszła za plastyka, który dopiero w przyszłości miał się wybić, to znaczy za dziesięć lat, za dwanaście, albo wcale. Plastyk ma to do siebie, że z twórczości nie wyżyje, a do pracy nie pójdzie.

Wpadła w tę aferę trzy lata temu i wszystko było bardzo pięknie, a potem się pobrali. Halina T. jest mikrobiologiem, niby zawód, ale nie za bardzo. Posadę miała w szpitalnym laboratorium analitycznym - dwa czterysta na rękę - i z tego żyli. Jej mąż, Józef T., ciągle miał kolosalne plany co do zarobków. Jednak tuż, tuż przed kasą albo przychodził straszny pech, albo te zamówienia jakoś rozłaziły się i mąż zaczynał podniecać się czymś zupełnie nowym. Cały dzień motał jakieś interesy, biegał i biegał. Gdyby przy okazji roznosił na przykład listy, już mieliby z czego żyć.

Schodzili się u nich plastycy - koledzy męża i koleżanki. W lepsze dni czasem któryś przyniósł butelkę piwa „zamiast kwiatów”. Wymyślali, powiedzmy, że zaproponują wolno stojącą mozaikę przestrzenną w parku i skoszą za to pół miliona, gadali, szkicowali, liczyli forse-gruszki na wierzbie, podniecali się jak dzieci. Po tygodniu znowu się złążą - ze sześć osób i jedna butelka piwa. „Co z mozaiką?” - pyta Halina T. - „Jaką mozaiką?” Czniają, okazuje się, mozaikę i planują przewrót w scenografii, bo to dopiero jest forsa!

Trzy lata męczyli się Halina i Józef T. w małym pokoiku wynajętym za osiemset złotych. „Czy mogę wejść do kuchni zrobić herbatę?” „Łazienka będzie wolna o dwudziestą pierwszą.” Żadnych widoków na coś innego, a kiedy pytała go, czy tak już ma być przez całe życie i mówiła, że gdyby coś zarobił, trzeba zapisać się do spółdzielni, to będzie chociaż perspektywa - mąż na nią krzychał: „zwariowałaś”, i mówił o jakimś Zbyszku, który rok temu zaczął pracować na zagranicę, a już buduje sobie willę.

Wiedziała, że nie można odezwać się do męża, iż nie zarabia, bo gotów zdemolować lokal albo popłakać się nie tyle nawet ze złości, co z oburzenia i zdziwienia. Przyniósł przecież prawie sześć patyków! „Tak, ale to było pół roku temu.” „Mówiłem dziesięć razy, tylko ty nie słuchasz, że w następny czwartek dostanę osiemnaście tysięcy zaliczki.” W następny zaś czwartek była mowa tylko o miłości, za to wielkiej.

Trwało to właśnie trzy lata, aż coś się zmieniło. Józef T. rozczarował się do sztuki,

a także do ludzi. O wszystkich mówił źle, choć malowniczo, np. „duppek ultramarynowy”, albo „fajansowe gacie”, z nikim się nie chciał widzieć, za interesami nie chodził, żonie prawił, iż ma ją tylko jedną, a cała sztuka to są nylonowe trociny. Miał tydzień depresji z płaczami, drugi picia, też nie bez szlochów, a w trzecim tygodniu powiedział, że robi z tym wszystkim ostateczny koniec. Klął, że koniec, płakał, że koniec, potem śpiewał, że koniec. Sądziła, że myśli się powiesić, ale ją objaśnił, że gorzej: on się sprzeda. Zrobi to dla niej i pokaże, że jednak jest mężczyzną. Ma zupełnie idiotyczną propozycję. Fabryka tekstylna, czy coś takiego, na głuchej prowincji. Urządzają własną pracownię wzorniczą. Natychmiast luksusowe mieszkanie i do dziesięciu patyków na miesiąc.

Nie wierzyła, mimo że przez kilka późniejszych tygodni uświadamiał ją, że przyszłość ma tylko plastyka użytkowa, a reszta to „merde”.

Potem wyjechał. Listy przychodziły codziennie. Na wpół były pisane, na wpół rysowane: to jest ucho dyrektora, a to świątynia dumania w parku. Wyglądało z tego, że poczuł się szczęśliwy. Klął w listach dyrekcję od ostatnich s... synów. Oszwabili go, myślał o wiele więcej wyciągnąć. Ile ostatecznie zarabia - nie wspominał. Z mieszkaniem też został wykantowany. Będzie dopiero za miesiąc, ale piękne. Mieszkanie było po pół roku.

Kiedy przyjechała, zdążył je już urządzić. Były to dwa małe pokoiki z kuchnią, ale rozwalił ścianę i przerobił dwa pokoje na jeden, bo się dusił, a potrzebuje przestrzeni. Do spania mieli siano zszyte sznurkiem w bele, za to siano było kolorowe, farbowane. Wzdłuż ściany zrobił własnoręcznie drewniany żłób, też wypełniony sianem. „Nasza stajenka” - mówił z dumą. Kupił turystyczny stolik na aluminiowych rurkach i cztery foteliki z leżakowego płótna. A nawet wziął pożyczkę, żeby sama urządziła sobie kuchnię i wykazała indywidualność. Cokolwiek by się powiedziało, to było mieszkanie z wanną bez ograniczeń.

Okazało się, że na rękę dostaje dwa osiemset minus spłata kredytu mieszkaniowego, minus spłata kredytu na meble. Dla mikrobiologa nie było w miasteczku żadnej posady. „I po cóż było jeść tę żabę”? - pomyślała, a potem nawet powiedziała. Odparł, że ludzie są tu wspaniali, nie takie pawiany francowate jak w Warszawie.

Pracował pilnie ósma - czwarta i lojalnie uprzedzał, że resztę czasu też musi sama jakoś zabić, bo myśli popołudnia, wieczory i noce bez reszty poświęcić twórczości własnej. Cały - poza barłogiem i żłobkiem - pokój istotnie zagrabił farbami, puszkami pędzli, sztalugami i deską kreślarską.

Na razie jednak nie czuł natchnienia, zresztą nie miał czasu. Halina T. przekonała się po przyjeździe, że owładnięty jest zupełnie nową pasją i mało co na nią zwraca uwagę, w takiej jest gorączce. Grał w pokera. O czwartej, piątej zjawiało się trzech

wciąż tych samych facetów. Była już tu dziesiąty dzień, a oni przychodzili codziennie. Siedzieli do czwartej, piątej rano. Drzemała w kuchni, bo w pokoju było zbyt głośno i dymno. Noce te odsypiała przed południem. Józef T. jakby w ogóle spać nie musiał. Po odejściu gości potrafił jeszcze do rana analizować zagrywki i przebiecia, opowiadać jej co ciekawsze starcia i układy.

Ojciec Haliny T., podpułkownik bądź co bądź, przed jej wyjazdem z Warszawy powiedział, że skoro mąż dostał pracę, siedzi na posadzie i otrzymał mieszkanie, to zmienia to sytuację. Dotychczas nie miał przekonania do trwałości tego związku, ale teraz córka powinna dostać to, co rodzice dla niej przeznaczili. Wiano było w naturze i gotówce. Parę srebrnych przedmiotów, bielizna pościelowa i stołowa, serwis. W pieniądzach miała dostać dziesięć tysięcy, ale ojciec zdecydował, że lepiej od razu coś im kupić, bo zięć ma lekką rękę i pieniądze przepuści. Przywiozła więc z sobą dwa pudła: jedno z telewizorem, drugie z radiem.

Przez ostatni tydzień Józefowi T. karta szła rewelacyjnie i niezmiennie. Odegrał prawie wszystko, co przedtem przegrał. Planował w trzy dni puścić partnerów z torbami, a potem pokera na zawsze już rzucić i zacząć nowe życie.

Tego wieczora, kiedy Halina T. siedziała w kuchni i drzemała z głową na stole, mąż raz na parę godzin odrywał się od kart i przybiegał do niej wyładować emocje: rozgrywki były zupełnie nadzwyczajne i przebiecia olśniewające.

Zarzucili dotychczasową zabawę dla dzieci z pięciozłotowym wejściem i podwójnym przebieciem. Idą na ostro: otwarcie dycha i przebiecie bez ograniczeń. On jest już cztery tysiące do przodu.

Potem znowu ją obudził i cieszył się jak dziecko, że te cztery patyki diabli wzięli i jest teraz siedemset do tyłu, tak ostro grają! Poprosił o te siedemset, bo umówili się: żadnego kredytu, gotówka na stół - goły wysiadka.

W jakiś czas później znowu zjawił się w kuchni. Partner przebił - powiedział - na trzy tysiące. On poprosił o chwilę zwłoki, żeby naradzić się z żoną. Otóż musi jej powiedzieć, że planuje przebiecie trzy i sześć, ma bowiem fulla maxa z ręki, który, cudo jedne, leży tam na stole. „Skąd weźmiesz pieniądze?” „O to właśnie chodzi - irytował się. - Romek godzi się przyjąć telewizor.” „Nie mam tu co robić. Chcę mieć telewizor. Zresztą telewizor jest od tatusia.” „Mam fulla maxa, kobieto!” „Daj mi spokój, zostaw telewizor, nie wiem, co to jest ten twój full max.” „Boże, idiotka, co ty w ogóle wiesz o życiu?” - jęknął Józef T.

I począł jej tłumaczyć hierarchię układów kart w pokerze i prawdopodobieństwo dostania fulla. „Daj mi spokój, wole już być bez radia.” „Radio jest już w puli.” „Nie zgadzam się.” „Chyba mogę jeszcze robić, co chcę, we własnym domu, ty nie wiesz, co to jest fuli, idiotko!”

Po niedługiej chwili Józef T. znowu przyszedł do kuchni. „Fantastyczne! Romek zrobił te sześć i dwanaście. Słuchaj. On idzie na taki układ: gdybym przegrał, weźmie mieszkanie. Ale nie w ogóle. Tylko na rok. Dla matki. Jako równowartość dwunastu patyków. No, odezwij się, przecież mogę albo postawić chatę, albo zrobić pas i z fullem w łapie przerznąć forszę, radio, telewizor, wszystko!” „Józek - odparła - ja mam dość, literalnie dość. Rób, co chcesz i więcej tu nie przychodź. Bez mieszkania ja tu nie zostanę ani jednego dnia, a poza tym rób, co chcesz.” „Przecież mam fulla i zgarnę kilkadziesiąt tysięcy, zaraz: dwanaście i sześć to osiemnaście, i trzy... Więc zgadzasz się?” „Na nic się nie zgadzam i oddaj im ten telewizor, i niech już będzie koniec „Telewizor jest już w puli” - wyjaśnił i poszedł, żeby niebawem wrócić. „Wiesz, co Roman zagrał?! To nie do pojęcia! Te dwanaście i sto tysięcy. On stawia wóz. Oczywiście muszę przyjąć auto jako równowartość stu tysięcy, skoro on zgodził się i na radio, i na telewizor, i na mieszkanie zamiast gotówki. Będziesz miała auto! Cieszysz się? Ale słuchaj, zabawna historia. Jego propozycja jest taka: On stawia auto i wie, że ja nie mam niczego za sto tysięcy, więc mógłby bezpiecznie wziąć forszę, radio, telewizor i tę chatę i iść sobie do domu. Ale on chce grać fair. I wiesz, co proponuje? Nie zgadniesz. Ja mam ciebie rzucić do puli. I stoi taka umowa, że na tym kończymy w ogóle rozgrywkę. No więc decyduj się, czy kładziesz się do puli? Z tym że bądź spokojna, tłumaczyłem ci przecież, co to jest full max”.

„Mnie? Proszę bardzo. Mnie spokojnie możesz sobie przegrać, kretynie.” „Z tym że Roman chce tu wejść, żebyś przy nim powiedziała, że kładziesz się do puli. Nie gniewasz się, że tak wyszło?” „Skądże, najlepiej dołoż jeszcze siebie.”

Roman wszedł do kuchni, Halina T. powiedziała, że chce już iść spać i mogliby skończyć. On na to, że Józek zgodził się ją postawić, czy ona idzie na to, bo on traktowałby to na serio, nie wykluczając małżeństwa, zależy od układów. Chodzi tylko o jej słowo. Padło z jej ust nawet kilka słów, najwulgarniejszych, jakie zna język polski.

Przegrawszy pieniądze, radio, telewizor i mieszkanie na nie sprawdzonego nawet przez partnera fulla maxa, a więc powiedziawszy pas z braku walorów, które mógłby rzucić do puli dla zrównoważenia samochodu - malarz przyszedł do żony i powiedział, że nie ma do niej pretensji. Jest podły, iż chciał ją stawiać w pokerze, i dumny, że się nie dała.

Potem odbył się proces. Pod nieobecność w domu Haliny T. jej mąż wydał partnerowi od pokera radio i telewizor. Jego żona zawzięła się i zaskarżyła Romana O. o zwrot tych przedmiotów. Niezależnie od tego, że istnieją sądowe precedensy nieuznawania długów hazardowych, Halina T. przeprowadziła dowód, że zabrane z jej domu przedmioty nie stanowią wspólnego majątku małżonków, gdyż były darowizną jej ojca.

„To czemu pan Józef T. nimi dysponował?” - irytował się adwokat strony przeciwnej. „Ależ to przecież dziecko” - dobrotliwie wyjaśniła sądowi Halina T.

Ulica Leona Ż.

- Widzi pan tę ulicę? - wskazał za okno. - Pan ma o dwadzieścia lat mniej niż ja. Czy pan się nie boi, że kiedyś, jak mnie już nie będzie, pan stanie na tej ulicy i będzie ona nosiła moje nazwisko? Dziś zgłosi pan akces do grona durniów, a jutro wpiszą pana do mojej biografii jako jednego z bezrozumnych prześmiewców. Ja mam się bać? A pan się nie boi?

Gospodarz siedzi w dużym pokoju zabudowanym jakąś kartoteką, za prostym biurkiem, nowym, ciężkim, niezdarnym, jednym z tych, które przez kilka lat potrafią pachnąć świeżym drzewem. Pisze obsadką ze stalówką maczaną w kałamarzu. Nie widziałem już tego przyrzędu od lat. Jest samą niepozornością - chudą, łysą, lat może mieć równie dobrze 45, jak 65, twarz martwa, bezimienna, co kompensują oczy - ruchliwe, żywe, świdrujące.

- Ulica Leona Ż. - podjął. - Jechał pan całą noc, żeby obejrzyć maniaka. Po co miałbym panu sprawiać zawód? Pan nie wierzy i pan nie będzie wierzył, dopóki to się nie stanie, że oni nazwą tę ulicę moim nazwiskiem.

Na przyszłej ulicy Leona Ż. asfalt leży tylko na krótkim odcinku zabudowanym nowymi domami. Potem zaczyna się bruk, który w miarę oddalania się od centrum rzadnie coraz bardziej i pewnie gdzieś ze sto metrów za budynkiem, w którym jestem - ulica przeobraża się w zwykłą wiejską drogę. W najśmielszych wyobrażeniach o ludzkiej naturze nie przypuszczałem, że są ludzie, którzy i takie aleje radzi by obdarzyć swoim nazwiskiem.

- Wpierw niech pan przeczyta. Mam rękopis, ale nie dam panu do hotelu. To już ostatnia kopia. Niech pan się nie męczy. Proszę tylko przerzucić parędziesiąt stron dla orientacji. Was uczył w szkole: „Homer napisał arcydzieło”, więc pan bierze Homera i wszystko jedno, co tam znajduje - pan czyta arcydzieło. Panu powiedzieli: „Ż. to grafoman, ale zabawny, bo niepokorny”. Cokolwiek pan w mojej książce przeczyta i wyczyta, będzie pan czytał wycpiny grafomana. Stół stał się stołem nie kiedy go zrobiono, ale kiedy go stołem nazwano. Arcydziełami są te utwory, które nazwano arcydziełami. Wszystkie inne kryteria to bujda.

- Więc pańska książka nie może być arcydziełem, bo nie została nazwana arcydziełem.

- Została, bo ja to bezwstydnie twierdzę. Poza tym to jest po prostu bardzo dobra książka. Niech pan czyta, a później będzie pan mógł porozmawiać z moim adwokatem.

Usiadłem na twardym krześle przy skraju biurka i rozwiązałem teczkę

z maszynopisem.

- Nic, co czytane na siedząco, nie może się podobać - zauważyłem.

Wypełniał maczanym w kałamarzu piórem rubryki jakiegoś formularza i nie odpowiedział.

Pomyślałem z przestachem, że może zaraz zacznę czytać kawałek wielkiej literatury, więc cała moja podróż będzie na marne. Już po kilku stronach uspokoiłem się zupełnie.

Z lektury dowiedziałem się, że nie było tak, iż Leon Ż. usiadł, napisał książkę i wtedy uznał, że stworzył arcydzieło. Tematem książki była demaskacja gatunku ludzkiego, który nadaje wszystkiemu uwznioślające znaczenie, gwoździ ukrycia prawdy o swojej naturze. Autor dokonuje więc wiwisekcji tych zbudowanych znaczeń. Rzecz ma charakter diariusza małżeńskiego. Zaczyna się w dniu ślubu 40-letniego narratora z 25-letnią panią. Narrator z wielkiej miłości do tej pani porzucił dotychczasową żonę i dzieci. Uczynił tak w głębokim przeświadczeniu, że nadeszła wielka miłość, i tak też sądzi jego partnerka i całe otoczenie. W noc poślubną, która jest symbolem spełnienia kilkuletnich starań, dramatów i westchnień, pan młody konstatuje, że wszystkie noce poślubne świata są bujną, skoro następują po weselnej uczcie. Narrator myśli wyłącznie o swoim pełnym żołądku i senności, ale zaraz opamiętuje się: przecie trafił do tej sypialni z wielkiej miłości, taka jest jego rola, więc zaczyna z mozołem grać ją przed samym sobą.

Potem płyną dni zrazu miodowe, później zwyczajne, i każdego dnia bohater, przeżywając zdarzenia codzienne i nudne, samodemaskuje siebie, naturę ludzką i uczucia, które w damsko-męskim wydaniu są tylko starciem dwóch egoizmów. Lekcję tę powtarza dla czytelnika kilkaset razy, aż żona go rzuca, czemu dziwi się autor, ale nie czytelnik. I wtedy na kartach powieści płyną dni samotne, poświęcone powtórnemu przeżywaniu tego małżeństwa. I oto w tych wspomnieniach wszystko jest znowu wysublimowane, wypięknione, zmitologizowane. Romans z wyobraźni jest dopiero wielki i piękny i spełnia się w pisaniu książki. Ale całe otoczenie uważa go za człowieka nieszczęśliwego, któremu kobieta złamała życie. Na 918 stronie maszynopisu żona wraca, czar pryska i wtedy po 11-stronicowym monologu wewnętrznym, przy którym Wielka Improwizacja jest czymś bardzo kameralnym i stonowanym - narrator wiesza się na sznurze od bielizny.

Kiedy skończyłem przeglądanie maszynopisu, miałem uczucie, że co prawda talent nie wyróżnia Leona Ż. spośród ogółu ludzi, to wszakże różni go od innych pełen wdzięku infantylizm. Cechą nastolatków jest dokonywanie odkryć, że oto spalają człowieka wielkie uczucia i jednocześnie człowiek chce siusiu i że to chcenie prawdziwiej określa jego nastrój. Że w ogóle wszystko nie jest takie proste, człowiek jest piętkowo zakłamanym wobec samego siebie, a wiwisekcja treści

znaczeń okropnie je odwzniośla. I cechą nastolatków jest przekonanie, że odkrycia takie są twórcze, poczynione przez tego oto sztubaka lub pensjonarkę po raz pierwszy w historii. Inni o tym nie wiedzą, on, nastolatek, nastolatka, jest inny od innych, bo posiada tajemnicę.

Takie przeświadczenia okresu dojrzewania legły u podłoża ponurej, zawieszistej grafomanii 55-letniego Leona Ż.

Zamknąłem teczkę z maszynopisem zbyt przestraszony, żeby wysilać się na jakąś uprzejmość. Gospodarz o nic nie pytał. Wypisał na kartce adres swojego adwokata i odprowadził mnie do drzwi.

Adwokat uważa, że żadna ludzka słabość nie powinna być przedmiotem publicznego zainteresowania, a tym bardziej pośmiewiska, jeśli jej nosiciel nie wyrządza nikomu szkody. Od trzech już więc lat mecenas J. walczy o skarcenie człowieka, który manię Leona Ż. uczynił sobie przedmiotem wyrefinowanej zabawy. Dla każdego - wywodzi mecenas takim głosem, jakbym już siedział na ławie oskarżonych, obwiniony o obrazę jego klienta, a on wygłaszał mowę oskarżycielską - kto zetknął się z tym maszynopisem, nie ulega wątpliwości, że poczucie Leona Ż., iż jest on literacko utalentowany, stanowi jego złudzenie, którego nikt nie podziela i nie podzieli. Ale posiadanie takiego złudzenia i niekrycie się z nim nie może odzierać z szacunku człowieka skądinąd godnego szacunku.

Adwokat jest rówieśnikiem autora niefortunnej powieści. Kolegował z nim w szkole i na uniwersytecie. Leon Ż. musiał kształcenie przerwać z przyczyn materialnych i zdrowotnych i odtąd jego losy układały się mniej szczęśliwie, niż całego grona jego ówczesnych przyjaciół. Wrócił tedy do rodzinnego miasteczka i przyjął tę posadę, na której pracuje i dziś. Rzadki to w naszym kraju wypadek nie przerwanej nawet przez okupację pracy przez 32 lata w tym samym biurze, na tym samym stanowisku, w tym samym pokoju. Już takie uparte nieawansowanie może spowodować jakieś aberracje.

Leon Ż. nigdy nie założył rodziny i jest człowiekiem zupełnie samotnym. W tej sytuacji życiowej i zawodowej coś trzeba robić i z czymś związać nadzieje, by w siebie wierzyć. Praca literacka była więc niezbędną dawką psychicznej samoobrony, czymś koniecznym z punktu widzenia higieny mentalnej. On, mecenas J., sam utwierdzał przyjaciela w tych poczynaniach, w ogóle nie zastanawiając się, czy rezultaty pisania będą owocne. Uważał to za rzecz drugorzędną.

Leon Ż. pisał swą powieść, z niebywałym mozołem, przez cztery lata. Gdy ją ukończył, nie dał tego nikomu do czytania, a tylko powiedział znajomym, że nie ma żadnych wątpliwości, iż stworzył rzecz wybitną. Wysłał maszynopis do stołecznego wydawnictwa i czeka na odpowiedź. Dostał po kolei cztery odmowne odpowiedzi

z czterech domów wydawniczych. Był bardziej zdumiony niż zmartwiony, pełen politowania dla recenzentów. Wtedy zaczął dawać swoje dzieło do czytania komu popadnie. Ujemne czy jawnie grzecznościowo pochlebne opinie przyjmował z ubawieniem. A kiedy dowiedział się, że miasteczko wyśmiewa się zeń i dowcipkuje - tym bardziej był ucieszony. Nabrał wtedy przekonania, że stworzył arcydzieło bardziej hermetyczne, niż mu się zdawało. W innych czasach ludzie tak silnej wiary w siebie tworzyli nowe religie.

Wkrótce osamotnienie Leona Ż. bardzo się pogłębiło. Dziwne, że wcale nie skutkiem jego niechęci do ludzi, czyniących sobie zeń pośmiewisko i temat obowiązkowych żartów. Nabrał on poczucia takiej wyższości, takiego dystansu wobec otoczenia, że go przez to zniechęcono.

Tyle wiedział adwokat aż do czasu, kiedy Leon Ż. zjawił się u niego już jako klient, opowiadając dalsze losy manuskryptu.

Tadeusz L. był pierwszym człowiekiem, który powiedział: „Świetne” - po przeczytaniu powieści. Należał on przed wojną do kilkuosobowej paczki ziomkowskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, w której obracali się też Leon Ż. i adwokat, ale po ukończeniu studiów osiadł w Warszawie i odtąd tylko corocznie przyjeżdża do domu rodziców i sióstr na letnisko. Współcześnie Tadeusz L. pracuje w handlu zagranicznym.

Leon Ż. natychmiast kupił komplement i przyłgnał do stołecznego kolegi, nie wiedząc, że ten za plecami dworuje z jego dzieła, zbywając śmiechem reprimendy znajomych Leona Ż., którzy uważali, że sądy popierające niewczesne maniactwo zapoznanego geniusza mają charakter krzywdzicielski. Miasteczko niebogate w nadzwyczajne pejzaże ani, oczywiście, rozrywki było miejscem, gdzie stołeczny urzędnik cierpiał doroczną urlopową nudę. Filar handlu sam zaproponował Leonowi Ż., że skoro polskie wydawnictwa go nie doceniają - chętnie wyzyska swe zagraniczne kontakty dla załatwienia edycji od razu u źródła bijącego światową sławą, w Paryżu lub czymś podobnym. Leon Ż. wręczył mu na odjeźdźnym maszynopis i potem zasypywał listami, które pozostawały bez odpowiedzi.

Żart, już i tak posunięty za daleko, wkrótce przekroczył granice humanitaryzmu. Leon Ż. jedzie do Warszawy, gdzie Tadeusz L. mu powiada, że sprawa jest na najlepszej drodze. Wielki paryski dom wydawniczy zlecił już tłumaczenie jego dzieła. On, Tadeusz L., za kilka tygodni wyjedzie służbowo do Paryża, to wtedy zorientuje się w postępie prac i innych z tym związanych kwestiach. Leon Ż. wystawia mu urzędowo poświadczona pełnomocnictwa do pertraktowania w jego imieniu i zawierania umów. Potem wraca do domu i nikomu nie zwierza się ze swego szczęścia. Pewnie chce raptem, z nagłą olśnić miasteczko, pognać szyderców.

Dalej pisze listy, na które nie ma odpowiedzi, ale oto znowu nadchodzi lato i Tadeusz L. zjeżdża do miasteczka z żoną, dziećmi i nową ochotą do zabawy.

Zawarł - powiada - w Paryżu odpowiednie umowy, ale prace tam się ślimaczą. Natomiast książkę przechwyciło wydawnictwo szwedzkie i na tym rynku ukaże się ona lada dzień, jeśli już nie leży na księgarskich ladach.

Wariant szwedzki jest przydatniejszy do zabawy niż paryski. Tadeusz L. zabrał ze sobą na urlop jakieś pisane po szwedzku listy na blankietach sztokholmskiej firmy i raczy żądnego sławy powieściopisarza dowolnymi tłumaczeniami treści: zachwyty lektorów, wielkie nakłady, prośby o życiorys autora, przewidywania sukcesu.

Urlop się kończy. Tadeusz L. zbiera się do odjazdu i odbywa ostatnie spotkanie ze swoim klientem. Powiada, że dostał nowy list ze Szwecji. Książka już się ukazała, ma kolosalne wzięcie, autorowi wypłaci się procent od zysków ze sprzedaży. Paczka egzemplarzy autorskich została wysłana przed trzema tygodniami. Czy pan Leon Ż. ją dostał? Czy jest zadowolony z szaty graficznej? No i na koniec listu wiadomość najważniejsza, ściśle poufna. Autor powieści natychmiast stał się poważnym kandydatem do nagrody Nobla. Wedle ostatnich konfidencjonalnych informacji wydawcy - przyznanie tej nagrody Leonowi Ż. wydaje się prawie pewne. Tadeusz L. podnosi oczy znad jakiegoś listu handlowego, który zabrał z biura, pewien niesprawdzalności w tym miasteczku treści szwedzkiego tekstu, i patrzy, czy nie przeholował. Leon Ż. jest głęboko wzruszony. Ani cienia podejrzenia.

Uspokojony żartowniś kontynuuje udawane czytanie. Na koniec szwedzki wydawca obarcza go delikatną misją. Prosi o wybadanie, czy Leon Ż. jest posiadaczem fraka. Wyjazd do Sztokholmu może nastąpić prawie z dnia na dzień.

Gdyby tutejszy listonosz kupił sobie helikopter, gdyby miejscowy badylarz nabył Wawel na hodowlę pieczarek, gdyby powiatowa rada uniosła się w powietrze, nie wzbudziłoby to w mieście większej sensacji niż wiadomość, że Leon Ż. zamówił sobie u krawca frak. Ten ubiór z pekaowskiej krepy na sutanny powstawał długo i żmudnie, a kiedy przybrał fraczy kształt, wystawiony został w oknie na manekinie. Każdy przechodzień, czyli każdy wiedział, że to frak pana Ż., powiadano, że kosztuje pięć i pół tysiąca. Mówiło się, że pan Ż. sfiksował i że właściwie czas już najwyższy, żeby stanął przed komisją lekarską i dał jej możliwość rozważenia, czy czasem nie przysługuje mu prawo do renty inwalidzkiej.

Więści na temat harców klepek Leona Ż. byłyby znalazły nową pożywkę, gdyby wiadano, że Leon Ż. wystąpił do Narodowego Banku Polskiego z najdziwniejszą propozycją, z jaką ta instytucja mogła mieć do czynienia. Napisał on mianowicie, że wybiera się do Szwecji, gdzie wydano mu książkę, więc prosi o pożyczanie mu sumy 300 dolarów, które zwróci po zainkasowaniu honorarium i chętnie zapłaci przewidziane w takich wypadkach odsetki. Bank nie skorzystał z proponowanego

mu interesu i na szczęście Leona Ż. ten dział jego zabiegów pozostał dla opinii miasteczka nieznany.

Starczyło wszakże samego fraka. Leon Ż. istotnie zapłacił 5,5 tysiąca, odebrał frak i w kilka dni później wezwany został do dyrektora, który usilnie prosił, żeby jego tak długoletni i tak cenny pracownik dał się zbadać lekarzowi, gdyż kierownik wydziału zdrowia twierdzi, iż nie byłoby wykluczone, że komisja lekarska przyzna mu rentę inwalidzką i Leon Ż. bez reszty będzie mógł poświęcić się twórczości. Urażony nasz bohater złożył wymówienie. Była to również ogromna sensacja, zważywszy liczbę lat, jaką przesiedział za swym biurkiem.

Na dwa tygodnie przed końcem wymówienia Leon Ż. pojechał do Warszawy, żeby nasilić starania o wyjazd do Szwecji i upomnieć się u władz pocztowych o paczkę z egzemplarzami autorskimi, która gdzieś zawieruszyła się w drodze. Odwiedził wówczas Tadeusza L., prosząc o pomoc w tych staraniach. Teraz handlowiec zauważył, że przeholował, wystraszył się i powiedział, że przecież żartował, czytał szanownemu koledze imaginowane tłumaczenia listów dotyczących się spraw całkowicie nie literackich.

Leon Ż. bez słowa wyszedł od swego dobroczyńcy i za powrotem do domu wysłał mu, również bez słowa, paczkę zawierającą frak. Następnie niedoszły laureat usiłował wycofać złożone wymówienie. Jego przełożony odmówił, twierdząc, że wymówienie musi pozostać w mocy, i zapytał, czy drogi pan Leon zechce przeprowadzić te badania lekarskie, do których nakłaniają go wszyscy życzliwi mu ludzie.

Pomysł zwrócenia się do sądu zrodził się właściwie pod wpływem konieczności. Chęć dania nauczki dowcipnisiowi było motywem wtórnym. Adwokat doradzał proces, gdyż w ten sposób stanie się głośne, że Leon Ż. nie dostał pomieszczenia zmysłów, lecz tylko wykazał naiwność i dał się nabrać. Poza tym chodziło też o odzyskanie 5,5 tysiąca, kwoty równoważnej prawie dwumiesięcznym zarobkom naszego urzędnika.

Pozew domagał się od Tadeusza L. po prostu zwrotu tej sumy, jako wydanej przez Leona Ż. niepotrzebnie, aż nadto jawnie niepotrzebnie, z winy pozwanego i skutkiem jego złej woli. Pozew wyliczał też moralne i rzeczowe krzywdy, jakich sprawcą stał się dowcipniś. Przez niego urzędnik złożył wymówienie, przez niego nie pozwalają mu go wycofać, bo przez niego podejrzewają, że Leon Ż. postradał zmysły. Pełnomocnik Leona Ż. żądał więc odszkodowania za utraconą pracę.

Adwokat Tadeusza L. domagał się włączenia maszynopisu powieści do materiału dowodowego sprawy. Powiadał, że nie jest rzeczą sądu orzekać, czy jego klient robił mądre, czy głupie dowcipy, ale faktem jest, że nie mógł zakładać ani nawet przewidzieć tak nieprawdopodobnie daleko idącej naiwności Leona Ż. Wiara

w Nobla przekraczała granice prawdopodobieństwa i sąd może to zrozumieć dopiero wtedy, kiedy zapozna się z manuskryptem. Sąd oddalił ten wniosek.

Dalej adwokat pozwanego prawił, że jego klienta nie można winić o to, iż Leon Ż. stracił pracę. Ani on nakłaniał swego kolegę do rzucenia posady, ani mógł się spodziewać takiej jego reakcji. Nigdy też nie głosił, że Leon Ż. jest niepoczytalny. Nie jego to wina, że przełożony Leona Ż. jął powątpiewać w zdrowie psychiczne swego pracownika. Między utratą posady a żartami Tadeusza L. nie ma bezpośredniego związku przyczynowego.

Sam pan L. - handlowiec zagraniczny - energicznie zaprzeczył na procesie, jakoby namawiał Leona Ż. do szycia fraka. Dla wzmożenia dowcipu i uczynienia go bardziej absurdalnym „przeczytał” mu tylko - „tłumacząc” list ze Szwecji - zapytanie, czy kandydat na laureata posiada frak. Nie mógł przewidzieć, że tą jawną drwinę jego znajomy aż tak poważnie potraktuje, że wyda 5,5 tysiąca na szycie sobie dworskiego stroju. Oczywiście sam frak chętnie odda w każdej chwili właścicielowi.

Sąd wydał orzeczenie oddalające pozew Leona Ż., w uzasadnieniu powtarzając tezy strony przeciwnej. Poza tym sąd orzekł, że co prawda w naszych warunkach ubranie frakowe ma wątpliwą wartość użytkową, to wszakże ma ono określoną wartość materialną i sąd nie może przyjąć, że owe 5,5 tysiąca zostało za sprawą Tadeusza L. wyrzucone, skoro w zamian Leon Ż. uzyskał zamówiony przedmiot, będący ekwiwalentem wydanych pieniędzy. Sąd odróżnia wydatek niepotrzebny od utracenia pieniędzy.

Leon Ż. i w sądzie poniósł klęskę.

Leon Ż. napisał odwołanie od decyzji o przyjęciu jego wymówienia z pracy. Powołał się na swoją ponad 30-letnią nienaganną pracę w tej instytucji i twierdził, że jest formalizmem upieranie się przy prawomocności jego prośby o zwolnienie, skoro napisana ona została pod wpływem błędnej oceny własnej sytuacji życiowej. Przegrany proces pomógł Leonowi Ż. w odzyskaniu pracy, wykazał bowiem, że zgrzeszył on co prawda wyjątkową naiwnością, ale to, co brano za objawy obłąkania, nie było nie spowodowane.

Adwokat napisał również wniosek rewizyjny od orzeczenia sądu pierwszej instancji, ograniczający się już teraz wyłącznie do sprawy fraka. Druga rozprawa przyniosła połowiczny sukces. Sąd uznał, że nabycie przedmiotu nieużytecznego jest formą utraty pieniędzy i dopatrył się tu winy Tadeusza L., zasądzając odeń na rzecz Leona Ż. kwotę dwóch tysięcy złotych, jako różnicę między tym, co nasz bohater zapłacił za materiał i szycie, a sumą, jaką ewentualnie może uzyskać sprzedając ów strój wieczorowy. Już uprzednio Tadeusz L. odesłał antagoniście ów symbol zbyt śmiałych marzeń z księżej krepy. Egzystencja Leona Ż. wróciła do

ustabilizowanej przez trzydziestolecie normy.

Powtórnie odwiedziłem Leona Ż. w jego biurze.

- Pisał pan - zgłosiłem pretensję - w liście do mnie, że zdradzenie się przez pana wobec otoczenia z nadzieją na sukces literacki pozbawiło pana pracy. Ale zaniedbał pan zawiadomić mnie, że już powrócił pan do pracy. Czego pan oczekuje ode mnie? Czym mogę służyć?

- Wiadomo - odparł - że stado zadziobuje ptaka o innym upierzeniu. Ja mam takie pióra jak wszyscy. Ale starczy, jeśli spod tej powłoki zwykłego urzędnika, żyjącego jak inni zwykli urzędnicy, nagle wyzierać zacznie jakiś mały rąbek odmienności - a już dziobią. Czy to nie jest dla pana interesujące? Gdyby naprawdę mi się powiodło, miasto chyba zachorowałoby i umarło ze złości. Ale na razie nic nie zagraża jego zdrowiu. Może pan chce obejrzeć plany.

Wyjął plik zszytych kartonów, zawierających perspektywiczny plan rozwoju miasteczka, otworzył na karcie prezentującej główną ulicę i zaczął rzeczowo objaśniać. Przed rokiem 1970 ulica będzie wyasfaltowana od końca do końca, a lampy jarzeniowe staną na całej długości. Obecne centrum straci na znaczeniu, bo większe i okazalsze budynki staną tam, gdzie dziś są parterowe domki z ogródkami. Projektowana jest kawiarnia, dwa budynki administracyjne i kino. Czterokilometrowa ulica zyska wahadłową linię autobusową.

- Ho ho - rzekłem nie umiając ukryć kpiny - ta pańska ulica to będą istne Pola Elizejskie.

- Co do mnie - zakończył rozmowę - to pracuję nad nową powieścią. Nie chciałbym być znany jako autor jednej książki.

Warkocz

Dwunastoletnia córka adwokata Mirosława P. we wtorki i piątki o czwartej chadzała na prywatne lekcje angielskiego, które kończyły się po godzinie. Jeśli jednak dziewczynka - Barbara P. - wcześniej odrobiła lekcje, nie musiała wracać - godzinę policyjną miała w domu ustanowioną na wpół do dziewiątej. Tego dnia, który miał się stać pamiętny, nie wróciła ani na dziewiątą, ani na dziesiątą, ku irytacji nie zaniepokojonych zresztą rodziców. Dziecko było latawiec. Około jedenastej państwo P. zamknęli telewizor i natychmiast usłyszeli brzęk szkła. Mecenasa wyszedł przed dom, a jest to jednorodzinny bliźniak w ogródku. Ktoś wyrzucił kamieniem w okienko nad drzwiami oświetlające się. Mirosław P. narobił krzyku, jął penetrować okolicę, nikogo nie znalazł, a kiedy wrócił, zauważył list dyndający na sznurku u klamki. Wewnątrz była kartka zapisana drukowanymi literami, nakreślonymi przy użyciu szablonu do nauki pisma technicznego. Adwokatostwo dowiedzieli się, że ich córka została porwana i będzie zabita, jeśli nazajutrz do piętnastej nie złożą okupu, który wynieść ma pięć tysięcy złotych. Barbara będzie także zabita, jeśli zawiadomią milicję, albo kogokolwiek, lub gdy na własną rękę będą jej szukać. Okup ma być złożony w następujący sposób: w pokoju Barbary leży książka *Przygody dobrego wojaka Szwejka* pożyczona z biblioteki i obłożona w papier. Należy pieniądze włożyć pod tę papierową okładkę i powtórnie ją zakleić, po czym oddać książkę do biblioteki. I to wszystko. Uprzedza się, że córka wróci do domu dopiero po trzech dniach, ale jeśli okup będzie złożony i tajemnica utrzymana, nic jej się złego nie stanie. Jeśli rodzice nie złożą pieniędzy, już nigdy jej nie zobaczą. Na dowód prawdziwości tej groźby państwo P. mają po przeczytaniu listu zajrzeć pod słomiankę leżącą przed drzwiami wejściowymi.

Janina i Mirosław P. podnieśli słomiankę i znaleźli tam obcięty warkocz swego dziecka, zawinięty w papier z wyrysowaną trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami.

Państwo P. całą noc dyskutowali, jak postąpić. Kwota, jakiej od nich żądano, wskazywała, że mają do czynienia z przestępcą-amatorem, najpewniej jakimś szczeniakiem. Ale i taki potrafi zrobić coś strasznego. Nie ulegało dla nich wątpliwości, że należy włożyć 5 tysięcy pod okładkę *Szwejka* i zanieść do biblioteki. Tylko zawiadomić milicję czy nie? Jeśli się zawiadomi, istnieje obawa, że milicja zacznie przedwcześnie działać, i wystawią dziecko na niebezpieczeństwo. Ale niezawiadamianie to też wielkie ryzyko. Dwunastoletnia Barbara nie jest niemowlęciem, kidnaper może przypuszczać, że po uwolnieniu będzie mogła milicji podać dosyć szczegółów, aby przestępca został schwytany. A jeśli weźmie forsy i zabije dziecko?

Adwokat zaniósł nazajutrz rano książkę z pięciotysięcznym nadzieniem do biblioteki, nie zawiadamiając MO. Do banknotów dołączył wszakże kartkę: dotrzymał warunków, ale córka ma być uwolniona w ciągu dziesięciu godzin, to znaczy do godziny dwudziestej, inaczej zawiadomi władze.

Państwo P. odczekali do dziesiątej wieczorem, a ponieważ ich córka nie wróciła - zawiadomili milicję. Ta przede wszystkim z samego rana kazała kierownicze biblioteki sprawdzić, czy tom jest na półce, i nim zjawił się pierwszy klient, ustaliła, iż pieniądze są pod okładką. Należało teraz czekać na tego kogoś, kto książkę wypożyczy. Milicja mogła także uspokoić rodziców co do tego, że ich córce przypuszczalnie nie grozi realne niebezpieczeństwo. Biblioteka, z której ich Barbara wypożyczyła *Szwejka*, była placówką dla dzieci i młodzieży. Ten fakt, wysokość kwoty okupu, jak i to, że porywacze planując akcję musieli wiedzieć, iż Barbara P. zapisana jest w tej właśnie wypożyczalni - wszystko to wskazywało, że kidnaping jest najprawdopodobniej dziełem młodzieży w wieku szkolnym, a nie jakichś zdecydowanych na wszystko rzezimieszków.

Zakonspirowany w pokoju obok biblioteki wywiadowca tego samego jeszcze dnia, kiedy zaczęła się obserwacja wypożyczalni, otrzymał sygnał, że 11-letnia dziewczynka chce wypożyczyć *Szwejka*. Kazał wydać książkę. Bibliotekarka namacała, że pieniądze dalej leżą pod okładką, zresztą inaczej być nie mogło, gdyż regał był pod nieustanną obserwacją. Dziewczynka wyszła ze *Szwejkim*. Jej nazwisko i adres podano milicji. Obserwacja biblioteki nie została zlikwidowana, gdyż mogło być przecież tak, że dziewczynka jest Bogu ducha winną czytelniczką, a kidnaper lub jego emisariusz zjawi się później.

Czytelniczka *Szwejka* miała dwoje starszego rodzeństwa. Brat wrócił ze szkoły z dwoma kolegami, potem do mieszkania tego weszła jeszcze jedna dziewczyna. Jeśli - myślał kierownik grupy milicyjnej, która zajęła się sprawą - troje gości opuści to mieszkanie, trzeba będzie natychmiast wziąć pod obserwację trzy następne mieszkania. Zdecydował się więc sprawdzić, czy pieniądze są w tym momencie nadal pod okładką *Szwejka*. Cywilny funkcjonariusz wszedł do mieszkania i dyskretnie poprosił panią domu o pokazanie mu na chwilę książki. Pod okładką, zamiast pięciu banknotów, leżało pięć kawałków białego papieru odpowiedniego formatu.

Natychmiast przeprowadzono rozmowę z sześciorgiem dzieci obecnych w tym mieszkaniu i rodzicami dziewczynki, która wypożyczyła książkę. Wszyscy twierdzili, że nic nie wiedzą. Jedenastoletnia panienka zapewniała, że o *Szwejka* już dawno dopytywała się w bibliotece. Prokurator zdecydował się na wystawienie nakazu rewizji. Banknotów nie znaleziono.

Jeśli - rozumowała milicja - książkę zawierającą pieniądze owa mała czytelniczka

przyniosła do domu i tam ona lub ktoś inny wyjął banknoty - to po co by wsadzano pod okładkę kartki papieru?

Milicja zapytała bibliotekarkę, w jaki sposób sprawdziła, wydając książkę, czy pod okładką są jeszcze pieniądze. Okazało się, że pomacała tylko przez papier. Wobec tego gotówka mogła zniknąć jeszcze w bibliotece. A jeśli tak, podejrzana stawiała się bibliotekarka, zresztą dziewczyna 21-letnia, więc pasująca do hipotezy, że to z kręgów młodzieży wyszedł pomysł porwania adwokatówny. Funkcjonariusz milicji kazał jej przed wydaniem książki sprawdzić, czy są w niej jeszcze pieniądze, nie określając, jak ma to uczynić. Oczywiście powinna była zajrzeć pod okładkę. Jeśli tak nie uczyniła, a tylko przeciągnęła dłonią po wierzchu książki, stała się podejrzana. Bo przecież kidnaper lub jego przedstawiciel dlatego włożył papierki w miejsce banknotów, iż spodziewał się, że milicja może być już zawiadomiona i przy wypożyczaniu książki tą właśnie techniką dotykową sprawdzi się, czy pieniądze dalej leżą pod okładką. Nie mógł mieć jednak pewności, że sprawdzanie odbędzie się tą właśnie metodą. To wiedziała wyłącznie bibliotekarka. Dalej: ona wiedziała, że Barbara P. ma w domu 5. Bibliotekarkę zatrzymano. Nie przyznała się do niczego.

Spiesznie robiony o niej wywiad nie przyniósł żadnych rewelacji. Panienska skromna, matura, kurs bibliotekarski, potem praca w tej wypożyczalni. Żadnych podejrzanych kontaktów ani plam w życiorysie. Jeszcze najbardziej ze wszystkiego milicję zainteresował jej narzeczony, a raczej były narzeczony. Facet miał w wojsku sprawę sądową o bójkę, więc zawsze jakaś karalność. Nadto pracuje w wytwórni materiałów budowlanych ulokowanej pod miastem w starym forcie. Gdyby trzeba było ukrywać człowieka, trudno o idealniejsze miejsce, tyle tam piwnic i zakamarków. Tylko czy 26-letni gość, nie półgłówek, technik, ryzykowałby taką historię dla 5 tysięcy złotych? Milicja uznała, że przypuszczalnie owe 5 tysięcy to tylko początek, i kidnaper - jeśli jest nim były narzeczony bibliotekarki - zażąda więcej, gdy przekona się, że mecenas P. wykazuje gotowość do współpracy. Zaczęto przetrząsać stary fort. Zajęta tym ekipa milicyjna odebrała nagle wiadomość przez radiotelefon, żeby prace przerwać. Porwana Barbara P. już jest w domu.

Dziewczynka zeznała, że kiedy wyszła z lekcji angielskiego, podszedł do niej na ulicy jakiś nieznany mężczyzna i zapytał, jak iść na tę akurat ulicę, przy której Barbara P. mieszkała. Powiedziała, że również tam idzie, to pokaże drogę. Mężczyzna, okazało się, miał samochód. Wsiadła przez wskazane jej tylne drzwi. Siedział tam jeszcze jeden mężczyzna, który natychmiast ją obezwładnił, zawiązał oczy, zakneblował i rzucił na podłogę. Jechali jakiś czas, a potem zamknięto ją w piwnicy bez okna i jakiegokolwiek oświetlenia. Jedzenie dostawała przez drzwi. Dowiedziała się, że od ojca żądać będą okupu. Jak zapłaci - ona wróci do domu. Nie

zapłaci - zabija ją Przed zamknięciem oprawcy obcięli jej warkocz. Wróciła do domu w ten sam sposób: knebel, przepaska na oczy auto. Wysadzili ją na ulicy.

We wszystko to razem milicja oczywiście nie uwierzyła. Po pierwsze - dziewczynka pamiętała zadziwiająco mało szczegółów. Po drugie - kidnaper nie mówiłby jej, że mają ją zamiar ewentualnie zabić, bo zależałoby mu na tym, aby zachowywała się spokojnie. Po trzecie: dwóch mężczyzn, auto, przygotowana kryjówka - wszystko dla pięciu tysięcy złotych? Barbarę P. zagadnięto, czy owi kidnaperzy pytali ją o to, jakie czyta książki? Czy w ogóle była mowa o książkach? Dziewczynka zmieszła się i dopiero po chwili powiedziała, że tak, pytali ją, jaką książkę pożyczyła ostatnio z biblioteki. Ta część przepytывania wyglądała mniej więcej tak: „A o co jeszcze pytali w związku z tą książką?” „O nic. Pytali, jaką książkę pożyczyłam i czy mam ją w domu.” „O nic więcej?” „Nie.” „Na pewno?” „Na pewno.” „A nie pytali, czy książka jest obłożona w papier?” „A tak. Pytali.” Po pewnym czasie Barbarze P. powiedziano, że milicjanci, a także obecny przy przesłuchaniu ojciec, już wiedzą, że ona kłamie, i ma natychmiast powiedzieć prawdę.

Całe godziny trwało, nim przełamano jej opór. Potem opowiedziała, jak to było w rzeczywistości. Do tej samej co Barbara P. klasy chodziła piętnastoletnia dziewczyna Ewa U., która repetowała dwie klasy i uchodzi za umysłowo ociężałą. Barbara P. przyjaźniła się z nią, ale bardzo to konspirowała, gdyż w jej klasie kontakty z tą pokaźnie starszą, nad wiek rozwiniętą fizycznie, ale o wiele gorzej rozwiniętą umysłowo koleżanką uchodziły za coś niestosownego i ośmieszającego. Barbarze P. nie wolno było także Ewy U. zapraszać do domu, i przez to wszystko tajna przyjaciółka nabrała dla dwunastoletniej mecenasówny wielkiego uroku, jak to zwykle owoc zakazany.

Ewa U. miała swój azyl - komórkę na strychu podmiejskiego domu, gdzie stała kanapa i trochę innych powyrzucanych z mieszkania gratów. Tam dziewczyny się spotykały i tam Ewa U. owego wieczoru po lekcji angielskiego zaczęła przyjaciółkę namawiać, aby nie wracała do domu na noc. Panna P. twierdziła, że musi, bo rodzice oszaleją. „Powiesz, że cię porwali” - oświadczyła Ewa U. i obie zapaliły się do tej myśli. Żeby jednak było porwanie, trzeba wziąć okup. Uznały, że forsa im się przyda, bo ich kryjówka ma fatalny mankament: brak w niej muzyki. Obliczyły, że za 5 tysięcy kupią radio, adapter i płyty.

Zawsze i wszędzie na całym świecie, kiedy dochodzi do porwania dziecka, głównym problemem dla kidnaperów jest podjęcie pieniędzy. Staje się ono niemożliwe, jeśli policja jest powiadomiona. I otóż ta sztuka udała się umysłowo ociężałej piętnastoletniej dziewczynie. W przyległym do biblioteki pokoju mieściła się czytelnia. Ewa U. usiadła tam z jakimś czasopismem, zdjęła buty, przemknęła się niepostrzeżenie do sali bibliotecznej i regał, gdzie stał Szwejk, zaszła od tyłu. Mimo że bibliotekarka pilnie obserwowała salę i mimo że za kontuar, tam gdzie

stoją książki, nikt nie ma wstępu - sztuka ta udała się Ewie U., dlatego że akurat Szwejk ustawiony był na półce ulokowanej przy ścianie, ale odsuniętej od niej na jakieś dwadzieścia centymetrów, konkretnie na szerokość kaloryfera. Tam między ścianę a półkę z książkami Ewie U. udało się wcisnąć. Wszystko to, łącznie z włożeniem papierków w miejsce pieniędzy, zaplanowała Barbara P. w ciągu niespełna godziny, znajdując w swojej przyjaciółce bezbłędnego wykonawcę.

W czasie procesu przed sądem dla nieletnich, rozpatrującym sprawę Ewy U., zapytano Barbarę P., dlaczego to wszystko zrobiła, skoro mogła przewidzieć, że rodzice zamartwią się z niepokoju. Dziewczynka odpowiedziała, że główną dla niej atrakcją była możliwość zrzucenia na imaginowanych kidnaperów winy za obcięcie warkocza. Matka w żaden sposób nie chciała jej na to pozwolić.

Święty

Czy święci piją bimber? Oto problem, przed którym stanął zsiadłszy z roweru funkcjonariusz gminnego posterunku MO. Że płyn o barwie brudnej wody, z jakąś zawiesiną, jest bimbrem, nie było wątpliwości, gdyż pijący mężczyzna krztusił się, cieszył i śpiewał. Pozostawało do rozstrzygnięcia, czy mężczyzna naprawdę jest świętym i, co ważniejsze, kto ten bimber pędzi.

O tym, że w budzie dla myśliwych-kaczkobójców, pośród bagien, nad zarośniętym szuwarami jeziorem, zamieszkał święty, władze dowiedziały się późno, a przejęły tym nie bardzo. Ludność wsi Janie, liczącej kilkanaście chałup i leżącej o trzy kilometry od uroczyska, zaopatrywała pustelnika w żywność i zachowywała tajemnicę. Święty mówił pątnikom, że pragnie odgrodzić się od świata, za jedzenie i bimber płacił wedle cen rynkowych (tylko z początku odmawiano przyjęcia odeń pieniędzy) i wzbudzał lęk, bo miał oczy gorejące. Przychodziły doń dzieci popatrzeć; baby pomodlić się, mężczyźni pogadać. Święty na pewno nie wadził nikomu, a wieś Janie miała teraz coś - atrakcję, zjawisko nadprzyrodzone w zasięgu spaceru, i wspólną tajemnicę.

Kościół parafialny oddalony jest o 6 km od wsi Janie. Minęły aż dwa miesiące, nim proboszcz dowiedział się o świętym. Ludność mówiła o nim „biskup”, bo do modłów, które odprawiał bez gustu i w milczeniu, stojąc na ganeczku tej swojej budy na palach - wykładał czapkę, która przypominała infułę. Ksiądz wypominał w kazaniu, że ludziom we wsi Janie na mszę niedzielną do kościoła jest za daleko, ale biegać do fałszywego biskupa - dziwnie jakoś blisko. Więcej nic nie powiedział, bo w tych regionach Białostoczczyzny świątobliwe dziady, ludzie nawiedzeni itp. trafiają się jeszcze dosyć często. Słowa plebana usłyszano widać na posterunku MO, ale jeszcze tydzień minął, nim funkcjonariusz wziął rower i pojechał obejrzeć „biskupa”. Zobaczył butelkę bimbru - nic znowu nadprzyrodzonego - i zaciekał się, kto ten bimber pędzi. Ale święty tylko tyle wiedział, że dzieci mu przynoszą tę krzakówkę po 40 zł butelka. Drogo.

Do sezonu polowań na kaczki było jeszcze daleko i święty mógłby, nikomu nie przeszkadzając, dalej mieszkać w swoim domku, aż do czasu kiedy zaczną przyjeżdżać myśliwi z powiatu. Ale on nie. Na posterunek MO wybrał się, zwijając uprzednio i zabierając cały dobytek: radio tranzystorowe, prymus turystyczny, koc, garnki i łachy.

Święty miał dowód osobisty jak należy. Zawód - pracownik umysłowy, miejsce zamieszkania - Wrocław, stan cywilny - żonaty. Była nawet pieczętka z miejsca pracy. Milicji chodziło więc tylko o bimber. Tymczasem on sam się rozgadał.

Do pięćdziesiątego drugiego roku życia nie miał zainteresowań religijnych. Jako kierownik pralni chemicznej poznał klientkę, Polkę z Anglii, która czekając na wywabienie plamy z płaszcza mówiła, że modlić się trzeba do Natury i wierzyć w reinkarnację, i że takich jak ona jest już wielu. Zaciekawili go te sprawy, sam dał się nawrócić i obiecał nawracać innych.

Ma młodą żonę, o 24 lata młodszą od niego. Powiedział żonie: weźmiemy na mieszkanie Polkę z Anglii, Marię D. Pobędzie tu miesiąc, wprowadzi mnie w swoją wiarę. Założę w Polsce ich kościół. Obiecała, że przyślą na to pieniądze.

„Biskup” nazywa się Marian C. Jego żona nie ma zainteresowań religijnych, ale pieniądze i owszem. Zgodziła się więc przyjąć gościa, nawet gdy ją objaśnił, że Maria D. pragnie u niego zamieszkać jako „duchowa małżonka”, więc ją, żonę swoją Lucynę, przedstawi jej jako córkę.

Mieszkali we trójkę i żona przez trzy tygodnie mówiła do niego „tatusiu”, póki nie nakryła ich: Marii D. i własnego męża, leżących bez ubrania na kozetce wczesnym popołudniem. Powiedziała, że to małżeństwo jest jednak za mało duchowe, jak na jej gust i jak na wiek Marii D., i kazała mężowi zabierać się z domu, i to zaraz.

Pani D. wróciła do Anglii, a on rzucił pracę, bo nie miał gdzie mieszkać, i wyjechał do brata pod Warszawę. Rozglądał się za jakąś posiadłość, ale wkrótce przestał. Z Anglii na jego imię poczęły napływać pieniądze i egzemplarze czasopisma w języku angielskim, o treści religijnej.

Po kilku miesiącach duchowa jego małżonka napisała, że powtórnie przyjeżdża do Polski. Wówczas wziął torbę podróżną, włożył do niej prymus, sweter oraz dwie zmiany bielizny i czapkę, którą mu kiedyś przysłała, wziął do ręki tranzystor marki „Ryga” i wyjechał w Białostockie. Jacyś turyści wskazali mu opuszczony myśliwski domek. Kto pędzi bimber, tego nie wie. Chciałby powrócić do swojej żony cielesnej i do pracy, między ludzi, bo w tym sezonie letnim miał już akurat tyle, ile trzeba, mistycznego kontaktu z Naturą.

Pozwolono mu z posterunku połączyć się z żoną Lucyną, pracującą na poczcie we Wrocławiu. Bo jeśli można spokojnie pozbyć się świętego z milicyjnego rejonu - to dlaczego nie? Żona Lucyna D. poczęła krzyczeć przez telefon, żeby, owszem, wracał, a jakże. Dopytuje się o niego milicja, więc już znajdzie na miejscu odpowiednie mieszkanie i opiekę. Wołała zaś tak głośno, że słyhać było w całym pomieszczeniu posterunku MO, i to zmieniło postać rzeczy.

Milicja, okazało się, poszukuje „biskupa” jako oszusta, który wyłudzał pieniądze. Odnośne zeznanie złożyła jego duchowa małżonka Maria D. zaraz po swym powtórным przyjeździe do Polski. Oświadczyła ona, że w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy skarbnik jej gminy religijnej wpłacił na imię brata Mariana C. z Polski

385 funtów brytyjskich, na rozwój gminy wyznawców Natury w Polsce. Przyjechała do PRL, aby odwiedzić swego duchowego małżonka brata Mariana, pokrzepić go duchowo, poprowadzić zbiorowe modły, odwiedzić założone już w Łodzi, Szczecinie, Radomiu i Ełku gminy wyznawców. Tymczasem Marian C. zniknął bez śladu. Miała przy sobie jego listy. Zawierały one spisy nazwisk i adresów wyznawców, prośby o rozstrzygnięcie różnych dylematów religijnych, sprawozdania z odbytych modłów zbiorowych oraz opisy dramatycznych wydarzeń, do których doszło w mieście Łodzi, gdzie niestrudzony Marian C. zwerbował ponad stu wyznawców. Następnie odszczepili się oni - pisał - od gminy wyznaniowej i przestali w nim widzieć duchowego przywódcę. On wszakże spowodował rozłam wśród odszczepieńców i część z nich z powrotem przyciągnął ku sobie, dalsze zaś postępy tych prac wymagają nakładów pieniężnych na wzmożoną działalność misyjną.

Po przyjeździe do Polski Maria D., nie zastawszy swojego duchowego małżonka, postanowiła odwiedzić innych wyznawców. Gdziekolwiek jednak poszła, okazywało się, że albo wskazane jej w listach adresy w ogóle nie istnieją, albo nie mieszkają tam ludzie o nazwiskach, które Marian C. podawał, lecz zupełnie inni, całkiem nie oświeceni przez Prawdę.

Wyjechała do Łodzi. Tu także doznała niepowodzeń: nie udało jej się natrafić na ani jednego wyznawcę, i doszła do wniosku, że jej duchowy małżonek jest zwyczajnym oszustem, handlarzem martwymi duszami. Zeznania swe wsparła dowodem rzeczowym w postaci pakietu listów Mariana C.

Zatrzymany przez milicję doniedawny pustelnik powiedział, że jego przejęcie się tym, że Natura jest Absolutem, a życie to przemiana wcieleń bytów duchowych, było całkiem szczerze, czego dowodem, iż udał się do pustelni dla uprawiania kontemplacji. Natomiast mimo wysiłków nie udało mu się zdobyć wyznawców. Przez większą część swego życia zajmował się pralnictwem i może przez to nie ma uzdolnień misjonarskich ani siły wewnętrznej potrzebnej do oddziaływania na bliźnich. Przez Marię D. stracił wszakże żonę, dom i pracę, słuszne mu się więc wydawało, żeby przysyłała mu pieniądze na życie, skoro już zostali małżeństwem duchowym, acz spełnionym zgodnie z prawami Natury. Zna niejednego wypadek, kiedy to kochanka kochankowi, czy przeciwnie - kochanek, kochance - przysyła pieniądze, i milicja się w to nie wtrąca. Owszem, koloryzował w listach, pisząc o nie istniejących ludziach i nawróceniach, ale tylko po to, żeby swojej duchowej małżonce sprawić przyjemność. Bynajmniej celem tego nie było pobudzenie hojności jego brytyjskich braci-współwyznawców.

Ponieważ z listów, będących dowodem w sprawie, wynikało istnienie wyraźnego związku między produkcją martwych dusz a przesyłkami pieniężnymi, przeto adwokat Mariana C. eksponował na procesie jego zasługi w rozwoju pralnictwa

chemicznego.

We wsi Janie wspomnienia po świętym, który osiadł na bagnach nie mogą być korzystne, gdyż zaraz po jego odejściu odkryto tam i rozbito bimbrownię. Tak to rzeczy nadprzyrodzone potrafią zmącić doczesne rustykalne szczęście.

Wójcik

Telefon odebrała w MO sekretarka.

- Pani zawiadomi komendanta, że Wójcik się utopił.

- Kiedy? Gdzie?

- Koło starego promu.

I już połączenie było przerwane.

Gdy przyjechała milicja i strażacy, we wskazanym miejscu stali już gapie. Rzeka była wezbrana, woda w niej rwała mętna, wiry, że strach patrzeć. Na brzegu leżało ubranie, płaszcz, buty, koszula, krawat, kalesony. W kieszeni znaleziono portfel z pieniędzmi i dowodem osobistym. Wójcik sam wlaź widać do wody. O tej porze roku? Wariat? Samobójca?

Ciała szukano długo i bez przekonania. Wójcik umarł, ale jego dzieło jeszcze żyło, i to było w tej chwili najważniejsze.

Gdzieś pół roku przedtem, wczesną jesienią, przewodniczący PRN w godzinach przyjęć zastał w swojej poczekalni wśród interesantów niepozornego jegomościa, z wyglądu urzędnika. Facet ścisnął pod pachą teczkę. Przewodniczący przyjął przed nim ze dwadzieścia osób. Prawie wszystkie były w sprawie mieszkań. Ten z teczką przedstawił się „Wójcik jestem, bardzo mi przyjemnie” i też był w sprawie mieszkaniowej. Tyle że on nie chciał brać, ale dawać mieszkania.

Wójcik powiedział, że reprezentuje spółdzielnię pracy. Pierwszą w kraju spółdzielnię wytwarzającą domki jednorodzinne. Opracowali prototyp. Zatwierdzili prototyp. Dostali krótkoterminowe kredyty na założenie poligonowej produkcji elementów. Już na dniach można rozkręcać montaż serii próbnej. Na początek trzydzieści sztuk. Spółdzielnia „Domek” szuka teraz terenu, żeby wystawić eksperymentalne osiedle domków jednorodzinnych. Potrzebna jest zgoda władz, lokalizacja, badanie geologiczne terenu i zbrojenia: woda, światło. To wszystko.

Przewodniczący odparł, że oni są bardzo zainteresowani. Wójcik zachowywał się w rozmowie tak, jakby myślał o czymś innym. Mówił obojętnie, flegmatycznie. Niemrawo zaczął teraz wyciągać z teczki papiery. Więc pismo ze spółdzielni, że jest desygnowany na kierownika prototypowej i eksperymentalnej budowy i ma pełnomocnictwo do zawierania umów z władzami terenowymi. Potem zszywka fotografii: domek spółdzielni „Domek”. Metrów kwadratowych 115. Pokojów cztery. Wariant podstawowy i luksusowy z garażem. W środku domku cuda: kuchnia z okapem połączona z jadalnią, ściana rozsuwana do livingroomu; dwa poziomy podłogi, okna do ziemi. Sypialnie bliźniacze. Co to takiego jest? Żona ma sypialnię

i mąż ma sypialnię. Ścianę się rozsuwa - leżą w jednym łóżku. Ścianę się zasuwa - każde jest w swoim pokoju. Wedle humoru.

Bitą godzinę przewodniczący oglądał fotografie, pytał o szczegóły. Deszczówka tak ścieka z dachu, że samoczynnie nawadnia ogródek, ówdzie piwniczka ogromnie sprytna. Produkty żywnościowe trzyma się w tym domku pod ziemią, ale nie trzeba schodzić do piwnicy. Korba, kołowrót i cała piwnica, w postaci szafy z drewna, wjeżdża do kuchni. Gospodyni wyjmuje, co chce i spuszcza spiżarnię z powrotem pod ziemię.

Teraz kalkulacja. Na tym właśnie polega rewelacyjność projektu. Standard podstawowy - 143 tys. złotych, luksusowy 168. Wszystko pod klucz, razem z ogrodzeniem.

Przewodniczący, bardzo już zapalony, powiedział, że pojutrze postawi sprawę na prezydium, ale z góry mówi, że nie widzi przeszkód. Wójcik na to, że chciałby wszystko urządzić tak: Domki niech przydziela prezydium, on nie chce mieć z tym nic wspólnego. Dopóki budowa nie ruszy, płacić musi mu rada narodowa. Spółdzielnia nie ma funduszy, żeby dawać pensję kierownikowi budowy, póki nie wejdzie się z elementami na teren. Potem on, Wójcik, zmieści się w kosztach budowy, przejdzie na etat spółdzielni i pokieruje budową już na placu. Na razie byłby koordynatorem między prezydium i spółdzielnią.

Już w dwa dni później decyzja była podjęta, fundusze na zbrojenie uchwalone, teren wyznaczony. Wójcik wszedł na etat inspektora w wydziale rolnym, bo taki akurat był wolny. Nie spierał się o wysokość uposażenia. Miał tylko jeden warunek: osobny pokój i sekretarka. Akurat ten warunek był najtrudniejszy do spełnienia. Zrobiło się jednak. Sekretarz prezydium poszedł czasowo do gabinetu kierownika wydziału prawno-organizacyjnego, kierownika wkwaterowano do pokoju zastępcy kierownika, a Wójcik zajął gabinet sekretarza, na którym zmieniono szyld: „Pełnomocnik d/s budowy domków jednorodzinnych”. Sekretarz prezydium zgodził się na czasowe wykwaterowanie, bo obiecano mu jeden z domków.

Wójcik urzędował przez pięć miesięcy. Przychodził do pracy punktualnie, jak wszyscy urzędnicy. Równie punktualnie wychodził. Przyjmował interesantów. Byli to reflektanci na domek. Lojalnie mówił, że rozdział pierwszych trzydziestu jest w gestii prezydium. Przyjmował zapisy na ewentualne dalsze domki, gdyby doszło do drugiego rzutu budowy. Każdemu gościowi pokazywał plany i fotografie, objaśniał szczegóły. Raz na kilka dni prosił o samochód i jechał wizytować teren budowy. Prowadzono tam badania geologiczne, później wymierzano działki. Wójcik brał także udział w konferencjach. Konferencje poświęcone były takim sprawom: pierwsza - to co zrobić, żeby ruszyły prace przy zbrojeniu terenu. Druga - to komu jaką dać działkę. Domki zostały bowiem od razu rozdzielone wśród

obywateli szczególnie zasłużonych dla miasta i powiatu, o lokalizację każdej działki mocno się spierano. Na prezydium podkreślano wszakże, że ludność na tym również skorzysta, i to podwójnie. Raz, że przecież rodziny, które przeniosą się do domków, zwolnią dla ludzi swoje mieszkania; sporządzono już listę osób, które je mają otrzymać. Dwa, że budowa jest przecież eksperymentalna. Obywatele szczególnie zasłużeni godzą się, żeby eksperyment przebiegał ich kosztem, po czym otworzy się możliwość masowego budowania domków dla ludności.

6 kwietnia odbyła się u przewodniczącego konferencja z udziałem ob. Wójcika. Zostało na niej ogłoszone, że prace przy zbrojeniu terenu już ruszyły i będą zakończone 15 czerwca. 5 maja spółdzielnia „Domek” powinna zacząć zwozić elementy do montażu i przystąpić do wykonywania wykopów i fundamentów. Dla skoordynowania tych prac ze zbrojeniem terenu sporządzono specjalny grafik. Jeszcze w kwietniu dokona się aktu nadania działek budowlanych.

Dnia 2 maja obywatel Wójcik, tytułowany „prezesem”, wizytował prace zbrojeniowe, które przebiegały pomyślnie. Przeszedł wydłuż rowów, które kopano, i pozdrawiał robotników. Potem zaś poszedł i utopił się.

Pierwsze, co zrobiono, to postanowiono skomunikować się bezpośrednio z zarządem spółdzielni „Domek” w Bydgoszczy i prosić o przysłanie drugiego, równie rzetelnego kierownika budowy. Wtedy okazało się, że żadna spółdzielnia „Domek” nie istnieje.

Drugie, co zrobiono, to wdrożono dochodzenie, aby przekonać się, ile ten aferzysta Wójcik nakradł. Nie potwierdziło się domniemanie, jakoby brał łapówki za obietnicę przydzielenia domku. Stwierdzono, że w ogóle z pieniędzmi nie miał nic do czynienia.

Równocześnie szukała go milicja, przypuszczając, że może utonięcie było pozorowane. Istotnie, znaleziono go. Nazywał się naprawdę Wójcik. Porzucił na brzegu rzeki swój prawdziwy dowód osobisty i zgłosił potem w MO, że zgubił. Pracował teraz na drugim krańcu Polski jako robotnik w poligonowej wytwórni elementów budowlanych.

Zatrzymany Wójcik przyznał się do winy i zeznał, że zmyślił nie istniejącą spółdzielnię, zrobił sam pieczętkę i wypisał sobie pełnomocnictwo, po czym wypisywał inne niezbędne pisma. Żadnych pieniędzy nie wziął i nie zarobił na tym wszystkim grosza, ponad pensję inspektora. Wszystko co uczynił, z góry sobie obmyślił. Powodowała nim wielka chęć, żeby przynajmniej przez jakiś czas pracować jako urzędnik, mieć gabinet, sekretarkę i szacunek.

Wójcik odpowiadał z ogromnej ilości różnych paragrafów. Naraził na straty skarb państwa, brał nieprawnie pensję, fałszował dokumenty. Na jego procesie zeznawał

przewodniczący i powiedział:

„Oskarżony naraził nas na wielkie straty i rozczarowanie i powinien ponieść surową karę. Jako okoliczność łagodzącą widzę to, że w rezultacie jego występ wyszedł poniekąd na dobre powiatowi i miastu, bo mając teren uzbrojony, zbadany i wytyczony, ubiegamy się o zlokalizowanie u nas osiedla domków jednorodzinnych, co ma wszelkie szanse powodzenia, gdyż inaczej uległyby zmarnowaniu środki wydane przez radę narodową na zbrojenie terenu.”

Mąż aktorki

„Wiedziony poczuciem obywatelskim i dobrem Polski informuję, że docent dr Ireneusz Wrzesiński nie jest mężem artystki Wrzesińskiej, bodajże Barbary, a tylko podaje się za takiego, celem kompletnego zastraszenia otoczenia. Fakt, że docent Wrzesiński podaje się za męża Wrzesińskiej i za takiego jest uważany, sprawia, że nikt nie śmie mu się przeciwstawić, czy chociaż wyrazić odrębnego zdania w sprawach ściśle naukowych, jest bowiem jasne dla każdego, że osobnik będący mężem Wrzesińskiej musi mieć takie chody i możliwości w Warszawie, że nic mu zrobić nie można, każdemu potrafi zaszkodzić i jest siłą rzeczy nietykalny”...

Anonim zawierał także sugestię, że docent Wrzesiński do spółki ze sprzątaczką wynoszą z laboratorium spirytus. Sprzątaczką prowadzi melinę, gdzie ów alkohol sprzedaje, a zyskiem dzieli się z Wrzesińskim. I także informację, że Wrzesiński wyrolował (to jest: wyrzucił z pracy) asystenta, inż. Ch., kiedy ten odmówił wykonania gratis pracy zleconej docenta, za którą ten brał pieniądze z przemysłu. Powiedział asystentowi na odchodnym, aby cicho siedział, bo wystarczy parę telefonów, a nigdzie nie dostanie żadnej pracy, jak Polska długa i szeroka.

Zarzutów nie można było zbagatelizować, więc starannie je zbadano. Co się tyczy inż. Ch., ten zaprzeczył, jakoby mu docent groził. Wrzesiński zaś udowodnił, że inżynier po pięciu latach asystentury nie miał odpowiednio zaawansowanej pracy doktorskiej. Sprzątaczką zaprzeczyła, iżby dzieliła się z docentem dochodami z meliny. Oczekuje ona rozprawy za kradzież i nielegalny obrót alkoholem. Docent Wrzesiński - okazało się - jest odpowiedzialny, jako kierownik zakładu, jedynie za to, że nie dość chronił spirytus. Pozostawała sprawa mężostwa Wrzesińskiej, najbardziej zresztą delikatna. Docenta wezwano, gdzie trzeba, i powiedziano mu wprost, bez owijania w bawełnę, że każdy obywatel może być mężem Wrzesińskiej i nikt nie może robić mu z tego powodu zarzutów. Podobnie każdy obywatel może nie być mężem Wrzesińskiej i to także nie może wpłynąć na ocenę jego postawy lub pracy. Chodzi jednak o prostą informację: jest czy nie jest?

Docent odparł, że nie jest, wyjaśniając zarazem, że nigdy się za takiego nie podawał. „W porządku, nie ma sprawy” - powiedziano mu, gdzie należy. Znaczyło to, że jest sprawa, i wkrótce rozwinęła się ona rzeczywiście. Różne władze na uczelni miały sposobność przyjąć listowne i osobiste oświadczenia członków personelu naukowego, że docent Wrzesiński niejednokrotnie, w sytuacjach służbowych lub prywatnych, dawał do zrozumienia lub mówił wręcz, że jest mężem Wrzesińskiej, z wszystkimi tego faktu konsekwencjami dla jego pozycji u władz centralnych, o której to dobrej swojej pozycji także mówił wręcz lub pozwalał się tego dorozumiewać. Próżno władze oganiały się od delatorów, twierdząc, że nie

jest prowadzone żadne dochodzenie w sprawie: czy i czyim mężem docent Wrzesiński jest lub nie jest. Środowisko wyrażało opinię, że chociaż wielu bardzo porządnych ludzi nie jest mężami tej aktorki i nie przynosi im to żadnej ujmę, to wszakże nagannym jest podawanie się, i to niebezinteresownie, za kogoś, kim się nie jest. Świadczy to bowiem o hochsztaplerstwie, nie licującym z godnością pracownika naukowego w PRL, i o chęci robienia kariery niegodziwymi metodami.

Nie wiemy, czy dobrze jest być mężem Wrzesińskiej-aktorki, dowiedzieliśmy się wszakże, że w pewnych okolicznościach bardzo niedobrze jest nim nie być. Następnym, nie anonimowym już list w sprawie docenta Wrzesińskiego przyszedł bowiem wprost do prokuratury:

„Teraz, kiedy docent Wrzesiński został ostatecznie zdemaskowany, chciałabym także złożyć, jako matka, zeznanie o jego poczynaniach, o których się jeszcze nie wie, choć wymagają sprawiedliwości. Docent Wrzesiński, podając się za męża kogoś wszechmocnego, zapewniał bezkarność swoim poczynaniom, obecnie jednak mogę zeznawać bez obawy. Jeśli obywatel prokurator zechce, własnymi zeznaniami potwierdzę, jako matka, co następuje”... Pani, która nadała ten list, złożyła następnie formalne zeznanie, że dała docentowi Wrzesińskiemu 8 tys. zł za to, żeby jej synowi poprawił stopień z niedostatecznego na dostateczny i tym samym przepuścił go na drugi rok studiów.

Otwarte zostało dochodzenie. Syn tej pani potwierdził zeznania matki, mimo że spowodowało to wkrótce usunięcie go z uczelni, jako studenta nieprawnie będącego na drugim roku. Docent Wrzesiński zarzutom zaprzeczył. Twierdził, że powtórnie przepytał tego studenta i wówczas zmienił mu w indeksie stopień. Łapówki nie brał. Faktem było jednak, że przeróbka istnieje, że Wrzesiński załatwiał to wszystko już po sesji egzaminacyjnej i zabiegał u dziekana o sprostowanie podanej już w wykazie dwójki i dopuszczenie faceta do studiów na drugim roku. Zaraz potem napłynęło doniesienie od innego byłego studenta, który zapłacił 3 tysiące, wtajemniczony zresztą przez tego pierwszego, że Wrzesiński bierze. Docent wziął tę kwotę, ale student miał nie jedną dwóję i Wrzesiński nic nie załatwił, a forsy nie oddał.

Wrzesiński został zawieszony w swych czynnościach i obowiązkach aż do procesu, który miał przynieść uznanie go winnym lub też nie winnym łapówkarstwa. Skonfundowane środowisko kolegów docenta wysunęło wobec prokuratury sugestię, aby zbadano, czy Wrzesiński istotnie ma prawdziwy doktorat. Środowisko rade bowiem było widzieć we Wrzesińskim fatalnego oszusta, który wkradł się do grona uczonych, nie zaś prawdziwego członka świata nauki. Dochodzenie wykazało jednak, że Wrzesiński zrobił doktorat lege artis.

Niebycie mężem Wrzesińskiej niesie wszakże ze sobą tak poważne

niebezpieczeństwo, że te wszystkie zarzuty, które docenta dotychczas wgniatały w błoto, okazały się tylko przygrywką. W trakcie dochodzenia ustalono, że Wrzesiński w ogóle nie nazywa się Wrzesiński, tylko Kaszub, Ireneusz Kaszub. Dowód osobisty ma na Kaszuba. Zameldowany jest jako Kaszub. Przydział na mieszkanie ma na nazwisko Kaszub. Na drzwiach zaś tabliczkę - Wrzesiński. Wszystkie papiery na uczelni dotyczą Wrzesińskiego. Poza zawodem jednakże Wrzesiński jest Ireneuszem Kaszubem.

Kaszuba-Wrzesińskiego aresztowano i teraz dopiero poczęły wychodzić na jaw rzeczy zadziwiające. Ireneusz Kaszub podstępem zawładnął dyplomem inżynierskim z 1958 roku, wydanym na imię Ireneusza Wrzesińskiego. Przeczytał w gazecie nekrolog Wrzesińskiego, jakiegoś nieznanego swego imiennika, zorientował się żeń, że jest to inżynier i jego rówieśnik, poszedł na pogrzeb, rodzinie przedstawił się jako kolega, jeszcze ze studiów, zmarłego i pożyczył dyplom nieboszczyka, pod pozorem, że wydają jakąś jednodniówkę na zjazd koleżeńcki i dyplom będzie potrzebny, żeby wzmiankować tam o zmarłym. Następnie zaczął fałszować rozmaite dokumenty, przerabiając je na nazwisko „Wrzesiński”. Innymi słowy - postąpił odwrotnie, niż to czynią zazwyczaj fałszerze, którzy cudze dyplomy przerabiają na własne nazwisko. Jedynym dokumentem, którego nie przerobił, był dowód osobisty. Okazało się, że można było uzyskiwać i zmieniać posady, robić karierę naukową, a dowodu osobistego nigdy nikomu nie pokazywać. Pseudo-Wrzesiński musiał tylko raz na zawsze zrezygnować ze służbowych wyjazdów za granicę - tu by się już od tego nie dało wymigać.

Po zdobyciu owego dyplomu Kaszub poszedł jako inż. Wrzesiński pracować do niewielkiej spółdzielni, na posadę raczej biurową. Stamtąd przeszedł do przemysłu. Teraz już miał opinię i papiery personalne legalnie wystawione na nazwisko Wrzesiński, otarł się nieco o problematykę gospodarczą, przestał się bać demaskacji. W przemyśle kilka razy zmieniał posady, na coraz to lepsze. Trzymał się wciąż stanowisk biurowych. Chcąc nie chcąc uczył się. Zresztą chętnie dawał się wysyłać na różne kursy. Po pięciu latach prosperowania jako inżynier związał się z uczelnią i zaczął doktoryzować się w półekonomicznej specjalności. Po zrobieniu doktoratu odszedł z przemysłu na uczelnię i szybko uzyskał docenturę.

„Wszystkiego mu było mało, jeszcze podawał się za męża Wrzesińskiej” - zdumiewano się na zebraniu urządzonym na uczelni dla omówienia niezwykłego wypadku pseudo-Wrzesińskiego.

Milicja sięgnęła jeszcze głębiej w jego życiorys. Późniejszy autentyczny doktor nie miał, jak się okazało, matury. Szkoły podstawowej także nie skończył. Aresztowany Kaszub upierał się, że ma pełne siedem klas, jakby to w jego sytuacji miało jakiegokolwiek znaczenie, ale ślad jego edukacji urywał się na klasie piątej podstawowej. Nim stał się inżynierem i Wrzesińskim, gdy pracował jeszcze jako

magazynier w niewielkiej fabryce, Kaszub ukończył różne kursy: bhp, gospodarki materiałowej i inne. Zamiłowanie do nauki miał zawsze autentyczne.

W czterech grubych tomach akt prawie połowę miejsca zajmują zeznania samego Kaszuba. Dzieje jego fałszerstw obfitują bowiem w interesujące wątki uboczne. Kaszub miał skłonność do kobiet, a kobiety miały skłonność do Kaszuba. 34-letni kawaler, nie ułomek i docent, był atrakcyjną pokusą matrymonialną. On jednak nie mógł się żenić, bo zawierając ślub musiałby wystąpić jako Ireneusz Kaszub, a potem żona musiałaby żyć jako docentowa Wrzesińska. Wiedział, że nie może mieć współniczki w szachrajstwie. Póty jest bezpieczny, póki wszystko stanowi tylko jego tajemnicę.

Zapytano go raz w towarzystwie, czy łączy go coś z aktorką Wrzesińską, która akurat występowała w jakiejś sztuce pokazywanej w telewizji. Oświadczył wówczas po raz pierwszy, że to jego żona. Pomyślał: to się rozejdzie i narzeczone dadzą mu spokój, nie będą w jakimś stadium romansu naciskać o ożenek. W chwili aresztowania istotnie od roku już mieszkał z kobietą, która wierzyła, że on nie może się z nią pobrać, bo w Warszawie ma żonę, z którą jego drogi po trosze się już rozeszły, ale jeszcze niezupełnie. Zrazu nie przypuszczał, że ta rewelacja tak umocni jego pozycję na uczelni. Potem okazało się, że aktorce Wrzesińskiej zawdzięcza więcej, niż umiałby przewidzieć, więcej, niż sądził, że w ogóle może dać kobieta, przynajmniej kobieta nieznajoma. Bardzo się do Wrzesińskiej przywiązał.

Profesor, dawny promotor Wrzesińskiego-Kaszuba, rzecz ocenia inaczej: „Wszystko przez tę Wrzesińską. Gdyby nie podawał się za jej męża, nie zwracałby tak uwagi, nie byłoby tylu zawistnych. Gdyby nie ta Wrzesińska, on by dalej spokojnie był docentem, kto wie, czy nie doszedłby do profesury. Wrzesińska, Warszawa, łapówki - za dużo chciał uzyskać i za mocno się wybijał. Człowiek po pięciu klasach, z cudzym dyplomem, naprawdę mógł sobie darować chociaż tę Wrzesińską.”

Obie skrajne opinie o Wrzesińskiej jako żonie są tylko z pozoru sprzeczne. Można powiedzieć, że Wrzesińska jest jako żona dobra, ale tylko do czasu, nim się sprawy nie zagęszczą i eksplodują jadem anonimów.

Pretendentka

Historia Polski posunęła się o krok naprzód w listopadzie 1971 roku. Zdarzyło się to w pokoju warszawskiego Grand Hotelu. Epizod jest mało znany, nie wprowadzony jeszcze do podręczników szkolnych, więc godzin wzmianki. Sporządzony tam został i podpisany dokument regulujący „ostatecznie i po wieczne czasy” kwestię sukcesji korony polskiej. Paragraf pierwszy owego dokumentu brzmi następująco: „Ja, Ewelina Maria Stefania Poniatowska, urodzona 14 stycznia 1908 roku w Częstochowie, z ojca Fryderyka i matki Marii z domu Czapuś, oświadczam i przysięgam, że wywodzę się w prostej linii od ostatniego legalnego i wybranego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego. Będąc jedyną osobą, która ma prawo być królową Polski, co jest ogólnie uznane i niepodważalne, z własnej woli, w pełni władz fizycznych i umysłowych postanawiam...”

W pozostałych siedmiu paragrafach Ewelina Poniatowska uznaje za swojego syna, czyli dokonuje adopcji gościa nazwiskiem George F. F., zamieszkałego w stanie Columbia, obywatela USA, pracownika stacji benzynowej. Nadaje mu prawo noszenia nazwiska „Poniatowski” i na jego rzecz odstępuje od pretensji do korony polskiej, tym samym czyniąc go jedynym legalnym pretendentem. Dwa są jednak warunki, które George F. F. musi spełnić pod rygorem utraty praw do nazwiska i korony. Po pierwsze: przyjąć obywatelstwo polskie najspieszniej, jak to będzie możliwe, i przed objęciem tronu zrzec się obywatelstwa USA. Po drugie: zobowiązać się uroczyście, że - w interesie tak Polski, jak i Stanów Zjednoczonych - jego roszczenia nie obejmują Litwy, „ponieważ mogłoby to prowadzić do poważnych nieporozumień na międzynarodową skalę”. Paragraf ostatni zobowiązuje George’a F. F., lat 31, do uznawania Eweliny Poniatowskiej za matkę, tak jakby była rodzoną, udzielania jej wszelkiej pomocy, szczególnie materialnej i finansowania jej starań o uznanie praw przybranego syna do korony. Starania te odbywać się będą drogą legalną - precyzuje ostrożnie dokument - w niczym nie zagrażając panującemu w Polsce ustrojowi. Po objęciu rządów król będzie wypłacał królowej-matce rentę roczną w wysokości 1 miliona dolarów USA.

Dokument sporządził i sygnował jako świadek obecny przy ceremonii emeryt Włodzimierz G., były urzędnik hipoteki w Warszawie, przedstawiony wszakże Amerykaninowi jako rejent. Włodzimierz G. przystrojony był na tę okazję w autentyczny łańcuch sędziowski z orłem, nabyty - co się później okazało - na warszawskim Bazarze Różyckiego za 60 zł. Otrzymał on za swe urzędowe czynności wynagrodzenie od George’a F. F. w kwocie 10 dolarów USA, wypłacone w dwóch odcinkach pięciodolarowych. Pan G. miał potem świadczyć, że Ewelina Poniatowska - która zrzeczenie się korony polskiej motywowała (w owym akcie, rzec by - abdykacyjnym) swoim podeszłym wiekiem, nie rokującym szans na

wygekwowanie pretensji do tronu, a także tym, że przelanie uprawnień na dotychczasowego obywatela USA zwiększa szansę restauracji monarchii, gdyż za sprawą zwrócenia władzy Poniatowskim w osobie George'a F. F. będą teraz stały Stany Zjednoczone (enigmatycznie nazwane w dokumencie: „rząd potężnego mocarstwa”) - a więc że Ewelina Poniatowska wzięła za koronę Polski od nowego pretendenta 100 dolarów USA wypłaconych przezeń w gotówce. I oważ Ewelina Poniatowska miała po wyjściu z Grand Hotelu zaprosić Włodzimierza G. na setkowego do baru „Cybernetyk” i tam powiedzieć o swoim adoptowanym synu: „Ale głupi dupek, co?” Oczywiście rzekła to po wypiciu setki.

Włodzimierz G. zeznał także, że - będąc wywieziony w czasie wojny na roboty do Niemiec - po wyzwoleniu, w latach 1945 i 1946, pracował w amerykańskiej zonie w urzędzie aprowizacyjnym i tam nabawił się znajomości języka angielskiego. Występował więc jako tłumacz między George'em F. F. i Ewelina Poniatowską. Akt abdykacyjno-adopcyjny sporządził własnoręcznie i przełożył na język angielski. Natomiast bynajmniej nie był inicjatorem sprzedaży ojczyzny za 100 dolarów bubkowi z amerykańskiej stacji benzynowej.

Włodzimierz G. wystawał przed Grand Hotelem, gdyż posiadał z sobą wiadomych źródeł kawałki skóry zamszowej i dyskretnie proponował ich nabycie właścicielom aut, które zajeżdżały przed podjazd. Owe skrawki skóry służą do glansowania szyb samochodowych. Usiłował zawrzeć taką transakcję również z George'em F. F., który, nie zainteresowany pucowaniem szyb swojego wozu, wyraził ochotę nabycia dzieł polskiej sztuki ludowej. Spieszyło mu się bardzo, gdyż w Warszawie tylko nocował, bawił tu przejazdem i tegoż jeszcze dnia zamierzał dojechać do Berlina Zachodniego. Pojechali do pewnego praskiego taksówkarza, o którym Włodzimierz G. wiedział, że zna świątkarza spod Milanówka i wozi doń zagranicznych turystów, inkasując prowizję od sprzedawcy i nabywcy. Pracujący właśnie w garażu przy reperacji auta pośrednik handlu dziełami sztuki ludowej kazał im czekać w pobliskim barze. Przypadek zrządził, że śniadała tam akurat pretendentka do tronu. Starsza pani zainteresowana czymś tak niecodziennym w tym barze, jak cudzoziemska mowa, przysiadła się do ich stolika, i tak od słowa do słowa przed Amerykaninem pojawiła się możliwość ubicia interesu świetniejszego niż kupno świątka. Pozostał jeszcze przez dobę w Warszawie i nazajutrz w jego numerze doszło do podpisania historycznego aktu, z przemienionym w notariusza handlarzem szmatek do wycierania szyb w roli celebranta.

Wyjawić trzeba otwarcie, że bardzo silne przeszkody prawne i faktyczne stoją na drodze George'a F. F. do objęcia korony polskiej. Wśród prawnych wymienić należy trzy kolejne konstytucje Polski, z roku 1921, 1935 i 1952, ogłaszające tu republikańską formę rządów, a także czwartą, wcześniejszą Konstytucję 3 maja, postanawiającą co prawda, iż tron Polski będzie dziedziczny, ale zgola nie

w rodzinie Poniatowskich. Choć może stawanie na gruncie Konstytucji 3 maja jest wątpliwe w sensie prawnym, bo była ona uchylana licznymi aktami prawnymi (dyskusyjnej skądinąd prawomocności), jak: akt przystąpienia Stanisława Augusta do konfederacji targowickiej, akta rozbiorowe i akt abdykacyjny. Mało o tym potrafilibyśmy powiedzieć. Jeszcze mniej wie zapewne George F. F.

Przeszkody faktyczne w objęciu tronu stosunkowo łatwo można sobie wyobrazić.

Dla uroku tej opowieści ważne będzie zaakcentowanie czegoś innego: Ewelina Poniatowska, co się później okazało, wcale nie nazywa się Poniatowska, ale Ewelina Mrzosa. Zmniejsza to jeszcze bardziej prawdopodobieństwo, że jest w prostej linii potomkinią bezpotomnego króla. Zresztą, prawdę mówiąc, w MO nie badano jej drzewa genealogicznego, tylko kartę karalności.

64-letnia Ewelina Mrzosa, obywatelka Warszawy-Prag:, ostatnio siedziała za próbę przekupienia milicjanta, który wszedł do jej mieszkania i stwierdził, że gospodyni trudni się nielegalnym handlem alkoholem. Poprzednio karana była dwukrotnie. Przesłuchana w związku ze sprawą sprzedaży za 100 dolarów tronu polskiego - podejrzana o oszustwo i nielegalny handel walutą (owe 100 dolarów jeszcze tegoż samego dnia sprzedała), nie zaś o usiłowanie dokonania zdrady stanu - nie podtrzymała w swoich zeznaniach tezy, jakoby wywodziła się z Poniatowskich, mimo że skądinąd o swej przeszłości mówiła chętniej i więcej niż o fatalnych stu dolarach. Wedle jej oświadczenia, przed wojną zarabkowała jako fordanserka w nocnym lokalu „Adria” i była kochanką generała Wieniawy-Długoszowskiego, czyli miała związek z inną jeszcze niż Poniatowski, także pechową, krótkoterminową głową państwa. Wyjaśnić znów należy, że po Warszawie chodzą tysiące staruszek, które twierdzą, że były fordanserkami w „Adrii” i sypiały z Wieniawą, co niekoniecznie daje wyobrażenie o rzeczywistych rozmiarach tego nocnego lokalu i prawdziwej jurności generała. Te koligacje jednak także pozostawały poza sferą zainteresowania MO. Natomiast zaprotokołowano następujące twierdzenie podejrzanej, po przetłumaczeniu go na język urzędowy: „Jakie oszustwo? Ten amerykański frajer aż taki dureń nie był, tylko pan Włodzimierz G. ma do mnie żal o pieniądze, dlatego tak zeznaje. Amerykanin dał stówę, bo mu było żal biednej kobiety, a te tam dokumenty to była taka sobie zabawa”.

Fakty przeczą jednakże temu, że George F. F. za całe sto dolarów świadomie bawił się tylko w króla z 64-letnią Eweliną Mrzosa i 72-letnim Włodzimierzem G. Cała bowiem sprawa wynikła i wzięła początek z tego, że George F. F. nadesłał do Polski kopertę zaadresowaną „Immigration Office, Warszawa-Warsaw” i prosił listownie o nadanie mu obywatelstwa polskiego, które chce mieć równocześnie z amerykańskim, przy czym swoim pełnomocnikiem w staraniach przed polskimi urzędami ustanawiał notariusza Włodzimierza G., zamieszkałego tam i tam.

List nie dotarł do adresata i powodem tego wcale nie było nieistnienie w Warszawie Urzędu Imigracyjnego, tylko fakt, że w liście znajdowało się także dziesięć dolarów, nie wiadomo dla kogo i na co. Wymacał je wprawnymi palcami nieuczciwy pracownik poczty Waldemar I., mimo że koperta była już ubrana w sukienkę z folii, stosowaną przez pocztę dla ochrony (przed takimi jak Waldemar I.) amerykańskich dolarów słanych w listach. Ponieważ adres nie zawierał ulicy i list w ogóle był adresowany donikąd, Waldemar I. przywłaszczył go sobie, ale nim to uczynił, spytał dla pewności kolegę, jak przetłumaczyć owo „Immigration”. Nie wiemy, czy stało się to za przyczyną owego kolegi, czy nie - dość, że Waldemara I. przyłapano na kradzieży, znaleziono przy nim list, w liście zaś adres Włodzimierza G., który obciążył swymi zeznaniami Ewelinę Mrzose.

Była fordanserka, meliniarka, potem pretendenta oświadczyła, że jako osoba nie posiadająca emerytury, a zbyt podeszła w latach, aby pracować, i mająca do tego bardzo niedobłą rodzinę - pozbawiona jest środków do życia. Kiedy więc dobry Amerykanin podarował jej sto dolarów, dała je niejkiej Natalii F., żonie kierownika sklepu mięsnego, spłacając tym długi, jakie zaciągnęła u tej dobrej kobiety. Natalia F. znów zeznała, że Ewelinie Mrzosa, która prowadzi melinę dla pijaków, nie pożyczła żadnych pieniędzy, a także nie otrzymywała od niej żadnych dolarów. Mrzosa łże, bo nie chce milicji powiedzieć, gdzie opyliła lub schowała dolce. Mrzosa, dowiedziawszy się o tym zaprzeczeniu, powiedziała, że świadkiem tego, jak dawała sto dolarów Natalii F., była 19-letnia panienka - kaleka Janina B., która akurat wtedy była u Natalii F., ta trudni się bowiem pożyczaniem pieniędzy na lichwiarski procent, a panienka ze zwichniętym biodrem potrzebowała 1500 zł pod zastaw pierścionka, więc przyszła i akurat wszystko widziała. Janina B. istotnie zeznała, że widziała, jak Mrzosa sprzedała pani F. sto dolarów, co teraz Natalia F. potwierdziła. Ewelinę Mrzose można już było oskarżyć o oszustwo i handel walutą.

W aktach śledczych nie ma natomiast żadnego śladu wskazującego na to, że ktokolwiek - z urzędu lub prywatnie - napisał do George'a F. F., by go zawiadomić, że jego nadzieje na objęcie kiedykolwiek polskiego tronu są płonne, i to niezależnie od sytuacji politycznej. W zaniedbaniu tym może wszakże tkwić jakiś humanitaryzm. Bo jeśli człowiek wydaje sto dolarów i dziesięć, a potem jeszcze dziesięć, żeby sobie kupić marzenie o tronie i złudzenie korony - to niechaj ma, to co kupił za swoją wciąż jeszcze niezupełnie marną walutę. W końcu taki amerykański człowiek ze stacji benzynowej chce pewno posiadać coś, czego nie można w ogóle kupić w domu towarowym, a nadzieja na polską koronę jest naprawdę jednym z niewielu towarów - na miejscu nie do nabycia.

Dyzma

Przyjechał w związku z ogłoszeniem. Duża fabryka poszukiwała ekonomisty z pięcioletnią praktyką na kierownika działu handlowego. Przywiózł odpis dyplomu. Opinię z centrali handlu zagranicznego miał - wspomniała. Pokazał stempel na dowodzie osobistym, stwierdzający poprzednie miejsce pracy i zaświadczenie o zwolnieniu na własną prośbę z braku mieszkania.

Wyładował to wszystko na stół, nim w ogóle zaczął rozmawiać. Potem zapytał:

- Ile pensji?

Powiedziano mu.

- Dla ekonomisty magistra:

- Dla ekonomisty magistra.

- Nigdy nie myślałem, że tak dziadowsko płacicie. Mało.

I poszedł sobie. Przywołano go zza drzwi. Wrócił. Był jedynym kandydatem, który zgłosił się na to odludzie. Powiedziano, że wyszukają jakąś możliwość dopłacenia. Pytali, czy zna języki. Znał i języki. On zapytał o mieszkanie. Mieszkanie czekało. Powiedział: to dołóżcie gotówki, za tydzień wrócę.

Wrócił rzeczywiście. Dołożyli. Za specjalnym zezwoleniem zjednoczenia.

Urzędowanie zaczął od długiej rozmowy z dyrektorem. Szef fabryki był w kłopotcie: hochsztapler czy geniusz?

Przedstawił nowemu pracownikowi problematykę zbytu. Otóż handel żąda elastyczności, wysuwa krótkoterminowe umowy na krótkie serie i chce ciągłego przystosowywania asortymentu do rynku. Tymczasem taka produkcja w ogóle nie wytrzymuje kalkulacji. Na przykład... Tu dyrektor podsuwa obliczenia.

Gość nie patrzy. Władczo je odsuwa. Mówi:

- Zrobi się.

- Co? - irytuje się dyrektor. - Co się zrobi? Deficytowe towary, czy zmianę zamówień handlu?

- Albo się zrobi, to co handel chce, albo handel zechce, to co się zrobi. Coś dyrektor, niedzisiejszy?

- Leżymy pod eksportem - kontynuował szef handlowego geniusza. - Na to, czego oni chcą, nie mamy ani surowca, ani maszyn pomocniczych. Wszystko już załatwione. Inżynier D. wybiegał, że dostaniemy na drugi kwartał przyszłego roku.

Przedtem w ogóle nie ma mowy, bo wtedy dopiero będzie realizowane zamówienie importowe. Na wcześniejszą dostawę nie pozwalają ramówki międzynarodowe.

- Dyrektorze! - powiedział świeży narybek. - Po co tyle słów? Mnie już w uszach dzwoni. Wszystko się zrobi.

- Jak?! - zdenerwował się dyrektor.

- Jestem tu trzeci dzień, co, nie? - klarował ekonomista. - Urządzam mieszkanie. Nie mam głowy do tego eksportu. Za dwa dni proszę mi rychtować delegację do Warszawy. Za pięć dni wrócę, to powiem panu, jak. Stoi?

- Stoi - odparł dyrektor. - Tylko czy pan sobie tego zbyt prosto nie wyobraża? Wy tam z centrali...

- I po co znów te słowa? Mówię, że się zrobi, to się zrobi.

- Zabieraj się pan stąd, ale już! - rzekł kandydat na geniusza handlowego do swego współpracownika. - I zabieraj pan stąd swoje biurko i te kwiatki, bo od zieleniny mam migrenę.

- Gdzie mam pracować? - kłopotał się jedyny podwładny nowego szefa, wyrzucony z pokoju.

- To już nie moja głowa - odparł handlowiec, przybił na drzwiach wizytówkę „Mgr Jan F.”, zamknął pokój na klucz i sobie poszedł.

Dwa dni go nie było. Na trzeci przyszedł po delegację i wyjechał do stolicy. Tydzień go nie było. Potem wrócił.

- Załatwione - zameldował szefowi.

- Co załatwione? - podskoczył dyrektor.

- Wszystko.

- Jakie wszystko? Co konkretnie? Z kim? Jak? Jakim sposobem?

- Co ja będę teraz gadać! Przyjdą papierki, to pan zobaczy. Jadę do Warszawy dopilnować.

- Czego dopilnować?

- Pan myślisz, że jak ja sam wszystkiego nie wystukam, to panu tu zamówienia te urzędasy powysyłają? Chiba na Nowy Rok.

Pojechał. Ze stolicy dzwonił. Zadawał takie pytania, że dyrektora ciarki przechodziły.

- On tam handluje, a w ogóle nie zapoznał się z produkcją - alarmował szef

współpracowników.

Czekali, co z tego wyjdzie. Wreszcie wrócił kierownik handlowy. Przywiózł zamówienia. Poczta jeła przynosić obfitą korespondencję. Wokół fabryki zapanowało ożywienie.

Dyrektor cisnął swego handlowego geniusza, żeby powiedział, jak to wszystko pozałatwiał. Przez lata starań inni tego nie osiągnęli. Zdawało się, że nowy pracownik nie tyle nie chce, co nie potrafi tego wyjaśnić.

Po kilka razy dziennie zamawiał tylko rozmowy ze stolicą i widać było, że po trzech tygodniach pracy zna tam wszystkich, ktokolwiek ma cokolwiek wspólnego z handlem tej branży. O ile kierownictwo fabryki nie wiedziało dokładnie, jakie czary tu działają, to w każdym razie docierały doń strzępki telefonicznych rozmów. A tym samym strzępki metody.

- Co, nie?! No wyście zwariowali?! Co wy budkę ze śledzimy tam trzymacie, czy państwowy handel zagraniczny! Nie, no ja dzwonię do ministra. Wam nic w głowie, tylko polski przemysł niszczyć...

I mniej więcej w tym stylu.

- Nikodem Dyzma - powiedziała proroczo o szefie handlowym czytana sekretarka dyrektora.

Pan kierownik handlowy robił cuda, chociaż oczywiście po pierwszej serii sukcesów przyszła i seria niepowodzeń. Prowadził się za to, jak na urzędnika, dziwnie: w biurze bywał rzadko, do stolicy jeździł jak najęty, papierków żadnych nie znosił i urzędował na gębę, podpisywał wszystko, co mu dawali, bez czytania, na zebraniach starał się nie bywać.

Uznano, że jest dziwny i genialny.

Trzeba też przyznać, że od wszelkich klik trzymał się z daleka i stosunków towarzyskich z nikim nie utrzymywał.

Nie znaczy to, żeby nie prowadził życia towarzyskiego. Codziennie w pobliskim miasteczku pił z furmanami w knajpie i wracał wieczorem do fabrycznego osiedla na rowerze. Stąd zawsze był pokiereszowany. Ciekawe. Nie w fabryce odkryło, że Jan F. - bo tak się naprawdę nazywał - nie jest magistrem ani ekonomistą, że nigdy nie otarł się o gimnazjum i nie skończył nawet szkoły podstawowej. Ani dyrekcja fabryki, ani warszawscy kontrahenci nie dostrzegli, że ten pełen dynamizmu, działający jak taran, uparty i obrotny facet nie ma pojęcia o produkcji ani o zbycie, o prawach nimi rządzących, zależnościach i zarządzeniach, że on tylko coś niecoś podchwytuje, stosuje jakieś zasłyszane sformułowania, orientuje się z grubsza, o co chodzi, ma jakiś szósty zmysł i umie załatwić, wybiegać, zakrzyczeć, zanudzić,

zmusić, bez pokrycia powołać się na kogoś - przeforsować.

Plotka zaczęła narastać na zupełnie innym gruncie.

Jan F. z żoną i dziećmi mieszkał, jako się już rzekło, w bloku fabrycznym - przeto niejako na patelni.

Znudzone małżonki inżynierów - nie pracujące z braku miejsc pracy tu na prowincji - intensywnie wkładały nos w życie i pożycie przybysza.

W „salonach” fabrycznej society mówiło się więc, że żona magistra F. hoduje świniaka w komórce, a w wannie trzyma kartofle. Że dzieci są brudne, że F-owa nierób baba, że jak przyjdzie wypłata, to F-owie przejadają się aż do niestrawności, a pod koniec miesiąca jedzą tylko kartofle. I tak dalej, i bez końca.

Plotka ośmieliła panny urzędniczki. Z hali maszyn przyniesiono dyrektorowi rękopis listu handlowego naskrobanego przez F., w którym więcej było ortograficznych błędów niż słów.

Powstała atmosfera.

Nikt - to znaczy ani dyrektor fabryki, ani bohater tych wydarzeń, ani autor niniejszych słów - nie wie, kto poszedł do prokuratora i zwierzył mu się z trapiących go podejrzeń.

Prawdopodobnie prokurator zrobił rzecz prostą: podniósł słuchawkę i zadzwonił do instytucji stanowiącej rzekomo poprzednie miejsce pracy mgr Jana F. Odpowiedź brzmiała, że takowy jest tam nieznan.

Potem nastąpiło krótkie dochodzenie. Nawet wtedy, gdy wszystko było już wiadomo, dyrektor ociągał się, wbrew przepisom, ze zwolnieniem Jana F. z pracy.

Prokuratura ustaliła, że Jan F. poprzednio pracował w pewnej stołecznej spółdzielni. Mała to była spółdzielnia Jan F. był robotnikiem. Został wybrany do zarządu. Jął prowadzić sprawy handlowe. Zyskał wtedy niejaki oblatanie w tej branży. Potem z powodzeniem stosował styl pracy handlowca kilkunastoosobowego zakładu rzemieślniczego w dużej państwowej fabryce.

Pewnego dnia pokłócił się z pozostałymi członkami zarządu. Zwolnił się z pracy. Postanowił szukać lepszej roboty Pieczętkę w dowodzie osobistym sam zmajstrował. Wykombinował też blankiety, na których wypisał sobie opinię i zaświadczenie, że odszedł z centrali handlowej na własną prośbę. Jak zdobył odpis dyplomu na urzędowym blankiecie uczelni - tego nie zdradził w śledztwie.

Dostał rok i osiem miesięcy.

Zeznający na procesie jako świadek jego doniedawny dyrektor mówił:

„Miałem mnóstwo przykrości. Chociaż jaka tu moja wina... Był świetnym pracownikiem. Tacy handlowcy nie rodzą się na kamieniu. Szczerze powiedziawszy - gdybym mógł, już jutro przyjąłbym go z powrotem z otwartymi rękoma. Takiego szefa handlowego nie miałem, nie mam i nigdy mieć nie będę”.

Prorok ze spółdzielczych bloków

Zwierzał mi się pewien oficer milicji, wyglądający raczej dobrodusznie, że dość często ma ochotę przyłać jakiemuś klientowi MO. Dziwne to jest z trzech powodów. Po pierwsze, ponieważ regulamin tego surowo zakazuje, a w zasadzie choćby tylko chęci pozaregulaminowe są mu obce. Po drugie dlatego, że jeszcze nigdy w życiu, nawet gdy był szczeniakiem, nigdy nikomu nie miał ochoty „przylewać”. Po trzecie zaś dlatego, że prawie nigdy ta chęć nie bierze go wobec schwytanego przestępcy, ale na ogół wobec ludzi niewinnych. Złapany przestępca z chwilą pojmania dostanie już za swoje w drodze prawnej, co niejako tłamsi świerzbienie ręki mojego rozmówcy. Swędzenie dłoni czuje czasem wtedy, kiedy musi klienta grzecznie przeprosić i otworzyć przed nim drzwi na ulicę. I to nie tylko wówczas, gdy jakiemuś draniowi niczego nie udało się udowodnić. Ludzie naprawdę niewinni to niekiedy też straszna zaraza. Przykład:

W jakiejś ulicy rozlega się rozdzierający wrzask kobiety. Patrol milicji pędzi w tym kierunku. Na jego widok jakiś człowiek zrywa się do ucieczki. Gonią go. Wzywają, żeby się zatrzymał. On śmiga gdzieś przez podwórza. Alarm. Przez kilkanaście godzin kilkunastu ludzi jeździ radiowozami, biega przez pola, nim go wreszcie dopadnie. Primo: dlaczego kobieta wrzeszczała? Nie sposób dojść ani kto krzyczał, ani co jej się stało. Żadnego nieszczęścia w okolicy nie było. Secundo: dlaczego ten młodzieniec wiał? Nic nie chce mówić, a oni niczego przeciwko niemu nie mają. W końcu on mówi, o co chodzi. Ukradł coś kiedyś, goniła go milicja, złapała, poszedł siedzieć, odsiedział, wyszedł. Teraz na widok biegnących milicjantów odruchowo wzięł nogi za pas.

Z rozmowy wynikało, że młodzieniec ów nie jest profesorem uniwersytetu i reprezentuje znaczną ociężałość umysłu. Nie bardzo rozumiał, że swoje odsiedział. Pamięć miał raczej empiryczną - jak milicja biegnie, to goni, a jak złapie - to idzie się siedzieć. To wszystko.

Bohater naszej historyjki nie objawia umysłowej ociężałości. Ma około sześćdziesiątki, jest geologiem, nazywa się inż. Rajmund P., pracuje w państwowej administracji w randze „ceniony fachowiec”. Ma nawet auto, co zwykle się uważać za objaw bystrości umysłu. Mieszka w nowoczesnym mieszkaniu, w spółdzielczych blokach, z żoną farmaceutką i trojgiem dorosłych lub prawie dorosłych dzieci. Wojnę spędził w Anglii jako lotnik, ściślejszy kwatermistrz lotnictwa. Repatriował się wraz z rodziną w 1957 roku. Wywiad środowiskowy jak ta lala: nie pił, w domu żadnych awantur. Opinia z pracy nienaganna. Prywatnie dodano, że trzymał się na uboczu i nie wypowiadał się nigdy w sprawach pozafachowych, z wyjątkiem wymiany zdań o pogodzie.

Pewnego razu mleczarka zadzwoniła do sąsiadów państwa P., żeby się poradzić, co robić. Ona już trzeci dzień, nie otrzymując butelek, zostawia przed drzwiami P-ów mleko, którego nikt nie odbiera. Dzwoniła do tego mieszkania, dzwoniła i nikt nie odpowiada. Może sąsiedzi wiedzą, czy tamci wyjechali, czy co.

Sąsiedzi dzwonią. Potem próbują nacisnąć klamkę. Drzwi ustępują. Wchodzą oni do mieszkania i zaraz w wielkim zdenerwowaniu dzwonią po milicję. Ale proszę się nie spodziewać, że zgodnie z konwencją powieści kryminalnych zastali trupa we wnętrzu mieszkania inżyniera P. Niczego nie zastali. A jednak zorientowali się, że stało się coś dziwnego.

Po pierwsze, dziwne było już to, że od kilku dni mieszkanie stało puste, tj. wyludnione i otworem. No, ale można by pomyśleć, że gospodarze wyjechali zapomniawszy je zamknąć, gdyby nie suto zastawiony stół, pełen gnijącego żarcia. Nie wyjeżdża się zostawiając coś podobnego na stole. Już po trzech dniach smród niósł się z tego nie do wytrzymania.

Przyjeżdża milicja i też widzi jej się, że sprawa jest poważna, chociaż nie wiadomo, co to za sprawa. Biuro, gdzie inż. Rajmund P. pracuje, poinformowało, że od trzech dni starszego geologa P. nie ma w pracy i że dzwoniли już do niego ze sto razy. Słowem nie uprzedził o żadnym wyjeździe, urlopie czy chorobie. To samo w aptece, gdzie pracuje pani P. To samo w miejscach pracy lub nauki ich trojga dzieci.

Milicja bierze się do sąsiadów. Przepytuje całą klatkę schodową. Nikt nie widział exodusu państwa P. z mieszkania. Jedyne co wiadomo, to to, że w przeddzień ich zniknięcia przyjechali do nich goście. Był to mężczyzna pod pięćdziesiątkę, kobieta o kilka, na oko, lat młodsza i trzynasto-czternastoletni chłopiec. Mieli skąpe bagaże.

Nakryty na osiem osób stół wskazywał na to, że gospodarze podejmowali swoich gości. Sąsiedzi słyszeli też, że biesiadnicy wieczorem śpiewali, widać się popili, bo na trzeźwo śpiewa się przecież tylko przy goleniu, albo jeśli się pracuje w operze. Na stole nie było jednak śladów alkoholu.

I na tym kończyły się uzyskane przez milicję informacje, ale nie kończyły się poszukiwania. Mijały bowiem dni, a P-ów nie było. Prawdopodobnie ci przybysze mieli jakiś związek z ich zniknięciem. Ale kim byli - tego nie ustalono. Rozpytywała więc milicja znajomych wszystkich pięciu członków rodziny P. Grzebano w ich życiorysach. Szukano punktu zaczepienia, a w miarę jak mijały dni i w zabezpieczonym przez milicję mieszkaniu nikt się nie zjawiał, wzrastał niepokój o tę rodzinę, i nawet nieskłonna do popuszczania swojej wyobraźni milicja wietrzyła tu albo jakąś straszną tragedię, albo bardzo poważne, tajemnicze przestępstwo.

Rozwiązanie przyszło ósmego dnia od zniknięcia. Nic, nie znaleziono ich ciał w rzece, ani przysypanych ziemią w jakiejś piwnicy. Nie znaleziono ich też żywych w jakimś szałasie, czekających z workiem narkotyków pod pachą na przerzut przez zieloną granicę. Po prostu sąsiedzi dojrżeli ich wszystkich pięcioro, a także troje ich gości, jak ciągnęli po schodach do domu. Byli wszyscy nie myci, wymiętoszeni, ponurzy, apatyczni w sposób aż bijący w oczy. Mężczyźni mieli na gębach wielodniowy zarost. Uwagę sąsiadów zwróciło to, że pan P. nie próbował otworzyć drzwi kluczem, ale od razu nacisnął klamkę. A więc umyślnie nie zamknął mieszkania, ergo w ogóle nie zamierzał doń wrócić.

Teraz już mieszkanie było zamknięte. Pan P. nie miał klucza. Sąsiedzi poinformowali go, że klucze ma milicja, która powiadomiona już o ich powrocie zaraz przyjedzie. Pan P. nie okazał strachu. Wszyscy usiedli na schodach i czekali. A kiedy mój znajomy oficer MO, ten co go czasem ręka świerzbi, przyjechał i otworzył mieszkanie, wszyscy ośmioro odmówili stanowczo wyjaśnienia, gdzie byli, dlaczego lub po co znikli w taki dziwny sposób, porzucając pełne wszelakiego dobra, nie zamknięte mieszkanie. I właśnie wtedy, kiedy po ośmiodniowej, pełnej napięcia i angażującej wielu ludzi milicyjnej robocie tamci niczego nie chcieli wyjaśnić, owego oficera MO zaswędziała ręka, co było zresztą jego zupełnie prywatną sprawą.

Oczywiście milicja nie dała za wygraną. Szukano ludzi, którym członkowie obydwóch rodzin musieli się zwierzyć z przyczyn tego zniknięcia. Wzięto na spytki amantów od córek i dziewczynę od syna państwa P. Zupełna sensacja. Młodzi P-owie im też nie chcieli nic powiedzieć, zacięcie milczeli. Farbę puścił dopiero swojemu przyjacielowi 13-letni syn gości P-ów. Milicja wyszukała tego przyjaciela na drugim krańcu Polski, tam skąd owi goście do P-ów przyjechali, żeby razem zniknąć. Była to opowieść wielce pouczająca, a dla milicji tyleż zawodowo nieciekawa, co kształcąca ogólnie. Mój znajomy oficer MO dowiedział się tedy, że niejakiemu Józefowi Smithowi, nigdy na milicji nie notowanemu, w roku 1823 ukazał się anioł Maroni. Anioł poprowadził go w miejsce, w którym ukryte były złote tablice. Złote tablice zawierały treść Ksiąg Mormona, w tym jedną traktującą o historii Ameryki, kompletnie sprzeczną z kursem zalecanym przez wszystkie ministerstwa oświaty, i drugą, zawierającą proroctwa dotyczące się końca świata.

Dowiedział się również mój znajomy oficer, że kościół Smitha rozpadł się z czasem i powstał zeń m. in. Reorganizowany Kościół Świętych Dnia Ostatniego i że ten znów się rozpadł, a jedną z przyczyn tego rozmnażania się kościołów smithopodobnych była wielka niejasność w określeni J daty końca świata zawarta w złotych tablicach.

Współczesna brytyjska filia czy sekta nosi nazwę „Kościół Świętych Dnia Ostatniego wedle Kosmogonii Nowoczesnej”, a stoi na jej czele W. R. Roopthon

z Londynu, powołany do określenia daty końca świata, który dokona się w ten sposób, że Istota Najwyższa osobiście rozszczepi substancje promieniotwórcze zawarte w planecie Ziemia, powodując duży fajerwerk. Kosmogonia nowoczesna przewiduje, że z kataklizmu tego uratują się tylko Wyznawcy, pod warunkiem zachowania zupełnej tajemnicy przed gaurami. Wierni, uprzedzeni, schronią się w odpowiednio przystosowanych po temu, z góry przygotowanych miejscach, dla przeczekania eksplozji nuklearnej.

Kościół pana Roopthona, liczący w Polsce ośmiu wiernych, uprzedził telegraficznie pana inż. P., noszącego w swej zbiorowości religijnej tytuł Proroka Mniejszego, o dniu końca świata. Rodzinka P. i troje ich współwyznawców, zaopatrzeni w zapasy żywności, znikli w podziemiach starego podmiejskiego fortu, gdzie przesiedzieli osiem dni i nocy śpiewając pieśni religijne. A kiedy minął już tydzień od nadanej z Londynu Wielkiej Daty i nie posłyszeli żadnego „bum”, zwątpili, jak to bywa z wyznawcami religii głoszących coś nadmiernie kategorycznie i zapowiadających jakieś wydarzenia w nazbyt konkretnie określonym czasie, i wrócili do mieszkania, do swoich rzeczy, do mebli i do telewizora.

Wszystko to ustalił mój znajomy oficer MO. Może i zaklął z cicha, wspominając swoją i swoich kolegów wielką całotygodniową robotę, ale ręka przestała go świerzbić, a to dlatego, że tolerancja religijna jest konstytucyjnym obowiązkiem funkcjonariusza państwowego oraz ozdobą oficerskiej świadomości. Na tym sprawę zakończono.

Czekolada

Bohaterka dnia: „Co innego może bym nie zauważyło, bo tego dnia było bardzo gorąco, ale na te tabliczki miałam specjalne oko. To jeden z najdroższych asortymentów, jakie wykłada się na SAM-ie. Są oczywiście i inne, ale butelki czy, weźmy, dużej puszki kurczaków nie da się tak wsunąć do torby, jak czekolady. Mam uprawnienia od razu reagować, ale to zależy, jaki klient. Jeśli widzę, że nie chuligan, ktoś starszy, albo inteligenty, to zawsze może przez omyłkę nie włożyć do koszyka. Bywa, że przy kasie zmiarkuje się, przełoży i zapłaci. Przesunęłam się koło kasy i dopiero jak uregulował, bardzo grzecznie powiedziałam: -«Najuprzejmiej przepraszam, ale pan był łaskaw ukraść czekoladę». A on mi na to jak nie roztworzy mordy...”

To była opowieść siedemnastoletniej uczennicy sklepowej w fartuszku z napisem „czeń” („u” się sprąło) i z numerem. Chociaż ogół kandydatów na sprzedawców to dziewczęta, są one zawsze oznaczone jako samce.

Pan, który „roztworzył mordę”, powiedział, że on sobie absolutnie wyprasza takie insynuacje i że ta smarkula nie wie, do kogo mówi. On się z tutejszym personelem porachuje - powiedział. Odmówił jednak kasjerce pokazania zawartości torby i chciał wyjść ze sklepu. Uczennica chwyciła za torbę i chciała wyciągnąć czekoladę. Pan odepchnął ją, aż się zatoczyła, i torby nie puścił ani nie chciał pokazać, co w niej ma, mówiąc, że na to potrzeba prokuratorskiego nakazu rewizji. Kasjerka szybko pobiegła do drzwi i zamknęła je na klucz. Przyszła kierowniczka i poprosiła złodzieja na zaplecze. Odpowiedział, że nigdzie nie pójdzie, że ona będzie miała przykrości i że radzi natychmiast otworzyć drzwi. W sklepie było ładne kilkanaście osób, ale nikt nie próbował wyjść. Osoby te dogadywały przyłapanemu panu: „Jak się kradnie po sklepach, to można chociaż grzeczniej...” „Inteligencja, proszę...” „Ja zarabiam tysiąc osiemset, a taki kradnie i jeszcze się mądry.” „Proszę, jaka kultura, mądrala.”

Pan odwrócił się plecami do publiczności i brał do ręki słoiki z dżemem, oglądał etykiety i odstawiał, żeby pokazać, że to gadanie jest mu obojętne. Okazało się, że przyszedł do sklepu nie sam, ale z bardzo elegancką dziewczyną. Proszę nas wypuścić, bo będzie pani miała przykrości” - to do kierowniczki. „To się pokaże, kto będzie miał przykrości” - to kierowniczka. „Natychmiast otworzyć drzwi, ty idiotko!” - nie wytrzymała nerwowo ta ładna, elegancka dziewczyna. „Uspokój się, kochanie, już ja ich wszystkich załatwię - uspokajaj towarzyszkę złodziej - zażądam przeprosin w obecności tych wszystkich ludzi.” „Tylko nie ludzie, tylko nie ludzie, znalazł się panisko.” „Taki ważny, a kradnie” - oburzano się.

W końcu przyjechała milicja, wydzwoniona przez kierowniczkę. Klientów

wypuszczono, a pana złodzieja i tę elegancką dziewczynę zaproszono na zaplecze. Tu pan wezwany został urzędowo do okazania, co ma w torbie. Wyjęto z niej fioletową tabliczkę czekolady „Suchard” wartości 130 zł. Następnie poproszono pana o dokumenty. Okazał legitymację służbową, z której wynikało, że jest doktorem, wicedyrektorem instytutu naukowo-badawczego. Jeszcze obejrzano i dowód osobisty.

Po okazaniu dokumentów pan dr Olgierd P. uznał sprawę za załatwioną. „To by było tyle - powiedział dumnie - chodź, kochanie.” Poproszono go wówczas, żeby usiadł, i zapytano, co ma do powiedzenia. Miał do powiedzenia, że potraktowano go w sposób chamski, poniżono publicznie i on tego nie daruje. „Ale w sprawie czekolady” - upierał się milicjant. „Ach, czekolady... - odrzekł dr Olgierd P., zirytowany, że przychodzi mu tracić czas na rozmowy o drobiazgach. - Kupiliśmy w Supersamie, jeśli to kogoś interesuje.” „Personel widział, jak pan wziął z półki, schował i nie zapłacił.” „Ach, personel widział... No to nie ma innego wyjścia, jak wierzyć albo mnie, albo personelowi, panie sierżancie. Jakoś mi się nie zdarzało być brany za złodziejaska.” „Najważniejsze, żebyś się nie denerwował” - powiedziała dziewczyna, będąca, co wynikało z dokumentów, żoną doktora-wicedyrektora. „Zastępca dyrektora do spraw naukowych” - dyktował dobitnie jeden milicjant drugiemu. Potem kazał zawołać tę pracownicę. Powitała ją kierowniczką:

„Więc widziałaś, jak ten pan wziął i schował czekoladę? My jesteśmy materialnie odpowiedzialne, proszę pana!” -. „Ach, więc to jest ten personel - zaśmiał się wicedyrektor. - Ile ty masz lat, dziecko?”

Dziewczynka z napisem „uczeń” powiedziała milicjantowi - wolno, rzeczowo, dokładnie i spokojnie - że stojąc w sklepie i obserwując klientów dawała szczególnie baczenie na czekoladę za 130 zł. Leżało osiem tabliczek na płask, jedna na drugiej, a dziewiąta stała oparta o ten stos, tak żeby etykieta była łatwo widoczna. Trzy dni temu było jeszcze dziesięć tabliczek, ale potem jedną ktoś kupił. Widziała więc, że są wszystkie tabliczki, a po chwili zauważyła, że nie ma tej stojącej sztorcem. Natychmiast przejrzała wzrokiem koszyki najbliższych stojących klientów, ale czekolady w nich nie było. Ten pan miał w drugiej ręce torbę z materiału i przez ten materiał dojrzała kształt tabliczki czekolady „Suchard”. „To nie widziałaś momentu, jak ten pan brał czekoladę?” „Akurat w tej chwili na niego nie patrzyłam.”

„Ach, więc personel wcale nie widział, jak rzekomo brałem czekoladę? To dobre!” I Olgierd P. zaczął się śmiać. „Czym wobec tego jeszcze możemy panom służyć?” - zapytał ironicznie funkcjonariuszy. Milicjant począł wypytywać pana P., kiedy kupił tę czekoladę w Supersamie i gdzie ona leżała, a potem kierowniczką sklepu dzwoniła przy wszystkich zebranych do Supersamu i sierżant uzyskał informację,

że taka czekolada tego dnia tam w ogóle nie leżała i nie leży.

Wtedy dyr. dr Olgierd P. stracił panowanie nad sobą, zerwał się i zaczął krzyczeć, że ma tego wszystkiego dosyć i że mają go natychmiast puścić. Sierżant musiał go wziąć za ramię i posadzić z powrotem:

„Więc jak z tym Supersamem?”

„Proszę spojrzeć, chodzimy po sklepach, kupujemy, może kupiliśmy gdzie indziej. Proszę nie szykanować mojego męża” - pokazała torbę pełną sprawunków wicedyrektorowa.

Następnie do sądu wpłynął akt oskarżenia przeciwko 33-letniemu doktorowi dyrektorowi Olgierdowi P. o kradzież tabliczki czekolady wartości 130 zł na szkodę sklepu uspołecznionego. Jeszcze wcześniej do dyrektora instytutu wpłynął list od kierowniczkii sklepu, opatrzony pieczętką sklepu i adnotacją, że odpis wysłany został do resortu, któremu instytut podlega. Kierowniczka opisywała fakt, akcentowała swoją materialną odpowiedzialność i niewysokie pobory oraz bezczelne zachowanie się wicedyrektora przyłapanego na gorącym uczynku. List ten został odczytany na zebraniu w instytucie.

Olgierd P. oświadczył, że padł ofiarą idiotycznej intrygi i że sąd go uniewinni. Jego szef odpowiedział na to, że oczywiście póki nie ma wyroku skazującego, brakuje podstaw do kroków dyscyplinarnych. Wicedyrektor po omówieniu swoich osiągnięć naukowych powiedział, że skoro tak się go traktuje i w ogóle bierze się pod uwagę możliwość, że jest złodziejem sklepowym, on składa dymisję.

Na rozprawie sądowej nie było już mowy o Supersamie. Olgierd P. zmienił zeznania, które złożył w śledztwie. Otóż nie brał z półki tabliczki czekolady i nie wiedział, że ma ją w torbie, kiedy zaczepiła go uczennica pilnująca sklepu. Po prostu czekoladę wzięła i wsunęła mu niepostrzeżenie do torby żona. Gdy doszło do sytuacji konfliktowej z personelem, domyślił się tego i dlatego, aby ją osłonić, mówił o Supersamie.

„Tak, zabrałam tę czekoladę i chciałam ukryć, bo już strasznie dużo wydaliśmy na sprawunki. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, bardzo żałuję, że tak zrobiłam” - powiedziała sądowi wicedyrektorowa.

Sąd uznał tę sytuację za prawdopodobną, uniewinnił wicedyrektora i dochodzenie wszczęto od nowa, tym razem przeciwko wicedyrektorowej. Po dłuższym czasie ona z kolei stanęła przed sądem. Dr Olgierd P. nie przyszedł na rozprawę.

Sąd zapytał Teresę P., 24-letnią kosmetyczkę, czy przyznaje się, że dnia takiego a takiego, o godzinie takiej i owakiej, w sklepie numer itd., z zamiarem przywłaszczenia wzięła z półki i ukryła tabliczkę czekolady „Suchard” i nie uiściła

należności. Teresa P. odpowiedziała na to, że nie przyznaje się. Na procesie męża i potem w śledztwie samooskarżyła się fałszywie. W rzeczywistości to jej mąż ukradł czekoladę. Widziała to na własne oczy. Nie był to pierwszy raz. Już wielokrotnie przedtem to i owo zabierał ze sklepów. Kiedy wynikły dlań przykrości w pracy i kiedy stało się jasne, że sąd go skáže, mąż był zrozpaczony, bo to zwichnił mu karierę. Wobec tego postanowili, że ona tę czekoladę weźmie na siebie, gdyż pracuje w zakładzie kosmetycznym, gdzie nic jej nie zrobią. I w ogóle co jej zależy. Tymczasem jednakże jej małżeństwo bardzo się popsło. Mąż swoim postępowaniem pokazał, jakim marnym jest człowiekiem, więc powinien być przykładowie ukarany za tę czekoladę. Co do jego kariery, to jej absolutnie już nie zależy, żeby ją robił.

Powiadomiona, że będzie odpowiadać za fałszywe zeznania, Teresa P. mimo to stanowczo potwierdziła, że to mąż ukradł czekoladę.

Wkrótce znów zmieniła zdanie. Na swoim procesie kłamała - oświadczyła - to jej wolno.

Chciała pogiębić męża, który miał kochankę, i szło między nimi do rozwodu. W rewanżu pragnęła zwichnić mu karierę. Teraz jednak mąż do niej wrócił, wszystko jest w porządku, czekoladę ona ukradła i za to, nie za fałszywe zeznania, pragnie ponieść karę.

Dalszy bieg sprawy czekolady zależy od stanu współżycia państwa P. Nowy akt oskarżenia mówi co prawda o tym, że oboje - działając w znowie - zabrali tę tabliczkę, ale czy wersja ta utrzyma się przed sądem? I czy wątpliwości nie zaczną przemawiać za jednym z nich, albo za obojgiem?

Doktor Karol N.

Maria B. chorowała od lat, ale kiedy nie mogła już ruszyć ani ręką, ani nogą, lekarz rejonowy skierował ją do szpitala. Spędziła tam dwa miesiące, ordynator powiedział jej, że na ile mogli, na tyle ją wyleczyli i czas wracać do domu. Maria B. miała 87 lat.

W domu zległa w łóżku i trzeba ją było obsługiwać jak niemowlę, więc jej syn Antoni wybrał się do ordynatora na rozmowę. 61-letni Antoni B., technik po przedwojennej jeszcze szkole, jest zastępcą kierownika oddziału w dużym zakładzie, ma pod sobą prawie 300 ludzi, więc ostry stał się w obejściu. Powiedział, że ma on do doktora pytanie, czemu mamusię mu wypisano, skoro zdrowa nie jest. Ordynator odparł, że medycyna jest bezradna, wieku nie umie odmienić, pani B. może równie dobrze w domu, jak w szpitalu, czekać swojego czasu. Antoni B. użył mocnych słów na temat traktowania przez lekarzy ludzi chorych, i przez znajomości załatwił sobie wizytę wysoko, najwyżej jak tylko było można w tym mieście. On siedzi w zakładzie - powiedział - 12 godzin na dobę. To minimum. Żona kieruje zespołem hoteli robotniczych na 400 łóżek. Syn-inżynier pracuje w zapleczu naukowo-badawczym, jego żona uczy w szkole średniej i na kursach dla kadry. Ma jeszcze wnuka w przedszkolu. Teraz chce zapytać: kto z ich czwórki ma się zwolnić z roboty i usiąść przy łóżku babci? Czy Polsce Ludowej kalkuluje się, żeby jego matka przebywała w domu, czy w szpitalu?

Ordynator odpowiedział na telefoniczną interwencję, że po pierwsze Antoniego B. należy nauczyć grzeczności, bo doktorzy nie są parobasami z jego folwarku. Po drugie, jeśli wpływowa osoba jest zdania, że należy przyjąć do szpitala Marię B., to on musi poprosić również o decyzję: kogo wobec tego ma nie przyjąć? „Może waszego pracownika z zawałem? Czy weterana z gruźlicą nerek? Tylko że jak już macie wydawać wyroki, to może na piśmie?”

Rozmówca ordynatora grzecznie go przeprosił, kazał zamówić międzymiastową i załatwił dla Marii B. miejsce w odległym, mniej przeciążonym szpitalu. Spędziła tam trzy miesiące i umarła. Telefonicznie zawiadomiono o tym Antoniego B. Przyjechał mikrobusem przedsiębiorstwa pogrzebowego. Stawił się oprócz Antoniego B. jego syn-inżynier i drugi syn, też inżynier, tylko rolnik, z Zielonogórskiego z żoną, dwie synowe i siostra pana B. Wszyscy w czerni, z ogromnym wieńcem. Wydano im zwłoki, papiery i rzeczy zmarłej. „Mamusia była taka chuda”... - zaniepokoił się Antoni B. „Zgrubiała, to zwyczajne” - odparł funkcjonariusz szpitala.

Następnie był pogrzeb pierwszej klasy, nekrolog w gazecie, który dali podwładni Antoniego B., stypa i narada familijna. Po zmarłej została książeczka

z siedemnastoma tysiącami wkładu, dwa złote pierścionki i carska złota pięciorublówka. Syn Antoniego B. prosił, żeby dać to jemu na urządzenie mieszkania, które ma dostać w przyszłym roku. „Wszystko pójdzie na nagrobek. Jeszcze każde z nas dołoży po pół pensji” - zdecydował Antoni B.

Z zeznań kierownika administracji szpitala, w którym zmarła Maria B.:

„...o godzinie w przybliżeniu dziewiątej rano przyszedł do mnie sanitariusz z prosektorium, mówiąc, że jest nieprzyjemna sprawa. Po zmarłą Olgę D. przybyła rodzina i odmawia odebrania zwłok, twierdząc, że to nie jest ciało Olgi D. Zapytałem sanitariusza, czy mogła się zdarzyć pomyłka. Odpowiedział, że to absolutnie wykluczone. Zszedłem wtedy osobiście na dół, złożyłem kondolencje w imieniu dyrekcji i powiedziałem: „Państwo są w błędzie, proszę nam nie utrudniać pracy”. Na to przybyły mężczyzna oświadczył, że oni tego ciała nie zabiorą, że w końcu on potrafi rozpoznać własną teściową, a jego żona własną matkę, którą dwa dni temu widzieli jeszcze żywą, i żebym sam się przekonał. Tu mężczyzna nazwiskiem Jerzy Z. wyjął z portfela zdjęcie i poprosił, żebym wszedł do kostnicy i porównał. Rzeczywiście podobieństwa nie było, ale z drugiej strony zdjęcie wyglądało na zrobione dosyć dawno temu. Poprosiłem, żeby przybyli za dwie godziny powtórnie, to dyrekcja wdroy w tym czasie dochodzenie, sprawa się wyjaśni i otrzymają właściwe zwłoki. Po odejściu rodziny zmarłej zaprosiłem do mojego gabinetu lekarza zajmującego się u nas sekcjami zwłok, Edmunda J., oraz sanitariusza. Z ich informacji wynikało, że w prosektorium, a następnie w kostnicy istotnie znajdowały się zwłoki aż dwóch starych kobiet równocześnie. Zmarły one w odstępie około trzech godzin jedna po drugiej. Nigdy w historii szpitala nie miało jednak miejsca pomylenie zwłok i jest ono praktycznie wykluczone...”

Tu następowała dłuższa partia zeznań, zawierających wyjaśnienie sposobu postępowania ze zwłokami i zabezpieczenia się przed pomyłką.

„...Po powtórnych przybyciu córki i zięcia zmarłej Olgi D. wezwałem ich do przyjęcia ciała, informując, że dochodzenie wykazało, iż nie ma tu żadnej pomyłki. Wobec ich stanowczej, powtórnej odmowy, postanowiłem zawiadomić dyrektora szpitala. Udałem się do jego gabinetu, ale sekretarka powiedziała, że dyrektor wcześniej wyszedł. Zadzwoiłem do niego do domu. Nikt nie odpowiadał. Ponieważ była to sobota, powiedziałem ob. Jerzemu Z., że musi przyjść raz jeszcze, w poniedziałek rano, gdyż obecnie nic się nie da zrobić.”

Dyrektor szpitala dr med. Karol N. przyjął Jerzego Z. z żoną w poniedziałek około dziesiątej, po dwugodzinnym ich oczekiwaniu w jego sekretariacie. Przez ten czas dyrektor badał sprawę i porównywał zdjęcie z ciałem. Zrobił także to, co jego współpracownikom nie przyszło do niedyrektorskich w końcu głów. Wezwał do kostnicy lekarza, który prowadził przypadek, pielęgniarkę i salową. Dowiedział się

od nich, że to istotnie nie jest ciało Olgi D., tylko Marii B. Następnie zamówił błyskawiczną rozmowę z przedsiębiorstwem pogrzebowym w mieście, gdzie Maria B. mieszkała, i dowiedział się, że jej pogrzeb odbył się w sobotę po południu.

Po dokonaniu tych czynności dyrektor dr med. Karol N. zaprosił Jerzego Z. z żoną do gabinetu i kazał sekretarce podać kawę. Po złożeniu kondolencji Karol N. rozpoczął dłuższy wykład medyczny o tym, jak bardzo człowiek zmienia się po śmierci i dlaczego tak się dzieje. Potem mówił o psychicznym szoku, jakim jest dla rodziny śmierć kogoś najbliższego i zaapelował o zabranie ciała. Kiedy Jerzy Z. i jego żona po raz trzeci odmówili, dyrektor poprosił ich, aby poczekali w gabinecie, a sam wyszedł. Lekarz, który prowadził przypadek Olgi D., odmówił stwierdzenia przed jej rodziną, że zwłoki Marii B. są zwłokami Olgi D. Podobnie postąpiła pielęgniarka. Dyrektorowi udało się przekonać salową. Nie dość na tym. Dyrektor namówił kucharkę, żeby włożyła strój pielęgniarski i wystąpiła w charakterze jednej z sióstr, które opiekowały się Olgą D. Następnie do kostnicy zszedł pochód: Jerzy Z. z żoną, dyrektor, salowa, kucharka, kierownik administracji i sanitariusz z prosektorium. Wszyscy obecni pracownicy szpitala po kolei rozpoznali w zmarłej Olgę D. i twierdzili, że pamiętają jej wygląd z całą dokładnością, bo wszyscy często widywali ją za życia.

Jerzy Z. i jego żona okazali wielkie zdenerwowanie, oświadczyli, że to jest zbiorowa mistyfikacja i odmówili zabrania ciała.

Wprost ze szpitala Jerzy Z. udał się do prokuratora. Nazajutrz rano dr Karol N. wezwany był na przesłuchanie i trzy godziny czekał w poczekalni; nim go prokurator przyjął. Nie była to niegrzeczność wobec bądź co bądź dyrektora szpitala. W czasie kiedy tu czekał, funkcjonariusze MO w cywilu przeprowadzili w szpitalu spieszne dochodzenie i ustalili nie tylko to, że pomyłono zwłoki, ale i to także, iż dyrektor zaaranżował całe przedstawienie, makabryczną mistyfikację.

Rozmowa prokuratora z dyrektorem zaczęła się więc nie od tego, co doktor zrobił, ale od razu od tego, dlaczego to uczynił.

Wypowiedź dyrektora była szczerą i obszerną. Jak to się stało, że zwłoki zostały pomyłone, tego nie udało się ustalić ani jemu, ani, jak słyszy, milicji. Fakt jest faktem. Nie ma tu żadnej jego bezpośredniej winy. Mógł spokojnie oświadczyć tej parze, która przyszła po ciało, że zamieniono zwłoki. W końcu cóż, ewentualnie wpisano by mu w akta jakieś upomnienie czy naganę za niedostateczny nadzór nad pracą podległego mu personelu, czyli za winę teoretyczną, bo przecież nie może stać i patrzeć, co robi każdy ze 130 jego pracowników. Skandal związany z placówką, którą kieruje? Cóż, to nieprzyjemne, oczywiście, może jednak zapewnić, że nie zagroziłoby to jego pozycji w służbie zdrowia, ugruntowanej od lat zresztą bardzo pomyślnie. Motyw ochrony przed odpowiedzialnością

współpracowników, tego sanitariusza i lekarza opiekującego się prosektorium? Lekarzowi groziła też najwyższa dyscyplinarna odpowiedzialność za brak nadzoru. A niechby i dla przykładu zdecydowano się wyrzucić sanitariusza z pracy. Wielka też mu krzywda! Każdemu pracownikowi szpitalnictwa wiadomo, jak trudno znaleźć człowieka do takiej roboty. Słowem, dyrektor nie miał żadnych osobistych motywów, żeby wmawiać ciało Marii B. obcej rodzinie. I nigdy by tego nie uczynił, gdyby się był nie upewnił, że Olga D. została już pochowana jako Maria B. Chodziło mu wyłącznie o rodzinę tej ostatniej.

Czy prokurator pochował kiedy kogo bliskiego? Niech sobie wyobrazi: nadchodzi straszna wiadomość, więc wizyta w szpitalu, obejrzenie i zabranie ciała, pogrzeb, stypa. Teraz ludzie chcą jak najszybciej wrócić do codzienności, zapomnieć. I oto szok! Pomyłono zwłoki. Ekshumacja, makabra, wszystko na nowo, od początku, wtedy, kiedy nastąpiło odprężenie nerwowe. I ten szok moralny: „Jak to, nie rozpoznaliśmy własnej matki, babci?” Okropne przeżycia, straszna krzywda. Dlatego i tylko dlatego podjął próbę kłamstwa, wmówienia rodzinie Olgi D., że ma do odebrania właściwe zwłoki. Gdyby się udało, nikt nie miałby krzywdy, nie przeżyłby szoku. A obu staruszkom naprawdę jest już wszystko jedno, w której leżą mogile, pod jakim nazwiskiem i kto je oplakuje.

Dyrektor uznał, że warto zaryzykować - podjął próbę, przegrał i gotów jest ponieść odpowiedzialność, tym przykrzejszą, że obie będące w żałobie rodziny patrzeć nań będą jak na potwora, mimo że właśnie dla ich dobra chciał się znaleźć humanitarnie.

Jeśli prokurator - nie jako urzędnik, lecz jako człowiek - uznaje jego racje, niechaj zgodzi się, aby on podjął ostatnią jeszcze próbę, to znaczy sam wszystko szczerze wyjaśnił pani Z. i jej mężowi Jerzemu Z. i zaapelował do nich po ludzku. Niechaj okażą względy rodzinie Marii B. Niech dadzą spokój pochowanym z pietyzmem zwłokom swej matki. Niechaj pochowają Marię B., przyjmując, że ona symbolizuje ich matkę, boć po śmierci człowieka chodzi już tylko o symbole.

Prokurator odparł, że żąda się odeń łamania przepisów, których on jest strażnikiem. Nie może na pytanie dyrektora kategorycznie odpowiedzieć, ani podjąć samodzielnie decyzji. Musiałby poradzić się przełożonych. Niechaj jednak dyrektor spróbuje porozmawiać z Jerzym Z. Bo jeśli zięć i córka zmarłej zgodzą się - prokurator nie będzie zmuszony do rozstrzygnięcia konfliktu moralnego i służbowego.

Karol N. odbył z państwem Z. rozmowę, która trwała cztery godziny. Państwo Z. odpowiedzieli, że rozumieją i nawet szanują jego racje, ale czy pomyślał, co oni przeżywają już od kilku dni, co myśleli i czuli w trakcie makabrycznej sceny, kiedy nad obcymi zwłokami kilka osób w żywe oczy im kłamało, że to jest ciało ich

matki? I czy ktokolwiek może od drugiego człowieka żądać, żeby obcej osobie wyprawiał pogrzeb jako własnej matce, żył potem z tą świadomością i składał kwiaty nie na tym co należy grobie? Państwo Z. odpowiedzieli: „nie”, bo chociaż zwłoki to już tylko symbol, ludziom nie jest obojętne, co pełni tę symboliczną rolę.

Prokurator zarządził ekshumację.

Jeśli kogoś obchodzi, co było dalej, jak wyglądała odpowiedzialność Karola N. i innych, wyznam, że mnie to nie interesowało. Jestem po stronie doktora N.

Recydywa

Kiedy to się stało, władze otrzymały list podpisany przez kilkudziesięciu pracowników Zakładu:

„My, pracownicy i robotnicy Państwowej Wytwórni (...), domagamy się sprawiedliwości na Zakładzie. U nas jest normalnie Dallas”.

A potem były fakty, które wyglądały na skłamane, bo nie mieściły się w granicach prawdopodobieństwa.

„...i ten ob. Jan M. w godzinach pracy zabił przechodzącą pracownicę transportu, wózkową ob. Jadwigę F. Jako wdowa i matka czworga dzieci leżąc w kałuży krwi wzbudziła oburzenie pracowników drugiej zmiany. Ludzie pobiegli do telefonu w pakowalni dzwonić na MO. Widząc to Dyrekcja powiadomiona o fakcie wezwania MO wywiozła mordercę przed ręką sprawiedliwości samochodem służbowym. Czy tak powinna postąpić Dyrekcja w Polsce Ludowej?”

„Ucieczka mordercy ob. Jana M. ułatwiona przez Dyrekcję przebiegała po drodze cynizmu. Z rękami we krwi jej matki pojechał morderca do córki zamordowanej ob. Jadwigi F., Genowefy, i namówił ją na stosunek intymny. Następnie wziął od niej pieniądze w kwocie 800 zł na dalszą ucieczkę. Kiedy z Zakładu przybył przedstawiciel powiadomić Genowefę F. o zabiciu jej matki Jadwigi, ona bardzo się zdziwiła słysząc, kto jest sprawcą zamordowania, ponieważ morderca ob. Jan M. znajdował się obok w pokoju.”

List ten, będący skargą i rezolucją domagającą się surowej kary dla zbrodniarza, zawiera więc opis zdarzeń niesamowitych, a prawdziwych. Ale rzecz ciekawa: ta prawda jest naprawdę. Obraz zdarzeń uległ zafałszowaniu skutkiem zbyt lapidarnego referowania faktów, pomijania okoliczności, które im towarzyszyły, i motywów poczynań ludzi.

Było tak: Jan M., należący do czołówki tokarzy, na jakiś czas przed końcem jego zmiany (pierwszej) zwolniony został do pracy społecznej, polegającej na podejmowaniu w świetlicy gości zagranicznych kawą i winem. Po odjeździe gości, odejściu dyrektora i innych dostojników fabrycznych, w świetlicy zostało sporo nie wypitego wina, a w związku z tym także Jan M. i jego kolega Stanisław Ch. Młodzieńcy popili się do półprzytomności. Stanisław Ch. strącił niechcący popiersie Fryderyka Chopina stojące na drewnianym postumencie. Nadwerężyło to kompozytora, i bibkowicze zastanawiali się, co robić. W przypływie fanfaronady Jan M. chwycił Chopina i wyrzucił przez okno trzeciego piętra. Trafił 47-letnią Jadwigę F., przejeżdżającą mimo budynku dyrekcji pneumatycznym wózkiem. Kobieta upadła brocząc krwią. Było złamanie podstawy czaszki. Zmarła w kilka dni

później w szpitalu.

Zbiegli się ludzie, tłum. Dyrektor, widząc zbiegowisko, zszedł na dół ze swojego gabinetu. Nagle w drzwiach klatki schodowej wiodącej do świetlicy stanął pijany Stanisław Ch. Przeciwko niemu zwrócił się gniew tłum. Przerażony Ch. począł krzyczeć, że Chopinem rzucił Jan M. Ludzie wdarli się na schody i szli ku świetlicy. Słyszając odgłosy zbliżającego się tłumy, Jan M. drugimi drzwiami umknął z świetlicy, a bojąc się zejść na dół, ukrył się w sekretariacie dyrektora. Szef zakładu wrócił do siebie telefonować i znalazł Jana M. w sekretariacie. Szybko, frontowym wyjściem wiodącym wprost na ulicę wyprowadził go z Zakładu, wsadził do swojego wozu i kazał kierowcy - jak twierdzi - wieźć go do komendy MO. Szofer nic nie wiedział o zdarzeniach wewnątrz fabryki. Mówił potem, że dyrektor kazał mu odwieźć Jana M., ale nie powiedział, dokąd. Dyrektor utrzymywał, że kierowca po prostu go wtedy nie dosłyszał. Dość że Jan M. odwieziony został do domu. Zabawił tu tylko chwilę. Włożył głowę pod kran i wyszedł. Po chwili zjawił się w mieszkaniu swojej ofiary.

Zakład, gdzie wszystko to się zdarzyło, powstał przed pierwszą wojną światową. Jego załączkiem był tartak. Właściciel kupił wielki obszar lasu i przerabiał go na budulec. Kiedy jakiś pracownik się żenił, wydzielał mu działkę owego lasu, pozwalał ścinać drzewo, obrobić w zakładzie i budować się. Potem robotnik latami odrabiał działkę i dom. Las dostarczał właścicielowi nie tylko surowca, ale także opłacał robociznę. W ten sposób wyrosło zakładowe osiedle w bliskości fabryki i na jej ziemi. Drewnianych domów już nie ma, ale nowe osiedle fabryczne jest na starym miejscu. Trzy czwarte załogi mieszka razem i wszyscy są jak jedna wielka rodzina, a to oczywiście nic przyjemnego.

Jan M. poszedł więc do sąsiadki, bo człowiek w nieszczęściu szuka człowieka. Z tą sąsiadką, 20-letnią Genowefą, były okresy - romansował i sypiał, były - nie romansował i nie sypiał. W śledztwie i przed sądem wyjaśniał potem, że kiedy do niej szedł po pociechę i pieniądze, nie wiedział, że to matkę Genowefy ugodził Chopinem, i nie przypuszczał, że na śmierć. Twierdził także, że pieniędzy nie brał na ucieczkę. Istotnie nigdzie nie uciekał.

Kiedy dziewczyna dowiedziała się od przedstawiciela zakładu, co jej amant zrobił, i później, kiedy matka umarła - Genowefa F. wyrażała się o Janie M. najgorszymi słowami - do ludzi i do protokołu: zabił jej mamusię i zaraz prosto do niej na wyro! Znalazło to odbicie w liście załogi.

Jan M. został skazany na trzy lata więzienia za zabójstwo nieumyślne (choć był oskarżony o umyślne: mógł przewidzieć skutek rzucania Chopinem) i z więzienia pisał do Genowefy F. listy, że o niej myśli, że jak wyjdzie, to się z nią ożeni, weźmie na utrzymanie troje jej rodzeństwa i będzie przyjemne z pożytecznym, gdyż tym

sposobem odkupi swoją winę. Genowefa F. odpisała tylko raz: że to jest straszna bezczelność i że go nienawidzi. Potem nie odpowiadała na listy, choć on pisał wytrwale. Wzięła sobie do domu innego mężczyznę, też tokarza i też z zakładu, ale się nie ożenił, bo był już żonaty. W miarę jak ten mężczyzna, który z nią mieszkał, coraz więcej pił, zaczęła pisać listy do więzienia. A kiedy Jan M. po dwóch latach wyszedł, przegoniła tamtego i pobrali się.

Odsiedziawszy karę Jan M. przyszedł do dyrektora, powiedział, że już swoje odcierpiał i chce wrócić do pracy w ramach polityki postpenitencjarnej. Dyrektor odpowiedział, że go nie przyjmie, bo ma 500 ludzi załogi i w pamięci obraz tłumu, który chciał Jana M. rozszarpać. Gdyby go przyjął, byłoby w zakładzie wielkie oburzenie, mogłaby nawet spaść wydajność. Nie umiałby także zagwarantować Janowi M. bezpieczeństwa. Jan M. jednak był uparty i nachodził dyrektora z wielką namolnością, bo gdzie szukać pracy, jak się mieszka na wygwizdowie w przyfabrycznym osiedlu. Z drugiej strony dyrektor zorientował się, że Jadwigę F. i jej śmierć mało kto chce pamiętać i ludzie nic już nie mają przeciwko Janowi M. Kiedy zaś ożenił się on z Genowefą F. i wziął na utrzymanie sieroty, uznano go za rzadko porządnego człowieka, który po prostu kiedyś tam wypił sobie i nieco narozrabiał.

Wręcz odwrotnie potraktowano Genowefę F., kiedy po osiedlu się rozniosło, że wzięła, skądinąd po cichu, ślub z zabójcą swojej matki. Pracowała jako listonoszka i po ślubie musiała się zwolnić z pracy, bo do kogo przysłała z listem, ten jej ubliżał. Sąsiadki przestały z nią rozmawiać, a dzieci pisały jej na drzwiach wyrazy. Genowefa F. prosiła męża, żeby się wynieśli gdzieś z tego miejsca, ale nie było żadnego sposobu, aby wędrować w Polskę z trojgiem dzieci przy boku.

W dzień Wszystkich Świętych 1972 roku Genowefa F. z mężem i rodzeństwem poszła na grób matki. Na jej widok baby zrobiły szpaler i nie chciały dopuścić jej do mogiły, tylko ubliżały. Jan M. pociągnął żonę do domu, ale posypały się za nią grudy ziemi i kamienie. Jan M., który ciągnął ją za rękę, także dostał. Odwrócił się w pewnej chwili, wziął kamień, rzucił i pechowo trafił.

Obecnie odsiaduje wyrok, także trzyletni, mimo że sąd wymierzając karę wziął pod uwagę okoliczności łagodzące.

Ład moralny

Inż. Mirosław O., oskarżony ostatnio przez prokuraturę, ponieważ kilkakrotnie skatował sznurem od żelazka swoją 19-letnią siostrę Monikę, a następnie ją uwięził - mógłby za Kantem powtórzyć, że przedmiotem jego zachwyty jest „niebo gwiaździste nade mną i ład moralny we mnie”. Tym łatwiej mógłby, że gada chętnie, dużo i górnio. Śladem związków inż. mgr O. z gwiazdami jest jego list do ministra przemysłu maszynowego. Zwraca się w nim z prośbą o udzielenie mu w drodze wyjątku takich ulg w pracy, aby mógł studiować astronomię. Owo utrzymane w agresywnym tonie pismo, dołączone do akt sprawy przez obronę, mówiące o urokach astronomii, bezduszości przemysłowej administracji, prawie i potrzebie człowieka do swobodnego rozwijania osobowości, nim nie wkręci jej w swe tryby przemysłowa rutyna - nie powstało z przekory ani fanaberii. O Mirosławie O. wiadomo, że zanim je wystosował, na wykłady z astronomii chadzał jako wolny słuchacz. Mimo to koledzy nie uważali go za pomyleńca, gdyż inżynierem jest akuratnym.

Swój ład moralny gruntował starannie i jeśli już, to z tej właśnie przyczyny otoczenie miało go za dewianta. Mirosław O. dobiega trzydziestki, od sześciu lat pracuje w dużej fabryce, jest zastępcą głównego technologa. Mieszka w pokoju przy rodzinie, danym mu przez fabrykę, i nie stara się o mieszkanie, gdyż go (często twierdzi tak niepotrzebnie, z obrazą ludzkich uszu) nie potrzebuje. Ma w tym swoim pokoju starą kozetkę, stół i krzesło. Tkwi tam nad książkami, nie pijąc, nie paląc i nie przyjmując gości. Nawet kobiet. Żywi się stołówkowym obiadem i litrem mleka, dzielonym na dwie porcje - ranną i wieczorną. Sport go nie ciekawi, ale godzinę dziennie biega wzdłuż fabrycznego muru, po zewnętrznej stronie. Tak siebie i swoje życie wymyślił ten abnegat. Byłby pewno nie do zniesienia dla innych, gdyby nie to, że w fabryce zachowuje się normalnie; dosyć koleżeński, nawet nie mrukliwy, sprawny fachowo i pilny, przecie nie fanatyk pracy. Nie poznać w nim wtedy dewianta, póki nie zacznie mówić o pieniądzach, kobietach, życiu, człowieku i książkach. O kobietach mianowicie powiada, że owszem, aby tylko nie wdać się w nic stałego i trzymać te sprawy gdzieś na trzecim planie zajęć i myśli.

O pieniądzach mówi, że go nie obchodzą. Każdy, kto choć raz porozmawiał z nim prywatnie, informowany był, zresztą zgodnie z prawdą, że zostawia on sobie z pensji na obiady, świadczenia, bilet miesięczny, mleko i książki, zaś resztę - circa pięć tysięcy miesięcznie plus różne okresowe nagrody, zawozi ojcu, by miał dodatek do renty. Mirosław O. obraża tym wszystkim ludzkie wyobrażenia o życiu, ale w fabryce pracują tysiące ludzi, pomyleńcy giną więc w masie, a w bezpośrednim obcowaniu O. nie jest kanciasty, chociaż niewątpliwie ma się za coś lepszego niż przeciętny inżynier i niż przeciętny człowiek. Proces Mirosława

O., który odbył się bez rozgłosu, nie dał jakoś ludziom tej przyjemności, jaką dać mógłby i powinien.

Ojciec Mirosława O. jest człowiekiem już wiekowym, po siedemdziesiątce, mimo że ma 19-letnią córkę. Emerytowany podmiejski nauczyciel z ładnym dodatkiem do renty. Posiada dom z ogródkiem i żonę obłożnie chorą. Matka inżyniera cierpi na opuchnięcie nóg, z trudem chodzi. Ich córka po zrobieniu matury nie dostała się na studia, a przez wzgląd na matkę (renta inwalidzka), ojca, ogródek i pięciotysięczny dodatek do rodzicielskich rent zwleka z rozpoczęciem pracy.

Inżynier O. w domu rodzinnym bywa rzadko i bodaj niezbyt chętnie, za przyjazdem zaś próbuje czynić porządki: piwnicę należy odgrzybić, matkę zawieźć do lekarza, w ogródku można by mniej warzyw, a więcej kwiatów, siostra powinna wyzyskać popołudnia na jakieś praktyczne kursy zawodowe.

W akcie oskarżenia prokurator stwierdza, że Mirosław O., z zawodu inżynier, przez cztery tygodnie, co niedziela, sznurem od żelazka bił swoją siostrę Monikę po wszystkich częściach ciała, od głowy poczynając, a na nogach kończąc. Te wszystkie części ciała są w dokumencie wymienione, podobnie jak zewnętrzne i wewnętrzne obrażenia spisane w trakcie lekarskiej obdukcji. Owo bicie dorosłej kobiety było wynikiem skarg jej matki, że córka zaniedbuje powinności domowe, obejmujące sprzątanie, pranie, gotowanie, sprawunki i pracę w ogrodzie, gdyż ma amanta i wobec tego stała się latawicą, która tylko patrzy, jak urwać się z domu. Inżynier napominał siostrę, że ich ojciec jest wspaniałym człowiekiem o niezwyklej przeszłości (okupacja) i wielkich zasługach, więc nie powinna mieć innych marzeń niż staranna nad nim opieka, skoro matka już nie może pracować. Bydłectwem jest przekładanie przez Monikę głupich romansów nad zajęcia domowe. Tak to klarował przed biciem, po biciu, a także w trakcie. Po tygodniu wracał i pytał, czy pomogło. Dowiadywał się, że nie...

Amant Moniki O., 23-letni fotograf, woził dziewczynę na obdukcje i usiłował - jak zeznał przed sądem - wydebić od niej, gdzie brat mieszka lub pracuje, gdyż pragnął mu sprawić takie samo lanie. Nie chciała mu tego wyjawić, on zaś w niedzielę był zbyt zajęty, żeby zacząć się na sadystę. Jeździł motocyklem jako rajdowiec czy żuźlowiec, w aktach jest to zapisane precyzyjnie.

Po czwartym biciu zamknięta na klucz w mieszkaniu dziewczyna znowu nie tylko nie chciała obiecać, że wyrzeknie się romansu, ale zapowiedziała, iż myśli zabrać się z domu na zawsze. Niechaj brat bije odtąd kogo innego, skoro lubi, i sam jeździ parzyć tatusiowi ziółka. Miała więc dubeltowe lanie.

We wtorek ojciec przyjechał do inżyniera do domu prosić, żeby już więcej Monika nie była bita, bo naprawdę zabiera się odejść. Uprosiła koleżankę, żeby wzięła ją na mieszkanie do wspólnego pokoju, załatwia sobie pracę w krawiectwie. Koleżanka ta

jest modelką, sprawy wyglądają więc kiepsko. Inżynier powiedział ojcu, aby był spokojny. On to załatwi.

Po tej wizycie Mirosław O. usiadł do pracy. Jej efekt załączony jest do akt sądowych: precyzyjne rysunki techniczne wykonane wprawną ręką. Przedstawiają łańcuch i obrożę na nogę. Wszystko zostało potem wykute przez najlepszych fabrycznych rzemieślników w ciągu dwóch dni.

W piątek Mirosław O. przywiózł te pęta do domu, ale ich zrazu nie pokazał. Bez słowa zaczął kuć ścianę, aż dosięgnął żelaznej belki nośnej w murze. Przyspawał do niej łańcuch. Dziurę zasklepił cementem. Począł, aż zaprawa skawaleje. Potem związał siostrę sznurami, założył jej dyby na lewą nogę i przyspawał uchwyty. Kiedy skończył robotę, Monika O. była na uwiesi i mogła się poruszać tylko po mieszkaniu. Łańcuch miał sześć metrów długości, i, obok sznura do żelazka, leżał potem na sędziowskim stole jako dowód rzeczowy.

Po odjeździe brata Monika O. podniosła krzyk przez otwarte okno. Wzywała pomocy. Ojciec uprosił ją, żeby przestała. Sam - powiedział - sprowadzi ratunek. Ślusarz przerznął łańcuch jeszcze tego samego dnia. Następnego, w warsztacie, z wielkim trudem zdjęto jej z nogi obręcz. Kto wezwał milicję, nie wiadomo, w każdym razie już w sobotę przesłuchano świadków i sporządzono protokół. W niedzielę inżynier nie zastał w domu siostry, a za to dowiedział się, że jest dochodzenie. W poniedziałek prokurator podpisał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu go, uzasadnione tym, że tylko zamknięcie inżyniera umożliwi jego siostrze bezpieczny powrót do domu.

Monika O. zeznawała przeciwko bratu. Jej ojciec odmówił zeznań, matka również. Fabryka wystawiła inżynierowi bardzo dobrą opinię. obrońca Mirosława O. wniósł o to, by jego klienta zbadał psychiatra. Oskarżony cofnął mu natychmiast pełnomocnictwo. Sąd z urzędu zarządził badanie.

Psychiatra sporządził ekspertyzę na piśmie. Stwierdza w niej, że obwiniony biegle zna części świata, wie, co jest stolicą Belgii i ile jest siedem razy osiem oraz twierdzi, że kocha rodzinę: tatusia, mamusię i siostrę, i nie ma trudności w kontaktach z kobietami. W szczególności nie uważa się za nieśmiałego, zawiera znajomości bez większego trudu, acz niezbyt często ma na to ochotę, a stosunki seksualne odbywa normalnie, to znaczy bez kłopotów i nie okazując jakichś szczególnych, niezwykłych upodobań. Jest zwolennikiem rygorystycznych metod wychowawczych.

W konkluzji biegły stwierdza, że oskarżony nie cierpi na chorobę psychiczną; w pełni, nawet jakby nadświadomie kieruje swymi poczynaniami, ma pełne rozeznanie ich sensu, jak również dobra i zła. Jest to osobowość nietuzinkowa, o pewnych wypaczeniach charakteru: maniak autorygoryzmu, cechy

charakteropatyczne itd. w zawodowym żargonie.

Mirosław O. skazany został na półtora roku z zawieszeniem warunkowym, przy czym gorliwą pracę zawodową, miłość do ojca i fakt, że mu dawał prawie wszystkie zarobki, uznano za okoliczność - to święta prawda! - łagodzącą. W ustnym uzasadnieniu wyroku sąd uprzedził go, że jeśli znowu tknie siostrę, pójdzie siedzieć.

Jak się później dowiedziałem, inżynier O. nie wniósł apelacji, przestał bywać w domu u rodziców i nie oddał się pod opiekę lekarzy, co by pewno uczynił, gdyby zachorował na grypę.

Grzybek

35 lat miał Adam A., magister prawa, wyższy urzędnik w jednym z wydziałów wojewódzkiej rady narodowej, kiedy w gmachu prezydium zatrudniono podniecającą pomoc bufetowej, dziewiętnastoletnią Monikę Ł., a on ją oczarował, poderwał, a potem rzucił. Dramat ten słynny był w urzędzie - bo panienka przez kilka dni publicznie płakała, sypała do herbaty sól zamiast cukru, rozbijała jajka wprost na palnik gazowy, zapominając podstawić pierwszej patelnię -- i budził ogólne współczucie, szczególnie pań urzędniczek. Adamowi A. po przyjacielsku przemawiano do sumienia, ale wstrząsanie jego domniemanym sumieniem byłoby pewno nieskuteczne, gdyby nie to, że spowodowało irytację magistra. Publicznie wysnęło mu się słowo „kuchta” i już był pretekst, aby powstała oficjalna sprawa Adama A. („Czy może pełnić swą wysoką funkcję, wymagającą uczulenia na troski świata pracy człowiek, który z taką pogardą odnosi się do osób bez wykształcenia?”) Istnienie sprawy doprowadziło wkrótce do małżeństwa Adama A. z Moniką Ł., przydzielenia im mieszkania, porzucenia pracy w bufecie przez żonę zastępcy kierownika wydziału i w rezultacie do wieloletniego, zgodnego pożycia państwa A.

W czternaście lat po tych zdarzeniach mgr A. ma lat 49, jego żona 33 i znowu przysparza Adamowi A. urzędowych kłopotów. Tym razem ich objawy są podskórne, głębiej utajone. Po czternastu latach magister A. jest nadal tym, czym był - zastępcą kierownika wydziału, ale jego żona jest zupełnie czym innym, niż była, mianowicie - właścicielką podmiejskiej kawiarni z dancinikiem, ogródkiem, wyszynkiem i daniami barowymi. Państwo A. mają świeżo zbudowaną willę, zastępca kierownika przyjeżdża do pracy dobrym wozem i w biurach prezydium ogólnie wiadomo, że więcej, niż ma pensji, wyrzuca na drobne wydatki. Adama A. trawi ambicja. Marzy mu się awans, udział w różnych ważnych komisjach, częste zaproszenia na posiedzenia prezydium, wzrost zakresu uprawnień i znaczenia. I chociaż oficjalnie nikt mu nie czyni zarzutu z tego, że żona ma kawiarnię - czuje on, że jego kariera jest zablokowana i że gdyby tylko był pretekst, szefowie radzi by go się pozbyć. Płaci więc drogo za luksusowe życie, a kalkuluje mu się tylko do czasu. Koszty własne dobrobytu wznoszą bowiem i w pożyciu domowym. Monika A. przyjęła do pracy w kawiarni 24-letniego młodzieńca. Pan A. zauważa wkrótce, że czuje się on jak współwłaściciel. Wpierw tylko domyśla się, że pomocnik został kochankiem żony. Wkrótce jednak Monika A. przestaje dbać o pozory; kupuje szczeniakowi mieszkanie, często spędza u niego noc, wyjeżdża z nim do kurortów. Większą część pieniędzy ładuje w amanta, a coraz mniej w męża i dom.

Magister Adam A. znosi to w milczeniu, nigdy nie czyni najmniejszej nawet aluzji do tego, że żona ma gacha. Czuje, że wystarczy, aby dał jakikolwiek po temu

pretekst, a zostanie na lodzie, bez grosza, porzucony, rozwiedziony, zdany na samotność i własną pensję. Taka jest jego ze wszech miar upokarzająca sytuacja życiowa, kiedy Pogotowie Ratunkowe znajduje go martwego. Sekcja zwłok potwierdzi później pierwotny domysł lekarza Pogotowia i milicji: zatrucie śmiertelne falliną, skutkiem spożycia grzyba zwanego bedłką sromotnikową, mającego niewinny wygląd pieczarki.

Okoliczności wypadku: w niedzielę rano Monika A. w towarzystwie swej 13-letniej siostrzenicy pojechała autem na grzyby. Nazbierała znaczną ich ilość i przyrządziła je duszone w śmietanie na kolację, którą jadła we dwójkę z mężem. W czasie kiedy była na grzybach, mąż spędzał przedpołudnie w domu. Odbył wszakże, co ustalono, przejażdżkę samochodową. Nie wiadomo, dokąd jechał, zapewne po prostu na spacer. (Państwo A. są dwusamochodowi.)

Monika A. po wypadku zeznała, że jest wychowana na wsi, zna się na grzybach. Nazbierała i przyrządziła mieszaninę różnych gatunków. Znalazła także trochę dzikich pieczarek, ale odróżnia je od bedłki sromotnikowej. Grzyby nałożyła na talerze w kuchni i przyniosła do stołu dwie odrębne porcje. Wówczas mąż poprosił, żeby od razu podała herbatę. Gdy wróciła z kuchni z napełnionymi szklankami, zjadł już prawie połowę swojej porcji. Ledwie zajęła się opróżnianiem talerza - zadzwonił telefon. Mąż pobiegł go odebrać do drugiego pokoju. Ponieważ nałożyła sobie za dużą porcję, a widziała, że mąż zjada z apetytem, w czasie gdy odbierał telefon, przerzuciła ze swojego talerza część grzybów na jego talerz. Pan A. wrócił, dokończył jedzenia. Ona także podniosła do ust jeszcze kilka kęsów, ale przerwała jedzenie, bo mąż poczuł się źle. Po chwili wezwała Pogotowie. Kiedy przyjechało, okazało się, że on już nie żyje. Gdy minął pierwszy szok, poczuła, że z nią także jest coś nie w porządku. Powiedziała o tym lekarzowi. Zrobił jej płukanie żołądka. Nazajutrz czuła się już dobrze.

Laboratoryjne badanie wypłukanej treści żołądka Moniki A. wykazało także obecność falliny, ale w niewielkiej dawce. Zrazu wszystko wyglądało na zwykły wypadek. Milicja zawiadomiła jednak prokuratora i ten z miejsca podpisał nakaz aresztowania, kiedy pod kredensem znaleziono garnuszek zawierający resztki wysmażonej śmietany przesyconej grzybowym jadem w wielkim stężeniu. Analiza chemiczna obu naczyń, w których przyrządzano grzyby, wykazała, że trucizna warzona była osobno, więc umyślnie. Monikę A. zaczęto przesłuchiwać jako podejrzaną o umyślne zgładzenie męża.

Jej obrona była logiczna. Po pierwsze, dlaczego miałyby go mordować? Owszem, ma kochankę, jest gdzie indziej zaangażowana uczuciowo, ale wystarczyło się rozwieść. W trosce o swoją karierę nieboszczyk zadbał, żeby kawiarnia była jej całkowitą własnością. Przy rozwodzie orzecznym nawet z jej winy, mąż mógłby rościć prawa tylko do połowy willi i jednego auta. Przy jej sytuacji materialnej to

nie jest dostateczny motyw morderstwa. Załóżmy jednak, że on jej nie chciał dać rozwodu, a ona pragnęła nie dzielić się willą i zatrzymać także drugi samochód. Dlaczego nie usunęła kompromitującego garnuszka z trucizną, nie zatarła śladów? Miała przecież na to tyle czasu, ile chciała. Mogła wpierw usunąć ten dowód, a potem dopiero wzywać Pogotowie. Powiedzmy wszakże, że straciła głowę i zapomniała o garnuszku podsuniętym pod kredens. Skąd w ogóle wziął się on w pokoju? Przecież truciznę od razu przyrządziłaby w kuchni i tam nałożyła mężowi na talerz. W dużym garnku, w którym przyrządzała grzyby, nie ma śladów trucizny. A więc - zakładając, że to jej wyczyn - w pokoju nałożyła ją mężowi na talerz, a i sobie zaaplikowała niegroźną dawkę, dla niepoznaki. Czyż jednak wtedy nie dołożyłaby także trucizny do resztek, które w kuchni zostały w garnku? Czy w zeznaniach wspominałaby o tym, że w trakcie jedzenia mąż odszedł do telefonu, więc miała czas i okazję, żeby mu dorzucić trującego grzyba na talerz? Czy mówiłaby o tym, że ona sama jadła mało i niechętnie?

Prowadzący dochodzenie, wysłuchawszy jej argumentów, musieli uznać, że ta mająca tylko siedem klas kobieta odznacza się nieprzeciętną inteligencją i że Adam A. przed czternastu laty popełnił o wiele mniejszy megaloman, niż mu się zdawało. Śledztwo przeciwko Monice M. zostało umorzone. Przyjęto bowiem hipotezę, że to Adam A. usiłował otruć żonę. Kiedy ona pojechała na grzyby, on także samopaś ruszył na grzyby, tyle że zbierał trujące. Przyrządził je w garnuszku na palniku, który miał w komórce służącej majsterkowaniu, schował w pokoju. Wysłał żonę po herbatę i wtedy wrzucił jej truciznę do talerza. Niedoszłej jego ofierze przypadek ocalił życie. Zadzwoił telefon. Mąż poszedł go odebrać i wtedy ona akurat trującą część swojej porcji przerzuciła na jego talerz. Gdyby nie to, Adamowi A. udałooby się zapewne zgładzić żonę. Potem dodałby trucizny do resztek grzybów pozostałych w garnku stojącym na kuchence, zniszczyłby mały garnuszek z kompromitującymi go śladami i stał się jedynym posiadaczem kawiarni, willi i dwóch samochodów.

Na rzecz tej wersji pośrednio przemawiają fakty ustalone w trakcie rozmów, które milicja przeprowadziła w biurze nieboszczyka. Na jakiś czas przed dramatem, przypuszczalnie poczynając od chwili, kiedy postanowił zgładzić żonę i obmyślił swą bliską doskonałości zbrodnię - zmienił się on w sposób radykalny. Był jako urzędnik nie do poznania. Ten pokorny wobec przełożonych, pełen zawsze dla nich respektu i przymilny człowiek nagle stał się arogancki. W sposób daleki od grzeczności wyrażał własne zdanie. W obecności kolegów nie tuił swojego krytycyzmu wobec zwierzchników i miał pełną gębę słów w rodzaju „ignorant”, „kretyn”, „cham”. Widocznie stłumił swe wieloletnie ambicje związane z urzędem i sposobił się do przyszłej roli niezależnego właściciela kawiarni.

Chyba że morderczynią jest Monika A. - tyle że genialnie sprytną.

Sprawiedliwość

Sprawa, która, jak się zrazu zdawało, kwalifikuje się do kroniki wypadków, urosła w jeden z bardziej skomplikowanych procesów poszlakowych. Sytuacja była następująca. Na warszawskiej ulicy Nowy Świat, w porze wzmożonego ruchu, samochody w dwóch rzędach stały przed przejściem dla pieszych, czekając na możliwość przejazdu. Działo się to na skrzyżowaniu bez świateł. Polskiego „fiata” prowadził 62-letni Michał R., wiceprezes rzemieślniczej spółdzielni zaopatrzenia i zbytu. Kiedy na zebra się przeredziło, ruszył i uderzył przednim zderzakiem przechodnia, który upadł i około dwóch metrów pchany był przez samochód. Gdy padał, zderzak rąbnął go w głowę, tak że zabrano go do karetki w ciężkim stanie. Stało się to wszystko, kiedy auto posuwało się naprzód z bardzo małą szybkością. „Fiat” przecież dopiero ruszał z pierwszego biegu i jak obliczono, nim przechodnia uderzył, przejechał 2 m 30 cm. Jechał - co potem obliczyli biegli - znów w tempie 7-8 km na godzinę i kierowca mógł zahamować w miejscu. Rzecz w tym, że kiedy ofiara wypadku osuwała się z maski na jezdnię, nie hamował, tylko dalej rozwijał szybkość, i wóz stanął, kiedy napotkał opór leżącego już ciała ludzkiego. Wówczas silnik zgasł.

Wina kierowcy byłaby ewidentna: ruszył, mimo że człowiek szedł pasami dla pieszych. Prawda, mógł tego przechodnia nie zauważyć. Bo po prawej jego stronie, skąd szła ofiara wypadku, stał samochód zasłaniający widoczność. Ale miał czas zahamować, aby osłabić uderzenie, a w każdym razie powinien był nacisnąć hamulec, gdy widział już człowieka na masce swojego wozu. Tymczasem kierowca tak się zatracił, że dodał wtedy gazu.

Wina Michała R. nie ulegałyby więc wątpliwości, a co za tym idzie także jego odpowiedzialność karna, gdyby nie to, że w ogóle nie wchodziła ona w rachubę. Michał R. nie miał prawa jazdy, prowadził wóz z tablicami „nauka jazdy”, obok niego siedział instruktor, Walery M., więc on ponosi odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Miał pod nogami dodatkowy hamulec, mógł ingerować na czas. Nie uczynił tego, ponieważ w momencie kiedy „fiat” stał i czekał przed pasami na czele kolumny wozów, instruktor wychylony przez okno rozmawiał ze swoim kolegą, kierowcą taksówki bagażowej, stojącej obok „fiata” po prawej stronie i zasłaniającej widok Michałowi R. Zagadany Walery M. nie zwracał uwagi na to, co robi jego uczeń. Na podstawie zeznań świadków ustalono, że gdy Michał R. ruszył, instruktor dalej nie patrzył przed siebie, tylko zwrócony do tyłu krzyczał coś do kolegi. Wtedy dopiero, kiedy przechodzień został uderzony - Walery M. zainteresował się jazdą swego podopiecznego, ale zanim wycofał ramiona z okienka i spojrzał na to, co się dzieje, było już po nieszczęściu.

Ofiara wypadku nazywała się Jan D. Mężczyzna ten, liczący 53 lata, z zawodu administrator domów mieszkalnych, zmarł następnego dnia w szpitalu. Przyczyną śmierci było uszkodzenie czaszki i mózgu, więc obrażenia, jakich doznał już po upadku na jezdnię, kiedy samochód, który go najechał, zamiast stanąć, parł naprzód.

Zaraz na początku śledztwa ustalono rzecz, która skłoniła prokuraturę do wystąpienia o zmianę zasad szkolenia kierowców. Otóż Michał R. miał nadzwyczaj słaby wzrok, a do tego nosił niewłaściwe szkła, to znaczy i za słabe, i jednakowe, mimo że powinien był mieć inną soczewkę dla lewego, a inną dla prawego oka. Człowiek o tak znacznym ograniczeniu zdolności widzenia w ogóle nie powinien otrzymywać prawa jazdy. Chodzi o to, że uczyć się prowadzenia może każdy, nawet zupełny ślepiec. Zaświadczenie lekarskie jest potrzebne dopiero do zdawania egzaminu na prawo prowadzenia pojazdów. W czasie samej nauki ludzie mało co widzący mogą narobić straszliwych szkód. Te ustalenia o szczególnym upośledzeniu wzroku Michała R. miały kardynalne znaczenie w jego procesie - bo jednak doszło do procesu Michała R. Były jednym z głównych argumentów obrony.

W śledztwie wdrożonym w związku ze śmiercią Jana D. początkowo Walery M. występował jako podejrzany i potencjalny oskarżony, zaś Michał R. tylko jako świadek. Ostatecznie zasiedli obaj na ławie oskarżonych, choć przed innymi sądami, w osobnych procesach. Michałowi R. wytoczono sprawę o zabójstwo umyślne. Nie o wypadek drogowy, ale o morderstwo z premedytacją przy użyciu samochodu.

Sensacyjny zwrot w sprawie spowodowało zeznanie wdowy po ofierze wypadku Janie D., która oświadczyła, że Michał R. nie był dla jej zmarłego męża człowiekiem obcym. Znał go, nienawidził i od lat pragnął zabić. Wyzyskał więc odpowiednią okazję.

Dwadzieścia trzy lata wcześniej, w roku 1949, we wschodnich rejonach Polski dokonano bardzo przemyślnego napadu na kasjera. W miejscowości Woszczany budowano wtedy cukrownię. Budowa połączona była co prawda żwirówką z szosą i tamtędy szły dostawy, ale pieniądze na opłacenia załogi oraz tabunu wozaków, na których opierał się ówczesny transport - wożono z miasta powiatowego, które nie było połączone drogą z placem budowy. Auto dowoziło kasjera do duktu leśnego i stąd musiał iść dwa kilometry pieszo przez las. Przewidywano, że taka wędrówka może być niebezpieczna. Towarzyszyło mu więc aż sześciu strażników z karabinami.

Któregoś dnia, gdy kasjer niósł - należałoby raczej powiedzieć: dźwigał - ponad 12 milionów starych, ówczesnych złotych, z lasu wypadła sfora psów i zaatakowała

kasjera i eskortę. Napadnięci sądzili, że to psy myśliwskie i rozpierzchli się po lesie. Strażnicy walili psy kolbami, ten i ów strzelił. Walka z psami trwała długo, a kiedy się skończyła, pokiereszowani strażnicy poczęli szukać kasjera. Znaleźli go w głębi lasu z przestreloną skronią i bez brezentowego worka, w którym na plecach dźwigał pieniądze.

Ówczesne śledztwa nie wyglądały tak jak dzisiaj. Zanim dodzwoniono się do milicji, zanim ta przyjechała, przestępca czy przestępcy byli daleko. Identyfikacja broni, z której padł strzał do kasjera, niewiele dała, bo był to poniemiecki pistolet. Takie zabawki znajdowało się jeszcze w rowach i na strychach. Śladów w lesie żadnych. Zostały psy, żywe i zabite, jedne i drugie równie małomówne.

W miesiąc czy dwa po tej zbrodni, na innym końcu Polski wsadzono do więzienia komendanta straży przemysłowej jednej z fabryk, złapanego na tym, że - w zмовie ze złodziejami z zewnątrz - ogołacał swój zakład z czego się dało, nawet maszynom nie przepuszczając. Przerzuty szły nocą przez boczną bramę.

Ów komendant nazwiskiem Jan D. siedział sobie w więzieniu czekając na wyrok, aż pewnego dnia zgłosił chęć rozmowy z oficerem śledczym. Powiedział, że dostał gryps od brata. Żona nie jest mu wierna. Przeprowadziła się do jego kumpla Michała R. i oboje mają zamiar porzucić go w nieszczęściu, a sami chcą się wynieść gdzieś do zachodniej części kraju. Otóż on woli odsiedzieć większy wyrok, ale w towarzystwie przyjaciela. Dlatego chciałby zeznać, jak to obaj z Michałem R. załatwili pewnego kasjera i zrabowali miliony.

Jak na ówczesne surowe lata, kiedy przestępstwa były jeszcze bardzo niewymyślne, Jan D. opowiedział niezwykłą historię:

Otóż Michał R., także pracujący w straży przemysłowej, założył jakąś szkołkę dla psów służbowych, potrzebnych wówczas tej formacji. Jak miało się okazać, wyszkolił niezłe bestie.

Krewny Jana D. pracował w Woszczanach i w czasie odwiedzin u niego Jan D. dowiedział się, jak niezwykłą drogą dopływa na budowę cukrowni gotówka. Zwierzył się Michałowi R., że miałby ochotę urządzić zasadzkę na kasjera. Przyjaciel zapalił się do tej myśli i zaproponował wyzyskanie psów. Przewieźli je ciężarówką. Kasjera Michał R. zastrzelił, aby nikt z napadniętych w lesie nie mógł rozpoznać bandytów. Psy porzucili i tą samą, prowadzoną przez Michała R. ciężarówką wrócili z łupem do domu. Na koniec Michał R. sfałszował dokument stwierdzający, że psy zostały przejęte przez inny organ władzy porządkowej.

Nim odbył się proces, Michał R. wyzyskiwał wszelkie możliwości pisania grypsów dla zapewnienia Jana D., że go ma za obmierzłego kapusia, więc go zamorduje przy pierwszej okazji. Potem Jan D. został skazany na dożywocie, a Michał R. na karę

śmierci. Owo dożywocie zostało złagodzone, później Jana D. objęła amnestia. Ostatecznie wyszedł po siedmiu latach. Michał R. skorzystał z ułaskawienia. Miał siedzieć dożywotnio. Wyszedł po 11 latach od chwili skazania, czyli w 1961 roku. Dawna żona Jana D. dochowała Michałowi R. wiary i jest po dziś dzień jego żoną. Jan D. po wyjściu z więzienia powtórnie się ożenił. Obaj bohaterowie napadu z psami ustabilizowali się po wyjściu z więzienia i nie okazali skłonności do recydywy. Natomiast ilekroć Michał R. sobie popił, czyli często, objawiał obsesje. Mówił, że istnieje człowiek, który nie powinien umrzeć śmiercią naturalną, tylko z jego, Michała R., ręki: wiarołomny przyjaciel, łobuz, który złamał mu życie. W gronie starych znajomych, którzy Jana D. także znali z dawnych czasów, nie krył, że to o niego chodzi. Od czasu do czasu wiadomości o tych pogroźkach docierały do Jana D. I obecnie wdowa po nim podała kilka nazwisk osób, które jej męża uprzedzały, że Michał R. ciągle myśli o zemście.

Osoby te potwierdziły, że istotnie Michał R. ciągle, jeśli tylko uprzednio wypił, mówił, że zabije Jana D. Były to zeznania istotne dla prokuratora, który wniósł do sądu akt oskarżenia przeciwko Michałowi R. o umyślne zabójstwo Jana D. Według aktu oskarżenia sprawy miały się następująco: Michał R. nie planował zamachu na dawnego przyjaciela. Nie mógł przewidzieć, że nawinie mu się pod koła. To był przypadek. Siedział w „fiacie”. Nagle zobaczył przed sobą przechodzącego pasami wroga i natychmiast uruchomił samochód, trącił go, spowodował upadek, następnie dodał gazu zamiast hamować, co Jana D. uśmierciło. Zabójstwo było rozmyślne, a decyzja podjęta została ad hoc. Michał R. działał pewien bezkarności - uczy się dopiero jeździć, nie odpowiada za wypadki.

Obrona powoływała się na to, że obaj antagoniści od wielu lat mieszkali w tym samym mieście, a nigdy Michał R. nie objawił czynnie złych zamiarów wobec Jana D., nie szukał go, nie znał miejsca pracy ni adresu, choć wiedział, że mieszka on w Warszawie. Dalej obrona pokazywała zdjęcia ofiary z 1949 r. i zrobione tuż przed śmiercią. Czy w ogóle Michał R. mógł go rozpoznać w mgnieniu oka, szczególnie jeśli lekarze stwierdzają u niego daleko posuniętą wadę wzroku? Dalej: Jan D. zszedł z chodnika i posuwał się po zebrze. Chodnik, gdzie stał i prawa część przejścia dla pieszych były zasłonięte przez furgonetkę marki „Żuk” - taksówkę bagażową, z której kierowcą rozmawiał towarzyszący Michałowi R. instruktor. Oba wozy stały obok siebie w odległości 70-90 cm, czyli jednego kroku. Eksperyment śledczy wykazał, że z pozycji człowieka siedzącego w „fiacie” nie można było dostrzec Jana D., póki nie wyłonił się zza „żuka”. Obliczenia wykazują, że od chwili, kiedy Michał R. mógł zobaczyć idącego człowieka, do momentu, kiedy go uderzył przednim błotnikiem, upłynąć mogły najwyżej trzy sekundy. Kierowca tak niesprawny, jak Michał R., nie zdążyłby w tym czasie ruszyć, nawet zakładając, że miał już włączony bieg, choć twierdzi, że stojąc przed przejściem dla pieszych biegu nie miał włączonego. Wniosek jest tylko jeden: Michał R. zaczął ruszać, nim

ukazała się sylwetka Jana D. Zaabsorbowany mechanizmami samochodu nie zauważył człowieka, który w ostatniej chwili wyłonił się zza „żuka”. Samochód już ruszał, a kierowca nie mający wyrobionego refleksu, zdenerwowany widokiem człowieka przed maską auta zagubił się i zamiast nacisnąć hamulec, dodał gazu. Winien jest instruktor samochodowy, który karygodnie zaniedbał obowiązków, wdając się w pogawędkę ze znajomym. Przeciwko tym wszystkim argumentom stoi tylko jeden: że po wódce Michał R. odgrażał się Janowi D. Ale gdyby w sądzie powodować się tym, co ludzie paplą po wódce, mielibyśmy w więzieniach kolosalne przepełnienie. Nie jest winą Michała R., że zdarzył się wypadek o prawdopodobieństwie jak jeden do milionów - że człowiekiem, który wlezie mu pod koła, będzie jego stary wróg.

Sąd uniewinnił Michała R., motywując to tym, że ma wątpliwości co do jego winy, więc rozstrzygnięcie musi wypaść na korzyść oskarżonego, bo tak mówi prawo. Każdy sąd miałby tu wątpliwości, interpretować je trzeba - skłaniając się ku uniewinnieniu. Żaden sąd nie jest w stanie ustalić, co dzieje się w ludzkiej głowie w jakimś ułamku sekundy.

Żona Jana D. stara się dotrzeć, gdzie tylko można, i domaga się sprawiedliwości wołając, że przekupny sąd wypuścił złapanego za rękę mordercę. Gdzie istnieje sprawiedliwość, tam także istnieje poczucie, że jej nie ma, żywione przez wszystkich, którym nie po myśli są konkretne orzeczenia, cóż z tego, że obiektywnie słuszne.

Walizka

Eugeniusz Ł., technik-projektant w biurze konstrukcyjnym fabryki, facet 26-letni, robiący zaocznie dyplom inżyniera, zawiadomił milicję, że mu skradziono sprzed domu auto marki „syrena”. Postawił je w sobotę wieczorem, a w niedzielę rano wozu nie było.

Samochód znaleziono tegoż dnia. Był roztrzaskany o drzewo na szosie. Z wnętrza wyciągnięto zwłoki Romualda C., 23-letniego studenta politechniki. Badanie krwi wykazało, że nieboszczyk już z samego rana nie był trzeźwy.

Eugeniusza Ł. zapytano, czy zna zmarłego. Okazało się, że tak, to był jego kumpel. Chciał pożyczyć wóz na niedzielę. Eugeniusz Ł. odmówił. Wziął więc sobie sam i nie poszło mu na zdrowie. „Szkoda maszyny, szkoda kumpla.”

Milicję drogową, która prowadziła dochodzenie, zastanowił dziwny fakt: w stacyjce wozu roztrzaskanego o drzewo nie było kluczyka. Złodzieje aut często obywają się bez niego. Na przykład wyjmują przewody i łączą je poza stacyjką. „Syrence” jednak nikt w bebechach nie grzebał. Wyglądało na to, że po roztrzaskaniu auta kierowca wyjął kluczyk, wyrzucił go i dopiero potem skonał. Mało kto mając rozwaloną głowę, pokiereszowany korpus itd. na sekundę przed zgonem zajmuje się takimi manipulacjami. Eugeniusza Ł. zapytano, jak sobie tłumaczy zniknięcie kluczyka. Technik-projektant w ogóle nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Milicja także. Jak Romuald C. uruchomił samochód? Właściciel auta twierdził, że on miał tylko jeden kluczyk i ma go dalej - o tu, w kieszeni. Książkę wozu oczywiście także. Drugi kluczyk (każde auto zaopatrzone jest w dwa klucze) zgubił już dawno temu. Koleżka musiał być sobie dorobić czy dopasować klucz do jego „syreny”. Powiedzmy, ale dalej pozostaje otwarte pytanie: co się z nim stało po wypadku? Teoretycznie ktoś przechodzący czy przejeżdżający szosą mógł wyjąć z wraka samochodu kluczyk, ale to mało prawdopodobne, bo po co?

„Syrenka” została roztrzaskana o drzewo około 10 rano. Ruch na szosie był wtedy niewielki. Zauważył ją kierowca PKS. Zatrzymał autobus, obejrzał, co się stało, wyładował ludzi i pojechał do telefonu dać znać na Pogotowie Ratunkowe i na milicję. Nikt z pasażerów nie zaglądał do auta. Zadbał o to funkcjonariusz MO, który przypadkiem był wśród pasażerów PKS-u. Ale oczywiście kierowca autobusu nie musiał być pierwszym, który zauważył roztrzaskane auto.

Eugeniusz Ł. mieszka w blokach za miastem. Jego auto parkowało na placyku między domami, wśród kilku innych samochodów. W okolicy jest śmietnik i garaże. Widać ten placyk z dziesiątków okien. Nie jest to miejsce sposobne do kradzieży auta w biały dzień. Ale może Romuald C. zabrał je nocą? Okazało się, że

nie. Rano, koło ósmej, właściciel innego auta, który z rodziną wyjeżdżał na wycieczkę, widział tę „syrenkę”. Jeszcze stała. Poczęto wypytywać innych lokatorów. Znalazła się kobieta, która około dziewiątej rano wynosiła śmieci i widziała dwóch mężczyzn wsiadających do „syrenki”. W jednym, z nich - twierdzi - rozpoznaje Eugeniusza Ł., którego zna z widzenia.

Droga, którą ona szła ze swojej klatki schodowej do śmietnika, w najbliższym punkcie oddalona jest od parkingu o 80 metrów. Eugeniusz Ł. twierdzi, że tego ranka nie schodził do samochodu. Kobieta mogła widzieć kogoś doń podobnego. Sama nie wyklucza takiej możliwości. Przecież nie przyglądała się zbyt uważnie. Obecny nieboszczyk mógł zabrać auto z kimś innym, z jakimś kolegą, który potem jechał razem z nim, przeżył wypadek, zabrał kluczyk i zwiął, żeby nie odpowiadać za udział w kradzieży auta. Tylko po co zabrał kluczyk? Cóż, był zaszokowany kraksą, więc nie postępował logicznie. Ale dlaczego Eugeniusz Ł. utyka na lewą nogę?

W tej sprawie - wyjaśnia właściciel byłej „syrenki” - jest milicyjny protokół. To historia z poprzedniej niedzieli. Ma także związek z Romualdem C., ale nic wspólnego z wypadkiem, w którym kumpel zginął. Pojechali za miasto „syreną”, teraz już nieboszczką, zabrali dwie dziewczyny chętne, żeby łyknąć świeżego powietrza. Stanęli na jakimś moście, całą czwórką wysiedli i pluli do rzeki. Romuald C. w czasie jazdy wypił z dziewczętami dwa bełty i był już odrobinę na gazie. Nawet plucie do rzeki wreszcie znudzi człowieka, więc Romuald C. zapytał dla draki jedną z dziewczyn: „Kochasz mnie?” Odpowiedziała, że nie. „To skaczę” - oświadczył i skoczył. Most był niewysoki, rzeka płytka, ale wartka. Dziewczyny zaczęły bardzo krzyczeć. „Zrób coś” - wołały do Eugeniusza Ł., gdyż Romualda C. nie było widać. Eugeniusz Ł. także skoczył, tak jak stał, w ubraniu, co było nieprzyjemne, gdyż jako kierowca nie pił ani trochę. Kolano sobie stłukł na kamieniach koło przęsła mostu, kiedy się gramolił z wody. Milicja spisała wówczas protokół, bo rybacy widzieli te skoki i dali znać, że samobójcy seriami ładują się z mostu do wody. Tak było z kolaniem.

Następnie stwierdzono, że „syrenka” została niedawno ubezpieczona od wypadku i że PZU czeka z wypłatą odszkodowania na zamknięcie sprawy przez milicję. Tymczasem tego drugiego, który jechał z Romualdem C. „syrenką” i przeżył wypadek, w żaden sposób nie można było znaleźć, i podejrzewano, że był nim jednak Eugeniusz Ł. Tylko jak to udowodnić? Mieszka on z rodzicami i siostrą. Siostra wyszła w sobotę na zabawę i do domu wróciła dopiero w niedzielę w południe. Rodzice spali aż do jej powrotu i twierdzą, że nie wiedzą, czy i o której syn wyszedł z domu. Eugeniusz Ł. zaś twierdzi, że tkwił w swoim pokoju do wpół do dwunastej, kiedy to zobaczył, że nie ma jego wozu i poszedł na MO.

Na tym dochodzenie utknęło, do czasu aż na milicji zjawiała się była narzeczona

nieżyjącego studenta Romualda C., żeby podzielić się swoim przypuszczeniem, że Eugeniusz Ł. zamordował swego przyjaciela. Wedle jej domysłu cały wypadek był zainscenizowany. Eugeniusz Ł. albo zabił wprawdzie Romualda C., a potem wóz z jego zwłokami roztrzaskał o drzewo, albo mając u boku żywego przyjaciela naprowadził auto na przeszkodę, sam wyskoczył w biegu i potem przeciągnął ciało na siedzenie kierowcy. Następnie dał znać milicji, iż skradziono mu auto. Jej narzeczony nigdy - twierdziła - nie buchnąłby ani nawet nie pożyczył bez pytania cudzego wozu. Jaki jednak - zapytano ją - miałby Eugeniusz Ł. interes w zgładzeniu przyjaciela? - Dla pieniędzy - wyjaśniła - żeby zawładnąć jego majątkiem. Narzeczona zmarłego dokładnie nie wie, o co chodziło, bo Romuald C. nie wtajemniczał jej w swoje interesy. Słyszała tylko piąte przez dziesiąte o tym, że narzeczony ma w najbliższym czasie odebrać jakąś walizkę z Paryża, w której będzie wielki majątek. Mówił jej, że jak otrzyma tę walizkę, to kupi sobie auto, i to prawdziwe, nie „syrenę”. Obecnie dowiedziała się, że Eugeniusz Ł. ma coś wspólnego z tą walizką. W jakiś czas po pogrzebie przyjaciela przyszedł mianowicie do ojca Romualda C. i starał się odeń wyciągnąć, czy syn przed śmiercią nie mówił, którego dnia miał odebrać na dworcu walizkę. Twierdzi, że to bardzo ważne. Skojarzyła sobie ten fakt z zadziwiającą śmiercią Romka C. i doznała olśnienia, że to było zabójstwo z premedytacją.

Milicja ustaliła, że rodzina zmarłego nic o tej walizce z Paryża nie wie. Zaczęto śledzić Eugeniusza Ł. Zachowywał się rzeczywiście dziwnie. Codziennie jeździł na dworzec i kiedy podróżni wysiadali, szybko lustrował półki w niesypialnych wagonach paryskich. Szukał walizki. Nie wiedział, że jest obserwowany.

Przez kilka dni jego wyprawy kończyły się niczym. Dopiero któregoś dnia z rzędu wywiadowcy zauważyli, że wynosi walizkę. Po chwili jakiś pan podniósł krzyk: „To moja walizka”. Eugeniusz Ł. oddał ją bez słowa i gęsto się tłumaczył, że pomylił bagaże. Pan nie dowierzał, bo nie widział Eugeniusza Ł. wśród współpasażerów. Eugeniusz Ł. usiłował uciec, ale go bagażowi przytrzymali aż do nadejścia milicjanta. Cywilni wywiadowcy śledzący Eugeniusza Ł. dali cynk, żeby go nie zatrzymywać. Chodziło o to, żeby ptaszka nie spłoszyć. Z incydentu wywnioskowano, że usiłuje on przejąć walizkę jadącą z Paryża, ale nie wie, jak ona wygląda i którego dnia nadejdzie.

Istotnie obserwowany młodzieniec nadal codziennie jeździł na dworzec i w końcu, w opustoszałym już wagonie, znalazł walizkę i wyniósł ją. Zatrzymano go na postoju taksówek. W walizce było 180 sweterków. Komisowa wartość przesyłki - 108 tysięcy złotych.

Eugeniusz Ł. złożył w tej sprawie następujące wyjaśnienie: Razem ze zmarłym przyjacielem zrobili interes przemytniczy. Polegał on na tym, że kupili kijki do nart i włożyli do nich 150 dolarów nabytych na czarnym rynku. Kijki te położyli na

siatce w przedziale wagonu odchodzącego do Paryża i telefonicznie dali znać znajomemu w Paryżu, w którym wagonie i przedziale powinien odebrać nadziewane kije. Udało się. Dał im znać, że odebrał przesyłkę. 50 dolarów było dla niego za fatygę, za sto kupił w hurtowni sweterki po dolarze sztuka. Potem powtórzyli tą operację- Sweterki miały nadejść w ten sam mniej więcej sposób, paryski znajomy miał wsadzić do wagonu walizkę sweterków, a Romuald C. oznaczonego dnia odebrałby ją w Polsce. System ten o tyle wydawał im się bezpieczny, że ryzykowali najwyżej konfiskatę na cle bezpańskiej walizki lub kijków. Natomiast nigdy nikt by nie doszedł, kto jest szmuglerem. Pech chciał, że Romuald C., który otrzymał wiadomość, kiedy będzie wysłana walizka, zabił się, nim przekazał tę wiadomość Eugeniuszowi Ł. Zdążył tylko przez telefon dać mu do zrozumienia, że walizka jest już anonsowana. Eks-właściciel „syrenki” jeździł więc codziennie na dworzec, żeby odebrać szmugiel - po prostu zabrać tę walizkę, której nie weźmie ze sobą żaden podróżny.

Eugeniusz Ł. został formalnie aresztowany pod zarzutem szmuglerstwa. Powiedziano mu także, że jest podejrzany o zabicie przyjaciela, celem zawładnięcia walizką ze sweterkami. Samochód miał ubezpieczony, więc rozwalanie go dla zatarcia śladów nic go nie kosztowało. Eugeniusz Ł. nie przyznał się do winy. Przeciwnie, kategorycznie zaprzeczył, jakoby zabił przyjaciela. Natomiast wyraził chęć opowiedzenia, jak to było naprawdę.

Za pieniądze, które obiecywał sobie zarobić na szmuglu, zamierzał kupić nowe auto. Wymagało to sprzedania „syreny”. Jak się okazało, mocno przechodzony klekot tej marki ma na rynku bardzo niską cenę. Opłacało mu się wziąć odszkodowanie z PZU za rozbity wóz. Rzecz polegała tylko na tym, aby go rozbić, i to dokładnie. Romuald C., który był zamiłowanym ryzykantem, podjął się załatwić sprawę. Plan przewidywał, że rozpędzi wóz i sam zawczasu wyskoczy. Potem Eugeniusz Ł. powie, że miał kraknę. Przeprowadzenie operacji przyjaciele zaplanowali na pamiętną niedzielę i rano we dwójkę wyjechali na szosę. Eugeniusz Ł. wysiadł, a Romuald C. kilka razy próbował się rozpędzić, tak żeby wyskoczyć i wóz nakierować na drzewo. Raz i drugi rozpędzał auto, ale nie skakał, tylko z powrotem wyprowadzał wóz na szosę. Za trzecim razem wyskoczył, ale wóz miał słabą szybkość i nie wałnął w drzewo, tylko stoczył się do rowu całkiem nie uszkodzony. Wtedy Romuald C. postanowił, że zrobi to inaczej. Pojechali do gospody i tam wypił duszkiem ćwiartkę wódki, żeby dodać sobie odwagi. Potem Eugeniusz Ł. wysiadł z wozu, a Romuald C. z dużą szybkością wałnął w drzewo. Zgodnie ze zmodyfikowanym planem nie miał wyskakiwać, lecz tylko rzucić się na siedzenie. Kiedy Eugeniusz Ł. zobaczył, że przyjaciel nie żyje, a w każdym razie mało w nim już życia, zabrał kluczyk od stacyjki i zwiął przygodnie zatrzymanym autem do domu. Nie zwlekając poszedł meldować o kradzieży.

Prokurator nie zdecydował się oskarżyć Eugeniusza Ł. O zabójstwo - zbyt nikłe były poszlaki, że chciał pozbyć się nie tylko auta, ale także współnika do sweterków. Oskarżony został więc tylko o próbę wyłudzenia pieniędzy z PZU i szmugiel, a także o to, iż nie przyszedł z pomocą przyjacielowi, o którym w krytycznej chwili nie mógł wiedzieć, że już nie żyje. Wyrok dostał wysoki - 6 lat.

Rodzina zmarłego czyni starania o wznowienie dochodzenia w sprawie zabójstwa. Pomaga im w tym narzeczona Romualda C., która - jak twierdzi - jest wewnętrznie przekonana, że Eugeniusz Ł. rozmyślnie sprzątnął przyjaciela. Narzeczona oskarża wszystkie władze o tuszowanie sprawy, najpewniej za pieniądze. I nawet groźba procesu o zniesławienie nie potrafi jej przekonać, że wewnętrzne poczucie to za mało, żeby skazać człowieka za zabójstwo z premedytacją.

Prawo i władza

Tatus Jadwigi N. miał przed wojną zwierzyniec - trzy wagony-klatki, które ciągnięte przez konie objeżdżały miasteczka II Rzeczypospolitej. Ojciec ten był z pochodzenia Węgrem.

W jednej klatce siedziały małpy, w drugiej pantera, a w trzeciej różne zwierzęta niedrapieżne. W skład interesu wchodził także namydlony słup, na który można się było wdrapywać za opłatą. Kto zaś wdrapał się na samą górę, brał stamtąd premię: wódkę i kiełbasę, albo budzik. Dalej była loteria z fantami, siłomierz, stragan z pamiątkami i słodyczami, a co więcej, tego Jadwiga N. nie pamięta, bo gdy wybuchła wojna, miała zaledwie siedem lat. W czasie okupacji zwierzyniec przepadł, a ojciec zmarł na tyfus plamisty. Po wyzwoleniu Jadwidze N. została tylko matka, a matce trzy wozy-klatki bez koni i zwierząt pokazowych. Mimo to udało jej się odbudować interes. Kupiła konie i swoimi wozami wozila teraz składaną karuzelę, gabinet luster, kręgielnię i inne atrakcje. Jadwiga N. od dwunastego roku życia przemierzała wraz z nią Polskę, samodzielnie prowadząc strzelnicę. Nie miała okazji chodzić do szkoły. Nauczyła się co prawda liczyć, ale i pisać i czytać nie umiała. Miała lat osiemnaście, kiedy w 1951 roku matka zmuszona była zwinąć interes. Wyszła wówczas za mąż za właściciela wędrownego straganu z dewocjonaliami i musiała coś zrobić z córką, zapewnić jej przyszłość. Skłoniła tedy swojego pracownika, 23-letniego Eugeniusza U., którego zatrudniała przy karuzeli, żeby pojął za żonę jej córkę Jadwigę. Wesele było huczne.

Po likwidacji wesołego miasteczka Eugeniusz U. został robotnikiem kolejowym i zamieszkał wraz z żoną w wagonie. Oboje pracowali to tu, to tam, przy reperacji torów, trwało to kilka miesięcy. Razu jednego Jadwiga wyprawiła się do pobliskiego miasteczka po sprawunki, a za powrotem nie zastała na bocznicy ani swego pociągu, ani męża. Więcej nigdy w życiu nie oglądała go na oczy, podobnie zresztą jak mamusi.

Przez następne dziesięć lat pracowała przeważnie na roli. Czasem w PGR, czasem u prywatnych ogrodników, różnie się zdarzało. Jeden z takich właśnie ogrodników, inwalida wojenny 58-letni Wojciech J., zaproponował jej w 1962 roku małżeństwo. Zgodziła się chętnie, ciesząc się, że będzie teraz miała do końca życia dom, zarobek i spokój. W 1969 roku Wojciech J. zmarł i na pogrzeb zjechała się jego rodzina: bracia i siostry, ich mężowie lub żony i dzieci. Wszyscy oni dopiero na pogrzebie dowiedzieli się o istnieniu wdowy po ogrodniku, Jadwidze N. Sądzili, że po inwalidzie wojennym Wojciechu J. został tylko dom i ogród. Stało się teraz jawne, że zmarły taił przed nimi swój ożenek, ci zaś z rodzeństwa, którzy odwiedzali Wojciecha J. ostatnimi laty, brali Jadwigę N. za najemną robotnicę. Mogła być

w tym tajeniu małżeństwa zwykła próżność inwalidy, jego żona była wyjątkowo szpetna, nieokrzesa, no i nie umiała czytać ani pisać, podczas gdy niejedna jej szwagierka posiadała średnie wykształcenie. W każdym razie rodzina, która liczyła na to, że ze sprzedaży domu i ogrodu będzie ładne kilkadziesiąt tysięcy złotych do podziału, doznała przykrego rozczarowania. Natknęła się na brudnego babsztyla, który niespodziewanie wszystko miał dziedziczyć.

Rodzina Wojciecha J. wzięła adwokata, żeby radził, co można zrobić. Adwokat zrazu odparł, że nic, ale potem zmienił zdanie. Jego uszu doszło, że wdowa wielokrotnie opowiadała o swoim pierwszym mężu, który pięknie puszczał karuzelę, tymczasem z akt stanu cywilnego wynikało, że za Wojciecha J. wydała się jako panienska. Adwokat wniósł w imieniu rodzeństwa zmarłego inwalidy roszczenia do całości spadku, uzasadniając to faktem, że małżeństwo, które nieboszczyk zawarł z Jadwigą N., było nieważne, gdyż popełniła ona bigamię. Spowodował równocześnie adwokat wdrożenie przeciwko wdowie (czyli naszej bohaterce) karnej sprawy, aby przed procesem cywilnym, spadkowym, sąd stwierdził istnienie bigamii i wymierzył za nią karę.

Przesłuchana na milicji Jadwiga J. de domo N. przyznała, że posiadała już pierwszego męża i że się z nim nie rozwiodła, ale pamiętała tylko imię i nazwisko Eugeniusza U. Nie potrafiła powiedzieć, kiedy i gdzie się on urodził, gdzie jest lub był zameldowany, jak mieli na imię jego ojciec i matka, a także w jakiej miejscowości brali ślub w owym przykrym czasie, kiedy jej matka utraciła licencję na wesołe miasteczko, wyszła za mąż i zniknęła z jej życia. Tak więc brakowało materiału dowodowego, żeby skazać Jadwigę J. za bigamię, choć równocześnie jej przyznanie się do winy uniemożliwiało umorzenie śledztwa. Milicja miała za zadanie odnaleźć jej pierwszego męża lub choćby jego personalia i akt ślubu. Adwokat nie taił przed rodzeństwem zmarłego, że w tej sytuacji prawdopodobnie miną lata, nim ukończone będzie dochodzenie, Jadwiga J. skazana prawomocnym wyrokiem i nim potem sprawa spadkowa przejdzie przez obie instancje sądowe.

W kilka tygodni później, nocą, ogród Jadwigi J. został kompletnie stratowany. Potłuczono inspekty, zdeptano grządki, zwalono szopę na narzędzia. Z ustaleniem sprawcy nie było kłopotu, sam bowiem zjawił się u Jadwigi J. Brat zmarłego ogrodnika, czyli jej szwagier, zamieszkały w odległej o 110 km wsi, przyszedł do wdowy po inwalidzie i powiedział, że to była nauczka.. Ma się wynosić, bo prawowici spadkobiercy nie dopuszczają, żeby miała jakikolwiek dochód z tego gospodarstwa. Niech się zabiera, bo jeśli nie, to ją samą może spotkać jakaś krzywda. Tutejsza ludność także nie chce jej mieć za sąsiadkę, bo jest przybłądą. W niszczeniu ogrodu - twierdził - wzięło udział kilka osób z jej sąsiedztwa, które sprzyjają prawowitym spadkobiercom. Jeśli będzie się upierać, to któreś nocy obudzić się może w płomieniach. Tak mówił szwagier, a potem zatrzymany przez

milicję wyparł się wszystkiego. W ciągu najbliższych miesięcy Jadwidze J. okradano ogród, dwukrotnie wybijano szyby, wiele razy smarowano łajnem drzwi. Miejscowy milicjant, który chciał coś dla niej zrobić, podarował jej psa, mającego sławę bardzo złego. Pies nie okazał się jednak dobrym stróżem, bo szczekał bez przerwy całe noce i rzucał się na wszystkich, a nie tylko na napastników.

Ogród stratowano Jadwidze J. wczesną wiosną. Późną wiosną dostała psa. Latem przyjechała na mieszkanie dziewiętnastoletnią córkę dróżnika kolejowego, dziewczynę nie mającą żadnego zajęcia, a i do szkoły się nie nadającą. Dziewczyna ta bardzo się jąkała. Jako dziecko mówiła normalnie, ale raz przyśniło się jej, że pociąg wyskoczył z szyn i rozjechał jej rodzinny dom, i odtąd wydaje wiele nieartykułowanych dźwięków, nim powie jedno słowo. Teraz kobiety sypiały na zmianę, a na zmianę wartowały w ogrodzie, którego co prawda nikt już nie tratował, ale który nocami wciąż okradano.

Jesienią szwagier ogrodniczki przyjechał ciężarówką i usiłował ją siłą wyrzucić z domu. Obie kobiety kijami walczyły przeciwko napastnikom, którzy wyrzucili na drogę i: h garderobę i naczynia. Zdołały utrzymać się do czasu, aż nadjechał samochód z milicją.

Zimą kobiety odzyskały spokój. Z ogrodu nie było co kraść, a szwagier ogrodniczki też się nie pojawiał. Władze natomiast już ustaliły, kto był pierwszym mężem Jadwigi J. i gdzie brała ślub. Wyznaczono termin sprawy karnej.

Jadwiga J. stanęła przed sądem bez obrońcy i na pytanie sądu odpowiedziała, że nie zapoznała się z treścią aktu oskarżenia, gdyż nie umie czytać. Proces przerwano i zapewniono Jadwidze J. obrońcę z urzędu. Po wznowieniu przewodu adwokat złożył wniosek o zarządzenie badania lekarskiego oskarżonej dla ustalenia stopnia jej rozwoju umysłowego, zdolności do pojmowania norm prawnych i znaczenia przedsiębranych czynów. Lekarz ogłosił, że jej zdolność pojmowania norm prawnych jest minimalna, ale czynów takich, jak np. małżeństwo - dostateczna. Inaczej mówiąc, że ona wie, co to jest małżeństwo, ale z pewnością nie wiedziała o normie prawnej nakazującej kolejne zameście poprzedzić rozwodem. Zresztą i przed sądem twierdziła z przekonaniem, że nie wie, za co ma być karana, skoro jej pierwszy mąż tyle lat temu odjechał i ją opuścił. Istotniejsze jednak było inne ustalenie biegłego: u Jadwigi J. przeważają męskie cechy płciowe, jest bardziej mężczyzną niż kobietą.

Adwokat oskarżonej Jerzy R. zabrał głos i powiedział, że stosowanie ogólnych norm prawa do tego szczególnego wypadku byłoby parodiowaniem wymiaru sprawiedliwości i zaprzeczeniem sensu tego słowa. Sądzi się kobietę (będącą kobietą tylko w rozumieniu prawa) za bigamię, choć nie wiedziała i wiedzieć nie mogła o istnieniu możliwości rozwodu czy karalności drugiego związku nie

poprzedzonego rozwodem. Uznaje się, znowu zgodnie z prawem, za małżeństwo coś, co było tylko formalnym, krótkotrwałym związkiem przed bardzo wielu laty, epizodem w życiu oskarżonej, o którym wręcz nie pamiętała. Jerzy R. powiedział, że ten proces, jak mniema, rozwija się z poczuciem przyzwoitości wszystkich jego uczestników, i że on odczuwa go jako zaprzeczenie celów społecznych, którym służy prawo. Istotne sprawy życiowe jego klientki rozstrzygną się nic na tej sali sądowej, ale w trakcie procesu spadkowego. Nie wolno tamtej sprawy obciążać wyrokiem skazującym sądu karnego. Nim on, Jerzy R., będzie mógł wygłosić mowę obrończą, w której będzie prosić o uniewinnienie, chciałby postąpić w sposób dosyć niezwykły, bo zaapelować do prokuratora o odstąpienie od oskarżenia. I oto prokurator wstał i przychylił się do adwokackiego wniosku. Sąd ogłosił sprawę za umorzoną. Jerzy R. oświadczył głośno, zwracając się do Jadwigi J., że bezpłatnie podejmie się reprezentowania jej w procesie cywilnym, w sporze o spadek.

W nocy, która nastąpiła po tym dniu, spłonął dom Jadwigi J. Obie kobiety ocalały z pożogi, chociaż jękać trzeba było zabrać do szpitala dla leczenia poparzeń. Sprawców ujęto: sąsiad ogrodniczek, Stanisław T., 62-letni rolnik, który z ofiarami pożogi nie miał nigdy żadnych scysji, jego żona i córka. Zeznali, że szwagier wdowy po Wojciechu J. na sądowym korytarzu dał im tysiąc złotych, przykazał dobrze podlać ściany benzyną i podpalić koniecznie najbliższej nocy. Drugi tysiąc miał dać po fakcie.

Z agentem PZU przyjechał na pogorzelnisko kierownik wydziału z powiatowej rady. Chodziło o zapewnienie maksymalnego odszkodowania. Ludności osady, położonej pod powiatowym miasteczkiem, gdzie Jadwiga J. ma swoje ogrodnictwo, mimo wysiłków wszystkich możliwych władz i organizacji nie udało się skłonić do podjęcia zobowiązania pomocy przy odbudowie domu, a to ze względu na to, że Jadwiga J nie jest kobietą, nadto przybłądą, bigamistką, analfabatką i przygłupią. Zobowiązanie takie podjęła natomiast młodzież z zasadniczej szkoły zawodowej w mieście powiatowym.

Proces podpalaczy już się odbył i skazani oni zostali na długoterminowe więzienie. Brat skazanego za podżeganie do podpalenia, nie mający z tą zbrodnią nic wspólnego, mieszkający w odległej o kilkanaście kilometrów wsi, jeden z licznych szwagrów Jadwigi J., złożył skargę na pewnego reprezentanta władz powiatowych, który miał go odwiedzić i grozić, że jeśli ich rodzina nadal chce wszcząć sprawę spadkową przeciwko Jadwidze J., to mocno się to nie opłaci wszystkim członkom tej rodziny, niezależnie od tego, gdzie mieszkają i czym się trudnią. Skarżący nazwał to nadużywaniem władzy, groźbą bezprawia i próbą wywierania nacisku, skierowaną przeciwko naturalnemu prawu obywatela do dochodzenia przed sądem swych roszczeń majątkowych.

Literalnie rzecz biorąc, rolnik miał rację, a jednak na szczęście skarga ta była ostatnim już, jaki jest do odnotowania, faktem w dziejach opisanej sprawy.

Do końca życia

Na przedmieściu Warszawy, gdzie przydziela się jeszcze i teraz parcele pod domki jednorodzinne, pewnego przedpołudnia wybuchł gwałtowny pożar. Zanim przyjechała straż, wypaliło się do cna wewnątrz jednego z zamieszkanym już stereotypowych domków, zwanych przez właścicieli „willami”, bo za te pieniądze, które ludzie wkładają w budowę i wykończenie, chce się mieć przynajmniej trochę świetności w nazwie siedziby, skoro mieszkanie jest marne. Straż połała zgłiszcza wodą i wezwała milicję, by jej powiedzieć, że pożar był następstwem podpalenia. Znalaziono nawet pogięty w ogniu metalowy kanister, w którym podpalacz zapewne przyniósł benzynę.

Nadjechał właściciel domu, lekarz-laryngolog Juliusz L., wyraził smutek, że dom mu spłonął i dobytek, oraz radość, że żona o tej porze odbywa spacer z dziećmi, więc uniknęła płomieni, i poinformował milicję, że wie z całą pewnością, iż podpalaczem był Karol J., nauczyciel gimnastyki, zamieszkały tam i tam. Pogląd swój pogorzelec uzasadnił.

Już następnego dnia Karol J. siedział, a prokurator areszt usankcjonował. Stwierdzono bowiem, że tego przedpołudnia, kiedy wybuchł pożar, nie zjawił się on w pracy. Świadkowie rozpoznali w Karolu J. mężczyznę, który na kilkanaście minut przed wybuchem ognia szedł przez osiedle domków jednorodzinnych, dźwigając walizkę. Walizkę tę odszukano w jego mieszkaniu: śmierdziała benzyną. Podpalacz niósł w niej niechybnie kanister.

W czasie pierwszego przesłuchania Karol J. twierdził, że nie miał nic wspólnego z pożarem, ale po przedstawieniu mu dowodów, już w trakcie drugiego przesłuchania przyznał się, że dnia takiego a takiego, o godzinie takiej i takiej, wziął z domu walizkę, nabył kanister, napełnił benzyną, włożył do walizki, przybył na osiedle domków jednorodzinnych, wybił szybę w oknie upatrzonemu domu, chlusnął benzyną z kanistra na podłogę, wrzucił unurzane w benzynie zapalone pakuły, zabrał walizkę, odniósł do domu - i poszedł do szkoły poprowadzić dwie ostatnie lekcje.

Karol J. zarazem wyjaśnił, że nie czuje się winny, gdyż spalił swój własny dom: Juliusz L. wyłudził odeń ten dom i mieszkał w nim bezprawnie.

Zanim Karol J. został nauczycielem gimnastyki, a potem podpalaczem - był trenerem sportowym i jeździł często za granicę. Zarabiał dobrze, miał oszczędności, w 1959 roku otrzymał lokalizację i zaczął budować dom własny, wspaniały, 83-metrowy, który miał mieć trzy pokoje, kuchnię, jedną ścianę prawie całą oszkloną i betonowy tarasik. Budowę prowadził przez osiem lat i zdołał swój

domek z cegły wystawić tylko w stanie surowym. Wkrótce po rozpoczęciu budowy poszedł siedzieć jego przedsiębiorca budowlany, okazało się - kanciarz. Przedsiębiorstwo rozpadło się, i Karol J. po dziś dzień dochodzi od owego eksprzedsiębiorcy - który zdążył odsiedzieć swoje 4 lata - kilkudziesięciu tysięcy złotych, jakie weń wpakował. Potem budowę prowadzili jeszcze dwaj inni przedsiębiorcy, z których kolejno Karol J. rezygnował, bo nie dotrzymywali terminów (latami nic się nie działo na placu budowy) i nie spełniali obietnic, że zdobędą potrzebne materiały budowlane.

W roku 1967 Karola J. przyłapano na granicy, kiedy wjeżdżał samochodem do Polski. Miał wóz wypchany szmuglem. Skonfiskowano towar, w który włożył wielkie pieniądze, dosolono grzywnę. Jednocześnie zwolniono z pracy trenerskiej, tak że musiał objąć nauczycielską - o wiele mniej dochodową. Pod naporem tych kataklizmów załamał się i zrezygnował z kontynuowania budowy domu, której - myślą i uczynkiem - poświęcił najpiękniejsze lata swojego życia. Plac i mury w stanie surowym odkupił odeń doktor Juliusz L. i w trzy miesiące zdołał dom wykończyć, ozdobić go kratami z kutego żelaza, urządzić i zamieszkać.

Laryngolog zeznał, że kiedy odkupił od Karola J. domek, zainteresowanie byłego właściciela budowy nie osłabło, raczej jeszcze wzrosło. Ciągłe przychodził, pchając się z radą i pomocą przy załatwianiu spraw budowy. Pomagał także przy pracach wykończeniowych. Juliusz L. korzystał z tych usług, ale bez zapłać, i pytał, czemu Karol J. tyle czasu i energii poświęca nie swojej już i nie dla niego prowadzonej budowie. Nauczyciel mówił, że wznoszenie domu przez wiele lat stanowiło jego pasję i trudno mu teraz wytrzymać bez związanych z budową zajęć i kłopotów. Po jakimś czasie zapytał jednak lekarza, czy odsprzeda mu dom, jeśli kiedyś będzie miał odpowiednią gotówkę. Laryngolog odpowiedział: nie, bo czuł, że inaczej nie odczepił się od tego człowieka. I wówczas zaczęły się dlań kłopoty. Został osaczony donosami.

Władze finansowe otrzymywały anonimy, w których zachęcano je, by zainteresowały się, skąd skromnie uposażony lekarz ma setki tysięcy na budowę willi. Milicja otrzymywała doniesienia o tym, że na placu budowy wyzyskuje się materiały kradzione z pobliskich budów państwowych. Autor listów proponował urządzenie zasadzki na złodziei i podawał dokładny jej projekt. Dyrektor szpitala, w którym pracował laryngolog, informowany był, że lekarz prowadzi prywatną, nie rejestrowaną praktykę, a to w gabinecie dentystycznym swej siostry. Wkrótce Juliusz L. więcej czasu poświęcał na chodzenie, tłumaczenie się, wyjaśnianie swoich spraw, niż na budowę domu. Poczul się, powiada - zaszczuty i wytoczył swemu oskarżycielowi sprawę o oszczerstwa. Karol J. wpieryw usiłował przeprowadzić przed sądem dowody prawdy, potem wycofał się i przeproszał. Wreszcie został skazany za zniesławienie i zapłacił grzywnę. Stało się to w kilka

miesiący po wprowadzeniu się lekarza do nowego domu. Jednocześnie z objęciem przezeń domku, Karol J. wniósł do sądu o unieważnienie umowy kupna-sprzedaży. Argumentował: cena, jaką uzyskał, była rażąco niska, laryngolog wprowadził go w błąd. Niską cenę ustalili dla zamydlenia oczu organom finansowym, prywatnie nabywca miał mu dopłacić, czego nie uczynił. Poza tym Juliusz L. szantażował go i on, Karol J., umowę podpisał pod presją.

Po wniesieniu sprawy do sądu Karol J. złożył lekarzowi wizytę, proponując, że odkupi domek za bająką sumę i wycofa sprawę z sądu. Lekarz odrzucił tę propozycję i wyraził wątpliwość, czy kontrahent dysponuje takimi pieniędzmi. Wówczas Karol J. przyznał, że istotnie nie ma owej kwoty i zażądał odsprzedania mu gotowego domku za cenę niższą od tej, którą uzyskał, gdy sam sprzedał dom w stanie surowym. Teraz - oświadczył - gromadzi niezbite dowody nieuczciwości lekarza i go wykończy. Przychodził jeszcze dwa razy Proponował za dom coraz mniejsze pieniądze, ale za to coraz bardziej groził. Mówił, że nie interesuje go żaden inny dom na świecie, tylko ten jeden jedyny, w który władował swój pot i dla którego zmarnował życie. Jeśli lekarz nie odda mu jego domu, on przyjdzie któregoś dnia, puści go z dymem i niech się potem dzieje co chce. I rzeczywiście przyszedł któregoś dnia i groźbę wykonał. Sąd skazał go na 3 lata więzienia i płacenie odszkodowań.

Po zamknięciu śledztwa w sprawie podpalenia prokurator zwolnił Karola J. z aresztu tymczasowego (na wniosek komisji lekarskiej) i aż do zapadnięcia prawomocnego wyroku w II instancji pozostawał on na wolnej stopie.

Po pożarze Juliusz L. począł wypalony dom energicznie odbudowywać. Któregoś dnia, kiedy trwały już prace wykończeniowe, podpalacz zjawił się z butelką wina. Juliusz L. nie chciał go wpuścić do środka, nie przyjął wina, mówił, żeby Karol J. więcej tu nie przychodził, radził mu, żeby poszedł do psychiatry. Karol J. nie zwracał uwagi na jego słowa. Bardzo uważnie oglądał pracę posadzkarzy i zwracał im uwagę na niedokładności. Radził coś tam zrobić inaczej, coś tam przebudować. Na odchodnym odezwał się do laryngologa w te słowa: „Adwokat mówi, że dostanę najwyżej 3 lata, z tego dwa do odsiedzenia. Za dwa lata pan tu będzie już urządzony, więc przyjdę i znowu spalę. I tak już będzie do końca: do końca mojego życia albo do końca życia tego domu”.

Dwa żywioły

Dął wiatr i padał deszcz, jak to latem. Zmierzchało. Dorośli przeważnie siedzieli w baraku, będącym jadalnią, i grali w bridża. W kajaku, którego dziób wyciągnięty był na piasek, bawiło się dwoje dzieci: 5-letni chłopiec i 7-letnia dziewczynka.

Ośrodek wczasów pracowniczych, gdzie dął wiatr, padał deszcz, dorośli grali w bridża, a dzieci bawiły się w kajaku, położony jest na samym krańcu jeziora Sumy. Bierze stąd początek rzeczka Jagodzia, łącząca Sumy z następnym jakimś jeziorem, znacznie niżej położonym. Różnica poziomów sprawia, że Jagodzia wijąca się na przestrzeni dwóch i pół kilometra ma nurt bystry. Można tego doświadczyć płynąc kajakiem., dojrzeć trudno. Jagodzia pozbawiona jest zupełnie przyzwoitych brzegów. Obramowana szuwarami, za którymi stoją bagna, zda się być też wodą stojącą, zarosłą bez reszty rzęsą. Tym bardziej zdradliwy jest nurt - metr, dwa szerokości. Jagodzie sforsować można kajakiem, płynąc z prądem, ale nie daj Boże wywrotka - wtedy nie ma ratunku. W roku 1955 doświadczył tego pewien dobrze zapowiadający się poeta krakowski, który utonął tu wraz z małżonką. Za pamięci miejscowych Jagodzia połknęła także tutejszego rybaka, którego nurt wessał wraz z czółnem.

6 lipca 1973 dął wiatr, padał deszcz i na jeziorze Sumy była fala. Spłukała ona wyciągnięty dziobem na piasek kajak bez wiosła, w którym bawiły się dzieci, i kajak począł dryfować, a dzieci wrzeszczeć. Krzyk doleciał bridżystów, którzy wybiegli na pomost, skąd zobaczyli, co się stało. Ojciec obojga dzieci, Filip T., 32-letni maszynista kolejowy, wskoczył z jakimś drugim mężczyzną do łodzi ratownika, przycumowanej na linie do pomostu, i powiosłował dzieciom na ratunek. Wiatr rzucał kajak bokiem w trzciny, fala chlupała do wnętrza, dzieci krzyczały. Już, już łódź dopływała do nieszczęśników, kiedy wiatr zakręcił kajakiem, porwał go nurt rzeczki Jagodziej i zaraz dzieci wraz z unoszącą je łupinką z dykty zniknęły z oczu ojca, a także wczasowiczów wykrzykujących dobre rady z pomostu.

Filip T. powiosłował łodzią za dziećmi, lecz po chwili do pomostu dobiegł słabo słyszalny pod wiatr jego krzyk, a także krzyk drugiego mężczyzny, który z nim płynął. Wzywali pomocy. Minęło sporo czasu, nim ściągnięto na wodę drugą łódź i ruszyła następna wyprawa ratownicza. Zastała ona łódź Filipa T. stojącą w poprzek nurtu. Nieszczęsny ojciec rozpaczliwie pracował wiosłami, ale jego przydługie okręt tylko wbijał się to dziobem, to rufą w trzciny. Po chwili druga łódź w podobny sposób zatarasowała Jagodzie. Krzyku i chlupotu było co niemiara, skutku żadnego. Wreszcie przypłynął jakiś kajak. Siedzieli w nim mężczyźni z latarkami. Ci mogliby rzeczywiście pośpieszyć dzieciom na ratunek, gdyby nie

owo zatarasowanie rzeczki. Powstał karambol złożony z trzech jednostek pływających i sześciu bezradnych mężczyzn.

W tej to rozpaczliwej sytuacji na rzeźce Jagodziej pojawił się pływak, odepchnął kajak, roztrącił łódzie z ratownikami i samotnie popłynął Jagodzią, niktą w mroku.

W jakiś czas po nim kajak ratowniczy przepchnął się między łódkami i popłynął także nurtem rzeczki. Latarki dwóch pływających nim mężczyzn wyłuskały z mroku i ciszy następujący obrazek: kajak wywrócony do góry dnem. Pływak kładzie na nim, jak na tratwie, wyłowione dziecko i nurkuje w poszukiwaniu drugiego. Już z nim płynie. Tymczasem wyłowione pierwsze dziecko znów osunęło się do wody. Pływak puszcza to, z którym płynie, dobywa to pierwsze z toni, odwraca kajak, wrzuca doń topielca, ciągnie drugiego, także lokuje wewnątrz kajaka, którego burta zrównana jest z płaszczyzną wody. Wszystko to dzieje się w bok od nurtu, w trzcinach. Kiedy kajak dopłynął, dzieci nie dawały znaku życia, zaś bohaterski pływak trzymał się rękoma rufy kajaka, lecz głowa zwisała mu już bezwładnie do wody. Kogo pierwiej ratować i jakim sposobem? Jak w pięćoro jednym kajakiem płynąć pod prąd?

Dwaj mężczyźni z latarkami wciągnęli dzieci do swojego kajaka, nieporadnie udzielając im pierwszej pomocy. Potem ten drugi kajak przyczepili do swojego i ułożyli w nim pływaka. Następnie wiosłować zaczęli z całych sił w górę rzeczki. Szczęściem nie musieli płynąć długo. Łódź Filipa T. przebiła się jednak przez trzciny. Wylano z dzieci wodę trzymając je za nogi. Żyły, o czym dały znać szcękaniem zębów i płaczem. Pływak był nieprzytomny. Próżno robiono mu sztuczne oddychanie, a szczęśliwy ojciec wpijał mu się w usta. Bohater zdawał się być martwym bohaterem. Dopiero na brzegu zauważono słabe oznaki życia.

W złożonym z kilkunastu domków campingowych ośrodku wczasowym nad jeziorem Sumy nie było ani jednego auta. Bohaterskiego pływaka położono w poprzek na bakach dwóch motocykli, których kierowcy, dokonując cyrkowej sztuki, noga w nogę pojechali duktem leśnym. Tak dotarli do szosy. Udało się im zatrzymać jakąś zapóźnioną ciężarówkę. Motocykliści po godzinie wrócili do ośrodku, przywożąc ze szpitala wieść, że bohater żyje, i holując karetkę Pogotowia. Lekarz zajął się dziećmi, innymi jeszcze z zimna i strachu.

Nazajutrz rano cały ośrodek wczasowy przybył do szpitala, a przede wszystkim maszynista kolejowy Filip T. z żoną i dwojgiem dzieci, które dźwigały kwiaty. Bohater był przytomny, zwymiotował nawet przy nich, a potem wtulił nos w poduszkę. Jeszcze nie wydobrał na tyle, aby przyjmować wyrazy wdzięczności. Delegacja wczasowiczów z Filipem T. udała się tedy do prezydium miejscowej, powiatowej rady narodowej, żeby bohaterowi zapewnić stosowną opiekę i honory.

Opowiedziano tam, że mężczyzna, który wpływ pospieszył dzieciom na pomoc, samotnie przyjechał na wczasy. Nie kąpał się, łodzią na wodę także nie wypływał. W bridża nie grał, od towarzystwa stronił. Przybył na ich turnus z dwudniowym opóźnieniem, pieszo przez las przydźwigał pokaźną walizę. Potem siedział zwykle w swoim domku campingowym albo - przy pogodzie - spał całymi dniami na kocu koło domku. Często opuszczał posiłki.

Owego wieczoru, kiedy rozległ się z jeziora krzyk dzieci i dwie łodzie, a potem kajak, wypłynęły na pomoc - mężczyzna ten zjawił się nagle wśród wczasowiczów sejmikujących na pomoście i pocieszających zrozpaczoną matkę. Bez słowa skoczył do wody. Był we flanelowej koszuli i spodniach. Nie tracił czasu nawet na zdjęcie z nóg gumiaków, które przecież w wodzie, wypełniając się, ważą po kilka kilogramów.

Władza powiatowa wysłuchała opowieści, dała wiadomość do prasy, a następnego dnia, kiedy bohater był już słynny na całe województwo, wiceprzewodniczący PPRN oraz Filip T. z żoną, dziećmi i kwiatami, a także fotoreporter i reporter gazety wojewódzkiej, poszli do szpitala. Na sali, gdzie leżał bohater, stłoczyli się chorzy i personel. Fotoreporter ustawił dzieci przy łóżku ich wybawcy, pstryknął parę ujęć, po czym wycelował obiektyw w zastępcę przewodniczącego. Zastępca powiedział, że w imieniu miejscowej rady narodowej i tutejszego społeczeństwa pragnie złożyć podziękowanie i wyrazić uznanie za bohaterski czyn, który może być wzorem postawy obywatela w sezonie letnim, kiedy to śmierć czyha w wodzie.

- To do mnie? - przerwał bohater, który, jak to wyczytano w szpitalnej kancelarii z przemoczonego dowodu osobistego, nazywa się Zdzisław J., ma lat 27 i jest ekonomistą. - A o co chodzi?

- Pragniemy uczcić przedwczorajszy bohaterski czyn obywatela. Chodzi o uratowanie dwojga dzieci - odparł z godnością wiceprzewodniczący.

- Weźcie ode mnie tego pajaca - odezwał się bohater. - Coś się tu wszystkim pokręciło. Ja nikogo nie ratowałem.

- Skakał pan! W butach, w koszuli! A kto skakał?! Dwoje dzieci! Sam pana wyciągałem, co mi pan będziesz!.. - krzyczeli przybyli.

- Są dziesiątki świadków, nie ma się co wypierać!

Wczasowicze otoczyli wiceprzewodniczącego, upewniając go, że nie zaszła żadna pomyłka.

- Obywatel jeszcze źle się czuje, w każdym razie pragnąłbym podziękować - podratował twarz dygnitarz i śpiesznie wyszedł.

- Ja skakałem do wody? - jął dopytywać się bohater, a wczasowicze na wyprzódki

opowiadali mu, jak było. - Serio? Dwoje dzieci? Skonać można! Ja prawie w ogóle nie umiem pływać!

- W butach, w spodniach... Dwoje dzieci... narażając życie... Co pan, nie pamiętasz, jak pragnę... - nacierali wczasowicze na swego bohatera.

- Nic nie pamiętam. Ale musiałem być zachlany! - ucieszył się ponury dotąd Zdzisław J.

Bohatera wypisano wkrótce ze szpitala. Wrócił do ośrodka domków campingowych, wczasował tu dalej samotnie, ale otaczała go już nie obojętność, lecz wrogość współmieszkańców. Mówiono, że przyjechał z walizką pełną flaszek wódki i w ogóle nie trzeźwieje. I że teraz pije jeszcze więcej - nadrabia dni stracone w szpitalu. I że takie nieprzytomne bydlę, które nie wie, co się z nim dzieje, jest dla otoczenia niebezpieczne. Jeśli mimo woli, nie mając świadomości, co robi, może uratować z topieli dwoje ludzi - to także zdolny jest kogoś zabić i potem znów powiedzieć, że nic nie pamięta.

Zdzisława J. otaczała nienawiść, bo chociaż ludzie mogą żyć obywając się bez jakiegoś swojego bohatera, to wszakże niezmiernie są zawiedzeni i gniewni, kiedy już go wynaleźli, otoczyli kultem, a potem utracili. Unieważniony bohater przekształca wynalazców w dudki.

Nim turnus wczasowy dobiegł końca, zapalił się las. Stało się to nocą. Źródło ognia ustalono później, było jakieś 150 m od ośrodka wczasowego. Wiatr dął silny, deszcz nie padał, wiało od jeziora Sumy i ośrodka wczasowego w głąb łądu. Akcja ratunkowa trwała całą noc i pół następnego dnia. Spłonęły 2 hektary lasu. Przyjechała ekipa: prokurator, milicja, eksperci z leśnictwa i oficerowie straży pożarnej. Prowadzono śledztwo. Za dnia las może zapalić się sam z siebie. Słońce, na przykład, przypiecze poprzez kawałek stłuczonej butelki. Nocą ogień może powstać od pioruna. Ale burzy nie było. Jeśli nie ma burzy i w nocy zaczyna płonąć las, winowajcą musi być jakiś człowiek.

Ogień zauważono o 23.35. Na długo przed 23.00 w ośrodku wczasowym wszyscy spali. Ogniska nikt nie palił. Gdyby palił - ktoś by to musiał zauważyć. Badano też sprawę maszynek spirytusowych. Kilku rybaków trzymało je przed domkami, wieczorem po połowie smażyli ryby. Ale żadna maszynka nie paliła się po 22.00 i nikt nie nosił swojej w las, bo po co.

Pożar powstać musiał od rzuconej zapałki albo od niedopałka. I był tylko jeden podejrzany. Obywatel Waław S. około jedenastej wieczorem wyszedł z domku za potrzebą i zauważył Zdzisława J., który - pijany jak zawsze - szedł w kierunku lasu. Waław S., powróciwszy do domku, powiedział żonie, że ten pijak jeszcze się szwenda. A żona na to odparła, że on prawie cały dzień pije i śpi, śpi i pije - nie

dziwota więc, że potem w nocy nie może spać. Można więc przyjąć z całą pewnością, że na pół godziny przed pożarem Zdzisław J. szedł do lasu, w tym mniej więcej kierunku, z którego polem poszedł ogień. A Zdzisław J. pali papierosy, i ob. Waław S. stwierdza, że idąc zataczał się, a więc był pijany.

Zdzisław J. nie mógł złożyć zeznań i został zatrzymany w areszcie do wytrzeźwienia. A gdy wytrzeźwiał, to powiedział, że kiedy się ściemniło, poszedł spać i chyba w nocy wstawał za potrzebą, ale nie pamięta, by spacerował po lesie.

Następnie prokurator sporządził akt oskarżenia: Zdzisław J. spalił las. On spalił, bo nie mógł tego zrobić nikt inny. Oskarżenie wspiera się tylko na poszlakach, ale istnieje zbieg silnych poszlak: zeznanie Waław S. i jego żony, zapałki i „sporty” w kieszeni podejrzanego. Fakt, że upija się on do nieprzytomności, tak że nie wie, co robi. Jego przeczenia są bezwartościowe. Dowodem, że kilka dni wcześniej wskoczył do rzeki, zresztą bezrozumnie, bo nie zdejmując ubrania i butów, uratował dwoje dzieci, omal że się nie utopił, a w ogóle tego nie pamięta. Podobnie działając w zamroczeniu alkoholowym poszedł do lasu, idąc musiał zapalić, bo bez ustanku pali, rzucił zapałkę lub niedopałek, spowodował wielkie straty dla gospodarki, a niebezpieczeństwo powstania jeszcze większych, i w ogóle tego nie pamięta.

Sąd Zdzisława J. uniewinnił. Uznał poszlaki za niewystarczające. Dowiedzione zostało - wywodził - że Zdzisław J., choć tego nie pamięta, poszedł do lasu. Jest prawdopodobne, że on go podpalił. Ale nie ma na to żadnego dowodu. Fakt, że odbywający wczasy z butelką Zdzisław J., działając bezprzytomnie, uratował z topieli dwoje dzieci, nie może być poczytywany za poszlakę przemawiającą za tym, iż z kolei spalił las.

Proces odbył się w początku września. Zdzisław J. odpowiadał z wolnej stopy. Prokurator zapytał go na rozprawie, czy jest trzeźwy. Zdzisław J. objaśnił go, że jest absolutnie trzeźwy. Pija tylko raz do roku. Przez miesiąc. Bierze walizkę wódki, zostawia żonę i dziecko, wyjeżdża sam na urlop, pije i potem przez 11 miesięcy roboczych prawie że nie bierze alkoholu do ust. Taki ma charakter, takie upodobanie. Tak uporządkował sobie życie.

Strach I

Prawic każdego posiadacza telefonu nękają dzwonki, po których nie ma połączenia, bo po drugiej stronie nikt się nie odzywa. Tym razem, sędzę, rozmówca nakręcał numer i odkładał słuchawkę powodowany lękiem. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił niezupełnie zrozumiale. Chciałby się spotkać, ale nie może podać nazwiska. Pragnąłby przyjść w ważnej sprawie o publicznym znaczeniu, ale nie może nic powiedzieć przez telefon o naturze tej sprawy. Kiedy przyjdzie, rad by mieć pewność, że odejdzie wolno, a przedtem, czyli w trakcie rozmowy, jego głos nie będzie nagrywany, jego twarz fotografowana, osoba śledzona, a jej opis z pamięci nie zostanie przekazany władzom. Uzyskał wszystkie te zapewnienia, mimo że i z naszej strony ryzyko było poważne: a nuż będzie nas zanudzać jakiś wariat? Zjawił się krągły pan w średnim wieku, sprawiający wrażenie całkiem normalnego. A przyszedł z taką sprawą: bezwiednie i nieumyślnie, po prostu niechcąc wziął udział w poważnym przestępstwie. Od tego czasu nie śpi, nie je (na to nie wyglądał) i o niczym innym nie myśli, jak tylko o tym, że go wsadzą. Jest obiektem szantażu właściwych sprawców tego przestępstwa. Jeśli mu ulegnie - pograży się jeszcze bardziej. Chciałby więc wszystko wyznać prokuratorowi, ale pod dwoma warunkami: Po pierwsze, że go nie wsadzą i nie będzie odpowiadać. Po drugie, że na czas, nim wszystkich tamtych nie pozamykają - otrzyma milicyjną ochronę. To na razie wszystko. Póki nie otrzyma gładu bezkarności, nic więcej nie powie.

Telefon do prokuratury. Przy nim, żeby się nie lękał, że szykuje mu się zasadzkę. Prokurator informuje, że jego urząd nikomu nigdy i za żadną cenę nie udziela ani w ciemno, ani w jasno gładów bezkarności. Sąd weźmie pod uwagę dobrowolne wyznanie winy, jeśli była winna, a jeśli nie - w ogóle nie ma się czego bać. Niech facet powie, jaki był rodzaj przestępstwa, tego, w którym niechcąc uczestniczył.

- Napad rabunkowy.

- Napad rabunkowy - informujemy prokuratora przez tubkę.

- Czy - pyta prokurator - facet w nim uczestniczył nie wiedząc, że bierze udział w napadzie rabunkowym lub w ogóle w przestępstwie?

- Tak - cieszy się korpulentny pan. On właśnie nie miał pojęcia, co się robi.

- Później się domyślił? - docieka prokurator.

- Nie, sprawcy powiedzieli mu, w co wdepnął, uprzedzając, że jeśli nie wyświadczy im następnych usług, to w razie czego wkopią go, złożą zeznanie, że był ich zwykłym, wiedzącym, co robi, współnikiem.

Prokurator podkreśla, że to jest z jego strony czysto prywatna rozmowa, on nie

zwykł bowiem pełnić powinności urzędowych przez telefon i poprzez osoby trzecie. Ale niechaj gość powie jeszcze jedno: czy, z racji swojej funkcji, był on w jakikolwiek sposób odpowiedzialny za dobro, które zostało zagrabione?

Okazuje się, że nie był.

Skoro tak, to naszemu gościowi należy powiedzieć co następuje: nie istnieje takie przestępstwo, jak rabunek nieumyślny. Jeśli ktoś jest przeświadczony, że wyszedł do lasu słuchać śpiewu słowika, a w rzeczywistości w tym czasie, nie wiedząc o tym, uczestniczy w obrabowywaniu banku - w rozumowaniu prawa jest zupełnie niewinny i nie ma czego się bać. Jednakże niezwykle trudno wyobrazić sobie taką sytuację, że człowiek sądzi, iż słucha śpiewu słowika, w rzeczywistości zaś rozpruwa kasę. Jest to po prostu nieprawdopodobny układ rzeczy. Raczej już bywa tak, że ktoś, powiedzmy, bierze udział w jakimś przedsięwzięciu i w jego trakcie orientuje się dopiero, że coś tu brzydko pachnie. Może więc tak właśnie było?

- Dokładnie tak - cieszy się korpulentny pan.

- Więc w trakcie przestępstwa ten człowiek zorientował się, że bierze udział w czymś karalnym, a dopiero po fakcie dowiedział się, co to było? - precyzuje pytanie prokurator. Korpulentny potwierdza. Wszystko się zgadza.

Konkluzja prokuratora jest taka: musiałby znać rzecz dokładniej, żeby powiedzieć coś wiążącego. Przypuszczalnie kwestię winy naszego anonimowego gościa musi rozważyć sąd, oceniając fakty oraz miarę i nasilenie jego złej lub dobrej woli. Sprawa winy i kary ma przypuszczalnie charakter względny i subtelny. W takiej jednak sytuacji prokurator usilnie radzi, żeby ów pan wyśpiewał wszystko bez żadnej zwłoki, bo jeśli jego szansa na bezkarność zależna jest od uznania sądu, że działał w dobrej wierze i wykazywał dobrą wolę - no to musi ją przecież zadokumentować. Jeśli nasz klient chce, to prokurator już w tej chwili jest do jego dyspozycji.

Przekazuję to wszystko mojemu gościowi, który przez kwadrans poci się i męczy - w bólach rodząc decyzję. Wreszcie powiada, że jedzie do prokuratury. Udajemy się tam razem, a on wciąż nie chce wyjawić swojego nazwiska. Przed budynkiem facet pryska. I dzwoni jeszcze tego samego dnia: jest nadal gotów oddać się w ręce władz, ale musiał poradzić się żony. Bardzo przeprasza. Jutro możemy powtórzyć podróż do prokuratury.

- Nie, proszę pana. Nie zajmuję się eskortowaniem. W takich sytuacjach człowiek radzi się zwykle adwokata, nie dziennikarza. Żegnam pana.

Nazajutrz korpulentny, mniej więcej 55-letni pan jest na redakcyjnym korytarzu i czeka. Chce wyznać wszystko, jak było, ale komuś życzliwemu, nie w prokuraturze.

Jest prezesem spółdzielni, która wyrabia różne rzeczy. Podlega mu 300 ludzi. Diabli go podkusili i wziął samochód na „jakoś tam będzie”, czyli na raty. „Najwyżej będę jadł kartoflankę” - pomyślał, ale akurat spółdzielnię mu „przeprofilowali”, przestała wykonywać plan, przeszła na deficyt, i został z gołą pensją, bez premii. Po zapłaceniu raty za auto i świadczeń mieszkaniowych zostawało mu na życie, z żoną, 280 zł miesięcznie. Zaczął jeździć po mieście i wozić ludzi na łebka. Rano przychodził do biura, załatwiał najpilniejszą korespondencję i ruszał pod dom towarowy. Tam jest najlepszy zarobek, bo ciągle brakuje taksówek, a ludzie kupują jakieś telewizory i dywany, to za przewóz płacą więcej niż za kurs pasażerski.

Jednego razu przyszedł do niego znajomy i powiedział, że potrzebuje wozu na całe przedpołudnie. Jazdy będzie niedużo. Sporo czekania. Płaci aż tysiąc złotych. Prezes o nic nie pytając stawiał się w oznaczonym czasie, gdzie mu kazano.

Wpierw podjechali pod budkę telefoniczną i znajomy gdzieś dzwonił. Później skoczyli po jeszcze jednego faceta. Potem faceta wysadzili pod jakimś murem, a znajomy kazał prezesowi jeździć w kółko czworobokiem ulic. Pół godziny tak woził go bez sensu, aż zapytał, o co chodzi. Usłyszał wtedy, że dostaje tysiąc złotych za jedno przedpołudnie i ma o nic więcej nie pytać. Gdyby jego znajomy chciał wysłuchiwać pytań, nająłby sobie wóz za stówkę, a nie za patyka. Następnie znajomy skontrolował czas na zegarku i kazał teraz prezesowi bardzo szybko jechać pod ten mur, gdzie zostawili faceta, tu stanąć i otworzyć bagażnik. Był to pusty zaułek - nic tylko ten mur i wertepy. Faceta, którego zostawili pod murem, już tam nie było. Zaraz się jednak, ukazał na szczycie muru i zaczął zrzucać w dół jakieś paczki. Znajomy pospiesznie ładował je do bagażnika.

- Co to jest?! Ja w to nie gram! - zdenerwował się prezes.

- Dwa patyki i mordą w kubeł! - odrzekł znajomy.

Wóz był załadowany. Kazali mu ruszać pełnym gazem. Odmówił. On nie jest dzieckiem, żeby za dwa tysiące ładować się w coś takiego! Znajomy wskoczył wtedy do wozu przez drzwiczki przy kierowcy, zepchnął prezesa siłą na sąsiednie siedzenie, tamten facet usiadł z tyłu i ruszyli. Podjechali pod jakąś szopę, gdzie wyładowali paki z bagażnika. Znajomy podał prezesowi 2 tysiące, kazał zjeżdżać i cicho siedzieć. Prezes nie przyjął pieniędzy, wrócił do domu i zaczął się zastanawiać, co robić. Gdyby dużo nie myśląc od razu pojechał na milicję, nie miałby swoich dzisiejszych zmartwień. Ale on, człowiek rozważny - chciał się jednak zastanowić nad sytuacją: a czy uwierzą mu, że tak właśnie wszystko było? A jak to wygląda, że on, prezes, w godzinach pracy wynajmuje się z samochodem do nie wiadomo czego? Zanim wszystko przemyślał, znajomy już był u niego i kładł na stół dwa tysiące, wyjaśniając, jak stoi sprawa: obrobili z kołesiem magazyn państwowy. Prezes może te dwa patyki, które przy tym zarobił, brać albo

nie - jego rzecz. Z góry mu nie mówili, co to będzie za jazda, boby się spietrał. Ale jeśli on myśli, że teraz pójdzie ich kapować na MO, a sam wyjdzie z tego czysty - to się grubo myli. W razie czego oni dwaj zeznają, że normalnie zmówił się z nimi na ten rabunek, a teraz, po wszystkim, obleciał go strach i usiłuje strugać dziewicę. Kto mu uwierzy, że poszedł na taki kurs i dał sobie do bagażnika władować towar przierzucany przez mur magazynów składowych, myśląc, że wozi dziatwę na majówkę. Niech wie, że skok był dobrze pomyślany i nic im nie będzie. Aby tylko on się nie wygłupił.

Prezes nie poszedł na MO. Z czasem, kiedy zobaczył, że nikt się jego o nic nie czepia, jego strach zmalął. Ale nie na długo, bo wkrótce ów znajomy przyszedł do niego i powiedział, że zjawia się w sprawie blachy aluminiowej, o której już kiedyś rozmawiali. Znajomy postanowił uruchomić prywatną produkcję przyczep campingowych i blacha jest mu niezbędna. A prezes ma jej do diabła i trochę w magazynie swojej spółdzielni. Znajomy wszystko obmyślił, jak można by ją bezpiecznie puścić na lewo, i nie rozumie, dlaczego prezes stawał w tej sprawie okoniem. Teraz, gdy prezes jest zamieszany w obrabianie magazynu państwowego, chyba już nie będzie przeciwny tej transakcji, bo to przecież betka przy tamtym, a zarobić mógłby nie dwa, ale pięćdziesiąt tysięcy. Poza wszystkim wydaje mu się, że prezesowi powinno teraz bardziej zależeć na tym, żeby z nim dobrze żyć, niż na tym, żeby trzymać aluminiową blachę. Taki deficytowy towar! - nie wiadomo po co i na co w spółdzielczym magazynie.

Prezes odmówił blachy. Znajomy powiedział, że mocno tego pożałuje. Niech się dobrze namyśli, bo sam kręci stryczek na swoją szyję. Jeśli on nie uruchomi produkcji przyczep campingowych, to - szczerze mówi - bryknie za granicę. A jak tylko bryknie, powiadomi już kogo trzeba o prezesie i rabunku.

I to była cała historia, którą prezes miał do powiedzenia i którą następnie, wzbogaconą o nazwiska, adresy i daty, powtórzył w prokuraturze. Nie musiał się jednak zdawać na łaskę sądu. Prokuratura nie skierowała przeciwko niemu żadnego oskarżenia, tylko zwyczajnie umorzyła dochodzenie. W jego trakcie bowiem stwierdzono rzecz zadziwiającą: nie było żadnego napadu rabunkowego. Znajomy prezesa wraz ze swoim znajomym przierzucali przez mur i ładowali do jego wozu jakieś byle czym obciążone, niepotrzebne pudła. Za murem nie było zresztą żadnych magazynów. W tym wszystkim chodziło tylko o to, żeby prezesa zmusić do sprzedania na lewo blachy aluminiowej, której już przedtem odmówił on znajomemu.

Znajomy ów naprawdę zamierzał zrobić majątek na produkcji luksusowych przyczep campingowych, a bez blachy, towaru reglamentowanego, wystartować nie mógł. Liczył na to, że w prezesie strach weźmie górę nad uczciwością. Przeliczył się nie dlatego, by uczciwość była impulsem silniejszym w ludziach niż lęk, ale z tej

przyczyny, że w prezesie zmagaly się dwa strachy, i ten większy, jak zawsze, zwyciężył.

Rodzaj randki

Dwaj uczniowie technikum Roman K. i Jarosław G. odbyli normalną randkę z dwiema chętnymi dziewczynami, imieniem Franka i Danka. Wynikły z tego straty dla gospodarki narodowej oszacowane na prawie 18 milionów zł. Spowodowane były tym, że dziewczęta okazały się chętne tylko do pewnych granic, obejmujących picie bełtu, pogawędkę, obcałowywanie i obściskiwanie. Natomiast wobec dalej idących chęci osiemnastoletniego Romana K. i dziewiętnastoletniego Jarosława G. dziewczyny okazały się odporne i usiłowały pójść do domu.

Uczniowie zostali oskarżeni o spowodowanie strat gospodarczych tudzież niebezpieczeństwa powszechnego. Tłumaczyli się nieświadomością skutków tego, co uczynili. Przed sądem toczył się więc spór między oskarżeniem i obroną o stan świadomości i zakres wiedzy maturzysty w technikum. Dyskusja ta nie obejmowała zarzutów z artykułu 136 § 1 punkt 1 kodeksu karnego, bo obrona nie negowała, że obwinieni „sprowadzili zdarzenie, które zagraża życiu lub zdrowiu albo mieniu w znacznych rozmiarach, mające postać katastrofy w ruchu lądowym, wodnym lub powietrznym”, a także wycofała się z początkowych swych twierdzeń, że działali nieumyślnie. Natomiast obrona upierała się, że młodzieńcy nie są winni spowodowania istotnych zakłóceń w produkcji, bo nie mieli świadomości, że je powodują. Prokuratura utrzymywała, że można domniemywać, iż byli świadomi skutków gospodarczych czynu, dlatego że każdy mieszkaniec miasta Ch. wie, czym są załadowane barki rzeczne przycumowane do nabrzeża ZRPT. Nadto Jarosław G. miał powiedzieć do dziewczyn i kolegi, że, cytując: „jak się rozpieprzymy, od razu pójdziemy do ryb z całym tym żelastwem”. Ważne było słowo „żelastwo”.

Tak czy tak groziło im co najmniej 3 lata więzienia i to nie były przelewki.

Roman K. i Jarosław G. umówili się z dziewczynami w hallu kasowym kina „Wisła”, ale zabrakło im 8 złotych na bilety. Wobec tego postanowili iść na kawę do kawiarni „Klubowa”. Przesiedzieli tam do 21, kiedy lokal jest zamykany. Jarosław G. już pod kino przyszedł mając w kieszeni płaszczka butelkę wina owocowego. Ponieważ wypicie go w kawiarni było zbyt ryzykowne ze względu na czujność personelu, więc mimo niesprzyjającej pogody zaproponowali dziewczynom pójście na bulwar nad Wisłą. Niestety, ławki były mokre. Szli więc bulwarem. Roman K. wskoczył w pewnym momencie na pokład barki rzecznej, stwierdził, że sterownia jest otwarta i zawołał resztę towarzysza. Było tu sucho i zacisznie. Wypili we czworo wino z butelki, po czym chłopcy zaczęli zaloty. Ponieważ usiłowali posunąć się za daleko, dziewczyny oznajmiły, że wracają do domu. Szarpały się chwilę z chłopcami i były już złe. Jarosław G. powiedział, że zaraz wracają, tylko ma słowo do kolegi. Wyszedł z Romanem K. na pokład i zaproponował mu, żeby wziął

jedną z dziewczyn i poszedł, bo one krępują się sobie wzajemnie. Roman K. zgodził się, ale kiedy wrócili do sterówki, miał już inny plan. Szepnął do kolegi, aby zagadał dziewczyny, i powtórnie wyszedł na pokład barki. Zaczął ją odcumowywać od nabrzeża, ale nie potrafił dać sobie rady. Wywołał kolegę. We dwójkę odwiązali cumy. Na dworze było w tym czasie zupełnie ciemno i dziewczyny nie orientowały się, co oni robią. Sądziły, że stoją na pokładzie i zmawiają się. Kiedy wrócili do sterówki, Jarosław G. powiedział „Teraz możecie iść do domu”. Wyszły na pokład i zorientowały się, że barka płynie unoszona prądem. Poczęły krzyczeć. Potem zapowiedziały, że oni nic tym nie wskórają. Danuta L. martwiła się najbardziej awanturą w domu. Miała wrócić zaraz po seansie o dwudziestej pierwszej, a teraz było już po jedenastej wieczorem.

Roman K. wyszedł na pokład, odczepił bosak i poszedł na dziób, żeby barkę odepchnąć, gdyby na rzece pojawiła się jakaś przeszkoda. Wkrótce jednak wrócił, bo i tak mało co było widać. Barka płynęła ustawiona w poprzek nurtu. Zajęli się dziewczynami, ale one były zbyt podenerwowane, żeby w ogóle można było dojść z nimi do ładu.

Po jakimś czasie, w każdym razie jeszcze przed północą, barka o coś uderzyła. Słyszeli wprawdzie to uderzenie, potem trzask łamanej burty. Wybiegli ze sterówki. Nic nie było widać, barka nie płynęła, lecz stała, zanurzona jakby głębiej. Doszli do wniosku, że uderzyła o kamień i osiadła na dnie. Był to wniosek słuszny.

Do barki przyczepiona była łódka. Chłopcy zdecydowali, że trzeba wsiadać do niej i wiać. Brzeg był nie dalej niż o kilkadziesiąt metrów. Dziewczyny bały się wsiadać nocą do łódki. Postanowili wobec tego czekać do świtu. Całą czwórką spali na ławce sterowni, pólżąc. Było bardzo zimno, mimo to przespali świt, a rano obudzili ich milicjanci, którzy do barki dopłynęli motorówką.

ZRPT są to zakłady remontowo-wytwórcze. Wyrabiają one proste narzędzia, głównie rolnicze, i dokonują remontu maszyn. Zakład jest duży, jak na przemysł terenowy, zatrudnia 170 osób. Jego bolączką jest brak powierzchni magazynowej. Część dostaw materiałowych odbywa się barkami, wodą, większość ładem. Nonsens ekonomiczny polega na tym, że barki nie są od razu po przybyciu do nabrzeża rozładowywane, tylko stoją, bywa, tygodniami, pełniąc rolę magazynu. Więcej Część dostaw przybywających ładem, samochodami, lokowana jest następnie w ładowniach barek. Nie ma innej rady.

Owego ranka ludzie przyszedli do pracy w ZRPT, ale pracy nie było. Magazyn zawierający wszystko, co potrzeba do produkcji - zniknął, odpłynął. Rozdzwoniły się telefony, i w godzinę czy dwie potem barka była odnaleziona, a sprawcy schwytani. Cóż z tego jednak, skoro niezbędne materiały i części zamienne zalane wodą zalegały dno Wisły, ulegając korozji, a w bryły betonu zamieniały się worki

z cementem, gromadzone w ładowni barki dla budowy magazynu.

Wszystko przez jakichś gówniarzy!

Trzecim oskarżonym był Mirosław M., nocny stróż, może trochę nietypowy przez to, że ani starzec, ani inwalida, ani pijak. Mirosław M. jest człowiekiem 46-letnim, zdrowym, w pełni sił. Niskopłatną nocną pracę przyjął dlatego, wyjaśnił, że jego żona jest gospodynią domu w nowym osiedlu, ale nie ma czasu tym się zajmować, gdyż zarobkuje sprząaniem po domach. W nowym osiedlu musi być porządek i czystość. Mirosław M. zwolnił się więc z pracy w transporcie PSS, żeby zastąpić żonę, i wziął posadę nocnego stróża. Ale stróż musi spać, a w dzień nie ma na to czasu, bo sprząta klatki schodowe. Mirosław M. przyznaje, że przesypiał nocę swego stróżowania. W jego zawodzie trzeba przyjąć to ryzyko. Zdarza się, że człowiek dożyje emerytury i nic się złego nie stanie. Że te szczeniaki odcumowały barkę, to już jego pech - ryzyko wliczone do zawodu stróża nocnego.

Roman K. i Jarosław G. twierdzili przed sądem, że nie wiedzieli, czy i czym jest wyładowana barka. Nie potrafili więc przewidzieć gospodarczych konsekwencji odcumowania jej od nabrzeża. Prokurator upierał się, że każdy mieszkaniec Ch. wie o tym, że barki przycumowane koło zakładów zawierają materiały produkcyjne, niezbędne do bieżącej pracy.

Sąd, uzasadniając wyrok, wypowiedział się w tej sprawie tak: nie jest istotne z punktu widzenia wymiaru kary, czy młodzi ludzie zdawali sobie sprawę, że unieruchamiają produkcję państwowego przedsiębiorstwa na przeciąg kilku dni, czy też fakt ten nie klarował się w ich wyobraźni. Istotne jest, że musieli, powinni byli zdawać sobie sprawę z tego, że barka może mieć pełne ładownie, że materiał tam znajdujący się może być wielkiej wartości i łatwo podatny zniszczeniu. Byli więc w stanie przewidzieć mniej lub bardziej konkretne ujemne dla interesów gospodarczych państwa skutki odcumowania barki od nabrzeża. Sąd daje wiarę, że nawet o tym nie pomyśleli, skoro nie pomyśleli również o tym, że narażają życie swoje i dziewczyn, gdyż mogą się potopić, a bardzo jest prawdopodobny taki rezultat przebywania nocą na wolno dryfującej barce. Człowiek pełnoletni odpowiada jednak za skutki swoich czynów nawet wówczas, gdy ich nie przewidywał, a powinien był.

W trakcie przewodu Roman K. i Jarosław G. skłaniani byli do tego, żeby opowiedzieli, co myśleli, kiedy uwalniali barkę z uwięzi i w ciemną noc puszczali się z prądem. Działanie takie świadczy bowiem o zatracie instynktu samozachowawczego. Oskarżeni po kolei wstawali i mówili z przekonaniem, że myśleli o tym, jak zachowają się dziewczyny, kiedy zobaczą, że i tak nie mogą już wrócić do domu, jak zareagują i jak potoczy się dalej wieczór. Ale czy nie bali się? Wisła, noc, dryfująca barka, musiało się skończyć kraksy, mogło się skończyć

niebezpieczną dla nich katastrofą! Otóż tak, bali się, ale dopiero wtedy, kiedy barka już płynęła.

Skazani zostali na karę więzienia (3,5 roku - Roman K., 3 lata - Jarosław G.) za niedostatek wyobraźni. W gruncie rzeczy prawie każdy skazany przez sąd człowiek wędruje do więzienia właśnie za to.

Ucieczka

Mgr Jan W., wiceprezes dużej spółdzielni pracy, i Marta W., kierowniczka działu kadr w pewnym przedsiębiorstwie, zjawili się razem w komisariacie milicji, mówiąc, że za powrotem z pracy zamiast w domu zastać swą córkę 16-letnią Barbarę i przygotowany przez nią dla wszystkich obiad, znaleźli kartkę: „Uciekłam z domu i więcej nie wrócę. Baśka”. Są przerażeni, ponieważ równocześnie z córką zniknęło ich młodsze dziecko, chłopiec liczący rok i jeden miesiąc. Mają na to tylko jedno wytłumaczenie: Barbara zabrała maleństwo, aby je zgładzić. Żadna inna hipoteza nie jest niestety prawdopodobna. Gdzie i jakim sposobem 16-letnia Barbara mogłaby włóczyć się z takim maleństwem? Chęć zabicia braciszka jest także, ich zdaniem, motywem ucieczki córki. Ich życie rodzinne przebiega w trudnych warunkach. Jan W. współkieruje instytucją zatrudniającą około półtora tysiąca personelu i mającą kilka filii w całej Polsce. Pracuje do późnego wieczora, jeździ po całym kraju. Jest bardzo zajęty. Marta W. niedawno temu musiała podjąć studia wieczorowe. Jest to warunek utrzymania się na jej dotychczasowym stanowisku. Kończy pracę o czwartej po południu, do domu wraca na wpół do piątej, po czym albo musi iść na uczelnię, albo w dni wolne od zajęć uczyć się w domu. Od czasu kiedy urodziła syna, ma dochodzącą pomoc domową. Pracuje u nich codziennie, oprócz niedziel, od ósmej do drugiej. O tej porze Barbara W. wraca do domu z liceum ogólnokształcącego, gdzie uczęszcza do drugiej klasy. Jeśli zajęcia w szkole się przeciągają, korzysta raz na zawsze ze zwolnienia w związku z sytuacją rodzinną. Koło drugiej więc przejmuje obowiązki domowe: zajmuje się dzieckiem i kończy szykować przygotowany przez gospozię obiad. Potem wraca matka, która stara się wyręczyć Barbarę przy dziecku na czas niezbędny do odrobienia lekcji, jeśli nie musi się spieszyć na swoje wieczorowe zajęcia. Jeśli wychodzi, wówczas Barbara odrabia lekcje zajmując się równocześnie małym, co jest o tyle ułatwione, że państwo W. mają dwupokojowe zaledwie mieszkanie, więc ich córka i tak mieszka w jednym pokoju z małżeństwem.

Oczywiście Barbara ma trudne życie, tak zresztą jak i jej rodzice. Najprzykrzejsze jest to, że musi wstawać w nocy do dziecka, które często choruje i w ogóle jest dosyć niespokojne.

Uważają, że ich córka jest złą dziewczyną. Żywią to przekonanie, ponieważ, znając sytuację ojca i matki, usiłuje ona wciąż wymigać się od obowiązków i tylko patrzy, aby urwać się z domu do kina lub koleżanki. Nieraz już bywało, że zostawszy z dzieckiem sama porzucała je, nawet na kilka godzin, z myślą o swoich rozrywkach. Sprawy te są przedmiotem nieustannych scysji. Państwo W. są więc przekonani, że porwała dziecko, aby się go pozbyć, a wraz z nim obowiązków utrudniających jej pędzenie życia rozrywkowego, do którego ma inklinacje.

Barbara nie tylko nie kocha, ale zda się nienawidzi braciszka, co można poznać po jej sposobie odnoszenia się do maleństwa. Wynika to nie tylko stąd, że - jak sama to określa - jest on dla niej „kamieniem u szyi”. W grę wchodzi, jak się zdaje, zazdrość o rodziców, którzy siłą rzeczy serdeczniej traktują maleństwo i bardziej nim się zajmują niż dorastającą córką o przykrym usposobieniu.

To jest - oświadczyli - wszystko, co mają do powiedzenia, i błagają milicję o pośpiech. Tylko błyskawiczne działanie daje szansę na uratowanie dziecka życia.

Milicja rozpoczęła bardzo energiczne poszukiwania. Jan W. poszedł do domu, aby być tam przy telefonie na wszelki wypadek. Marta W. została w milicyjnej poczekalni, aby być u źródła ewentualnych wiadomości. Szlochała, mdlała, opowiadała przybywającym tam interesantom lub osobom zatrzymanym, że własna córka zabiła jej dziecko. Była w komendzie gościem trudnym i nie ułatwiającym pracy. No, ale wiadomo, matka.

Funkcjonariusze milicji patrolujący tę dzielnicę stwierdzili na podstawie zdjęcia Barbary W., że znają ją z widzenia, widują w barach kawowych, gdzie zbiera się młodzież. Barbara W. szwenda się z paczką młodzieży po części pracującej, po części jeszcze uczącej się, paczką kilkunastoosobową, dosyć zżytą, wyznaczającą sobie codzienne spotkania i wałkoniącą się po mieście. Gromadka ta okupuje bary, pije wino, urządza czasem, jeśli dysponuje jakimś mieszkaniem, prywatki. Nikt z nich nie był wmieszany w żadne przestępstwo, a i chuligańskie wykroczenia są w tym towarzystwie raczej rzadkością. W ciągu kilku godzin funkcjonariusze MO dotarli do prawie wszystkich członków tej paczki, by usłyszeć, że nikt nic nie wie o tym, że Barbara W. dała dyla z domu, nie mają pojęcia, gdzie ona może być.

Nauczyciele dziewczyny mieli do powiedzenia bardzo niewiele. Barbara W. uczy się średnio, niczym nie wyróżnia się ani in minus, ani in plus. Wiadomo, że ma trudne warunki domowe. Z nikim ze swojej klasy nie utrzymuje stosunków towarzyskich, co jest naturalne zważywszy rozmiary jej obowiązków.

Młodzież z jej klasy podała podobne obserwacje, nieco inaczej je interpretując. Barbara W. - mówiono - traktuje szkołę jak urządzenie biuro. Przychodzi, odsiaduje lekcje, w przerwach uczy się, z nikim nie rozmawia, nie jest członkiem ich społeczności, nie lubią jej. Dzieje się tak dlatego, że ma przewrócone w głowie. Należy do paczki starszej młodzieży i towarzystwo szkolnych rówieśników jej nie bawi.

Nikt ze szkoły w gruncie rzeczy nic o niej nie wiedział i wiedzieć nie mógł. Kiedy więc z wielkim pośpiechem sprawdzono, że Barbary W. nie ma u nikogo z jej krewnych i przyjaciół domu (a ma ona niezliczoną ilość ciotek, wujów, stryjów i kuzynek, rozsianych po całym kraju), kiedy spenetrowano bary kawowe, w których bywała, i różne kryjówki, z których kiedykolwiek korzystała jej paczka:

jakiś stary, nieczynny warsztat blacharski, gdzie kiedyś pili wino, itp. - uznano, że jedynym wyjściem jest gruntowniejsza infiltracja jej paczki towarzyskiej. Jeśli bowiem istotnie nikt z tej gromady nie zna miejsca jej pobytu, znaczyć to może tylko to, że wywędrowała w Polskę. Trudno zaś wyobrazić sobie, żeby uczyniła to z maleńkim dzieckiem na ręku.

Z gruntownych rozmów z kilkunastoma członkami młodzieżowej paczki milicja odniosła dwa wrażenia: po pierwsze, że oni naprawdę nie wiedzą o tym, że Barbara W. miała zamiar uciec z domu i gdzie ona jest, po drugie, że coś, co ma z nią związek, ukrywają. Dopiero po południu następnego dnia po zniknięciu Barbary W. udało się ustalić, co mianowicie ukrywają. Jedna z dziewczyn puściła farbę, że tają, iż Barbara W. nie ma jednorodnych stosunków z całą grupą towarzyską, 17-letni Adam B. jest jej chłopcem. Ścisłej rzecz biorąc, są okresy, kiedy uchodzi za jej chłopca.

Sam Adam B., uczeń przedostatniej klasy technikum, syn dyspozytora ruchu w tramwajach, oświadczył, że naprawdę nic nie wie. Z Barbarą W. chodził kilka miesięcy temu, teraz już nie. Ustalono jednak, że w trakcie przedpołudnia, które poprzedzało tę nieowocną rozmowę, Adam B. nie zjawił się w szkole, natomiast jeździł po mieście i pożyczał pieniądze. Kolejna więc rozmowa: po co mu nagle tyle forsy (zgromadził 400 zł). Wyjaśnił, że na części rowerowe. Zaprowadził do mieszkania, pokazał rozłożony na kawałki rower. Ale żadnych świeżo kupionych części nie było, a ta remontowa gorączka wydawała się dziwna w samym środku zimy.

Trzeciego wieczoru po ucieczce Barbary W. obserwujący Adama B. wywiadowca poszedł za nim na jakąś ulicę, potem do pewnego domu. Chłopak niósł paczki ze sprawunkami żywnościowymi. A więc nie wydał pieniędzy na remont roweru. Wyglądało na to, że jest: ciepło, ciepło. W kilka minut po jego wejściu do jednego z mieszkań zadzwoniła tam milicja Wewnątrz, poza Adamem B., zastano Barbarę W. i jej małego braciszka.

Mieszkanie to należy do Zdzisława O. - frezera. Mieszka on tam z niepracującą żoną, siostrą matki Adama B., i dorosłą córką, zresztą urzędniczką w milicji. Państwo O. wyjawili, że są w złych stosunkach z rodzicami Adama B., tak złych, że właściwie żadnych. Utrzymują kontakty tylko z Adamem. Kilka dni temu przyszedł on i opowiedział, że pewna młodsza odeń dziewczyna urodziła dziecko, którego on jest ojcem. Rodzice tej dziewczyny wyrzucili ją z domu, odmówili dachu nad głową córce mającej w tak młodym wieku nieślubnego syna. Dziewczyna tułała się z maleństwem to tu, to tam. Adam B. prosił, żeby ją z synem przyjąć na kilka tygodni. Państwo O. zgodzili się, bo jakże w takiej sytuacji odmówić siostrzeńcowi?

Dziecko oddano natychmiast państwu W., Barbarę W. zawieziono do schroniska dla

nioletnich, żeby z nią porozmawiać. Równocześnie odbyto dziwną rozmowę z Adamem B. Dlaczego okłamał ciotkę i jej męża, żeby ulokować Barbarę W. i jej brata? Można zrozumieć, że skoro jego dziewczyna pragnęła uciec z domu, chciał jej w tym pomóc. Ale czemuż pomagał jej w porwaniu braciszka? Przedsięwzięciu niepojętym, trudnym, niebezpiecznym i nieludzkim? Adam B. odpowiedział, że nie wie, dlaczego ona ciągnęła ze sobą dziecko. Powiedziała, że ma zamiar uciec z domu, zabierając przy tym dziecko, i odmówiła wyjaśnienia, dlaczego. Pytał kilka razy, kiedy nie chciała powiedzieć, oświadczył, że jest wariatką, ale więcej już jej nie męczył, tylko załatwił im mieszkanie u ciotki.

Barbara W. okazała się zupełnie rozmowna. Owszem, to prawda, że miała dosyć swojego domu, między innymi dlatego, że wciąż jej kazano siedzieć przy dziecku, nie pozwalano wychodzić, była więźniem, musiała uciekać, żeby spotkać się ze swoimi koleżankami i kolegami, a jak wracała, były okropne awantury. Tak jest jednak w wielu domach. Jej konflikt z matką ma wszakże poważniejsze podłoże. Wkrótce po ukończeniu piętnastu lat zaszła w ciążę, czego sprawcą był Adam B. Zwierzyła się matce. Spodziewała się strasznych lamentów i awantur. Nie było jednak tak źle. Matka okazała się dosyć miła i wyrozumiała, wymogła tylko na niej obietnicę, że nikomu nic nie powie, nawet ojcu. Nie wolno - twierdziła - aby ktokolwiek wiedział o takim wstydzie. Pójdą do lekarza i ciążę się usunie. Wszystko pozostanie całkowitą tajemnicą. Barbara W. zgodziła się od razu na to rozwiązanie, zupełnie dla niej dogodne. Wcale nie chciała rodzić. Wkrótce okazało się, że jej matka także jest w ciąży. Urodziła dziecko w tym samym czasie, w którym Barbara W. rodziłaby swoje, gdyby nie usunęła płodu. I teraz na nią spadło gros ciężarów macierzyństwa jej matki. Odczuła to jako krzywdę. Znienawidziła matkę. Braciszka silnie kocha, mimo że na co dzień ma go dość, bo nie może przezeń wychodzić z domu. Porwała brata na złość matce, żeby jej zrobić przykrość, no i żeby mieć dziecko na własność, skoro i tak musi się nim zajmować. Zresztą dokładnie nie umie powiedzieć, dlaczego tak uczyniła. Poczowała chęć i potrzebę ucieczki, która narastała w niej, narastała, tak że nie umiała jej stłumić. I miała chęć zabrać sobie dziecko.

Rodzice Barbary W. zażądali wytoczenia ich córce procesu o porwanie dziecka i wystawienie jego życia na niebezpieczeństwo. Domagali się umieszczenia jej w zakładzie poprawczym. Motywowali to głównie tym, że odtąd, gdyby przyszło im nadal razem mieszkać, nie mieliby ani chwili spokoju, żyjąc w wiecznej obawie o dziecko.

Proces się nie odbył. Sprawę umorzono. Barbarę W. trzymano czas jakiś w schronisku dla nioletnich, uznając, że trzeba respektować jej kategoryczną niechęć powrotu do domu, szczególnie że także rodzice nie chcą dziewczyny u siebie. Państwo W. złożyli odwołanie od decyzji o umorzeniu sprawy. Usłyszeli

przy okazji od sędziego wyrazi żalu, że nie istnieją zakłady wychowawcze dla dorosłych. Decyzję o umorzeniu zachowano w mocy.

Barbara W. została umieszczona w szkole dla pielęgniarek z internatem. Powiedziała bowiem psychologowi, że ma zamiłowanie do opieki nad noworodkami. Ale nigdy nie chciałaby mieć dziecka - oświadczyła - ponieważ to utrudnia wychodzenie z domu. Kariera pielęgniarki noworodków obu stron: Barbarze W. i psychologowi, wydała się dobrym rozwiązaniem.

Koleina

W pozwie przeciwko Jerzemu N. adwokatka Krystyna L. postawiła temu 19-letniemu młodzieńcowi zarzut: „rozebrał mnie do koszuli”. „Zważywszy - replikował adwokat Jerzego N., którego zafundowała mu mama - że powódkę z pozwanym przez wiele miesięcy łączyły stosunki bardzo intymne, rozebranie do koszuli nie jest to daleko idący negliz.” Matka Jerzego N. też zeznawała i mówiła, iż jest głęboko niemoralne ze strony Krystyny L. występować przeciwko jej synowi z roszczeniami materialnymi; to ona bowiem spowodowała głęboką demoralizację jej dziecka, dokonując w nim spustoszeń moralnych i wychowawczych.

Bohaterów zdarzeń jest troje.

Krystyna L. - 35-letnia adwokatka mająca dużą klientelę. Matka dwojga dzieci. Niedawno rozwiedziona z mężem-architektem, który wyprowadził się do innej kobiety. Pani przystojna, elegancka, wyjątkowo dobrze prosperująca również pod względem materialnym.

Jerzy N. - uczeń ostatniej klasy szkoły ogólnokształcącej, syn nauczycielki i urzędnika PZU. Notoryczny prymus, który wszakże repetował ostatnią klasę. Nim jeszcze poznał Krystynę L., przeżył dramatyczną historię. Niechcąc wybił oko koledze. Oskarżony przez jego rodzinę o umyślne włożenie metalowej mutry do śnieżnej kuli, spędził jakiś czas w areszcie i nie uzyskał promocji. Od tego dramatu sporo pije.

Witold B. - także uczeń klasy maturalnej. Ma niespełna osiemnaście lat. Żył w cieniu Jerzego N., raczej totumfacki niż przyjaciel.

Krystyna L. poznała Jerzego N. na pływalni. Ponieważ ktoś tam zaczepiał jej dzieci (cztero- i sześciolatek) idące się kąpać, poprosiła miłego młodzieńca leżącego na sąsiednim kocu, żeby ich popilnował. Potem odwiozła go wozem z basenu do miasta i przyjęła zaproszenie sztubaka na kawę. Zaczyna się romans.

Już kilka dni później Jerzy N. bardziej mieszka u niej, niż u siebie w domu. Korzysta z samochodu Krystyny L., niebawem staje się jego głównym użytkownikiem. Gdy do adwokatki przychodzą goście, występuje w roli pana domu. Robi sprawunki, wyręcza gosposię w odbywaniu spacerów z dziećmi, załatwia różne sprawy zapracowanej adwokatki. Wykorzystywany jest nawet do robienia wypisów z akt sądowych. Do szkoły uczęszcza teraz nieregularnie.

Krystyna L. zasypuje amanta prezentami. Ubiera od stóp do głów, sprawia mu magnetofon i kamerę filmową. Jerzy N. bierze od niej pieniądze na swoje wydatki, a ma je coraz większe. Krystyna L. twierdzić potem będzie przed sądem, że w ciągu

pięciu miesięcy współżycia dała mu około 19 tys. złotych. Istotną jest mechanika ich stosunków finansowych. Zrazu Krystyna L. daje chłopakowi pieniądze szczerze, ile tylko Jerzy N. zapragnie. Potem jednak zauważa, że obsypywanie go forszą nie leży w jej interesie. Jerzy N. ma kolegów, dziewczyny, jakieś kółko towarzyskie z prywatkami, wycieczkami, eskapadami do kina. Forsę przeznaczają na finansowanie swojej paczki. Krystyna L. dostrzega, że im więcej mu daje, tym chętniej on znika i zaniedbuje ją na rzecz swoich rówieśników. Ale wkrótce dzieje się tak, że nie skuszony prezentem lub gotówką Jerzy N. unika jej domu. Krystyna L. zaczyna więc kupować jego obecność. Płaci mu za rezygnację z prywatki, wycieczki, kina, za przyjście do niej, za zostanie.

A potem Jerzy N. zaczyna z jej mieszkania wynosić różne przedmioty. Nie wypiera się tego przed nią. Mówi, że zabrał, bo potrzebował pieniędzy, a także z tego powodu, że ma słaby charakter. W trakcie awantur o ogałacanie mieszkania proponuje jej rozstanie na zawsze. Na to Krystyna L. nie umiała się zdecydować. Jak głosi pozew, Jerzy N. wyniósł z jej domu srebra wartości około 45 tys. złotych, złotą bransoletkę - 25 tys. złotych, złoty stary zegarek wartości 6 tys., radio tranzystorowe - 9 tys., zegar kominkowy - 12 tys., kindżał orientalny - 3 tys., wazon ze szkła weneckiego - 4 tys., i wiele przedmiotów mniejszej wartości. Spustoszenia te ocenia powódka łącznie na ok. 120 tys. zł.

Jerzy N. przy każdej awanturze twierdził, że rzeczy sprzedał, obiecywał zwrot równowartości, prosił o przebaczenie, płakał. Łkał w ogóle często i chętnie.

W trakcie którejś z tych scysji Jerzy N. określa termin, w jakim odkupi i zwróci złotą bransoletkę, poza tym da Krystynie L. kilkanaście tysięcy jako rekompensatę innych strat. Po złożeniu tej obietnicy zabiera jej samochód i więcej się nie zjawia. Po kilku dniach jego nieobecności Krystyna L. zaczyna wystawać pod szkołą i oczekiwać amanta. Ze dwa razy na jej widok rzucił się do ucieczki. Trzeci raz wyszedł z jakąś dziewczyną i demonstracyjnie ją obejmował, by potem, nie zwracając na adwokatkę uwagi, załadować panienkę do samochodu.

Zorientowawszy się, że Jerzy N. jeździ jej samochodem do szkoły, pani L. postanowiła odzyskać wóz. Bierze drugi kluczyk i idzie pod szkołę. Ma wszakże trudności z otworzeniem drzwiczek nie używanym dotychczas kluczem. Ktoś zawiadamia Jerzego N., że jakaś kobieta dobiera się do „jego” wozu. Wybiega z lekcji i zapasowy klucz siłą wyjmuje jej z ręki.

Krystyna L. po obiedzie jedzie do Jerzego N. Po raz pierwszy składa mu wizytę w domu. W jego pokoju jest sporo jej własnych, rzekomo sprzedanych już przedmiotów, np. radio i kindżał. Krystyna L. żąda oddania kluczyków od wozu i dowodu rejestracyjnego, jak również wszystkich zabranych jej rzeczy. Grozi, że jeśli nie spełni jej żądania, natychmiast porozmawia z jego rodzicami, a nawet

odwoła się do milicji i wsadzi go do więzienia. Jerzy N. oddaje bez sprzeciwu auto, sam niesie do wozu tranzystor i kindżał oraz jakieś pozabierane z jej mieszkania drobiazgi. Wsiada z adwokatką do samochodu i zaczyna zwierzenia. Okradał ją, usiłował traktować ją jak dojną krowę, robił z siebie żigolaka, aby zagłuszyć uczucie. Męczy się, bo wie, że ich związek nie ma przyszłości: on - uczeń, nie wiadomo, czy zrobi maturę, ona wzięta adwokatka.

Teraz przez bity tydzień Jerzy N. w ogóle nie chodzi do szkoły i nie wychodzi z jej mieszkania. W klimacie wielkiej miłości nie ma miejsca na rozmowy o pieniądzach. Młody człowiek robi jej sceny o to, że ona wychodzi do pracy. Jest od rana do rana lekko pijany. Krystyna L. żąda, aby począł chodzić - ściślej: jeździć jej samochodem - do szkoły. Odnowiony związek przybiera poprzednie formy. Wkrótce on na powrót zabiera radio, kindżał i co tylko stoi na wierzchu. Coraz częściej go nie ma, gdy wraca, są sceny zazdrości i nawroty awantur o pieniądze.

Witold B. - przyjaciel, cień i uczeń Jerzego N., mistrza - jest jedynym kolegą, który odwiedza go w mieszkaniu adwokatki. Często popijają tu w trójkę, czasem w większym towarzystwie. Związek kolegi z tą panią bardzo Witoldowi B. imponuje. Opowie potem przed sądem, co następuje:

Pewnego dnia Jerzy N. zabrał jego, Witolda B. i dwie dziewczyny na wycieczkę samochodem. (W gronie rówieśników Jerzy N. twierdził, że to jego wóz, i tylko Witold B. znał prawdę, ale dochowywał tajemnicy.) Majówka nie udała się, mimo że wieźli parę butelek wina. Nic nie wyszło z ich planów erotycznych. Dziewczyny obraziły się i wróciły autobusem. Wówczas to Jerzy N. zaproponował Witoldowi B., że odstąpi mu adwokatkę, a Witold B. będzie rewanżował się jemu fundami i pożyczał wóz. Pierwsze zresztą, co Witold B. uczynił, sposobiąc się na nową drogę życia, to zapisał się na przyspieszony kurs prowadzenia auta.

Plan, który ułożyli, przewidywał, że Witold B. zajmie miejsce swojego mistrza i wyzwoli Jerzego N. z kłopotliwego i męczącego dlań związku. Teraz Witold B. całe popołudnia tkwił u adwokatki, zaś Jerzy N. starał się, by wedle możliwości zostawiać ich samych. Potem, w szkole, Witold B. składał meldunki. Twierdził, że nic i ciągle nic. Dopiero gdzieś po tygodniu zawiadomił, że udało się.

Tegoż wieczoru Jerzy N. zaczął z Krystyną L. rozmowę o tym, że muszą się rozstać. Okazało się, że ona nie ma na to najmniejszej ochoty, i zaraz wypłynęła sprawa pieniędzy. Wobec tego Jerzy N. opracował z Witoldem B. plan nakrycia in flagranti przyjaciela i Krystyny L. Powiedział jej, że wyjeżdża na ślub kuzyna, a przyjacielowi kazał zostać u niej na noc. Zjawił się w środku nocy. Miał klucz od mieszkania.

Witold B. był świadkiem sceny, która się rozegrała. Jerzy N. krzyczał, płakał, wymyślał Krystynie L., uderzył ją parę razy. Zapowiedział, że więcej już się nigdy

nie zobaczą. Ona go błagała o wybaczenie, krzyczała do Witolda B., żeby się wynosił, Jerzy N. zaś kazał mu zostać.

Kiedy już Krystyna L. uwierzyła, że romans nie przetrwa tego incydentu, kazała Jerzemu N. zwrócić dowód rejestracyjny samochodu i kluczyki. Oddał bez słowa. Zażądała także, aby przyniósł nazajutrz wszystkie jej rzeczy, jakie ma u siebie. Zareagował na to histerycznie: zdradziła go z najbliższym przyjacielem, spowodowała dramat uczuciowy, wpędziła w alkoholizm, sprawiła, że nie będzie dopuszczony do matury, i po tym wszystkim żąda zwrotu kilku głupich - jak to określił - prezentów?!

Wstrząśnięty tym teatrem Witold B. rzucił się na przyjaciela i dramatyczna scena znalazła rozładowanie w bójce uczniów.

Tak wyglądały zdarzenia w ujęciu adwokatki i następcy Jerzego N. u jej boku - Witolda B.

Adwokat Jerzego N. twierdził na rozprawie, że Witoldowi B. nie należy wierzyć. Pozostaje on w związkach intymnych z powódką i działając w jej interesie zożydza pozwanego. Adwokat twierdził także, że jego klient wszystkie rzeczy Krystyny L. dostał od niej w prezencie. Pani L. w okresie romansu była szczodra, a kiedy zmieniła partnera, pożałowała swej poprzedniej hojności i usiłuje odzyskać to, co darowywała.

Sąd orzekł, że skoro powódka twierdzi, iż rzeczy tak znacznej wartości zabrane zostały z jej domu bez wiedzy i woli właścicielki, sprawa powinna być przedmiotem poprzedzonej dochodzeniem rozprawy karnej i skierował ją do prokuratury.

Jerzy N. nie ukończył szkoły. Odsiadyuje wyrok za pobicie milicjanta, w trakcie jak ten interweniował, usiłując okiełznać wyrostka. Na rozprawę o złodziejstwo doprowadzony będzie z więzienia. Kiedy jesienią ukończy 20 lat, będzie miał już za sobą trzy procesy karne, mimo że nie tkwi w żadnym środowisku przestępczym, wywodzi się z normalnego domu, miał same sukcesy w nauce i nie jest typem wyraźnie aspołecznym.

Rozmawialiśmy z jego matką. Zionie nienawiścią do adwokatki, wini ją za deprawację syna i twierdzi, że więcej można i trzeba wymagać i oczekiwać od 35-letniej prawniczki, niż od ucznia oszołomionego forszą, erotyką, alkoholem i samochodem.

Nam wydaje się, że istotna jest historia pierwsza, ta z okiem, zupełnie przypadkowa. Chodzi o to, że jeśli tylko w życiu człowieka w wieku szkolnym czy studenckim wydarzy się coś dramatycznego, nienormalnego i choćby incydentalnie zwichrowana zostanie zwykła koleina życiowa - zawodzą mechanizmy, które

powinny doprowadzać ją do normy. Już zaraz los młodego człowieka pełen jest anomalii, staje się jakby zdeterminowany, innymi słowy - wystarczy przypadek, aby niedojrzały człowiek miał psychiczne poczucie, że jest zwichrowany, nie akceptowany i wykolejony, co go skłania do działań konfliktowych wobec przyjętych norm. Jeszcze innymi słowy - chcieliśmy tu wskazać na niedowład mechanizmu samoregulacji. Bo z rozmowy z matką Jerzego N. (nauczycielką) wynikało, że w szkole, gdzie jej syn był prymusem, od czasu fatalnego wypadku na boisku stał się on w oczach wychowawców facetem, który (sąd sądem, ale kto wie, czy nie umyślnie!) na wpół oślepił kolegę. A jak człowiek w swojej społeczności uzyskuje taki status - to powodować nim zaczyna przekora, poczucie krzywdy, nawet nienawiść, i nagle ma ochotę na złość wszystkim zajeżdżać pod szkołę autem, ciskać forszą albo być panem domu z obficie zaopatrzonym barkiem.

Egzamin

O radę, co ma robić, zwrócił się do nas znajomy naszych znajomych, doktor Karol W., adiunkt jednej ze szkół wyższych. Historia, w którą się zaplątał - najgłupsza w świecie i śmieszna, tylko jemu jest nie do śmiechu. Ładny początek kariery naukowej: został bez twarzy, a tę utraconą ma na dodatek zdeformowaną. Fakty.

Odbывał się pisemny egzamin wstępny. Mozolących się kandydatów nadzorował Karol W. i troje asystentów. Dziewięćdziesięcioro troje chłopców i dziewcząt możliwie luźno rozsadzono w amfiteatralnej sali wykładowej. Atmosfera pełna napięcia. W kilka minut po starcie Karol W., który siedział za stołem katedralnym przeglądając gazetę, odłożył ją i ryknął: „Pani ściąga! Pani, pani tam!” Wstał z krzesła i powoli ruszył przez salę, mówiąc podniesionym głosem: „Proszę wyjść! Dla pani egzamin już się skończył. Ściągających eliminujemy od razu”. Amfiteatr zamarł. Nie wiadomo, o kogo chodzi. Adiunkt doszedł do dziewczyny drobnej, wdzięcznej, która blado uśmiechała się: „Bardzo proszę... Ja nie ściągałam, ja tylko...” „Wychodzić! W takich sprawach jesteśmy absolutnie bezwzględni.” „Ależ ja...” „Powiedziałem wyjść!” - srożył się Karol W.; złapał ją za ramię, wyciągając z ławki, i pchnął ku wyjściu. Dziewczyna coś mówiła, obiecywała, prosiła, stawiała lekki opór. Doktor Karol W. silniej złapał ją za ramię i niemal wykręcając rękę, wciąż pchał do drzwi. „Proszę mnie puścić, ja sama...” „Szybko, szybko, już!” - wrzeszczał adiunkt. Ktoś za jego plecami krzyknął: „Wolnego!”, ale nie spowodował tumultu. Sala zamarła z wrażenia. Karol W. pchnął dziewczynę otwartą dłonią w plecy, wystawił za drzwi, zatrzasnął je. „Tak postąpimy z każdym ściągającym” - oznajmił i na powrót zaczął czytać gazetę.

Tego samego dnia wieczorem Karol W. odebrał telefon. Charakterystyczny dźwięk wskazywał, że rozmówca dzwoni z automatu. „Doktor W.? Mówi sąsiad. Niech pan wyjdzie. Zniszczyli panu samochód.” Adiunkt parkował swoją dumę - starego „mini-morrisa” - na wyboistym placu między domami, gdzie w przyszłości miało być coś budowane. Mimo że było już raczej ciemno, dojrzał wybite szyby, stłuczone reflektory, kapcie z opon. Karoseria była pognieciona.

Później Karol W. miał się przekonać, że tapicerkę zalano mu jakąś śmierdzącą mazią, na razie jednak musiał odwrócić uwagę od wozu: zza innego stojącego na placu auta wylazło czterech drabów. Nazwali go takim synem i powiedzieli, że przyszli porozmawiać w sprawie tej dziewczyny, którą tak załatwił dziś na egzaminie wstępnym. Pojęcia „rozmowa” użyli niestety w przenośni. Lekarze spisali rezultat: złamane kości nosa, wybite trzy zęby i ogólne potłuczenia mięśni twarzy. Adiunkt miał ją sino-krwistą. Przez tydzień leżał z obliczem pokrytym opatrunkami.

Milicji Karol W. powiedział, że jego zdaniem sprawców zniszczenia jego auta i twarzy trzeba szukać wśród 57 mężczyzn, którzy w owym dniu składali egzamin pisemny. Wątpi, czy zdoła bijących rozpoznać, ale kto wie...

- Nie będzie kłopotu, panie doktorze. Już ta dziewczyna powie, kogo na pana napuściła.

- Jaka dziewczyna?

- No ta, która ściągła.

- Nie, panowie. Ona z tym nie ma nic wspólnego. Jej nawet nie warto przesłuchiwać. Nie był to jedyny rezonans wydarzeń z egzaminu wstępnego.

Wpierw wpłynął do władz uczelni list zbiorowy kilkorga studentów, którzy nie dostali się na studia. Wnosili oni o unieważnienie i powtórzenie pisemnego egzaminu wstępnego. Opisywali z dużą dozą przesady incydent. Twierdzili, że użycie siły fizycznej wobec ich koleżanki tak wytrąciło z równowagi zebrane gremium, że - zważywszy naturalny stan podekscytowania właściwy ludziom egzaminowanym - nie potrafili skupić myśli na temacie. Innymi słowy, źle lub słabo napisali pracę skutkiem brutalnego zachowania się adiunkta nadzorującego przebieg egzaminu.

Tą drogą władze uczelni dowiedziały się o wydarzeniach i wdrożyły dochodzenie. Poza owym dochodzeniem oficjalnym, które zresztą nie doprowadziło do dania wiary autorom petycji, że tylko drastyczne zdarzenie nie pozwoliło im osiągnąć piątek - urządzone było dochodzenie konfidencyjne któregoś z uczestników egzaminu wstępnego. Wystąpił on z anonimem. Prezentuje w nim ustalenia własne. Otóż kandydatka na studentkę, którą adiunkt dr Karol W. brutalnie wyrzucił za drzwi („wobec której dopuścił się rękoczynów” - pisze autor anonimu) nie jest mu osobą obcą. To narzeczona kolegi, którą on zna osobiście. Haniebnym adiunkta postępkom powodowało nie pragnienie przeprowadzenia egzaminu w sposób rzetelny, ale animozje prywatne. Autor anonimu wie, że Karol W. podkochiwał się w tej dziewczynie, rywalizował o nią z kolegą, został odtrącony i tak brzydko się odegrał. Autor anonimu grozi powiadomieniem ministerstwa, że pracownicy naukowcy występując w swej roli zawodowej publicznie załatwiają prywatne porachunki, potrafią posuwać się do stosowania przemocy fizycznej wobec kandydatek na studentki, itd., itp. w tym tonie. Ów dobrze poinformowany prawdopodobnie dostał się na studia, bo nie żąda unieważnienia egzaminów. Jego działalność anonimopisa zda się płynąć z altruistycznych pobudek, jest owocem szczerego oburzenia.

Jesienią, kiedy rozpoczął się rok akademicki 1972-1973, sprawa nie poszła w zapomnienie. Studenci pierwszego roku wiele mówili o niej między sobą,

kształtowała ona także, ku trosce preceptorów, ich stosunek do uczelni. Przede wszystkim objawiło się to w stosunku studentów do adiunkta Karola W. Otoczony był jawną wrogością, nie kłaniano mu się, nie podawano ręki, absencja na jego zajęciach była tak duża, że nosiła znamiona bojkotu. Wbrew pierwotnemu planowi zajęć zdecydowano, że nie będzie on miał wykładów ani ćwiczeń z pierwszym rokiem. Jego zła sława rozciągnęła się jednakowoż na cały wydział. Co gorsza, preceptorzy będący wnikliwymi pedagogami dostrzegali, że pierwszy rok jest pełen rezerwy wobec profesury i władz fakultetu w ogóle. Rozumieli, że źródłem tego jest brak rezonansu preceptorów na oburzenie studentów i na sam czyn adiunkta oraz brak jakichkolwiek prób nawiązania z nimi dialogu w tej sprawie. Wedle ogólnego przekonania naocznych świadków Karol W. pobił czy niemal pobił publicznie dziewczynę, a ona wcale nie ściała, nikt tego w każdym razie nie zauważył, poza oczywiście adiunktem nadzorującym egzamin.

No i teraz wyłonił się przed profesurą dylemat pedagogiczny: czy powiedzieć studentom całą prawdę, tę, która przekazana była władzom uczelni badającym studencką skargę?

Za szczerym wyznaniem przemawiały złe wychowawczo skutki incydentu - owa atmosfera rezerwy, no i interes Karola W., człowieka niewinnie znienawidzonego przez studentów i sekowanego. Takie wyznanie byłoby prostą wobec niego przyzwoitością.

Przeciwko poinformowaniu studentów przemawiało zaś to, że ujemne efekty skandalu na egzaminie wstępnym leczył czas. Zaś ujawnienie jego kulis mogło spowodować nowy kryzys zaufania wychowanków do wychowawców. Zdecydowano nic nie mówić.

Dr Karol W., znajomy moich znajomych, w prywatnej rozmowie zasięgał rady - co byłoby lepsze? Będąc jak najdalszy od pedagogicznej fachowości, a także zamiłowań, wyraziłem pogląd, że trzeba było studentom wszystko powiedzieć. Jeśli jest do wyboru tylko: jedno zło albo drugie zło - to znaczy kryzys zaufania biorący się z niewiedzy albo kryzys zaufania wynikający z wiedzy - ta druga sytuacja zawsze ma pewną przewagę. Szczere wyjaśnienie umniejsza narosłą gorycz. Nadto można przecież powiedzieć, że to, co zrobiono na egzaminie wstępnym, uznaje się za błąd pedagogiczny, które to samokrytyczne wyznanie rozbroi studentów. W końcu będzie im głupio, że Karol W. został zmasakrowany za niewinność i poniósł poważne straty materialne. To też może sprawić przewrót nastrojów.

Karol W. odparł, że te racje były brane pod uwagę, ostatecznie jednak postanowiono, wbrew jego opinii i interesom, coś przeciwnego - milczeć. Profesura to klan, który zawsze woli zachować kamienną twarz, niż - jak w tym wypadku - przyznać się do urządzenia oszukańczej inscenizacji, choćby w jak

najlepszych intencjach.

Cała prawda o egzaminie wstępnym wyglądała bowiem tak. Kiedy planowano jego organizację, mówiło się o tym, że poprzedniego roku kandydaci na potęgę ściągali, więc trzeba w tym roku na samym początku egzaminu efektywnie przeciwstawić się tej skłonności. Padł projekt, by wyrzucić za drzwi pierwszą osobę złapaną na ściągnięciu, wtedy cała reszta już nie zechce ryzykować. Pan ten wzbudził znaczne sprzeciwy. Uznano go za zbyt drastyczny. Po prostu w imię prewencji ogólnej - wywodzono uczenie - nie wolno poświęcać interesu jednostki. Za jedno zajrzenie do podręcznika zdeterminować czyjś los, całe życie kandydata, odciąć mu możliwość studiowania? A jeśli owym pierwszym przyłapanym na ściągnięciu będzie akurat ktoś wybitnie uzdolniony? Sposób ten uznano za zbyt brutalny i wtedy ktoś wpadł na pomysł półśrodka. Podstawić specjalną osobę, którą wyrzuci się za ściągnięcie. Urządzić mały teatr, który nikomu nie przyniesie szkody, a zapewni właściwy reżim egzaminu. W audytorium posadzono siostrę (nie narzeczoną, jak sugerował anonim) jednego z asystentów, studentkę innego fakultetu, dobrą znajomą dr Karola W.

Pomysł był znakomity, tylko oboje aktorzy, jak to zwykle zdarza się amatorom - przedobrzyli. Dziewczyna nazbyt demonstrowała wdzięk niewinności i opór przed wyrzuceniem, Karol W. przesadził w stosowaniu efektów. Oboje pewno bawili się świetnie, kiedy on ją ciągnął, pchał, siłą wyrzucał.

„Może w ogóle wychowawca nie powinien stosować sztuczek?” - zastanawiał się ciężko doświadczony moralnie, fizycznie i materialnie adiunkt Karol W. Cóż, przypuszczano, że bez sztuczek nie ma pedagogiki. Nie jest to pole, gdzie grać można tylko otwartością i zawsze postępować fair. Tyle że jak w każdej grze - trzeba umieć rozgrywać.

W zakończeniu rozmowy dr Karol W. pozwolił mi opisać tę historię - bez podawania nazwy uczelni, gdzie się zdarzyła - zapewne w intencji, aby w ten pośredni sposób ominąć postanowienia swoich szefów i poinformować zainteresowanych studentów, jak wyglądała prawda. Zobowiązałem się historyjkę wykorzystać, mimo że kiepsko mieści się ona w konwencji tych felietonów, gdyż wątek kryminalny ma nikły: sprawców pobicia nigdy nie zidentyfikowano.

Okulary

Takie okulary nazywają się lustrzanki. Można je kupić w każdym prywatnym sklepie z galanterią za głupie kilkadziesiąt złotych. Kto je włoży - widzi przez nie normalnie, tak jak przez każde przeciwsłoneczne okulary. Człowiek patrzący z zewnątrz na kogoś mającego lustrzanki na nosie nigdy nie dojrzy jego oczu. Profesor Weronika P. parą takich okularów zawsze ma przy sobie. Raz już wykradzono je z torebki pani profesor, zostawionej w pokoju nauczycielskim. Zupełnie to nie pomogło. Kupiła sobie nowe. Pani profesorka wkładała lustrzanki tylko w czasie klasówek. Nie ma strasniejszej nad nie broni, jaką by można wycelować w uczniów. Weronika P. dyktuje tematy do rozwiązania, wkłada lustrzanki i nieruchomo siedzi za katedrą. Nikt nie wie, w którą stronę w danym momencie patrzy. Strach ściągać. Kiedy przyłapie kogoś na zrzynaniu, cicho wymienia jego nazwisko. Delikwent oddaje zeszyt, nauczycielka bez słowa wpisuje mu dwójkę. Przychwycony obowiązany jest wyjść z klasy. Wszystko odbywa się w ciszy, bez dyskusji, co potęguje grozę.

Klasa liczy 34 osoby. W czasie klasówki z fizyki dwie osoby profesorka przyłapała na ściąganiu. Postawiła dziewiętnaście dwój plus dwie za ściąganie, razem dwadzieścia jeden. Pięć osób było nieobecnych. Tylko osiem przebrnęło przez klasówkę.

Profesor Weronika P. w maju zapowiedziała w II b kolejną klasówkę. Maj to jest przedednie końca roku szkolnego. Kto po raz wtóry złapie dwójkę z klasówki, musi umówić się po lekcjach z nauczycielką i zdać z całego materiału. Inaczej będzie repetował klasę. Nie tylko perspektywa oblania - samo sam na sam z profesorką jest straszne.

Na dwa dni przed wyznaczoną klasówką Weronice P. podrzucono kartkę. Pisana była przy użyciu szablonu do stawiania liter technicznych: „Jeżeli Pani nie odwoła klasówki i nie poprawi wszystkim stopni, pani córkę spotka wielka krzywda. II b”.

Profesorka od fizyki wcale nie jest stara, chociaż taka niegodziwa. Ma siedmio i pół-letnią dziewczynkę, która chodzi do klasy pierwszej podstawowej w tym samym budynku. Córką ma na imię Justyna. Raz, zimą, przyczepiono jej na plecach do pałta kartkę: „Moja mama jest świnia”. Musiała to zrobić młodzież z liceum, bo prof. Weronika P. nie wykłada w szkole podstawowej.

Po otrzymaniu listu pisanego pismem technicznym Weronika P. przysłała do klasy II b w towarzystwie pani wychowawczynie, polonistki. Wychowawczynie mówiła, że wstyd, że skandal, że głupota. Kto to zrobił, ma sam iść i przyznać się dyrektorowi, a klasówka odbędzie się normalnie. Weronika P. stała koło niej i przez cały czas

w ogóle nie powiedziała ani jednego słowa, tylko każdego ucznia i uczennicę po kolei świdrowała oczami. Profesorka od fizyki, jeśli nie nosi okularów, zawsze tak właśnie świdruje i dlatego ma przezwisko „Bazyliszek”.

Na klasówce zadania były jeszcze trudniejsze niż poprzednio, ale nikt nie próbował ściągać. Dopiero następnego dnia klasa II b, a także cała szkoła, dowiedziała się, że profesorce od fizyki porwano dziecko i już go nie ma przez całą dobę. W II b zdania były podzielone. Jedni mówili, że dobrze jej tak, drudzy, że to głupie, bo niebezpieczne, inni, że to świństwo. Wszyscy byli ciekawi, kto to zrobił i co będzie dalej. Pierwsza lekcja nie odbyła się. Po kwadransie czekania do klasy II b wszedł dyrektor: „Stała się rzecz straszna, bez precedensu w dziejach tej szkoły i w ogóle polskiego szkolnictwa.. okrucieństwo, bandytyzm...” Dyrektor apelował i prosił, ale także groził. Mówił z uznaniem o ofiarnej pracy Weroniki P., jakby porywanie dzieci mniej ofiarnym nauczycielom nie było aż tak naganne. Z przemówienia tego wynikało, że główną zasługą profesorki od fizyki jest to, iż mimo że spędziła wraz z mężem bezsenną noc - nie zawiadomiła milicji, dbając o dobre imię szkoły. Ale jeśli w ciągu godziny jej córka się nie znajdzie - zapowiedział dyrektor - trzeba będzie poinformować o wypadku milicję i władze oświatowe. Dyrektor sugerował, że ta konieczność jest czymś najstraszniejszym ze strasznych. „Lekcji nie będzie, możecie iść do domu.”

Nikt do domu nie poszedł, nikt nie ruszył się nawet z klasy. Ten dzień w szkole zapowiadał się bardzo ciekawie. W trakcie następnej lekcji, kiedy do II b nikt nie przyszedł, aby ją prowadzić, uczniowie usłyszeli na korytarzu podniesione głosy. Dyrektor i inni nauczyciele mówili do Weroniki P., żeby tego nie robiła, a ona odpowiadała podniesionym głosem: „Proszę mnie puścić!” Potem weszła do klasy i wszystko na korytarzu umilkło. Bali się, że zaczną prosić. Odetchnęli z ulgą, kiedy tylko rzuciła na stół nauczycielski plik zeszytów i wyszła bez słowa. Wszyscy bez wyjątku mieli wpisane dwójki. Potem do II b nadeszła wiadomość, że ona wcale nie jest aż taka zimna i zacięta, jak wygląda, bo podobno siedzi w pokoju nauczycielskim i płacze.

W II b ciągle dyskutowano, co robić. Postanowiono na własną rękę szukać tej dziewczynki, a także podpisać list odcinający się od porywania dzieci nauczycielom i potępiający takie czyny. Podpisali go wszyscy obecni. Więc także ci albo ten, kto to zrobił. Zresztą nic dziwnego. Jak człowiek nie podpisze, to zaraz się zdemaskuje.

Nie udało się odnaleźć dziecka. Jak się okazało, nikt nie ma dostępu do klasy I d podstawowej, do której chodzi córka nauczycielki. W szkole są różni obcy ludzie, którzy się zajmują sprawą, ale milicji nikt nie widział. Później się okazało, że milicjanci byli, tylko że po cywilnemu i w ogóle nie wyrazili ochoty rozmawiania z II b. Przepytywali dzieci z I d.

Poprzedniego dnia, po ostatniej lekcji, Justyna P. wyszła z klasy razem z innymi, ale nie poszła jak wszyscy na dół i do domu, tylko na górę, na licealne piętro. Weronika P. wyjaśniła, że oczywiście nic nie powiedziała dziecku o tej idiotycznej kartce, ale kazała mu po lekcjach przyjść do siebie, do pokoju nauczycielskiego. Jeśli mała szła w górę po schodach - to znaczy, że wykonywała polecenie. Sęk w tym, że nie doszła. Jej ślad urywał się gdzieś między piętrami.

Do II b znowu przyszedł dyrektor, odetchnął z ulgą stwierdziwszy, że nikt nie poszedł do domu, i zakazał opuszczać klasę. Wywoływano teraz uczennice i uczniów po sześciu według alfabetu. Do klasy nikt nie wracał. Okazało się, że trzech cywilnych pojedynczo pytało wszystkich po kolei, co kto robił wczoraj zaraz po lekcjach. Kto złożył wyjaśnienia, nie wracał już do II b. Gromadzono ich w innej, opróżnionej klasie. Okazało się także, że inni milicjanci po cywilnemu sprawdzali te zeznania w domach uczniów II b.

Ale te zabiegi miały znaczenie uboczne. Milicja ustaliła, że córka Weroniki P. nie zmieniła obuwia szkolnego na wyjściowe, więc chociaż w ciepły majowy dzień mogła opuścić szkołę także w skórzanych rannych pantoflach, które na sobie miała - to istniało prawdopodobieństwo, że jest gdzieś ukryta na terenie szkoły. Znalaziono ją też w podziemiu wolno stojącego i nieczynnego już o tej porze budynku kotłowni. Była zamknięta w pozbawionej okna komorze, oddzielona kilkoma parami drzwi od wyjścia. Mogła krzyczeć i krzyczała też do woli. Przygotowano jej tu posłanie i jedzenie. Zostawiono zapalone światło i kota. Wiedziała też, że siedzi w sprawie klasówki.

Justyna P. opowiedziała, że kiedy szła do pokoju nauczycielskiego, do matki - zaczepił ją jakiś chłopiec. Miał chyba 18 lat. Na rękawie swetra nosił tarczę ich szkoły. Był w pantoflach. Rozpozna go w każdej chwili. Przedtem nie znała go nawet z widzenia, ale nie zna twarzy prawie nikogo z klas licealnych. Chłopiec ten powiedział jej: „chodź”. Poszła więc za nim. Nic poza tym nie mówił, tylko bardzo przyjemnie się uśmiechał. Zeszli zapasowymi schodami, które są nie używane. Na dworze on poszedł ku kotłowni, ale nie przez boisko, tylko wykładaną płytkami ścieżką, osłoniętą krzakami. W pewnej chwili stanęła, bo nie wiedziała, po co ma iść dalej. Odwrócił się i powiedział znowu: „Chodź, coś ci pokażę”. W kotłowni, gdzie ją potem zamknął, powiedział, że teraz ona tu zostanie, ma się nie bać i że chyba to długo nie potrwa. Chodzi o jej matkę i klasówkę, więc nie ma czego się bać. Nic z tego nie zrozumiała. Została sama. Wrzeszczała i płakała. Potem spała. Nie jadła. Bała się. Tłukła w drzwi. Myśli, że siedziała tam dwa albo trzy dni i nocę. Potem została wypuszczona. W żadnym spośród pokazywanych jej uczniów tej szkoły nie rozpoznaje chłopca, który ją zamknął.

Na kocach, z których przygotowano Justynie P. posłanie, były znaki pralni. Ustalono, że koce są własnością koła PTTK, grupującego pracowników jednej ze

szkół wyższych. Ojciec Mariana Cz., ucznia klasy II b, który miał dwójkę z poprzedniej klasówki, dwie z ustnych odpowiedzi z fizyki i który dwa razy chodził do Weroniki P. prosząc, by go dodatkowo przepytła, więc ojciec Mariana Cz. jest w tej szkole wyższej docentem. Marian Cz. twierdził, że o niczym nie wie. Ale koce oddawał do prania, a przedtem wypożyczał z PTTK, asystent jego ojca, docenta Wiktora Cz. - 22-letni Jerzy L. Justyna P. rozpoznała w nim chłopca z tarczą na ramieniu, który zamknął ją w kotłowni.

Pomysł był docenta doktora habilitowanego, 37-letniego Wiktora Cz. Jego syn spenetrował kotłownię i pokazał Jerzemu L., jak wygląda Justyna P. Jerzy L. dał zrobić w ślusarni szkoły wyższej klucze do kotłowni, i wszystko inne też on przygotował. Uczynił to dlatego, że docent go prosił, a także z tej przyczyny, że uznawał jego racje.

Wiktor Cz. przyznał się do winy i wraz ze swym asystentem będzie odpowiadał karnie. Powiedział, że motywem, który go skłonił do uwięzienia dziecka, nie była chęć wybronięcia syna przed dwójką. Mógł go przenieść do innej szkoły, albo tylko do innej klasy. Poprzez sprawę syna obserwował poczynania Weroniki P. i ją znienawidził. Uważa, że ta osoba ma wyraźne skłonności sadystyczne, więc trzeba jej było dać nauczkę, co na drodze legalnej nie jest możliwe. Mariana Cz. relegowano ze szkoły. Uczelnia wystawiła Wiktorowi Cz. opinię, w której stwierdza, że jest on nie tylko znakomitym uczonym, ale także uwielbianym przez młodzież pedagogiem.

Pożar

W przedziale drugiej klasy pociągu osobowego, wśród innych osób, jechali: bardzo elegancki chłopiec, ubrany jak artysta, czyli tak samo jak wszyscy wytworni ludzie, i dziewczyna wystrojona w rzeczy kosztowne i zagraniczne. Młodzi siedzieli przytuleni, rozmawiali szeptem i robili wymianę pieśczoł, tak że widać było, iż podróżują ludzie mający się ku sobie. Miłość ta uzewnętrzniała się w przedziale porą letnią, w kurzu, zaduchu spoconych ciał, wśród odoru piwa oraz smrodu koszy i tobołków, w których rano, w przeciwną stronę, do miasta, obecnie wracające baby woziły drób, cielęcinę, masło, jaja i sery. Para ludzi wytwornych a zakochanych stanowiła tu dysonans. Koło dziewczyny siedziała kobieta starsza, niechlujna i gruba, więc napierająca pośladkiem na sąsiadkę. Dziewczyna odsunęła się demonstracyjnie, młodzieniec upomniał staruchę, żeby się nie rozpychała. Baba, urażona, zwróciła się wtedy ku reszcie pasażerów:

- O, wielka pani, a w torebce ma siedem pięćdziesiąt.

Dziewczynę zamurowało. Zaczerwieniła się, chwilę udawała obojętność, ale ciekawość przemogła. Otworzyła torebkę, wysypała na rękę bilon. Zgadzało się: siedem pięćdziesiąt.

- Proszę nie grzebać w cudzej torebce! - oburzył się elegancki młodzieniec, przypuszczając, że baba dobrała się do torebki jego partnerki.

- Pan jest za młody, żeby mówić, że ja grzebię - odparła kobieta - nie muszę patrzeć, aby widzieć, nie muszę widzieć, żeby wiedzieć.

Dreszcz przeszedł po pasażerach.

- Jeśli pani jest taki jasnowidz, to proszę, ile ja mam w kieszeni pieniędzy? - ironicznie zapytał młodzieniec.

- O, pan to ma! Cztery po pięćset, dwadzieścia dwa po sto, dwa po pięćdziesiąt i dziewiętnaście po dwadzieścia.

Młodzieniec wyciągnął zwitek banknotów. Wszyscy patrzyli, jak odliczał cztery pięćsetki, dwadzieścia dwie setki i dwie pięćdziesiątki. Brakowało mu ośmiu dwudziestek.

Podróżni zaszemrali, a potem zapanowała cisza.

- Skąd pani wie? - z przejęciem spytał młodzieniec.

Baba milczała, zapadła się jakby w sobie i siedziała nieporuszona, z oczyma wbitymi gdzieś ponad głowę podróżnej z naprzeciwka.

- Skąd pani wie?! Proszę odpowiadać! - krzyczał młodzieniec.
- A jednak się omyliła - z ulgą zauważył jakiś sceptyk.
- Osiem dwudziestek wydałem na bilety - powiedział młodzieniec, teraz już nie agresywny. Robił wrażenie struchlałego.

Jasnowidząca baba zaczęła się zbierać do wysiadania. Pociąg stawał na jakiejś stacyjce.

- Pan ma nieczyste sumienie! - wskazała na odchodnym na młodzieńca. A kiedy konduktor dawał już sygnał do odjazdu, młodzieniec zerwał się i bez słowa wybiegł z przedziału. Dziewczyna ujrzała go przez okno, jak biegnie wiejską drogą - goni jasnowidzącą babę.

Pociąg ruszył.

W taki to niecodzienny sposób skończyła się romantycznie zaczęta przygoda Teresy M. - ładnej dziewczyny z przedziału. Wysiadła ona na następnej stacji. Podróżni zauważyli, że jest, tak jak i jej chłopiec - bez bagażu. Poczekała na pociąg idący w odwrotnym kierunku i wróciła do miasta.

Teresa M. studiuje na politechnice. Jej przygoda zaczęła się kilka dni wcześniej prawie tak samo dziwnie, jak się skończyła. Było to pod kioskiem „Ruchu”. Teresa M. poprosiła o paczkę swoich papierosów i usłyszała, że „zefirów” akurat zabrakło.

- Proszę, są, jak masz na imię?

Jakiś chłopiec podał jej paczkę tych właśnie papierosów i dodał:

- Pewnie czułem, że będziesz potrzebowała „zefirów”, więc przypuszczalnie stałem tu przez kilka dni i czekałem na ciebie. Jak się nazywasz?

Roześmiała się:

- Przecież są napoczęte.
- Poczęstowałem się z twojej paczki.
- Teresa.

Chłopiec był przystojny, bardzo elegancki.

W dwie randki później powiedział, że chętnie by się z nią przespał, ale nie ma gdzie. Obiecała pomyśleć. Przyjaciółka wyjeżdżała z rodzicami na tydzień do NRD. Teresa M. wobec matki przyjaciółki zobowiązała się przychodzić, podlewać kwiaty i dosypywać żarcia kanarkom. Dostała klucze.

Było to nieprzyjemnie urządzone mieszkanie, w którym ciągle dzwonił telefon.

Kochali się w największym pokoju z telewizorem. Chłopiec miał na imię Tadeusz i był kapryśny. W pewnej chwili powiedział, że napiłby się czegoś, ubrał się i szedł po wino. Czekala na jego powrót przeszło pół godziny. Jak długo można bez znudzenia robić to samo w cudzym mieszkaniu? Tadeusz miał pomysł. Idą na pierwszy lepszy dworzec. Wsiadają do pierwszego lepszego pociągu. Jadą byle gdzie. Nie, nie dzwonią, nie uprzedzają rodzin, że znikają. Może wrócą jutro, może nigdy. W ogóle nie myślą o tym, co będzie dalej i czy będzie coś dalej. Nie planują. Jak spodoba im się jakaś stacja, to po prostu wysiądą z pociągu i pójdą przed siebie, a ich myśli nie będą wyprzedzać zdarzeń.

To był dobry pomysł i Teresa M. posłusznie starała się nie myśleć o tym, co będzie, niczego nie przewidywać. Ale nawet gdyby myślała i usiłowała przewidywać, i tak nie przewidziałyby tego, że on wysiądzie, kiedy mu się spodoba, ale sam, zostawi ją w pociągu i pobiegnie za jakąś wiejską babą.

Tadeusz nazwiskiem Ż. dogonił wówczas babę na wiejskiej drodze i ta znów okazała zdolności do jasnowidztwa, bo się spietrała na jego widok.

- Skąd pani wiedziała? Co pani jeszcze wie? Mówić, bo...

Baba zaczęła uciekać, krzycząc: „Ludzie! Ludzie!”

Tadeusz Ż. dopadł jej, złapał za gardło i groził, że zabije, jak nie powie.

Nadjechała furmanka. Woźnica i towarzyszący mu wyrostek zeskoczyli z kozła, spiesząc kobiecie z pomocą. Tadeusz Ż. począł uciekać przez pola ku stacji kolejowej. Baba twierdziła, że usiłował ją zabić. Woźnica próbował ścigać końmi zbiega, ale przez pole nie szło jechać. Chłop zawrócił i całą trójką pojechali na posterunek milicji. Tam jasnowidząca baba zeznała o facecie, który wysiadł z pociągu, żeby ją zabić, i o tym, jak cudem ocalała, kiedy już ją dusił. Zeznawali też woźnica i wyrostek.

Napadnięta na drodze kobieta dwa razy w tygodniu jeździ do miasta sprzątać u jednych państwa. Przez ostatni tydzień owych państwa nie było. Kazano jej jednak przyjść pod ich nieobecność i posprzątać. Uprzedzono także, że jedna panienska ma klucze i będzie do mieszkania zachodzić, żeby podlewać kwiatki i karmić kanarki. Kiedy sprzątaczką otworzyła drzwi swoim kluczem, zaraz zorientowała się, że ktoś jest w mieszkaniu. Ponieważ po drodze kupiła pastę do podłóg, weszła do łazienki, żeby ją odstawić, i tam zobaczyła męską i damską garderobę, a także torebkę. Domyśliła się z tego, że w pokoju jest nie ubrany mężczyzna z nie ubraną kobietą. Postanowiła nie sprzątać, tylko wycofać się z mieszkania. Ale na wszelki wypadek (gdyby się miało okazać, że w mieszkaniu nie rezydowała ta panienska, która miała klucze, ale ktoś obcy) zajrzała do torebki, przeczytała dokumenty, zapamiętała nazwisko i adres, przeliczyła także pieniądze. Potem w tym samym celu sięgnęła do

kieszeni męskich dżinsów i cicho wyszła z mieszkania. Zrobiła w mieście sprawunki i poszła na dworzec.

Kiedy w pociągu szukała wolnego miejsca, w jednym z przedziałów zobaczyła młodą, ładną parę. Coś znajomego przyciągnęło jej uwagę. Oczom nie wierzyła: ta sama, która leżała w łazience, koszula, ta sama damska bluzka i torebka. Jeszcze się upewniła, że on nosi dżinsy i ona także. Z ciekawości ulokowała się przy nich.

Zgniewało ją, że taka dziwka, która z mężczyznami gzi się na golasa po cudzych mieszkaniach - od niej, kobiety przyzwoitej, odsuwa się jak od trędowatej. Zakpiła sobie z nich - ogłaszając, co mają po kieszeniach. Nie sądziła, że ten młodzik wyskoczy za nią z pociągu, żeby mordować.

W zeznaniach swoich sprzątaczką podała imiona i nazwiska obojga młodych. Pamiętała też adresy, z równą dokładnością jak odcinki banknotów i monety.

Obwinionego o chuligański napad na starszą kobietę Tadeusza Ż. milicja nie mogła znaleźć w domu. Gdzieś zniknął, choć nie musiał przecież sądzić, że jasnowidząca wieśniaczka poszła na milicję składać na niego skargę. Zniknięcie to było tym dziwniejsze, że, jak się okazało, młodzieniec pracuje w biurze turystycznym i przez to swoje zagubienie się bez słowa - straci tam posadę. Teresa M. zeznała, że po incydencie w pociągu Tadeusz Ż. więcej nie szukał z nią kontaktu. Ponieważ na milicji powiedziano jej, o co niedawny amant jest oskarżony, zdziwiła się, kiedy odwiedziwszy ją po jakimś czasie Tadeusz Ż. nie miał ani interesów romansowych, ani związanych ze sprawą staruszki w pociągu. Nakłaniał natomiast Teresę M., ażeby powiedziała - gdyby jeszcze raz była przesłuchiwana - że owego dnia, kiedy kochali się w cudzym mieszkaniu, on w ogóle ani na chwilę jej nie opuszczał. Innymi słowy ma zataić, że wyskakiwał do sklepu po wino. A więc bał się - zrozumiała - w związku z jakąś inną sprawą niż chwywanie za gardło starszej kobiety.

Były amant Teresy M. lękał się nie bez kozery. Rysopis Tadeusza Ż., określony ze wszystkimi garderobianymi szczegółami przez rzekomo jasnowidzącą wieśniaczkę, przystawał do rysopisu młodzieńca, podanego przez personel pewnego sklepu, który ów sklep usiłował podpalić.

Kiedy Tadeusz Ż. wyszedł wówczas po wino, nie miał przy sobie ani grosza i zamierzał ukraść butelkę w najbliższym, jaki znajdzie, sklepie samoobsługowym. Wszedłszy do środka skonstatował, że nie pójdzie mu to łatwo. Kupujących było mało, obserwujących dużo. W sklepie znajdowała się duża półka z artykułami chemicznymi potrzebnymi w gospodarstwie domowym. Wziął stamtąd rozpuszczalnik i ligninę, po czym - udając, że zawiązuje sznurowadło - oblał ligninę benzyną, zapalił i rzucił pod stojak z produktami. Płomienie natychmiast ogarnęły całe stoisko, a personel - zgodnie z jego przewidywaniem - rzucił się

gasić. Korzystając z zamieszania nie tylko ukradł butelkę wina, ale wybiegając ze sklepu, z otwartej szuflady kasy porzuconej przez kasjerkę zabrał plik pieniędzy, czego już uprzednio nie planował. Zapamiętano w sklepie, jak był ubrany sprawca pożaru, który gasić musiała straż ogniowa i który spowodował straty oszacowane na 17 600 (niezależnie od kradzieży forsy z kasy).

Kiedy minęło lato, Tadeusz Ż., pracujący przez ten czas nad morzem jako kelner w prywatnej jadłodajni, wrócił do domu i został aresztowany. Teresa M. zmieniła w sądzie zeznania. Wbrew temu, co mówiła w śledztwie, przyznała, że Jej były amant urządził półgodzinny antrakt w miłości i kopnął się po wino. Tadeusz Ż. wyjaśnił znów na procesie, w którym bez wykrętów przyznał się do winy, że z pociągu wysiadł i pobiegł za tą starą kobietą nie dlatego, że był zauroczony jej rzekomym jasnowidztwem, tylko dlatego, że lękał się, iż jej wiedza ma jakiś związek z podpaleniem i okradzeniem sklepu. Że ta baba go śledzi. Biegł za nią ze strachu, żeby dociec, kim jest i skąd tak dużo wie o zawartości jego kieszeni. Oczywiście nie zamierzał zrobić jej nic złego. Chciał tylko postraszyć.

Teresa M. podkreśliła znów w zeznaniach, że od chwili incydentu w pociągu ten sądzony tu chłopiec stracił wszelkie nią zainteresowanie. Wszystko między nimi skończyło się w momencie, kiedy jej się zdawało, że właśnie zawiązuje się dopiero coś bardzo poważnego. Nie rozumie, dlaczego wtedy, gdy narastać między nimi począł związek istotny i silny - on pod wpływem tych emocji pobiegł podpalać sklep, żeby zdobyć butelkę wina, coś mało potrzebnego i ważnego. A kiedy już dokonał dla niej tego wielkiego czynu - przestała dlań istnieć, bo teraz powodował nim już tylko strach o własną skórę, strach unicestwiający wszystkie inne emocje.

Teresa M. ma dwadzieścia lat, jest ładna i naprawdę dobrze ubrana, więc jeśli w przyszłości różni faceci podpalą dla niej kilka jeszcze sklepów, nabierze doświadczenia i z biegiem czasu zapewne zrozumie sens dydaktyczny tej pierwszej przygody: są mężczyźni, dla których związki uczuciowe stanowią przede wszystkim bodziec do samopotwierdzenia się. Gdy je osiągną, paląc sklep albo inaczej - wtedy śpiesznie wysiadają z pociągu.

Urok miłości

Pan Jarosław B. jest jednym z tych otoczonych zazdrością i naprawdę godnych zazdrości ludzi, którzy trzecią część roku spędzają za granicą. Jeśli pan Jarosław B. ma kłopoty materialne, to są to duże kłopoty, nie takie normalne, pięćsetzłotowe. Jest to człowiek, o którym nie można powiedzieć, w M-ile mieszka. Jego dom mierzy się po ludzku, na pokoje. Nie tropiłem pana B., ale nawet nie znając szczegółów, w ciemno można powiedzieć, że żyje tak, jak żyją raczej ludzie z polskich filmów, niż z polskiego życia. Ten to właśnie Jarosław B. ma obecnie sprawę karną. Nie siedzi. Broni go dwóch znakomitych adwokatów. Nie ukradł. Jego sprawa jest delikatna. Pan Jarosław B. wyjechał na trzy tygodnie na drugą półkulę i na ten czas uwięził swoją 27-letnią córkę Jadwigę B. Córka zaś urządziła bunt w więzieniu, unieszkodliwiła strażniczkę i odwołała się do władz. Za uwięzienie kogoś na co najmniej czternaście dni - siedzi się minimum rok. Taka jest taksa. Jadwiga B. nie chce tatusia wsadzić, ale nie może także odwołać zeznań, więc prokurator musi oskarżać, chociaż przerażona pannica wciąż odpowiada prowadzącemu dochodzenie, że Jarosław B. jest najlepszym z tatusiów i najporządniejszym z ludzi. Nie kradnie, nie kantuje, mało co pije, dziwkarzem nie był i nie jest, chociaż wdowiec, i wszystko, co zrobił, uczynił z miłości, a to, co ona narozrabiła, wzięło się z rozstroju nerwowego i ze złości. I ojciec, i córka chcieliby cofnąć czas. Ale większość klientów prokuratury rada by czas cofnąć, fakty wymazać.

Jarosław B. liczy 83 lata. Ma gospozię Renatę P., panią 65-letnią, pracującą u niego od 35 lat, tj. od dnia, kiedy się ożenił. Żona Jarosława B. umarła 21 lat temu. Od tego czasu Renata P. prowadzi mu dom, samodzielnie wychowywała mu córkę. Pani P. jest starą panną. Jej życie to Jarosław B., jego córka, jej pies i ten dom. Renata P. jest współoskarżoną w sprawie i także odpowiadać będzie z wolnej stopy.

Jadwiga B. rosła więc bez matki, ale ojciec poświęcał Jej bardzo dużo czasu. Córce pana B. nigdy żadna kobieta nie zagrażała przystępu do ojca. Razem spędzali wszystkie urlopy, a także prawie wszystkie wieczory. U boku ojca Jadwiga zjeżdżała cały świat. Po ukończeniu studiów - cztery lata temu - zamierzała wziąć posadę. Miała kolejno dwie czy trzy propozycje. Ojciec odradzał: sam jej wyszuka coś ciekawszego. Jakoś nie wyszukał, natomiast wciągnął ją do swoich zajęć. Jeszcze nim zrobiła maturę, była u niego panią domu, przyjmowała gości niczym dorosła, towarzyszyła ojcu, gdy chodził z wizytami do znajomych, do teatru, na bridża i konferencje. Kiedy przestała mieć obowiązki uniwersyteckie, została także jego osobistą sekretarką.

Przez całe życie tylko wtedy miała wolne popołudnie lub wieczór, mogła iść na

zabawę lub do koleżanki, kiedy ojciec nie potrzebował jej towarzystwa. Jarosław B. nie nakazywał ani nie zmuszał. Po prostu ona stawiała ojca na pierwszym miejscu. Była przekonana, że woli zadawać się z ojcem niż z rówieśnikami.

Na trzecim roku studiów zaczął się koło niej kręcić pewien kolega i bywał u niej w domu. Po jakimś czasie ojciec powiedział, że mu się ten młody człowiek nie bardzo podoba, ale ona jest dorosła i niechże, na Boga, robi, co uważa. Jadwidze ten młody człowiek także przestał się zaraz podobać i więcej już u niej nie bywał. Miała za to dużo dobrych kolegów i dwa razy w roku urządzała przyjęcia. Ojciec zjawiał się na nich, witał się ze wszystkimi, mówił kilka dowcipów, wypijał kieliszek i dyskretnie zniknął w swojej sypialni. Jadwiga absolutnie nie może powiedzieć, żeby starał się odciąć jej kontakty ze światem. To tylko ona miewała niekiedy wrażenie, że zbytnie ich nasilenie lub koncentrowanie na jednej wybranej osobie płci przeciwnej - jest jakąś przewiną wobec cudownego ojca, samotnego przecież z wyboru, a nie z konieczności, obojętnego na kobiety, gdyż bez reszty zajętego córką.

Faceci zajmujący się fizyką teoretyczną mają dobrą lokatę towarzyską i matrymonialną. Ostatnimi czasy koło panny B. kręcić się zaczął taki jeden. Był brodaty. Dobiegał doktoratu i trzydziestki. Językami władał - więc odpowiedni. Fizyk teoretyczny zadomowił się w willi pana B. zresztą po trosze z konieczności. Córka tego domu niechętnie wieczorami wychodziła, bo - mówiła - tatusiowi byłoby smutno. Zrazu Jarosław B. łaskawie traktował gościa. Potem stał się wobec niego mrukliwy. Mawiał do córki, że brodacz jest arogancki. Odpowiadała, że tylko nonszalancki i że to się u niego bierze z elegancji oraz z wtajemniczenia w fizykę teoretyczną. Stary B. warczał zaś na gościa, bo zorientował się, że córka jest zakochana i że jego najważniejsza własność może zmienić posiadacza.

Pretekst do wypowiedzenia fizykowi domu był małostkowy. Gość po prostu totalnie rozregulował telewizor. Jest to co prawda wielkie świństwo, ale takie, które intelektualistom wypada znosić z dobrą miną. Jadwiga już nazajutrz sprowadziła technikę i na ekran wrócił obraz, ale brodacz do domu Jarosława B. już nie wrócił. Jarosław B. mówił, że od kiedy ten brodaty się kręci, on „przestaje się tu czuć u siebie”.

Jadwiga zaczęła wieczorami wychodzić. Ojciec okazywał lekką urazę, ale dobrotliwie. Ledwie, ledwie dawał jej do zrozumienia, że jest świnia. Niebawem wyjechał z córką na urlop. W górskim pensjonacie ona codziennie pisała listy. Po powrocie Jarosław B. oświadczył, że dowiedział się o tym młodzieńcu przykrych rzeczy i że uważa tę znajomość za niepożądaną. Pan B. dodał, że nie poniży się do powtarzania, co to za rzeczy usłyszał.

Jadwiga spotykała się ze swoim brodaczem rzadko i po kryjomu. Jej stosunki

z ojcem stały się oziębłe. Zaczęła mieć migreny, źle sypiać, doznawać palpacji serca i napadów melancholii. Brała pastylki uspokajające, zapijała je czerwonym winem, zamykała się w pokoju i słuchała płyt oraz czytała książki. Że więc sfiksowała, ojciec wysłał ją do psychiatry. Psychiatra mówił, żeby łykać pigułki, bo to dobra podpórka na zły okres, popijać wodą, a nie winem, i nie przejmować się, bo nic jej nie jest. Jarosław B. był innego zdania. Uważał córkę za bardzo chorą i nie taił przed nią tego, że jest chora i wymaga jego opieki. Usilnie prosił, żeby nie wychodziła z domu i nie przyjmowała denerwujących ją telefonów. Była posłuszna o tyle, o ile. Mam - twierdziła - cudownego tatusia.

Niebawem Jarosław B. sam począł zdradzać objawy fiksacji, gdyż brał aparat telefoniczny do swojego pokoju i zabraniał córce zeń korzystać. Kontrolował, co robi, gdzie idzie i na jak długo, niczym zazdrosny mąż. Począł uskarżać się na liczne dolegliwości, jakich nigdy nie miał, wymagające nadzwyczajnej opieki córki. Dawała się robić w konia to jest wierzyła, że tatusia ma przedzawałowego, a sama cierpi na szmergla. Ale z fizykiem teoretycznym spotykała się i odpowiedziała ojcu odmownie, kiedy na nią naciskał żeby spotykać się przestała.

W takiej sytuacji Jarosławowi B. wypadł kolejny wyjazd zagraniczny. Bardzo desperował, że musi jechać, chociaż z niepokojem to czyni ze względu na swoje słabe zdrowie. Niechętnie także - twierdził - zostawia córkę samą w takim stanie nerwów. Choćby jednak nie wiem jak przytłaczające było widmo fizyka teoretycznego - Polak nie zrezygnuje z wyjazdu.

Na ten czas Jarosław B., nie uprzedzając córki, przykazał Renacie P. zamknąć ją na klucz w jej pokoju na piętrze i więzić tak przez trzy tygodnie, a nie wypuszczać, żeby nie wiem co. Motywował to kiepskim stanem psychicznym dziecka.

Przez dwa tygodnie Jadwiga B. siedziała u siebie w pokoju i miała depresję. Po dwóch tygodniach, kiedy Renata P. przyniosła jej posiłek, odepchnęła gosposię i wyszła. Poszła na milicję i złożyła zeznanie, że ją ojciec więził. Potem zamieszkała u fizyka teoretycznego. Kiedy ojciec wrócił, spotkała się z nim w kawiarni. Pytał, czemu zrobiła skandal z udziałem milicji, skoro on tak postąpił z miłości do niej, obrzydzenia do fizyka teoretycznego i z troski o jej zdrowie. Powiedziała, że złożyła skargę po to, żeby stworzyć jakiś fakt dokonany, żeby za jednym zamachem przeciąć więzy między sobą i nim, żeby się odeń wyswobodzić, żeby zostali wrogami.

Potem usiłowała odwołać zeznania, bo już mieszkała z fizykiem teoretycznym i miała się z nim pobrać, więc tatuś był jej na tyle obojętny, że nie musiała go nienawidzić ani prowokować jego wrogości. Ale sprawa toczyła się swoją koleją.

Jarosław B. wziął dwóch świetnych adwokatów, którzy go pocieszali: ma uniewinnienie jak w banku. Córka chodziła do psychiatry, więc miał prawo

zatroszczyć się o jej spokój i bezpieczeństwo. Poza tym, jakież sądy uzna to za uwięzienie, skoro pięć razy dziennie starsza kobieta odmykała drzwi jej pokoju, i, jak się okazało, wystarczyło wstać i wyjść. Zrobiła to po dwóch tygodniach - mogła wcześniej.

Tak wyglądała sprawa Jarosława B., kiedy ją poznałem i opisałem.

Zanim doszło do procesu, w gazetach ukazały się nekrologi Jarosława B. Były to nekrologi duże i liczne. Jak się dowiedziałem, pan B. popełnił samobójstwo. Miał tak dobrych i tak sugestywnie mówiących adwokatów, że to chyba nie był strach przed procesem, tylko fizyk teoretyczny. Mniemam, że człowiek, jeśli chce mieć chęć do życia, nigdy nie powinien stawiać na jedną tylko kobietę.

Umowa

Jak starsze panie zabijają ludzi? Otóż subtelnie, delikatnie, ze słodyczą, co przedstawię na przykładzie sprawy Natalii F.

Bohaterka ma obecnie 71 lat, ale trzyma się krzepko, nawet w tarapatkach, w które popadła. Wzięły one początek sześć lat temu z zupełnie szczególnej umowy rejentalnej. Natalia F., która świeżo wówczas owdowiała, już w dobie wieloletniej choroby męża-geodety zapewniła sobie samodzielne źródło utrzymania. Mając bratanicę, która wyszła za właściciela sklepu, uzyskała przez nią dostęp do świata prywatnej inicjatywy, więc rano piekła torty dla agencyjnej kawiarni, a wieczorami szła abażury dla wytwórcy lamp.

Samotna ta niewiasta należy do rzędu tej kategorii starszych pań, które ubrane w sznurowane buciory, płócienną spódnicę i skafander, z egzaltacją w oczach samotnie wędrują po górach i znają Tatry z tymi ich różnymi turniami, halami, przełęczami i wierchami. Po śmierci męża, u którego łóżka była uwiązana, Natalia F. odrabiała zaległe kilometry, ze dwa miesiące w roku spędzając pod Zakopanem. Od lat stawała u niejkiej Teresy W., pani o rok od niej starszej, nie góralki, tylko wdowy po malarzu, mającej pod Zakopanem dom w miejscowym stylu i żyjącej z wynajmowania pięciu pokoi.

Panie były ze sobą mocno zaprzyjaźnione i pierwszego za swojego wdowieństwa pobytu Natalia F. wdała się z gospodynią w rozmowę, w której powiedziała, że chciałaby być na jej miejscu, mieć tu dom i mieszkać na stałe. Nie ciągnie jej do miasta i żmudnych zajęć zarobkowych. Na co Teresa W. wyznała, że ona, przeciwnie, rada by mieszkać w stolicy. Prawie całe życie spędziła tu na odludziu, użerając się z gośćmi, sprzątając i piorąc bieliznę pościelową.

Było to takie sobie gadanie, które nie mogło doprowadzić do zamiany ról życiowych, ponieważ dom pod Zakopanem wart jest pieniądze, a Natalia F. posiadała w Warszawie tylko dwa pokoje z kuchnią, inna rzecz, że własnościowe, ponieważ Teresa W. nie miałaby w stolicy z czego żyć, i ponieważ panie nie były w tym wieku, kiedy się cokolwiek w życiu rzuca, idzie na ryzyko. Przeciwnie - przestawienie stołu w inny kąt pokoju to już jest wielka przygoda...

Za następnego pobytu Natalii F. w górach panie znowu mówiły o swoich tęsknotach do odmiany siedziby i wpadły na pomysł umowy, która każdej z nich dawała nadzieję na pomyślną odmianę, nie każąc z niczego rezygnować. I Natalia F., i Teresa W. nie mają spadkobierców. Pierwsza jest bezdzietna, druga ma syna od wojny mieszkającego w Kanadzie. Nie skrupowane myślą o sukcesorach, zawarły więc notarialnie potwierdzoną umowę, stanowiącą, że w razie śmierci jednej z nich,

druga odziedziczy albo dom pod Zakopanem, albo mieszkanie w Warszawie, wraz ze wszystkim, co stanowi urządzenie wewnątrz. Zanim jednak którakolwiek z nich umrze, Natalia F. zyskuje prawo do bezpłatnego spędzania miesiąca w roku u Teresy W., w zamian zaś Teresa W. może przez miesiąc bezpłatnie być gościem w stolicy.

Przedśmiertne klauzule umowy natychmiast weszły w życie. Zresztą Natalia F. spędzała w górach więcej niż miesiąc, a Teresa W. w martwym turystycznie sezonie przyjeżdżała do stolicy także wydłużając swój pobyt, aż do wyczerpania możliwości stwarzanych przez repertuar teatralny i koncertowy oraz cierpliwości Natalii F.

Ostatnio Teresa W. zjechała do Warszawy i zamieszkała u przyjaciółki przygnana tym razem nie potrzebą wielkomiejskich rozrywek, tylko kiepskim stanem zdrowia. Niedomagała na serce i chciała zasięgnąć porady stołecznych specjalistów. Nadto miała nadzieję poczuć się lepiej na obszarze nizinnym. Mimo że skrupulatnie biegała po lekarzach i przechodziła różne badania, czuła się coraz gorzej, jej pobyt przeciągnął się do trzech miesięcy. Pod koniec już nie mogła wstawać z łóżka. Wreszcie zmarła, mimo starań lekarzy i opieki, jaką ją otaczała Natalia F.

Wkrótce po pogrzebie okazało się, że jedyna stołeczna krewna Teresy W., mianowicie jej siostrzenica, 42-letnia Olga H., zresztą odwiedzająca uprzednio wcale często chorą ciocię, teraz w podzakopiańskim domu ulokowała swoją teściową i wszczęła postępowanie spadkowe, zyskując poparcie kanadyjskiego kuzyna.

Oburzona Natalia F. także wzięła adwokata i w oparciu o notarialną umowę jęła dochodzić swoich roszczeń do domu w górach. Sprawa była skomplikowana prawnie i w opinii adwokatów winna się była zakończyć podziałem masy spadkowej. Istotniejszy od prawnego był jednak stan faktyczny. Olga H. poprzez swoją teściową zajęła dom, nie wpuszczała Natalii F. na próg, odmawiała jakiegokolwiek ugody. Tymczasem Natalia F., jak się rzekło, wkroczyła w 71 rok życia, kiedy to perspektywa długoletniego procesu nie jest nęcąca, czynnik czasu gra dużą rolę. Procesowanie się oznaczało także dla starszej pani koniec względnego dostatku materialnego, w którym żyła, bo prowadzenie sprawy sądowej kosztuje. Wkrótce jednak te kłopoty, oznaczające w praktyce, że nie ziści się jej marzenie o dokonaniu życia w górskim domu, straciły swe pierwszorzędne znaczenie. Natalia F. popadła bowiem w gorsze, straszne w gruncie rzeczy tarapaty. Olga H., jej procesowa przeciwniczka, złożyła w prokuraturze doniesienie, w którym oskarżała Natalię F. o umyślne zabójstwo jej ciotki z górnym.

Olga H., pracownica biblioteki naukowej, twierdziła, że kiedy odwiedzała chorą ciotkę, nie wiedziała nic o umowie, jaką zawarły dwie starsze panie. Teresa W. ani

słowem o tym nie wspomniała, wstydząc się zapewne, że tak paskudnie usiłowała wyrolować rodzinę. Dopiero po jej śmierci, kiedy Olga H. stała się świadoma, że Natalia F. miała interes w odejściu ze świata jej cioci, kojarzyć poczęła fakty i dociekać biegu zdarzeń. Otóż Teresa W. nie przyjmowała lekarstw, które zapisywali jej lekarze. Wpierw do nich biegała, co jeden postawił diagnozę i zapisał kurację, szła do drugiego szukać potwierdzenia diagnozy i nowych recept, a potem nie leczyła się, i to była przyczyna zgonu. Zważyć trzeba, że kiedy przyjechała do Warszawy, jej stan nie był ciężki. Przecież nawet nie położono jej w szpitalu. Lekarze uważali, że wystarczy kuracja domowa.

Gdy Olga H. zorientowała się, że ciocia nie bierze lekarstw, natarła na nią, że postępuje nierozsądnie. Teresa W. odparła na to, że czyni tak za radą Natalii F., która powołując się na własne doświadczenia z niedomogą serca i lekarzami, odradza jej przyjmowanie jakichkolwiek medykamentów. Natalia F. wykupywane przez Teresę W. lekarstwa wylewała do zlewu. Czyniła tak również wtedy, kiedy stan chorej był już ciężki. O jej złej woli świadczy fakt, że - jak Olga H. zauważyła - opiekunka jej cioci nawet oszukiwała po prostu chorą, podając jej jakąś walerianę zamiast tego, co przepisał lekarz. Owszem, Olga H. interweniowała od razu. Natalia F. odpowiedziała, że chora dostaje lekarstwa.

Obecnie, po zgonie ciotki, Olga H. odwiedziła dwóch lekarzy, którzy przychodzili do chorej z domowymi wizytami. Jeden z nich stwierdza, że Teresa W. rzeczywiście nie brała tego, co jej zapisał i że w związku z tym skrzyczał ją porządnie. Ów lekarz powinien stać się świadkiem oskarżenia. Olga H. twierdzi bowiem, że Natalia F., uniemożliwiając leczenie, spowodowała śmierć Teresy W., żeby wejść w posiadanie domu.

Przesłuchano lekarza. Potwierdził to, co napisała, a potem powtórzyła w zeznaniach Olga H.

Natalia F. wpierw oświadczyła, że to są wszystko potwarze osoby nie bezinteresownej, bo kobiety, która na drodze sądowej obalić chce wolę zmarłej, wyrażoną w umowie, jaką obie z nieboszczką zawarły. Dla zawładnięcia domem ta niecna kobieta posuwa się do oskarżenia jej o najstraszniejszą ze zbrodni. Pielęgnowała w chorobie przyjaciółkę, jak tylko mogła i umiała. Stosowała się do wskazówek lekarzy i dawała jej przepisane leki. Nie jest Panem Bogiem, ani nawet lekarzem i nie może odpowiadać za czyjąś śmierć naturalną.

Po skonfrontowaniu z Olgą H. i lekarzem - który w oparciu o rozmowę z chorą, a po trosze i obserwację reakcji jej organizmu, stwierdził, że nie brała ona przepisywanych przezeń lekarstw - Natalia F. poważnie zmieniła zeznania. Chora miała objawy zatrucia lekarstwami - mówiła - więc istotnie odradzała branie wszystkiego, co jej przepisano. Ponieważ Teresa W. radziła się trzech różnych

lekarzy, tając przed każdym z nich, że zasięga także porad u kogoś innego, miała nadmiar lekarstw, jakie doktorzy ordynowali jej nie wiedząc, co już bierze. Trzeba było wybierać. Wybierała sama chora, wedle własnego odczucia, który medykament „lepiej jej robi”.

Potem nie wstawiała już z łóżka i była w kiepskim stanie. Natalia F. sama selekcjonowała lekarstwa. Niektóre istotnie wylewała, stwierdziwszy, że ich skład pokrywa się mniej lub bardziej z tym, co chora już bierze.

Na zarzut, że nie powinna była wytrącać się do procesu leczniczego, bo to są sprawy lekarza, ewentualnie osoby chorej, i że powinna była natomiast powiedzieć lekarzowi, iż Teresa W. zasięga porad u trzech doktorów, niezależnie od siebie ordynujących medykamenty, Natalia F. mówiła: Jej przyjaciółkę leczono grzecznościowo. Żadnego ze swoich lekarzy nie chciała urazić. Jednocześnie chora do żadnego nie miała pełnego zaufania, ciągle każdą diagnozę czy przepisaną kurację usiłowała sprawdzać. Jakże ona, Natalia F., mogła się wtrącać w tak delikatne sprawy? Z drugiej strony, kiedy już przyjaciółka nie ruszała się z łóżka, ponosiła pewną za nią odpowiedzialność jako faktyczna pielęgniarka i opiekunka. Podając jej lekarstwa, kierowała się własnym rozsądkiem.

Te wyjaśnienia nie są spójne i noszą znamiona wykrętnych - konkludował prokurator. Jednakże nie sposób Natalii F. udowodnić, że intencją jej poczynań było spowodowanie śmierci, a nie troska o zdrowie przyjaciółki, którą się opiekowała. Nadto nie można ustalić, czy w ogóle nie dawała jej przepisanych lekarstw, czy tylko ograniczała ich faktycznie nadmierną ilość. W ostatnich tygodniach życia chorej lekarze byli zdania, że powinna iść do szpitala. Teresa W. odmawiała lub prosiła o zwłokę. Znowu nie sposób ustalić: z własnej to woli, czy za namową przyjaciółki. Lekarze twierdzą, że był to przypadek nie beznadziejny. Leczenie racjonalne, szczególnie szpitalne, dawało szansę. Jednakże trudno twierdzić, że gdyby istniały lepsze warunki leczenia, Teresa W. żyłaby do dziś. Stan jej serca był taki, że śmiertelne zejście stanowiło wynik naturalnego procesu chorobowego, nie zaś li tylko zaniedbań leczniczych. Chora po prostu umniejszała swoje szanse na przedłużenie życia.

W świetle tych ustaleń prokuratura postanowiła umorzyć śledztwo przeciwko Natalii F. Od decyzji tej Olga H. złożyła odwołanie, w którym wspomina, że tej morderczyni do swojego domu i tak nie wpuści.

Sufit

Bar zamknięto, więc życie tego dnia dobiegło końca. Wiesław O. szedł ulicą ku domowi i wtedy posłyszał, że nie wszyscy już są skazani na łóżko. Na trzecim piętrze domu pod numerem 71, przy ulicy Armii Czerwonej, trwała prywatka. Wszedł do tej bramy, a potem na schody, gdyż miał skłonności towarzyskie, a poza tym czuł, że w drodze wyjątku jeszcze czegoś by się napił.

Był to ze strony akurat Wiesława O. odruch nadzwyczaj nieprzezorny. Już kiedyś muzyka i odgłosy biesiady przywabiły go z ulicy do cudzego domu, skutkiem czego miał haka w życiorysie.

Działo się to w noc sylwestrową z 1964 na 1965 r. Wiesław O. miał wówczas 33 lata i wraz z żoną bawił się u szwagrostwa na przyjęciu składkowym. Około pierwszej w nocy doszło do nieporozumienia towarzyskiego. Na przyjęcie przybył kolega szwagra z narzeczoną i oboje pić poczęli szampana z kubków, wznosić toasty, śpiewać i zagryzać. Wiesław O. nie lubił swojego szwagra, a już tym bardziej jego kolegów. Zapytał więc głośno, acz uprzejmie, dlaczego to ten obywatel na składkowym przyjęciu pije szampana, za którego przecież nie płacił. Szwagier bardzo się obraził, także szwagierka. Zaczepiony kolega wyjął pieniądze i począł szastać setkami, a własna żona Wiesława O. kazała mu się wynosić, gdyż psuje nastrój rodzinny. Takie to okoliczności podał potem milicji jako przyczynę tego, że opuścił małżonkę i przyjęcie u szwagrostwa, aby oficer śledczy nie sądził, że od razu powodował nim złodziejski zamysł.

Nie lubiąc po pijanemu wracać do swojego łóżka (a ma to już w naturze, że próbuje odwlec ten moment), wlaźł wtedy na jakieś schody, a potem do obcego mieszkania, gdzie trwał bal, wszyscy byli pijani i nikt nie zwrócił nań uwagi, co, jak doświadczonym życiowo ludziom wiadomo, jest równoznaczne z życzliwym przyjęciem. Popił, usnął, obudził się nad ranem. Większość gości obecna jeszcze była cieleśnie, lecz spała lub nie kontaktowała. Opuścił więc przyjęcie, ale jacyś mężczyźni dogonili go na ulicy i powlekli na MO, gdzie był oskarżony o to, iż przed wyjściem opróżnił z pieniędzy parę rozrzuconych to tu, to tam damskich torebek i porozwieszanych gdzie popadło męskich marynarek. Miał przeciw sobie świadków i dowody rzeczowe, a na swoją obronę tylko zapewnienie, że tak go zamoczyło, iż nie wiedział, co czyni, i w ogóle nic nie pamięta. Sąd jednak uznał zabieranie cudzej własności za dowód, że Wiesław O działał przytomnie, i wlepił mu półtora roku bez zawieszenia.

Po odsiadce, z montera wysokiej klasy w budownictwie przemysłowym stoczył się na montera w wodociągach i kanalizacji, co żona, jako umysłowa w pralni chemicznej, miała mu bardzo za złe.

Niepomny tamtych doświadczeń, w osiem lat później Wiesław O. znowu wszedł do cudzego domu, gdzie go nikt nie prosił, i potem milicji znów wyjaśniał, że stało się tak, gdyż nie lubi samotności, a nie dlatego, że lubi nie swoje pieniądze. Te towarzyskie motywy jego czynu podważył w śledztwie dobry kolega Wiesława O., który zeznał, że już na dwie godziny przed wyjściem z baru obecny obwiniony zegnał się z nim i mówił, że więcej nie będzie pił, tylko wraca do żony, bo jeśli wróci później i bardziej napity, dozna z jej strony nieprzyjemności. Jakkolwiek było, potem przestało mu się spieszyć i dotrwał do zamknięcia baru. Wiesław O. twierdził, że wszedł do owego cudzego mieszkania, z którego dobiegał straszny hałas, że był pijany, dlatego nie pamięta, kto był w środku, ile osób, jacy ludzie, młodzi czy starzy, kto go wpuszczał, czy drzwi były otwarte, itd. W ogóle nic nie pamięta, tylko tyle, że z pewnością tam wszedł i potem stracił pamięć. A dla biegu śledztwa było rzeczą ważną, czy Wiesław O. był w mieszkaniu, gdzie odbywała się prywatka, czy nie był. Bo jeśli tak - to tym razem nie byłoby dowodów jego winy.

Wiesław O. twierdził więc, że był - pijany - w mieszkaniu, gdzie trwał bal i odzyskał przytomność dopiero po katastrofie, ale przeciwko tej wersji przemawiały zeznania świadków.

W jednym pokoju mieszkania, gdzie trwał bal, pokoju o powierzchni około 18 m kw., zgromadzonych było 35 osób (jedna przypadła na niespełna pół metra podłogi). Osoby te piły tylko wino i na ogół nie były pijane, a mimo to Wiesława O. nikt nie widział. Trudno zaś było, nawet w tłoku i ciemności, które tam panowały, nie zauważyć tego człowieka, skoro liczył on ponad 40 lat, a większość balujących miała po 15-17.

Lokatorka z mieszkania położonego na innym piętrze zeznała, że gdzieś kwadrans po jedenastej wieczorem usłyszała dzwonek u drzwi. Nie spała, gdyż było to niepodobieństwem. Otworzyła. Zrazu wydało jej się, że za drzwiami nikogo nie ma, ale gdy zapaliła światło na schodach, ujrzała mężczyznę, w którym obecnie rozpoznaje Wiesława O. Mężczyzna ten przeprosił i powiedział, że trzeba wezwać MO, bo strasznie hałasują. „To niech pan wezwie, ja nie mam telefonu” - rzekła i zatrasnęła drzwi.

Po cóż Wiesław O., idąc - jak twierdzi - na prywatkę, po drodze namawiał sąsiadów, aby wzywali milicję i tę prywatkę stłumili? Logiczne wyjaśnienie wizyty jest inne. Dzwoniąc do drzwi sprawdzał, czy ktoś jest w domu. Szukał wcale nie prywatki, tylko mieszkania do okradzenia. Potrzebował pieniędzy, bo w barze, co ustalono, przepił całą wypłatę co do grosza i bał się, co też ustalono, żony, i to na pewno bardziej niż więzienia.

Potem - domyślał się oficer śledczy - Wiesław O. zadzwonił do innego mieszkania, znajdującego się pod tym, gdzie trwała prywatka. Tam zaś nikt nie otworzył, gdyż

nikogo nie było. Wobec tego Wiesław O., który miał ze sobą skórzaną teczkę, a w teczce narzędzia i który jako monter posiadał odpowiednie umiejętności - drzwi wyważył. Skorzystał z tego, że na klatce schodowej był taki hałas, że nawet wybuchu granatu nikt by nie usłyszał. Dlatego w ogóle obrał sobie ten dom za miejsce, gdzie spodziewał się napełnić portfel, że okoliczności akustyczne sprzyjały włamaniu. Taka była hipoteza śledcza.

W każdym razie milicja znalazła jego i teczkę z narzędziami monterskimi w tym właśnie mieszkaniu, którego sufit był równocześnie parkietem tanecznym balujących o piętro wyżej. Tyle że kiedy Wiesława O. znaleziono w owym mieszkaniu, ten sufit już nie tkwił w swoim naturalnym miejscu, tylko leżał na Wiesławie O. Dlatego sądzono zrazu, że Wiesław O. wraz z innymi uczestnikami prywatki spadł do tego mieszkania wraz z sufitem. I dopiero w miarę śledztwa zrodziły się wątpliwości. Lecz na razie tylko wątpliwości, gdyż ślady ewentualnego włamania zostały zatarte. Po Wiesławie O. do owego mieszkania włamywał się ktoś jeszcze: dozorca, milicjanci, sąsiedzi łomem rozwalili drzwi na drzazgi. Chodziło o ratowanie ludzi.

A Wiesław O. uczeplił się tej wersji, że urwał się z sufitu, bo to była dlań jedyna deska ratunku przed wyrokiem.

Śledztwo, które nastąpiło po upadku sufitu, a wraz z nim kilkunastu osób spośród balującej młodzieży, dotyczyło zrazu tylko przyczyn i okoliczności katastrofy. Wiesławem O. zainteresowano się wówczas dopiero, gdy okazało się, że nikt go na górze nie widział, że był już karany za kradzież, że wszystko przepił, że miał przy sobie narzędzia i że dzwonił do mieszkania obok.

Sufit ten, nim spadł, trzymał się zacnie przez lat kilkadziesiąt. Budynek był stary co prawda, wystawiony w 1919 roku, ale że w czasie wojny się nadpalił, odrestaurowano go w 1943 r. - byle jak, zresztą prywatnym sumptem. Remont ówczesny nie obejmował wymiany stropów, a przecież były nadwerężone przez bombę zapalającą. Około 1950 r. dom został przejęty przez kwaterunek, w 1954 r. stał się spółdzielczym, własnościowym i wówczas go odnowiono. Ale także nie przeprowadzono remontu kapitalnego, tylko malowanie i wymianę framug. Dom przeznaczony był do kapitalnego remontu dopiero za lat parę, w drugiej kolejności w stosunku do bardziej potrzebujących budynków. Nie było żadnych sygnałów, że ściany czy stropy zarysowują się, żadnych objawów ich schyłku. Budowniczy coś spartaczył? Kto dziś tego dojdzie! Nie sposób również ustalić, kto odpowiadał za remont domu po wojnie i czy badano wtedy stropy. Obecna inspekcja stanu budynków mieszkalnych tłumaczyła się tym, że nie było żadnych alarmów, że dom nie miał żadnych widocznych felerów, trzymał się krzepko i że stropy w innych mieszkaniach, co teraz zbadano, mają właściwą wytrzymałość.

Sytuacja na prywatce: ów nieopisany tłum młodzieży nie naciskał równocześnie na podłogę. Jedni tańczyli, drudzy siedzieli, leżeli, wałęsali się po kuchni, łazience i korytarzu. Strop runął, kiedy skrzyknęli się wszyscy razem i poczęli tańczyć rytmicznie bardzo dziki taniec, wszyscy naraz, podskakując pionowo, bo w owym ścisku tylko taka forma aktywności ruchowej była możliwa. Kiedy oddział wojska maszeruje równym krokiem po moście, ponoć może się on zawalić, a cóż tu mówić o stropie, który przeżył kilkadziesiąt lat i bombę zapalającą.

A więc nie było winnego, bo młodzieży balującej pod nieobecność właścicielki mieszkania - matki jednej z dziewczyn - winić nie można. Nie jest obowiązana wiedzieć, że od skakania dom może się zawalić. Mogła najwyżej wiedzieć, że nie należy hałasować.

W aktach są różne ekspertyzy: że strop-nieboszczyk był to „strop Akermana”. Że nadbeton gęstożebrowany z wypełnieniem ceramicznym. I że owo wypełnienie stanowiły pustaki jakieś tam. Tylko nie było złamanego człowieka do obwiniania. I nagle zainteresowanie władz ścigania - od stropu skręciło ku Wiesławowi O. i jego, złodziejskim przypuszczalnie, zamysłem, przerwany runięciem mu sufitu na głowę.

Wiesław O. odleżał swoje w szpitalu. Miał złamany obojczyk, żebra i zgruchotaną dłoń plus potłuczenia ogólne. Poza nim do szpitala trafiło pięcioro balowiczów, w tym jedna osoba, której groziło trwałe kalectwo (ciężka kontuzja czaszki i kręgosłupa). Resztę tych, co spadli, opatrzone i puszczono do domu, tego w gipsie, tego bez.

Wiesław O. należał do ciężiej poszkodowanych.

Ani po wypadku, ani po opuszczeniu szpitala nie został aresztowany. Podejrzany stał się dopiero po pewnym czasie. Miał więc możliwość umocnić swoją wersję, że po prostu padł ofiarą katastrofy budowlanej. Były co do tego wątpliwości, lecz nie mogły jednoznacznie przemówić przeciwko niemu. Bo może go w tym ścisku nie zauważono na górze? Wszedł i zaraz wszyscy polecili w dół? I może dzwonił po drodze do mieszkania owej kobiety po prostu dlatego, że był pijany i nie postępował logicznie?

Właściciele mieszkania, w którym zwałił się sufit, wspomnieli w trakcie przesłuchania o tym, że owszem, mieli pieniądze zamknięte w szafce meblościanki i że je tam znaleźli, gdy wrócili do domu po katastrofie. Dało to oficerowi dochodzeniowemu asumpt do rzucenia, ot tak sobie, w kierunku przesłuchiwanego Wiesława O.: „Przyznaj się pan żeś się pan dobierał do forsy w szafce, tylko akurat spadł sufit i to panu przeszkodziło”. „Nigdzie się nie dobierałem zresztą szafka była zamknięta” - krzyknął Wiesław O. i ugryzł się w język, ale było już za późno. Bo w żaden sposób nie da się wytłumaczyć, jak człowiek, pod którym otwiera się

podłoga, a potem spada nań resztką sufitu i który w wyniku tego leży z połamanymi kośćmi, przygnieciony nadbetonem gęstożebrowanym z wypełnieniem ceramicznym - może w takiej sytuacji sprawdzać, czy szafka w meblościance jest otwarta. Wiesław O. przyznał się więc już teraz do wszystkiego. Potwierdził śledczą hipotezę, że nie urwał się z sufitu.

Pociąg II

W pociągu pośpiesznym, międzynarodowej zresztą relacji, między godziną piątą a szóstą po południu panował już półmrok, a jeszcze nie zapalono światła. Wagon pierwszej klasy był pustawy, jak zwykle od czasu zmiany przepisów o zwrocie kosztów za podróże służbowe. Przygnębiające ciemności dodatkowo pustoszyły przedziały, zwłaszcza że w najbliższym sąsiedztwie znajdował się rześcicie oświetlony wagon restauracyjny, gdzie wreszcie mogli uzyskać miejsca ci, którzy się tam nie dopchali w porze bardziej obiadowej. Panowała cisza, bo stukot kół w pociągu jest ciszą, i nagle doszedł mych uszu rozgwar z korytarza, zdający się zapowiadać awanturę. Pyskówka świetnie rozprasza monotonię podróży, kiedy jednak wstałem, żeby zorientować się, co jest na rzeczy, z powrotem cisnęło mną o poduszki siedzenia - pociąg gwałtownie hamował. Zaraz też stanął. Podniecone głosy przemieściły się z korytarza na zewnątrz wagonu, grupa mężczyzn, w tym i kolejarze, popędziła wzdłuż torów w kierunku odwrotnym do biegu pociągu. My, pasażerowie bez sportowej żyłki, wyglądaliśmy przez okna. Sytuacja przypominała scenę z filmu *Pociąg* Kawalerowicza, który starsi ludzie mogą jeszcze pamiętać.

Teraz już rejwach panował i wewnątrz pociągu, i na zewnątrz. Można też było się czegoś dopytać, acz informacje pochodziły oczywiście z drugiej ręki. Źródło sensacji - jakaś pani, która widziała, co się stało, była nieosiągalna, przebywała poza wagonem I klasy, a później co raz to inną panią mylnie wskazywano jako tę właśnie. W każdym razie jakaś pani, na razie bliżej nie określona, wracając z toalety dojrzała w jednym z przedziałów mężczyznę, który przez okno pędzącego pociągu ni mniej, ni więcej tylko wyrzucał - na jej oczach - jakiegoś innego człowieka. Krzyknęła i uciekła z powrotem do toalety, gotowa w niej się zabarykadować. Spłoszony zabójca także rzucił się do ucieczki, ale w przeciwną stronę korytarza. Ośmielona tym poczęła krzyczeć: „Ludzie, ludzie”, wywabiła pasażerów na korytarz, powiedziała, co się stało, i wówczas ktoś pociągnął za hamulec bezpieczeństwa. Pociąg zaczął zwalniać, a wtedy jeden z asystujących jej mężczyzn połapał się, że zatrzymanie pospiesznego pociągu stwarza sytuację dogodną dla zabójcy. Zarządził więc, aby współkibice otworzyli drzwi wagonu i patrzyli, czy nikt z pociągu nie ucieka, a panią zachęcił, aby w odpowiedniej męskiej asyście poszła teraz korytarzem w kierunku, w którym pobiegł zabójca, i rozpoznała go wśród pasażerów. Następny od tej strony wagon, drugiej klasy, był zatłoczony. Poszukiwania, polegające na przeglądaniu przedziału za przedziałem, rozpoczęły się dopiero wówczas, gdy znaleziono konduktora i ten zapalił światło. Wtedy jednak pociąg już stanął i sporo pasażerów, zwiędziawszy się o dramacie, pobiegło torami szukać ofiary defenestracji. Za nimi biegli inni, nie wiedząc nawet, co się stało, po prostu z ciekawości.

Pani, w asyście kolejarza, szła od wagonu do wagonu, coraz to bardziej bezradna. Wiedziała, że sprawcą był człowiek krępy, w ortalionowej kurtce, mający lat więcej niż dwadzieścia, a mniej niż pięćdziesiąt. Już znalazł się funkcjonariusz milicji w cywilu - przypadkowy pasażer - który usiłował wchodzących w grę mężczyzn grupować w jednym z przedziałów i legitymować. Rysopis był na tyle jednak niedokładny, że odpowiadała mu przerażająco wielka ilość pasażerów, a podejrzanych coraz to przybywało, w miarę jak na wieszakach w przedziałach odnajdywano ortalionowe kurtki, i ubywało, w miarę jak współpasażerowie zaświadczyli: „Ten pan w ogóle nie opuszczał przedziału”. Ekipa biegaczy torowych od dawna zniknęła z pola widzenia i nie wracała, nie było też od niej jakiegokolwiek wiadomości. Na torach ustawiono dla bezpieczeństwa światła sygnalizujące postój pociągu, i w ich poświacie widziało się coraz to nową grupę mężczyzn decydujących się na bieg torami. Wiele takich grup wyruszyło i żadna na razie nie wracała. Odnosiło się wrażenie, iż gdzieś tam w ciemności za pociągiem stoi molołoch z rozwartą paszczą, połykający grupki biegaczy. Potem jednak niektórzy sprinterzy poczęli wracać, mówiąc, że nie widzieli innych grup, które wyprawiły się torami, i w ogóle nie widzieli niczego poza ciemnością i pustką.

Później dopiero miało się okazać, że defenestratora na próżno poszukiwano w pociągu - miejscu, prawdę mówiąc, najbardziej w tym momencie dlań bezpiecznym, gdzie panował kompletny rozgardiasz; pani - naoczny świadek miotła się bezradnie, a początkowa ciemność pozwalała zbrodniarzowi stanąć gdziekolwiek i przybrać pozę i minę obojętnego pasażera. Przystępcę skusiła jednak okazja - pobiegł w drugiej z kolei grupie, która wypuściła się z pociągu. I tu miał szansę wtopić się w społeczność poszukiwaczy. Nerwy poniosły go wszakże w bok, przez pole do lasu, i chociaż współbiegacze zauważyli to, zreflektowali się zbyt późno, aby ich pogoń mogła być skuteczna. Ucieczka zbrodniarza pozwoliła potem ukierunkować milicyjną obławę. Urządzono ją w wiele, wiele godzin później - nie ta bowiem ekipa, z której on uciekł, ale jedna z następnych wpadła dopiero na pomysł, że miast urządzać wielkokilometrowy maraton w ciemność, lepiej skierować się na światła wsi i szukać telefonu. Milicyjne samochody przyjechały z odległości przeszło 20 km, więc po czterdziestu minutach, i zaczęto szukać zwłok - materialnego dowodu, że owa pani nie uległa halucynacji.

Szukanie okazało się trudnym przedsięwzięciem. Auta nie mogły jechać wzdłuż torów, przez pole, rowy, potem las. Milicjanci musieli pełną drogą dojeżdżać do torowiska, iść kilometr lub więcej przyświecając sobie ręcznymi latarkami, wracać do auta, jechać z powrotem do szosy, a potem skręcać w następną z kolei pełną drogę, by znów dojechać do torów i od nowa zacząć marsz z latarkami. Przez telefon wezwano drezynę z reflektorem, ale jej przyjazd był kwestią wielu godzin. Aktywiści spośród pasażerów proponowali cofać powoli pociąg i zdać się na poświatę z okien, ale takim manewrom sprzeciwiały się ponoć jakieś przepisy

kolejowe.

Z przeprowadzonych obliczeń wynikało, że od chwili kiedy owa pani ujrzała mrozącą krew w żyłach scenę, do momentu ostatecznego zatrzymania pociągu, nie mógł on ujechać więcej niż 10 kilometrów. Po jakimś czasie, który liczył się już w godzinach, uznano teren za przeszukany. Wyrzuconego z okna człowieka nie znaleziono. Oczywiście nawet przy szybkości 83 km na godzinę, jaką rozwijał wtedy pospieszny, wyrzucony przez okno człowiek, wylądowawszy na miękkiej ziemi, mógł nie odnieść szwanku, tylko pójść sobie. Jednakże wśród pasażerów dominować począł sceptycyzm: „Chyba się babie przywidziało”.

Późnym wieczorem pociąg ruszył w dalszą drogę. Mało kto siedział teraz w przedziale. Rajcowano na korytarzach a obroty wagonu restauracyjnego wzrosły niepomniernie, jako że picie pomaga rozładować napięcie.

Już potem, po przybyciu na miejsce przeznaczenia, dowiedziałem się, że mimo niezalezienia człowieka wyrzuconego z pociągu milicja nie uznała alarmu za fałszywy. Pan: będąca koronnym świadkiem robiła wrażenie osoby godnej wiary: niestara, wykształcona, teraz już zrównoważona i pewna swoich obserwacji. Zresztą biegnącego korytarzem mężczyznę widziała nie tylko ona, dwoje innych pasażerów także. Nadto cała gromada mężczyzn stwierdziła, że ktoś umykał przez pole i że gonili go bezowocnie. Z drugiej wszakże strony nie udało się z zeznań pasażerów ustalić, iżby brakowało kogoś, kto dotychczas towarzyszył im w podróży.

W czasie kiedy nasz pociąg jechał swoją drogą, milicja urządziła obławę w okolicy, w którą zaszył się uciekinier. Pospieszny włókł się ku swojemu przeznaczeniu, gdyż wypadł z rozkładu i wciąż stawał, czekając na wolny przejazd. Było to korzystne dla pracującej wewnątrz ekipy milicyjnej, która spisywała odpowiadających rysopisowi mężczyzn i urządziła ich konfrontacje z ową panią i z innymi osobami, które widziały mężczyznę biegnącego korytarzem pierwszej klasy.

W trakcie tej nienudnej, mimo iż powolnej podróży czekało nas jeszcze jedno zdarzenie. Pewna pani, która bawiła w wagonie restauracyjnym, dopóki był on otwarty, za powrotem do przedziału stwierdziła, że zginął jej skórzany płaszcz i walizka. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy, że w stojącym pociągu taki panował ruch, przemieszanie pasażerów i rozgardiasz, że żaden złodziej - a jakiś chyba musiał być w takim tłumie - nie mógłby się powstrzymać, by z okazji nie skorzystał. Poszukiwaniami, które teraz nastąpiły, zamknięta w pociągu społeczność mało się ekscytowała, mając głowy pełne poważniejszych przeżyć. Skradzionych rzeczy nie znaleziono.

Niebawem po powrocie do domu znów ruszyłem w drogę tą samą trasą, tylko osobowym już pociągiem, aby móc wysiąść na prowincjonalnej stacji. Powodowała

mną zawodowa już teraz ciekawość, czy znaleziono owego kogoś wyrzuconego z pociągu, żywego lub umarłego, i czy obława na sprawcę dała rezultat. Na pierwsze pytanie odpowiedź brzmiała: nie. Faceta wszakże, który dał dyla z pociągu, znaleziono. Był krępy, miał 46 lat i nosił ortalionową kurtkę.

Łupu tego nie przyniosła sama obława, w czasie której obejrzano oczywiście i zarejestrowano do dalszych wyjaśnień wielu samotnych piechurów, podróżnych czekających na PKS, czy gości przybyłych tego wieczora do kilku wchodzących w rachubę wsi. Dopiero później na milicji zjawił się gospodarz z wioski leżącej najbliżej szlaku ucieczki człowieka z pociągu i zeznał, że był u niego znajomy, mieszkający w odległości osiemnastu kilometrów. Przyszedłszy, znajomy ów zaczął od tego, że słyszał, jakoby tu można nabyć prosiaki. Wizyta ta wydała się gospodarzowi podejrzana, ponieważ gość nigdy przedtem nie rozmawiał z nim o prosiakach, ponieważ dziwna była pora, o jakiej się zjawił, ponieważ przeciągał wizytę, mimo że temat prosiaków dawno był wyczerpany, i wreszcie - ponieważ był zabłocony i czegoś się bał. Rozpytującej go wówczas milicji gospodarz powiedział, że w jego chałupie nie ma nikogo obcego. Mówił tak, gdyż jego gość był znajomy, a nie obcy, a także z tej przyczyny, że nie umiał tak na oczach człowieka oddawać go w ręce MO. Zorientował się jednak, że jego gość jest właśnie tym poszukiwanym przez MO. Więc kiedy tamten sobie poszedł, on - przespawszy noc, bo noc jest do spania - przybywa oto własnym zaprzęgiem na posterunek, aby zeznać, że był u niego Bronisław Cz., zamieszkały tam a tam, który odwiedził go o dziwnej porze pod lada jakim pretekstem, a kiedy milicja odeszła spod chałupy, poweselał.

Zatrzymany Bronisław Cz. twierdził, że żadnym pociągiem nie jechał, a tym bardziej nie wyrzucał przez okno człowieka, gdzież by on i po co miał coś takiego robić. Kiedy jednak owa pani - świadek koronny - spośród kilku stojących w ortalionowych kurtkach mężczyzn wybrała Bronisława Cz., jako najbardziej podobnego do defenestratora, kiedy okazało się, że Bronisław Cz. nie umie powiedzieć do sensu, gdzie spędził kilkanaście godzin, w czasie których nie było go w domu, i wreszcie kiedy rewizja przeprowadzona w jego obejściu dała nadspodziewany rezultat - wtedy Bronisław Cz. oświadczył, że teraz powie całą prawdę. A jest ona taka: ma córkę lekarzkę, córka zaś ma narzeczonego, niestety bibliotekarza w Akademii, więc on, ojciec, obiecał kupić młodemu mieszkanie. Poza tym ma na widoku pół morgi sadu, a to nie koniec widoków, bo czym dziś jest sad bez samochodu? Parę lat temu pracował jeszcze na kolei. Zna się na pociągach. Jednym słowem - jeździł międzynarodowymi. Przejeżdżał zawsze tylko jeden odcinek. Lubił porę, kiedy jest ciemno. Oglądał sobie przedziały, te puściejsze. Najlepsza była pierwsza klasa, bo tam pasażerów mniej, a zamożniejsi. Obserwował pasażerów - kto wychodzi na papierosa, kto do toalety. Musiał zawsze działać tak, żeby zrobić swoje, kiedy pociąg mija krzyżówkę między torami

a drogą żwirową łączącą dwie wsie - jego własną i sąsiednią. Tam bowiem w umówionej porze zajeżdżała końmi i czekała jego żona. Bywało, że pięć razy niepotrzebnie wydawał na bilet i nic. Ale za szóstym to się zwracało. W określonym miejscu z upatrzonego, wyludnionego akurat przedziału wyrzucał przez okno walizki i futra lub płaszcze. Tak i tym razem - wyrzucił walizkę i płaszcz skórzany, ale broń Boże człowieka! Na cóż byłby mu człowiek?! Nie jest hieną, która dla łachów zabije bliźniego.

Była to szczerą prawdą. Owa pani z pociągu przechodziła obok wyludnionego przedziału w chwili, kiedy Bronisław Cz., uporawszy się już z walizką, przez otwarte okno wyrzucał skórzany płaszcz. Ów płaszcz, wzdęty na wietrze, przybrał przez chwilę obły kształt człowieka, a pęd pociągu sprawił, że rzekomy człowiek rozpaczliwie machał rękami i zdawał się stawiać opór, miotać do tyłu. Ten to przejmujący obrazek właśnie dojrzała owa pani i z krzykiem uciekła w kierunku toalety.

Dom I

Ten bezstyłowy dom, wyjątkowej brzydoty, zbudowany został w końcu dziewiętnastego wieku przez wysokiego carskiego urzędnika. Położony był wtedy właściwie za miastem, miał okazały ogród, dwie werandy: otwartą i oszkloną, pokoiów siedem. Dziś jest mniejszy i ładniejszy. Zmalał, gdyż w czasie ostatniej wojny pocisk artyleryjski zniósł mu piętro. Wyładniał, gdyż z biegiem dziesięcioleci podpadały od muru posąжки, girlandy i balaski, a ściany zasłoniło dzikie wino.

Nie podzielił on losu innych wielkomieszczańskich siedzib - z wyjątkiem kilku lat powojennych, zamieszkiwali go coraz zamożniejsi, a nie coraz ubożsi gospodarze. Nadto już na przełomie wieków przyplątała się doń zła sława, i tak już zostało.

Na samym początku dwudziestego stulecia zmarł pierwszy właściciel domu - ojciec dorosłych już, rozpierzchłych po świecie dzieci, a wdowa wynajęła dom innemu rosyjskiemu dygnitarzowi, dla celów, które ją samą wyłączyły z lepszego towarzystwa. Nabywca osadził tam swoją młodziutką kochanicę i uczynił z willi przybytek libacji i balików o dwuznacznej renomie. Idąc ulicą, panie z zamieszkującego to przedmieście Warszawy drobnomieszczaństwa przechodziły na drugą stronę, żeby nie otrzeć się nawet o sztachety owego siedliska rozpusty.

Za niepodległości lokatorka parteru - opuszczona już przez sponsora eks-metresa - wyszła za zamożnego lekarza. Wdowa po pierwszym właścicielu nadal mieszkała na pięterku i prowadziła doktorostwo dom. Przez całe lata willa zdawała się być siedzibą medycznego kunsztu i mieszczańskiego dostojeństwa, póki któregoś dnia nie zajechała tam automobilem policja. Wtedy stało się jawne nie tylko dla sąsiadów, ale i dla całego czytującego gazety społeczeństwa, że willa mieściła fabrykę aniołków.

Następna właścicielka rzadko tu bywała, ale gdy już przyjeżdżała - to czarnym, staroświeckim samochodem z szoferem w liberii. Ogólnie miało być wiadome, że pani ta pracuje w dobroczynności i dom kupiła na pensjonat dla dziewcząt, i ogólnie było wiadomo, że jest tam normalny dom publiczny. Interes przechodził z rąk cło rąk, ale prosperował aż do okupacji, która przetrzebiła klientelę, bądź zniszczyła jej wypłacalność. Bardzo już zmarniała, odrapana willa przemieniona została przez jakiegoś inżyniera z Radomia w fabrykę proszków do prania i towarów pokrewnych. Śmierdziało od niej na milę chemikaliami, ale i smród moralny domostwa wzrastał, zamiast maleć, bo mieszkającego na pięterku gospodarza odwiedzali okupanci, i to w celach towarzyskich. W Warszawie uważało się to za kolaborację.

W 1944 lub 45 roku pocisk wyrznięt w pierwsze piętro, zostawiając zeń tylko kikuty murów. Na dawnych podłogach pięterka położono papę - prowizorkę dachu. Dawne cztery salony parteru przebudowano domowym sposobem na siedem izb i zamieszkało w nich pięć rodzin. Dom miał jakiegoś właściciela, ale tylko na papierze. We własnej osobie pojawił się on dopiero w roku 1957 i po załatwieniu dla dwóch rodzin przekwaterowań, zajął trzy pokoje. Przez dwa albo trzy lata sąsiedował z zamieszkującymi pozostałe pomieszczenia parteru robotniczymi rodzinami, po czym dopiął tego, że władze lokalowe uznały dom za nie nadający się do zamieszkania. Akt ten poprzedzały liczne procesy. Właściciel starał się wyprocesować eksmisję lokatorów, ci zaś skarżył go do sądu o rozmaite rzeczy: o okolenie ogrodu siatką od strony domu, uniemożliwiający dostęp do grządek, które z dawna uprawiali, o rozmyślne dewastowanie budynku, polegające na niełataniu prowizorycznego dachu, przeciwnie, ściąganiu zeń papy, aby ludziom deszcz lał się na głowę. Potem procesy ustały. Lokatorzy zorientowali się bowiem, że deszcz pracuje dla nich. Stopniowo kwaterunek dawał im nowe mieszkania, a kiedy ruiny willi opustoszały, właściciel sprowadził majstrów, zbudował dach, usuwając resztki dawnego piętra, i przebudował wnętrze.

Ten powojenny właściciel nazywał się Mikołaj J. Za II Rzeczypospolitej drobny urzędnik firmy handlowej, wzbogacił się w czasie okupacji, miał w Warszawie kilka sklepów. Po wojnie związał interes powoli, stopniowo. Pieniądze lokował w ziemi, w okolicach Warszawy, a płacił za nią psi grosz, bo była to epoka kolektywizacji. Sprzedawał ją później na metry kwadratowe przedsiębiorcom rozwijającym badyłarskie gospodarstwa. Podobno w niejednym z tych badyłarstw zachował cichy udział, ale sam nie zajmował się rolnictwem. Nawet w ogrodzie przy odnowionej willi Mikołaj J. hodował tylko trawę i kwiaty. W swoim bogato teraz urządzonym domu zajął się innymi, bardziej emocjonującymi interesami.

Sąsiedzi, ludzie na ogół z dawna tu osiadli w brzydkich chałupach z cegły, których projekty rodziły się w głowie przygodnego majstra budowlanego, a nie architekta - więc sąsiedzi nawykli już do tego, że dom ów otacza zła fama, niczego tym razem nie spostrzegli. Nawet dyskretnych nalotów milicji odbywanych zwykle późnymi wieczorami lub nocą. Mieścił się zaś tu przez kilka lat dom gry: poker, bakarat i ruleta.

Nie znamy faktów, lecz tylko obfite plotki na ten temat. Grono bywalców było ponoć szczupłe, ale doborowe. Kasyno działało na statusie prywatnego klubu. Nim człowieka dopuszczono do gry, musiał być polecony przez dwóch stałych gości, a Mikołaj J. przeprowadzał delikatny wywiad, kto zacz. Podobno kobiety nie miały tu wstępu, jako element niezrównoważony i plotkarski, więc niebezpieczny. Podobno składało się na początek wysoką kaucję, zwrotną po wycofaniu się z klubu. Podobno - bo wszystko to są plotki - w lokalu kasyna Mikołaja J. nie wolno

było pić alkoholu. Co najdziwniejsze: bywalcy musieli legitymować się, że pieniądze, które tu chcą przegrać, posiadają mniej więcej legalnie. Zasada ta obowiązywała nie z przyczyn moralnych, ale dla odwrócenia niebezpieczeństwa, że władze z okazji jakiegoś śledztwa, powiedzmy o defraudację, dowiedzą się, gdzie delikwent potracił pieniądze. Fama głosi także, że do gry nie były dopuszczane polskie złote, ale wyłącznie twarda waluta.

Na pewno wiadomo, że dom gry istniał, że milicja robiła naloty i niczego nie mogła udowodnić, bo ruleta, karty, sztony i pieniądze znikwały bez śladu w ciągu sekund. Później, kiedy milicja miała już dowody, Mikołaj J. dwukrotnie płacił wysokie grzywny za organizowanie hazardu, ale wznawiał potem działalność klubu. Widocznie mimo grzywien wychodził na swoje. Ostateczna likwidacja kasyna nastąpiła jakieś dwa lata temu, kiedy to pewien przegrany bywalec dobył noża, aby wymusić na partnerze rewanżową partię na kredyt. Nóż poszedł w ruch, a poszkodowany, po wyleczeniu się, był koronnym świadkiem na procesie. Mikołaj J. dostał wysoki wyrok za nielegalne operacje walutowe, i wtedy okazało się, że willa nie może stanowić zabezpieczenia pretensji finansowych skarbu państwa. Przewrotny właściciel kasyna sprzedał ją zawczasu - fikcyjnie czy naprawdę, nikt tego nie doszedł - swojej 36-letniej siostrzenicy Mariannie T. Kiedy Mikołaj J. poszedł do więzienia, ona zajęła dom, wraz z mężem Bronisławem. Zniknęli dawni bywalcy - gracze, ale nocami poprzez ciężkie zasłony, którymi ocienione były okna willi, przechodnie nadal dostrzegali światła palące się we wszystkich oknach.

Przeznaczenie willi zmieniło się zgodnie z duchem czasu. Następny w jej dziejach rozdział - to były narkotyki.

Przez poprzednie 10 lat swego życia Marianna T. była notowaną prostytutką. Kiedy miała 24 lata, wyszła za mąż za cudzoziemca i wyjechała z Polski. Wróciła po siedmiu latach, już u boku innego męża, właśnie Bronisława T., Polaka stale zamieszkałego za granicą, który później na stałe osiedlił się w kraju. Jak się następnie okazało, uczynił to w sytuacji przymusowej - po narobieniu długów na zawrotne sumy we Francji, Belgii i Szwajcarii. Oficjalnie ten 39-letni mężczyzna korzystał w Polsce ze statusu rencisty. Firma, którą kierował za granicą i na której imię naciągnął wielu ludzi na pieniądze - wypłacać mu miała emeryturę. W rzeczywistości, jak się przypuszcza, po zamieszkaniu w Polsce i zniknięciu z pola widzenia wierzycieli, kierował zdalnie tymi samymi co przedtem interesami. Ich natury nikt nie znał i nie dociekał. Bronisław T. i jego żona zatrzymani zostali tylko pod zarzutem rozpowszechniania z zyskiem narkotyków.

Oskarżenie opierało się na zeznaniach ich gości: ludzi dojrzałych, statecznych i zasobnych. Żadna tam młodzież, czy hipisi, same osoby wypłacalne: lekarze, inżynierowie, prywatna inicjatywa, jedna adwokatka. Nakreślony przez nich obraz wyglądał następująco: willa nie pełniła już roli stałej speluny, jak za ruletkowych

czasów. Seanse narkotyczne odbywały się od czasu do czasu. Miały charakter składkowy. Na ogół gospodarze brali po kilkaset złotych od osoby. Jednorazowo gromadziło się tu sześcioro do dwanaściora gości. Kogo nie ciekawiły narkotyki - miał do dyspozycji alkohole. W czasie całonocnych seansów kwitło dosyć bujnie życie erotyczne, ale nie stwierdzono, aby wiązały się z nim jakieś operacje pieniężne, lub żeby uprawiano zbiorowe bezceństwo. Przychodziły tu nie tylko osoby samotne, ale także małżeństwa. A więc zainteresowanie prowadzących śledztwo skupiały tylko narkotyki.

Pani i pan T. zeznawali zgodnie: są ludźmi towarzyskimi. Po prostu często organizowali przyjęcia dla przyjaciół. Nie są w tak złej sytuacji materialnej, aby szukać zarobku na swych gościach. Nie są również tak zamożni, aby stale przyjmować na swój koszt. Zwykle przyjęcia miały więc charakter składkowy. Nigdy nie mieli narkotyków i nigdy ich nie podawali. Natomiast kilka razy dla żartów udawali, że proponują do zażycia różne specyfiki narkotyzujące, które nazywali LSD, heroiną lub zgoła fikcyjnymi nazwami. Były to sproszkowane banalne, ogólnie dostępne leki - tabletki od bólu głowy z aspiryną i środkami uspokajającymi. Jakoś to tam pewno działało, mdliło czy usypiało. Reszty dokonywała sugestia.

„Poczułam zawrót głowy, potem nic już nie pamiętam, tylko uczucie zapadania się w siebie i jakąś błogość” - zeznała pewna aktorka. Ale były i inne zeznania: „...nagle cała ściana pokryła się kolorowymi ruchomymi plamami. Miałam uczucie, że umieram, ale przedzieram się ku tej śmierci przez orgię kolorów”. Tak opowiadała żona pewnego adwokata. „Bzdury - komentowali to państwo T. - pewno tego wieczoru nie poskąpiliśmy im luminalu, ale czy mamy odsiadywać w więzieniu czyjeś kolorowe sny?”

W owej fatalnej willi nie znaleziono żadnych narkotyków. Władze śledcze nie wpadły na ślad żadnego źródła zaopatrzenia państwa T. w środki, których nie można kupić w aptece. Większość świadków upiera się przy swoim: wędrowali w inne krainy pod wpływem prawdziwych narkotyków. Biegli lekarze nie stwierdzają u bywalców państwa T. żadnych symptomów ani zmian w organizmie, jakie niektóre narkotyki powodują. Państwo T. odpowiadać będą za podawanie gościom środków odurzających, no i przypuszczalnie za oszustwo. Inkasowali pieniądze większe niż należność za aspirynę z luminalem.

Willa aktualnie stoi pusta, i właściciele, którzy znaleźli się w tarapatkach także finansowych, podobno zamierzają ją sprzedać. Ciekawość bierze: kto ją kupi i co tam zainstaluje? Ciążące nad tym miejscem fatum nie pozwala bowiem przypuszczać, że w tym domu powstanie, dajmy na to - przedszkole.

To załóż się pan

Rozprawa sądowa tego dnia przeciągnęła się do późna i miała zakończyć się dopiero nazajutrz. Wysoki Sąd głodny był jak diabli, a i oskarżycielowi kiszki marsza grały. Oba człony wymiaru sprawiedliwości udały się tedy spieszenie do pobliskiej restauracji, wypity po jednej wódce, by odegnać zmęczenie, po drugie, by poprawić nastrój, i jęły się rozglądać za kartą. Ujrzały wtedy siedzącego nie opodal oskarżonego.

Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy, że odpowiadał on z wolnej stopy, też musiał zgłodzić, a restauracja leżała w pobliżu sądu. Chwilę się zakłopotali, czy nie wyniknie z tego jakaś nieprzyjemna sytuacja, gdy ananas sobie popije, ale gość siedział spokojnie, nie zwracając na swych urzędowych prześladowców najmniejszej uwagi.

W tej chwili zjawił się kelner z tacą i - nie pytając o zamówienie - ustawił na stole prawników miseczkę kawioru i pół litra. Nie zdążyli nawet zaprotestować i nolens volens zaczęli jeść i pić, smętnie rozważając cenę przysmaku. Potem wjechały wykwintne dania gorące. Przyjęli je bez sprzeciwu, pogodzeni z dziwnym stylem pracy kelnera, a że byli głodni, więc nawet radzi, iż nie muszą czekać. Gdy pili kawę, podsądny właśnie był skończył, ukłonił się z daleka w kierunku ich stolika i wyszedł. Poprosili o rachunek. Wtedy kelner oświadczył:

- Wszystko już zapłacone.

Sytuacja była głupia: zapłacić drugi raz - kelner i tak zainkasuje do swojej kieszeni, a fundator będzie przekonany, że kawał się udał. Wzywać milicję? Nie bardzo jest po co. „Próba przekupstwa” ma charakter nieszablonowy. Zapytali kelnera, czy zna tego, kto za nich zapłacił. Okazało się, że zna. „To na pewno jakiś zakład” - śmiał się kelner. Zapłacili po raz drugi, solennie zobowiązując kelnera do zwrócenia owemu gościowi pieniędzy.

Kelner się wzbraniał. Powiadał, że „to już sprawa między panami”. Wtajemniczyli go w istotę rzeczy. Przystał wówczas. Nawet zgodził się jechać do faceta do domu. Że jednak rozmowa ciągnęła się długo, a kelner siedział już przy stoliku - opowiedział gościom dziwną historię owego faceta.

Nazajutrz ogłoszono wyrok. Brzmiał on uniewinniająco. Na korytarzu podszedł do sędziego niedawny oskarżony i jął przeproszać za restauracyjny incydent:

- Niech pan nie myśli, że chciałem tak głupio przekupić, czy co. Ja tylko się założyłem, że uda mi się panów zaprosić na obiad.

Nieczęsto oskarżony popełnia recydywę w trakcie trwania sądowej rozprawy.

Sprawa, która przez dwa dni zaprzętała Sąd Powiatowy, była dosyć oryginalna i skomplikowana z prawnego punktu widzenia. Podsądny Karol K. siedział był ze znajomym Janem W. w restauracji i tu założył się, który też z nich wypije więcej piwa. Wyznaczyli sobie dwugodzinny termin. Na stole położyli zegarki - obiekt zakładu. Kelner jął nosić piwo. Z czasem wokół nich zebrał się tłum mężczyzn.

Karol K. był po 29 butelkach piwa, a Jan W. po 22, kiedy zwał się pod stół. Inicjator zakładu zabrał oba zegarki ze stołu i poszedł do domu. Z Janem W. było gorzej. Po bezowocnych próbach doprowadzenia go do przytomności wezwano Pogotowie. Tejże nocy zmarł on w szpitalu.

Prokuratura miała kłopoty z wniesieniem oskarżenia. Człowiek umarł. Ale kto zawinił? Kelner niewątpliwie wykazał głupotę, bezwolnie serwując kosmiczne ilości piwka, ale w końcu niewiele mu poza głupotą można zarzucić. Wart jest ostrej kary służbowej, ewentualnie oskarżenia o podawanie alkoholu pijanemu. Sprawę wniesiono przeciwko Karolowi K. Że zainicjował zabawę grożącą niebezpieczeństwem dla zdrowia i mimo woli przyczynił się do spowodowania śmierci człowieka.

Jego obrona nie miała trudnego zadania. Żeby odpowiadać za narażanie bliźniego na chorobę lub śmierć, czy też nawet mimowolne jej spowodowanie - trzeba mieć świadomość istnienia takowego niebezpieczeństwa. Tymczasem Karol K. sam pił, czyli narażał się, i nawet wypił więcej. Jeśli tak, należy uznać, że nie zdawał sobie sprawy i niebezpieczeństwa nadmiernego piwoszwowania.

Przyszła mu w sukurs ekspertyza lekarska. Śmierć Jana W. związana była z jego indywidualnymi wadami zdrowia, miała charakter incydentalny. Zapadł tedy wyrok uniewinniający.

W trakcie procesu Karol K. usiłował szybko trzasnąć na boku mały zakładzik.

Różne bywają hobbies. Karol K., człowiek pod pięćdziesiątkę - jak daleko jego krewni i znajomi sięgają pamięcią - miał tylko jedno, zakłady. Gotów był zakładać się z każdym i o wszystko. Mniej dbał o wygraną niż o sam fakt zakładu. I jeśli można powiedzieć, że na wymyślaniu zakładów i wynajdywaniu partnerów schodziły mu dni, to zakłady wyznaczały i determinowały historię jego życia.

W mieście opowiadają, że przed wojną przegrał w zakładzie znaczny spadek po ojcu, stawiając na to, że na ulicę pierwszy wjedzie wóz dwukonny, a nie jednokonny. Jego ożenek, zrealizowany przed ćwierć wiekiem, był wynikiem zakładu, że się ożeni - zawartego z ówczesną narzeczoną, po dziś dzień pozostającą jego żoną. Królem jego przedsięwzięć był zakład z czasów okupacji. Karol K. postawił godną uwagi ilość alkoholu na to, że w biały dzień zawiesi na hitlerowskiej komendanturze biało-czerwony sztandar, a potem w ciągu godziny strąci hełm

z głowy strażnika przed tą komendanturą. I zrobi to wszystko w dziesięciolecie dojścia Hitlera do władzy.

W święta zawieszano na komendanturze długie flagi, zwisające z dachu aż po trotuar. Karol K. wszedł w kontakt z dozorcą gmachu, Polakiem, i nie wtajemniczając go w sprawę, obiecał pomóc mu w pracy czy też go zastąpić. Uprzednio przygotował biało-czerwoną flagę, która na końcu rulonu miała kawałeczek czysto czerwonego materiału przybitego do deszczułki. Rankiem owego dnia, kiedy żołnierz Przyszedł do komórki po flagi, po prostu wydał mu jedną hitlerowską, a drugą biało-czerwoną. Żołnierz wlaź na dach, wpierw spuścił hitlerowską, potem zaś biało-czerwoną. Dowcip polegał na tym, że takich flag nie rozwija się przed zawieszeniem; umocowane jednym końcem w rynnie, rozwijają się same, gdy rulon zrzuca się w dół. Żołnierz nie widział, co zrzucił. Spokojnie zszedł z dachu. Nim zrobiła się awantura i wdrapał się z powrotem na górę, już z odpowiednią flagą, minęło kilka minut i po Karolu nie było ani śladu.

W pół godziny później przeszedł ulicą przed komendanturą i na oczach zainteresowanych wynikiem zakładu obserwatorów, spokojnie podszedł do strażnika, zdjął mu z głowy hełm, położył na ziemi, kiedy zaś zdezorientowany żołnierz zaczął krzyczeć, a nawet sięgać po broń - uśmiechnął się, bardzo przeprosił, wyjaśniając, że coś na hełmie było, i podał go żołnierzowi, czekając jeszcze na podziękowanie. Potem jakby nigdy nic poszedł sobie dalej.

Po wojnie, w niespokojnych jeszcze czasach, przez megafon dworcowy kazał opuścić pociągi wszystkim kobietom, a że apel był skuteczny, siedział za to tydzień, bo nie potrafił wyjaśnić, co miał na myśli i o co tu chodziło, a szczególnie, z czyjego polecenia działał.

Niedawno wozakowi od węgla upił w sztok konia. Zakład dotyczył tego, czy koń potrafi się zataczać. Potrafił.

Tak więc kelner owej leżącej w bliskości sądu restauracji wtajemniczył rozsierdzonych gości w curriculum vitae nachalnego fundatora. I choć, co prawda, wiadomości uboczne nie powinny mieć wpływu na przebieg rozprawy, wiedza o życiowej pasji podsądnego posłużyła przewodniczącemu do zadania mu kilku pytań. Ich to zapewne skutkiem było, że w ostatnim słowie oskarżony złożył dziwną jak na to miejsce deklarację: wstrząśnięty moralnie zawinioną przez niego śmiercią człowieka, nie będzie już nigdy i o nic się zakładał.

Tak to Karol K., nie straciwszy wolności - stracił hobby.

Taksówkarz

Po zakończeniu śledztwa, a przed procesem uzyskałem informację o następującej sprawie:

W mieście powiatowym J. właściciel taksówki marki „Wołga”, numer boczny 4, Antoni C., opowiedział milicji o przygodzie, z której ledwo uszedł z życiem. Przed wieczorem, już po zmroku, na postoju przy dworcu kolejowym do jego wozu wsiadło dwóch młodzieńców zajeżdżających piwskim. Kazali się wieźć do odległej o 11 km wsi. Byłby nie pojechał, bo faceci robili nieprzyjemne wrażenie i nie miał pewności, czy zapłacą, ale kiedy nad tym medytował, zastanawiając się, czy ruszać - do wozu, na trzecią, wsiadła jego znajoma, sprzedawczyni w kiosku spożywczym. Klienci nie protestowali, kiedy oznajmił, że chce ją po drodze podrzucić. To go uspokoiło, bo rzezimieszki planujące coś złego nie życzyłyby sobie świadka, który ich w razie czego rozpozna.

Znajoma wysiadła, jechali, jechali, zagadywał pasażerów, czy są z tych stron - czy może w odwiedziny do krewnych, po wojsku oni czy przed wojskiem, ale w ogóle nie chcieli rozmawiać. W lesie jeden z nich kazał Antoniemu C. stanąć, bo musi iść za potrzebą. Taksówkarzowi strach było stawać, głupio jednak odmówić. Hamował z twarzą odwróconą ku tylnemu siedzeniu, żeby się nie dać zaskoczyć. Wysiedli z wozu, załatwili swoją potrzebę, a za powrotem jeden z nich przyłożył Antoniemu C. brzytwę do twarzy i kazał oddać pieniądze. Taksówkarz sięgnął do bocznej kieszeni marynarki po portmonetkę. Miał tam banknotami 140 zł i około 100 bilonem. Nie dała im ta kwota zadowolenia i wleźli taksówkarzowi na mamusię. Tłumaczył, że nie ma więcej, pieniądze trzyma w domu. Zapytali, ile tam ma. Odparł, że będzie około dziesięciu tysięcy, bo bał się, że porachują się z nim w lesie. Pewniej czułby się w mieście. Chwyciło. Kazali zawracać. Powrotną drogę także odbyli w milczeniu, a Antoni C. myślał tak intensywnie, jak nigdy. Nie zdecydował się jednak zajechać pod milicję, nie przystanął także, chociaż go kusilo, kiedy na głównej ulicy miasta J. mijali milicjanta. Czuł brzytwę tuż przy karku i wołał nie ryzykować. Stanął pod swoim domem i weszli całą trójką do mieszkania.

Dzieci spały, żona przy nakrytym stole czekała z kolacją. Ten niższy, który miał brzytwę, schował ją do kieszeni kurtki, ale ręki z kieszeni nie wyjął. Wyższy kazał włączyć telewizor. Antoniego C. przeszło mrowie: widać chcą zagłuszyć krzyki. On naiwny myślał, że wezmą pieniądze i sobie pójdą, a przecież mają ten rozum, że nie uszliby daleko, w parę minut zwinęłaby ich zaalarmowana milicja. „Będą mordować” - pomyślał taksówkarz. Wyrzucał sobie, że nie zaryzykował podjechania pod komendę, i postanowił grać na zwłokę. „Panowie!” - powiedział -

nie mam w domu pieniędzy, pójdę pożyczyć. Nie wytnę żadnego numeru, jak Boga kocham, zostawiam tu żonę i dzieci...” Żona Antoniego C. zorientowała się wówczas, że to bandyci, a bojąc się z nimi zostać nie pozwoliła mężowi urzeczywistnić jego planu. „Antoś! Jak to? Daj panom pieniądze i niech sobie idą.” Spiesznie wyjęła z szafy wszystko, co mieli, a było tego 2 600. Rabusie wzięli forszę, ale zadowoleni nie byli i wahali się, widać było, co dalej robić. W telewizji szedł jakiś film miłosny.

Dzieci spały, żona taksówkarza płakała, on sam stał jak sparaliżowany, a bandyci milczeli i ani nie zabierali się do wyjścia, ani nie zaczęli mordować, tylko patrzyli pytająco jeden na drugiego. Wtem ten niższy, który miał brzytwę, lewą ręką sięgnął na stół, odłamał kawał kiełbasy i zaczął jeść. Drugi także zaczął ładować sobie w gębę wędlinę i chleb. Robili wrażenie bardzo głodnych. Żona Antoniego C. od początku usiłowała ich podbić usłużnością i dobrocią. Sięgnęła do kredensu po wódkę i kieliszki. Nie chcieli kieliszków. Nalali do szklanek sobie, a potem także Antoniemu C. „Jedźcie, panowie, jedźcie...” - przymilała się żona, a taksówkarz gromił ją wzrokiem i klął w duchu: popiją się, to nabiorą śmiałości do zabijania, zdziczeją. „Pij pan” - warknął wyższy. „Wypij z panami, Antosiu” - wdzięczyła się żona, a on pił i krztusił się, bo gorzała nie przechodziła mu przez gardło.

Po chwili żona wydobyła następną butelkę. „Może to i lepiej - pomyślał - jak przeholują, dam sobie z nimi radę.” Ale oni jakby przeniknęli jego myśli. Pilnowali, żeby pił dwa razy więcej. „Zarzną mnie nieprzytomnego” - przemknęło mu przez głowę.

Rzezimieszki usiedli przy stole i jedli teraz regularnie z talerzy, a żona podawała im z taką gorliwością, jakby w życiu nie miała przyjemniejszych gości. „I co teraz będzie, panie kierowco” - zagadnął, najadłszy się, ten wyższy, a widać było, że rzeczywiście szuka rady, bo nie wie, jak rozegrać tę grę. „Dałem, panie, ile miałem” - odrzekł taksówkarz, a jego żona zdjęła z palca złoty pierścionek i podała temu wyższemu zachwalając, że to dukatowe złoto, dziś takiego nie kupić. „Tak, my sobie pójdziem, a pan, panie kierowco, za telefon i do blacharzy?” - rzekł z urazą w głosie ten niższy. „Spójrz pan na mnie. Ja bym tak zrobił?” - przekonywał go Antoni C. Bandyci zaczęli ze sobą szeptać, widać było, że myślenie idzie im niesporo, gdyż są pijani. W końcu wyższy oznajmił: „Jedźcie oboje z nami. Ja biorę kółko”. „A dzieci? Przecież nie zostawię tak dzieci!” - zaczęła lamentować taksówkarzowa. „Wróćcie przed ranem. Wysadzimy was po drodze, sami odbijemy ze sto kilometrów, i będzie” - uspokajał niższy. „Antoś! Nie! Pozarzynaają nas gdzieś w lesie!” - zaczęła krzyczeć pani C., ale wyższy złapał ją i zatkał usta ręką. Wyrwała się, a co udało się jej złapać oddech - to usiłowała wrzasnąć. Niższy przyskoczył do taksówkarzowej z rozwartą brzytwą, ale nie robiło to na niej najmniejszego wrażenia. Antoni C. opowiada, że dojrzał w oczach tego niższego

zły błysk i czuł, że za ułamek sekundy tamten zrobi użytek z brzytwy. „Panowie, mam myśl” - zawołał. I zaczął mówić, że parę ulic dalej jest prywatny sklep spożywczy jednego inwalidy, a za sklepem jego mieszkanie. Że on tego inwalidę z żoną odwoził na pociąg, więc nie ma tam dzisiaj nikogo w domu. Że można łatwo dostać się do mieszkania, a tam wielkie bogactwo, nie to dziadostwo, co u niego. Że podzielią się łupem, a wtedy chyba będą spokojni, że on ich nie wyda. Zbiry patrzyli po sobie, ale pokusa była duża i już w nich to kiełkowało. Antoni C. wyjął trzecie pół litra, rozpili je, ten wyższy puścił taksówkarzową, która płakała, ale już bezgłośnie. „Siedź cicho w domu i czekaj, aż wrócę” - zapowiedział jej uroczyście Antoni C., wyszedł ze zbirami i pojechali. Wyważyli okno od podwórza. Z mieszkania sklepikarzystwa wynieśli kilka złotych przedmiotów wartości, wedle szacunku eksperta, 36 tysięcy, sześć i pół tys. gotówką oraz skórzaną kurtkę.

Plądrował taksówkarz z tym niższym. Wyższy stał na zewnątrz i pilnował. Potem wsiedli do wozu i podzielili wszystko na trzy części. Antoni C. dostał tysiąc złotych (jego pieniędzy mu nie oddali) i złotą bransoletę. Potem Antoni C. ruszył, miał jechać polną drogą do następnej stacji kolejowej, gdzie zbiry zamierzały wsiąść do pociągu. Taksówkarz czuł się bardzo pijany i po drodze wyrznął w wysoki pień sterczący z metr w bok od drogi. Pień utknął w podwoziu. Wóz nie ruszał w przód ani w tył. Bandyci zostawili go i poszli sobie. Antoni C. usnął, obudził się rano, bez trudu wyprowadził wóz i wrócił do domu.

Żona powiedziała, że już go opłakała, ale milicji nie dała znać, bo przecież kazał jej cicho siedzieć i czekać.

Oficer dochodzeniowy wysłuchawszy tej opowieści taksówkarza, który kradł w obronie własnej, zapytał go, czemu rano nie przyszedł na milicję, a całą tę historię opowiedział dopiero wtedy, kiedy milicja jego poszukała, stwierdziwszy, że w czasie włamania taksówka nr 4 stała przed okradzionym domem. Taksówkarz odparł, że nie mógł przyjść do siebie po wódcę i przeżyciach i że myślał cały dzień nad tym, czy milicja mu uwierzy, że było tak, jak mówi, czy też będzie musiał siedzieć za niewinność.

Zbirów złapano. Wyższy nazywa się Miron A., niższy Jerzy P. Obaj pracowali jako robotnicy przeładunkowi na rampie kolejowej, po pijanemu wzięli udział w krwawej bójce, po czym wsiedli wtedy do pierwszego lepszego pociągu, żeby uciec przed odpowiedzialnością, wysiedli na pierwszej lepszej stacji i uznali, że trzeba zdobyć parę groszy, aby gdzieś zamelinować się i przeczekać. Potwierdzili oni zeznania Antoniego C. Prokuratura oskarżać będzie taksówkarza o to, że uległ pokusie i okazja uczyniła go złodziejem. Sądowi przyjdzie rozstrzygnąć, czy winien jest kradzieży, czy też współdziałał pod przymusem i miał zamiar zwrócić pieniądze i oskarżyć swoich prześladowców, a tylko potrzebował czasu na przewyciężenie kaca, szoku i lęku.

Okazja

Mgr Felicja C. opowiada, że w trakcie ostatniego semestru studiów prawniczych urządzano spotkania przyszłych absolwentów z reprezentantami przyszłych pracodawców i wspomina pogadanką kogoś z prokuratury. W pamięci jej utkwiło, iż ostrzegał kandydatów, że praca prokuratorska, wbrew ogólnemu mniemaniu, pełna jest monotonii i nudy, bardzo papierkowa. A to, co się czyta dniami, i bywa także nocami - to częściej setki faktur i kwitów oraz księgi finansowe czy zeznania o obiegu dokumentacji magazynowej, niż opisy zdarzeń przypominających kryminalne powieści. Felicja C. nie zniechęciła się, przyjęła w prowincjonalnej prokuraturze etat stażystki i już w pierwszych dniach aplikacji doznała wrażenia, że gra w filmie sensacyjnym.

W 47-tysięcznym mieście R. jest jeden tylko lokal zwany nocnym, bo otwarty do północy, i Felicja C. poszła tam zjeść kolację.

- Stówa za wejście, panienko! - powiedział portier i przyszła prokuratorka zapłaciła bez zdziwienia, bo w Warszawie, skąd przybywała, to jest normalna opłata za konsumpcję w nocnym lokalu. Dostała kwitek, nie obejrzała go, wskazano jej stolik. Po pewnym czasie portier przyholował dwóch facetów i umieścił przy tym samym stoliku.

Goście częstowali ją wódką, prawili komplementy, zachowywali się obcesowo, mówili per „ty” i namawiali, żeby poszła z nimi obydwoma, to nie pożałuje. Felicja C., wpięrow chętna rozmowie, zorientowała się, że zbyt towarzyskie potraktowanie sąsiadów stwarza nieporozumienia. Szybko zjadła, poprosiła o rachunek, sprzeciwiła się chęci facetów płacenia za nią, usłyszała: „Nie stawiaj się, mała!” i nadto przekonała się, że kelner nie zamierza przyjąć w poczet rachunku kwitku na sto złotych zapłaconych przy wejściu.

Okazało się, że opiewa on na 20 zł i jest tylko opłatą za wstęp. Zażądała od portiera zwrotu 80 zł. Portier cichutko powiedział: „Spływaj, kochana, więcej tu nie wejdiesz. Należy się nawet jeszcze druga stówa za klientów”. Towarzysze od wspólnego stolika już za nią stali, już wciskali 100 zł portierowi. Felicja C. bała się wyjść razem z nimi. Stała w płaszczu i czekała, aż sobie pójda. Nie wychodzili, czekali na nią. Nie wiedząc, co robić, zadzwoniła do mieszkania swojego patrona w prokuraturze. Zapewnił, że zaraz da znać, żeby zabrał ją z tej mordowni radiowóz. Faceci namawiali ją, żeby z nimi szła, to się ubawi i zarobi, portier usiłował ją wypchnąć na ulicę, i tak to trwało, aż nadjechała milicja. Portiera bardzo ucieszył widok milicjantów. „Tu przyjechała jedna na gościnny występ i nie chce opuścić lokalu” - oświadczył. Milicjanci kazali mu się zamknąć. Poczęli Felicję C. tytułować „pani prokurator”. Faceci ulotnili się. Nazajutrz przeciwko

portierowi złożono sprawę o stręczycielstwo.

Taki był bieg przeżyć mgr Felicji C., która - wzburzona nimi i przejęta - jeszcze nie uświadamiała sobie, że to zupełny drobiazg w porównaniu z aferą, której mimo woli nadała, tok śledczy.

Nazajutrz w prokuraturze przesłuchiowano portiera, który odpowiadał od rzeczy, że skąd on mógł wiedzieć, że to pani prokurator. „Taka młoda, taka ładna, tak ubrana.” Nie było siły, żeby doprowadzić do jego świadomości, że nie jest obwiniony o błąd zawodowy, polegający na wzięciu prokuratorskiej aplikantki za prostytutkę, tylko o czerpanie zysków ze stręczenia do nierządu.

Tymczasem Felicja C. opowiadała swemu szefowi o przeżyciach ubiegłego wieczoru. Była to rozmowa towarzyska. I w tej towarzyskiej rozmowie szczegółowo relacjonowała, o czym to dwaj niefortunni kandydaci na klientów rzekomej panienki lekkiego autoramentu mówili z nią lub przy niej. Z ich rozmowy zaś wynikało, że są nietutejsi. Przyjechali na ślub kolegi, który ma się odbyć nazajutrz. Nie podróżowali pociągiem. Kolega posłał po nich taksówkę i wybulił za 1100 km. Płaci hotel. Kolega poślubia 18-letnią pomoc kuchenną z baru mlecznego. Sam ma prawie czterdziestkę i chce młódkę olśnić. Wesele ma kosztować pół miliona złotych. Faceci mówili Felicji C., że wezmą ją ze sobą, jeśli „okaże się miła”.

Ten kolega wynajął do ślubu osiem „mercedesów”, pościągał je z trzech powiatów. Suknię dla mlecznej kucharki szył w „Modzie Polskiej” w Warszawie. Trzy razy jeździła tam, taksówką, do miary. Zaprosił na wesoło tylko 80 osób, bo nie chce robić zbyt dużo szumu. Od tygodnia już szykuje mu ucztę kucharz sprowadzony z Krakowa za 10 tysięcy. Dla weselnych celów kolega wynajął nadleśnictwo.

Wszystko to Felicja C. powtórzyła szefowi, dziwiąc się, że w R. są tacy zamożni ludzie. Prokurator uznał opowieść za interesującą i polecił ustalić, kto tego dnia bierze ślub i co to za jeden. Taki był początek wykrycia przedziwnej afery.

Okazało się, że panem młodym jest Zdzisław J. mieszkający w mieście P., a biorący ślub w R., gdyż tu pracuje i zameldowana jest na stałe jego narzeczona.

Ze złożonego w Urzędzie Stanu Cywilnego dowodu osobistego wynika, że Zdzisław J. nigdzie nie pracuje. On wszakże w kwestionariuszu napisał, że jest kierownikiem sklepu. Zainteresowana panem młodym milicja sprawdziła zatem, że Zdzisław J. nie pracuje w żadnym przedsiębiorstwie handlowym na terenie miasta P. Nowo poślubiona żona sposobiła się już do wyjazdu z R. do P., dokąd odjechał jej mąż. Wybadano ją przez osobę trzecią, gdzie Zdzisław J. pracuje, podejrzewano bowiem, że jeśli istotnie prowadzi sklep, musi w nim być - zważywszy wystawność wesela - niebawale jakieś manko. Pani J. odpowiedziała, że mąż jest kierownikiem

sklepu fabrycznego „Okazja”. Gdzie on się mieści, czym mąż handluje i jaką reprezentuje fabrykę, tego nie wiedziała.

Informacje te, przekazane milicji w P., nie okazały się przydatne. Stwierdzono raz jeszcze, że Zdzisław J. nigdzie w ogóle nie pracuje już od dwóch lat. Przedtem był rzeczywiście kierownikiem sklepu z konfekcją MHD. Potem wyleciał za manko, z zakazem pracy w handlu. Ale owo manko wynosiło niespełna 19 tysięcy, podczas gdy wesele kosztowało pół miliona.

Dalej ustalono, że domek jednorodzinny, w którym mieszka z nowo poślubioną żoną, kupił Zdzisław J. za 380 tysięcy na nazwisko szwagra i że ma dwa auta, w tym jedno drogiej marki. Na koniec milicyjny wywiadowca sporządził raport, z którego wynikało, że dnia tego i tego rano rozpoczął obserwację domu zajmowanego przez Zdzisława J. Zdzisław J. wyszedł z domu o godzinie 10 minut 35, wsiadł do auta i pojechał w kierunku śródmieścia. Tu, około jedenastej, otworzył drzwi a następnie kratownicę sklepu z szyldem: „Sklep fabryczny OKAZJA”. Potem pozostawał w sklepie cały dzień i obsługiwał licznie napływających klientów.

Powtórnie sprawdzono. O istnieniu takiego sklepu nie wiedzą żadne władze handlowe w mieście. Wobec tego „Okazję” odwiedzili urzędnicy inspekcji handlowej. Kierownik kwestionował ich prawo dokonywania kontroli, twierdząc, że sklep podlega przemysłowi, a nie handlowi, ale nie chciał powiedzieć, jakiej konkretnie instytucji.

Sklep fabryczny „Okazja” znajduje się na parterze domu zbudowanego przed rokiem. Lokal ma jednak skomplikowaną historię. Według planu przeznaczony był na osiedlowy sklep spożywczy. Inspekcja sanitarna zakazała jego otwarcia. Sprawa była przedmiotem długotrwałej wymiany pism urzędowych. Potem, w wyniku uporu sanepidu, zmieniono przeznaczenie sklepu. Miano w nim handlować konfekcją lekką i odpowiednio do tego urządzono jego wnętrze. Do otwarcia interesu nie doszło, gdyż w międzyczasie zarząd spółdzielni mieszkaniowej, do której dom należy, samowolnie anektował pomieszczenie zaplecza, przyłączył je do lokalu osiedlowej świetlicy i zamurował drzwi, które wiodły ze sklepu do jego dawnego podręcznego magazynu. Władze handlowe żądały przywrócenia stanu rzeczy. Spółdzielnia mieszkaniowa odmawiała, wysuwając argumenty społecznej wagi i kwestionując potrzebę istnienia tego rodzaju sklepu w tak niewielkim osiedlu. Cyrkułują pisma, obradują komisje. W chwili gdy w sprawę wkroczyła milicja, spór był daleki od rozstrzygnięcia, a władze handlowe nie miały jasno sprecyzowanej opinii, co z tym lokalem zrobić, niezależnie od tego, czy odzyskają go wraz z zapleczem, czy bez zaplecza.

Zdzisław J., okazało się, mimo że siedział w więzieniu, nie stracił kontaktów w sferach handlowych. Po wyjściu żadnej posady nie wziął, o żadną się też nie

starał. Żył z tego, że miał kumpli w handlu. Wykupywał atrakcyjne towary i odsprzedawał z zyskiem na bazarach, handlował także w swoim mieszkaniu. Zajmował się paserstwem nadwyżek towarowych „wygospodarowanych” w sklepach prowadzonych przez jego nieuczciwych kumpli. Słowem - kręcił się koło handlu państwowego, organizując tam i inicjując różne ciemne interesy. Perypetie lokalu sklepowego, który od wielu miesięcy stał pusty, znał doskonale. Wiedział także, że jego przyszłość daleka jest od rozstrzygnięcia. W tej sytuacji otworzył sklep, zawiesił szyld i zaczął w nim handlować na własną rękę.

Liczył na coś, co postronnym obserwatorom może się wydawać cudem: że jeśli będzie działał sklep pod państwowym szyldem, to nikt na jego widok nie zacznie dochodzić, skąd on, na mocy jakiej decyzji istnieje, ani komu podlega. Wiedział także, że żadne przedsiębiorstwo handlowe ani instytucja kontrolna nie zdradzą zainteresowania sklepem, którego nie mają w swoich spisach.

Handlował tym, co i przedtem, tyle że na większą skalę: towarem kradzionym ze sklepów państwowych, czyli „wygospodarowanymi” nadwyżkami, towarem wykupywanym po normalnych cenach, a sprzedawanym, po sfałszowaniu metek - po wyższych. Jego sklep był oczywiście raczej pustawy, ale cieszył się dobrą sławą u klientów. Można tu było dostać rzeczy atrakcyjne, o jakie gdzie indziej bywa trudno. Na składzie miał odzież, bieliznę i galanterię.

Zdzisław J. pilnie czuwał nad urzędowym biegiem losów swego sklepu, żeby w porę zlikwidować interes i zniknąć z horyzontu. Aby nie zwracać na siebie uwagi, wesele wyprawił w innym mieście. Był bardzo przewidujący i tylko tego nie przewidział, że 23-letnia stażystka z prokuratury w dalekim mieście R. - dlatego że jest młoda, ładna i elegancka i że wbrew lokalnym zwyczajom samotnie weszła na kolację do „nocnego” lokalu - wzięta będzie przez portiera za prostytutkę. Nie mógł też przewidzieć, że portier postara się dla niej o klientów i że klientami tymi będą akurat jego kumple, którzy sądząc, iż mają do czynienia z osobą niewielkiej bystrości ani uczciwości, nie powściągną w rozmowie języka.

Wedle potrzeb

Wszedłem kiedyś do sklepu obejrzeć telewizory - opowiedział sądowi Mikołaj K. - Zjawili się jacyś faceci, powiedzieli, że przyjechali po aparaty do zwrotu, kierownik sklepu wyciągnął papiery, jeden z tych dwóch machnął ręką, „zaraz pan Franek przyjdzie podpisać”, i poczęli wynosić odbiorniki.

Mikołaj K. z kolegą zajechali więc „nyską” do innego sklepu, powtórzyli to wszystko dokładnie i wywieźli cztery aparaty, a mogli więcej, gdyby się nie bali za długo być w sklepie. Kierownik zdawał się bardzo uradowany, że opróżniają mu trochę miejsca i gotów był dołożyć parę telewizorów z drobniejszymi felerami.

Sklepu z wełną nie udało się okraść aż tak inteligentnie. Z tym samym kolegą, Jakubem M. (oczywiście nie karanym, bo karanego łatwiej jest rozpoznać ze zdjęcia), tą samą „nyską” w biały dzień zajechali pod firmę. Wpierw zauważyli, że w neonie „Wełny” „n” się nie świeci. Rozstawili więc drabinę i udawali, że reperują. Wszedł do nich kierownik, pogapił się. „Dyrekcja przysłała” - powiedział Mikołaj K. Kierownik wrócił do sklepu, a oni tkwili na drabinie i zastanawiali się, co dalej. Żadnego jednak nie wymyślili sposobu i żadna nie nawinęła się okazja. Poszli więc na chama. Jakub M. jako młodszy podjął się zlecieć, Mikołaj K. trącił drabinę tak, że spadając stłukła witrynę i wpadła na wystawę. Zrobił się krzyk, biegania, szukanie apteczki, ratowanie towaru z wystawy. Zwinęli upatrzoną belę setki z lady. Było tego, okazało się, 12 metrów 40 cm. Odjechali bez kłopotu, ciesząc się, że wszystko pójdzie na jakiegoś klienta.

Meble Mikołaj K. ukradł nie na sprzedaż. Wpierw z żoną wybrał to, czego im było potrzeba, a później przez kilka dni stał przed sklepem z Jakubem M., który na tę robotę poszedł za darmo: z przyjaźni, wdzięczności, z ciekawości i dla hazardu. Ustawili „nyskę” przed sklepem, a sami zaczęli urzędować w środku. Sprzedawcy nie zwracali na nich uwagi. Natomiast mężczyźni trudniący się przewożeniem i przenoszeniem mebli od początku mieli na nich oko i radzili spływać, bo inaczej czeka ich nieprzyjemność, i to zaraz, w sąsiedniej bramie. Potem jednak przestali ich zauważać, widząc, że Mikołaj K. ze współnikiem w ogóle nie umieją się zabrać do klienta i nawet nie próbują złapać kursu. Oni zaś stali i czekali, aż ktoś kupi upatrzony przez państwo K. komplet. Wreszcie przyszli amatorzy takiej jadalni, o jaką chodziło, a poza tym wzięli jeszcze dwa fotele. Ugadywał ich kierowca jakiegoś starego „hanomaga”. Klienci wahali się, czy nie zamówić państwowego transportu. Mikołaj K. szepnął, że on przywiezie wszystko i wniesie na piętro za 200 zł, a nie za 600, jak śpiewał tamten od „hanomaga”. Kiedy mafia tragarzy zobaczyła, że oni podłapali jednak klienta obniżając skandalicznie stawkę, zaczęła robić drakę. Złodziejom to nawet pomogło, bo klienci byli tak skołowani, że bez

kłopotu udało się ich zostawić i odjechać. Zmienili w „nysie” numery i czekali następnej okazji. Stworzyli ich sobie jeszcze kilka.

Wspólnicy kręcący się swoją „nyską” po różnych miastach Polski, a ruszający na wyprawę rzadko, raz na pół roku przeciętnie - wpadli w następujących okolicznościach. Upatrzyli sobie do obrabowania pewne mieszkanie na pierwszym piętrze, kuszące tabliczką z nazwiskiem i specjalnością lekarza umieszczoną na drzwiach, co obiecywało obfity łup. Upewniwszy się, że mieszkanie jest puste, a okno otwarte, zgodnie z przygotowanym uprzednio planem wjechali „nysą” na chodnik i poczęli odkręcać tablicę z nazwą ulicy umieszczoną tuż przy oknie. Jeden z nich ukląkł na parapecie okna, niby żeby zyskać lepszy dostęp do tablicy, drugi udawał, że siłuje się z tablicą, pierwszy niepostrzeżenie wsunął się wtedy do wnętrza mieszkania i zaczął je penetrować, zresztą z dobrym skutkiem. Potem wyniósł trochę kosztowności i pieniędzy. Zdjęli wówczas tablicę z nazwą ulicy, wsiedli do wozu - i co się okazało? Od przodu samochód był zablokowany kubłami na śmieci, które w międzyczasie dozorca wywłókł na chodnik. Żeby dać do tyłu, trzeba było przejechać chodnik i wydostać się na jezdnię ruchliwej ulicy. Manewry trwały tak długo, aż zjawił się milicjant, żeby zrugać ich i pomóc wydostać się na jezdnię. Na jego widok nie wytrzymali nerwowo i dali na chłama do tyłu. Rozeźlony tym milicjant zatrzymał ich, zaczął legitymować, i już nie wyszli z tej przygody. Przyznawszy się w śledztwie do wszystkiego, stanęli przed sądem.

Mikołaj K. ma 48 lat, nigdy nie był karany ani w nic wmieszany. 26 lat pracował w fabryce sprzętu precyzyjnego. Zdobył średnie wykształcenie i stanowiska nadmistrza. Ilekroć wybierał się kraść, brał urlop wypoczynkowy. Trzy lata temu jego sytuacja materialna stała się z nagłą pomyślniejsza. Syn jedynak ukończył studia, wyprowadził się z domu, zaczął zarabiać. K. awansował właśnie z mistrza na nadmistrza, de facto - zastępcę kierownika oddziału, i jego średnie zarobki oscyływały teraz między 6 a 7 tys. zł. Wreszcie w tym samym czasie wykończył domek, który budował już od czterech lat. Dom jest trzypokojowy, parterowy. Ma 110 m² powierzchni użytkowej. Jest weranda i ganek, dookoła ogródek.

Żeby dom wykończyć, Mikołaj K. nie tylko wziął kredyt bankowy, ale zadłużył się także u rodziny na wsi. Spłaca to ratami od dwóch lat i będzie spłacał jeszcze przez dwa lata.

Dom Mikołaja K. stoi na kolonii nowych domków. Teren wydzieliła rada narodowa pod niską zabudowę i każdy potem stawiał, jak mógł, co mógł i co jego murarz umiał. Wszystkie domy są z nie otynkowanej cegły.

Wprowadzili się w 1970 r. Zwiózł - opowiada sądowi - swoje stare meble z kwaterunkowego mieszkania. Kupił je jeszcze w 1952 roku. Starczyło tego, żeby umeblować byle jak jeden pokój. W drugim postawili tapczan. Trzeci jest zupełnie

goły. Nie mieli telewizora ani lodówki, foteli ani zasłon na okna. „Taki piękny dom, a nawet nikogo nie można zaprosić” - martwiła się żona Mikołaja K. I rzeczywiście przez pierwsze lata żyli jak wypędki. Rodzinie i znajomym mówili, że dom jeszcze nie gotów. Na widok sąsiadów boczyli się, żeby nie zawrzeć czasem bliższej znajomości i nie musieć prosić do środka; sąsiedzi ciekawi byli to „rozwiązania” podłogi w kuchni, to rozkładu wnętrza. Zamknęli przed nimi drzwi, odkąd się wprowadzili. Widzieli przecież, jak pod inne domki zajeżdżają wozy meblowe i jak wynoszą z nich nowiutkie, lśniące stoły i kredensy, jak wnoszą do środka dywany i telewizory.

Samotne wieczory we dwoje dłużyły się w nowym domu. Pewnego dnia, przypadkiem, nadmistrz Mikołaj K. podpatrzył, jak można bez kłopotu wywieźć ze sklepu nowiutki telewizor, a nawet kilka, nie płacąc ani grosza. I w jakiś czas później przywiózł do domu telewizor i do tego parę tysięcy gotówką. Nie ukrył przed żoną, jak go zdobył, i to był pech.

„Pomyśl o meblach”, „Potrzebne są meble”, „Nie można dłużej żyć bez mebli” - poczęła go męczyć żona. Nic nie odpowiadał. Wyciągała go do sklepów, oglądali i w myślach urządzali swój dom. Wreszcie zdecydował się. To miało być ostatni raz. Przywiózł niewielki komplet jadalny i dwa fotele. Więcej nie zmieściło się w „nysie”.

Przy nowych meblach stare graty wyglądały jeszcze bardziej żałośnie. Kłudy w oczy. „Zdobądź trochę pieniędzy” - mówiła żona, a jego kolega Jakub M., kierowca „nysy”, podsuwał wciąż nowe plany.

Kiedy Mikołaja K. aresztowano, miał dom już mniej więcej urządzony, chociaż były jeszcze kolosalne braki. Jeden pokój wciąż stał pusty. Nie mieli dywanu i nie mieli lodówki, za to posiadali pomalowany na zielono żelazny parkan.

Wyrażając przed sądem żal z tego powodu, że z nagłą stoczył się na drogę nieuczciwości, Mikołaj K. świetnie wiedział, w której to chwili przekroczył granicę między uczciwymi ludźmi a złodziejami. Stało się to wówczas, gdy wyprawił się po telewizor. Ale w rzeczywistości za moment w swoim życiu przełomowy uważał decyzją o budowie domu. Gdyby zostali z żoną w swoim poprzednim mieszkaniu, niczego nie byłoby im trzeba i żyliby za jego sześć-siedem tysięcy i jej dwa (razem osiem-dziewięć) tak, że lepiej żyć żaden człowiek nie potrzebuje. Ale dom wymaga: mebli, telewizora i lodówki, dywanu i palmy, dom jest jak mąż pijak, jak syn utracjusz. „Było mi sprzedać dom” - żałował Mikołaj K. przed sądem. Nawet tu i teraz nie powiedział: „Było mi nie meblować”.

Kula

Oddział chirurgiczny szpitala zwrócił się do MO o pomoc w ratowaniu ludzkiego życia. Zdarzyła się w szpitalu niezwykła historia. Milicyjnym radiowozem przywieziono tu faceta nazwiskiem Franciszek S., z raną od postrzału w lewą pierś. W izbie przyjęć załoga auta powiedziała, że obywatel ten został postrzelony, kiedy stał w obronie mienia społecznego przed rabusiami. Po powierzchownym opatrzeniu rany Franciszka S. ułożono pod rentgenem. Prześwietlenie wykazało, że w prawej części klatki piersiowej tkwi pocisk rewolwerowy. Lekarz dyżurny zarządził przygotowanie bloku operacyjnego i przysposobienie rannego do zabiegu. Jednakże ofiara postrzału uciekła spod noża. Nikt nie wie, jak i kiedy Franciszek S. zniknął z izby przyjęć. Szpital wysłał karetkę do niego do domu, adres bowiem zapisano w szpitalnej ewidencji. Żona obywatela S. powiedziała, że męża nie widziała od wielu już godzin. Szpital prosi o znalezienie pacjenta, bo jego życiu grozi niebezpieczeństwo.

Człowiek - dziwny to mechanizm. Franciszek S. nie bał się sam stawić czoła kilku uzbrojonym bandytom, ranny i broczący krwią pomagał, jak mógł, milicji składając zeznania, a uląkł się operacji. Trzeba go było teraz pilnie szukać, bo gdzieś - diabli wiedzą gdzie - zlegnie, wykrwawi się i umrze.

Przy ulicy Złocińskiej 8 jest duży państwowy sklep z futrami. Któregoś dnia o godzinie ósmej rano u gospodarza posesji zjawili się dwaj monterzy z narzędziami, mówiąc, że ich zawiadomiono, iż pękła rura wodociągowa i woda zalewa sklep. Kazali się prowadzić do piwnicy i zamknęli dopływ wody. Istotnie przez szyby było widać, że sufit i ściana w sklepie są zalane, woda kapie na wieszaki z towarem. Podczas kiedy monterzy rozkuwali ścianę na klatce schodowej, by dotrzeć do rury w miejscu, gdzie pękła, przyjechała furgonetka z wymalowaną na drzwiach nazwą przedsiębiorstwa transportowego handlu. Gdy dozorca domu porzucił monterów i zjawiał się na dole, przez tylne drzwi łączące sklep z podwórzem wynoszono już futra i pakowano do samochodu. Gospodarz domu wezwał syna i żonę. Pomagali całą trójką. Urzędnik kierujący ewakuacją zmoczonego towaru złorzeczył, że kierownika sklepu już dawno zawiadomiono o tym, co się stało, a dotychczas go nie widać. Zjawiono się za to dwóch milicjantów. Usunęli z podwórza gapiów i chcieli pomóc przy wynoszeniu futer, ale już wszystkie były załadowane. Stanęli więc na straży wyważonych drzwi, aby ktoś nie splądrował przy okazji sklepu. Monterzy także się wynieśli, zostawiwszy dziurę w ścianie i kupę gruzu na schodach.

Jeden z milicjantów wszedł po jakimś czasie do sklepu, żeby obejrzeć zniszczenia. Nagle zobaczył, że na podłodze, za kontuarem, siedzi skulony człowiek. Koszulę

ma zbroczoną krwią. Franciszek S. - on to był bowiem - powiedział, że przechodził ulicą, zobaczył, co się stało. Więc zaczął pomagać wynosić futra. Tknęło go jednak, że ludzie, którzy przyjechali furgonetką, wynoszą także nie zamoczony towar, że robią to wszystko z nieuzasadnionym pośpiechem i nie sporządzają żadnej ewidencji towaru. Jego żona pracuje w handlu, więc wie, że kiedy coś się stanie, to wpięrcw trzeba robić spis kontrolny, potem przejmować wszystko za podpisem, a nie brać futra jak kartofle z kopca. Podejrzenia te sprawiły, że odezwał się do ludzi wynoszących już ostatnie naręcze towarów, żeby poczekali, aż przyjdzie kierownik sklepu, bo kto będzie odpowiadał, jeśli towar zginie. „Nie twój interes” - odparł człowiek w garniturze, krawacie i okularach, który kierował ewakuacją. Franciszek S. odpowiedział urzędnikowi, że świń z nim nie pasł, więc jest dla niego „proszę pana” i że zaraz poprosi milicjantów, którzy przyszl, żeby wejrzel, co tu się robi. Na to urzędnik zapowiedział, że mu gębę zamknie, wyjął rewolwer z tłumikiem, strzelił i poszedł.

Kiedy dzielnego do czasu Franciszka S. w szpitalu kładziono pod rentgenem, milicja wiedziała już, że przedsiębiorstwo transportowe handlu nie wysłało na Złocińską 8 żadnej furgonetki, że był to rabunek z bronią w ręku w biały dzień i że Franciszek S. jest najważniejszym świadkiem.

Ten najważniejszy świadek właśnie umknął spod noża.

Był to jeden z bardziej inteligentnych rabunków. Wzięło w nim udział pięciu mężczyzn: dwóch „monterów” i trzyosobowa obsada furgonetki. Poprzedniego wieczora niektórzy lokatorzy domu, gdzie jest sklep futrzarski, słyszeli na schodach odgłosy kucia ściany. Z pewnością było tak, że któryś z rabusiów już wieczorem wybił kilka dziur w rurze wodociągowej ponad sklepem. Ślady tej operacji zatarte zostały rano, kiedy rzekomi monterzy jawnie rozwalili ścianę. Jednakże lokatorzy, którzy wczesnym rankiem wychodzili do pracy, widzieli na podeście antresoli, na klatce schodowej, niewielką dziurę w ścianie. Nikt się tym nie przejął, ani nie zawiadamiał administracji, bo w domu tym często pękają rury i wciąż gdzieś coś się kuje, łata, zamurowuje.

Przestępcy przedziurawili rurę już wieczorem, żeby woda zdążyła przesączyć się przez strop, narobić widocznych zniszczeń, zmoczyć towar, więc aby dla każdego obserwatora widoczna była potrzeba akcji ratunkowej. Rzekomi monterzy, którzy rano przyszl, zaabsorbować mieli dozorcę i gapiów, stworzyć stan napięcia. Kiedy więc podjechała furgonetka i na oczach ludzi wyważono drzwi do sklepu, w nikim nie wzbudziło to niepokoju ni podejrzeń.

Rabusie wynieśli ze sklepu wszystkie futra i kozuchy. Zostawili natomiast drobniejsze wyroby futrzarskie, z wyjątkiem kołnierzy i skórek przedstawiających większą wartość. Łączne straty oszacowano na 2 miliony 200 tys. złotych. Dalej

ustalono (ale to już w późniejszym etapie śledztwa), że furgonetka, którą wywieziono futra, została na półtorej godziny przed rozpoczęciem skoku na sklep skradziona z parkingu. Należała ona do przedsiębiorstwa cukierniczego. Rabusie nietrwałą farbą wymalowali na drzwiczkach nazwę przedsiębiorstwa transportowego handlu i zmienili numery rejestracyjne. Gdy furgonetkę znaleziono, miała ona już swe poprzednie numery, a napis z drzwiczek zmyto.

Milicja z łatwością ustaliła, że to ten właśnie wóz posłużył do rabunku, bo wewnątrz znaleziono metkę jednego z futer. Stwierdzono także, że numery były świeżo odkręcane i wykryto ślady farby. Rabusie wyładowali gdzieś towar, kradziony wóz doprowadzili do pierwotnego stanu i porzucili na ulicy.

Franciszek S., pozytywny, acz zaginiony bohater zdarzeń, pracował w fabryce jako frezer. W dniu kiedy obrabowano sklep, nie stawiał się w fabryce, chociaż w domu czynił wrażenie, jakby szedł do pracy. Bumelki mu się zdarzały, nie było więc w tym nic nadzwyczaj dziwnego. Ma on 24 lata. Ożenił się przed rokiem z młodszą o dwa lata sprzedawczynią w sklepie tekstylnym. Dzieci nie mają. Zajmują własne mieszkanie: pokój z kuchnią. Łączne zarobki - średnio około 5 tys. miesięcznie.

Na kilka miesięcy przed ślubem Franciszek S. wyszedł z więzienia. Siedział za to, że na wsi po pijanemu wyrwał torebkę dziewczynie, którą odprowadzał z zabawy, uciekł, wyjął pieniądze, torebkę rzucił w krzaki, wrócił na zabawę i przepił znalezione wewnątrz 370 złotych. Teraz były więzień skazany za kradzież stawał w obronie mienia publicznego i sam został ofiarą złodziei.

Franciszka S. nie znaleziono u jego rodziców na wsi. Miał aż sześcioro rodzeństwa rozsypanego po całym kraju. Szukano go po kolei u całej rodziny. Nic. Potem szukano go u przyjaciół, których wskazywała jego żona Barbara, zrozpaczona tym, że może jest już wdową. Milicja przypuszczała, że ranny schował się u jakiejś dziewczyny, o której istnieniu żona siłą rzeczy nie wie, ale nie udało się wpaść na trop istnienia takiej mety. Szukano go również po szpitalach i kostnicach. Zniknięcie to było przedziwne: w końcu, jeśli ktoś woli umrzeć, niż poddać się operacji, nie musi się chować, nikt go do zabiegu siłą nie zaciągnie. Zastanawiano się, czy na pewno Franciszek S. sam umknął ze szpitala, czy aby sprawcy rabunku nie wykradli go z izby przyjęć, jako wielce im niewygodnego świadka. Była to wszakże historia już nadto fantastyczna.

Pewnego dnia przedstawiciel milicji odwiedził Barbarę S. w domu, żeby zapytać, czy czasem nie miała jednak wiadomości od męża. Odparła, że nie. Zachowywała się jednak inaczej niż w czasie poprzednich rozmów z władzą, kiedy głośno lamentowała i wyrażała niepokój. Była oschła; mrukliwa. Na tapczanie stała jej otwarta torebka i funkcjonariusz MO zauważył, że jest pełna pieniędzy. Wskazał ją i zapytał żartem, czy dostała spadek. Zdenerwowała się bardzo i schowała torebkę.

Wszystko to stwarzało wrażenie, że przestała być szczerą.

Dozorca domu poinformował milicjanta, że Franciszek S. odwiedzał swoją żonę. A więc człowiek z kulą w piersi chyłkiem składa w domu wizyty, każąc żonie trzymać język za zębami. Co dziwniejsze, przynosi jej przypuszczalnie pieniądze, i to niemałe.

Wkrótce potem, późnym wieczorem, zatrzymano Franciszka S, zmierzającego do domu. Nie wyglądał na umarlaka. Zawieszony na milicję powiedział, że kulę sam, nożem wy dobył sobie z piersi. Nie dowierza chirurgom. Nie chciał opowiedzieć, gdzie był, kiedy go nie było. Złożył formalne zeznania, w których powtórzył to, co powiedział milicji już przedtem. Bezowocnie w albumie przestępców szukał sprawców rabunku futer. Kiedy go zapytano, czy gotów jest z własnej woli pokazać portfel - odmówił. Nie wyjaśnił też, skąd wziął pieniądze, które przywiózł żonie. Wreszcie odmówił zgody na to, żeby chirurg go zbadał.

Puszczony wolno, pojechał wprost na dworzec i wsiadł do pociągu. Idąc jego tropem milicja znalazła pięciu mężczyzn, których poszukiwała - sprawców rabunku futer. Mieszkali w wozie na kółkach. Najęli się wszyscy do pracy przy melioracji i to był dobry schowek.

Chirurg, który teraz zbadał Franciszka S., znalazł bliznę na jego prawej piersi, ale nie wyglądała ona na postrzałową. Rentgen nie wykazał, iżby kula dalej tkwiła w piersi Franciszka S. Nie wyglądało także na to, żeby domniemany bohater sam operował się był nożem. Zresztą teraz, kiedy milicja miała w ręku jego kompanów, szczerze wyznał, jak to wszystko było.

Kiedy siedział w więzieniu, poznał Jana R., włamywacza z długim stażem. Po odsiedzeniu swego wyroku R. zjawił się u niego proponując udział w skoku na sklep z futrami. Przedstawił chytry plan rabunku.

Po zabraniu futer wspólnicy o nim zapomnieli, odjechali w pośpiechu, kiedy on marudził jeszcze w sklepie, zbierając dalsze łupy. Wyjście odcinali mu milicjanci pilnujący drzwi. Bał się opuścić sklep, bo nie wiedział, co odpowiedzieć, na pytanie, co tu robi. Schował się za kontuarem. Gorączkowo myślał, jak się wywinąć. Postanowił zrobić z siebie ofiarę rabusiów i być tym, który milicji otworzy oczy, że to nie władze handlowe zabrały towar.

Franciszek S. nosił w kieszeni znaleziony kiedyś pocisk rewolwerowy. Trzymał go przy sobie „na szczęście”. Teraz, znalazłszy się w opresji, wywiercił sobie świderkiem (który znalazł w porzuconej przez kolegów torbie z hydraulicznymi narzędziami) ranę na piersi. Zeznał, że doń strzelano. Wiedział, że pierwsze, co zrobią w szpitalu, to go prześwietlą. Znalazłszy się pod aparatem położył sobie pocisk na piersi, koło rozdrapanej ranki. Już był poza podejrzeniem i mógł odejść

wolno. Z domu zniknął nie tylko dlatego, że przecież musiał zejść z oczu lekarzom. Pojechał do meliny, gdzie zebrali się wspólnicy, po swoją część łupu, a potem razem ze wspólnikami ukrył się na wsi w ekipie melioracyjnej. Niestety, ciągnęło go za bardzo do żony.

Na ławie oskarżonych zasiadło sześciu rabusiów i dwóch paserów: pośrednik i prywatny kuśnierz, który nabył zrabowany towar za 480 tysięcy.

„Pieniądzy potrzebowałem na hulaszczy tryb życia” - rzekł sądowi Franciszek S., starając się ludzką potrzebę wódki i dziewczyn tłumaczyć na miły sądowi język urzędowych protokołów.

Pokłosie romansu

Świadek oskarżenia ma 21 lat i tatusia docenta. Wywodzi się z domu, gdzie książki stoją, zda się, zamiast ścian, a córka bez wyższego wykształcenia to taka rzadkość i nieszczęście, jak córka z garbem, zwichniętym biodrem, wodogłowie lub schizofrenią. Nazywa się Monika K. Na milicję zgłosiła się sama.

W ostatniej klasie szkolnej Monika K. wagarowała, piła, paliła i chodziła bez stanika, co doprowadziło do paru dwójek. Sprawa stanika i papierosów postawiona została publicznie i pani nauczycielka zapytała Monikę K., czy nie ma aby ochoty iść pod latarnię. Uczennica nie wiedziała co prawda, co to znaczy, bo chociaż znała życie, to jednak za jej życia żadne prostytutki nie stały pod latarniami, więc sądziła, że nauczycielka ma na myśli zejście na psy (związek psów z latarniami nadal jest prawomocny). Powiedziała w domu, że więcej do szkoły nie pójdzie, wobec czego pomaszerował tam tato-docent, ratować dziecko. Pierwsze, co miał do powiedzenia, to to, że u córki papierosy go nie martwią, a brak stanika nie obchodzi, nadto, że on także wagarował, chociaż jest habilitowany. Martwi go najbardziej, że córka pije alkohol, i to nie tylko wino, i nie tylko za dnia. Trzeba na nią więc nacisnąć wychowawczo: z jednej strony szkoła, z drugiej dom, a Monika w środku. Tą szczerością ojciec załatwił dziewczynie trójkę ze sprawowania na półrocze i sprawił, że co rano, gdy przychodziła do szkoły, miała obowiązek podejść do wychowawczynie i chuchnąć. Odmówiła ostatecznie dalszej nauki, a dla podkreślenia swej determinacji w tej sprawie uciekła z domu. Do szkoły więcej nie chodziła, zapowiedziała też, że repetować klasy nie będzie, i oświadczyła, że ma zamiar żyć bez matury i bez studiów. Ojciec jako docent od humanistyki nie był pewien, czy organizm człowieka bez magisterium zdolny jest do przyswajania powietrza i pokarmów. „Co będzie?” - labiedziła matka.

Monika K. miała jednak swoje plany. Otóż jej koleżanka jechała do Anglii pracować jako modelka i obiecała ściągnąć ją tam także. Na przeszkodzie planom tym stanęło wkrótce to, że koleżanka, okazało się, nie dostała zajęcia modelki, tylko służącej, oraz to, że Monika K., sposobiąc się już do wyjazdu, nie miała nic innego do roboty, jak wdać się w jednego chłopaka. Wyjazdowi sprzyjali rodzice - docentostwo, bo coś z kalekim dzieckiem trzeba było robić. Wyrabiali więc zaproszenie do Anglii i fundowali podróż. Czynie to zaś tym energiczniej, że im się ten chłopak córki w ogóle nie podobał.

Nazywa się Kajetan R., studiował na politechnice, ale nie skończył. Żył z tego, że miał prezencję inżyniera. Bzdura? Nie ma takiej rzeczy, której nie można wyzyskać na rynku wartości. Istniał właściciel dużego warsztatu mechaniki precyzyjnej i miał ambicję, żeby pokazywać klientom, że zatrudnia inżyniera. To wzmagало zaufanie

do firmy. Poza zadawaniem szyku Kajetan R. handlował częściami do samochodów. W tym to młodzieńcu zakochała się Monika K. i zrazu straciła ochotę do wyjazdu, ale po kilku na ten temat awanturach w domu odzyskała ją. Rodzice nie wiedzieli, że umówiła się z amantem, iż on pojedzie w ślad za nią.

W Londynie była opiekunką w jakiejś półpolskiej rodzinie, zarobiła mało, wynudziła się więcej. Posadę rzuciła, gdy zjechał amant, bo to żadne romansowanie raz na tydzień, w wychodne. Nie mieli pracy ani prawa do pracy. Zażyli przygód. Mieszkali w strasznych warunkach, w jakiejś klitce, którą dozorca kamienicy dał im za wyrękę w pracy. Żeby jeść, pożyczali drobne sumy. Miewali prace dorywcze: popilnować dzieci, coś wynieść, gdzieś pomóc. Nagle jednak Kajetan R. zrobił większe pieniądze, i niebawem wrócili do Polski i kupili tu za funty samochód.

Po powrocie, opowiadała milicji Monika K., mieli nowy wóz - polskiego „fiata”, ale żadnego mieszkania. Ulokowali się więc u babki Kajetana R. - 85-letniej wdowy po majstrze budowlanym, która miała dwupokojowe mieszkanie. Locum miało dużą wadę - była nią gospodyni, już nie wstająca z łóżka, więc wymagająca kompletnej obsługi. Zajmowała się tym Monika K., a jej chłopiec Kajetan przez cały dzień kręcił się po mieście, żeby coś zarobić. Miał na oku różne interesy, aby tylko nie pracę. Sprowadzały się one wszakże do wożenia „fiatem” łebków. Tyle że pożyczali się jakoś przy babce, która żyła z wdowiej renty oraz składek swoich dzieci.

Cały ten układ funkcjonował, póki owa babka, acz już nieruchoma, zachowywała jeszcze jasność umysłu. Niebawem jednakże myśl jej się przyćmiła, przestała rozróżniać osoby, nie wiedziała, co się wokół niej dzieje, i wtedy Kajetan R., który uprzednio czuł przed babką wyniesiony z dzieciństwa mores, zaczął sprowadzać do mieszkania dziwki. Po kilku związanych z tym scenach Monika K. wróciła do rodziców, a kiedy zobaczyła, że na amancie jej odejście nie robi żadnego wrażenia, poczęła go nachodzić i prosić, żeby ją z powrotem przyjął. On wszakże mówił, że było pięknie, ale się wszystko między nimi wypaliło, więc żeby dała mu spokój. W tym czasie babcia Kajetana R. umarła. Monika K. nie chciała widzieć na oczy żadnego innego mężczyzny, żadnej koleżanki zresztą też nie. Nie chciała też iść do pracy, ani na żadne kursy. Leżała całymi tygodniami w swoim pokoju i czekała, aż Kajetan R. do niej wróci, a jak wychodziła, to tylko po to, żeby wystawać pod jego domem.

Wkrótce po śmierci babki Kajetan R. zamieszkał z inną dziewczyną, brzydką - uważa Monika K. - i ordynarną. Monika K. truła się, po wyratowaniu zaś nieco wróciła do życia, czego objawem było, że zjawiała się na milicji. Powodowana nienawiścią przyszła donieść, skąd jej narzeczony nagle doszedł w Londynie do takich pieniędzy, że mógł sobie kupić auto.

Otóż jednego razu zachorował kierowca firmy produkującej zautomatyzowane drzwi do garaży i Kajetan przez jakiegoś znajomego uzyskał kilkudniowe zastępstwo. Krytą półciągarówką, zawierającą takie drzwi, zajechał pod wskazany mu przez szefa adres. Nie zastał jednak gospodarzy ani nie doczekał się przyjazdu ekipy, która owe drzwi miała montować. Ponieważ oczekiwanie przeciągało się, urozmaicił sobie czas włamując się do domu, przy którym miał stawiać drzwi do garażu, i rabując wszystko, co godne było jego zdaniem wyniesienia. Zabrał kolorowy telewizor, aparaturę hi-fi, srebra i dużo, dużo innych przedmiotów, które później lepiej lub gorzej sprzedał.

Po owym rabunku bał się pokazać na oczy firmie, która powierzyła mu przewiezienie drzwi do garażu. Po prostu podrzucił w jej pobliże opróżniony z łupów wóz i razem z Moniką K. zmienili miejsce zamieszkania, nawet dzielnicę. Rozumował tak: londyńska policja szybko dojdzie, kto dokonał kradzieży, bo okaże się, że w porze, kiedy rzecz się stała, miano montować drzwi do garażu, że to jego z nimi wysłano itd. Zadrżał więc Kajetan R., kiedy w pewnym towarzystwie niespodziewanie natknął się na faceta, który naraił mu owo zastępstwo kierowcy. Ten jego znajomy był lakiernikiem stale w owej firmie pracującym. Powitał go serdecznie i dziwił się, czemu nie przychodzi. U nich wciąż można podłapać jakieś zastępstwo - mówił - a szef nie jest z tych, którzy by patrzyli, czy ktoś ma, czy nie ma prawa jazdy na obszarze Zjednoczonego Królestwa.

Okazało się, że aby gdziekolwiek być złodziejem, nieźle jest znać lokalne stosunki. Potem Kajetan R. dowiedział się - wywodziła Monika K. - że firma robiąca zautomatyzowane drzwi do garaży wcale nie byłaby skłonna ułatwić policji odnalezienie Kajetana R. W jej interesie nie leżało bowiem, by udowodniono, że wysłannik firmy dopuścił się rabunku. Kiedy montowane są drzwi do garaży, ludzie powierzają firmie klucze od swych domów. Wieść o tym, że nie można mieć do ludzi z tej wytwórni zaufania, położyłaby cały business.

Ale policja w ogóle nie szukała złodzieja w owej firmie robiącej drzwi do garaży. Znajomy, który Kajetanowi R. naraił tę robotę, opowiadał natomiast, że wielokrotnie przychodził pan, który stał się ofiarą rabunku. Wypytywał, kto wtedy mu przywoził drzwi do garażu. Szef (nieświadomy tego, co się stało i nie informowany przez klienta o stratach, które ten poniósł) odesłał okradzionego do owego znajomego Kajetana R., lakiernika, który naraił mu Polaka na zastępstwo. I oto teraz ów znajomek mówi, że ten pan go wypytywał, kto zacz był kierowcą, który przywiózł mu bramę, ale jej nie wmontował. Dowiedział się, że to Polak chwilowo tylko na Wyspach, co go jakby ucieszyło. Mówił, że chciałby się z Kajetanem R. spotkać. Kazał powiedzieć, żeby Kajetan R. się go nie bał. I że jeśli się zgłosi, to oczekuje go interesująca finansowa propozycja. Znajomy dał Kajetanowi R. nazwisko i numer telefonu okradzionego gentlemana. Z całej

rozmowy wynikało dla Kajetana R., że ofiara rabunku owemu znajomemu także nie wspominała ani słowem, że ów poszukiwany przezeń Polak przypuszczalnie obrabował dom.

Kajetan R. przypuszczał, że gość chce zapłacić, żeby odzyskać swoje przedmioty. Zaryzykował telefon. I oto co usłyszał: Niech się nic nie boi. Policji słowem nie wspomniano o tym, że rabusiem najpewniej był kierowca ciężarówki z automatyczną bramą do garażu. Policja w ogóle nie wie o żadnej bramie i garażu i w ogóle się o tym nie dowie. Ofiara rabunku nie ma żadnych pretensji do Kajetana R. Nie chce odzyskać niczego ze swoich rzeczy. Chce zaproponować Kajetanowi R. dobry zarobek, i to wszystko.

Amant Moniki K. postanowił zaryzykować. Pojechał na spotkanie. Propozycja brzmiała: 500 funtów płatne przy wsiadaniu do najbliższego samolotu odlatującego do Polski.

Kajetan R. i Monika K. sądzili, że to jakiś patriota-filantrop, który przeznacza 500 funtów, żeby swoją ojczyznę wybawić od cudzoziemskiego złodzieja. Na lotnisku wszakże rzekomy filantrop, wręczywszy pieniądze, wszczął rozmowę na ten temat. Powiedział, że Kajetana R. zapewne intryguje, dlaczego dostaje taki wielki pieniądz. Otóż on może mu to zdradzić, gdyż są poniekąd współnikami. Kajetan R. jako złodziej jest wielkim frajerem. Brał z jego domu barachło, a nie ruszył cennej kolekcji afrykańskich dzieł sztuki. Wszystko to było ubezpieczone na ładne pieniądze, więc Kajetan R, chyba się nie dziwi, że nim wezwano policję, na ścianie nie było już ani jednej afrykańskiej maski. Ofiara rabunku nie mogła wszakże spać spokojnie, w obawie, że policja mimo wszystko może schwytać złodzieja i wtedy wyjdzie na jaw, że poszkodowany wziął z firmy ubezpieczeniowej pieniądze za dzieła sztuki, których mu wcale nie skradziono, tylko sam je ukrył. Zaczął więc szukać szofera ciężarówki, by się upewnić, że policja go nie niepokoiła, i aby w razie konieczności pomóc mu się ukryć. Kiedy dowiedział się, że sprawcą jest cudzoziemiec, poniekąd turysta - odetchnął z ulgą. Niechaj miły Polak bierze 500 funtów i raz na zawsze znika z Anglii. Obaj zrobili na tym rabunku dobry interes.

- Oto - ciągnęła Monika K. - jak Kajetan R. doszedł do nowego samochodu „fiat 125 p”. Jest to łobuz bez sumienia, który powinien być jak najszybciej zabrany z dwupokojowego mieszkania, które spadło mu z nieba po babce, od brzydkiej, ordynarnej dziewczyny, z którą mieszka. Powinien zostać natychmiast zamknięty do więzienia.

Słabą stroną zeznań dziewczyny było to, że nie potrafiła powiedzieć, jak się nazywa i gdzie się mieści firma wyrabiająca drzwi do garaży, jak się nazywa i gdzie mieszka gentleman, którego Kajetan R. ku jego radości okradł, ani gdzie szukać owego znajomego pana R., lakiernika, pośrednika przy uzyskaniu na kilka dni

posady kierowcy.

Kajetan R. w czasie przesłuchania wszystkiemu zaprzeczył. Zarabiał, odłożył pieniądze, kupił auto. Monika K. po prostu zmyśliła od początku do końca całą historię z zemsty za to, że z nią zerwał.

I nim wypadki potoczą się dalej, jeśli w ogóle się potoczą, oficer milicji, który Monikę K. przesłuchiwał, musi odpowiedzieć sobie na pytanie: czy istnieje prawdopodobieństwo, czy w ogóle jest możliwe, by tę historię dziewczyna potrafiła zmyślić?

Cukier krzepi

Panu Wańkowiczowi

Majster poszedł pogonić robotników, którzy właśnie opalali się wyciągnięci na pustakach gazobetonowych, i z tej wyprawy przyszedł do inżyniera bardzo zdenerwowany:

- Niewykwalifikowany Ł. siedzi i czyta. Nie zgadniesz pan - wiersze!

Inżynier wzruszył ramionami i zatelefonował w sprawie remontu betoniarki, co majstra obraziło. Powiedział, że ma dwadzieścia lat doświadczenia w budownictwie i że są takie budowy, gdzie docenia się fachowców. W budownictwie znajomość ludzi jest ważniejsza nawet niż studia - utrzymywał majster.

- Czyta, no i co? Pogonić do roboty.

- Pan inżynier chce iść siedzieć, nie moja sprawa. Tak się akurat składa, że ja nie chcę.

Inżynier przestał dzwonić w sprawie naprawy betoniarki, bo temat go zaciekał.

- Jak robiliśmy chłodnię w Elblągu, był zbrojarz, który przychodził z królikiem. Pół dniówki rwał dla niego trawę, drugie pół siadał przy królu i gadał z nim. Zresztą dobry był zbrojarz. Słyszałem raz, jak mówił do zwierzaka: „Wisz, Maciuś, po wypłacie kupię heblownicę i będziem stawiać parkan”. Wszyscy śmieli się z tego zbrojarza. Kto by się królikiem przejmował? Ale któregoś dnia ten zbrojarz wyciągnął deskę, którą zaklinowany był dźwig. Dwóch ludzi wlało na platformę i spadło. Dobrze, że z drugiego piętra. Kierownika posadzili za bhp. Pytam zbrojarza: „Czemuś wyciągnął deskę, nie wiesz, że dźwig czekał remontu?” A on na to, że potrzebował tej deski. Kierownik dostał rok z zawieszeniem. Budowa to nie biuro - objaśniał majster - każdy mentekaptus to niebezpieczeństwo jak cholera.

- Dobrze, zajmę się tym - powiedział inżynier i osobiście wezwał niewykwalifikowanego Ł.: „Budowa to nie wczasy! Tu trzeba robić!!! A pan książki czyta!!!” - darł się inżynier, który nie chciał rozumieć sensu tego, co usłyszał od majstra. Jak łatwo było przewidzieć, niewykwalifikowany, który czytał wiersze, wyszczekany był nieprzeciętnie. „Znaczy, czytać nie wolno? Jak inni w tym czasie piwo pili i grali w pikuty, to nikt ich się nie czepia.”

- Było zwolnić i już - upierał się potem majster.

- Za wiersze nie ma paragrafu.

- Wielkie rzeczy, pretekstu inżynier nie umie znaleźć? Choćby nawet za nieróbstwo.

- On nie musi być koniecznie stuknięty, panie majster. On nie czyta wierszy tak

sobie. Niewykwalifikowany czyta wiersze, bo on pisze wiersze, i mówi, że jak się rozkręci, będzie jako poeta nieźle łądował. W tym jest jakaś, panie majster, kalkulacja.

- Poczekaj pan, jeszcze inżynier zobaczysz, co my z nim będziemy mieli.

A jednak budowa została skończona, co prawda nie w terminie, ale za to bezwypadkowo. Poeta sam oszedł wcześniej, po którejś tam kolejnej wypłacie, a inżynier pokpiwał z majstra, ilekroć przyłapał go na tym, że w biurze, w czasie jedzenia, czyta gazetę, w którą zapakowane miał śniadanie: „Nie czytaj pan, panie majster, «Głosu», bo będzie wypadek”.

Rok z okładem później majster Jerzy M., technik budowlany, podkreślał przed sądem, że on miał czucie, kiedy mówił zwolnić natychmiast. Inżyniera nie dało rady przekonać i stąd całe nieszczęście.

Na ławie oskarżonych siedział niewykwalifikowany Ł. Okazało się jednak w śledztwie, że Janusz Ł. wcale nie był taki niewykwalifikowany. Obok niego, przedzielony milicjantem, siedział drugi oskarżony, Feliks N., także 23-letni literat. Sprawa rzecz jasna miała swój numer, ale popularnie zwana była cukrową. Obu pisarzy oskarżono o włamanie do magazynu hurtowni towarów przeważnie importowanych, no i przede wszystkim o cukier.

Zbieg szczęśliwych dla społeczeństwa okoliczności sprawił, że Janusz Ł. i Feliks N., bliscy koledzy, nie potrafili niczego w życiu dokonać. Studia zaczęli, ale ich nie skończyli. Pracę literacką podjęli, ale ograniczyła się ona do czytania książek, do pisania nie doszło. Zrobić sabotaż na cukier próbowali, ale władze budowlane pokrzyżowały ich przestępcze plany. Włamać się do magazynu też tylko chcieli. Gdyby im się udało, mogliby wynieść towaru nawet za kilkadziesiąt milionów, i to lekko wynieść. Magazyn zawierał przedmioty raczej delikatne a kosztowne niż masywne.

- Oskarżony Ł. - zeznawał majster Jerzy M. - planując taką kombinację zrobił, moim zdaniem, błąd. I tak by wpadł, i tak by wpadł, nawet gdyby rabunek mu się udał. Przynajmniej ja tak myślę. Jak się idzie z takim zamiarem sabotażu na niewykwalifikowanego, to przecież trzeba myśleć o tym, żeby nikt człowieka nie pamiętał. Był jakiś taki, popracował, oszedł tak samo jak setka innych. Kamień w wodę. Jeśli jednak człowiek przychodzi czytać książkę na budowie, mocno wpada w oko i wtedy od razu widać, że to nie jest czysta sprawa.

Janusz Ł., były student chwilowo na utrzymaniu rodziców, chodził z dziewczyną imieniem Stanisława, która miała koleżankę imieniem Tusia, która miała siostrę imieniem Zdzicha, która miała narzeczonego imieniem Robert, a on był kreślarkiem i brał prace zlecone do domu. Janusz L. nieraz pogawędził sobie z narzeczoną

siostry koleżanki jego dziewczyny Stanisławy o wykonywanej przezeń pracy. Tym sposobem poeta Ł. dowiedział się, że lada dzień zacznie się budowa magazynu wedle dokumentacji uproszczonej, i mógł na nią, tę dokumentację uproszczoną, rzucić okiem. Jako człowiek poważny nie lubił bowiem rozmawiać o głupstwach. Dowiedział się, że nie będzie budowany byle jaki magazyn, tylko specjalnie dobrze zabezpieczony, tak dobrze, że aż ciekawość, co w nim będą trzymać. Robiona ma być nadbudówka nad suteroną, przyłączy się do tej sutereny piwnice sąsiedniego domu i zabezpieczy magazyn murem nie do przebicia - beton półtora metra grubości!

Janusz Ł. z kolegą swoim Feliksem postanowił stworzyć fakty do ewentualnej powieści kryminalnej. Zgłosili się do pracy na budowę. Feliksowi N. tak się składało, że mógł przyjść tylko trzy razy. Janusz Ł. łącznie przepracował 23 dni. Mianowany został niewykwalifikowanym i taczkami woził beton z betoniarki do podziemi, jeśli rzecz jasna nie leżał na gazobetonowych pustakach i nie czytał wierszy drukowanych w czasopiśmie „Nowy Nurt”.

- Wiedziałem - zeznał poeta przed sądem - że beton nie wiąże na cukier. Miałem używany motor kupiony do spółki z kolegą, który żył z nauczycielką wuefu w technikum budowlanym. Otóż ta nauczycielka była bardzo oblatana; bo brała zastępstwa także z innych przedmiotów. Więc ta nauczycielka - nazwiska nie pamiętam - mówiła, że kiedy dodać do betonu cukru, ściana wygląda normalnie, może się zdawać, że to bunkier Hitlera, ale jest taka marna, że łyżką ją można wybierać.

„Dziwna jest w cukrze potęga - pisał już wtedy zauroczony cukrem poeta do swojego przyszłego współnika Feliksa N. (list ten znaleziono w trakcie rewizji). - Mówi się, że cukier krzepi. Tymczasem wsypiesz go do paliwa - samolot spadnie, samochód nie pojedzie. Dodasz do betonu, będzie jak budyń. Dasz go człowiekowi - otłuści się i pójdzie na zawał.” Tę swoją fascynację, cukier, Janusz Ł. w trakcie pracy nosił w gumiakach. Zjeżdżał z taczka do piwnicy, tam mieszał cukier z płynnym betonem, potem taczka wypróżniał między szalunkami i znowu, i znowu. W śledztwie powiedział, że ścianę mającą przyszy magazyn odgrodzić od piwnic następnego domu osłodził około 200 kilogramami cukru. Gdyby była ona z ciasta, miałyby smak tortu. Wydał na to prawie wszystko, co zarobił na budowie. Pracę porzucił, kiedy ściana była gotowa.

Przez ten rok, kiedy potem obaj z Feliksem N. cierpliwie czekali na ukończenie ślimaczącej się budowy magazynu i wypełnienie go zawartością, Janusz Ł. zaciągnął kilkadziesiąt tysięcy długu. Czuł się już milionerem i chciał żyć jak milioner.

- Wierszy w tym czasie nie pisałem - wyjaśnił sądowi - bo zbyt byłem zmęczony.

Przez miesiąc zasuwalem przeciez z taczkami pelnymi betonu. Ale samo to, to blotka. Spróbowalbys pan prokurator pchać takie taczki w gnojkach pelnych cukru!

Raz przysiadł odpocząć, zzuł wypróżnione buty, otrzepał nogi, a potem włożył buty i miał zamiar iść znowu napełnić cholewy cukrem, który miał ukryty w rumowisku potłuczonych pustaków. Wsunąwszy nogę do buta wrzasnął donośnie - pszczoła, która śniadała sobie w jego obuwiu, użądliła go w podbicie.

Kiedy nadszedł czas, obaj zbrodniczy literaci mieli już wszystko starannie przemyślane. W opuszczonej piwnicy po drugiej stronie muru - tego tortowego muru - zgromadzili worki na łup. Do roboty przystąpili zaraz po zamknięciu magazynu o piętnastej trzydzieści. Mieli zamiar pracować całą noc, a wcześniej rano załadować łup na samochód, tak żeby w porze otwarcia magazynu być już przynajmniej 100 km od miasta.

W czasie budowy odwadniano piwnice i pracowały tam pompy. Kupili teraz taką pompę i puścili w ruch - lokatorzy byli przyzwyczajeni, nie zwracało to ich uwagi, zagłuszało natomiast uderzenia kilofem. Dwie godziny walili kilofami w beton i mało co odłupali. Teoria nie zawsze zgadza się z praktyką. Ten akurat beton doskonale wiązał się na cukier. Po tych dwóch godzinach, zlanych potem literatów wyciągnęła z piwnicy milicja. Wezwali ją lokatorzy. Ściany domu trzęsły się bowiem, a obrazki, nawet święte, majdały się na gwoździach.

- Nie wystarczy poczytać teorię - majster Jerzy M. wyjaśniał przed sądem porażkę obu rabusiów - żeby znać się na budownictwie. Dlaczego beton się nie poddawał? To jasne. Niewykwalifikowany Ł. odszedł z budowy, a potem, normalnie, zaraz przyszła zmiana projektu i nowa dokumentacja, więc rozkuwali my tę ścianę postawioną na cukier i normalnie stawiali nową.

Strach II

W momencie najmniej spodziewanym, kiedy największy nawet bandyta jest promieniejącym barankiem, Jerzy Z., cherlawy inteligent w średnim wieku, rzucił się na uzbrojonego strażnika i wołając jak matka do niegrzecznego dziecka: „A masz, a masz”, nakładł mu po twarzy. Działo się to w chwili, kiedy Jerzy Z. opuszczał więzienie po ośmioletnim w nim pobycie. Spokojnie przebył wszystkie etapy formalności związanych z opuszczeniem zakładu karnego, i gdy w rozumieniu urzędowym nie był już więźniem, nosił cywilne ubranie, a strażnik otwierał przed nim ostatnie drzwi wiodące na ulicę - wtedy zdarzył się ten incydent. W więzieniach różne rzeczy już widywano i mało co może personel zadziwić. Ten fakt jednak nie miał precedensu.

Dochodzenie wykazało, że Jerzy Z., 54-letni ekonomista z niepełnym wyższym wykształceniem, pobitego strażnika nigdy przedtem nie widział na oczy, nie znał i nie miał najmniejszych powodów do napaści. Mimo to z ledwością udało się innym strażnikom oderwać zuchwalca od kolegi, tak zapamiętale bił. Poskromiony i przytrzymany, Jerzy Z. oddany został do dyspozycji władz śledczych. Zbadały one akta zabijaki. Przez osiem lat wzorowy i subordynowany więzień, nigdy nie zakłócał porządku ani nie objawiał wojowniczości. Słabego zdrowia. Ma rodzinę - żonę i dwoje dzieci - z którą jest silnie związany uczuciowo. Całe to zajście wyglądało na reakcję niekontrolowaną, zaćmienie świadomości wywołane szokiem, jakim musiało być dla człowieka tego pokroju opuszczenie więzienia po ośmiu latach pobytu. Ostry atak choroby więziennej. Delikwent kwalifikował się do psychiatrii.

Od pierwszego przesłuchania Jerzy Z. zachowywał się jak człowiek zrównoważony. Zaprzeczył, jakoby radość zaćmiła mu rozeznanie, co czyni. Oświadczył, że strażnika pobił umyślnie, gdyż chciał sprowokować zatrzymanie go w więzieniu. Za żadną cenę nie chce wyjść. Nie, nie o to chodzi, że polubił to miejsce i życie w zamknięciu. Skazany na 12 lat więzienia sam prosił o darowanie mu jednej trzeciej kary. Prosił i jednocześnie miał nadzieję, że wniosek zostanie odrzucony. Gdy zawiadomiono go, że wyjdzie przed czasem, opanował go ogromny lęk. Nie mógł spać ani jeść. Zrozumiał, że ten strach jest silniejszy od pragnienia powrotu do rodziny. Wiedział bowiem, że na wolności zostanie zabity.

Potem psychiatra wydał opinię, że Jerzy Z. miał świadomość tego, co czyni i w pełni kierował swoim postępowaniem. Sprawa o pobicie strażnika wpłynęła do sądu.

Oskarżony złożył obszerne wyjaśnienie. Ojciec jego był nauczycielem gimnazjalnym. Maturę uzyskał Jerzy Z. przed wojną i przez rok studiował

medycynę. Potem wojna, front. Po wojnie rozpoczął pracę w księgowości, bo z buchalterią zaznajomił się w czasie okupacji. Pierwsze po wojnie, kawalerskie jeszcze lata zmarnował, jak ocenia, gdyż nie podjął studiów, a uczynił to dopiero z początkiem lat pięćdziesiątych, gdy był już żonaty, miał pierwsze dziecko, trudne warunki mieszkaniowe i mało czasu. Zaliczył dwa lata studiów ekonomicznych, potem przyszło drugie dziecko, żona musiała przerwać pracę, a on szukać dodatkowych zarobków. Z ubiegania się o dyplom zrezygnował, czym zamknął sobie na przyszłość drogę do awansów i satysfakcjonującej płacy. Z początkiem lat sześćdziesiątych został kierownikiem sekcji w pionie głównego księgowego w wielkim przedsiębiorstwie. Zarabiał blisko 4 tys. miesięcznie i wiedział, że to jest kres jego możliwości. Tymczasem dzieci dorastały i żona uznała, że może znowu wziąć posadę. Otrzymała ją w handlu, ale kierownik wielkiego sklepu, gdzie pracowała, był człowiekiem nie do wytrzymania, tak żonę szykanował, że po powrocie z pracy nie była zdolna do niczego innego, jak tylko do płaczu. Remanent ujawnił osiemnastotysięczne manko, a kierownik już się postarał, aby żona Jerzego Z. za nie odpowiadała. Musiała spłacić 18 600 zł. Załamana zwolniła się z pracy. I teraz on miał na wyłącznym utrzymaniu cztery osoby oraz dług żony do spłacenia. W tej sytuacji zgodził się liberalnie podchodzić do dokumentów stanowiących podstawę wypłat dla dorywczo pracujących przy przeładunkach robotników. Ich kontrola należała do jego obowiązków, a uchybienie jej przynosiło mu około 2 tys. miesięcznie.

Kierownik magazynu, gdzie ów przeładunek się odbywał, wiedział o tym, że brygadzysta tragarzy jest z nim zblatowany. Toteż on, Jerzy Z., nawet nie mógł odmówić, kiedy magazynier zwrócił się do niego o pomoc. Ma braki w magazynie, które trzeba zatuszować, przygotowując odpowiednio dokumenty magazynowe. Jerzy Z. akurat wtedy objął kierownictwo sekcji gospodarki magazynowej i był praktycznie ostatnią instancją kontrolną. Nie wiedział zbyt dokładnie, na czym polegają kombinacje magazyniera. Krył braki i dostawał od czasu do czasu po parę tysięcy, średnio 2 tys. miesięcznie. Magazynier widać uznał, że taka jest jego stawka. Potem magazynier mu oświadczył, że póty dzban wodę nosi..., że on już nerwowo nie wytrzymuje i postanowił zmienić pracę. Chwilą krytyczną będzie przekazywanie magazynu następcy, i już Jerzego Z. musi być w tym głowa, żeby w papierach wszystko się zgadzało. Zrobili wówczas we dwójkę prywatny remanent. Braki nie mające w dokumentach żadnego, nawet naciąganego pokrycia sięgały 900 tys. zł. Magazynier szykował się do odejścia i w ostatnim okresie wynosił towary na chłama. Teraz zaś mówił, że trudno, niech Jerzy Z. coś wymyśli, inaczej będą musieli obaj to odsiedzieć.

Jerzy Z. był na tyle biegły w księgowości, żeby wiedzieć, iż tego nie da się już zamazać biurowymi sposobami. Długo dyskutowali, czy lepszy jest pożar, czy włamanie. Przychylił się ostatecznie do włamania, które miało tę wadę, że

wymagało współników, a tę zaletę, że można było na nim dodatkowo jeszcze zarobić. Jerzy Z. do dziś pluje sobie z tego powodu w brodę, bo gdyby zrobili pożar, to co prawda i tak odsiedziałyby swoje, ale spokojnie.

Werbunkiem włamywaczy zajął się magazynier i poszło to dosyć łatwo. Wiedział on, że jeden z robotników przeładunkowych odsiadywał już coś podobnego, i szybko się dogadali. Fachman od włamań zobowiązał się obrobić magazyn razem z dwoma kolegami. Ich przewodnikiem, klucznikiem i kierownikiem technicznym skoku miał być magazynier - do włamywaczy należało wyniesienie i wywiezienie towarów oraz stworzenie pozorów włamania. Gdy wszystko było już przemyślane i zaplanowane, magazynier skrewił. Dał znać Jerzemu Z., że się boi, bo na niego pierwszego padnie podejrzenie, że on z włamywaczami nie pójdzie i Jerzy Z. sam musi przejąć jego obowiązki. Istotnie wieczorem, kiedy dokonywane było, a właściwie pozorowane włamanie, magazynier grał w brydża z takimi partnerami, aby jego alibi jaśniało przed sądem pełnym blaskiem.

Tak oto Jerzy Z., nie pragnąc tego bynajmniej, znalazł się na czele szajki zawodowych rabusiów i miał z nimi pójść na robotę, bez czego tamci nie godzili się obrabiać magazynu. Do tego istotnie potrzebny był ktoś, kto by dysponował kluczami i wiedział, co warto brać, ktoś dobrze orientujący się w zwyczajach strażnika, działaniu systemu alarmowego i topografii miejsca.

Za przykładem magazyniera Jerzy Z. także pomyślał o zapewnieniu sobie alibi. W tym celu postanowił przeciąć nie tylko przewody dzwonka alarmowego, lecz także kabel wiodący do elektrycznego zegara, który zdobił ścianę kancelarii magazynu. W ten sposób ekipa śledcza będzie wiedziała, o której dokładnie odbywał się rabunek. Na tę właśnie porę Jerzy Z. przygotował sobie alibi, w sposób technicznie skomplikowany. O godzinie 11 minut 15 wieczorem, kiedy włamywacze pod wodzą Jerzego Z. mieli być już w środku położonego za miastem magazynu, syn Jerzego Z. zadzwonił miał z budki telefonicznej do szefa swojego ojca, głównego księgowego, do domu i powiedzieć, że tata ma doń pilną sprawę, ale nie może zatelefonować, gdyż aparat nie łączy. Ponieważ jednak do nich do domu można dzwonić, tata prosi o telefon. A gdy główny księgowy zadzwonił, żona Jerzego Z. podjęła słuchawkę, powiedziała, że już daje męża, zawołała „Jurek, telefon do ciebie” i włączyła magnetofon. Z taśmy pobiegły do słuchawki słowa: „Panie Kazimierzu, zdaje mi się, że jestem chory, tak że jutro rano pójdę do lekarza. Gdybym nie wrócił już do pracy, to to zestawienie, o które prosił ekonomiczny, jest w lewej górnej szufladzie mojego biurka”. Po chwili pauzy głos znowu mówił do słuchawki: „Nic wielkiego, ale mam trzydzieści osiem stopni i tak się czuję, jakbym miał gripę. To dziękuję, przepraszam, że niepokoję w domu, i do widzenia”. Przerwa w nagraniu miała dać czas przełożonemu na zapytanie, co panu Z. jest. Ale główny księgowy bynajmniej o to nie zapytał, tylko o jeszcze jakieś dokumenty, po

czym usłyszał przeciągającą się ciszę w słuchawce i odpowiedź od rzeczy. Po „do widzenia” podwładnego chciał jeszcze coś powiedzieć, ale słuchawka stuknęła o widełki, kiedy był w pół słowa. Sądząc, że to była jakaś wada połączenia, natychmiast powtórnie nakręcił numer. Odebrała żona Jerzego Z. i plątała się w wyjaśnieniach - to mąż w łazience, to na chwilę wyszedł z domu. A potem Jerzy Z. około pierwszej w nocy zatelefonował do szefa, bo ten podobno drugi raz dzwonił...

Osobliwości tych rozmów telefonicznych to było pierwsze, z czym nazajutrz rano główny księgowy zgłosił się sam do oficera milicji, który przybył do ich biura w związku z włamaniem do magazynu. Wzięto więc Jerzego Z. na przesłuchanie, a ten bez chwili zwłoki przyznał się do wszystkiego i wydał współników.

W czasie procesu, który skończył się dlań dwunastoletnim wyrokiem, współnicy przy każdej okazji zapewniali, że go zabiją, jak tylko dorwą go w swoje ręce, za to sypanie, nim MO w ogóle miała jakiegokolwiek dowody czy choćby podejrzenia. Pisał w tej sprawie do władz więziennych, prosząc, żeby nie osadzano go aby w jednym ze współnikami zakładzie. Obawiał się, mimo spełnienia jego prośby, że jakiś kumpel tamtych, ktoś ze złodziejskiej mafii, dosięgnie go w więzieniu. Nic się jednak nie działo i z biegiem monotonna lat strach zelżał.

Jerzy Z. wiedział, że jeden ze współników wyszedł, potem drugi, tylko trzeci, recydywista, miał piętnastoletni wyrok i szanse na odsiedzenie go w całości. Strach powrócił, kiedy któryś ze świeżych więźniów przekazał mu ustną wiadomość, że Filip (imię jednego z tych bandytów) kazał grzecznie prosić, aby starał się o przedterminowe zwolnienie. Filip się niecierpliwi i będzie z kumplami oczekiwał go za bramą więzienia. Mimo to Jerzy Z. ubiegał się o darowanie jednej trzeciej kary, tylko pisał listy do władz: on lojalnie współpracował z organami ścigania w trakcie śledztwa, prosi więc teraz o obronę, choćby o odwiezienie go z więzienia do domu.

Kiedy miał już wyjść, spowodował, żeby żona oczekiwała go autem, i to nie sama, ale z dwoma znajomymi. Mimo to bał się coraz bardziej, strach przyćmił wszelką radość z perspektywy wolności, i gdy miał przekroczyć drzwi, za którymi, był pewien, czyhała śmierć - uchwycił się w ostatniej chwili ostatniej deski ratunku.

Na procesie Jerzego Z. zeznawali dwaj bawiący na wolności współnicy włamania, a po nich ten trzeci, doprowadzony z więzienia. Pierwszy, który zeznawał, wjechał na wózku inwalidzkim, zdążył już bowiem po wyjściu z więzienia wejść w konflikt z ciężarówką i został kaleką. Wyglądał nieszkodliwie i zapewniał, że nie żywi zamiaru zemsty wobec Jerzego Z. Drugi, owszem zdrowy, zaprezentował się sądowi jako solidny przedsiębiorca - właściciel dwóch platform i czterech koni. On, broń Boże, Jerzemu Z. nie groził i nie dybał na jego życie. „Posiadam

koncesję, to chyba muszę żyć dobrze z organami i nikomu nie wschodzić w drogę.” Trzeci, najbardziej lakoniczny i - zważywszy zamknięcie - zupełnie nieszkodliwy, ograniczył się do suchego zaprzeczenia, jakoby żywił złe zamiary wobec byłego współnika. Jerzy Z. do więzienia nie wrócił. Sąd okazał zrozumienie dla jego wielkiego strachu, zawieszając mu wykonanie kary.

Zaproszenie do ambulansu

Co robi poddany brytyjski kiedy potrzebuje pieniędzy? Brytyjski poddany dobiera sobie i szkoli kilkadziesiąt osób. Następnie studiuje system obiegu bankowych pieniędzy i ich ochrony. Z kolei bada metody sygnalizacji kolejowej i zasady ruchu. Potem „organizuje” park samochodowy. Wreszcie w przemyślny sposób włącza się w automatyczną sygnalizację kolejową, zatrzymuje pociąg z pieniędzmi, odłącza wagony-ambulanse od innych, rabuje miliony funtów szterlingów i znika. Kiedy zaś policja wreszcie go łapie, osadza w więzieniu, a sąd wymierza mu karę - brytyjski poddany ucieka z więzienia i zapada się pod ziemię.

A co robi obywatel PRL, kiedy potrzebuje pieniędzy? Obywatel PRL żyje w kraju, w którym nie jest narażony na podobny wysiłek. Obywatel PRL kupuje za 2 zł podmiejski bilet kolejowy i jedzie do Wawra. Potem odbywa krótki spacer i kuca sobie w krzakach. Kucnąwszy wyciąga rękę. Akurat przejeżdża ambulans z pieniędzmi, a że jest dziurawy, tedy na wyciągniętą rękę lecą mu pieniądze. Nie są to ani miliony, ani funty szterlingi, ale obywatel PRL ma mniejsze potrzeby i kontentuje się kilkuset tysiącami złotych. Dalej obywatel PRL trzusi się cały kwartał, żeby sumę tę wydać, a gdy mu się to już uda - zaczyna się nudzić. Cóż robi obywatel PRL, gdy się nudzi? Dobija się do drzwi kryminału. Prosi, żeby go zamknąć za obrabowanie ambulansu pocztowego, ponieważ jedyne, co go może rozerwać, to ładny procesik.

Po 22 latach burzliwego życia, Bronisław Krupiński, warszawski szofer, zamieszkał w pierwszorzędnym zakładzie karnym, jakim chlubi się nasze więziennictwo. Mimo znacznych postępów w organizacji życia więziennego zażywał tu nie dość rozrywek, tak że wieczorną nudę musiał zabijać gawędami z przyjaciółmi. Krupiński wszakże, mimo swe talenty towarzyskie, nie był ozdobą celi. Siedział bowiem za drobne wykroczenia: jeden gwałt plus jeden rabunek - rzeczy tak małoznaczne, że nie było się czym pochwalić. Jako warszawiak i szofer cierpieć musiał srodze, w milczeniu słuchając o bardziej brawurowych wyczynach przyjaciół. Toteż pewnego dnia postanowił przestać uchodzić za hetkę-pętelkę i zwierzył się, że ma w swym dorobku twórczym „skok” na ambulans pocztowy. Czysta robota uwieńczona 372 tysiącami zysku. Zwierzenie to poprawiło jego reputację tak bardzo, iż wieść o tym wyczynie - nie wymagającym, jak się przekonamy, wielkiego talentu - rozeszła się szeroko po zakładzie, tak szeroko, że doszła aż do milicji. I oto okazało się, że nasz gawędziarz bynajmniej nie buja.

W roku 1962 Krupiński powoził pocztowym ambulansem, który co wieczór zwoził worki z listami, paczkami i forszą z podmiejskich urzędów pocztowych do stolicy. Mieszkał na Pradze i bywał w kawiarniach „Praha” i „Piosenka” oraz na

nadwiślańskiej plaży, gdzie zbiera się śmietanka tej dzielnicy. Bywał tam również i Bohdan Chyliński. Młodzi panowie (obaj ledwie przekroczyli dwudziestkę) zawarli znajomość i jak to zwykle, popsioczyli sobie na tematy ogólne. Krupiński naigrawał się ze swojego warsztatu pracy - ambulansu pocztowego: stare pudło z drewnianą budą, rozwija 40 km na godzinę i o mało się nie rozleci. Wieziony skarb pocztowy zamknięty jest na jedną zwykłą kłódkę.

Kiedy Krupiński przestał pracować na poczcie, obaj; młodzi ludzie postanowili wyzyskać wiedzę na temat mizernego stanu pocztowego transportu. Krupiński wiedział, że ambulans, który objeżdża urzędy pocztowe na trasie wiodącej do Radzymina, niedaleko Wawra napotyka wzniesienie, które pokonuje z trudem i w tempie piechura. Wspólnicy wybrali się „warszawą” ojca Chylińskiego - taksówkarza na wizję lokalną. Obejrzawszy sobie wszystko na miejscu, wyznaczyli termin skoku na 14 listopada 1962 r.

Wspólnicy zrezygnowali z użycia samochodu, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Pojechali kolejką do Wawra, po czym pieszo doszli do miejsca, gdzie droga, którą przebywa ambulans, wznosi się w górę. Po obu jej stronach rośnie tu las. Ukryli się w krzakach, a gdy ambulans nadjechał, wskoczyli na stopień umieszczony z tyłu, z o wiele mniejszym trudem, niż to bywa przy wskakiwaniu do ruszającego tramwaju, w którym to sporcie byli zaprawieni.

Trzeba wiedzieć, że wszystkie, ile ich jest, warszawskie ambulanse pocztowe zamykane są na dziewięć rodzajów kłódek, z tego pięć rodzajów otwiera jeden i ten sam klucz. Mając trzy różne klucze, które nabyć można (wraz z kłódkami) w byle sklepie - otworzyć można niezawodnie każdy ambulans. Oczywiście człowiek zainteresowany sprawą a przezorny powie, że cóż z tego, skoro pieniądze eskortują zbrojni konwojenci. Nie nاپuszczamy nikogo na mokrą robotę. Poczta Polska istotnie ma pieniądze na etaty dla konwojentów, ale nie starcza ich na wycięcie w pudle ambulansów okienek, przez które wpadałoby do środka świeże powietrze. Wobec tego konwojenci podróżują w szoferce, a nie w budzie samochodu, gdzie leżą pieniądze. I pilnują, żeby się nie zdrzemnąć, a nie majątku pocztowego.

Krupiński i Chyliński, wiedząc o tym wszystkim, wykazali aż nadmierną przezorność zabierając ze sobą łom. Nie okazał się on potrzebny. Drzwi ambulansu sprawnie otworzyli kluczem, wykręcili żarówkę, żeby czasem szoferowi nie wpadło do głowy zapalić światło w środku karetki, bo wtedy przez okienko między szoferką a budą mógłby ich dojrzeć, po czym rozcięli worki pocztowe i powyjmowali z nich mniejsze woreczki z pieniędzmi. I wcale nie musieli wyskakiwać w biegu, ambulans bowiem stanął właśnie przed przejazdem kolejowym i stał tam 4 minuty. Rabusie spokojnie więc wysiedli i poszli swoją drogą. Załoga ambulansu spostrzegła rabunek dopiero po przybyciu do celu, tj. Urzędu Pocztowego Warszawa 4 przy ul. Targowej. Jej zdziwienie nie miało granic.

Tymczasem Bohdan Chyliński, obiecujący student II roku Akademii Medycznej w Warszawie, oraz jego wspólnik liczyli forszę. Działo się to w pokoju sublokatorskim Krupińskiego. W trakcie tej pracy zastała ich gospodyni, która przyszła upomnieć się o komorne. Młodzieńcy zdążyli stos banknotów zakryć kapą na łóżko i spod niej Krupiński wyciągnął pięćsetkę, którą wręczył gospodyni. Wspólnicy przeliczyli pięćsetki, przeliczyli setki, przeliczyli też pięćdziesiątki, doliczyli się 300 tysięcy i zmogło ich zmęczenie. Drobniejszej forsy już nie liczyli. Ta końcówka wynosiła głupie 72 tysiące. Potem Chyliński załadował pieniądze do turystycznej torby i wyniósł od Krupińskiego. Nazajutrz, w umówionym miejscu, które stanowiła pętla autobusu 138, wręczył koleżce jego dolę. Drogi młodych ludzi rozeszły się.

Bronisław Krupiński zakopał torbę z pieniędzmi pod murem koszar KBW przy ul. Generalskiej. Czerpał stamtąd w miarę potrzeby. A potrzeby miał spore. Przed wszystkim wynajął pokój w mieście. (Swej młodej żonie powiedział, że nie może znaleźć mieszkania, w którym mogliby razem zamieszkać, i że gnieździ się przy rodzicach.) W garsonierze owej dosyć sprawnie wydawał pieniądze na kobiety i przegrywał w karty. Na nieszczęście dla jego żony Hanny, przypomniał sobie wreszcie i o powinnościach małżeńskich. Jedzie więc z żoną do Zakopanego. Wynajmuje pokój w orbisowskim hotelu „Giewont”. Małżeństwo odbywa spacerów wynajętymi nieomalże na stałe saniami. Udaje im się wydać 17 tysięcy. Fakt ten sprawi, że Hanna Krupińska zasiądzie na ławie oskarżonych pod zarzutem korzystania z pieniędzy, o których wiedziała, że pochodzą z kradzieży.

Pewnego dnia w kawiarni „Piosenka” Krupiński spotyka Chylińskiego i pożycza od niego samochód, żeby przewieźć pannę, z którą właśnie flirtuje. W ten sposób rozbita zostaje taksówka ojca Chylińskiego. Syn nie przyznaje się ojcu, że pożyczył samochód. Chyliński-senior alarmuje MO o zaginięciu wozu. Potem, kiedy samochód się znalazł, podjął w PZU należne mu pieniądze na reperację. Tymczasem Chyliński wyciąga pod pretekstem kraksy 80 tys. od Krupińskiego. Wpierw 30 tys. „na reperację”, potem 50 tys. na rzekomą łapówkę dla milicjantów, mającą uchronić Krupińskiego przed odpowiedzialnością karną za wypadek.

W czasie kiedy to się wszystko dzieje, milicja bezowocnie poszukuje sprawców napadu na ambulans. Rabusie nie zostawili jednak żadnych śladów, milicja nie ma w ręku żadnej poszlaki. Dochodzenie zostaje umorzone.

Sprawa odżywa w przeszło rok później. Jak pamiętamy - dlatego, że Krupińskiemu nudziło się w więzieniu, a rabunek i gwałt nie dawały mu wysokiej pozycji prestiżowej w towarzystwie, w którym przyszło mu trawić czas. Teraz więc wszystko gracko wyśpiewuje. Bohdan Chyliński zostaje aresztowany. Nie przyznaje się do udziału w napadzie. Nie może jednak przeczyć ani znajomości z Krupińskim, ani temu, że przechowywał jego torbę z pieniędzmi.

Potem i Krupiński zmienia taktykę. Odwołuje poprzednie zeznania. Powiada, że zakopane przy ul. Generalskiej pieniądze (milicja odnalazła pusty już schowek) wygrał w karty. Ma jednak trudności ze wskazaniem tych, którzy przegrali. Tłumaczy, że opowiedział o napadzie na ambulans, żeby pogrążyć Chylińskiego, na którym chce się zemścić za to, że ten wyłudził odeń forszę, szantażując rzekomą odpowiedzialnością za wypadek, jak i z tej jeszcze racji, że Chyliński przyprawił mu rogi, mając coś niecoś wspólnego z jego żoną. W świetle milicyjnych ustaleń te niewątpliwe fakty nie mają jednak nic wspólnego z napadem na ambulans, to znaczący napadowi nie przeczą.

Hanna Krupińska zeznaje przeciwko mężowi. Twierdzi mianowicie, że opowiadał on jej o napadzie, a nawet - chcąc ją mieć „w rękę” - kazał jej napisać oświadczenie, że przyjmuje od męża pewną sumę pieniędzy wiedząc, że pochodzą one z rabunku. Jednakże, powiada, ze zrabowanych pieniędzy nie korzystała. Lepszych pomysłów nie ma. Ciekawe: Krupińska pogrążając małżonka wyraźnie oszczędza Chylińskiego. Cóż, przebieg procesu nie przynosi jej nadmiaru satysfakcji jako żonie. Krupiński nie jawi się w zeznaniach świadków jako wzór męża.

I to już właściwie wszystko. Jeśli, Czytelniku, zobaczysz ambulans pocztowy z wolna forsujący drogi Mazowska i wyda ci się, że nie ma na nim transparentu z napisem: „Uprzejmie prosimy do środka” - wiedz, że po prostu nie umiesz czytać.

Krupiński i Chyliński czytać umieli. Prawie że udało im się przestępstwo doskonałe. Tyle że Krupiński nie posiadał sztuki trudniejszej nad owo czytanie i o wiele trudniejszej nad rabowanie polskich ambulansów: nie umiał milczeć.

Wpłaty pieniężne przyjmują urzędy pocztowe w całym kraju w godzinach od 8 rano do 8 wieczorem.

Julia W.

Działo się to w pewnej rodzinie 2 + 1. Liczba pierwsza stanowi wyobrażenie Mieczysława K., matematyka, specja od jakichś spraw mających związek z komputerami, który po odbyciu praktyki w Europie Zachodniej i kupieniu tam auta rokuje podobno poważne nadzieje; dokładnie nie wiemy, gdzie je rokuje i na co. Nadto stanowi ona wyobrażenie świeżo poślubionej żony Mieczysława K., 25-letniej, o dwa odeń lata młodszej Olgi, dobrze prosperującej plastyczki. Druga liczba wyobraża ich kilkumiesięczne dziecko. Ono także prosperuje i rokuje nadzieje. Płeć i imię zapomnieliśmy zanotować. Najlepiej wszakże prosperuje ojciec Olgi K. i teść matematyka - agent gastronomiczny, spełniający w tej rodzinie ważną funkcję placówki subwencjonującej. On to dostarczył państwu K. opiekunki dla świeżo urodzonego dziecka. Przywiózł ją z miasteczka w województwie warszawskim stały dostawca warzyw dla restauracji teścia-agenta, gwarantując za jej czystość, zdatność i uczciwość. Licząca 19 lat pomoc domowa nazywała się Julia W. Umiała - zachwalano ją - obchodzić się z dziećmi, gdyż u siebie w domu wychowała samodzielnie dwoje rodzeństwa (ma pracującą matkę). Repetowała przez dwa lata drugą licealną, a mimo to nie przeszła do trzeciej. Ponieważ w jej miasteczku szkoła ogólnokształcąca stanowi jedyną możliwość kształcenia, już przez dziewczynę zaprzepaszczoną, więc - opiewała umowa - miała w Warszawie zdobywać jakiś praktyczny zawód na kursach wieczorowych. Dla niej to szansa - dla państwa K. wygoda. Dostała 1000 zł, mieszkanie, wikt i opierunek.

Julia W. pracowała u państwa K. przez cztery miesiące. Niewiele potem umieli o niej powiedzieć. Dzieckiem zajmowała się sprawnie i serdecznie. Sprzątała żwawo, ale niedbale, powierzchownie, bez zrozumienia, że brud trzeba odkurzaczem wyciągać także z kątów. Głodziła się, aby nie utyć. Gotowała mdło, bez talentu. Nosila masywny makijaż, w który wkładała tyle pracy, że wzbraniała się go zmywać wieczorem. Nakłanianie jej do tego było misją cywilizacyjną Olgi K., fachowca od malunków. Swoich państwa darzyła koleżeńską serdecznością. Wiezorami wychodziła i wracała późno w nocy, albo siadywała przed telewizorem, patrzyła i płakała. Zrazu państwo K. sądzili, że tak ją wzrusza program. Razu jednego pani Olga K. zauważyła jednak, że jej pomocnica zanosi się łkaniem w czasie, kiedy na ekranie red. Męclewski wyjaśnia meandry polityki międzynarodowej, i zagadnęła ją, czy uważa, że ten występ jest do płaczu, czy też sytuacja. Okazało się, że Julia W. nie dlatego ciągle szlocha, że wzrusza ją program, tylko płacze nad sobą, iż musi siedzieć przed telewizorem, bo akurat tego wieczoru nie ma randki.

Przeważnie jednak je miała, a że wracała o pierwszej, drugiej w nocy, państwo K. nie mieli wątpliwości co do ich poważnego charakteru. Mieszkanie ich składa się

z dwóch małych pokoików. W jednym mieszkały: Olga K., Julia W. i dziecko, w drugim pan domu robił karierę naukową. Wobec tej wspólnoty pokoju Olga K. żądała od pomocy, aby myła się przed pójściem do łóżka, na co tamta odpowiadała z oburzeniem, że jest przecież późna noc. To była główna płaszczyzna konfliktu. Olgę K. widać drażnił porandkowy zapach pomocy domowej, tym bardziej zaś skłaniała ją ku higienie, że od chwili nastania w ich domu Julia W. przestała nosić garderobę, którą przywiozła, i nie kupowała sobie nowej. Brała z szafy rzeczy pani K. i pod warunkiem zachowywania morderczej diety mogła korzystać z bogatego wyboru strojów awangardowych a zagranicznych.

Przed południem Julia W. chodziła z dzieckiem na spacer do parku, zawsze tego samego. Siadywała też wciąż w tym samym miejscu. Owo chodzenie odbywało się samochodem. Pan K. (rzadziej pani K.) zawoził tam dziecko i wózek, po czym któreś z małżonków odbierało ich, też autem - około obiadu. Park położony był daleko od ich domu. Czasem zdarzało się, że w trakcie spaceru dziecka któreś z małżonków K. wpadało do parku, a to żeby przywieźć dziecku coś, czego Julia W. akurat zapomniała w domu, a to aby wydać jakąś dodatkową dyrektywę sprawunkową. W godzinach spaceru Julia W. kupowała bowiem wiktuały. I otóż państwo K. zauważyli, że Julia W. w czasie tych niespodziewanych zawsze wizyt zachowuje się dziwnie. Na przykład porywa wózek i ucieka, jest zmieszana, zachowuje się inaczej niż zazwyczaj, agresywnie. Zrodziło o pytanie: „Czy ona czegoś nie robi dziecku?” Dziecko wszakże wyglądem, stanem zdrowia ani zachowaniem nie dawało podstaw do podejrzeń, aby coś złego mu robiono. Na pytania: „Czemu uciekasz?” albo „Czemu na mnie wrzeszczysz po chamsku, jak przychodzę?” - zadawane przez któreś z małżonków K. - ich domowa perła odpowiadała, że nie życzy sobie, aby ją w trakcie spaceru „szpiegować”, jest bowiem odpowiedzialną opiekunką.

Któregoś wieczoru Julia W. wyszła jak zwykle na randkę i już nie wróciła. Rano w kuchni ujrzeli kartkę, że ona dziękuje bardzo i prosi nie mieć jej za złe, ale odeszła do narzeczonego. Sprawdzili, czy czegoś ze sobą nie zabrała, ale nie, nawet zostawiła swoje, nigdy nie używane rzeczy złożone w walizeczce, z którą przyjechała do Warszawy. Zabrała tylko to, co miała na sobie: spodnie, bluzkę i pantofle pani K. Za to nie wzięła pensji. To tylko niepokoiło, że nie oddała kluczy od mieszkania.

W kilka dni później Olga K. zaangażowała emerytkę na dochodzącą.

Gdzieś po tygodniu od zniknięcia Julii W., Olga K. wróciwszy na obiad zastała swoją emerytkę we łzach. Potem przyszedł Mieczysław K. i zastał żonę w spazmach. Zginęło dziecko. Otóż emerytka, uznając, że musi mieć śmietaną do zupy, popełniła przestępstwo, zostawiła dziecko samo w mieszkaniu i zjechała windą do sklepu. Zabawiła dłużej, niż planowała, bo w spółdzielni była kolejka. Za

powrotem ujrzała coś szokującego: dziecka nie było, tak jakby zabrało się i poszło, starannie zamykając za sobą drzwi wejściowe na klucz. Wraz z dzieckiem zginęły jego rzeczy: różne stroiki, pieluszki, akcesoria, zabawki i kosmetyki. Nadto szafa wypróżniona była z garderoby Olgi K., podczas kiedy nie tknięte pozostały o wiele cenniejsze przedmioty znajdujące się w mieszkaniu. Dla państwa K. nie ulegało wątpliwości, co się stało. To Julia W. zjawiła się, otworzyła drzwi, do których miała klucz, i zabrała to, do czego była przywiązana: dziecko i rzeczy, których używała.

Państwo K. pojechali na milicję, złożyli doniesienie i wprost stamtąd pomknęli wozem do rodzinnego miasteczka swojej byłej pomocy domowej. Jej rodzina wszakże nie miała od córki żadnej wiadomości i była przekonana, że ona nadal pracuje u państwa K.

Nikt nigdy nie przychodził do domu w odwiedziny do gosposi tych K.: żadna koleżanka, ani amant. Pojęcia nie mieli, gdzie obracała się nocami i kto zacz ów narzeczony. Nie potrafili dostarczyć milicji żadnego śladu. Jedyna nadzieja, że coś uda się wywąchać w parku, gdzie codziennie siadywała w towarzystwie innych kobiet z wózkami, nie wykluczone, że także stałych bywalczyń.

Istotnie spore grono matek i babek spędzających w parku przedpołudnia znało Julię W. I cóż się okazało? Podawała się za matkę dziecka, które pielęgnowała. Mówiła, że ten facet, który ich przywozi i odwozi autem, to jej mąż, dyrektor z przemysłu. Twierdziła, że ta kobieta, która czasem przyjeżdża zamiast niego, to jej niezamężna siostra, która pomaga jej w gospodarstwie. Opowiadała o przeszłych podróżach zagranicznych, w czasie których kupowała ciuchy, jakie ma na sobie, i o przyszłych podróżach, w czasie których kupi sobie nowe ciuchy. Zwierzała się, że ma kochanka, mąż o tym wie, ale nic nie mówi, bo kocha ją do szaleństwa. Ona jego mniej, gdyż on potrafi tylko forszę robić, ale jako mąż jest dla młodej dziewczyny do niczego. Codziennie zabawiała panie w parku relacjami ze swojego życia małżeńskiego i domu: mówiła o gościach, sprawunkach, problemach pieniężnych - mówiła o wszystkim, co widziała i słyszała, tyle że siebie podstawiała w miejsce Olgi K. Jednakże tego jej kochanka nikt nigdy w parku nie widział na oczy. A o ile ta mitomanka sporo opowiadała o tym, jaki jest, pech chciał, że nie zdarzyło jej się nigdy powiedzieć, kim jest, gdzie mieszka lub pracuje. I sytuacja była naprawdę tragiczna, bo szukaj wiatru w polu, a dziecku szedł dopiero piąty miesiąc.

Nieszczęście trwało jedenaście dni. Po tym czasie u drzwi wejściowych mieszkania państwa K. zadzwonił dzwonek i wszedł młody człowiek niosąc dziecko. Za nim zaś postępował inny facet, kolega pierwszego, który w wielkim tobole taszczył garderobę Olgi K. Pani domu rzuciła się ku dziecku, ale przybysz nie oddał jej maleństwa, wręczył je Mieczysławowi K., pytając: „Gdzie jest Julia?”

Młody człowiek, okazało się, nazywa się Roman Ł., jest synem właściciela warsztatu naprawiającego samochody, byłym studentem, pracownikiem firmy ojca i sprawcą całego zamieszania.

On także Julię W. poznał jako żonę „dyrektora z przemysłu” i matkę pięciomiesięcznego dziecka. Odbywali randki. Opowiadała o mężu: jaki to nieprzyjemny, nadęty, patrzący tylko pracy i forsy facet, arogancki, nieskłonny do rozmowy, impotent. Zakochał się. Spędzali ze sobą po parę wieczorów w tygodniu. Irytowało go, że ona musi wracać do męża, w ogóle był zazdrosny. Naciskał, aby męża rzuciła i przeniosła się do niego. Potem przeprowadzi się rozwód, to się pożenią. Żądał, aby się zdecydowała, groził zerwaniem. W końcu podjęła decyzję. Zamieszkali razem. I oto powstał nowy konflikt. Uważał, że powinna zabrać dziecko i swoje rzeczy. Oburzał się na nią: jak mogła ona, matka, zostawić mężowi takie maleństwo, jakby jej w ogóle własne dziecko nie obchodziło! Mówiła, że nie chce, że może później, że się boi męża, że jak tam pójdzie, on jej już więcej nie puści. Roman Ł., jak na prawdziwego mężczyznę przystało, postanowił działać. Wziął klucze od mieszkania i pojechał wozem pod adres, który znał, bo wciąż odprowadzał Julię pod dom i orientował się, które to mieszkanie. Otworzył drzwi. Nikogo poza dzieckiem nie było w środku. Trzy razy obracał. Zniósł do samochodu wpierw garderobę, potem rzeczy należące do maleństwa, na końcu samo dziecko. Kiedy przyjechał z tym wszystkim do siebie, Julia zaczęła płakać, potem wybiegła z domu i więcej nie wróciła. Czekał, dzieckiem zajmowała się jego matka. W końcu musiał uznać, że przegrał, że Julia W. po prostu wróciła do męża. Tylko dlaczego, do cholery, nie odbiera dziecka? Przecież to w głowie się nie mieści! Chyba że wariatka? No, dobrze, myślał - ale mąż?!

Pomoc domowa

- Kto tam? - zapytała pomoc domowa słysząc dzwonek u drzwi.

- Proszę otworzyć, jestem sekretarką pana.

Gospoia, Irena F., wiedziała, że jej chlebodawca Paweł A. jest dyrektorem w jakimś ważnym urzędzie, że ma sekretarkę i co to takiego jest. Do mieszkania weszła młoda, elegancka dziewczyna, trochę zdyszana i powiedziała, że do pana dyrektora A. dzwoniło z przedszkola, gdzie chodzi jego synek. Telefonowano już także do biura do matki dziecka, Barbary A., ale akurat gdzieś wyszła do miasta. Więc zadzwoniono do dyrektora A., jego jednak akurat też nie ma w biurze i ona, sekretarka, odebrała telefon. Powiedziano, że malec strasznie się skaleczył. Pogotowie już go opatrzyło, trzeba go zabrać do domu. Chciała jechać sama - ona, sekretarka - ale w zdenerwowaniu zapomniała spytać, gdzie jest to przedszkole. Dzwoniła tu, do domu, nikt nie odpowiadał. Niech gospoia zaraz biegnie po małego, a ona tymczasem będzie dzwonić i szukać dyrektora A. albo jego żony.

Pomoc domowa szybko pobiegła, odpowiednio do sytuacji lamentując. W przedszkolu zdumiano się: jej podopieczny wcale się nie skaleczył, nikt stąd nie dzwonił do rodziców, jakaś omyłka. Gospoia Irena F. wróciła do domu. Drzwi znalazła otwarte, sekretarki pana nie było, a także telewizora, sreber, dwóch futer w szafie i w ogóle co cenniejszej garderoby. Okazało się potem, że skradziono także aparat fotograficzny, kilka tysięcy w gotówce i parę złotych drobiazgów pani domu.

Irena F. zaalarmowała swego pracodawcę, ten milicję. Wiadomo było, że złodziejka jest osoba, która wie, że państwo A. o tej porze pracują, że Paweł A. jest dyrektorem i ma sekretarkę, że ich syn nazywa się Marek, chodzi do przedszkola, i że państwo A. trzymają gospoie. Irena F. opisała, jak wyglądała złodziejka, która wywabiła ją z mieszkania, i nie ulegało już wątpliwości, że mieszkanie okradła poprzednia gospoia państwa A., 19-letnia Rozalia D, odprawiona dwa i pół miesiąca temu.

Cała w sprawie trudność polegała na tym, żeby ją złapać możliwie szybko, dopóki nie spieniży łupu. Państwo A. dysponowali tylko adresem rodziców swojej byłej pomocy domowej, adresem wiejskim. Było prawie pewne, że nie wróciła na wieś, lecz została w Warszawie, skoro zajmuje się okradaniem mieszkań. I szukaj wiatru w polu. Jeśli okazała tyle tupetu - przewidywano - nigdzie nie jest zameldowana. Rzeczywiście, przyłapano ją dopiero w 11 tygodni później. Była jakaś inna kradzież, z którą Rozalia D. nie miała nic wspólnego, nici sprawy prowadziły do pasera, u którego znaleziono futro pani A. Paser wskazał, kto mu to sprzedał. Tym kimś był amant byłej pomocy domowej. Rozalię D. aresztowano.

Barbara i Paweł A., czyli „państwo” zeznali, co wiedzą o swojej byłej pracownicy domowej. Otóż kradzież, którą ona urządziła, zdumiała ich niepomiernie. Przed zjawieniem się u nich dziewczyna mieszkała na wsi u rodziców-rolników i codziennie dojeżdżała do miasteczka powiatowego. Uczęszczała tam do ostatniej klasy liceum ogólnokształcącego. Uczyła się z dużym powodzeniem, mimo że niewiele czasu zostawało jej na odrobienie lekcji. Codziennie jeździła 26 km tam i z powrotem z jedną przesiadką, a że do autobusu miała z domu ponad dwa kilometry, przebywane pieszo, podróże zabierały jej ponad cztery godziny codziennie. Z nauki musiała zrezygnować na kilka miesięcy przed maturą, ponieważ zlikwidowano linię autobusową i teraz nie miała już jak docierać do szkoły, a na wynajęcie jej stancji w miasteczku rodziców nie było stać, może naprawdę, a może ze sknerstwa. Wbrew naciskom rodziców, żeby została w domu, a nawet wbrew ich zakazom, postanowiła sama i bez grosza wyjechać do Warszawy, żeby pracując zrobić jednak maturę. Był to jak na stosunki wiejskie akt heroiczny, właściwie ucieczka z domu, bo rodzice pragnęli ją przetrzymać w gospodarstwie.

W Warszawie okazało się, że aby dostać pracę, trzeba być zameldowaną, a w ogóle żeby tu żyć - trzeba gdzieś mieszkać. Pozostawała jej tylko praca pomocy domowej, dająca dach nad głową. Dyrektor Paweł A. załatwił, że uzyskała w środku roku szkolnego miejsce w liceum ogólnokształcącym dla pracujących, gdzie zajęcia odbywały się wieczorami. Uczęszczała tam pilnie, w domu ślęczała nad lekcjami, a obowiązki gosposi łączyła z zamiłowaniem do lektury i oglądania telewizji. Po jakimś czasie przestała wracać do domu zaraz po lekcjach, pojawiała się dopiero późnym wieczorem lub nocą. Wkrótce nadchodzić zaczęły pisma ze szkoły, i wynikało z nich, że więcej dni opuszcza niż frekwentuje. Państwo A. usunęli ją z domu, kiedy po raz trzeci z rzędu okazało się, że nie odebrała ich synka z przedszkola, co było jej stałym obowiązkiem. Malec, bywało, czekał godzinami na jej przybycie. Domyślali się oczywiście przyczyn tego „wykolejenia” - w bramie ciągle wystawał młodzieniec, który czekał na Rozalię D. Widywano go także, jak odprowadzał ją do domu. Dziewczyna zajęła się romansowaniem i próżno perswadowali jej państwo A., że mogłaby zapały miarkować przez ten króciutki już czas, który dzieli ją od matury. W każdym razie nigdy w ich domu nic nie zginęło. Dziewczyna zabrała się od nich, zaraz kiedy jej wymówili, i jak się orientują, z tą chwilą ostatecznie przestała pokazywać się w szkole.

Przed sądem o Rozalii D. mówili Edmund G. i Stanisław L. - współoskarżeni.

Edmund G. ma 23 lata, odsiadywał wyrok za kradzież, którą popełnił, kiedy był w wojsku. Potem podjął pracę w spółdzielni i zajmował się montowaniem na dachach anten telewizyjnych. Twierdził, że dziewczyna rzuciła szkołę i przeniosła się do niego wbrew jego perswazjom. Przeczył, jakoby namawiał ją do okradania państwa A. i opracował plan przedsięwzięcia. To było wszystko - twierdził - jej

inicjatywa. Mieszkali razem. Ona nic nie robiła, a on, żeby zarobić, pracował o wiele dłużej niż osiem godzin. Nudziła się, a ile pieniędzy przynosił, ciągle było mało. Ponieważ zajmując się robotą nie miał czasu jej pilnować, wdała się w romans z jego kolegą „jeszcze z wojska”, Stanisławem L. Nakrył ich razem, zbił ją, obiecała, że więcej nie będzie, ale nie miał możliwości dopilnować. Ten kolega Stasiek pracuje w fabryce na trzy zmiany, co dawało im możliwość spotykania się w porze, kiedy on montował anteny. Kolega Stasiek siedzący tu na ławie oskarżonych zawsze był uczciwy, czego dowodem, że nie ma jeszcze na koncie żadnego wyroku. Tymczasem Rozalia D. poczęła go, jak sama się później zwierzyła, namawiać, żeby okraść państwo A., to będą ciuchy i pieniądze na ciuchy, a także oboje wyjadą sobie na urlop nad morze. Stanisław L. dał się skusić, pożyczył samochód i poszedł z Rozalią kraść. Razem obrobili oni mieszkanie państwa A. On, Edmund G., nic o tym nie wiedział. Dowiedział się zaś dopiero, kiedy przyjechali do niego do domu z łupem. Cóż miał zrobić? Przecież nie pójdzie na milicję „kapować” na swoją dziewczynę, którą bardzo kocha. Wobec tego zajął się sprzedażą łupu i jest mu przykro, że przez taką nic nie wartą babkę on teraz siedzi, a także jego najlepszy przyjaciel Stanisław L. przeczył, że miał romans z Rozalią D. Nic podobnego. Ona tak oszalała na punkcie Edmunda G., że rzuciła dlań szkołę i wszystko. Nic jej w życiu nie obchodziło, jak tylko ten facet. Inna rzecz, że jego kolega Edmund nigdy by nie wysyłał dziewczyny na „skok”. On, Stanisław L., także nie brałby w tym udziału, gdyby ona go tak bardzo nie prosiła. Tkwiły jej w pamięci te bogactwa państwa A. Chciała sobie i Edmundowi urządzić pięknie mieszkanie. „Raz kozie śmierć” - pomyślał i postanowił jej pomóc przez sympatię dla przyjaciela.

Następnie zeznawał ojciec Rozalii D., który sam się zgłosił wyrażając taką chęć i powołany został na świadka na wniosek oskarżonej. Ojciec jednak mówił, że córka zawsze była nic warta i wyrodziła się spośród jego dzieci, że on w życiu nic nie ukradł, tylko ciężko pracował, więc ją potępia, wyklina i więcej za córkę nie uznaje. Do sprawy nic nie wniósł poza oracją adresowaną do gromadki ziomków, którzy wraz z nim przybyli na proces.

Rozalia D. w śledztwie zeznała, że Stanisław L. i Edmund G. razem opracowali plan kradzieży, ona zaś opierała się, nie chciała brać udziału, w strachu przed więzieniem i przez sympatię dla państwa A. Uległa jednak namowom Edmunda G., bo w ogóle ulegała mu we wszystkim.

Na procesie jednak, po wysłuchaniu ich zeznań, odwołała swoje ze śledztwa i twierdziła, że to ona wszystko wymyśliła, zainicjowała, zorganizowała, Stanisława L. wciągając w to niemal siłą. A Edmund G. w ogóle nie jest winien, bo mu nie mówiła, że idzie kraść. Sąd nie dał zresztą wiary tej wersji zdarzeń.

Na koniec przewodu sądowego zapytano Rozalię D., o co pragnie sąd prosić.

Dziewczyna wstała i powiedziała:

- Chciałabym studiować astronomię.

Wcielenia

W domu była wówczas żona doktora Leona P. - Jadwiga, kiedy przyszedł facet, przedstawił się, zapytał o doktora, powiedział, że nie szkodzi, iż go nie ma, chciał tylko („pozwoli pani?”) zmierzyć okna, bo pragnie zamówić zasłony. To on właśnie - wyjaśnił - kupuje tę willę. Państwo P. rozmawiali już o tym, zastanawiali się, może warto by sprzedać pięciopokojowy dom w mieście, za te pieniądze zbudować sobie coś mniejszego w ładniejszej okolicy, za miastem i kupić samodzielne mieszkania obojgu dzieciom, które wkrótce pokończą studia. Sprawa nie wychodziła jednak poza stadium rozważań ogólnych. Budowanie domu to kłopot. Nadto, gdyby zamieszkali poza miastem, trzeba by wynająć gdzieś gabinet do przyjmowania prywatnych pacjentów doktora P. Jadwiga P. była urażona, że mąż poczynił jakieś kroki bez jej wiedzy, ale nie dała tego po sobie poznać. Towarzyszyła gościowi przy mierzeniu okien. Dowiedziała się przy okazji, że przyszły lokator dał ćwierć miliona zaliczki i że - wedle umowy - ona z mężem już za dwa miesiące mają się wyprowadzić do nowego domu. „Co to za nowy dom?” - myślała, o nic nie pytając i niczemu nie przecząc, ale zirytowana do najwyższych granic. Dotychczas mąż nie podejmował bez niej nawet decyzji mniejszej wagi, w rodzaju: który krawat kupić.

Zamierzała z mężem niezwłocznie porozmawiać, i to w ostrym tonie, ale zanim Leon P. wrócił z pracy, zaszły wydarzenia, które zbiły ją z tropu. Zadzwoiła dziewczyna. Poprosiła Leona. Na oficjalne: „Męża nie ma w domu. A kto mówi?” - rozmówczyni znacząco zaakcentowała: „Ach, męża... Powiedz mu, kochana, że dzwoniła Majka”. Potem odebrała inny, męski tym razem telefon. Jakiś Staszek prosił, żeby koniecznie przekazać Leonowi, iż ma postawić całe pieniądze na konia wabiącego się tak i tak. Leon - dowiedziała się doktorowa - bardzo na tę wiadomość czeka.

Tego dnia, drugiego po powrocie z urlopu, który państwo P. spędzali na Węgrzech, mąż dopiero przed wieczorem wrócił z miasta i zanim przyszedł, Jadwiga P. odebrała jeszcze jeden, trzeci dziwny telefon. Jakiś zapijaczony knajacki głos pytał: „Leoś, jak leci?” A gdy się odezwała - usłyszała niewybredne przekleństwo, mające wyrażać zdziwienie, i po tamtej stronie odłożono słuchawkę. Tego było już za wiele. Nie powiedziała mężowi o wizycie i telefonach. Nazajutrz rano spotkała się z zaprzyjaźnionym adwokatem. „Leon ma podwójne życie” - oznajmiła. Opowiedziała o sprzedaży willi poza jej plecami, dziewczynie, koniach i podejrzanym kompanie. „Musisz z nim szczerze pomówić” - radził adwokat. Pani P. prosiła, aby on odbył tą rozmowę, dla niej nazbyt poniżającą. Zanim jednak adwokat zadzwonił i umówił się z doktorem, Leon P. zawołał żonę do swego gabinetu, żeby jej powiedzieć, iż w korespondencji, która uzbierała się w czasie ich

i dzieci miesięcznej nieobecności, znalazł rzeczy zdumiewające. Jakiś podpisany z imienia i nazwiska facet domagał się zwrotu pożyczonych Leonowi P. piętnastu tysięcy, grożąc, że jeśli on znowu nie dotrzyma terminu, powie jakiemuś Karolowi o sprawie reflektorów do „volkswagena”. Jakaś Iza na widokówce z Sopotu całowała i donosiła, że przyjechał do nich Barnaba, zaś blondyn jest po byku. Wtedy Jadwiga P. opowiedziała mężowi o gościu, który zaliczkował ich willę, i telefonach. Doktor był zdumiony i zaniepokojony. Jeszcze tylko doktorostwo P. ustalili, że z mieszkania zginęło trochę cennych drobiazgów i byliby zawiadomili milicję, gdyby nie powstrzymała ich przed tym krokiem przezorność.

Kiedy miesiąc i kilka dni temu wyjeżdżali na Węgry, w domu zostawili syna-studenta, który na wakacje miał wyjechać tydzień później, i gosposię, 24-letnią Julię C. Po wyjeździe doktorostwa miała ona jechać na urlop do siebie na wieś. Leon P. zdecydował, że zanim wezwie milicję, żeby ustaliła, co tu się działo pod ich nieobecność, musi wprzód rozmówić się z synem i zyskać pewność, że nie miał on w tym żadnego udziału. Na razie Leon P. pojechał autem do Julii C. na wieś i dowiedział się od rodziny, że w ogóle nie przyjeżdżała, nawet nie napisała. Nie widzieli jej na oczy i nie mieli żadnych wiadomości.

Syn siedział za granicą i państwo P. byli zdecydowani czekać jego powrotu, nim nadadzą aferze bieg urzędowy, kiedy decyzją tą zachwiała szokująca wizyta.

Działo się to już prawie w miesiąc po powrocie państwa P. z Węgier. W trakcie tego miesiąca odbierali różne dziwne telefony. Była także wizyta jegomościa, który doktorowi Leonowi P., w tej tu willi, po obejrzeniu jego dokumentów, zadatkował (25 tys.) przechodzonego „morrisa-minora”. Miał go przejąć, kiedy właściciel dokona przepchnięcia wozu przez przegląd techniczny i wtedy wpłacić drugie 25 tysięcy. Wozu jednak nie dostał, ani swoich pieniędzy. Doktor P. wyjaśnił, że pod jego nieobecność w tym domu grasował ktoś, kto przywłaszczył sobie jego nazwisko a także różne cenne przedmioty. Prosił gościa o cierpliwość: sam da znać milicji. Nie uczynił tego. Nie poszedł do MO, mimo że sprzedawca „morrisa” - według opisu nabywcy auta - nie przypominał z wyglądu jego syna. Ale może to był jakiś kolega syna?

Doktor P. przestał się wahać i czekać z zawiadomieniem władz dopiero wówczas, kiedy przyjął następną, też szokującą wizytę.

Przyszła uczennica, pytając o dr Leona P. Kiedy żona lekarza wprowadziła ją do gabinetu, panienka zaprotestowała: była już tu, ale przyjmował ją inny lekarz, podający się za Leona P. Jak wyglądał? Co mówił? Kto go jej polecał? Z czym doń przyszła? Szesnastoletnia dziewczyna opowiada, że zaszła w ciążę, ale nie mogła się zdecydować na przedsięwzięcie czegokolwiek, póki matka nie domyśliła się jej stanu. Wtedy w domu wybuchł skandal, sprawa nabrała dramatycznego charakteru

i dziewczyna zaczęła szukać lekarza, który by usunął płód.

Sprawca kłopotów wynalazł doktora, który, jak opowiadał, załatwi to dyskretnie i niedrogo. Tak trafiła do tej willi. Lekarz zbadał ją, powiedział, że to już piąty miesiąc. Nikt inny poza nim nie podejmie się usuwania ciąży tak zaawansowanej. Będzie ją to kosztowało dwa tysiące złotych i świadczenie erotyczne na rzecz operatora. Zgodziła się, zapłaciła w naturze i w gotówce. Zabieg trwał krótko, był zupełnie bezbolesny, nawet nie nieprzyjemny. Powinno to jej się było wydać podejrzane. Od tego czasu minęło kilka tygodni. W ich trakcie spostrzegła, że brzuch dalej rośnie, i w ogóle miała wrażenie, że jest nadal w ciąży. Poszła do innego lekarza, który stwierdził u niej nienaruszoną ciążę. Dopiero teraz wkroczyła w piąty miesiąc. Została oszukana.

Leon P., zresztą internista, uznał, że człowiek, który korzystał z jego domu i nazwiska, przekroczył miarę, i zawiadomił milicję. Poczęto szukać Julii C. - gosposi, która po urlopie nie wróciła do pracy do doktorostwa ani nie pojawiła się u siebie w domu, na wsi. Nie natrafiono na najmniejszy ślad, pozwalający ustalić, gdzie się ona obraca. Drugi kierunek poszukiwań: ojciec dziecka uczennicy. O swoim kłopotcie opowiedział on bratu, który gdzieś w towarzystwie poznał lekarza i poradził się go, gdzie szukać pomocy. Rozmówca dał mu wtedy swoje nazwisko i adres, to znaczy zapisał na karteczce nazwisko i adres doktora P. Sam zobowiązał się pomóc dziewczynie brata swojego znajomego. Pech chciał, że gospodarze mieszkania, gdzie znajomość była zawarta, także znali owego faceta od kilku zaledwie godzin. Poznali go w knajpie przy torze wyścigowym jako Leona P.

Milicja miała już rysopis podany przez wiele osób, ile żadnej ponadto wskazówki. A gosposi doktorostwa ani śladu.

W jakiś czas później przy wychodzącym z więzienia kryminaliście znaleziono gryps pisany ręką jego kolegi z celi. List, który miał być przemycony na wolność, podpisany był: „dr Leon P.” Autor pisał w nim, że adresat jest mu winien 3 tys. złotych i jeśli 1500 złotych przyśle do więzienia dla jego siedzącego przyjaciela Wacława S., to on - dr P. - resztę należności mu umarza. W ten sposób okazało się, że duplikat sześćdziesięcioletniego blisko internisty nazywa się Wacław S., ma lat 31 i był zatrzymany na torze wyścigowym, gdzie zawiązywał spółki do wspólnej gry z przygodnie poznanymi facetami, brał od nich pieniądze i albo uciekał z wygraną, jeśli w ogóle była wygrana, albo nie wpłacał do kasy powierzonych mu pieniędzy, tylko je sobie od razu przywłaszczał.

Wacław S. opowiedział, że Julię C. poznał na dechach w święto 1 Maja. Spotykali się. Mówiła, że mieszka u wuja-doktora. Po dwóch miesiącach powiedziała, że wujostwo wyjeżdżają za granicę, ona zostaje sama w domu i Wacław S. może teraz tam ją odwiedzać. Złożył wizytę i już został w tej willi. Bardzo mu się podobała.

Zorientował się także, że jego ukochana jest gosposią i nie pozwolił jej wyjść z tej roli. Miał - co prawda tylko na miesiąc - wytworny dom i obsługę. Brakowało mu pieniędzy. Ukradł wóz z ulicy i poszukał nabywcy. Gdy przyprowadził go do tej willi i przedstawił się jako lekarz - jej właściciel, bez trudu otrzymał na słowo 25 tys. złotych zaliczki na samochód. Nabywca miał otrzymać wóz po miesiącu, kiedy doktor P. go wyremontuje i załatwi przegląd techniczny. Potem auto odstawił tam, skąd je zabrał. Dobrze poszło. Doszedł do wniosku, że właściciel willi z antykami, lekarz mający mosiężną tabliczkę na drzwiach, nie musi bać się kłopotów materialnych. Pożyczał forszę jako dr P. Raz przyjął pacjentkę i zainkasował dwa tysiące. Najpoważniejszą operacją było wzięcie ćwierć miliona zaliczki a conto sprzedaży domu. Spisali wtedy z nabywcą umowę, a jakże, z podpisami świadków.

Przyjmował w willi gości, poił ich i karmił. Większą część pieniędzy zmarnował jednak na konie. Zniknął na kilka dni przed spodziewanym przyjazdem doktorostwa, zabierając z ich domu to, co warte było zabrania. Julii C. nie uprzedził, że daje nogę, bo nie chciał ciągnąć ze sobą takiego balastu. Tylko do niej zadzwonił, że jak nie zniknie w ślad za nim - to ją wsadzą. Ona jedna wiedziała, jak rzekomy dr Leon P. nazywa się naprawdę i gdzie mieszka. Ale to rozsądna dziewczyna i mimo że porzucił ją bez grosza, był pewien, że zadba o swoje interesy i ślad po niej zaginie.

W sądzie prawdziwy dr Leon P. mówił o tym, że nawet nie przypuszczał, jaki bezmiar zaufania wyzwała w ludziach jego zawód i fakt posiadania willi. Nie mącił go nawet widok Wacława S. występującego jako dr Leon P., widok mówiącego slangiem podmiejskiego eleganta i cwaniaczka. Leon P. utrzymywał, że dopiero Wacław S. uzmysłowił mu, jakie korzyści mógłby ciągnąć ze swej zawodowej i majątkowej stateczności, gdyby był człowiekiem nieuczciwym.

Wśród innych świadków zeznawała dziewczyna, która z Wacławem S. spędziła noc w owej willi, kiedy mieszkał tam jako Leon P. Jej zeznania były istotne, gdyż w trakcie pobytu w willi słyszała rozmowę telefoniczną rzekomego gospodarza z jakąś panią; z przebiegu tej rozmowy oraz zeznań owej pani prokuratura wyciągnęła wniosek, że Wacław S., po przyjęciu ćwierćmilionowej zaliczki od jednej osoby, usiłował jeszcze i tej pani po raz wtóry sprzedać nie swoją willę. Zeznająca dziewczyna powiedziała przed sądem per „Leon” o prawdziwym doktorze P. Z dalszych jej wyjaśnień wynikało, że w czasie kiedy doktor powrócił już był z Węgier, zadzwoniła do tego Leona P., którego znała, i rozmówca powiedział jej, że pan, który u niego mieszkał, podszywał się tylko pod jego imię i nazwisko. Mówili o tym przez czas jakiś, bo nie chciała uwierzyć w takie oszukaństwo, a potem ten prawdziwy dr P. zaproponował jej spotkanie. Tu sąd przerwał zeznania, jako że ich treść nie ma związku ze sprawą, ale przecież to, co dziewczyna miałaby do opowiedzenia, w rzeczywistości pozostaje w związku ze

sprawą oszustwa Wacława S. Swymi postępkami i sukcesami otworzył on oczy doktorowi Leonowi P., poważnemu i starszemu lekarzowi, na możliwości życiowe, które stwarza jego socjalna i materialna pozycja.

Mówiąc to pragniemy wskazać na pewną psychologicznie prawdopodobną możliwość: że rezultatem wcielenia się niebieskiego ptaka i kryminalisty w doktora P. może być wtórnie proces częściowego wcielenia się starszego, statecznego lekarza w osobowość Wacława S. Kiedy człowiek z człowiekiem wchodzi w choćby tylko mimowolne, przejściowe i nieosobiste związki, prawie nigdy nie bywa tak, że jeden drugiemu tylko zabiera. Człowiek, chcąc nie chcąc, zawsze drugiemu coś daje. D. Leon P. być może zostanie dłużnikiem Wacława S.

Odrzutowce

42-letni Leon T., rzemieślnik w wytwórni filmowej, zeznał: Stał w PKO w ogonku, żeby wpłacić pierwszą ratę na „fiata 126 p” i miał przed sobą jeszcze trzy osoby. Nagle przepychać się zaczął poza kolejką jakiś obywatel, wyjaśniając, że on nie chce wpłacać, tylko, przeciwnie, odebrać pieniądze, więc ogonek go nie obowiązuje. Wywiązała się dyskusja, czy do wycofania gotówki ma się stać w ogonku, czy nie, i czy w ogóle tu, czy przy innym okienku. Leona T. wszakże zainteresowało co innego. Odciągnął owego obywatela na bok i powiedział, że bardzo przeprasza, ale on tak z ciekawości zapytuje, czemu tamten chce wycofać pieniądze. Bo jeśli samochód niedobry, to może i on wstrzyma się z wpłaceniem. Na to ów obywatel odpowiedział, że wóz chyba nie jest zły, jego szwagier osobiście próbował, ale ma okazję nabyć ten samochód przez grzeczność, z dostawą już za kwartał, w eksportowym wykonaniu. Oczywiście, mówiąc tak między nami, bo tego nie należy rozgłaszać.

Jakże - zapytał Leon T. - za kwartał, jeśli jeszcze nic produkują, a tylko pokazują włoskie sztuki. Na to obywatel odparł, że Leon T. mówi jak dziecko. Już produkują, tylko że na eksport, włoskie części, podrasowany silnik i w ogóle. A jak jest eksport - rozgadał się obywatel - to są także odrzuty. Odrzuty sprzedaje się z przeceny. Zarysowany błotnik, gorsza tapicerka, i już dziesięć czy nawet piętnaście patyków w dół. Ma się rozumieć, to rozchodzi się po znajomości. I on właśnie poznał gościa, który te rzeczy załatwia. Bierze dziesięć tysięcy, bo i on musi gdzie trzeba posmarować, i gwarantuje za kwartał dostawę, z tym że po niższej cenie, więc wychodzi się na swoje. Najwyżej tapicerkę trzeba poprawić, czy bagażnik źle się domyka. Kantu żadnego nie ma, bo nie płaci się z góry, jak w PKO, tylko przy odbiorze.

Leon T. zrezygnował z kolejki, poczekał, aż ów obywatel wycofa pieniądze, i umówił się z nim na następny dzień w kawiarni. Razem czekali na gościa, który załatwia odrzutowe „fiaty”. Kiedy ów facet przyszedł, Leon T. powiedział, że jest znajomym tego pana, więc także chciałby zapewnić sobie wóz, i jeszcze jeden kolega go prosił, żeby jemu także załatwił, jeśli to możliwe. Nieznajomy wyciągnął brulion i pod numerem 43 zapisał tamtego obywatela, 44 - to był Leon T., a 45 jego kolega. Do brulionu wpisał nazwiska, adresy i życzenia dotyczące koloru. Potem wyrwał czystą kartkę, podzielił na sześć części, trzy schował do portfela, a na trzech pozostałych napisał: „fiat 126 p” i kolor: żółty, czerwony, jak sobie kto życzył. Potem data o dwa miesiące późniejsza, numer telefonu i „p. Marysia”. Za dwa miesiące mniej więcej - wyjaśnił - trzeba zadzwonić pod ten numer, poprosić panią Marysię, podać swój numer na liście, w wypadku Leona T. czterdzieści i cztery, oraz dla pewności kolor. Nazwiska nie trzeba wymieniać, to zupełnie

zbędne. Pani Marysia nie potrzebuje znać nazwisk. Za dwa miesiące ona już powie, kiedy odbiór wozu. Z tym zastrzeżeniem, iż koloru się nie gwarantuje, a tylko w miarę możliwości. Jeśli się kto uprze przy jakimś - będzie dłużej czekać. Z kolorami mogą być komplikacje, bo wszystko zależy od tego, jak się ułożą odrzuty.

Następnie gość schował 30 tys. i poszedł.

Leon T. odczekał wraz z kolegą dwa miesiące i potem razem zadzwonili. Odezwał się głos kobiety: „Centrala 2”. Powiedzieli, że chcą rozmawiać z panią Marysią. Kobieta poprosiła o numer wewnętrzny, albo przynajmniej nazwisko, bo tu jest zjednoczenie i „Marysia” nic jej nie mówi. Leon T. przeprosił, wyłączył się, a potem zadzwonił jeszcze raz. Wyjaśnił telefonistce, że dzwoni do pani Marysi w sprawie samochodu. Telefonistce to także nic nie mówiło. Leon T. znowu przeprosił, dwa tygodnie żył jeszcze w nerwach, a potem poszedł na milicję. Nie był tam bynajmniej pierwszy w tej sprawie, a tym bardziej nie ostatni.

Wszyscy klienci sprzedawcy samochodów z odrzutu dysponowali tym samym numerem telefonu. Pochodzili z różnych miejscowości, większość więc łączyła się przez międzymiastową. Numer telefonu należał do zjednoczenia budowlanego i kilku innych instytucji. Pań imieniem Maria pracowało w budynku szesnaście i żadna o niczym nie wiedziała.

Przed gmach pewnego biura projektowego oszust zajechał „fiatem 126”. Później, kiedy już siedział, opowiedział, że kupił go na giełdzie samochodowej za 110 tysięcy. Włożył w to pierwsze pieniądze, które wyłudził. Po kilku tygodniach sprzedał także za 110 tys., „Fiat” trzymał cenę. Kupienie tego auta było ryzykowną operacją, chociaż w ogóle go nic przerejestrował na siebie. Zapłacił, powiedział, że formalności załatwi później, nie podał swojego nazwiska. Jeździł na cudzej książce wozu. Potem zaś tego, który auto na giełdzie od niego z kolei kupował, skontaktował bezpośrednio z tym, który mu je sprzedał. Mimo to miał poczucie ryzyka, bo „fiat 126” zwraca uwagę na właściciela. Wózek jednak postanowił nabyć, gdyż brakowało mu kontaktów z ludźmi gotowymi płacić 10 tys. za załatwienie „odrzutowca”. Od kiedy jeździł „fiatem 126”, nie miał z tym problemu. Wystarczyło byle gdzie stanąć, a już podchodzili gapie i pytali, skąd już ma ten wóz, jak to się załatwia. A jemu zależało na tym, żeby mieć dużo klientów. Od razu sobie zaplanował, że przyjmować pieniądze będzie tylko przez kilka tygodni, po parę dni w jednym mieście, i skończy z tym na dwa miesiące przed terminem dostaw, które oznaczał. Chodziło o to, żeby nikt z klientów przed czasem nie zaczął się niecierpliwić, coś podejrzewać, szukać go czy informować milicji.

Ewentualny przyszły historyk motoryzacji w Polsce, który odnotuje niniejszą sprawę, jako ubarwiającą dzieje powstania pierwszego w Polsce masowego wozu,

zechce w każdym razie zanotować, że spekulacyjna cena „fiata 126” w czerwcu 1973 r. wynosiła 110 tysięcy i do końca nie drgnęła.

Na parkingu przed budynkiem biura projektowego zjawili się - wedle przewidywań i pragnień oszusta - ciekawscy, i dalejże wóz oglądać, macać, a pytać, skąd już ma. Powiedział, że to odrzutek eksportowy i że da się taki załatwić. Umówił się z reflektantem, młodym inżynierem, za tydzień, a w konfidencji mu powiedział, że za 10 tys. prowizji można już za kwartał mieć „fiatów”, ile się chce. I że kto teraz kupi, zrobi czysty interes, bo zapłaci około 60 tysięcy (wozy wybrakowane), a na rynku weźmie od ręki prawie dwa razy tyle.

Sam oszust nie spodziewał się, jaki w tym biurze projektowym zgarnie połów. Inżynier zjawił się z listą 36 nazwisk i 360 tysiącami złotych. Prosił o jeszcze jedno spotkanie: niektórzy koledzy wahają się, inni szukają gotówki.

Skóra by oszustowi ścierpła, gdyby już wtedy wiedział, jak sprawa była w biurze projektowym załatwiana. Mianowicie na tablicy ogłoszeń ukazało się oficjalne obwieszczenie, że kto chce nabyć za kwartał „fiata” z eksportowego odrzutu, ma się zgłosić do kol. inż. XY, wpłacając dziesięć tysięcy na koszty. Inżynier XY nie myślał tylko o sobie, ale o całej załodze. Widać w biurze tym nie pracują sobki, lecz ludzie uspołecznieni. Pikanterii tej sprawie dodaje fakt, że obwieszczenie zaopatrzone było w pieczętkę dyrekcji. Przepisy wewnętrzne biura stanowiły bowiem, że aby ogłosić jakiś tekst na tablicy, trzeba zyskać zgodę w sekretariacie. To tak dla porządku. Wyniknął z tego skomplikowany problem prawny. 36 członków personelu straciło po 10 tysięcy złotych (po pieniądze od następnych reflektantów oszust wolał się już nie zjawiać). Teraz oświadczali oni solidarnie, że nigdy nie daliby się nabrać na jakieś nielegalne prowizje dla jakiegoś podejrzanego pośrednika, gdyby nie dowiedzieli się o istniejącej możliwości z urzędowego ogłoszenia, opieczetowanego przez dyrekcję, co pozwalało sądzić, że mają do czynienia z oficjalnym sposobem dystrybucji odrzutów z eksportu dla zakładów pracy. W ten sam przecie sposób np. rada zakładowa ogłasza o możliwości zbiorowego nabywania ziemniaków na zimę, jabłek, miodu czy biletów do teatru. W grę wchodzi więc odpowiedzialność cywilna nie tylko inżyniera, który to wszystko organizował, ale także sekretarki, która przyłożyła pieczętkę, a może i dyrekcji, w imieniu której działała, wykonując tę czysto mechaniczną czynność. Nie wiem zresztą, czy ów inżynier nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Z jego zeznań na procesie oszusta nie wynikało bynajmniej, że był przekonany, iż ma do czynienia z legalnym w pełni przedsięwzięciem. Oczywiście nie przypuszczał, że to oszustwo (sam dał), ale może być skazany za bezinteresowny udział we wręczaniu łapówki.

Oszust - Krystian Ch. - nie zachował zeszytu, gdzie prowadził listę wpłacających, ani nie przyznał się, od ilu osób naprawdę wziął po 10 tysięcy. Wiadomo zaś, że

w takich sytuacjach nie wszyscy idą skarżyć się na milicję - wolą stracić, niż wyjść na idiotów i być „ciągnięci po sądach”. Niektórzy może zresztą dalej wierzą, że niebawem za pośrednictwem Krystiana Ch. otrzymają wóz. A że dostawa się opóźnia, to normalne, i że „pani Marysia” nie zgłasza się przez telefon, to także nie dziwota, bo sprawa jest dyskrecjonalna. Wiadomo o 112 osobach, które zapłaciły po 10 tys. każda, co dało Krystianowi Ch. 1 120 000 zł zysku.

Cóż Krystian Ch. opowiedział? Że nikomu się nie legitymował, nie podawał żadnego nazwiska ni adresu. Tylko nieliczni tego żądali, byli też tacy, którzy nie chcieli wpłacić 10 tys. zł bez pokwitowania i stwierdzenia, z kim mają do czynienia. Ale nikt nie wzywał milicji, kiedy oszust mówił, że nazwiska nie poda, bo albo mu się wierzy, albo nie. Traktowano to ze zrozumieniem. Wiadomo, że interes jest śliski, co jakoś nie odstręczało. Mało to rzeczy nabywa się protekcyjnie? Protekcja bezpłatna czy płatna - w odczuciu normalnym to mała różnica.

W całej, trwającej 7 tygodni działalności oszusta, która objęła 5 miast, nie było żadnych przygód ani zdarzeń niezwykłych. Spotykał się w kawiarniach, inkasował, jechał dalej. Czasem tylko zamiast pieniędzy proponowano mu atrakcje: np. gościnę w Londynie, u brata reflektanta na samochód, komplet mebli giętych czy udział w warsztacie robót na drutach.

Wpadł, ponieważ milicja dysponowała jego bardzo dokładnym rysopisem, a miała, nie związaną z aferą samochodową, okazję, żeby skonfrontować rysopis z oryginałem.

Krystian Ch. - 33-letni akwizytor kilku prywatnych zakładów wytwórczych branży metalowej, z wykształcenia tapicer, nigdzie formalnie ani faktycznie nie pracujący, nie karany dotychczas, budować zaczął dom, i to - jak wyjaśnił - spowodowało, że puścił się na poważne przestępstwo. Rozpoczął budowę, ale nie miał pieniędzy na kończenie budynku. Wobec tego sprzedał go w stanie półsurowym. Nie wspomniał jednak nabywcy, że nie zapłacił rzemieślnikom, którzy wykonywali u niego pracę. Dawał zaliczki, ludzie kończyli pracę - nie płacił, zwodził, brał nowych rzemieślników. Wierzytelności wynosiły około 160 tys. Kiedy nowy właściciel przystąpił do budowy, zlecieli się nie spłaceni rzemieślnicy. Nabywca domu wniósł skargę do prokuratury. Krystianowi Ch. groziła odpowiedzialność za oszustwo, jeśli rzemieślników nie spłaci. Zaczął tedy chodzić po znajomych, prosić o pożyczki. Jeden z nich słyszał, że Krystian Ch. podobno zna kogoś, kto mógłby załatwić przyspieszenie przydziału „fiata”, i gotów był za to pożyczyć 10 tys., nie dopominając się o zwrot długu. Krystian Ch. podjął się załatwić sprawę i zaraz poczęli się doń zgłaszać znajomi znajomego. Potem już sam szukał reflektantów. „Musiałem spłacić długi, żeby nie pójść do więzienia” - tłumaczył się ten cichy, bezbarwny człowiek. Ale nie przestał oszukiwać, kiedy zgromadził 160 tysięcy. Swoich zobowiązań zresztą w ogóle nie uregulował.

Krystian Ch. skazany został na 4,5 roku więzienia. U narzeczonej, z którą ostatnio mieszkał, znaleziono około 670 tysięcy zł gotówką. Czy i ile pieniędzy ukrył gdzie indziej - nie wiadomo.

Mamusia mnie sprzedała

W ciągu ostatnich dziesięcioleci świat stał się taki mały, że pani Zdzisława Sz. postanowiła wyprawić swoją siedmioletnią córeczkę samą do Londynu.

Córeczka ta nazywa się Sławka, a wszystko dzieje się latem 1960 roku.

Sytuacja była o tyle szczególna, że szczeniak mógł jechać albo sam, albo wcale. Ojciec dziecka, a były mąż Zdzisławy Sz., bawił bowiem służbowo w Anglii przez blisko czy też ponad rok i zaprosił córkę na wakacje. Oczywiście bez matki - bo komu jest potrzebna za granicą była żona. Pani Sz. uznała, że dobro dziecka - rozrywkowe i językowe - nakazuje skorzystać z zaproszenia.

Nadarzyła się okazja. Jej znajomy, bardzo solidny pan, jechał właśnie do Anglii i podjął się dostarczyć Sławkę loco Londyn.

Pani Sz. zawiadomiła męża, że ma się stawić na dworcu po dziecko tego a tego dnia. Gdyby jednak córka nie przyjechała, da mu znać o następnym prawdopodobnym terminie - czas przyjazdu zależy bowiem od planów osoby trzeciej.

Po przekroczeniu granicy belgijskiej opiekun dziecka zdecydował się wykorzystać tranzytową wizę i pozostać dwa dni w Brukseli. Ale co zrobić z dzieckiem? Akurat w tymże przedziale jechała pewna sympatyczna starsza Angielka ciągnąca do Londynu, która z chęcią podjęła się dziewczynkę zabrać i wręczyć czekającemu w Londynie ojcu.

W Londynie na dworcu nikogo nie było.

Matka jest przekonana, że Sławka dotarła do ojca. Były mąż nic nie pisze, ale to jego stały obyczaj.

Pan Sz. cierpliwie czeka na sygnał, kiedy mała przyjedzie. Po trzech dopiero tygodniach wysyła list do Warszawy z zapytaniem o termin jej przyjazdu.

List nie zastaje pani Sz. w domu, leży w skrzynce pocztowej prawie miesiąc: adresatka wyjechała na urlop.

Dopiero po blisko dwóch miesiącach pani Sz. dowiaduje się, że córeczka gdzieś wsiąkła i nie dojechała do ojca. Biegnie tedy do pana, który ją eskortował, a zdążył już tymczasem wrócić do kraju. Panu owemu jest bardzo przykro. Powiada, że oddał małą w ręce bardzo solidnej angielskiej lady i naprawdę nie wie, co się stało.

Pani Sz. dzwoni do Londynu. Okazuje się, że mąż oczekiwał na dworcu o dzień wcześniej. Czy to była pomyłka, czy opóźnienie w podróży - dziś już trudno dociec. Ale jego nieobecność na dworcu jeszcze nie wyjaśniała zniknięcia dziecka. Dziewczynka była rozgarnięta. Miała zapisany adres ojca w Londynie, widniał on

zresztą w licznych dokumentach wręczonych wraz z żywym bagażem owej lady. Na pamięć znała swój adres warszawski. Rzecz więc była dziwna.

Niestety pan, który holował dziewczynkę z Warszawy, nie miał pojęcia, jak się nazywa owa angielska dama ani w jakiej miejscowości mieszka.

Pan Sz. pociesza w czasie kolejnej rozmowy telefonicznej swoją zrozpaczoną eks; policja angielska jest doskonała, dziecko nie szpilka, wyróżnia się absolutnym brakiem znajomości angielskiego. Znajdą ją.

Nadzieja ta żyła ponad rok. Potem zgasła.

Dwadzieścia miesięcy minęło od momentu, kiedy z warszawskiego dworca ruszył pociąg ze Sławką Sz. we wnętrzu, gdy u pani Sz. odezwał się telefon. Dzwonił hotel „Bristol” - ten warszawski. Ściślej, pewna pani mieszkająca w „Bristolu”, która powiedziała, że właśnie przyfrunęła z Australii i dzwoni, żeby oddać pani Sz. ukłony od jej córki.

Mówiąc po polsku Australijkę zastanowił dalszy przebieg rozmowy. Pani Sz. wyrażała się nieco nieartykułowanie, potem poprosiła o nazwisko i numer pokoju i powiedziała, że przyjeżdża natychmiast.

Pani z Australii zorientowała się, że dzieje się tu coś dziwnego - stropiona przystała więc na natychmiastowe spotkanie i wezwała do hotelu swego warszawskiego znajomego, prosząc, by towarzyszył jej przy tej rozmowie, gdyż ona się boi, czy nie ma do czynienia z wariatką.

Pani Sz. wkroczyła do pokoju hotelowego z okrzykiem: „Proszę mi oddać moje dziecko!” Kiedy ją uspokojono, australijska turystka, Polka z pochodzenia, opowiedziała następującą historię:

Prowadzi ona w Australii sklep z papeterią, galanterią i beletrystyką. Do sklepu tego przychodziła dosyć często dziewięcioletnia dziewczynka i kupowała przybory szkolne.

Pewnego dnia owa pani zorientowała się, że dziecko mówi po angielsku nie najświetniej, natomiast włada polskim. Nawiązała z nią rozmowę w ojczystym języku. Mała oświadczyła, że w Australii jest dopiero niespełna dwa lata. Mieszka w pobliżu, w eleganckiej dzielnicy willowej Wymieniła też swoje imię i nazwisko - jedno i drugie angielskie. Do tego dodała, że jej matka, mieszkająca w Warszawie, „sprzedała ją do Australii”.

Pani owa dała wiarę temu dziwnemu wyjaśnieniu, a nawet, jak powiada, bardzo się wzruszyła. Dziecko bowiem wyjaśniło jej, że tatuś nie mieszka z mamusią, że mamusi źle się powodzi, chciała więc, żeby jej, Sławce, było lepiej i dlatego sprzedała ją do Australii.

Wówczas właścicielka sklepu powiedziała, że niebawem wybiera się do Polski, może więc oddać ukłony jej mamusi. Sławka ucieszyła się i zapowiedziała, że wstąpi przed datą zamierzonej podróży. Istotnie przysłała. Powiedziała, że do matki nie pisze, bo nie umie już pisać po polsku. W Warszawie chodziła do pierwszej klasy, a matka jej nie zna angielskiego. Zresztą matka też do niej nie pisze. Podała nazwisko, wyjaśniając, że pani owa znajdzie w książce telefonicznej numer mamusi, i kupiła dla matki prezent w postaci kompletu do manicure.

Tyle wiedziała australijska znajoma Sławki Sz.

Zaczęły działać centrale policyjne Polski, Anglii i Australii. Historia natychmiast się potwierdziła.

Okazało się, że angielska dama z pociągu wcale nie była Angielką, tylko Australijką. Znajomemu pani Sz. wystarczyło do diagnozy to, że mówiła po angielsku i jechała do Londynu. Stąd mylny trop poszukiwań w Anglii.

Pani owa jest starszą, bardzo bogatą i bezdzietną osobą. O Anglię zahaczyła wówczas tylko przejazdem. Wyjaśnia ona, że kiedy ojciec dziecka nie zjawił się na dworcu, postanowiła się dziewczynką zaopiekować.

„Nie wpadło jej do głowy” zajrzeć do papierów dziewczynki, by znaleźć adres ojca. „Nie wpadło jej do głowy” zwrócić się do polskiej placówki konsularnej w Londynie. Zabrała dziecko do Australii w przekonaniu, że... rodzice dziewczynki znają jej adres i upomną się o małą.

W świetle śledztwa rzecz miała się nieco inaczej. Australijskie władze wykryły, że pani owa i jej mąż czynili już uprzednio we Włoszech starania o adoptowanie dziecka. Że Sławka Sz. zajechała do Australii mając już papiery nie na swoje rzeczywiste nazwisko i narodowość. Skąd te papiery zdobyła starsza pani i czy były to te, które potem posiadała dziewczynka - już na nazwisko swych „opiekunów” - o tym jeszcze osoby w Warszawie, zajmujące się całą sprawą, nie wiedzą.

Australijski sąd z błyskawiczną szybkością wydał postanowienie o odebraniu dziecka owej parze dosyć szczególnych kidnaperów, i mała, poinformowana już delikatnie, iż bynajmniej nie została sprzedana (tego zażądała jej matka), wróciła do Warszawy. Dziewczynka na odjeździe rozpaczła. Przywykła już do nowych opiekunów i nowej szkoły, koleżanek. Zresztą jej australijscy „rodzice” byli dla niej niesłychanie dobrzy.

Robili oni starania natury sądowej o zachowanie dziecka, argumentując to tym, że dziewczynka nie chce wracać i że jej los u rodzonyj matki jest zły, a przynajmniej o wiele gorszy. Oczywiście w świetle tamtejszego prawa nie mogło nawet dojść do procesu w tej sprawie i postanowienie pierwotne sądu uzyskało moc ostateczną.

Jednocześnie - a raczej wkrótce potem - rozpoczęły się przygotowania wstępne do procesu karnego. Oboje starsi państwo zostali aresztowani, po czym wypuszczeni na wolność za kaucją. Czekają ich procesy karne. W Australii za porwanie dziecka grozi wieloletnie więzienie. Według opinii moich informatorów, matka dziecka może otrzymać również wysokie odszkodowanie.

Ale to jeszcze nie koniec dramatu, w którym występują sami ludzie solidni i godni zaufania.

Do Banku PKO wpłynęła astronomicznej wysokości kwota dla Sławki Sz., na ręce jej matki. Jako nadawca figurował pewien bank londyński. Poza tym ani słowa.

Pani Sz. postanowiła sumy tej nie podejmować, dopóki nie wyjaśni się jej pochodzenie.

W pewien czas później telefonicznie umówił się z nią w kawiarni jakiś nieznany jej pan i oświadczył, że działa z polecenia pewnej kancelarii adwokackiej w Londynie. Poinformował, że nadawcą sumy wpłaconej na PKO są „australijscy opiekunowie” jej córki i że stanowi ona prezent. Pan ów mówił też, że klienci jego mocodawców to starzy ludzie o nieposzlakowanej przeszłości, poza tym bardzo bogaci. Żadna suma nie byłaby dla nich zbyt wysoka, gdyby pani Sz. zmieniła nieco zeznania w kierunku ich odciążającym i tym samym złagodziła przyszły wyrok. Tu dodał, że winna to uczynić również z pobudek humanitarnych - to tacy biedni, bogaci starzy ludzie i tak kochają jej córkę.

Pani Sz. odmówiła. Kto zaczął ów nieznajomy, jak się nazywa londyńska firma adwokacka - nie potrafiła później wyjaśnić.

I to na razie wszystko.

Taki syn

Ludzie miewają nadzieję przez dziesięć lat, piętnaście, ale kiedy mija ćwierć wieku, a oni nadal mają nadzieję - to już oznaka, że stan ich nerwów daleki jest od normy. Jarosław i Anna J. są zdrowi, bo z dawna pożegnali wszelką nadzieję. Chodzi tu zaś o dramat niemal typowy dla polskiej rodziny - w czasie wojny zaginął im czteroletni synek.

Działo się to w czerwcu 1941 roku, w parę dni po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej. Państwo J. z trojgiem dzieci jechali pociągiem z Gródka Jagiellońskiego. Nagle ukazały się niemieckie samoloty. Pociąg zatrzymano i wszyscy pasażerowie rozbiegli się po polu, szukając jakiejś osłony. Bomba lotnicza wyrznięta w sam środek pociągu. Myśliwce ostrzeliwały pole z karabinów maszynowych. Anna J. leżała wtedy z dwojgiem mniejszych dzieci na zupełnie odsłoniętym terenie. Ktoś obcy złapał jej czteroletniego Bronka i wciągnął do pobliskiego rowu, dla lepszego osłonięcia dziecka. Potem samoloty zawróciły, czy też nadleciały nowe. Ludzie biegli w kierunku lasu, ale Jarosław i Anna J. zostali na polu. Wstali, kiedy było już po wszystkim i poszli w kierunku wsi, gdzie zgromadziła się większość pasażerów pociągu. Bronka tam nie było, nikt o nim nie słyszał. Nie wiadomo było, w którą stronę pobiegli ludzie, którzy się nim zaopiekowali.

Zostawiwszy żonę z dwojgiem dzieci we wsi, Jarosław J. wyruszył na poszukiwanie synka. Chodził po lesie, po okolicznych wsiach, telefonował na różne stacje kolejowe, do posterunków policji. Nic. Dziecko zginęło w tym gigantycznym wojennym galimatiasie.

W czasie wojny rodzina J. mieszkała w różnych częściach Związku Radzieckiego. Nie ustawała w poszukiwaniach Bronka, ale możliwości po temu były ograniczone. Państwo J. jeździli po różnych polskich sierocińcach i ślali listy do podobnych zakładów, rozpytywali Polaków wędrujących z jednego do drugiego polskiego skupiska. Przedstawiciele radzieckich władz mówili, że teraz niewiele można zrobić, ale po wojnie malec na pewno się znajdzie. Wtedy ludzie się doliczą i podnajdują.

Minęła wojna. Państwo J. opóźniali repatriację. Poruszyli niebo i ziemię. Wciąż wyłaniała się jakaś nadzieja, ktoś gdzieś widział dziecko podobne do tego, którego zdjęcie zachowało się w torebce matki, ale potem okazywało się, że to jakieś inne, osierocone lub zagubione dziecko.

Państwo J. całą czwórką wrócili do Polski w 1947 roku. Odtąd szukali dziecka korespondencyjnie i stali się klientami różnych organizacji zajmujących się

poszukiwaniem zaginionych czy pomocą dzieciom. Jarosław J. dwukrotnie wyjeżdżał jeszcze w tej sprawie do ZSRR.

Dziś minęło od nalotu na pociąg więcej niż ćwierćwiecze i państwo J. pogodzili się z myślą, że ich syn albo gdzieś żyje, nie pamiętając swego pochodzenia i nazwiska, albo zginął w czasie owego ostrzeliwania pola.

Rodzina J-ów osiadła po wojnie w niewielkim miasteczku na Ziemiach Zachodnich. Pan J. robił tutaj to samo, co i przed wojną: prowadził warsztat optyczno-jubilerski. Tak się złożyło, że nieszczęście dotknęło każde z ich dzieci - i o rok młodszą od Bronka Krystynę, i o trzy lata starszą Bożenę. W 1952 r. Krystyna, mająca wówczas czternaście lat, utonęła w czasie szkolnej wycieczki. Zdarzyła się taka, głośna wtedy tragedia: kuter z kilkunastu dziewczętami na pokładzie nagle zatonął. Bożena wyszła za mąż w roku 1958 i w dwa lata później, po dwóch nieudanych ciążach, zapadła na chorobę umysłową. W ciągu ostatniego dziesięciolecia siedem lat spędziła w zakładach zamkniętych.

Jarosław J. przekroczył sześćdziesiątkę. Jego żona ukończyła w zeszłym roku 57 lat. Mieszkają samotnie.

Szóstego maja 1966 roku otrzymali oni z nagła telegram: „Odnalazłem was, przyjeżdżam jutro siódmego o siedemnastej, wasz syn Bronek”.

W gazetach od czasu do czasu pojawiają się wiadomości o takich zdarzeniach. W tydzień po tym telegramie wiadomość o odnalezieniu się - po ćwierćwieczu! - syna państwa J. również trafiła do gazet.

Przyjechał do państwa J. trzydziestoletni mężczyzna noszący nazwisko Włodzimierz W. Inżynier chemik z zawodu.

Opowiedział, że chociaż miał wtedy cztery lata, pamięta coś niecoś. Ktoś wziął go za rękę, gdy samoloty przestały strzelać, i pobiegli wzdłuż torów. Potem zabrała ich na szosie ciężarówka. W jakimś mieście opiekun zostawił go w punkcie zbornym, zapewniając, że tu odnajdą go rodzice. Odtąd już przebywał w polskich sierocińcach. Pamiętał swoje imię i nazwisko. Kierowniczka sierocińca nadała mu inne. Dlaczego - nie wie. Był wtedy za mały, by o to pytać. W każdym razie swoje prawdziwe imię i nazwisko pamiętał dalej przez te wszystkie lata. Potem mieszkał w internacie szkoły zawodowej, następnie ukończył studia. Język polski zna doskonale, boć do piętnastego roku życia przebywał w polskich sierocińcach. Szukał rodziców, ale bezskutecznie. Do Polski repatriował się w 1957 r. Tu już ich nie szukał, uzyskał bowiem informację, że nie było ich na żadnej z list repatriacyjnych, z czego wnosił, że nadal mieszkają w Związku Radzieckim.

W Polsce ożenił się, potem rozwiódł. Na ślad rodziców wpadł przypadkiem, na kilkanaście dni przed wysłaniem telegramu. Spotkał człowieka, któremu

opowiedział swoje dzieje, i traf chciał, że właśnie ten człowiek jechał razem z państwem J. w wagonie pociągu, którym w 1947 r. przyjechali do Polski. Odszukanie w kraju ich adresu trwało już tylko kilka dni. Wziął miesiąc urlopu. To jest czas, który może spędzić w rodzinnym domu. Potem oczywiście wraca do pracy, ale teraz już się będą widywać.

Państwo J. nie mieli najmniejszej wątpliwości, że to jest ich syn. Możliwości omyłki w ogóle nie brali pod uwagę. Inżynier wiedział rzeczy, które tylko ich dziecko mogło zapamiętać. Opowiadał, jak jechał pociągiem, pamiętał scenę bombardowania, imiona sióstr. Jego opowieść zaczynała się dokładnie w momencie, gdzie kończyła się wiedza państwa J. o dziejach ich syna.

Pan J. powiedział synowi, że jest człowiekiem zamożnym. Prywatny warsztat - były okresy - przynosił duże dochody. Żyją z matką skromnie, wydają niewiele. Ich pieniądze są do jego dyspozycji.

Po miesiącu Włodzimierz W. wyjechał z książeczką PKO, wystawioną na jego nazwisko, z kilkudziesięciotysięcznym wkładem. Po kilkunastu dniach przyjechała doń w odwiedziny matka. Znowu przywiozła pieniądze. Mieszkała u syna tydzień, potem drugi. Inżynier zaczął dawać po sobie poznać, że się już niecierpliwi, oczekując, kiedy matka wyjedzie. Dezorganizowała jego kawalerski tryb życia i kawalerskie gospodarstwo. Matka uważała wszakże, że po tylu latach musi się bardzo dokładnie nacieszyć synem. No i siedziała tak długo, aż wybuchł dramat.

Do mieszkania Włodzimierza W. przybiegła dziewczynka z wiadomością, żeby Włodek, jak tylko wróci, jechał na przedmieście tegoż miasta, do swoich rodziców, bo matka zachorowała. „Jaka matka?” - przeraziła się Anna J. i niezwłocznie pojechała pod zostawiony jej adres. Poznała tu ludzi, od których dowiedziała się, że Włodzimierz W. jest ich synem, że całą okupację spędził w Polsce, a w ZSRR był tylko przez pięć lat w latach pięćdziesiątych. Wysłano go tam na studia.

Ludzie ci z przerażeniem wysłuchali opowieści Anny .T. o cudownym odnalezieniu jej syna, który był ich synem. Potem przyszedł Włodzimierz W., a zastawszy obie matki razem, zbladł śmiertelnie. Błagał, żeby Anna J. nie zawiadamiała milicji. Oświadczył, że natychmiast zwróci wszelkie pieniądze. Anna J. powiedziała, że zawiadomi milicję, bo są granice ludzkiej podłości, jaką można tolerować, i że nie chodzi jej o pieniądze.

W trakcie rozprawy sądowej Włodzimierz W. dzielił ławę oskarżonych z 50-letnią ciotką swej aktualnej narzeczonej - Zofią R. Pani ta kilka miesięcy wcześniej mieszkała w ciechocińskim sanatorium w jednym pokoju z Anną J. i przez wiele wieczorów wysłuchiwała opowieści współlokatorki o zaginięciu jej dziecka. Potem uczyła narzeczonego swej bratanicy jego roli.

Oboje oskarżeni nie taili, że chodziło im o pieniądze. Włodzimierz W. potrzebował ich bardzo, bo z poprzedniego małżeństwa wyszedł po rozwodzie bez złamanego kawałka mebla - jak to określał - i teraz, mając zamiar znowu się żenić, musiał dorabiać się od zera, a już na mieszkanie, które uzyskał w spółdzielni, zaciągnął poważne długi. Ale jednocześnie oskarżeni twierdzili, że nie uważają swojego czynu za łajdactwo. Że chcieli połączyć korzyść własną z korzyścią państwa J. Pragnęli dać im trwałe złudzenie, że odnaleźli syna. Złudzenie takie jest przecież tyle samo warte, co rzeczywiste odnalezienie syna, a tego właśnie państwo J. najbardziej w życiu pragnęli. To było jedyne, czego pragnęli. Poza tym nic nie miało dla nich znaczenia. Również pieniądze.

Powieść

Kiedy dawni koledzy z technikum mechanicznego czy rówieśnicy z ulicy Stalowej na Pradze, gdzie urodził się, wychował i mieszka, pytali go, jak to robi, że zawsze ma dużo forsy i zna (chwalił się) więcej niż dobrze każdą artystkę pokazującą się w telewizji, Andrzej T. odpowiadał: „Trzeba mieć zawsze białe mankiety”. Wszyscy rozumieli, że to przenośnia. Andrzej T. nigdy nie miał białych mankietów, gdyż nosił się modnie.

Kiedy przesłuchując świadków w jego sprawie, ludzi, z którymi był zaprzyjaźniony, dla których nosił białe mankiety, pytano: „czym był, co właściwie robił, czym się trudnił?”, żeby dociec, za kogo właściwie go brano - osoby o dosyć znanych nazwiskach czasem niepewnie odpowiadały: „poeta” lub „filmowiec”. Na ogół wyjaśniały, że nie zadawały sobie tego pytania. „Był chyba grafikiem, ale może nie, raczej literatem. W każdym razie coś robił w filmie” - stwierdziła piosenkarka Natalia I.

Po prostu był członkiem bohemy, że przeproszę za staroświeckie słowo, swojakiem dla ludzi tego bractwa. Starczało, że jest, że „wszystkich zna”, a prawie ze wszystkimi się przyjaźni. Obojętne w końcu, w czym młody człowiek próbuje się. Co ktoś robi, staje się istotnie dopiero wtedy, kiedy zostaje Wajdą swojej specjalności. Dla Iksa był przyjacielem Igreka, dla Igreka przyjacielem Iksa, i tak żył, o co łatwo. Cała sztuka polegała na tym, że także z tego żył.

Dziś wiadomo, że miał zawód. Był po prostu złodziejem. Wsypa nastąpiła z chwilą, kiedy pierwszemu z jego znajomych taka możliwość przyszła do głowy. Ale na to trzeba było trzech, czterech lat. Złodzieja odkrył w nim scenograf Jan C., który później zeznał: „To już nie mogło trwać. On dojrzał do kryminału. Po prostu tak długo bezkarnie kradł, że robił się coraz mniej ostrożny. Był już za bardzo pewny siebie”.

Rzecz działa się w Zakopanem. Andrzej T. przyjechał, wynajął pokój i poszedł do pensjonatu, gdzie mieszkał Jan C. z żoną i jeszcze inni jego znajomi. Państwo C. przyjęli go u siebie kawą. Gość zainicjował pójście do nocnego lokalu. Zaczęła płynąć wódka. Kiedy zastanawiali się, czy zamówić kolejną butelkę, Jan C. zapytał Andrzeja T., czy może mu do jutra pożyczyć kwotę, której mu zbraknie do rachunku, bo wziął ze sobą za mało pieniędzy. Zostawił gotówkę w pensjonacie. Andrzej T. zgodził się, ale powiedział, że on też zostawił forsy w domu i musi po nią wyskoczyć. Nie potrwa to długo, bo mieszka tuż obok. Rzeczywiście wkrótce wrócił.

Nazajutrz Jan C. miał dlań przykrą wiadomość. Nie może mu zwrócić pieniędzy, bo

został okradziony. Zginęło mu z walizki trzy i pół tysiąca. Jest bez grosza. „Nie ma o czym mówić, stary. Stawiałem” - rzekł Andrzej T. i pożyczył przyjacielowi 500 zł.

Jan C. zawiadomił milicję, która nie dawała mu nadziei na znalezienie złodzieja. Jego pokój był na parterze, okno zostawił otwarte. Każdy przechodzień mógł wejść i zabrać. Jan C. domyślił się jednak, że to zrobił Andrzej T., gdyż złodziej popełnił błąd. Nazajutrz zaprosił państwa C. do siebie. I wyszło na jaw, że mieszka bardzo, bardzo daleko od knajpy, z której nocą wyskoczył na kwadrans z górą, żeby przynieść pieniądze. Milicja znalazła u niego banknoty wartości 2 600 w takich odcinkach, jakie zginęły Janowi C. Brakowało 900 zł i rachunek także się zgadzał: 500 zł. złodziej pożyczył swojej ofierze, około 400 zapłacił w knajpie.

Andrzej T. absolutnie zaprzeczył, jakoby okradł swego znajomego. Owszem - skłamał, że idzie do domu po pieniądze, które w rzeczywistości miał przy sobie, żeby odczepić się trochę od tych C., przewietrzyć, może poderwać na ulicy jakąś dziewczynę. Trzeba zrozumieć, że był pijany.

Milicja stwierdziła, że od dawna nigdzie nie pracuje. Nie mógł wskazać żadnego źródła dochodów, z wyjątkiem miesiąca, kiedy statystował w filmie robionym przez jego znajomka. Andrzej T. twierdził, że utrzymuje go rodzina, gotówkę miał, bo zaciągał pożyczki (co się zgadzało), ale nie kradł. Zajmował się twórczością literacką i zamierzał zwrócić długi, kiedy wyda powieść. Ciągłe nawracał w zeznaniach do powieści, nad którą pracuje, ale odmawiał pokazania milicji rękopisów. Wbrew początkowym przypuszczeniom, maszynopis nie dokończonej powieści Andrzeja T. istniał. Znalaziono go w trakcie rewizji przeprowadzonej w jego mieszkaniu, a właściwie mieszkaniu rodziców. Było to dzieło grafomańskie, pełne koszmarnych błędów ortograficznych, ale prezentowało ono istotne wartości pozaliterackie.

Bohaterem był młody poeta, który pisze genialne wiersze, lecz nikomu ich nie pokazuje, gdyż wie, że jego poezja jest zbyt wielka, aby została zrozumiana i uznana. Postanowił więc zostać pośmiertnym Mickiewiczem. Nie ma jednak zamiaru długo czekać na nastanie czasów swej sławy. Decyduje, że w dniu, kiedy skończy 30 lat, popełni samobójstwo. Na razie żyje więc z tego, że zabiera pieniądze durniom, grafomanom, beztalenciom utuczonym na chałturach, i w ten sposób czyni sprawiedliwość, dokonuje słusznej redystrybucji dóbr materialnych. Ów Janosik jest nie tylko genialnym poetą, ale także wybitnym złodziejem, sprytnym, nie do wykrycia. Przerabia na szaro znajomych i przyjaciół, którymi w istocie gardzi. Treścią powieści są udane kradzieże, drobiazgowo opisane i przeplecione ujemnymi charakterystykami ofiar bohatera powieści. Próbką: „Jeremi Asnyk był tłustym, łysym kturén śmierdział, bo potniał, a myć się nie lubiał. Na widok kturzej dziewczyny ręka sama szła mu do kieszeni od spodni,

a ślina ciekła z ust po tak jednej jak i drugiej ich stronie. Musowo ją rozprawiczyć myślał jak tylko mógł napiszę scenariusz do filmu, zarobię charmonie dzieńkuw to kiedy ona zobaczy szmal uda same się w niej rozleca pomyślał i podnius telefon wołając halo Lolo na jutro dam ci taki scenariusz że klimo ci się zbieli”.

Powieść zawierała wszakże szczegółowe opisy kradzieży, jakich Andrzej T. dokonał. Realia były tylko lekko zmienione.

Architekt Wiktor B. okradziony został na rok przed wyspą Andrzeja T. Kiedy byli w nocnym lokalu w Warszawie, młodzieniec w pewnej chwili powiedział, że wyskakuje do baru. Minęła godzina, może dwie, nim Wiktor B. poszedł do baru; zastał tam kompana i ściągnął go z powrotem do stolika. Jak Andrzej T. notuje w swojej powieści, w czasie gdy Wiktor B. tańczył ze swoją żoną, jeszcze przed rzekomą wyprawą do baru, wyjął on z jej torebki klucze od mieszkania, pojechał, zabrał pieniądze, złote drobiazgi i antyczny stojący zegar, ukrył łup, wrócił do knajpy i na powrót usiadł przy barze, dbając o to, żeby prosić od czasu do czasu jakąś dziewczynę do tańca, aby państwo B. widzieli, że jest w lokalu. Potem, ściągnięty do stolika, niepostrzeżenie wsunął klucze na powrót do torebki.

Pracującego w telewizji inż. Mariana D. okradł bawiąc u niego na przyjęciu. Udał, że źle się czuje. Położono go w sypialni, żeby się przespał. Wyjął z szafy pieniądze.

Na ogół jego kradzieże były niewymyślne. Przespawszy się z żoną nieobecnego wówczas w Warszawie dziennikarza, namówił ją rano, aby podjęła z książeczki 4 tysiące, to ułatwi jej okazyjne nabycie skórzanej kurtki.

Nim pojechali oglądać nie istniejącą kurtkę, namówił tę panią, aby zaprosiła go na śniadanie. W kawiarni niepostrzeżenie strącił jej torebkę z krzesła na podłogę i kopnął ją daleko pod kanapę. Następnie udając, że szuka zguby, ukrył ją za obudową kaloryfera. Poszedł ze swoją towarzyszką na milicję, zaś po pewnym czasie wrócił do kawiarni i wyjął z torebki pieniądze. Obrobił zresztą kilka damskich torebek, niekiedy poczynając sobie z tupetem. Wyjął znajomej z torebki 300 złotych, podczas gdy stali w ogonku po wódkę, i natychmiast złapał jakiegoś faceta za rękę, krzycząc, że widział, jak ten sięgał do torebki. Szczęściem był to jegomość o nieposzlakowanej opinii i nie znaleziono przy nim trzech stuzłotowych banknotów. Andrzej T. posunął się tak daleko, że po chwili kupił zapas wódki, płacąc trzema stówkami, chociaż nazywało się uprzednio, że nie ma ani grosza i dlatego jego towarzyszka miała robić sprawunki. Był to już wyczyn dla sztuki, bo okradziona pani i tak miała swoje zasoby przeznaczyć na tęż wódkę do wspólnego picia, którą on po chwili nabył.

Po znalezieniu jego utworu i wykazaniu mu zbieżności między opisanymi w nim faktami a zdarzeniami realnymi, Andrzej T. przyznał się do wszystkich swoich złodziejstw. Wyjaśnił równocześnie, że w pierw począł pisać powieść, a potem

kraść. Że nie powodowała nim chęć zysku materialnego, ale artystycznego: inscenizował sytuacje, które chciał opisać, żeby zdobyć bliski realizmowi materiał literacki.

Uderza jednak, że nie wszystkie zajęcia i przygody swojego bohatera przed opisaniem inscenizował w życiu. Na przykład nie pisał nigdy wierszy, i nie skuł mordy wybitnemu pisarzowi, zamiłowanemu w deprawowaniu małych dziewczynek, o czym rozwodzi się w swoim utworze.

I w ogóle nie czuł artystycznej potrzeby dokonywania w życiu mnóstwa wzniosłych i szlachetnych czynów, którymi, oprócz złodziejstwa, ustawicznie para się poeta - bohater jego książki.

Temat

„W Polsce najbiedniejszy nawet człowiek posiada płaszcz i garnitur, buty i koszulę. Weźmy także kobietę. Ona posiada lepszą czy gorszą sukienkę, pończochy, buty, majtki, stanik, także samo płaszcz na zimę. Nie każdy musi być zaraz elegancki, nie każdy zarobi na futro, ale nikt Pana Boga nie obrazi, żeby biegał na golasa...” - Tymi sugestywnymi słowy rozpoczynał swoje odczyty ojciec Jan - ksiądz misjonarz.

Nie potrzebował wielkiej reklamy. Zajeżdżał do wsi i wywieszał plakat: „Oni chodzą na golasa - ilustrowana prelekcja księdza misjonarza. Zbiórka pieniędzy”. Plakat, wyrysowany koślawymi literami na brystolu, ozdobiony był zdjęciem czarnego mężczyzny z dzidą, którego długi a cienki męski instrument silnie podlegał przyciąganiu ziemi, i czarnej, nagiej kobiety bez dzidy, wytrzeszczającej gały do obiektywu. W trakcie odczytu ksiądz misjonarz wyświetlał na ścianie jeszcze kilkanaście takich fotografii. Wszystkie przedstawiały czarnoskórych nagich ludzi na stojąco, siedząco, tańcząco, leżąc lub przy prymitywnej pracy. Każde zdjęcie prelegent opatrywał komentarzem. Wskazywał na wstydlive miejsca, opisywał ich wygląd, jakby nie dość było fotografii, i głośno ubolewał nad tym, że „każden jeden Murzyn czy Murzynka nie ma wstydu, gdyż nie ma co na siebie włożyć, w czym widzimy obrazę moralności, a tym samym Boga”. Krótką i nie męczącą prelekcję ojciec Jan kończył objaśnieniem, że wyjeżdża do Afryki „będącej krajem życia Murzynów, jak i Murzynek”, aby ich odziać na podobieństwo katolików, i prosi o hojne datki.

Urządzane w prywatnych mieszkaniach odczyty ściągały po kilkadziesiąt osób, dzieci wypraszano z sali. Misjonarz zabierał te 200, 300, 400 złotych, jakie mu kapnęło, i wędrował dalej. Były to zyski mniejsze, niż osiąga legalnie z odczytu każdy członek Związku Literatów. Jeśli ktoś powie; że i trud był mniejszy, gdyż cała impreza, wraz z odpowiedziami na pytania zaintrygowanych słuchaczy, nie trwała zwykle dłużej niż pół godziny, to wskazać także trzeba, że z drugiej strony nie bywała tak nudna jak wieczory autorskie pisarzy albo odczyty TWP.

We wsi Rajki, w województwie warszawskim, na prelekcję przybył proboszcz, zapytał, czy misja księdza dobrodzieja w Afryce ma za cel tylko sprawy cielesne, czy także duchowe, i nie czekając odpowiedzi wezwał przez telefon milicję. Kiedy wkroczyła ona na salę odczytową, misjonarz zaczął głośno odmawiać modlitwę, zachęcając zebranych do jej podchwycenia. Ale gdzie tam - wszyscy tylko patrzyli, co sierżant robi. Sierżant zaś wziął pod pachę epidiaskop i powiedział do ojca misjonarza, aby szedł za nim Wsadził go do przyczepy motocykla, aparat postawił mu na kolanach, zdjął z płotu plakat, zwinął w rulon i pojechali.

W portfelu misjonarza znaleziono dowód osobisty na nazwisko: Mirosław Z., urodzony w 1939 roku, z zawodu ślusarz. I także zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia, wydane przed czterema miesiącami. Misjonarz miał również teczkę, a w teczce: przybory do golenia, 7248 zł 90 gr drobnymi, ręcznik i niemiecki, wydany w 1921 roku album etnograficzny, prezentujący fotograficzny dorobek jakiejś ówczesnej wyprawy naukowej do Afryki. Niektóre zdjęcia były wycięte. Organa MO zebrały je z prelegenckiego stołu razem z epidiaskopem.

Mirosław Z. przyznał się do tego, że jeździł po wsiach pekaesem i urządził bez zezwolenia prelekcje, po czym zbierał pieniądze, na cel rzekomo społeczny, z zamiarem przywłaszczenia ich sobie. Pamiętał 11 nazw wsi, poinformował, że obrobił co najmniej jeszcze dziesięć. Wyjaśnił, że „rolnik ma dziś węża w kieszeni”, i gdyby najmował się do przeładunku na dworcach, zarobiłby prawie tyle samo. Inna rzecz, że pozycja misjonarza dawała mu bezpłatne noclegi i poczęstunki, tak że mało co musiał wydawać na życie. Raz już milicja o mały włos, a byłaby go zagarnęła. W pewnej wsi pokazał obrazki, jeden ciekawszy od drugiego, wygłosił swoją prelekcję i wezwał do dawania pieniędzy, a tu nikt nie wyjął ani grosza. Siedzieli jak zamurowani. Wtedy wypalił dodatkową mowę: „Wy skąpe kmioty, k... wasza mać...”, i musiał uciekać przez ogrody, bo przy słowach „... tylko się modlić umiecie, gnojjarze, a jak trzeba dać złotówkę na to, żeby bliźniemu d... zasłonić, to was nie ma, tak?” - mężczyźni rzucili się go przekonywać i ktoś skoczył po MO.

Nim został misjonarzem-amatorem, Mirosław Z., jak opowiedział, poszedł siedzieć w wyniku niekorzystnego dlań zbiegu okoliczności. Fabryka, gdzie pracował, poleciała mu konwojować tokarkę przewożoną do innego zakładu. Miał nadzorować jej montaż. Umocował ją na platformie ciężarówki i pojechali, ale po drodze zjedli obiad i wypili. Kierowca uznał się za zbyt pijanego, żeby jechać dalej. Mirosław Z. uważał się za trzeźwego, porzucił kompana, wziął od niego kluczyki. Na przystanku PKS stali w deszczu ludzie i machali na przejeżdżające ciężarówki. Mirosław Z. zatrzymał się, załadował dziewięć osób, biorąc po 10 zł od łebka. Pech chciał, że tokarka była za słabo przymocowana. Na zakręcie pękła lina i maszyna przygniotła troje pasażerów. Mirosław Z. zawiózł połamańców do szpitala, wezwano tu milicję, pobrano odeń krew. Odpowiadał za prowadzenie bez prawa jazdy i po pijanemu oraz za zabranie pasażerów i narażenie ich na niebezpieczeństwo ze strony źle przymocowanej tokarki.

Gdy wyszedł z więzienia, u żony mieszkał już inny facet. Dziwić się temu nie mógł, bo siedział dwa lata, a żonę miał o osiem lat młodszą od siebie. Ubodło go to, że kiedy przyszedł do domu, żona ustawiła jego dwoje dzieci i te dwoje dzieci pluło na tatusia. Żona pozwoliła mu zabrać swoją garderobę, ale jej nie wziął: była zupełnie znoszona przez tego jej nowego faceta.

Pracę i legowisko dał mu kolega z więzienia - prywatny rzemieślnik (regeneracja wałów). Legalnego zatrudnienia nie zapewniał, bo to odbiłoby się na podatkach. Dawał zajęcie, jak była robota, wypłacał za nią umówioną kwotę, i trzeba było czekać na następny traf. Tak żył bez kobiety, domu i stałego zarobku, kiedy postanowił pojechać do rodziców. Wypadało ich odwiedzić po dwuletniej odsiadce.

W jego przedziale kolejowym jechał młody kleryk i dwie dziewczyny bardzo wesołe. Przypięły się one do tego kleryka, najpewniej ciekawe, czy takiego można skusić jako mężczyznę. Proponowały, żeby z nimi wysiadł na stacji Łuków, bo jedna z nich wyprawia imieniny. Kleryk się wzbraniał, że nie jest właściwie ubrany. Mirosław Z. zaproponował mu wtedy pożyczanie marynarki. Tym sposobem sam też się wprosił. Kleryk zdjął sutannę w ubikacji. Mirosław Z. na razie jej nie nakładał. Był jeszcze całkiem trzeźwy. Włożył swoją brezentową kurtkę wprost na koszulę.

Na stacji Łuków dziewczyny czy to namyśliły się, czy uznały, że już dopięły swego, dość że uciekły. Obaj z klerykiem puścili się w miasto szukać ich, ale dziewczyn nie znaleźli, tylko knajpę. Na stację wrócili napici. Szedł pociąg w odwrotną stronę. Wsiedli. Mirosław Z. po wódce nabrał śmiałości i postanowił odwiedzić żonę. Kalkulował sobie tak: jeśli facet, którego jego żona wzięła sobie, będzie szurał, to teraz jest ich dwóch, do spółki z klerykiem dadzą mu radę. Ale facet ten nie szurał, ponieważ nie było go już od tygodnia. Żona Mirosława Z., Janina, kazała mu pójść precz, kiedy zjawił się w dzień wypłaty bez grosza i mówił, że przecież jakoś przeżyją. Jeśli ona, Janina Z., bileterka kinowa, ma jakoś żyć - to woli karmić troje niż czworo. Tak mu powiedziała, a on obraził się i poszedł.

Mirosław Z. zjawił się więc w sam czas i był przez żonę dobrze przyjęty. Nawet płakała ze wzruszenia. Mirosław Z. wyszedł, kupił dwa razy po pół litra i nie krępując się kleryka mówił żonie, że ją kocha. Janina Z. była niepijąca, kleryk nie przyzwyczajony. Mirosław Z. sam wypił co najmniej trzy czwarte litra i wtedy sobie przypomniał, jaką krzywdę wyrządziła mu żona, zamieniając go w bezpiecznego psa, kiedy wyszedł z więzienia, i nie dochowując mu wierności, gdy siedział bez żadnej swojej winy, bo przecież ani ukradł, ani zamordował. Teraz on dla odmiany zaczął płakać i przysięgać na swoje dzieci, które kocha, że z taką k... nigdy by już się nie położył, żeby nie wiem co, tak silny czuje do niej wstręt. „Chcesz, to bierz ją sobie” - powiedział do kleryka, ale nie wie, czy kleryk go posłuchał, gdyż po tych słowach opuścił dom rodzinny, gdzie nie było już ani kropli alkoholu, a za to tyle gorzkich wspomnień.

Jak opowiada, obudził się na dworcu kolejowym, w poczekalni. Pod głową miał miękką, zawiniętą w papier paczkę. Skonstatował, że w środku jest sutanna. Włożył ją bez żadnej szczególnej myśli, tylko z zimna. Pora była chłodna, a on w samej koszuli i na to brezent.

Na dworcu spędził cały dzień, bo nie miał gdzie iść. Album z nagimi Murzynami zdobył w ten sposób, że kiedy siedział w poczekalni, zobaczył tę książkę leżącą przed jakimś śpiącym wyrostkiem. Przysiadł się, przejrzał, zaciekała go - to zabrał. Nie mając co ze sobą robić, po raz wtóry postanowił wyprawić się do tatusia i mamusi. Ponieważ nie miał na bilet, pomyślał, że w tej sytuacji przyda się sutanna. Rzeczywiście, kiedy wszedł do przedziału konduktor, a on udawał, że śpi - konduktor nie śmiał tarmosić duchownej osoby. Na złą drogę zszedł dlatego, że rodzice nie mieszkają we wsi leżącej przy kolei. Miał od dworca 9 km drogi do domu, wiodła przez dwie inne wsie. W pierwszej z nich jakaś kobieta nabożnie go pozdrowiła, zapytała, dokąd idzie i zaprosiła do domu. Coś musiał mówić, więc opowiedział, że jest misjonarzem, wybiera się do Afryki i pokazał album obrazujący nagość Murzynów. Do jego gospodni poczęło się schodzić mnóstwo ludzi. I tak samo przez się zaczęło się jego tournée prelegenta i kwestarza. Kiedy już zarobił pieniądze, kupił epidiaskop.

Tak oto brzmiało zeznanie Mirosława Z. złożone milicji, która go zatrzymała. Następnie wyszło na jaw, że dowód osobisty na nazwisko Mirosław Z. i zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia są skradzione. Potem ustalono, że pod wskazanym adresem nie mieszka żadna Janina Z. i dwoje jej dzieci, ani w ogóle nikt, gdyż adres jest zmyślony. Na koniec okazało się, że człowiek w sutannie nazywa się Bogusław C., jest maniakiem religijnym i mitomanem, że popada w gniewne podniecenie na widok jakiegokolwiek obrazka przedstawiającego choćby kawałek nagiego ciała i że był wielokrotnie leczony w zakładach psychiatrycznych. Otrzymuje rentę inwalidzką.

Bywa i tak, że dobry dziennikarski temat - fałszywy misjonarz zbierający na odzienie dla Murzynów - rozlezie się w trakcie roboty, bo wariat to nie jest temat, wariat to jest tylko wariat.

Wypadek

1 czerwca 1972 roku ordynator pediatrii Szpitala Powiatowego w K. dr Maurycy B. przejechał samochodem 12-letnią Teresę R., córkę hydraulika z gospodarki komunalnej.

Ustalenia milicji dają następujący zarys faktów: dr B. jechał główną w K. ulicą Pokoju z przepisową szybkością. Dziewczynka nagle wyskoczyła na jezdnię zza parkującego przy krawężniku samochodu dostawczego „żuk”, który zasłaniał przed oczyma kierowcy chodnik i część jezdni. Na widok wyskakującej zza wozu dostawczego dziewczynki, która nie patrząc, czy coś nadjeżdża, usiłowała przebiec jezdnię w miejscu odległym od skrzyżowania, gdzie jest przejście dla przechodniów - ordynator gwałtownie zahamował, znacznie redukując szybkość jazdy i impet, z jakim jego wóz przednim zderzakiem walnął w dziecko. Dziewczynka upadła na maskę „fiata” i następnie stoczyła się na jezdnię. Wóz już wtedy stanął, koła jej nie dotknęły.

Dr Maurycy B. wyskoczył z auta i począł wykrzykiwać do gapiów słowa usprawiedliwienia i obelgi pod adresem ofiary. Bez sensu obiegał swój samochód. Był wyraźnie zszokowany. Wśród przechodniów był ktoś, kto znał kierowcę i wiedział, że jest on lekarzem - człowiek ten zwrócił doktorowi B. uwagę, aby pośpieszył na pomoc leżącemu na jezdni dziecku. Doktor Maurycy B. nachylił się nad dziewczynką, wyjął chustkę do nosa, przewiązał jej nogę powyżej kolana i znów podjął tłumaczenie się przed przechodniami. W tym momencie nadjechało Pogotowie Ratunkowe i milicja. Dziewczynkę wzięto na nosze, lekarza do milicyjnej „warszawy”.

Teresa R. doznała złamania nogi oraz podrapań i potłuczeń na całym ciele. W świetle tej diagnozy szpitalnej działanie Maurycego B. jako lekarza było bezsensowne. Tłumaczył on, że widząc skrwawioną nogę - a nie zorientował się, że to po prostu zadrapany naskórek - sądził, że ma do czynienia z raną i że dziecko krwawi, więc usiłował zatamować upływ krwi. Był w szoku, postępował odruchowo, a nim wziął się w garść, już nadjechało Pogotowie.

Działania milicji na miejscu wypadku trwały około godziny i przez cały ten czas stali gapie, z trudem odsuwani przez milicjantów. Po owej godzinie odprowadzono „fiata” ordynatora (wóz miał nieznacznie wgniecioną karoserię), sam zaś lekarz odjechał milicyjną „warszawą”.

Ojciec Teresy - Jan R., 36-letni hydraulik, mimo święta, które przypadało wtedy 2 czerwca, pracował gdzieś w mieście, w jakimś budynku mieszkalnym, i o wypadku został powiadomiony dopiero w cztery godziny później. Wsiadł do taksówki

i pojechał na miejsce wypadku, gdzie dotarł w trzy godziny po tym, jak stąd odjechali sprawca i milicja. Zachowanie to można uznać za nieracjonalne, gdyż normalnym odruchem ojca powinna być, zdawałoby się; jazda do szpitala. Rozumując logicznie - Jan R. niczego już związanego z wypadkiem nie mógł po takim czasie wypatrzyć na ulicy. Hydraulik jednak lepiej od nas zna K. W cztery godziny po wypadku, w miejscu tego zdarzenia stała kilkunastoosobowa grupa ludzi i rozprawiała. Od nich to Jan R. uzyskał relacje, jak było. Później miały się one znaleźć w protokołach sądowych.

Julian D., kierownik składu opałowego, powiedział Janowi R., że widział, jak jego córka stała na samym brzegu chodnika i patrzyła na jezdnię, czekając, aż opustoszeje, żeby mogła przejść na drugą stronę. Nagle z wielką szybkością, prawym pasem, nadjechał „fiat”, a mknął tuż przy krawężniku, tak że błotnikiem zawadził o dziewczynkę. Wciągnięta została pod koła. Kierowca „fiata”, dr Maurycy B. z tutejszego szpitala, nie zatrzymał się, tylko usiłował zbiec. Ludzie na to nie pozwolili. Przypuszczalnie zabił dziecko.

Zdzisława W., zastępca kierownika wydziału finansowego w PPRN, magister prawa, opowiedziała wzbudzającemu na ulicy sensację ojcu przejechanej dziewczynki, że doktor, zamiast zbadać dziecko leżące pod kołami jego wozu, zawiązał jej brudną chustkę do nosa, a następnie kopnął, żeby sprawdzić, czy żyje i więcej nie zwracał na dziewczynkę uwagi. Począł badać wgniecenia na masce swojego wozu, ogromnie nad nimi rozpaczając.

Według Leona W., woźnego szkolnego, lekarz w ogóle nie zwracał uwagi na swoją ofiarę, tylko rozdawał świadkom pieniądze, żeby zeznali, że to nie on potracił dziecko.

Michalina C., ekspedientka, wkrótce po odjeździe milicji widziała dozorcę domu, gdzie Maurycy B. mieszka, który przybiegł tu z drugiego końca miasta z miotłą, ścierką i wiadrzem piasku, aby na polecenie doktora zacierać ślady na jezdni. Ludzie omal go nie zlinczowali, pytając, ile za to wziął.

Zdaniem Lucyny W., gospodyni domowej, doktor Maurycy B. odgrażał się przechodniom i milicjantom, że wykończy każdego, kto przeciwko niemu zezna.

Prawie wszyscy zapewniali Jana R., że wypadek widzieli, albo mają relacje z pierwszej ręki. Na milicji już nikt z nich nie mówił, że wypadek oglądał. Szczegóły znali z opowiadań świadków. Ustalono dwa nazwiska osób, na których relacje się powoływali. Osoby te również nie widziały zdarzenia, ale krócej lub dłużej stały w tym miejscu i słuchały opowiadań innych.

Otóż zupełnie szczególne to dochodzenie pozwoliło ustalić, że od chwili, kiedy milicja zabrała z ulicy sprawcę wypadku i jego auto, do momentu, kiedy zjawił się

Jan R., minęło kilka lub kilkanaście generacji gapiów, jeśli za pierwszą przyjąć tych, którzy wypadek widzieli naprawdę. Potem jedni odchodzili, inni gromadzili się, i opowieść przechodziła z ust do ust, obrastając wciąż nowymi, coraz bardziej drastycznymi szczegółami.

Życiem wewnętrznym zbiegowiska, zmianami jego składu, przepływem gapiów milicja zajęła się w związku ze zdarzeniami, które nastąpiły po tym, jak Jan R. przybył na ulicę Pokoju i wysłuchał dramatycznych opowieści. Otóż hydraulik począł głośno lżyć lekarza, którego zresztą znał, bo ongiś leczył on w szpitalu jego młodsze, pięcioletnie dziecko. Wołał rozgłośnie, że ten taki to a taki syn zabił mu dziecko. Potem złapał oparty o mur sklepu ze słodyczami drąg do podnoszenia i opuszczania markizy, zakończony metalowym hakiem, przypominający halabardę. Ruszył z tym obciążeniem przed siebie, ciągle głośno krzycząc. Za nim pociągnęło parę spośród kilkunastu osób, które rozprawiały na miejscu wypadku, po drodze dołączali i inni ciekawscy.

Jan R. nie wiedział, gdzie mieszka doktor Maurycy B. Ktoś go naprowadził na właściwy kierunek marszu i adres.

Ów ktoś znał nie tylko adres, ale nawet wiedział, które okna należą do ordynatora, bo zanim Jan R. wszedł na pierwsze piętro, już kamieniami wybito lekarzowi szyby.

Okazało się, że ta sama osoba, która poprowadziła Jana R. i kompanię pod dom doktora, pierwsza cisnęła kamieniem. Był to Wiktor O., późniejszy współoskarżony w procesie Jana R. Adwokat hydraulika udawał przed sądem, że niesłuszna jest supozycja prokuratury, jakoby jego klient był prowodyrem zajścia, skoro to Wiktor O. poprowadził pod dom lekarza i pierwszy wszczął agresję. Sąd w uzasadnieniu wyroku nie roztrząsał kwestii przywództwa, obaj oskarżeni - stwierdzał - wszczęli akcję z osobna, każdy na własną rękę.

Pod dom lekarza z Janem R. i Wiktorem O. przyszły jeszcze cztery osoby. Reszta towarzyszącej im zrazu grupy wykruszyła się po drodze. Jan R. szedł zbyt szybko, chwilami biegł.

Wiktor O. utrzymywał, że wskazał zdesperowanemu ojcu kierunek marszu i adres lekarza, mimo że wiedział o agresywnych zamiarach Jana R., a następnie walnął dwukrotnie kamieniem w okno doktora, ponieważ był wstrząśnięty rzekomą śmiercią dziecka i nonszalancją pediatry po wypadku. Stwierdzono jednak, że siostra Wiktora O., a ściślej jej mąż miał długotrwały spór z lekarzem. Szwagier Wiktora O. otrzymał przydział działki budowlanej z zasobów miejskich, którą mu zaraz potem odebrano pod jakimś pretekstem, dając ów plac ordynatorowi. Wydziedziczona para reagowała na to wieloma odwołaniami i objawiała wielkie rozgoryczenie. Sąd przyjął, że ten fakt ukształtował w Wiktoremie O. niechęć do Maurycego B., chociaż sam O. przeczył temu i stawiał świadków, że z siostrą

i szwagrem żyje w okrutnej nienawiści. Upierał się, że na ordynatora rozeźlił się z szlachetnych, nieprywatnych pobudek. W każdym razie jeden z dwóch rzuconych przez Wiktora O. kamieni ugodził w głowę adwokata, który siedział wówczas w mieszkaniu pana B., konferując z lekarzem. Był jeszcze i trzeci kamień ciśnięty w wybite już okno przez wyrostka, który z Wiktorem O. stał wtedy na ulicy. Pozostała trójka kibiców zajścia maszerowała wówczas po schodach za Janem R., niosącym drąg okuty na szpicu metalem. W dalszym ciągu zdarzeń Wiktor O. już czynnie nie uczestniczył, jeszcze tylko namawiał przechodniów, którzy w pobliżu się zjawili, zwabieni brzękiem wybijanych szyb, aby pospołu iść i spalić lekarzowi „fiata”. Nie znalazł posłuchu, ale w sądzie odpowiedział i za to podżeganie do przestępstwa.

Nim Jan R. z towarzyszami sforsowali schody i znaleźli się przed drzwiami mieszkania lekarza, poleciały już szyby, adwokat był zraniony. W towarzystwie złożonym z państwa B., adwokata, gosposi, kuzynki pani B. i dwojga dzieci panowała panika. Walącemu w drzwi tępym końcem halabardy hydraulikowi nikt nie otworzył. Wtedy począł dziobać drzwi ostrzem, z coraz większą wściekłością i tak długo, aż drzwi rozwalił. Znalazłszy się wewnątrz mieszkania, Jan R. począł do lekarza krzyczeć: „Czy po to doktor wyleczył mi jedno dziecko, żeby teraz zabić drugie?” Kobieta i dwóch mężczyzn, którzy weszli tu za nim, stali teraz speszeni w korytarzu, przez otwarte drzwi do pokoju śledząc tę scenę. Jan R. zwracał się do nich, aby nie próbowali go przytrzymać, kiedy zaraz będzie zabijał lekarza, inaczej im także zrobi coś złego. Potem zwrócił się wprost do szukającego w pokoju schronienia Maurycego B., zapowiadając, że go zaraz zabije. Słowa doktora, że dziecko żyje i nic mu nie jest, w ogóle do hydraulika nie docierały. Zamachnął się halabardą, ale nie wykonał groźby. Rozpruł kanapę i ze wzrastającą wściekłością począł demolować sprzęty. Trwało to nie dłużej niż kilkanaście sekund. Zmęczył się - rzucił halabardę i nagle zaczął doktora przeproszać i tłumaczyć się, że to wszystko pod wpływem żalu, bo jego córka była dobrym dzieckiem. Teraz wreszcie dotarło doń, że Teresa żyje i - jak zapewniali go wszyscy domownicy - „nic jej nie jest”. Rozradowany powiedział do doktora: „Pan doktor może zawsze na mnie liczyć”, przeproszał i przyrzekał, że zapłaci za meble. W ogóle nie zwrócił uwagi na to, że adwokat, trzymający mokry ręcznik nad skronią, telefonuje po milicję.

Jeszcze nim odbyły się procesy: Maurycego B. o spowodowanie wypadku i drugi - sprawców najścia na jego dom (oba zakończone skazującymi wyrokami), do prokuratury i sądu oraz do władz służby zdrowia napłynęły anonimowe sugestie, że doktor Maurycy B. jest faktycznym sprawcą najścia na swój dom. Motyw tej prowokacji jest jasny: ordynator nie bał się wyroku skazującego go za wypadek drogowy, przecież wiadomo, że będzie to wyrok w zawieszeniu. Chciał odwrócić od siebie antypatię opinii publicznej i zamieniając się w ofiarę, skupić na sobie

sympatię i współczucie. Inaczej jego praktykę diabli by wzięli, bo „kto pójdzie z dzieckiem do doktora, który przejechał dziecko”. Autor anonimu sugerował, iż najpewniej Jan R. „był przepłacony”, czego dowodem, że nie zrobił lekarzowi krzywdy, a tylko wyładował się na meblach. „A co to dla takiego doktora nowe meble, tyle co dla człowieka bułka” - pisał anonim.

Wygląda na to, że w mieście rozmiarów K., wbrew pozorom, samochód należy prowadzić o wiele ostrożniej niż w wielkich metropoliach.

Pistolet

Zanim stało się to wszystko, nim Elżbieta G. umarła, jej mąż Waław poszedł siedzieć, a dr Jarosław M. popadł w tarapaty, był marzec 1972 roku i Waław G. wiozł żonę do szpitala, gdzie spędziła dwa miesiące na oddziale chorób wewnętrznych. Teraz jako wdowiec Waław G. opowiada, że jego żona, kiedy szła do szpitala, była bardzo sercowa, a tam zamiast ją leczyć, tygodniami robili badania - i nic więcej, a ona tymczasem coraz bardziej puchła. Nie mogła leżeć, tak ją w płucach dusiło, tylko siedziała na łóżku, a nogi miała jak słoń, takie opuchłe. Widząc, że żona mu marnieje, poszedł do ordynatora i powiedział, że takich doktorów, jak są w tym szpitalu, on by nawet do świń nie dopuścił. Prowadzą do tego, żeby mu żonę zamordować.

O świniach Waław G. wyraził się w zdenerwowaniu, bo zmarła była jego drugą żoną, więc bardzo ją kochał. Mimo to u ordynatora nie znalazł żadnego zrozumienia. Wyrzucił go z pokoju i zakazał w ogóle wpuszczać na teren szpitala. Po napisaniu odnośnych skarg Waław G. zobaczył, że nic tą drogą nie wskóra i zanim dojdzie do sprawiedliwości, żeby „poodbierali dyplomy tym rzeźnikom, którzy chcą jego żonę doprowadzić do zgonu” - tak pisał - ona umrze i będzie po herbacie. Wobec tego wybrał się powtórnie do ordynatora, położył na stole trzy tysiące i powiedział, że życzy sobie, aby jego żonę leczyć. Doktor zdenerwował się jeszcze bardziej, znów kazał mu się wynosić, wezwał tylko przedtem portiera, żeby sobie pana G. obejrzał i nigdy go więcej nie wpuszczał. „Widzi pan, za mało mu chciałem dać” - powiedział już za drzwiami pan G. do portiera, wręczył mu 200 zł, a portier dziękując zapewnił go, że ma zawsze wstęp do szpitala, i w dzień, i w nocy.

Tuż przed samym już zgonem jego żony - jak twierdzi Waław G. - wrócił z urlopu i objął salę dr Jarosław M. Od razu wszystko się zmieniło. Doktor M. potrafił i nocą siedzieć przy łóżku jego żony, stan Elżbiety poprawiał się z dnia na dzień, i wkrótce całkiem zdrowa opuściła szpital.

Tak opowiadał w sądzie na swoją obronę Waław G., kierownik stacji doświadczalnej uprawy roślin w Moskalkowie, technik-rolnik na etacie instytutu naukowego, a także właściciel szesnastohektarowej farmy w tymże Moskalkowie.

Świadkowie charakteryzowali go jako osobowość władczą. „Každy mu się kłaniał, sędzia przyjeżdżał z powiatu i mu się kłaniał. W tych stronach wszyscy mają ziemię. Jak nie własną, to w rodzinie. Kierownik G. mógł darmo podrzucić kombajn czy traktor, mógł dać ziarno siewne z puli naukowej. On tam był panem - mógł wszystko.”

Inny ze świadków opowiadał, jak to Waław G. jechał stojąc na furmance, a gdy

mijał nie rozebraną bramę triumfalną - tkwiącą już od kilku miesięcy na drodze, od czasu jakiejś uroczystości religijnej - zaczepił o nią głową i wiatr zniósł mu czapkę, tak że zawisała na gałęzi drzewa. Świadek ów chciał wspiąć się na drzewo i przynieść kierownikowi nakrycie głowy. „Nie!” - powiedział pan G., poszedł do sołtysa i kazał staruchowi na oczach połowy wsi drapać się po czapkę. Jeszcze go rugał za nieporządki.

Kiedyś znów obudził go po nocy listonosz, który wracał pijany do domu i śpiewał na całe gardło. Pan G. rozeźlił się, zawołał biedaczynę, kazał mu stanąć pod oknem i śpiewać. Przedtem psa spuścił z łańcucha, przykazując mu przy listonoszu, żeby gardło przegryzł nieborakowi, gdyby śpiewać przestał. Listonosz zachrypnął, a kiedy ustawał, wtedy pies się nań rzucał i listonosz znowu zaczynał. Po dwóch godzinach już tylko ruszać mógł wargami. Wtedy go dopiero, wytrzeźwionego już, Waław G. puścił do domu, mówiąc: „Widzisz, jakiego mam muzykalnego psa, ty ryju”. Taki był wobec wszystkich, nie wyłączając swego własnego dyrektora-docenta, którego - niejeden to słyszał - beształ jak smarkacza. Ale miał szacunek ludzki, bo wpływowo był i uczynny, niejednemu pomógł.

Kierownik Waław G. kochał nieprzytomnie swoją żonę, zresztą nauczycielkę. Wypędził dla niej poprzednią, starą, kupując jej na otarcie łez gospodarstwo. Elżbieta G. jeździła teraz samochodem „moskwicz” do pracy i po sprawunki. Urodę za to, będąc kierownicą, straciła bardzo szybko. U państwa G. - mówili świadkowie - co miesiąc było świniobicie, więc kierownik zatuszył żonę. Kochać jej mimo to nie przestał, woził kiedyś nawet do opery w Łodzi, a suknie miała wszystkie szyte na miarę u najlepszej krawcowej w powiecie.

Ta więc ciężko chora żona wróciła ze szpitala całkiem ozdrowiała. Waław G. miał wtedy przez trzy doby bez ustanku pić z zaproszonymi gośćmi, kiedy zaś wytrzeźwiał, załadował na półciężarówkę marki „Warszawa” całego sprawionego dzika, kupił trzy butelki koniaku francuskiego i chwalił się, że doktorowi dołoży do tego pięć tysięcy gotówki. Pojechał z tym wszystkim do Jarosława M. do szpitala. Wozu z dzikiem nie wpuścili mu na teren, kazał więc wywołać doktora do portierni i powiedział: „Żonę mi uratowałeś, dlatego mówię do ciebie «ty», i ty do mnie możesz tak mówić, doktor! Ci twoi koledzy to s...syny, mordercy, a ty jesteś jeden tylko dobry doktor”. I serdecznym gestem wcisnął Jarosławowi M. w rękę dziesięć pięćsetek. „Co pan sobie myśli?! - krzyknął doktor - zabierać to i wynocha!” „Ej, doktorku - miał odpowiedzieć kierownik stacji uprawy roślin, przynajmniej tak to dr M. relacjonował przed sądem - teraz nie te czasy, żeby człowiekiem poniewierać. Jaśnie pan, k... twoja mać. Gdybyś mi żony, chamie jeden, nie uratował, to bym cię tak załatwił, że w ogóle przestałbyś być doktorem. Masz, bierz!” I cisnął na stół zwitek pięćsetek nie pierwszej świeżości. Jarosław M. opowiada, że zaczął się wtedy strasznie śmiać i poszedł sobie, nie słuchając, co tamten dalej krzyczy.

Obraz dalszych zdarzeń, w relacji kierownika Waław G., rysuje się tak. Tuż przed Bożym Narodzeniem 1972 roku jego żona gwałtownie zaniemogła i jak ocenił, „życie zaczęło z niej uciekać”. Domownicy radzili wezwać Pogotowie albo internistę z powiatu, ale Waław G. za nic nie chciał dopuścić do żony innego lekarza niż Jarosław M. Pojechał więc do województwa i w szpitalu dowiedział się, że doktor M. już tu nie pracuje. Odmówiono mu podania adresu domowego. Bezowocnie szukał go w książce telefonicznej. Gnany niepokojem o żonę rychło zaprzestał poszukiwań, wrócił, zobaczył, że Elżbieta ledwie zipie i nazajutrz znowu wybrał się do województwa.

Szczęściem dyżur miał teraz portier, który dostał odeń kiedyś 200 złotych. Dla odświeżenia przyjaźni Waław G. znowu dał dwieście, i w pół godziny portier przyniósł mu adres Jarosława M.

Kilka godzin czekał Waław G. pod domem lekarza, gdzie powiedziano mu, że doktor jest w pracy i wróci o szóstej. Wolał nie odchodzić spod drzwi. Dla pewności. W końcu zjawił się lekarz. Waław G. zaczął mu z miejsca opowiadać, jak bardzo chora jest jego żona. Jarosław M. pamiętał swego rozmówcę, a także przypadek, czyli Elżbietę G. Wysłuchał opowieści o tym jej duszeniu się i konaniu, kazał wracać i zaraz wezwać lekarza. „Żonę trzeba po prostu przewieźć do szpitala.” Waław G. oświadczył, że żadnego innego lekarza do swojej żony nie dopuści. „Wsiadaj pan, dziesięć tysięcy!” Jarosław M. zaczął tłumaczyć, że, po pierwsze, on prywatnie nie praktykuje, po drugie - jest teraz lekarzem kolejowym, po trzecie - to jest sto trzydzieści kilometrów, po czwarte - żonie jest potrzebny raczej transport do szpitala niż lekarz przy łóżku.

Gadanie to bardzo mocno zniecierplawiło Waław G., więc wyjął pistolet, a miał go legalnie, bo wyrobił sobie pozwolenie na broń przeciwko rabusiom. (Okolica nie jest spokojna, a w jego Stacji wielki majątek.) Wyjął więc pistolet i zapowiedział, że zastrzeli doktora na miejscu, jeśli nie wsiądzie z nim do wozu.

Lekarz powiedział potem sądowi, że ani chwili się nie wahał. Widział już tego jegomościa w akcji i wiedział, że to wariat. Pojechali. Przez całą drogę doktor M. groził porywaczowi milicją i więzieniem. Waław G. zaś lekarzowi, że go zastrzeli jak psa, jeśli nie uratuje mu żony, zaś ozłoci, gdy, przeciwnie, wróci ona do zdrowia. Jechali w szaleńczym tempie, które lekarzowi wydawało się jeszcze straszniejsze od pistoletu tkwiącego w kieszeni pasjonata.

Wreszcie zajechali. Waław G. pod lufą wprowadził doktora do domu. W mieszkaniu pchnął go pistoletem w kierunku łóżka chorej i kazał ją uzdrowić. Doktor czuł cały czas lufę na plecach i powiedział, że nie zbada chorej, póki Waław G. nie schowa broni. Nie jest nawykły do pracy pod pistoletem. Waław G. odpowiedział, że nie schowa pistoletu, póki Jarosław M. nie uratuje mu żony.

Doktor M. wyjaśnił sądowi, że chora rzeczywiście wyglądała na oko, jakby była w stanie agonii. Bez instrumentów, zastrzyków itp. i tak był bezradny, a bał się podejść do niej, bo był przekonany, że gdy ona umrze, ten wariat jej mąż okrzyknie go mordercą i strzeli. Perswadował mu więc, żeby zabrał ten pistolet i dzwonił na Pogotowie. W trakcie takiej to wymiany poglądów Elżbieta G. umarła. Gdy oznajmiła o jej śmierci jakaś baba siedząca u wezgłowia chorej, Wacław G. począł głośno rozpaczać i więcej nie zwracał uwagi na lekarza. Jarosław M. uciekł.

Potem złożył doniesienie na milicji o zdarzeniu. Wpłynęło zaraz przeciwoskarżenie. Troje domowników - pracowników najemnych gospodarstwa Wacława G., wspólnie z nim podpisało doniesienie, że lekarz nie ratował chorej, bo domagał się z góry pieniędzy. Równocześnie twierdzili oni, że żadnego pistoletu w ogóle nie było. Przeciwko Jarosławowi M. wdrożono dochodzenie. Ponieważ jednak jeden z mieszkańców wsi zeznał, że w godzinę czy dwie po śmierci pani G. Wacław G. biegał po wsi z pistoletem krzycząc, że zastrzeli doktora (który już na szczęście odjechał był podwodą na stację kolejową) - więc prokurator kazał zamknąć Wacława G. w areszcie. Teraz, kiedy zniknęła presja chlebodawcy, trójka jego pracowników poczęła kręcić, wreszcie zmieniła zeznania.

Dochodzenie przeciwko lekarzowi zostało przez prokuratora umorzone i przekazane do kontroli zawodowej. Odbywały się tam debaty nad etyką lekarską, na kanwie niecodziennego układu: lekarz jest porwany i trzymany pod pistoletem, nie ma narzędzi ani medykamentów. Czy jego obowiązkiem jest w takiej sytuacji przystąpić jednak do pracy, skoro o metr odeń kona człowiek? W końcu uznano sytuację za tak nadzwyczajną, że pozbawioną wszelkich odniesień do reguł rządzących etyką zawodową, i dochodzenie dyscyplinarne zostało umorzone, po wielu zresztą przykrościach, które Jarosław M. wycierpiał, bo stan faktyczny ciągle nie był jasny, dopóki nie wypowiedział się sąd, przyjmując za prawdziwą wersję zdarzeń podaną przez lekarza i skazując Wacława G. na trzy lata więzienia. (Za okoliczność łagodzącą przyjęto jego niezwykle wzburzenie spowodowane agonią żony.)

W ostatnim słowie Wacław G. krzyczał, że to jest parodia sprawiedliwości, jeśli on siedzi za kratkami, a morderca jego żony chodzi wolno. Zapewniał także, że rozprawi się z sędziami. Wyprowadzono go więc z sali i nie zezwolono, by był obecny przy czytaniu wyroku i jego uzasadnienia.

Trochę nieporozumień

Swego pierwszego męża, Juliana T., Agata N. poznała w szkole, romans nawiązali na długo przed maturą i razem studiowali anglistykę. Pobrali się będąc na trzecim roku. Zaraz po magisterium otrzymali mieszkanie i ona wzięła urzędniczą posadę w jednej z ambasad w Warszawie, on zaś uczył w dwóch szkołach: ogólnokształcącej rano i w technikum dla pracujących po obiedzie. Miał także sporo prywatnych lekcji. Te zarobkowe zabiegi wyłączyły go praktycznie z życia. Ona także była osobą silnie zajętą po godzinach urzędowania. Bywało, że kilka razy w tygodniu musiała towarzyszyć jako tłumaczka różnym gościom swojej ambasady, brać udział w przyjęciach lub wojażować po Polsce z którymś pracodawców.

Julian T. był zazdrosny i objawiał to. Zarzucał żonie, że pod pretekstem zajęć zawodowych puszca się z cudzoziemcami i lubił wygłaszać taki monolog przynajmniej raz dziennie. Agata N. starała się więc tak komponować swoje dni i noce, aby jak najrzadziej spotykać się z mężem i nie dawać mu okazji do scen. Ich życie biegło więc odrębnymi szlakami, w innym świecie towarzyskim. Spotkania we wspólnym domu stawały się coraz rzadsze i coraz większe wynikało z tych spotkań iskrzenie. W końcu Julian T. znalazł sobie jakąś dziewczynę i rozwiódł się. Tak się skończył dziewięcioletni romans o szkolnej genezie. Agata N. miała wówczas 26 lat. Spokoju i swobody zażywała jednak tylko przez kilka miesięcy, póki nie poznała inż. Tomasza L.

Po kilku dniach i nocach pijanej znajomości inżynier zamieszkał u Agaty N. Pobrali się w pół roku później. Drugi mąż, gość bardzo przystojny, starszy od Agaty N. i towarzysko zwawy, nie miał, w odróżnieniu od pierwszego, żadnych poobiednich zajęć. O dziwo, obowiązki zawodowe Agaty N. zamykały się obecnie również w godzinach urzędowania ambasady.

Tomasz L. lubił dużo mówić o swojej pracy. Zajmował się sprawami rozwojowymi wielkiego zakładu, polityką licencyjną, wynalazczością. Swoją funkcję określił per „główny specjalista w dyrekcji” i z jego opowiadań wynikało, że jest szarą eminencją przedsiębiorstwa, tylko oficjalnie zarządzanego przez dyrektorów, których rysował jako półgłówków. Przejęty swoją pracą, a właściwie misją, inżynier uzyskiwał pokaźne, acz nieregularne zarobki, sięgające w lepszych miesiącach kilkunastu tysięcy. Nie to wszakże było jego dumą. W jego opowiadaniach o pracy głównym motywem były relacje, jak to ministrowi wygarnął, dyrektora upokorzył, a zagranicznych kontrahentów zadziwił.

W drugim małżeństwie Agata N. przejęła, jak się spostrzegła, rolę swojego męża z pierwszego małżeństwa - to znaczy trapić ją zaczęła chorobliwa zazdrość. Zawsze

razem spędzali poobiedzia, wieczory i noce, tylko wspólnie uprawiali życie towarzyskie (w ich kręgu znajomości nie było w ogóle ludzi ani z jego, ani z jej środowiska zawodowego), mimo to ciągle robiła mu sceny. Była zazdrosna o sekretarki w fabryce, wirujące - jak sobie wyobrażała - wokół inżyniera-bożyszczka, inżyniera - człowieka sukcesu. Mordowała ją zazdrość o kobiety, którym Tomasz L. kłaniał się na ulicy, na które spojrzął w kawiarni, z którymi zatańczył lub rozmawiał w towarzystwie. Robiła sceny o to, że woli dłużyć przy samochodzie, niż z nią siedzieć i rozmawiać, że przekłada wyjście do kina nad poobiednie sam na sam w domu, że rwie się do ludzi i np. sprasza ich do domu, co znaczy, iż mu nie wystarcza jej towarzystwo, mimo że jej, Agacie N., całkowicie wystarczało jego. Potrafiła stracić na tydzień humor, popaść w depresję, gdy na ulicy obejrzała się za nim jakaś kobieta, i nie pomagały argumenty męża, że to przecież nie jego wina, iż jest przystojniakiem.

Tomasz L. był już bardzo zmęczony tymi scenami i depresjami i zaczął ustawicznie kombinować, jak by tu się urwać z domu. Wymyślał różne preteksty samochodowe (ciągle ten jego grat był teraz zepsuty i wymagał fachowych konsultacji oraz starań o części zamienne) i rodzinne. Ta mężowska skłonność przyprawiała ją o obłąd. Błagała bezskutecznie Tomasza L., niech już wreszcie wyzna, że ma jakiś romans na boku i z kim. Ona mu gwarantuje, że to ją uspokoi. Godzinami potrafiła obmyślać z góry swoje rozmowy z mężem, które tak sprytnie przeprowadzi, aż wreszcie on się zdemaskuje, a ona pozna całą prawdę.

Była w tym właśnie stanie ducha, kiedy latem wyjechali na tydzień do jego rodziny na wieś, którą to eskapadę przyjęła z ulgą. Oznaczała ona oderwanie go od hipotetycznej warszawskiej kochanki, która w wyobraźni Agaty N. co noc przybierała inną postać: młodsiutkiej, delikatnej blondynki; brunetki - podstarzałej kokoty; silnej psychicznie, wytwornej kobiety w jej wieku, itd. Na wsi, wbrew nastawieniu, z jakim tam jechała, wpadła w depresję, ponieważ mąż tak zajął się stosunkami z rodzicami i młodszym rodzeństwem, że czuła, iż zesła na plan jeszcze dalszy niż w Warszawie.

W śledztwie, które wdrożono po tragicznym końcu drugiego małżeństwa Agaty N., opowiedziała ona o pewnym ważnym epizodzie z pobytu na wsi, pierwszej i przedostatniej jej wizyty u rodziców męża. Któregoś dnia teściowa opowiedziała jej, że w tym roku jeszcze nigdy nie znalazła grzyba, chociaż to już koniec sierpnia. I oto tego rana, wracając do domu z lasu, pomyślała sobie tak: „Jeśli znów niczego nie znajdę, wnuków nie będzie, a ile grzybów znajdę, tyle Tomasz będzie miał dzieci”. Zaraz potem znalazła dwa piękne prawdziwki. Ususzy je i przeznacza na wigilijną zupę. Jest pewna, że do Bożego Narodzenia Agata będzie już brzemienna. Tu pani L. pokazała synowej grzyby i ta spostrzegła, że nie są to bynajmniej prawdziwki, tylko podobne do nich, silnie trujące tzw. szatany. Agata N. nic nie

powiedziała. Wizja zbiorowej śmierci przy wigilijnym stole wydała jej się kuszącą sposobnością do zakończenia całej tej męki. Zmilczała także dlatego, że nie chciała robić przykrości tej starej chłopce, uradowanej, że wyszła jej pomyślna wróżba. Zresztą - myślała Agata N. - do Wigilii jest jeszcze pół roku.

Od tej pory dręczyła ją mania samobójcza. Nie czyniła żadnych prób odebrania sobie życia. Po prostu ciągle o tym myślała.

W listopadzie któregoś dnia przeraziła się na myśl, że owe grzyby, wplecione w wieniec innych, suszą się nad wiejskim piecem i każdego właściwie dnia, przy byle bigosie, dojść może do nieszczęścia. Wysłała teściowej telegram: „Znalezione latem grzyby trujące. Proszę koniecznie wyrzucić. Agata”.

Depeszę tę matka Tomasza L. dała milicji, kiedy ją przesłuchiowano po śmierci syna. Miała ona świadczyć o tym, że Agata L. była nienormalna, a w tym swoim pomyleniu miewała mordercze instynkty. Pani L. nie zrozumiała, o jakie grzyby chodzi, i nie wyrzuciła tego, co nazbierała latem. Była pewna swoich zbierackich umiejętności.

Na Wigilię przyjechali syn z synową i wówczas Agata zapytała ją o grzyby i wyjaśniła sens telegramu. Teściowa stwierdziła, że nie pamięta, co zrobiła z tamtymi dwoma grzybami, wyraziła przypuszczenie, że Agata się myliła, i skosztowała grzyb po grzybie, wszystkie, jakie miała nanizane na sznurek. Na wszelki wypadek nie jedzono jednak zupy grzybowej i pierogów nadziewanych kapustą z grzybami. To właściwie wszystko - wyjaśniła - co ona może opowiedzieć o sprawie grzybów. Ale pani L. była przerażona tym, iż synowa, przekonana, że ona znalazła truciznę, nic o tym nie powiedziała i sumienie ruszyło ją dopiero po upływie kwartału.

Parę miesięcy później Tomasz L. oświadczył, że ma służbową wódkę w męskim gronie, poszedł i wrócił w nocy pijany. Rano zerwał się jak zawsze do pracy, ale nie wrócił na obiad, tylko znowu późną nocą i znowu pijany. W ciągu tych obu nocy Agata N. nie zmrużyła oka, męczyła ją zazdrość i samobójcze myśli. Trzeciego dnia, kiedy wstał do pracy, zapowiedziała mu, że jeśli nie wróci normalnie na obiad, i to trzeźwy - w ogóle ma nie wracać. Obiecał, że już picie skończył i zastosuje się do jej pierwszego życzenia. Nie przyszedł. Zjawił się znów późnym wieczorem, potężnie pijany. Kazała mu wynosić się. Odparł, że raz na dwa lata może sobie przecież zrobić trzydniówkę i że ma ważniejsze rzeczy na głowie niż jej sceny. Uwalił się spać. Agata L. zażyła środki uspokajające i nasenne, po czym odkręciła gaz. Ocknęła się dwie doby później w szpitalu, potem znowu spała i spała, a kiedy się obudziła, powiedziano jej, że mąż nie żyje i że lekarz zezwolił już na to, by ją przesłuchano.

Zrazu zapewniała tylko o jednym: chciała zabić ich oboje. Ku jej zdumieniu milicja

nie uwierzyła, że to ona odkręciła gaz. Przypuszczano, że to on podał jej środki nasenne i odkręcił kurek. Nie rozumiała: „Jakie Tomasz miałby powody?” Znow nie uwierzyli, że ona nic o tym nie wie, że on naprawdę miał powody, ważne powody, przy których jej motywy zabójstwa połączonego z samobójstwem wydawały się mdłe i nieprawdopodobne.

Dowiedziała się, że on przez wszystkie trzy swoje pijackie wieczory, spędzone naprawdę tylko w męskim gronie i w ciężkiej atmosferze, mówił, że ze sobą skończy tej nocy, zegnał się na odchodnym z kolegami na zawsze, znow przychodził, pił, zapewniał, że już tej nocy na pewno koniec... i znowu przychodził. Dlaczegoż więc - pytano - ona teraz utrzymuje, że odkręcenie gazu było jej dziełem? Czemu wbrew logice faktów upiera się, że zabiła męża, jakby uważała, że wdowieństwo najprzyjemniej przeżywa się w więzieniu?

Potem robiono w jej obecności rewizję w ich mieszkaniu. Wtedy już znała fakty. Mąż uczestniczył w szajce kradnącej co kosztowniejsze i poszukiwane na rynku części wytwarzane w fabryce. Straty szacowane są na blisko milion. Tomasz L. w ciągu dwóch lat miał z tego około 180 tys. Kraść zaczął po zamieszkaniu z Agatą N. Pić począł z kolegami, kiedy aresztowano pierwszego z ich szóstki złodziejskiej, a nie ulegało wątpliwości, że on zacznie sypać. Dalej dowiedziała się, że jej mąż nie był inżynierem. Pracował w randze technika i w biurze głównego technologa służył raczej do podrzędnych zajęć. Jak zeznali jego wspólnicy, to on zainicjował kradzieże, mówiąc, że jest teraz żonaty z osobą bardzo wymagającą pod względem pieniężnym. Tak więc pragnął jej dawać zupełnie nie to, co ją interesowało i czego oczekiwała. On zajęty był mistyfikowaniem swej pozycji zawodowej i robieniem za wszelką cenę forsy, ją zaś pasjonowało nie to, kogo posiada, tylko - na ile posiada. W małżeństwie zdarzają się czasem takie drobne nieporozumienia.

Proces Agaty N. miał charakter poszlakowy, oparty był na samooskarżeniu się podsądnej. Jej obrońca utrzymywał, wbrew przyznaniu się klientki do winy, że z pewnością gaz otworzył Tomasz L., a nie ona.

Sąd uznał Agatę N. winną zadania mężowi śmierci pod wpływem silnego wzruszenia i skazał ją na trzy i pół roku więzienia.

Ból zęba

Doniesienia z życia naszych wyższych sfer muszą być ułomne, bo ludzie z tych sfer uważają, że najmniejsza sensacja (pod inną szerokością geograficzną chętnie widziana przez bohaterów w prasie i nawet, bywa, aranżowana, dla reklamy) może spowodować, iż Takiemu korona spadnie z głowy. Mając zakneblowane usta danym słowem, mogą tylko zapewnić, że to naprawdę bardzo znany, popularny, a nawet dobry aktor zjawił się nad ranem w Pogotowiu z opuchniętym, krwawiącym, poranionym dziąsłem i pokiereszowanym zębem. Dyżurująca dentystka jakoś się z tym uporała, a kiedy skończyła, Aktor zażądał wydania mu zaświadczenia na piśmie: że przyszedł z zębem naderwanym, ale nie wyrwanym, i innymi śladami napoczętego, ale nie dokończonego zabiegu. W zaświadczeniu miało pisać: „wydaje się celem przedłożenia władzom sądowym”.

Dyżurująca w Pogotowiu dentystka odmówiła wystawienia takiego dokumentu, nie uchroniło jej to jednakże od dania świadectwa prawdzie. Aktor przyzwał ją przed sąd jako świadka, gdzie potwierdziła, że zjawił się u niej w fatalnym stanie i ze śladami zabiegu napoczętego, ale nie dokończonego. Dodała przy tym, że nie jest to wypadek wyjątkowy. W Pogotowiu, szczególnie nocą, czasem zjawiają się pacjenci, którzy za dnia uciekli jakiemuś dentyście z fotela. Zdarza się również, że stomatolog nie daje sobie rady z przypadkiem i nie dokończywszy roboty odsyła ofiarę do kliniki, albo, jeśli pora jest późna, do Pogotowia właśnie.

Aktor powiedział sądowi, że o tym zębie od dawna wiedział, iż wymaga on usunięcia. Już pół roku wcześniej umówił się z lekarzem na ekstrakcję, ale skrewił. Panicznie boi się rwania i źle je znosi. Nadto taki zabieg to trudna dlań sprawa z przyczyn zawodowych. Musi znaleźć do usunięcia zęba taki dzień, żeby po nim miał kilka dni wolnych od występów. Nie sposób bowiem odwoływać spektaklu z tak błahej przyczyny. Nie znajdzie ona zrozumienia u żadnego dyrektora teatru. Ci z zasady robią wrażenie ludzi bez sumienia i użębienia, a więc i bez pojęcia, co to znaczy rwanie. Przyszedł jednak czas takiego bólu, którego już nie łagodziły żadne weramony. Kolega dał mu adres dentysty - dr Lucjana T., rekomendowanego jako człowiek o rękach silnych a aksamitnych. Aktor zatelefonował. Dentysta zgodził się przyjąć go natychmiast. Potwierdził diagnozę swojego poprzednika i zabrał się do roboty. Już zastrzyk znieczulający Aktor zniósł bardzo źle, dostał sensacji sercowych, i dentysta musiał go wypuścić z fotela i położyć na kanapie. Minęły kwadransy, nim doktor T. mógł przystąpić do ekstrakcji. Na widok narzędzi pacjent odruchowo zaciskał szczęki i nie mógł się przemóc. Dentysta musiał mu rozdziawić gębę, wsadzając do środka jakieś metalowe rusztowanie, które odjęło pacjentowi i możliwość samoobrony, i mowność. Do tak spreparowanego pacjenta Lucjan T. przemówił: „Znamy się chyba ze słyszenia.” Aktor nic. „Wiem, co pana

łączy z moją żoną.” Aktor skazany był na milczenie i gorączkowe myślenie, która też z jego znajomych może być żoną dentysty po pięćdziesiątce. „Ale proszę się nie bać”... - rzekł dentysta już ze szczypcami w ręku. Zamierzał wrazić je Aktorowi w usta, lecz zajęty swoimi myślami nie uczynił tego i trzymając wielkie, błyszczące narzędzie tortur w łapie, ciągnął monolog: „Już od dawna szukałem jakiejś okazji, żeby się z panem spotkać i porozmawiać”. Słowo „rozmawiać” zakrawało tu na ironię. Pacjent zaczął gorączkowo kręcić przecząco głową i pokazywał na swoje unieruchomione szczęki, mimicznie prosząc o wyzwolenie z zacisków. „Wiem, że Wera jest bardzo zaangażowana...” Aktor szukał w pamięci: „Wera? Weronika? Nigdy nie znał nikogo tego imienia”. „Sytuacja od dawna dojrzała do jakichś rozwiązań - stwierdził dentysta. - Co do mnie nie będę robił żadnych trudności, ale niech pan zachowa się uczciwie...” Aktor sądzi, że to była największa rola jego życia. Żadna ambicja zawodowa, żaden reżyser, żadna publiczność nie byłaby zdolna wywołać w nim takiej ekspresji, napięcia, koncentracji i eksplozji talentu, jak uniesione kleszcze dentystyczne. Oczami, rękami, ciałem starał się wyrazić to, czego usta nie mogły wypowiedzieć: że to nieporozumienie, omyłka. Że on nie wie, nie zna i nie rozumie. Że torturowany jest niewinnie, że gotów byłby wyznać wszystko, gdyby tylko miał co. Że prosi o zmiłowanie. Ale oto, kiedy dawał z siebie wreszcie naprawdę wszystko i kunszt zawodowy podniósł na niedostępne dlań dotąd wyżyny - zawiodła publiczność. Dentysta w ogóle nie zwracał nań uwagi. Zajęty swoimi myślami, mając oczy przysłonięte jakimiś branymi z wyobraźni widokami niewiernej żony i Aktora - mówił dalej, ostro gestykułując kleszczami, które zdawały się płonąć, bo odbijały światło lampy dentystycznej: „Ona jest dobrą dziewczyną, tylko ogromnie rozkapryszona”. Wsadził nagle kleszcze do środka i pociągnął, zaklął, powiedział, że to już próchno, nie ząb i że trzeba dłutować. Wziął jakieś inne narzędzie i mówił, wpatrzony w rozdziawioną gębę Aktora: „Wera miewa chandry. Zaczyna się to migreną, kończy awanturą. W środku jest płacz. Proszę pamiętać, że wtedy trzeba dać jej spokój, zostawić ją samą. Inaczej wyładuje się na pana. To bardzo ważne: zachowywać się tak, jak gdyby jej w ogóle nie było w domu. Poza tym Wera lubi spędzać urlopy za granicą. Radzę z góry gromadzić pieniądze na lato. W ogóle jest kosztowna. Niech pan uważa - żeby nie wiem ile wydawała na nie wiem jakie stroje, za cholere nie wolno okazać zniecierpliwienia. Albo wspomnieć, że nie macie pieniędzy. Szał ubierania nachodzi ją od czasu do czasu i potem sam mija. Trzeba to przeczekać. Aha. Śniadanie do łóżka. To ją czasem dobrze usposabia na cały dzień.” Dentysta przy użyciu dłuta rozsadzał Aktorowi czaszkę i mówił dalej głosem obojętnym, jakby był w jakiejś sali i dla stałych słuchaczy prowadził wykład na temat dobrze sobie znany: „Wera nie znosi, żeby cokolwiek ruszać, jak gdzieś coś postawiła. Przesunięcie wazonu z kwiatami o kilka centymetrów traktuje jako robienie jej na złość. Poza tym, niestety, wymaga swobody. Musi się pan przygotować, że od czasu do czasu nie

wraca na noc, a jeśli spróbuje ją pan ograniczać, pytać, robić wyrzuty, i tak nic nie powie, tylko zniknie na tydzień.”

Aktor czuł, że przemija działanie zastrzyków znieczulających i jął wydawać przeraźliwe, niemowlęce odgłosy. Dentysta, zdawało się, orał mu dłutem mózg. Mówił przy tym: „...proszę mnie zrozumieć, dłużej tego nie wytrzymam. To dla mnie, proszę pana... Człowiek w moim wieku... Chciałbym podchodzić chłodno... Nigdy w życiu nikogo tak nie nienawidziłem, jak pana. Proszę się nie ruszać!” Znieczulenie w ogóle już nie działało, Aktor ryknął i zerwał się z fotela.

„Spokojnie. Bezwzględnie proszę o spokój” - rzekł dentysta dobitnie, co prawda, ale machinalnie. Myślami dalej nieobecny, starał się osadzić pacjenta słowami, które automatycznie podsuwała mu zawodowa rutyna. „Nic nie boli. Na pewno nic nie boli.” Ale Aktor nie wrócił na fotel. W tym momencie dentysta po raz pierwszy spojrział na niego jako na przedmiot operacji, a nie kochanka żony. „Dobrze. Chwilę odpoczniemy.” I wyjął mu rusztowanie z gęby. Gnany bólem i strachem Aktor bez słowa uciekł z tego gabinetu. Teraz oskarża doktora Lucjana T. o niedbałość w pełnieniu zawodu, o umyślne znęcanie się. Żąda kary i odszkodowania za czas, w którym nie mógł pracować po tych dwóch ciężkich ekstrakcjach jednego zęba.

Jedynym świadkiem powołanym przez dra Lucjana T. na swą obronę była żona, przystojna i rozsądna pani po czterdziestce. Pragnęła szczerze i uczciwie wyjaśnić zawinione przez nią okoliczności tego nieporozumienia, którego ofiarą padł mąż, a pośrednio jego przypadkowy pacjent. Może mówić szczerze, o intymnych przecież sprawach, gdyż są one już przeszłe, ostatecznie między mężem a nią wyjaśnione. Cofnąć się musi do okresu sprzed rwania zęba Aktorowi.

Otóż mąż podejrzewał ją, że ma kochanka. Robił sceny zazdrości i awantury. Różnie może kobieta na to reagować: wyznaniem, kategorycznym przeczeniem, ignorowaniem tej tematyki. Ona te podejrzewania po prostu wykpiwała, sprowadzała do absurdu. Na jego pytanie: „Kto to?” - rzuciła nazwisko znanego aktora, chodliwego amanta, bożyszczą podlotków. Potem, kiedy późno wracała do domu czy w innych sytuacjach prowokujących u męża sceny zazdrości, posługiwała się imieniem tego aktora. Sądziła, że w ten sposób wszystko sprowadza do żartów. Nie przypuszczała, że mąż weźmie na serio jej rzekomy romans z aktorem. Traktowała jego nazwisko jako symbol. Gdyby mąż nie wrócił na noc, a ona zapytała go, z kim się szlajał, zaś doktor odparł, że z Brigitte Bardot, przecież nie sądziłaby, że tak było naprawdę, lecz przyjęłaby to jako odpowiednik oświadczenia: „bzdura” lub „nie twój interes”. Skąd tedy mogła przypuścić, że mąż naprawdę weźmie owego aktora za jej kochanka i że akurat on usiądzie przed nim na dentystycznym fotelu?

Opowiada o tym wszystkim, żeby sąd zrozumiał stan umysłu jej męża i nie winił go

za jakże ludzkie, acz biorące się z nieporozumienia odruchy. Aktora nie znała, nie zna i (poza sceną oczywiście) zobaczyła go na oczy po raz pierwszy tu, na sali sądowej.

Doktor Lucjan T. oświadczył, że prawdą jest, iż w trakcie zabiegu mówił pacjentowi o swoich prywatnych sprawach, ale jego o tym relacja jest udramatyzowana i przesadna. Co jednak najbardziej ważne, temat konwersacji nie miał żadnego wpływu na jakość wykonywanej ekstrakcji. Działał właściwie, zgodnie z zasadami sztuki. Pacjenta nie straszył, lecz uspokajał. Nie jest jego winą, że zabieg ekstrakcji zęba, szczególnie takiego zęba, nie należy do przyjemności, ani że Aktor był nadmiernie wrażliwy. Rwanie zęba byłby doprowadził do pomyślnego końca z całą, cechującą od początku jego działania starannością, gdyby pacjent nie uciekł mu z fotela. A on się przecież nie będzie bił w takiej sytuacji ani siłą zatrzymywał dorosłego mężczyzny!

Sprawę wytoczył dentyście Aktor, występując jako oskarżyciel prywatny. Twierdził on, iż doktor T. spowodował uszkodzenie ciała i rozstrój zdrowia, który trwał przez 6 dni, co uniemożliwiło mu przyjęcie w tym czasie proponowanej roli w widowisku telewizyjnym i naraziło go na 8-tysięczną stratę, i jeszcze 600-złotową stratę z innego tytułu (występ radiowy). Przedstawił roszczenie cywilne domagając się zwrotu tej kwoty.

Sąd dentystę uniewinnił, a roszczenie oddalił. Kilkudniowa niezdolność do pracy w zawodzie aktorskim może zdarzyć się przy każdej ekstrakcji zęba - wywodził. Idąc do dentysty Aktor musiał więc liczyć się z tym, że przez kilka dni nie będzie zdolny do pracy, w której jama ustna odgrywa istotną rolę. Dentysta nie zaniedbał niczego ani nie popełnił błędu w sztuce. Uciekając z jego gabinetu, narażając się na powtórny zabieg, pacjent działał z pobudek, które można zrozumieć, ale nie można mimo to uznać, że dentysta spowodował rozstrój zdrowia lub uszkodzenie ciała inne niż to, które jest normalną konsekwencją tego rodzaju zabiegu wykonywanego dla dobra chorego.

Sąd uważa jednak, że jest rzeczą nieetyczną, gdy lekarz dokonujący przykrego, bolesnego, wzbudzającego lęk zabiegu (a także w każdej innej sytuacji, kiedy występuje w roli zawodowej) równocześnie zgłasza wobec pacjenta pretensje prywatne. Dla prezentowania swoich pretensji dentysta powinien był znaleźć inny czas i okazję. Dlatego sąd z urzędu kieruje tę sprawę do postępowania dyscyplinarnego. Uważa bowiem, że powinny się nią zająć organa kontroli zawodowej.

Tak by się przedstawiały skutki pożałowania godnej sytuacji, kiedy to symbole miłości - lub równie dobrze innych wartości abstrakcyjnych, jak: władza, dobro, zło, Bóg, postęp, wiedza, czy cokolwiek - kiedy więc idole uosabiające abstrakty

mają konstrukcję fizyczną zwykłych śmiertelników, odczuwają ból zęba i chadzają do dentysty.

Pieniądze na „Trabanta”

Kiedy facet zjawił się na milicji - płakał. Płakał, chociaż jest 30-letnim mężczyzną jak tur i chociaż nikogo mu nie zabito ani nie zgwałcono, a tylko normalnie rąbnięto mu pieniądze. Płacz był o pieniądze dlatego, że on je zbierał przez sześć lat na książeczkach samochodowych, ale nigdy nie wygrał. I że jak już wreszcie uzbierał ponad 60 tysięcy, to nie mógł w żaden sposób dostać przydziału na „trabanta”, chociaż interweniował sam naczelny dyrektor fabryki, w której jest technikiem-konstrukтором. I że pół roku musiał chodzić koło tej sprawy, nim wreszcie dostał przydział. I że ma żonę i dzieci, do których już wczoraj miał wrócić nowym wozem, a dziś mieli nim jechać na chrzciny siostrzenicy. I że ładnych parę tysięcy dokończył na opłaty i ubezpieczenie. I że tylko przez przypadek tego dnia, kiedy wóz miał odebrać, nie udało mu się załatwić wszystkich formalności, a już następnego dnia z całych siedemdziesięciu tysięcy, które zabrał do Warszawy, nie zostało ani grosza.

Poszkodowany nazywa się Janusz G, a rzeczy miały się następująco: Kiedy okazało się, że w ciągu jednego dnia nie sfinalizuje sprawy, poszedł do restauracji na obiad, myśląc o tym, że trzeba załatwić sobie w stolicy jakiś nocleg. Nie zdarzyłoby się na pewno nic złego, gdyby nie to, że w restauracji było pełno i dosiadło się doń trzech facetów, także przyjezdnych, na delegacji. Trudno, żeby przyjezdny spotkał się z przyjezdnym i nie wypili. Wyklucza wszakże, żeby którykolwiek z tych panów ukradł mu pieniądze, gdyż dużo później jeszcze je miał, a także dlatego, że wszyscy zostawili mu swoje adresy prywatne i służbowe. A więc oni sobie poszli, a on został, bo był pijany, więc chciał się jeszcze napić. Pamięta, że wzywał kelnera uderzając szklanką o blat stołu, aż rozprysnęła mu się w ręce i na obrus pociekła krew. Wtedy okazało się, że jeden ze znajdujących się na sali konsumentów jest lekarzem. Był to człowiek bardzo uprzejmy, bo nie kazał szatniarzowi dzwonić na Pogotowie, tylko sam opatrzył mu rękę medykamentami z knajpowej apteczki.

To trzeba było oblać. Dalej pojechali taksówką pod miasto, do przyjaciela tego lekarza, także doktora. W trójkę smutno im się piło, więc gospodarz zaczął dzwonić do różnych znajomych pań. Janusz G. pamięta, jak tamten mówił im, żeby przyjechały, ale z wódką. Potem usnął, a gdy się obudził, on był trzeźwiejszy, a panie już pijane.

Pieniądze miał w wewnętrznej kieszeni marynarki. Marynarka wisiała na wieszaku w przedpokoju. Przez cały czas pobytu w willi raz tylko zaglądał do kieszeni, kiedy szukał papierosów. Wtedy pakiet z forszą jeszcze był. Wyjął go nawet, obmacał i włożył z powrotem. Nie niepokoił się o swoje pieniądze, bo ani mu przez myśl nie przeszło, że zginą w takim towarzystwie. Obaj jego kompani byli lekarzami,

a i panie były zupełnie nie takie, o jakich czyta się w gazetach przy okazji wzmianek o okradzeniu pijanego gościa. Jedna z nich także była lekarką, a dwie pozostałe... On nie bardzo wie, gdzie pracują, ale to były lepsze panie. Mówiły o książkach, o teatrze. Jedna jeździła kiedyś do Paryża. Jej mąż jest tłumaczem. Takie to były panie. Bardzo eleganckie.

Janusz G. nie zapamiętał żadnych nazwisk, tylko imiona. Adresu willi też nie zna. Wsiadał, pamięta, rano do kolejki na stacji - nomen omen - Miłosna i do dworca szedł dosyć długo. Gdyby go ktoś postawił przed tym domem, chyba by rozpoznał. Wnętrze pamięta z całą pewnością. Pamięta też niektóre charakterystyczne punkty z okolic owej willi: miał pawilon handlowy, potem drewniany kościół. Pojechać by tam, to rozpozna.

Bawili się wówczas do świtu, jeszcze trochę pospał, ale wstał, kiedy inni jeszcze spali, i poszedł sobie, nie zegnając się, żeby ich nie budzić. Spieszył się, aby kupić samochód. Dopiero w Motozbycie spostrzegł, że nie ma swojej forsy. Wyklucza, żeby zgubił ją gdzieś po pijanemu, gdyż w nocy forsa jeszcze była. Marynarkę włożył zaś na siebie dopiero rano, a wtedy był już prawie trzeźwy.

Nawet niedługo trzeba było kręcić się wozem po okolicach Miłosnej, żeby Janusz G. rozpoznał willę. Wewnątrz nikogo wszakże nie było. Okradzionego namawiano, żeby jechał do domu, a milicja już dopilnuje powrotu właścicieli willi i wezwie uszkodzowanego, kiedy będzie potrzeba. Upierał się, że zostanie w stolicy tak długo, dopóki nie odzyska forsy. Woli w ogóle do domu nie wracać, niż wracać bez auta i bez pieniędzy.

Tymczasem właściciel willi, istotnie lekarz, zachowywał się podejrzanie. Zniknął z domu na trzy doby, nie zjawiał się także w pracy. Wrócił czwartego dnia. Opowiedział, że po nagłym odejściu gościa z prowincji całą pozostałą piątką spali jeszcze jakiś czas, potem przenieśli się pić do jednej z obecnych tam pań, potem jeszcze gdzieś i jeszcze gdzieś. Normalna trzydniówka. Był zwyczajnie na polskim urlopie, a o pieniądzach nic nie wie. Służy nazwiskami i adresami wszystkich pozostałych uczestników libacji. Poza tym oczywiście przeszuka mieszkanie, bo pakiet z forszą mógł gdzieś wypaść. Ale daje głowę, że jego gość te pieniądze zgubił lub przepił.

Czworo pozostałych uczestników pijanej nocy też nic nie wiedziało o pieniądzach, a że wszyscy oni byli obywatelami o nieposzlakowanej opinii, dochodzenie nie miało żadnego punktu zaczepienia. Powiedziano więc siedzącemu już dziesiąty dzień w stolicy Januszowi G., że milicja jest bezradna. Żadnej nie ma poszlaki i nie dostrzega metody znalezienia forsy. No bo ewentualne rewizje po domach nie mają szans. Jeśli ktoś wziął - to nie trzyma ich w szafie, wiedząc, że milicja szuka tych pieniędzy. To są przecież inteligentni ludzie.

Nie działo się w tej sprawie nic przez całe dwa miesiące. Zaś po tych dwóch miesiącach ów lekarz, który w knajpie opatrzył Januszowi G. rękę, Roman J., sam zjawił się na milicji. Był bardzo zdenerwowany. Przyniósł wezwanie do Wydziału Finansowego wystawione na nazwisko Jana B. i opowiedział następującą historię: Od niespełna roku mieszka z Barbarą B., 20-letnią uczennicą szkoły pielęgniarstwa. Mają zamiar się pobrać, kiedy jego żona udzieli mu rozwodu. Pomiedzy nim a dziewczyną są ciągle nieporozumienia na tle finansowym. Ma ona dość ustawiczne pretensje, że jako żywiciel ich dwuosobowego stadła za mało daje jej na prowadzenie domu i stroje, za dużo zaś przepija. Istotnie on lubi sobie popić. Ostatnio zauważył, że Barbara B. kupuje dużo ciuchów, i zapytał ją, skąd ma pieniądze. Odparła, że to nie jego interes. Dał więc spokój, ale oto nagle dziewczyna zawiadomiła go, że kupuje samochód na raty i że on ma te raty spłacać. Oświadczył kategorycznie, że nie ma pieniędzy na żadne raty. Ona odpowiedziała: „Jakoś to będzie”. „Skąd - zapytał - miałaś na pierwszą ratę?” Znow odparła, że to nie jego interes. Kazał jej związać manatki, bo miał tego dość. Wtedy powiedziała mu, że chyba jest wariatem. Nie daje jej forsy, a ściubi ją i przechowuje w jednym z ubrań wiszących w szafie. Kiedy zaś zabiera mu z tej kieszeni wielki majątek, przez półtora miesiąca w ogóle tego nie zauważa. I tak Roman J. dowiedział się, że w kieszeni marynarki miał pakiet zawierający 70 tysięcy, sumę, o którą dopytywała się milicja. Otóż on tych pieniędzy nie ukradł. Ktoś mu włożył je do kieszeni. Pewnie dla żartów.

Chciał od razu iść na milicję, ale forsa już była wydana co do grosza. Wóz wzięty na raty na imię ojca Barbary B. Nie można go sprzedać. Skąd miał wziąć 70 tysięcy, żeby oddać? Zwlekał więc z dnia na dzień z pójściem na milicję, radził się przyjaciół, co zrobić. Aż nagle przyszło wezwanie z Wydziału Finansowego dla ojca Barbary B. Trzeba się tam tłumaczyć, skąd wzięto się forszę. Pan Jan B. przybiegł z tym do córki, przesadnie zdenerwowany. Uprzedził, że powie, iż to jej pieniądze. Doktor Roman J. poczuł, że jest w pułapce. Milicja szuka siedemdziesięciu tysięcy. Jeśli się okaże, że ojciec dziewczyny, z którą on mieszka, ni z tego ni z owego, mając bardzo skromne uposażenie, kupuje auto i forszę na nie dostał od córki - Roman J. będzie zaraz mocno podejrzany o zwidzenie pieniędzy. Dlatego wolał przyjść i wszystko wyznać. Nie żąda, żeby mu wierzyć, bo wie, jak to nieprawdopodobnie brzmi, kiedy ktoś powiada, że znalazł w swojej kieszeni grubą paczkę zawierającą 70 tys. i nie wie, skąd on się tam wziął. Ale ma nadzieję, że milicja tego dojdzie.

Znowu przesłuchano wszystkich uczestników bibki i nikt się nie przyznał do przekładania forsy z kieszeni do kieszeni. Milicja uwierzyła jednak Romanowi J. po przesłuchaniu Barbary B. Dziewczyna ta była za mało sprytna, żeby potrafiła konsekwentnie kłamać przed fachowcami z MO, opowiadając ze szczegółami, jak to przez prawie dwa miesiące jej amant w ogóle nie upominał się o pieniądze, które

zabrała mu z kieszeni, później zaś twierdził, że nie wiedział, skąd się one tam wzięły. Lekarz znowu wydawał się za mądry, żeby - skradłszy, załóżmy, tę kwotę - trzymać ją u siebie w szafie i potem kupować auto przez tak niefortunnie podstawioną osobę trzecią, a na koniec lecieć na milicję bez żadnego wezwania i oświadczać, że pieniądze Janusza G. znalazły się u niego.

Jedno zdanie Romana J. pozwoliło milicji ustalić prawdopodobny bieg zdarzeń. Otóż Roman J. podobnie jak Janusz G. marynarkę powiesił w przedpokoju na wieszaku. Pijany G. wyjął z kieszeni swój pakiet i schował z powrotem, tylko nie do swojej już, lecz cudzej marynarki.

Prokurator postanowił warunkowo umorzyć sprawę o przywłaszczenie sobie przez Romana J. znalezionych pieniędzy - po pierwsze dlatego, że nie było to klasyczne przywłaszczenie, skoro lekarz dowiedział się o nim, gdy już pieniądze, bez jego winy, były wydane, po drugie - żeby nie robić złodzieja z człowieka, który w końcu bez żadnych złych intencji został przez okoliczności odeń niezależnie wmanewrowany w trudną sytuację. Warunkiem niewytaczania sprawy, w której oskarżenie miałoby wszakże pewne podstawy do domagania się kary (lekarz dwa tygodnie zwlekał z zawiadomieniem, że u niego były pieniądze, co już może znaczyć, że chciał je sobie przywłaszczyć), był zwrot owej sumy poszkodowanemu. Roman J. uczynił temu zadość w tej formie, że przekazał „skodę” Januszowi G., zobowiązując się równocześnie płacić raty aż do wyczerpania kwoty 70 tysięcy. W rezultacie Janusz G. zamiast „trabanta” stał się właścicielem droższego auta, ale został obciążony pięćdziesięciotysięcznym długiem. Auto marki „skoda” i ten dług wydają się słuszną karą losu za to, że po pijaku pomylił kieszenie, a potem stawiał na nogi milicję, płacząc, że go okradziono.

Kangur

Jeśli ktokolwiek będzie akurat w Australii, odwiedzi tamtejszy park narodowy i spotka kangura ubranego w jasną, kraciatą marynarkę z pedetu wartości 930 złotych, legitymującego się polskim paszportem - niechaj nie idzie jednak do psychiatry.

Wojciech G., 58-letni rolnik ze wsi Luty, pojechał do Australii w odwiedziny do swego brata, 63-letniego Antoniego G., farmera osiadłego tam na stałe od pół wieku. W trakcie zwiedzania parku narodowego przybysz z Polski zapragnął sfotografować się z kangurem. Zwabiono oswojonego torbacza. Dla większej uciechy Wojciech G. ubrał go w swoją marynarkę, objął kangura, brat pstryknął fotografię, ale zwierzak spłoszył się i po-o-szedł! W wewnętrznej kieszeni marynarki był paszport Wojciecha G.

Nasz bohater wpadł w rozpacz i panikę, nie miał bowiem pojęcia, co teraz zrobić i jak dostać się z powrotem do Polski. Nie wpadł na pomysł, że zamiast martwić się samemu, trzeba iść do konsula i sprawić, żeby tamten zaczął się martwić. Desperował rolnik-turysta, że już nigdy nie zobaczy swojej gospodarki, swoich krów, swoich córek, wsi, kościoła, cmentarza i temu podobnych części składowych pojęcia ojczyzna. Brat go pocieszał, ale niczego nie umiał doradzić.

W trakcie pobytu w Australii bracia G. ustalili, że Antoni poleci z Wojciechem do Polski, złoży rewizytę. Wyrobił sobie paszport, wizę i bilet na samolot. Pewnego dnia australijski G. spostrzegł, że gość z Polski zniknął, a wraz z nim jego bagaż. Było to zadziwiające, gdyż farma Antoniego G. położona jest w dosyć bezludnej okolicy, na pustkowiu i nie masz innego sposobu wydostania się z niej, jak jazda autem kilkadziesiąt mil do najbliższego środka publicznej komunikacji. Potem Antoni G. zauważył, że wraz z bratem zniknął jego paszport zagraniczny, bilet lotniczy i niewielka suma pieniędzy. Odkrycie to zrobił na tyle późno, że już nie dogonił Wojciecha. Wyruszył on w drogę pieszo, odleciał z Australii i przybył do Polski jako Antoni G., obywatel australijski.

Rzekomy turysta wylądował w Warszawie i zamierzał jak najszybciej dostać się do siebie na wieś. gdzie czułby się już pewnie, bo zna komendanta posterunku i mógłby mu śmiało powiedzieć, że zgubił paszport. Wypiliby po piwku i - sądził Wojciech G, - cała sprawa byłaby załatwiona. Wojciech G. nie ma bowiem wyobraźni ogarniającej obrotu maszynierii nowoczesnego państwa i sądzi, że zaginięcie po wsze czasy przybyłego do Polski Australijczyka uszłoby uwagi odpowiednich urzędów, a także zniknięcie bez śladu Polaka, który wyjechał do Australii. Nie miał również pojęcia, co go spotka zaraz po przylocie.

Przeszedł gładko kontrolę graniczną i celną, ale oto zażądano, żeby wymienił pewną kwotę w obcej walucie na złote polskie. Odparł na to prostodusznie, że nie wymieni, gdyż nie ma (istotnie funty australijskie wydał po drodze co do sztuki), a także dlatego, że nie potrzebuje. Ma złotówki. Tu wyjął i pokazał plik setek, które ze sobą przywiózł (wywiózł je uprzednio z kraju i wpisał do deklaracji celnej). Poinformowano go, że nie wolno cudzoziemcom wwozić do Polski złotówek, że pójdą one do depozytu, że odpowiednie władze zdecydują, co z nimi robić. Zaczęto spisywać protokół, szukać jakiegoś naczelnika, który wie ponoć, co począć z cudzoziemcem dewizowym przybywającym do Polski bez jednej złamanej dewizy... Zaczęła się krzątanina, dzwonienie, bieganie, pisanie. Wojciech G. zląkł się i po prostu prysnął. Miał jedną tylko myśl i pragnienie: żeby jak najprędzej znaleźć się u siebie na wsi, gdzie władza jest życzliwsza, jej działania mniej skomplikowane a bardziej zrozumiałe, gdzie jego znają, on zna kogo trzeba i wszystko da się załatwić.

Wsiadł Wojciech G. do taksówki, powiedział kierowcy, że nie ma pieniędzy na zapłacenie, ale da mu nową australijską koszulę nylonową za odwiezienie na dworzec, skąd odchodzą pociągi w jego strony. Taksówkarz zgodził się i zawiózł go na Dworzec Wileński. Okazało się, że nasz podróżnik ma jedenaście godzin czasu do odejścia swojego pociągu. Skłopotał się tym, ale usiadł na ławce ustawionej na skwerku i zaczął czekać. Miał zamiar jechać na gapę, a w potrzebie ratować się nylonowymi koszulami, w które brat go obficie zaopatrzył.

Po jakimś czasie poczuł straszny głód. Niedaleko był kiosk, gdzie sprzedawano kiełbasę z rusztu i piwo, ludzie jedli sobie, pili, a on nie miał nawet głupiej dychy, żeby się posilić. Wyjął więc z walizki australijską nylonową koszulę i położył obok siebie na ławce, w nadziei, że a nuż ktoś kupi. Istotnie koszula zwabiła jakiegoś kulawego, łysego jegomościa, który zainteresował się, czy to na sprzedaż, a jeśli tak, to za ile i jak wiele sztuk mieści ta walizka. Kulawy powiedział, że za 50 zł by taką kupił, ale gdyby sprzedawca poszedł z nim kawałek do jego mieszkania, bo nie ma przy sobie pieniędzy. Zgodzili się na siedemdziesiąt i poszli. W drodze kulawy objawił wahanie: on kupi, a potem ktoś będzie się go czepiać. Skąd można wiedzieć, czy towar nie jest kradziony? Wojciech G. oburzył się, wyciągnął australijski paszport. Kulawy od razu zrobił się bardzo życzliwy, nawet serdeczny. Kazał żonie wykombinować stowę i kupić jedzenie oraz wódkę, bo mają zagranicznego gościa. Kiedy we dwójkę zjedli i wypili, poczuli pragnienie. Kulawy posłał więc żonę po pewnego znajomego, który zajmuje się handlem, to może kupi ze dwie takie koszule. Jedną Wojciech G. dał już przedtem kulawemu w prezencie.

Handlarz niebawem przyszedł i wyraził chęć obejrzenia wszystkiego, co Wojciech G. ma w walizce. Miał zaś dużą ilość prezentów dla niezliczonych krewnych. Oglądali je, podziwiali, ale z obrachunku naszego bohatera, co dla kogo wiezie,

wynikało, że może sprzedać z tego wszystkiego tylko dwie nylonowe koszule. Otrzymał za nie 150 złotych i zaraz przeznaczył je na wódkę. Potem było coraz więcej wódki i coraz więcej biesiadników. Nic nie pamięta z tego, co się działo. Kiedy się ocknął, skonstatował, że jest w zupełnie innym mieszkaniu, nie ma tu kulawego łysonia, jest za to wezwany przezeń handlarz. Jego pociąg już odszedł. Do następnego ma 22 godziny. Walizka wyparowała.

Rozzalonego Wojciecha G. oświadczył, że idzie na milicję. Handlarz odwoził go od tego zamiaru: z tamtego mieszkania wyszli z walizką. Inna rzecz, że sporo z niej ubyło. Czy drogi gość nie pamięta, jak całymi garściami wyciągał ciuchy i dawał, żeby to sprzedać na wódkę? W każdym razie tę swoją walizkę niósł, kiedy zmieniali lokal. Widocznie nie doniósł, ale rzucił czy zapomniał gdzieś po drodze. Jeśli będzie oskarżał porządnym ludzi, sam też może się narazić na przykrości.

Wojciech G. nie posłuchał życzliwego słowa. Milicji pokazał australijski paszport, powiedział, że mu skradziono walizkę, a handlarz podał swoją wersję, wydarzeń i coś nadto jeszcze. Kiedy opowiadał, że Wojciech G. oddawał ciuchy na wódkę, dodał: „...i na lewo i prawo sprzedawał dolary”.

„Mamy więc dwie sprawy: kradzież walizki, gdzie pan jest poszkodowanym, i sprzedaż dolarów, gdzie pan jest podejrzanym” - poinformowano Wojciecha G. na milicji, a on oburzył się na to posądzenie. Żadnych dolarów nie miał i nie woził do Polski. Na lotnisku mogą to poświadczyć.

Posadzono naszego bohatera w jakiejś poczekalni, potem przewieziono do innego, ważniejszego budynku. Znowu siedział i czekał. Potem się dowiedział, że milicja już wie, iż bryknął z lotniska, że o jego kłopotach zawiadomiony jest konsul i rodzina w kraju, a on na razie ma podpisać, iż go poinformowano, że jest podejrzanym o handel dewizami, bo w tej sprawie będzie się toczyło dochodzenie. I wobec tego ma zostać w Warszawie, już mu się załatwia hotel. Rodzina jutro przyjedzie. Milicja opłaci mu taksówkę, żeby pojechał do konsula, gdzie otrzyma pieniądze. A może zechciałby przy okazji wyjaśnić, dlaczego bez grosza przy duszy ruszył w podróż przez pół świata i skąd miał złote polskie przy sobie?

Wojciech G. poczuł, że wpada w matnię bez wyjścia, i oświadczył, że pragnie szczerze wszystko wyjawić. Przyjechał do Polski jako swój brat, ale nie jest tym bratem, lecz sobą samym. Nie było to dostatecznie zrozumiałe. Wtedy zaczął z innej beczki. Wyciągnął z kieszeni barwną fotografię. Stał na niej on - opalony, roześmiany - i obejmował ramieniem kangura ubranego w jasną marynarkę z pedetu. Zrobił sobie takie zdjęcie - opowiadał - a wtedy kangur skoczył i uciekł z jego paszportem. Ale brat miał wyrobiony paszport z wizą i kupiony bilet, więc z tej rozpaczy pojechał za brata. Są do siebie bardzo podobni, tak że zdjęcie w paszporcie pasowało do jego twarzy.

Oficer milicji zapewne miał wątpliwości, czy dalej winien tego słuchać, czy też właściwszym dla tego faceta rozmówcą byłby psychiatra. Potem jednak nieskładna ta opowieść objawiać zaczęła jakiś sens. Tyle że dotyczyła zdarzeń zupełnie nieprawdopodobnych.

Znalazła się walizka. Przyniósł ją milicji ów zainteresowany nylonowymi koszulami handlarz. Jeden ze współbiesiadników - twierdził handlarz - zapamiętał, że kiedy szli z owym australijskim Polakiem, żeby zmienić lokal, gość po drodze wszedł w krzaki za małą potrzebą. I teraz w krzakach znaleźli walizkę. Ów współbiesiadnik potwierdził to zeznanie. Z walizki mało co ubyło. Czy było tak, czy złodziej walizki w ten sposób postanowił ratować swoją skórę - już nie można było dociec. Upadła sprawa o kradzież, upadła i ta o handel dewizami. Władze celne musiały uznać, że rzekomy Antoni G. nie ma obowiązku wymieniać dewiz i ma prawo wwieźć złotówki. Została sprawa o przekroczenie granicy na podstawie cudzych dokumentów i trafiła do sądu. Adwokat akcentował dziewczącą nieświadomość prawną Wojciecha G., całkowitą niezdolność rozumienia przepisów, jego bezradność i niewiedzę, co począć w sytuacjach, z którymi się zetknął w tej podróży. A także podkreślił brak złych intencji ze strony swego klienta.

Na procesie odczytano list brata z Australii, który pisze, że się nie gniewa i wybacza. Nie może tylko zrozumieć, czemu brat zabrał mu także prawo jazdy. Niechaj odeśle, a wówczas on pojedzie do parku narodowego i poszuka jeszcze tego kangura biegającego z polskim paszportem.

Biurko

Znam parę osób; które żyją z pisania do „Życia Warszawy”, ale tylko jedną taką poznałem, która utrzymuje się z czytania „Życia”. Oczywiście nie każda lektura jednakowo wzbogaca. Chociaż korzyść duchową można odnieść np. z czytania felietonów Kopalińskiego, w pogoni za materialną radziłbym jednak ogłoszenia.

Jakub W., zawodowy czytacz ogłoszeń, przekroczył już siedemdziesiątkę. Jego całe życie: urodzony w 1901 roku, filozofię studiował w Halle i we Lwowie. Przed wojną administrator wydawnictwa książkowego, po wojnie zaszedł wysoko w administracji gospodarczej. Ukończywszy 65 lat przeszedł na emeryturę i wówczas postanowił sprzedać samochód, bo obliczył, że teraz go już nie stać na eksploatację. Studiować więc zaczął ogłoszenia, szukając amatora takiego pojazdu, i znalazł go. Jednocześnie zauważył ogłoszenie kogoś, kto oferował na sprzedaż mosiężną blachę. Akurat potrzebował płyt takiej; przy piecach w jego mieszkaniu podłogi były wybite miedzianą blachą, dla ochrony parkietu przed wypadającym żarem. Blacha była podarta, bo leżała tak dziesiątki lat, prosiło się, żeby ją wymienić. Potrzebował metra kwadratowego. Zadzwoił, dowiedział się, że na sprzedaż jest 100 m kw. za 30 tys. zł. Przeprosił. Niebawem sprzedał samochód. Miał pieniądze. Dowiedział się, że 1 m kw. blachy miedzianej kosztuje na wolnym rynku około 1000 zł. Ponownie zadzwonił do właściciela blachy, kupił 100 m kw. i sprzedał ów towar, nie dotykając go nawet, za 100 tys. zł. Odbiorca zapłacił mu i odebrał ładunek u owego kogoś, kto dał ogłoszenie.

Jakub W. podniecony tym trafem uznał, że życie emeryta nie musi być nudne, można przyjemnie zabić czas czytając ogłoszenia. Cała jego fatyga przy manipulacji z blachą to były dwa telefony, a zarobił tyle, ile przedtem wynosiła jego roczna pensja. Inna rzecz, że bez premii. Miał także kapitał zakładowy ze sprzedaży wozu i blachy: 145 tys. zł.

Rano wstawał i kupował „Życie”. To był koszt własny jego interesu, jeśli nie liczyć rachunku za telefon i ulgowych biletów tramwajowych. Potem szedł do miasta. Odwiedzał sklepy „Desy” i komisje, prywatne warsztaty rzemieślnicze i budowy domków jednorodzinnych. Każde zajęcie wymaga jakiegoś takiego wykształcenia. Emeryt poznawał ceny. Niebawem nie musiał już odbywać tych wędrówek. Wiedział na pamięć, ile jest warta łódź ze sklejki laminowanej, folia sztuczna do nadruków Luxor Special P-220, akordeon „raumer”, charciki włoskie - szczenięta z rodowodem po championie, chryzantemy białe wielkokwiatowe, mikrofon marki „Shure”, dachówki, kantówki z blachy grubocynkowej, maszynka do oczek z motorkiem, prasa hydrauliczna, gabinet „chippendale”, Yashika Mat-124 z nasadkami do zbliżeń, wózek inwalidzki, kamień polny średni, wzmacniacz

sceniczny uniwersalny wibrato, świecznik wschodni dziewięcioramienny, rożen na 20 kurczaków, „facit” dwudziałaniowy z kwitem celnym, polistyren wysokoudarowy, tarcica czy urządzenie do niklowania z połyskiem.

Potem nauczył się z treści ogłoszenia dedukować, kto zacz sprzedający, i to był wyższy szczebel wtajemniczenia w handel. Gdy ktoś podawał dużo szczegółów technicznych, a do tego i cenę - nie było po co się fatygować. Gość zna wartość tego, co sprzedaje. Ogłoszenia w rodzaju „meble stylowe”, bez dalszego opisu, albo „różne materiały budowlane” mogły znamionować frajera. Jakub W. zaś polował na frajerów właśnie.

W pierwszym okresie wcale mu tak świetnie nie szło. Owszem, zarabiał, ale nabiegawszy się parę tygodni stwierdzał, że na kilkadziesiąt namotanych transakcji wypaliły mu dwie, trzy, a odliczywszy straty w handlu, miał czystego zysku kilka tysięcy. Zaraz po wspaniałej operacji z blachą zarobił dwa tysiące na starych skrzypcach. Potem stracił pięć na jakimś antyku, niedbale - okazało się ponieważ - połatany deskami przez jakiegoś stolarza-profana, i przez dwa tygodnie musiał tę stratę odrabiać. Z czasem szło mu lepiej. Miał stałych odbiorców, którzy doń dzwonili, kiedy czegoś potrzebowali (nie zdradzał im źródła zaopatrzenia). Coraz rzadziej zmuszony był dawać sam ogłoszenia o sprzedaży (ktoś mógł wypatrzyć, że handluje zawodowo). Wynajął także skład na swoje skarby. Prowadził zapiski. Nauczył się też czekać, aż dawca ogłoszenia, który nie znalazł nabywcy, obniży cenę o połowę.

Po niespełna pół roku działalności kupił sobie „fiata” (konieczność zawodowa). Po roku jego żona rzuciła pracę, mimo że tylko dwóch lat brakowało jej do emerytury. Po sześciu z górą latach działalności 72-letni Jakub W. był właścicielem domu urządzonego z przepychem, zatrudniał pomoc handlową - bratanicę, co pozwalało mu po parę miesięcy w roku spędzać na wyjazdach wypoczynkowych. Ile zarabiał, Bóg jeden raczy wiedzieć i jego żona. „Liczą się nie tylko pieniądze, ale i czynna starość” - powiada, i wspomina, że gdyby nie zamięłowanie do porządku w domu, które kazało mu pomyśleć o wymienieniu zniszczonych kawałków blachy przy piecach, tak jak inni emeryci spacerowałyby po Łazienkach i w powrotnej drodze zastanawiał się, czy kupić 10, czy 15 dkg szynki.

Każdy, najpomyślniej nawet uprawiany zawód ma pewne cienie. Wadą zajęcia Jakuba W. było to, że w siedemdziesiątym drugim roku życia poszedł siedzieć, że willę i samochód obłożono mu sekwestrem, a conto zaległych podatków oszacowanych na kilkaset tysięcy, że czeka go sprawa karno-skarbowa, więc i gigantyczna grzywna.

Któregoś dnia natrafił na ogłoszenie, że na sprzedaż jest empirowe biurko. Złożył ofertę, podając adres i telefon. Otrzymał na nią odpowiedź. Znalazł się

w mieszkaniu zastawionym antykami i kupił mebel, raczej bardzo tanio, za 9 tys. zł. Sprzedającą była pani w średnim wieku. Biurko zabrał i zatrzymał u siebie w domu.

Po jakimś czasie odwiedził go pan Zenon O. i zażądał zwrotu biurka. Wyjaśnił, że sprzedającą była jego eks-żona. Po rozwodzie dzieli z nią nadal mieszkanie. W swoim czasie sędownie dokonany został podział majątku. To biurko przypadło jemu i ma na to dowód, gdyż rozgraniczenie własności oparte zostało o spis przedmiotów. Tu pokazał odpowiedni dokument. Była żona wyzyskała jego wyjazd na urlop, dokonała sprzedaży, do której nie miała prawa, i zagarnęła pieniądze. Z tego powodu wynikła między eks-małżonkami oczywiście awantura i eks-żona dała mu adres nabywcy.

Jakub W. pojechał wraz ze swym gościem do Kazimiery O. - pani, która sprzedała biurko, i oświadczył, że w tej sytuacji gotów jest mebel zwrócić, tylko prosi o swoje pieniądze. Pani O. powiedziała na to, że pieniędzy już nie ma, a była w prawie dokonać transakcji, gdyż były mąż swojego czasu wyniósł z domu do niej należące srebra, większej zresztą od biurka wartości. Pan W. - mówiła - ma zatrzymać biurko i nic się nie przejmować. Niechaj jej były mąż oddaje sprawę do sądu. Ona ma świadków na te srebra, a Zenon O. jest nałogowym alkoholikiem, którego coraz zamykają do zakładu.

Pan O. - alkoholik czy nie - zagroził sądem i milicją. Zażądał, aby nabywca biurka zaraz je zwrócił, i niechaj się z jego byłą żoną procesuje o pieniądze. Wygra z pewnością. Słyszając o milicji i sądzie, Jakub W. zgodził się biurko oddać nawet za część kwoty, którą zapłacił. W wyniku kiepskiego dlań kompromisu otrzymał wazon wartości 3 tysięcy i mgliste obietnice. Wziął, co dawali, i zwrócił biurko, wliczając stracone 6 tys. w koszta handlowe.

Niebawem odwiedził go pan Zenon O. Przyniósł stare męskie futro z oposów i zepsuty zegar kominkowy. Oświadczył, że pan W. może u jego byłej żony sprawdzić, iż obie rzeczy nie są jej własnością. Zażądał słonej ceny. Jakub W. ostro potraktował woniejącego wódką gościa. Nie skupuje - powiedział - starzyzny, nie interesuje go futro ani zegar. Zenon O. odrzekł na to, że wie, iż pan Jakub W. zajmuje się zawodowo handlem, niechaj więc nie kręci, tylko zaraz kupuje. Gdy nasz bohater usiłował pozbyć się pijanicy, ten począł mu wyliczać transakcje, które pan W. uprzednio przeprowadzał, i zyski, jakie osiągnął. Jakub W. zdrętwiał. Uprzytomnił sobie, że w zdenerwowaniu, oddając biurko, nie wyjął zeń brulionu ze swoimi handlowymi zapiskami. Gość zgodził się zwrócić zeszyt, jeśli pan W. kupi odeń futro i zegar. Gospodarz dał mu dwa tysiące, jedną trzecią żądanej kwoty, obiecując wypłacić resztę, kiedy Zenon O. odniesie jego zeszyt. Ta przygoda - obliczał - będzie go kosztowała 15 tysięcy, ale, okazało się, że to był optymistyczny szacunek.

Zenon O. przyszedł następnego dnia, ale zamiast brulionu przyniósł obraz olejny i używany arytmometr. Wycenił towar na 20 tysięcy i bardzo go zachwalał. Zapomniał - powiedział - zabrać ze sobą zeszyt z zapiskami, ale jutro na pewno przyniesie. Na dowód swoich dobrych intencji obraz i maszynę do liczenia zostawia nie biorąc gotówki.

Zainkasuje ją nazajutrz. Prosi tylko o należne mu 4 tys. za zegar i futro, bo jak ich nie dostanie, wyśle brulion milicji.

Jakub W. odmówił płacenia. Powiedział, że kiedy Zenon O. przyniesie brulion, wtedy będą rozmawiać. Inaczej w ogóle nie ma o czym mówić. Pijak ponowił pogróżki i wyszedł obrażony. Więcej się nie zjawiał. Jakuba W. wezwano natomiast na milicję, gdzie zorientował się już po kilku słowach, że wszystko o nim wiedzą.

Zenon O. zeznał, że wpierw przyniósł nie zegar i futro, ale arytmometr i uzyskał zań 2 tys. złotych. Ponieważ na aparacie widniała tabliczka inwentaryzacyjna państwowej instytucji, Jakub W. stał się podejrzany o paserstwo. Zatrzymano go również w areszcie ze względu na skalę jego operacji handlowych i domniemanie, że nie gardził kupowaniem kradzionego. Zarzut o paserstwo upadł i Jakub W. wyszedł z aresztu tymczasowego, kiedy Zenon O., obwiniony o wyniesienie arytmometru ze swojego biura, wyjaśnił, że zrobił to właśnie po to, aby obciążyć Jakuba W. Twierdził, że Jakub W. jest byłym kochankiem jego żony - przy tej koncepcji się upierał - do którego ona wносиła przedmioty z ich mieszkania jeszcze wtedy, kiedy byli małżeństwem. Jakub W. czeka więc na sprawę karnoskarbową li tylko. Doświadczył, że nie są dobre te, nawet lukratywne z pozoru, zajęcia, których wykonywanie nadmiernie człowieka uzależnia od innych ludzi.

„Wolę oddać wszystko, co zarobiłem, skarbowi państwa - powiedział czytelnik ogłoszeń - niż do końca życia łądować forszę w tego pijaka.”

Ten od słoni

„Na obecnym etapie rozwojowym zakład nasz przeżywa poważne trudności energetyczne. Ciągłość produkcji rwana jest, wraz z dostawą energii elektrycznej, skutkiem przestarzałej instalacji podziemnej, kablowej, wymagającej wymiany. Remont kabla zaplanowany już w roku 1966 ulega odwłoczeniu, gdyż wymaga instalowania zastępczego doprowadzenia energii. Z każdym dniem grozi nam trwały przestój. W tej dramatycznej sytuacji, spędzającej załodze sen z powiek, sytuacji niepewności jutra, nasz dyrektor odbywa naradę z pracownikami pionu finansowego, poświęconą sprawie, że słoń popełnił samobójstwo dla jego córki. Przed całym krajem stoją wzmożone zadania produkcyjne. Nasz zakład nie chce wlec się w ogonie...”

Trzymajmy się słonia. Była to samica. Żyła w kraju rozwijającym się, gdzie polski ekspert nadzorował budowę przemysłową. Mieszkał - polski ekspert - w parterowym bungalowie. Jego żona na chwilę wyszła do ogrodu. Za powrotem ujrzała słonia, który okazał się później być samicą. Słonica stała z łbem wściubionym przez okno do wnętrza domu. Zaś w domu, w kojcu, siedziała czternastomiesięczna córka polskiego eksperta nadzorującego budowę przemysłową w kraju rozwijającym się. Przerazona ekspertowa wbiegła do mieszkania, lecz kiedy osiągnęła już dziecinny pokój, słoniowego łba w nim nie było, dziecka również. Krzyk, spazmy, zbiegli się ludzie, a słonia nigdzie nie było widać. Ludzie sprowadzili poganiacza słoni, jedyne bowiem w tej okolicy istniejące słonie pracowały na budowie nadzorowanej przez polskiego eksperta i stanowiły część parku maszynowego. Poganiacz zapewnił matkę, że słonie, jako roślinożerne, nie jadają dzieci. Więcej: słoń, chcący ani niechcący, nic złego dziecku nie zrobi. I rzeczywiście wkrótce znaleziono słonicę. Stała sobie, trzymała dziecko w zwiniętej trąbie i huśtała je. I słonica, i dziecko były bardzo zadowolone. Odtąd codziennie po skończonej pracy słonica przychodziła i bawiła się z polską ekspertówną, co wszystkim dogadzało. Słonicy na pewno. Przychodziła z dobrej woli, nikt jej nie zmuszał. Mogła mieć niewyżyte instynkty macierzyńskie, albo brakowało jej innych rozrywek po pracy. Dziecku - ponieważ dzięki słonicy nie cierpiało w życiu nudy, która jest przekleństwem wszystkich maleńkich dzieci, nie mających jeszcze dostępu ani do zajęć pożytecznych, ani do rozrywek kulturalnych, lektury czy chuligaństwa. Dogadzało to również rodzicom dziewczynki, ekspertostwu z Polski, bo ileż to innych rodzin musi płacić za zabawianie swojego dziecka.

Wszyscy byli szczęśliwi, ale budowa przemysłowa dobiegła końca, wygasł kontrakt polskiego inżyniera i zbierał się on z rodziną do kraju.

Odjechali ci Polacy z rzeczami kolumną samochodów i w pobliskim porcie wsiedli na statek. Gdy właśnie odbijał on od nabrzeża, ujrzeni tuman kurzu. To biegła słońca. Próżno usiłowała ją zatrzymać straż portowa. Rozwalając sterty skrzyń i wszystko inne, co znalazła na swej drodze, słońca nieomylnie dobiegła do miejsca, gdzie statek przed chwilą jeszcze był przycumowany. Kiedy zaś zobaczyła czy wyczuła, co się stało, bez namysłu wskoczyła do basenu portowego i popełniła samobójstwo.

Tak wygląda opowieść o słońcy, za której prawdziwość nie dałbym jednego „sporta”. Ale ileż ta słońca - prawdziwa czy zmyślona - narozrabiła w jednym naszym powiecie!

„Doszły mnie słuchy - pisał dyrektor zakładu inż. Józef L. - jakoby zaniedbywał sprawę remontu instalacji energetycznej, osłabiał dyscyplinę w biurze, dezorganizował pracę, odciągał uwagę załogi od zadań produkcyjnych i podrywał swój autorytet, organizując w pionie ekonomicznym naradę w sprawie słońca. Wszystkie te zarzuty są nieprawdziwe, krzywdzące i mają na celu ordynarną, jak to się mówi, rozróbę skierowaną przeciwko dyrekcji...” Tu następowało szczegółowe omówienie sprawy gnijącego kabla elektrycznego. Wynika zeń po pierwsze, że wedle ustaleń komisji ekspertów z Działu Sieci, kabel nie jest jeszcze taki zgniły, żeby był niezdatny. Po drugie - dyrektor robi wszystko, co może, w sprawie remontu, a nawet więcej, niż może. Zaś rozpowszechnianie plotek, iż zakład może stanąć, jest świadomym demobilizowaniem załogi, chociaż: „trzeba przyznać, że zdarzają się awarie powodujące chwilową przerwę w dostawie mocy”.

Dalej dyrektor Józef L. pisze: „...co do słońca, chciałbym wyjaśnić, że wszystko to rozmija się z prawdą. Po pierwsze, nigdy w życiu nie byłem w żadnym kraju rozwijającym się, ani jakimkolwiek innym, z wyjątkiem Czechosłowacji, NRD, ZSRR i Rumunii. Po drugie, nie mam córki. Po trzecie, nie zwoływałem żadnej narady w sprawie słońca. Prawdą jest natomiast, że: mój ojciec był prostym robotnikiem na kolei, co nakłada na mnie, jako dyrektora, świadomość potrzeby bycia skromnym i dbałość o właściwe formy i treści współżycia z podległym mi personelem. Mając do podpisania delegację służbową szefa produkcji inż. Jana W., pragnąłem wyjaśnić prawidłowość rozliczenia, co należy do obowiązków dyrektora. W trosce o właściwy klimat współżycia w zakładzie, zamiast wezwać do siebie księgową, sam poszedłem do pokoju, gdzie pracują urzędniczki działu finansowego i po wyjaśnieniu sprawy, chwilę poświęciłem na luźną pogawędkę, wypyując o zdrowie, warunki pracy itd. W trakcie tej rozmowy rzeczywiście opowiedziałem historyjkę o słońcu, którą słyszałem od mojego kolegi, który z ramienia Polski pracował przy inwestycjach zagranicznych Nadmieniam, że w rozmowie z podległymi mi pracownikami sam podałem w wątpliwość wiarygodność i prawdziwość zasłyszanej historii”. W dalszym ciągu listu czytamy:

„Wydaje mi się, że nie zrobiłem nic takiego, co by mogło poderwać mój autorytet, osłabić dyscyplinę lub utrudnić realizację zadań. Możliwe, że się mylę, ale jeśli tak, proszę o jasne i bezpośrednie przedstawienie mi zarzutów. Jeśli pobiłem, gotów jestem ponieść jak najsurowszą karę”.

Następnie dyrektor przechodzi do ataku:

„Cała sprawa jest dowodem, że w kierowanym przeze mnie zakładzie, gdzie panuje dobra, rzetelna, koleżeńska atmosfera, pomocna przy wykonywaniu napiętych zadań produkcyjnych, przed którymi stoimy, są izolowane jednostki usiłujące wprowadzić rozróbę i chwycić się byle jakiego pretekstu do podgryzania dyrekcji. Sytuacja ta wymaga radykalnych posunięć, dla dokonania zmiany postawy tych jednostek albo izolowania ich od załogi, co jest warunkiem niezbędnym pomyślnego wykonywania zadań produkcyjnych, jakie przed nami się stawia”.

W dwa lata po napisaniu obu tych listów - listu na dyrektora i listu dyrektora - odbyła się przed sądem rozprawa. Były dyrektor Józef L. skarżył byłego kierownika działu planowania fabryki, Waldemara T., oraz starszą księgową Janinę Ł. - autorów listu o słoniu - o to, że podnosili i rozgłaszali nieprawdziwy zarzut o postępowaniu i właściwościach inż. Józefa L., co naraziło go na utratę zaufania potrzebnego dla zajmowania stanowiska dyrektora, a także na utratę samego stanowiska.

W toku przewodu sądowego ustalono, że nieprawdziwe było listowne doniesienie do władz, podpisane nazwiskami oskarżonych, jakoby Józef L. zwoływał naradę jakiegokolwiek części personelu dla opowiedzenia historii o słoniu i dziecku. Stwierdzono natomiast, że wszystko było tak, jak opisał to dyrektor: wszedł w sprawie służbowej do jednego z pokojów działu księgowości, w toku luźnej towarzyskiej rozmowy opowiedział smutne dzieje słonicy, która skoczyła do basenu portowego, zaznaczając, że słyszał ją od kolegi i że w nią nie wierzy. Nadanie temu bagatelnemu epizodowi takiego znaczenia, które aż ośmieszało dyrektora wobec jego przełożonych, dowodzi złej woli oskarżonych i świadomego przeinaczania faktów. Zostali więc skazani na kare pozbawienia wolności z zawieszeniem i po patyku musieli zapłacić na PCK.

Natomiast sąd nie dopatrył się związku przyczynowego pomiędzy tym aktem łajdactwa podwładnych, nacechowanego zresztą znaczną naiwnością, znamionującą nowicjuszy w sztuce rozróby, a utratą przez Józefa L. dyrektorskiej posady, co stało się w pół roku po wysłaniu owego, będącego przedmiotem oskarżenia, listu.

Sąd powołał na świadków osoby, od których Józef L. jako dyrektor był zależny lub którym podlegał służbowo: adresatów listu Waldemara T. i Janiny Ł. Stwierdzili oni zgodnie, że w ogóle nie brali i brać nie mogli pod uwagę takich bzdur przy ocenie postawy, pracy i kwalifikacji byłego dyrektora, które skądinąd i z zupełnie

innych poważnych przyczyn w swoim czasie ocenili ujemnie. Przeciwnie - za podpisanie listu przeniesiono służbowo jego współautora, Waldemara T. To dotyczy wszakże treści listu, ale już nie faktu jego wysłania. Samo, choćby bzdurne i dwuosobowe wystąpienie przeciwko dyrektorowi jest bowiem dowodem, że stosunki w zakładzie układają się nie najlepiej, a dyrektor nie panuje nad sytuacją. Musiała też przełożonych zastanowić listowna replika dyrektora Józefa L. na donos jego antagonistów. Nie robi to dobrego wrażenia, kiedy dyrektor zakładu, zatrudniającego około 350 osób, w urzędowym piśmie rozsyłanym do władz pisze o jakiejś tam historii ze słoniami. I nie świadczy to o jego zaradności, że w takiej sprawie odnosi się do władz wyższych, zamiast incydent załatwić we własnym zakresie. Potem, ilekroć przy jakiegokolwiek okazji padało nazwisko Józefa L., mówiło się o nim: „ten od słoni”. To nie buduje autorytetu dyrektora u władz. Cała sprawa jest jednak śmieszna, nieważna, i nie ona - podkreślono to wielokrotnie i z naciskiem - była powodem zdymisjonowania Józefa L., z funkcji dyrektora zakładu, ale cechy jego charakteru.

Rekapitulując: Józef L. wygrał sprawę słoni, przegrał zaś tylko dyrektorski fotel. Płyńcie stąd dla życia praktycznego nauka: nawet jeśli jest się dyrektorem, wolno wejść do działu księgowości i opowiedzieć coś o słoniach. Absolutnie nie jest to niebezpieczne, przynajmniej w normalnych okolicznościach.

Futro z oposów

W jednym z nowych domów okalających stołeczny Pałac Kultury i Nauki, ubiegłego roku przed samą Wielkanocą dokonano wulgarnej, sąsiedzkiej kradzieży. Maryli W., pracującej w filmie, pani na M-4, skradziono futro z oposów, jakiego się nie przywiezie z Bułgarii, ani nawet nie kupi w komisie. Po zimie, a przed naftaliną, futro wietrzyło się na balkonie. Leżało tam rozłożone na krześle, a kołnierzem wsparte o balustradę balkonu, w miejscu gdzie szklana przegroda dzieli kęs balkonu pani W. z Filmu Polskiego od kęsa balkonu doktorowej filologii polskiej Elżbiety Z., urzędniczki z Prezydium Rady Narodowej.

Pani z filmu zauważyła nieobecność futra gdzieś w półtorej godziny po jego wyłożeniu do plażowania i zadzwoniła po milicję, a doczekawszy się jej, od razu oświadczyła, że sprawca musiał działać z mieszkania doktorostwa Z. - innej możliwości nie ma, przeświadczenie to dyktuje jej inteligencja ugruntowana w kinematografii. Milicjant wskazał, że możliwa była kradzież również z górnego balkonu, a to przy użyciu bosaka albo liny z hakiem, ale rzeczywiście najprościej by się kradło państwu Z.

W ich mieszkaniu nikt nie reagował na dzwonek. Maryla W. wiedziała o swych sąsiadach, że on pracuje naukowo, a ona gdzieś w biurze, że wyglądają porządnie, tylko za głośno puszczają radio, że stałej gosposi nie mają, a przed południem mieszkanie ich jest puste. Z państwem Z. wymienia ukłony i przez trzy lata sąsiedowania może zamienili ze dwa razy kilka zdawkowych słów na schodach o tym, że winda hałasuje albo kaloryfery są przegrzane. Sąsiedzi mają auto, i to wszystko, co potrafi o nich powiedzieć.

Milicjant odwiedził doktorową Z. w biurze, gdzie się dowiedział, że cały dzień spędziła na urzędowaniu. Do jej mieszkania istnieją jeszcze, poza tymi, które ma w torebce, dwie pary kluczy: męża i syna studiującego w szkole oficerskiej na prowincji. Syn-elew - co potem sprawdzono - nie oddalał się tego dnia ze swej szkoły. Doktor Z. również udokumentował, że całe przedpołudnie spędził w miejscu pracy i bibliotece - do domu nie wpadał. A jednak drzwi wejściowe nie nosiły śladów włamania.

Współlokatorzki pokoju biurowego doktorowej Elżbiety Z. potwierdziły, że pani ta nie opuszczała biura, acz często wychodziła z pokoju, gdyż miała rozliczne sprawy do załatwienia w całym gmachu. Istniejąca w Prezydium książka wyjść nie zawierała adnotacji o tym, by opuszczała ona budynek. Musiałaby już milicja uznać, że futro z oposów, powodowane jakimś impulsem, samo poszybowało w niebo, gdyby nie zeznanie dozorczyń domu.

Powiedziała ona, że nie widziała, by ktoś obcy a podejrzany kręcił się tego dnia po gmachu poręczonym jej pieczy. Zdarzyło się wszakże tego przedpołudnia coś dziwnego, nie mającego chyba związku z kradzieżą. Oto wybuchł z nagłą gwałtowny pożar w czymś w rodzaju altanki z cegieł stojącej na podwórzu, a mieszczącej pojemniki na śmieci. Płomienie buchały przez kilka minut przez otwór wyjściowy i ażurowe ściany, po czym wszystko nagle zgasło. Milicja obejrzała miejsce wypadku i znalazła nie dopalone strzępy futra z oposów. Poza tym stała tu butelka po rozpuszczalniku. Ktoś oblał futro benzyną i rzucił zapalniczkę.

Poczęto rozpytywać lokatorów, nikt jednak nie widział osoby rozniecającej pożar, choć liczni zauważyli ogień w śmieciowym pawiloniku. W trakcie tych rozmów z lokatorami jeden z mieszkańców domu zeznał, że widział, mniej więcej w porze odpowiadającej czasowi pożaru i okresowi, w którym zdarzyć się musiała kradzież, panią Elżbietę Z. idącą szybko przez podwórze. Świadek siedział wówczas w swoim, zaparkowanym wśród innych, samochodzie i usiłował zapuścić motor. Zapytano Elżbietę Z., czemu kłamała mówiąc, iż tego przedpołudnia nie opuszczała biura i nie odwiedzała domu. Doktorowa powtórzyła poprzednie zeznania, twierdząc, że świadek-automobilista albo myli dzień, albo osobę. Oboje upierali się przy swoim. Pan z samochodu nie umiał określić, jak była ubrana Elżbieta Z. Mówił, że szła w płaszczu, ale nie pamiętał, w jakim. O tej porze roku wszyscy chodzą w płaszczech.

Przesłuchano kobietę, która dwa razy w tygodniu przychodzi sprzątać mieszkanie u państwa Z. Powiedziała ona, że w łazience stała butelka z rozpuszczalnikiem. Teraz jej nie znaleziono. Elżbieta Z. zeznała, że zużyła rozpuszczalnik do mycia podłogi, sprzątaczką wszakże zaprzeczyła, by pomiędzy jej dwiema wizytami u chlebobawczyni podłoga była myta. Istnienie tej jeszcze poszlaki skłoniło milicję do przekazania sprawy prokuraturze, która wniosła do sądu akt oskarżenia przeciwko Elżbiecie Z., 44-letniej urzędniczce, o kradzież należącego do sąsiadki futra z oposów wartości 27 tysięcy złotych i umyślne zniszczenie cudzej własności.

Prokurator utrzymywał, że Elżbieta Z. zabrała futro w celu przywłaszczenia, po czym jednakże przelękła się, nie wiedziała, gdzie zdobycz schować i dlatego ją spaliła. obrońca replikował: gdyby tak było, oskarżona mogła położyć je z powrotem na balkonie sąsiadki, co byłoby bezpieczniejsze i wymagające mniejszego zachodu niż urządzenie pożaru na podwórzu. Jego nie przyznająca się do winy klientka nie zabrała cudzej własności, poszlaki jej winy - wywodził - są nikłe: sąsiad automobilista mógł się mylić, rozpuszczalnik znajduje się w prawie każdym mieszkaniu. Pani Elżbieta Z. jest nobliwą, nie karaną nigdy, dobrze sytuowaną osobą.

Oskarżyciel przyznał częściowo rację obrońcy, wycofał się z tezy o przywłaszczeniu z chęci zysku i utrzymywał, że hipotetyczną przyczyną kradzieży

była damska zawiść i chęć zniszczenia sąsiadce futra, którego pani Z. jej zazdrościła.

Adwokat na to, że jego procesowy przeciwnik usiłuje stworzyć powieść psychologiczną. Państwo Z. są dobrze sytuowani, między ich stopą życiową a sąsiadów nie ma istotnych różnic. Pani Z. posiada futro. Dlaczegoż by miała zazdrościć tych oposów?

Zdawało się, że pani Z. ma wygraną sprawę, gdy jej bieg nagle zmieniło przesłuchanie świadka, który w toku dochodzenia nie wniósł nic ciekawego i powołany był przez sąd wyłącznie dla scharakteryzowania oskarżonej. Świadkiem tym była lekarka - przyjaciółka pani Z., która mówiła o doktorowej jako o kobiecie nie przywiązującej specjalnej wagi do strojów, niezawistnej wobec cudzego stanu posiadania i nieposzlakowanej uczciwej, o czym miał świadczyć fakt oddania przez młodą podówczas panią Z. pierścionka, jaki odziedziczyła po matce kiedy pewien nieznajomy mężczyzna, widząc klejnot na jej palcu, powiedział, nie domagając się zwrotu, że pierścionek ten przed wojną zostawiła u matki pani Z. jego nieżyjąca żona, jako zabezpieczenie żyra na wekslu; matka doktorowej weksel ów zgodziła się żyrować, po czym Hitler uderzył przed terminem płatności. I otóż ta pani-świadek opowiedziała sądowi rzecz, o której nie wspominała przesłuchującemu ją milicjantowi. Szła kiedyś z przyjaciółką do niej i na schodach spotkały Marylę W. w oposach. Elżbieta Z. uskokczyła wówczas pod ścianę, jakby bojąc się otrzeć o sąsiadkę, i ledwie odpowiedziała na ukłon tamtej. „Co się stało?” - zagadnęła ją przyjaciółka, zdziwiona tym odruchem. „Mam alergię.” „Na nią?” „Nie, na to futro.” „Dlaczego?” - zapytała lekarka. „Zmieńmy temat” - ucieła pani Z.

W trakcie tych zeznań oskarżona objawiła zdenerwowanie, po czym poprosiła o głos i u kresu postępowania dowodowego przyznała się do winy. Oświadczyła, że przeczyła, jakoby zabrała futro, nie z obawy przed odpowiedzialnością, którą chętnie poniesie, ale ze wstydu, a głównie powodowana niechęcią do wyjaśnienia motywów tej kradzieży, mających bardzo a bardzo intymny charakter. Trzy lata wcześniej - podjęła po chwili - jej córka, 19-letnia studentka, zginęła w wypadku samochodowym. Gdy ją po tej tragedii wezwano na miejsce, gdzie to się stało... W tym momencie zeznań doktorowa Z. uległa atakowi nerwowemu. Rozprawo przerwano.

Gdy ją wznowiono, po zaaplikowaniu oskarżonej środków uspokajających, kilka razy zaczynała ona i przerywała swą opowieść, by wreszcie z wielkim trudem wykrztusić, że jej córka miała identyczne futro i w tym to futrze widziała jej zmasakrowane zwłoki po wypadku. I dlatego w żaden sposób nie mogła znieść widoku oposów sąsiadki, a nawet świadomości, że ten przedmiot znajduje się za ścianą. Owego dnia wpadła po zapomnianej w domu książeczkę ubezpieczeniową, aby ją dać do przedłużenia. Nie myślała nawet o kradzieży. Kiedy jednak wyszła na

balkon i zobaczyła za szklaną matową przegrodą rąbek futra - nie wytrzymała.

Po tych zeznaniach do adwokata oskarżonej podbiegł pan Z., jej mąż, który przysłuchiwał się rozprawie, i oświadczył, że chciałby złożyć zeznania. Sąd przychylił się do wniosku złożonego w tej materii przez adwokata.

Doktor Z. powiedział, że na podstawie materiałów dochodzeniowych, dotyczących się tragicznego wypadku jego córki, można stwierdzić, że futro, w którym zginęło jego dziecko, nie było z oposów, barwą tylko przypominało futro Maryli W. Nie rozumie więc, dlaczego jego żona miała uczulenie na te oposy. Wszędzie - na ulicy i w ich otoczeniu - jest dużo osób noszących futra bardziej podobne do tego, w którym zginęła ich córka, czy też wręcz identyczne, a jednak nie zauważył, żeby żona jakoś szczególnie na nie reagowała.

- Nie wiem... Możliwe... Mnie męczyło to futro... - powiedziała obwiniona.

Teraz sąd udał się na naradę i odroczył proces, dla poddania obwinionej badaniom psychiatrycznym.

Kiedy w kilka miesięcy później wznowiono rozprawę, adwokat odczytał oświadczenie poszkodowanej, iż doktor Z. udzielił jej finansowego zadośćuczynienia, wyrównując stratę futra. Następnie biegły stwierdził, że co prawda oskarżona jest psychicznie zdrowa, ale ma głęboki uraz związany ze śmiercią córki i w momencie brania futra działała pod wpływem impulsu silniejszego niż jej zdolność rozumowego weryfikowania postępu. Zachowując pełną świadomość tego, co robi, w danej chwili miała w znacznym stopniu ograniczone możliwości kierowania swoim postępowaniem.

Biorąc pod uwagę to orzeczenie, fakt zadośćuczynienia udzielonego poszkodowanej i znikomą szkodliwość społeczną czynu, wynikłego nie z niskich pobudek - sąd zastosował nadzwyczajne złagodzenie kary i skazał panią Z. na dwa miesiące aresztu z zawieszeniem.

Obrońca wniósł od wyroku rewizję, domagając się uniewinnienia. Sprawa nie jest jeszcze zakończona.

W relacjonowanym procesie biegły psychiatra powiedział a propos zeznań męża obwinionej, dr. Z.: Ten niezwykle dla praktyki sądowej wypadek nie jest dlań zaskakujący ani nietypowy. Ludzie, którzy mają za sobą jakieś bardzo tragiczne przeżycie połączone z gwałtownym szokiem, często zachowują w pamięci lub tylko w podświadomości jakiś wizualny refleks. Futro symbolizowało dla pani Z. najsilniejsze przeżycie, jakie kiedykolwiek było jej udziałem, i nic to, że alergizujące ją okrycie sąsiadki w rzeczywistości różniło się od tego, w którym po raz ostatni widziała córkę. Akurat to futro kojarzyło jej się z owym dramatem przypuszczalnie dlatego, że gdy je kiedyś zobaczyła, pomyślała o tamtym

tragicznym wypadku, na zasadzie luźnego skojarzenia. Bywa, że ludzie nienawidzą przedmiotu, mają nań alergię o somatycznych nawet przejawach, nie zdając sobie nawet sprawy, dlaczego tak się dzieje.

Zagadkę futra z oposów można było wyświecić bez psychoanalizy - pani Z. dokładnie wiedziała, dlaczego tak silnie na nią działa zimowe okrycie sąsiadki.

Żona malarza

Pewien malarz, Stanisław O - nie ma co ukrywać --wyjechał na Zachód, gdzie bawił łącząc przyjemne z pożytecznym. Przyjemne nie miało żadnych kryminalnych akcentów, opowiem więc o pożytecznym. Od kilkuset lat pierwsze, co robi każdy malarz, to jedzie do Włoch. I Stanisław O., indywidualista raczej w sztuce niż w poczynaniach, też nie gdzie indziej skierował swe kroki. Pacykarze stanowią mafię międzynarodową i gdzie taki stąpnie, wśród swoich jest jak w domu. Stanisław O. nawiązał więc potrzebne kontakty i wychodził dla się wystawę indywidualną twórczości, co i pięknie. Salon miał się dlań opróżnić za półtora miesiąca. Malarz miał w programie tymczasem inne wojaże. Napisał więc do żony i przyjaciół, żeby posłali na adres marchanda trzymającego salon stosowne płótna i wyjechał do Paryża, bo malarz, który nie był w Paryżu, jest zupełnie nieważny. List zlecający wysyłkę do Włoch obrazów zawierał szczegółową specyfikację dzieł godnych miana instrumentu podboju Italii. Stanisław O. trzymał swoje płótna ponumerowane. Napisał więc do żony, że wysłać ma numery takie to a takie, i ta pilnie rzeczona płótna popakowała.

Czytelników, którzy akurat nie są malarzami, albo są malarzami, ale nie na tyle obrotnymi, by wystawiać na Zachodzie. poinformować tu należy, iż wysyłka, a nade wszystko - powrót obrazów, nie jest przedsięwzięciem łatwym. Potrzeba na to zezwolenia władz konserwatorskich, które muszą stwierdzić, że dzieła nie są arcydziełami, ale zwykłymi knotami, których transport za granicę nie zuboży potencjału kultury narodowej. W oparciu o to Urząd Celny wydaje zezwolenie wywozowe. Są jeszcze i inne przeciwności, ale te nie mają znaczenia dla toku zdarzeń.

Żona Stanisława O. wszystko załatwiła należycie, okazało się wszakże, że „Desa” musi każdy wywożony obraz wycenić. Co prawda obrazów u nas nikt nie kupuje i gniją one po piwnicach panów artystów, ale malarz wywożący swoje dzieła, musi wszystko co do sztuki dostarczyć z powrotem na łono ojczyzny. Gdyby zaś usiłował coś na Zachodzie sprzedać i to mu się udało, wówczas musi płacić równowartość wedle ceny podanej na liście wywozowej.

Nasz mistrz był optymistą. Przewidywał, że kiedy tylko Włosi zobaczą jego płótna, uznają je za objawienie artystyczne i co do sztuki wykupią. I oto co sobie wykombinował: Z kraju na wystawę miało nadejść 36 płócien, nazwanych Kompozycja nr 19, Olej błękitny nr 7, itd., dzieła były bowiem mocno niefiguratywne. Stanisław O. siadł więc we Włoszech i 36 zakupionych tu kawałków płótna byle jak opačkał farbami. Poświęcił na to jeden wieczór. Następnie złożył na każdym z płócien swoje inicjały, z tyłu napisał, że to jest

właśnie Kompozycja nr 19, albo Olej błękitny nr 7, i nakazał marchandowi, żeby po zakończeniu wystawy bohomyzy te odesłał do kraju.

Stanisław O. jest w Paryżu. Tymczasem we Włoszech otwarta zostaje jego wystawa. Recenzje są kurtuazyjne, włoscy burżuje też, bowiem parę płócien znajduje nabywców. Resztę, zgodnie z umową, marchand zatrzymuje, po części jako zwrot kosztów urządzenia ekspozycji, po części zaś bierze w komis. Wkrótce Mistrz dostaje w Paryżu spory przekaz pieniężny, co oczywiście przedłuży jego pobyt.

Pewnego dnia słomianą wdowę po Stanisławie O., bawiącą w Warszawie panią Florę O., odwiedza przyjaciel małżonka, także malarz, nazwiskiem Ryszard L. Przez długie miesiące korzystał on z pracowni kumpla, nie posiada bowiem własnej, i teraz pragnie zabrać swoje płótna, które tam zostawił. Otrzymuje klucz, wychodzi, ale po godzinie wraca bardzo zdenerwowany i oświadcza, że z kilkudziesięciu jego obrazów w pracowni zostały tylko trzy najmarniejsze. Co z resztą?

Muszą być - powiada Flora O. i jedzie z koleżanką męża na miejsce. Poszukiwania nie dają rezultatu. I oto od słowa do słowa wszystko się wyjaśnia. Płótna Ryszarda L. też były ponumerowane i zwały się „kompozycja” albo „olej”. Flora O. wysłała je do Italii, w przekonaniu, że ekspediuje dzieła męża. I oto taki szpas.

Nieprzyjemność jest oczywista i dla Stanisława O. Siedział w Paryżu, cieszył się, że jego wystawa ma pochlebne recenzje że zarobił forszę, że obrazy okazały się pokupne - a tu mało, że to wszystko jest de facto udziałem kogo innego, to jeszcze sam znalazł się w idiotycznej sytuacji, zgola hochsztaplera. Stanisław O. o wszystkim tym jeszcze nie wie. Flora O. zapewnia na razie Ryszarda L., że swoją własność odzyska, bo obrazy zgodnie z jej zobowiązaniem na cle muszą wrócić i że mąż po powrocie wyśle wyjaśnienie do włoskiej prasy. Związany z tym skandalik obu przysporzy popularności. Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Flora O. napisała do męża, zawiadamiając go, co się stało. Dostała odpowiedź, żeby nie czyniła nic aż do jego powrotu, który nastąpi niebawem.

Wkrótce z Włoch nadeszła przesyłka zawierająca obrazy, jako że wystawa tymczasem dobiegła tam końca. Zgodnie z przewidywaniem celnicy nie mieli żadnych pretensji. Flora O. i Ryszard L. przetransportowali skrzynie do jego pracowni, którą w tym czasie sobie wynajęli. I oto kiedy rozpakowano skrzynie, oczom Ryszarda L., miast jego płócien, ukazały się rozpięte na blejtramach kawałki prześcieradła (to tańsze niż płótno malarskie) byle jak pochłapane farbą. Wściekłość malarza nie miała granic. Artyści są wszakże ludźmi wybitnie upośledzonymi, gdy chodzi o umiejętność trzeźwej oceny własnej osoby. Pierwszą myślą Ryszarda L. było, że w drodze ukradziono jego cenne płótna, podstawiając w to miejsce brudne szmaty. Zaczął więc reklamować na kolei. Powiedziano mu

tam, że różne już cuda na kolei bywały, kradziono już wszystko, nawet żwir i żużel, ale odkąd kolej koleją nigdy nikt nie ukradł płócien nikomu nie znanego polskiego malarza.

Niebawem wrócił Stanisław O. i wyjaśnił pomyłkę. To nie kradzież na kolei. Płótna Ryszarda L. zostały we Włoszech, a wróciły atrapy przezeń wykonane. Wystarczyło obejrzyć baczniej te bohomyzy i zobaczyć jego, Stanisława O., własnoręczny podpis.

Ryszard L. żądał zwrotu swoich płócien. Oświadczył, że Stanisław O. ma zrobić, co następuje: Dać do prasy włoskiej ogłoszenie, że wystawa Stanisława O. była de facto - skutkiem pożałowania godnej pomyłki, wynikłej m. in. z nieobecności Stanisława O. we Włoszech w trakcie trwania wystawy - wystawą Ryszarda L. Dalej ma on spowodować, żeby wszystkie obrazy wróciły. Sprzedane ma na powrót odkupić. Zostawione w komis odebrać. Dane marchandowi, jako wynagrodzenie za poniesione koszty, też wydębic z powrotem, grożąc międzynarodowym skandalem. Jeśli któryś z nabywców nie zgodzi się zwrócić obrazu, Stanisław O. ma wytoczyć mu proces rewindykacyjny. Ostatecznie kilka płócien, których nie udałoby się odzyskać, Ryszard L. gotów jest stracić, biorąc od Stanisława O. całe, uzyskane przezeń w obcej walucie honorarium. Ma być ono płatne w dolarach.

W odpowiedzi Stanisław O. określił precyzyjnie miejsce, w które kochany kolega może go pocałować. Po pierwsze nie ma zamiaru niczego w prasie włoskiej prostować, ani nawet zawiadamiać o nieporozumieniu swego tamtejszego marchanda. Omyłka wynikła nie z jego winy i bez jego złej woli. Nie będzie się przecież ośmieszać. Udało mu się wejść na zachodni rynek i nie narazi się teraz na skreślenie go z listy szczęśliwców. W Warszawie jest kupa ludzi, którzy potrafią malować dobre obrazy. Ale bardzo niewielu takich, którzy potrafią zorganizować sobie na Zachodzie wystawę, wyrobić nazwisko, sprzedawać dzieła. On tego dopiął. I to jest warte więcej niż obrazy Ryszarda L. Zresztą on sam, skutkiem pomyłki żony, poniósł kolosalne straty moralne i materialne. Jest bowiem przekonany, że jego autentyczna wystawa miałaby dużo większe powodzenie, a obrazy osiągnęłyby wyższe ceny. Już nigdy więcej nie wpuści nikogo do swojej pracowni, skoro ma z tego takie kłopoty.

Następnie panowie wymienili między sobą informacje na temat, co nawzajem o sobie myślą. Ryszard L. myślał o Stanisławie O. więcej i gorzej, niż Stanisław O. o Ryszardzie L. Na koniec rozmowy poszkodowany oświadczył, że zniszczy mistrza O. „Tylko kiwnij palcem, a oddam cię do domu wariatów - rzekł na to Stanisław O. - Zaprzeczę, że w ogóle miałem twoje obrazy, powiem, że zazdrościsz mi sukcesu. A w ogóle nawet nie znasz nazwiska mojego marchanda, ani miejsca, gdzie była wystawa. Nie wiesz nic.”

Stanisław O. był wszakże w błędzie. Na skrzyniach zawierających bohomy, które to skrzynie, jak wiemy, zawędrowały do pracowni Ryszarda L., wypisany był adres kupca. Ryszard L. nie omieszkał natychmiast wysłać doń listu, grożąc czym się da i wyjaśniając nieporozumienie, a także malując eks-przyjaciela w barwach tak ciemnych, jakich nigdy nie trzymał w swej palecie.

Następnie Ryszard L. spowodował wytoczenie Stanisławowi O. sprawy karnoskarbowej o wprowadzenie w błąd celników i uchylenie się od uiszczenia stosownych opłat tytułem zwrotu wartości płócien pozostawionych za granicą. Następnie wytoczył mu proces cywilny, domagając się zwrotu obrazów.

W odpowiedzi na nabrzmiały paniką list kupca, który pisał, że firma jest w ręku jego rodziny od dziesiątków lat i nigdy nie była przedmiotem skandalu, Stanisław O. odpisał, że wszystko jest w porządku, jego kolega sfiksował z zazdrości. Marchand odniósł się do władz. Zawiadomiono go, że sprawa stanie się przedmiotem procesu.

Na żądanie Ryszarda L. marchand nadesłał urzędowo uwierzytelnione zdjęcia obrazów, poza tym dokument stwierdzający, że na płótnach znajdują się podpisy, które następnie, w drodze postępowania sądowego, zidentyfikowano jako podpisy Ryszarda L.

Adwokat Stanisława O., zapoznawszy się z materiałem sprawy, panicznie wykrzyknął: „Uгода za wszelką cenę”. Stanisław O. odmówił. Wpłynęło powództwo od włoskiego handlarza obrazów.

Na razie Stanisław O. skazany został na wysoką grzywnę w procesie karnoskarbowym. Sprawa cywilna nie jest zakończona. Łącznie przewidywane straty Stanisława O. szacowane są na ćwierć miliona złotych.

Żona hydraulika musi umieć odróżnić kolanko od rezerwuaru, żona astronoma - mgławicę od planety, a żona lekarza - kiłę od kataru. Na żonę malarza spływają wszakże obowiązki szczególne. W czasach kiedy nawet najwybitniejsi krytycy nie potrafią odróżnić dzieł jednego malarza od dzieł drugiego malarza, umiejętność rozpoznawania mężowej twórczości jest najpierwszym obowiązkiem żony, ważniejszym nad wszystkie inne, o których mówi Pismo święte i Kodeks Rodzinny tudzież Opiekuńczy.

Krewetki

Na wesela było 45 osób, z tego 36 zatrulo się sałatką z krewetek; sześcioro zabrano do szpitala wprost od stołu, troje później z domu, w tym jedno dziecko. Zatrucie w tej skali zwie się u nas z przesadą, świadcząca o trosce o człowieka - „masowym”. Było ono przedmiotem dochodzenia.

Jeszcze zanim szpital podał rezultaty analizy treści żołądkowej, z których wynikało, że goście potknęli się o krewetki - a nie, weźmy, o dziczyznę z dzika, co także często bywa, czy o ryby: węgorze, łososie i karpie (szczególnie karp i węgorz mają na sumieniu niejednego człowieka), lub, dajmy na to, o krem z pieczarek, w czym także trafić się może pieczarka fałszywa a jadowita - służba sanitarna wydobyla z pojemnika na śmieci 12 puszek po krewetkach. Wszystkie one przedatowane były ni mniej, ni więcej, tylko o 7 lat.

Wyjaśniło się, że sałatkę z dwunastu puszek krewetek, z dodatkiem sałaty inspektowej i sosu, zrobionego z tychże krewetek i białego wina, sporządziła własnoręcznie panna młoda, Ryszarda K., która na pamięć swojej matki (żyjącej, okazało się później) przysięgła, że nie miała zamiaru wytruć gości, o co nikt jej nie podejrzewał. Sałatki nie jadła, ponieważ nie lubi krewetek.

Potem, kiedy już istniały podstawy do przypuszczenia, że może przy użyciu krewetek chciała zgładzić pana młodego, który uległ zatruciu średniej miary, Ryszarda K. zapewniała, że pan młody, Franciszek P., także nie lubi krewetek, nie mogła więc w żadnym razie przypuścić, że schla się tak, iż już nie będzie patrzył, czym zakąsza. Między nami mówiąc, nie jest to źle pomyślana zbrodnia - pozbyć się człowieka w ramach masowego zatrucia.

Ryszarda K. mówiła, że nie ma w tym żadnej jej winy. Ona nie jest za przeproszeniem k..., więc nie rozumie po angielsku i nie mogła przeczytać napisów na puszkach. Poza tym krewetki w liczbie 12 puszek leżały u niej w domu, czekając wielkiej okazji, nie dłużej niż pół roku, kiedy to przywiózł je z rejsu Franciszek P. Wina jest więc po stronie jakiegoś lewentyńskiego kupca - oszwabił jej męża sprzedając mu puszki, których gwarancyjny okres skończył się przed sześciu i pół laty.

Franciszek P. potwierdził jej zeznania. Padł ofiarą bandytyzmu na jakimś bazarze trzy rejsy temu. Franciszek P. jako marynarz, oficer floty handlowej, rozumie po angielsku, ale napisów na puszcze nie czytał. W końcu krewetki to nie książka i kupuje się je po to, żeby jeść.

W tym stanie rzeczy dochodzenie umorzono, kiedy tylko ostatni z zatrutych opuścił szpital na własnych nogach i można było uznać, iż krewetki nie spowodowały

zejścia śmiertelnego.

W trakcie dochodzenia badano także uboczne aspekty sprawy, która przecież z dnia na dzień mogła być stać się więcej niż poważna, gdyby (umieszczeni na ogół w jednym szpitalu i na jednej sali, nazwanej z tego powodu „weselną”) goście nowożeńców zaczęli umierać. I takim wykrytym aspektem ubocznym było, że państwo młodzi, którzy wydawali huczne wesele, w ogóle - poprzednio ani nigdy - nie brali ślubu.

Oto co miał na ten temat do powiedzenia Franciszek P. Ryszardę K. poznał na dwa lata przed zjedzeniem sałatki z krewetek, w pociągu elektrycznym relacji Pruszcz Gdański-Gdynia-Chylonia. Ryszarda K. miała mnóstwo paczek i wysiadła w Sopocie, gdzie, jak mu powiedziała, zatrzyma się przejazdem u koleżanki. Franciszek P. specjalnie wysiadł, żeby jej pomóc zanieść paczki do taksówki, a za to zgodziła się, aby wieczorem przyjechał po nią samochodem (wtedy to był jeszcze „volkswagen”, dziś już „toyota”). Wypuścili się więc do Grand Hotelu, gdzie się zwierzył, że mając 28 lat osiągnął to, że kupił właśnie i wyposażył mieszkanie własnościowe. Nie lubi w nim jednak przebywać, gdyż jest samotny, czego tak silnie nie czuł, póki gdzieś u ludzi podnajmował pokój.

Ryszarda K. wyraziła chęć obejrzenia tego mieszkania, a rano wysłuchała, że Franciszek P. jest samotny, gdyż marynarzowi myślącemu jest trudniej ożenić się niż niemarynarzowi lub człowiekowi pływającemu, ale bezmyślnemu. Czy po to ma się żenić, aby później, jak niektórzy koledzy, w rejsie miesiącami myśleć tylko o tym, czy żona zdradza?

Do mężczyzny pływającego lepią się kobiety, które nie szukają takiego lub innego człowieka i nie idą za uczuciem - chodzi im po prostu o to, aby to był marynarz. Są to często takie kobiety, których nie pociąga dany mężczyzna, ale to, żeby owego mężczyznę właśnie jak najrzadziej mieć w domu, nie mówiąc już o polowaniu na pieniądze. Każdy człowiek powinien ostrożnie wybierać żonę, ale marynarz dziesięć razy bardziej. I dlatego Franciszek P. marzy, żeby Ryszarda K. została już w tym mieszkaniu jako jego żona. Jest bowiem akurat dla niego. Widzi po jej ubiorze i sprawunkach, że ona ma pieniądze. Jemu oczywiście absolutnie nie chodzi o pieniądze. Broń Boże. Tylko dziewczyna, która nie jest w jednej sukience, bardziej patrzy na człowieka, a mniej jej zawraca w głowie konto dewizowe w „Baltonie”, mieszkanie czy samochód. Także to go w niej ujmuje, że jest młoda, ładna, zgrabna i szykowna, no i to, że jak wczoraj w Grand Hotelu zaproponował małżeństwo, odpowiedziała, że zań nie wyjdzie, ale chętnie zaraz pojedzie obejrzyć mieszkanie. Znaczący, chciała być z nim, a nie złowić męża, i dlatego proponuje jej małżeństwo jak najszybciej.

Ryszarda K. powtórnie odmówiła wyjścia za niego, ponieważ ma dopiero 22 lata,

chce być wolna i niezależna. Natomiast zgodziła się zostać przez ten tydzień, kiedy on będzie jeszcze na łądzie.

Opowiadała w tym czasie trochę, nie za wiele, o sobie. Wykształcenia specjalnego nie ma; gdyż uczyć się nie musiała, bo jej mamusia jest lekarzem-ginekologiem na prowincji. Chwilowo nie pracuje, gdyż dopiero myśli, co ze sobą zrobić. Ryszarda K. przedstawiła mu się jako panienka bez przeszłości i zgodziła się przyjechać do niego znowu za dwa miesiące, kiedy wróci z następnego rejsu.

Przez cały rejs - opowiada - tylko ją miał w głowie i chociaż wychodził na ląd w jedenastu aż portach, nie było takiego, w którym nie kupiłby dla niej jakiegoś prezentu.

Następnym razem był w domu dziewięć dni, a po wyjeździe Ryszarda K. została już w jego mieszkaniu. Tak to trwało przez dwa lata i Franciszek P. przyzwyczaił się do tego, że już ma żonę, a brakuje tylko ślubu. Wszyscy krewni i znajomi wiedzieli o tym, że oni mieszkają i bywają razem, pieniądze mają wspólne i wszystko. Marynarz począł naciskać, żeby wzięli ślub, bo wstyd przed ludźmi. Ryszarda K. na to odpowiadała, że może w przyszłości, na razie nie. Obrażała się o takie rozmowy, zamykała w sobie i groziła wyjazdem. Franciszek P. niepokoił ją wówczas pytaniami, czy może w jej wyobrażeniu on nie jest dla niej odpowiedni. „Jesteśmy razem jak mąż z żoną, więc o co chodzi?” - odpowiadała. Czas biegł.

W końcu Franciszek P. wrócił z któregoś tam rejsu z postanowieniem rozmówienia się: tak czy siak? „Nie jestem panienką, okłamałam cię” - powiedziała Ryszarda K., czując się przypartą do muru. W tym miasteczku, gdzie jej matka jest lekarzem-ginekologiem, opowiadała, mając osiemnaście lat wyszła za chłopca niewiele od niej starszego. Sztubacka miłość ze studentem. Potem on wyleciał z uczelni i miał iść na dwa lata do wojska. Przedtem wzięli ślub, wariactwo. Póki był w wojsku, wszystko układało się dobrze. Imponowało jej, że jest mężatką. Kiedy wrócił po dwóch latach, miała wrażenie, że ten jej mąż to jakiś obcy człowiek. Istotnie mało go znała i nie chciała już zupełnie znać. Były płacze, awantury. Mąż mieszkał z nią i z jej matką, a matka trzymała jego stronę. Ryszarda K. zabrała się i wyjechała. Obraził się, zaciął i nie chce dać rozwodu. Gdy zmądrzeje, kiedy przejdzie mu uraza, Ryszarda K. załatwi w sądzie tamtą sprawę i wyjdzie za Franciszka P., swojego faktycznego męża.

Zdecydowali wówczas, że wyjadą do Zakopanego, a jego krewnym i znajomym powie się za powrotem, iż w miasteczku, gdzie mieszka teściowa, wzięli ślub. I wyprawią wesele szumne i huczne. Tak doszło do krewetek.

„Więc pani mieszka z Franciszkiem P., a na stałe, jak P. twierdził, jest pani zameldowana u matki na Lubelszczyźnie? Dlaczego więc w dowodzie osobistym nie ma w ogóle żadnej pieczętki z jakiegokolwiek miejscowości tego województwa, lecz

jest pani na stałe zameldowana w Szczecinie, poprzedni zaś meldunek opiewał na Warszawę?”

Ryszarda K. odpowiedziała, że to są jej prywatne sprawy, nie mające nic wspólnego z zepsutymi krewetkami i bardzo by nie chciała, żeby Franciszek P. dowiedział się, że ona jest zameldowana w Szczecinie.

W toku dochodzenia w sprawie o zbiorowe zatrucie krewetkami milicja zasięgnęła języka w Szczecinie. Ustalono, że w mieszkaniu kwaterunkowym, składającym się z pokoju i kuchni, mieszka Ryszarda K., od trzech lat żona Bogusława K., 42-letniego szeregowego marynarza pokładowego dalekowschodniej linii żeglugowej. W raporcie o przeprowadzonym wywiadzie środowiskowym napisano, że Ryszarda K. jest w Szczecinie zawsze, kiedy jej mąż wraca z rejsu, co zdarza się mniej więcej raz na pół roku, oraz w czasie jego urlopu wypoczynkowego. Podczas jego nieobecności zwykle wyjeżdża do matki mieszkającej w Warszawie. Ryszarda K. miała ongiś sprawę karno-skarbową w związku z jakąś transakcją dewizową. Poza tym MO nie ma wobec niej zastrzeżeń. Kiedy jest w domu, z mężem czy sama, sprawuje się cicho. Jej mąż jest właścicielem samochodu, którym Ryszarda K. jeździ pod jego nieobecność, wtedy gdy jest w Szczecinie. Wedle nie sprawdzonych wiadomości ma ona cichy udział w taksówce prywatnej, zarejestrowanej na imię niejakiego Jana Ł. i przez niego prowadzonej. Niezależnie od tego jest bardzo dobrze sytuowana z tytułu zarobków męża, którego dochodami swobodnie dysponuje. Żyje jednak skromnie. Szczecińska milicja sugeruje, że więcej miałyby do powiedzenia o niej Warszawa, gdyż Ryszarda K. przeciętnie dziewięć miesięcy w roku spędza u matki.

Warszawa odpowiedziała, że matka Ryszardy po mężu K. - Teresa N., jest jej znakomicie znana. Oficjalnie utrzymuje się z renty wdowiej, w rzeczywistości trudni się pokątnym handlem wódką, prowadzi pijacką melinę, była wielokrotnie za to karana. Zameżna córka jej, Ryszarda, spędza u niej kilka miesięcy w roku, ponieważ ma tu przyjaciela, kierowcę taksówki. 22-letniego Marka J. Wóz, polskiego „fiata”, kupiła mu w prezencie Ryszarda K. Fakt ten potwierdzony jest przez nich oboje w Wydziale Finansowym PDRN i uzasadniony tym, że pragną się pobrać, kiedy Ryszarda K. rozwiedzie się z mężem. Marek J. nie ma dobrej opinii, grozi mu cofnięcie koncesji na taksówkę; mało jeździ, a szuka nadzwyczajnych zarobków: latem wozi za miasto dziewczyny lekkiego prowadzenia z klientami, poluje na cudzoziemców, ma jakieś interesy na bazarach.

U Teresy N. i Marka J. przeprowadzono w mieszkaniach rewizje. Przy tej okazji obejrzano książeczkę oszczędnościową wystawioną na nazwisko Ryszardy K., a zawierającą wkład 728 tys. złotych. U Marka J. znaleziono dewizy i wyroby ze złota łącznej wartości rynkowej około 400 tys. złotych. Jest to - oświadczył - własność Ryszardy K.

Marek J. wyjaśnił, że jego przyjaciółka ma pieniądze, ponieważ jej mąż pływa. Składa swoje oszczędności u niego, bo przecież mają się pobrać, kiedy on już stanie samodzielnie na nogach pod względem finansowym.

Dalej Marek J. powiedział, że mieszka z rodzicami i siostrą, w jednopokojowym mieszkaniu, więc Ryszarda K. u niego nie bywa, a tylko trzyma tu swoje złoto i dolary. Nie nocuje ona także prawie nigdy u swojej matki, bo wiadomo, jaka tam po nocy przyłazi hołota. Wynajmuje przez cały rok osobne mieszkanie na mieście. Dwa pokoje z kuchnią i telefonem, szyk. Podał adres na Muranowie.

Stwierdzono, że jest to mieszkanie własnościowe nabyte na imię pewnej studentki, mieszkającej faktycznie z rodzicami, więc wynajmowane. Podnajemcą, płacącym 2 tys. złotych miesięcznie, jest pewien adwokat.

52-letni Roman S. potwierdził, że mieszkanie to wynajmuje dla swojej utrzymanki Ryszardy K. i tam się spotykają. Owa Ryszarda K. jest to 24-letnia dziewczyna, wywodząca się ze środowiska określanego mianem „margines społeczny”. Daje jej 3 tys. miesięcznie na utrzymanie. Od czasu do czasu prezent. Ta dziewczyna to jedyna w jego życiu przyjemność. Nadto spełnia dobry uczynek, bo wyrwał ją ze środowiska lumpowskiego, a dzięki temu, że ma mieszkanie i środki na utrzymanie, Ryszarda K. uczy się, zdobywa zawód. (Adwokat nie potrafił powiedzieć, gdzie i czego się uczy.) Spędzają razem urlopy, na ogół za granicą, bo nie chciałby przecież, ze względu na żonę, żeby ktoś ze znajomych zobaczył ich razem w jakiejś miejscowości wypoczynkowej.

I to już wszystko, co środowiskowy wywiad w Warszawie ustalił na temat Ryszardy K., stojącej wówczas pod zarzutem nieumyślnego otrucia gości weselnych krewetkami.

Bogusław K., szczeciński marynarz i ślubny mąż Ryszardy K., zaproszony został przez milicję na rozmowę o żonie, co motywowano tym, że jest ona podejrzana o posiadanie cichego udziału w taksówce Jana Ł. A stanowi to wykroczenie podatkowe. Bogusław K. zaprzeczył. Już nieraz docierały doń plotki, że Ryszarda zdradza go z taksówkarzem Janem Ł. Ale to są kłamstwa. Prawda jest taka, że Jan Ł. to kuzyn z drugiej linii jego żony. Kiedy brakowało mu pieniędzy, żeby kupić taksówkę, Ryszarda pomogła mu, co jest chyba naturalne. Pożyczyła pieniądze i teraz on po trochu spłaca dług. (Ustalono zaraz, że Jana Ł. i Ryszardy K. nie łączy żadne pokrewieństwo.) Otóż jego żona jest właśnie wyjątkowo lojalna i kiedy on wypływa w te swoje przekłete, długie rejsy - ona jedzie do matki do Warszawy, żeby nie odczuwać tak bardzo samotności i być pod opieką.

Ryszardę K. poznał trzy i pół roku temu, właśnie u Jana Ł., który jest jego kolegą szkolnym. Mieszkała wówczas od tygodnia z Janem Ł., jego żoną i dziećmi. Przybyła do Szczecina szukać pracy, zatrzymała się u kuzynostwa i na razie

zarabiała wynajmując się do sprzątanía po domach. Zakochał się wtedy i po pół roku wzięli ślub. Ma żonę tak dobrą, jak nikt. To było wszystko, co Bogusław K. wiedział o swoim małżeństwie.

Jan Ł. cztery lata temu nie miał swojego wozu i jeździł cudzym jako zmiennik. Ryszardę K. poznał w ten sposób, że po prostu wsiadła do jego taksówki, rozgadała się i poszli na kawę. Potem kupili wódkę i pojechali za miasto. Żaliła się, że nie ma gdzie mieszkać, do pracy nie pójdzie, bo przecież nie będzie wygłupiać się gdzieś jako sprzątaczką za 1200 zł (nie skończyła nawet siedmiu klas). Nie ma także zamiaru zostać prostytutką. Jej matka trzyma melinę z wódką, więc od dziecka mogła napatrzeć się na to życie. Stał wtedy między nimi układ, że Jan Ł. rozejrzy się dla niej za jakimś marynarzem chcącym się żenić, a za to po wyjściu za mąż ona mu pożyczy pieniędzy na kupno własnej taksówki.

Jan Ł. nie ma o Ryszardzie K. wysokiego mniemania. Odkąd jej znalazł narzeczonego, już go więcej do siebie nie dopuszczała - taka interesowna! Przestał jej być potrzebny. Obietnicy dotrzymała, ale wyżyłowała odeń wysoki procent za pożyczkę. Jak jej się wóz zepsuje, to zaraz go wzywa, wzywa go także do mycia tego jej „BMW”. I nigdy grosza nie da. Każe mu robić na piękne oczy czy - jak powiada - „po starej przyjaźni”. „Sypiałam z tobą, stary brzuchaczu, forszę pożyczyłam - a ty mi wozu nie umyjesz?” Delikatna nie jest.

Po umorzeniu dochodzenia w sprawie o zatrucie gości rzekomo weselnych krewetkami, które umożliwiło mi wgląd w życie Ryszardy K., zapytałem: „No i co?”

Żadnego czynu karalnego - powiedziano mi - nie popełniła, prostytutką także nie jest. Uszczęśliwia czterech aż mężczyzn, żaden się nie skarży. Inne nie potrafią uszczęśliwić nawet jednego. Zbija forszę, nic nie robi, życie ma urozmaicone. A kiedy układ ten pęknie (bo kiedyś pęknać musi, w części lub w całości) - weźmie forszę, którą doi od trzech naraz i sobie chowa, i znowu stworzy pewno jakiś nowy układ: z dwoma, trzema, czterema, sześcioma... Zresztą, któż wie, ilu ich teraz ma naprawdę?

Pointa historii o zatruciu krewetkami jest rzeczywiście zaskakująca. Oficer, który prowadził dochodzenie, twierdzi, że to wyjątkowo szpetna dziewczyna. Szczegół ten winien każdego skłaniać do patrzenia na życie z optymizmem, dowodzi bowiem, że ludzkie możliwości są w każdej dziedzinie mniej ograniczone, niż to przygarbieni kompleksami sądzimy.

Łańcuch

Co to z góry można wiedzieć! Halina P., 42-letnia lekarka, panna, adiunkt na internie, przed wyjazdem na roczne stypendium zagraniczne dała do gazety ogłoszenie, że na ten czas wynajmie komuś swoją kawalerkę. Reflektantów było wielu, ale wszystkich odstraszały wymagania: kaktusy podlewać, kotkę karmić i upilnować przed mezaliansem, sprzątać, nie hałasować, nie przyjmować gości i płacić 1500 zł za miesiąc, ale całą kwotę dać z góry.

Trafiła się tylko jedna panienka - delikatna, nieśmiała i błękitnooka - która przystała na te warunki. Zdawała się przeproszać, że żyje, i miała w torebce 18 tysięcy. Zapewniła, że nie lubi przyjmować gości, koty, przeciwnie - uwielbia, także kaktusy. Lada dzień zacznie pracę w bibliotece publicznej, a za telefon i światło uiszczać będzie regularnie. Czy ktoś wzbudzający zaufanie mógłby za nią poręczyć? Wymieniła pewnego literata i wyjęła stare świadectwo jakiegoś klasztornego zakładu. Siostra przełożona charakteryzowała ją przychylnie. Doktor Halina P. zastrzegła się, że jest niewierząca, ale ocenia, że surowe klasztorne wychowanie daje dobre kwalifikacje na sublokatorkę.

Gdy po roku lekarka wróciła, mieszkanie zastała posprzątane, w wazonie świeże kwiaty. Kaktusy wybujały, kotka była spasiona i zachowała niewinność, sąsiedzi się nią skarżyli, a kwity wskazywały, że telefon i światło są opłacone z góry. Sublokatorka w nagrodę podjęta została herbatą.

Życie dr Haliny P. po rocznym pobycie za granicą tym różniło się od życia Haliny P. przed wyjazdem, że w jej mieszkaniu telefon odzywał się teraz częściej i w zaskakujących porach, także w nocy, bywało, że i nad ranem. O drugiej w nocy zadzwoniła np. jakaś Asia: „Kochana, rano będę potrzebować dwadzieścia bonów”. O czwartej nad ranem dzwonił jakiś Roman: „Masz kogoś? Jak nie, to zaraz będę”, i po chwili: „Jaki pan? Roman mówi. Co to? Jakaś koleżanka? A masz kogoś? Jestem stary znajomy Luśki. Jak jesteś sama, to przyjadę”. Luśka to była ta sublokatorka.

Doktor Halina P. niemal codziennie zabawiała teraz koleżanki i kolegów w szpitalu opowieściami o tym, jakie miała telefony. Jakiemuś pragnącemu ją poznać cudzoziemcowi powiedziała, że jest podobna do Anny Magnani, tyle oczywiście starsza, nie tak ładna i bardziej nerwowa. Innemu odpowiedziała przychylnie na ofertę matrymonialną i ledwie się wykręciła od prezentu, który chciał przywieźć a conto. Facetowi, który dobijał się do drzwi wołając: „To ja, twój doktorek”, musiała zagrozić milicją, bo nie chciał odejść - nawet gdy pani P. przedstawiła się przez drzwi - póki nie dostanie aktualnego adresu Luśki. Pytała znajomych, ca też mógł znaczyć telefon: „Uważaj, ósmego Kandyda podpływa na rozchód. Tylko tyle.

Cześć”. Wiele razy, gdy wyjaśniała, że Luśka już nie mieszka, pytano ją, jak ma na imię, a jakie oczy, a włosy, a piersi. Były w słuchawce głosy objawiające wielką wybredność w doborze towaru, odzywały się i takie, dla których właściciele ważne było tylko opakowanie: „Nie nudź i żebyś za kwadrans była na Sadybie. Tylko ubierz się szykownie.”

„Mój Boże - ubolewała nad swoją naiwnością dr Halina P. - a ja prosiłam, żeby sublokatorka bardzo cicho puszczała radio, i nic mnie nie tknęło, kiedy dziewczyna, która miała rozpocząć pracę bibliotekarki, wyjęła 18 tysięcy złotych z torebki tak, jakby to była paczka papierosów”. Dr Halina P. uznała za stosowne spalić pościel i kupić sobie nową. W swoim czasie wspomniała o tym milicji.

Telefony stawały się już rzadsze, kiedy przyszło zawiadomienie o nadejściu paczki z zagranicy. Zaadresowana była na Halinę P. Cło przerastało dwa tysiące. Wykupiła. Wewnątrz znalazła sweterki i jedwabne chusty, w ilości wskazującej na handlowe przeznaczenie przesyłki. Nadawcą była firma handlowa, w załączonej specyfikacji wskazująca, że działa na zlecenie kogoś, kogo internistka nie знаła. Owa Luśka musiała jakiemuś wdzięcznemu klientowi podać jej nazwisko jako swoje, albo jakiś gość sam sobie je przepisał z listy lokatorów. Odłożyła paczkę w przewidywaniu, że sublokatorka się po nią zjawi, a ona odzyska kwotę, jaką wyłożyła na cło. Czas biegł, owa Luśka nie dawała znaku życia, natomiast przyszła następna paczka i dr Halina P. odmówiła jej przyjęcia.

W rezultacie przyszedł list, znów adresowany na jej imię. Napisany był po angielsku, czyli w języku, który pani adiunkt zna biegle, mimo to treść była niezrozumiała. Nadawca pytał, czemu paczka nie została odebrana. To jeszcze było jasne. Fakt nieodebrania nazywał on szantażem. Twierdził, że jak trzeba będzie - to nikt nigdy go nie znajdzie. „Tu nie będzie żadnej gry” - pisał. „Co się stało, to na zawsze, i nikt nie potrafi tego odwrócić.” Utrzymywał, że nie boi się policji, zdecydowany jest przenieść się do innego kraju, a skoro paczki są adresatce niewygodne, wyśle pieniądze. „Wiadoma osoba musi w ogóle zapomnieć, że coś mówiła. Musi - dla swojego własnego dobra.”

Gdy nadeszła pieniężna przesyłka, Halina P. ją odesłała, i na adres firmy, która ekspediowała była paczkę, napisała list, prosząc o przekazanie go klientowi, którego adresu nie posiada. Wyjaśniała w nim, że jakaś osoba posłużyła się jej nazwiskiem w sprawach, których natury nie zna.

W odpowiedzi nadeszła epistoła z nagłówkiem „Dear doctor P.” Nadawca twierdzi, że list pani doktor był wielkim szczęściem dla niego i jego żony. Żona znajdowała się w ciężkiej depresji nerwowej, którą spowodował zwrot paczki i pieniędzy. Obawiała się najgorszego. On sam także ostatnio prawie nie sypiał. Ma tu ładny dom, przyjaciół, krewnych i nieźle zaprowadzone interesy. Skutkiem nalegań żony

był jednak zdecydowany zrezygnować z tego wszystkiego, wyjechać gdzieś na drugą półkulę i zatrzeć za sobą ślady, aby tylko wiadoma kwestia nie wracała. Jeśli druga strona posłużyła się fałszywym nazwiskiem także pragnąc zatrzeć ślady, oznacza to, że straszliwe przeczucia jego żony były płonne. To jest wielka ulga i ogromny zwrot w ich życiu. Jeśli pani doktor ma kontakt z wiadomą osobą, która posłużyła się jej nazwiskiem, i jeśli ta osoba potrzebuje jakichkolwiek pieniędzy, on i żona chętnie służą każdą sumą i wdzięczni będą drogiej pani doktor za pośrednictwo. Gdyby jednak ten pośredni kontakt miał być wykorzystany do jakichkolwiek prób odwrócenia tego, co się stało, wiadoma osoba nic nie zyska, a pieniądze przestaną wchodzić w rachubę.

Doktor Halina P. odpisała, że nic nie rozumie z tego listu, przyznaje, że jest zaintrygowana, ale woli uznać korespondencję za zakończoną. Rzeczywiście nie dostała odpowiedzi. Analizowała ów dziwny list i poprzedzające go zdarzenia. Nie pasowały tu schematy: prostytutka i jej klient, romans, żona klienta i szantaż. Ani też: afera walutowa, szpiegostwo, handel narkotykami czy jakieś inne ciemne interesy. Po prostu nic, co można sobie wyobrazić, nie wyjaśniało treści obu listów. Pani doktor nie miała żadnego śladu owej niefortunnej sublokatorce ani żadnej hipotezy, w co ją ona właściwie wmieszała.

Halina P., adiunkt doktoryzowany na internie, znalazłszy się w potrzebie wyjęła z paczki trzy sweterki, zaniósła do komisur i odzyskała swoje pieniądze wydane na opłatę celną.

Do milicji wpłynął anonim. Donos brzmiał: mniej więcej dwudziestoletnia Zdzisława A., zamieszkała tam i tam, w tej i tej klinice urodziła dziecko, które po porodzie znikło. Matka tej A. przeczy, że w ogóle dziecko istniało. Faktem jest, że dziecka nie ma. Anonim wieńczyła sugestią, że dokonano zabójstwa.

Pod wskazanym w anonimie adresem Zdzisława A. jest rzeczywiście zameldowana, ale jej matka wyjaśniła, że córka nie zjawia się w domu już od dawna. Nie wiadomo, gdzie jest. Dziecka nie urodziła, to jakieś głupie plotki.

Dokumentacja oddziału położniczego wskazuje na to, że Zdzisława A. urodziła dziecko. Sprawa staje się poważna. Sąsiedzi sporo wiedzą: matka Zdzisławy, 38-letnia zaledwie Wanda A., uchodzi za wdowę, chociaż w rzeczywistości mąż porzucił ją już kilkanaście lat temu. Pracuje w prywatnej pralni chemicznej. Ma tylko tę Zdzisławę, która w szesnastym roku życia przerwała naukę w zasadniczej szkole handlowej i tak zaczęła się prowadzić, że ją matka wyrzuciła z domu. Do dziewiętnastego roku życia sąsiedzi widywali tę dziewczynę tylko od czasu do czasu. Zjawiała się u matki na odkarmienie i znowu szła swoją, na oko widać było, że złą drogą. Ale wobec ludzi była grzeczna. Potem wróciła do domu. Ustatkowała się, bo wyszła za mąż za kierowcę z transportu budownictwa. Przez kilka miesięcy

mieszkali w trójkę z matką i o Zdzisławie A. z tego czasu nie można nic złego powiedzieć. Jej mąż także nie pił i podobno przynosił zarobki do domu. Wanda A. skarżyła się tylko, że córka nie chce iść do roboty, chociaż jest ciężarna. Taka głupia: ma szansę zahaczyć się gdzieś w handlu, trochę popracuje i będzie dostawała porodowe. Gdyby teraz poszła, miałyby ustawowe cztery miesiące przepracowane, a przyjęć to ją przyjmą, bo jeszcze ciąży nie widać.

Na miesiąc albo dwa przed porodem mąż opuścił tę Zdzisławę A. Zabrał się i poszedł. Pani A. wyjaśniała sąsiadkom, że zięć ma okresowe przeniesienie służbowe, ale skądinąd wiadomo, że obie panie A. go szukały. Cóż, tak to w życiu bywa. „Żona była zaawansowana, to już mu nie podchodziła i dał nogę.”

W parę tygodni po porodzie Zdzisława A. wyprowadziła się gdzieś z maleństwem. Może do męża? A może znalazła sobie kogoś drugiego? Jeśli pani A. mówi, że dziecka w ogóle nie było, to to jest bardzo dziwne. Tak powiadali sąsiedzi.

Przesłuchanie Wandy A.: dlaczego mówiła nieprawdę, i gdzie jest córka? Nieprawdę mówiła, gdyż córka oddała dziecko na własność, a to jest wstyd, więc wolą już powiedzieć milicji nieprawdę niż taką prawdę. Komu Zdzicha oddała dziecko, ona nie ma pojęcia, i gdzie szukać córki, także nie wie.

Niemowlę było dziewczynką i miało na imię Irena - twierdzi Wanda A. Jedyna spośród sąsiadek, która dwa razy przychodziła pomagać przy kąpaniu dziecka, potwierdza, że to była dziewczynka. Milicja dopytuje się, czy na pewno. Sąsiadka odpowiada oficerowi bardzo impulsywnie, że ma 60 lat i męża, wychowała dwie córki i dwóch synów, więc chyba ma prawo odróżnić, czy dziecko jest chłopcem czy dziewczynką?!

Szkopuł w tym, że w dokumentach kliniki położniczej zarejestrowano, iż Zdzisława A., zamieszkała tam a tam, urodziła dziecko płci męskiej. Wanda A., zapytana, jak to tłumaczyć, odparła, że chyba omyłką w szpitalu: „córka wróciła z córką”. Wanda A. wspomniała także o tym, że była u niej i dopytywała się o córkę i dziecko pewna pani. Mówiła, żeby Zdzicha koniecznie się z nią skomunikowała, inaczej będzie miała przykrości. Wanda A. zaprzeczyła istnieniu wnuczki. Potem ta pani przychodziła jeszcze dwa razy. Powiedziała, że jak powie się córce, że była u niej Krystyna, to ona będzie już wiedziała, o co chodzi. I żeby uspokoić Zdzichę, że ona bynajmniej nie chce od niej z powrotem pieniędzy. I wypytywała, gdzie ją można znaleźć, bo ona gotowa jest szukać po całej Polsce. Taka to ważna i pilna sprawa. I że z ukrywania się przed nią nic dobrego dla Zdzichy nie wyniknie.

Pani owa nie chciała wyjawić, o co chodzi, natomiast zostawiła kartkę z adresem. Porównano charakter pisma. Kartka napisana była tą samą ręką, co anonim, który nadszedł do milicji, dając początek dochodzeniom w sprawie zaginięcia dziecka. Zresztą także jego matki, co mniej niezwykle, Zdzisławy A., nieobcej obyczajówce,

nie można było na razie znaleźć. Tego rodzaju dziewczyny nie mają zwyczaju wypełniania formularzy meldunkowych.

Autorka anonimu nazywa się Krystyna M. Ma 26 lat. Ongiś pracowała jako telefonistka w miasteczku, obecnie nie zarabkuje. Jej mąż jest urzędnikiem w zrzeszeniu sportowym. Milicja zjawia się w jej mieszkaniu, ponieważ Krystyna M. nie zareagowała na urzędowe wezwanie. Wyjaśnia: ma małe dziecko i nie mogła się odeń ruszyć, nie chciała zaś wtajemniczać rodziny ani męża w to, że wzywa ją milicja. Zresztą sądziła, że to omyłka. Czegóż od niej mogliby chcieć?

Nowoczesne, zadbane mieszkanie. Mniejszy z dwóch pokoi przerobiony na dziecienny.

Czy zna Zdzisławę A.? Gospodyni potwierdza. W klinice położniczej leżały na jednej sali i rodziły tej samej nocy. Cóż to za pilna sprawa skłoniła ją do trzykrotnych odwiedzin u Zdzisławy A.? I dlaczego tak bardzo chce się z nią skomunikować? Krystyna M. twierdzi, że to jej ściśle prywatna sprawa: „To są nasze babskie sprawy i bardzo wątpię, żeby milicję mogło to interesować”. A jednak interesuje. Ona nic nie powie. Czy pisała anonimowy list do MO? Krystynę M. zamurowuje. Czy poznaje swój charakter pisma? Krystyna M. potwierdza, że to ona pisała. Dlaczego sądzi, że Zdzisława A. zabiła swoje dziecko? Młoda kobieta jest wystraszona. Powiada, że gdyby mąż dowiedział się o wszystkim - to nie wiadomo, co by jej zrobił. Mąż po prostu nie może się dowiedzieć. Przynajmniej dopóki nie okaże się, że tamto dziecko żyje. Oficer MO zapewnia, że bez koniecznej potrzeby mężowi nie powie się o niczym, o czym ona nie chce, żeby wiedział.

Krystyna M opowiada więc, że gdy ze Zdzisławą A i przed położeniem jeszcze, leżały w łóżku w łóżku, zaprzyjaźniły się i dużo rozmawiały. Nim zabrano je obie na porodówkę, Krystyna M. powiedziała współtowarzyszce, że koniecznie musi mieć syna. Jej mąż absolutnie chce syna, i córka - to byłby dramat. Zdzisława A. odparła, że przeciwnie - jej mąż woli córkę. Potem wszystko stało się na odwrót. Zdzisława A. urodziła syna, a Krystyna M. córkę. Bardzo desperowała z tego powodu. Jej to nie robiło różnicy, ale bała się reakcji męża, tego, że odwróci się od niej i od dziecka. Zaproponowała zamianę. Zdzisława A. zrazu nie chciała się zgodzić, ale przystała na wymianę, kiedy Krystyna M. dopłaciła jej 1000 złotych.

Zabrała więc do domu syna, a tamta wzięła jej dziecko. Mężowi nic nie powiedziała.

Już po kilkunastu dniach wpadła w rozpacz. „Czułam, że to dziecko jest jakieś obce. Nie miałam do niego serca.” Żal jej było tamtego, własnego, to wydawało się jej jakieś gorsze, obce, drażniło ją. Ciągłe myślała o tej sprawie i doszła do wniosku, że nie zazna spokoju, póki swej córki nie odzyska. Zdobyła w klinice adres

Zdzisławy A. i wybrała się do niej niezwłocznie. Było to w porze przedpołudniowej. Dziewczyna była sama w domu. Dziecka nie było! Zdzisława A. powiedziała, że oddała je do pewnej krewnej, żeby je podhodowała. Krystyna M. poczęła rozpaczać i grozić. Zdzisława A. złąła się jakby i obiecała dokonać powtórnej wymiany. Musi tylko pojechać i przywieźć dziecko. Niech Krystyna M. przyjdzie za trzy dni. Kiedy przyszła, Zdzisławy A. nie było. Zastała jej matkę. Ta nie potrafiła powiedzieć, co jest z córką. Natomiast twierdziła, że jej Zdzicha w ogóle nie ma dziecka. Krystyna M. wpadła w panikę. Zostawiła swój adres. Nie poskutkowało. Jeszcze dwukrotnie przyjeżdżała. Nie sypiała nocami. Płakała i myślała. Doszła do wniosku, że gdyby dziecko żyło, Zdzisława A. nie uciekałaby przed nią, a jej matka nie przeczyłaby, że malec istnieje. Gdyby było prawdą, że dziecko oddała na wychowanie, to nie miałyby przecież powodu bać się i znikać. Była nie tylko zrozpaczona, ale i przerażona: niechby mąż się dowiedział, że ich dziecko po prostu oddała morderczyni! Postanowiła cicho siedzieć i tylko wysłała do MO anonim, żeby taka rzecz nie została bez kary.

Zdzisława A. wreszcie się znalazła Zgarnięto ją którejś nocy z ulicy wraz z koleżankami, a rano nie puszczono wolno, jak to dotychczas bywało.

Na pytanie, co zrobiła z dzieckiem, Zdzisława A., znana w swoim środowisku pod pseudonimem Lejek, powiedziała, że sprzedała je koleżance za 5 tys. złotych i pantofle. Ale nie chodziło jej oczywiście o pieniądze.

Gdy pierwszy raz po połogu wyszła do kawiarni, spotkała tę koleżankę i użalała się, ile to ma roboty przy dziecku. Koleżanka powiedziała, że jej zazdrości. Chciałaby mieć teraz niemowlę. Za dwa dni jej narzeczony wychodzi z mamra. Gdyby mogła powiedzieć, że urodziła mu dziecko, na pewno by się z nią ożenił. Zdzisława A. pomyślała, że jeśli to dziecko, zresztą nawet nie jej własne, ma koleżance przynieść szczęście, a do tego znaleźć ojca i dom, to lepiej je oddać. Powiedziała: dziesięć tysięcy. Z dziesięciu tysięcy zeszła na pięć w dwóch ratach, a koleżanka dodała do tego pantofle. Ta koleżanka nazywa się Anna R. i po południu można ją spotkać zwykle w kawiarni.

Koleżankę Annę R. znaleziono jeszcze tego samego dnia. Potwierdziła zeznania Zdzisławy A., ale powiedziała, że dziecka już nie ma. Zresztą ta Lejek wtedy zalewała. Jej narzeczony wcale tak szybko z mamra jeszcze nie wychodzi, a ostatnie, co chciałby na powitanie zobaczyć, to bobasek. Po prostu trafiał się interes. Jej koleżanka, niejaka Dorota W., miała wtedy zagranicznego klienta, który dopytywał się, czy w Polsce można by adoptować dziecko i wywieźć je za granicę. Chcą z żoną mieć dziecko, a sami nie mogą. Dałby za to wielkie pieniądze. Akurat trafiła się ta Lejek. Co to był za gość, ten cudzoziemiec, i jak to się dalej działo, ona nie wie, bo z Dorotą W., po załatwieniu jej klientowi dziecka, straciła kontakt.

Od Doroty W. milicja usłyszała, że istotnie przekazała ona niemowlę cudzoziemcowi. Uzgodniła z nim wprzód, że zapłaci 250 dolarów gotówką, a 1000 dolarów przyśle pocztą w towarach. Pieniądze są - twierdziła - dla matki dziecka. Powiedziała także, że żadnego przysposobienia dziecka nie można załatwić, ani dokumentów na wywóz dziewczynki. Cudzoziemiec zdecydował się szmuglować maleństwo samochodem. Przekazanie dziecka odbyło się w mieszkaniu, którego użyczyła niejaka Luśka. Dorota W. powiedziała wówczas cudzoziemcowi, że to jest mieszkanie matki tego dziecka, ale matka nie chce być obecna przy oddawaniu maleństwa, bo to dla niej zbyt ciężkie przeżycie. I że paczki należy tu właśnie przysyłać. Umówiły się przedtem z Luśką, że poda nazwisko właścicielki mieszkania, aby w razie czego nie było żadnych śladów, i że Luśka będzie te paczki odbierać i przekazywać Dorocie W. Cudzoziemiec okazał się zwyczajnym chamem, chociaż mówił, że ma fabrykę. Żadna paczka nie nadeszła.

Ostatnią osobą składającą w tej sprawie zeznania była doktor Halina P., jedyna, która знаła nazwisko i adres cudzoziemca.

Kiedy już ustalono cały tok zdarzeń i ujawniono cały łańcuch osób zamieszanych w wywiezienie dziecka, Krystyna M. zaczęła błagać, żeby niczego nie ruszać, nie szukać jej córki, nie sprawdzać. Niech wszystko zostanie tak jak jest. Ona teraz już bardzo kocha syna i mąż także. Przecież jak przywiozą tamto dziecko - odbiorą jej syna! Rzeczy tak się ułożyły, że obecnie nikt nie ma krzywdy. A gdyby mąż się dowiedział, że oddała ich córeczkę w łapy szajki prostytutek, i że do tego wszystkiego ma jeszcze stracić syna - nie tylko ją by zabił, ale i sobie chyba coś by zrobił.

Tak oto sprawa stała się delikatna i powstał dylemat: czy rzecz ma się dalej toczyć wedle prawa, czy rozsądku.

Love story

Bardzo udana jedynaczka znanego historyka literatury ukończyła chemię i wyrobiła sobie miejsce w instytucie badawczym. Kiedy miała 25 lat, zarabiała już z premią 3400 i patrzyła doktoratu. Nazywa się ta jedynaczka Urszula M. i osiągnąwszy ten wiek, zawód i zaawansowanie kariery, wsiąkła w nieprzytomny romans z Andrzejem S., 22-letnim technikiem poligraficznym z drukarni dziełowej. Ale wszystko to było bardzo dawno, jakieś pięć lat temu.

Ojciec Urszuli M. jako historyk miał do przesądów klasowych stosunek historyczny. Śledził w swoich pracach, jak objawiały się one w dziewiętnastowiecznej literaturze i jak były w niej przewyciężane. Jeśli idzie o współczesność, a nie wiek XIX, i życie, a nie literaturę, z problemem przesądów myślowo się nie stykał, a tylko ogólnie wiedział, że nasza struktura społeczna nie daje im pożywki. Tak wszakże, jak czym innym jest nie mieć uprzedzeń rasowych-, a czym innym wydać córkę za Murzyna (o czym z literatury wiadomo), tak samo czym innym jest ogólny brak uprzedzeń, a czym innym zięć bez wyższego wykształcenia. Oczywiście nie ma to nic wspólnego z klasowymi przesądami, gdyż możliwość studiów akademickich jest szeroko otwarta, a ich ukończenie stanowi niedziedziczną zdobycz, dobrze świadczącą o postawie absolwenta wobec współczesnego życia i jego wymogów.

Tu pada trup.

Ojciec Urszuli M. uprzedzał, że jej matka, jak się dowie - trupem padnie. Zadzwoił więc do córki do instytutu, powiedział, że udało jej się wykończyć matkę, i rzucił słuchawkę. Pani M., okazało się, nie umarła jednak, tylko nagle musiała jechać leczyć nerwy do sanatorium. Taki to był w domu klimat, kiedy Urszula M. sposobiła się do małżeństwa „z tym młodym człowiekiem noszącym krawat na gumce”. Próżno zapewniała rodziców (matka wróciła podleczywszy nerwy), że skłoni narzeczonego, aby w ogóle zrezygnował z krawata, i że on podejmie wieczorowe studia inżynierskie. Człowiek zaczyna się liczyć poczynając od wyższego wykształcenia, więc jako meta dążeń nie kwalifikuje ono na zięcia.

Urszula M. była namawiana, żeby poczekała ze ślubem, aż Andrzej S. dobije się dyplomu, bo to będzie dla jego dobra, gdyż obowiązki domowe odciągną go od nauki. Odpowiadała, że nie chce czekać, bo ma do narzeczonego silną skłonność. I nie może mu powiedzieć, że jej ręka stanowić ma nagrodę ufundowaną przez rodzinę M. za zrobienie dyplomu, bo to człowiek ambitny a drażliwy, którego nie chce poniżyć.

Potem był ślub buntowniczy, na który pani i pana M. nie zaproszono, ślub -

manifestacja braku kastowych przesądów panny M., i wesele z udziałem siedmiorga rodzeństwa Andrzeja S. oraz żon lub mężów tego rodzeństwa.

Zaraz po ślubie Urszula M., buntowniczką, wcieliła się w tatusia i mamusię razem wziętych. To było jeszcze na długo przedtem, nim Andrzeja S. zamknięto w więzieniu.

Andrzej S. uczęszczał do szkoły inżynierskiej, a miał kompleks, że jej przedtem nie ukończył. W towarzystwie upijał się szybko i zaraz kpił z cenzusu żony, dawał popisy mające dowieść, że jego wiedza jest rozleglejsza niż jej, a inteligencja znaczniejsza, i w ogóle starał się powetować sobie brak magisterium okazując lekceważenie żonie i szydząc z jej doktorskich aspiracji.

Urszula M. uznawała, że kompleks męża jest czymś samoistnym, wrodzonym i naturalnym, gdy się nie ma studiów wyższych, nie zaś przypadłością nabytą w obcowaniu z nią i jej otoczeniem. Pozbyć się kompleksu - będącego chorobą dokuczliwą zarówno dla osoby, która nań cierpi, jak i dla innych - można, myślała, tylko zdobywając dyplom. Jej kuracja lecznicza wobec ciągle sfrustrowanego i przeważnie pijanego męża polegała więc na podjudzaniu jego studenckiej pilności i utwierdzaniu go na drodze studiów wyższych.

Życie małżeńskie celebrowali przelotnie. On od rana pracował, zjadał obiad w stołówce i szedł na uczelnię, potem wkuwał u kolegi, wracał późną nocą. W tym stanie rzeczy Urszula M. pomieszkiwała u rodziców, a w każdym razie siedziała tam przez popołudnia i wieczory. Andrzej S. nie znosił zresztą domu teściów, a także swojego mieszkania, które otrzymali w wyniku starań teścia i za jego pieniądze.

Andrzej S. zrobił dyplom inżynierski w tempie nader szybkim, przyniósł żonie fotokopię wraz z bukietem kwiatów i potem błyskawicznie zrobił karierę. Cieszył się nią bardzo, choć krótko, bo niebawem został aresztowany.

Zaraz po zdobyciu tytułu inżyniera Andrzej S. został kierownikiem oddziału chemigrafii, następnie wicedyrektorem drukarni. Pracę kończył bardzo późno, dalej bywało, że wracał w nocy.

Jeśli zdarzało mu się spędzać popołudnia z żoną w domu - także nie był wolny od zawodowych powinności. Telefonował, sztorcował podwładnych, a szefem był ostrym, wydawał dyspozycje na dzień następny sekretarce i kierowcy, załatwiał skomplikowane sprawy techniczne. Zarabiał teraz ze trzy razy więcej niż przedtem, więc wiodło mu się świetnie.

Wkrótce wziął drugą posadę: wykładowcy w szkole inżynierskiej, tej, którą skończył. Śmiał się z żony, że szybciej niż ona robi doktorat. Teraz już codziennie wracał późno w noc. Gdy się spotykali, było to dla obojga taką atrakcją i świętem,

że ich małżeństwo naprawdę nie znało konfliktów i kwitło wyzbyte ciemnych stron.

Cała prawda wyszła na jaw dopiero po aresztowaniu.

Okazało się wówczas, że Andrzej S. niedługo po ślubie związał się z dziewczyną mającą ogromną zaletę -- wykształcenie tylko podstawowe, i u niej to spędzał wieczory. Dziewczyna ta dowiodła mu, że nie tylko poprzez zostanie inżynierem przewyciężyć można kompleksy. Bardzo szybko przestał wobec tego chodzić na uczelnię, tak szybko, że nie zdążył zdać jednego choćby egzaminu. Karierę robił więc tylko w swojej imaginacji. Urządzał dla żony telefoniczne przedstawienia. Wystarczyło jednak tych pozorów, aby zmienił się, nabrał pewności siebie, aby przeszła mu nadmierna pobudliwość, skłonność do objawiania kompleksu niższości i wyższości zarazem, a także pociąg do alkoholu.

Andrzej S. nie sfałszował dyplomu, raczej zrobił falsyfikat, li tylko na użytek żony. Wyzyskał w tym celu umiejętności zawodowe. Wziął dyplom kolegi, położył na nim kartkę zawierającą swoje nazwisko i personalia i ten rzekomy dokument sfotografował.

W więzieniu skończył Andrzej S. dlatego, że pragnął stworzyć pełnię pozorów i nie chciał zostawiać luk w mistyfikacji. Wzrost zarobków uznał za najważniejszy dowód, przejaw i symbol udawanej swej kariery. Urządził lewą produkcję etykiet dla prywatnych wytwórców. Produkował pocztówki i odbitki z żurnali dla krawców. Robił małe wkładki fotograficzne do długopisów prywatnej produkcji. Przedstawiały one dziewczynę w kostiumie kąpielowym. Wyrabiał plansze do gier dla dzieci. Odbiorcą była prywatna wytwórnia. Założył całą sitwę, która wyzyskiwała urządzenia, materiały i chemikalia drukarni do produkcji na prywatny rachunek. Pieniądze gromadził u swojej dziewczyny i co miesiąc dwanaście tysięcy przynosił z dumą żonie - zarobek z dwóch posad: dyrektora i wykładowcy.

Na ławie oskarżonych zasiedli we czterech - Andrzej S. ze współnikami od tej roboty.

Urszula M. przyznała, że bardzo krótko wierzyła w dyplom męża, choć do czasu, nim go przyniósł, sądziła, że studiuje, i to z sukcesem. Dowiedziała się przypadkiem, że nie jest on zastępcą dyrektora, za jakiego się podaje, i że dalej robi to, co przedtem - widocznie więc w ogóle nie jest inżynierem. Siłą rzeczy rozumiała, że wieczorami nie zajmuje się on wykładaniem w WSI, ale musi mieć jakąś dziewczynę. Niepokoiły ją wysokie zarobki męża i nie potrafiła się domyślić, skąd pochodzą. Jedno wiedziała: jeśli da po sobie poznać, że mu nie wierzy, będzie to koniec ich związku. Andrzej nie zniesie upokorzenia związanego z zawaleniem się całego gmachu złud i kłamstw, który zbudował. Tedy milczała.

Jej przypuszczenia były słuszne. Po aresztowaniu Andrzej S. objawiał wobec żony

tylko wrogość, nie zgadzał się na widzenie z nią, nie przyjmował paczek ni pieniędzy na adwokata, nie pisał do żony, a przez swojego obrońcę żądał od niej rozwodu. Na rozprawie powiedział, że żony nienawidzi.

Takie jest podłoże psychologiczne i obyczajowe drobnej, niknącej wśród sądowego repertuaru aferki, polegającej na dokonywaniu nadużyć w pewnej drukarni dzielowej.

1 + 1 = 0

9 lutego w Warszawie przysłuchiwałem się procesowi przeciwko Katarzynie G., 38-letniej ekonomistce, pracującej jako starszy radca w instytucji państwowej, a oskarżonej o to, że uprawiając przestępstwo w sposób ciągły, przez 21 lat wyłudziła od Kazimierza D., 39-letniego inżyniera-hutnika z Krakowa, kwotę 164 400 zł. „Przez 21 lat płaciłem i przez 21 lat miałem ustawiczne wyrzuty sumienia. Oskarżona przez 21 lat brała, i jak sądzę, nie męczyły jej wyrzuty sumienia” - powiedział inżynier.

Główny materiał dowodowy w sprawie stanowiły listy Katarzyny G. do Kazimierza D. Było ich w aktach 87; inżynier jest z usposobienia systematyczny i ma zwyczaj przechowywać całą korespondencję prywatną. Pierwszy list jest z października 1951 roku; poźółkła kartka z zeszytu pokryta wyblakłym, trudno czytelnym pismem. „Czy pamiętasz Kaśkę z sierpniowej akcji żniwnej?” „Kaśka z akcji żniwnej” wskroś różne stylistyczne zawijasy donosi, że ich zbliżenie ma przykre dla niej konsekwencje, ale jest lekarz, który chce pomóc, tylko potrzeba na to 800 złotych, a ona nie ma.

Następny list pochodzi z czerwca 1952 roku. Katarzyna G. pisze, że dziękuje za 800 zł, ale nie umiała zdecydować się na zabieg. Ogarnął ją lęk, zawróciła spod drzwi doktora i teraz ma kilkutygodniową córeczkę imieniem Aleksandra.

Ostatni list jest z października 1972 roku. Katarzyna G. informuje, że Ola zaczyna repetować drugi rok studiów i są z tą dziewczyną, której w głowie tylko stroje, przeokropne kłopoty, ale córka obiecuje, że tym razem przyłoży się do nauki i nie przebaluje roku tak jak poprzednio.

W aktach jest także siedem zdjęć dziewczyny - od małego dziecka do dorosłej kobiety.

Mgr Katarzyna G. wyjaśnia sądowi, że są to fotografie jej chrzestnej córki, dziecka jej kuzynki, w rzeczywistości mającej na imię Maria. Ale w listach do Kazimierza D. nie jest opisany życiorys Marii - życie Oli komponowała z imaginacji. Wykluwanie się pierwszych mlecznych zębów i debiut w przedszkolu, wietrzna ospa i pierwszy dzień w szkole, kłopoty wychowawcze z dwunastolatką, romanse podlotka, matura, emocje egzaminu wstępnego na uczelnię - wszystko to zmyślała.

Katarzyna G. twierdzi, że naprawdę zaszła w ciążę z Kazimierzem D. i nie oszukiwała, gdy zwróciła się doń listownie o pieniądze na zabieg, który został wówczas wykonany. Nie sposób dziś, po blisko 22 latach, sprawdzić, czy tak było istotnie. Nie ma to zresztą większego znaczenia.

Oskarżona utrzymuje, że na wiosnę 1952 roku znalazła się w ciężkiej opresji. Była studentką z niespełna dwustuzłotowym stypendium i po raz wtóry zaszła w ciążę, z kimś innym, i ów ktoś nie chciał jej dać pieniędzy. Wspomniała wtedy Kazimierza D., który bez słowa sprzeciwu posłał jej w podobnej sytuacji jesienią 800 zł. Potrzebowała jego pomocy, a przecież nie wypadało napisać prawdy. Skłamała, że urodziła dziecko. W odpowiedzi otrzymała list, którego treści nie pamięta, i 300 złotych. Odtąd taka kwota nadchodziła do niej co miesiąc. Mieszkała w akademiku, nie miała pomocy materialnej z domu, owe uzupełniające stypendium alimenty to był dla niej majątek. Zaczęła pisać listy o tym, jak się rozwija ich córka.

Nikt dziś nie ustali, czy istotnie wiosną 1952 Katarzyna G. znalazła się powtórnie w damskich tarapatach i czy napisała ów kłamliwy list, z datą czerwcową, pod wpływem rozpaczliwej sytuacji, czy też to wszystko w ogóle bujda. Nie ma i to kluczowego znaczenia dla biegu procesu w 1973 roku. Bo potem Katarzyna G. ukończyła studia, zaczęła pracować, wyszła za mąż i nie była już w żadnych szczególnych tarapatach materialnych. Korowód świadków opowiada o jej realnym życiu. Mąż, z wykształcenia geolog, w tym charakterze pracował kilka lat. Później był szefem administracji w przedsiębiorstwie swojej branży, następnie wicedyrektorem w instytucie badawczym, obecnie pracuje w administracji centralnej, ma tytuł głównego specjalisty. Ona wielokrotnie zmieniała posady, zawsze zajmując skromne, ale dobrze płatne stanowiska. Pobrali się w 1955 roku. Mieszkanie, które zajmują do dziś, otrzymali w 1957 roku. Mają dwóch synów. Starszy ukończył tej wiosny szkołę średnią. W całym życiorysie Katarzyny G. nie ma niczego osobliwego. Próżno sąd w nim szuka psychologicznego klucza tłumaczącego oszustwo, które kobieta ta popełniała miesiąc w miesiąc przez 21 lat. Ona sama także niewiele ma do powiedzenia: „Przyzwyczyłam się dostawać te pieniądze.” „Wiele razy chciałam przerwać, ale zawsze wynikały pilne wydatki i jakoś nie mogłam zrezygnować.” „Mąż nic nie wiedział, ani w ogóle nikt.” Również i to jest nie do sprawdzenia, że nie wtajemniczyła męża w swoje uboczne źródło dochodów. W końcu - prawdopodobne.

Oskarżona nie ograniczała się jednak do biernego przyjmowania pieniędzy. Aktywnie zabiegała o zapewnienie sobie tego dochodu. Wpierw 300 zł miesięcznie nadchodziło na jej adres w akademiku. Potem, bojąc się ewentualnej wizyty ojca rzekomego dziecka, skłamała w liście, że mieszka już gdzie indziej i kazała przysyłać sobie pieniądze na poste restante. Kiedy wychodziła za mąż, nie zmieniła nazwiska. Dla Kazimierza D. chciała pozostać samotną panną z dzieckiem, aby wzmocnić w nim poczucie moralnych zobowiązań.

Z któregoś z pierwszych listów wynika, że alimentator pisał do niej, wyrażając chęć odwiedzenia swojej córki.

Jej odmowna odpowiedź to odpowiedź kobiety skrzywdzonej, która nie chce

oglądać krzywdziciela, i odpowiedź matki dziecka, która woli, aby córka nie oglądała nigdy ojca mającego inną rodzinę i skłonnego najwyżej do wizyt raz na parę lat.

W aktach są pliki odcinków dla nadawcy przekazów pieniężnych. Kazimierz D., po ustabilizowaniu się zawodowym, na prośbę Katarzyny G. podwoił alimenty do 600 zł. Siedem lat temu alimenty powtórnie zostały zdwojone do 1200 zł miesięcznie. Żona inżyniera D. wiedziała, że ma on nieślubne dziecko z czasów przedmałżeńskich.

Jedyny adres Katarzyny G., który Kazimierz D. znał - to ów warszawski akademik. Tam nadesłał ongiś list zapowiadający chęć przyjazdu. Potem już nigdy nie miał adresu Katarzyny G., nigdy też do niej pisał. Latami słał pieniądze na poste restante, później wpłacał je na konto czekowe. Odbierał za to korespondencję: listy i raz na parę lat fotografie. Córka Aleksandra nie pisywała doń. Katarzyna G. tłumaczyła mu, że woli, aby dziewczyna w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu.

W roku 1972 inżynier D. miał przed sobą jeszcze kilka lat płacenia. Obowiązek alimentacyjny wygasa dopiero po ukończeniu studiów, a Aleksandra G. objawiła skłonność do repetowania roku. Katarzyna G. nie pisała mu, co jego córka studiuje. Mogłoby mu wpaść do głowy jej poszukać. Miał duże, dobre zdjęcie „swojej” Oli, to jest w rzeczywistości Marii W., zrobione w 1971 roku. W 1972 roku uległ pewnego razu wrażeniu, że widzi swoją córkę w telewizji. Kamera eksponowała twarz z fotografii w czasie pokazywania ludzi na widowni jakiejś imprezy rozrywkowej.

Zaledwie w kilka tygodni później, będąc w Warszawie, inżynier D. zobaczył nagle tę dziewczynę, swoją córkę. Szedł ulicą i ujrzał ją za szybą baru kawowego.

Kazimierz D. zeznał, że po chwili wahania zdecydował się wejść i zawrzeć znajomość, podając się za znajomego jej matki. Dziewczyna siedziała z koleżanką. Podeszedł, przeprosił i zapytał: „Czy pani Ola G.?” Dziewczyna zaprzeczyła. Gdyby wówczas przeprosił i natychmiast odszedł, mgr Katarzyna D. nie siedziałaby obecnie w więzieniu. Ale on z rozpędu zadał jeszcze drugie pytanie: „Pani nie jest córką Katarzyny G.?” „To moja ciotka. Jestem jej chrzestną córką.” Przeprosił, wyszedł, namyślał się chwilę i wrócił. Zapytał o adres Katarzyny G.

Wizytę złożył wieczorem i zastał całą rodzinę: tę kobietę, z którą przed 22 laty poszedł na chwilę w krzaki, jej męża, dwóch chłopców. Katarzyna G. nie poznała go. Przedstawił się. Poprosiła, żeby tu z nią nie rozmawiał. Umówili się nazajutrz w kawiarni. Wpierw mówiła, że córkę oddała na wychowanie swojej kuzynce. Potem zaproponowała, że całą sumę spłaci w ciągu kilku lat. Potem prosiła i płakała. Mówiła o dzieciach, tych realnych, o swoich dwóch chłopcach, których widział.

Ani jej nadziei nie dawał, ani nie odbierał. Jeszcze nie wiedział, co zrobi i chciał jak najszybciej skończyć tę rozmowę. Na milicję poszedł dopiero w kilka dni później, po naradzie z żoną. Zabrał ze sobą materiał dowodowy.

Katarzynę G. aresztowano. Po kilku tygodniach puszczono wolno do sprawy. Sąd skazał ją na cztery i pół roku, podkreślając ciągły, wieloletni charakter przestępstwa, i zarządził aresztowanie na sali sądowej. Mąż Katarzyny G. nie zjawił się na procesie. Miała dwóch dobrych, bezradnych adwokatów, którzy akcentowali w swoich przemówieniach jej panięskie nieszczęścia. Cóż, to było dawno i nie wiadomo, czy prawda.

W ostatnim słowie powiedziała, że skrzywdziła bardzo Kazimierza D. i wyraża skruchę, ale on odpłacił jej o wiele większą krzywdą, doprowadzając do tego procesu. Poza tym mówiła dużo o swoich realnych synach, którzy są w trudnym wieku, więc potrzebują matki, i ani słowa o imaginowanej córce.

List

W Wigilią 1954 roku po kolacji Marian P. wstał, powiedział do żony Ewy: „no to dziękuję”, nie pocałował ani starszej córki umiejącej już siedzieć na krześle, ani młodszej trzymanej na kolanach, ubrał się, wyszedł i więcej nie wrócił.

Ponieważ dom opuścił bez rzeczy, pieniędzy i dokumentów, żona Ewa P. szukała go po szpitalach, więzieniach i w nie zamierzającym kanale, który odprowadzał w owe czasy ścieki fabryczne do rzeki. Szukała go także w gazetach, w rubryce wypadków i nekrologów.

W piętnaście lat później uzyskała sądowe uznanie go za zmarłego i wyszła za mąż za swojego nowego, faktycznego męża, z którym mieszkała przedtem przez dwanaście lat, a który teraz umarł przed rokiem.

Córki miała już obie zamężne, mieszkała samotnie i czekała emerytury jako długoletnia kierowniczką przedszkola, kiedy w roku 1972 otrzymała list od swojego dawno opłakanego, pogrzebanego w wyobraźni męża. Bardzo w nim przeproszał za to, co zrobił, twierdził, że to się już więcej nie powtórzy i prosił o pomoc, gdyż los go ukarał za krzywdę, jaką wyrządził żonie i córkom. Wyznawał także w liście, jak to wszystko było.

Powodem, dla którego w noc wigilijną 1954 wyszedł z domu, było to, że miał kochankę. Szedł do niej w przekonaniu, że zaraz wróci. Kochanką tą była pewna dziewczyna pracująca w kopalnianej szatni, i wraz z rokiem 1954 mijał drugi rok, jak się ze sobą zadawali w tajemnicy przed Ewą. Szatniarka ta, imieniem Wera, pragnęła, aby porzucił dla niej żonę i dzieci, na co odpowiadał, że ani o tym myśli, ani chce rozmawiać. Zna swoje obowiązki i potrafi w życiu rozróżnić powinności i przyjemności. Dobrze mu jest tak, jak jest. A jeśli jej się nie podoba - to może mu powiedzieć „do widzenia”. Klamki nie będzie się czepiał.

Widząc to zdecydowanie, Wera przestała go męczyć, żeby porzucił żonę i dzieci, ale ponieważ kochała go strasznie i chciała mieć dla siebie i przy sobie - poprowadziła tę samą grę w inną stronę. Oświadczyła, że znalazła sobie narzeczonego i myśli wyjść za niego, bo skoro Marian P. jej nie poślubi, to nie chce zostać z tej przyczyny starą panną i pośmiewiskiem. On ma żonę, ona będzie miała męża - bardzo dobry, zgrabny, dowcipny chłopak. Między nią a Marianem P. nic się przez to nie zmieni. Będą ze sobą żyć jak równa z równym.

Marian P. począł rozpaczać i wtedy dopiero pojął, jak kocha tę szatniarkę. Tłumaczył jej, że co innego jest mieć żonę i dzieci, a kochać inną, co innego zaś jego kochać, a równocześnie szukać sobie narzeczonego. Ta Wera go dręczyła mówiąc, że w czwartek, powiedzmy, i sobotę nie ma czasu, bo spotyka się

z narzeczonym, a jego czeka, powiedzmy, w piątek i w niedzielę. Nic na to nie mógł poradzić, jak tylko rzucić żonę z dziećmi, nie tak był jednak wychowany, żeby robić coś takiego. Zresztą wiedział, że tamta po to właśnie rozgrywa historię z narzeczonym, żeby jemu, Marianowi P., zawiązać na szyi pętlę i przyciągnąć go na zawsze. W wieczory, kiedy nie mógł iść do kochanki, gdyż ona spędzała czas z narzeczonym, z rozpaczy i złości bijał swoją żonę Ewę, czego nigdy przedtem nie robił, ale na kim miał wyładować rozpacz, jak nie na swojej najbliższej towarzysze życia? Ona, jego żona, jak pamięta, nie miała o te rzeczy pretensji, przeciwnie, rada była, że siedzi w domu, choćby zły i bijący, a nie łązi z kolegami na piwo. Sądziła bowiem, że w ten sposób spędza wieczory.

Marian P. przypuszcza, że ten jakiś narzeczony Wery, dziś nie pamięta już nawet jego imienia, czy to czegoś się domyślał, czy coraz bardziej zakochał, dość że coraz mniej zostawiał jej wolnych wieczorów i coraz trudniej jej było spotykać się z Marianem P. Wtedy to Wera-szatniarka powiedziała mu, że tak musi być aż do ślubu, ale po ślubie ona wszystko wyzna mężowi i niechaj Marian P. także wszystko uczciwie powie żonie, i niech się ich współmałżonkowie pogodzą z sytuacją, a jeśli nie - otrzymają wtedy oboje wolną rękę i zamieszkają razem. Marian P. zgodził się na ten plan. Wera-szatniarka wzięła ślub i zaraz mężowi powiedziała wszystko, co i jak. Marian P. tymczasem okłamał ją mówiąc, że to samo on zrobił u siebie w domu i że żona się z tym pogodziła. W rzeczywistości nic nie mówił, gdyż nie miał odwagi.

Mąż Wery-szatniarki bardzo to przeżył, bo wpieryw jej nawymyślał od ostatnich, potem się upił, następnie poszedł na dziwki, a kiedy to nie pomogło, złał żonę, a gdy i wtedy ani nie poczuł ulgi, ani nie otrzymał od niej obietnicy, że rzuci kochankę - wziął parę dni urlopu i wcześniej wyjechał na wieś do rodziców na święta, żony ze sobą nie zabierając, co wpieryw było w planie.

Tak to Wera została na święta sama i powiedziała Marianowi P., że skoro z miłości do niego została sama jak palec, jeśli dla niego stworzyła taką sytuację, że jest na całym ciele modra od bicia - to on za to powinien spędzić z nią Wigilię. Marian P. wzruszył się tym wszystkim i obiecał jej to, ale nie miał odwagi powiedzieć żonie, zwlekał, aż nadszedł dzień wigilijny i kolacja postawiona już była na stole. Siedział, jadł i myślał o tym, że Wera siedzi tam teraz sama przy stole nakrytym na dwie osoby i ma go za judasza, a może nawet za świnię. Postarał się zjeść jak najprędzej, i bez słowa, żeby nie było żadnego gadania, wyszedł z domu. Zamierzał za godzinę, uspokoiwszy trochę Werę - wrócić, uspokoić z kolei żonę, coś zełgać i, jak się uda, znowu wpaść do kochanki.

Szła już dziesiąta wieczór, kiedy zapukał do drzwi pokoju, który Wera teraz już wraz z mężem wynajmowała u pewnych rencistów. Usłyszał od niej, żeby zabierał się precz do żony i nigdy nie wracał, skoro tak późno przyszedł na Wigilię. Ona

męża przebłaga choćby na kolanach, i tak będzie dobrze. Długo prosił, nim go wpuściła, długo prosił, nim mu przebaczyła. O powrocie do domu nawet nie śmiał wspominać.

Pili wtedy - nie ukrywa - wpierw na zgodę, potem, pod karpia, tak że dużo wypili. Obudził się w pierwszy dzień Bożego Narodzenia dopiero w południe i z kacem. Bał się wracać do żony, bo co jej powie? Zresztą był za bardzo chory i żeby chodzić, i żeby mówić. I tak z powodu kaca marnie przegrał swoje życie.

Pili z Werą w pierwszy, a także w drugi dzień świąt, zapewniając się wzajemnie, że nic ich od siebie nie oderwie. On w to wierzył i ona w to wierzyła. Rano po Bożym Narodzeniu obudził się wcześniej i postanowił nie iść do pracy, bo przecież żona zaraz tam przybędzie jego szukać. Tu zostanie - myślał - i niech się dzieje co chce. Ale zaraz obudziła się Wera i zaczęła szybko ubierać się do pracy, a i jego wyganiać, bo lada chwila może wrócić jej mąż. „Nie pójdziesz - powiedział - do pracy, ani ja nie pójdę, niech będzie, co ma być. Człowiek jest za słaby, żeby oderwać się od swojego szczęśliwego przeznaczenia. Jakoś tam będzie. Męża nie wpuścisz dziś tutaj, wyjedziemy byle gdzie, zbudujemy sobie życie.” Wera odparła, że już od lat czeka na te słowa, a one padły akurat na pięć minut przed odjazdem jej autobusu. Niech idzie do żony, zerwie z nią jak trzeba i wróci. Jeśli teraz ucieknie od żony bez słowa, jak tchórz - skąd i ona ma pewność, że za trzy dni albo miesiące nie zacznie znowu śpiewać na melodię „żona, dzieci” i tak samo chyłkiem od niej nie ucieknie? Kazała mu się zbierać, bo chce zamknąć drzwi. Inaczej mąż wróci i obaj się pozabijają. Kiedy przyjdzie pod wieczór i powie, że zerwał z żoną - może być pewny, że jeszcze tego dnia ona powie mężowi, żeby szukał sobie szczęścia gdzie indziej, bo jest porzucony.

Wyszli zaraz oboje. Obiecał, że przyjedzie do niej przed wieczorem, już wolny. Wsiadła do autobusu. On został na przystanku i stał tak cztery godziny, chociaż pogoda była mroźna. Myślał o całym swoim życiu, jakby zaraz miał umrzeć, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby jechać do żony, spojrzeć jej w twarz i powiedzieć - albo że kochanka to już było-przeszło, albo że odchodzi. Po prostu wolał nie wiem co, byle nie spojrzeć jej w twarz. Oto jest przyczyna, że bez słowa odszedł od niej i dzieci i zginął prawie na zawsze.

W końcu tam na przystanku zdecydował się pojechać do Wery do pracy. Powie jej - postanowił - że już jest po rozmowie z żoną, niech się zbiera, wyjeżdżają. Wery nie było w pustej o tej porze szatni, gdzie ubrania na łańcuchach dyndają pod sufitem. Powiedziano mu, że przyszedł jej mąż i poszła z nim do świetlicy. Czekał pod świetlicą chyba ze dwie godziny. Wypalił przez ten czas dwie paczki papierosów. Potem ze świetlicy wyszła Wera z jakimś młodym człowiekiem. Zobaczyła go, udała, że nie zauważyła, aż jej mąż zniknął za bramą.

Poprosił, żeby w szatni skombinowała dla niego jakieś dokumenty. Potem niech się zaraz urwie z pracy, bo od razu wyjeżdżają, choćby bez jej rzeczy. Żonie już wszystko powiedział. Nie wydała mu dokumentów ani niczego.

„Kłamiesz - powiedziała Wera - nie byłeś w domu, chcesz uciekać.” Nic się nie odezwał, a ona weszła do szatni i przyniosła mu czyjeś dokumenty owinięte w gazetę i kazała przyjechać do siebie do domu koło szesnastej - to naradzą się, co dalej. Nie miał grosza, był głodny, zabrakło mu papierosów. Przesiedział na dworcu do oznaczonej godziny. Kiedy do niej przyjechał, przez drzwi usłyszał jej krzyki i odgłosy bicia. „Bije ją” - poinformowała go żona rencisty, która otworzyła mu drzwi wejściowe. Stał na korytarzu nie wiedząc, co dalej robić, w końcu zapukał. Otworzył mu mąż Wery. W pokoju była otwarta walizka, ogólny nieład i pobita, zapłakana gospodyni. „Powiedz mu” - rzekł do niej mąż. „Idź sobie, między nami skończone” - wystękała z rozpaczliwą miną. Mąż otworzył drzwi, obrócił go twarzą ku wyjściu i dał mu kopniaka w pośladek, co oznaczało wyproszenie za drzwi. Tak oto postąpiła z nim Wera, którą kochał i dla której porzucił swoją najdroższą żonę wraz z dwojgiem małych dzieci.

Wahał się, czy nie wrócić do domu, gdzie na pewno czekało go przebaczenie, ale nie mógł się przełamać, żeby stanąć przed żoną i wszystko wyznać, ani też nie umiał znaleźć wytłumaczenia, gdzie był przez trzy dni i trzy noce. Gdyby wtedy coś wymyślił, jego życie potoczyłoby się inaczej. Obejrzał dokumenty. Do faceta na zdjęciu w dowodzie osobistym był podobny jak dwie krople wody. Pod tym względem Wera dobrze się spisała. Z innych dokumentów wynikało, że jest teraz technikiem-elektrykiem, a nie po prostu elektrykiem, jak dotychczas.

Pojechał bez biletu, czyli na gapę do Elbląga, gdzie miał jednego kolegę, ale go nie zastał. Wynajął się do pracy w spółdzielni. Miał chodzić i kontrolować instalacje. Powiedział, że zaświadczenie z poprzedniego miejsca pracy wkrótce nadejdzie. Był teraz pracownikiem umysłowym, więc pierwszą wypłatę miał dostać dopiero za miesiąc. Nocował na dworcu. Sprzedał marynarkę. Nikogo znajomego, ani żadnej zaliczki. Ukradł i sprzedał trochę elektrotechnicznych rupieci z magazynu. Byłby dostał karę w zawieszeniu, gdyby nie to, że właściciel jego dokumentów figurował w rejestrze skazanych. Miał wyrok za przywłaszczenie sobie części odzieży roboczej, jaką pobrał dla swojej grupy monterów. Marian P. odsiedział półtora roku i ani nie pisał, że nie jest człowiekiem, za którego uchodzi i że nie miał poprzednio nic na sumieniu. Koledzy w oddziale śledczym poradzili mu, żeby cicho siedział, bo kiedy wyjdzie na jaw, że ma lewe, kradzione dokumenty, to może jeszcze więcej dostać niż przy recydywie.

Potem już takie miał szczęście i znajomości, że ciągle szedł siedzieć. Skoro wykorzenił się z dotychczasowego życia, znał już tylko tych ludzi, których poznawał w więzieniu. Żenić się nie mógł, żeby nie wyjść jeszcze i na bigamistę.

A jakież to kobiety i jakie domowe życie można mieć na wiarę? Żadna lepsza na to nie pójdzie.

Teraz jako pięciokrotny recydywista odsiaduje dziewięć lat za rozpracowanie i wyłączenie systemu alarmowego w domu towarowym, czego dokonał dla jednego szykującego skok drania, który nawet nie wykonał tego, co planował, bo zapił się i przespał termin. Potem zaś poszedł do knajpy pić, chwalił się tam, jakie miał zamiary, i tak jego, Mariana P., pogrążył. Mając w perspektywie więzienie i więzienie, Marian P. wyznał, że nie jest tym, kim jest według dokumentów, i zdecydował się napisać do żony, aby zapytać, jak się chowają córki, czy ona mu wybaczy i przyjmie z powrotem, a także czy może mu posyłać paczki i pieniądze oraz listy.

Do więzienia nadeszła paczka, pieniądze i list, że może wrócić, rzecz jasna, kiedy go wypuszczą.

Przyjaźń

Pan Jan Z. od pewnego czasu gdzieś tracił pieniądze, więc Maria Z., jego żona, zamartwiała się tą sytuacją, a pod wpływem nieszczęścia nawet zaczęła myśleć: „Mało co pije, a jak już, to wino. Nie ma na co tracić. Na kogo więc traci?” Pan Jan Z. odpowiadał, że na nikogo nie traci pieniędzy, tylko jego pracownia jest ciągle pod planem, gdyż od miesięcy przerabiają jeszcze raz tę samą dokumentację. Właściwie za darmo. Podciągnięto ich pod paragraf „z winy własnej” i są na gołej pensji.

Co wieczór po położeniu się do łóżka tylko o tym rozmawiali Maria Z. płakała i nic dawała mężowi spokoju. Inżynier projektant Z. wyciągał średnio jedenaście tysięcy brutto, ona jako kierowniczka działu w biurze spółdzielni dostawała z premią do trzech netto; dotychczas życie miało jakiś sens. Od pięciu miesięcy nie odkładali ani grosza, chociaż przedtem dawało się oszczędzić pięć i więcej. Maria Z. cierpiała na migreny i bezsenność.

Któregoś dnia poczuła, że dłużej nie wytrzyma niepewności, a był to czas, kiedy zwykle w biurze projektowym wypłacano kwartalną premię - kilkanaście tysięcy, to nie żarty. Zadzwoiła więc do kasy, wymodulowała głos na słodko: „Mówi Zetowa. Mąż jest dziś na chorobie i prosił zapytać, czy już premia jest płacona”. „Mąż wziął już premię” - odparła lakonicznie kasjerka. Dobrze, że kobieta, bo nie daj Boże kasjer mężczyzna - nigdy nie puściłby pary z gęby wobec żony pracownika.

Tego wieczoru nic mu nie powiedziała, bo czuła, że trzeba dobrze pomyśleć. Mąż wpadł od razu w świetny humor, gdyż poczuł, że dzień skończy mu się ulgowo. Wyraziła się tylko ogólnie, że go nienawidzi i udała, że spokojnie zasypia, żeby mieć czas na myślenie.

Nazajutrz przyszli do nich L-owie, Mieczysław i Barbara. Pani L. nosiła żółty spodniem z elastycznej dzianiny. Pierwszy raz miała go na sobie. W MHD tego nie kupiła. Maria Z. tylko spojrzała i naszło ją olśnienie: ten spodniem był kluczem do zagadki jej życia. Wieczór koncentrował się na spodniem: że żółty teraz modny, że z komisji i że 3600. Państwo L. sobie poszli, a Maria Z. znowu położyła się spać milcząca, cicha, ignorująca obecność męża, myślami nieobecna. Uradowany Jan Z. ze szczęścia aż zaczął jej obiecywać różne cuda. Myślał, że dała mu spokój. Widocznie nie znał się na kobietach. Maria Z. myślała i nikomu nic dobrego wróżyć to nie mogło.

Państwo L. i państwo Z. znali się od ośmiu lat, kiedy jeszcze żadna z par nie była państwem, tylko Jan Z. i Mieczysław L. studiowali na politechnice. Przyjaźnili się dopiero od dwóch lat. Za to przyjaźnili się bardzo. Prawie codziennie albo państwo

Z. bywali u państwa L. i oglądali razem telewizję, albo państwo L. bywali u państwa Z. i oglądali razem telewizję. Nie znali świąt czy urlopu, których nie spędzaliby wspólnie. Maria Z. myślała: „Dlaczego tak się ze sobą przyjaźnią, skoro się właściwie nie lubią?” I dalej myślała: „Nigdy nie widziałam, żeby Janek dowalał się do tej Baśki, ale jeśli nie na nią traci pieniądze, to na kogo? Przy ich rozkładzie życia nie miałby czasu na żadną inną, chyba że w godzinach pracy załatwia jakąś kreślarkę. Ale aż tyle by go to kosztowało?” I myślała jeszcze dalej. Gdzieś przed rokiem przespała się parę razy z tym Mietkiem L. Urwało się to jakoś szybko, bo on nie był zbyt chętny. Zaliczył to i stracił zainteresowanie. Jej na nim zależało, pewnie, ale też nie za bardzo. Nie o to zresztą chodzi. Jeśli ona mogła, nie wzbudzając żadnych podejrzeń swojego męża ani żony tamtego - pokombinować na boku z tym Mietkiem L., to jej Janek tak samo mógł nie mieć trudności z Barbarą. Do tego - ciągle jeszcze myślała - wiadomo, jaka ta baba łakoma na pieniądze. Z drugiej strony, żeby mężczyzna tyle tracił? No, może na artystkę albo jakąś modelkę, ale na takiego zwyczajnego babsztyla, którego ma codziennie pod ręką? Chyba że jest zakochany i dał się zwariować.

Maria Z. miała bolesne uczucie, że Barbara L. chodzi w jej ciuchach i zbiera na książeczkę jej pieniądze, lecz ani słowem nie zdradziła się ze swymi podejrzeniami. Oboje - myślała - zaprzeczają, przyczają się. Co na tym wygra?

Wieczorem jej mąż kręcić się zaczął po mieszkaniu.

„Wychodzę na bridża do dyrektora.” Odparła: „Ja też wychodzę” - i pomyślała, że gdyby szedł do dyrektora na bridża, toby się przedtem tak niespokojnie nie kręcił i nie zbierał w sobie, żeby o tym powiedzieć. „A dokąd wychodzisz?” - zapytał ją mąż. „A nie twój interes” - odpowiedziała łagodnie. Wyszła z domu, złapała taksówkę, wsiadła do niej i kazała kierowcy czekać.

Mąż zaraz po niej niemal wybiegł z domu i pognął na przystanek tramwajowy. Już wiedziała, że jedzie do L-ów, ale żeby nie mieć żadnych wątpliwości, a im nie dać szansy wykrętu, kazała taksjarszowi jechać za tramwajem. Potem wróciła do domu. Mąż zjawił się koło północy, pogwizdywał i śmierdział winem. Nie odezwała się ani słowem, chociaż bynajmniej nie spała.

Nazajutrz z pracy zadzwoniła do Mieczysława L., że niebieską kaflopodobną okładzinę do łazienki może dostać tam i tam, jeśli pojedzie jeszcze dziś koło szesnastej. Barbara L. kończyła pracę o piętnastej. Maria Z. wiedziała, że jak zjawi się u Barbary L. o piętnastej trzydzieści, będzie miała półtorej godziny na spokojną rozmowę sam na sam.

Po wejściu do mieszkania przyjaciółki, zamiast mówić, podeszła do szafy, otworzyła ją i zaczęła wywalać ciuchy, w tym dwa futra, na podłogę.

- Kochanie! Co jest grane? - zapytała Barbara L. z wysłodzoną wściekłością.
- Nie będziesz dłużej nosić moich ciuchów!
- Twoich ciuchów, kochanie? Wytłumacz, bo nie rozumiem.

Maria Z. nazwała przyjaciółkę publicznym słowem i wyjaśniła sytuację: „Nieźle się, kochanie, urządziłaś. Mietek przynosi ci do dziesięciu miesięcznie, mój Janek, tak liczę, co najmniej sześć, sama zarabiasz dwa trzysta. Osiemnaście na miesiąc, fartujesz nie gorzej niż te z „Bristolu”. No i jak świetnie wiem, nie musisz się za te pieniądze przemęczać”.

- Wytłumacz to jednak jaśniej, kochanie. I odejdz od szafy.
- A pokaż, kochanie, książeczkę PKO.
- A co cię, Marysieńko skarbie, obchodzi moja książeczka?

Maria Z. świetnie wiedziała, gdzie książeczki szukać.

Otworzyła bieliźniarkę i zanurzyła rękę pod stos prześcieradeł. Barbara L. skoczyła ku niej i zaczęła jej książeczki; wrywać. Kiedy już była podarta, panie rozorały sobie nawzajem paznokciami policzki, ramiona i wytargały się za włosy. W spowodowanym zmęczeniu antrakcie walki gospodyni weszła do łazienki, aby zmyć krew z twarzy.

Państwo L. mieszkają w jednym z najruchliwszych punktów Warszawy. Dużo więc było przechodniów, którzy przystanęli, kiedy z balkonu siódmego piętra spadać poczęły futra, suknie, płaszcze, stopy bielizny, buty. Niektóre sztuki poszarpane, niektóre całe spływały na chodnik i jezdnię. „Pewno wariatka” mówili ludzie tłocząc się, bo niełatwo dziś o sensację na ulicy. I zaraz niektórzy energiczni przechodnie poczęli te spływające z góry fatałaszki zbierać, układać na kupę i pilnować ich, żeby nie poginęły. Tymczasem jakiś milicjant popędził na górę. Maria Z. odjechała z domu rywalki milicyjnym radiowozem. Barbara L. wkrótce po niej taksówką zajechała na komendę MO, przebrana już, oblepiona plastrami, umalowana i sztucznie spokojna. Oświadczyła, że owszem, wnosi oskarżenie, powództwo o odszkodowanie.

Na rozprawie Maria Z. opowiedziała nie tylko o zdarzeniach i swych myślach - poczynając od chwili, gdy powzięła podejrzenie, do momentu, gdy w jakimś szale, rozwścieczona poczuciem krzywdy i zadrapaniami, wyrzucała z balkonu na ulicę garderobę przyjaciółki. Zdała także relacją z rozmowy, którą odbyły już po tym dramacie, a przed procesem.

Poszkodowana Barbara L. miała wtedy do niej mówić: „Puknij ty się w czoło. Ja z twoim mężem? Tobie się zdaje, że jak ty z moim - o czym on zresztą mi

opowiedział, nie myśl sobie - to ja muszę zaraz zabrać się do twojego? A z jakiej racji? Nie myślałam, że jesteś taka ślepa i nie wiesz, jak sprawy naprawdę stoją. Ja się bardzo szybko skapowałam, więc myślałam, że ty także wiesz. Trzeba już było być zupełnie ślepa...” „I godziłaś się z tym! Dla ciuchów!” - replikowała Maria Z. „Ani ja pytałam, ani się domyślałam, skąd ma więcej pieniędzy. A nic mu nie mówiłam, bo co miałam zrobić? Zresztą prawdę mówiąc... nie potrafię być o coś takiego zazdrosna. Mąż, który, rozumiesz... te rzeczy... daje chociaż kobiecie poczucie, że ich małżeństwo się nie rozleci. Że on nie pobiegnie za jakąś siksą i nie wpłacze się w coś, co rozwali dom i rodzinę.”

„Kłamiesz i jesteś gorsza niż największa k... - odpowiedziała w tej odtwarzanej przed sądem rozmowie Maria Z. - To ci dogadzało, bo wiedziałaś, że Janek daje Mietkowi pieniądze, a Mietek oddaje je tobie.”

Na rozprawie już nikt z całej tej czwórki nie przeczył, że inż. Jan Z. połowę niemal swoich zarobków oddawał Mieczysławowi L. i że z nim to, a nie z jego żoną miał romans.

Sąd uznał, że Maria Z. działała pod wpływem silnego wzburzenia, co nie uchroniło jej jednak od wyroku skazującego. Fakt, że mąż oskarżonej dawał pieniądze przyjacielowi i znaczna część tej forsy wydawana była przez Barbarę L. na ciuchy, nie uchronił Marii Z. od sądowego nakazu płacenia przyjaciółce odszkodowania za zniszczoną garderobę.

Szczotki do zębów

Artur F., 47-letni rzecznik patentowy, prowadził życie tak rozpustne, że miał w łazience stojak z sześcioma szczotkami do zębów. Pod jedną pisało „moja”, pod czterema widniały cztery imiona żeńskie, pod szóstą napis „rezerwa”. Nie była to jedyna kolekcja, jaką pokazywał kobietom - swoim gościom, a także nie najbardziej przez nie ulubiona. Trzymał stare wachlarze i karty do gry. Gdy otwierał swą ciężką dębową szafę, niewidoczna dla oka pozytywka grała marsza. Miał różne rzeczy do pokazywania dziewczynom, przydatne podrywaczowi. Prawie każdy człowiek o skłonnościach romansowych ma trudności ze znalezieniem tematu do rozmowy; demonstrowanie kolekcji może albo uwolnić go od konwersacji, albo przynajmniej dostarczyć tematu. W szufladzie ziemlerowskiej sekretery Artur F. miał zbiór starych pieczęci do laku. Jej ozdobę stanowiło osiemnastowieczne cacko z litego złota dukatowego, z herbem rzeźbionym w kości słoniowej i rubinem u nasady. Wartość około trzydziestu tysięcy zł.

10 stycznia obecnego roku, przy poniedziałku, Artur F. na siedemnastą zero zero wyznaczył u siebie w domu randkę 28-letniej Elżbiecie G., kreślارce z zawodu, rozwiedzionej z mężem, siedzącym w więzieniu za kradzież włosia końskiego, mieszkającej z ojcem i matką, dzierżawcami szatni w podmiejskim lokalu rozrywkowym. O dziewiętnastej skłonił gościa do wyjścia, gdyż, jak objaśnił, ma zajęty wieczór. W istocie o godzinie dwudziestej przybyła doń umówiona uprzednio, czy raczej zamówiona, 22-letnia Franciszka J. absolwentka kursów fryzjerstwa damskiego, aktualnie poszukująca pracy. Została ona u rzecznika patentowego do siódmej rano, kiedy to ją wyprosił, żeby spokojnie zrobić toaletę, zjeść śniadanie i zdążyć na ósmą do pracy.

O szesnastej piętnaście dnia 11 stycznia, we wtorek, Artur F. po powrocie do domu stwierdził, że zginęła mu owa złota pieczęć do laku, wartości około trzydziestu tysięcy, i niezwłocznie pojechał do Franciszki J. Odszukał ją z pewnym trudem, gdyż wiedział tylko, w którym domu mieszka. Odwoził ją tam kiedyś autem. Nie znał natomiast numeru mieszkania ani nazwiska.

Franciszki J. nie zastał. Były natomiast w domu dwie jej współlokatorki, dziewczyny niespełna dwudziestoletnie. Jak się dowiedział, obie one wychowały się w domu dziecka, następnie dostały z kwatunku samodzielny pokój, wejścia wprost ze schodów, bez wygód. Pracują w fabryce. Franciszkę J. poznały w jakiejś sytuacji towarzyskiej i przygarnęły ją na wspólne mieszkanie. Ta jednakże nie tylko nie płaci za mieszkanie, ale jest na ich utrzymaniu, chronicznie bowiem nie pracuje, a tylko szuka pracy. Artur F. poprosił, że jak Franciszka J. przyjdzie - to niechaj zaraz do niego przyjeżdża, jakakolwiek byłaby to pora, nie dziś, to jutro, nie do

domu, to do biura, którego adres zostawia.

Dziewczyna nie zjawiała się u niego, co pogłębiło podejrzenia rzecznika patentowego, ponieważ dotychczas zawsze miała dlań czas i stawiała się na wezwanie, które kierował telefonicznie do kawiarni, gdzie w południe codziennie przesiadywała. Urwał się z biura, pojechał do kawiarni. Tam jej też nie było. To już wyglądało więcej niż podejrzenie i Artur F. oddał sprawę w ręce milicji.

Ustalono, że Franciszka J. od ośmiu miesięcy nigdzie nie pracuje. Trzy lata temu była skazana za kradzież pieniędzy przygodnemu znajomemu i odsiedziała pół roku i dwa miesiące. Potem dwukrotnie podejmowała pracę, nigdy jednak nie zagrzała miejsca dłużej niż trzy miesiące. Kursy fryzjerskie ukończyła jeszcze przed aresztowaniem. Odmawiała przyjęcia posady pomocy fryzjerskiej, powołując się na swe uprawnienia zawodowe, których nie chciały jednak respektować ani zakłady prywatne, ani nawet uspołecznione, gdyż kursy, które kończyła, miały markę byle jakich. Utrzymuje się nie wiadomo z czego, gdyż nie jest notowana jako prostytutka. Nazajutrz po wizycie u Artura F. kupiła futro za siedemnaście tysięcy, które zresztą po dwóch dniach usiłowała sprzedać, ale jej się to nie udało. Zatrzymana przez milicję i poproszona o wyjaśnienie, skąd miała pieniądze na futro, nie umiała się wytłumaczyć. Mówiła, że dostała je od jednego faceta, którego poznała w kawiarni, ale nie potrafiła nic bliższego powiedzieć, co to za facet i czemu był taki hojny. Podczas rewizji w jej walizce znaleziono kilka przedmiotów, które Artur F. rozpoznał jako swoje: stary zepsuty zegarek na rękę, cztery doń adresowane kolorowe pocztówki i męskie rękawiczki. Odżałował je już dawno temu. Zniknięcia pozostałych przedmiotów nie zauważył. Zegarek, który zabrała, leżał u niego w tej samej szufladzie, co złota pieczęć.

Franciszka J. utrzymywała, że Artur F. sam jej dał tego grata, bo nie miała zegarka, mówiąc, żeby go oddała do reperacji i sobie nosiła. Rękawiczki kiedyś włożyła i zapomniała oddać. Pocztówki - te, owszem, wzięła bez pytania. Złotej pieczęci nie ukradła.

Odbył się proces poszlakowy i Franciszka J., ostatecznie recydywistka, została skazana na aż trzy i pół roku więzienia. Do końca nie przyznała się, że ukradła złote cacko.

W pięć miesięcy po zaginięciu pieczęci i w miesiąc po zapadnięciu nieprawomocnego wyroku w sprawie Franciszki J., Artur F. ogołocił swoje mieszkanie z jednej kolekcji, mianowicie z kolekcji szczołek do zębów, i raptownie zmienił styl życia. Poślubił bowiem Elżbietę G., 28-letnią kreślarkę. W czasie gdy zginęła pieczęć, była ona już w ciąży. Artur F. rwał się do ojcostwa i ślubu. W początkach czerwca zawarli małżeństwo, z końcem zaś czerwca urodziło się dziecko.

W lipcu znajomy Artura F., także kolekcjoner różności, zawiadomił go, że w sklepie „Desy” widział pieczęć do laku taką samą jak ta, która ongiś była ozdobą kolekcji rzecznika patentowego. Artur F. poszedł do „Desy” i stwierdził, że istotnie wpłynęła na rynek jego własność, poprosił o wycofanie cacka z gabloty i niesprzedawanie go, po czym wrócił do domu, z zamiarem pójścia nazajutrz na milicję Uszczęśliwiony opowiedział żonie, że odzyska swoją własność. Elżbieta F. nie wyglądała na osobę dzielającą jego rozradowanie, mimo że była osobą, której sprawy pieniężne obojętne nie są. Skłoniła męża, żeby zajął się dzieckiem, bo musi odwiedzić rodziców. Wróciła od nich zapłakana. Wśród spazmów zaczęła się mężowi zwierzać: To ona wtedy w styczniu zabrała ów złoty przedmiot. Jej ojciec był w dramatycznej sytuacji. Pewnej soboty agent prowadzący restaurację, w której trzymał szatnię, zostawił mu 9 tysięcy - należność dostawcy produktów. Szatniarz miał tę sumę wręczyć bo agent wychodził do domu i nie mógł się doczekać kontrahenta. Ponieważ dostawca się nie zjawił, teść rzecznika patentowego zabrał z sobą pieniądze i znaczną ich część przegrał w oko, chociaż miał zamiar właśnie dzięki tym pieniądzom sporo tego wieczora wygrać. W domu była rozpacz, bo to oznaczało utratę szatni. Nie było skąd wziąć pieniędzy, by je oddać chlebodawcy. W poniedziałek wieczór córka przyniosła ojcu złote cacko. Zaniósł on je właścicielowi knajpy. Był pewien, że to operacja bezpieczna, że zamożny restaurator schowa złoto, potraktuje jako lokatę, nie będzie sprzedawał i sprawa przyschnie, a pieczęć utonie na zawsze w jego mieszkaniu. Oceniono przedmiot i papa G. dostał jeszcze od pryncypała osiem tysięcy. Okazuje się, że po jakimś czasie restaurator postanowił sprzedać pieczęć i pchnął w tym celu do „Desy” siostrzenicę, dziewczynę na państwowej posadzie. Prywatnej inicjatywie niesporo bowiem pokazywać, że ma się tak kosztowne rzeczy.

Elżbieta F. mówi mężowi o tym wszystkim, ponieważ teraz milicja raz dwa ustali, jak to było. W „Desie” mają nazwisko siostrzenicy, ta powie, że rzecz dał jej wujek do sprzedania, i wówczas będzie już wiadomo milicji, kto zabrał złotą pieczęć. Niech więc on, mąż, nie lezie na żadną milicję. Chyba rozumie, że ona musiała tak zrobić, bo inaczej miałyby starych bez pracy i na karku. Od tego jest córka, żeby rodzicom pomóc w potrzebie, a on, Artur, lubi przecież jej tatusia i mamusię i nie chciałby, żeby stracili byli szatnię. Artur F. niechaj idzie do „Desy” i powie, że się pomylił. Ta siostrzenica właściciela wycofa pieczęć. Teściowie rzecznika patentowego wyprzedadzą się, odkupią ją i oddadzą Arturowi. Co do niej zaś, to ukradła pierwszy i ostatni raz, zresztą wcale nie ukradła - zabrała. Byli już przecież wtedy w zasadzie małżeństwem.

- No tak, ale tamta przez ciebie siedzi - skłopotał się Artur F. Jego żona w odpowiedzi nazwała niedoszłą fryzjerkę, odsiadującą za nią wyrok, złodziejką i dziwką. Przypomniała o zegarku. Zegarek przecież wzięła - więc nie siedzi za niewinność. Futro także komuś z pewnością ukradła. Pani F. oświadczyła mężowi,

że jeśli wolałby ją wsadzić do więzienia, aby wydobyć zeń swoją dawną kochanicę, jeśli żona i dobro dziecka mniej dlań znaczą niż chęć ratowania zdeklarowanej kryminalistki - to ona nie chce mieć więcej z rzecznikiem patentowym nic wspólnego. Ultimatum było wyraźne.

Artur F. poszedł na milicję, złożył zeznanie, sprawdzono drogę, jaką odbyła złota pieczęć do laku, poszedł wniosek o rewizję nadzwyczajną wyroku odsiadywanego przez Franciszkę J. i okazał się skuteczny, tym bardziej że w sprawie zegarka Artur F. na minionej rozprawie zeznawał z pewnym wahaniem. Twierdził tylko, że nie przypomina sobie faktu ofiarowania go dziewczynie, natomiast pamięta, że przy niej wyjął z szuflady i mówił, że to stary zepsuty gruchot, chociaż „omega”.

Elżbieta F. wyprowadziła się wraz z dzieckiem od Artura F. Sprawy karnej nie miała, gdyż mąż nie wniósł przeciwko niej skargi. Nie miał także sprawy jej ojciec-szatniarz. Twierdził, że córka mu powiedziała, iż złote cacko dostała od narzeczonego, aby go ratować.

Takie było podłoże konfliktowej sprawy rozwodowej między małżonkami F., w której obie strony na rozwód przystawały, ale każda żądała, by został orzeczony z winy strony przeciwnej. Sąd orzekł rozwód z wyłącznej winy Elżbiety F., uznając, że jej deliberacje, jakoby postępowanie rzecznika patentowego świadczyło o braku uczuć do niej i istnieniu uczuć wobec eks-fryzjerki, nie mogą być przez sąd przyjęte ze zrozumieniem. Wybierając dobro osoby niewinnej, nie zaś żony. Artur F. postąpił zgodnie z duchem prawa i przyzwoitością. Sąd musi uznać takie postępowanie za godne akceptacji i szacunku. Nie podziela także poglądów wyrażonych przez adwokata pani F., że dobro rodziny, spójność jej i solidarność jest równie wysoką wartością społeczną, jak ogólnospołeczne normy współżycia, które kazały Arturowi F. pójść na milicję, żeby oswobodzić Franciszkę J. Rodzina nie jest instytucją nadrzędną wobec porządku prawnego i moralnego. Jej trwałość nie może być okupowana jaskrawą niesprawiedliwością wobec osób trzecich.

Takie oto nadzwyczajne okoliczności sprawiły, że Artur F. przypuszczalnie znowu trzyma w łazience kolekcję szczotek do zębów.

Obrazek rodzinny

W niedzielę 4 lutego br., o godz. 18 minut 40, pod komisariat MO w małej miejscowości Chybne zajechał samochód marki „Syrena”, wysiadł zeń obywatel nazwiskiem Ksawery P., wszedł do środka i przed dyżurującym plutonowym milicji oskarżył sam siebie o prowadzenie pojazdu mechanicznego w stanie nietrzeźwym i powodowanie tym czynem niebezpieczeństwa powszechnego na trasie międzynarodowej E-ileś tam Nie były to żarty: stał samochód, który, co przecież słyhać było, przed chwilą nadjechał, człowiek się zjawiał - nie mara, i zionęło odeń wódą. Ale plutonowy nigdy jeszcze nie widział faceta, który by przyszedł na MO i samooskarżył się bez żadnej ubocznej przyczyny, z własnej i nieprzymuszonej woli, o prowadzenie po pijanemu. I gdyby plutonowy nie był plutonowym MO, ale porucznikiem, więcej - majorem, więcej - pułkownikiem nawet, fakt i tak nie mieściłby się w jego doświadczeniu służbowym. Zaskoczony, a także ujęty stosunkiem przybyłego obywatela do władzy, plutonowy zaproponował mu, żeby się przespał na „amerykance” stojącej w komisariacie (jest to mebel wyścielany, bynajmniej nie osoba), a po wytrzeźwieniu ruszył w dalszą drogę. Przybysz wyjaśnił, że jest krojczym w spółdzielni krawieckiej, a niezależnie od tego, gdyby chciał spać, zamiast jeździć autem po pijanemu - nie musiałby w tym celu przybywać na milicję. Domaga się jednakże stwierdzenia, że jechał w stanie nietrzeźwym, i wytoczenia mu sprawy o ten czyn. „Wytrzeźwiejesz obywatel, pogadamy” - odrzekł plutonowy, który pełniąc służbę w trunkowej okolicy wiedział, że życzenia człowieka pijanego, a życzenia człowieka trzeźwego to dwa zupełnie różne rodzaje życzeń. Ksawery P. odrzekł jednak, że jeśli przestępczy jego przypadek nie będzie potraktowany poważnie, on wsiada do wozu i jedzie dalej; w razie nieszczęścia - oddał się w ręce milicji, ale ona go nie wzięła. Plutonowy rozeźlony takim pijackim uporem, gdy on chciał po ludzku człowieka potraktować, wpisał Ksawerego P., krojczego, do książki i powiedział mu, że jest zatrzymany do wytrzeźwienia a co z nim dalej będzie, to okaże się rano dnia następnego.

Nietrzeźwy kierowca twardo i rozgłośnie spał aż do samego rana, kiedy to służbę objął komendant - starszy sierżant. Mając już raport o wczorajszym zdarzeniu, komendant osobiście Ksawerego P. przesłuchał. Po przebudzeniu krojczy pamiętał jednak wszystkie fakty niedzielnego przedwieczoru i ponowił samooskarżenie, wypowiadając się świadomie i po trzeźwemu. Domagał się, żeby wieźć go do szpitala dla pobrania krwi, co będzie dowodem, że pił, i spisania zeznań plutonowego, że zajechał samochodem „Syrena” do niego należącym, co będzie dowodem, że prowadził po pijanemu. „O co chodzi? Pchasz się pan do kryminału?” Krojczy potwierdził. „Myślę - powiedział komendant - że panu z jakiegoś powodu potrzebne jest stwierdzenie, że ten czas od godziny osiemnastej czterdzieści w dniu

wczorajszym do teraz spędził pan w komisariacie MO. Ludzie czasem są w coś zamieszani i potrzebują alibi.”

„Szczerze mam mówić?” „Najlepiej szczerze” - zapewnił go starszy sierżant. „Chcę - wyjaśnił krojczy - iść do więzienia, żeby pozbyć się żony.”

W oczach władzy pojawiło się zdumienie, które ustąpiło zrozumieniu. „Możemy stwierdzić - rzekł sierżant - że obywatel Ksawery P. prowadził wóz po pijanemu i podać sprawę do kolegium. Nie chcę pana martwić, ale to, że pan sam tu przyszedł, jest poważną okolicznością łagodzącą. Ja tu nie widzę więzienia. Grzywna, odebranie prawa jazdy - to owszem. Żona się jeszcze ucieszy.”

- Chcicie mnie pchnąć do tego, żebym ludzi zabijał! - krzyknął Ksawery P. i wybiegł z komisariatu, wsiadł do „syrenki” i usiłował zapuścić motor, co oczywiście zimą nie jest rzeczą łatwą. Starszy sierżant wybiegł za nim, perswadując, że lepiej nie jechać, jeśli wczoraj dużo wypił. „Zabiję człowieka, to wtedy mnie zamkniecie!” - powtarzał krojczy rozżalony, że liberalizm prawa zmusza go do popełnienia tak straszliwej zbrodni. I kto wie, czy w wyobraźni starszego sierżanta nie pojawiła się wizja sali sądowej, na której oskarżony o nieumyślne, a może nawet o umyślne zabójstwo krojczy Ksawery P. opowiada, jak to sam, z dobrej woli, zawczasu oddał się w ręce organów ścigania, te zaś puściły go, zamiast zamknąć, choć zapowiadał, że zabije człowieka. Komendant wziął go bowiem za ramię i wyciągnął z samochodu. Ksawery P. zaś odpychał starszego sierżanta i ponawiał próby rozruszania silnika. Ponieważ krojczy odpychał władzę coraz brutalniej, a patrzyło na to coraz więcej ludzi i zrobiło się widowisko, z komisariatu wybiegł kapral i uspokoił kierowcę. Że zaś wyciągnięty z wozu i rozgrzany walką krojczy dalej się stawiał, ponowiono wychowawczy zabieg i wciągnięto go na powrót do komisariatu. „No i dograł się pan! Czynny opór władzy - za to już można posiedzieć.”

Do więzienia wszakże dostają się bez trudu na ogół ci, którzy tego bynajmniej nie pragną. Prokurator nie podpisał nakazu aresztowania Ksawerego P., i po kilku tygodniach odpowiadał on z wolnej stopy przed sądem powiatowym, gdzie zeznał, że do winy się nie przyznaje. Przyszedł z dobrej woli na MO. Prosił się i prosił, żeby go zamknęli, a milicja za nic nie chciała. Gdzież tu więc opór władzy?

Krojczy opowiedział, że dnia 3 lutego, w sobotę, wraz z żoną Józefą, swoim samochodem marki „syrena” udał się na wieś na chrzciny siostrzenicy. Chrzciny owe zaczęły się wieczorem, w rozumieniu alkoholowym, a nie kościelnym. Pił bardzo umiarkowanie, mając w pamięci, że nazajutrz będzie musiał wracać autem 187 km. Gdy w niedzielę rano podano śniadanie, odmówił w ogóle picia. Udało mu się przepuścić parę kolejek, kiedy jednak siostra, szwagier, żona i inni krewni na powrót już byli pijani, poczęli go namawiać, żeby pił, a później jakoś to będzie.

Odmawiał bardzo stanowczo, co zirytowało jego żonę Józefę, która oświadczyła: „Nawet jeśli nie będziesz pił, i tak już nie pojedziesz”, i poczęła rzeć ze śmiechu, a inni jej wtórowali, zachęcając, aby wyjrzał na podwórze. Zobaczył tam swój samochód marki „syrena” stojący nie na kołach, ale na czterech kupach cegieł. Koła są - dowiedział się - schowane, żeby nie wzbraniał się więcej przed pić i nie psuł nastroju. Kiedy wypije szklankę karniaka, wtedy przykręca mu koła. Tak się też stało. A potem, po obiedzie, kiedy jego całkowicie pijana żona, 47-letnia Józefa P. (zawód - przy mężu), tańcząc solo w takt muzyki jazzowej poczęła wykrzykiwać - aby go ośmieszyć przed jego własną rodziną - że zawsze był ciamajdą i brzydziła się nim w łóżku tak, że wolałaby orangutana, i wołać: „Chodź potańczyć cipi, dpi dpi” - zerwał się, wszedł do auta i pojechał, a dalej było zgodnie z doniesieniem MO.

On, Ksawery P., nie czuje się winny czynu zarzucanego mu w akcie oskarżenia, ale mimo to i mimo nawału pracy, który ma jako kroczy przed sezonem wiosennym, woli iść do więzienia, niż wracać do żony do domu. Na pytanie sądu Ksawery P. odpowiedział, że jest 26 lat po ślubie, następnie kontynuował wyjaśnienia. Żony dziś nienawidzi jeszcze bardziej niż wtedy w niedzielę 4 lutego, kiedy oddawał się w ręce organów MO za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym. Za to bowiem, że porzucił małżonkę na wsi i odjechał, za to, że poszedł na milicję, oświadczając, że woli więzienie od dalszego pożycia małżeńskiego, jego żona postanowiła się zemścić w sposób obrzydliwy, niegodny. Próbuje wsadzić go do więzienia, chociaż jego zarobki są jedynym źródłem utrzymania ich obojga.

Na uwagę sądu: „Przecież pan mówi, że właśnie chciałby iść do więzienia”, kroczy Ksawery P. odpowiedział, że to zupełnie co innego, jeśli on sam zrobi coś takiego, że go zamkną, albo zdarzy mu się, dajmy na to, wypadek samochodowy, co spowoduje uwięzienie, ale za nic nie pozwoli, aby ta kobieta triumfowała, że to ona doprowadziła go do kryminału. Szczególnie że osoba będąca jego żoną pragnie nie tylko go zamknąć, ale pohańbić. Jak to ustaliła w roku 1968 prokuratura, jego żona napisała i wysłała pięć anonimów zawierających doniesienia, że w spółdzielni, w której on pracuje, dokonuje się nadużyć. Kradnie się tam rzekomo tkaniny, wykazując wyższe ich zużycie niż rzeczywiste, oraz szyje się na lewo, poza dokumentacją. Nadużyć tych dokonywać miano pod jego kierunkiem. Anonimy te spowodowały trzy kontrole i mnóstwo nieprzyjemności. Oczywiście „kontrol” niczego nie wykryła, bo to były wredne i wrogie kłamstwa.

W domu żona się przechwalała, że to ona pisała donosy, więc w trakcie przesłuchania w prokuraturze uświadomił on obywatela prokuratora, jakie jest źródło całej tej rzekomej sprawy. Po tym, jak trzy kontrole po kolei uznały, że w jego punkcie krawieckim jest wszystko w porządku, a zarzuty nie potwierdzają się, żądał od prokuratora, żeby zamknął jego żonę, Józefę za te oszczerstwa,

w przeciwnym bowiem wypadku nie będzie sprawiedliwości. Więcej - on z pewnością straci zajęcie. Jaki prezes zechce trzymać krojczego, którego żona potrafi narobić takiego bigosu? Żaden szef na to nie pójdzie. Co innego, gdyby ją zamknąć. Wtedy zarząd spółdzielni nie czułby już żadnego ze strony Ksawerego P. zagrożenia.

Prokurator nie założył jednak sprawy przeciwko Józefie P. o wysyłanie fałszywych doniesień, ponieważ ona powiedziała, że pisała dokładnie to, o czym słyszała od męża, a że jej małżonek i jego koledzy mają więcej sprytu niż kontrolerzy, to nie jest na pewno jej wina, którą by powinna odsiedzieć.

Teraz jednak, po tym jego odjeździe z chrczin, żona Józefa zrobiła mu jeszcze gorszą rzecz. Poszła mianowicie na MO i zeznała, że znęca się nad nią po pijanemu, bijąc i wymuszając stosunki intymne. Zażądała założenia przeciwko niemu, Ksaweremu P., sprawy o zgwałcenie, chociaż świat jeszcze nie widział takiego procesu. Gwałcić bowiem można obcą kobietę, ale nie własną żonę, gdzie to nie jest żadnym przecież gwałtem, tylko pożyciem małżeńskim. Na szczęście znęcanie się upadło. Żona postawiła dwóch świadków: swoją matkę i koleżankę. Koleżankę ruszyło sumienie i bała się kłamać milicji. Żona ostała się z jednym świadkiem, ale matka to nie świadek. On natomiast przedstawił opinię zakładu pracy, że jest w zasadzie niepijący. Chociaż więc sprawa o znęcanie się idzie, jak twierdzi jego adwokat, ku umorzeniu, on tej kobiecie, swojej żonie, nigdy i za nic nie wybaczy, że coraz usiłuje go zniszczyć, zamknąć i pohańbić w najokropniejszy sposób.

„Powiem tak - oznajmił na zakończenie krojczy - gdyby mi tu w tej chwili postawiono moją żonę Józefę i Hitlera, pytając: z kim walisz żyć pod jednym dachem, z kim siadać do stołu i kłaść się wieczorem do łóżka? - powiedziałbym bez żadnego ale: wolę już Hitlera!”

Sąd w osobie ławniczki zadał wówczas pytanie, dlaczego Ksawery P. nie rozwiedzie się, zamiast podejmować starania, żeby siebie lub żonę ulokować w więzieniu.

- Sam nie wiem... - odparł. - Jakoś nie myślałem.

Gdyby nawet

Oto cała prawda o jednej kradzieży mieszkaniowej.

Inżynier Roger H., architekt o specjalności przemysłowej, ponad rok siedział i pracował za granicą, a po wygaśnięciu kontraktu wrócił przywożąc łup: kosztowny samochód. Sprzedał go od ręki. W trzy dni potem, a w osiem po powrocie, jego mieszkanie zostało okradzione. Złodziej zabrał 230 tysięcy gotówką, 315 dolarów amerykańskich i złotą papierośnicę ocenioną na 31 tys. zł.

Stało się to przed wieczorem, między godziną szóstą, gdy Małgorzata H., jego żona, wyszła do matki, a dziewiątą dwadzieścia, kiedy to Roger H. wrócił z odwiedzin u znajomych, którym przywiózł paczkę. Za powrotem Roger H. zobaczył ślad włamania na drzwiach: wklęsnięte od łomu drewno i naruszony lakier. Drzwi były zamknięte na zatrzask, ale nie na zasuwę, którą ona i on, wschodząc, zawsze zamykali kluczem. Wewnątrz zastał powyciągane szuflady, wyrzuconą z szafy bieliznę, żadne jednak przedmioty, jak potem z żoną ustalili, nie zginęły - tylko gotówka i złoto.

Przybyła ekipa kryminalna milicji. Ekspert orzekł, że włamywacz przypuszczalnie otworzył drzwi źle podrobionym kluczem albo wytrychem i dlatego pomagał sobie łomem. Drzwi wejściowe nie były zresztą trudne do sforsowania. Fakt, że nie złakomił się na żadne drobiazgi, świadczy, iż sprawcą był raczej zawodowiec, niż jakiś pętał dopadający byle okazji i biorący byle co. Z drugiej jednak strony, drzwi forsowano dosyć nieporadnie. Złodziej przypuszczalnie albo obserwował dom i czekał okazji, kiedy oboje państwo H. wyjdą, albo zatelefonował lub zadzwonił do drzwi, odczekał i upewniwszy się, że nikogo nie ma, przystąpił do dzieła. Dom jest duży: 250 mieszkań, kilka wind, nikt kręcący się tutaj nie zwraca na siebie uwagi. Rozpytywano sąsiadów. Nic nie słyszeli i nie widzieli.

Roger H. miał mieszkanie ubezpieczone, więc zgłosił o kradzieży do PZU. Tegoż dnia, następnego po kradzieży, przesłuchiwany był na milicji. Powiedziano mu tu, że ów bałagan w mieszkaniu, który złodziej zostawił, jest to przypuszczalnie pozoracja. Z analizy śladów nie wynika, by złodziej rzeczywiście metodycznie przeszukiwał szafy i szuflady. Raz, dwa zrobił trochę efektownego bałaganu. Wygląda na to, że dobrze wiedział, czego szuka i gdzie to coś się znajduje.

Złotówki i dolary leżały w dużej szarej kopercie włożonej między inne koperty zawierające rzeczy bezwartościowe, różne dokumenty, kwity itp., oraz teczki ze szkicami i obliczeniami. Wszystko razem spoczywało w szufladzie zamkniętej na klucz. Złodziej otworzył ją podnosząc łomem deskę regału. Do żadnych innych zamkniętych szuflad nie dobierał się. Wybebeszał tylko otwarte. Pieniądze niełatwo

byłoby znaleźć komuś szukającemu na chybił trafił. On jednak znalazł. Drugie miejsce, w które bezbłędnie trafił, to sekretera stojąca w innym pokoju, z której wydobył papierośnicę. Tam już w ogóle nie ma śladów, by czegokolwiek szukał. Wniosek jest jasny: prawdopodobnie nie zrobił tego nikt obcy. Złodzieja należy szukać w kręgu osób, które wiedziały, że Roger H. wrócił z zagranicy, sprzedał wóz, ma w domu dolary i gdzie co trzyma. Poszkodowanemu powiedziano, że to on musi teraz intensywnie pomyśleć, kto to mógł zrobić. Ale inżynier niewiele potrafił swoimi zeznaniami pomóc. Sprzątaczkę nie mają od czasu, kiedy wyjechał za granicę. Po jego powrocie przyjmowali w domu dwa razy. Raz najbliższą rodzinę, drugi raz dwie pary przyjaciół. Całe to grono wiedziało, że sprzedał samochód, ale w ogóle nie wspominał o tym, że pieniądze ma w domu i gdzie je trzyma, bo to przecież nikogo nie interesuje. Zresztą najbliższa rodzina i przyjaciele nie wchodzi w rachubę. Był u niego także obcy człowiek, którego nazwisko ma zanotowane. Przywiózł dla tego kogoś z zagranicy jakiś detal do samochodu. Oczywiście tego gościa nie informował o żadnych swoich sprawach.

W dniach pomiędzy jego powrotem i włamaniem inż. H. często spotykał się ze znajomymi w mieście, odnawiał kontakty. Rozmawiał z dwudziestoma czy trzydziestoma osobami. Znacznej części z nich mówił o tym, że przywiózł samochód, jaki to był samochód, że go sprzedał, za ile i dlaczego. Nikomu jednak - tego jest pewien - nie opowiadał, że trzyma pieniądze jeszcze w domu i gdzie one leżą. Każdy z tych znajomych mógł rewelacje te powtarzać nieskończenie wielkiej liczbie swoich znajomych, bo wszystkich interesują cudze powroty, transakcje i samochody. Krąg takich, którzy wiedzieli, iż ewentualnie warto by teraz przeszukać mieszkanie Rogera H., jest olbrzymi, a jego adres można znaleźć w książce telefonicznej. Z drugiej strony, jeśli się przyjmie, że złodziej musiał wiedzieć, gdzie leżą pieniądze i papierośnica - to Roger H. nie widzi ani jednej aż tak dobrze poinformowanej osoby.

Małgorzatę H. przesłuchano osobno. Ona także opowiadała w pracy przyjaciółkom, mamie, znajomym mamy, swoim znajomym o aucie, sprzedaży, nawet o uzyskanej kwocie, ale nikomu nie mówiła, że forsa leży w domu, a tym bardziej - gdzie leży. Zapytano ją, gdzie była tego wieczoru, kiedy dokonano kradzieży. U matki bowiem bawiła godzinę, wyszła o wpół do ósmej, zaś do domu wróciła dopiero koło jedenastej. Małgorzata H. odparła, że to jej prywatna sprawa, nie mająca z kradzieżą nic wspólnego.

Zaczęto wobec tego z innej beczki. Ma 27 lat. Męża przez rok nie było. Tu na milicji znają życie. A w takiej sytuacji wszystkich wchodzących w grę trzeba sprawdzić, choćby po to, by wykluczyć niewinnych. A więc czy ma kogoś?

- Nie mam - odparła - a gdyby nawet, to nie jest złodziej, tylko wybitny plastik.

- A gdyby pani tu poczekała, a my przez ten czas zrobilibyśmy rewizję u Jerzego P.?

- Panowie, widzę, są mocno wprowadzeni... Jak panowie chcecie, ale to z pewnością nie ma sensu. Jerzemu także nie mówiłam, gdzie Roger trzyma pieniądze. Jeśli już jednak wkraczamy na ten grunt - ciągnęła - to może mojego męża trzeba by było zapytać, kogo przyjmował w trakcie wieczoru poprzedzającego kradzież. Bo o tym z pewnością panom nie mówił.

Małgorzata H. opowiedziała, że wieczór poprzedzający kradzież miała zajęty i uprzedziła męża, iż późno wróci. Nadzorowała pracę przy zmianie dekoracji w sklepie. Wykonywano ją wedle jej projektu po zamknięciu sklepu. Wróciła około jedenastej, męża nie było, ale zaraz potem też wrócił. Nazajutrz córka dozorczy opowiedziała jej, że widziała Jej męża z butelką wina w ręku i dziewczyną trzymaną za rękę. Holował ją do mieszkania. Mąż mógł się przy okazji pochwalić, żeby wiedziała, jak zamożnego ma amanta, albo dziewczyna sama spenetrowała mieszkanie, a potem kogoś posłała, żeby się włamał.

Rogera H. zaproszono wobec tego na następne przesłuchanie, w czasie którego zapewniał, że po prostu z niepojętych dlań powodów w czasie poprzedniej rozmowy na milicji uleciał mu z pamięci epizod z dziewczyną. To była, twierdził, zupełnie niewinna wizyta. Oczywiście nie mówił dziewczynie, że ma w domu duże pieniądze i gdzie je trzyma. Owszem, zostawiał ją w pokoju samą, nawet parę razy. Kręcił się: do kuchni i z powrotem. Ale nie miała tyle czasu, żeby majstrować przy szufladzie, sprawdzać, co zawierają koperty. Do drugiego pokoju, pokoju żony, gdzie schowana była papierośnica, dziewczyna w ogóle nie wchodziła.

Roger H. nie umiał podać nazwiska ani adresu tej dziewczyny, nawet określić, gdzie pracuje. Przedstawiała się imieniem. Było tak: Żona nie uprzedzając go wcześniej powiedziała po obiedzie, że musi wyjść i wróci dopiero po północy, złapała bowiem dodatkowe zajęcie - dekorowanie wystaw i musi dopilnować robót. Kiedy wyszła, zastanawiał się, jak zapełnić wieczór, gdy naraz odezwał się telefon: „Roger? Jesteś? Może masz trochę czasu, bo się nudzę.” „Kto mówi?” „Krystyna.” „Jaka Krystyna?” „Coś ci pamięć nie służy”. Zaintrygowany, chętnie umówił się w kawiarni. Czekał, czekał, nikt się nie zjawiał. Nie opodal siedziała samotnie dziewczyna. Atrakcyjna. Patrzyła na niego, w końcu podeszła: „Pan ma może na imię Roger?” „Czy może to pani...?” Zaśmiewali się. Pomyliła telefony. Dzwoniła do kogo innego. Ma w kalendarzu „Roger” i telefon, pod tym znowu „Roger” i telefon, pod tym znowu „Roger” i telefon. Zastanawiała się, dlaczego tamten nie przychodzi, i wpadło jej właśnie do głowy, że musiała pomylić telefony. Z jego miny domyśliła się, że może być facetem, którego przed chwilą wyciągnęła z domu. Nie, nie znają się. Ona nie wie, skąd ma jego telefon. Pojęcia nie ma.

Nie szkodzi - odparł - jemu miło jest ją poznać. Poszli do niego do mieszkania

oblewać znajomość winem. Odprowadzał ją do autobusu Powiedziała, że wkrótce zadzwoni Przestrzegaj ją, aby znowu nie pomyliła telefonów i powtórnie nie spotkała się nie z tym, z którym chce, Rogerem.

Za powrotem zastał żonę w domu. Maluczko, a by go nakryła. Dziewczyna dotychczas nic zadzwoniła. Naprawdę nic nie może o niej powiedzieć nad to, że ma na imię Krystyna, robi dobre wrażenie i wygląda na studentkę. Teraz nasza go refleksja, że powiedziała o sobie zadziwiająco mało. Może chciała pozować na tajemniczą?

Milicja stwierdziła, że składając zeznania Małgorzata H skłamała. Córka dozorczyńni nie widziała Rogera H. z dziewczyną i butelką wina, nie donosiła więc także żonie na męża. Natomiast Roger H. niósł rzeczywiście wtedy zapakowaną w papier butelkę i było w niej wino. To potwierdził.

Wezwano Małgorzatę H., pytając, czy na pewno o nielojalności męża w przeddzień włamania dowiedziała się od córki dozorczyńni. Zmieszała się i oświadczyła, że istotnie nie jest tego pewna. Po prostu nie pamięta, kto jej powiedział. Może ktoś z sąsiadów.

„To są, proszę pani, bardzo naiwne sztuczki. Relacją za spotkania pewno zdała pani właśnie ta dziewczyna, bo przecież nie mąż, prawda? Pani jej dała telefon i podsunęła pomysł, w jaki sposób ma podejść w kawiarni do inż. H. Chyba się nie mylimy?”

Małgorzata H. nie zaprzeczyła i zgodziła się jechać z milicją do mieszkania swojej matki, by wydać zabrane z własnego domu pieniądze i papierośnicę.

Jej wyjaśnienia: W rzeczywistości męża porzuciła już dawno temu, wkrótce po jego wyjeździe. Nie zawiadamiła go tylko o tym, bo po co, będzie, sądziła, na to czas, jak wróci do Polski. Ale jeszcze nie doszło między nimi do zasadniczej rozmowy. To nie jest przyjemna chwila, więc zwlekała. Postanowiła, że zabierze mu pieniądze, te roczne zarobki z zagranicy, no i papierośnicę. Kupią sobie za to z Jerzym P. mieszkanie, a ona mężowi w zamian zostawi stare. Jerzy P. nic o jej planach nie wiedział, sama zrobiła ślady włamania. Uznała, że milicja będzie podejrzewać kogoś, kto bywał w tym mieszkaniu, a nie przypadkowego włamywacza, i chciała skierować podejrzenie na nieznaną nieznajomą. Poprosiła swoją zaprzyjaźnioną współpracownicę o zabawienie jej męża przez jeden wieczór. Nie wtajemniczyła jej, o co chodzi. Układając scenariusz spotkania wmawiała jej inny motyw tej szopki: że łatwiej jej będzie przeprowadzić z mężem zasadniczą rozmowę, jeśli będzie miał świeże poczucie winy. Plan o tyle się nie udał, że chciała to zainscenizować tak, aby wyglądało, że dziewczyna wyniosła pieniądze. A potem, tego samego wieczoru, wspólnie z mężem mieli „odkryć” kradzież. Po wyjściu męża i dziewczyny weszła do mieszkania (czekała przed domem na tę

chwile). Nie zdążyła wymyślić, jak to zrobić, żeby zwrócił uwagę, że nie ma pieniędzy, wrócił bowiem do domu już po kilku minutach. Następnego wieczoru zainscenizowała włamanie. Pieniądzy i papierośnicy nie było już wówczas w domu od przedpołudnia poprzedniego dnia.

Na koniec Małgorzata H. powiedziała, że nie jest taka głupia. Nic jej za to wszystko nie mogą zrobić. Stroną oskarżającą musiałby być mąż, a ona go zna - nigdy nie posunie się do czegoś takiego.

„Pani nie jest taką znów świetną prawniczką - usłyszała w odpowiedzi. - Odpowie pani za kłamliwe zeznania, za wprowadzenie nas w błąd. Ale to nie wszystko. Pani podpisy figurują pod dokumentami skierowanymi do PZU, a zawierającymi roszczenia odszkodowawcze. Odpowie więc pani również za próbę wyłudzenia poważnych kwot od państwowej instytucji.”

- Nie pomyślałam - odparła Małgorzata H., magister sztuk plastycznych

Salomonowa sprawa

W Warszawie na ławie oskarżonych siedli małżonkowie Adolf i Ewa Ch., obwinieni o to, że pospołu poszarpali swoje dziecko, trzy i półrocznego Karola. Akt oskarżenia oparty był o obdukcję lekarzy szpitala, w którym ów trzy i półletni Karol Ch. kurowany był przez kilkanaście dni. Obdukcja mówi o złamanej ręce, wywichniętej nodze i naderwanej małżowinie usznej, którą przyszywać trzeba było do głowy chirurgicznie. Także o potłuczeniach ogólnych, szczególnych i domniemanym urazie psychicznym.

Adolf Ch. oświadczył, że nie przyznaje się do winy. On tylko trzymał dziecko na ręku, zaś żona Ewa je szarpała, czemu usiłował zapobiec odpychając ją lewą ręką oraz kopiąc lewą i prawą nogą, na zmianę.

Podobne zeznania złożyła Ewa Ch., która także oświadczyła, że dziecko trzymała na ręku i broniła go przed mężem, który bezprawnie i okrutnie usiłował je wyszarpnąć, z determinacją wskazującą na to, że gotów jest poobrywać Karolowi Ch. kończyny, aby tylko wyjąć go z objęć matki.

Później, w swojej mowie, prokurator nawiązał do Salomona, starożytnego żydowskiego króla, mającego także wielkie kłopoty domowe. Salomon, jak wiadomo, posiadał tysiąc żon i cierpiał związane z tym niesnaski. I kiedy, co także wiadomo, dwie jego żony pokłóciły się o to, której z nich jest dziecko - ciągnął prokurator - zaproponował Salomon, że je przekroi, i poznał prawdziwą matkę po tym, że się na to Salomonowe rozstrzygnięcie nie zgodziła. Otóż zdaniem prokuratora Ewa Ch. nie jest prawdziwą matką, bo przystawała na poszarpanie dziecka, które wymagało później kilkunastodniowej reperacji szpitalnej.

W toku przewodu sądowego udowodnione zostało, że państwo Ch. swojego Karola szarpali na przemian. Wpierw matka trzymała, a szarpał ojciec, potem, kiedy go wyszarpał, szarpała matka, a Adolf Ch. trzymał.

Sąd uznał ojca poszarpanego dziecka - Adolfa Ch. - za bardziej winnego, bo to on przyszedł i wszczął bójkę o syna. Nadto Ewa Ch. puściła dziecko, kiedy ono już bardzo krzyczało, doznawszy szwanku, zaś Adolf Ch., gdy je już wziął na ręce, to za nic nie puszczał, mimo iż sytuacja zagrażała zdrowiu i całości członków trzy i półletniego Karola Ch. Natomiast nie udało się ustalić, kto jest winowajcą złamania, kto zwichnięcia, kto naderwania, bo małżonkowie tak opisywali zajście, że o każde z tych okaleczeń obwiniali stronę przeciwną. Dwie osoby postronne oglądały tylko finał ekscesu, rozgrywający się już na schodach, skąd Adolf Ch. zawiózł wyszarpane żonie dziecko taksówką na Pogotowie Ratunkowe. Mimo to w sądzie występowali liczni świadkowie, a nie tylko tych dwoje. Opisywali oni

okoliczności poprzedzające dramatyczną scenę.

Karol Marcin Ch. urodził się z ciężkimi schorzeniami i niemal cały pierwszy rok życia spędził w szpitalu. Praktycznie bez przerwy dyżurowało tam przy nim jedno z rodziców. Oboje oni pracują, tak że ich życie podzielone było między biuro, szpital i spanie. Dla zapewnienia ciągłości dyżurów przy dziecku Ewa Ch. zrezygnowała z kariery sekretarki wiceministra i przyjęła gorzej płatną i dającą mniej prestiżowej satysfakcji pracę w powielarni, gdzie znalazła zatrudnienie na drugą zmianę. Dzięki temu mogła dyżurować przy dziecku do czasu, kiedy mąż wracał z biura i obejmował opiekę nad dzieckiem w szpitalu. Wtedy ona szła do pracy, by nocą wrócić do szpitala, i tak w kółko. Od czasu do czasu, gdy już oboje byli bliscy krańcowego wyczerpania, najmowali pielęgniarkę. Ponieważ sprowadzali również własnym sumptem lekarstwa z zagranicy, sytuacja wycieńczała ich nie tylko fizycznie, ale i finansowo.

W rozumieniu medycyny Karol Ch. powinien był zaraz po urodzeniu umrzeć. Owe nadludzkie wysiłki rodziców sprawiły, że dziecko miało lepszą opiekę, niż mógł ją zapewnić szpital, i sami lekarze przyznawali, że dzięki temu wyżyło. Nim doktorzy obwieścili zwycięstwo, utrzymywali, że te bezustanne dyżury rodziców w szpitalu są zbędne, gdyż dziecko ma tam przecież staranną opiekę i że rodzice objawiają fiksację poszukując za granicą kosztownych, a nie wypróbowanych dostatecznie i nie dopuszczonych jeszcze do obiegu w Polsce leków.

Kiedy Karol Ch. wrócił ze szpitala do domu i wiadomo było, że przypuszczalnie wyżyje, tryb życia państwa Ch. nie uległ zmianie. Przeciwnie, jeszcze większe spadły na nich ciężary opiekuńcze. Dopiero kiedy dziecko miało mniej więcej dwa lata, lekarze orzekli, że jest zupełnie zdrowe. W życiu Ewy i Adolfa Ch. nadszedł czas wielkiego odprężenia. On miał wówczas 24, a ona 22 lata. Pracowali nadal na dwóch różnych zmianach, gdyż także zdrowe małe dziecko wymaga opieki.

Co było dalej, o tym opowiedzieli sądowi już inni świadkowie, nie ci, którzy przed sądem podnosili rodzicielski heroizm pani i pana Ch. Dalej działało się zaś to, że pani Ewa Ch. coraz częściej nie wracała po pracy do domu, to znaczy zamiast po 22.30, kiedy kończyła pracę, przychodziła około szóstej rano, gdy mąż zbierał się do wyjścia. Zrazu zdarzało się to rzadko, potem coraz częściej. Adolf Ch. domyślał się, że żona ma kochankę, u którego lubi nocować, i czynił jej wyrzuty. Ewa Ch. nie przeczyła istnieniu kochanka, bo nie sposób było przecież czym innym wytłumaczyć mężowi jej nocne nieobecności. Powiadała tyłka za każdym razem, kiedy dochodziło do rozmowy, że tamta noc to był już ostatni raz.

Po kilku ostatnich razach Adolf Ch. przestał wszakże wierzyć w te zapewnienia i groził, że przeprowadzi rozwód, a pierwiej odkryje, co to za kochanek i nakryje ją u niego ze świadkami, aby mieć przed sądem argumenty wspierające jego

roszczenie o powierzenie jemu, a nie jej, opieki nad dzieckiem.

Były to na razie tylko pogrożki, ale Ewę Ch. tak one zaniepokoiły, że postanowiła przeciwdziałać. Zwróciła się do swojej przyjaciółki, 20-letniej Honoraty W., z prośbą, żeby dwa, trzy razy w tygodniu przychodziła do nich wieczorami, pomagała Adolfowi przy dziecku i szykowała im obojgu kolację. Prośba poparta była prezentem - pięknym zagranicznym swetrem. Honorata W. przychodziła. Wpierw rzadziej, potem częściej. Zauważyła wszakże - o czym opowiedziała przed sądem - że Ewa Ch. telefonicznie upewnia się, czy ona dziś będzie u jej męża, i kiedy padała odpowiedź twierdząca, nie wracała na noc.

Siłą rzeczy Honorata W. zaczęła zostawać u Adolfa Ch. na noc, choć nie całą, bo bała się przedwczesnego powrotu przyjaciółki, co jednak nigdy się nie zdarzyło. Kiedy to tak trwało już od tygodni, Honorata W. zapytała Ewę Ch., czy nie jest zazdrosna o te jej wieczory sam na sam z Adolfem. Ewa Ch. odparła, że nie jest zazdrosna, chociaż wie, iż ona sypia z jej mężem. Poznaje to po tym, że Adolf przestał jej robić sceny. Honorata W. nie zaprzeczyła, a przy następnym spotkaniu przyjaciółka przyniosła jej francuskie kosmetyki w upominku i powiedziała tak: „Na sprawie rozwodowej będziesz świadczyć, że ja nie wracałam na noc do domu, ponieważ ty tam byłaś i sypiałaś z Adolfem. To leży w interesie i twoim, i moim. Wniosem o rozwód z jego winy. Sąd przyzna mi dziecko. Wyjdę za mąż za swojego chłopca, a ty za Adolfa. Gdybyś nie chciała być świadkiem, sąd uzna, że to ja prowadzę się fatalnie. Może wtedy jemu przyznać dziecko. Kiedy wyjdiesz potem za Adolfa, będziesz miała cudze, chorowite dziecko na karku.” Honorata W. przystała na ten plan, bo wydał jej się obustronnie korzystny, a także dlatego, że Ewa Ch. jest jej najbliższą przyjaciółką. Ewa Ch., zapewniwszy sobie świadka, wniosła o rozwód.

Wkrótce Honorata W. powiedziała jej, że zmieniła zdanie i nie będzie w sądzie świadczyć przeciwko Adolfowi Ch. Kocha go i chce zań wyjść. Jeśli w sądzie, w trakcie sporu o dziecko, zacznie go pogrążyć - on ją znienawidzi. Poza tym nie ma serca działać na rzecz odebrania Adolfowi Karola, gdyż on bardzo kocha syna. Ewa Ch. powiedziała na to przyjaciółce, że jest świnią i judaszem, po czym wycofała pozew rozwodowy, lękając się, że przy okazji procesu może stracić dziecko. Chodziło zresztą nie tylko o dziecko, ale także o to, kto zostanie w ich mieszkaniu, a kto się zeń wyniesie.

Kiedy Honorata W. skończyła zeznawać, sąd zadał oskarżonej pytanie, czy potwierdza prawdziwość zeznań swej przyjaciółki. Ewa Ch. odparła, że tak, ale chce powiedzieć, że jej mąż stawiał kolegom wódkę, namawiając ich, aby na procesie rozwodowym zeznali, że ona, Ewa Ch., sypiała z nimi za pieniądze. Ona może od razu wymienić nazwiska tych kolegów, bo jeden z nich, człowiek uczciwy, nie tylko że odmówił, ale uprzedził ją, co mąż szykuje.

Ponieważ Honorata W. dostała na rok osobne mieszkanie, pożyczone jej przez ciotkę, która wyjechała na ten czas - Adolf Ch. tam z nią zamieszkał. Wtedy Ewa Ch. zmieniła zamki w drzwiach wejściowych i nie wpuszczała go więcej do mieszkania, a tylko Honoratę W., która przychodziła i stopniowo zabierała jego rzeczy. Adolf Ch. wystąpił o rozwód i w pozwie żądał wydania mu dziecka. W końcu zmylił czujność Ewy Ch., został wpuszczony do mieszkania i usiłował się zabrać malca.

W ten sposób Ewa i Adolf Ch. omal że nie popsuli dziecka, które tak heroicznie pospołu reperowali. Często okazuje się, że uczucia silniej wiążą się z poczuciem posiadania niż z obiektem nadzwyczajnej zda się nawet miłości. Próba rozszarpania dziecka przez rodziców nie ma jednak w Polsce precedensu, jak daleko sięga pamięć najstarszych kauzyperdów.

Dom II

Adwokat dr Andrzej T. z Poznania od 34 lat zajmuje się rozwodami i sądził, że w tej dziedzinie nic nie może go zadziwić. Miał w swojej praktyce pozew męża przeciwko żonie-hermafrodytcie, o narastającej przewadze cech męskich, która męża katowała. Miał klientkę 1 m 85 cm wzrostu, która wyszła za karła i skarżyła się później przed sądem na niedobór seksualny. Likwidował cywilno-prawne skutki ślubu wyłącznie kościelnego, który zawarły w latach czterdziestych dwie kobiety. Jedna z nich stanęła przed ołtarzem w męskim przebraniu i miała sfałszowane papiery. Rozwikływał sprawy majątkowe poczwórnego bigamisty. W swej karierze zawodowej oglądał czterech uznanych za zmarłych mężów, którzy żywi zjawili się w jego kancelarii. Rozwodził księżniczkę cygańską, która jako powód zerwania podawała, że mąż ją oszwabił przed ślubem, w ten sposób, iż w swoim dowodzie osobistym - normalnym, współcześnie wydanym - w rubryce zawód wpisał samowolnie „hrabia”.

I kiedy dr Andrzej T. uznał, że repertuar możliwości już się wyczerpał, że nie trafi mu się sprawa niepodobna do żadnej poprzedniej, odwiedziła go w zespole adwokackim pani Joanna Ż.

Architekt Joanna Ż. ma 37 lat i dwoje dzieci: czternastoletnią dziewczynkę i jedenastoletniego chłopca. Wyszła za mąż w roku 1959 za 40-letniego obecnie lekarza pediatrę Olgierda Ż. Małżeństwo swe, trwające prawie czternaście lat, uważa za bardzo udane. Jej mąż jest tego samego zdania.

Klientka adwokata T. przez wiele lat korzystała z porad psychiatry. Nie wykrył on u niej żadnej choroby, żadnych odchyień od normy. Czuła wszakże, okresami silniejszą, okresami słabszą potrzebę odwiedzania lekarza tej specjalności, gdyż miała specyficzne zwidzenia i związany z tym niepokój. Przypadłości te zjawiały się u niej bezpośrednio po ślubie i ustąpiły na półtora roku przedtem, nim postanowiła wziąć rozwód. Obecnie czuje się zupełnie zdrowa.

Męża poznała latem 1958 roku, w miejscowości nadmorskiej. Była wówczas studentką. Olgierd Ż. na miesiąc przed ich spotkaniem się uzyskał dyplom lekarza. Okoliczności nawiązania tego romansu nie są ważne dla toku opowieści, nadto banalne. W upalne przedpołudnie na plaży pojawił się znajomy jej koleżanki - Olgierd Ż. właśnie - w ciemnym ubraniu i z walizką. Koleżanka miała pod opieką dziecko, swoją siostrę, poprosiła więc Joannę Ż., aby pomogła przybyszowi wynajść pokój. Chodzili dobierać kwatery, a kiedy znaleźli stosowną, Joanna Ż. już w niej została z młodym lekarzem. Rozstali się po miesiącu. On wracała jesienią do Warszawy kończyć studia, on jechał do miasteczka, z którego pochodził, by rozpocząć staż w tamtejszym szpitalu. Okazało się niebawem, że Joanna - nazywam

ją „Ż”, choć wtedy nosiła panięskie jeszcze nazwisko - jest w ciąży. Zawiadomiony o tym Olgierd Ż. zaproponował małżeństwo. Nie było czasu i sposobności, by zamiar ten szybko urzeczywistnić. Joanna Ż. starała się przed porodem zdać jak najwięcej egzaminów, by zbliżyć się możliwie najbardziej do absolutorium. Olgierd Ż. zaczynał pracę. Zimą umarła mu matka. Aby połączyć się z Joanną, musiał dokonać remontu domu. Ślub zawarli tuż przed porodem, na przedwiośniu 1959 roku, w Warszawie - jej miejscu zamieszkania.

Ich sytuacja wyjściowa był bardzo trudna. Joanna Ż. nie chciała wyprowadzić się z niemowlęciem z Warszawy, by połączyć się z mężem, bo pragnęła jesienią zdać końcowe egzaminy i obronić pracę dyplomową. Nadto w miasteczku K., rodzinnej miejscowości jej męża, nie było posady dla architekta. Na razie nie mieli tam gdzie mieszkać. Olgierd Ż. odziedziczył po matce - wojennej wdowie - obszerną willę, ale walącą się dosłownie. Zabiegał o doprowadzenie jej do stanu używalności.

W grudniu 1959 roku dom był przysposobiony do mieszkania, w K. stworzony został etat powiatowego architekta i Joanna Ż. przyjechała, by zamieszkać z mężem.

Kiedy przekroczyła próg jego domu, ich domu, uległa jakiemuś dziwnemu uczuciu. Zdawało jej się mianowicie, że już kiedyś tu była. Podchodziła po raz pierwszy do drzwi i nim je otworzyła, miała wrażenie, że wie, co jest za tymi drzwiami. Podchodziła po raz pierwszy do któregoś z okien, wyglądała i miała uczucie, że już zna skądś ten widok. Kiedy z czasem te doznania czy też wspomnienie tych doznań z pierwszych dni pobytu w K. przyprawiły ją o stan niepokoju, poszła poradzić się psychiatry; twierdziła, że ten dom śnił jej się, zanim go obejrzała naprawdę.

Doznania te ustąpiły oczywiście z biegiem czasu, choć nie opuszczał jej niepokój, który to stan wiązała z przebywaniem w tym domu. Zastąpiły je teraz inne zwiady, bardziej wysublimowane. Na przykład obszerna spiżarnia przy kuchni kojarzyła jej się z wyobrażeniem psa. Ilekroć tam wchodziła, czuła zapach psa, słyszała skomlenie psa. Te swoje dziwactwa uważała za niepoważne, tłumiała je w sobie. Były jednak takie okresy, gdy ów dom wzniewał w niej stan niepokoju tak dolegliwego, że chodziła do psychiatry i zażywała przepisane jej proszki uspokajające. Ona, osoba dorosła i siłą rzeczy coraz bardziej dorosła, matka wkrótce już dwojga dzieci - bała się w ogóle zostawać sama w tym domu.

Państwo Ż. z biegiem lat coraz lepiej oboje zarabiali i sporo pieniędzy łądowali w dom, który z rudery przeobrażał się w siedzibę luksusową. Na parterze były dwa wielkie pokoje, w amfiladzie, jeden od frontu, drugi wychodzący na ogród. Na piętrze mieścił się gabinet lekarski, sypialnia i dziecinny. Olgierd Ż. dobudował do domu garaż. Potem urządził kuchnię w piwnicy, a poprzednie parterowe pomieszczenie kuchenne przeobraził w lekarski gabinet, aby każde z dzieci miało osobny pokój na piętrze. Trzeba sobie wyobrazić te koszty i wieloletnie starania,

aby zrozumieć, jak niechętnie traktował Olgierd Ż. prośby żony, żeby dom sprzedać i zamieszkać gdzie indziej. Trudno przecie wygodny, piękny dom, który zbudował dziadek Olgierda Ż., w którym mieszkali jego rodzice, porzucać tylko dlatego, że żona twierdzi, iż te mury przyprawiają ją o stan niepokoju. Ona jednak czuła się coraz gorzej, coraz częściej ze swoimi przypadłościami nachodziła psychiatrę, i to był powód, dla którego z całej siły wsparła pomysł przeniesienia się z K. do innego miasta. Nie miała wątpliwości, że jej stany niepokoju, jakiegoś nieokreślonego wewnętrznego rozedrgania wiążą się z tym domem. Jeśli gdziekolwiek z mężem wyjeżdżali, czuła się od razu najzdrowszym człowiekiem pod słońcem.

Olgierd Ż., teraz już dyrektor szpitala, wspomniawszy któregoś dnia, że ma propozycję objęcia innego, większego, specjalistycznego szpitala w innym mieście. Joanna Ż. gorąco poparła ten projekt. Sprzedali dom, kupili inny, w owym nowym mieście. Stany niepokoju Joanny Ż. przeminęły. Czuła się wyleczona i teraz już zupełnie szczęśliwa.

Po długim czasie zadzwoniła pewnego dnia do psychiatry z prośbą, żeby natychmiast ją przyjął. Zjawiła się zapłakana, zmaltretowana, zrozpaczona. Opowiedziała całą przytoczoną tu historię: Oto nagle, ni z tego, ni z owego, po wielu latach metafizycznej niejako udręki, naszło ją olśnienie. Przypomniała sobie ten dom. Mieszkała w nim jako małe dziecko! Pojechała do swojej matki do Warszawy i uzyskała potwierdzenie. I teraz prosi o pomoc lekarską, bo nie jest w stanie wrócić do męża, spotkać się z mężem, żyć z mężem, mieszkać z mężem.

Zjawiła się więc u swojej matki w Warszawie i opowiedziała, jak to przez całe lata męczył ją niepokój związany z mieszkaniem w ich poprzednim domu, a teraz nagle, bez żadnego szczególnego bodźca, przypomniała sobie, że w tym domu mieszkała jako małe dziecko. Czy to możliwe? I oto w trzydziestym siódmym roku jej życia matka wyznała, że ona nie jest jej naturalną córką. W grudniu 1939 roku przyprowadzono jej małą dziewczynkę. Wyglądała na około trzy lata. Nie wiadomo było, ile ma, jak się nazywa, czyim jest dzieckiem. Była jednym z gromadki zagubionych w tygodniach wojny dzieci, zgromadzonych w którymś z warszawskich sierocińców. Osoba, która ją przyprowadziła, prosiła o przetrzymanie dziecka przez kilka dni. Sierociniec ulega likwidacji, organizacja opiekuńcza musi dla tej małej znaleźć miejsce w jakimś innym zakładzie, za kilka dni ją odbiorą. Minęły nie tylko dni, ale i tygodnie, a nikt się po dziewczynkę nie zjawiał. Wobec tego uznała ją za swoje dziecko, nadała swoje i męża nazwisko. Mąż jej w tym okresie był w niewoli, ale z początkiem 1940 r. wrócił. Nigdy dziewczynce nie mówiła, że nie jest jej naturalną córką. Przybrany ojciec Joanny umarł wkrótce po wojnie.

Mijały dziesięciolecia, a ona dalej nic nie wiedziała o tym, skąd pochodzili i jak się nazywali naturalni rodzice dziewczynki, która wtedy, w grudniu 1939 r., umiała

tylko podać swoje imię: „Joasia”. Nie szukała ich, zresztą nie chciała szukać.

Mgr inż. arch. Joanna Ż. wprost od matki pojechała do mieszkającej w Warszawie ciotki swego męża, siostry ojca Olgierda Ż. Uzyskała tu potwierdzenie swoich przypuszczeń. Ojciec jej obecnego męża, przedwojenny wicestarosta, uciekał we wrześniu 1939 roku z żoną i dwojgiem małych dzieci. Jechali samochodem. W jakiejś wsi pan Ż., który sam prowadził wóz, przystanął i poszedł nabrać wody do chłodnicy. Zabrał ze sobą córeczkę. Nadleciały niemieckie samoloty. Zginął od kul karabinu maszynowego. Pani Ż. nadaremnie szukała córki lub jej ciała.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, Joanna Ż. wprawdzie poszła do psychiatry po farmakologiczną podporę. Powiedziała lekarzowi, że już od kilku dni łamie się ze sobą, czy wrócić do męża, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, więcej niż prawdopodobieństwa, jest jej bratem. Żyje z tym człowiekiem już czternaście lat, mają dwoje dzieci. Praktycznie przełamane zostało tabu kazirodztwa. W sensie psychicznym nie może jednak przełamać tego tabu cywilizowanego świata. Czuje przed mężem lęk, czuje doń wstręt.

Joanna Ż. korespondencyjnie zawiadomiła męża o swoim odkryciu i swoim dramacie. Zapytała, czemu nigdy jej nie opowiedział o zaginionej siostrzyczce, czemu nie opowiedział tego, kiedy męczyła się w ich domu, który ewokował w niej niejasne, zamglone wspomnienia. Mąż odpisał: właśnie dlatego. Prawdopodobieństwo, że spotkali się i pokochali brat i siostra, jest jak jeden do wielu milionów, praktycznie żadne. Gdyby jej powiedział o siostrze - owo nieprawdopodobne uznałoby za pewne. A przecież nie ma tu żadnej pewności. Powinna po prostu przestać o tym myśleć.

Nie umiała przestać myśleć. Poszła do adwokata Andrzeja T. Chciała wystąpić o unieważnienie małżeństwa. Adwokat powiedział, że jest praktycznie niemożliwe udowodnienie przed sądem, iż jest siostrą swojego męża. Rzeczą prostszą będzie wnieść o zwykły rozwód. Olgierd Ż. nie wyraził zgody na rozwód. Sąd rozwiązał małżeństwo po wysłuchaniu psychiatry, który zalecał to usilnie.

Grzechy chodzą po ludziach [\[2\]](#)

Wstęp

Wszystkie te opowieści ocierają się o sąd. I tylko to je łączy ze sobą, gdyż traktują o bardzo rozmaitych zdarzeniach, sytuacjach, ludziach i sprawach. Kłamałbym, wmawiając komukolwiek, że je notowałem w tej intencji, aby stanowiły pretekst do odzwierciedlenia życia potocznego. Są to bowiem tylko okruchy życia. Połowałem na to co niezwykle, nie zaś zwyczajne. Z drugiej jednak strony nie było moim zamiarem opisywanie patologii życia wielkich i głośnych procesów.

Przekora jest tym, co mną przede wszystkim kierowało w doborze spraw godnych opowiedzenia i w sposobie patrzenia na nie. Umyślnie także staram się o sposób patrzenia i oceniania zdarzeń przekorny wobec schematycznego, dominującego widzenia i wartościowania. Skomplikować sposób myślenia, wytrącić grunt ocenom najprostszym, podrażnić Czytelnika, wzbudzić jego sprzeciw wobec autorskiej relacji - tak by wyglądały moje ambicje i założenia. Bo w moim przekonaniu myślenie zaczyna się wtedy, kiedy toczy się spór. Ale śpieszę zapewnić, że na następnych stronach nie znajduje się ani traktat społeczny, ani dzieło literackie, a tylko felietony czy reportaże - opowiadki z życia.

Podglądając to życie nie stawiam dziury, przez którą patrzę, do dyspozycji Czytelników, mówiąc „proszę, pogapcie się sami”. Sam opowiadam to, co dostrzegam, przekazując mój sposób widzenia, mój komentarz, osąd, mój wybór tego, co godne jest obejrzenia. Życie nie jest takie znowu barwne, żeby nie trzeba go było podkoloryzować. Co nie znaczy, żebym kłamał. Staram się patrzeć trochę inaczej i uwypuklić to, co mniej rzuca się w oczy, a warto, by rzucało się bardziej.

Autor

Wstyd

Z centrum Warszawy jechaliśmy autem na zachód. Miasto dwukrotnie kończy się i znowu zaczyna: już pole i na powrót osiedle wysokich, nowych domów, znowu pole i jeszcze raz aneks do metropolii. Potem, jakby za granicą urbanistycznych planów, dzielnica nowych domków, przeważnie „willi” - smutnych i pokracznych budowli z surowej cegły lub z pustaków. Ich architektem był pewnie jakiś majster budowlany, po fajerancie wyskakujący na lewiznę, koleś właściciela budował, a szwagier podtrzymywał ścianę. W tej okolicy domy stawiane są niechlujnie, ale z pretensjami: oto podmurówka betonowa wysadzana tłuczonym lustrem, parkan z metalowych prętów, którym zbrojarz nadał kształt słońc, szopa ze ścianą, na której artysta wymalował tęczę. Osiedle znaków tęsknoty do piękna i dostatku. Następnie mijają się jakieś nieużytki i znowu są domki - ale już inny świat. Zamiast ogródków - klepiska, tu stos żelastwa, ówdzie prawie nowe auto, a obok samotna świnia w chlewiku wielkości psiej budy, ogrodzenie byle jakie, żadnych ambicji, aby zadać szyku, brud, smród, ale nie ubóstwo. W tamtej kolonii zadbanych domków, gdzie myśli się o olśnieniu sąsiada czy przechodnia i obrębia się klombami cegłami, mieszkają emeryci, którzy po dwadzieścia lat oszczędzali, żeby się pobudować i uciec z miasta; robotnicy, którzy, zamiast czekać w mieszkaniowej kolejce parę lat, zarobek z godzin nadliczbowych poświęcili na budowanie czegoś swojego, kierowcy, tramwajarze. Pozdrowił nas zza płotu znajomy drukarz. W tym ostatnim, sięgającym administracyjnej granicy miasta osiedlu, mającym wystrój śmietnika, żyje tzw. element. Z czego żyje? Bóg i milicja raczą wiedzieć. Kanalizacji nie ma, ale w obejściu samochód.

Czterooosobowa rodzina sypiąca w jednym wyrze na pościeli koloru ziemi i obok kolorowy, enerdowski telewizor, za który trzeba było zapłacić 25 tysięcy, jeśli oczywiście nie kradziony. Intensywne współżycie tutejszej małej społeczności bez reszty wypełniają interesy: lewe i pół lewe. Jest to prawdziwa forteca interesów, bo nim milicyjny wóz dojedzie na miejsce, jego silnik przez kwadrans ostrzegawczo wyje na wertepach, tak że można zdążyć zamelinować to, co tu trafiło z obrabowanego minionej nocy sklepu, albo zwinąć na czas partię oka.

Tak i teraz, wóz, klucząc zygzakiem po gruntowej drodze, co chwila z trudem gramoli się z jakiegoś dołu. Jedziemy, bo obiecano nas zabrać, jeśli zdarzy się w okolicy jakiś ciekawy wypadek zabójstwa. A ciekawy jest ten, kiedy zrazu nie widać sprawcy.

Wbrew miejscowym zwyczajom „cynk” dała tutejsza ludność. Niejaki Jan P. w kącie swojego obejścia ma wymurowany loszek, do którego wejście jest zamaskowane. Przesłania je sterta zbutwiałych desek. Jan P., pracownik zakładu oczyszczania

miasta, odsiadywał kiedyś wyrok za rabunek. Z loszku dobywano wtedy dowody rzeczowe. Otóż ostatnio roznosił się z tego miejsca tak silny, okropny zapach, że sąsiedzi nie mogli wytrzymać, mimo że powonienie na pewno nie jest najbardziej rozwiniętym zmysłem tubylców. Jan P. nie chciał odwalić desek, bo kto mu za to zapłaci, ani sąsiadom nie pozwolił u siebie myszkować. Dlatego wezwali oni milicję.

Kiedy tam jechaliśmy, było parę dni po tym wszystkim, ale wówczas, gdy po raz pierwszy milicja tu zajrzała, makabra: w loszku znaleziono rozkładające się ciało kobiety ubranej tylko w przegniłą halkę. Zwłok nie można było zidentyfikować. Lekarze nie potrafili już określić przyczyny zgonu. Jan P. twierdził, że o niczym nie wie, a to ciało ktoś mu podrzucił. Gdyby, powiedzmy, on załatwił jakąś babkę, to przecież nie zostawiłby nie zakopanego nawet ciała w swoim obejściu. Toć to tak, jakby ktoś pukał do kryminału, prosząc o przygotowanie stryczka.

Eksperci ustalili, że zgon nastąpił kilka miesięcy wcześniej, więc śledztwo polegało przede wszystkim na szukaniu kobiety, która zniknęła w tym czasie bez śladu. Zdarzył się taki wypadek w dosyć bliskim sąsiedztwie Jana P. Zginęła bez wieści Elżbieta B., 40-letnia właścicielka kwaciarni, żona 43-letniego Stanisława B., szklarza, pracownika odpowiedniej spółdzielni, prywatnie wyspecjalizowanego w robieniu ogrodnikom szklarni i inspektów, karanego za robienie ich z kombinowanego na państwowej budowie szkła, ojca trojga dzieci.

Wdowiec posiada własny dom i w tym domu zastano już nową, młodą, niespełna dwudziestoletnią żonę, inna rzecz, że nieślubną. Był więc i ewentualny motyw zabójstwa, chociaż nie jedyny. Zmarła Elżbieta B. nie należała do żon wiernych i Stanisławowi B. to od czasu do czasu przeszkadzało. Jeśli zabił - radzono mu w czasie śledztwa - niech się przyzna. Ogólnie wiadomo, że bijał nieboszczkę z zazdrości, więc jeśli po prostu raz przedobrzył, sąd może okazać wyrozumienie dla zabójstwa na uczuciowym tle.

Stanisław B. mówił wszakże, że nie jest taki uczuciowy i byłby ostatnim idiotą, gdyby zabijał swoją Elę. Chociaż on, średnio biorąc, wyciąga jakieś dziesięć tysięcy miesięcznie, żona przynosiła trzy razy tyle, a dziewczyna, z którą mieszka, jeszcze złotówki nie zarobiła w życiu, choć wydała już niejedną. Bardzo szczerze boleje więc nad swoim wdowieństwem. Żona odeszła od niego i dzieci, a potem dopiero przestała żyć. Kto ją zabił? On nie wie, niech milicja szuka.

Elżbieta B., przez swój tubalny głos nazywana Ela Stereo, miała, o czym wspomnieliśmy, kwaciarnię. Była to budka z desek na przedmieściu. Zainteresowano się teraz tym przedsiębiorstwem i jego bywalcami. Ela Stereo spędzała w swoim interesie całe dni, często także noce. Handel kwiatami to rzecz dochodowa, poza tym w jej firmie swojacy mogli nabywać wódkę, a także

wieczorami popić i zabawić się na miejscu. Kwaciarnia była dla Elżbiety B. nawet nie drugim, ale pierwszym domem. Miała tu całe gospodarstwo, od maszynki elektrycznej i czajnika poczynając, na pryczy, gdzie lubiła nocować z takim lub innym narzeczonym, kończąc. Używała także tego apartamentu zaprzyjaźnionym albo płacącym parom. Mało w której na świecie kwaciarni tyle było życia.

Teraz zastano jej królestwo takim, jakie je zostawiła. Tylko podłoga była zerwana, a ziemia pod nią przekopana. Stanisław B. późno i niechętnie przyznał się, że po zniknięciu żony dopasował klucze, przekopał klepisko, bo żona nie wszystkie pieniądze przynosiła do domu i czuł, że gdzieś musi mieć tajoną przed mężem kryjówkę. Istotnie znalazł pod kwaciarnią pieniądze. Podał, że było tego 15 tysięcy złotych, ale przypuszczalnie kłamał, musiał znaleźć więcej. Był więc i trzeci, ewentualny motyw zabójstwa. Stanisław B. siedział, śledztwo się toczyło, w domu nowa, osamotniona teraz żona opiekowała się dwojgiem młodszych dzieci podejrzanego. Najstarsza córka zmarłej i Stanisława B. hulała gdzieś po świecie. Ojciec nie wiedział, gdzie jej szukać.

Śledztwo toczyło się. Przesłuchiwano ludzi, którzy w okresie poprzedzającym zniknięcie Eli Stereo popijali w jej kwaciarni, sypiali z właścicielką, ubijali z nią interes, czy z jakiegokolwiek innego powodu mogli rzucić światło na sprawę. Nie skarżyła się w owym poprzedzającym śmierć czasie na jakieś konflikty z mężem; czy to finansowe, czy uczuciowe. Tylko swojemu głównemu wrogowi - kobiecie stale w sezonie sprzedającej kwiaty na ulicy o jakieś 20 metrów od kwaciarni - będąc nietrzeźwą, wyniosła kiedyś setkę wódki i powiedziała, że nie ma jej już za złe tego handlu tuż pod drzwiami kwaciarni, mimo że klientami muszą się dzielić, a podatki płaci tylko ona. I tak co zarobi, to mąż traci na młodą dziewczynę, ale - zwierzała się - niech sobie ma, aby się jej, żony, nie czepiał.

Przy takich to przesłuchaniach mozoliła się milicja, kiedy przyszedł anonim nadany w urzędzie pocztowym najbliższym miejsca, gdzie mieszkał Stanisław B., póki go nie wsadzono. Nadawca pisał, że szklarz nie tylko zabił żonę, na krótko przed tym jego wówczas siedemnastoletnia córka Jola zrobiła Elę Stereo babcią. Potajemnie urodziła dziecko. Skrywała ciążę i poród, a następnie, korzystając z pomocy rodziny, zabiła niemowlę i odeszła z domu. Trzeba szukać tej dziewczyny i zwłok dziecka.

Jolanty B. i tak już szukano, jako cennego świadka w śledztwie związanym ze śmiercią jej matki. Upłynęło sporo czasu, nim ją znaleziono, gdyż pracowała gdzieś nad morzem, w prywatnej, otwieranej na sezon jadłodajni dla wczasowiczów. Podawała do stołu. Mieszkała zaś w wynajętej z koleżanką klitce w ogóle nie meldowanej. Jolanta B. zeznała, że nigdy nie była w ciąży i nie rodziła dziecka. Jest panienką, a ludzie ją spotwarzają. W chwili, kiedy matka umarła, mieszkała jeszcze w domu. Potem dopiero odeszła, bo nie mogła wytrzymać

z ojcem, rodzeństwem i macochą. Natomiast przy samej śmierci matki nie była. Akurat wtedy wyprawiła się ze swoją koleżanką, uczęszczającą do szkoły w Warszawie, do rodziców tej koleżanki w Radomiu. Siostra owej koleżanki wydawała się za męża, więc pojechała pomóc przy szykowaniu wesela i zabawić się na nim. Po powrocie ojciec powiedział jej, że matka w międzyczasie umarła i została pochowana. Kiedy Jolanta B. wyjeżdżała z domu, mamusia leżała chora. Co jej było, nie wie, bo lekarza nie wzywano.

Prokurator uznał, że to zeznanie jest wystarczające dla wszczęcia przeciwko Stanisławowi B. procesu poszlakowego o zabójstwo żony. Podejrzany utrzymywał, że sądził, iż go żona opuściła, a tu córka zeznaje, że jej powiedział, iż matka umarła. Po zamknięciu śledztwa i dostarczeniu Stanisławowi B. aktu oskarżenia, szklarz załamał się i powiedział, że chce wyznać całą prawdę.

Gdy to się działo, równoległe trwało dochodzenie w sprawie dziecka Jolanty B. Badanie lekarskie pozwoliło stwierdzić, że ona kłamie - rodziła niedawno. Ustalono, że poród odbył się w szpitalu. Stwierdzono wreszcie, że Jolanta B., kiedy była w ciąży, zwierzała się z tego najbliższym koleżankom, ale w ścisłej tajemnicy. Konspiracja ta może świadczyć, że już wtedy żywiła wobec swojego przyszłego dziecka złe zamiary. Jolanta B. zachowywała się w początkowej fazie śledztwa bez sensu. Wbrew oczywistym dowodom upierała się, że w ogóle nie rodziła.

Teraz kiedy Stanisław B. zdecydował się powiedzieć prawdę, interesujące było, czy ewentualna śmierć niemowlęcia ma jakiś związek ze zgonem jego babki. Okazało się, że nie. Stanisław B. zeznał, że córka wróciła do domu ze szpitala z nieślubnym synem, więc wygonił ją z domu. Zjawiła się po kilku dniach już bez dziecka. Nie pytał, co z nim zrobiła. Jego żona Elżbieta wówczas zachorowała. Myślał, że to jej samo przejdzie, tymczasem ona umarła. Tego dnia wyjeżdżał. Miał wielkie zamówienie u bogatego badylarza w powiecie grójeckim. Powiedział córce, czyli Jolancie B., żeby załatwiła formalności i pochowała matkę. Wyjechał. Wrócił po dziewięciu dniach. Joli ani śladu, młodszych dzieci także, zwłoki jego żony leżą na łóżku już w strasznym stanie. Co miał zrobić? Tam szklarnia niewykończona, gotówki ani ani, tu ciało żony, już chyba karę, myślał, trzeba by płacić za to, że nie pochowane. Zwłoki - kombinował - tak długo leżały, że wstyd urządzać pogrzeb, zresztą on nie wiedział, co w związku z tym trzeba robić i gdzie iść. Z tego frasunku poszedł do baru popić. Wrócił wieczorem, owinał żonę kocem i podrzucił sąsiadowi P. do loszku pod stertę drzewa. Ludziom mówił, że żona go opuściła, bo przecież nie mógł powiedzieć, iż umarła. „A gdzie - zapytaliby - pogrzeb?”

Gdy córka wróciła, obrugał ją i zbił za nieboszczkę i jej poniewierkę. Młodsze dzieci, okazało się, oddała na ten czas do ciotki, a sama nie wiedzieć, gdzie się łajdaczyła. Całej prawdy od razu nie powiedział, bo przysiągł sobie, że raczej już woli szubienicę albo więzienie do końca życia, niż przyznać się, jak postąpił ze

swoją od lat dwudziestu żoną. Szklarz podał nazwiska świadków, którzy widzieli jego żonę ciężko chorą. Jolanta B. potwierdziła zeznania ojca. Do procesu o zabójstwo nie doszło. Stanisław- B. wyszedł na wolność.

Jolanta B. wyjaśniła, że wstydziła się przyznać do tego, że nie pochowała mamusi, jak ojciec kazał. Pogrzebem nie zajęła się, gdyż nie wiedziała, co się załatwia, zresztą nie miała pieniędzy. Wzięła dzieci i ulotniła się z domu, myśląc: ojciec wróci, to sam będzie musiał to zrobić. Mamusię kochała, bo mama była dla niej dobra, a tatuś jest drań. Podobnie wstydziła się ludziom i potem milicji przyznać, że będąc panną urodziła dziecko. Ale ono żyje i jest zdrowe! Oddała je na wychowanie do pewnych staruszków na wieś. Matka, jak jeszcze żyła, dała jej na ten cel 20 tysięcy i obiecała potem także dawać pieniądze wedle potrzeb, aby tylko nikt się nie dowiedział, że ma nieślubnego wnuka i złajdaczoną córkę.

Z dwóch niemal pewnych zabójstw nie ostało się ani jedno. Na peryferiach stolicy nie natknęliśmy się na zbrodnię, tylko po prostu na nadzwyczajnie wstydliwą rodzinę.

„Palenie wzbronione”

Zdarzeń tajemniczych jest w naszym życiu niewiele, ale bywają. Kierownik kina „Muza” w powiatowym mieście Sz. zjawił się rano u wiceprzewodniczącego PPRN i powiedział, że całą noc nie spał, tak dziwnie się stało z ostatnim seansem poprzedniego wieczoru. Po seansie przedostatnim kazał wywietrzyć salę i wpuszczać publiczność. Drzwi otwarto, ale nikt do kina nie wchodził. Zaniepokojony kierownik pobiegł do kasy. Pani kasjerka powiedziała mu, że zaraz po otwarciu sprzedaży jedna panienka wykupiła komplet biletów na dwudziestą.

Kierownik domyślił się, że panienka pewnie reprezentowała zakład pracy, który zaraz przybędzie zbiorowo. Daremnie jednak wyczekiwał. Seans był wykupiony, a nikt się nie zjawił. Noc spędził kierownik na dociekaniu przyczyn, no i doszedł do pewnych wniosków. Domyśla się, że bilety kupiono za społeczne pieniądze, ale ktoś tam nie pofatygował się ich rozdzielić. Jest to skandaliczne marnowanie społecznej mamony - zauważył kierownik i oczekiwał od powiatowych władz wdrożenia śledztwa. Nie zawiódł się. Energicznie szukano, przeglądając nawet księgowość rad zakładowych i organizacji społecznych. Nie napotkano jednak śladu, aby jakakolwiek istniejąca w powiecie organizacja społeczna, albo zakład pracy nabył komplet biletów do „Muzy” na dwudziestą.

Kierownik kina sam rozwikłał tajemnicę. Bileterka zechciała mu bowiem donieść, że kinooperator Roman Z. zamknął swoją kabinę zaraz po drugim seansie i poszedł, jakby więc z góry wiedział, że pokaz się nie odbędzie.

Wezwano go przed oblicza kierowników referatu kultury i kina oraz przed trzecie oblicze, należące do czynnika społecznego, prosząc o wytłumaczenie się z takiego naruszenia dyscypliny pracy, lub też - jeśli wiedział, że seansu nie będzie - wyjaśnienie zagadkowego zdarzenia. Kinooperator odparł, że sam przez podstawioną osobę wykupił wszystkie bilety na seans, wydając na to trzy tysiące trzysta dwadzieścia cztery złote. „A bo to nie wolno?” - zapytał hardo. Posłyszał w odpowiedzi, że wolno, ale nie należy.

Przepisy, co prawda, nie zabraniają nikomu kupować, ile chce biletów, ani nie nakazują po kupieniu biletów przychodzić do kina, ale ze społecznego punktu widzenia jest to szkodnictwo na niwie kulturalnej. Kinooperator zagroził bowiem ludziom dostęp do dóbr wyższych. Roman Z. odparł na to, że obecni tu równie dobrze jak on sam wiedzą, że rozmowa ta jest zwykłym traceniem czasu, bo w mieście Sz. jest jeden tylko kinooperator i on nim jest właśnie. Wypada więc traktować go grzecznie, bo jeszcze się obrazi i sobie wyjedzie. Seans zakupił, bo umówił się na randkę z dziewczyną, która miała czas akurat o dwudziestej, skąd go stać było na kupienie sobie dwóch wolnych godzin za dwumiesięczną pensję - to już

naprawdę jego ściśle prywatna sprawa.

Oficjalnie kierownik kina, gdzie pracował Roman Z., nie wiedział skąd ma on pieniądze na opłacanie podobnych wybryków. Nieoficjalnie wszakże wiedział doskonale. Roman Z. nie zdziwił się wcale, a tylko oburzył, kiedy pod drzwiami znalazł anonim tej treści: „Proszę wpłacić 3324 złote na cel społeczny, a kwit wetknąć pod tabliczkę «Palenie wzbronione» w kinie «Muza» do czwartku, godzina piętnasta, inaczej właściwa osoba zainteresuje się Paris-Cotton”.

Napis „Paris-Cotton” maszynowo haftowała mamusia kinooperatora na jedwabnej taśmie, kroїła ją później na kawałki i przyszywała do sweterków, które robiły jej chałupniczki. Następnie woziła owe swetry do kilku miast w Polsce i sprzedawała pośredniczkom, które dostarczały ów towar na bazar. Sweterki sporządzane były we wsiach zasobnych w owce, z ręcznie przedzonej wełny, farbowane na jaskrawe kolory i robione na drutach z domieszką błyszczącej nitki. Podstawą interesu była ta nitka, „francuski” znak firmowy i ażurowość swetrów o wieczorowym przeznaczeniu. Sweterek taki zawierał jedną trzecią tego surowca, który pochłania regularny sweter. Organizatorem interesu był sam kinooperator.

Roman Z. ani myślał płacić coś na społeczne cele. Napisał kartkę o treści niepolitycznej: „Proszę mnie pocałować w d...” i zatknął ją za tabliczkę „Palenie wzbronione”, umieszczoną na ścianie widowni kina „Muza”. Kinooperator wiedział bowiem doskonale, że autorem anonimu był jego i kina „Muza” kierownik, który oto usiłował się na nim odegrać za psikus z seansem o dwudziestej. Miał zaś Roman Z. podstawy, żeby się kierownika nie bać.

Kartka - jak sprawdził kinooperator - tkwiła tam, gdzie ją wsadził przez trzy jeszcze dni, a potem znikła. W trakcie tych dni Roman Z., znalazłszy się z szefem w cztery oczy, uczynił przejrzystą aluzję do tego jak się woziło jego towar za słoń opłatą własnym motocyklem, to trzeba wiedzieć, że się beknie, jeśli włos z głowy spadnie Romanowi Z. Kierownik zbladł i nic nie odparł, a Roman Z. uznał sprawę za załatwioną. Srodze się tedy zdziwił, kiedy w jego domu zjawiła się milicja z nakazem rewizji i zabrała surowiec, taśmę z firmowym haftem i kilkanaście gotowych swetrów.

Już w trakcie pierwszego przesłuchania Roman Z. przyznał się do wszystkiego, podał adresy swoich chałupników i handlarek, którym dostarczał towar, najzwawiej jednak mówił o współdziałaniu kierownika kina „Muza” w jego konspiracyjnym przedsiębiorstwie. „Kierownik wyjaśniał Roman Z. - był moim współnikiem i zajmował się sprawami transportu”. Daremnie capnięty zaraz kierownik kina „Muza” wyjaśniał, że swetry woził zaledwie dwa razy, w ogóle nie wiedział o tym, że macza palce w ciemnych interesach, gdyż nie był w nie wtajemniczony. Ot, jako posiadacz motoru, robił przysługę koledze i otrzymał za to wyłącznie zwrot

kosztów podróży. Zeznania Romana Z. na tyle go pogrążyły, że zatrzymany został w areszcie tymczasowym. Roman Z. zeznał również, że kierownik go szantażował. Na dowód okazał milicji fatalny dlań anonim. Kierownik uparcie jednak przeczył, by wysyłał do kinooperatora jakikolwiek liścik i potem z za tabliczki „Palenie wzbronione” wyjmował odpowiedź.

Roman Z. dostał trzy i pół roku więzienia, kierownik kina osiem miesięcy. Siedział kinooperator święcie przekonany, że pokutuje z racji bezbrzeżnej głupoty byłego szefa, którego kompletnie zawiódł instynkt samozachowawczy.

Posiedziawszy Roman Z. wyszedł i objął na powrót rządy w swej kabinie. Z satysfakcją ujrzał byłego szefa na posadzce kierownika sklepiku, a już nie kina.

A kiedy się spotkali i były przełożony raz jeszcze powiedział, że nie jest przecie wariatem i nie on pisał anonim - Romanowi Z. dało to do myślenia. Teraz wreszcie uwierzył i pluł sobie w brodę, że postąpił jak głupiec, skąpiąc wypłaty na społeczne cele. Samej grzywny płacił bowiem dziesięć razy tyle, a trzeba tu liczyć odsiadkę i zmierzch kwitnącego interesu i więzienne przejścia szanownej mamusi. Postanowił wówczas za wszelką cenę wykryć rzeczywistego autora anonimu, a zarazem człowieka, który doniósł milicji o jego interesach. W miarę sił pragnął się bowiem odwdziaczyć sprawcy swoich nieszczęść. Zastosował chwyt oryginalny. Włożył skrawek papieru za tabliczkę „Palenie wzbronione” w nadziei, że ów ktoś będzie w kinie, że spojrzy na tabliczkę i powodowany ciekawością sięgnie po papier. Oczywiście może ją wyjąć pierwszy lepszy widz, ale jeśli to będzie ktoś znajomy...

Papier przez trzy tygodnie tkwił nie ruszany i przez trzy tygodnie Roman Z. przed i po każdym seansie obserwował przez wizjer w ścianie tę część sali. Aż pewnego razu zobaczył rękę sięgającą ku tabliczce zakazującej palenie i rozpoznał rękę tej właścicielki. Była to dziewczyna, z którą umówił się owego wieczoru, kiedy to wykupił cały seans, dziewczyna, której nie omieszkał się pochwalić jakim to pełnym fantazji, kosztownym sposobem zdobył czas, by się z nią spotkać. Dziewczyna, z którą mimo jej starań, więcej już po tym wieczorze nie chciał się umawiać i która tak bezlitośnie na nim się odegrała za urażoną damską ambicję.

Zbiegł z kabiny i dogonił ją na ulicy. „Wiem, że to ty doniosłaś” - powiedział i dał dziewczynie do wyboru: albo zaraz będzie ją bić, albo złoży w prokuraturze doniesienie, że go szantażowała. Dziewczyna wolała nie być bita. Romanowi Z. też bardziej dogadzała droga prawna, bo za bicie znowu mógłby pójść siedzieć. Nazajutrz zjawił się więc w prokuraturze.

O historii tej dowiedziałem się w Prokuraturze Powiatowej w Sz., kiedy wyraziłem ochotę przejrzenia akt spraw umorzonych z racji „nikłej szkodliwości społecznej czynów”. Byłem ciekawy, jakie to bywają owe czyny mało szkodliwe, acz z istoty

swej karalne.

Zaświadczenie

To nie jest przyjemne miejsce. Długi, murowany barak z surowej cegły z maleńkimi, okratowanymi okienkami pod sufitem. Wokół podwórze okolone wysoką palisadą z masywnych, szerniałych od starości desek. Ziemia na podwórzu zorana, pokierszowana, bez źdźbła zieleni. Wszystko tu jest tłamszone, nim wyrośnie, a gdyby jakakolwiek łodyżka wychynęła z ziemi, byłaby zaraz zjedzona. Na podwórzu długie bariery z drągów. W niektóre dni pełno tu krów i świń wydających właściwe dla swego gatunku, chóralne, niosące się daleko po okolicy dźwięki. Dla nich to miejsce stanowi ostatni etap.

Przetwarzanie zwierząt w mięso odbywa się wewnątrz baraku. To także nie jest przyjemne miejsce ani dla świń, ani dla krów, ani dla ludzi. Nie nosi ono nazwy „rzeźnia” zarezerwowanej dla zakładów bardziej luksusowych. Szydł na baraku głosi: Ubojownia Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w O. Nie wiadomo dla kogo umieszczono ten napis. Chłopi - dostawcy żywca nie mają wstępu poza palisadę, pracownicy ubojowni wiedzą, gdzie pracują, a zwierzęta nie umieją czytać.

W środku zwierzęta zabija się i ćwiartuje oraz przygotowuje połcie do ekspedycji. Odmalowanie techniki zamieniania zwierząt w mięso niejednego uczyniłoby jaroszem, więc będzie zaniechane. Ludzie pracują tu w zaduchu, powstałym ze słodkawej woni krwi. Panuje półmrok. Barak o betonowej posadzce oświetlają nieliczne żarówki rozmieszczone pod sufitem. Technologia przewiduje oblewanie mięsa wrzątkiem. Wtedy smród wzmagą się i w gęstwinach pary nie widać w ogóle już niczego, nawet w zasięgu ręki. Tak wyglądałoby mniej więcej sceneria dramatu.

W baraku pracuje kilku mężczyzn. Jak na niewykwalifikowanych zarobki mają dobre, do warunków pracy, mówią, przywykli. Jest tu w zwyczaju u zarania dniówki składać się na pół litra. Piją pod palec, wprost z butelki. W dni, kiedy jest duży spęd żywca, albo krótko po wypłacie, nie kończy się na jednej flaszcze. Picie alkoholu w czasie pracy ganione jest surowo zawsze i wszędzie. Nim ktoś jednak poczuje w sobie Katona niechaj, jak ja, wejdzie na chwilę do tej ubojowni.

Pewnego dnia, kiedy para opadła i ustał kwik ostatniej szlachtowanej sztuki - na betonie ujrano zwłoki Sebastiana N. Leżał do połowy nagi, przebity wielkim nożem. Od ciosu zmarł zaraz. Lekarz pogotowia stwierdził zgon i nie miał nic więcej do roboty. Pracownicy ubojowni znajdują się na anatomii, a nikt z zewnątrz tam wtedy nie wchodził.

Sceneria jak z filmu, którego reżyser lubi epatować, sytuacja też jak z filmu albo kryminału do czytania, bo zważmy: barak zamknięty od wewnątrz. W środku siedmiu mężczyzn. Każdy ma nóż w zasięgu ręki i umie nim uderzyć. Kiedy

z gumowego węża leci wrzątek, wtedy przez całe minuty nic nie widać, a zwierzęta tak hałasują, że także nic nie słychać. Każdy z pracujących tu mężczyzn potrafi w tej ciemności poruszać się po omacku i każdy z nich, gdy para opadła, nie stał już w tym miejscu, co wówczas, kiedy zaczęła się unosić. Wszyscy byli w ruchu. Poza podejrzeniem o zabójstwo jest więc tylko ten, który nie żyje. Zabić mógł każdy z sześciu pozostałych.

W baraku nie było nic widać przez czas, który wszyscy rzeźnicy oceniają inaczej: cztery do dwunastu minut. Jest ważne, co który z nich w tym czasie robił. Każdy z rzeźników w pojedynkę usiłuje to pokazać ekipie śledczej i opowiedzieć, którego z kolegów w jakim miejscu baraku i w jakiej chwili widział, słyszał lub wyczuwał. Chodzi o ustalenie, kto z nich zbliżał się do Sebastiana N., jakie są rozbieżności w zeznaniach, czy nie uda się któregoś przyłapać na łgarstwie. Zostaje zrobiony plan baraku. Droga, którą przez te minuty przebył każdy z rzeźników, oznaczona jest innym kolorem. Kółka określają miejsca, gdzie stali w chwili puszczenia wrzątku. Numerki oznaczają kolejność zajmowania pozycji w różnych miejscach baraku. Punkty te połączone są liniami. Potem inni mówią o ruchach kolegów, które zaobserwowali. Powstaje gęsta płatanina kresek i nic już z niej nie wynika. Owa ubojownia, to jest miejsce na zbrodnię doskonałą.

Nóż, którym dokonano zbrodni, zwykle leży na półce pod ścianą, wśród wielu innych noży i narzędzi. Właściwie nie jest to półka, tylko wąski stół, bo ma nogi. Pracownicy biura biorą stamtąd noże i inne przyrządy wedle potrzeb, odkładają je w to samo lub inne miejsce. Identycznych noży jest kilka. Nikt nie wie, który nóż kto i kiedy wziął, i gdzie położył. Tą drogą także nie sposób cokolwiek ustalić. Zostaje badanie rękojeści.

Pracownicy ubojowni obowiązani są pracować w gumowych rękawiczkach i noszą je rzeczywiście. Zdejmują je czasem, niektórzy często. Na zabrudzonej krwi rękojeści noża są różne ślady linii papilarnych; starsze i świeższe, nakładające się na siebie. Dla badaczy niewyraźne skutkiem nadmiaru. Jeśli zabójca dokonał owej zbrodni w tak sposobnej po temu chwili, to znaczy, że działał z pomyślunkiem. Najpewniej nosił w tym momencie rękawice. Rękawice także zostawiają ślad i na nożu są ślady rękawic. Także nazbyt liczne. Co jednak ważniejsze, kiedy koledzy zobaczyli na ziemi ciało kolegi prawie od razu lub po chwili zdjęli rękawice, więc nie można było dociec, który które nosił. Pod tym względem również istniały tu warunki do dokonania zbrodni doskonałej. Niełatwo wyobrazić sobie, znaleźć lub wymyślić lepsze.

W dniu, kiedy zdarzyło się zabójstwo, siedmiu pracowników ubojowni wypilo dwie butelki czystej wódki. Jedną z samego rana, zaraz po otwarciu sklepu, o jakiejś siódmej piętnaście. Drugą mniej więcej po godzinie. Jeden mógł łyknąć z flaszki więcej, drugi mniej - ale wszyscy plus minus w równym stopniu byli pod wpływem

alkoholu. Jeden tylko mógł być mocniej pijany, bo pił poprzedniego wieczoru i potem znowu do śniadania. Czyż jednak bardziej pijany ma być silniej podejrzany o zabójstwo?

Byłoby w ogóle nie do wykrycia, który z sześciu mężczyzn zadzgał kolegę, mimo że uczynił to w obecności pięciu innych ludzi, zamknięty z nimi we wspólnym pomieszczeniu, gdyby śledztwo ograniczyło się do ustalania technicznych okoliczności zdarzenia. Teraz jednak największej wagi nabierało znalezienie motywu zbrodni na Sebastianie N. Jaki motyw mógł wchodzić w grę?

W przemyśle mięsnym dosyć często zdarzają się nadużycia. Dokonywane są zawsze zespołowo. Na tym tle mogło dojść do konfliktów i do zbrodni z zemsty, strachu lub chęci zysku. Ale żeby taką nić uchwycić, trzeba wpierw wykryć same nadużycia. Żaden z sześciu świadków nie zacznie sam z siebie mówić o podobnych sprawach, bo ma interes w tym, żeby milczeć. W ubojowni nie udało się zaś wykryć żadnych nadużyć i rzeźnicy, wszyscy sześciu twierdzili oczywiście, że żadnych kantów u nich nie było, żyli zaś między sobą zgodnie. Bardziej lub mniej się jeden z drugim lubił, kłócił, bywało że i pobił w nerwach, czy po wódce, ale nie było tu niczego takiego, co mogłoby prowadzić do zbrodni na zimno.

Ani jeden z sześciu podejrzanych nie był aresztowany, gdyż przeciwko żadnemu milicja nie miała wystarczających dowodów czy poszlak. Ale jeden z nich sam prosił, żeby go zamknąć. „Jestem niewinny, ale nie mam siły żyć teraz wśród ludzi”. Funkcjonariusze uboju bywają skądinąd nie mniej wrażliwi, niż panienki mdlejące na widok rozgniecionej muchy. Zbrodnia wstrząsnęła całą okolicą, zaś podniecenie wzmagająca niezwykła sceneria morderstwa. Ludzie dyskutowali na temat kto zabił i dlaczego. Różnie typowano zabójcę i o rozmaitych opowiadano motywach. Rzeźnicy, wszyscy sześciu, czuli się jak zadżumieni, bo na każdego patrzono, jakby on właśnie miał krew na rękach. Zaś milicja wysłuchiwała lokalnych mędrków, którzy dowodzili, że Sebastiana N. musiał załatwić C., bo jego ojciec przed wojną miał sprawę o pobicie z wujem zamordowanego, albo że zabił Y., bo jeszcze jako chłopiec chodził z nieboszczykiem kraść cement z budowy rozszarni i mógł się bać, że go wsypie współlnik tamtych zdarzeń.

Zabójcą okazał się 22-letni Paweł W., który przyznał się do winy. Otóż Paweł W. miał dziewczynę Anielę L., także pracującą w GS, w przetwórni owoców. Dziewczyna ta objęta była zainteresowaniem ekipy śledczej, gdyż damska historia równie dobrze mogła być motywem zbrodni, jak cokolwiek innego. O romansie Pawła W. i Anieli L. dowiedziano się sporo. W. nie miał mianowicie wzięcia u dziewczyn i Aniela L. była jego pierwszym, świeżym zresztą romanssem, o którym wiele rozmawiał z kolegami. Główny problem młodego rzeźnika polegał na tym, że dziewczyna, mimo wielomiesięcznego romansowania, wbrew panującym zwyczajom nie chciała się z nim przespać. Paweł W. radził się kogo popadnie co

zrobić, żeby zmieniła decyzję i odwoływał się w tej sprawie do swoich kolegów, a także do koleżanek i krewnych dziewczyny. Sprawa miała tedy charakter publiczny. W zeznaniach aż trzech spośród sześciu pracowników ubojowni znalazły się opowieści o tym, że Sebastian N. drażnił Pawła W., mówiąc mu, że ta jego dziewczyna wcale nie jest taka cnotliwa. Dawał do zrozumienia, że on, na przykład, dopiął kiedyś swego z łatwością i może to w każdej chwili powtórzyć. Paweł W. wpadał wtedy w pasję, a potem, kiedy pasja mu mijała, stawał się melancholijny. Sceny takie powtarzały się kilka razy.

Ponieważ zazdrość o Anielę L. mogła być motywem zabójstwa, usiłowano w trakcie śledztwa dojść, czy i co łączyło zabitego z tą dziewczyną. Ona twierdziła, że nic. Ledwie go znała. Także rozmowy z innymi ludźmi nie potwierdzały, aby istniała jakakolwiek zażyłość między zamordowanym a Anielą L., a w tak małej miejscowości jak O., środowisko młodzieży wie na ogół kto, z kim, czy i kiedy. Paweł W. przyznawał, że Sebastian N. przekomarzał się z nim parę razy. Może go to i irytowało - twierdził - ale nie brał sobie tego do serca. Jego koledzy wszyscy i ciągle paplali o swoich, zwykle wyimaginowanych podbojach. To było takie sobie gadanie. Gdyby była w tym prawda, to przecież Sebastian N. właśnie nic by mu nie mówił o tym, że spał z Anielą. Tak Paweł W. zeznawał milicji, ale w miarę upływu czasu od dnia mordu - zaczął się zachowywać w sposób zadający kłam swym zeznaniom. Do prowadzących śledztwo doszło, że zamęcza on teraz swoją dziewczynę pytaniami o to, czy spała z Sebastianem N. Fakt, że milicja rozpytywała o tę rzecz różnych ludzi, mogła jednak właśnie teraz podniecić jego zazdrość. Milicja nie przykładła więc da tych plotek żadnej nadzwyczajnej wagi. Inaczej Aniela L. Po kilku nieprzyjemnych rozmowach z narzeczonym, kiedy nie skutkowały jej przysięgi, zdobyła się na gest niecodzienny. Pojechała do lekarza i wróciła z zaświadczeniem stwierdzającym pod pieczęcią, że z biologicznego punktu widzenia jej wierność dla narzeczonego nie ulega wątpliwości. Nikt nie przewidział skutku, jaki odniesie pokazanie Pawłowi W. tego dokumentu. Zjawił się w komendzie milicji. „Zabiłem niewinnego, to muszę odpokutować” - rzekł ze spokojem i prostotą.

Sielska miłość

Gromada R. zafundowała sobie sekretarza rady z maturą i po kursach. Przyjechał z miasta. Miał 22 lata, parasol, długie włosy, adapter, książki, odświętny garnitur na co dzień i stan cywilny wolny.

Miał też dużo czasu, jak to urzędnik bez gospodarstwa. Po godzinach urzędowania, chociaż mieszkał na wsi, wsiadał, nie na motocykl, ale na skuter i jechał do miasta. Co tam robił - różnie o tym mówiono. Prawdopodobnie demoralizował dziewczyny i siedział w kawiarni. Sekretarz tym jeszcze był dziwniejszy, że nie pił wódki, czyli pozostawał nieprzystępny. Pewno umyślnie powiat, w złośliwości swej nieprzebranej, nasłał takiego dziwaka. Jego poprzednik wyleciał za łapówki.

W sekretarzu Stanisławie S. zakochała się Maria P. Takiej miłości wieść jeszcze nie widziała. Dziewczyny, bywało, topiły się i truły, ale zawsze robiły to po doznaniu zawodu. Maria P. i topiła się, i truła zanim do tego doszło. Żeby zwrócić na siebie uwagę. Oczywiście topiła się i truła nie do końca. Po topieniu się Stanisław S. nie zareagował. Po otruciu zmiękł.

Podobno dziewczyny, szczególnie 19-letnie, robią różne rzeczy z miłości; Maria P. czyniła więcej niż wszystkie dziewczyny w okolicy i niż wszystkie z kart książek biblioteki gromadzkiej, a może nawet powiatowej. Narażała się mianowicie ostentacyjnie na śmieszność. Wkrótce zastąpiła wsi kino, teatr, telewizję - takie dawała sobą przedstawienia. Potrafiła przychodzić do rady, siadać i gapić się na sekretarza po kilka godzin z rzędu. Kiedy ją Stanisław S. wyrzucał, bo i na niego przechodziła śmieszność, siadała na ulicy na wprost jego okna. Dzieci się z niej śmiały, dorośli z niej kpili, nic jej to nie przeszkadzało. Maria P. z miłości pracowała za darmo w biurze Rady. Sprzątała, prała i obszywała Stanisława S. Nosiła mu jedzenie. Kupowała prezenty. Kiedy bez niej wyjeżdżał do miasta od razu wsiadała do idącego tam autobusu. Nie miała honoru.

Niektórzy mówili, że Maria P. zwariowała, inni, że nie, a że wszystko bierze się stąd, iż zrobiła maturę.

Nie ma nic bardziej podejrzanego niż miłość. Z nastaniem lata zaczęto we wsi i okolicy mówić o tym, że Maria P. kocha Stanisława S. bardziej niż skarb państwa. Wynikło to stąd, że w gromadzie rozpoczęły się wielkie roboty melioracyjne i Maria P. uzyskała przy nich pracę kasjerki.

Romans Marii P. sam przez się bił w oczy, ale teraz zaczęło wprost walić w oczy, że sekretarz zasypywany jest forszą. Maria P. kupowała mu garnitury i koszule, płaszcze i buty, kupiła meble i dywan, magnetofon i wiele innych, jeszcze mniej potrzebnych elektrycznych maszyn. Bez żenady przysłała raz na pocztę i założyła

dlań i na jego imię dwie książeczki samochodowe. Jeśli czegoś Stanisławowi S. brakowało, to tylko pomysłu czego jeszcze mógłby zachcieć.

Cała wieś mówiła, że Maria P. skończy w kryminale i ciekawie czekała, kiedy to się stanie. Wydarzyło się jednak co innego. Sekretarz Stanisław S., nadziany teraz wszelkim dobrem, zaręczył się z urzędniczką powiatowej rady i oficjalnie dał na zapowiedzi.

Zgodnie z powszechnym oczekiwaniem Maria P. natychmiast otruła się proszkami przeciw bólowi głowy i zgodnie z oczekiwaniem, niemniej powszechnym, po płukaniu żołądka szybko przyszła do siebie. Spodziewano się teraz rzeczy strasznych. I zdarzyła się rzecz okropna, bo nieprzystojna. Gdyby Maria P. załukła kochankę, albo rywalkę, gdyby zabiła się, podpaliła powiatową radę, dostała pomieszczenia zmysłów, obwieściła, że dziecko w drodze, postawiła na nogi rodzinę dla wygryzienia ze wsi sekretarza, czy słała nań donosy - wszystko byłoby jeszcze w normie. Ale Maria P. dalej przychodziła do amanta. Prała, prasowała, zносиła prezenty. Rzecz bardziej nieobyczajna nie zdarzyła się tu jeszcze nigdy. Od dziewczyn wymagało się tu kiedyś honoru i cnoty. Teraz wymaga się przynajmniej honoru, wymaga się tym bardziej.

Na kilka tygodni przed ślubem narzeczona sekretarza została służbowo zdeglomerowana do R., natychmiast dowiedziała się o Marii P. i natychmiast zrobiła z tym porządek. Stanisławowi S. zabroniła nawet brać prezenty od kochanki, a co dopiero spotykać się.

Zdawało się, że Maria P. dopiero teraz odczuła cios, przynajmniej tak się zachowywała. Urządziła lament publiczny przed Gromadzką Radą Narodową i krzyczała najgorsze słowa. Zbiegło się zaraz pół wsi i pół wsi usłyszało między innymi zdaniami i takie:

- Ja dla niego kradłam!

Publiczna spowiedź wymagała już od milicji podjęcia urzędowych kroków. Zaczęto sprawdzać dokumenty kasowe melioracji. Wszystko było w należyтым porządku. Wobec tego przyjechali rewidenci z powiatu, a potem z województwa. Ustalili oni, że Maria P. sama nie mogła popełnić nadużyć. Otóż wypłacała ona należność sezonowym pracownikom akordowym w liczbie około dwustu. Do jej obowiązków należało sporządzanie listy płac wedle wykazów dostarczanych przez kierowników odcinków robót i przeliczanych na pieniężne kwoty przez rachubę. Obniżanie wypłaty albo wpisywanie martwych dusz, czy inne machlojki wymagały współdziałania tamtych komórek. Tymczasem martwych dusz nie było i wszystko zgadzało się jak w zegarku.

Maria P. nie przyznawała się do winy. Twierdziła, że mówiąc „kradłam” miała na

myśli okradanie rodziny i to w sensie moralnym a nie faktycznym. Powiadała, że oświadczyła ojcu, dość zamożnemu gospodarzowi, iż Stanisław S. za nią wyjdzie, a że była to partia dobra, więc papa nadweręzał swoje długoletnie oszczędności przeznaczone na kupno ziemi, żeby dogodzić przyszłemu zięciowi. Stary P. potwierdził te zeznania. Oświadczył, że dał córce nie mniej niż 20 tysięcy, które miał schowane u siebie w domu w banknotach.

W czasie dochodzenia Stanisław S. przyznał, iż Maria P. obsypywała go prezentami, dawała też pieniądze na bieżące potrzeby oraz założyła mu książeczki samochodowe PKO. Podliczono, co wymienił. Wyszło około 40 tys. złotych.

Po zamknięciu dochodzenia odbył się ślub sekretarza gromadzkiej rady ze zdeglomerowaną urzędniczką z powiatu. Przed uroczystością Maria P. pojechała na rozmowę do swojego adwokata. Ludzie mówili, że Maria P. coś przecie niewiernemu zrobi. I zrobiła. Poszła do milicji i przyznała się do winy.

Milicja dużo już widziała, ale przyznanie się do winy podejrzanej, wobec której dochodzenie tylko co zostało umorzono, nie trafia się tu często. Maria P. nie kryła swoich intencji: adwokat jej powiedział, że jeśli narzeczony wiedział o tym, skąd pochodzą pieniądze, które w bezpośredniej lub przetworzonej postaci od niej brał - wówczas będzie również siedział. I nie minęło wiele godzin, jak poszedł siedzieć.

Przestępstwo Marii P. było przemyślne. W sposób udany mogła go dokonać tylko dlatego, że miała talent. A talent - było to jedno, o co jej kontrolerzy z powiatu i z województwa nie posądzali.

Wraz z urzędniczką rachuby Maria P. sporządzała listę wypłat. Lista ta była w idealnym porządku. Następnie na takim samym blankiecie Maria P. sporządzała drugą listę wypłat, na której wszystkie kwoty były obniżone. Niewiele. O kilka, kilkanaście, przy największych wypłatach góra kilkadziesiąt złotych. Były to uszczerbki niezauważalne dla pobierających pensje. Ich prywatne przeliczenia musiały się mniej więcej zgadzać z wypłatą. Robotnicy podpisywali się na „lipnej” liście. Wszyscy czynili to długopisem w tym celu wyłożonym. Nie były to zbyt wymyślne podpisy, a Maria P. miała talent. Potem sama podpisywała ich wszystkich wedle zostawionych przez robotników na lipnej liście wzorów podpisu - już na liście prawdziwej. Czyli, co tydzień podrabiała około 200 podpisów.

Wypłaty były tygodniowe. Z jednej inkasowała średnio 2 tysiące. W ciągu sezonu ukradła 43 tysiące 856 zł 64 gr. Wyliczono to co do grosza, bo Maria P. nie zniszczyła lipnych list. Schowała je sobie. Zapewne na pamiątkę. Bez tego zresztą nigdy nikt by nie doszedł, ile ukradła.

W czasie dochodzenia interesowało ją tylko jedno: żeby Stanisław S. jak najdłużej siedział. Na procesie mówiła: namawiał mnie, żądał pieniędzy, groził, że jak mu

nie dam rzuci mnie, skompromituje, ośmieszy, zniszczy...

- Nieprawda! - bronił się Stanisław S.

Nie żądał pieniędzy, ani prezentów. Nie chciał ich nawet. Wmuszała weń. Potem przyzwyczyił się brać. Ludzka rzecz. Szczególnie, że ona rozpaczała, kiedy nie chciał, kiedy się wzbraniał. Wciskała mu forszę nawet wtedy, kiedy już było po zapowiedziach.

- Ona specjalnie tak robiła, żeby mnie mieć w ręku, żeby mnie zmusić, żebym się z nią ożenił.

Stanisław S. twierdził, że nie miał pojęcia, skąd są te pieniądze. Sądził, że to stary P. je daje. Tak mu mówiła Maria P. Przecież by nie brał kradzionego od takiej wariatki. Wiadomo, czym to pachnie. A gdyby brał - nie żeniłby się z inną, bo miałby ten rozum, że to pachnie kryminałem.

Sprawa winy Stanisława S. była jedynym ciekawym wątkiem procesu, gdyż w tym punkcie miał on charakter poszlakowy. Sąd przyjął, że nawet jeśli, co prawdopodobne, Maria P. nie mówiła kochankowi skąd bierze dlań pieniądze - mógł się on tego domyślić. Po pierwsze: nim podjęła pracę dawała mu bardzo skromne upominki. Fakt, że stały się one kosztowne, kiedy zaczęła mieć w ręku państwową kasę, powinien rozgarniętemu człowiekowi dawać co nieco do myślenia. Po wtóre sekretarz gromadzkiej rady na tyle zna wiejskie stosunki, by nie wierzyć w cuda, tj. w to, że teść, gospodarz, przeznaczą na fatałaszkę i magnetofony dla przyszłego, mocno niepewnego zięcia forszę, ściubioną na dokupienie ziemi i inwestycje gospodarskie. Natomiast sąd nie znalazł w materiale sprawy dowodów na to, że Stanisław S. był inspiratorem przestępstwa.

Maria P. skazana została na cztery, a Stanisław S. na dwa i pół roku więzienia plus stosowne grzywny.

W gromadzie R. nieprędko znowu zakwitnie taka wielka miłość.

Dzieje pary spodni

Miejszem wydarzeń był pociąg pospieszny z Zielonej Góry do Warszawy. W przedziale II klasy pan Stanisław B. wdał się w rozmowę o życiu i temu podobnych z panią w średnim wieku. Stanisław B. jechał do Warszawy służbowo. Jego towarzyszka podróży w odwiedziny do mieszkającej w stolicy córki. Pasażer był odziany w nowy jasny, letni garnitur i miał teczkę pełną akt. Pani wiozła dużo różnych toreb, w tym jedną napełnioną jabłkiem i wypitkiem. Było gorąco. Pani w średnim wieku, w nagrodę za to, że Stanisław B. wysłuchał całej opowieści o pożyciu jej córki z jej zięciem, poczęstowała go kanapką. Następnie zaś zaproponowała, żeby się napił i wręczyła mu butelkę wody z sokiem. Z kolei wyjęła kubek, odebrała mu butelkę i zaczęła nalewać. Pociąg zatrząsł na jakiejś zwrotnicy i wagon zachybotał. Pół kubka malinowej mazi chlusnęło na spodnie Stanisława B. - jasne, nowe spodnie urzędnika na delegacji.

Stanisława B. ogarnęła rozpacz. Nie jest przyjemne stawać przed władzami przełożonymi z wielką czerwoną plamą od soku malinowego na portkach. Rada w radę Stanisław B. zdjął marynarkę, przykrył nią sobie kolana, a pod marynarką ściągnął spodnie, pani w średnim wieku wzięła je i poszła do toalety, aby zmyć sok malinowy. Po przepierce pani wywiesiła spodnie za okno, żeby szybko wyschły. Akurat z przeciwnej strony przejeżdżał drugim torem pociąg. Zanim pani w średnim wieku zdążyła wciągnąć spodnie do środka toalety, pęd powietrza wyszarpnął jej spodnie z ręki.

Wróciła do przedziału bardzo się sumitując. W stolicy Stanisław B., odziany jak Szkot w spódniczkę zaimprovizowaną z jakiejś części garderoby współpasażerki, przemknął się do budynku stacyjnego i stąd zatelefonował do władzy przełożonej, że jest, ale bez spodni. Prosi więc o wypożyczenie mu jakiejś pary. Któryś ze stołecznych urzędników pojechał z biura do domu po zapasowe spodnie i odebrał nieszczęśnika z dworca.

Ludzką miał Stanisław B. władzę przełożoną.

*

Spodnie, w tak dramatycznych okolicznościach oderwane od właściciela, zaczęły żyć swoim własnym życiem.

Władysław K. jechał na rowerze ścieżką biegnącą wzdłuż torów. Nagle zobaczył jakąś szmatę leżącą na nasypie. Przy bliższych oględzinach okazało się, że są to poszarpane spodnie. W tylnej kieszeni znalazła wyczuł charakterystyczny podłużny kształt. Radość jego nie miała granic: w portfelu było około 1300 zł. W domu Władysław L. przejrzał portfel i obejrzał sobie dowód osobisty, legitymację

służbową, różne kwity, zdjęcia i dokumenty. Potem schował znalezisko do szuflady i na jakiś czas o nim zapomniał.

Trudno powiedzieć czym z zawodu jest Władysław K. Ma on kawał ziemi - więc można określić, że jest rolnikiem. Ma też posesję w pionie transportowym jednego z przedsiębiorstw - od biedy można go więc nazwać, powiedzmy, transportowcem. Istotną jednak - jak się wydaje - treścią jego życia są kontakty handlowe prowincja-stolica. Ich charakter nie wyszedł na jaw nawet na procesie, na którym potem przyszło świadczyć Władysławowi K. Lakonicznie informował on sąd, że „trochę handluje”. Ten to człowiek interesu zetknął się w stolicy z innym człowiekiem interesu nazwiskiem Stefan B. Znajomość była przelotna i dotyczyła aktów kupna-sprzedaży skóry i mięsa.

W jakiś czas po znalezieniu portfela Władysław K. spotkał swojego kontrahenta. Popili oni razem w pewnej knajpie na Pradze i w tej sytuacji, sprzyjającej powstawaniu sentymentów człowieka do człowieka, Władysław K. zapytał Stefana B., czy nie ma on czasem w Zielonej Górze jakiegoś krewnego.

Stefan B. ani potwierdził, ani zaprzeczył, tylko zapytał: „A bo co?”

- A bo to - odparł Władysław K. - że zna on faceta, który znalazł portfel z dokumentami opiewającymi na to samo nazwisko, które nosi Stefan B.

Stefan B. starał się nie okazać nadmiernego zainteresowania. Wypytał o personalia i miejsce pracy tego B., który zgubił portfel, jakby się upewniał, że to chodzi o jego krewniaka. A potem oświadczył, że dokumenty stanowią własność jego kuzyna.

Władysław K. obiecał, „że zabierze do siebie ten portfel”. Starał się bowiem sugerować, że przeszedł on już przez wiele rąk, przezornie zabezpieczając się przed pretensjami do gotówki, jaka była w portfelu. Stało na tym, że Stefan B. przyjedzie do niego odebrać „własność kuzyna” i że wywdzięczy się postawieniem litra i namotaniem Władysławowi K. korzystnej transakcji.

Mijały tygodnie, a Stefan B. nie zjawiał się u Władysława K. Wreszcie przyjechał. Spieszył się bardzo. „Litra” nie przywiózł. Wyjaśnił, że wywdzięczy się w przyszłości. Teraz jest bez grosza. Porwał spieszenie portfel i wrócił do Warszawy.

*

Stefan B. był człowiekiem około trzydziestki. Zazwyczaj nigdzie nie pracował. Parał się handlem. Poza tym siadywał w więzieniu za paserstwo i oszustwa. Co nakrywano jakąś sprawę związaną ze sprzedawaniem kradzionych materiałów budowlanych, garbunkiem skór albo lewą wymianą wieś-miasto, to Stefan B. występował w niej jako pośrednik, albo doradca, albo właściciel mieszkania,

w którym dobijano targów.

Dodać tu wypada, że bardzo rzadko przekraczał on granicę Wisły i odwiedzał Warszawę lewobrzeżną. Nie więcej, niż dwa, trzy razy w miesiącu. Traktował te wyprawy, jak wyjazd z rodzinnego miasta. W ostatnich czasach najważniejszą jego znajomością była panna Józia, pomoc domowa.

Poznali się na bazarze, gdzie Stefan B. tkwił w interesach, a dziewczyna robiła sprawunki. Potem spotykali się kilkakrotnie i panna Józia uważała go za narzeczonego. „W zasadzie narzeczonego” - jak to później określiła w sądzie. Gdy Stefan B. odwiedzał centralną część Warszawy wydzwaniał dziewczynę z domu i szli do jej koleżanki, gdzie można było na godzinę znaleźć się sam na sam. I otóż pewnego dnia, kiedy jak zwykle „narzeczonego” zadzwonił - panna pomoc domowa oświadczyła, że może on przyjść do niej do domu. Jej „państwo” wyjechali bowiem na urlop i jest sama.

Stefan B. przybiegł”, w te pędy i z zainteresowaniem obejrzał mieszkanie. Chwalił meble i dywany, telewizor i obrazy. Że zaś był człowiekiem rzutkim, od razu umyślił sobie pewien plan. Panna Józia miała również jechać na urlop do rodziny na wieś. Odwiódł ją szybko od tego zamiaru. Powiedział, że pragnie z nią spędzić ten czas. Oraz że mieszkanie mu się przyda do załatwiania własnych interesów. Panna Józia przystała, stawiając tylko jeden warunek, żeby nic nie zginęło. Stefan B. oburzył się, że o coś podobnego może go posądzać. Istotnie nie miał zwyczaju kraść.

Teraz właśnie Stefan B. pojechał do Władysława K. i odebrał odeń portfel „kuzyna”. Wróciwszy z wyprawy zainstalował się w mieszkaniu chlebobawców panny Józii, kazał jej kupić jadło i napitki, po czym na liście lokatorów wiszącej na klatce schodowej nalepił nazwisko Stanisława B. (widniejące w dowodzie osobistym „kuzyna”), zasłaniając nim nazwisko właściciela mieszkania. Poczyniwszy te przygotowania Stanisław B. zasiadł do telefonu i przez długie godziny prowadził dosyć skomplikowane rozmowy. W czasie niektórych z nich przedstawiał się swoim prawdziwym imieniem Stefan, w czasie innych „pożyczonym” sobie wraz z dokumentami: Stanisław (nazwisko i Stefan, i Stanisław nosili, jak wiemy, to samo).

Potem do pożyczonego mieszkania zaczęli przychodzić goście. Stefan B. przyjmował reflektantów na materiały budowlane, zawierał z nimi umowy na dostawy, inkasował zaliczki. Jego plan zarobkowy był prosty i udawał się znakomicie. Przedstawiał się mianowicie praski handlarz i paser jako urzędnik państwowej instytucji, której legitymację znalazł w wyłudżonym portfelu. Reflektantom materiałów budowlanych powiadał, że jego instytucja ma na zbyciu pewne „wygospodarowane” ilości najbardziej poszukiwanego budulca i armatur,

i on jest władny załatwić prywatnym armatorom legalną ich sprzedaż po niskich cenach. Brał tedy łapówki za pośrednictwo. Innym znowu swoim gościom dawał do zrozumienia, że „wygospodarowane” nadwyżki są w jego prywatnym posiadaniu. Innymi słowy, że je skradł i teraz sprzedaje. Brał zaliczki. Skradzione dokumenty sprawiały, że amatorzy materiałów budowlanych czuli doń zaufanie. Zresztą dowód osobisty i legitymację dał w zastaw, jako gwarancję dopełnienia umowy po zainkasowaniu pieniędzy. Zasobne mieszkanie również służyło do wytwarzania klimatu zaufania. Człowieka odwiedzanego w domu wiadomo, gdzie później szukać.

Stefan B. od czterech osób wyłudził łącznie dwadzieścia kilka tysięcy złotych. Poświęcił na to trzy dni. Potem zniknął. Panna Józia więcej go nie widziała na oczy, ani nie wiedziała, gdzie go szukać. Nie znała nawet nazwiska.

Kiedy jej chlebodawca wrócił z urlopu bardzo się zdziwił, gdy zaczęto go telefonicznie niepokoić o dostawy materiałów budowlanych, grozić mu nieprzyjemnościami. Wreszcie jeden z kontrahentów Stefana B. złożył wizytę w znanym sobie mieszkaniu i zastawszy innego gospodarza oświadczył, że idzie do milicji. Nie wierzył, iż aktualny gospodarz nie jest współnikiem tamtego wydrwigrosza. Właściciel mieszkania jął wypytywać swoją gosposię co to znaczy, a kiedy ta z płaczem wszystko mu wyznała - sam pobiegł do milicji.

Okazało się jednak, że wszyscy czterej kontrahenci aferzysty grozili milicją tylko dla postrachu. W istocie żaden z nich nie kwapił się, aby tą drogą dochodzić swoich praw. Ich sumienia nie należały do najczystszych. Aferzysta przez dłuższy czas pozostawał nieuchwytny.

Dopiero po jakimś czasie u Stanisława B. w jego zielonogórskim biurze zjawił się dziwny klient. Stanisław B. w międzyczasie wyrobił sobie inne dokumenty, odżałował spodnie i przygodą w pociągu zabawiał przyjaciół przy herbatce. I oto nagle zjawił się u niego facet z jego starą legitymacją służbową w ręku i twierdził, że ktoś podający się za posiadacza tej legitymacji wyłudził od niego pieniądze oraz prosił o ujawnienie nazwiska tego „wspólnika”. Stanisław B. zatrzymał gościa i zadzwonił do milicji.

Teraz dochodzenie podjęto w miejscowości, koło której wydarzył się tragiczny wypadek z wypadnięciem z pociągu spodni. Władysław K. zdążył się pochwalić znajomym, że znalazł kiedyś spodnie z portfelem, ale szczęśliwym trafem znał „kuzyna” właściciela. Milczał tylko na temat 1300 złotych, które zainkasował sobie z portfela. Milicja więc odszukała znalazcę i dowiedziała się, komu przekazał portfel. Stefan B. znalazł się za kratkami i po konfrontacji ze świadkami uprzejmie przyznał się do wszystkiego. Sąd skazał go na kilka lat więzienia.

Pan Stanisław B., po blisko roku od najstraszniejszej chwili w jego życiu, odzyskał

nie tylko portfel z dokumentami, ale nawet 1300 zł, które szybko mu oddał przerażony znalazca. Ba, odzyskał też pieczołowicie przechowane przez Władysława K. portki, tyle że podarte i wybrudzone.

Stanisław B. wystrzega się teraz malinowego soku.

Anioł

Przed Sądem Powiatowym w B. stanął, po raz pierwszy chyba w historii, anioł, oskarżony o to, że działając jako anioł narobił Józefinie J. krzywdy potwierdzonej protokołem obdukcji szpitalnej. Anioł tłumaczył się swymi anielskimi intencjami i powołaniem.

Historia miała początek o rok wcześniej. 17-letnia Józefina, wówczas jeszcze P., „chodziła” ze swym równolatkiem Stefanem J., synem sąsiada mającego gospodarstwo płot w płot, obora w oborę i gumno w gumno z rodzicami przyszłej poszkodowanej. We wsi L. nie ma - pech - hotelu, ani niczego w tym rodzaju krom zagajników, rowów, pól i stogów. Jednej niedzieli, w czasie zabawy, Józefina i Stefan zapragnęli samotności, a że było to późne lato, znaleźli ją właśnie w stogu. I posnęli. Rano właściciel stogu urządził zwózkę zboża i cud, że nie nadział naszej pary na widły. Zdjął tylko z niej niechcący wielosnopową kołdrę i oto śpiąca para ukazała się kilkunastu wybałuszonym parom oczu. Srom był kolosalny.

Taką hańbę zmywa tylko małżeństwo. Papa P. udał się tedy do sąsiada żądając, by z tym nie zwlekać, skoro stało się i to tak publicznie. Ale sąsiad zaparł się w niechcieniu. Honor Józefiny P. honorem, ale jego syn, Stefan, predysponowany jest do wyższych przeznaczeń. Jesienią ma jechać do szkoły w mieście i żadne małżeństwo nie powinno mu w tym przeszkodzić. Obaj sąsiedzi chcieli ratować dzieci, tylko każdy własne. Pertraktacje toczyły się, toczyły, aż stanął kompromis. Stefan J. pojedzie do szkół, a krzywdę wyrówna zań jego starszy brat, Michał. Ten brat, czy tamten brat, któż to odróżni, zresztą podobni są do siebie. Michał zaś jest starszy, więc dla dziewczyny mniej będzie śmiesznie wyjść za dwudziestolatka, niż za siedemnastolatka. Michał zaś nie ma głowy do nauki, więc ją może mieć do małżeństwa.

Jesienią odbyło się wesele i Michał J. poszedł zeń wprost do wojska, jeszcze nim wytrzeźwiał. Z wojska szybko nadszedł list do ojca i matki, w którym rekrut J. pisze, że rodzice zrobili mu krzywdę tym ożenkiem, bo koledzy się zeń śmieją, że już jest żonaty, a armię mamy wielką, więc kolegów dużo i śmiech jest ogromny. Prosi więc Michał J., żeby rodzice dobrze chociaż tej jego żony pilnowali, żeby czasem nie był ośmieszony i we wsi. Skoro przymusili go do tego ożenku, to niech chociaż zadbają teraz o jego honor. Podobne listy wysłał do różnych we wsi pociotków i przyjaciół. Przeczuwał rogi pod żołnierską czapką. I przecucie go nie myliło.

Wkrótce otrzymał listy powiadamiające, że jego młodszy brat Stefan bardzo przedwcześnie zakończył karierę naukową, już oto jest we wsi i z jego żoną rozstaje się tylko wtedy, kiedy go starzy zagnają do jakiejś roboty, co zdarza się nie

co dzień.

Michał J. napisał srogi list do brata: to on się za niego ożenił, za niego wypełnił przyjęte w stogu zboża zobowiązanie, dla niego spętał swą wolność, a braciszek wykorzystał to haniebnie, żeby romansować z jego żoną, wystawiać go na pośmiewisko. Czyż po to się żenił, żeby jedyną z tego przyjemność miał kto inny? Czy po to się żenił, żeby ona, Józka, bez obaw i kłopotów mogła robić dalej to, co z dawna zaczęła i sobie upodobała? I gdybyż jeszcze hańba została w rodzinie, ale cała wieś kibicuje sprawie i się śmieje, jak to brat bratu przyprawia rogi. On, Michał, służby nie może wypełniać przykładowie, mając głowę zaprzątniętą takimi sprawami.

Cała rodzina J. zagdakała teraz żołnierza listami. Brat Stefan pisał, jakie to podłe kłamstwa ludzie wymyślają, żeby poróżnić brata z bratem. Żona Józefina żądała listownie, żeby ją Bóg pokarał i spuścił na nią najgorsze choroby i męczeństwa, jeśli jest w tym choć trochę prawdy. Ojciec pisał, że z matką oka z synowej nie spuszcza i gdyby Stefan choć popatrzył na szwagierkę, oboje by obił. Jednocześnie przychodziły wszakże i listy od pociotków i przyjaciół, a subtelne aluzje nie stanowiły ich treści. Przeciwnie, mało który panujący jest przedmiotem tak drobiazgowych opisów, gdzie był i co robił, jak Stefan i Józefina J. A to - donosili życzliwi - poszli oni do lasu po drzewo na podpałkę, nie było ich we wsi z dziesięć godzin, a przynieśli tego tyle, jakby na podgrzanie mleka dla kota. A to jak Józka wyprawiała się do miasta z bólem zęba, to Stefan końmi powoził i od tej pory tę Józkę wciąż zęby bolą i bolą, bez dentysty tygodnia nie przeżywa.

Na Wielkanoc przyjechał Michał J. w mundurze, wywłókł żonę na drogę, żeby wszyscy widzieli bicie, potem lał brata, potem pił i krzyczał, ale co z tego, kiedy przepustka się skończyła. Jeszcze na przystanku PKS doniesiono żołnierzowi, że jego brat Stefan się wygrażał, że za to bicie zafunduje braciszce bękartą.

Zaraz po Wielkanocy Józefina J. miała pierwsze widzenie. Nocą obudziło ją odmykanie okna w izbie chałupy jej rodziców, gdzie sypiała ze swoim 12-letnim bratem i wtedy zobaczyła anioła w poświacie, który wścibił do środka głowę z aureolą i falisty miecz, wpierw zagadał po łacinie, a potem ze swojska zaszeptał, że Bóg go wysłał, by powściągnęła grzeszenie, by nie obrażała sakramentu, bo kara ją spotka po śmierci, ale również za życia niebawem. Józefina J. krzyknęła i anioł zniknął, a jej brat, który widział anioła, pobiegł do matki z bekiem.

Nazajutrz cała wieś wiedziała o anielskiej wizycie i różnie o tym mówiła. Józefina J. przeniosła się zaś spać z tatą i mamą i zasłaniała na noc okno kocem. I tu ją jednak anioł dopadł. Obudziło ją szczekanie psów i zaraz potem posłyszała, że ktoś próbuje otworzyć okno. Obudziła ojca, tata skoczył, odsłonił okno i pokazała się za nim anielska twarz. Matka zapaliła światło, wtedy twarz znikła, kiedy zaś ojciec

wybiegł na dwór, nikogo już nie było, tylko psy szczekały jak oszalałe w całej wsi. Więcej się anioł nie zjawiał. Sceptycy mówili, że gdyby Bóg wysyłał umyślnych aniołów do każdej niewiernej żony na tym świecie, musiałby mieć ogromnie liczne chóry. Inni wszakże powiadali, że nie pierwszy to raz ludzie grzeszni, a szczególnie kobiety, mają widzenia wynikłe z niezwykajnie u nich silnej bojaźni bożej.

Późną wiosną Stefan J. pracował przy naprawie torów kolejowych o jakieś dziesięć kilometrów od wsi. Nie wracał stamtąd na noc do domu, tylko sypiał w baraku na kółkach ustawionym koło torów. Razu jednego do Józefiny J. przybiegło jakieś dziecko, mówiąc, że brat jej męża, Stefan, ma jej coś ważnego, a tajemnego do powiedzenia i prosi, żeby wyszła o dziesiątej wieczór za wieś i poczekała koło magazynu GS.

Ledwie tam Józefina J. przyszła, zza magazynu wylazł anioł. Był wielki, długą i białą miał szatę, włosy i skrzydła, ponadto miecz w ręce i światłość na piersi. Wyzwał ją od najgorszych, wołał, że nieporna ostrzeżeń bożych przyszła na spotkanie ze Stefanem, podczas kiedy niewiasta wierna być powinna mężowi odbywającemu służbę wojskową, *Kyrie Eleyson* i jak Michał wróci, to jej gnaty połamie. Józefina J. krzyknęła i skoczyła uciekać. Anioł zabiegł jej drogę, wygrażając mieczem. Przyparta do ściany magazynu, złapała wtedy kamień i cisnęła w anioła. Poświata spadła aniołowi z piersi na ziemię. Anioł krzyknął „ty!” i jeszcze pięć głosek, i rzucił się na Józefinę J., waląc ją mieczem, a kiedy ten się złamał - pięścią po głowie. Wtedy wbiła aniołowi pazury w anielską gębę. Anioł zawył i jął bić na całego, a kiedy upadła, zaczął ją kopać, a buty miał grube. Potem anioł zwiął, a ona poleżała jeszcze godzinę i potem dopiero dowłokła się do domu. Nazajutrz koło magazynu znaleziono na ziemi latarkę elektryczną, aureolę, strzępy papierowych skrzydeł i połamany, drewniany miecz, Józefinę J. zawieziono podwodą do szpitala.

W ciągu godziny plutonowy MO ustalił tożsamość anioła, pytając kościelnego, komu dawał strój z jasełek. Okazało się, że w anioła się wcielał Roman F., 19-letni listonosz, ministrant i przyjaciel wojaka Michała. Obiecał on kumpłowi, że jak zobaczy, iż jego żona dalej biega za Stefanem, wpierw ją obje, a jeśli to ostrzeżenie nie pomoże, wcieli się w rolę archanioła, którą grał już na jasełkach i dobrze dziewczynę postraszy. Przed sądem Roman F. powiedział, że nie miał serca do bicia, więc zaczął od straszenia. Krzywdy cielesnej dziewczynie czynić nie chciał. Dopiero jak dostał kamieniem, podskoczył jej przylać, wtedy rozorała mu twarz paznokciami i dostał wścieku, więc skopał. Nie on zaczął. Sąd przeciwny kopaniu kobiet, nawet mających ostre paznokcie, skazał archanioła na areszt z zawieszeniem.

Kiedy tak siedział zwalisty dryblas na ławie oskarżonych, a Józefina J. zeznawała, spytał ją Sąd, czy rzeczywiście oskarżony w czymkolwiek przypomina anioła.

Józka spojrzała, dostała spazmów ze śmiechu i odtąd można sądzić, że nie dadzą jej rady żadne ani ziemskie, ani niebiańskie moce.

Zbrodnia przez kalkę

Czy znacie wielkomięskie prywatne sklepiki: nabiał, warzywa, pieczywo, piwo, drób? Jest w nich coś krańcowo odmiennego w wyglądzie, klimacie i obyczajowości od sklepu państwowego.

Wchodzisz do takiego MHD: szkło, aluminium, kafle, białe fartuchy, jedzenie też zakute w metal puszek i plastik. Ściany w kolorowe bohomy. Transakcja wyprana z wszelkich towarzyskich awansów: anonimowa ekspedientka - anonimowej klientce szybko daje towar; uiszczenie należności i do widzenia.

Co innego sklepik prywatny. Ten nasz mieści się w wąskiej, ciemnej, małej kiszce - wyrostku robaczkowym starej kamienicy. Ciasno tam, że najwyżej czwórka kupujących zmieści się na raz. Brudno, że od razu wiadomo, że to sklep, a nie laboratorium. Wory, kasze i skrzynie piętrzą się pod sufit. Święty obrazek, pod którym pali się w dzień i wieczór czerwona lampka, patronuje sprawunkom. Wszystko upstrzone przez muchy. Zapachy już wam daruję.

Za ladą celebrytuje pani Katarzyna, osoba tęga, życzliwa światu i ludziom. Energiczna. Stanowi ona swoiste centrum życia towarzyskiego ulicy z filiami tego życia rozmieszczonymi w kilku wsiach bliżej lub dalej położonych od miasta. Tutaj w sklepie żony opowiadają o tym, że mąż dostał premię, a syn ma już dziewczynę, zasięgają porad, czy pociągnąć czerwoną pastą podłogę i czy dalej wytrzymać z tym pijakiem. Tutaj pomoce domowe żalą się na panie, a panie na pomoce domowe, które zresztą pani Katarzyna importowała dla nich ze wsi. Tu omawia się sprawę sąsiadki, która kupiła sobie pralkę, a jej dziecko już trzeci sezon chodzi w tych samych trzewikach. Tu wiadomo, kto urodził, kto poronił i kto cierpi na żołądek tak, że trzeba dlań odłożyć białego sera i pół kury. U pani Katarzyny można zasięgnąć języka, kto obchodzić będzie szumnie imieniny i to tak elegancko, że nawet syfon zamówił, jak robić babkę i czego zabraknie w sklepach. Mężowie wracając z pracy wpadają tutaj na piwo, a pani Katarzyna dba, żeby niezbyt spóźnili się do domu. Milicjant-dzielnicy też trąbi w sklepiku kilka butelek dziennie, dzięki temu wszystko wie, co się dzieje, a może też wtrącić do towarzyskiej rozmowy, że jak „jeszcze raz pana zobaczę z deskami pod pachą, to już zapytam skąd te deski”.

Rano w podobny sposób omawiane są bieżące sprawy wsi, z których przybywają handlarce dostarczające towar. Pani Katarzyna słucha, która krowa się ocieliła i czy to gniady, czy kary okulał. Apostołuje miejskiej obyczajowości ładując w łeb jakiejś handlarce, że to nic strasznego, jak jej córka maluje sobie gębę, krzyczy na baby, żeby szły do lekarza, bo zdrowie ważniejsze niż nowa obórka, że mężowi coś trzeba dawać, a czegoś nie trzeba dawać, żeby masło nie było takie białe itp.

W sklepie rezyduje jeszcze jedna figura - mąż pani Katarzyny. Powiedzmy od razu - mąż nieudany: nierób, pijak i głupek. Pani Katarzyna wrzeszczy nań, wymyśla, śmieje się zeń cały dzień, zabawiając tym co lepszą klientelę. Mąż od rana do wieczora jest na „cyku”, nie ma głowy do interesów, jak przyjmie pieniądze, to na pewno weźmie za mało, podbiera jaja i wypija je. Tylko patrzy jak ściągnąć butelkę piwa. Co weźmie do ręki, to mu leci. Nie wie kogo trzeba obsłużyć wpierw, a kogo później. Dla kogo jeszcze jest chała, a dla kogo już nie ma. To jest mąż, który by wszystko przepił. Pani Katarzyna sto razy dziennie życzy mu nagłej śmierci, wszem i wobec zapowiada, że ją przyspieszy i wtedy weźmie sobie jakiego gładkiego gacha. I że już w przyszłą niedzielę, jak będzie miała trochę czasu, to małżonka utrupi, bo w dzień powszedni, to nie ma ani chwili na życie osobiste. A mąż się uśmiecha i jest ze wszystkiego zadowolony.

Stałym dostawcą sklepiku jest niejaka Józefa I., patrząca w p. Katarzynę jak w święty obraz. O szóstej rano, kiedy ruch jest jeszcze mały, przywozi swoje kobiałki, przysiada w sklepie i trwa tu przez kilka godzin. Dużo pomaga, mało gada i chciwie słucha. Chłopka jest tak zapatrzona w sklepikarkę, że można przypuszczać, że Katarzyna robi na niej niezłe interesy.

Józefa I. wysłuchuje diariusza wieści z tej ulicy, głównie poświęconych zaistniałym tu wspaniałościom: nowej kiecce jednej klientki, udanemu mariażowi córki drugiej, szczęśliwemu porodowi z kwiatami w klinice sąsiadki trzeciej. Głównie zaś wysłuchuje utrapień Katarzyny, jakie ma ona ze swym mężem, o tej porze śpiącym jeszcze na całego. Wsłuchana jest najpilniej w opowieść o zabiegach właścicielki sklepu, poświęconych wyprawieniu księcia-małżonka sklepikarskiej monarchii na tamten świat. Pani Katarzyna co dzień ma nowy morderczy sposób i codziennie jakoś on pudłuje, wskutek niezwykłej witalności tego pijaka, szczęściu, jakie go nie opuszcza, oraz zaabsorbowaniu handlem pani na sklepie.

A więc raz pani Katarzyna sobie myśli, że jak taki już pijany, to niech go ta wóda wykończy. Sama stawia mu litra na stole, niech wyżłopie i zdechnie, a on żłopie, nie zdycha i prosi jeszcze. Innym razem leje mu do herbaty całą butelkę własnych kropli „nasercowych”, ale „czy to takie bydle ma serce?”. To znów usuwa mu spod nóg drabinę, kiedy małżonek drapie się do komórki w podwórzu po zapas marchwi. Spada, łeb sobie rozwała, ale nic mu. Albo wali go czym, dusi, topi w misce, daje rybę na obiad, niech się udławi - wszystko na nic.

Józefa I. ma podobną historię. Jej mąż jest niemową. Pić to nadzwyczajnie nie pije, ale jest niezdatny do roboty i w ogóle do niczego, tylko bić ją potrafi. Do Józefy I. przychodzi za to chłop i gospodarz-wdowiec - absolutne przeciwieństwo niemowy. Ale co zrobić, jak taka kaleka to zawsze żyje nie wiadomo jak długo... Józefa I. też stara się wyprawić pana I. na tamten świat i też wciąż jej się nie udaje. Inspirację czerpie z dobrych, miastowych sposobów swojej mądrej patronki. A więc

dowiaduje się, jakie to były te „sercowe” krople i leci po nie do apteki. A więc usuwa drabinę, przydusza poduszką we śnie - i zdaje ze swoich zabiegów relację. Pani Katarzyna nie szczędzi dobrych rad, wciąż powtarzając: „Czym Józefa ryzykuje? Nie uda się - to nie. Jak niemowa to nie wygada”.

Pewnego dnia Józefa I. jak zwykle przychodzi, wyciąga z kobiałek jaja, masło ser. Katarzyna próbuje. Targują się o cenę. Katarzyna pyta od kogo ten ser i oświadcza, że od razu myślała, że to od Mańczakowej: już poznaje ten smród od jej brudnych szmat. Jak nie popierze Mańczakowa szmat, to więcej jej sera ona, Katarzyna, nie weźmie itd. itp. Kiedy skończyły się interesy, Józefa I. rzeczowo oświadcza, że ona już poradziła sobie ze swoim. Ano właśnie dziś w nocy pomyślała sobie, że co się będzie patyczkować, wzięła nóż i jakoś dała sobie radę. Teraz zamknęła chałupę na klucz, bo musiała przyjechać z towarem, ale dziś nie ma czasu się zasiedzieć w sklepie, musi wracać, żeby coś z tym trupem zrobić, bo jeszcze ludzie zobaczą...

Pani Katarzyna wrzeszczy na Józefę I., że chyba żartuje. Ale widzi, że to nie żarty. Strasznie krzyżąc wybiega na ulicę. Jak zwykle w pobliżu kręci się milicjant-dzielnicy. Woła go na kilometr Katarzyna, aż wszystkie okna ulicy ożywają. Milicjant leci do swej piwnej krynicy: „Ukradł kto coś?” - „Nie. Józefa I. zarżnęła męża. Nożem!!!” - słyszy cała ulica. Milicjant nie wie, czy pierwej łapać za kark morderczynię, czy zagradać drzwi ciekawskim. Józefa I. metodycznie zbiera swoje chusty i kobiałki i daje się prowadzić do komisariatu. Tu mówi: owszem zabiła, ale to „kalieka”. Tak w kółko broni się tą „kalieką” - poza tym jest dosyć obojętna.

Idą telefonogramy do odpowiedniej komendy powiatowej. Potwierdzenie, że trup owszem jest, i nóż jest, i krew, i wszystko co trzeba - przychodzi po godzinie. Katarzyna sama przybiegła do komisariatu, płacze i opowiada krwawą historię zgromadzonym na korytarzu petentom. Strasznie pomstuje, co to za głupia baba ta Józefa I. Ona tak sobie o mężu gadała, a tamta wzięła nóż i ciach.

Milicjant, który poszedł po panią Katarzynę i zastał sklep zamknięty, a w mieszkaniu nic nie wiedzącego męża - odnajduje zgubę tu na korytarzu. Przez następne dni sklep nadal jest zamknięty, panią Katarzynę bowiem przesłuchują i przesłuchują, tylko na noc puszczają do domu.

Siedzi już i ten gospodarz-wdowiec, fatygant najlepszego dostawcy naszego znajomego sklepiku. Powoli akta sprawy obrastają makabryczną historią.

Mąż Józefy I. przez całe miesiące mordowany był na raty. Pojony miksturami, przyduszany, kaleczony, bity. Co najmniej dziesięciokrotnie ostatnimi czasy żona kazała mu się pakować na tamten świat i starała się załatwić mu wizę wedle swojej najlepszej wiedzy o mordowaniu i umiejętności. Kaleka chodził nawet do sąsiadów i bełkocząc pokazywał zadane mu rany. Trochę nie rozumieli o co tu chodzi, trochę rozumieć nie chcieli.

Wieczorem, który poprzedzał krytyczną noc, fatygant handlarki złożył Józefie I. wizytę. Niemowa na widok rywala zaczął tłuc żonę. A był silniejszy. Fatygant mu tedy przyłożył i sobie poszedł. Gdzieś o trzeciej rano obudziło go stukanie w okno. Józefa I. gwałtownie wzywała go do siebie. Powiedziała, że zdecydowała się tej nocy zrobić z mężem koniec, bardzo ją bowiem zbił. Wzięła nóż, uderzyła śpiącego, wtedy się obudził. Przytomnego nie ma jednak siły dobijać. Straszno jej. Prosi o pomoc.

Gach raz dwa ubrał się, poszedł do znajomej sobie chałupy i roboty dokończył.

To już wszystko. Milicja jeszcze zajęła się wszelkimi śladami, świadkami, dowodami itp. Śledztwo szło raźnie. Prowadził je powiat, w którym trup - to nie codzienność - stąd i tempo zwawsze.

Tymczasem warszawska milicja zajęła się rolą Katarzyny w tych wypadkach, tudzież jej małżeńskim pożyciem. Sklep przez dalszy tydzień był zamknięty, tak że liczni klienci przeszli do konkurencji, co było powodem ustawicznego, wyrażanego w śledztwie zmartwienia Katarzyny. Wreszcie dano jej spokój - kilkudziesięcioletnie nienaganne pożycie z mężem zdrowym jak rzepa i zachwyconym żoną, jej niekłamane przerażenie i zdziwienie czynem Józefy I., któremu dała wyraz wybiegając z wrzaskiem na ulicę, świadectwa licznych klientów, śmiejących się z tych katarzynich morderczych chętek, których opowieści nie skąpiła nikomu przez całe lata - wszystko to oddaliło od niej podejrzenia.

Kiedy sklep otwarto, starzy klienci natychmiast do niej wrócili. Oprócz sera, masła, włoszczyzny i kury można tu było bowiem otrzymać na dodatek rozwlekłą opowieść o krwawych wydarzeniach w odległej wsi, o stosunkach morderczyni ze sklepikarką i o tym, jacy to dziś są ludzie. Sarkającym na wysokie ceny pani Katarzyna mówiła, że przecie sklep był dwadzieścia dni zamknięty, więc musi to sobie jakoś odkuć: mąż woła jeść. Na księcia-mażonka dalej krzyczy, szturcha go i beszta, ale już nie życzy mu nagłej śmierci, a nawet powiada, że chociaż pijak i niezdara, to przecie lepiej, niż gdyby trafiła na jakiegoś mordercę. W ogóle teraz w sklepie dużo mówi się o krwi i to nie tej z cielęciny, sprzedawanej zaufanym spod lady.

Miała jeszcze pani Katarzyna swój wielki dzień na procesie Józefy I. i jej amanta. Dano jej gadać coś z godzinę. Mowa zawierała wielką apoteozę sklepikarki Katarzyny, która zasłużyła się ludzkości tym, że nie zamordowała męża.

Kaszląca i słaba

Nie zawsze łatwo jest dosolić babci. Czasem babcia pozostaje małosolna.

Na przedmieściu mazowieckiego miasteczka żyła sobie bogato a szczęśliwie 72-letnia babcia Kazimiera Ł. Miała domek parterowy i stary, ale własny, ogródek rodzący kwiatki i jadalne dania witaminowe, kozę miała i telewizor. Mąż babci - szewc umarł jeszcze za Piłsudskiego, cztery zostawione przezeń córki powydawała babcia za mąż jeszcze przed wojną i odtąd żyła zupełnie sama, ale wśród ludzi. W pobliskich lasach i na łąkach dużo było ziół, które babcia zbierała, suszyła, warzyła i sprzedawała. Słynęła na okolicę, jako babcia zamawiająca choroby. A kiedy minęła moda na zamawianie, a zaczęła się moda na leczenie chorób, babcia nie pozostała w tyle, tylko leczyła, ledwo co tam poszeptując zaklęcia na odczynienie, które - co by kto o tym nie myślał - nie zaszkodzą. Miała z tego na życie i abonament telewizyjny, i nie musiała prosić córek o pomoc.

Jednego razu przyjechał do babci jej ukochany wnuczek, Piotr D., już 26-letni inżynier pracujący w Warszawie w biurze projektowym. Przywiózł ze sobą śliczną żonę i dwuletnią prawnuczkę babci, a także ideę i mnóstwo ku niej entuzjazmu, którym babcię zaraził. Po cóż - mówił wnuczek - babcia, taka już sędziwa, ma sama, bez opieki mieszkać na odludziu i mimo reumatyzmu zarabiać na życie. Dla babci na starość akurat dobra byłaby Warszawa. Póki on - wnuczek nie miał mieszkania - to co innego. Ale teraz, kiedy ma przydział na bieżący kwartał, sumienie by mu nie pozwoliło zostawiać kochanej babci w osamotnieniu. Niechaj babcia się zabiera i zamieszka z nimi i niańczy prawnuczkę.

Babcia się wzbraniała, ale niedługo, bo centralne ogrzewanie leczy z reumatyzmu, a i niepięknie jest ranić wnuczynie dobre serce. Wnuczek powiedział, że wobec tego wystąpi o M-4, czyli trzy pokoje z kuchnią, a nie M-3, czyli dwa pokoje, które mu bez babci byłyby należne. Kazimiera Ł. sprzedała zasię domek, ogródek, meble, naczynia i kozę, dzięki czemu mieli z wnuczkiem na opłacenie spółdzielczego mieszkania. Zabrała ze sobą tylko telewizor i zamieszkała u Piotrostwa D.

Niestety, miało się okazać, że babcia trochę w M-4 zawadza. Cały dzień sterczy w domku, cały dzień trzyma otwarty telewizor, czy to wykładają wyższą matematykę, czy instruuja jak meliorować. Sprząta, że płakać się chce. Gotuje tylko barszcz i pierogi, tak że obiady musi robić pracująca w aptece Piotrowa. Babcię trudno gdzieś upchnąć, jak przychodzą goście. Babcia gada dużo, a mało rozumie. Babcia nawet pachnie jak babcia i to nie jest zapach Chanel 5. Babcia przestawia wszystko po swojemu. Babcia nie umie nauczyć prawnuczki tych rzeczy, których psa można nauczyć po trzech miesiącach. Babcia ma dziwne właściwości przestrzenne: jest mała - a w całym mieszkaniu pełno jej jednocześnie. Babcia jest

skwaszona, bo nie podoba jej się miasto, mieszkanie, wnukowa kuchnia, menu. Babcia nie chodzi po sprawunki, ani nigdzie, bo sama boi się jechać windą. Babcia na wszystkich i na wszystko patrzy złym okiem. Nie tak to sobie wnuczek wyobrażał.

Już po miesiącu wnuczek wszystko to babci wyjaśnił, ale dodał, żeby się nie martwiła, bo najważniejsza jest miłość w rodzinie. Wnuczek ma znajomego, który obiecał umieścić babcię w domu starców. Będzie tam miała towarzystwo, ogród, zamieszka na parterze, a w telewizor można się tam gapić do woli.

Babcia odparła, że nie chce. Trzeba ją było zostawić w spokoju i w jej własnym domku. Wnuczek rzekł na to, że jeśli babcia nie chce, to nie. Nikt jej nie zmusi. On poczeka, aż babcia sama zechce.

Wnuczek zaczął sprawiać, żeby babcia zechciała od wymierzenia najsilniejszego ciosu, wobec którego wszystkie następne były już niczym. Nazajutrz po tej rozmowie zepsuł się telewizor. Piotr D, osobiście, przy babci, zajrzał do jego wnętrza i oświadczył, że nic się nie da zrobić. Zatelefonuje, to za kwartał zabiorą go do reperacji i na następny rok będzie jak nowy. Babci odebrano w ten sposób sens życia, ale zostało jeszcze samo życie, z którym też trzeba było coś zrobić.

Powiedział wnuczek, że jak ludzie tak mieszkają we wspólnym mieszkaniu, to trzeba współżyciu temu nadać jakiś porządek, aby było znośnie. Babcia mieszkała z prawnuczką w jedynym w tym mieszkaniu dużym pokoju. Inżynierostwo zajmowali dwa maciupkie, położone w amfiladzie. Zakazano tedy babci wchodzenia do ich pokoi, oraz do kuchni, bo gotować nie umie, przy zmywaniu niedowidzi, a wszystko tłucze. Obszar życiowy babci zmniejszył się z 48 do 20 metrów. Zakazano też babci dotykać prawnuczki, do której najęto dochodzącą dziewczynę. Babcia miała więc mieszkać z dzieckiem w jednym pokoju, ale nie wolno jej było ani niczego robić przy dziecku, ani się do niego odzywać, inaczej zaczniesz gwarowo mazurzyć i jak pójdzie do szkoły nabawi się kompleksów.

Nie głodzono babci. Zakazywano jej tylko gotować sobie samej. Wnuczkowa przynosiła jej obiad po powrocie z pracy i babcia musiała jeść to co wnucostwo, a jedli oni rzeczy tak obrzydliwe, jak zupa postna niczym woda lub gulasz z papryką, taki jakimi za dawnych czasów truto smoki. Wygłodzona czekaniem na obiad babcia jadła potem obficie, od czego bolał ją brzuch.

Babcia leżała teraz prawie ciągle w łóżku, albo stała przy oknie i patrzyła w przestrzeń, w której nigdy nie było widać ludzi, a tylko ludzików małych jak robaczki. Zaniemówiła prawie zupełnie. Żyła wszelako, bowiem zło życie uprzykrza, ale go nie skraca. Ludzie, którzy odwiedzali państwa D., nawet nie wiedzieli, że w dzieciennym trzymana jest babcia, chyba że akurat była kaszłąca.

Pewnego dnia babcię odwiedziła jedna z jej córek przynosząc w prezencie stare radio, żeby mama miała jakąś rozrywkę, skoro telewizor jest zepsuty. Wnuczek jednak prosił, żeby babcia nastawiała radio cicho, a najlepiej wcale, bo to strasznie przeszkadza, jak coś tak ciągle gra. Nadmiar dźwięków wpływa też ujemnie na rozwój psychiczny dziecka. Co wnuczkowi było głośno, to babci było bardzo cicho, słuch jej bowiem z wiekiem stępsiał. Na nic nie zdawały się jednak napomnienia. Babcia słuchała radia.

Wiedzieć trzeba koniecznie, że Kazimiera Ł., która przez półwiecze używania nie dość otrzaskała się z elektrycznością, bała się włączania czegokolwiek w kontakt. Zirytowany jej głośnym graniem wnuk wyrwał wtyczkę radia z kontaktu. Ale babcia przemogła się i na powrót włączyła radio. Potem wnuk wieczorem coś przy wtyczce pomajstrował i kiedy babcia Ł. nazajutrz przed południem wetknęła ją do kontaktu, trzepnęło ją z przeogromną siłą. Włączenie techniki do dosalania babci dało efektowny skutek. Piastunka dziecka, owa dochodząca dziewczyna, musiała wezwać pogotowie, bowiem babcia dostała szoku nerwowego.

Nie od dziś wiadomo, że elektrowstrząsy są znakomitym środkiem medycznym do przeobrażania ludzkiej psychiki. W babcię wstąpił nowy duch. Wnuczek zaobserwował tylko tyle, że babcia w ogóle doń się nie odzywa i że zaczęła wychodzić z domu, ponadto przestała się bać jeździć windą. Nie przewidywał tylko, jak fatalne ta ruchliwość przyniesie dlań rezultaty. Wkrótce milicja wezwała go na przesłuchanie.

Babcia wynajęła adwokata, który wniósł w jej imieniu do sądu skargę prywatną przeciwko wnukowi o spowodowanie rozstroju jej zdrowia. Jednocześnie adwokat wniósł pozew cywilny domagając się, by wnuk zwrócił babci 48 tysięcy, jakie wpłaciła ona na to mieszkanie, albo w drodze podziału zapewnił jej mieszkanie wypłacając różnicę oraz te kwoty, jakie w ramach 48 tysięcy poszły na meblowanie mieszkania. Ofensywa ta zyskała wsparcie artyleryjskie. Babcia i adwokat odwiedzili prokuratora, domagając się wytoczenia sprawy o moralne i fizyczne znęcanie się nad osobą zależną od dręczycieli a bezradną.

Sprawy z oskarżenia publicznego i prywatnego połączono w jedną. Wnukowi groziło do pięciu lat więzienia. Świadcami oskarżenia były dwie córki poszkodowanej - ciotki oskarżonego oraz dziewczyna, która dochodziła do dziecka.

Inżynier bronił się jak lew: na czym polegało znęcanie się? Że babcię złapał prąd? Komuż to się nie zdarza? Miała jedzenie, lekarstwa, dach nad głową. Nie kazano jej pracować w domu w trosce o jej zdrowie. Nie dopuszczano do kuchni, by się nie trudziła. Kuchnia nie jest miejscem rozrywkowym. A że zakazali jej dotykać dziecka - to dla dobra dziecka i żeby się nie przemęczała. Prosil, by nie wchodziła

do ich pokoi - to ich dobre prawo itd.

Sprawa była dla sądu nietypowa. Zwykle znęcanie się w rodzinie ma inne przejawy: bicie, głodzenie, coś z tych rzeczy. Sprawę przeważały zeznania świadków oskarżenia, a głównie owej dochodzącej dziewczyny, która widziała, jak pan inżynier oplątywał drutem wtyczkę do kontaktu, żeby babcię „kopnęło”.

Inżynier skazany został na czternaście miesięcy więzienia z zawieszeniem. Sąd zlecił podział mieszkania lub wymianę na dwa mniejsze, zastrzegając rozliczenia pieniężne między stronami po przeprowadzeniu spraw mieszkaniowych. Objął zarazem, że postanowienia jego nie uchylają obowiązków opiekuńczych wnuka nad babcią.

Spółdzielnia nie mogła dokonać wymiany mieszkania na dwa mniejsze, wobec czego przeprowadzono podział tymczasowy. Babci dostał się jedyny nieprzechodni i mający bezpośrednie wejście z korytarza pokój - ten duży, w którym dotąd mieszkała. Inżynierostwo z dzieckiem zamieszkali w dwóch klitkach, dusząc się z ciasnoty i wściekłości.

Wkrótce babcia zapadła na zdrowiu. Kiedy po trzech dniach odwiedziła ją córka, dowiedziała się, że staruszce od trzech dni nie podano niczego do jedzenia. Pobiegła od razu do prokuratora, który prowadził sprawę jej matki. W rezultacie sąd zarządził zamknięcie inżyniera, aby zaczął odsiadywać swoją karę. Zarządzono też potrącenia ratalne z pensji jego żony na rzecz spłaty długu pieniężnego, jaki wnuk, sam o tym nie wiedząc, zaciągnął wobec babci.

Kiedy obie kobiety skazane nadal na wspólne mieszkanie: inżynierowa D. i Kazimiera Ł. zostały same w swoim domu, babcia zajęła się rażno urządzeniem po swojemu pokoju, wezwała dozorcę, by przeniósł do niej czynny już teraz telewizor i do łkającej wnukowej rzekła:

- Moją zemstę już obmyśliłam. Będę długo, długo jeszcze żyła.

Nie bij jej

Urzędniczka punktu skupu żywca jechała z powiatu do swojego miejsca pracy. W torbie dyndającej u kierownicy wiozła 780 tysięcy złotych. Torba bowiem była pakowna. Kiedy przejeżdżała przez las wąską ścieżką, ktoś zaczajony za krzakiem wsadził kij w szprychy jej roweru. Upadła. Momentalnie czyjeś ręce zarzuciły jej płachtę na głowę. Zaczęła bić i kopać w przestrzeń. Czuła, że napastnik oberwał. Wtedy usłyszała głos swojego narzeczonego, Antoniego L.: „Nie bij jej!” Gdy wyswobodziła się z płachty, oglądała już tylko plecy napastników niknące za drzewami. Wykrzyknęła w ich stronę kilka niecenzuralnych epitetów, po czym prowadząc połamany rower zaczęła wracać do wsi. Tu poszła od razu na posterunek MO. Złożyła zeznania. Opowiedziała w nich wszystko, jak było. Nie wspomniała tylko o narzeczonym, ściślej o rozpoznaniu jego głosu.

Kiedy późną nocą zwolniono ją, poszła do domu narzeczonego około czterech kilometrów - obudziła go i w obecności rodziny jęła wymyślać i domagać się zwrotu pieniędzy. Groziła, że jak nie odda, to go „sypnie”. Narzeczonego zaprzeczał swojemu udziałowi w napadzie.

Nazajutrz dziewczyna - Maria R. - znowu składała zeznania. Potem znów i znów. Wiele do powiedzenia nie miała, ale chciano, żeby wielokrotnie od nowa opisywać „tyły” swych napastników. We wsi dowiedziała się, że jej narzeczonego znikł. Nie dziwiła się. Ale oto i milicja dowiedziała się, że narzeczonego obrabowanej „wybył”. Rozpoczęto poszukiwania. Zarazem natychmiast przymknięto dziewczynę. Skoro bowiem narzeczonego nagle znika ze wsi, milicja do tego zaś dowiaduje się, iż ofiara napadu po pierwszym przesłuchaniu nocą składa mu wizytę - zaczyna podejrzewać, że narzeczeni zmówili się i sfingowali leśny napad. Teraz zaś ananas nie wytrzymał nerwowo, bał się, że oblubienica sypnie - i dał nogę.

Dziewięć dni, dzień w dzień, przesłuchiwana dziewczyna podtrzymywała swoją wersję zeznań i zaprzeczała jakoby fingowała napad na siebie. Dziesiątego wszakże nagle zmieniła front. Oświadczyła, że sama, znalazłszy się w lesie, zakopała torbę z pieniędzmi połamała szprychy roweru, porzuciła uprzednio przygotowaną płachtę i opowiedziała na milicji bajkę. Potem zaś pobiegła do narzeczonego, mówiąc mu, że okradła kasę i żeby ją dalej kochał. Narzeczonego zaś był zdruzgotany i powiedział, że jeśli ona jest taka, to on sobie idzie, gdzie go oczy poniosą. A jest to bowiem człowiek o niepokalanej uczciwości i zawsze noszą go nogi, jak się zetknie z jakimś złodziejstwem.

Poszła milicja z Marią R. w las szukać zakopanego skarbu. Raz dziewczyna mówiła, że pod tym drzewem, drugi raz, że pod innym. Osiem godzin chodzili i kopali niczego nie wykopawszy. Obwiniona oświadczyła więc, że nie wie gdzie to miejsce.

W zdenerwowaniu nie oznaczyła go, a wszystkie drzewa jednakie.

Milicja miała jednak swój pogląd na tę sprawę. Otóż mniemała ona, że dziewczyna ukradła wspólnie z narzeczonym. Kiedy w czasie śledztwa poinformowano ją, że narzeczony jest już złapany - a dziesiątego dnia właśnie znaleziono go u stryja w sąsiednim powiecie - wszystko wzięła na siebie i kryje ukochanego, który drapnął był z forszą i dobrze ją zamelinował. Żeby skłonić dziewczynę do prawdomówności powiatowa komenda MO - tam bowiem oboje narzeczeni w międzyczasie się znaleźli - podjęła bolesne postanowienie. Zdecydowano się mianowicie poświęcić milicyjny rower, i oddać go dziewczynie. Na rowerze tym miała właśnie pokazać, jak to sama tak składnie wyłamała szprychy. Na podwórzu, przed liczną widownią, dziewczyna mozolnie znęcała się nad rowerem przy pomocy grubego kija. Szprychy gięła i wyłamywała, ale każda z nich wygięta była w swoją stronę - nie tak ładniutko jak w jej rowerze po leśnym napadzie.

A potem zniszczono drugi rower. Jeden milicjant na nim jechał, drugi wsadził kij w szprychy, milicjant jadący potłukł się, bo dziedziniec komendy to nie miękka ziemia w lesie - ale Maria R. zobaczyła, że jej rower został zniszczony właśnie tak samo - w czasie jazdy. Trudno zaś samemu sobie wsadzić kij w szprychy.

Po tej poglądowej lekcji i jeszcze potem po wielogodzinnej rozmowie dziewczyna powtórnie zmieniała zeznania. Oświadczyła mianowicie, że jechała sobie, a tu kij w szprychy i płachta na głowę, usłyszała głos narzeczonego, potem znikli napastnicy i torba. Więc ona po złapaniu ukochanego kryła go, biorąc wszystko na siebie, a to z miłości. Teraz zaś, skoro on już i tak siedzi - jej zaś tylko na siebie winy wziąć się nie udało - mówi prawdę i stwierdza, że ona sama z całym tym napadem nie miała nic wspólnego.

Milicja dalej nie wierzyła. Mówiła jej, jak komu dobremu, tak: przyznałaś się już, żeś ukradła, potem przyznałaś, że ukradł twój narzeczony. Uprzejmie więc jesteś proszona, abyś obie wersje połączyła i przyznała się wreszcie, żeś ukradła razem z narzeczonym, Nikt przecie nie uwierzy, żebyś tak z miłości robiła z siebie złodziejkę.

Ale Maria R. uparcie powtarzała wersję ostatnią: narzeczony kradł - ona niewinna.

Tymczasem Antoni L. powiedział, co następuje: w żadnym napadzie nie brał udziału. Dowiedział się o nim nocą, która nastąpiła po tych wydarzeniach, kiedy pani jego serca złożyła mu nocną wizytę, pomawiając o udział w rabunku i wymyślając mu od ostatnich. Po tej rozmowie, której treść jest wynikiem jakiejś fatalnej omyłki, on, Antoni L. zorientował się, że ukochana zaraz tę bajdę opowie na milicji, dał więc drapaką, ponieważ ogromnie nie lubi siedzieć. Nawet niewinnie.

Milicja nie dawała jednak wiary w tę uciekającą niewinność. Mówiła: „dobrze,

dobrze, pieniądze na stół”. I tak Antoni L. i MO nie mogli znaleźć wspólnego języka.

Zaaranżowano też kilka konfrontacji pomiędzy narzeczonymi. W ich trakcie dziewczyna mówiła: „Antoś, przecie krzyczałeś tam na drodze, żeby mnie nie bili - twojego głosu bym nie poznała?” Antoś zaś mówił, że na drodze nie był, nie krzyczał, żeby jej nie bili i byłby skończonym durniem, gdyby kogoś odwoził od myśli pobicia takiej idiotki.

Z wolna minął miesiąc. Śledztwo dobiegało końca. Antoniego L. obciążały zeznania stryja, u którego się chował. Gość wyraźnie bał się, że go znajdą. Dziewczyne znów obciążał fakt, że w zasadzie nikt - oczywiście poza urzędnikami bankowymi i pracownikami punktu skupu - nie mógł wiedzieć, gdyby nie mówiła, kiedy z grubszą forszą jechać będzie drogą.

Rezultaty dochodzenia były więc dobre, tyle, że prowadzący śledztwo wciąż nie widzieli owego worka forsy na stole, co wieńczyłoby ich dzieło i bez którego przełożeni ani myśleli uznać, że prokurator już może gotować akt oskarżenia.

*

Tymczasem w sąsiednim województwie odbył się dziwny napad na agronomówkę. Napad dający wiele do myślenia.

Otóż kiedy w domu agronoma, nocą, była tylko jego chora żona i dziesięcioletnia dziewczynka - weszli tam, wybijając szybę dwaj mężczyźni i obudzonej zagrozili nożem. Nie pozwolili zapalać światła i zaczęli myszkować po mieszkaniu świecąc sobie latarką, i ładując coś niecoś do worka.

Po ich odejściu agronomowa wezwała najpierw sąsiadów, a potem milicję. J oto okazało się, że bandyci zabrali tylko żywność. Znaleźli nawet pieniądze, pod ręką leżały różne cenne przedmioty. Rabusie jakby ciskali to ze złością i zabierali jedzenie.

Milicja puściła psy świeżym tropem. W lesie, o kilka kilometrów dalej, znaleziono szalasa, w nim zaś dwóch bandziorów od dawna poszukiwanych przez milicję. Okazało się, że ukrywającym się w lesie doskwierał głód. Zdecydowali się więc na ryzykowną wyprawę. Forsy nie ruszyli ani kosztowności. Mają jej dość. Cóż z tego, jednak, skoro bali się cokolwiek kupować, czyli pokazywać za dnia twarze.

Wśród licznych swoich grzechów bandziory wymieniły również, jako ostatni, napad na kasjerkę wiozącą pieniądze do punktu skupu. Oczywiście znaną nam kasjerkę.

Było to tak. Ukrywali się w stodole u pewnego znajomego chłopa, z którym spędzili kiedyś blisko rok w tej samej celi i uzyskali obietnicę gościny, gdyby

kiedykolwiek zapragnęli odetchnąć świeżym powietrzem. Siedzieli więc już tydzień u chłopa, ale zaczęła się dla nich towarzysko nieprzyjemna sytuacja. Nie mieli bowiem ani grosza, zaś chłop powiadał, że gości ich ze starej przyjaźni, ale żywić rad by za pieniądze. Wreszcie gospodarz sam podał im łatwy sposób zarobku. Mianowicie odstawił on do punktu skupu wieprza i tam nie wypłacono mu forsy, kładąc przyjąć nazajutrz, wtedy bowiem kasjerka przywiezie gotówkę. Jak się wiezienie owo odbywa, gospodarz wiedział. Podsunął więc myśl, że we trójkę zrobią „skok”, a w razie czego bandziory wezmą na siebie - im bowiem już i tak nic nie zależy, czy jeden występki mniej, czy więcej.

Jak umyślili, tak się stało. Jedną trzecią gotówki zainkasował potem gospodarz. Jego goście zaś z dwiema trzecimi, czyli obładowani setkami tysięcy - spieszenie zmienili okolicę.

Oba bandziory wśród mało znaczących detali - stanowiących okoliczności towarzyszące przedostatniemu rabunkowi - powiedzieli, że kiedy zwalili oni dziewczynę na ziemi i jeden z nich, boleśnie kopnięty, zamierzył się na nią - towarzyszący im chłop krzyknął: „nie bij jej!” Był bowiem pełen kurtuazji dla dam. Ten to okrzyk zaważył był właśnie tak bardzo na losie dwojga młodych ludzi.

Oboje narzeczeni zwolnieni zostali z aresztu.

List gończy

W Sądzie Powiatowym w L. nie odbyła się bardzo interesująca rozprawa. Na kilka dni przed wyznaczonym terminem procesu zdjęta została z wokandy. Była to sprawa z prywatnego oskarżenia Kazimierza R., domagającego się surowej kary dla Floriana W., który obraził artykuł 255 § 1 kodeksu karnego oraz jego osobiście, publicznie pomawiając o czyny, które oskarżyciela poniżyły w opinii publicznej, naraziły na utratę zaufania i przeszkodziły w spokojnym wykonywaniu pracy zawodowej.

Niezwykłe były okoliczności, które spowodowały, że sprawa ta wpłynęła do sądu. Jeszcze bardziej niezwykłe te, które sprawiły, że proces się nie odbył. Niezwykłości więc jest tyle, że radzę nadstawić ucha.

Miejscem akcji nie jest wieś i nie jest miasto tylko położone koło wsi małe osiedle przyfabryczne. Radiowęzeł obsługujący głośniki, umieszczone w mieszkaniach, których właściciele nie mieli radioodbiorników, retransmitował z programu ogólnopolskiego dziennik wieczorny. Po dzienniku spiker przeczytał list gończy.

Poinformował, że odpowiednie organa poszukują obywatela Kazimierza R., zamieszkałego właśnie w miejscu naszych wydarzeń, który wygląda tak a tak (następował dokładny opis wyglądu naszego bohatera) i jest groźnym przestępcą gospodarczym.

Kazimierz R. nie słyszał komunikatu i nadal spokojnie oddawał się przedwieczornemu odpoczynkowi. Wiadomość przyniósł mu sąsiad. Pan R. uznał to za kiepski żart: przecież radio jest u niego otwarte, a nic takiego nie słyszał. Niebawem przyszedł wszakże i drugi sąsiad z tą samą nowiną. Pani R. zaczęła się niepokoić, powiadając, że przecież nie zwracali uwagi na to, co mówią w radio. Kazimierz R. miał już minę niewyraźną. Jego żona poszła po kominkach dowiadywać się, czy jeszcze ktoś o tym słyszał. U jednych znajomych nie słyszano, u drugich nie słyszano, ale kiedy przechodziła ulicą, ktoś ją zagadnął, co to się stało, że męża poszukuje milicja, bo właśnie siostra słyszała. Pan Kazimierz R. wysłuchawszy sprawozdania z żoninej misji, jął się denerwować. Wyjaśnił sąsiadom, że to na pewno jakaś omyłka. I że natychmiast idzie na milicję - to sprawa się wyjaśni.

Żona chciała mu dać nawet wałówkę na drogę, ale się zachnął przerażony. Nie przyjął też zapasowej paczki papierosów, żeby nie kusić złęgo. Powiadał, że przecież był w robocie, a potem siedział w domu i nikt go nie szukał. Przecie milicja, nim dałaby wiadomość w radio, po prostu by do niego przyszła.

Kazimierz R. powędrował na milicję. Do posterunku było parę kilometrów. Zaszedł

tam późnym wieczorem. Dobijał się tak długo, aż dobudził dyżurnego milicjanta. Ten nic nie wiedział, ale posłał chłopca po komendanta. Komendant przyszedł, ale też nic nie wiedział i połączył się z powiatem. Oficer dyżurny w powiecie też niczego nie wiedział, nakazał przenocowanie gościa do rana, a rano będzie się sprawę wyjaśniać.

Bohatera listu gończego ułożono więc na posterunku, pocieszając, że i tak po nocy nieporęcznie by mu było drałować z powrotem do domu. Rano powiat zaczął sprawdzać. Dopiero w porze obiadowej zadzwonił telefon i Komenda Powiatowa autorytatywnie nakazała wypuszczenie delikwenta do domu, wyjaśniając, że nikt go nie poszukuje i że oni już sprawdzą co to za cudowne wydarzenie z tym komunikatem radiowym.

Koło trzeciej po obiedzie dnia następnego Kazimierz R. wrócił do domu. Żona była już pewna, że został aresztowany. Nazajutrz Kazimierz R. poszedł do pracy.

W biurze zastał duży ruch. Właśnie drugi już dzień trwała rewizja ksiąg. Kiedy rozeszła się wiadomość o komunikacie radiowym, a potem Kazimierz R. nie zjawił się w pracy w biurze, uznano, że lepiej nie czekając na odgórne komisje i na prokuratora, łapać byka za rogi. Pojawienie się Kazimierza R. i jego wyjaśnienie, że to omyłka nie zahamowało podjętych działań. W międzyczasie bowiem zdążono już coś niecoś wykryć. Telefonowano też do Zjednoczenia i rewidenci byli w drodze.

Autora komunikatu radiowego wykryto tegoż dnia. Obyło się nie tylko bez Sherlocka Holmesa, ale i bez oficerów śledczych. Wszystko załatwił w godzinę miejscowy posterunek. Już kilka rozmów z ludźmi pozwoliło stwierdzić, że słuchający dziennika posiadacze aparatów lampowych nie słyszeli komunikatu, a posiadacze głośników zasilanych przez radiowęzeł - słyszeli.

Szef miejscowej radiofonii przewodowej i spiker w jednej osobie natychmiast przyznał się, że to on jest autorem kawału. Kiedy skończył się dziennik, włączył on swój mikrofon, rozregulował aparaturę, żeby spowodować trochę zakłóceń, maskujących jego doskonale wszystkim tu znany głos i odczytał przygotowany komunikat o znanej nam treści. Wyjaśnił, że on tak dla kawału.

Milicjanci powiedzieli, że co on za to będzie miał - to on zobaczy i na tym na razie sprawa się skończyła. Oczywiście dla sprawcy zajścia, a nie dla jego ofiary.

O poszukiwaniu Kazimierza R. jako głośnego przestępcy dowiedziała się znaczna ilość ludzi. O tym, że to był kawał młodego człowieka z radiowęzła - wiedzieli tylko nieliczni. Stąd nękanio Kazimierza R. pytaniami co to za cud, że paradyje on na wolności. Zagadywano o co chodziło, co przeszkrobał itd.

W tym stanie rzeczy Kazimierz R. pojechał do powiatu, złożył wizytę w milicji,

zasięgając rady co robić i skorzystał z tej, której mu udzielono: żeby sprawcę skarżył do sądu.

Miejscowe biuro pisania podań wysmażyło mu pozew i Kazimierz R. uspokojony jął czekać na termin rozprawy.

Zarazem wysłał list do przełożonych żartownisia i po dwóch tygodniach odniósł on pozytywny skutek, to znaczy Floriana W. zwolniono z pracy.

Tymczasem w biurze Kazimierza R. trwała kontrola obejmująca coraz to nowe komórki. O jej wynikach szarzy pracownicy niewiele wiedzieli. Wszystko okryte było mgłą tajemnicy.

Potem zaczęły się przesłuchania. Stwierdzono szereg nieformalności umożliwiających popełnienie przestępstwa, tj. dokumentacja różnych procesów cyrkulacji dobra po fabryce nie była dokonywana na odpowiednich blankietach. Poza tym stwierdzono, że magazynier fałszował faktury, przerabiając na nich cyfry, czyli innymi słowy kradł. Magazyniera zamknięto. Współpracownicy koso patrzyli na Kazimierza R., jako że to „przez niego” nieszczęście zważyło się na zakład.

Wreszcie i Kazimierz R. został przesłuchany. Na fałszowanych fakturach znajdował się jego podpis, jako osoby sprawdzającej je pod względem merytorycznym.

Magazynier zeznał, że Kazimierz R. wiedział, iż niektóre faktury są fałszowane. Z początku, kiedy w tej sprawie wzywał magazyniera, ten tłumaczył mu, że tu chodzi o krycie drobnych niedoborów powstających z przyczyn naturalnych. Potem zaś w kilku wypadkach wręczał mu niewielkie kwoty pieniężne: 300-800 zł. Łącznie w ciągu roku i kilku miesięcy Kazimierz R. miał dostać około 3 tysięcy za krycie kradzieży na sumę około 40 tys.

Prowadzący dochodzenie przypomnieli sobie o dowcipnisiu z radiofonii przewodowej. Przesłuchany zaprzeczył, jakoby cokolwiek wiedział o dokonywanych przez Kazimierza R. nadużyciach. Nie bardzo dawano mu wiarę. Kilka razy proszono o powtórzenie zeznań. Któż bowiem uwierzy w tak dziwny zbieg okoliczności? Florian W. zaś powiadał, że gdyby cokolwiek był wiedział, to teraz by się z tym nie krył. Czeką go przecież procesy za ten dowcip. Dla niego lepiej byłoby móc powiedzieć, że coś wiedział i chciał w ten sposób uruchomić maszynię, którą bezwiednie uruchomił.

Tymczasem Kazimierz R. siedział w śledztwie. Z początku nie przyznawał się do winy. Potem zmienił zeznania.

Kiedy już dochodzenie było zamknięte, odwiedził go w areszcie adwokat. Między innymi mecenas rzekł, że złożył mu wizytę Florian W. i prosił, żeby nakłonił Kazimierza R. do cofnięcia z sądu pozwu. obrońca radził postąpić w myśl tej

prośby. Po co Kazimierzowi R. znajdującemu się w takich opałach proces, który narobi wokół niego dodatkowego szumu, szczególnie, że nie wiadomo, jak się sąd ustosunkuje do zniewagi mimowolnie prawdziwej i mimowolnie rzuconej w interesie społecznym.

Kazimierz R. pozew wycofał.

Florjanowi W. nie na wiele się zdała gloria człowieka, który sprawił, że wyszło na jaw przestępstwo gospodarcze. Nie został przyjęty na powrót do pracy.

Zresztą czyn jego miał negatywny wydźwięk propagandowy. Wśród miejscowej ludności wywołał bowiem przekonanie, że wystarczy strzelić na oślep słowem „złodziej” - a na złodzieja się zawsze trafi.

My, ludzie rozumni, jednak wiemy, że można strzelać Panu Bogu w okno i trafić do celu, nie znaczy to jednak, że jak by i gdzie by nie strzelać - padnie zając.

Mieszkańcom pewnego osiedla nikt tego wszakże nie wytłumaczy: sami widzieli.

Dodajmy, że teraz w stronach, o których piszemy, radio słuchane jest z zainteresowaniem.

Pod ryzyką

Wiktor B. ma 18 lat, jest drobny, ma blond czuprynkę. Wygląda na mniej niż pełnoletność. Wiktor B. tę resztę życia, która mu pozostała, resztę znaczną - 40, 50 czy 60 lat spędzi w więzieniu. Dla człowieka jest rzeczą paskudną siedzieć za kratkami. Ale rzeczą stokroć paskudniejszą, niż samo siedzenie, jest świadomość, że nigdy z zamknięcia się nie wyjdzie.

B. jest mordercą. Nie jest wszakże zawodowym zbrodniarzem, ani rabusiem, który uderzył za mocno, ani też człowiekiem, który umyśliwszy sobie kogoś zabić - kalkuluje, morduje, przystaje na ryzyko i wpada.

We wsi W. pod Mińskiem Mazowieckim obchodzono Boże Ciało i ludzie śpiewali religijne pieśni pod figurą. Nagle czterech młodzieńców zaczęło bić dwóch innych młodzieńców, którzy szli sobie drogą. B. w czasie bójki, trwającej 2-3 minuty, wyciągnął z kieszeni nóż. Jakaś sekunda, przelotna myśl i oto zrodziło się w nim takie postanowienie, a może odruch, żeby nóż wyciągnąć, a potem uderzyć nim w gardło antagonisty - Adama D. Teraz cała czwórka kopie rannego. D. umiera. Po chwili chłopcy ze wsi odprowadzają mordercę na milicję.

B. siedzi na ławie oskarżonych i z wysiłkiem duka zeznania, jakby nauczyciel wyrwał go do odpowiedzi z przedmiotu, który nie bardzo rozumie. A potem ukrywszy twarz w dłoniach martwieje, godzinami nieruchomy i zda się obojętny. Apatia? Mniemanie, że taka poza przystoi oskarżonemu? Reżyserowana skrucha?

*

B. i 3 współoskarżonych: mieszkają w wiosce B.

Razem chodzili do szkoły, razem pracują w pobliskim miasteczku. Po pracy wracają do domu. Wkładają białe koszule i idą do sąsiedniej wsi zasobnej w piękne dziewczęta. Oto jak schodził im czas:

„Wszedł do gospody, spotkał kolegę, wypili, poszli do domu, posiedzieli, wypili, wyszli z domu, stanęli na drodze, ktoś przechodził - zagadnęli, przeszli się, wrócili do domu, wyszli, stali na drodze. Weszli do Wacława C., pogadali, ktoś ruszył im rower - wyszli, poszli do Wólki, siedzieli u dziewczyny, wyszli, było ciemno, poszli do domu”.

Ów styl bycia, nasiąknięty nudą, zwie się na wsi „kawalerką”.

Wiejski chłopak ma mało na nią czasu. Pracuje cały dzień. Łazęgowanie jest przywilejem niedzieli i zimowych wieczorów. Nasi bohaterowie pracują w mieście jako rzemieślnicy. Ich czas pracy trwa tylko 8 godzin. Miejska dniówka sprzęgnięta z wiejskim obyczajem - daje nowe wydanie „kawalerki”, zintensyfikowanej w swej

nudzie i bezsensie.

Młodzi ludzie w białych koszulach przychodzą do W. i spędzają wieczory w chałupach wciąż tych samych dziewcząt. Cała wieś wie, kto do kogo chodzi, że B. do K., a K. do Kazimierzy R. Owo „chodzenie” oznacza dosłownie: przychodzenie i siedzenie. Młodzi nie precyzują charakteru swoich stosunków, nie mówią o uczuciach, nie flirtują, nie pada między nimi żadne słowo, które podkreślałoby sympatię, zakochanie, znaczyło jakieś awanse. I gdy takie słowo padnie - będzie to już propozycja matrymonialna. A jeśli nie spotka ona zgody drugiej strony - chłopak zostanie straszliwie zhańbiony. Strach przed śmiesznością paraliżuje. Siedzą więc u dziewcząt młodzi ludzie w białych koszulach, śmieją się i żartują, piją, jeżdżą na rowerowe wycieczki (to już drugi miejski obyczaj), śpiewają. Wszystko sielsko, anielsko i bogobojnie.

K. długo chodził do Kazimierzy R. Stąd wieś uznała, że jest jej narzeczoną (młodzi między sobą nigdy o tym nie mówili). Panna Kazimiera jest technikiem budowlanym. Ma lat 19. Pewnego dnia doszły do niej słuchy, że rodzice K. chodzą i gadają, iż nie dopuszczą do ślubu syna z Kazimierą R., bo jest ona za biedna.

Dziewczyna jest urażona - o żadnej żeniączce nie było jeszcze mowy, a tamci już nie pozwalają. Dalej: ona jest technikiem i najpiękniejszą dziewczyną w całej wsi - a K. nie dostrzegają tych jej walorów, na dzisiejsze czasy o ileż więcej wartych niż morgi! Urażona panna zakazuje więc Staszce K. wstępu do swojego domu.

To straszna hańba. K. nigdy się nie przyzna, że pokazano mu drzwi. Opowiada, iż to on postanowił więcej nie przychodzić, bo R. z kim innym poszła na zabawę. Odtąd pała nienawiścią do dziewczyny. Niestety - na pannie młody człowiek nie może w żaden sposób wyładować swojej nienawiści. Zna bowiem jeden tylko sposób zemsty - przylać.

Na horyzoncie niebawem pojawia się właściwy obiekt do vendetty - do R. zaczyna codziennie przychodzić Adam D., robotnik z Mińska, aktywista ZMS i w ogóle znaczna postać. Po wsi gada się już o ich przyszłym ślubie.

Teraz dla B., K. i towarzyszy czas, którego jest za wiele, owe łążegowanie po wsi bez celu zyskuje jakąś siłę motoryczną - dopaść D. Jest o czym gadać, jest kogo „śledzić”, jest pod czyimi oknami wykrzykiwać pogroźki. K. swoją nową pasją zaraza kumpli. Ideologię zamierzonego mordobicia, taką, która porwie kolegów łatwo jest dorobić - D. i jego kolega P. są „obcy”, przybyli tu z innych powiatów, a mimo to korzystają z terenów łowczych chłopców z B. - łążą do dziewcząt z W.

D. chodzi do W. z przyjacielem o nazwisku P.D., prowadzi kolegę do panny K. U niej zaś stale przesiaduje B. Mamy więc nowy powód do nienawiści.

Nasz blond osiemnastolatek z ławy oskarżonych opowiada tedy w swojej szewskiej

spółdzielni, gdzie pracuje, że warto posiedzieć 5 lat, aby tylko zabić D.

Boże Ciało. Czterej przyjaciele są na bańce, czyli „pod ryzyką” - jak powiadają w W. Akurat jest wieczór. Akurat D. z P. idą sobie drogą. Czwórka oskarżonych rzuca się na nich i zaraz potem B. dobywa z kieszeni nóż.

Historia tej zbrodni jest krótka jak błysk noża. Ani ją przerobić na balladę podwórkową, ani pokazać w kinie.

Proces toczy się w trzy miesiące po morderstwie. Teraz w obu wsiach nie ma już problemu D. i jego śmierć. To już zamierzchła przeszłość. Jeśli na Sali sądowej wśród publiczności istnieje jakaś emocjonalna pamiętliwość - przeżywanie faktu, że zabito człowieka - to reprezentuje ją tylko matka zmarłego. Rozprawie akompaniuje jej cichy, przejmujący płacz.

Teraz żywa jest sprawa B. Jego brat grozi świadkom oskarżenia, że ich pozabija. Kto to słyszał? Kto to może stwierdzić? Nikt. Wieś tak mówi. A wieś, to nie tylko zbiór ludzkich ust - to również oddzielne duże usta.

Teraz na sali dominuje - a po ogłoszeniu wyroku jeszcze wzmacnia się - litość dla B. Że taki młody, że ma niesforną blond czuprynę, że drobniutki, że całe życie będzie siedział w więzieniu za jeden odruch, trwający zaledwie mgnienie oka. Że to przecież ot głupoty, chłopaczki się pobili, że ten P., przyjaciel zabitego - który teraz stoi przed sądem jako świadek oskarżenia - też mógłby, w czasie tej bójki kogoś tam za mocno trzasnąć, że to przecież był nieledwie wypadek.

Na ludzką wyobraźnię działa bardziej aktualna śmierć za życia B., niż śmierć rzeczywista sprzed trzech miesięcy Adama D. A przede wszystkim takie „czubienie się” młodych o dziewczynę, wieczorem bójka na drodze, groźby brata skazanego - wszystko to jest taką samą obyczajową codziennością, jak owa „czerwcówka”, śpiewana pod figurą tuż przed morderstwem, jak śmigus-dyngus, choinka na Boże Narodzenie i niedzielne pogawędki pod kościołem. Oczywiście, że i na niebie nad W. latają czasem sputniki.

Najpiękniejsza we wsi

W pewnej wsi mieszkała dziewczyna taka piękna, że nie mogła ani uczyć się, ani pracować. Czasu po temu nie miała, głowy, ani chęci. Dniami i nocami robiła konkiętę.

Panna Franciszka L., kiedy miała 15 lat wyjechała ze wsi, by kształcić się w Liceum Nauczycielskim, ale zagrzała tam miejsce tylko przez dwa lata. Ponieważ nie wykazała dostatecznych postępów w nauce - kazano jej zapakować manatki. Wtedy wróciła do swojej wsi - właśnie już taka piękna.

Początkowo pracowała na poczcie. Pewnego dnia jej kierownik zostawił ją samą w urzędzie, ona zaś miała akurat ważne spotkanie pod lasem, zostawiła więc urząd otwarty i sobie poszła. Gdy wróciła, był już kierownik, milicjant i chryja. Szczęściem nikt niczego nie ukradł. Było to bardziej jej szczęście niż Ministerstwa Łączności (na poczcie akurat nie było wielkich sum pieniędzy).

Potem pracowała w ośrodku zdrowia jako kancelistka. Tę pracę sama rzuciła. Musiała bowiem wstawać o czwartej rano, żeby zdążyć na autobus odchodzący o piątej i jeszcze godzinę czekać na rozpoczęcie pracy. Więcej nie było w okolicy posad dla osoby tak wykształczonej i nie pozostawało Franciszce nic innego, jak wyjść za mąż. W domu było bowiem ani ciekawie, ani przyjemnie.

Postanowienie o zamążpójściu podjęła wkrótce potem, jak skończyła 18 lat i teraz pozostawało jej tylko wybrać kandydata. Nie była to sprawa łatwa, a w miarę upływu czasu i zdarzeń coraz trudniejsza. Kandydatów było wielu, za wielu i to właśnie utrudniało wybór.

Z tego, co o panie Franciszce L. wiemy, nie była ona skłonna do hamletyzacji i decyzje podejmowała po wojskowemu. Z mrowia starających się wyłuskiwała kandydata na męża i obwieszczała wszem i wobec o swojej decyzji. Zanim jednak dochodziło do ślubu, zawsze nawijał się jej ktoś odpowiedniejszy, co zmuszało naszą bohaterkę do rewidowania powziętej już decyzji. Nic nie skłamiemy, ani nie przesadzimy, oświadczając tu, że w ciągu około 8 miesięcy zmian takich zaszło cztery. A i to rachunek uczyniony jest z grubsza, nie bierzemy bowiem pod uwagę półnarzeczonych, którym uczyniona była tylko mętna obietnica, nie mająca wiążącego charakteru.

Wśród tych czterech był lekarz z ośrodka zdrowia, w którym pracowała, główny księgowy GS, leśniczy i syn zamożnego gospodarza i to z maturą techniczną.

Jeśli rewizor po jakiegokolwiek „linii” zjedzie do tego powiatu, którego nazwy wzdragam się zdradzić i zacznie tropić ludzkie konflikty: kto przeciwko komu jest

i dlatego, kto kogo gryzie lub wykańcza, kto na kogo donosi i za co, jaki jest skład członkowski poszczególnych klik czy kolektywów - w osobie Franciszki L. znajdzie uniwersalny klucz, tłumaczący wszelkie wydarzenia, które stały się powodem innych wydarzeń, determinujących układ mapy antagonizmów. Przesadzam tu mniej - niżby kto myślał. Przez chałupę papy i mamy L. przewinęło się bowiem prawie wszystko, co ma w powiecie jakiegokolwiek znaczenie, a nie skończyło jeszcze lat 35 i tu spotykało się, zadzierzgując przyjaźnie lub nienawiści.

Komplet ten spotykamy niebawem na sali sądowej w charakterze świadków, oskarżonych lub członków publiczności.

Przedostatnim narzeczonym panny Franciszki L. był - jak to już wspominaliśmy - syn zamożnego gospodarza (którego tytułowano „panie plantatorze”), 20-latek po maturze, myśliwy, pijak, motocyklista i obibok. Znany był on głównie jako pirat motocyklowy, o którą to sławę niełatwo na pustych polnych drogach. Miłość między nimi była bardzo romantyczna i termin ślubu już ustalony.

Dla uświetnienia tej okazji Jan O. - o nim to właśnie mowa - miał nawet przyjąć posadę. Już było dane na zapowiedzi, kiedy Franciszka L. zmieniła wybór i to w drastycznych okolicznościach.

Pewnego dnia interesująca nas (i wielu innych) panna pojechała do miasta powiatowego po sprawunki. Zima była wówczas sroga. Wskutek zasp autobus wiozący ją z powrotem do domu nie dojechał do jej wsi, tylko zawrócił. Kiedy zawracał, szofera poinformowano, że na jakiejś innej drodze już od dawna tkwi w zaspie autobus, więc żeby tam po drodze zawadził i wziął ludzi, bo ciut-ciut już zamarzają. Wśród nich znalazł się trzydziestoletni blisko urzędnik skupu lub kontraktacji, Ludwik M. Rzeczony też wracał do domu i nie dojechał, poza tym był zmarznięty i jako taki wymagał opieki. I tej właśnie opieki udzieliła mu Franciszka L.

Oboje zostali odcięci od swych domów i musieli szukać schronienia na noc w obcym, choć niezupełnie, ale zawsze, mieście powiatowym. Nazajutrz drogi były przetarte. W podobny sposób można określić ich drogę życiową. Ludwik M. pojechał razem z Franciszką L. do jej wsi i zabawił w niej tydzień na garnuszku przyszłych teściów, przez co bodaj przestał być urzędnikiem skupu lub kontraktacji (wśród naszych bohaterów sprawy zawodowe nie mają jednak istotnego znaczenia, przynajmniej o wiele mniejszą grają rolę niż sercowe). Dość, że już pierwszego dnia pobytu tej pary w rodzinnej wiosce naszej piękności - wsi i świata zostało ogłoszone nowe narzeczeństwo Franciszki L. z Ludwikiem M. A po pewnym czasie dano na nowe zapowiedzi i odbył się ślub.

Od ślubu należy cofnąć się nieco wstecz, aby stwierdzić, że Jan O. (pirat-motocyklista) czuł się oczywiście publicznie ośmieszony, jego honor uległ

brutalnemu zhańbieniu, serce było złamane itd. Aby ratować twarz młodzieniec musiał nieco przynajmniej uszkodzić twarz swojej byłej narzeczonej i z konieczności tej wyraźnie zdawał sobie sprawę. Przez cały dzień pił wraz z kompanią, a pod wieczór wziął kompanię, zaczął się na dziewczynę i zaczął ją bić, kiedy wyszła na dwór. Tak ją publicznie bił i bił, ale nie bardzo mocno, tyle tylko, ile honor tego wymagał. Potem doszedł do niego jeden i drugi kolega i odciągnęli go od dziewczyny. Jak się okazało Jan O. już z góry prosił, żeby go odciągnięto od dziewczyny, żeby z jednej strony nie musiał za bardzo bić, z drugiej nie musiał świecić przed wsią oczyma, że z własnej woli bił niezbyt mocno.

Dziewczyna bardzo płakała i wydała na całą wieś oświadczenie, że nie ma żalu do Jana O. i żeby więcej jej się na oczy nie pokazywał. W ten sposób i ona była zadowolona z zajścia, bo miała niejako z głowy wyrzuty sumienia, że dała kosza młodzieńcowi. Byli kwita.

Potem już był ślub. Ściślej biorąc - miał być ślub. Ceremonię wyznaczono na niedzielę. W przeddzień odbył się ślub, ale cywilny. Owej niedzieli, wczesnie rano, Franciszka L. poszła trzy kilometry do krawcowej, aby odebrać suknię po ostatnich poprawkach. Od tego czasu ślad po niej zaginął. Do krawcowej nie doszła - rozplynęła się po drodze i na własny ślub nie wróciła.

Podejrzenia skierowały się na Jana O. Młodzieniec pił od rana, potem wsiadł na motor - po raz pierwszy w tym sezonie - i pojechał w niewiadomym kierunku. Podejrzewano, że porwał oblubienicę.

Goście weselni popijali i smucili się. Najwięcej tym, że na motorze para ta na pewno się zabije. Przed wieczorem wywiad miejscowy doniósł, że Jan O. wrócił do domu jeszcze bardziej pijany niż wyszedł - rzecz jasna z żalu. Od razu wzięty został na spytki. Oświadczył, że nie widział na oczy panny młodej. Nikt mu nie wierzył. Zawiadomiono milicję.

Milicjant osobiście przesłuchał Jana O. Uznał jednak, że z solidnym dochodzeniem trzeba poczekać do rana, kiedy młodzieniec wytrzeźwieje. Rano, czyli w 24 godziny po zniknięciu panny Franciszki jej niedoszły powtórzył, że nie widział jej na oczy, że nic go ona nie obchodzi i że ma jak najgorszą opinię o jej morale. Co było robić? Bez powiatowej milicji zgoła nic. Zaczęły się poszukiwania na serio. O dziwo, nie przyniosły one rezultatu.

Franciszka L. wróciła do domu po czterech dniach. Jej weselne przyjęcie było zjedzone i wypite, po mężu nie było już śladu, wieś żyła w podnieceniu i zdenerwowaniu, matka w spazmach - oto smutny stan rzeczy, jaki zastała po powrocie.

W wyniku złożonych przez nią zeznań doszło do procesu karnego o porwanie. Na

ławie oskarżonych zasiedli dwaj młodzi mężczyźni. Na ławach publiczności pełno: „Panna młoda porwana w dniu ślubu”. Ku powszechnemu zdziwieniu niewtajemniczonych jeszcze w arkana śledztwa - na ławie oskarżonych nie było Jana O. - jedyne, który, logicznie rzecz biorąc, powinien był porwać dziewczycę.

Franciszka L. powtórzyła zeznania złożone w śledztwie. Oto one: szła do krawcowej drogą łączącą dwie wsie. Wkoło było pusto. Nagle zobaczyła, że jedzie traktor z przyczepą, na traktorze zaś ci dwaj z ławy oskarżonych (jednego z nich znała z jakiejś zabawy. Nawet tańczył z nią i smalił cholewki). Poprosiła o podwiezienie. Zamiast dowieźć ją do wsi, gdzie rezyduje krawcowa i wysadzić, dodali gazu. Wiedzieli, że ma brać ślub i zaśmiewali się z kawału. Chciała wyskoczyć w biegu (szybkość była zresztą niewielka). Wtedy ten znajomy przytrzymał ją siłą na przyczepie. Kiedy byli już wiele kilometrów od jej wsi, zaczęła płakać. Śmiali się. Tak zajechali do wsi położonej o dwadzieścia kilka kilometrów od jej miejsca zamieszkania. Tu ów znajomy zabrał ją ze sobą do domu. Obiecywał, że za godzinę odwiezie z powrotem tak, żeby zdążyła na wesele. Nie odwiózł. Zaczęli popijać. Zeszło się trochę innych dziewcząt z facetami. Zrobiła się zabawa. Wciąż czekała, aż ją odwieżą. Potem się wstawiła i już nie pamięta, co było dalej. Nazajutrz nie wróciła, bo wciąż czekała, aż ją facet odwiezie tym traktorem. Po czterech dniach pojechała do domu autobusem.

Obrońcy oskarżonych zasypali ją pytaniami o te cztery dni: nie - nikt jej nie więził. Nie, nie wiedziała, że kursuje autobus.

Nasza panna odpowiadała na pytania nieprzekonywająco i płacząc się w zeznaniach.

Oskarżeni oświadczyli, że istotnie dla kawału uwięzili Franciszkę L. do swojej wsi. Że gdyby bardzo chciała wracać, to by ją odwieźli z powrotem albo mogłaby pojechać PKS-em. Jeśli cztery dni siedziała w domu porywacza - widać nie chciała wracać.

Sąd uznał to rozumowanie za przekonujące. Uniewinnił obu oskarżonych, uzasadniając to tym, że co prawda niewątpliwie panna uwięziona została wbrew własnej woli, ale trudno przyjąć, żeby została w owej chacie pod jakimkolwiek przymusem. Nie można więc uznać tego za porwanie, a trzeba przyjąć, że był to nie najlepszy dowcip.

Żadnego ślubu, ani wesela we wsi Franciszki L. już jej nie urządzano. Zaraz po powrocie pojechała do swego męża Ludwika M. Miejscowi powiadają, że byleby pani Ludwikowej M. nie puszczać nigdzie w drogę, to małżeństwo może być nawet szczęśliwe.

Polskie drogi są bowiem niestety jeszcze wyboiste.

Testament Jaśnie Cioci

W stołecznej kawiarni zebrała się młodzież obojga płci. Prowadzono towarzyską konwersację, w której każdy chwalił się czym mógł lub chciał. Wielka tu wybuchła wesołość, kiedy 24-letni Mirosław S. powiedział, że ostatnimi czasy jest milionerem. Wynikła ona stąd, że S. znany był towarzystwu jako nie milioner i nie wyglądał na milionera. Niegdyś nieudany student, a obecnie dyspozytor samochodowy, ubrany był S. zawsze w tę samą wyświechtaną marynareczkę i kapelusik sporządzony z czegoś w rodzaju wołoku do froterowania podłóg, a poza tym zapowiedział, że nie ma forsy na kawę. Milioner uniósł się honorem i wyciągnął dokumenty: plany, kalkulacje, wyciąg z akt sądowych. Podsunął rozweselonemu towarzystwu paperek nazwany „inwenturą”. Oto co odziedziczył po cioci: 46 ha ziemi, w tym sad, inspekty i oranżerie, dom, meble, fortepian, samochód DKW, 5 krów, 2 konie, 6 świń, kury, maszyny rolnicze, srebro i garderobę łącznej wartości 1 milion 830 tysięcy złotych. Taka to Mirosławowi S., daj Boże każdemu, umarła ciocia.

Za zdrowie milionera wychylnono butelkę owocowego wina i na tym by się pasjonowanie jego fortuną skończyło, gdyby przy stoliku nababa nie siedziała wówczas dziewczyna, Maryla L., która ma wujka. W kilka dni później Maryla L. zjawiła się u Mirosława S. w pracy i była bardzo przejęta, bo mówiła, że wuj ma do niego interes i chce go poznać.

Życzeniu wuja stało się zadość w restauracji „Rarytas”. Mirosław S. poznał tu 60-letniego pana Michała K., który przedstawił mu się jako właściciel prywatnego przedsiębiorstwa. Otóż pragnie on wystawić sobie willę przy ulicy Jurośławskiej. Natomiast z przyczyn, którymi nie będzie swojego rozmówcy zabawiać, a których ten się zapewne domyśla, jeśli już zna życie, albo których ten się domyśli, kiedy je pozna, nie chciałby, żeby tytuł własności willi opiewał na jego nazwisko. Poszukuje więc kogoś, kto by wziął mającą powstać willę na swoje imię, takiego, który by mógł się wylegitymować, skąd ma pieniądze na podobne przedsięwzięcie. Wypłaci za to Mirosławowi S. 50 tys. zł w trzech ratach, w tym 15 tysięcy od razu, a po wystawieniu willi odda do jego dyspozycji jeden niekrępujący pokój, bo przepisy wymagają, żeby właściciel willi w niej mieszkał. Ponieważ wszakże S. mogłaby wpaść do głowy głupia myśl, żeby K. wykantować, więc młodzieniec wystawi weksle w wysokości odpowiadającej wartości willi, która będzie budowana i zostanie zapisana w hipotece na jego imię, a wtedy weksle te uzyskają hipoteczne zabezpieczenie na willi, albo jakieś inne, już adwokat to wymyśli, S. wyciągnął łapę po 15 tysięcy złotych zaliczki i od tego czasu podpisywał różne papierki związane z budową willi, które mu K. podsuwał do podpisu.

Willa ta stała się gwoździem do trumny S., tym ostatnim, bo pierwsze sam sobie powbił na kilka miesięcy wcześniej.

*

W przysiółku O., gromada T. jest dworek szlachecki wycięty ze starych obrazków i postawiony na ziemi. Osobliwością tego nie jedynego przecież w Polsce dworku było to, że jego pani przez nasze ostatnie dwudziestolecie ani nie dawała w Łodzi lekcji muzyki lub francuskiego, ani nie pracowała w krakowskiej „Desie”, ani nie była sekretarką w jakiejś dobrze opalanej instytucji o kulturalnych celach i personelu, jednym słowem nie robiła nic z tego, co panie z dworków zwykły robić, tylko spokojnie sobie mieszkała w „pałacu” i gospodarzyła na folwarku. Był ów przysiółek takim w Polsce miejscem, gdzie jeszcze w r. 1968 dziedziczka wieczorem grała na fortepianie, a rano cięła nożycami róże do wazonów. Nic w tym nie byłoby nadzwyczajnego, skoro jej „folwark” ma tylko 46 hektarów, gdyby nie ów pełen antyków dworek, fortepian, malwy, róże i cały wystrój drobnoziemiański właśnie - a nie badylarski. Mirosław S. był dalekim, ale za to jedynym krewnym tej cioci dziedziczki - Marii K.

Za czasów szkolnych jeździł tam czasem na wakacje.

Wiosną 1968 roku S. otrzymał telegram, że ciocia zachorowała i prosi go o przyjazd. Pojechał. Na miejscu znalazł ciocię w kiepskim stanie i lekarza namawiającego, żeby ją ekspediować do szpitala. Zebrani znajomi chorej i sąsiedzi traktowali go jako dziedzica w obojnakim słowa tego sensie. Nasz młodzieniec wszedł w rolę. Zatelefonował do Radomia po swoją mieszkającą tam ciocię (z K. zresztą nie spokrewnioną), bowiem czując się zmuszony eskortować chorą do szpitala, chciał zostawić kogoś, kto popilnuje domu i trojga folwarcznego personelu. Ciocia przyjechała.

W kilka dni później Maria K. zmarła. Tegoż dnia S. wrócił do O. i zaczął szukać testamentu, który, jak wezwanie go przez K. i logika wskazywały, ustanawiał go spadkobiercą tego egzotycznego kramu z fortepianem, różami, dekwą i trzodą chlewną. Pogmerał w antykach, znalazł testament i rozczarował się paskudnie. Testament spisany był ręką własną zmarłej i poświadczony przez jej gosposię i parobka stanowił, że „majątek idzie na kościół”, książki dla szkoły miejscowej, auto i meble dla plebana, a dla Mirosława S. są pamiątki rodzinne. Testament ów sporządzony był w r. 1956.

Mirosława S. szlag trafił i wstąpiła weń energia. Załadował on ciocię z Radomia - Józefę Ł. do samochodu marki DKW, pojechał do szpitala, do nieboszczki, wyjął z jej torebki dowód osobisty i pognał z żywą spośród swoich cioć do notariusza. 18 kwietnia, w dniu śmierci Marii K. rejent urzędowo stwierdził, że stawiała się przed nim Maria K., wylegitymowała się dowodem osobistym numer taki i taki,

i podyktowała testament czyniący Mirosława S. swoim jedynym spadkobiercą. Józefa Ł. nienagannie wywiązała się w zastępstwie zmarłej ze wszystkich towarzyszących takiej ceremonii formalności.

Potem odbył się pogrzeb. Następnie Mirosław S. przedstawił adwokatowi oba testamenty i inne potrzebne dokumenty, adwokat wystąpił do sądu z wnioskiem o stwierdzenie nabycia spadku przez Mirosława S., ciocia Józefa Ł. z Radomia została na gospodarstwie, zaś nasz bohater wrócił do Warszawy i pochwalił się w kawiarni, że jest milionerem.

*

Dla Mirosława S. przyszedł teraz dobry czas. Tak dobry, że wkrótce poprosił o zwolnienie z pracy. K. pożyczał mu pieniądze a konto milionów, które niebawem miał uzyskać z O. Ciocia Józefa słała ze wsi wiktuały. Sam S. wyjeżdżał kilkakrotnie zabraną przez się dekawką po zmarłej cioci na wieś, wyjmował z szaf srebra i inne cenności i sprzedawał. Adwokat pisał doń, że wszystko jest na jak najlepszej drodze. Po dwóch wszakże miesiącach tego szczęścia S. zgarnęła w Warszawie milicja.

Nasz bohater był pewien, że cała afera z testamentem wyszła na jaw i odetchnął głęboko, kiedy się dowiedział, że to nie to. Milicja rada była wiedzieć, jakim to cudem na placu budowy jego willi znalazły się materiały budowlane, zdające się pochodzić z budowy państwowej, jeśli sądzić po osobie ich dostawcy. S. poczuł, że kamień spada mu z serca, i natychmiast oświadczył, że de facto on nie ma z tą budową nic wspólnego. Niech milicja pyta pana K. Wyznanie to nie otwarło mu wszakże drogi do wolności. Prowadzący dochodzenie nie taił, że sprawa staje się zagmatwana, od aferki budowlanej wiedzie w gąszcz interesów prawdziwego właściciela willi i rola w tym wszystkim S. nie jest na tyle jasna, by mógł on już iść do domu. W ten bolesny sposób S. został niejako oderwany od wiadomości o tym, co się dzieje w odziedziczonych przezeń włościach. Działo się tam zaś to, że Józefa Ł. zdążyła zdrzeć ze wszystkimi sąsiadami, że miejscowych kłuło w oczy, iż mająteczek podupada i że na tle tych nastrojów rodziły się tam różne plotki. Otóż oboje pracownicy dawnej „dziedziczki”, którzy kontrasygnowali jej testament szeroko opowiadali o jego treści, dziwując się, że pani nagle przed śmiercią odjęła ów kasek od ust kościołowi, żeby nowym testamentem przeznaczyć go przybłędzie. Pytano Józefę Ł. jak to było. Ta wyjaśniła, że przed śmiercią pani K. skoczyła do notariusza i załatwiła nowy testament. Rewelacja ta potraktowana została podejrzliwie. Widziano, że K. odjeżdżała ze wsi ledwie zipiąc karetką pogotowia. Szczegóły jej agonii były znane. Plotki zaczęły zataczać krąg na tyle szeroki, że dotarły do prokuratury.

Tymczasem akta sprawy spokojnie drzemały sobie w sądzie. Reprezentant władz

śledczych złożył im tam wizytę i po niedługiej chwili mógł otworzyć oficjalne dochodzenie. Rewelację wykrył nie byle jaką: akt zgonu i dokumenty szpitalne stwierdzały, że 18 kwietnia o godzinie 6 rano K. zmarła w szpitalu, a akt notarialny stwierdzał, że też Maria K. o godzinie 14 zjawiała się osobiście u notariusza, energicznie zaprzeczającego, jakoby urządzany był seans spirytystyczny. Po Józefę Ł. pojechała milicyjna „Warszawa” i zaraz też ciotunia Ł. opowiedziała jak to, dla dobra swojego siostrzeńca, zagrała u notariusza rolę innej cioci, nieboszczki Marii K. Prokurator podpisał akt aresztowania cioci Józefy i zarządził odszukanie w Warszawie i posadzenie do ciupy szczęśliwego spadkobiercy.

Ale sąsiedzi i dozorca poinformowali milicję, że lokator S. kilka tygodni temu znikł. Kiedy go wreszcie odnaleziono w zupełnie bezpiecznym miejscu, pakował już węzełek i żegnał się z przyjaciółmi w celi. Prokurator obiecywał mu właśnie już, już podpisać zwolnienie z aresztu tymczasowego.

Niedoszłego milionera żegnamy w chwili, kiedy w milicyjnej asyście odjeżdża pociągiem w stronę, gdzie leżą jego rodowe dobra. Czekają go proces o inspirację i współudział w sfałszowaniu testamentu.

W dbałości o stosowne zakończenie tej nieskończonej jeszcze dla Mirosława S. historii, pozwalamy sobie przydać jej morał zawierający taką oto naukę: kiedy już zdarzy się komuś coś tak niesłychanego, jak mieć dziś ciocię posiadającą dworek, fortepian, antyki, hektary, krowy, świnie, auto (choćby i DKW), inspekty i cieplarnie, ule, róże, srebra i pamiątki rodzinne, a nie mającą innych niż nas samych krewnych, to naprawdę warto zakrzętnąć się koło niej za jej życia, a nie dopiero po śmierci.

Sprawa z aniołkiem w roli głównej

Państwo T. na grobie synka wystawili okazały nagrobek, na którym prostopadle stojącą płytę z tekstem wspierała u boku niższa od niej, cementowa, prostokątna kolumnienka z nagim aniołkiem. Długo on nie powstał. Pani T. przyszedłszy na grób synka zobaczyła ze zgrozą, że aniołek został odłupany z postumentu i znikł.

Zawiadomiona została milicja, która bezowocnie szukała wandala i chuligana. Państwo T. zamówili zaś wzmocniony duplikat aniołka. Posązek numer dwa zbrojony był od wewnątrz żeliwnym rdzeniem. Nie minęło kilka dni, jak pani T. ujrzała na grobie li tylko wygięty metalowy pręt-kikut. Aniołek znów był odłamany i jak przedtem nie znaleziono nawet jego szczątków. Ktoś zawziął się na aniołki. Państwo T. dali za wygraną. Na żeliwny rdzeń nasadzili doniczkę z ozdobnym krzewem, który wiadł przez nikogo nie niepokoiony.

Wczesną wiosną w położonym o kilometr od cmentarza gospodarstwie spuszczonego wodę w stawie rybnym, wyzbierano w mule karpie, przerzucono do bliźniaczego stawu i rozpoczęto odmulanie dna. Przy tej okazji pan badylarz znalazł oba aniołki i zawiadomił o tym pana T. Masywniejszego z aniołków odświeżono i przytwierdzono na powrót do nagrobka. Zaraz potem pan T. przyszedł do cmentarnego dozorca. Wpierw pokazał dozorcę milicjanta, który stał koło niego, potem sto złotych i przy użyciu obu argumentów skłonił recepcjonistę tego smutnego hotelu, żeby przez kilka nocy sypiał czujnie i dawał baczenie, czy kto nie dybie na aniołka. Stróż wypożyczył sobie bardzo szczekliwego psa i wkrótce, nocą, zbudzony szczekaniem, wyjrzał przez okno i zobaczył mężczyznę w deszczowym płaszczu, który wychodził przez cmentarną bramę. Ubrał się dozorca i pobiegł za nieznajomym, ale zbyt blisko nie śmiał podejść. Widział tylko zniekształconą sylwetkę. Pan dozorca domyślił się, że pod płaszczem osobnik niesie aniołka. Stróż szedł za mężczyzną wytrwale, ale dyskretnie. Stwierdził, że nieznajomy znika w furtce domku Lesława C.

Nazajutrz rano milicja znalazła w pojemniku na śmieci, stojącym w podwórzu pana C., resztki zgruchotanego siekierą anioła.

Osobistym wrogiem aniołków był sam pan Lesław C., kierownik powiatowego zarządu dróg i mostów. Wysoka ranga urzędowa sprawcy czyniła sprawę delikatną, tym więcej, że opinia publiczna już wiedziała, że to kierownik spędzał noce na cmentarzu, czając się z siekierą na aniołki. Pana C. przesłuchał osobiście prokurator, uprzedzał, że będzie on sądzony za niszczenie przedmiotów kultu religijnego i żądał wyjawienia motywów.

Kierownik dróg i mostów w całym powiecie patrzył na prokuratora ponuro

i milczał. Czyniło to ze sprawy delikatnej - sprawę jeszcze delikatniejszą. Adwokat aniołkoburcy niewątpliwie zażąda - debatowano w prokuraturze - żeby psychiatra obejrzał jego klienta, który bez wyraźnej przyczyny obalał aniołki. Nie będzie to politycznie, kiedy się okaże, że od 18 lat w powiecie drogi i mosty buduje i konserwuje facet, który „nie tego”... Poratowano się wystąpieniem pisemnym do kurii biskupiej o opinię, czy nagrobny aniołek jest przedmiotem kultu religijnego. Dyplomatyczna odpowiedź zawierała stwierdzenie, że jest, choć nie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ustawa zakazuje niszczenia przedmiotów kultu, nie wspominając o tym, czy chodzi o przedmioty w ścisłym, czy w nieścisłym słowa znaczeniu, co otwierało przed prokuraturą pewną swobodę interpretacji. Dokonano jej na korzyść winowajcy. Sprawa Lesława C. spadła do kolegium orzekającego, gdzie mu rypnięto wysoką grzywnę bez hałasu i psychiatrów. I wszyscy myśleli, że na tym sprawa ucichnie, sprawiedliwość będzie syta i aniołki całe, gdyby nie pan T., który zaczął paskudnie rozrabiać.

Sprawa całkowicie przestała być anielska, nabrała czysto ziemskiego wymiaru. Pan T. zaczął nękać władze wizytami i listami. Powiadał tak: przez wiele lat pracował w zarządzie dróg i mostów jako brygadzysta i był podwładnym pana C. Kilka miesięcy temu ktoś zadzwonił do milicji nie przedstawiając się, zachęcił ją do przeszukania jego ogrodu i odłożył słuchawkę. Milicja skorzystała z anonimowej rady i w ogrodzie pana T. znalazła zwój drucianej siatki wartości kilkuset złotych, stanowiącej własność, jak to zaraz ustalono, przedsiębiorstwa, w którym pan T. był brygadzystą. Wytoczono mu sprawę o kradzież, ale sąd go uniewinnił z braku dowodów winy. Nie znaleziono w tej sprawie niczego poza samą siatką.

Pan T. twierdził, że nie ma pojęcia, skąd się ona wzięła w jego ogrodzie i że nie kradł, bo po pierwsze - do leżącej w magazynie siatki nie miał żadnego dostępu, po drugie - nie kładłby kradzionego tuż za ażurowym płotem, przy drodze, tak żeby każdy mógł zobaczyć, że pan T. ukradł siatkę, której przecież w sklepie nie można kupić. Nim jednak zapadł wyrok skazujący, pana T. wylano z pracy. Myślał - dopust losu i poszedł do pracy na kolei. Teraz dopiero otworzyły mu się oczy. Nie ma dowodów na to, co mówi, ale jest pewien, że ten sam człowiek, który siekierą załatwiał aniołki na grobie jego dziecka, podrzucił mu siatkę, żeby pozbyć się go z pracy i wsadzić do kryminału. Czemuż pan C. ma się za to wszystko wykupić trzema tysiącami złotych grzywny.

W oskarżeniach pana T., kierowanych przeciwko panu C., był pewien słaby punkt. Skrzywdzony nie mógł objaśnić, nawet hipotetycznie, dlaczego kierownik dróg i mostów jest taki nań zawzięty, że nie popuści nawet aniołkom na grobie jego synka. Mimo istnienia tej luki w oskarżeniach wznowiono dochodzenie w sprawie kradzieży siatki. Chodziło między innymi o stwierdzenie, czy obywatel Lesław C. może nadal kierować drogami i mostami, czy też jest przestępcą, a może

człowiekiem niepoczytalnym.

Ustalono, że w przeddzień poranka, kiedy milicja kierowana przez anonimowego informatora do ogrodu pana T., znalazła w nim państwową siatkę ogrodzeniową, kierownik Lesław C. polecił wydać z magazynu pół tuzina bel siatki dla ogrodzenia składu narzędzi urządzonego przy kierownictwie robót drogowych o kilka kilometrów od miasta. Następnie kierownik Lesław C. sam pojechał z siatką ciężarówką i znajdował się w niej tylko z szoferem. Kazał mu stanąć koło domu pana T. i wysłał go do środka, żeby zapytać, czy gospodarz poszedł do pracy. Wrócił szofer z odpowiedzią twierdzącą na retoryczne to raczej pytanie i pojechał dalej. Jest wielce prawdopodobne, że wówczas kierownik dróg i mostów zrzucił jedną belę panu T. do ogrodu, chociaż z dokumentów budowy wynika, że przywieziono tam całe pół tuzina bel.

Lesław C. przyznał się do prowokacji mającej na celu postawienie pana T. w stan oskarżenia, czyli do wrzucenia mu do ogrodu siatki i zadzwonienia do milicji. Milczał jednak uparcie, gdy go pytano, dlaczego to uczynił, tak jak milczał w sprawie aniołków. Zwolniono go natychmiast z pracy i zaczęto szykować proces. W trakcie dochodzeń przesłuchano panią Lesławową C. i ona to wyjaśniła nienawiść kierownika do brygadzysty, a także logiczny związek między operacją z siatką a zwalaniem aniołków na cmentarzu.

Rzecz miała związek ze śmiercią synka państwa T., który utonął w rzece zimą 1966/1967. Wszystkim wiadomo, że chłopiec wszedł na lód, próbował jego wytrzymałości, kawał lodu oderwał się i popłynął niezamarzniętym nurtem rzeki i chłopiec na oczach rówieśników, płynący chwilę na tej krze, wpadł do wody i utonął. Zapomniano jednak, że nie wlaził na ten lód sam, ale z drugim chłopcem, właśnie synkiem państwa C. I jak pani C. twierdzi, to synek państwa T. wyciągnął ich dziecko z domu, namówił do wejścia na lód. Mały C. uratował się, bo w porę uchwycił się przymarzniętego do brzegu lodu, nie dał unieść oderwanej krze i tylko zamoczył. Stąd nienawiść pana C. do państwa T.

Prowadzący dochodzenie oficer M. odparł na to, że jednego nie rozumie. Przecież to synek państwa T. tragicznie zginął, a syn państwa C. przeciwnie, żyje, i jak milicja ma nadzieję, cieszy się dobrym zdrowiem. To prawda - odparła pani C. - ale nieboszczyk mały T. naraził ich dziecko na śmiertelne niebezpieczeństwo. Ona zresztą też uważa, że nienawiść jej męża jest dziwaczna, a już dybanie na cmentarne aniołki wygląda na fiksację. Nic jednak na to nie poradzi, że jej mąż ma na tym tle bzika.

I to jest właściwie wszystko, co było do opowiedzenia o tym, jak aniołki splotły się z państwową siatką, a sprawy transcendentne z powiatowymi. „W życiu dziwnie bywa” - westchnęlibyśmy, gdyby nam wypadało mieć odczucia banalne i gdybyśmy

się potrafili czemukolwiek jeszcze dziwić.

Kawałek Ameryki

Wczesną wiosną, kiedy turystów nie ma jeszcze ani na lekarstwo, do bacówki położonej wysoko w górach zapukali dwaj taternicy, prosząc o mleko. Gospodarz długo ich oglądał - nosili bowiem płaszcze, pod nimi szykowne ubrania, buty do tego narciarskie i plecaki na grzbiecie. Kiedy położyli po koperniku koło szklanek po mleku - gospodarz zasmakował w gościach i tak się jakoś rozgadali. Ściślej gadali oni. Że oto właśnie są Polakami z Ameryki, którzy wpadli do ojczyzny, więc i obejrzenia gór nie mogli sobie darować, ale pora niesposobna, bo zimno i deszcz, chętnie by tedy gdzieś przeczekali.

Baca nie angażując się zbyt z gościnną na dłużej - na razie prosił do środka. Ledwie goście weszli zadeklarował, że ma interes: oto posiada dolary, sześćdziesiąt cztery jednodolarówki pozbierane z listów od amerykańskiej rodziny. Czyżby więc nie kupili, bo skoro są z Ameryki, to forsa dolarowa im się przyda.

Wyższy z gości, zwany Johnem, odrzekł, że dolarów im nie potrzeba, mają ich bowiem w bród, ale w charakterze grzeczności dla bacy chętnie ten drobiazg nabędą. „Po 150 zł starczy?” Gospodarza zatkała ta suma. Był bowiem w transakcjach walutowych oblatany, jak wszyscy zresztą w tych stronach. Szybko wyciągnął dolary.

- Ależ to stare dolary, sprzed wymiany - zawołał John.

- Jakiej wymiany? - Zbaraniał baca.

- No, była przecież w Ameryce wymiana. Gazet pan nie czyta? - dziwił się John. - To nic nie warte. Chyba, żeby w Ameryce wymienić na nowe.

Zgnębiony gospodarz zgarnął dolary do szuflady. Myślał, myślał, wreszcie po kolacji zdecydował się. Zapytał, czyby nie wzięli dolarów ze sobą. John obiecał zabrać i przysłać nowe.

- I tak bez złotówki? - Niepokoił się jednak baca.

- A co, potrzeba panu pieniędzy? - Zapytał John i wyłożył na stół dwie pięćsetki.

- To za gościnę - powiedział. - Chodź Tom - rzekł do swego towarzysza i wyszli.

Nazajutrz rano John był już z powrotem w bacówce. Tym razem sam. Gospodarz ucieszył się na jego widok. Wyjaśnił, że żona właśnie wierceła mu dziurę w brzuchu, że tak wziął bez słowa te tysiąc złotych za byle kolację, lżej by mu więc było, gdyby mógł nadal się rewanżować. John przystał na to. Został i obiecał nocować. Wyjaśnił też, że jego przyjaciel Tom zaziębił się i wrócił, on jednak zdecydowany jest przeczekać złą pogodę i ruszyć w góry.

Reszta dnia zeszła na tym, że John pokazywał ręką gospodarzowi, jaka jest wielka Ameryka, jakie są w niej wielkie domy, jaka jest wielka fabryka, której on jest właścicielem i jakie duże są worki z jego dolarami. Kiedy wielki repertuar się wyczerpywał, zaczynał znów wszystko od początku. Zupełnie tak, jak w teatrze.

Wieczorem przy wódce przyszedł czas na intymniejsze zwierzenia: w Ameryce wszystko jest wspaniałe, tylko kobiety do niczego. Nie masz to, jak ucziwa Polka. Bo Amerykanki nie są wierne, a on John wierność kobiecą ceni sobie nade wszystko. Wyżej nad dolary.

Chwaląc tak Polki sięgnął po zdjęcie na komodzie. Przedstawiało niewątpliwie kobietę i niewątpliwie Polkę. Baca wyjaśnił, że córka pracuje o kilka kilometrów niżej - w miasteczku. Gość wyraził pragnienie posiadania takiej żony i dalej pokazywał, jaka duża jest fabryka i jakie wysokie worki dolarów.

Po godzinie rozmowa dotyczyła tego, czy za kilka lat teściowie zgodziliby się przenieść do Ameryki, do młodych, czy też nadal trwają w uporze pozostawania na miejscu. Gospodyni płakała. Wódka się lała i zaręczyny przebiegały uroczyście mimo nieobecności, braku zgody i wiedzy o transakcji obiektu amerykańskich awansów.

Rankiem gazdowa poleciała do miasteczka zawiadomić córkę, że ma zmienić stan cywilny i obywatelstwo. Zastała swą pociechę bardzo zdenerwowaną. W sklepie, gdzie pracowała, kręciła się milicja i jeszcze jacyś ludzie. Robiono remanent. Dziewczyna wysłuchawszy jednym uchem opowieści powiedziała matce, żeby jej nie zawracała głowy. Ma tu pilniejsze sprawy i większe kłopoty. Matka usiadła przed sklepem i zabawiała milicjanta rozmową o amerykańskim gościu, jego fabryce i dolarach, tudzież wielkości amerykańskich domów i samochodów. Milicjant pełen zawodowej ostrożności radził sprawdzić, jak jest z tą fabryką, dolarami i wielkością amerykańskich domów. Zirykowało to kobietę: sprawdzaj tu w Ameryce!

Po kilku godzinach rewidenci i milicjanci odeszli, córka więc chętniejszym okiem wysłuchiwała powieści. „Głupoty jakieś!” - Certowała się, ale jednak wyraziła zgodę na spacer do rodzinnego domu dla obejrzenia niespodziewanego fatyganta.

Wróciły późnym popołudniem. Dziewczyna weszła do izby. Na jej powitanie wstał znany nam John z radosnym „nareszcie”. Dziewczyna szarpnęła się w tył i zbladła. „He, he, jaka nieśmiała” - odezwał się baca.

- „Proszę, proszę, ja nie gryzę” - dwornie rzekł zamorski gość. Dziewczyna trzęsła się. Potem jednak, opanowana już, usiadła do kolacji. Rozmowa, jak łatwo się domyślić, zawierała głównie monolog o wielkości amerykańskich domów, fabryki i samochodów.

Po kolacji dziewczyna oświadczyła, że idzie doić. Żadne sprzeciwy matki nie mogły jej powstrzymać. Odczuwała przemożne pragnienie dojenia krowy. Gość wyszedł za nią. Rodzice dyskretnie wrócili do chałupy, jako że przybysz starał się posunąć dalej swoje awanse, że zaś nie powodowały oddźwięku - zniechęcony wrócił do domu oświadczając: „Nieśmiała. Niech pani do niej jakoś przemówi”.

„Ośmieli się” - gwarantowali rodzice.

Dojenie przeciągało się. W końcu matka kopnęła się po córkę. Nie zastała jej w oborze. Ojciec też szukał w obejściu - na próżno. O pół kilometra w dół, u najbliższych sąsiadów też jej nie było.

„Musiała wrócić do miasteczka” - rzekł po powrocie. - „Głupia gęś” - dodał. „Ale niech się pan nie zraża, już ja ją rano sprowadzę”.

Gość nagle stał się markotny. Widać było, że ciężko przeżywa chwilowego kosza. Zamilkł, przestał mówić o Ameryce i powiedział, że jak dziewczyna nie chce, to nie - wobec tego on rusza w drogę. Po długim wahaniu dał się jednak namówić na nocleg. Zgaszono lampę. Niebawem wszyscy spali.

Po nocy usłyszano pukanie do drzwi: „Otwierać, milicja!” Baca wstał, nim jednak się ubrał, milicjanci byli już w środku: drzwi zostały otwarte.

Gospodarze, ku swojemu bezbrzeżnemu zdumieniu zobaczyli, że łóżko gościa jest puste. W pierwszej chwili mniemali, że wyszedł „za potrzebą”. - Nie było jednak również jego rzeczy.

Milicja żywo zainteresowała się gościem i nie marudząc ruszyła w góry. Nazajutrz rano do gospodarzy przyszedł milicjant, prosząc ich do miasteczka na przesłuchanie.

*

Jan Z. i Waldemar K. z Katowic, młodzieńcy karani już za ogromną różnorodność przestępstw - dokonali włamania do pewnego magazynu pod Katowicami. Kiedy milicja ustaliła po żmudnych poszukiwaniach, kto jest autorem „skoku” - po młodych ludziach zaginął wszelki ślad.

Fakt drugi nie miał na pozór związku z tym pierwszym. W małym podhalańskim miasteczku dokonano włamania do sklepu GS.

Dopiero trzeci fakt związał w całość trzy poprzednie. W górach znaleziono zwłoki Waldemara K. Poprzednio myślano, że to wypadek. Ot, niedoświadczony turysta spadł kilkadziesiąt metrów do niewielkiej przepaści. Dopiero zidentyfikowanie denata postawiło na nogi milicję. Przetrzęsano góry w poszukiwaniu jego współnika.

Czytelnik chyba się domyśla, że w tym czasie bawił on starych gazdów opowieściami o Ameryce.

Kiedy dziewczyna przesłuchiwana była w związku z włamaniem do sklepu, w którym pracowała, milicja знаła już jego autorów. Pokazano jej liczne zdjęcia obu młodych ludzi, pragnąc się dowiedzieć, czy za dnia (włamanie odbyło się nocą) nie kręcili się czasem w pobliżu sklepu tak, że dziewczyna mogłaby ich rozpoznać. Nie widziała ich jednak na oczy. Kiedy przyszła do chałupy rodziców, z miejsca poznała bandytę z fotografii. Wiedziała też o podejrzanej mocno śmierci jego kompana. Wyszła tedy doić krowę w nadziei, że jakoś się wymknie do miasteczka. Gość jednak nie odchodził od niej, a potem usiadł na powietrzu - mniemała, że podejrzewając coś, pilnuje jej, żeby nie uciekła. Wówczas wpadła na dziwny pomysł. Umoczyła gałgan w nafcie, przywiązała go owcy do ogona, zapaliła i wypuściła rozszalałą z bólu owcę. Widziała, jak takie zabawy uprawiali chłopcy z pobliskiej wsi. Uprzednio jednak przywiązała owcy na szyi kartkę z wezwaniem do milicji o rychłe przybycie i informację, gdzie jest bandyta. Mniemała, że owca pobiegnie drogą dla niej najłatwiejszą - czyli w dół ku miasteczku, a tam ludzie, pragnąc oswobodzić zwierzę z palącego się gałgana - przeczytają list. Owca jednak nie wykazała zdolności detektywistycznych i pobiegła w zupełnie przeciwnym kierunku. Dziewczyna zauważyła jednak, że jej adorator, który obojętnie gapił się na „kawał” z owcą wszedł do chałupy. I wtedy szybko pobiegła do miasteczka.

Milicja musiała iść pieszo pod górę. Trwało to ze trzy godziny. Bandytę widocznie ogarnął jednak w międzyczasie niepokój, bo ulotnił się przed przybyciem MO. Psy wytropiły go niedaleko w górach.

Pojmany przyznał się nie tylko do obu napadów, ale również do zamordowania swojego towarzysza. Nastąpiło ono w trakcie sprzeczki. Kompan domagał się przyznania mu połowy wyłudzonych dolarów. W czasie bójki Z. strącił go w przepaść. Szli w góry, pragnąc uciec za granicę.

Już niedługo pożyjecie

Bohaterami zdarzeń są: 40-letnia adwokatka Matyllda W. i osiemnastoletni goniec Roman A. Osoby te łączy romans. Przedmiotem zdarzeń jest śmierć człowieka zabitego nieumyślnie. Nie ma w niej niczego tajemniczego, fakty są wiadome, do pewnego momentu bezsporne. A jednak, żeby dociec prawdy, związek tych dwojga: adwokatki i gońca szczegółowo badano. Oto co powiedział Roman A.:

Ojca nie zna i wie, że takich jak on młodych ludzi określa się mianem „sierota społeczna”. Wie z opowiadań matki, że ojciec pił i w szpitalu bezskutecznie leczono go z alkoholizmu. Kiedyś - piętnaście lat temu - ojciec uległ depresji, próbował odebrać sobie życie, wieształ się. Znaleziono go żywego, na podłodze, z uszkodzonym kręgosłupem. Od tego czasu przebywa w zakładzie dla nieuleczalnie chorych.

Kiedy zdarzyło się to nieszczęście z ojcem, matka Romana A. wówczas zaledwie dwudziestoletnia, oprócz trzyletniego Romana miała jeszcze kilkumiesięczną córkę. Wprowadził się wówczas do niej wdowiec z synkiem. Po dziś dzień mieszkają razem, choć nigdy nie brali ślubu. Ojczym ma rentę inwalidzką, pociąg kiedyś zmiążdżył mu nogę. Jest dozorcą przystani nad Wisłą. Matka pracuje w spółdzielczej fabryce słodyczy. Roman A. ukończył szkołę podstawową dopiero w szesnastym roku życia. Dwukrotnie repetował ostatnią klasę. Potem został gońcem. Wstępował raz i drugi do szkoły zawodowej, ale do żadnej nie chodził dłużej niż tydzień. Miał 16 lat, kiedy w instytucji, w której pracował, przyłapano go na okradzeniu torebki jednej z urzędniczek. Przyznał się wtedy, że kradł już od dawna, szczególnie w dni wypłaty. Miał taki sposób obrabiania torebek, że nie można go było przyłapać. Siadywał na korytarzu, z którego obserwował ruch urzędniczek. Kiedy widział, że jakiś pokój jest pusty, wtedy wchodził doń, zawsze mając po temu jakiś przygotowany pretekst, wyjmował pieniądze i wrzucał je do kosza na śmieci. Przesłuchiwali go, podejrzewali, rewidowali. Zawsze wychodził z tego czysty. Pieniądze wyjmował z kosza po zakończeniu godzin urzędowania.

Raz wpadł, ponieważ po wrzuceniu forsy do kosza przykrył ją kopertą. Jak się okazało miała ona nadruk „ściśle poufne”, bo służyła do przesyłania tego rodzaju dokumentów. Nim okradziona urzędniczka w ogóle zauważyła, że ją pozbawiono miesięcznych poborów, do pokoju, gdzie pracowała, wszedł dyrektor i zaraz sięgnął do kosza. Myślał, że przyłapał pracownicę na wrzucaniu tam tajnych dokumentów. Widziano Romana A. jak chwilę wcześniej wchodził do tego pokoju. Tym razem nie zdołał się wykręcić.

Dyrektor lubił go. Nadto zirytował się, bo okradziona urzędniczka zbiła Romana A. po twarzy. Postanowił mu pomóc. Ten dyrektor był człowiekiem młodym jak na

dyrektora. Miał 32 lata. Roman A. załatwiał mu różne prywatne sprawy. Robił zakupy dyrektorowi, kupował bilety do kina itd. Dyrektor jeździł służbowym autem, ale miał też prywatne. Roman A. ukończył kurs samochodowy i woził po mieście żonę dyrektora ich wozem, bo nie umiała prowadzić. Roman A. uważa, że z tych powodów dyrektor chciał mu się teraz odwdziżyć. Miał siostrę adwokatkę i poprosił ją, żeby bezpłatnie zajęła się sprawą jego gońca. W ten sposób poznał Matyldę W.

Trochę wtedy posiedział, ale adwokatka dosyć szybko go wyciągnęła. Zrobiła w tej sprawie, co tylko mogła. Nie przez wzgląd na brata, ale dlatego, że się zakochała w Romanie A. Kiedy wyszedł na wolność, zaraz został jej kochankiem.

Matylda W. jest mężatką. On, Roman A., sądzi, że mąż wiedział o jego w jej życiu istnieniu, ponieważ Matylda W. wie z kolei o tym, że jej mąż ma dziewczynę. Nigdy nie rozmawiała z nim na ten temat, ale zauważył, że niezbyt krępuje się mężem.

Dalej Roman A. zeznał, że Matylda W. usiłowała zapisać go do technikum, ale on oświadczył jej wręcz, że nie będzie się uczył, choć i kraść więcej nie zamierza. Chce się jakoś inaczej urządzić. Wynajęła mu pokój w mieście i opłacała go. Tam się spotykali. Nadto wyrobiła mu możliwość zarabiania. Miała dużo klientów wśród prywatnej inicjatywy. Poleciała go, a Roman A. podejmował się różnych prac: jeździł załatwiać prywaciarzem różne sprawy, woził towary, zbierał zamówienia, pośredniczył w interesikach - sposobił się do roli samodzielnego przedsiębiorcy. Matylda W. posiada polskiego „Fiata”, którego mu często pożyczała, gdyż wóz był niezbędny w interesach. Zarabiał, stanął na nogi.

Pani W. jest w nim bardzo zakochana. A on? Nie potrafił tego określić. Matylda W. to jedyny bliski mu człowiek. Roman A. tak o niej mówi, iż można się domyślić jego wiary, że sprostą ona zadaniom matki, kochanki, uniwersytetu i pracodawcy Romana A. równocześnie.

I oto zdarza się następujący wypadek. Matylda W. i Roman A. jadą jej „Fiatem” szosą. Jest wieczór. Wóz ich wpada na rowerzystę jadącego w tym samym kierunku skrajem szosy. Człowiek ginie na miejscu.

Kierowca jechał nieostrożnie. Jego wina nie budzi wątpliwości milicji. Przed prowadzącymi śledztwo jawi się inny problem: kto jest tym winnym wypadku kierowcą?

Nasza para zrobiła tego dnia kilkusetkilometrową trasę i oboje zeznają, że zmieniali się przy kierownicy. Raz ona prowadziła, raz on. Nie było tu żadnej regularności. Kiedy któreś czuło się zmęczone, oddawało kierownicę. I teraz Matylda W. twierdzi, że gdy wypadek się zdarzył wóz prowadził Roman A. On jednak powiada coś przeciwnego: to Matylda W. najechała na rowerzystę.

Przejechanie rowerzysty nie spowodowało kraksy „Fiata”. Auto gwałtownie zahamowało i zatrzymało się na poboczu. Gdy przy leżącym na szosie zahamował pierwszy i przejeżdżających samochodów, Matylda W. i Roman A. stali na szosie nad zmasakrowanym ciałem. Nie było więc żadnego świadka, który by mógł stwierdzić, kto w chwili wypadku siedział za kierownicą.

Milicji nie pozostaje nic innego jak podsłuchiwać ich oboje w kółko, tygodniami. Opowiadała niezliczoną ilość razy tę samą krótką historię, którą można zawrzeć w kilku zdaniach. I każde z nich trzyma się swojej wersji. Nie sposób ustalić, które kłamie. Więcej: nie sposób już nie tylko na podstawie faktów, dowodów, ale i analizy psychologicznej zhierarchizować prawdopodobieństwo winy, przyjmując, że któreś z nich podejrzewać należy bardziej.

Geneza ich rozbieżnych zeznań może być dwojaka. Albo po prostu osoba niewinna mówi prawdę, zaś winna kłamie dla uratowania własnej skóry, albo inaczej: oni między sobą z góry ustalili, że w ten sposób będą zeznawać. Jeśli tak, to oczywiście sposób obrony wymyśliła Matylda W., która jest doświadczonym i znakomitym prawnikiem. Przyjmując to drugie założenie - że się zmówili - za bardziej prawdopodobne, nie można jednak z tej racji, że zmowa jest z pewnością ukartowana przez Matyldę W., przypuszczać, że to ona spowodowała wypadek. Adwokatce bowiem równie może zależeć na chronieniu własnej skóry, jak na obronie młodzieńca, w którym jest zakochana.

Dodajmy dla uzupełnienia faktów, że badanie krwi wykazało, iż żadne z nich nie piło alkoholu. Rowerzysta też był trzeźwy, a jego pojazd na tylnym błotniku miał szkło odblaskowe.

Prokurator musi w końcu umorzyć sprawę, gdyż nie ma przeciwko komu wnieść aktu oskarżenia. O wspólnej winie nie ma mowy. Ta osoba, która w momencie wypadku siedziała na fotelu obok kierowcy, jest całkowicie niewinna. Mamy więc sytuację wyjątkową: niewątpliwie zawiniona ludzka śmierć, zwłoki na szosie, tylko dwoje podejrzanych i żadnej możliwości, aby sprawiedliwości stało się zadość. Przeciwnie: ta koncepcja sprawiedliwości, która zawarta jest w systemie państw cywilizowanych, wyklucza wymierzenie kary.

Zabity został wtedy na szosie młody, 25-letni rolnik Stanisław P. Na wieść o umorzeniu śledztwa w mieście powiatowym zjawia się 47 osób obojga płci ubranych na czarno, należących do rodziny zmarłego, w większości noszących nazwisko P. i zamieszkujących wieś, w której zmarły miał gospodarstwo. Jest wszakże w tej czarnej procesji także urzędnik powiatowy i inżynier ze Szczecina z żoną. Krzyczą oni na korytarzu prokuratury, że zbrodniarz uszedł kary, a władze zakłajstrowały sprawę, więc obrażono sprawiedliwość. Grożą, że nie opuszczą budynku prokuratury, póki nie uzyskają zapewnienia, że tamci oboje powędrują do

więzienia, bo tak powinno być, skoro nie można ustalić, które z nich zawiniło.

W prokuraturze nie ma dość dużego pokoju, żeby rozmawiać z tą deputacją w czerni. Rodzina P. zostaje zaproszona do sali sądowej i tu szef prokuratury wyjaśnia zasady działania prawa.

Nie pomaga. Krewni zmarłego jeżdżą i piszą do władz wojewódzkich i centralnych, do prasy. Uzyskują wreszcie to, że wznowione zostaje śledztwo. Pasażerowie „Fiata” znów są przesłuchiwanymi i powtórnie sprawa zostaje umorzona.

Matylda W. i Roman A. są teraz zasypywani listami anonimowymi: „Jeśli w Polsce nie ma sprawiedliwości - sami wymierzmy sprawiedliwość. Już niedługo pożyjecie”.

Jeden z listów anonimowych jest obszerny. Czyni groźbę wiarygodną. Autor zawiadamia więc Matyldę W., że miejscowy obyczaj w okolicy, z której pochodzi zabity rowerzysta zna rodzinną vendettę. Dziesięć lat temu pewien gospodarz zdybał na swojej gruszy rwącego owoce malca - syna innego gospodarza. Zeskakującego z drzewa chłopca zaczął walić kijem po nogach tak silnie, że mu je połamał. Zrobił zeń kalekę. Odsiedział tylko dwa lata, ale w tydzień po powrocie do domu z rzeki wyłowiono jego zwłoki.

Sołtys wracał zimą pijany z gospody, zasnął w śniegu i zamarznął. Zostawił go tam w zaspie sąsiad, szli razem. Nie kochali się z tym sąsiadem, mieli proces. A sąsiad wcale nie był zanadto pijany. Następną już nocy spłonęła chałupa tego sąsiada... Tak pisał ktoś ze wsi przejechanego rowerzysty i z listu tego wiało grozą.

Matylda W. przyszła na milicję i przyniosła wszystkie, jakie ona i jej kochanek dostali anonimy i powiedziała, że trzy dni temu opony w jej „Fiacie” zostały przekłute. Wcześniej zamierzała któregoś dnia wyjść rano z domu, ale kiedy otworzyła drzwi, na klatce schodowej zobaczyła dwóch chłopów. Stali oparci o ścianę i ruszyli się na jej widok. Zatrzasnęła drzwi, została w domu i zadzwoniła po kolegę, żeby przyszedł. W tej sytuacji Matylda W. prosi milicję o ochronę. „Przed kim?” - zapytano. „Przed wszystkimi” zawołała impulsywnie, po chwili dopiero pojęła co powiedziała, uśmiechnęła się blado i poszła.

Lochy Gniewowa

Gniewów był miastem przez 300 z górą lat od XVI do schyłku XIX wieku i szczyci się ruinami zamku, klasztorem zbudowanym z południowego skrzydła warowni, rynkiem, który przewodniki zwą późnorenansowym, bo u nas teraz każda rudera musi mieć jakiś styl i lochami, rozciągającymi się pod zamkowym wzgórzem i mieścina. Gniewów padł ofiarą uprzemysłowienia, ale tego sprzed 150 lat, kiedy jeszcze na ogół ofiar w miastach nie było. Hrabia Ponikowski zbudował kombinat: młyn, gorzelnię i papiernię. By je uruchomić zmienił koryto rzeczki, właściwie strumyka. Niechcianym tego skutkiem było podmoknięcie okalających Gniewów łąk, które z latami przemieniły się w bagna. Wessały one trakt i miasto odcięte zostało od powiatu, dla którego przez wieki stanowiło centrum rzemiosła i handlu. W ciągu XIX wieku schłopieli tu nawet Żydzi. Przed wojną Gniewów był jeszcze miastem, teraz tylko gminą, ale z pretensjami.

Dziś Gniewów jest na powrót połączony drogą z powiatowym miastem i okolicą. Pełni rolę nie tylko centrum administracyjnego gminy, ale także intelektualnego na kilka gmin. Mieszka tam 15 osób z wyższym lub średnim wykształceniem, nie licząc zakonników i Karola B., który w ogóle się nie liczy, bo jest wyrodkiem.

Prokuratura Wojewódzka otrzymała anonim: „Jest Gniewów miejscem zbrodni niesłychanej. Wszyscy o niej tu wiedzą: sekretarz, naczelnik gminy, komendant posterunku, a także księża i zakonnicy. Wszyscy są w zмовie milczenia, bo ich interes stoi przed ludzkim życiem i męką, jakiej hitlerowiec by nie zadał, choć z ręki swoich jest zadana. Człowiek latami umiera, gnije za życia, podczas kiedy ludzkość odbywa loty na Księżyc. W XX wieku jest u nas średniowiecze przy obojętności władz i społeczeństwa...”

Anonim został przesłany do Komendy Powiatowej MO z sugestią, żeby sprawdzić. Jak wynika z dokumentów sprawy, Komenda odezwała się dopiero w półtora miesiąca później, kiedy anonim podobnej treści trafił także do posła tej ziemi. Jej odpowiedź przypomina dokument etnograficzny i liczy jedenaście stron, wystukanych drobnym maczkiem na maszynie. Przynosi ona zaszczyt autorom, jako dowód wiedzy historycznej i świetnej znajomości metafizyki terenu. Komenda donosi tedy, że jak daleko sięga ludzka pamięć z lochami w Gniewowie tamtejsza ludność wiązała różne niesamowite wydarzenia i snuła na ich temat baśniowe opowieści. Miały być te lochy miejscem wędrówki osiemnastowiecznej hrabianki Ponikowskiej, która zgrzeszyła cielesnie z własnym bratem, za co ojciec spuścił ją do lochów, zdając jej życie na los szczęścia: znajdzie wyjście - uratuje się, nie - to ścięźnie. Legenda głosi o świątobliwym przeorze klasztoru, który zdybał sześciu braciszków na harcach z dziewczkami pracującymi w klasztornym ogrodzie i całe to

bractwo kazał żywcem zamurować w podziemiach, żeby kochali się dalej aż do rychłej śmierci. Na przełomie XVIII i XIX wieku miał się tam ukrywać przed carskimi tropicielami nieprawy syn Stanisława Augusta, potencjalny pretendent do polskiego tronu. Przed wojną lochy miał zamieszkiwać student-wariat, opętany Żyd, który wychodził do Gniewowa po nocy, upijał mleko z nocnego udoju i czynił kobiety bezpłodnymi. Zaraz po wojnie miał się tam gnieździć cały oddział SS, który odcięty schował się w podziemiach, czekając na lepsze dlań czasy. Rzekomo są tam poukrywane setki ton zboża melinowanego przez chłopów z początkiem lat pięćdziesiątych. Straszą tam lub wychodzą straszyć na zewnątrz różne duchy i upiory.

Komenda konkluduje, że zawarte w anonimie informacje, jakoby w lochach siedziała zamurowana żywcem w marcu 1971 roku żona przewodniczącego Kółka Rolniczego Adama Ł. - Bronisława Ł. zaopatrzona w zapas konserw na trzy lata, nie oparte są na prawdzie i należą do takich samych zabobonów, jak wyżej opisane. Wedle informacji posterunku w Gniewowie Bronisława Ł. opuściła męża w marcu 1971 r. i wyjechała gdzieś na Ziemię Zachodnie, przy czym nie było podstaw do wszczynania poszukiwań. Jedna z mieszanek Gniewowa otrzymywała od niej listy, których jednak nie zachowała. W tym stanie rzeczy MO, mająca dosyć spraw realnych, nie widzi powodu do zajmowania się plotkami, legendami i zabobonami, które tu i ówdzie kwitną na tym terenie skutkiem nieuprzemysłowienia i braków w sieci szkolnej.

Województwo jednak dalej otrzymywało anonimy i nie tylko anonimy, ale listy podpisane pojedynczo lub zbiorowo, także przez osoby wykształcone. Streścić je można łącznie: wszystkie co znakomitsze osoby Gniewowa łącznie z komendantem posterunku są zainteresowane w tym, żeby sprawa Bronisławy Ł. ani sama Bronisława nie ujrzały światła dziennego. Uwięziona w lochach sypiała z jednym z notabli, szczęśliwym teraz, że pozbył się konkubiny grożącej, póki jeszcze mogła grozić, że nie dopuści do jego małżeństwa, które urzeczywistnił po tym, jak mąż jego kochanki wsadził ją do lochu. Inny dygnitarz gminny skumotrzony jest ze sprawcą zbrodni, bo razem defraudowali pieniądze inkasowane jako opłaty rolników za używanie maszyn kółka rolniczego. Kogoś tam jeszcze zbrodniarz opłacił, innego szantażuje, jeszcze innemu coś obiecuje. Są świadkowie (w jednym z anonimów wymienieni z imienia i nazwiska), że Adam Ł. przed zamurowaniem żony jeździł po kilku miastach i skupywał konserwy oraz świece. I konserw i świec nabył do tysiąca sztuk. Po co by komukolwiek była taka ilość? Mąż ów, który tak srodze i zbrodniczo ukarał żonę za zdradę i postanowił, że skoro chce ona odeń odejść - niczyją już więcej nie będzie, tylko niech gnije i rozpamiętuje wiarołomstwo, więc ten zbrodniarz, żeby kupić konserwy i świece, sprzedał na przednówku 1971 r. motocykl, motor do siewkarni, trzy krowy, konia i dolary.

Województwo monotonicznie odsyłało listy do powiatu, gdzie sprawie nie nadawano biegu. Podprokurator Wincenty J. zajmujący się nadzorem nad śledztwami i dochodzeniami szczerze zdradza tok rozumowania ludzi, którzy w województwie zastanawiali się nad tymi donosami: „Normalne rozumowanie byłoby takie: bajdy, nie bajdy, jeśli jest choćby 1 procent prawdopodobieństwa, że wchodzi w grę życie ludzkie należało to po prostu sprawdzić. Tylko, widzi pan, ja czy ktokolwiek, kto wydałby takie polecenie, poderwałby autorytet urzędu, który reprezentuje. Trudno zarządzić, żeby władze szły tropem legend, ścigały duchy. W razie niepowodzenia narazilibyśmy się na śmieszność”.

Listów więc ani nie wrzucano do kosza, ani nie nadawano sprawie biegu, tylko odsyłało je do powiatu. Tak trwało, dopóki oburzenie społeczeństwa przejętego tragedią Bronisławy Ł., żywcem zamurowanej w lochach, objawiało się tylko pisemnie. Wkrótce jednak dla miejscowych urzędów przyszedł czas cięższej próby.

Karol B., technik drogowy i kierownik budowy licznych dróg lokalnych skrzyknął sześciu ochotników i zorganizował wyprawę w podziemia dla szukania Bronisławy Ł., 32-letniej żony 51-letniego Adama Ł., słynącej swego czasu ze złego prowadzenia. Siedmiu śmiałków ostentacyjnie kupowało liny, lampy górnicze, sprzęt taterniczy i odprawiało ćwiczenia na szkolnym boisku przy tłumie gapiów. Urządzało także próby grotolażenia w podzamkowych piwnicach. Działania te nosiły znamiona czynnej, acz milczącej krytyki władz i nie były im w smak.

Penetrowanie lochów było administracyjnie zabronione ze względu na to, że są one nie zbadane i wchodzenie w podziemia może zagrażać życiu ciekawskich. Komendant posterunku przyszedł do Karola B. i powiedział, że jeśli jego ekipa zlezie do lochów, wszystkich co do sztuki poda na kolegium. Efektem tego był nowy list do województwa: komendant przeciwdziała obywatelskiej inicjatywie ratowania ludzkiego życia. Milicja nie wtrącała się już więcej. Może przyszedł jakiś „cynk”?

Pięciokrotnie różnymi wejściami, od różnych stron ekipa zapuszczała się w podziemia. Za piątym razem wróciła bez Jerzego P., 17-letniego ucznia piekarskiego. Szósty raz maszerowano więc w podziemia z milicjantem i strażakami. Jerzego P. znaleziono dopiero w szesnaście godzin po zgubieniu. Wpadł do kilkumetrowej jamy i wylądował w szpitalu powiatowym z przetrąconym kręgosłupem. Leży w łóżku gipsowym. Lekarze jeszcze nie wiedzą, czy będzie kaleką.

Pod pretekstem szukania Jerzego P. spenetrowano mniej więcej podziemia. Pod pretekstem - gdyż po jego wyniesieniu na zewnątrz milicjant i strażacy jeszcze przez wiele godzin siedzieli pod ziemią. Bronisławy Ł. nie znaleziono, ani żadnych dawnych duchów, ani nawet ukrytego zboża. Pięciu pomocników Karola B.

ukaranych zostało grzywną przez kolegium. Karol B. stanął przed sądem za to, że nie pospieszył na pomoc Jerzemu P. wyjącemu w czeluści. Porzucił małego i przezeń namówionego do nielegalnej i ryzykownej wyprawy, chłopca. Karol B. tchórzliwie wycofał się na powierzchnię i niemrawo organizował spóźnioną pomoc. A tylko on w chwili wypadku był blisko Jerzego P. i słyszał jego wołanie.

Dziwięciu świadków mówiło przed sądem przeciwko Karolowi B.: że to on pisał anonimy do województwa i namawiał ludzi do podpisywania listów w sprawie Bronisławy Ł. Listy te sam redagował. Że świetnie wiedział, iż to bujdy na resorach te opowieści o zamurowanej kobiecie. To on właśnie czytał listy, które do swej dawnej znajomej pisała z Ziemi Zachodnich Bronisława Ł. Znajoma owa nie była zbyt wprawna w czytaniu niedrukowanego i Karola B. brała na lektora. Lektura natchnęła go pomysłem. Karol B. chciał dopiąć tego, żeby urządzono wyprawę w podziemia, bo chociaż nie wierzył że żona przewodniczącego Kółka Rolniczego powoli kona w lochach zdana na polskie konserwy, to za to miał skądś plan, na którym oznaczone było miejsce, gdzie zakonnicy przechowują skarb klasztorny. W tę dla odmiany bujdę wierzył i pragnął się do skarbcza dostać, a sam bał się schodzić w podziemia, a też nie chciał dzielić się rewelacją, a potem złotem z kimkolwiek.

Karol B. przeczył tym zeznaniom, mówił, że to brednie. On działał w dobrej wierze. Sąd pominął kwestię motywów jego parcia w podziemia i skazał go za niepospieszenie z pomocą Jerzemu P. na rok z zawieszeniem.

Zabawa

W Klubie Międzyzakładowym Przedsiębiorstw Przemysłu Terenowego miasta G. urządzona była zabawa taneczna. Ledwie się zaczęła, przyszedł kapral z posterunku MO - żeby sierżant to co innego, ale nawet nie sierżant - i kazał pokazać pozwolenie.

- Co się panie kapral wygłupiacie? Przecież wiadomo, że pozwolenia nie dają.

Sala świetlicowa w klubie zbudowana została na piętrze, budownictwo dało zastrzeżenie w kulturze, że nie wolno tam robić żadnych zabaw, zaś zebrania góra na 50 osób. Stropy nie przystosowane.

Zabawy odbywają się tu normalnie, bo po co inaczej byłby klub. Tylko wiadomo, że od czasu do czasu sprawa idzie na kolegium i trzeba płacić grzywnę. To jest w kalkulowane w cenę biletów wstępu. Przybycie kaprała oznaczało, że i tym razem organizatorzy pójną przed kolegium, no i dobrze. Tylko co się kapral będzie urzędowo nadymać i szukać pozwolenia, o którym wiadomo, że go nie ma?

- To proszę kończyć zabawę i wychodzić, ale już - rzekł kapral młody, więc jeszcze służbista. - Tak panie kapral ludźmi nie będziecie kręcić! Zabawy tu były, są i będą. Pozwolenia nie ma, to należy się podać na kolegium i w porządku.

- Nie będziemy tu obywatele dyskutować, tylko przerwać tę muzykę, ubierać się i do domu - odparł kapral.

Ludzie byli podpici, więc poczęli się tłoczyć i pokrzykiwać. Mogło dojść nawet do naurągania władzy. Widząc to, dyrektor szkoły zasadniczej zawodowej, w końcu osoba poważna, podszedł do kaprała i powiedział:

- Obywatelu funkcjonariuszu! Mnie się zdaje, że tu nie jest dobre miejsce, żeby dyskutować o urzędowych sprawach. I nam i Wam wygodniej będzie w gabinecie.

Już więc były strony urzędowe i przeszły one do pokoju kierownika klubu.

- Zabawy były i nic się nie stało. Jak robimy je bez zezwolenia, to milicja za nic nie odpowiada. O co chodzi?

- O występki. I kapral wyjaśnił, że jemu osobiście wszystko jedno, ale on działa z wyższego polecenia. Przysłał go komendant, a do komendanta ktoś dzwonił, kto - tego on już nie wie. Dali znać że tu są występki. A na występki potrzebne jest osobne zezwolenie i to już inna, poważniejsza sprawa.

Organizatorzy twierdzili, że nie ma żadnych występków. Normalnie gra orkiestra. Od kiedy sięgają pamięcią, orkiestrom nie patrzy się na uprawnienia. W całym powiecie nie ma jednego zespołu z uprawnieniami. Uprawnień potrzebuje

prestidigitator, aktor, który coś odstawia, czy piosenkarka. Ale tylko wtedy, jeśli chodzi po parkiecie z mikrofonem na sznurku. Kiedy stoi na estradzie z orkiestrą i śpiewa do mikrofonu na stojaku - uprawnień nie potrzeba, gdyż wtedy się liczy za członka zespołu orkiestrowego, a każdy taki ma prawo podśpiewywać bez uprawnień. Jeśli więc chodzi o tę panienkę, która śpiewa, to ona nie schodzi na parkiet i nie ma mikrofonu na sznurku, więc nie odbywa występu. A gdyby nawet, to to jest sprawa dla pionu kultury, a nie milicji.

Kapral powiedział, że nie chodzi o piosenkarkę, tylko o zespół taneczny. Na estradzie tańczą cztery dziewczyny i to się mocno komuś nie podoba, bo był telefon. Ale on formalnie nie interweniuje w sprawie uprawnień tych dziewczyn, tylko działa z paragrafu bezpieczeństwa publicznego. Stropy są przecież nieprzystosowane i zabaw w ogóle nie wolno urządzać. - Chyba się rozumiemy panowie? - zakończył kapral.

Organizator zabawy, kierownik klubu, oświadczył, że ktoś tu ulega plotkom. Żadne dziewczyny nie tańczą. Te, które są na estradzie razem z orkiestrą, tylko się wygłupiają. Szef zespołu zaproponował, żeby wygibowały się do rytmu, a wtedy będzie większa oprawa artystyczna. Wygibywanie nie wymaga żadnych uprawnień.

Kapral wyjaśnił, że na ile on wie, telefon był dlatego, że one wygibują się nieprzyzwoicie i mają za ciasne trykoty. Jego osobiście to nie razi, ale był telefon.

Kierownik klubu odpowiedział, że on gwarantuje, że dziewczyny wygibują się przyzwoicie. One się wygibują po prostu jakby do tańca. Jak ktoś ma za bujną wyobraźnię, to niech się nie ukrywa za telefonem. Kapral odparł, że telefon odebrał sierżant i zaraz potem wyjechał na niedzielę do siostry, tak że o tym, kto dzwonił, będzie można podyskutować dopiero w poniedziałek, a na razie on ma polecenie kończyć zabawę i już.

Stanął kompromis, że muzyka przestanie grać na godzinę i ludzie przejdą do bufetu, więc zabawy nie będzie. W tym czasie delegacja skoczy wozem do powiatu i wróci z decyzją. Auto zgodziła się poprowadzić Olga G., lekarz-stomatolog, jako niepijąca. Dentystka ma trabanta. Pojechali: kierownik klubu i przewodniczący międzyzakładowego koła ZMS przemysłu terenowego. On to wszedł na górę, do bloku, gdzie mieszka wiceprzewodniczący powiatowego prezydium i powiedział żonie wiceprzewodniczącego, że przyjechali z G., że jest pilna sprawa i proszą, żeby wiceprzewodniczący ubrał się i na chwilę zeszedł.

Na odbytej w wiele tygodni później rozprawie przeciwko Oldze G., lat 52, Janowi F. przewodniczącemu międzyzakładowego koła, lat 27, i kierownikowi klubu - Maksymilianowi P. lat 34, oskarżonych o to, że nocą porwali zastępcę przewodniczącego prezydium powiatowej rady narodowej, obrońca Jana F. pytał poszkodowanego, zeznającego w charakterze świadka: - Grozili panu czymś panie

przewodniczący? - Nie. - Więc jak pan rozumie porwanie?- Wepchnęli mnie do wozu. - Jak to było? Uderzyli, obezwładnili czy co? - Nie. Powiedzieli wsiadać, bo jest ważna, pilna sprawa, a ja dużo nie myśląc, wsiadłem.

- Więc poprosili, żeby pan wsiadł, a pan wsiadł. I gdzie tu porwanie? - Nie dali żadnych wyjaśnień, o co chodzi.

Poza wszelką wątpliwością było to, że wiceprzewodniczący wsiadł do trabanta z własnej woli, to znaczy porywacze nie stosowali siły, ani pogróżek. Spór między oskarżeniem a obroną dotyczył innego momentu. Gdy ruszyli, wiceprzewodniczący zapytał, co się stało i kto ich wysłał. Wpierw odpowiedzieli mu, że najlepiej zorientuje się na miejscu. On jednak, niespokojny o to co też zaszło w tym G., naciskał, żeby jednak mówili. Więc zaczęli jeden przez drugiego o zabawie, stropach, telefonie, kapralu i wygibujących się dziewczętach niesłusznie pomawianych o to, że tańczą bez uprawnień.

Kiedy dygnitarz się dowiedział, że w G. nie było żadnej katastrofy żywiołowej, ani budowlanej, epidemii, pożaru ani zatrucia masowego i że nocą władzę wyciągnięto z łóżka dla jakiejś tam zabawy - kazał zawrócić. Żądał kategorycznie natychmiastowego odstawienia go do domu. Pani doktor nie reagowała w ogóle, tylko pręta dalej szosą, a przewodniczący koła oraz kierownik klubu, od których jechało wódą, wręcz odmówili, oświadczając, że wiceprzewodniczący prezydium pojedzie tam, gdzie go wiozą. A to już było stosowanie siły i ograniczenia wolności przedstawiciela władzy, występującego w tym momencie bynajmniej nie jako osoba prywatna. „Był to już zamach na przedstawiciela władzy” - sprecyzował oskarżyciel w swojej mowie.

Ława obrończa była całkowicie odmiennego zdania. Jej argumentacja przedstawiała się następująco: jeśli człowiek dobrowolnie wsiada do auta i daje się wieźć, to nie ma tu mowy o ograniczaniu siłą jego swobody ruchów. W ujęciu prokuratora zamach na osobę wiceprzewodniczącego zaczął się w chwili, kiedy siłą wieziono go do G., chociaż żądał odwiezienia do domu. Przez porwanie prokurator rozumie więc niewiezienie człowieka tam, dokąd on chce. Niech sąd sobie wyobrazi, że on jedzie autem w jakimś kierunku i po drodze zaprasza kogoś do swojego wozu. Potem ten ktoś żąda, aby go wieźć w przeciwną stronę. Czy jeśli on nie posłucha - to będzie odpowiadał za porwanie człowieka?

Sąd w uzasadnieniu wyroku skazującego w ogóle ten spór pomiął, a także sam przebieg podróży. Skazał za zamknięcie przywiezionego do klubu wiceprzewodniczącego w gabinecie kierownika klubu i uniemożliwienie mu wyjścia stamtąd aż do poniedziałku rano. I odcięcie mu połączenia telefonicznego.

Po przyjeździe na miejsce wiceprzewodniczący udał się sam do gabinetu kierownika i wyraził zamiar zadzwonienia na milicję, żeby go swoim wozem

odstawiła do domu. Natomiast odmawiał wszelkich dyskusji na temat zabawy. Kierownik klubu, zupełnie pijany, co potwierdzili świadkowie, wyrwał wówczas telefon z gniazdka, wyniósł go ze swojego gabinetu i od zewnątrz zamknął drzwi na klucz.

Obwiniony przyznaje, że tak zrobił, ale - jak twierdzi - miał zamiar tylko przez chwilę potrzymać wiceprzewodniczącego, żeby zaprowadzić do niego kaprała i dyrektora zasadniczej szkoły zawodowej i wszcząć pertraktacje. Stwierdził jednak, że zabawa normalnie trwa, dziewczyny się wygibują, a kaprała MO nie ma. Poszedł sobie, gdyż za długo było czekać, więc się zniechęcił. Kierownik klubu wypił przy bufecie, film mu się urwał i to wszystko. O wiceprzewodniczącym w ogóle nie pamiętał. Po prostu zapomniał, póki mu w poniedziałek rano sprzątaczką nie powiedziała, że w jego gabinecie znalazła zamkniętego pana.

Gabinet był na pierwszym piętrze, a okna wychodziły na boisko nieczynnej w niedzielę szkoły. Skakać było za wysoko, krzyk nie dawał skutku, a drzwi wiceprzewodniczący nie umiał wyważyć. Były obite blachą, gdyż w gabinecie znajdowała się kasa.

Sąd uniewinnił lekarkę-stomatologa i przewodniczącego międzyszakładowego koła ZMS, bo brali oni udział tylko w przywiezieniu wiceprzewodniczącego prezydium, natomiast nie wiedzieli, iż siedzi on zamknięty. Skazany został kierownik klubu, a jeszcze wcześniej wyrzucony z pracy dyscyplinarnie ze złą opinią i zapowiedzią, że w tym powiecie może już szczęścia nie szukać.

Zabawa udała się bardzo. Kaprał więcej nie przychodził. Nikt nigdy nie doszedł tego, kto wówczas dzwonił do sierżanta. Po prostu był pewien telefon i tyle.

Interesant

W sekretariacie jednego z ministrów - szefa resortu przemysłowego - zjawił się interesant.

- Chcę mówić z ministrem. - Jaka sprawa? - zagadnęła sekretarka. - Mogę powiedzieć tylko ministrowi. - Ministra nie ma, proszę powiedzieć orientacyjnie, to skieruję pana do kogoś odpowiedniego.

- Potrzebuję mówić z ministrem. - Ministra nie ma. - To poczekam. - Nie będzie. - Kiedyś przyjdzie chyba, nie? - To proszę zatelefonować w poniedziałek.

Poniedziałek był za trzy dni, ale już nazajutrz rano interesant zjawił się w sekretariacie ministra. -- Potrzebuję do ministra. - Minister nie ma czasu. Mówiłam panu, żeby pan powiedział o co chodzi, a jak będzie trzeba, to minister pana przyjmie. - Kiedy trzeba - To się okaże.

Interesant oświadczył, że poczeka i usiadł. Sekretarka wezwała woźnego. Woźny począł do interesanta przemawiać, a potem szarpnął go za ubranie, żeby ruszyć z krzesła.

- Siedzę spokojnie, nie? Minister będzie miał czas, to mnie przyjmie. Ja będę czekał.

Sekretarka prosiła, żeby czekał na korytarzu, gdzie są bardzo wygodne fotele i czasopisma, jeśli już uparł się czekać, choć nic w ten sposób nie wysiedzi.

- Tu będę czekał - oznajmił interesant.

Po trzech godzinach sekretarka wezwała przez telefon pogotowie MO. Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Kiedy przyszli milicjanci, bez słowa wstał i poszedł z nimi. Następnego dnia był w sekretariacie ministra punktualnie z początkiem urzędowania, jak pilny urzędnik.

- Ministra jeszcze nie ma, a jak przyjdzie, to pana nie przyjmie. Siłą niczego pan nie zwojuje. Proszę powiedzieć jaka sprawa, to załatwimy. Jeśli mnie pan nie chce mówić, to przyjmie pana dyrektor gabinetu. Dyrektor gabinetu jak z kimś rozmawia, to jest tak, jakby minister rozmawiał. A jeśli pan nie chce i upiera się - to znowu wezwę milicję.

- Z milicją pójdę. Bez milicji - nie.

- Mogę przez milicję, ale po co to panu?

- Z milicją wyjdę, bo jak nie to opór władzy i kryminał. Chcielibyście. Ja wiem.

Stało na tym, że on co prawda się nie ruszy, ale powie dyrektorowi gabinetu

ministra jaką ma sprawę, o ile dyrektor przyjdzie do niego. Dyrektor przyszedł. Interesant zażądał, żeby sekretarka wyszła, bo chce w cztery oczy. Sekretarka wyszła. Sprawę miał taką, że u niego w zakładzie źle obliczyli mu pobory. Pomylili się o ponad trzysta złotych z jego krzywdą. Ale z nim to im nie przejdzie. Jak zobaczył, co się stało, reklamował i nic, więc w ogóle więcej nie poszedł do pracy, tylko zapowiedział, że jedzie do ministra. Swoje prawa zna i niech go nie mają za głupiego.

Dyrektor gabinetu poprosił, żeby poszedł teraz razem z nim do odpowiedniego departamentu. Obejrzą tam pasek wypłaty, zadzwonią do jego zakładu. Wszystko się wyjaśni. Jeśli tylko ma rację, na pewno wypłata będzie skorygowana.

- Ja przyjechałem do ministra i ja stąd nie pójdę, choćbyście mówili, że tam na korytarzu leży milion złotych. O swoje mi chodzi, nie o cudze.

Interesanta zostawiono w spokoju. Minister wychodził i wchodził nie nagabywany. Odpowiedni urzędnicy zajęli się analizą wypłaty, jaką otrzymał interesant. Wbiegali do niego po dodatkowe informacje, zamawiali rozmowy błyskawiczne z wrocławską fabryką. Po dwóch czy trzech godzinach do sekretariatu ministra przyszedł naczelnik.

- Bardzo mi przykro, ale wypłata jest w porządku. - I zaczął objaśniać interesanta, jak i co mu naliczono, co mówi jego karta robocza, jakie czynniki brano pod uwagę, określając wysokość wypłaty.

- Wcale nie będę dyskutować. Potrzebuję do ministra i koniec.

- Po co? Co tu pomoże minister? Jak pan się nie zgadza z wypłatą, to niech pan skarży do sądu. Sąd uzna pana pretensje - w porządku. Minister nic tu nie zmieni, bo nie może.

- A to już nie pana sprawa, po co ja chcę do ministra.

Naczelnik poszedł do dyrektora gabinetu, dyrektor do ministra, minister kazał prosić interesanta.

- Mam tu całą sprawę już na piśmie. Może pan obejrzeć. Wyliczyli panu słusznie. Miał pan... (minister wylicza ilość godzin przepracowanych, stawkę za godzinę, stawkę za rodzaj robót, tu narasta, tam narasta, plus coś, minus coś). Zgadza się?

- Nie. - A co się nie zgadza? - Wypłata mnie się nie zgadza. - To niech pan skarży do sądu. Myśmy wszystko zbadali i wszystko jest w porządku.

- Nie będę włączył się po sądach. Bardzo dziękuję, panie ministrze, że pan tak... jak człowiek z człowiekiem. Ale co do wypłaty, to ja się zgodzić nie mogę - rzekł interesant, jakby ze smutkiem i sobie poszedł.

Nazajutrz był z samego rana. - Chciałbym do ministra. - O co jeszcze chodzi? - To ja już ministrowi... - Minister pana -nie przyjmie ani dziś, ani jutro, ani w ogóle. - Poczekam, zobaczymy.

Sekretarka dzwoni po woźnego. Woźny szarpie się z interesantem, ten chowa ręce za siebie, woźnego ani dotknie, ale z krzesła nie daje się ruszyć.

- Nie pójdzie pan? - Nie.

Sekretarka dzwoni na milicję. Mówi, że to trwa już kilka dni. Milicja już go brała. Niech coś zrobią, bo ona i minister nie mogą pracować. Człowiek już jest załatwiony, a uparty.

Przyjeżdża milicja. - Już był zabierany? - I milicja go brała, i minister przyjął, i sprawa załatwiona, i trwa to już kilka dni. Niech coś zrobią.

Milicja zabrała interesanta. Na komendzie rozmowa: czemu nachodzi ministra? Czemu chce na siłę? O co mu chodzi? Sprawę ma podobno już wyjaśnioną i z ministrem jak chciał, tak i rozmawiał. On na to, że potrzebuje jeszcze raz iść do ministra. Wolno mu - i milicji nic do tego. Zawieziono go na dworzec. Ale on zawrócił z dworca ku miastu i nie było podstaw, żeby mu przeszkodzić.

Kiedy tylko zjawił się w sekretariacie, sekretarka bez słowa zadzwoniła na milicję. I wezwała woźnego oraz komendanta straży z dołu. I kazała im pilnować, żeby ten człowiek nigdy już więcej nie wszedł do budynku.

Milicja zabrała interesanta i zapowiedziała mu, że będzie miał sprawę przed kolegium za zakłócenie porządku i nieodpowiednie zachowanie się w miejscu urzędowym. Czeka go grzywna, a może nawet areszt, a na razie posiedzi 48 godzin. Już nazajutrz sprawa skierowana była do kolegium. Po wypuszczeniu z milicyjnego aresztu interesant przyjechał do ministerstwa, a woźnemu nie udało się go zatrzymać. Interesant grzecznie i spokojnie zajął swoje stałe miejsce w sekretariacie. Już nawet nie mówił, że chce do ministra. Nudziły go te rozmowy. Na jego widok sekretarka wbiegła do swojego szefa. Minister wyszedł z gabinetu:

- No więc rozmawiajmy. - Chciałbym tam rozmawiać - rzekł interesant pokazując otwarte drzwi gabinetu. - Radzę jakiegoś strażnika... - rzuciła sekretarka. Minister chwilę się zastanowił, ale pokręcił głową i zaprosił interesanta do gabinetu.

- Chodzi o to, że wypłata była niesłuszna - zaczął gość wszystko od początku.

Minister odpowiedział mu, jakie ma urwanie głowy i co by było, gdyby wszyscy do niego przyjeżdżali z paskami wypłaty. Interesant odniósł się do ministerskich kłopotów ze zrozumieniem i po wyjściu z gabinetu zajął swoje zwykłe miejsce w sekretariacie.

Do dyrektora gabinetu przyjechał oficer MO. Rozmawiali o tym, że czynna napaść dawałaby podstawy.

Ale nie, przecież nie może być tak, iż człowiek, niechby maniak, wariat nawet, przyjeżdża ze skargą do ministra i idzie siedzieć. Chodzi o rezonans...

Potem przyjechał milicyjny samochód i interesanta zawieziono wprost do kolegium orzekającego razem z sekretarką ministra, woźnym i strażnikiem jako świadkami. Kolegium skazało go na 3 tys.

- Opłacało się panu? - powitała go sekretarka, kiedy wrócił już z powrotem do ministerstwa.

- Mnie nie chodzi o pieniądze. Ja mam dom, ogród. W ten sposób ze mną nie wygracie. Mnie chodzi o słusność. Ja chcę do ministra. Dwie rozmowy nic nie dały, to przy dziesiątej minister uzna moją rację - rozgadał się interesant.

Miejsce w szpitalu psychiatrycznym trzeba było załatwić przez Ministerstwo Zdrowia. Jeden z urzędników zajął się zawiadomieniem rodziny interesanta. Kiedy przyjechała jego żona, załatwiono jej w Warszawie hotel i opłacono go. Radca prawny ministerstwa załatwił adwokata, który w razie, gdyby interesanta uznano za chorego, przeprowadzić miał przed kolegium orzekającym II instancji anulowanie orzeczenia o grzywnie. Interesant siedzi w szpitalu i jeszcze nie wiadomo, czy jest zdrowy, czy jest chory. Oto w zarysie obraz kosztów społecznych niechęci administracji centralnej do nakazania wypłaty 375 zł, o które interesant rościł pretensje, choć do których nie miał prawa.

Na razie jeden z ministrów - szef resortu gospodarczego - może się pocieszać tym, że bywa i tak, iż obserwacja psychiatryczna trwa dłużej, niż kadencja niejednego ministra.

Transakcja

Katarzyna J. przyjechała ze wsi S. w woj. kieleckim do swojej, mieszkającej w stolicy, córki Józefy i zastała ją bardzo zapłakaną.

Okazało się, że sytuacja, w jakiej Katarzyna J. zastała córkę ma rzeczywiście dramatyczne przyczyny: Marcinka ukradli. Po chwili zgodnie beczały i matka i córka.

Miał tu się odbyć wyjazd Józefy J. ze stolicy do S. i to wyjazd na zawsze. Decyzja co do tego dojrzała w okolicznościach dramatycznych, których ów Marcinek był osią.

W 1962 roku 17-letnia Józefa J. przyjechała do stolicy na zaproszenie swej stryjenki, małżonki kontrolera tramwajowego. U stryjenki miała mieszkać, poza tym uczęszczać do wieczorowej szkoły zawodowej, rano pracować, a w antraktach pomagać stryjence w gospodarstwie. Ponieważ projekt ten nie zostawiał wiele czasu na pomoc w gospodarstwie, chodzenie do szkoły zostało skreślone z repertuaru. Józefa J. pracowała wpieryw jako goniec, potem jako sprzątaczką, wreszcie jako konduktorka tramwajowa.

Raz, gdy kończyła pracę, wyskoczył za nią z tramwaju pewien młodzieniec, zaprosił na kawę, prawił dusery, mówił o sobie, że kończy politechnikę. Randki odbywały się w mieszkaniu jego kolegi.

Młodzieniec obiecywał małżeństwo, żeby skłonić Józefę J. do większych dla niego względów. Kiedy już skłonił - przestał mówić o małżeństwie, a nagabywany oświadczył: „Dziewczyno, nikt inny by ci tak, jak ja nie nakłamał”. Potem przestali się widywać.

Józefa J. zauważyła, że jest w ciąży i to w czasie, kiedy już nie było żadnej innej możliwości jej zakończenia, jak tylko poród. Zadzwoiła wtedy do ojca spodziewanego dziecka. Umówił się z nią w kawiarni. Józefa J. przyszła, czekała, zamiast młodzieńca zjawiła się jednak jego matka. Matka powiedziała, że jej synalek nie jest studentem, tylko uczniem technikum i żeby Józefa J. przestała ich niepokoić, bo oni nie dadzą się zaszantażować. A co się tyczy jej moralnej krzywdy, to już jej mąż, a ojciec młodzieńca wygarbował mu skórę.

Zaraz potem stryjenka wymówiła Józefie J. mieszkanie.

Przygodna znajoma Józefy J. załatwiła jej wtedy locum w hotelu robotniczym dla pracowników kolei. Mieszkała tam nielegalnie w jednym pokoju z kilkoma kobietami w średnim wieku, głównie sprzątaczkami wagonów. Ponieważ dziewczyna była w depresji, więc typowo po polsku reagując na komplikacje losu - przestała chodzić do pracy. Całe dni leżała w łóżku. Współmieszkanki dawały jej

jeść, ale przez długie tygodnie nie miała w ustach nic ciepłego.

Pewnej nocy odwieziono ją do kliniki położniczej. Przyszedł tam na świat Marcin (imię, a jakże, po ojcu!) i trwał w nieświadomości tego, że zarówno okoliczności jego poczęcia, jak i perspektywy życiowe nie są najradośniejsze. Józefa J. wyszła po kilkunastu dniach z kliniki, taszcząc swój nabytek na rękę i *nolens volens* przyszła do stryjenki. Stryjenka nie wyrzuciła jej, ale zrozumiała, że biada jej domowi i od razu pojechała do wsi S., w Kieleckie, by poinformować J-ów, czyli rodziców Józefy, co się stało i skłonić ich do zabrania córki i wnuczka.

Katarzyna J. - matka naszej bohaterki - powiedziała, że oczywiście córkę i wnuczka zabiera na wieś i że do koncepcji życia córki w mieście zniechęciły ją wiadome wydarzenia, dziecku zaś potrzeba „mleka i powietrza”, czego w S. jest obfitość.

Zaraz też Józefa J. dostała od matki list, w którym zdania o treści religijnej sąsiadowały z połajankami, połajanki z wyliczeniem, ile to w okolicy jest panien z dzieckiem, a wyliczenia z listą facetów, którzy byliby nie od tego, żeby pobrać się z Józefą.

Mimo wszystkie przypadki Józefa J. - która w międzyczasie osiągnęła pełnoletność - bardzo nie chciała z Warszawy wracać na wieś i urządziła płacz tak wielki, jak tylko to jest możliwe.

Stryjenka wszakże dopilnowała, żeby dziewczyna napisała do matki, że zgadza się wrócić; W odpowiedzi z S. nadszedł list, określający datę przyjazdu Katarzyny J. po córkę i wnuka.

Dodało to Józefie J. energii. Zaczęła biegać po mieście i szukać posady, mieszkania, a także kandydata na męża. Widocznie nic nie wskórała, skoro matka, przyjechawszy, zastała ją bez posady, bez mieszkania i bez męża. Co wszakże gorsze - bez dziecka.

Relacja Józefy J.: rano, jak zawsze, wyszła z dzieckiem na spacer. Zniósłszy je w wózku ze schodów zostawiła na podwórzu przed domem i wróciła na chwilę na górę, zapomniała bowiem wziąć torebkę. Kiedy wróciła wózek był pusty. Nikt nie widział, żeby po podwórzu kręcił się ktoś obcy lub podejrzany. Tak brzmiała relacja złożona tegoż dnia przez płaczącą Józefę J. na milicji.

Czas biegł. Stryjenka bez należytego entuzjazmu gościła teraz już nie tylko córkę, ale i jej matkę. I to zapewne było źródłem jej szczególnej przedsiębiorczości.

Otóż pewnego dnia owa stryjenka odwiedziła milicję, żeby podzielić się z prowadzącym dochodzenie dwoma interesującymi spostrzeżeniami. Pierwsze z nich: Józefa J., która już od dawien dawna nie pracuje i od całych miesięcy nie ma grosza przy duszy, nagle stała się zasobna i wciąż sobie kupuje jakieś sweterki,

sukienki, pantofle. I druga osobliwość, Józefa J. wyniosła prawdopodobnie w zamiarze sprzedania, wyprawkę swojego dziecka, jakieś tam pozbierane po sąsiadach buciki, pieluszki i kaftaniki. Sprzedaż się nie udała, bo wróciła z tym wszystkim do domu, a kiedy stryjenka zapytała, gdzie i po co to nosiła - była bardzo speszona. Najwyraźniej więc dziewczyna nie wierzy w odzyskanie dziecka.

Po kilkugodzinnym pobycie w komisariacie Józefa J. zaczęła śpiewać. Oto szukała pracy i mieszkania. Odwiedzała różnych ludzi, z jakimi tylko kiedykolwiek los ją zetknął i nie powiadamiając nic o wiejskim wariacie swoich możliwości przedstawiała całą rozpacliwość swej sytuacji: panny z noworodkiem bez pracy i mieszkania.

Zetknęła się również z niejaką Michaliną T., była akuszerką dyplomowaną, obecnie trudniącą się pokątną działalnością handlową, a także pośredniczącą przy poszukiwaniach pomocy domowych. Józefę J. kiedyś z nią skontaktowano, ponieważ swojego czasu nosiła się ona z zamiarem przyjęcia pracy pomocy domowej.

Michalina T. oświadczyła dziewczynie, że z dzieckiem na karku nie urządzi się. Natomiast, jeśliby chciała dziecko odstąpić - ona, Michalina T., może wyszukać odpowiednich ludzi i nawet da dziewczynie za dziecko 4 tys. złotych, rzecz jasna, jeśli jest ładne i zdrowe. Józefa J. odpowiedziała, że jest to niemożliwe. Matka, stryjenka - chybaby ją za to zabiły. Wtedy Michalina T. podsunęła jej pomysł, żeby kobietom powiedziała, że jej dziecko skradziono.

Targu dobito. Owego dnia, kiedy Katarzyna J. przyjechała do Warszawy, Józefa J. rankiem zaniósła dziecko Michalinie T. i dostała 3 tys. złotych. Pozostały tysiąc miała otrzymać po pewnym czasie, kiedy T. znajdzie nabywców na dziecko i zainkasuje należność.

Z Michaliną T. nie poszło milicji tak łatwo, jak z Józefą J. W końcu jednak wyśpiewała komu dała dziecko. Otrzymała za nie - jak zgodnie z prawdą wyznała - 10 tys. zł.

Tak się złożyło, że kiedy Michalina T. w asyście oficera MO zjawiła się u nabywców dziecka, żeby je z powrotem odebrać - przybysze trafili akurat na duży jubel towarzyski. W mieszkaniu państwa G. (współwłaściciela piekarni) przy suto zastawionym stole siedziało kilkanaście osób, a w ozdobnym łóżeczku pełnym koronek i wstążek, na honorowym miejscu, leżał Marcin. Jak się okazało, odbywało się właśnie oblewanie chrzcina dziecka, które gospodarze przyjęcia zaprezentowali gościom jako swoje narodzone.

Józefa J. i jej matka zgodziły się odebrać dziecko nazajutrz, żeby zaoszczędzić nabywcom niemowlęcia towarzyskiej kompromitacji. Michalina T. wręczyła

desperującym piekarzom 7 tys. złotych, a 3 tysiące oświadczyła - ma zwrócić Józefa J.

Sprawę całą znamy z rozprawy, jaka odbyła się w sądzie. Państwo G. oskarżyli Józefę J. o zwrot 5 800 zł. Z tego trzy tysiące to zapłata za dziecko, jaką od Michaliny T. Józefa J. dostała w gotówce, a 2 800 to koszt uroczystości chrztu. Państwo G. uważali również, że Józefa J. powinna im zwrócić także koszty stosownej wyprawki.

Sąd wydał orzeczenie, oddalające powództwo. Transakcja między państwem G. a panią T. była nielegalna i nie korzysta z ochrony prawa.

W rodzinie

Kiedy Sławomira Ł. - jedyna córka plantatora tytoniu i sadownika Ł. - wychodziła za mąż, wesele miała huczne, czego dokumentacja poniżej.

„Do Komendy Wojewódzkiej MO w.....

Zażalenie

W czasie wesela mojej córki Sławomiry zamężnej za U. Kazimierza zaproszone było 90 osób jedząc i pijąc. Na wesele dokonałem wydatkowania: 15 l spirytusu, 50 butelek wina, 10 butelek wódki gatunkowej, mięsa, drobiu, ciasta, muzyki i podwodów za 18 tysięcy złotych. Do tego doliczam garnitur z koszulą zięcia, stratowany ogród, stłuczkę i zmarnowanie sprzętów domowych. Zaznaczam, że jestem inwalidą 50 procentów. Wszystko obróciło się na nic skutkiem zięcia mojego U. Kazimierza. Jako stary ojciec domagam się więzienia dla niego.

Podpisuję się
Ł. JAN
Obywatel Polski”.

Zażalenie to powstało nie od razu.

Po weselu młodzi wrócili do miasta. Niebawem do Jana Ł. przyszedł list od zięcia, w którym ten pisze, że nadarza się okazja stawiania w mieście domku - co teść radzi?

Teść radził stawiać, tylko solidny.

List następny donosił, że zięć włożył już w fundamenty 30 tysięcy, ale roboty stanęły, bo brak pieniędzy. Tymczasem przed zimą trzeba dociągnąć do wiechy. Czy teść pożyczy 40 tysięcy?

Teść pożyczy, tylko żeby była solidna piwnica.

Zimą majster roboty nie przerwał, ale Kazimierz U. potrzebował 15 tysięcy - inaczej murarze zejną z placu.

W kolejnej korespondencji zięć pomijał milczeniem przymówkę teścia o termin spłacenia długów, wspominał za to o kosztach wykańczania robót.

W czasie kiedy stary wysłał ostatni list, w którym dawał wyraz mniemaniu, że trzeba posesję koniecznie ogrodzić, a przed zimą tynkować - łączne jego nakłady na domek wynosiły 113 tysięcy złotych.

Minął rok bez wymiany korespondencji, kiedy Jan Ł. ruszył do miasta obejrzeć domek i pogadać o długu. Miał powiedzieć, że połowa będzie na wiano córki,

a połowa na spłaty, co trzeba zabezpieczyć na hipotecę, jak ksiądz radził.

Poszedł Jan Ł. pod znany mu z korespondencji adres. Owszem, dom stał, tylko ani nowy, ani jednorodzinny. Zapytał stary o Kazimierza U. i wskazano mu drzwi. Gdy wszedł, to zrozumiał bez słowa, że domku nie ma i jego pieniędzy nie ma, tylko jest zięć, siedzi za stołem i pije wódkę.

Poszedł stary na milicję i tu mu dzielnicowy powiedział, że owszem Kazimierza U. zna, a to z tego, że nigdzie nie pracuje, tylko wódkę pije. Ze prędeziej by uwierzył, że papież buduje meczet, niż Kazimierz U. dom. Na mandat za zakłócenie ciszy nocnej nie ma, to na willę by miał? Co się zaś tyczy zamknięcia Kazimierza U. do więzienia, to dzielnicowy nie miałby nic przeciwko temu, ale nie ma o co: sprawa jest rodzinna i raczej można skarżyć do sądu.

Jan Ł. powiedział, że jest za stary, żeby czekać, aż sąd wsadzi jego zięcia, Kazimierza U., do więzienia.

- Gdyby co ukradł - troskał się o Kazimierza U. milicjant - to by można wsadzić. Ale meldunków nie było.

- Meldunek będzie - powiedział Jan Ł. i został w mieście.

Wynajął sobie na tydzień pokój u szwagierki znajomego i w dzień chodził po mieście, a wieczorem pisał donosy na zięcia. Listy były do milicji. Raz mówiły o tym, ile stary wydał na wesele. Drugi raz o tym, że zięć oszukał jego córkę, bo podawał, że jest uczciwym człowiekiem z gotówką i bez nałogów, co mijają się z prawdą. Innym znów razem pisał tak w ogóle, że pijacy i obiboki są zakałą narodu, który walczył z najeźdźcą i wydał z siebie wiele historycznych postaci.

Czytelnik się z tego śmieje, zięć się z tego śmiał, na milicji też się pewno z tego śmieli, ale Jan Ł. - plantator i sadownik - śmiał się ostatni.

Jeszcze bardziej by się wszyscy śmiali na wiadomość, co czynił Jan Ł., kiedy tak całymi dniami chodził po mieście. Otóż zachodził on to do knajp, to na bazar, lub po prostu szukał kontaktu z ludźmi na ulicy i wypytywał wszystkich dookoła, czy znają jego zięcia Kazimierza U., który szpetnie wykantował teścia z budową domu oraz jest pijakiem, a na pewno i złodziejem. Nie zrażał go śmiech, opryskliwość, mnożone w dziesiątki zaprzeczenia. Chodził, zagadywał swoim wschodnim akcentem i wreszcie doczekał się pomyślnej odpowiedzi. Miasto było niby duże, ale nie takie znów wielkie, żeby pijak nie znał pijaka.

Otóż pijany wozak zagadnięty o zięcia upewnił się:

- U. Kazimierz? Cinkciarz? A co ma robić, pewno dolarami handluje?

I podał miejsce, w którym można znaleźć faceta, który ma jakąś złość do

Kazimierza U., zarazem wie o nim coś niecoś.

U tego gościa Jan Ł. dowiedział się, że jego zięć dolarami owszem handlował, ale jaki on tam cinkciarz - tylko fałszywymi. I było to do wyroku. Po wyroku się ożenił. Miał bogatego tatę, to nie musiał się narażać. Ale nasz detektyw-amator dowiedział się też, że ślub faceta z jego córką miał również nieznane mu, przełomowe znaczenie dla Kazimierza U. Mianowicie dzięki mariażowi stał on się posiadaczem czarnego garnituru i białej do czasu koszuli. To zaś natchnęło go do założenia „przedsiębiorstwa pogrzebowego”.

Otóż trzeba wiedzieć, że uspołeczniona obsługa śmierci odpowiednio się zbiurokratyzowała. Umrze krewniak - trzeba wpieryw skompletować wszystkie papierki, potem iść do biura przedsiębiorstwa pogrzebowego, płacić i wtedy dopiero maszyna pochówkowa ruszała.

Kazimierz U. dogadał się z dozorcą kostnicy, przez którego interes przechodziły wszystkie zwłoki szpitalne i z wypadków ulicznych - dostawał od niego adresy krewnych i zaraz po zgonie wbijał się w czarny garnitur, brał pod pachę zdjęcia trumien, karawanu i innych akcesoriów pogrzebowych i maszerował do krewnych nieboszczyka. Z gracją składał kondolencję, przedstawiał się, jako wysłannik miejskiego przedsiębiorstwa pogrzebowego, oferował kapiące od złota karawany, kompanie żałobników w stosownych kapeluszach, dębowe trumny obite brązem, muzykę i co kto lubił - wszystko po rewelacyjnie niskich cenach. Brał tysiąc zaliczki, wystawiał „paragon”, obiecywał „przysłać ludzi” i znikał.

O tyle chytrze interes sobie wykalkulował, że w zmartwieniu i rozgardiaszu pierwszych chwil po śmierci bliskiego nikt nie był zbyt czujny. Poza tym - co ważniejsze - nikt nie meldował milicji o tajemniczym zniknięciu przedsiębiorcy. Czy to w morzu wielotysięcznych wydatków - wyłudzony tysiąc nie stanowił problemu, czy ludzie otrzaskawszy się z bałaganem pogrzebowych biur nie mogli się już połapać: kanciarz czy wysłannik; tysiąc wyłudzony czy wkalkulowany narzut. Dość, że U. prosperował doskonale, dopóki nie rzucił tej profesji z dosyć przyziemnego powodu: pewnego dnia przepił czarny garnitur.

Jan Ł. metodycznie sobie to wszystko wynotował w kajecie. A potem ruszył na cmentarz. Wypisał tu sobie w kancelarii adresy rodzin, które w odpowiednim czasie chowały jakichś bliskich i jał wydeptywać piętra. Przychodził, opowiadał o swoich kłopotach, szeroko rozwodził się nad tym, jaki to miał być dom, którego nie ma, z kolei wysłuchiwał opowieści o zmarłym i pytał o „przedsiębiorcę pogrzebowego” o ulotnych właściwościach.

Nie wiemy, ile domów schodził, ile dni tak dreptał, ilu doznał niepowodzeń. W każdym razie, kiedy odwiedził milicję miał dwa wyraźne zeznania osób, które zostały nabrane oraz oświadczenia, że na zdjęciu ślubnym przedstawiającym

Kazimierza U. wraz z jego małżonką poznają oni zarówno „przedsiębiorcę pogrzebowego”, jak i jego czarny garnitur.

Milicja okazała pełnię zainteresowania. Jan Ł. czekał jeszcze tylko dwa dni, jak jego zięć poszedł siedzieć.

Potem zabrał ze sobą córkę i jej dziecko i wrócił na wieś.

Teraz łoży na utrzymanie dziecka swojego udanego zięcia i daje córce pieniądze na paczki do więzienia. Odwrotną pocztą dostaje listy z prośbą o pieniądze oraz kupno różnych wiktuałów i rzeczy potrzebnych zięciowi w więzieniu. Zamówienia te na ogół opatrzone są zastrzeżeniem, żeby kochany tato pamiętał, że te nędzne grosze, co daje do więzienia nie zmazują krzywdy, jaką wyrządził własnemu zięciowi. Niech więc Jan Ł. dba o żonę i dziecko nadawcy tego listu oraz wie, że jak Kazimierz U. wyjdzie, to się z nim porachuje.

Mimo tych pogroźek Jan Ł. zachowuje pogodę ducha. Spisuje sobie nadal w kajecie donosy na zięcia i zapewnia spłakaną, a stęsknioną za mężem córkę, że jak zięciuniu wyjdzie z więzienia, to on, papa, pojedzie znów do miasta i znowu go wsadzi.

Pierścionek

Ponieważ nie można znaleźć tego ani w „Who is who?” ani w encyklopedii, podaję życiorys Małgorzaty B.:

Urodziła się 2 maja 1954 roku w powiatowym mieście K. z ojca pomocnika weterynarza i matki gospodyni domowej. Ma sześcioro rodzeństwa - dwoje starszego (mieszkającego już poza domem) i czworo młodszego. Lata młodości spędziła w siedmioosobowym gospodarstwie domowym o dochodzie oficjalnym, w przeliczeniu na głowę (a de facto żołądek) 365 złotych miesięcznie. Dochód rzeczywisty był wyższy, gdyż matka wynajmowała się do sezonowej pracy u ogrodnika, ojciec miał jakieś boki, dzieci zbierały w sezonie po lasach grzyby, jagody, zioła i wszystko co można sprzedać, a także dlatego, że rodzina M. ma koło domu mały ogródek. Nie przerasta jednak z pewnością ów dochód 500 zł per capita. Po przebyciu chorób dziecięcych i lektur Kraszewskiego Małgorzata B. ukończyła chlubnie szkołę podstawową i rozpoczęła wykształcenie na szczeblu średnim, które przerwała na klasie dziewiątej skutkiem konfliktu, jaki powstał pomiędzy nią a naukami matematycznymi. Pracy nie podjęła z braku w K. posad dla małoletnich. Siedziała w domu oczekując aż życie samo i z własnej inicjatywy przyniesie jakąś szansę urzędzenia się: pracę, ofertę kształceniową albo najlepiej matrymonialną.

Zmartwieniem rodziców było jednak nie tyle to, żeby Małgorzata B. zdobyła zawód, pracę lub męża ile, żeby się, skutkiem braku jakichkolwiek zajęć, nie puściła. Wierzyli bowiem, że nie malująca oczu i paznokci, nie chodząca na tańce, nie spotykająca się z chłopcami i nie nastawiająca zbyt głośno muzyki z radia dziewczica będzie miała z tytułu swych, choćby i wymuszonych cnót, zapewnioną dobrą przyszłość. Przeciwnie: korzystanie z jakichkolwiek - wyjąwszy kino, kościół, i książki - przyjemności spowoduje niewątpliwy upadek i przekreślenie życiowych szans. To przekonanie było szczególnie silne u ojca, chociaż w K. nie znajdował on wzorów osobowych i sytuacji pozwalających mu wyobrazić sobie konkretnie, jak taki upadek mógłby wyglądać i na czym polegać.

Na tym tle Małgorzatę B. spotkało najsilniejsze przeżycie, jakiego w ogóle doznała, a znamy je, jak i wszystko inne co pozwala kreślić ten życiorys, z listów bohaterki do Andrzeja W. Otóż nasza bohaterka zauważyła, że zainteresowanie nią objawia pewien były szkolny kolega. W kilka dni po ukończeniu siedemnastego roku życia umówiła się z nim na pierwszą w swoim życiu randkę. Za namową owego kolegi poszli na spacer w okolice magazynów PZGS i weszli do pootwieranego na przestrzał magazynu makulatury, gdzie usiedli w miejscu zasłoniętym dla oczu ciekawskich i siedzieli przez około dwie godziny rozmawiając i całując się. Okazało się później, że pan B. - ojciec przez cały czas ich tropił, a przez dwie

godziny podglądał i podsłuchiwał nie interweniując, ale trzymając w ręku kij. Dopiero po dwóch godzinach, kiedy Małgorzata B. uległa namowom i okolicznościom, gdy oboje młodzi byli już nadzy i podjęli spełnianie randki - tatuś wyskoczył zniecka i zaczął ich grzmocić kijem. Amant zwiął, ją ojciec przytrzymał i zbił tak, że w magazynie leżała jeszcze przez kilka godzin, bo nie mogła o własnych siłach dojść do domu, a potem przez 10 dni zeń nie wychodziła, gdyż wyglądała nazbyt szokująco. Od tej chwili, w wyniku doznanego bólu i wstydu, który stał się jej udziałem czuje awersję do chłopców (nie do tatusia). Tyle wiedzy o Małgorzacie B. przynoszą jej listy do Andrzeja W.

Adresat ma 23 lata i wydrukował w młodzieżowym czasopiśmie list w tonacji skomlącej. Jest spawaczem w ekipie montażowej i prowadzi wędrownie życie. Mieszka po kilka miesięcy to tu, to tam, w hotelach robotniczych, wagonach, wozach typu cyrkowego. Jest inny od kolegów, usposobienie ma romantyczne. Nie zadaje się z dziewczętami, bo porządna nie pójdzie z przybłądą żyjącym jak - Cygan, a każda mniej porządna go mierzi. Jest nieśmiały, delikatnego usposobienia, chociaż przystojny. Interesuje się książkami, płytami, filmem i sprawami życia. Chce nawiązać korespondencyjną przyjaźń z dziewczyną, która by listownie (bo to najmniej przestraszający sposób?) ukoili jego samotność.

Małgorzata B. odpowiada na ofertę i odtąd ma w życiu zajęcie. Prawie codziennie pracuje nad długim listem, w którym opisuje Andrzejowi W. szczegółowo co robiła, myślała, czytała, jak się goi czyrak braciszka i jak się zachowała matka przy kolacji. W odpowiedzi otrzymuje listy podobne, tylko nieco mniej rzeczowe a bardziej liryczne. Już po kilkakrotnej wymianie korespondencji deklarują sobie wzajemnie miłość wielką i idealną. Andrzej W. przysyła swoje zdjęcie: z wojska i obecne. Prosi o rewanż.

Małgorzata B. ma nieodstępną przyjaciółkę. Z Urszulą T. rozpoczynała naukę w pierwszej klasie i ich związek przetrwał, kiedy Małgorzata B., nie przeszedłszy do dziesiątej klasy, nie zdecydowała się repetować, ale opuściła szkołę. Ta Urszula jest bardziej udaną częścią tandemu. Jej ojciec jest urzędnikiem, powodzi im się o wiele, wiele lepiej niż rodzinie B. Urszula T. uchodzi za piękną. Nadto zrobiła maturę i myśli nawet o wyjeździe na studia. Małgorzata B. pokazuje jej wszystkie listy, jakie dostaje od amanta i radzi się co mu odpisać. Zwykle pokazuje też przyjaciółce przed wysłaniem swe gotowe dzieła epistolarne.

Prośba Andrzeja W. o fotografię przyprawia ją o panikę. Uważa się za brzydką, a na fotografiach, jakie ma, wygląda wręcz odstręczająco. Kiedy on popatrzy na te zdjęcia na pewno przestanie pisać, myśleć o niej i kochać. Do amanta wysłane zostają zdjęcia Urszuli T., jako wizerunki Małgorzaty B. Jest ich trzy: gabinetowe, dziewczyna na rowerze i w kostiumie kąpielowym. Andrzej W. pisze, że jest zachwycony, urzeczony, powiesił sobie fotografie na ścianie, tak właśnie ją sobie

wyobrażał, te oczy mówią wyraźnie a szczerze o wszystkim tym, co już przedtem wyczytał w listach.

Potem, w cztery miesiące od chwili nawiązania korespondencji dzieje się to, co się zdarzyć musiało wedle najprymitywniejszej logiki następstwa faktów. Andrzej W. bierze urlop i przyjeżdża. Píše, że dłużej nie wytrzyma. Musi poznać ją osobiście. Zdenerwowanie. Płacz. Gorączkowe narady. Ostatecznie przyjaciółki ustalają, że Urszula T. wyjdzie po niego na dworzec. A potem delikatnie mu wszystko wytłumaczy i powie, żeby decydował, czy chce jeszcze widzieć Małgorzatę B. po tym oszustwie, którego się wobec niego dopuściła, czy też między nimi wszystko jest skończone, a on chce wyjechać nie poznawszy tej, którą listownie kocha od trzech miesięcy i dwóch tygodni.

Zgodnie z uprzednim ustaleniem przychodzi telegram z godziną przyjazdu Andrzeja W. Urszula T. wystrojona najlepiej, jak tylko mogła, idzie na dworzec, a Małgorzata B. w wielkim napięciu czeka w domu przez kilka godzin. Potem idzie do mieszkania przyjaciółki i dowiaduje się od jej matki, że Urszula T. godzinę temu wyjechała z K. Musi - okazało się - dostarczyć na rano jakieś dodatkowe papiery na uczelnię i rozmówić się z jedną panią, która obiecała jej pomoc w dostaniu się na studia, bo ma kogoś w komisji przyjąć. Małgorzata B. już wie, że przyjaciółka ją zdradziła i okradła z amanta.

Urszuli T. nie ma przez bite trzynaście dni, jej rodzice są bardzo zaniepokojeni. Potem wraca. Spotkanie przyjaciółek przebiega dosyć spokojnie. Urszula T. opowiada, że nie umiała mu powiedzieć tego, że ona nie jest Nią. Zwlekała. Spacerowali koło dworca i rozmawiali. Powiedziała, że nie może go zaprowadzić do siebie do domu, takie układy. Zaproponował, że weźmie ją ze sobą, do swoich rodziców, na wieś. Sama nie wie, dlaczego tam pojechała. Spędziła tam cały ten czas, bo postanowiła, że skoro już tak się stało, jak się stało, to ona musi go lepiej poznać, żeby przyjaciółce móc powiedzieć, jaki on jest i czy wart zwracania sobie nim głowy. Misję spełniła i może śmiało oświadczyć, że on jest bardzo nijaki, niepozbitany. Po prostu nic ciekawego. Było, nie ma, nie ten - to będzie inny. Małgorzata nie powinna się przejmować.

Małgorzata B. bez słowa wyszła od wieloletniej przyjaciółki i opowiedziała, komu tylko mogła, jaką wyjątkową świnią jest Urszula T.

A potem dostała list od Andrzeja W. zaczynający się od słów: „Ten list jest bezwzględnie ostatni”... Nadawca żali się, że doznał „największego rozczarowania swojego życia”, bo nie myślał, że ona będzie taka nerwowa i że ciągle będzie się z niego wyśmiewać. Że jest mu bardzo nieprzyjemnie, iż pokłóciła się z jego matką. Że on, mimo wszystko, dalej gotów byłby z nią się ożenić, ale skoro go odtrąca, to nie widzi na to rady.

I że między nimi przy rozstaniu nie było mowy o pierścionku, bo on się krępował o tym mówić, więc teraz pisze w związku z tym pierścionkiem, że on dał za niego 5500 złotych, a jest ciężko pracujący. Jeśli jednak ona w swoim sumieniu uważa, że powinna ten pierścionek, który od niego dostała zatrzymać, to on nie będzie chodził z tym przecież na milicję. Naprawdę doznał wielkiego rozczarowania, szczególnie że już w listach mu nakłamała, że ma osiem skończonych klas, podczas gdy zrobiła maturę i idzie na studia, więc on rozumie, że nie jest dla niej odpowiedni, więc nie pierścionek jest dla niego najważniejszy, nie o pieniądze ma największy żal.

Wkrótce Małgorzata B. dowiedziała się z wielu źródeł po kolei, że jej była przyjaciółka ma drogi, złoty pierścionek z grawerunkiem od wewnątrz: „Andrzej Małgorzata” i że go zamyśla sprzedać, żeby za te pieniądze ubrać się na czas studiów. Wiadomość ta bardzo zainteresowała matkę naszej bohaterki, dotąd nie poinformowaną o sercowych perypetiach córki. „Podarujesz tej złodziejce?” - zapytała. „O nie, ty jej tego nie podarujesz” - odpowiedziała sobie sama, po czym do sądu wpłynęła pewno pierwsza w dziejach K. ciekawa pod względem prawnym sprawa.

Adwokat Urszuli T. utrzymywał, że ofiarodawca dał pierścionek osobie żywej, z krwi i kości, z którą następnie spędził dwa tygodnie w intymnym związku. Dziewczyna go urzekła - dał prezent. Cóż z tego, że był w błędzie co do jej tożsamości. Przecież trudno przypuszczać, żeby akt darowizny uzależniony był od tego, czy obdarowana nazywa się tak czy inaczej.

Adwokat strony przeciwnej polemizował następująco:

Nie było tak, że Andrzej W. wpierw wszedł w intymne związki z Urszulą T., a potem dał jej pierścionek. Do K. przyjechał już z tym drobiazgiem w kieszeni, wiózł prezent dla dziewczyny, z którą od miesięcy był w poufających stosunkach listownych i wręczył go w przekonaniu, że daje autorce listów. Urszula T. przyjmując cenny przedmiot dopuściła się oszustwa. Nadto trzeba zauważyć, że wpierw go wzięła, a potem pojechała z ofiarodawcą. Darowizna dokonana była pod wpływem błędu co do osoby obdarowywanej, sprzeczna z intencjami ofiarodawcy. Przesądzenie pierścionka Urszuli T. obrażałoby zasady współżycia społecznego, premiując ordynarnie i interesowne oszustwo.

Sąd wydał wyrok nie satysfakcjonujący żadnej ze stron. Przychylił się do opinii wyrażanych przez adwokata reprezentującego matkę niepełnoletniej jeszcze Małgorzaty B., ale po prostu unieważnił akt darowizny, jako dokonany pod wpływem błędu ze strony Andrzeja W., błędu spowodowanego oszustwem Urszuli T. Tym samym sąd uczynił Andrzeja W. właścicielem pierścionka podkreślając, że w ten sposób zyskuje on swobodę powtórnego ofiarowania go którejkolwiek z dziewczyn lub zatrzymania dla siebie.

Orzeczenie to nie miało znaczenia praktycznego. Wcześniej bowiem nastąpiło w sądzie pewne zdarzenie. Andrzej W. przybył na rozprawę do K. jako świadek. Na sali sądowej dowiedział się o oszustwie, którego padł ofiarą i obejrzał sobie po raz pierwszy swą korespondencyjną miłość. Zaraz po zakończeniu przewodu wszystkie osoby dramatu znalazły się na sądowym korytarzu. Andrzej W. raz jeszcze otaksował wzrokiem Małgorzatę B., skrzywił się i nawet nie podszedł do niej, aby poznać ją osobiście. Następnie odwrócił się do Urszuli T.: „Co za procesy? Czy ja mam czas jeździć na procesy? Ty k... głupia, dawaj zaraz pierścionek! Gdzie go masz?” Dziewczyna bez słowa wyjęła z torebki przedmiot sporu i mu go oddała, zaś Andrzej W. schował złote cacko do kieszeni i sobie poszedł.

Tak to w K., co nieczęsto bywa; cnota została nagrodzona, zaś niepoczciwość ukarana. Z dramatycznych tych zdarzeń korzyść wynieśli: Małgorzata B., gdyż wyzbyła się romantycznych złudzeń o czekających na nią gdzieś w świecie i w życiu rycerzach, i co do pozalistowej siły swego wdzięku - oraz Andrzej W., który wyleczył się z nieśmiałości. Karę zaś poniosła amatorka cudzych amantów i pierścionków: 5 500 złotych plus honorarium adwokackie i koszty sądowe.

Norki

Opinia publiczna niewielkiego miasta O. oczekuje z zaciekawieniem, czy tej zimy pokaże się na ulicy ktoś w futrze z norek i co z tego wyniknie. W poprzednim sezonie takie futro należało po kolei do trzech kobiet, zaś czwarta za nie płaciła. Dalej jeszcze zresztą płaci. Futro nie dawało właścicielkom szczęścia.

Rok temu sklep odzieżowy w O. otrzymał trzy egzemplarze futer z norek. Dwa leżą nie sprzedane po dziś dzień. Jedno u zarania ubiegłej zimy włożono na manekin stojący wewnątrz sklepu, przykazując ekspedientkom, żeby dawały nań baczenie. Futro kosztuje 98 tysięcy. Nikt jeszcze dotąd nie widział takiego na ulicy w O. nawet na prywatnej inicjatywie lub żonach ginekologów. Toż to tak, jakby dźwigać na plecach samochód.

Wkrótce przyszła kupić futro z norek Józefa M., osoba wyglądająca zupełnie skromnie. Ścisłej biorąc, później dopiero ustalono, że ta skromnie wyglądająca osoba, która przyszła kupić futro, nazywa się Józefa M., ma 41 lat, dwoje dzieci, mieszka tam a tam, wykształcenie ma średnie handlowe, pracuje jako ekonomistka w biurze przedsiębiorstwa budowlanego i zarabia miesięcznie 2850. I że jej mąż, Karol M. ma średnie wykształcenie techniczne i pracuje także w budownictwie, zajmuje się robieniem kosztorysów za niespełna 4 tys. Przedtem był jednak kierownikiem budowy i wyciągał około sześć, siedem tysięcy przeciętnie, póki go nie cofnięto do biura, kwestionując kwalifikacje.

Wszystko to ustalono zaś w trakcie dochodzenia przeciwko Józefie M., podejrzaney o kradzież futra. Zdarzenia w sklepie wyglądały następująco. Józefa M. przymierzała jedno z dwóch futer, tych nie wiszących na manekinie. Sprzedawczyni, Danuta C., 28-letnia rozwódka, nie traktowała tej klientki serio. To znaczy nie przypuszczała, że ona weźmie norki. Za skromnie na to wyglądała, poza tym jakaż kobieta robi taki sprawunek sama, przychodzi kupować bez przyjaciółki, czy chociażby męża? I czy w ogóle jakakolwiek u nas kobieta na serio kupuje coś takiego?

W sklepie był tłok, bo zaczynała się zima i wykupywano jesionki. Danuta C. miała urwanie głowy. Niespodziewanie Józefa M. oświadczyła, że bierze to futro. Danuta C. zapakowała je w paczkę i wypisała paragon w dwóch kopiach: dla siebie i dla klientki. Nie zauważyła, kiedy nabywczyni wzięła futro i wyszła. Zreflektowała się zaraz po jej zniknięciu i podniosła krzyk: nie dostała pieniędzy! Zaraz kilka osób wyskoczyło ze sklepu i zaczęło pościg. Dogoniona Józefa M. powiedziała, że zapłaciła za futro i nie wróci do sklepu, bo niby z jakiej racji? Wśród goniących nie było poszkodowanej ekspedientki, a tylko sami mężczyźni, przypadkowi klienci. Co począć: szarpać się z kobietą na ulicy? W końcu puścili ją razem z futrem, tylko

spisali personalia z dowodu osobistego. Na to Józefa M. zgodziła się, nie czyniąc przeszkód.

Danuta C. złożyła doniesienie o kradzieży futra. Prokurator umorzył sprawę przeciwko Józefie M. z następującą motywacją. Istnieje rozbieżność zeznań. Danuta C. twierdzi, że klientka nie zapłaciła, tylko wzięła futro i kopię paragonu, po czym uciekła. Józefa M. temu przeczy: wręczyła ekspedientce należność odliczoną z góry kwotę dziewięćdziesięciu ośmiu tysięcy złotych położyła na kontuarze. Za tym, że Józefa M. ukradła, przemawia tylko to, że Danuta C. zdecydowanie podniosła krzyk, żeby ją gonić i że zarządzony w godzinę później remanent wykazał w kasie brak poważnej kwoty, acz przerastającej o kilkaset złotych wartość futra. Natomiast Danuta C. podnosząc larum, mogła realizować z góry zaplanowane szachrajstwo. W wypadku bowiem uznania przez sąd, że Józefa M. ukradła - uzyskiwałaby, jeśli tak nie było, do swojej kieszeni równowartość futra. Kradzieży nie sposób jednak Józefie M. udowodnić. Ma ona pisany dokument, że zapłaciła.

Przed incydemem podjęła z książeczki PKO sumę sześćdziesięciu tysięcy złotych w tysiąc złotych. Jej sytuacja materialna jest taka, że kupno futra za prawie 100 tys. złotych dziwi, ale nie można go wykluczyć, skoro miała sześćdziesiąt tysięcy na książeczce.

Sprzedaż odbywała się tego dnia w kolosalnym bałaganie. Mimo to trudno sobie wyobrazić ekspedientkę, która zaniedbuje zainkasowania tak olbrzymiej, niecodziennej w handlu uspołecznionym kwoty i przedwcześnie wręcza paczkę i paragon.

Istnieje trzecia możliwość: że Józefa M. położyła na ladzie należność za futro, pieniądze wzięła jednak nie sprzedawczyni, ale ukradł je ktoś spośród tłoczących się klientów.

Brak świadków, którzy widzieli, jak Józefa M. płaci, nie przesądza faktu, iż nie zapłaciła. W tym stanie rzeczy prokurator umarza dochodzenie przeciwko Józefie M. z braku dowodów jej winy.

Konsekwencją tego umorzenia jest obowiązek Danuty C. zapłacenia za futro. Sprzedawczyni składa więc zażalenie na orzeczenie prokuratora, ale instancje prokuratorskie wyższego szczebla utrzymują je w mocy. Włączone ono zostaje do akt sprawy cywilnej i w jej rezultacie Danuta C. wraz z premią zarabiająca średnio 2024 zł miesięcznie zobowiązana zostaje do zapłacenia przedsiębiorstwu, w którym pracuje, 98 tys. zł. Kwotę tę rozłożono jej następnie na wieloletnie raty nazwane „dogodnymi”. Danucie C. poczynają każdego pierwszego strącać pokaźną część pensji.

Po procesie zrozpaczona ekspedientka poszła do Józefy M. do domu, ale mąż

gospodyni nie wpuścił jej do środka. Zatrzasnął przed nią drzwi, chociaż chciała tylko przedstawić swoją sytuację i prosić, żeby może spłacały do spółki.

W mieście O. istnieje duży i bogaty targ - stały zieleniec. Pół miasta zaopatruje się w artykuły spożywcze. Szczególnie ta lepiej uposażona połowa. Któregoś dnia Danuta C. zobaczyła tu między straganami norki. Futro, które złamało jej życie. Puściła się w pogoń za futrem, chwyciła za nie od tyłu i nie wiadomo, czy miała zamiar prosić, czy wymyślać, gdyż w ogóle się nie odezwała. Futro okrywało inną osobę - nie Józefę M. Nosiła je pani K. właścicielka sklepu z bluzkami i fabrykantka tychże bluzek, żona właściciela dwóch ciężarówek, największa w O. potentatka finansowa.

W rezultacie późniejszej rozmowy obu pań powstał list Danuty C. do prokuratury. Danuta C. pisała, że obecna właścicielka nerek nabyła, jak sama powiedziała futro od Józefy M. za kwotę 75 tys. złotych. - Jest to - zdaniem autorki listu - przekonujący dowód, że tamta ukradła, dowód, którego brakowało prokuraturze, gdy umarzała dochodzenie o kradzież.. Któż bowiem kupuje futro za 98 tys., żeby po kilku tygodniach odsprzedać je ze stratą 23 tys.? Tak postępuje tylko ktoś, kto futro miał za darmo, bo je ukradł, więc oddaje za byle jaką cenę, aby mieć gotówkę.

Dochodzenia formalnie nie wznowiono, ale dzielnicowy MO odwiedził Józefę M., żeby wstępnie zorientować się, co ona na ten temat mówi. Uzasadniała sprzedaż futra ze stratą w sposób przekonujący: męża nagle przyjęto do spółdzielni budującej domki jednorodzinne, więc na gwałt potrzebowali pieniędzy na wpłatę wkładu. Sprawdzono to. Wszystko się zgadzało.

Przez pół zimy futro z nerek chodziło codziennie na targ okrywając osobę właścicielki firmy szyjącej i sprzedającej bluzki damskie. Na tych ramionach było ono na właściwym miejscu. W połowie zimy właścicielka interesu bluzkowego zjawiła się nagle na targu w przechodzonych nutkach, ale niebawem targowisko znów odwiedziły norki. Nosiła je teraz Barbara Z. - żona skromnego inspektora Wydziału Finansowego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej - Stanisława Z.

Baby na targu mają niewyparzone języki, a ich uczucia wobec Wydziału Finansowego i jego funkcjonariuszy są raczej chłodne. Inspektorowa płynęła poprzez targowisko wśród niedwuznacznych zaczepek: „Piękne futro pani inspektorowa! Pani w nim tak ładnie, że pracownia bluzek pani K. chyba nie będzie miała za ten rok domiaru”. „Mój straganik skromny pani inspektorowa. Jajeczka, serek. Ale chętnie zrobię pani na drutach rękawiczki i dołożę do tego futra od pracowni bluzek”. „Pani inspektorowa ma naprawdę dobrego męża. Żeby w dzisiejszych czasach z pensji uskładać na takie norki”... „Pani powie mężowi, żeby zajrzał tu po biurze to zostawię dla niego jaką kaczuszkę. Osoba w takim futrze to musi się już dobrze odżywiać”.

Futro z norek pokazało się na targu tylko raz, ale to starczyło, żeby wiadomość o tym występie dotarła do Danuty C., która pisała do Komitetu i Rady Narodowej, do redakcji wojewódzkiej gazety i do radia: całe życie ma dziadować, żeby spłacić futro, które złodziejka jawnie sprzedaje paserce i łapownicy z prywatnej inicjatywy, która wręcza je jako łapówkę żonie sprzedajnego urzędnika. Całe miasto wie o tym i mówi i to się nazywa, że jest sprawiedliwość?

Inspektor Wydziału Finansowego Stanisław Z. został aresztowany zaraz po przemianiu sezonu, w którym nosi się futra, wczesną wiosną. Jesienią skazano go za łapownictwo. Pani K. właścicielka firmy bluzkowej zeznała, zgodnie z intuicją handlarek, że ofiarowała futro żonie inspektora za nierewidowanie wymiaru podatku za ostatnie kilka lat. Firma pani K. była bowiem w poważnym kłopotcie, gdyż wyszło na jaw, że potajemnie zatrudnia aż kilkanaście chałupnic, formalnie pracujących na rzecz spółdzielczości nakładczej, ale w rzeczywistości głównie dla niej. Inspektor przyznał się do brania różnych prezentów i także gotówki. Futro z norek spuściła w komisie na swoje imię - wyznał - za sześćdziesiąt osiem tysięcy mieszkająca w Krakowie szwagierka.

Danuta C. śledzi przebieg budowy domku jednorodzinny Józefy M. i jej męża, a swoje obserwacje przelewa na papier i rozsyła do wszystkich władz, podpisując je imieniem i nazwiskiem. „Ciekawe skąd pana M. stać na importowaną glazurę do łazienki?” Albo: „Z cementu przydzielonego na spółdzielcze budownictwo domków jednorodzinnych ob. M. nieprawnie zbudował sobie nieprzewidzianą projektem podmurówkę pod parkan wokół ogrodu”. Albo: „Budowa domków dla świata pracy stanęła, bo opóźnia się dostawa belek stropowych, ale nie dla wszystkich, bo belki na strop domku ob. M. przywiozła osobno ciężarówka przedsiębiorstwa budowlanego, gdzie wymieniony jest zatrudniony. Ciekawe, z której to państwowej budowy ubyło belek stropowych?”

Na swoim procesie eks-inspektor Stanisław Z. powiedział: „Dobrze, że żona sprzedała te norki w Krakowie. Tam można je spokojnie nosić. Nikomu nie zaszkodzą. U nas jest w ogóle za małe miasto na takie futro”.

Istotnie, te norki miały magiczne właściwości. Kto tylko w O. ich dotknął - spotykało go nieszczęście. Stanisław Z. skazany został na długoletnie więzienie i teraz jego żona zarobkuje jako sprzątaczką na plebanii. Pani K., ta od bluzek, otrzymała wyrok z zawieszeniem oraz grzywnę i ma do spłacenia kolosalne podatki, a cofnięto jej licencję na pracownię bluzek. Żyje w oparciu o dwie mężowskie ciężarówki. Nawet mąż Józefy M. został dyscyplinarnie zwolniony z pracy. Pretekst był byle jaki: że w ogóle nie pracował, powodując opóźnienia wszystkich kosztorysów, gdyż dzień i noc doglądał tylko budowy swojego domku. Ale wiadomo, że dyrekcja w ten sposób tylko starała się uprzędzić wydarzenia: trwa teraz dochodzenie przeciwko niemu o wyzyskiwanie znajomości w budownictwie

dla nabywania kradzionych materiałów. Tylko w losie Danuty C. nie nastąpiła żadna odmiana: jak spłacała, tak i spłaca futro.

Jeśli pomyślność ludzi jest dobrem godnym ochrony, to nazbyt kosztowne futra nie powinny być przez hurtownie kierowane do zbyt małych miast, gdzie ani ludzie nie giną w tłumie, ani ich okrycia wierzchnie nie nikną w wielkomięjskim tłoku.

Rzetelność oszusta

Często spotykamy elementy nieuczciwości w działalności z gruntu uczciwej. Przykład: pewien docent zwierzył mi się, że na pierwszym roku studiów podciąga stopnie młodzieży z małych miejscowości i nieinteligentnych domów, bo jest rzeczą znaną, że tego rodzaju studenci mają trudności na pierwszym, adaptacyjnym roku i gdy go przebrną, potem już dają sobie radę tak jak inni albo lepiej. Nie rzadziej dostrzegamy przejawy uczciwości w działalności z gruntu nieuczciwej. Jest to oczywiście uczciwość szczególnego rodzaju. Przykładem złodziej rzetelnie dzielący się łupem ze współnikiem. Zresztą ogólnie wiadomo, że zawodowi przestępcy tradycjoniści mają swoisty kodeks etyczny.

Będzie to właśnie historia przestępcy: hochszaplera, oszusta, naciągacza, który wpadł tylko dlatego, że na gruncie tych swoich zajęć zgoła nieuczciwych kierował się rzetelnością, jakiej nie masz wśród ludzi tego zawodu, pod który się podszywał. Sytuacja paradoksalna: szalbierz - wzorem postępowania dla ludzi, legalnie i za państwowe pieniądze trudniących się zajęciami, które farmazon imitował.

Wiktor A. ma 20 lat i urozmaiconą przeszłość. Urodził się i wychował w małym miasteczku, gdzie skończył siedmioletnią szkołę i po nieudanych próbach dalszego kształcenia się zaczął pracować jako robotnik niewykwalifikowany przy pracach ziemnych. Kopał rów przy jakimś przeznaczonym do rozbiórki budyneczku. Odkrywszy w nim przewody kanalizacyjne i inne urządzenia łazienkowe zgłosił się do władz z projektem urządzenia tam za psi grosz łaźni. Został jej kierownikiem, gdy już był miejskim funkcjonariuszem, szybko uzyskał przeniesienie do domu kultury. Potem został organizatorem różnych imprez artystycznych, wreszcie samodzielnym, dobrze płatnym impresario występów. Karierę w kulturze zwicznął sobie, gdyż przyłapano go na kradzieży jupitera należącego do jakiegoś fabrycznego baletu amatorskiego. Nigdy nie zdołał wytłumaczyć po diabła mu był taki reflektor. Wyrugowany z kultury zmienił miejsce zamieszkania i w innym małym mieście został kierownikiem nadrzecznej przystani, która wkrótce spłonęła. Potem był kelnerem, nalewał benzynę na stacji, piekł kiełbasy na rożnie i siedział w więzieniu za przejechanie się po pijanemu zabranym z POM traktorem, który rozbił o schody wiodące do budynku MO.

Wiktor A., człowiek czynu, w czerwcu tego roku zjawił się w mieście powiatowym Z. i zaczął odwiedzać instytucje kulturalne i organizacje społeczne, oświadczając, że: na sierpniowym, sopockim festiwalu piosenki przewidziany jest dzień debiutów i urządza się w powiatach i miastach eliminacje amatorów. Najlepsi zaśpiewają w Sopocie przed telewizją, „Interwizją”, niemal całą kulą ziemską. On powołany jest do zorganizowania eliminacji w dwóch województwach.

Potem, kiedy sprawa była przedmiotem dochodzeń, interesowano się, skąd wziął drukowane plakaty, „karty uczestnictwa” sopockiego festiwalu, karty wolnego wstępu na występy, kartony z nadrukiem „Grand Hotel Sopot” i tekstem objaśniającym, że okaziciel ma prawo do bezpłatnego pokoju i wyżywienia wartości 150 zł dziennie. Okazało się, że przez niespełna miesiąc pracował jako urzędnik w zakładzie przemysłu terenowego. Załatwiał etykiety na wyroby i po prostu w tekście zamówienia kierowanego do drukarni dopisał potrzebne mu druki. Miało ono podpisy i pieczętkę, więc nikogo nie zainteresowało, dlaczego jakaś tam wytwórnia potrzebuje blankietów i plakatów tematycznie związanych z festiwalem piosenkarским.

Wydaje się, że nie ma rzeczy aż tak nieprawdopodobnych, żeby nie można było naciągnąć na nie młodych dziewcząt i jeśli dotychczas nie sprzedawano im u nas biletów na księżyc, to tylko dlatego, że brakuje popytu na aż takie wzloty. Muzykalni młodzieńcy stanowili w każdym razie mniejszość wśród amatorów-piosenkarzy, których zgromadziły eliminacje do Sopotu. Wiktor A. dostał salę, rozwieszono plakaty, zainstalowano mikrofon i aparaturę nagłaśniającą, w oznaczonym dniu na estradę sprowadzono zespół, który potrafił wtórować każdej melodii. Organizacja przedsięwzięcia nie natrafiała na przeszkody, gdyż Wiktor A. rozpoczął od skompletowania jury. Urzędnik, czy działacz młodzieżowy, kierownik klubu czy prezes czegoś tam - każdy lubi być jurorem. Za stołem dla arbitrów Wiktor A. posadził dysponentów tego wszystkiego, czego mu było trzeba do przeprowadzenia przedsięwzięcia.

Skoro imprezie patronowało jury złożone z osób ogólnie znanych w Z., osób mniej lub więcej urzędowych - nikt z kandydatów nie miał ani chwili wahania, kiedy za wyjazd do Sopotu trzeba było dać Wiktorowi A. do ręki pięć tysięcy złotych. Na razie jeszcze wpłaty nie wchodziły w rachubę. Nawet się o nich nie wspomina. Jest sala z widownią na 200 miejsc, podium, gdzie siedzi jury i orkiestra, jest mikrofon. Przy wejściu stół. Tu Wiktor A. przyjmuje zapisy kandydatów na piosenkarские gwiazdy. Widownię zapełniają uczestnicy konkursu, ich krewni, przyjaciele, kibice. Wkrótce nie ma miejsc. Służba porządkowa zмага się z żulią gromadnie szturmującą salę. W końcu udaje się zamknąć drzwi wejściowe. Wiktor A. ogłasza warunki konkursu: każdy juror będzie punktował jakość występów, stosując skalę od 1 do 12. Do Sopotu pojedzie dziesięć osób, które uzyskają najwyższą średnią arytmetyczną punktów. Nikogo bodaj nie dziwi fakt, że gdyby do Sopotu miało jechać 10 osób z każdego powiatu i miasta administracyjnie powiatowi równoważnemu, w Sopocie trzeba by wypuścić na estradę około 4 tysięcy talentów.

Teraz Wiktor A. wyczytuje pierwsze nazwisko. Wywołana dziewczyna nie rusza się z miejsca, koledzy siłą podnoszą ją z krzesła, na próżno. Ona pierwsza nie będzie śpiewać. To samo z drugą i trzecią. Wzorem zebrań nie ma śmiałka, który pierwszy

wystąpi. Trwa to pół godziny, zamieszanie narasta, w końcu ktoś tam daje początek. Z estrady łamiącymi się głosami wyśpiewywane są szlagiery i kompozycje własne. Orkiestra usiłuje wtórować, ale z osobna ona rzępoli, a z osobna piosenkarki i piosenkarze znęcają się nad melodiami. Niemal co druga zapisana osoba odmawia wejścia na estradę. Trwają głośnie targi. Ta i owa kandydatka namyśliła się i chce wystąpić, kiedy już minęła jej kolejka. Jakąś panienkę matka siłą taszczy ku mikrofonowi. Gwizdy i oklaski widowni. W rzadkich chwilach uspokojenia z głośników niemrawo jadą wozy kolorowe, na które wałą się nuty. Jakiegoś młodzieńca, który bardzo wziął publiczność, bo zaśpiewał fałszywie, ale dziarsko - jury dyskwalifikuje, bo jest pijany. Młodzieniec i jego koledzy szarpią się z jurorami, awantura, straż porządkowa interweniuje. Napływają nowe zapisy od wstydlivych zrazu kandydatek, które po wysłuchaniu występów koleżanek nabrały jednak wiary w siebie. Łamie się z trzaskiem rząd krzesel i kilkanaście osób leci na podłogę. Juror - kierownik klubu, w którym znajduje się ta sala, usiłuje spisać nazwiska winowajców: ktoś musi za to zapłacić. Orkiestra daje za wygraną i chce opuścić estradę. Awantura publiczna. Orkiestra stawia na swoim. Szczęściem jakaś panienka umie akompaniować na pianinie. Kłótnie o kolejność występów. Jury pomyliło nazwiska z osobami. W tylnych rzędach, gdzie najgłośniejszy, ktoś ma butelkę z wódką, ale nie daje się straży porządkowej wyszarpać z krzesła i wyrzucić z sali. Impreza zostaje przerwana. Pijaka zabiera milicja. Wiktor A. co kilka minut grozi, że jak nie będzie spokoju, to impreza zostanie przerwana, a eliminacje unieważnione. Konkurs trwał od szóstej po obiedzie do dwunastej w nocy. Ostatni kandydaci i kandydatki występowali przy pustej już prawie sali.

Popis objął 36 osób. Nazajutrz Wiktor A. wywiesił listę dziesięciorga zwycięzców i wtedy okazało się, że koszty wyjazdu do Sopotu wynoszą 5 tysięcy od gardła płatne natychmiast panu impresario do łapy. Dwie osoby zaraz zapłaciły, trzy zobowiązały się w ciągu trzech dni skombinować pieniądze, jedna uzależniła to od odpowiedzi na list, który wysłała do cioci, cztery zaś od razu zrezygnowały z kariery. Nie stać ich. Wiktor A. ruszył na poszukiwanie następnej z kolei dziesiątki na liście. Chodził po domach. Ci mniej utalentowani lepiej - okazało się - stali finansowo. W ciągu paru dni od czterech osób z drugiej dziesiątki dostał po pięć tysięcy w zamian za zaproszenia i karty do „Grand Hotelu”. Miał już w kieszeni sześciokroć pięć tysięcy. Siódma osoba zapłaciła z opóźnieniem. Potem jeszcze jedna z pierwszej dziesiątki zjawiła się z forszą, mimo że uprzednio zgłosiła już rezygnację. Ojciec sprzedał motor.

Wakowały teraz dwa miejsca. Okazało się, że dwie dziewczyny i jeden chłopiec pragną za wszelką cenę wyjechać do Sopotu. Jedna z dziewczyn zajęła dwudzieste dziewiąte miejsce w punktacji, druga i chłopiec w ogóle nie brali udziału w eliminacjach. Wszyscy troje mieli za to poparcie.

Zaczął się obrabianie Wiktora A., żeby protegowanych i mających pieniądze kandydatów dopuścić poza konkursem. Impresario upierał się, że nie ma mowy, chociaż bardzo go proszono i grożono mu także. Potem, już aresztowany, Wiktor A. tłumaczył swoją niezłomność tym, że chciał ten cyrk uczynić bardziej prawdopodobnym. Ale przecież uleganie protekcyjnym presjom nie odbiera konkursom prawdopodobieństwa, zaś on mógł zainkasować dodatkowe 15 tysięcy złotych i szybko wyjechać. Przypuszczalnie nie dawał się ugiąć, gdyż sam wciągnął się w grę i na wpół wierzył, że przeprowadza realny konkurs, a to na takiej zasadzie, na jakiej dzieci bawiąc się w sklep lub szkołę wierzą na czas zabawy, że są to prawdziwe przedsięwzięcia.

W każdym razie po wzięciu 40 tys. złotych Wiktor A. zamiast brać nogi za pas siedział w Z. pertraktując z miejscowymi czynnikami, które namawiały go do szwindlu, oraz rozmawiał z panienkami i młodzieńcami wybierającymi się do Sopotu na temat repertuaru, prób, terminu przyjazdu. Tak długo to wszystko trwało, aż go zamknęła milicja. A milicja zamknęła go dlatego, że ojciec jednej z dziewczyn, która nie miała odwagi zaśpiewać przed widownią, ale chciała koniecznie wystąpić w Operze Leśnej przed kamerami TV, uderzył wyżej, żeby czynniki wojewódzkie wpłynęły na władze główne od piosenkarstwa, aby ich delegat Wiktor A. stał się bardziej życiowy. No i w dół popłynęła odpowiedź na te monity, że nikt nie słyszał o żadnych konkursach, występach amatorów i nie zezwalał na ściąganie pieniędzy. Ósmioosobowa śpiewająca reprezentacja powiatu Z. dostała z powrotem po 4 793 zł na łeb. Resztę pieniędzy Wiktor A. zdążył już wydać.

Kiedy impresario siedział w powiatowym areszcie rodzice dwojga kandydatów niepokoiли milicję: „Czy mimo, że ten impresario popełnił nadużycie i nieprawnie brał pieniądze, wyjazd dziecka do Sopotu jest nadal aktualny?” Pytania te zadawali ojcowie i matki młodych ludzi, którym w trakcie przesłuchania już powiedziano, że wszystko było lipą. Istnieją nadzieje tak silne, że ludzie nie są w stanie przyjąć do wiadomości, iż zostały zawiedzione.

Człowiek na wagę złota

Proces ten cieszył się dużą, choć lokalną sławą, a o przypadku mówiono nie inaczej jak „zabójstwo o miejsce przy oknie”. Nie jest to żadna przenośnia, więc w zasadzie cała historia została już streszczona. Człowiek zabił człowieka w czasie bójki o lepszą pozycję w przedziale kolejowym, a nie majątkową, zawodową, czy coś takiego. Był to całkowicie pusty przedział kolejowy, gdzie i drugie miejsce przy oknie było wolne. Jeden z bohaterów zajścia miał podróżować 55 minut, drugi (zabójca) godzinę i czterdzieści minut.

W sprawie nie byłoby jeszcze niczego nadzwyczajnego, gdyby morderca stanowił typ chuligana, czy kogoś wchodzącego do przedziału ze skłonnością, żeby zabić; dla takiego każdy pretekst jest dobry (sytuacja psychologiczna z amerykańskiego filmu „Incydent” lub kolejki dojazdowej relacji Warszawa-Tłuszcz). Tymczasem nie. Zabójcą był człowiek 54-letni, po dwóch zawałach serca, niepijący, ojciec trojga dzieci, naczelnny inżynier kierujący prawie trzytysięcznym zespołem ludzi. Jednym słowem to nie morderca wszedł do przedziału. Jan K. dopiero wyszedł z przedziału jako morderca.

Realną przyczyną zbrodni było miejsce przy oknie. Podobne sprawy należą do rzadkości. Podobne - to znaczy takie, gdzie istnieje uderzająca dysproporcja między powodem zbrodni a nią samą. Chyba że sprawcą jest wariat, degenerat, chuligan, debil. Panowie w średnim wieku o ustalonej pozycji społecznej bywa, że zabijają z miłości, zazdrości, ze strachu, dla pieniędzy, ale nie o miejsce.

W trakcie procesu adwokaci nie znajdowali w polskiej praktyce sądowej precedensu i powoływali się na pewien paryski wypadek sprzed paru lat, który wstrząsnął francuską opinią publiczną. Tam zabójcą był też człowiek stateczny, o nieposzlakowanej opinii.

I także chodziło o miejsce - na parkingu. Proces, który nastąpił po tej zbrodni był komentowany w tym duchu: doszło już do tego, że miejsce do parkowania jest dobrem tak trudno dostępnym i kuszącym, że aż stało się powodem zabójstwa. Ale miejsce przy oknie w polskim pociągu nie jest niczym szczególnie kuszącym. Często uzyskuje się je bez trudu. Nie ma tu więcej żadnej analogii. Jan K. zabił w wagonie, gdzie istniało jeszcze kilka czy kilkanaście wolnych miejsc przy oknie, zamordował w przedziale, gdzie drugie siedzenie przy oknie było puste.

Zdarzenia nie widział nikt poza zabójcą, znaczy nikt z żyjących. Było ono krótkie. Rzeczy miały się tak.

Jan K. wszedł do pustego przedziału I klasy pociągu osobowego w chwili, gdy pojazd stał na stacji. Położył teczkę na siedzeniu, więc zarezerwował sobie miejsce,

po czym wyszedł do toalety. Gdy wrócił, a pociąg był już wtedy w ruchu, na miejscu gdzie uprzednio spoczywała teczka siedział młody człowiek. Zabójca przyznaje, że teczki nie położył dokładnie na poduszce znajdującej się przy oknie, przeciwnie do kierunku biegu pociągu, ale tak, że częściowo leżała na tej, a częściowo na sąsiedniej poduszce. Jan K. jest jednak zdania, że każdy powinien się domyślić, że spośród dwóch wchodzących w grę siedzeń zajęte zostało to lepsze, przy oknie. W każdym razie młody człowiek przesunął teczkę ku środkowi przedziału, żeby móc usiąść przy oknie. Wywiązał się następujący dialog między Janem K. a młodzieńcem, 22-letnim Dariuszem M.

K. - Przepraszam (plus gest oznaczający „fora ze dwora”).

M. - A bo co? (zaczepnie).

K. - Zająłem to miejsce.

M. - Po pierwsze trochę grzeczniej.

K. - Ja cię nauczę ty pętaku... (i złapał Dariusza M. za kłapy).

Więcej nie padło żadne słowo poza przekleństwami K. Kiedy Dariusz M. go kopnął „w miejsce szczególnie czułe u mężczyzny” - jak mówiono na procesie, K. zwinął się na kanapie przedziału, potem doskoczył do młodzieńca, a ważył o 37 kg odeń więcej, złapał go za uszy i waląc potylicą o metalowy kant stoliczka zmasakrował mu głowę.

Dariusz M. nie odzyskał przytomności. W 11 godzin i 35 minut później zmarł w szpitalu, już po operacji.

Po dokonaniu tego czynu Jan K. wyszedł na korytarz, otworzył okno, chłodził się pędem powietrza, a kiedy pociąg stanął, wysiadł.

Na procesie oskarżony wersję tę nieco zmienił. W śledztwie twierdził, że okno w przedziale było zamknięte. W sądzie utrzymywał, że było otwarte. Kiedy po otrzymaniu kopniaka powtórnie doskoczył do swojej ofiary - młodzieniec wyciągnął nóż. Tłukł - powiadał - jego głową o stolik, broniąc się przed dźgnięciem noża. Po wszystkim wyrzucił ten nóż przez okno.

Sąd nie dał wiary tej opowieści. Kiedy Dariusza M. znaleziono w przedziale okno było zamknięte. Któż zamykałby okno mając przed oczami koszmarny widok, jaki musiałby ujrzeć w przedziale? I po co? K. nie umiał także wyjaśnić, w jaki sposób aż tak skutecznie bił głową antagonisty o blat, jeśli prawą ręką przytrzymał równocześnie prawicę młodzieńca uzbrojoną w nóż. Dalej byłoby niewytłumaczalne, dlaczego w trakcie długotrwałego śledztwa nic o nożu nie wspomniano. Wreszcie nie istniała żadna poszlaka, że Dariusz M. rzeczywiście mógł mieć przy sobie nóż.

Jan K. wysiadłszy z pociągu w niewielkiej osadzie Chrusty chciał połączyć się ze

swoją fabryką. Nie uzyskawszy rozmowy, nawet błyskawicznej, wrócił pociągiem do domu. Na poczcie w Chrustach zjawił się bez marynarki, w samej koszuli. Pokrwawioną marynarkę wrzucił przedtem do starej nieczynnej studni przeciwpożarowej koło dworca. Znalaziono ją tam później. Po powrocie do domu pociął spodnie, koszulę i buty i spuścił po kawałku w ubikacji. Przebrał się, zadzwonił do fabryki po samochód i przyjechawszy do pracy powiedział zwierzchnikowi, że zapomniał ważnych papierów. Zawrócić miał z dworca w miejscowości, gdzie mieszkał.

Zbrodniarz zacierał po sobie ślady. Odnaleziono go jednak rychło. Ekipa prowadząca dochodzenie przypuszczała, że zabójca najpewniej wysiadł na najbliższej stacji, żeby wiać z pociągu, w którym jest zamknięty wraz ze swoją ofiarą i śladami zbrodni. To dosyć oczywisty odruch.

W Chrustach każdy obcy zwraca uwagę, szczególnie tęgi, elegancki pan w samej koszuli mimo chłodu. W rejestrze poczty ostał się jego służbowy numer telefonu, z którym usiłował się łączyć. Jan K. aresztowany został w dziewięć dni po śmierci Dariusza M.

Interesujące są te dni między zbrodnią a aresztowaniem. Nazajutrz po powrocie do domu K. znowu wyjechał tą samą trasą i zabawił dzień w zjednoczeniu załatwiając tam z dużą energią swoje służbowe sprawy. Wrócił. Urzędował normalnie. Nikt niczego po nim nie poznał, również żona. Mieściły te dni dwa brydże, jeden ochłaj z cudzoziemską delegacją, pójście do kina, wiele spacerów i zabiegi o przydział desek na domek myśliwski, który zamierzał budować.

Jan K., syn chłopa, przed wojną skończył szkołę dla geometrów i pracował w tym zawodzie. W czasie wojny i zaraz po wojnie robotnik. Studia pierwszego stopnia robił trybem wieczorowym i przyspieszonym w latach 1946-1949. W latach pięćdziesiątych uzupełnił je kursem magisterskim. Był wtedy dyrektorem niewielkiej, prowincjonalnej fabryki, ale później awansował na naczelnego dużego zakładu. Zwolniony został z tej funkcji za nieumiejętność ułożenia sobie współpracy z władzami terenowymi. Był krewki i bardzo niepokorny. Oficjalnie jednak nazywało się to, że odszedł na własną prośbę i otrzymał angaż na niższe stanowisko naczelnego inżyniera, także na własną prośbę. Chciał - jak twierdzi - być bliżej techniki, zająć się twórczością. Istotnie ma trzy wartościowe patenty i sporo prac na warsztacie.

Zeznawało mnóstwo jego dawnych i obecnych współpracowników. Kwestie charakterologiczne miały w tym procesie szczególne znaczenie. K. nie był typem człowieka skomplikowanego i zamkniętego w sobie, więc opinie, jakie mu wystawiano, były dosyć jednorodne. Dobry fachowiec, energiczny, pracowity, oschły wobec innych, pasjonat. Zawsze miał z początku konflikty z otoczeniem,

póki ono nie zauważyło, że dużo krzyczy, a nikomu nic złego nie czyni. „Niegrzeczny - zeznała jego własna sekretarka - i przez to niedzisiejszy. Teraz dyrektorzy są układni, mili, niezależnie od tego, co w nich siedzi w środku”. Robił wrażenie kipiącego wciąż energią, ale był złym organizatorem. Jednym słowem krzykliwy apoplektyk, sprawny jako technik i nieciekawy jako osobowość. Nie miewał ani przyjaciół, ani wrogów, z wyjątkiem tego czy owego robotnika, którego, powiedzmy, skłął arogancko. Bardzo władczy w obejściu Jan K. nawykły do rządzenia. W życiu zajmował się głównie pracą.

Jego antagonistą o miejsce przy oknie był absolwentem średniej szkoły o specjalności ekonomicznej. Pracował w handlu, w biurze hurtowni. Zamiłowanie miał jednak raczej do handlu detalicznego. Zarabiał w ten sposób, że wykupywał przedmioty, o których sprzedaży ludzie ogłaszają w gazetach i potem handlował nimi z zyskiem. Zawsze miał dużo pieniędzy. Żonaty. Jedno małe dziecko. Bibliofil - tym się pasjonował. Słabego zdrowia: astmatyk i diabetyk zarazem. Uchodził za towarzysko nieatrakcyjnego. Afiszował się wśród rówieśników pieniędzmi i sprytem. W każdym razie słabeusz, który nigdy nikogo nie zaczepił, ani nie wdał się w bójkę. Natomiast bywał arogancki i nauczyciele nie cierpieli go za to, że miał przyklejony do twarzy bezczelno-kpiący uśmiech. Przypuszczalnie przestał żyć przez ten uśmiech i właśnie przez to, że inż. K. zbyt nawykły był do posłuchu. I dlatego jeszcze, że młoda twarz kojarzyła mu się z kondycją podwładnego.

W ubraniu nieprzytomnego Dariusza M. znaleziono pięciodniowe zwolnienie lekarskie z pracy. Wyzyskiwał je na podróż handlową do macochy swojej żony.

K. twierdził, że po prostu z bólu i złości (po kopniaku w słabiznę) nie wiedział co robi, nie miał pojęcia, o co wali głową Dariusza M., nie chciał zabić, możliwości takiej nie przewidywał.

Zapewne tak właśnie było.

K. został skazany na 6 lat. Okolicznością obciążającą było, że porzucił swą żywą przecież jeszcze ofiarę, uciekał, zacierał ślady i nie okazywał skruchy, którą tylko zdawkowo zadeklarował na procesie.

Pomiędzy zakończeniem śledztwa a procesem w więzieniu śledczym miał dużo czasu i zabrał się do pisania. List, który wypichcił, stanowił później dowód w sprawie, dowód jego moralnej niewrażliwości równie istotny, jak ustalenia dotyczące sposobu spędzania dni między zabiciem a aresztowaniem.

W liście z więzienia, adresowanym do władz naczelnych Jan K. opisuje swój życiorys. Pisze o ojcu-chłopie i swoim wiejskim dzieciństwie, o okupacji, i o tym, że po wojnie pracował manualnie. Potem o ogromnym wysiłku z jakim zdobywał wykształcenie. W swoim liczącym 66 arkuszy kancelaryjnego papieru liście

szczegółowo i rzeczowo opisuje, gdzie pracował, co wznosił, tworzył, uruchamiał. Wspomina o dwóch zawałach i łączy je z wytężoną swą pracą. Charakteryzuje wynalazki, jakich dokonał i korzyści, które one przyniosły. Na koniec obszernie pisze, nad jakimi problemami technicznymi pracował, póki go nie aresztowano i co mogłyby one przynieść gospodarce, gdyby go nie aresztowano. W konkluzji prosi o zwolnienie z więzienia, gdyż trzymanie jego w takim miejscu „trudno nazwać inaczej jak szkodzeniem interesom gospodarczym PRL”. - Tak właśnie to formułuje. O Dariuszu. M. nie ma w liście ani słowa, natomiast epistoła kończy się zwrotem, że bez fałszywej skromności musi o sobie powiedzieć, iż taki jak on człowiek „jest na wagę złota”.

Prokurator podchwycił to w swej mowie i twierdził, że Jan K. ten oskarżony niepodatny skrusze, nie rozumie, iż sądzony jest tu właśnie dlatego, że każdy człowiek, a nie tylko on - jest na wagę złota. Co do nas, to nie lubimy patosu w ogóle, a w ustach prokuratorów szczególnie. Jan K. - ten subtelny *homo faber* nie jest miłością naszego życia.

Wspólna łazienka

Latem 1971 roku Fundusz Wczasów Pracowniczych związał ze sobą panie Genowefę Sz., 43-letnią pracownicę umysłową i Janinę C., 48-letnią farmaceutkę, lokując je w jednym pokoju. Któregoś dnia po kolacji panie poszły razem na dansing, a wróciły osobno. Najpierw wyszła z lokalu pracownica umysłowa. Farmaceutka wróciła później. Nie zastała jednak swojej towarzyszki w pokoju, natomiast, to, co tu obejrzała, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Walizki wyciągnięte były spod łóżek, a zawartość wybebeszona na podłogę, rzeczy powyciągane z szafy i rzucone na łóżko. Garderoba wyglądała jak kupa szmat w zbiornicy odpadów wtórnych. Przetrząsnięto szuflady, torebki, kieszenie. Ktoś wściubiał nos w papiery, dokumenty, kosmetyki. Nawet lekarstwa były wysypane i wylane ze słoików i butelek. Janina C., farmaceutka, mimo późnej pory obudziła kierowniczkę Domu Wczasowego, zrobiła raban, ściągnęła ją do swego pokoju, żeby pokazać ogrom zniszczeń, domagała się dochodzenia, przeprosin i wyrównania szkód. Tylko kto to zrobił?

Rano zagadka uznana byłaby za wyjaśnioną, gdyby kierowniczka domu nie była dobrym psychologiem. Janina C. zaalarmowała ją bowiem, że Genowefa Sz. nie wróciła na noc i chociaż część jej rzeczy zniknęła razem z nią - to jednak część została. Janina C. wysunęła więc hipotezę, że to jej współlokatorka, Genowefa Sz., pracownica umysłowa, rozbebeszyła rzeczy ich obu i związała z zakładu wczasowego. Kierowniczka jednak powątpiewała: gdyby to zrobiła Genowefa Sz. to nie obeszlaby się tak bezceremonialnie ze swoją własną garderobą. Zakładając jednak, że gorączkowo szukała czegoś w swoich rzeczach - czyż przetrząsałaby walizki współtowarzyszki? W każdym razie z pokoju nic nie zginęło.

W porze obiadu stało się powszechnie wiadome całemu turnusowi, że Genowefa Sz. nocą, w pośpiechu zwinęła manatki i wyjechała, ale zostawiła część swoich rzeczy. Było to zdarzenie fascynujące i tajemnicze dopóki na obiad nie przyszedł Antoni O., tokarz i wówczas zniknięcie Genowefy Sz. przestało być zagadką. Antoni O., 39-letni tokarz powiedział bowiem wobec całej jadalni, że Genowefa Sz. jest złodziejką, która została zdemaskowana i dlatego uciekła w takim pośpiechu, że nawet nie zabrała rzeczy. On sam, Antoni O., ją zdemaskował. On także, wraz z panią Julią S., z którą sympatyzuje na wczasach, przeszukał pokój pań Genowefy Sz. i Janiny C., za co tę drugą serdecznie przeprasza. Narobił zaś bałaganu, bo działał w zdenerwowaniu i pośpiechu, gdyż wielkie nieszczęście spotkało Julię S., jego sympatię poznaną w tutejszym domu wczasowym. Po kolacji Antoni O. wybierał się z Julią S. na dansing, ten sam, na który poszły lokatorki pokoju, który potem przetrząsał. Nie dane mu jednak było iść i bawić się beztriosko, Julia S. myślała się przed wyjściem we wspólnej dla całego piętra łazience i na półeczce nad

umywalką zostawiła złoty pierścionek, także z kamieniem. Po chwili wróciła, łazienka była zajęta i zamknięta. Czekala tam cała w nerwach na korytarzu. Z łazienki wyszła Genowefa Sz. Wtedy Julia S. zajrzała do środka. Pierścionka nie było. Weszła więc do Genowefy Sz. i grzecznie ją zapytała, czy nie znalazła pierścionka z kamieniem. Genowefa Sz. zaprzeczyła, ale była bardzo speszona. Zresztą z sytuacji wynika, że go musiała ukraść, bo nikt inny nie chodził do łazienki. Julia S. płakała, więc Antoni O. się wnerwił i gdy te dwie panie sobie poszły, wszedł wraz z sympatią do ich pokoju i poszukał pierścionka. Niestety, bez rezultatu, bo Genowefa Sz. na pewno go ze sobą zabrała na dansing i czując się zdemaskowaną uciekła w nocy.

O fakcie zawiadomiono Milicję Obywatelską.

Nim turnus się zakończył, zatkała się umywalka w łazience, a ponieważ woda wylewała się na podłogę, więc wezwano nawet hydraulika, który rozkręcił kolanko i znalazł w nim złoty pierścionek z kamieniem, należący do Julii S. Teraz powstała przykra sytuacja, bo okazało się, że niesłusznie zostało rzucone podejrzenie na Genowefę Sz. pracownicę bądź co bądź umysłową i pochopnie zeznano na milicji, iż jest złodziejką. Zaraz też MO została zawiadomiona, że pierścionek już się znalazł. Sytuacja była także intrygująca, bo jeśli Genowefa Sz. nie ukradła - to dlaczego związała, koncentrując na sobie podejrzenia? A jeśli skutkiem doznanej przykrości miała już dosyć wczasów pracowniczych, to czemu zostawiła większość swoich rzeczy?

Głowiono się nad tym wszystkim tak długo, aż turnus dobiegł końca. Wtedy zaś powstał kłopot, co zrobić z garderobą Genowefy Sz. Zdeponowano ją w magazynie, ale także się niepokojono, czy nie stało się z pracownicą umysłową coś złego? Choć przecież z drugiej strony zabrała część garderoby, więc chyba nie poszła się topić, bo do tego neseser jest zbędny.

Tymczasem milicja, która już szukała rzekomej złodziejki u niej w domu stwierdziła, że nie wróciła ona z wczasów. Jej mieszkanie (w którym mieszka sama, gdyż jest panną) stało wciąż zamknięte. Nie zgłosiła się również do pracy i nie usiłowała odebrać rzeczy pozostawionych w domu wczasowym. Wobec tego milicja poczęła jej szukać, mimo że już wiedziała, iż Genowefa Sz. nie jest złodziejką. Wyglądało jednak na to, że spotkało ją jakieś nieszczęście.

Ustalono, że mieszka ona u swojej siostry, żony dyrektora POM. Milicjant, który ją tam odszukał, nie zastał szwagierki dyrektora w domu. Przyszedł nazajutrz - dowiedział się, że już wyjechała. Tamtejszy posterunek pchnął odpowiedni meldunek i wtedy milicja przestała szukać Genowefy Sz. Pretensji do niej MO nie miało, obywatelka ma prawo nie odbierać swojej walizki z wczasów. Skoro nic złego jej się nie stało, milicji nic do jej tajemniczych poczynań.

W krótki czas potem Genowefa Sz. zjawiała się na milicji i oświadczyła, że oto właśnie postanowiła sama się zgłosić. Milicja jej szuka. Wie o tym. Zorientowała się, że MO ją tropi, kiedy pod jej nieobecność zrobiono rewizję w pokoju, który zajmowała w domu FWP. Uciekła. Milicja deptała jej po piętach. Odnalazła ją nawet u siostry na wsi. Umykała więc, tułała się to tu, to tam. Ale już nie ma siły i pieniędzy, żeby dalej prowadzić życie szczutego zwierzęcia. Woli odsiedzieć swoje winy. Zgłasza się i wyzna wszystko, jak było.

Genowefa Sz. jest urzędniczką administracji cmentarza i w tym charakterze popełniła nadużycia. Jeszcze ciekawsze, niż rozwikłana oto zagadka jej zniknięcia, poprzedzona zagadką zaginięcia pierścionka i zagadką nocnej rewizji w pokoju wczasowym - jest pytanie: co można ukraść na cmentarzu? Otóż groby. Nie nagrobki - to już bywało, ale ziemię, miejsce, kwaterę. Cmentarz, w którego biurze Genowefa Sz. pracowała, określiła ona jako „łakomy cmentarz”. Jest on stary, przepełniony, trudno tam się dostać. Tymczasem, opowiadała Genowefa Sz., „nieboszczycy pchają się tylko do nas”. Ten cmentarz to eleganckie miejsce. Jest w dobrym tonie tam właśnie leżeć.

Politykę kwaterunkową na cmentarzu regulują ścisłe przepisy. Zwykły szary nieboszczyk bynajmniej nie musi leżeć tam, aż do końca świata. Kiedy mija odpowiednia ilość lat od jego śmierci, już nikt się nie interesuje jego grobem, rodzina mająca go w pamięci też wymarła, to takiego nieboszczyka można wykwaterować. Genowefa Sz. fałszowała papiery, przydawała lat lokatorom cmentarza, dalej fałszowała dokumenty tak, aby z nich wynikało, że jest po eksmisji, kwatera zwolniona. W pewnych znów wypadkach powodowała przedwczesne przenosiny. Za słone łapówki (trzy do dwunastu tysięcy złotych) załatwiała miejsce swoim klientom.

Robiła tak od lat do spółki z zastępcą kierownika. Sama nie wie, ile zarobiła, ale myśli, że około stu tysięcy. Pieniądze te nie dały jej szczęścia. Umarli śnili się jej po nocach, szczególnie owi wykwaterowani. Ostatnio - ciągle w snach - wygrzebane z ziemi ludzkie szczątki goniły ją i wtrącały do więzienia. Miała nerwy w strasznym stanie. Przeczuwała, że nadchodzi koniec. I oto stało się. Taki to był przyjemny wieczór: muzyka, ludzie, wino, jakiś pan zaprosił ją do tańca. Wróciła rozmarzona do pokoju w domu wczasowym FWP i zobaczyła, że milicja już tu po nią była. Przeszukali rzeczy, to - pomyślała - rano wrócą.

Wspólne łazienki w domach wypoczynkowych to anachronizm i udręka dla wczasowiczów.

Za co biją poetów?

Młody matematyk Jerzy D. zaznał i doświadczył złych skutków sławy literackiej, kiedy pewnego popołudnia odwiedził go obcy facet i zbił go do krwi. Jerzy D. był wówczas sam w mieszkaniu. Zadzwoił dzwonek u drzwi. Matematyk otworzył. Wszedł młodzieniec ubrany wizytowo: czarny garnitur o długopolej marynarce i fantazyjnym kroju kołnierza, różowawa koszula, szeroki krawat w kwiaty. Twarz ponura. „Jerzy D.?” - zapytał i wyjął z kieszeni pogięty tomik wierszy, debiutancki tomik młodego matematyka. - „To pan sam napisał?”

Gospodarz prosił do pokoju i nazajutrz, w kawiarni nie tąpił przed przyjaciółmi wzruszenia, które w owej chwili poczuł. „Myślałem wtedy: mówi się, że tego nikt nie czyta, a proszę, robotnik, góra technik, z wymiętym od czytania egzemplarzem. Odszukuje adres autora, przychodzi, widocznie coś go tu tak silnie wzięło”. I rzeczywiście wzięło go coś chyba silnie, bo zamiast usiąść na podanym mu przez poetę-matematyka krześle zdjął marynarkę, powiesił ją starannie na oparciu, wyraził się do mamusi Jerzego D. i zaczął bić. Poeta bronił się słabo, a może wcale, gość szybko skończył, gospodarz zaczął łowić w chusteczkę krew z nosa, młodzieniec włożył marynarkę i powiedział: „Wiesz za co?” „Nie” - wyjaśnił poeta - „Jestem Kazik, narzeczony Luśki. Już ty k... wiesz za co”. I wyszedł.

„Te wierszyki znam prawie na pamięć - nazajutrz w kawiarni mówił Jerzy D. przyjacielom - ale po jego wyjściu przemyślałem twarz, wziąłem elenium i przeczytałem cały tomik jeszcze raz pod kątem tego mordobicia. On gdzieś tam siebie znalazł w tych lirykach, w jakimś opisie sponiewierania, głupoty i niemocy, albo zobaczył ją, tę Luśkę w jakichś moich, bardzo osobistych fuzlach i goryczach, kiedy piszę tam, pamiętacie o dziewczynie. To jest tak zwana trudna poezja, a przecież on, ten facet, robotnik, góra technik musiał się tak silnie, rozumiecie, zidentyfikować, że uznał, że ja, rozumiecie? Jakoś bezpośrednio musiałem wziąć na warsztat jego jakieś sprawy z tą Luśką, że oni byli mi modelem, pozwolili niczym malarzowi do tych wierszy a ja obsmarowałem ich niczym dziennikarz w gazecie”. Tu poeta wskazał przyjacielom na swoją pokiereszowaną gębę i wyraził opinię, że wczorajsze mordobicie było najpiękniejszą, najbardziej pochlebną i szczerą recenzją, jaką w ogóle pisarzowi można ofiarować.

Twórcy o wiele bardziej niż inni ludzie skłonni są wszystko interpretować na swoją korzyść, cóż dopiero autorzy jednego poetyckiego tomiku o nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy plus dwieście gratisów. Rzeczywistość wkrótce jednak zazgrzytała.

Młody matematyk dostał wezwanie do sądu, z którego wyczytał, że ma zeznawać jako świadek w sprawie przeciwko Kazimierzowi P. Nie znał takiego Kazimierza

i jeszcze nie wiedział co to za sprawa.

Lucyna R., 19-letnia sprzedawczyni w sklepie ze słodyczami, oskarżała swojego byłego narzeczonego, 21-letniego Kazimierza P. o to, że naruszył jej nietykalność cielesną, w sposób zostawiający ślady na ciele. Podczas kiedy Jerzy D. siedział na korytarzu, nic jeszcze nie wiedząc o tym, że urzędujący za drzwiami sąd jego, świadka, srożej ukarze niż oskarżonego, bo sponiewiera miłość własną poety, więc kiedy Jerzy D. czekał na zaproszenie do zeznań w nieznanym mu sprawie - wyjaśnienie składał obwiniony. Lucynę R. poznał dwa lata przed sprawą, kiedy jeszcze z napisem „Uczeń” na fartuchu sprzedawała w sklepie „Warzywa-owoce”. Miało miejsce to poznanie na prywatce u kolegi, nazwiska nie pamięta, tylko imię. Ona tam była obecna jako siostra dziewczyny tego kolegi. Wtedy jeszcze nie zaczął z nią chodzić, dopiero później, owszem dużo, bo jakieś trzy tygodnie później, kiedy ją spotkał w autobusie i dowiedział się, że pracuje w sklepie i w którym. Przyszedł do tego sklepu wieczorem, poczekał na zamknięcie, następnie zapytał, czy już z kimś chodzi, skoro nie, to poszli na wino do kawiarni, a następnie na spacer i do ogródka działkowego jego ciotki, gdzie przekonał się, że ona odpowiada mu pod każdym względem i opowiedział jej wszystko o swoim życiu, a także ona jemu o swoim.

W jakiś czas później, chyba zeszły ze dwa tygodnie, Lucyna R. zapytała go, czy by się z nią nie ożenił, na co odpowiedział: „Czemu nie?” i odtąd rozumiało się między nimi, że są po słowie. I byłby się naprawdę dawno ożenił, czego dziś przyszłoby mu gorzko żałować, gdyby nie jego brat lekarz, starszy brat rzecz jasna. U Lucyny nie było sensu mieszkać, bo tam jest zagęszczenie pięciu osób w dwóch małych pokojach, pierwszy przechodni. Jego żonaty brat, lekarz, Wojciech, miał dostać z żoną mieszkanie. Wtedy u rodziców mieliby osobny po nim pokój. Brat lekarz przez dwa lata przechodził jednak poślizgiem w spółdzielni na następny rok, a bez mieszkania branie ślubu widziało się Kazimierzowi P. bez sensu.

Sąd napomniął oskarżonego, aby skrócił swoją wypowiedź do zdarzeń najważniejszych, które doprowadziły do nieporozumień pomiędzy narzeczoną a nim. Tego dotyczy bowiem sprawa. Kazimierz P. odpowiedział, że jest prostym człowiekiem pracy, więc może błądzić, ale sądzi, że jest jego prawem obywatela przedstawić sądowi przed oczy, że nie ożenił się bez własnej winy, więc był w prawie. Lucynę R. potraktował, jak narzeczony narzeczoną, co innego, gdyby był zwodzicielem. Co oświadczywszy usiadł, a jego adwokat począł sądowi objaśniać intencje i obyczajowe podłoże tego oświadczenia.

„Narzeczeństwo miało przebieg w okolicznościach niesprzyjających, bo kończyłem pracę o czternastej a narzeczona o dziewiętnastej, rozpoczynając ją o jedenastej, podczas gdy ja o szóstej. Po pracy chodziłem więc bez celu, a koło dwudziestej drugiej patrzyłem iść spać, kiedy narzeczona myślała, żeby się zabawić, mając

zawsze możliwość to odespać i w tym widzę przyczynę wszystkiego” - zeznawał dalej Kazimierz P.

Zwykle oczekiwał na narzeczoną przed sklepem w porze jego zamykania. Przyszedł jednak taki czas, że niemal co drugi wieczór wystawiała go do wiatru. Zjawiał się - jej już nie było. Koleżanki mówiły - źle się poczuła, wcześniej wyszła. Biegł do niej do domu. Okazywało się: nie wróciła. Albo zastawał ją w sklepie, a ona widząc go pryskała tylnym wyjściem. Kierowniczka sklepu i inne sprzedawczynie śmiały się z niego, a rodzina Lucyny R. zaczęła traktować wpierw niechętnie, potem nawet niecierpliwie. Uprzedzał Luškę, że do robienia wała niech sobie lepiej poszuka kogoś innego. Przepraszała, obiecywała, że więcej tego nie będzie i ciągnęła go na działki. Jak się tylko między nimi uładziło - znowu robiła go w konia. Już nie wiedział co o tym myśleć i nawet list do niej napisał, w którym uprzedzał, że ją kocha, więc niech lepiej ona nie przeciąga struny, bo się z nią rozliczy po męsku, a potem znajdzie sobie inną.

Nie jest niedzisiejszy, więc zgodził się, kiedy powiedziała, że odbierze sobie w dyrekcji wolne dni i pojedzie z kuzynką do Szczyrku. Miała telegrafować adres, chciał do niej napisać list. Telegram nadszedł. Tak się złożyło, że w sobotę miał wezwanie na komisję wojskową - dziewiąta rano jak był wolny, a przed nim jeszcze i niedziela. Pojechał do Szczyrku, zamiast napisać. Wydał pieniądze, czas zmarnował, a adres był lipny. Z nerwów zapisał w poniedziałek z kolegami i jeden z nich jasno mu wygarnął, że Luška chodzi z jakimś długowłosym. Wszyscy wiedzą. Ona nawet nie bardzo się kryje. Pewnie jakiś student, czy nawet artysta.

Kazimierz P. zna życie i nie o artystę miał żal, tylko że nie powiedziała, zwodziła, z jednym miała przyjemność, drugiego trzymała w odwodzie i tym wystawiała na pośmiewisko. Poszli z Lušką na działkę. Chciał się tylko rozmówić. Zresztą na działce zawsze stawał się miękki. Zaprzeczyła: „Kogo nie obgadują? Pokaż mi chociaż taką jedną”. Ze Szczyrku także się wyłgała, że wszystkiego. Jeszcze ją przepraszał. Godzili się do późna w noc. Potem ona na chwilę odeszła. Poszła umyć się do hydrantu, a jemu akurat zabrakło fajek. Otworzył jej torebkę. Książka! Patrzy: wiersze! Zdążył tylko pomyśleć, że jeszcze raz po tym wszystkim wyklamała się przecież i zrobiła z niego spiralnego wała. Nic więcej nie pamięta, chociaż był trzeźwy. Może i uderzył. Mógł uderzyć. W ogóle nie wie co się z nim działo. Wrócił do świadomości dopiero w domu.

Lucyna R. pamiętała wszystko w szczegółach. Kiedy wróciła do altanki, trzymał tomik i zaczął „bluzgać”. „Użył słów ogólnie znanych” - sprecyzowała. Zapytała, o co mu chodzi. Książka jest książką. „Wszystko, ty taka owaka, umiesz mi wmówić, ale nie powiesz, taka owaka, że sama z siebie czytasz wiersze! To jest dowód!” I określił, czego to jest dowód słowami ogólnie znanymi. A potem zaczął bić.

Uciekała przez łąkę, a co ją dopadł, to lał, póki nie upadła. Jak podnosiła się i biegła dalej - znowu ją bił i ubliżał. Przeczekała więc, leżąc na ziemi, aż sobie pójdzie. Potem wróciła do domu, a matka nie dała jej ani się przemyć, ani włożyć niepodartej sukienki, tylko od razu zawiozła taksówką na pogotowie, żeby spisali obdukcję.

Później długowłosego matematyk Jerzy D. opowiedział sądowi w jakich to okolicznościach oskarżony, którego rozpoznaje, zbił mu twarz w jego własnym domu. Na pytanie sądu, czy zna obecną tu Lucynę R., poeta zaprzeczył, a i ona wyjaśniła, że nigdy go w życiu nie widziała.

Oskarżony zaś powiedział, że zaraz następnego dnia po tej nocy z Luśką na działkach wyszukał w książce telefonicznej nazwisko i imię, wydrukowane na okładce książki, którą zabrał narzeczonej. Czuł bowiem, że nie zazna spokoju, dopóki jemu także nie przyleje. „Dlaczego pan sądził, że narzeczona zdradza pana akurat z autorem książki, którą miała w torebce?” - dociekał sąd. „Czy ja nie znam kobiet? Gdyby z nim nie sypiała, przecież nie czytałaby tych wierszy!” „Czy oskarżony naprawdę sądzi - zżymał się sąd - że książki czytują tylko osoby pozostające w intymnych stosunkach z ich autorami?” Kazimierz P. odrzekł z godnością, że wcale tak nie sądzi. Sam też przeczytał niejedną książkę. Ale on zna życie - to raz, zna Luśkę - to dwa, wie jacy są artyści - to trzy, a to przecież nie jest normalna książka, tylko wiersze. „Skąd pani miała tę książkę?” - zapytał obrońca Kazimierza P. „Uchylam, to nie ma nic wspólnego ze sprawą” - oświadczył sędzia. Nie przeszkodziło to Lucynie R. krzyknąć w kierunku kojca dla oskarżonych: „A żebyś wiedział! Mam narzeczonego. I on czyta takie rzeczy!”

Jerzy D., który po złożeniu zeznań został - pamiętam - na sali sądowej i słuchał końcowej części przewodu, nie czekał na ogłoszenie wyroku, ale wyszedł i taką miną, jakby dopiero teraz wziął lanie. Zrozumiał, że w biciu, które dwa miesiące wcześniej dostał, nie było niczego dlań pochlebnego, niczego wzniosłego, że ludzkie losy płyną i emocje spiętrzają się w oddzieleniu od jego wierszy, a poezji współczesnej na działkach się nie czyta.

Trochę codzienności

Do sądu wpłynęła sprawa karna z prywatnego oskarżenia pewnej pracownicy przeciwko przewodniczącemu rady zakładowej. Ponieważ rada reprezentuje interesy załogi i jest wybierana przez ogół podobne procesy podważają jej autorytet i mają niewłaściwy wydźwięk. Dlatego to dykcja, mając ze swoją instancją związkową należycie ułożoną współpracę, próbowała na robotnicę oddziaływać, żeby wycofała skargę, wykazując zrozumienie dla interesu publicznego. A za to - obiecywano - przewodniczący, jeśli postąpił niewłaściwie, ukarany zostanie po linii związkowej. Wzmiankowana pracownica okazywała jednak upór i brak zrozumienia, co oczywiście nie mogło się brać z niej samej. Dyrektor powiedział jej w oczy, że wie, iż za nią stoi radca prawny mgr G., który drze z przewodniczącym rady i chce wyzyskać jej przypadek, aby się odegrać. Dykcja nie wchodzi w to, czy ona, jako pracownica zakładu, ma prawo ciągać po sądach wybranego przez ogół przewodniczącego rady, który mógłby być jej ojcem i ma wieloletnie zasługi. Może i ma takie obywatelskie prawo, choć korzystanie z niego na pewno nie sprzyja wykonaniu zadań, jakie postawione są przed zakładem, a które wymagają konsolidacji załogi. Dykcja bardzo jednak wątpi, czy zakładowy radca prawny ma prawo udzielać pracownikom prywatnych porad w ich prywatnych sprawach i pisać im pozwy przeciwko członkom kierownictwa aktywu zakładowego. Dyrektor więc uprzedza, że dykcja będzie zmuszona spojrzeć na mgr G. i jego pracę pod tym kątem. I ona niech mu to powtórzy.

Sprawa wzięła początek z artykułu w gazecie. Był to reportaż z wydziału zatrudnienia prezydium powiatowej rady narodowej, poświęcony temu, że ogólnie istnieje dostatek miejsc pracy dla kobiet, jednakże lokalnie jest miejsc za mało, a kobiet poszukujących jeszcze na razie za dużo. W związku z tym występują określone trudności z przestrzeganiem ustalonych ogólnie priorytetów. Na przykład młoda absolwentka, która jako taka ma pierwszeństwo, idzie ze skierowaniem, po czym wraca i odmawia przyjęcia pracy mówiąc, że majster dawał jej do zrozumienia, iż skierowanie skierowaniem, a zakład ją przyjmie, jeśli ona przystanie na nieprzyzwoitą propozycję tego majstra. I potem mówi taka dziewczyna w wydziale zatrudnienia że więcej tam nie pójdzie, nawet jak to były tylko żarty i trzeba na jej miejsce kierować starszą kobietę, bynajmniej nie będącą jedyną żywicielką. A potem z danych zbiorczych wynika, że priorytety w zatrudnieniu nie są zachowane.

Pomimo że artykuł nie wskazywał bynajmniej zakładu, gdzie to się zdarzyło, dykcja i aktyw Zakładów Odzieżowych Przemysłu Terenowego, największej fabryki w powiecie, nie chciały przejść obok artykułu obojętnie i postanowiono zwrócić baczną uwagę na ten odcinek. Okazję do tego stworzyło przybycie do rady

zakładowej ob. Michaliny L., żony mistrza krajalni Zbigniewa L., która prosiła, żeby wpłynąć na jej męża. Przez pierwsze szesnaście lat ich małżeństwo układało się pomyślnie, czego rezultatem jest troje dzieci w wieku szkolnym. Jednakże od kilku miesięcy jej mąż całkowicie się zmienił. Po pracy zamiast porozmawiać z dziećmi, kładzie się spać, a gdy się wyśpi wstaje. Wtedy goli się, a nawet zmienia koszulę i wychodzi, odmawiając powiedzenia dokąd idzie, albo mówiąc byle co. Wraca zaś późno w nocy o jedenastej albo nawet dwunastej, nie wydzielając zapachu alkoholu. Nie trzeba dużo myśleć, żeby zrozumieć, że mąż ma na mieście kochankę. Według obliczeń ob. Michaliny L., jeśli wziąć pod uwagę poziom płac w zakładzie i na krajalni, to traci na nią do tysiąca złotych każdego miesiąca, mimo że ich pięcioro jest na jego wyłącznym utrzymaniu. Nadto okazuje zupełny brak zainteresowania dla dzieci, domu i żony. Rada powinna mu przemówić do rozsądku, tym bardziej że gdyby pracował gdzie indziej, gdzie załoga jest w mniejszym stopniu kobieca, na pewno nie miałby tych możliwości układania sobie życia po różach, szczególnie, że zawsze był mężczyzną rodzinnym i choruje na ciężki wrzód żołądka.

Przewodniczący rady niezwłocznie odbył rozmowę ze Zbigniewem L., mistrzem krajalni, który kategorycznie zaprzeczył jakoby miał kochankę i objął czynniki związkowe co do trudnego charakteru jego żony.

Kiedy ob. Michalina L., żona mistrza krajalni powtórnie odwiedziła przewodniczącego Józefa Z., powiedziała mu, że w swoim pożyciu domowym nie odczuwa żadnego pozytywnego wpływu czynnika związkowego na postępowanie jej męża. Przeciwnie. Zbigniew L., oświadczył żonie, że aczkolwiek nie ma kochanki, teraz dopiero jej pokaże za to, że chodzi i mówi na niego do zakładu. Odtąd wyraża wobec niej ustawiczne pretensje o rzekome zaniedbania w prowadzeniu gospodarstwa domowego, podczas kiedy sam prawie co wieczór opuszcza dom, na który daje jeszcze mniej, niż przedtem pieniędzy, mówiąc, że on sam wykarmi się w barze, a oni mogą jeść suche kartofle. Świadectwem niewierności małżeńskiej Zbigniewa L., jest fakt, że znajoma sprzedawczyni w domu towarowym zawiadomiła ją, iż mąż w sąsiednim stoisku nabył komplet stołowy do kawy za 268 zł, którego w ogóle nie przyniósł do domu.

Przewodniczący ubolewając nad sytuacją objął, że nic nie może zrobić, gdyż mistrz krajalni przeczy jakoby miał kochankę. Gdyby ob. Michalina L. umiała powiedzieć, kto jest tą kochanką, wówczas byłaby z nim zupełnie inna rozmowa, gdyż wtedy czynnik związkowy miałby w ręku coś, za co mógłby się uchwycić. Żona mistrza zapewniła, że dołoży starań, aby osoba kochanki stała się dla niej jawna.

Rzeczywiście po jakimś czasie ob. Michalina L. znowu przybyła do pokoju związków zawodowych w biurowcu, mówiąc, że uzyskała informacje poufne, ale

pewne, iż kochanką tą jest robotnica z kralalni, ob. Aleksandra C. Jako samotna, 36-letnia rozwódka, posiadająca osobne mieszkanie i ogólnie kiepską reputację, ma ona wszelkie możliwości łowienia cudzych mężów. Osoba, robiąca sobie z życia pasmo przyjemności, nie powinna być - zdaniem Michaliny L., - zatrudniana w zakładzie, ani tym bardziej zajmować w bloku pokoju z kuchnią i łazienką. Podczas gdy tak wiele rodzin czeka na mieszkanie, jej służy ono tylko do niemoralności.

Przewodniczący powiedział, że ta wiadomość daje czynnikowi społecznemu zupełnie nowe możliwości pozytywnego oddziaływania i wezwał ob. Aleksandrę C., na rozmowę, w której zaprzeczyła jakoby z mistrzem łączyły ją stosunki intymne. To samo powiedział Zbigniew L., a przewodniczący odparł mu prosto w oczy, że ani jemu, ani Aleksandrze C. nie daje wiary i będzie drażył sprawę aż do całkowitego wyświeślenia. Następnie przewodniczący podjął rzeczywiście odnośne kroki. Zwrócił się mianowicie do kierownika magazynu wyrobów gotowych, który przybył do niego ubiegać się o wczasy rodzinne ni mniej, ni więcej tylko na miesiąc lipiec, mówiąc, że na podanie to będzie można spojrzeć zupełnie inaczej, jeśli kierownik wykaże się aktywnością w związkach. A konkretnie chodzi o to, że mieszka on w tej samej klatce co Zbigniew L., tylko dwa piętra niżej, więc kiedy usłyszy, że jego sąsiad wieczorem wychodzi niech uda się za nim w sposób dyskretny, gdyż sprawa jest w swojej naturze delikatna, a następnie powiadomi radę, na jaką ulicę mistrz kralalni poszedł. Kierownik magazynu opowiedział się następnie, że Zbigniew L., zauważył go idącego ulicą w ślad za nim, domyślił się celu i naurągał, co skłoniło go do zawrócenia do domu, mimo że z powierzonego mu zadania pragnął wywiązać się do końca. Jest jednakże człowiekiem za poważnym na to, żeby wdawać się w burdy uliczne.

Przewodniczący Józef Z. odniósł się do sytuacji ze zrozumieniem, podziękował magazynierowi, a wieczorem osobiście udał się do mieszkania ob. Aleksandry C., żeby sprawdzić, czy jest u niej Zbigniew L., a zatem, czy to co mówiła jego żona polega na prawdzie. Aleksandra C. była w domu, kiedy jednak przez drzwi dopytała się kto dzwoni - nie wpuściła przewodniczącego do środka, tylko powiedziała, że jak ma do niej interes może porozmawiać w zakładzie, gdyż ona obecnie używa czasu wolnego.

Istotnie przewodniczący wezwał ją następnego dnia mówiąc, że wcale nie potrzebował wchodzić, gdyż to, że go nie wpuściła, stanowi potwierdzenie podejrzeń. Ob. Aleksandra C. niegrzecznie wyraziła swoje niezainteresowanie tym, co myśli przewodniczący Z. Następnie przewodniczący wezwał do biura rady Zbigniewa L., ale mistrz nie przyszedł, tylko Józefowi Z. powiedziano, że Aleksandra C. wywołała Zbigniewa L. z hali produkcyjnej, stoją teraz oboje przy parkanie za portiernią i rozmawiają.

Następnie Zbigniew. L. zgłosił się do rady, przyznał, że z Aleksandrą C. łączą go stosunki prywatne, ale - powiedział - radzie zakładowej nic do tego, ponieważ konstytucja mu tego nie zabrania. Natomiast Aleksandra C., z którą rozmawiano zaraz potem, zaprzeczyła jakoby sypiała ze swoim mistrzem, mówiąc, że on bezczelnie kłamie i ma za kochankę zupełnie inną kobietę.

Dla zaprowadzenia właściwych stosunków w miejscu pracy Aleksandrę C. przeniesiono z wydziału produkcyjnego, mianowicie krajalni, do wydziału pomocniczego, mianowicie pakowni, gdzie pracują kobiety niewykwalifikowane z zarobkiem 1300-1600 zł. Na to Aleksandra C. przysłała do dyrektora zapytać, kto dał prawo przenosić ją wbrew posiadanym kwalifikacjom do gorszej pracy i na niższą płacę. Przy okazji powiedziała dyrekcji, że jej mistrz sypia z Leokadią O. z centralki telefonicznej, co jej i nie tylko jej, bo ogólnie także jest wiadome. Oczywiście nigdy by nie chodziła do dyrekcji mówić na własnego mistrza, gdyby nie to, że nie jest aż taka głupia, aby za cudze wyuczasy dać się upchnąć do pakowni ze stratą przeszło tysiąca złotych miesięcznie i że mistrz zachował się jak s...syn mówiąc na nią, że jest jego kochanką, którego to postępku ona w ogóle nie rozumie, bo nie dała mu na to przyzwolenia, chociaż prosił.

Wobec takich komplikacji, sprawa tym bardziej wymagała wyprowadzenia na czyste wody, co leżało w kompetencji rady zakładowej, ponieważ przeniesienie Aleksandry C. do pakowni mogło być z gruntu niesłuszne. Po naradzie z dyrekcją przewodniczący wieczorem udał się pod adres zamieszkania 19-letniej Leokadii O. z centralki telefonicznej.

Leokadia O. zamieszkuje w jednym mieszkaniu ze swoją zamężną siostrą, jej mężem będącym w zakładach szefem produkcji i ich dziećmi. Chociaż mieszkają w bloku zakładowym, mimo to jednak żona szefa produkcji powiedziała przewodniczącemu przez drzwi, że go do mieszkania nie wpuści, a mąż poskarżył się dyrekcji na takie nachodzenie. Przewodniczący Józef Z., który nie pierwszy raz został nie wpuszczony do mieszkania członka załogi, poddanej jego opiece, zabezpieczył się na taki wypadek. Wyjął wzięte z administracji zapasowe klucze. Po otworzeniu nimi drzwi zobaczył szefa produkcji z żoną siedzących przed telewizorem i ich dwoje dzieci śpiących na wersalce. Podczas kiedy szef produkcji żądał odeń, aby opuścił mieszkanie przewodniczący Z. otworzył drzwi od drugiego, małego pokoju, gdzie ujrzał Leokadię O. oraz Zbigniewa L. siedzących blisko siebie na tapczanie i jedzących bułki z wędliną. Leokadia O. zaczęła wołać na szwagra, żeby wyrzucił tego drania i protestować wobec przewodniczącego rady za najście na jej mieszkanie, a -to w słowach powszechnie uchodzących za obraźliwe. Przewodniczący powiedział, że ona jest za młoda na używanie wobec niego wyrazów i że już wychodzi, bo nie ma tu więcej nic do robienia, dziwi się tylko postawie szefa produkcji.

Następnego dnia Zbigniew L. sam przyszedł, żeby wszystko z całkowitą szczerością wyjaśnić. Widząc, iż stało się jawne, że on ma kochankę, pragnął rzucić podejrzenie na Aleksandrę C., o której ogólnie wiadomo, że pójdzie z każdym, kto podleci. Mówił, że żyje z Aleksandrą C. dla ochrony dobrej opinii Leokadii O. jako młodej panienki. Pragnie zwrócić uwagę, że centralka telefoniczna nie jest podległa mu służbowo. Odtąd ze swoich obowiązków męża i ojca wywiązywać się będzie należycie, prosi, więc o niezdejmowanie go ze stanowiska mistrza, co miałyby uzasadnienie tylko wtedy, gdyby sypiał z podległym sobie personelem.

Zważywszy te okoliczności oraz obecną postawę mistrza dyrekcja postanowiła zatrzymać go na piastowanym stanowisku. Zupełnie jednak odmienną postawę zajęła Leokadia O., telefonistka zakładowa, która podała ob. przewodniczącego rady do sądu z artykułu 171 kodeksu karnego podpowiedzianego jej przez zakładowego radcę prawnego, mającego na oku swój osobisty interes. Leokadia O. nie dała sobie tego wyperswadować ani przez czynniki społeczne, ani przez dyrekcję, ani także przez szwagra. Szef produkcji z wielkim ubolewaniem tłumaczył dyrekcji, że zacięcie jego szwagierki jest takie wielkie, ponieważ mając 19 lat ona nie rozumie, jak w życiu należy postępować, a mając maturę nie zależy jej za bardzo na pracy telefonistki. Tak czy inaczej Leokadia O. skargi nie zgodziła się wycofać, a sąd skazał przewodniczącego na 1500 złotych grzywny, mimo że Józef Z. działał z pobudek społecznych, a jego skazanie niewątpliwie oddziało ujemnie na pozycję instancji związkowej wśród załogi.

Ściana

Oдноśny fragment zeznań Mieczysława M. znajduje się na karcie 37 i brzmi: „...we współżyciu fizycznym z Weroniką K. znalazłem się niechcący bez żadnej mojej winy. Jednakże MZBM nie reagował, mimo powolnego ustania współżycia, o czym powiadomiłem administratora budynku”.

Na karcie 16 znajduje się zaś stwierdzenie „...wejście w kolizję z prawem dokonało się wyłącznie skutkiem fotoamatorstwa”.

Mieczysław M. był oskarżony o handel wizerunkami treści pornograficznej. Ustalono następujące fakty. 38-letni M. pracował jako inkasent gazowni i elektrowni. Z racji swych służbowych powinności odwiedzał mieszkania. Wyzyskując, jak to formułował akt oskarżenia, zaufanie, które żywili doń obywatele, jako osoby przybywającej do nich w misji w pewnym sensie urzędowej, wykorzystując ludzką łatwowierność i sprytnie czerpiąc korzyści ze sprzyjających dlań sytuacji psychologicznej, polegającej na tym, że przyjmujący go ludzie czynili to z otwartym portfelem - sprzedawał przy okazji różne drobne przedmioty, których miał zawsze pełną teczkę. Były to żyletki, grzebienie, okulary przeciwsłoneczne, widokówki.

Z zeznań świadków wynika, że Mieczysław M. był nachalnym sprzedawcą. Gdy ktoś mówił, że nie potrzebuje żyletek wydobywał grzebienie, nie chcieli i tego - wkręcał im co innego. Ludzie płacili ceny przerastające rynkową wartość przedmiotów, aby tylko go się pozbyć.

Niejaka Halina Ł., która była w sądzie świadkiem, opowiadała: „Przyszedł inkasent, w którym poznałem Mieczysława M. i po skontrolowaniu licznika zaczął pisać rachunek. Powiedziałam, że akurat nie mam pieniędzy. Niech zostawi, to zapłacę na pocztę. I co teraz zrobić? - zapytał Mieczysław M. - Zastanawiam się, jak z tego wyjść. Może pani przynajmniej kupi grzebień?” Niejaka Halina Ł. nie potrzebowała grzebienia, nadto orientowała się, że kosztuje on w sklepie około 7 złotych, a nie 15, których żądał inkasent. Ale rozumiała, że jest to niejako napiwek za fatygę.

Jeśli Mieczysław M. znalazł się w czyimś mieszkaniu sam na sam z mężczyzną i jeśli mężczyzna ten wzbudzał w nim zaufanie, proponował mu kupno fotografii pornograficznych. Za ten towar liczył sobie bardzo drogo, zawsze sto złotych.

Sprzedaż zdjęć wyglądała nieco inaczej, niż pocztówek z zajaczkami. Kiedy klient już kupił żyletki albo odmówił ich kupna - wszystko jedno - Mieczysław M. powiadał, że ma także lepszy towar, ale krępuje się go pokazać. Podniecał tym ciekawość. Proszony o pokazanie co to takiego, udawał, że się namyślił. „Nie, wolę nie. Zresztą mam to właściwie dla siebie...”. Dopiero gdy ktoś nalegał, Mieczysław

M. powiadał, że tylko pokazuje, po czym szybko odbierał, aby się klient nie zdążył napatrzyć i żądał stowy. Nie handlował w końcu fotografiami pierwszej lepszej, tylko najsłynniejszymi na świecie aktorkami.

Doniósł na niego jakiś klient. Anonimowo. Może był niezadowolony. Ludzie dzisiaj za sto złotych chcą Bóg raczy wiedzieć czego.

Mieczysława M. milicja zatrzymała na ulicy. Teczkę miał pełną towaru. Jeszcze przy pierwszym przesłuchaniu twierdził, że wszystkich trzydziestu dwóch znalezionych przy nim zdjęć potrzebował na własny użytek. Potem się rozgadał. Ludzie - twierdził - są u nas bardzo konserwatywni. Na cztery Brigitte Bardot czy Giny Lollobrigidy sprzedawał góra dwie Ali Mc Graw i jedną Romy Schneider. Zarabiał - powiada - do tysiąca dziennie. Tak z sześćset miał za fotografie, a resztę z handlu żyletkami, okularami i innym chłamem, z napiwków i coś niecoś także z legalnej prowizji. Fotomontaże wykonywał w domu. Miał zagraniczną aparaturę laboratoryjną klasy profesjonalnej.

Wraz z postanowieniem o tymczasowym aresztowaniu prokurator podpisał także nakaz rewizji i tu się dopiero zaczęła sprawa.

Milicja razem z podejrzanym przyjechała do niego do domu i Mieczysław M. usiłował otworzyć kluczem swoje mieszkanie, ale nie mógł, bo było zamknięte od wewnątrz i inny klucz blokował zamek. Zapukano. Nikt nie odpowiadał, ale przez drzwi słychać było dziwne odgłosy. Coś ciężkiego przesuwano po podłodze. Milicja zaczęła walić w drzwi i wzywać do ich otworzenia. Bez skutku. Z wewnątrz dochodziły dalej różne odgłosy. Coś tam się działo. Wezwano gospodarza domu z łomem, żeby wyważyć drzwi. Gdy to się stało, w pokoju, okazało się, nikogo nie było.

Ściana na prawo od drzwi nie istniała, a raczej wyglądała tak, jakby przebił ją pocisk artyleryjski. Luka zastawiona była szafą i osłonięta naprędce zawieszonym kocem. Gdy milicjanci uchylili tę draperię, po drugiej stronie natknęli się wpieryw na komodę, a potem na roślinę blondynkę. Blondyna owa nazywa się Weronika K. i, co ustalono w trakcie dochodzenia, udzielała swego ciała gwiazdom filmowym. Połączenie jej korpusu i kończyn z głowami artystek dawało razem towar po sto złotych odbitka.

Blondynie okazano nakaz rewizji, ona jednak oświadczyła, że nie wpuści milicji do swojego mieszkania. Dokument - twierdziła - opiewa na lokal mieszkalny Mieczysława M. więc jego moc nie rozciąga się na jej mieszkanie, na które ona ma nakaz kwaterunkowy, jednoizbowe mieszkanie posiadające odrębne drzwi wejściowe i inną numerację. To, że obecnie oba mieszkania są połączone dziurą, nie jest jej winą, tylko stanowi wynik katastrofy budowlanej oraz skandalicznej opieszałości administracji, która nie spieszy się z remontem i czeka aż cały dom

spadnie ludziom na głowy.

Milicja stanęła wobec dylematu prawnego bez precedensu: czy nakaz jest ważny na całe pomieszczenie, czy tylko na jego część odgradzoną od drugiej jak słyszeli dopiero po ich przybyciu. Kwestie prawne zostały rozwiązane w ten sposób, że po godzinie radiowóz przywiózł drugi prokuratorski nakaz opiewający na mieszkanie Weroniki K., oskarżonej o udział w rozpowszechnianiu wizerunków o treści pornograficznej, polegający na uczestnictwie w ich sporządzaniu. W tej części rudery, na którą nakaz ma Weronika K., znaleziono dowody rzeczowe: aparaturę fotograficzną, chemikalia, papier fotograficzny, próbne odbitki i różne półfabrykaty.

Mieczysław M. zeznał, że zanim runęła ściana, co stało się osiem miesięcy wcześniej - Weronikę K. znał tylko z widzenia i nie robił odbitek pornograficznych. Któregoś dnia wrócił po pracy do domu i zobaczył, że nie ma ściany. W nieregularnym otworze wysokim na ponad półtora metra i około dwa i pół metra szerokim u podstawy, ujrzał sąsiadkę przepychającą gruz do jego części pokoju, który takim oto sposobem stał się ich wspólny. Już nazajutrz oboje poszli do administracji. Jeszcze tegoż dnia przyszła komisja. Nazajutrz otwór podstemplowano i na tym się skończyło. Ekipa remontowa miała przybyć za tydzień.

Nim przyszli remontowcy rozpoczął współżycie fizyczne z Weroniką K., bo cóż miał robić, skoro zrzędzeniem losu zaczęli mieszkać w jednym pokoju, a jego pościel i łóżko nie nadawały się do użycia, bo mimo trzepania pełno było w łóżku pyłu, więc brzydził się spać w takim brudzie. Gdy w ślad za złączeniem lokali przyszło i połączenie ciał, przestali już oboje tak bardzo nastawać na remont, czyli murowanie ściany od nowa. Tymczasem ciągle odwiedzały ich komisje. Fachowcy mierzyli, robili kosztorys, twierdzili, że zwykła murarka nic nie da, bo potrzebny jest remont kapitalny domu już na rok przyszły. Miano zrobić tymczasowe przepierzenie z płyt paździerzowych. Ale nie zrobiono.

W międzyczasie Weronika K. poczęła pozować do zdjęć. Mieczysław M. dorabiał do tułowia i kończyn Weroniki K. jedną z kilku, lepszych od jej własnej, głów, bo jego sąsiadka nie miała handlowej urody i począł obracać tym towarem. Powodziło im się dobrze. Weronika K. przestała pracować.

Stracił do niej serce właśnie po rozkręceniu interesu, gdyż przekonał się, że jest wyrachowana i niemiła. Wówczas prawie przestał z nią współżyć fizycznie. Rozdzielił gospodarstwa. Dawał jej tylko na żywność, żeby mu gotowała - no i za pozowanie. Ale szybko miał ją już we wszystkich pozach i powiełał tylko odbitki. Wtedy dawał jej tylko do tysiąca złotych miesięcznie na zatkanie gęby i począł się starać, żeby administracja zrobiła przepierzenie, gdyż tak jak było, nie mógł we

własnym domu przyjąć żadnej kobiety i kiedy zmęczony wracał musiał słuchać gadania Weroniki K., która się przez cały dzień nudziła, podczas gdy on biegał po piętrach.

Weronika K. zeznała, że od czasu katastrofy żyli jak mąż z żoną i że ona wcale nie wiedziała, że Mieczysław M. handluje tymi fotografiami, tylko sądziła, iż robił je dla własnej przyjemności. Mieczysław M. przypuszczalnie dlatego nie przyznawał się jej do tego, że sprzedaje te świństwa, żeby nie wyszło na jaw, iż ma pieniądze. Przed nią grał biedaka. Rzuciła zaś pracę, bo były tam złe stosunki międzyludzkie i ponieważ musiała mu gotować. 167 tys. złotych w gotówce i książeczka PKO z wkładem 16 500 zł, znalezione u niej w szafie, nie są to pieniądze, jakie dostała od Mieczysława M. - tylko jej własne, jeszcze po zmarłej matce i dlatego odwołała się od decyzji prokuratora o tymczasowym zabezpieczeniu tej kwoty. O postawienie ściany Mieczysław M. wcale się nie starał, bo po co im w ogóle ściana, kiedy są jak mąż i żona?

Sąd skazał Mieczysława M., a Weronikę K. uniewinnił z braku dowodów innych niż zeznania jej amanta, że wiedziała o handlowym, a nie zaś miłosnym tylko przeznaczeniu fotografii.

Jeszcze nim odbył się proces Weronika K. wystosowała list do administracji domu, w którym uprzedza, że nie zezwoli na stawianie jakiegokolwiek ściany w jej mieszkaniu, gdyż właściciel lokalu, z którym połączone zostało jej mieszkanie i tak zgnije w więzieniu, więc powierzchnia mieszkaniowa nie będzie mu potrzebna i nie jest należna.

Ojcowie i konwenanse

Krystyna B., goniec z warszawskiego wydawnictwa, w osiemnastą rocznicę swoich urodzin powiła dziecko płci żeńskiej i popadła w tarapaty. Dziecko było bowiem nieślubne, a dziewczyna mało zarabiająca. Starym, tradycyjnym zwyczajem nieco odchowana córeczka powędrowała na garnuszek na wieś do babci i dziadka gońcówny. Krystyna B. mieszka bowiem w stolicy z rodzicami, dzieląc mieszkanie dwupokojowe jeszcze z siostrą i jej dwojgiem dzieci. Było więc za ciasno. Ale za utrzymanie na wsi trzeba coś płacić, a trudno to czynić z pensji gońca. Taki to splot okoliczności przywiódł Krystynę B. do jej szefa, kierownika administracji, który pogmerał w książce telefonicznej i znalazł stosowną instytucję opiekuńczą - Komitet Pomocy Społecznej. Ponieważ Krystyna B. musi się uczyć, co wyklucza zmianę pracy na bardziej dochodową, poradzono dziewczynie, że trzeba główny ciężar utrzymania dziecka przerzucić na ojca. Ale znajdź tu człowieka ojca w takim dużym mieście!

Krystyna B. pamięta tylko tyle, że poznała jakichś chłopców, przez nich znów jakichś panów, że byli w knajpie, że pili, że było późno, że ona była pijana. Potem znalazła się w jakimś mieszkaniu, a jako tako przytomna poczuła się dopiero rano. W mieszkaniu nikogo już nie było. Leżała tylko kartka „Poszedłem do pracy. Wychodząc, dobrze zatrzasknij za sobą drzwi wyjściowe”.

W półtora roku później poszła więc Krystyna B., żeby tak na oko rozpoznać dom, w którym wtedy była i rozpoznała go. Następnie ustaliła, które to drzwi zatrzaskiwała wówczas tak starannie. Wreszcie zerknęła na numer mieszkania, potem na listę lokatorów i tak powstał pozew do sądu - przeciwko Tadeuszowi Z. o uznanie ojcostwa dziecka Krystyny B. Potem doszło do rozprawy.

Pozwany Tadeusz Z., 29-letni magister praw, pracujący jako urzędnik w jednej z centralnych instytucji, kawaler, zaprzeczył ojcostwu twierdząc przed sądem, że jest ono niemożliwe, jeśli wykluczyć bociana. Owszem pamięta, że pannę tę poznał kiedyś w knajpie, w większym towarzystwie. Była w asyście jego znajomych. Natomiast po prostu zaprzecza, aby kiedykolwiek był z nią gdziekolwiek sam na sam, albo, żeby powtórnie widział ją kiedykolwiek na oczy.

Sąd zapytał wówczas, czy pozwany twierdzi, że powódka nigdy nie była u niego w domu. Tadeusz Z. upierał się stanowczo. Wtedy sąd poprosił Krystynę B., by zechciała opisać, jak wygląda mieszkanie Tadeusza Z. Określiła rozkład, opisała meble. Wspomniała co przedstawia obrazek, który przykuł jej uwagę. Zapamiętała nawet niebanalny kolor rezerwuaru w łazience. Tadeusz Z. powiedział, że wszystko się zgadza, świadczy wszakże li tylko o tym, że padł ofiarą jakiejś podłej intrygi. Dziewczyna od kogoś uzyskała opis jego mieszkania, by urządzić go na szaro.

Potem sprawę odroczone, ponieważ miały być dokonane różne badania medyczne i kolejna rozprawa poświęcona była ich prezentacji. Biegli stwierdzili, że ojcostwa nie wykluczają, po czym wymienili wiele cech dziecka i domniemanego ojca, które ich pokrewieństwo uprawdopodobnia i kilka innych, które prawdopodobieństwo to zmniejszają. Jednym słowem nic pewnego.

Sąd przyjął, że Tadeusz Z. jest ojcem dziecka, opierając się na tym, że uznaje za prawdziwe jej zeznania, iż z nocnego lokalu oboje w stanie nietrzeźwym pojechali do niego. Termin zaś tej nocy pasował jak ulał do terminu porodu. Po rozprawie rewizyjnej, którą Tadeusz Z. również przegrał, zaczął on płacić 600 złotych miesięcznie alimentów i czynił tak przez trzy miesiące. Oczywiście opowiadał znajomym o wpadunku, podkreślając swoją niewinność.

I oto okazało się, że są jeszcze na tym świecie ludzie uczciwi. Pewnego dnia zadzwonił doń jeden ze znajomych, 32-letni Bogdan P., psychiatra z zawodu, ojciec dwojga dzieci. Powiedział, że musi się spotkać w pilnej sprawie, z którego to spotkania wynikła nowa rozprawa w sprawie ustalenia ojca dla córki Krystyny B.

Bogdan P. przedstawił przed sądem następujący bieg owych feralnych dla wszystkich, z ewentualnym wyjątkiem córki Krystyny B., wydarzeń. Siedzieli w knajpie w dużym pijanym towarzystwie. Ponieważ lokale zamykano, jeden z uczestników wieczoru zaprosił wszystkich do siebie do domu dla kontynuowania libacji. Na ulicy Bogdan P. poprosił idącego ze wszystkimi znajomymi Tadeusza Z. o pożyczenie kluczy od jego kawalerskiego mieszkania i zabrał tam ze sobą pijaną dziewczynę. Rano przykazał jej listownie (spała jeszcze) zatrzaskać dobrze drzwi, sam zaś idąc do pracy zawiózł klucze do mieszkania, gdzie biesiadowali pozostali uczestnicy tej nocy, a którzy teraz pokotem odsypiali pijaństwo i wsadził je śpiącemu Tadeuszowi Z. do kieszeni.

Tadeusz Z. powiedział na to, że całej sprawy z pożyczaniem kluczy po prostu nie pamięta. Nazbyt był wówczas pijany. Krystyna B. zaś oświadczyła, że to, owszem, mogło być tak. Zapamiętała -mieszkanie, a nie człowieka. Zresztą ujrawszy w sądzie Tadeusza Z. uznała, że dobrze wybrała go z listy lokatorów. Twarz ta wydawała się jej bowiem znajoma. Tak więc fałszywe oskarżenie wynikało nie z jej złej woli.

Ale teraz Bogdan P. powiedział tak: „Dowodłem swojej dobrej woli. Gdybym chciał się wymigiwać, to dzięki nadzwyczajnemu splotowi okoliczności nigdy nie byłbym wmieszany do tej sprawy. Przypuszczam więc, że sąd zechce uznać, że zasługuję na wiarę. Tedy oświadczam, że nie jestem ojcem tego dziecka, jeśli wykluczyć możliwość pośrednictwa bociana. Po prostu owej nocy byłem zbyt pijany, by osiągnąć swój cel, acz mniej niż inni, skoro wszystko pamiętam. Proszę więc, by sąd zezwolił na przeprowadzenie badań grupy krwi, liczę bowiem na traf,

że tą drogą moje ojcostwo może zostać wykluczone”.

I teraz usłyszymy o tym, jak cnota i prawdomówność zostały nagrodzone. Na kolejnej rozprawie eksperci-biegli zechcieli wykluczyć ojcostwo Bogdana P.

Na to wystąpił adwokat dziewczyny. Oświadczył on, że nie wierzy w kandydatów na ojców, którzy sami pchają się do płacenia alimentów i wszystko to wygląda mu na gruby szwindel. Po prostu Tadeusz Z. - prawdziwy ojciec dziecka - zρέcznie zagrał. W takich sytuacjach panowie czasem wystawiają świadków, że w interesującym sądzie momencie byli na drugim krańcu świata, albo że do tytułu ojcostwa mają multum współników. A Tadeusz Z. zagrał chytrze. Znając grupę krwi dziecka podstawiał kumpla mającego taką grupę krwi, że wyklucza ona ojcostwo, ten wziął wszystko na siebie, zagrał krystalicznie uczciwego człowieka, zrobił odpowiednie wrażenie na sądzie, po czym się wywinął, zostawiając dziewczynę i dziecko na lodzie.

Sąd w orzeczeniu oddalił powództwo przeciwko Bogdanowi P. oświadczając, że to nie przesądza powtórnym krokiem prawnym przeciwko Tadeuszowi Z. Wszakże wywodom mecenasa powódki, zawierającym hipotezę mieszczącą się w granicach prawdopodobieństwa, przeciwstawić można zeznanie samej matki dziecka, która nie zanegowała wersji zdarzeń przedstawionych przez Bogdana P. Nie pamięta, z kim poszła i co tam się działo. Pamięta tylko, gdzie było położone i jak wyglądało mieszkanie. Mieszkania zaś nie można uznać za ojca dziecka ani egzekwować odeń alimentów. Prawo - deliberował sąd w uzasadnieniu swojego orzeczenia - kładzie nacisk na ochronę interesów dziecka, związanych zwykle z interesem matki, przynajmniej w podobnych sprawach, i wątpliwości praktycznie rozstrzyga na korzyść dobra dziecka. Są jednak pewne granice takiego postępowania. Sąd nie jest w stanie rozpoznać nazwiska i twarzy ojca dziecka, skoro matka dziecka uczynić tego nie potrafi, skoro nie ma świadków zdarzeń decydujących dla meritum sprawy, a lekarska ekspertyza niczego nie przesądza. Nie można więc uznać ojcostwa Tadeusza Z. tylko dlatego, że powódka była kiedyś w jego mieszkaniu, nie wie nawet: z nim, czy kim innym i nie pamięta, a tylko domyśla się, co tam się stało.

Nie wiemy oczywiście, jak było. Czy Bogdan B. jest fenomenem uczciwości, czy wprost przeciwnie. Czy Tadeusz Z. stał się mimowolną ofiarą splotu okoliczności, czy zρέcznie nakręcił intrygę obalającą niekorzystne dlań orzeczenie sądu. Wiemy za to, że chatę niezdrowo jest pożyczać, a nade wszystko, że stary zwyczaj przewidujący, że ludzie wpięraw się sobie przedstawiają, a potem dopiero idą razem do łóżka, jest czymś więcej niż pustym konwenansem.

Kanikuła

Po powrocie z Bułgarii pani mecenasowa Janina S. i adwokat Leon S. wnieśli bagaże na drugie piętro i otworzyli kluczem drzwi swego mieszkania własnościowego z uczuciem „nareszcie w domu”, które, bez obrazu bułgarskiego wybrzeża, zawsze towarzyszy powrotom ludzi zasiedziały. Pan, a może pani, przekreślił kontakt, po czym ujrzeli fragmenty swoich opalonych osób w stłuczonym lustrze. Ściana, na której lustro wisiało, zbryzgana była czerwoną cieczą, a leżący na podłodze gąsior pozwalał skonstatować, że to wino domowe, porzeczkowe. Ozdoby, które tu i ówdzie wisiały na ścianach przedpokoju, leżały teraz zdeptane na podłodze wśród szklanych łupin, pochodzących ze stłuczonego klosza lampy.

Mecenasostwo krzyknęli i przeszli do pokoju. Stół leżał na jego środku blatem do podłogi, miał cztery nogi, a każda była wyłamana. Dywan perski stawiał większy opór i ukazywał różne fazy tortur: nacięcia noża, czy żyłki, wypalenia i plamy pochodzące z różnych cieczy. Ruina dywanu objawiła się zresztą później, na razie bowiem był on zawalony stertą książek zrzuconych z regału, a przed zrzuceniem na podłogę porozrywanych. Leżał tu również telewizor zgruchotany od strony wnętrza tłuczkiem od mięsa, pozostawionym zresztą w jego skrzyni.

Sam regał oparł się dewastacji i tylko jednym rogiem oderwany był od ściany. Siedzenia i oparcia kanapki oraz dwóch foteli były pocięte, a włosie wybebeszone i spiętrzone.

Biureczko stało nienaruszone, tylko jego blat poharatano uderzeniami dwóch złamanych na pół dziewiętnastowiecznych świeczników wiedeńskich, brązowych u podstawy, ale w części środkowej porcelanowych. Strzaskane były właśnie porcelanowe figurki dobosza i trębacza, które od stu lat dźwigały kielichy na świece.

Pod biurkiem leżała maszyna do pisania o połamanych klawiszach i powyginanych czcionkach. Przypuszczalnie deptano ją obcasem i po chwili zastanowienia gospodarze doszli do wniosku, że o nią to ciskano wszystkie, jakie znajdowały się w pokoju, tłukące się przedmioty. Ich skorupy zalegały bowiem pod ścianą, a najwięcej ich zostało po wielkim japońskim wazonie.

Po przejściu do drugiego, przyległego, sypialnego pokoju państwo S. zrozumieli, że niszczycielska ręka pierwszy pokój ledwie musnęła od niechcienia. Potrójne drzwi szafy zostały wyłamane, a wewnątrz wybebeszone sztuka po sztuce. Bielizna osobista, pościelowa, stołowa, bluzki, spódnice, suknie, kostiumy, garnitury, jedno i drugie futro, wszystko z wielkim nakładem pracy zamienione było w żałosne

strzępy, metodycznie rwane, a potem zwalone na kupę, która była podpalana i, jak wskazywały ślady, gaszona następnie wodą. Masywnemu dwuosobowemu tapczanowi złoczyńca poświęcić musiał całe godziny pracy.

Obicia zdarte zostały zupełnie wydarta też została warstwa włosów i dopiero sprężyny stawiały opór, choć sprawca niektóre usiłował wyciągnąć. Potem walono w nie doniczkami z kwiatami i kaktusami. W podłogę wgniecione były kosmetyki. O sekretarę łamano krzesła, ale stopień zniszczenia jej politurowanej fasady wskazywał również na walenie twardszym, niż drzewo, przedmiotem.

Papiery oparły się niszczycielskiej furii. Sprawca jakby czegoś w nich szukał. Zdawało się, że je rozkładał, czytał, część miał i rzucał na podłogę, część zostawiał. Skrupulatnie zniszczone były tylko niektóre stare listy i fotografie.

Państwo S. obejrżeli jeszcze kuchnię i łazienkę. Lodówka tłuczona, czy może kopana, oparła się jednak zniszczeniu. Wszystko co było do stłuczenia oczywiście leżało stłuczone, ale meble ucierpiały niewiele. Rozwalano o nie tylko słoiki dżemów i kompotów, którymi sprawca (czy sprawcy?) walił również w wannę w łazience.

Mecenas S. odszukał telefon, ale był on wyrwany wraz z kontaktem ze ścianą, więc zabrał żonę, której straszno było zostawać wśród tej ruiny i pojechał do milicji zameldować, że jego i pani S. siedziba zamordowana została z premedytacją.

W oględzinach zwłok mieszkania wziął udział fotograf, który sporządził dokumentację kataklizmu, po czym podjęto dochodzenie.

Dozorca i sąsiedzi niczego nie widzieli i nie słyszeli. Mieszkanie przyległe było zresztą opustoszałe: właściciele też wyjechali na urlop i jeszcze nie wrócili.

Leonostwo S. wyjeżdżając do Bułgarii zostawili jeden komplet kluczy u przyjaciela domu, też adwokata, który obiecał podlewać kwiatki i wyjmować pocztę. Przyjaciela zbudzono. Po raz ostatni był on w mieszkaniu dziesięć dni wcześniej, zastał je w najlepszym porządku, a drzwi zamknął za sobą starannie.

Wstępna rekapitulacja: drzwi wejściowe nie noszą śladów włamania. Właściciele oświadczają, że nie stwierdzają, aby cokolwiek zostało z mieszkania zabrane. Sprawca niszczył, ale nie kradł nawet drobnych, a cennych przedmiotów. Doprowadzenie mieszkania do stanu takiej dewastacji było pracą długotrwałą i bardzo znojną. Trudno przypuścić, aby wykonała ją jedna osoba. Z drugiej strony jest niepodobieństwem, by zrobiono to na zimno. Wyglądało to raczej na szal niszczycielski, ale znowu więcej, niż jedna osoba nie ulega raczej szalom.

Nazajutrz od rana milicja urzędowała w zespole adwokackim, gdzie pracuje Leon S. Szukano klienta, który umie otwierać drzwi zamknięte na klucz bez zostawiania

śladów, a który mógł czuć do swego adwokata nienawiść. Przeglądając księgi rejestracyjne adwokat wysilał pamięć, mógł to być bowiem jakiś jego stary klient, który i dziesięć lat czekał w więzieniu na dzień zemsty. Skompletowano listę kilkunastu nazwisk. Dochodzenie zapowiadało się przewlekle.

W dwa dni potem, jak państwo mecenasostwo S. wrócili z Bułgarii i zaczęli odbudowywać swój dom z ruiny, ten kolega, który miał drugie klucze i podlewał kwiatki, powiedział Leonowi S., że musi coś wyznać, a czyni to z opóźnieniem, ponieważ nie chciał człowieka ładować w milicyjne dochodzenie. Otóż pożyczył on klucze od mieszkania na jedną tylko noc swojemu przyjacielowi - trzeciemu już adwokatowi w tej historii, zresztą znajomemu właściciela mieszkania.

Zaraz po nocnej wizycie państwa S. i milicji przerażony tym co się stało, pobiegł do tego kolegi - Jana K. Ten, wielce skłopotany nieszczęściem kolegi S., powiedział wszakże, że spędziwszy w cudzym domu noc, zamknął mieszkanie i zostawił je w porządku. Kolega, który podlewał kwiatki, informuje jednak o tym epizodzie drogiego Leona, aby czynił z tą dodatkową informacją, co zechce, wobec ogromu nieszczęścia każdy ślad może się bowiem przydać. I Leon S. doniósł milicji o Janie K., który u niego nocował. Nim to uczynił, sam z K. porozmawiał. Uzyskał zapewnienie, że mecenas K. z przyczyn, których wyjawiać nie musi, bo nie mają ze sprawą nic wspólnego, nocował w jego mieszkaniu, ale nocował sam.

Jan K. nie podtrzymał jednak tej wersji w trakcie oficjalnego na milicji przesłuchania. Przyznał, że u S-ów nocował z pewną panią, co nie zmienia jednak faktu, że mieszkanie zostawił w porządku. Nie był pijany. Z mecenasem S. nie miał żadnych konfliktów, ni tarć. Nazwiska i adresu kobiety, z którą nocował w cudzym domu - nie zna. Pamięta tylko imię Hanka. Był w nocnym lokalu w większym towarzystwie, przyjechała bowiem dyrekcja firmy, której interesy reprezentował przed komisją arbitrażową. Owa Hanka siedziała przy innym stoliku w jakimś towarzystwie. Zamienił z nią kilka słów w barze, zaprosił do tańca, potem drugi i trzeci raz zaprosił, a wreszcie namówił, żeby z nim wyszła. Klucz pożyczył w ciągu dnia, licząc się właśnie z możliwością dokonania takiej udanej operacji w nocnym lokalu, do którego się wybierał.

Rano oboje z tą panią wyszli z domu mec. S. Mieszkanie zostawili w porządku. Co się zaś tyczy Hanka, to nie jest osobą, którą należałoby podejrzewać o jakieś kryminalne występki. Na przykład o to, że wiedząc o stojącym pusto mieszkaniu wróciła tam z kimś innym, umiejącym otwierać zamki, żeby pohulać. Była to osoba z wyższym wykształceniem, obyta w świecie, rzekłby „dama”, gdyby to nie brzmiało anachronicznie. Adwokat Jan K. pożegnał się z nią na postoju taksówek, wsiedli do dwóch różnych wozów, nie ma więc pojęcia o jej adresie.

W zeznaniach Jana K. było jednak coś, co pozwoliło ową Hankę zidentyfikować

i odnaleźć natychmiast. Otóż wspominała ona przygodnemu admirałowi, że dnia poprzedzającego eskapadę do nocnego lokalu przyleciała z Paryża samolotem, więc jest zmęczona.

Na liście pasażerów była pewna Hanna nazwiskiem L.; odwiedził ją funkcjonariusz MO i okazało się, że odpowiada rysopisowi podyktowanemu do protokołu przez Jana K. Jej zeznania brzmiały trochę inaczej. Nie opuściła tego mieszkania wraz z panem, z którym spędziła noc. On wyszedł wcześniej, śpieszył się bowiem na rozprawę, ona zaś została, żeby odsypiać swawole i zgodnie z umową odwiozła mu klucze od mieszkania do sądu.

Co się zaś tyczy reszty, to ona, Hanna L., lat 30, zawód wyuczony - historyk, zawód wykonywany - kreska, przyznaje się do zdemolowania mieszkania Leona S.

Po powrocie z zagranicy spotkały ją pewne życiowe przykrości. Wieczorem, by się z nich otrząsnąć, poszła z przyjaciółmi do knajpy, a wypiwszy skorzystała z oferty Jana K., żeby się wspólnie urwać. Kiedy rano obudziła się w cudzym mieszkaniu, «twierdziła, że jest ono nie ze wszystkim cudze, bo zna je doskonale. Spędziła w nim osiem lat u boku swojego pierwszego męża, Leona S., którego nigdy nie przestała darzyć uczuciem. Chwilę leżała na znajomym sobie tapczanie, patrząc na znajome sobie kąty i sprzęty, i nagle porwała ją złość i żal. Wpadła w szal. Nie wiedziała, co robi i niewiele pamięta z tego, co robiła, ale wie, że zaczęła niszczyć to gniazdko jego i tamtej.

Na procesie obrona utrzymywała, że w chwili popełnienia przestępstwa Hanna L. miała ograniczoną zdolność rozpoznania znaczenia czynu i kierowania swoim postępowaniem, tak silnemu uległa irracjonalnemu impulsowi. Łatwiej jest jednak przekonać sąd, że się zabiło w afekcie człowieka, niż że się zamordowało cudze mieszkanie. Oskarżyciel prywatny wywodził, że nie można przyjąć, iż stan niemożności kierowania swoim postępowaniem trwał kilka godzin. Mówił o tym, że oskarżona dokonała niebywałego jak na kobietę wysiłku fizycznego, który musiałby ją otrzeźwić, że niszczyła długo i metodycznie, a technika jej pracy wskazuje na znaczną celowość niszczycielskich działań, wielkie nasilenie złej woli i żalośliwości.

Ostatecznie Hanna L. skazana została za przestępstwo z premedytacją, acz sąd uznał za okoliczność łagodzącą jej stan emocjonalny i wywiódł, że zazdrości, zawiści nie uznaje za pobudkę niską. Skazana została na rok więzienia, a wykonanie kary warunkowo jej zawieszono. Warunkiem tu jest nie tylko brak recydywy, ale i wyrównanie wyrządzonych strat. W postępowaniu cywilnym rozmiary ich oszacowano skrupulatnie na astronomiczną sumę 222465 zł.

Wyjeżdżając na urlop lepiej się pogodzić z myślą, że zwiędną kwiatki, niż zostawić klucze przyjacielowi i to w sezonie kanikularnego rozprzężenia obyczajów. Nie

tylko bowiem człowiek z człowiekiem, ale bywa i człowiek z mieszkaniem się
zejdzie.

Dobroć

Rano urzędował kolejno w dwóch, trzech kawiarniach - elegancki, przystojny, siwiejący na skroniach, trzydziestopięciolatek w rogowych okularach. Znak firmowy wypisany na czole: spokój - pewność - bezpieczeństwo. Przed wieczorem otwierał swój kantor. Była to garsoniera w centrum Warszawy, której urządzenie wnętrza przystosowane było do jednej tylko czynności: przyjmowania pojedynczej kobiety. Otwarcie drzwi powodowało automatyczne zapalenie się kilku lamp, dających dyskretne światło i włączenie adapteru. Wystarczyło usiąść na tapczanie, żeby automatycznie większość lamp gasła. Otwarcie barku umieszczonego w regale włączało wentylator. Wszystko było dziełem rąk i inwencji własnej Grzegorza G. Przedsiębiorstwo miało jeszcze dział transportu w postaci wartburga oraz biurowość. Cała maszyneria, nie tylko ta świetlno-muzyczna, działała bardzo sprawnie i w żwawym tempie.

Z zeznań Moniki A. - 17-letniej uczennicy. Monika A. siedziała w kawiarni czekając na kolegę, z którym się umówiła. Pan w rogowych okularach zajmował sąsiedni stolik. Co chwila patrzył na zegarek i następnie uśmiechał się do uczennicy. Potem powiedział głośno: „Widzi pani, jakie wy jesteście?” Ona też spojrzała na zegarek i wskazując wymownie drzwi odparła: „Widzi pan, jacy wy jesteście”. Wtedy doszedł, przedstawił się, i zaproponował, żeby szybko wyjść, bo ich randki jednak mogą nadejść, a on wie, że było im pisane wspólnie zjeść obiad. Wartburg odjeżdża. Obiad, wódka. Pan mówi przyciszonym głosem, dużo. Nastrój intymno-melancholijny. Nagle, kiedy Monika A. spodziewa się, że sytuacja będzie coraz bardziej flirtowa, Grzegorz G. wstaje, mówi, że musi szybko iść, że przykro mu, ale jej nie odwiezie. Że tak jest dla niej lepiej, gdyż on jest typem spod ciemnej gwiazdy. Gdyby jej było smutno, niech wszakże zadzwoni. Gdyby jej tegoż dnia miało być smutno - niech tegoż dnia zadzwoni. Gdyby za pół godziny miało być smutno, niech za pół godziny... itd.

Przez trzy dni Monika A. dostawała kwiaty. Nie do domu, do szkoły! Następne trzy doby spędziła z Grzegorzem G., który przychodził na randki i znikał, rano był wesół, wieczorem melancholijny. Jeszcze dzień i w garsonierze stół jest uroczyście nakryty: kolacja pożegnalna. Grzegorz G. zajęty jest pakowaniem walizeczki. Mówi: „Jedź i zmykaj. Nie powinni cię tu zastać”. Potem wyjaśnia, że chodzi o milicję. Jeszcze dziś chyba nie przyjdą. Ale jeśli nie dziś to jutro, albo za trzy dni. Grzegorz G. wyjaśnia, że był dyrektorem przedsiębiorstwa. „Może inni kradli, a może to ja właśnie kradłem” - powiada tajemniczo. Musi zwrócić 80 tys. złotych, inaczej sprawa idzie do prokuratora. 50 ma, a trzydziestu nie może wytrzasnąć. „Może masz mała 30 tysięcy, nie? Dziwne. Samochód? Nie, już sprzedany”. Czułe pożegnanie. „Do zobaczenia za 10 lat”. Rano Monika A. dzwoni. Chce się spotkać.

Przedstawia swoje propozycje. Jej nic nie zrobią, a on bez tych pieniędzy pójdzie do więzienia. „A jeśli rodzice zawiadomią milicję?” „Wykluczone”.

Z domu rodziców Moniki A. wyniesione zostaje wszystko, co tylko było cennego: pieniądze, biżuteria, jakieś srebra, futro. Grzegorz G. zbiera to wszystko. Każe dziewczynie milczeć. Każe o sobie zapomnieć. On jest przestępcą, więc dla jej dobra. „Któregoś dnia dostaniesz przekaz pieniędzy na 30 tys. złotych, ale nie szybko i nie na pewno”.

Monika A. próbowała potem jeszcze dzwonić do Grzegorza G., ale on odpowiadał, że obiecała o nim zapomnieć i odkładał słuchawkę. W domu przyznała się do kradzieży. Dla kogo i dlaczego to zrobiła, nie powiedziała. Rodzice szaleli z wściekłości i rozpacz. Potem się wyszaleli. Milicji nie zawiadomili.

Z zeznań Franciszki B. - 32-letniej żony lekarza. Poznała Grzegorza G. w kawiarni. Umówił się z nią na wieczór (obiad nie został zainwestowany). Została u niego na noc. Rano, kiedy wstał, zaczął szaleńczo dzwonić po znajomych, szukając półtoratysięcznej pożyczki. Mówił, że sprawa jest honorowa. Musi natychmiast dać dziewczynie półtora tysiąca na zabieg. Lekarz jest umówiony na dziś. Słyszała, jak przez telefon mówił również, że chodzi o pożyczkę na jeden, dwa dni. Oświadczyła, że na jeden dzień może mu pożyczyć. Pojechali do niej do domu. On czekał w samochodzie. Po chwili wróciła z pieniędzmi, mówiąc, że niestety musi prosić, żeby nazajutrz zwrócił pieniądze, gdyż wyjęła je mężowi z biurka. Umówił się, że nazajutrz przyjedzie o określonej godzinie po obiedzie, kiedy męża nie będzie w domu.

Następnego dnia przyjechał punktualnie. „Nie mam pieniędzy, ale nie martw się”. Tu zdjął futro i wyjaśnił, że jest mu bardzo przykro, że obarcza ją taką misją, ale musi wracać, bo jego dziewczyna po zabiegu wymaga opieki. Prosi więc, żeby wzięła jego futro, pojechała z nim pod wskazany przezeń adres i spieniężyła je. Futro kupią tam od ręki. Sprawa jest umówiona. Resztę pieniędzy odda mu ona przy okazji. To nieważne. Przeraziła się: „W taki mróz wyjedziesz w marynarce?” Długo dał się prosić, nim go uprosiła. Wziął futro, powiedział, że nigdy jej tego nie zapomni i że jak tylko znajdzie jakiś pieniądz, zaraz jej przywiezie. Więcej go nie widziała.

Trick z futrem dokonany został w przeddzień poznania Moniki A. Miał na celu zdobycie funduszków na łowy na większą gotówkę. Grzegorz G. na zdobycie takich małych, bieżąco potrzebnych sum. przeznaczał nie więcej niż kilkanaście godzin. Kiedy gra się przeciągała - nie wytrzymywała kalkulacji.

Z zeznań Danuty R. - młodej farmaceutki. Grzegorz G. przedstawił się jej jako inżynier z Wrocławia, bawiący przez tydzień na delegacji służbowej w stolicy.. Spotykali się w kawiarniach. Postawę jego przez ten czas określa jako „nieśmiałe

zaloty”. Grzegorz G. mówił, że jest żonaty, ale nieszczęśliwy w małżeństwie i właśnie podjął kroki rozwodowe. Ustalili plany na przyszłość: Grzegorz G. stara się w Warszawie o mieszkanie. Po rozwodzie i uzyskaniu mieszkania przenosi się do stolicy i pobierają się. Odtąd Danuta R. widywała „inżyniera z Wrocławia” raz na kilka miesięcy, ale średnio raz na dwa tygodnie otrzymywała z Wrocławia czuły list. Za to co miesiąc wpłacała na pocztę 500 zł jako 50 procent miesięcznej raty za przyszłe mieszkanie spółdzielcze. Przekazy opiewały na nazwisko „przyjaciela inżyniera z Wrocławia”, niejakiego Grzegorza G., który pobierał tę kwotę na poste restante i rzekomo zanosił do biura spółdzielni mieszkaniowej. Trwało to dwa lata, do chwili, kiedy zamiast pieniężnego przekazu Danuta R. przesłała wiadomość, prosząc o przekazanie jej „narzeczonemu”, że wychodzi za mąż za kogoś innego i prosi o zwrot wkładu na mieszkanie.

Z zeznań Ewy Ł. - właścicielki prywatnej wytwórni konfekcji dziecięcej (pani ta stanowiła najgrubszą zwierzynę upolowaną przez Grzegorza G).

Ewa Ł. jest mężatką. Wspólnie z mężem prowadzi interes. Romans jej z Grzegorzem G. trwał miesiąc, kiedy „inżynier” opowiedział jej, że sprzedaje samochód i mobilizuje całą gotówkę dla zainwestowania w kapitalny interes: kamieniołom na prowincji. Kolosalny zysk jest natychmiastowy. Ostrożna Ewa Ł. ryzykuje 5 tys. zł. Po trzech tygodniach otrzymuje 4 tys. „zysku”, po następnym miesiącu znowu 4 tys. Daje wtedy 20 tys. Otrzymuje po niedługim czasie 10 tys. „zysku”, potem 8 tys. „zysku” oraz pisemko, że jej wkład kapitałowy wynosi już 25 tys. Teraz Ewa Ł. rzuca 100 tys. zł. Po miesiącu otrzymuje 20 tys. „zysku”, jeszcze po miesiącu 13 tys. „zysku”. Potem zaś pewnego dnia zjawia się u niej nieogolony Grzegorz G. i prosi, żeby go przechowała przez kilka nocy. Szuka go milicja. Z kamieniołomem jest wpadunek. Ewa Ł. zaczyna się denerwować: a jej pieniądze? Grzegorz G. wymyśla jej: niech będzie szczęśliwa, że oni, ci co prowadzili kamieniołom, a teraz siedzą, nie znają jej nazwiska, jako ich cichego wspólnika. On wielkodusznie wszystko inwestował na swoje imię. Niech będzie szczęśliwa, że on nigdy nie zdradzi milicji jej nazwiska i raczej, jak go złapią, będzie siedzieć, odpowiadając i za nią. Grzegorz G. przez kilka dni „ukrywa się” u Ewy Ł. Pije wódkę, łyka proszki nasenne, zwierza się jej mężowi z myśli samobójczych. Potem mówi, że spróbuje ucieczki za granicę. Znika. Ewa Ł. po raz wtóry zobaczyła go dopiero na ławie oskarżonych. O tym, że kamieniołom ów nigdy nie istniał poinformował ją dopiero oficer śledczy.

*

W toku dochodzenia zdołano ustalić, że Grzegorz G. naciął na pieniądze 27 kobiet na kwoty od 500 do 66 tys. złotych. Łączna wyłudzona suma sięga około 400 tys. złotych, przy czym są to wszystko interesy z ostatnich kilkunastu miesięcy. Cała sztuka w działaniu Grzegorza G. polegała na tym, że grał on tak, żeby wykluczyć

jakiegokolwiek wobec siebie roszczenia, czy zgłaszanie się ofiar do milicji lub sądu. Kiedy, bywało, zaczynało mu to grozić - zwracał pieniądze. Z pewnymi wyjątkami (np. sprawa uczennicy) nie polował on na pieniądze pochodzące z przestępstwa, obawiając się, że wykrycie tego przestępstwa ujawni trop prowadzący ku niemu.

Grzegorz G. nie był niebieskim ptakiem, człekiem prowadzącym lekkie życie, utracjuszem. Trudnił się pośrednictwem handlowym, pożyczał pieniądze na procent, jednym słowem lokował i pomnażał kapitał. Wpadł, kiedy z okazji wykrycia jakichś ciemnych interesów, w które był pośrednio zamieszany, zrobiono u niego rewizję i znaleziono książeczkę z telefonami i adresami pań oraz kwotami pieniędzy uwidocznionymi przy poszczególnych nazwiskach.

Nasz bohater nie był inżynierem. Rozstał się z politechniką po trzecim roku studiów. Przez kilka lat pracował w przemyśle. Potem wyspecjalizował się w innej branży. Ma dwoje dzieci. Jest rozwiedziony. Ponieważ jednak bywał u swojej żony i pomieszkiwał u niej, nie jest wykluczone, że chodziło tu o rozwód fikcyjny, stwarzający mu możliwość zdobycia niezbędnego do prowadzenia interesów osobnego mieszkania. W sprawie tej niewiele się dało wyświecić, gdyż jego eks-żona odmówiła zeznań.

Na rozprawie Grzegorz G. bronił się twierdząc, że kobiety same pchały mu do rąk pieniądze, że on nie raz i nie jedną ostrzegwał „nie wierz mi” (co jego ofiary w zeznaniach potwierdziły) i że jeśli nawet aktywnie potem pieniądze wyłudzał, uciekając się do różnych sztuczek, to zawsze czuł się moralnie czysty: kobiety płaciły za przyjemność, jaką sprawia im pomaganie mężczyźnie i poczucie jego od nich zależności. Po prostu umożliwiał im wyładowywanie instynktów opiekuńczych.

Jako świadkowie obrony stawały kobiety, którym on pomagał materialnie.

Młoda siła z księgowości

Do małego miasta R. przybył nowy dyrektor lokalnego przedsiębiorstwa, niewielkiego, ale największego, jakie R. posiada. O tym nowym Piotrze S. wiadomo, że przyjeżdża z dużego miasta, gdzie był dyrektorem sporego przedsiębiorstwa. Fama głosiła, że został zdymisjonowany za sprawy damsko-męskie, bo jest wielkim lwem na tym polu, który już niejedną w swej karierze posadę stracił, potknąwszy się o damską nogę. Zaczynał zaś karierę od tracenia posad bardzo w hierarchii wysokich, przynajmniej jak na optykę powiatową.

Renoma ta sprawiła, że dyrektor S. oglądany był, spotykany i obgadywany z wielkim podnieceniem. Żeński personel jego firmy oczekiwał, co też on pokaże na nowym gruncie. Chodziło zaś nie tylko o zainteresowanie ewentualną przygodą, ale przede wszystkim rozróżą, która w takim wypadku nie minie przedsiębiorstwa, rozpraszając codzienną monotonię. Piotr S. osiadł w R. sam, bez żony i mieszkania, był więc na tutejszym gruncie samotny, co rokowało, że niedługo będzie czekać, aż się zaktywizuje wobec kobiet.

Nowy dyrektor: czy to zmęczony, czy sparzony, czy w ogóle nie sprostający swojej renomie, zachowywał się wszakże nienagannie i nie wyszło mu to na zdrowie. Zanim bowiem zaczął motać sobie jakieś życie osobiste, już pożarł się ze swym zastępcą (tutejszym, więc obrażonym, że mu nasadzono z zewnątrz pryncypała, miast awansować jego - lokalną gwiazdę gospodarczą). Dyrektorzy zaczęli wojnę podjazdową i dybanie, któremu i na czym pośliźnie się noga.

Dopiero po kilku miesiącach Piotr S. sprostał oczekiwaniom. Do jego zastępcy i antagonisty Jerzego M. przyszła dziewczyna z księgowości i powiedziała, że dyrektor ją zaczepił i uczynił niestosowną propozycję, mianowicie, żeby odwiedziła go w domu. Mówił też o potrzebie awansowania młodych kadr, czym dawał jej do zrozumienia, że nagroda za przyjście jest przewidziana i będzie wypłacona z państwowej kasy. Henryka Z. (tak się zwała młoda siła z księgowości) jest oburzona, ale nie wie co zrobić, bo nie chciałyby przekreślać sobie szans awansu.

Wicedyrektor powiedział jej, żeby przyjęła zaproszenie i powiedziała mu, kiedy pójdzie do mieszkania dyrektora i poza tym niechaj się nie obawia ani o swój awans, ani nawet o swe wdzięki.

Wkrótce Henryką Z. zawiadomiła wiceszefa, że w czwartek o dwudziestej pierwszej złoży dyrektorowi wizytę, ona nie chce wiedzieć, co będzie w związku z tym robione, prosi tylko, żeby robione było dyskretnie.

O dwudziestej drugiej zero zero, w czwartek Jerzy M. w asyście przybocznych

współpracowników - swoich sojuszników, udał się pod drzwi mieszkania szefa i zadzwonił. Odpowiedziała mu cisza. Załomotał. Żadnego odgłosu. Wiedział, że to tylko pozór nieobecności, bo primo - gdzie by mógł dyrektor wyjść ze swoją podwładną, secundo - z ulicy, idąc, widzieli w dyrektorskim oknie stosownie przyćmione światło. Wyszli z powrotem na ulicę. Światła w oknie już nie było, co stanowiło dowód pewny, że Piotr S. czai się w środku. Na sygnał Jerzego M. zaczęto wyważać drzwi, które też po kilku minutach ustąpiły, bo z jednej strony grupa uderzeniowa była bardzo dobrze odżywniona, z drugiej zaś dom był z nowego budownictwa.

Wpadł więc wicedyrektor do dyrektorskiej rezydencji i ku swej konsternacji istotnie zastał szefa z dziewczyną, ale inną. Bawiła u niego kasjerka kolejowa w żaden sposób odeń służbowo niezależna. Piotr S. krzyczał strasznym głosem i groził swojemu zastępcy wszystkim, co tylko można: od obicia buzi poczynając, na „postawieniu sprawy” kończąc.

Jerzy M., zgniewany klęską, pobiegł wprost do Henryki Z., żeby ją zapytać czy to ładnie i bezpiecznie dla młodej siły z księgowości urządzać takie wredne prowokacje. Dziewczyna wszakże zaczęła płakać i wyjaśniać, że o podanym wicedyrektorowi czasie poszła do Piotra S. do domu, pocałowała wszakże kłamekę. Gospodarz jej nie otworzył. Pomyślała, że nie ma go w domu i poszła sobie. Jak się okazuje, niedoświadczona z księgowości wcale się z dyrektorem nie umawiała na ten wieczór, wyobrażała sobie bowiem, że ten, złożywszy swą propozycję, odtąd siedzi wieczorami w domu i na nią czeka.

Piotr S. przez następne dni w ogóle nie rozmawiał ze swoim zastępcą nawet o sprawach służbowych, a potem okazało się, że wniósł przeciwko niemu i trzem jego pomocnikom formalne oskarżenie do sądu o włamanie do jego mieszkania.

Nim sprawa uzyskała termin, Piotr S. załatwił wylanie z pracy swego zastępcy, co przyszło mu zresztą bez trudu, bo każdy rozumiał, że po czymś tak efektywnym i głośnym nie mogą już ze sobą współpracować.

Na procesie Jerzy M. przyznał się do popełnionego czynu, ale nie przyznał się do winy. Działał - twierdził - w interesie społecznym. Młoda dziewczyna poprosiła go o ochronę i obronę, którą przeprowadził stosownie do warunków i okoliczności. W jej osobie bronił wszystkich dziewczyn zakładu przed zakusami renomowanego uwodziciela. Istotnie przekroczył swoje kompetencje, ale intencje miał czyste. Poniosło go wzburzenie.

Na koronnego świadka obrony wezwana została Henryka Z. i tu spotkało oskarżonego wielkie rozczarowanie. Gdyby Jerzy M. był człowiekiem rozważniejszym byłby to wiedział. Henryka Z. miała aż trzy bowiem przyczyny, żeby nie potwierdzać wersji zdarzeń podanych przez Jerzego M. Pierwsza, że Jerzy

M. już nie był jej szefem, a Piotr S. był. Druga, że wcale nie byłoby jej przyjemnie przyznawać się na publicznej rozprawie, iż szła do mieszkania swego dyrektora w celach pozasłużbowych, z własnej, co by nie mówić, woli i to jeszcze powodowana wyrachowaniem, a nie lirycznymi pobudkami. Trzecia przyczyna - to jej aktualna złość na Jerzego M. Zaraz po owym feralnym wieczorze przyszła doń upominać się o awans. Wściekły wicedyrektor, jeszcze wówczas urzędujący, odparł, że jeśli Piotr S. obiecywał jej awans za świadczenia pozasłużbowe, to wcale nie dowodzi, że jej się awans należy. Mylnie dziewczyna bowiem mniema, że Piotr S. groził jej wstrzymaniem należnego awansu, jeśli się z nim nie prześpi. On przeciwnie, obiecywał, że nagrodzi ją awansem - a to inna sprawa. Wreszcie Henryka Z. wściekła była na Jerzego M. za to, że zrobił ją w historię, którą ma na językach całe miasto.

Przed sądem dziewczyna oświadczyła więc, że oskarżonego M. ponosi fantazja. Owszem, kiedyś dyrektor S. zaprosił ją do siebie, powiedział, żeby go odwiedziła. Nie widząc w tym niczego zdrożnego pochwaliła się zaproszeniem Jerzemu M. wspominając, że w czwartek się do swego szefa wybiera. To wszystko.

Piotr S. potwierdził zeznanie dziewczyny: zaprosić nie wolno? - zadał sądowi retoryczne pytanie i dorzucił kilka słów o miejscowym plotkarstwie.

Sąd skazał Jerzego M. na 8 miesięcy aresztu, a jego pomocników na kary po trzy miesiące. W uzasadnieniu stwierdził, że Jerzy M. działał z niskich pobudek. Wiedząc, że u jego szefa ma być z wizytą dziewczyna, usiłował to wyzyskać dla zrobienia publicznego skandalu, który by przełożonego skompromitował, otwierając mu drogę do kierowania przedsiębiorstwem.

Piotr S. wyszedł z sądu jako triumfator, a nazajutrz zwołał w swoim przedsiębiorstwie zebranie, na którym nie krył swego zadowolenia i satysfakcji z finału wydarzeń. Widocznie, mimo tak bujnego życiorysu i mimo jednorodności kłopotów - jakie miał w swojej karierze - Piotr S. nie jest wciąż jeszcze dostatecznie doświadczony.

Trzymano go dla przyzwoitości jeszcze cztery miesiące, potem powędrował gdzie indziej. Na ogół bowiem spławia się dyrektora, który jest bohaterem, nawet niewinnym, nazbyt głośnego skandalu obyczajowego. Kiedy go więc zwalniano, wyłuszczone mu różne przyczyny dymisji, w tym i tę: jednak miał u siebie kobietę. „Jak się żyje w takim małym miasteczku... rozumiecie”.

Wszystkie chwytty dozwolone

Waldemar i Zofia P. ubiegają się o rozwód. Oboje są skromnymi urzędnikami pod czterdziestkę. Rozpoczyna się przesłuchanie świadków.

Świadek powołany na wniosek Zofii P., sąsiadka:

„O pożyciu P. nie wiem nic, bo cudze sprawy mnie nie interesują. Pilnuję swoich. (...) Jest mi wiadomo, że pan P. przychodził z pracy o piątej po południu, wysypiał się, a potem bił Zofię P. (...) Tak, bił codziennie, chociaż były dni, że nie bił. Wiem to stąd, że u nas słychać było uderzenia, potem jęki, płacz. Myśmy pierwszy rok prosili, żeby ciszej, ale potem człowiek przywykł. (...) Były dni, kiedy P. bił mocniej. Wiem to stąd, że nie kończyło się na krzykach, prośbach, płaczu, jękach, ale Zofia P. skomlała jak zwierzę. Kiedyś widziałam, jak pies wpadł pod auto. To było tak samo. (...) Pan P. chodził na podwórze. Tam są różne komórki i leżą różne śmieci. On w tym grzebał i szukał... Mąż zastanawiał się, czego on szuka. Raz go spotkał, jak znalazł kawałek kabla. Uderzył nim o komórkę i powiedział, uśmiechając się do męża: «To chyba będzie dobre, co?» (...) Dzieciom mówiliśmy, że pani P. jest chora...”

Świadek powołany na wniosek Zofii P., znajoma jej męża:

„W sprawie tej mam do powiedzenia, że Waldemar P. żył ze mną od 12 maja 1964 r. do stycznia 1965 r. Nic więcej w tej sprawie nie mam do powiedzenia”.

Na dalsze pytania sądu świadek, jak informuje protokół, scharakteryzował Waldemara P. jako złego człowieka. Dlaczego był złym człowiekiem, tego nie potrafi wyjaśnić, ale to się czuje. Świadek informuje, że spotykali się cc kilka dni. Waldemar P. przychodził do niej do domu. Wtedy wysyłała dziecko na podwórze. Po krótkim czasie wychodził. Mówił mało. Ale kiedyś powiedział, że nienawidzi żony za to, że musi z nią mieszkać i nie ma innego mieszkania. Na pytanie pełnomocnika Waldemara P. świadek odpowiada, że owszem, zeznania te są dla niej krępujące, ale jak Zofia P. „podała ją na świadka”, to musi mówić prawdę. Skąd Zofia P. o niej wie i jak ją znalazła - tego nie wie. Pracuje jako sprzątaczką. Nie ma nic więcej do powiedzenia.

Świadek powołany przez Zofię P., były kolega jej męża z pracy:

„Chodziłem z Waldemarem P. na wódkę i stąd wiem, że on jest alkoholikiem. Mam oko do tych rzeczy, poza tym wiem, że często ze śniadaniem Waldemar P. przynosił ćwiartkę, dolewał sobie wódkę do herbaty i w czasie pracy wypijał. Wiem, że nie dawał żonie na utrzymanie jej i córki, bo obiad jadał w barze i mówił, że woli psuć sobie żołądek na mieście, niż dawać chociaż grosz na żonę, bo ona i tak wszystko

zmarnuje. Zresztą ma swoje zarobki. Waldemar P. nigdy nie poszedł do domu, póki nie był nietrzeźwy, ale dobrze się trzymał i mało co można było po nim poznać. Zofię P. znam. Mówiła mi ona kiedyś, że Waldemar P. jest złym mężem, bo pije, nie daje pieniędzy na dom i żadnej pomocy z niego nie ma, bo albo jest w biurze, albo na mieście, a jak w domu to śpi”.

Świadek powołany przez Zofię P., dozorczyni domu, w którym małżonkowie mieszkają:

„O tym, że pan P. bije żonę, to nie wiem, skąd wiem, bo on zawsze bił żonę i wszyscy o tym wiedzieli i mówili. Nie pamiętam, skąd się o tym dowiedziałam pierwszy raz. Pan P. nienawidził swojej córki, ale czy ją bił, to nie wiem. Mówił mężowi na podwórku, że ją zabije, bo nienawidzi dzieci. Dzieci powinny być w szkole, a nie w domu. Nie lubi dzieci w domu. Jego to denerwuje, że żona za bardzo się o Hanię stara. Hanię u nas wszyscy znają jako dziecko smutne, bez odpowiednich warunków...”

Świadek powołany przez Waldemara P., szwagier Waldemara P.:

„Zofia była złą żoną dla swojego męża, ponieważ nie było w niej żadnej wierności. Wiem o tym z własnych przeżyć. Moja żona, która jest siostrą Waldemara P., urządziła imieniny. Waldemar P. się upił, położył spać w kuchni i tam zanocował. Zosia poprosiła mnie wtedy, żebym ją zawiózł do domu, to zapłaci za taksówkę. Kiedyśmy wyszli, powiedziała, że jest ciepło i namówiła mnie, żebym z nią jechał nad rzekę. Zna tam takie miejsce, że nas nikt nie zobaczy. Trzeba się tylko wystarać o trochę gazet, bo nad ranem robi się tam mokro. Ja byłem pijany, więc wyrażałem zgodę. Z tego co było, wnioskuje, że ona nieraz tam jeździła i nie z jednym”.

Świadek powołany przez Waldemara P., sąsiadka:

„Waldemar P. był znany w całym domu jako dobry mąż. Wiem to stąd, że nigdy nie był pijany, nie bił żony i bardzo ją kochał. Co z tego jednak, kiedy ona nie miała starania o niego ani o dom. Kiedy trzeba było coś przyszyć albo wyczyścić, przychodził do mnie i wtenczas mówił, jakie jest jego życie. Pani Zofia nie chciała gotować ani sprzątać, ani nie miała dla niego dobrego słowa. Wiem to z tego, że pan P. mi mówił. Zresztą gospodyni takie zaniedbania u sąsiadów sama wypatrzy. Mogę jeszcze powiedzieć, że Waldemar P. przynosił swojej córce cukierki, a nawet czekoladę i ona wciąż częstowała tym moje dzieci”.

Świadek powołany przez Waldemara P., jego znajomy:

„Z Waldemarem P. nie spotykam się już od pięciu czy sześciu lat. Przedtem kolegowaliśmy się w klubie sportowym, gdzie on był działaczem. W klubie Waldemar P. spędzał dużo czasu i tam po pracy przychodziła często jego żona, jak miała do niego jakąś sprawę. Starła się ona być w klubie jak najdłużej i zawsze

szukała pretekstu, żeby przeciągnąć wizytę. Zwróciło to moją uwagę, bo było dziwne, ponieważ w klubie każdy miał swoje sprawy i na Zofię P. nie zwracał żadnej uwagi, więc nie wiedziałem, co to dla niej za przyjemność. Potem dopiero chłopcy mi opowiadali, że ona starała się z nimi umawiać i że ma taką naturę, że gotowa jest pójść z każdym. Zwróciłem wtedy uwagę Waldemarowi P., że chłopcy mówią, że jego żona się nie szanuje. Powinien jej pilnować i zakazać przychodzenia do klubu. Potem już więcej nie przychodziła”.

Składaniu owych zeznań towarzyszył stały ceremoniał. Strona, przeciwko której były one wymierzone, protestowała, przeczyła tym rewelacjom. Małżonkowie P. lub ich adwokaci zadawali też świadkom pytania, które zmierzały do podważenia prawdziwości zeznań. Świadkowie często się wówczas plątali w swych dodatkowych wyjaśnieniach, albo uchylali się od konkretyzacji opisów pewnych sytuacji, powtarzając raz jeszcze to samo.

W pewnej chwili, niespodziewanie, przewodniczący trzyosobowego kompletu sądu zarządził przerwę, ponieważ sąd udaje się na naradę. Po przerwie oświadczył, że proces zostaje odroczony.

Sąd przekazał sprawę prokuraturze w związku z domniemaniem, że wszystkie złożone zeznania są nieprawdziwe, z góry ukartowane i zainspirowane przez zainteresowane strony.

W trakcie dochodzenia Waldemar P. i Zofia P. przyznali się, że ich świadkowie zeznawali nieprawdę, Treść, a właściwie tekst zeznań sami opracowali. Większość świadków zgodziła się na to z czystej życzliwości dla osoby proszącej. Niektórzy świadkowie w zamian za uprzejmość dostali upominki, dozorczyńni np. 500 złotych. Waldemar P. wyjaśnił, że postąpił tak, gdy dowiedział się, że jego żona „montuje świadków”. Chciał więc odparować jej tą samą bronią. Zofia P. zaś wyjaśniła, że to jej mąż zaczął pierwszy, a ona, dowiedziawszy się o tym od osób życzliwych, a także poznawszy mniej więcej treść tych przyszłych zeznań, uznała, że będzie „zgubiona” w sądzie, jeśli nie postąpi analogicznie i nie przeciwstawi armat armatom. Następnie, w trakcie dochodzenia, wszyscy świadkowie przyznali się do winy i potwierdzili, że na procesie rozwodowym mówili nieprawdę, a raczej, że wszystkie drastyczności: bicia, zdrady, wiadomości o pijaństwie Waldemara P. i niedawaniu przezeń pieniędzy, a także o zaniedbywaniu przez Zofię P. domu - były nieprawdziwe.

W tym stanie rzeczy do sądu wpłynął akt oskarżenia i wkrótce na ławie oskarżonych zasiadł komplet osób występujących uprzednio przed sądem, który miał rozpatrzyć pozew rozwodowy.

W płaszczyźnie faktów wszystko było proste i jasne. Państwo P. poświęcili, każde z osobna, wiele czasu, starań, i wysiłków perswazyjnych, by zapewnić sobie

doborową stawkę fałszywych świadków, którzy zmieszają współmałżonka z błotem wedle nieskomplikowanych wyobrażeń pani i pana P. o żonie-potworze i mężu-potworze. Sąd dużo wysiłku poświęcił więc dla wyjaśnienia motywów takiego postępowania.

Od roku Waldemar P. nie mieszkał już ze swoją żoną. De facto założył rodzinę z inną kobietą. Pozew o rozwód wniosła Zofia P. i Waldemar P. oczywiście nie sprzeciwiał się rozwodowi, przeciwnie, było to po jego myśli. Do udziału w mieszkaniu nie pretendował. Nie pragnął, by sąd postanawiał, żeby jego córka została przy nim. Godził się, że wychowywać ją będzie żona. Małżonkowie nie mieli żadnego wspólnego majątku do podziału. To co Waldemar P. miał zabrać z mieszkania - to zabrał. W sprawie wysokości alimentów strony zawarły przed rozprawą wstępne porozumienie, wedle którego za obopólną zgodą zachowana ma być kwota, którą już Waldemar P. płacił. Wobec takiego stanu rzeczy sąd zadał pytanie: skoro po założeniu przez Waldemara P. nowej rodziny rozkład jego poprzedniego, formalnie tylko trwającego jeszcze, związku był oczywisty, to po co im było to całe zaprawione makabrą przedstawienie? W jakim celu tak uciążliwa, niebezpieczna jak się okazało i plugawa gra? W imię czego?

I Zofia i Waldemar P. odrzekli, że chodziło im o to, aby sąd orzekając o rozwodzie uznał wyłączną winę strony przeciwnej. Dlaczego? Otóż tego nawet wytłumaczyć przekonywająco nie potrafili. W imię satysfakcji, w imię tego, by w ludzkich oczach wyjść ze sprawy z sądową pieczęcią moralnej nienaganności, po to, żeby było zapisane, podpisane i opatrzone pieczęcią, że to druga strona sprawiła, że nie mogli, czy nie chcieli pchać życia razem. I w imię takich to mętnych celów spokojni urzędnicy pod czterdziestkę, małżonkowie P. zdemonizowali się nawzajem, wylali na się kubły przemysłnych brudów i narazili na wyrok karny, który sąd ferował w wysokości: on - dwa, ona - półtora roku więzienia, świadkowie od pół roku do roku (dozorczynie). Wszystko z zawieszeniem.

Milion

Jan U., zatrudniony w przedsiębiorstwie budowlanym jako dźwigowy, posłał rano dziecko po gazetę, którą od lat raz na tydzień przeglądał, i widzi, że nie ma to tamto... skosił milion w toto-lotka! Narobił krzyku, wysłał drugie starsze dziecko po pół litra, zerwał kapsel i zreflektował się. Po pijanemu zawsze robił głupstwa: stawiał wódkę, pożyczał ludziom pieniądze, na rząd się wyrażał. Jak teraz zacznie pić - to nim wytrzeźwieje, może ten milion stracić. I bodaj by tak się stało, ale nie, odstawił butelkę. W ten sposób miasteczko L. zyskało w jednej osobie jednego obywatela dwóch takich ludzi, jakich nigdy jeszcze nie miało: milionera i abstynenta.

Wieść się rozeszła, schodzili się znajomi, mało który bez butelki. Pewno czuli zawiść, ale ją tłumili, każdy więc wyrażał radość i składał najlepsze życzenia. Los - twierdzili ludzie - tym razem okazał się sprawiedliwy. A mieli na myśli nogę i dzieci Jana U. Kilkanaście lat temu Jan U., będący wtedy młodym murarzem, spadł z rusztowania i odtąd ma sztywną nogę oraz rentę inwalidzką. Dorabia jako dźwigowy na niepełnej dniówce. Po wypadku Jan U. chodził z większym jeszcze niż dzisiaj trudem, nie pracował wcale, w domu siedział długo, żonę miał wtedy młodą, telewizora nie posiadał, więc w ciągu ośmiu lat spłodził sześcioro dzieci. Po piątym władze okazały pomoc, dały żonie pracę w kuchni baru mlecznego, jedną z najlepszych w mieście, szczególnie jak ma się dzieci do wykarmienia. Starano się o nią coś z sześćdziesiąt kobiet, w tym matka miejskiego przewodniczącego, a jednak pomocą kuchenną została Franciszka U. Mówiono, że to się oparło aż o województwo. Na osiem gęb to jednak i w barze mlecznym nie nakradnie. U Jana U. była bieda, więc teraz ludzie szczerze się cieszyli. Lepiej, że na niego popadła wygrana, niż by miała przypaść adwokatowi, ogrodnikowi czy ginekologowi.

Jan U. nie wypił, raz, drugi i dziesiąty. Przychodzili niektórzy po pożyczki. Objaśniali, jak gardłową mają sytuację - teraz on, milioner, odmawiał, pilnował złotówki, jak nigdy przedtem. Powiadano więc, że zupełnie go pieniądze odmieniły: był szczery, jest wyrachowany, wywyższa się, na ludziach mu nie zależy. Jan U. stracił przyjaciół, później także znajomych. Ci, co się czegoś odeń spodziewali, mieli go za świnię. Inni nie chcieli się narzucać, żeby sobie nie pomyślał, że pieniądze im imponują, kiedy jest przeciwnie.

Władze dziwnie ustosunkowały się do sprawy. Oficjalnie nic. Pieniądz, jeśli wygrany, to tak jak wierzenie religijne - prywatna sprawa obywatela. Zaczęło się tylko w L. mówić, że teraz Franciszka U. powinna ustąpić pracy w barze jakiejś innej, bardziej potrzebującej kobiecie. Milionerowa wpierw puszczała to gadanie

mimo uszu, potem powiedziała: „Macie podstawy, żeby wymówić? Jakby co, pójde nawet do komitetu”. Doigrała się tymi groźbami. Nie minęło kilka dni, a złośliwie przyłapano ją na wynoszeniu masła i wyleciała z dyscyplinarnego paragrafu. Nie można jednak powiedzieć, że ustosunkowanie się władz do milionera ogólnie było niechętne, bo znowu jego samego z dźwigowego awansowano na umysłowego. Jego nowa funkcja nazywała się: „pomoc biurowa w magazynie”. Z okazji tego awansu nikt nie wspomniał o milionie. Nazywało się, że z nagła powstało w magazynie zapotrzebowanie na pracownika. Ale przecież każdy rozumiał, że to wręcz nie wypada, żeby milioner stał w waciaku i gnojkach i puszczał windę.

Po wygranej, pod względem materialnym życie milionera raczej się pogorszyło niż poprawiło. Jan U. nie ruszał miliona, bo rozdysponował go tak: kupi kawał ziemi i zbuduje dom w ogrodzie warzywnym, taki, żeby się pomieściła cała rodzina. Obliczał: łazienka i inspekty, ogrodzenie i drzewa owocowe, pokoi 5, kuchnia, studnia, pompa elektryczna, szopa, murować sam potrafi - razem 600 tysięcy. Dla każdego dziecka wkład na spółdzielnię mieszkaniową po 50 tysięcy - razem 300 tysięcy. Zostaje sto patyków na czarną godzinę lub rozwinięcie ogrodnictwa. Ani złotówki nie można więc z miliona uronić, a tu żona straciła pracę. Wychowaj tu a wykształć z renty inwalidzkiej sześcioro dzieci!

Milionerowej powiedziano, że nie ma po co przychodzić do wydziału zatrudnienia - przed nią mają tam do załatwienia parę takich klientek, też z nie ukończoną szkołą podstawową, które nie chowają miliona w pończosze. Najmowała się więc do sprzątania i prania po domach i nawet było trochę tej roboty, o którą w ogóle w L. trudno, bo ludziom imponuje mieć milionerkę do ciężkich posług, a i ciekawi co też człowiek robi, jeśli mu z nieba spadnie milion. Odpowiadała, że przecież widzą na własne oczy, co człowiek robi.

Milionerzy żyli więc w ośmioro za dwa tysiące trzysta plus te kilkaset, które dorabiała Franciszka U. Oprócz wódki Jan U. wyrzekł się piwa.

Dzieci miały w szkole nieprzyjemności: „Te milioner”, „Te milionerka!”, wołali na nie rówieśnicy, zaś sfery nauczycielsko-rodzicielskie oburzało, że państwo U. nie płacą składek na żaden cel i że ich dzieci nie mają całych butów, mimo że mają cały milion.

O tym wszystkim Jan U. opowiadał przed sądem, kiedy przed nim stanął jako oskarżony w poważnej sprawie, tak zwanej aferowej, którą rozpatrywał sąd wojewódzki jako pierwsza instancja. Spadło nań to nieszczęście dopiero w jakiś rok po wygraniu miliona, a potem śledztwo ciągnęło się jak ciąża, 9 miesięcy. Wywlekał sądowi tę swoją biedę, bo czuł, że przyjdzie mu nie tylko jego złodziejstwo, ale i ten milion odsiedzieć. Po zakończeniu śledztwa prasa pisała o aferze, dając tytuł: „Milioner popełnił milionowe nadużycia”. Eksponowano więc

od razu jego osobę, mimo że nie Jan U. bynajmniej był głównym oskarżonym. W śledztwie też czuł, że inaczej na niego patrzą. Inni to inni - zwykli złodzieje, a on, wybraniec losu, milioner, który złakomił się na jeszcze większe bogactwo.

„Do winy przyznaję się i chcę wyjaśnić wszystko wedle prawdy. Przywłaszczyłem. Skusiłem się. Ale nie z chciwości” - zaczął Jan U. swoje zeznanie. Z dalszego ciągu wynikało, że zgubił go jednak ten milion. Nie co innego. Jan U. osiemnaście lat pracował na budowie i nigdy nie kradł, przynajmniej nikt go nie złapał, ani nie był karany. Milion stworzył niejako potrzebę dokradnięcia. Wydatki cisnęły, bo wzrosły po wygranej, bardziej niż zasobność Jana U. Koszty kupna ziemi i budowy domu okazały się wyższe, niż to zrazu planował. Dalej: pracownik magazynu materiałów budowlanych, który nie ma budulca ani armatury, żeby wykończyć swoją chałupę - to jak głodny piekarz. Tam staje budowa - tu leży wszystko, czego jej potrzeba. Silna pokusa. Dalej: koledzy, którzy go w to wciągnęli, mówili: „Zgódź się Janek, dzięki tobie i my będziemy bezpieczni. Kto będzie podejrzewał milionera, że złakomił się na parę worków cementu? Sam popatrz, jaka to czysta sprawa”.

W złodziejskiej szajce, która zaczęła od małego, a potem kradła na milionową skalę, Jan U. prowadził tylko sprawy kancelaryjne. Budulec brało się w biały dzień, legalnie, bo właśnie Jan U. wystawiał wszystkie dokumenty potrzebne do pobrania materiałów budowlanych i pilnował, żeby w dokumentacji wszystko się zgadzało w razie nagłej kontroli. Był tylko wykonawcą, ale jego funkcja w grupie przestępczej miała kluczowe znaczenie w akcie oskarżenia. Wśród 11 osób figurował na drugim miejscu po inicjatorze i kierowniku przedsięwzięcia, kierowcy Marianie M.

Kradzione materiały budowlane sprzedawali ludziom, którzy stawiali sobie domy. Marian M. rozwoził pustaki, cegłę, cement i dachówkę po kilku aż powiatach. Po odebraniu należności jego ciężarówka robiła zaś kursy w odwrotną stronę: cegła, cement, pustaki, armatura i dachówki, klepki podłogowe i futryny, wszystko jechało od ludzi prywatnie budujących domy i kupujących kradzione - z powrotem do magazynu państwowego przedsiębiorstwa budowlanego. Na tym bowiem polegał pomysł całego przedsięwzięcia, które inaczej wydałoby się przy pierwszym gruntownym remanencie w magazynie, przy solidnej kontroli dokumentacji.

Marian M. sam odwiedzał chłopów, którzy się budowali i pytał, czego im potrzeba, albo przez pośredników dowiadywał się, że któryś szuka budulca. Umawiał się, kiedy i co dostarczyć, cenę brał niewysoką, ale zawsze uprzedzał, że to kradzione. Marian M. nie bez kozery łamał konwenanse. Chodziło mu o to, żeby nabywcy się bali. Kiedy już materiały budowlane leżały w chłopskiej zagrodzie, oczekiwał tydzień albo więcej i wysyłał tam swoich ludzi. Włazili, wyjmowali notesy, pytali, skąd ten budulec, mierzyli, liczyli, notowali. Milicja czy jakaś inna kontrola? - Nikt

ich nie pytał o dokumenty. Na złodzieju czapka gore. Potem zjawiał się Marian M. Mówił, że wszystko, co dostarczył, musi zabrać z powrotem, bo władze już wykryły, gdzie zawiózł kradzione i lada moment będzie miał kontrolę w magazynie, a jak tam nie będzie się coś zgadzać, pójdą siedzieć i on i nabywca. Kiedy chłop był bardzo wystraszony, mówił z góry, że pieniędzy nie odda, bo są potrzebne na opłacenie tych, którzy już spisali u pana gospodarza w zagrodzie, ile czego ma z państwowych materiałów budowlanych. Czasami obiecywał zwrócić pieniądze, wiedząc, że i tak nabywca go nie oskarży świadom, że siedzi się za kupowanie kradzonego. Interes prosperował znakomicie, a samych materiałów budowlanych prawie nie ubywało z magazynu i remanenty przechodziły gładko. Ów świetnie pomyślany interes przewrócił się na Janie U.

Budował dom, potrzebował budulca i nie chciał nic robić za pieniądze. Swoją dolę brał w naturze. A to co on dostawał, nie wracało już do magazynu.

Człowiek, który się buduje, osobliwie na prowincji, jest na oczach wszystkich. Już znaleźli się w L. tacy, którzy na oko widzieli, skąd Jan U. musi brać te akurat pustaki, tamte płytki, owakie klepki. Na pracownika budownictwa, stawiającego prywatny dom, patrzy się tym pilniej. Przyszła kontrola, nie umiał wytłumaczyć, gdzie co kupił. Zamknęli jego magazyn, zrobili remanent, potem zamknęli jego samego. Pytali, ile ukradł i kto mu to przewoził na działkę. O nic więcej. To sam przerażony Jan U. zaczął się tłumaczyć, że był tylko małym, zupełnie malutkim wykonawcą, a wszystko szło na o wiele większą skalę.

Obliczono, że grupa przestępcza Mariana M. nakradła na milion sto trzydzieści tysięcy, a Jana U. skazano za udział w zagarnięciu takiej kwoty. Chłopi-nabywcy sypali ich z przyjemnością. Osia procesu była kontrowersja między obroną a oskarżeniem: czy ostatecznie skradziono państwowe mienie, czy też okradano prywatnych ludzi? Sąd uznał, że poszkodowane było nie przedsiębiorstwo państwowe, lecz osoby prywatne z wyjątkiem, który stanowi budulec wartości około 170 tysięcy złotych zużyty na budowę domu Jana U. Ferując wyrok, sąd przyjął za okoliczność łagodzącą jego sztywną nogę, za obciążającą zaś to, że posiadał milion i skazał go na osiem lat więzienia, grzywnę i przepadek mienia. Przepadek ów objął kupioną przez Jana U. ziemię, nie wykończony dom i około 700 tysięcy złotych, jakie jeszcze miał na książeczce.

Ludzie w L. komentując straszny koniec milionera, wypowiadali tanie maksymy o apetycie rosnącym w miarę jedzenia, pieniądzu, którego posiadanie zwiększa żądzę pieniędzy i dostrzegali paradoks w tym, że jedyny w L. milioner poszedł siedzieć za zwykłe złodziejstwo. Cała prawda jest jednak złożona i dostrzegam w tej historii osobliwość tkwiącą nie tylko w ludziach, ale i w samych pieniądzach. Po prostu milion - to bardzo dużo forsy, ale dopóty, dopóki się go nie ma. To samo dotyczy także miliarda.

Sylwetka

Tatus - uczony ponoć światowej sławy - w stosownym czasie napominał Tadeusza D., aby się uczył, ale on w dziewiątej jeszcze klasie całkowicie poświęcił się zbieraniu znaczków, począł dobrze zarabiać na handlu nimi, stracił zupełnie zainteresowanie wiedzą i edukacją własną, utknął w dziesiątej klasie i już się nigdy dalej nie posunął.

Przez następne dwanaście lat nie szukał zawodu ani posady, lecz tylko zarobku, który zresztą znajdował, ale gdzie i jak - mało o tym wiadomo. Ogólnie biorąc, handlu znaczkami nigdy nie zarzucił, ale interesował się także walutą i biżuterią. Wiemy o nim, że raz siedział przez kilkanaście miesięcy. Sądzone go jednak nie za całokształt, tylko za konkretny, drobny wycinek całego przebiegu kariery. 26-letni wówczas Tadeusz D. jeździł po Polsce, jako agent prywatnych wytwórców różnych aparatów i urządzeń, a także galanterii metalowej itp., przy czym był agentem rzekomym, to znaczy tylko powoływał się na plenipotencje, których nie miał i mieć nie chciał, gdyż prowizja to nie było to, co urządza takiego człowieka. Miał walizkę wzorów - samych rzeczy łakomych, reglamentowanych lub trudno osiągalnych. Przyjmował zamówienia i obiecywał przysłać towar paczką za zaliczeniem, czyli płatność miała nastąpić po nadejściu zamówionego towaru, żadnego ryzyka dla nabywcy. Tyle tylko, że na poczcie wpierw się przesyłkę wykupuje, a potem zagląda do środka. Słał więc kilogramy byle jakiego żelastwa, a jako nadawców, którym przesłać trzeba należność, podawał panie w różnych miastach, co jego klientów nie dziwiło, bo człowiek, który puszcza się na prywatne interesy, umie trzymać się zasady, aby za wiele nie pytać.

Te panie Tadeusz D. poznawał w czasie swoich rozjazdów w charakterze agenta-akwizytora i jeśli interesy załatwiał, dajmy na to w Olsztynie, to zawierał tam damską znajomość, po czym przerzucał się, powiedzmy, na Katowice, tam kazał kierować pieniądze na Olsztyn i równocześnie starał się w Katowicach bliżej poznać jakąś kobietę, na którą będzie można skierować pieniądze na przykład z Krakowa. Dlaczego używał on do tego kobiet? Niewątpliwie z zamiłowania. Męskie znajomości nie dawały mu takiej uciechy. Ale również z tego powodu, że kiedy mężczyzna zawiera znajomość z mężczyzną, to poznany wpierw zastanawia się: „czego ten właściwie ode mnie chce?”, potem pyta o nazwisko, ciekawi go adres, zawód. I gdyby zaczęła być mowa o tym, że nowy znajomy prosi o przysługę: nadejdą pieniądze, więc żeby je podjąć i jemu przekazać - budziłoby to pewną nieufność. Z kobietą tych trudności nie ma. Jeśli mężczyzna pragnie się z nią zaprzyjaźnić, to ona z góry wie po co i dlaczego. Jeśli zna go tylko jako Tadka - to imię jej ostatecznie wystarcza, nawet gdy kobieta pragnie danego człowieka bliżej poznać, to nie od strony ankiety personalnej. Gdy zaś po romansach taki Tadek

(który bywał zresztą Antkiem, Frankiem, różnie) prosi o to, żeby podjęła dla niego pieniądze, które nadejdą, a nie chce pożyczyć od niej pieniędzy - to to tylko wzmaga zaufanie kobiety do człowieka. Istotnie, kiedy potem milicja szukała oszusta i trafiała przede wszystkim pod adres, na który człowiek oszukany wysyłał pieniądze - okazywało się zawsze, że dana pani lub panienka zna tylko imię gościa, dla którego podejmowała pieniądze, nic więcej. I szukaj wiatru w polu. Opowieści tych kobiet zawarte w protokole sprawy zawsze były takie same: zawarła znajomość w sklepie, na ulicy, na dworcu, ale przeważnie w kawiarni. Był miły, hojny, zapraszał, coś tam kupił na pamiątkę, wyglądał szykownie, tokował gładko, kochali się ze dwa, trzy dni. Potem wyjechał, mówił, że wróci za parę lub paręnaście dni. Tak się zawsze mówi, ale on - proszę! - wracał. Radość. Powiadał, że prosił przyjaciela, żeby na ten adres przysłał należne Tadeuszowi D. pieniądze i rzeczywiście przychodził przekaz. Parę tysięcy, paręnaście, nawet kilkadziesiąt. Pohulali, odjeżdżał i znów miał wrócić, ale już nie wracał. Czasem nie żegnał się, tylko dawał dyla. Zwykle wkrótce potem zjawiała się milicja, ale można przypuszczać, że nie zawsze, bo są ludzie, którzy wolą stracić, niż powodować, by MO zaglądało im w interesy.

Opieranie się o kobiety miało w wypadku Tadeusza D. dodatkowo tę dobrą stronę, że zmniejszało mu koszty podróży. Dawało noclegi. A dla niego niezdrowo byłoby meldować się w hotelach.

Życiową zasadą Tadeusza D. było nie tylko nocować za frajer, ale także za darmo odbywać swoje podróże zarobkowe. Dlatego nie korzystał on nigdy z państwowych środków komunikacji, które są płatne z góry. Jeździł z miasta do miasta taksówkami. Po drodze dbał o to, aby się z kierowcą zaprzyjaźnić. Kiedy to osiągał, z niepłatniem nie było już problemu. Obiecywał np. załatwić przydział na nowy wóz, czy okazjnie sprzedać zagraniczny, jaki jego imaginowany brat-marynarz rzekomo właśnie przywiózł zza morza. Tak lub inaczej - zawsze wystawiał taksówkarzy do wiatru. Pokazywał na przykład, że ma forszę i przyjechał inwestować w intratny interes, jeśli te pieniądze taksówkarza także ulokuje, to kiedy ten za dwa tygodnie wpadnie do niego do jego sklepu (tu pisał adres), zamiast tego powiedzmy tysiąca trzysta, które się obecnie należą - wypłaci dwa dwieście. Są wszakże i tacy taksówkarze, z którymi zaprzyjaźnić się nie jest łatwo: nieufni, łakomi swojego grosza, albo niegorsze od Tadeusza D. cwaniaki. Wówczas kazał gdzieś poczekać, wysiadał i ginął. Udaowało się to zawsze, bo miał budzącą zaufanie powierzchowność i także jakąś starą torbę wypchaną gazetami, którą zostawiał w wozie.

Tadeusz D. pośliznął się właśnie na taksówkarzu. W mieście Wrocławiu dał dyla jakiemuś warszawskiemu cwaniakowi, który zamiast odpłakać pieniądze i wracać do domu, zawziął się, dał znać milicji, potem przez trzy dni jeździł po mieście od

kawiarni do kawiarni, od restauracji do restauracji i tak długo szukał klienta, aż go znalazł. Pech Tadeusza D. chciał, że przyszło mu odpowiedzieć nie tylko za szalbierstwo. Akurat jadł obiad z panienką, która miała w torebce 9 tys. złotych i odcinek przekazu. Zestrachana powiedziała wszystko co i jak i zaraz organa ścigania miały zeznanie nadawcy, który zamiast poszukiwanych przez zakłady elektrotechniki samochodowej przyrządów pomiarowych znalazł w przesyłce zardzewiałe śruby.

Czym Tadeusz D. zajmował się po wyjściu z więzienia tego dokładnie nie wiadomo, w każdym razie nie było z nim tak źle, aby musiał się pchać na posadę. Dalej jeździł z miasta do miasta, po co - to już jego tajemnica i w każdym mieście, które lubił odwiedzać, miał przynajmniej jedną narzeczoną. Te obecnie trzydziestoletniego już Tadeusza D. narzeczone bardziej stałe były od dawnych, gdyż już na ich nazwiska nie przychodziły żadne przekazy, więc nasz bohater nie musiał zniknąć im na zawsze. Miał u narzeczonych noclegi, utrzymanie, brał pożyczki. Tadeusz D. w wyniku przeżytego uwięzienia zrażony był do taksówek i nabył samochód własny, którym podróżował. Z nim to wiąże się następna historia, która Tadeusza D. powtórnie zaprowadziła do więzienia, gdzie zresztą aktualnie przebywa.

Jadąc latem samochodem z Zakopanego do Gdańska potracił na szosie swoim volkswagenem bardzo ładną dziewczynę, mającą pod sobą rower, a na sobie plecak. Zatrzymał się i postąpił nieprzezornie, gdyż dziewczyna leżała, nie ruszała się, tylko krwawiła i to mocno. Pech chciał, że ona nie pedałowiała sama tylko w towarzystwie kilkanaściorga innych rowerzystów płci obojga, którzy teraz poobstępowali ją i jego. Zresztą już i samochody stawały, pryskać było za późno. Tadeusz D. ofiarował się zaraz jechać do telefonu i sprowadzić pogotowie, ale mu nie pozwolono zniknąć tym sposobem mówiąc, że do przybycia milicji jego wóz musi stać, jak stał, żeby organa drogowe zyskały pogląd na sytuację. Czując, że trzeba coś robić, aby się ratować, Tadeusz D. wprosił się do samochodu, który odjeżdżał do pobliskiej wsi, gdzie podobno jest telefon. Kiedy inni weszli do sołtysa dzwonić, on uprzedził ich, przecinając na zewnątrz chałupy drut telefoniczny. Telefon był nieczynny. Jechali w odwrotną stronę, szosą, szukać innej wsi z telefonem, a kiedy mijali ranną Tadeusz D. kazał zatrzymać, narobił krzyku, że ona umrze, jeśli tak dalej będzie leżeć i oświadczył, że on ją zabiera do wozu i do szpitala.

Koledzy rannej nie chcieli pozwolić, argumentując, że przejechanego człowieka nie wolno ruszać z miejsca. Tadeusz D. krzyczał, że są głupi, a on jest lekarzem i bierze ją na własną odpowiedzialność. Wziął istotnie nie tyle na odpowiedzialność, co na ręce, włożył do auta i odjechał, co mu się cały czas marzyło. Tadeusz D. był nielichym pokerzystą. Kto mógł przypuścić, że nikt nie zapamiętał numerów jego

auta? On tak jednak przypuszczał i to słusznie. Oczywiście nie szukał szpitala, tylko bocznymi drogami przedarł się na inną szosę i zataczając wielkie koło pojechał do stolicy. Dziewczynę przywiózł do swojego domu, a raczej do domu ojca, który wraz z matką był nieobecny, jak to zwykle latem. Wezwał znajomego lekarza. Doktor opatrzył dziewczynę i kazał wezwać karetkę, wieźć ją do szpitala, prześwietlić. Tadeusz D. tego nie zrobił. Szczęściem dziewczyna miała nienaruszone kości i powoli wylizywała się w domu pod okiem lekarza, któremu Tadeusz D. powiedział, że szpital prześwietlił ją i zezwolił kurować w mieszkaniu. Dziewczynie znowu nabujał, że zgodnie z jej życzeniem zawiadomił matkę swej ofiary, co z nią jest i jak się ma, ale w istocie rzeczy tego nie uczynił. Za to wdał się szybko z przejechaną w romans, co sprawiło, że i ona baczyła, żeby żadne szpitale ni milicja nie wdała się w sprawę wypadku, bo z tego jej Tadzio mógłby mieć nieprzyjemności.

Mama Grażyny B. (imię tej dziewczyny) odchodziła, jak się później okazało, cały czas do zmysłów, bo wiedziała, że dziecko przejechał samochód, a potem sprawca ją uwiózł w nieznane, chyba zamordował lub pozwolił umrzeć. Mogła sobie jednak odchodzić od tych swoich zmysłów. Tadeusz D. miał ofiarę wypadku u siebie w łóżku, o czym nikt nie wiedział i ufnie patrzył w przyszłość.

Przyszłość wyglądała następująco. Wykurowawszy się Grażyna B. wróciła do matki mówiąc, że ma narzeczonego, którego posiadała, spadając mu pod koła, syna bardzo szacownego profesora (co się liczyło, bo ona także jest córką profesora zresztą od dwóch już lat wykładającego gościnnie w USA). Myślą - mówiła - pobrać się. Pani B. - matka - zmilczała więc przed milicją, wciąż dochodzącą kto jest sprawcą wypadku drogowego, że już go zna. Natomiast podjęła własny wywiad, żeby wywęszyć, kto zacz owa wielka miłość jej córki. Owocem tego był list Grażyny B. do Tadeusza D., iż matka twierdzi, że on siedział w więzieniu i - co gorsza - nie ma nawet matury, mimo swoich trzydziestu lat. Tadeusz D., z pewnych przyczyn głęboko już tą dziewczyną zainteresowany, nie odpisał wprost. Sprokurował na siebie anonim i wysłał go do kandydatki na teściową. Pod kryptonimem „życzliwa” radził jej, by udała się pod taki to a taki adres wraz z córką, a będzie miała okazję spotkać panią taką a taką, porzuconą żonę narzeczonego jej córki. Przy okazji pozna jego dwoje dzieci. Obie panie B. poszły w te pędy, żeby we wskazanym mieszkaniu zastać istotnie panią taką a taką, ale w ogóle nie znającą Tadeusza D. i mającą zgoła innego męża, do tego osobę w średnim wieku. Doprowadziwszy w ten sposób plotki o sobie do absurdu Tadeusz D. zajechał do narzeczonej na podbój jej matki, której życzliwość szybko sobie zyskał. Miał taki plan, że oboje z Grażyną pojedą w odwiedziny do jej ojca. Dziewczyna tam przez rok postudiuje, on przetrze się w swoim zawodzie (twierdził, że jest inżynierem), tam się pobiorą, a potem wrócą razem z papą, któremu miał się skończyć zagraniczny kontrakt. Tadeusz D. przesznuje do profesora do USA antyczny zegar i parę obrazów,

które u pani B. niepotrzebnie zagracają mieszkanie, a za granicą można za nie uzyskać majątek.

Oboje młodzi otrzymali zaproszenie i złożyli wnioski o paszporty. Tadeusz D. wzywany był w tym czasie na MO w związku z dochodzeniem dotyczącym jakiś jego starych sprawek, więc się zorientował, że paszportu w tym stanie rzeczy nie dostanie. Ukrył przed narzeczoną i jej matką te swoje kłopoty, wziął obrazy i zegar, aby, jak mówił, ulokować to w specjalnie zamówionej walizce z podwójnym dnem. Przybył wraz z Grażyną B. na lotnisko, tak jakby mieli razem lecieć. Ukrył bowiem fakt, że nie ma paszportu, wizy ani biletu. Na lotnisku udał, że zatrzymują go, bo wykryto, co ma w bagażach (umówiony kolega podszedł doń przed odprawą biletów i powiedział: „Pan pozwoli ze mną. Proszę wziąć bagaż”). Błagał, by Grażyna B. odleciała sama, to uchroni się przed przykrościami za współnictwo w szmuglu. Tak się stało.

Jej matkę potem odwiedzał. Twierdził, że jej obrazy i jej zegar są skonfiskowane, on ma sprawę karną, ale nie puści pary z gęby, dla kogo to przemycił. Wziął parę tysięcy na adwokata, potem w czasie drugiej wizyty dostał od pani B. na cele obrony srebrny kosz do owoców - początek XIX wieku. Zatrzymano go przez MO właśnie przy okazji bytności u pani B. w tej sprawie. Jeden z rowerzystów - sąsiad i kolega Grażyny B., który był przesłuchiwany jako naoczny świadek wypadku drogowego, zadzwonił do milicji, że volkswagen, który ów wypadek spowodował, to na jego oko ten sam, który stoi obecnie u nich przed domem. Tadeusza D. zatrzymano więc, kiedy wsiadał do wozu ze srebrnym koszem do owoców pod pachą i potem wszystkie jego kłamstwa pruć się zaczęły, jak robótka na drutach, którą pociągnąć za odpowiednią nitkę.

Z więzienia Tadeusz D. pisze listy do USA, do Grażyny B., żeby nie wierzyła temu, co o nim pisze jej matka. On sam wszystko jej wyjaśni osobiście i całkowicie rozplącze ten splot nieporozumień, który sprzysiągł się przeciwko ich miłości.

Zegarmistrz

Po śmierci tatusia mamusia zrobiła się nie do wytrzymania i Magdalena F. wyniosła się z domu, kiedy miała 17 lat. Matka Magdaleny F., 43-letnia Józefa F., twierdziła kilka razy dziennie, że przeżywa drugą młodość, a jej brat, adwokat Jan W., przekonany, że siostra jest niezbyt zrównoważona, pomógł siostrzenicy przenieść się z ostatniej klasy liceum ogólnokształcącego, gdzie, mimo że siedziała już drugi rok, miała na półrocze sześć dwój - do technikum z internatem w Szczecinie. Józefa F. zapewniła córkę i brata, że jeśli Magdalena F. wyniesie się z domu, ona ze sobą skończy, ale adwokat Jan W. poszedł na to ryzyko i jego siostrzenica także.

Druga młodość Józefy F. polegała głównie na robieniu forsy. Jej zmarły, o osiemnaście lat starszy mąż był optykiem, miał prywatny zakład, wprawiał szkła do okularów i zarabiał przyzwoicie, chociaż nienadzwyczajnie. Józefa F., która już po pierwszym zawale męża przezornie wyrobiła sobie uprawnienia rzemieślnicze, po trzecim i ostatnim zawale optyka objęła firmę i nadała jej niebywałego rozmachu. Sprowadzała z zagranicy wzory najmodniejszych oprawek, prywatne warsztaty kopiowały to potem i produkowały seryjnie, nastawiła się na okulary słoneczne, nadto kąt sklepu wydzierżawiła zegarmistrzowi, 32-letniemu Wiesławowi L. i weszła z nim w cichą spółkę. Przyjmowała jego klientów, nauczyła się nawet wykonywać proste reperacje zegarków.

Mimo że dom rodzinny zrobił się teraz bardzo zamożny, Magdalena F. nie mogła w nim wytrzymać, gdyż Józefa F. co kwadrans dzwoniła ze sklepu do domu, pytając córkę co słyhać, a po powrocie z pracy nie puszczała jej nigdzie ani na krok, utrzymywała, że poświęca dla dziecka życie, nie znosiła, kiedy córka siedziała w swoim pokoju, telefonowała lub czytała, i co chwila pytała dziewczynę, czy kocha mamusię i o czym myśli. Józefa F. decydowała także o tym, co Magdalena ma włożyć, zjeść i zrobić. Wuj-adwokat przyjechał raz ze Szczecina, pomieszkał tydzień u siostry, zobaczył, co się dzieje i załatwił Magdalenie F. internat. Dziewczyna bowiem w czasie jego bytności w Warszawie była u lekarza radzić się w związku z trapiącymi ją skłonnościami do wymiotów i powiedziała lekarzowi, a lekarz wujowi, że dostaje mdłości, kiedy mamusia ją dotyka.

Po wyniesieniu się Magdaleny z domu, Józefa F. nie chciała więcej znać córki, a córka matki, i na utrzymanie dziewczyny łożył wuj-adwokat, także nie nędzarz. Już po roku samodzielnego życia Magdalena F. zamiast ukończyć technikum, wyszła za mąż za studenta politechniki z Wrocławia, a kiedy on zrobił dyplom, przeniosła się do tego miasta.

Józefa F., nadziana forszą, ale nie mająca teraz celu w życiu, postanowiła wyjść za mąż za swojego współnika - zegarmistrza Wiesława L., z którym już uprzednio

wdała się w romans i zamieszkała. Nim doszło do ślubu, Wiesław L. wyprawił się do Wrocławia, żeby z Magdaleną F. odbyć rozmowę na tematy finansowe. Zegarmistrz nie lubił w życiu niespodzianek, a Magdalena F. miała prawa spadkowe po ojcu i mogła zacząć zgłaszać pretensje, żądając spłaty części wartości sklepu, mieszkania itp. Wiesław L. zaproponował jej 30 tys. gotówką za podpisanie, że zrzeka się praw. Dziewczyna odpowiedziała, że pieniędzy nie weźmie, niczego od mamusi nie chce, jak tylko tego, aby nie musiała jej oglądać. Wiesław L. nie był zadowolony z tego obrotu sprawy. Człowiekowi rozważnemu trudno wżenić się w majątek, którego spokojne używanie ma być zależne od kaprysów jakiejś idiotki. Odbył więc konfidencyjne spotkanie z mężem Magdaleny *de domo* F., owym inżynierem, który oświadczył, jak się okazało kłamliwie, że wie już od żony o misji zegarmistrza i że w jej imieniu żąda odeń stu tysięcy gotówką, i to zaraz, inaczej wejdą teściowej na warsztat i na mieszkanie, na meble, naczynia, kosztowności i pieniądze.

Wiesław L. poprosił wówczas swoją *in spe* pasierbicę o następne spotkanie. Usłyszał, że ona zupełnie nie chce, żeby ten łobuz jej mąż powąchał grosza. Czym mniej ma pieniędzy, tym lepiej, mniej będzie łaził na dziwki. Tym sposobem Wiesław L. - zegarmistrz stał się powiernikiem córki swojej narzeczonej i zaraz doprowadziło to do tego, że się z nią przespał.

Nim zegarmistrz wyjechał z Wrocławia, dojść musiał do wniosku, że skoro ma się zenić z dużo odeń starszą i sfiksowaną Józefą F., to lepiej wziąć ślub z dużo młodszą, choć też sfiksowaną Magdaleną F., mającą przecież podobne jak jej mamusia prawa do sklepu i mieszkania. Oświadczył się i poza tym wszystkim co mówi się, namawiając kobietę, żeby porzuciła męża i odeszła z autorem propozycji - od razu negocjował także sprawy majątkowe. Stało na tym, że Magdalena F. w ślad za Wiesławem L. zjawi się w mieszkaniu matki i wystąpi z roszczeniami spadkowymi. Romans łączący ją z zegarmistrzem zachowają przed matką na razie w tajemnicy, żeby jej przedwcześnie nie rozeźlić. Razem dysponują dwiema trzecimi praw majątkowych, spłacą Józefie F. jedną trzecią i fora ze dwóra.

Właścicielka firmy optycznej dobrze przyjęła powrót marnotrawnej córki, gorzej jej roszczenia majątkowe. Całą trójką zamieszkali teraz w jednym mieszkaniu i Magdalena F. niepomna zasad konspiracji, zainteresowana zresztą miłością a nie forszą, zaczęła robić Wiesławowi L. sceny o to, że śpi w jednym łóżku z jej mamusią. Romans wyszedł na jaw i zaczęło się piekło. Awantury o pieniądze spletały się z rywalizacją o mężczyznę.

W kilka dni po powrocie córki Józefy F. do domu, około siódmej rano sąsiedzi poczuli gaz ulatniający się z mieszkania właścicielki zakładu optycznego. Po sforsowaniu drzwi do wnętrza dostał się lekarz pogotowia ratunkowego i karetka zabrała całą trójkę do szpitala. Rozpoczęło się milicyjne dochodzenie. Zegarmistrz

zeznał, że nie on odkręcił kurki. To samo powiedziały Józefa i Magdalena F.

Józefa F. twierdziła, że córka usiłowała ją zgładzić, gdyż stała jej na drodze do zdobycia zegarmistrza. Magdalena F. utrzymywała, że gaz odkręciła matka, aby wykończyć ją i narzeczonego, i że mamusią powodowała rozpacz i chęć zemsty. Wiesław L. wskazywał na Józefę F. jako sprawczynię niedoszłej zbrodni. Najbardziej prawdopodobne było, że gaz odkręciła Józefa F. To ona była stroną przegraną, okoliczności zdarzenia wskazywały zaś, że sprawca usiłował zgładzić także siebie. Józefa F. stanowczo temu przeczyła: chęci samobójcze raczej mogła mieć jej córka, gdyż Wiesław L. po krótkotrwałym urzeczeniu Magdaleną skłaniał się na powrót ku matce, spiskował z nią jakby się wywikłać z nawiązanego we Wrocławiu romansu, a Magdalena F. wiedziała, jak sprawy stoją.

Badano szczegółowo zdarzenia nocy i wieczoru. Nic z nich nie wynikało. Magdalena F. spała w jednym, Józefa F. w drugim pokoju. Wiesław L. nocował na rozkładanym, polowym łóżku rozstawionym w kuchni. Gaz puszczone w łazience. Wszyscy troje korzystali z niej kolejno między dziesiątą a jedenastą dziesięć wieczorem. Ostatni wchodził do łazienki Wiesław L. Nie była to jednak żadna poszlaka, bo gdyby gaz ulatniał się od wieczora, przypuszczalnie cała trójka byłaby rano martwa. Nadto ktokolwiek z nich próbował zabójstwa, nie mógł otwierać gazu w porze, kiedy nie miał pewności, że reszta lokatorów mieszkania już śpi.

Osoba, która puściła gaz, równocześnie otworzyła wychodzące na korytarz drzwi od wszystkich trzech pomieszczeń. Najlżej był zatruty gazem Wiesław L., ale też kuchnia jest najdalej położona od łazienki. Obie kobiety i zegarmistrz twierdzili, że usnęli wieczorem, spali nie budząc się, gazu nikt z nich nie czuł, w nocy niczego podejrzanego nie widział i nie słyszał. Każde z nich obudziło się dopiero w szpitalu.

W cztery dni po wypadku sklep był już na powrót otwarty i urzędował w nim Wiesław L. oraz Józefa F., nie odzywając się do siebie. Nagle do Wiesława L. przyszedł jakiś jego znajomy. Oświadczył, że wpadł oddać sto złotych, które odeń pożyczył. Józefa F. zauważyła, że jej niedawny amant zmieszał się i z jakimś dziwnym zdenerwowaniem zaczął mówić, że znajomemu coś się poplątało, żadnych pieniędzy mu nie pożyczał. „Jak to stary, nie pamiętasz, z czwartku na piątek, w „Bristolu” przy barze wziętem od ciebie stówaka..”. Noc z czwartku na piątek była tą, w czasie której w mieszkaniu Józefy F. ulatniał się gaz. Właścicielka sklepu włączyła się natychmiast do rozmowy, poprosiła zdezorientowanego gościa o podanie nazwiska, popędziła na milicję. Wiesław L. musiał teraz przyznać w trakcie przesłuchiwania, że owej nocy, kiedy kobiety usnęły, on wstał i poszedł do knajpy. Jak ustalono, wyszedł z niej po czwartej nad ranem. A więc kłamał uprzednio w trakcie składania zeznań. Teraz za to z wolna wyznał wszystko: że wrócił do domu koło piątej nad ranem, puścił gaz, pootwierał drzwi od pokoi

kobiet, natomiast drzwi od kuchni, w której spał, starannie zamknął, a za to otworzył tam okno. Czuwał do rana. Okno zamknął i otworzył drzwi od kuchni na korytarz dopiero wówczas, kiedy usłyszał głosy na schodach dowodzące, że sąsiedzi czują gaz i zaraz będzie się wywierać drzwi wejściowe. Położył się do łóżka i symulował, że jest nieprzytomny. Dał się wynieść na noszach.

Linia obrony Wiesława L.,; nie chodziło mu o zawładnięcie sklepem, miał dość i jednej i drugiej kobiety, zaś czuł, że od żadnej z nich nie zdoła się odczepić. Pobudki jego działania bynajmniej więc nie były niskie.

Pogłoski

Pod listem były cztery podpisy, tytuły zawodowe nadawców i adresy. List zawierał prośbę, żeby przyjechać, bo rzecz jest straszna i niesłychana: mężczyzna bezkarnie zabił kobietę, chciał zamordować drugą, obecną swą narzeczoną, dla której zgładził tamtą. Narzeczona zdołała zadzwonić na milicję, ta przybyła na czas. Mężczyzna zabarykadował się. Miał broń. Trwało oblężenie. Ogłosił poprzez drzwi, że narzeczona jest jego zakładniczką. Milicja zdecydowała się na szturm. Stawiał opór, ale został pojmany. Narzeczona ocalała. Zbrodniarz chodzi na wolności, bo ma protekcję, nic mu nie zrobiono. Oburzone jest całe miasto.

Całe miasto - i to wojewódzkie - zwątpiło w sprawiedliwość, więc telefonuję do tamtejszej milicji. Nic takiego się nie zdarzyło. Nazwisko zbrodniarza jest w komendzie nie znane. Piszę do jednego z nadawców. W odpowiedzi nadchodzi express polecony. Abym tylko przyjechał. Służę mi adresami, nazwiskami, faktami, sam się przekonam. Morderca nie tylko chodzi na wolności, ale ma także już następną narzeczoną - potencjalną ofiarę.

Nadawca expressu jest inżynierem pracującym w biurze, które zajmuje się projektowaniem robót melioracyjnych. Idzie poprosić swojego dyrektora o odstąpienie nam gabinetu. Rozmowa musi być poufna. Inżynier przygotował dla mnie notatki - jedna kartka papieru, ale w specjalnej kartonowej teczce. Nazwiska, adresy, daty, fakty, nawet numer kwatery na cmentarzu, gdzie leży zamordowana żona zbrodniarza. Tylko źródło wiedzy mojego rozmówcy postanie przede mną zatajone, bo morderca, jako się rzekło, chodzi wolno i ma poczucie bezkarności. Inżynier w imię sprawiedliwości może ryzykować swoją głową, ale nie cudzą.

Zbrodniarz nazywa się Adam B. i ma 41 lat. Pracuje jako instruktor sportowy w ośrodku międzyszkolnym. Zarabia także prywatnie jako trener tenisowy. Ma za sobą studia polonistyczne w Krakowie, ale nie ukończone.

Sprawa, która stała się głośna, zaczęła się od tego, że poznał on młodą nauczycielkę ze szkoły podstawowej Barbarę F., 23-letnią panienkę i ją omotał. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, zaproponował jej małżeństwo. Dziewczyna zgodziła się, ale pod warunkiem, że przestanie pić. Adam B. obiecał jej to, ale nie dotrzymał. Dochodziło na tym tle do konfliktów. Wreszcie dziewczyna zobaczywszy, że jej narzeczonego mimo ponawianych obietnic ani jednego dnia nie potrafił się obyć bez alkoholu, zawiadomiła go, że nie reflektuje na małżeństwo, a ciążę usunie. Załatwiła sobie miejsce w szpitalu przez swoją siostrę pracującą tam jako pielęgniarka i czekała kolejki. Adam B. dowiedział się o tym od tej siostry i popiwszy przyszedł do Barbary F. Oświadczył, że wie, iż jeśli ona przerwie ciążę, to już za niego na pewno nie wyjdzie, więc on nie dopuści do zabiegu. Albo

narzeczona zdecyduje się donosić płód i tym samym wyjść za niego, albo ją zabije. Daje jej dwa dni do namysłu. Pragnie ją jednak zapewnić, że nie jest to z jego strony takie sobie gadanie. Jest zdolny do zabójstwa. Zgładził swoją żonę, z którą żył i mieszkał przez sześć lat. Ta starsza o rok odeń kobieta okazała się niewierna. Wyśledził, że ma kochankę. Był nim naczelnik poczty, na której pani B. pracowała. Prosił żonę, żeby porzuciła tego mężczyznę, czego widowym znakiem miała być zmiana pracy. Kiedy zobaczył, że nic nie wskóra, postanowił zrealizować groźbę. Zapisał się z żoną na spływ kajakowy. W programie było płynięcie wartką rzeką. Kajaki zaopatrzone były w fartuchy wiązane wokół ciała, aby woda nie mogła się dostać do wnętrza. W dniu, kiedy mieli przepłynąć najbardziej niebezpieczny odcinek tak zawiązał żonie sznur wokół pasa, żeby był nie od odplątania. Przeciwnie postąpił ze sobą. Udał tylko, że zawiązuje fartuch. W odpowiednim miejscu, gdzie były skały, wiry i kaskady, postarał się zostać w tyle za wszystkimi, przewrócił kajak, sam zaraz wypłynął i przytrzymał kajak dnem do góry. Współtowarzysze spływu bezowocnie usiłowali płynąć pod prąd z pomocą. Nazywało się to potem „nieszczęśliwy wypadek”. „Na ciebie też znajdę sposób” - oświadczył Barbarze F., dając jej dwa dni do namysłu.

Narzeczona, która trzeciego dnia rano, licząc od tej wstrząsającej rozmowy, miała iść do szpitala na zabieg, przerażona była i zrozpaczona. Nie wyjść za takiego - zabije. A wyjść za pijaka i mordercę - żadna alternatywa! Kiedy sprawdziła, że naprawdę jej poprzedniczka w dziwnych okolicznościach utonęła w czasie spływu kajakowego, postanowiła uciec z miasta i zatrzeć za sobą ślady tak, żeby jej Adam B. nie odnalazł. Postanowiła pojechać do swojej ciotki prowadzącej gospodarstwo rolne i tam na wsi przeczekać. Adam B. dowiedział się o tych planach i przyszedł do Barbary F. do domu w wigilię jej planowanego pójścia do szpitala. Barbara F. wynajmowała samodzielny pokój razem ze swoją koleżanką. Poprosił tę współlokatorkę, żeby sobie gdzieś poszła, bo chce porozmawiać z narzeczoną. Następnie powiedział jej, że mija właśnie termin, w którym miała mu odpowiedzieć, czy poniecha przerwania ciąży i za niego wyjdzie, czy nie. Zamiast udawać, że postąpi po myśli Adama B., jego narzeczona poczęła robić mu wyrzuty, zgłaszać żale, wypominać sprawę żony tak, że ten zbrodniarz zorientował się, iż ona nie zdecyduje się na małżeństwo. Powiedział wówczas, że zaraz wykona swą groźbę. Przerażona Barbara F. zaczęła udawać, że na wszystko się godzi i żeby zyskać na czasie, postawiła na stole wódkę. Adam B. przyszedł już do niej podпиты, ochotnie zajął się butelką, a wtedy jego narzeczonej udało się zadzwonić na milicję, powiedzieć, że narzeczony grozi, iż ją zamorduje i prosić o pomoc.

Milicja niebawem przyjechała. Adam B. odmówił wpuszczenia jej do środka i narzeczonej także nie pozwolił otworzyć drzwi. Krzyczał, że ma broń i jak zaczną szturm, to ją zabije a potem zacznie strzelać do milicji. Trwało to bardzo długo, aż zdecydowano się wywalić błyskawicznie drzwi, wpaść i obezwładnić zbrodniarza.

Mnóstwo ludzi obserwowało tę akcję, gdyż drzwi do mieszkania Barbary F. prowadzą nie z klatki schodowej, ale z galeryjki ciągnącej się wzdłuż budynku i widocznej z podwórza i wielu okien.

Sprawa stała się głośna, toteż przerażenie i zdziwienie było niepomierne, kiedy wkrótce zobaczono mordercę na wolności. Można go zresztą i teraz obejrzeć. Całymi dniami przesiaduje w Klubie Prasy i Książki, bo aduruje tamtejszą kawiarkę. Tyle inżynier.

Barbara F. uczy dalej w tej szkole co przedtem i mieszka, gdzie mieszkała. Nie wyniosła się do ciotki. Powiada, że wie o rozgłosie, który zyskał jej przeszły romans. Zwierzała się rodzinie, przyjaciółkom, ani przypuszczając, że to się aż tak rozniesie, uczyni ją przedmiotem sensacji, sprawy intymne przemieni w publiczne i ściągnie jej na kark dziennikarza.

Prawdą jest, że postanowiła usunąć płód i nie wyjść za mąż za Adama B., gdyż wystraszyła się jego skłonności do alkoholu. Rzeczywiście obiecywał przestać pić, nie dotrzymywał, przychodził pijany i urządzał sceny, namawiając, aby zań wyszła i nie przerywała ciąży. Natomiast fantazja ludzka dopowiedziała, iż dał jej czas do namysłu, opowiadając o tym, że zabił żonę i że ją zamorduje.

Wszystko zdarzyło się tego wieczoru, kiedy do niej przyszedł w wigilię jej pójścia do szpitala. Zjawił się nietrzeźwy. Na nieszczęście podała wódkę. Molestował ją, żeby wzięli ślub. Ona upierała się przy swoich decyzjach. Wtedy rozkleił się, to prosił, snuł zwierzenia, to wszczynał awantury. Opowiedział jej wówczas, że utopił żonę, ale nie posunął się wobec niej do wyraźnych gróźb. Była to raczej aluzja.

Ponieważ powiedział, że w ogóle od niej nie wyjdzie i nie da jej rano pójść do szpitala - wezwała milicję. Przez telefon powiedziała: „Boję się, że on mnie zabije”. Kiedy przyjechali milicjanci, nie dał jej otworzyć drzwi, do których milicja dobijała się przez kilka minut, aż zrobiła się sensacja na cały dom. Potem sam im otworzył i go zabrali. Rano poszła do szpitala, a Adam B. więcej jej nie nachodził.

W prokuraturze oglądam akta umorzonego śledztwa w sprawie utopienia się żony Adama B. przed pięciu laty. Istotnie kajak się wywrócił i współtowarzysze spływu mieli trudności z przyjściem na pomoc nieszczęśnikom. Z wody wydobyto oboje państwa B. już nieprzytomnych. Jej nie udało się uratować, jego tak.

Na milicji pokazują mi pisane ślady interwencji MO w mieszkaniu Barbary F. Lokatorka nie mogąc pozbyć się z mieszkania pijanego amanta wezwała na pomoc milicję, która przetrzymała delikwenta do wytrzeźwienia. Żadnego oporu wobec władzy, żadnego śladu, że Adam B. mówił, że miał broń, czy groził, iż kogoś zabije. Drobny incydent, niemal rodzinny, na pijackim tle, jakich milicja codziennie ma bez liku.

I to byłoby wszystko. Zastanawia przecie, jak bliska jest wersja niesiona przez plotkę - faktom rzeczywistym. Tak wiele się zgadza i pokrywa. Jednocześnie jakże odległa jest rzeczywistość od imaginacji. Wedle pogłosek - zabójca jednej kobiety, usiłujący zabić drugą w okolicznościach wielce sensacyjnych. W świetle faktów trochę pijackiego bredzenia, przyjazd radiowozu i wsadzenie gościa na noc do aresztu, żeby wytrzeźwiał i nie naprzykrzał się narzeczonej, która go nie chce. Efekt społeczny owej drobnej różnicy: pogłoska o mordercy, który dzięki swym nadzwyczajnym koneksjom (z kortu tenisowego!) chodzi swobodnie, jako żywy wyraz braku sprawiedliwości. A wszystko tylko dlatego, że opowieść biegła, obrastała kilkoma dodanymi szczegółami. Jakże zresztą niewieloma.

Winiak mieszany

O świcie u dyżurnego jednej z komend powiatowych MO zjawili się dwóch jegomościów: pokrwawionych, zszokowanych i pijanych. Rozbili samochód o parę kilometrów od miasta. Na polu koło szosy leży trzecia osoba. O tej porze nie ma żadnego ruchu, więc musieli pieszo przydrałować po pomoc. Jeden jest adwokatem, ma 47 lat i nazywa się Stefan Z. Drugi, 29-letni Mirosław P. przedstawił się jako taksówkarz, a później wyjaśnił, że właściwie stara się dopiero o koncesję, a na razie „tak tylko jeździ”.

Podróżni pojechali do szpitala przebyć próbę krwi, a milicja i pogotowie ratunkowe szosą we wskazanym kierunku. Szary fiat 125p leżał na boku, a pod nim, przygnieciona ciężarem wozu, martwa dziewczyna.

Stało się to na pustej szosie. Biorąc łagodny wiraż wóz wpadł prawą stroną przedniego zderzaka na biały słupek, jakimi oznaczane bywają zarysy dróg dla wygody kierowców jeżdżących w nocy. Gdybyż nadział się na ten słupek! Ale ledwie go musnął. Auto poleciało dalej, jednak nie panujący nad kierownicą szofer spowodował, że zważyło się z szosy na leżące może półtora metra niżej pole. Dziewczyna siedziała z prawej strony kierowcy i może z przestachu otworzyła drzwiczki, chcąc wyskakiwać, a może same się otworzyły, dość, że wypadła z wozu, kiedy auto przewracało się na bok. Znalazła się pod wozem. Przygniotły ją rozpedzone setki kilogramów żelastwa. Makabra.

Badanie krwi całej trójki pasażerów wykazało, że adwokat wypił około litra wódki, tyleż mniej więcej dziewczyna, a taksówkarz in spe - plus minus połowę tego, co każde z tamtych. Zresztą litr czy pół litra jeden kryminał.

Z miasta K., gdzie ta cała trójka mieszka, wyjechali poprzedniego dnia wczesnym rankiem, około 19 godzin przed wypadkiem. Adwokat wyprawiał się w podróż służbową dla studiowania w Sądzie Powiatowym, odległego o 110 km miasteczka, akt sprawy swojego klienta, aferzysty gospodarczego. Miał go bronić tam na prowincji i szykował się do tej roboty. Ustna umowa z samym klientem i jego żoną przewidywała, że ilekroć zajdzie potrzeba przyjazdu z K., mecenas będzie podróżować wynajętym samochodem. Stefan Z. wszedł więc w porozumienie z Mirosławem P. To już trzeci raz wyprawiali się tą trasą. Płacił mu, z tym że oczywiście siedzący aferzysta pokrywał po 2 zł za kilometr i, niezależnie od tego, po 20 zł za godzinę.

Mirosława P. naraił mecenasowi wujek kandydata na taksówkarza, dozorca domu, gdzie w K. mieści się zespół adwokacki. Po ośmiu latach pracy w pomocy drogowej P. zwolniony stamtąd został za pijaństwo. Na dobre mu to wyszło, bo

najął się do prywatnego przedsiębiorcy budowlanego jako kierowca i w dwa lata zarobił na przechodzonego fiata. Teraz chciał go puścić na taksówkę, a na razie kręcił się swoim wozem, szukając pokątnego zarobku.

Zabita dziewczyna, dwudziestoletnia Bengina K., kasjerka w domu towarowym, mężatka, matka dwuletniego chłopczyka, dorabiała pracami przypominającymi zajęcia średniowiecznych mnichów, choć okoliczności wyprawy, w czasie której zginęła, klasztorne znowu nie były. Wynajmowała się u adwokatów jako kopistka i trudniła ręcznym przepisywaniem akt. Zajęcie to nieznanne w innych na świecie miejscach, gdzie akta pisane są na maszynie, a powielane przy użyciu mechanicznych kopiarek. Tegoż dnia Bengina K. wzięła zwolnienie lekarskie z tytułu choroby dziecka i jechała ze Stefanem Z., żeby mu robić wyciągi z protokołów śledczych.

Cała owa trójka wyprawiła się z K. o szóstej rano, ale nim dojechała do miasta powiatowego, gdzie dwoje z nich miało pracować - około ósmej stanęła w rozłożonym nad rzeką motelu, aby zjeść śniadanie. Podano je na tarasie nad wodą. Dzień wstawał piękny. Ponieważ w motelu prowadzonym przez przedsiębiorstwo, mające w nazwie słowo „turystyka” i słowo „wypoczynek”, panowała prohibicja - kierowca wysłany został przez adwokata do miasteczka po butelkę winiaku. W ciągu dnia, który, jako się rzekło, właśnie wstawał - Mirosław P. miał jeszcze obracać motel-miasteczko, miasteczko-motel pięć razy tam i z powrotem.

Po pierwszej półlitrowce mecenas zamyślił urządzić kąpiel słoneczną, po drugiej wodną. Towarzystwo plażowało więc, piło i kąpało się do obiadu, kiedy to Stefan Z. ostatecznie postanowił, że dzień jest zbyt ładny, by go marnować na tkwienie w mrokach sądowego gmachu. Po obiedzie co nieco pić zaczął także kierowca, który jednak ciągle miał męczącą świadomość, że będzie musiał prowadzić w powrotnej drodze, więc był kompanem nie dotrzymującym kroku i krygującym się przy każdym ze swoich kolejnych, ostatnich kieliszków.

Po zachodzie słońca adwokat z kopistką wzięli domek campingowy i poszli odpocząć tam pospołu. Było to o ósmej trzydzieści wieczorem, po dwunastu godzinach wczasowania. Mirosławowi P. przykazano, aby zapukał do nich najpóźniej o dziesiątej wieczorem. Adwokat nie mógł później wracać, bo żona niepokoiłaby się lub nawet mogłaby podejrzewać coś dla niej nieprzyjemnego. Kierowca zrazu siedział w kawiarni i kurował się kawą, potem jednak wyszedł na dwór, położył na stercie złożonych leżaków i przysnął. Kiedy obudził się zziębnięty, dochodziła już trzecia w nocy. Poszedł pod domek campingowy wynajęty przez adwokata i przekonał się, że dziewczyna i Stefan Z. śpią jak zabici. Obudził ich, został zbesztany, że tak późno. Wypili resztę winiaku na otrzeźwienie i dla rozgrzewki. W powrotnej drodze adwokat naglił kierowcę, żeby szybko

jechał, bo są fatalnie spóźnieni. On jednak miarkował szybkość, bo przecież miał w sobie alkohol. Nieszczęście wynikło z tego, zeznał, że szosa była źle wyprofilowana na zakręcie i do tego jeden ze słupków odgięty był nieco w lewo. Pojechał zbyt szerokim łukiem, żeby nie wytracać szybkości i zawadził. Nic by się złego nie stało, gdyby ta dziewczyna nie próbowała skakać. Jest mu bardzo przykro, że została z niej marmolada i że będzie to musiał odsiedzieć, mimo iż ma żonę i dzieci.

Tak brzmiały zeznania kierowcy. To co powiedział adwokat, różniło się tylko nieznacznymi szczegółami. Mirosław P. zamknięty został w areszcie tymczasowym i czekał na proces. Doczekał się go po dwóch miesiącach. Raz jeszcze sądowi wszystko ze szczegółami opowiedział. Zeznania złożył także Stefan Z. Wyrok jednakże nie zapadł, gdyż nie stawiał się przed sądem biegły od spraw komunikacyjnych, który miał wyrazić opinię o tragicznej kraksie. Okazało się później, że ów ekspert jechał do sądu autem, miał wypadek i poszedł leżeć do szpitala.

Odroczenie rozprawy miało bardzo istotne skutki. Kiedy bowiem wznowiono po paru tygodniach proces (biegły wydobrzeł), Stefan Z. poprosił o głos i zmienił zeznania. Stało się coś określanego zwykle jako „sensacyjny zwrot w sprawie”.

Mirosław P. rzekł, że zgodnie z prawdą zeznał tylko opisując zdarzenia poprzedzające obiad w motelu. Potem wszystko było w rzeczywistości inaczej. Stefan Z. nie był już wówczas trzeźwy, czuł potrzebę nie tylko alkoholu, ale i kompanii. „Pij - męczył kierowcę, a kiedy ten się wzbraniał, zapowiedział, że on sam poprowadzi samochód z powrotem. „Pan jest napity, zmarnuje mi pan wóz” - odparł Mirosław P. „Już ty się nie bój, ja odpowiadam, rozbiję - to zapłacę. Przy świadku”.

Mirosław P. pił więc, a jeśli się miarkował, to tylko z lęku, że adwokat zwali się z nóg, więc wozu nie poprowadzi. Umyślnie więc potem nie budził go o dziesiątej, tylko drzemiąc na leżakach przeczekał do trzeciej, żeby z adwokata wyparował alkohol. Cóż, kiedy obudzony po nocy mecenas znów chwycił za butelkę. Mirosław P. jął go wtedy namawiać, żeby zostali tu do rana. Stefan Z. bał się jednak żony i był bardzo zapalony do tego, żeby prowadzić.

Po wypadku obaj mężczyźni szli szosą do komendy MO bardzo wolno, gdyż prowadzili ważną rozmowę. Stefan Z. proponował, aby Mirosław P. zeznał, że to on prowadził i wziął wypadek na siebie. Jego racje: da mu najlepszych adwokatów i to dwóch. Dostanie góra trzy lata, z tego dwa do odsiedzenia. Przez cały czas jego siedzenia adwokat będzie mu posyłał paczki i pieniądze. Żona Mirosława P. przez czas jego siedzenia otrzymywać będzie pięć tysięcy miesięcznie na utrzymanie. Ponadto Mirosław P. otrzyma wynagrodzenie za wzięcie winy na siebie. Stefan Z.

odstąpi mu swój dom wraz z wyposażeniem, zbudowany dopiero sześć lat temu i wart z meblami 700 tysięcy. Nadto po wyjściu z więzienia - to już zostało wytargowane gdzieś na drugim kilometrze marszu - otrzyma 50 tys. zł. gotówką, gdyż nie mając prawa jazdy będzie dopiero musiał się rozejrzeć za nowym zawodem.

Stefan Z. wyjaśniał kierowcy, że gdyby on sam poszedł siedzieć, nie mógłby już więcej być adwokatem, a to zajęcie, za którego zachowanie warto mu oddać dom i pieniądze. Co innego Mirosław P. - jemu więzienie nie zaszkodzi życiowo. Może jednak zdarzyć się tak, że Mirosław P. w ogóle nie pójdzie siedzieć. Zawieszą mu wyrok, już Stefan Z. o to się postara. Wtedy będzie miał piękny dom na za nic. Niech pomyśli - kusił mecenas. Inni, żeby mieć taki piękny dom, ryzykują nie dwa, ale dwadzieścia pięć lat więzienia.

Mirosław P. namyślał się, wahał, w końcu przyklepali. Przed budynkiem komendy jeszcze dopracowywali szczegóły. Adwokat - ustalili - przekaze swój dom żonie Mirosława P. zaraz po wyroku skazującym, kiedy się przekona, że P. wytrwał w swoich zeznaniach.

Po pierwszej rozprawie żona Mirosława P. zażądała od adwokata, żeby się już wyprowadzał, bo mąż zeznał na procesie, jak było umówione, a ona nie chce dłużej czekać, gdyż nie ma zaufania. Wyrok zapadnie i wtedy może się okazać, że Stefan Z. nie oddaje domu. Tak kazał powiedzieć jej mąż, kiedy rozmawiali w czasie przerwy na korytarzu. Stefan Z. powiedział, że jest przecież umowa: po wyroku.

W czasie czekania na kolejną rozprawę zaszła nowa okoliczność. Pani Mirosławowa P. dowiedziała się w PZU, że nie otrzyma odszkodowania z tytułu ubezpieczenia fiata, mimo że on jest kompletnie strzaskany. Forsa nie przysługuje, bo mąż prowadził po pijaku. Zażądała od adwokata dołożenia za zniszczony wóz. Odmówił. Dostyc już mają dostać od niego. Tego nie było w umowie. Pani P., której już cknęło się widać za mężem bardziej niż za pięknym domem i ministerialną rentą zagroziła, że da mężowi znać, aby zmienił zeznania. Na to adwokatowi się wypsnęło: nic mu to nie pomoże! Sąd już teraz nie da wiary. Na to powiedziała, że jak widzi mecenas jest krętacz, ona nie ma zaufania, idzie prosić o widzenie i mężowi każe zmieniać zeznania. Przerażony Stefan Z. zaproponował kompromis: niechaj się już wprowadza z dziećmi do jego domu, a zaraz po wyroku on się wyniesie i dom na nią przepisze. Przed wyrokiem darowizny nie może dokonać, bo to by było podejrzane. Pani P. przystała na te warunki. Wprowadziła się do domu mecenasa. Przed samą jednak rozprawą Stefan Z. zaczął mówić, że dom przepisze dopiero w przyszłości, bo także po wyroku to zwróciłoby uwagę.

Nie wiadomo czy te okoliczności, czy sam żalony widok męża w asyście MO sprawił, że przed rozprawą pani P. krzyknęła do Mirosława: „Zmień zeznania,

mecenas patrzy nas wykantować!”.

Adwokat Stefan Z., przesłuchany w charakterze podejrzanego, zaprzeczył, jakoby tej fatalnej nocy prowadził wóz. Po prostu ten P. - klarował - wykombinował sobie nową linię obrony. I rzeczywiście trudno byłoby komukolwiek wierzyć, że kierowca oddał swój wóz w ręce bardziej odeń napitego pasażera, gdyby nie fakt, że rodzina P. mieszkała teraz w willi adwokata. Stefan Z. mówił: to był akt współczucia. Zaopiekować się rodziną człowieka, za którego czyn jest moralnie odpowiedzialny. Zresztą pani P. sprząta im dom, tak że ma i wygodę. Pani P. okazała się jednak bardzo sprytna. Zniosła milicji kwity, które zabrała z mieszkania adwokata (sprzątała je rzeczywiście). Kazał on sobie - co nie było przezorne - kwitować owe pięciotysięczne, co miesiąc wypłacane jej apanaże. I jeszcze kolega szofera z celi zeznał, że Mirosław P. opowiedział mu o całej transakcji, którą zawarł z adwokatem. Trawił go niepokój o to, ile dostanie i czy mecenas go nie wykiwa. Chciał się poradzić. I jeszcze ustalono, że Stefanowi Z. zabrano kiedyś prawo jazdy za prowadzenie po pijanemu, mimo to dalej prowadził i to po pijanemu, stawał za to przed kolegiami, wtedy dopiero sprzedał wóz. Nadto w czasie wypadku adwokat miał rozciętą lewą skroń. I była krew po lewej stronie ramy przedniej szyby wozu. A Mirosław P. miał twarz nienaruszoną, tylko rękę trochę pokiereszowaną. Wreszcie - trzeba znać życie - czyż dziewczyna nie siedziałaby w aucie z tyłu, jeśli mecenas jechał na tylnym siedzeniu?

Obecnie Stefan Z. siedzi, a jego żona stara się o załatwienie eksmisji rodziny P. ze swojego domu i Mirosław P. także siedzi dalej, a jego żona nie dostaje ani grosza od adwokatowej, przeciwnie, musi pracować. Bengina K. leży w grobie, a jej mąż w ogóle nie zjawiał się w sądzie, bo pewno nie chciał, żeby publiczność gapiła się na niego, kiedy na procesie była mowa o tym domku campingowym, w którym adwokat odpoczywał z kopistką po wypiciu z nią dwóch litrów winiaku mieszanego.

W górach

Uprzednio rekomendowana telefonicznie przez mego znajomego, odwiedziła mnie dziewczyna, wyglądająca na osiemnaście lat, powiedziała, że ma kłopoty i czekała na moją inicjatywę w dalszej rozmowie. Zapytałem więc, cóż to za kłopoty, w tonie lekkim, żartobliwym, służącym mi pewno do maskowania zarówno skłonności do protekcjonalnego sposobu bycia, jak i pewnego niewielkiego zmieszania, w jakie wprawia zaczynanie rozmowy z dziewczyną bardzo ładną. Chciałem zapewne także dać do zrozumienia, iż przypuszczam, że kłopoty tego rodzaju osoby są drobnej natury. Dziewczyna wyjaśniła bez zdenerwowania, rzeczowym, pewnym siebie tonem, iż jej kłopot polega na tym, iż ma wrażenie, że jest podejrzewana o zabicie męża. Oczywiście obowiązki jej doradcy pełni adwokat, ale pragnęła porozmawiać również ze mną, gdyż śmierć męża była przedmiotem gazetowej publikacji, a gdyby sprawy miały przybrać niepomyślny dla niej obrót, pożyteczną mogłaby być, tak się wyraziła, „mobilizacja opinii publicznej”. Przesłuchania, którym ją poddano, nadwątyły wiarę mojego gościa w urzędową sprawiedliwość i wołałaby, aby publikacja na temat tego śledztwa stworzyła jakiś stan kontroli społecznej nad jej losami.

„A więc - myślałem - mam przed sobą dziewczynę wyglądającą na taką, która właśnie ukończywszy szkołę pospiesznie się wystroiła. Dziewczynka ta jest już jednak wdową i to podejrzana o zabicie męża, a przyszła obstałować sobie status Gorgonowej. Albo jest ona mitomanką, albo wariatką”. Poprosiłem, aby opowiedziała, jak zrodził się jej kłopot.

Przewaga młodych interesantów nad leciwymi polega czasem na tym, że skomplikowane dramaty streszczają w ciągu dwóch minut. Tak i teraz, nim nastawiłem się na wysłuchiwanie historii, przewidując narastanie zdenerwowania dziewczyny, płacz może - już było po wszystkim. Pojechała z mężem w góry. Poszli na spacer. Mąż pośliznął się, stracił równowagę, spadł w przepaść, zabił się na miejscu, a ją podejrzewają, że go zepchnęła.

Pokazała mi jeszcze wycinek z gazety, gdzie była wzmianka o inżynierze z Warszawy, Marcinie R., który poniósł tragiczną śmierć w górach.

Dlaczego sądzi, iż jest podejrzewana o to, że zepchnęła męża? Gdyż ciągle ją przesłuchują (choć jako świadka), ponieważ odtwarzali wypadek, dalej z tego powodu, że drobiazgowo drążą jej stosunki z mężem i ponieważ niepokój ten podziela adwokat, a nie jest to adwokat byle jaki.

Zapytałem, jakie motywy zabójstwa są jej ewentualnie przypisywane. Odparła, że nie wie, motywów być nie może i nie ma. Odbywała z mężem podróż poślubną.

Dowiedziałem się jeszcze, że mój gość, Olga R. ma już 24 lata, jest doktorantką na uniwersytecie, pisze dysertację, żeby skorzystać z zagranicznego stypendium i z tej racji zależy jej na szybkim zakończeniu dochodzeń, co dałoby możliwość wyjazdu. Dalej powiedziała mi, że mąż miał 27 lat, pracował w instytucie badawczym, związani ze sobą byli od lat ośmiu, więc od szkolnych czasów. Jednym słowem dowiedziałem się niewiele, tyle tylko, aby jej powiedzieć, że zdarzenie typu „jeden pan pośliznął się i umarł” nie nadaje się na wątek reportażu, lecz do kroniki wypadków, gdzie już było odnotowane. Pewno jej się tylko zdaje, iż jest podejrzana, a jeśli nawet - to nie uzyskam przecież wglądu w śledztwo. Jeśli sprawy przeciwko niej nie będzie, a trudno z tego co mówi sądzić, aby była - „kłopot” samoistnie zniknie. Gdyby zaś została naprawdę oskarżona, wtedy ewentualnie mógłbym podjąć się roli sprawozdawcy z procesu, czego jej oczywiście nie życzę.

Odparła, że jest rozczarowana, sądziła, że mam większe możliwości, ale rozumie moje stanowisko. Pożegnała się jak najszybciej, jakby żałując, że straciła niepotrzebnie kwadrans i usiłując teraz uszczerbek ten nadrobić.

Po dwóch miesiącach zadzwoniła, przypomniała się i oznajmiła, że czuje się w obowiązku poinformować, iż oznajmiono jej urzędowo, że dochodzenie w sprawie śmierci jej męża zostało zakończone. Nie ma więc żadnego osobistego interesu w zachęcaniu mnie do napisania o jej sprawie. Sądzi bowiem, że osoby, którym przyszło przeżyć śmierć najbliższych, nawet śmierć niecodziennego charakteru, powinny być przez organa dochodzeniowe pozostawione w spokoju, nie zaś poddawane tak ogromnie przejmującej, męczącej, rozdrapującej nieszczęście procedurze. Ona na przykład musi teraz leczyć nerwy. Nie bardzo w tę konieczność wierząc, wyraziłem współczucie, myśląc równocześnie o tym, że jest to osoba, której lepiej schodzić z drogi, bo ma taką siłę przebicia, że chyba potrafi każdego stratować.

Nie minęły trzy dni, jak zjawił się u mnie pan lat plus minus czterdzieści pięć, cały w angielskich tweedach, oświadczając, że jest dyrektorem w zjednoczeniu przemysłowym, że bezowocnie usiłował się do mnie dodzwonić, więc wpadł przejeżdżając akurat tędy - bez zapowiedzi. Znam jego żonę i za jej to namową pragnie mi przedstawić pewien istotny problem związany z rozwojem branży, którą współkieruje i jego własnymi koncepcjami. Sprawa prosi się o publikację. Okazało się, że mam przed sobą męża Olgi R. - żywego, więc z pewnością już drugiego. Sprawy przemysłowe, które mi przedstawił z rozsądkiem i rzeczowością cechującą ludzi jego statusu, nie mają tu nic do rzeczy. Na marginesie tylko zgadało się o sprawie Olgi R. i jej nerwowych przejściach, które obciążały go ciężkim brzemieniem. Z tego co mówił, musiałem się przecież domyślić, że był w górach, kiedy zginął jej pierwszy mąż i że już w okresie śledztwa, które potem nastąpiło, mieszkali razem. Gość mój nie wyglądał na człowieka, który zacząłony za skałą

czeka na nadejście rywala, by zepchnąć go w przepaść. Raczej na takiego, który niweczy rywala swoim samochodem dobrej marki, bynajmniej go nim nie przejeżdżając, a tylko posiadając; który unicestwia konkurenta bukietami kwiatów, zaprosinami na zagraniczne wakacje, pogodą i uważnością cechujące jego styl bycia, jakże kontrastującą z nerwowymi, histerycznymi, dusznymi klimatami tworzonymi przez wrażliwych, zakochanych młodzieńców.

Rozmowa z dyrektorem mgr inż. Julianem P. obudziła we mnie chęć poznania górskiego dramatu. Nie brało się to z przekonania, że odniosę jakiś detektywistyczny sukces, tylko z irytacji, że Olga R. przybyła do mnie, abym Polskę i świat poruszył jej przypadkiem, ale nie uważała za stosowne cokolwiek mi w istocie rzeczy opowiedzieć. Historię tę streszczono mi w pół godziny, a przedstawiała się tak.

Olga R. zaczęła, mając szesnaście lat, romansować z osiemnastoletnim kolegą Marcinem R., a wyszła zań dopiero po ośmiu latach, kiedy jej ojciec, profesor medycyny, kupił i urządził mieszkanie, oboje młodzi byli zawodowo usamodzielnieni i narzeczeństwo mogło spełnić się rozsądnie. Przypuszczalnie wtedy akurat Olga R. straciła ochotę na swojego odwiecznego amanta, co nie tylko małżeństwu nie przeszkodziło, ale nawet przeszkodzić nie mogło. Inż. R. był już członkiem jej rodziny, uznanym przez całe środowisko towarzyskie partnerem, a zamiar ślubu nie jest żadnym dobrym pretekstem do zrywania. Może zresztą swój mały już zapal do męża uświadomiła sobie dopiero w trakcie podróży poślubnej, gdzie w góralskim domu, tym co i nowożeńcy, mieszkał z synem - studentem, Julian P. od roku rozwiedziony. Olga R. nie cackała się z mężem i - jak opowiadali świadkowie zdarzeń, współmieszkańcy tego ośmiopokojowego domu - na pierwszą cd razu noc (można by powiedzieć poślubną, jeśli to ma jakiegokolwiek, choćby symboliczne, znaczenie) przeniosła się do dyrektora. Jego syn, dzielący z papą pokój, został o późnej porze wyekspediowany do osobnego, wynajętego dlań w innym domu. Odtąd przez sześć dób dziewczyna nocowała z Julianem P. Część dnia spędzali całym towarzystwem na wycieczkach, a część Olga W. poświęcała na spacer sam na sam z mężem, na których prowadzili duszne rozmowy rozrachunkowe, stosowne do okoliczności. Z jednej takiej wycieczki wróciła sama i zaalarmowała GOPR, że mąż spadł. Po powrocie do Warszawy Julian P. od razu z nią zamieszkał.

Wobec takich okoliczności wypadku wszczęto szczegółowe śledztwo. Istniała bowiem możliwość, że na spacerze między nowożeńcami doszło na przykład do rękoczynów i Olga R., powiedzmy pchnęła Marcina R. zbyt silnie i w pechowym kierunku. Zresztą wariantów zdarzenia mogło być wiele. Rzecz w tym, że eksperymenty śledcze niczego nie wniosły, a Olga R. od początku do końca twierdziła, że mąż pośliznął się (a było wtedy istotnie po deszczu), stracił

równowagę i spadł w przepaść, chociaż ścieżka, jaką szli, była więcej niż metrowej szerokości. Nie istniały więc żadne dowody, że było inaczej, stawiano tylko na to, że napięcie nerwowe skłoni ją do ewentualnej zmiany wersji i szerszych wyznań, co się nie stało. Istniały natomiast zeznania skłaniające do przypuszczenia, że Olga W. nie mówi prawdy i że chociaż nie było to zabójstwo ani umyślne, ani nieumyślne, to wszakże nie był to również wypadek, tylko samobójstwo. Świadkowie bowiem stwierdzali, że Marcin R. ciągle, parę razy dziennie, szantażował żonę, iż skończy ze sobą, jeśli ona nie porzuci tego starego dyrektora i natychmiast nie wróci z mężem do Warszawy. Inżynier R. mówił tak do syna amanta swojej żony i innych współczesowiczów - kibiców dramatu. Słyszano też, jak krzyczał te słowa do swojej żony, a awanturowali się bardzo głośno.

Jeśli tam na górskiej ścieżce Marcin R. usiłował wymusić na niej odpowiednie zobowiązanie grożąc, że w przeciwnym razie skoczy i skoczył, lub udając, że ma ten zamiar, spadł w przepaść - Olga R. składała kłamliwe zeznania.

Ponieważ jednak trzymała się swojej wersji i ponieważ nawet, gdyby to była prawda, nie mogłaby karnie odpowiadać za śmierć męża - sprawę umorzono. Kodeks karny bowiem przewiduje więzienie za doprowadzenie drugiej osoby do samobójstwa tylko wówczas, kiedy to doprowadzenie ma formę namawiania lub udzielenia pomocy. Prawo nie wymaga tym samym od człowieka, aby ugiął się pod samobójczym szantażem i jeśli Marcin R. mówił, powiedzmy: „Wróć do mnie, bo skończę”, mogła bezkarnie milczeć, nie wolno jej było tylko powiedzieć: „No więc, skacz wreszcie, błażnie”, gdyż sąd mógłby to uznać za namowę.

Nikt jednak nie wie, czy i co powiedziała Olga W. w trakcie tej hipotetycznej sceny.

Przeciwko temu, że 24-letnia Olga R. pragnęła śmierci męża i tak lub owak usiłowała do niej doprowadzić, przemawiają także reakcje typu psychologicznego. Osoba, która w trakcie podróży poślubnej ostentacyjnie przenosi się do łóżka innego mężczyzny, nie uważa męża za zawadę i nie sądzi, że jakieś jej dobro - na przykład urzeczywistnienie wolności wyboru i poczyznań - wymaga jego zgonu.

Z tych wszystkich powodów sprawa została umorzona, przez co Olga R. prawie nie trafiła na łamy gazet, a na to, zdaje się, miała wielką ochotę.

Ofiara napadu

Dr Konstanty U., dyrektor szpitala powiatowego w P., wezwany został do miejscowego wydziału finansowego w następującej sprawie: „Motozbyt” zawiadomił organa podatkowe, że Małgorzata, 18-letnia córka doktora, dokonała 75-tysięcznej wpłaty na samochód. Urzędnikom wydziału jest wiadome, że dziewczyna nie pracuje, a w ich rejestrach nie figuruje wiadomość o tym, że ma jakiś majątek. Przypuszczają więc, iż to doktor w tej zaskakującej formie nabywa auto. Prywatnie, jako pacjenci Konstantego U., informują go więc, że to chwyt naiwny - jeśli ma na celu zabezpieczenie doktora przed dociekaniem dotyczącymi źródeł jego dochodów, czego zresztą wydział nie zamyslał... Odpowiedź lekarza: nic nie wie o tym wyczynie córki, pierwszy raz słyszy, że ma ona zamiar kupić samochód i natychmiast zainteresuje się, skąd zdobyła taką ogromną sumę.

Dziewczyna powiedziała w wydziale finansowym, że pieniądze pożyczyła, natomiast nie może powiedzieć od kogo. Działała bez zastanowienia. Teraz uświadomiła sobie, że istotnie takiej sumy nie potrafi oddać. Odbierze ją więc z „Motozbytu” i zwróci wierzycielom. Istotnie załatwiła wycofanie pieniędzy. Dziwnym tym wydarzeniem zainteresowała się wszakże milicja.

W miasteczku, w którym wszyscy wszystko wiedzą, Małgorzata U. określana jest: „ta biedna dziewczyna”. Kilka lat temu zmarła jej matka. Odtąd kilkunastoletnia uczennica sama prowadziła gospodarstwo ojca, a po złożeniu w 1963 r. egzaminu maturalnego poświęciła się temu zajęciu bez reszty. Dr. U. nie zgodził się na to, aby kształciła się dalej, „zamknął ją w domu” (oczywiście w sensie przenośnym) i bardzo pilnował, aby nie zadawała się z rówieśnikami. Wyraźnie starał się przeciwdziałać ewentualnym romansom jedynaczki. Prawdopodobnie marzyło mu się, że nie wyjdzie ona za mąż, poświęcając się jemu i domowi.

Doktor sądził, że drobiazgowa kuratela, którą otacza córkę, jest skuteczna. Nie znał pewnej publicznej, w środowisku jej rówieśników, tajemnicy. Nie wiedział mianowicie o romansie córki z Janem K. - jej szkolnym kolegą, zadzierzgniętym jeszcze w którejś tam klasie i który trwał po czas współczesny opisywanym wypadkom.

Razu jednego Małgorzata U. poinformowała swego przyjaciela, że rozmawiał z nią pewien jej znajomy - Ignacy S., dawny ich kolega szkolny, który na dwa lata przed metą zrezygnował ze szkolnej edukacji i obecnie pracuje przy konserwacji linii kolejowej. Otóż ten S., poprzez nią, proponuje Janowi wspólny rabunek społecznych pieniędzy.

Oferta ta zostawała we współzwiązku z sezonową pracą, którą Jan K. parał się latem

1964 r. Zaangażowany był on mianowicie przez przetwórnię owoców w Cz., gdzie prowadził skup surowca i w związku z tym co rano podejmował w P. pieniądze i wiózł je pociągiem do Cz. Pieniędźmi tymi K. płacił należności dostawcom owoców. S. - pracujący właśnie na linii kolejowej, którą jeździł do pracy K. - proponował, że sfinguje nań napad i podziela się łupem.

K. oświadczył dziewczynie, że nie chce iść do więzienia i w ogóle nie ma zamiaru z S. rozmawiać. Tegoż dnia Małgorzata U. przekazała kandydatowi na bandytę tę odpowiedź, a nazajutrz rano przed wyjazdem do Cz. K. odwiedził milicję i zawiadomił ją o propozycji, która go spotkała. Sierżant M. przyjął doniesienie, podziękował, oświadczył, że milicja się tym zajmie i prosił o niezwłoczne poinformowanie, gdyby propozycja ponowiła się lub gdyby K. zauważył, że S. w tej sprawie cokolwiek zamierza.

W dwa dni później K. wiózł 132 tys. złotych. Kiedy nie przyjechał w określonej porze do pracy i przetwórnia, połączywszy się z bankiem i z dworcem kolejowym w P., dowiedziała się, że kasjer podjął jak zwykle pieniądze i wyjechał z P. - kilku pracowników ruszyło w kierunku dworca kolejowego w Cz. K. znaleziono w lesie, na dróżce, którą codziennie przemierzał.

Zeznał on: napastników było dwóch. Zaszli go od tyłu, zarzucili koc na głowę. Mówił tylko drugi i ten drugi - nie był to S. Wpierw go skrupowano. Potem podniesiono mu koszulę, tak żeby dobrze poczuł, że jest łaskotany nożem, a nie patykiem. Następnie dostał kilka razy w łeb, ale niegroźnie - ręką. Na pożegnanie bandyci zapowiedzieli, że jeśli przez pół godziny nie poleży cicho, ale zacznie wzywać pomocy - zamordują go przy najbliższej okazji.

K. leżał w lesie około godziny. Mówił milicji, że zaraz po odejściu bandytów krzyczał, ale bezskutecznie, bo miał głowę owiniętą kocem. Równie bezskutecznie starał się wyzwolić z więzów. Milicja wszakże uznała, że K. nie bardzo starał się krzyczeć i wyswobodzić z więzów. W ciągu godziny niemowlę by się z tym kocem uporało. No, ale w końcu trudno, nie każdy chce nadstawiać głowę bandytom.

S. aresztowany został już w kilkadziesiąt minut później. Był zaskoczony. Nie zwlekając przyznał się do zorganizowania napadu, wskazał współnika - jednego z robotników, z którymi pracował na torach - i pokazał, gdzie zakopał woreczek z pieniędzmi.

S. zeznał co następuje: śmiało składał poprzez Małgorzatę U. propozycję K., ponieważ pamiętał z czasów szkolnych, że ten znany był wówczas z nieuczciwości - nałogowo okradał kolegów z chłopięcych drobiazgów. Nie zdziwił się jednak, kiedy dziewczyna (przyznawał się zresztą do przelotnego romansu z Małgorzatą U.) przekazała mu odmowę: „Nie każdy ma odwagę iść na taką robotę”. Nie krzyżowało mu to jednak planów. Był pewien, że nie zawiadomi o propozycji

milicji, ani nie wyda go po dokonaniu napadu. W pierwszej sprawie jego pewność brała się stąd, że liczył, iż Małgorzata U. nie dopuści do denuncjacji („ona mnie dalej lubi”). Zresztą zgłaszając jej ową propozycję, zarazem dał jej do zrozumienia, że słyszał od ludzi co nieco o tym, iż K. ważąc owoce i klasyfikując je, kantuje rolników. W podtekście była więc próba wzajemności przy ewentualnej denuncjacji.

S. był pewien, że po napadzie K. też będzie trzymał język za zębami. Jeśli zgłosił propozycję i potem, mimo odmowy, napad się odbył - samo przez się jest zrozumiałe, że K. dostanie swoją „dole”. Kiedy facet się boi zorganizować z kolegą sfingowany napad, to jeszcze nie powód, żeby się bał przyjąć forszę za milczenie przed milicją, w poczuciu, że jest „czysty” i nic nie ryzykuje.

Sprawa była teraz jasna i dla prowadzących dochodzenie zupełnie łatwa. „Zahaczyła” się tylko w jednym punkcie. K. niósł 136 tys. złotych, a w miejscu, gdzie pieniądze zakopał, znaleziono tylko 38 tys. S. twierdził uparcie, że zakopał wszystko, co zrabował i że zrabował wszystko, co K. miał przy sobie. Długo i bezowocnie szukano reszty pieniędzy. Prokuratura w akcie oskarżenia przyjęła, a sąd podzielił jej opinię, że S. od razu po rabunku ukrył pieniądze w dwóch miejscach - może dla większego bezpieczeństwa (że w razie wsypy nie straci całości), a może pragnąc wykantować współnika - i teraz zacięcie nie chce zdradzić drugiej kryjówki. W ten sposób liczy na to, że po wyjściu z więzienia będzie miał forszę.

Proces obu bandytów nie przyniósł większych rewelacji. S. obciążony zeznania Małgorzaty U. i napadnięty kasjer poznał też po głosie współnika S., a robotnicy pracujący na torach zeznali, że o zgadzającej się z przebiegiem wypadków porze S. i jego kumpel odeszli „za potrzebą” i nie było ich przez przeszło godzinę. Obaj oskarżeni skazani zostali na długoterminową karę więzienia.

Sprawa odżyła w kilka miesięcy później, kiedy Małgorzata U. dokonała wpłaty w intencji kupienia samochodu „Syrena” na konto „Motozbytu”.

Kiedy przesłuchiwała ją milicja i kiedy uparcie twierdziła, że to ona sama chciała sobie kupić samochód, że pieniądze pożyczła (nie może powiedzieć od kogo) i że ani K., ani jej ojciec nie mają z tym nic wspólnego - nie wiedziała, że jednocześnie trwa rewizja w mieszkaniu jej narzeczonego i że przynosi plony.

U K. znaleziono dwa nowe garnitury, magnetofon, aparat fotograficzny, dużo płyt do adapteru - wszystko świeżo kupione. Młodzieniec pracował tylko dorywczo, a jego wynagrodzenie nie było świetne. Jeśli nawet przyjąć, że - jak twierdził - utrzymanie miał w domu i całe zarobione pieniądze przeznaczył na zakup tych przedmiotów, to bilans się i tak nie zgadzał, szczególnie że w jego pokoju znaleziono ukryto - właśnie w magnetofonie - kilka tysięcy złotych. Nie mogąc wyjaśnić, skąd ma te pieniądze, przyznał się do drobnych nadużyć przy skupie

owoców. Przeprowadzono w tej sprawie drobiazgowo dochodzenie. Ustalono, że w ciągu kilkutygodniowej pracy mógł na lewo „zarobić” najwyżej 20 tysięcy złotych. Wreszcie, w trakcie któregoś tam przesłuchania, Małgorzata U. przyznała, że 75 tys. na samochód dał jej K., prosząc, by kupiła mu wóz na swoje imię. K. zadano więc pytanie: „Skąd 75 tysięcy?”

Młodzieniec milczał. Przyznał się do wszystkiego dopiero wtedy, kiedy przeczytano mu zeznanie urzędniczki pocztowej. Urzędniczka ta pamiętała tak niezwykle w swojej małomiasteczkowej dniówce za okienkiem pocztowym wydarzenie, jak fakt, że Małgorzata U. wpłaciła 75 tys. na konto „Motozbytu”. Utknęło jej więc również w pamięci, że część banknotów była bardzo brudna, jakby zabłocona i urzędniczka po przyjęciu tej kwoty musiała pójść umyć ręce.

K. opowiedział, iż owego ranka, kiedy nań napadnięto, jechał pociągiem z P. do Cz., niedaleka Cz. pociąg włókł się w tempie piechura - reperowano bowiem tory. Przez okno K. zobaczył S. pracującego właśnie przy naprawie torów. Dostrzegł go w pociągu i szybko, wraz z drugim jeszcze robotnikiem porzucił pracę i z jakimś zawiniątkiem pod pachą zaczął biec w kierunku stacji do Cz. K. dalej obserwował. Pociąg zatoczył półkole i K. dostrzegł, że ci dwaj wskoczyli w biegu do pociągu, a potem wyskoczyli, kiedy pociąg zaczął zwalniać przed stacją i poszli w kierunku lasu. Wtedy już wiedział, co się stanie i postanowił wyjść naprzeciw wypadkom i przechytrzyć bandytów. Czuł się pewnie: był kryty, zawiadomił uprzednio milicję. Bał się tylko, żeby go nie zabili. Złożył w kilkoro gazetę, którą czytał w pociągu i włożył ją sobie do czapki, aby osłabić skutki ewentualnego uderzenia w głowę. Potem poszedł w kierunku lasu. Po drodze ukrył większość pieniędzy w przydrożnym rowie pod korzeniem rosnącego obok rowu drzewa. A potem, zgodnie z jego przewidywaniem - odbył się napad.

Małgorzacie U. nie udowodniono, że wiedziała skąd pochodzą pieniądze, jakie na samochód wręczył jej narzeczony i dochodzenie w jej sprawie (była podejrzana o współnictwo) zostało umorzone. K. na długo powędrował do więzienia.

Jeśli komuś coś z tej bandyckiej afery przyjdzie, to chyba Konstantemu U. i jego córce. Lekarzowi nauka, że z dwojga złego lepiej córkę wypuścić z domu na studia, skoro jego reżim domowy nie tylko nie uchronił jej od romansów, ale nawet od wmieszania się w bandycką aferę.

Zmartwychwstanie

Był wieczór. Ulicami miasteczka N. szedł nie byle kto, bo sama doktorowa, Dorota Ł. - żona powiatowego kierownika wydziału zdrowia i krzyczała:

- Rozstąp się ziemio!

Ponieważ w miasteczku nie było fabryk, ani, o tej porze przynajmniej, samochodów - owo „rozstąp się ziemio” słychać było wszędzie.

Ziemia była oporna. Nie rozstąpiła się i doktorowa bez przeszkód dotarła do Komendy MO. Przed drzwiami jeszcze raz wezwała ziemię do rozstąpienia się.

Tu retrospekcja.

*

Kierownik wydziału zdrowia PPRN, dr Ł., rankiem pracował w szpitalu. Tu również działała zawodowo jego małżonka w charakterze pielęgniarki.

Pewnego wieczora doktor wpadł do szpitala, bo miał jakiś interes do swej, pełniącej dyżur, żony, chciał wejść do jej dyżurki, ale była zamknięta. Otworzył więc drzwi sąsiedniego pokoju, który łączył się z kolei z ową dyżurką. Doktor zajrzał i na kozetce służącej normalnie (co by tam w mieście nie mówili) do badania pacjentów, ujrzał swoją małżonkę w takiej sytuacji z młodym doktorem Zenonem R., że złapanie ich było najdoskonalszym ze znanych in flagranti.

Doktor zapanował nad nerwami. Widząc, że jest niezauważony, cofnął głowę i cicho przymknął drzwi, po czym pomknął do najbliższej sali chorych. Tu, mimo że światło było już zgaszone, zapalił je, wezwał wszystkich „proszę za mną” i na czele procesji chorych pomaszerował z powrotem. Potem kazał chorym skradać się na palcach, wreszcie, raptownie, uchylił drzwi i krzyknął: - Patrzcie! Będziecie świadkami!

Byli świadkami.

Nazajutrz wielki skandal ogarnął całe miasteczko i o niczym innym w ogóle przez tydzień w nim nie mówiono. Nastąpiły teraz czasy owocne w wydarzeniach w medycznym światku N.

Doktor Ł. pojechał do województwa domagać się natychmiastowego usunięcia z pracy dr Zenona R., który przyprawił mu rogi na szpitalnej kozetce. Żądał tego, jako poszkodowany i zarazem kierownik wydziału zdrowia, który nie może tolerować, by lekarz na dyżurze oddawał się demoralizującej prywatnie z cudzą żoną i pielęgniarką, której tym samym uniemożliwiał dawać baczenia na chorych (argument autentyczny).

Doktor Zenon R. pojechał do województwa domagać się wyrzucenia z pracy doktora Ł., który brutalnie wtrącił się w nie swoje prywatne życie na kozetce, a co najgorzej - postawił na nogi chorych, czyniąc nocą w szpitalu niesmaczny skandal, podważający autorytet medycyny. Czyn taki - wywodził dr Zenon R. - niegodny jest lekarza, a raczej byłby niegodny lekarza, gdyby dr Ł. był lekarzem - ale nim nie jest, a jedynie felczerem i p.o. lekarza.

Na koniec romantyczny dr Zenon R. podkreślił, że regulamin szpitala dozwala dyżurującym pielęgniarkom i lekarzom spać, ale zachowując czujność. Oni więc spali. Czy zaś należy spać razem, czy osobno - o tym regulamin nie wspomina.

W wyniku licznych dochodzeń, pierwszą rundę przegrał doktor - a właściwie nie doktor - Ł. Ferdynand Ł. zwolniony został ze szpitala i utrzymał się tylko na posadzie kierownika wydziału zdrowia. Zarazem przestał być p.o. lekarzem. Jego małżonkę zaś przeniesiono.

Następną rundę przegrał doktor Zenon R. otrzymując naganę z ostrzeżeniem.

Kolejna przegrana była udziałem Ferdynanda Ł., bo żona nie zaprzestała flirtu z jego antagonistą i pan kierownik uznał, że jego rogi są szczególnie bujne.

Szpital w N. był nowo wybudowany. Wraz z nim wystawiono dom mieszkalny dla personelu, w którym mieszkali zarówno Ferdynandostwo Ł., jak i Zenon R. Okoliczności więc sprzyjały romansowi, szczególnie, że kierownik wydziału zdrowia często wyjeżdżał do województwa lub w teren, i że potężny wciąż kierownik dowiadywał się od usłużnych sąsiadów - swych podwładnych - co też aktualnie pod ich wspólnym dachem się działo.

Wojnie o doktorową towarzyszyła wojna między panami na niwie zawodowej. Wbrew przysłowiu, młody lekarz miał tyle szczęścia w grze, co i w miłości. Nie minął rok, a Ferdynand Ł. przestał być kierownikiem wydziału zdrowia i osiadł na łodzi, czyli nędznej urzędniczej posiadce, podczas gdy jego rywal zrobił specjalizację i został p.o. dyrektorem szpitala. Wtedy to pani Ł. wróciła do szpitalnej pracy, jej małżonkowi zaś wzbroniono wstępu na teren szpitala.

Miasteczko przywykło do trójkąta. Zenona R. nie zapraszano do domu inaczej, jak z Ferdynandową Ł., przez co należy rozumieć, że jej małżonka w ogóle przestano zapraszać. Jego dni w N. były już policzone.

Jeszcze kilka miesięcy rogacizny, poniżeń zawodowych i towarzyskich - a oto, stałego mimo wszystko w uczuciach pana Ferdynanda, spotkał nowy cios. Żona jego, de facto, przeniosła się do Zenona R. i zamieszkała w jego kawalerce, choć część dnia spędzała na łonie swej legalnej rodziny. Prowadziła dom, zajmowała się dziećmi (10 i 13 lat), a dopełniwszy obowiązków matki i gospodyni - zmieniała miejsce zamieszkania.

Wreszcie Ferdynanda Ł. ruszyła męska ambicja. Zakazał żonie wstępu do mieszkania. W odpowiedzi pani Dorota, w czasie jego nieobecności, rzeczy małżonka przeniosła do mieszkania doktora R., rzeczy zaś doktora - do swego, rodzinnego gniazda i pokazała mężowi drzwi - ściślej, drzwi kawalerki podoktorskiej, tudzież oznajmiła dzieciom, wskazując młodego doktora:

- Teraz ten pan będzie waszym tatusiem.

Ferdynand Ł. awanturował się przez trzy dni i trzy noce, zarówno na schodach ich domu, jak i po urzędach. Po trzech dniach i trzech nocach zobaczył, że nic nie wskóra.

Był wieczór. Dorota Ł. wróciła ze szpitala do domu. W drzwiach zastała kartkę od swojego ślubnego:

„Żegnaj! Więcej mnie nie zobaczysz. Przebaczam Ci wszystko. Bądź dobra dla dzieci. Ciała szukajcie w rzece”.

Jęła doktorowa łomotać do kawalerki, w której jej mąż ostatnio był zamieszkiwał. Drzwi stały otworem. Panował bałagan. Rzeczy wszakże nie były zabrane.

Ze szlochem pobiegła nad rzekę. Pędziła wzdłuż opustoszałego o tej porze wybrzeża i płakała. Wreszcie natknęła się na coś strasznego: na brzegu leżała marynarka i buty jej męża. Wrzasnęła i pobiegła ulicami miasteczka ku Komendzie MO, wykrzykując żądanie: żeby ziemia się rozstąpiła.

Tejże nocy rozpoczęto poszukiwania ciała. Trwały one przez cały następny dzień. Potem ich zaniechano: w rzece był silny prąd. Zawiadomiono więc tylko komisariaty miejscowości położonych wzdłuż dolnego biegu rzeki, żeby dawały baczenie.

Dorota Ł. kiedy po tygodniu o mężu jej nie było słyhu, włożyła żałobę.

Niebawem mogła nosić podwójną: doktor Zenon R. przeniósł się do wojewódzkiej kliniki.

*

Od opisanych wydarzeń minęło sześć lat z hakiem. Czterdziestoletnia już pani Dorota Ł., matka dorosłych prawie dzieci zobaczyła los, który znów się do niej zaczął uśmiechać w osobie pięćdziesięcioletniego wdowca - nowego, szpitalnego farmaceuty.

Postanowili się pobrać. W tym celu pani Dorota Ł. wszczęła kroki prawne, zmierzające do uznania jej małżonka za zmarłego. Rzecz zaczęła się toczyć swoim normalnym trybem i dotoczyłaby się do pomyślnego końca, gdyby nie dziwna wiadomość. Wiejski urząd stanu cywilnego w miejscu urodzenia jej zmarłego

męża, który pani Ł. korespondencyjnie prosiła o przysłanie jakiegoś koniecznego jej dokumentu, odparł, poinformowany o celu zabiegów interesantki, że rzeczy mają się dziwnie, albowiem trzy lata temu urząd otrzymał list od pana Ferdynanda Ł., w którym ten prosi o przysłanie mu odpisu metryki, któremu to życzeniu uczyniono zadość.

Dorota Ł. pobiegła na milicję. Już po tygodniu otrzymała i ona ukłony od swojego nieboszczyka. Oto - dowiedziała się - mieszka on w stolicy, pracuje, ma nową legalną żonę i dziecko.

Prokuratura otworzyła dochodzenie. Po kilku miesiącach doszło do procesu o bigamię.

Ferdynand Ł. z ławy oskarżonych opowiedział z detalami swoją drogę krzyżową.

Na pytanie o powód tak dziwnego sposobu opuszczania niewiernej żony, co w konsekwencji skłoniło go do popełnienia przestępstwa bigamii - podsądny odparł:

- Chciałem się odegrać. Pragnąłem, żeby ona nigdy już nie mogła oka zmrużyć. Żeby zawsze miała wyrzuty sumienia. Żeby miała za swoje za to, że mnie zniszczyła.

Ale teraz ona mnie zniszczyła do końca!

Ferdynand Ł. dostał półtora roku więzienia. *Cherchez la femme.*

Romans wędliniarski

Bal rzeźników to może nie jest ten szyk co bal w filharmonii, ale też ma zapewne swoje kulinarne i towarzyskie uroki. Na przykład konwenanse są mniej sztywne i 20-letnia Genowefa Z. mogła nań przybyć sama. Ściślej było tak, że zaprosił ją jeden fatygant, ale kiedy się wycofał, zatrzymany jakimiś powinnościami, poszła sama i poznała na balu Władysława N., majstra w pracowni garmazeryjnej, 38-letniego kawalera. Garmazer N. bardzo się ucieszył, że jego danserka jest stanu wolnego, dojrzewał bowiem właśnie do pragnień matrymonialnych. Odprowadził Genowefę Z. do domu, został u niej na podśniadankę oraz śniadanie i jeśli spojrzeć na to jego oczami, osoba gospodyni i okoliczności skłaniały do natychmiastowego zakochania się zabój. Panna: 18 lat młodsza, zdrowa, nieszpeta, sierota, chętna, własny dom - cztery pokoje, kuchnia i nie wykończone, ale trzypokojowe piętérko - obok szopa mieszcząca własny koncesjonowany warsztat wędliniarski, po tatusiu.

Genowefa Z. pokazała adoratorowi pejzaże zupełnie niedzisiejsze. Szaf ze cztery, a w nich futra, suknie, bielizna i wszelkiego dobra jak w sklepie. W szafie metalowa kasetka, w środku złoto i kosztowności. Oto garaż. Auta akurat nie ma, w naprawie, ale rzadko się psuje. W masarni maszyny na elektryczność. W kantorku zamówienia na wędliny eksportowe. Władysław N. nie miał żadnej wątpliwości, że w Polsce nie ma drugiej tak atrakcyjnej dziewczyny jak ta i że najlepsza w kraju partia wpadła mu w łapy takim cudem, jakby brylant spadł nagle z nieba pod nogi.

Genowefa Z. opowiadała, że ledwie co, jedno za drugim, umarli nagle jej rodzice, pozostawiając cały ten kram. Ona sama go nie uruchomi z braku sił, umiejętności fachowych i wolnej gotówki. Jeśli więc pan Władzio upodobał sobie ją, dom i warsztat, składa się jak w bajce. Z mety zapisano się w kolejkę do urzędu stanu cywilnego. Władysław N. zobowiązał się zaś przedwstępnie włożyć w interes sto tysięcy, żeby go tymczasowo uruchomić, potem zaś oczywiście wszystko co ma, jest ich wspólne. Wynikało z deklaracji, że ma więcej, niż sto tysięcy. Kiedy przyszło co do czego okazało się, że nawet tej setki w gotówce nie ma, tylko musi ją zorganizować. Po dwóch tygodniach przyniósł 35 tys. Jeszcze po tygodniu 12 tysięcy. W podróż poślubną młodzi mieli jechać na Tłuszcz, Wołomin, do wsi, gdzie mieszkają jego rodzice.

Narzeczeński miesiąc szybko minął, wypełniony sprawami lirycznymi i finansowymi. Na pięć dni przed datą ślubu Władysław N. przyszedł prosto z pracy do Genowefy Z., ale drzwi otworzył mu jakiś obcy facet. Był on zupełnie nieuprzejmy i na pytanie o pannę Genowefę rzekł, że umarła. Potem zapytał, kim przybysz jest. Władysław N., odpowiednio zrozpaczony, przedstawił się jako narzeczony nieboszczki. Gospodarz pokazał mu wtedy depeszę. Matka Genowefy Z.

donosiła, że jej córka wypadła z pociągu, kiedy jechała do mamusi na wieś z wizytą i umarła, nie wytrzymawszy ciężaru kilku wagonów. Matka?

Brylant jak spadł z nieba, tak zapadł się pod ziemię.

O Władysławie N. ładnie świadczy, że zajęty w tej chwili był raczej swoim cierpieniem, niż portfelem i oszedł, nie pytając człowieka, który otworzył mu drzwi, kim on jest i jakby mógł odzyskać swoje dopiero co wpłacone na zaległe podatki i inne potrzeby warsztatu 47 tysięcy. Władysław N. myślał, że człowiek, który otworzył mu drzwi jest wujkiem, czy jakimś innym krewnym dziewczyny. Zapytał więc tylko o adres jej matki. A następnego dnia wyjechał na pogrzeb narzeczonej.

*

Historia, którą opowiadamy, jest bardzo liryczna. A liryzmu tego nie niweczą kryminalne jej wątki. Przeciwnie. One przydają uczuciowym wątkom mocy.

Genowefa Z. naprawdę nazywa się Genowefa Z. i naprawdę ma 20 lat. Reszta to już nieprawda. Na przykład nie jest sierotą, lecz córką wcale krzepkich państwa wieśniaków. I nie jest właścicielką domu, auta, futer, zakładu masarskiego i innych dóbr, ale była pomocą domową w tym domu i pokazywała bogactwa chlebowców, przedstawiając je za własne. Jej pracodawcy wyjechali na miesiąc. Genowefa Z. wykorzystała ten czas, żeby znaleźć sobie fatyganta i oskubać z gotówki;

Następnie zabrała swojej pani futro, trzy komplety bielizny i naszyjnik z „Jablonexu”, po czym wyjechała na wieś, kiedy tylko nadeszła depesza, że państwo wracają i żeby posprzątała.

W drodze naszła ją refleksja: przecież chlebowcy znakomicie znają jej adres. Podadzą go więc milicji, władza przyjdzie i powie: oddawaj futro, oddawaj kombinacje, oddawaj naszyjnik z szkiełek a’la brylanty i 47 patyków oraz chodź do więzienia. Wysłała więc pod ich adres telegram, że wpadła pod pociąg i jest trupem.

Niewyczerpana jest naiwność ludzi, nawet tak życiowo zaprawionych jak prywatna inicjatywa wędliniarska. Państwo Genowefy Z. uwierzyli. Napisali do jej matki listy z kondolencjami i prośbą, żeby zwróciła, im rzeczy, które Genowefa sobie od nich wypożyczyła. Znaleźli się więc elegancko, bo była pełnia lata i o pożyczeniu futra w niezłodziejskich intencjach nie mogło być mowy. W każdym razie nie dali znać milicji.

Wracamy do wątku romantycznego. Władysław N. jedzie na pogrzeb, mając w kieszeni adres wsi podany mu przez chlebowców dziewczyny i głowi się, jakim cudem depeszę o jej śmierci podpisała matka, skoro Genowefa sama mówiła, że

mamusi zmarło się, jako i tatusiowi. Zajeżdża na miejsce i zastaje Genowefę Z. żywą. Nie wygląda ona na to, żeby nie tylko pociąg, ale nawet hulajnoga po niej przejechała. Władysław N. się dziwi, denerwuje, żąda wyjaśnień. Genowefa Z. przyznaje się do tego, że udawała pannę masarżównę, że nie ma domu, auta, futer, koncesji. „Chciałaś wyłudzić forszę!” - grzmi były narzeczony. Dziewczyna przyznaje, że chciała wyłudzić forszę, ale zaraz ją odda. Brakuje tylko 1300 złotych. Władysław N. jest udobruchany. Godzi się zostać na noc, spędza na wsi dzień następny. Genowefa Z. prawi mu, że sama zniszczyła swoje szczęście. Bo istotnie wpierw chciała go tylko nabrać na forszę i uciec z miasta, ale w trakcie wspólnego spędzania ich narzeczeńskiego miesiąca nie forsa stała się dla niej najważniejsza. Cóż, nie miała jak się wycofać. Wstydziła się przyznać panu majstrowi, że jest pomocą domową, a nie dziedziczką masarni z mieszkalną przyległością.

Happy end, Młodzi postanawiają się pobrać, chociaż zaklepany w urzędzie stanu cywilnego termin już minął.

Jest jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Gieńcia - mówi Władysław N. - musi oddać to, co pożyczyła sobie od chlebobawców. Nie może to być, żeby uchodziła po mieście zarazem za jego żonę i złodziejkę. Niestety Genowefa nie uczyni tego za żadne skarby świata. Wstydzi się, szczególnie, że kombinację nosiła. Władysław N. podejmuje się załatwić to za nią i wyjeżdża ze wsi z tobołem pod pachą.

Po powrocie składa wizytę chlebobawcom dziewczyny. Powiadamia ich, że była pomoc domowa żyje, że wskutek młodości i głupoty zabrała nie swoje rzeczy, ale teraz za jego, jej narzeczonego, pośrednictwem zwraca, przeprosza i prosi o wybaczenie. Państwo strasznie się złoścą i złorzeczą na dziewczynę. Co gotowi byli wybaczyć zmarłej, tego nie potrafią wybaczyć żywej. No, ale grunt, że oddała. Niech się tylko więcej nie pokazuje na oczy.

Drugi happy end.

Odbywa się ślub i wesele. Genowefa Z. przenosi się do mieszkania męża. Trwa miodowy miesiąc. Przykre początki zalotów idą w niepamięć. I wtedy właśnie Genowefa Z. wezwana zostaje do milicji. Tam dowiaduje się, że jej dawni chlebobawcy złożyli jednak doniesienie.

Dziewczyna potwierdza skargę pracodawców. Opowiada też, jak nacięła na pieniądze obecnego męża. No, ale wszystko oddała. Adwokat jest dobrej myśli. To będzie wyrok z zawieszeniem. Milicja jest wszakże dociekliwa. Pyta, czy Genowefa Z. nie pracowała czasem przed dwoma laty u państwa N. Odeszła stamtąd bowiem pracownica domowa jej imienia i nazwiska wraz z sześcioma tysiącami złotych w gotówce i walizką garderoby pani. Genowefa Z. przyznaje się. I do tego dochodzi jeszcze sprawa pewnego robotnika budowlanego, jej byłego narzeczonego. Mieli się pobrać. Dziewczyna skłoniła go, żeby u niej przechowywał swoje oszczędności.

Narzeczoney mieszkał bowiem w hotelu robotniczym, gdzie nie było dnia bez kradzieży. Kiedy znikła z pieniędzmi swoich pracodawców i walizką garderoby, zabrała również 1600 złotych oszczędności swojego narzeczonego (szczęściem dla niego nie był on zbyt oszczędny). Na tym stosunek narzeczeństwa uległ likwidacji.

Wobec Genowefy Z. zastosowano areszt tymczasowy. Potem skazana została na 3,5 roku więzienia.

Stanowiła ona rzadki w praktyce sądowej wypadek. Oszustwa matrymonialne, tak jak np. rozboje, rabunki, są czysto męską specjalnością. Nie wiadomo właściwie, dlaczego spotyka się mężczyzn oszukujących kobiety przy użyciu obietnicy małżeństwa, nie zdarzają się natomiast kobiety nacinające w tenże sam sposób mężczyzn. Złośliwi twierdzą, że po prostu kobiety udoskonaliły metody oszustw matrymonialnych i stosują sposoby nie karalne. Po prostu oszustwa matrymonialne uprawiają po - a nie przed ślubem. Jeśli tak, casus Genowefy Z. zamknie nareszcie usta oszczercom, ukazując, że są i kobiety nacinające na forszę przy użyciu obietnicy małżeństwa. I że nawet potrafią godzić te praktyki z wcale lirycznymi romansami.

Zjedz zupkę

Mirka J. miała 16 lat, kiedy trafiła się jej pierwsza wielka miłość. Facet miał osiemnaście lat i był wszystkim - nie tylko dla niej, ale w ogóle: perkusistą, robotnikiem, statystą, ratownikiem, „studentem”, czasem handlował. Jerzy O. miał za sobą nawet debiut poetycki i w ogóle przeszłość bujną, acz krótką.

Był, a raczej nadal jest synem architekta i malarki z wojewódzkiego miasta na Ziemiach Zachodnich. Złożywszy w r. 1961 maturę, Jerzy O. wyjechał do miasta uniwersyteckiego, składać egzaminy na studia wyższe. Pech jednak chciał, że uczelnia zrezygnowała z jego kandydatury w wyniku nieświatnego rezultatu egzaminacyjnej próby. Młody człowiek zwlekał z powrotem do domu. Jak potem wyjaśniał w sądzie, zrazu miał nadzieję, że dostanie się jeszcze na uczelnię w wyniku egzaminu dodatkowego na „deficytowy” wydział, kiedy zaś i to się nie udało, nadal pozostawał w uniwersyteckim mieście. Pewny siebie - awansem zdążył był bowiem zawiadomić rodziców o swej immatrykulacji - wstyd mu więc było wracać. Poza tym poznał wielu interesujących rówieśników-studentów lub kandydatów na takowych, którzy radzili zostać, wykorzystywać nadsyłane z domu apanaże, rok przebomblować, a potem znowu zdawać egzamin. Jerzy O. rozpoczął więc życie „waleta” (tak się w studenckiej gwarze taki jegomość nazywa). Zawiadomiwszy dom, że odmówiono mu stypendium - inkasował co miesiąc 500 zł przesyłane przekazem - poza tym dorabiał sobie to tu, to tam. Starał się wszakże poświęcać czas raczej życiu towarzyskiemu, niż pracy zarobkowej. Głównym jego kłopotem był problem mieszkaniowy. Nocował u rozmaitych kumpli, czasem w domach akademickich, czasem u znajomych dziewczyn lżejszego autoramentu. Miał też wypracowaną technikę „doszlusowywania” do wycieczek z prowincji przybyłych na zwiedzanie miasta i wtedy korzystał z przygotowanych dla nich noclegów. Kiedy zaś wyczerpywał wszystkie możliwości noclegowe i zarobkowe, jeździł do domu na rozmaite „okolicznościowe ferie” a odkarmiwszy się, wypawszy się i uzupełniwszy garderobę - znowu wracał „na studia”.

Tak prezimował. Na lato zaś - jako pływak-zawodnik jednego z klubów - uzyskał posadę ratownika w półwczasowej miejscowości nad jeziorami.

Mirka J. była córką technika-naukowca. A raczej, wbrew swym staraniom, nadal jest córką docenta politechniki. W roku 1962 ukończyła klasę X i latem pojechała z papą samochodem na ryby. Ekipa rodzinna w pogoni za miejscem, gdzie ryba bierze, przenosiła się znad jeziora nad jezioro i tak trafiła m. in. do miejscowości, w której Jerzy O. był ratownikiem. Nie pociągały jednak dziewczyny ryby i wstawanie o czwartej nad ranem. Feralnego dnia nie wyruszyła więc z ojcem na łowy, ale wyciągnęła się z książką nad jeziorem. I wtedy stało się to, co los chciał.

Kiedy kąpała się w jeziorze, nagle spostrzegła, że stanik od kostiumu „bikini” diabli wzięli. Widać tasiemka się rozwiązała i stanik spłynął. Nie wiedząc, co w tej sytuacji robić, a wstydząc się w tym stanie wracać na brzeg - popłynęła ku szuwarom i władowała się w trzciny, żeby tam spokojnie przemyśleć sytuację. W trzcinach okazało się być głęboko i bagnisto. Nie można też było pływać. Dziewczyna zaczęła się topić, ergo krzyczeć. Czujny ratownik pospieszył jej z pomocą, wciągnął do łodzi, potem ułożył na plaży i uroczyście zrobił sztuczne oddychanie. Ojciec wróciwszy zastał ją, jeszcze półprzytomną, z wybawicielem u boku. Papa-docent zaproponował wówczas „studentowi”, żeby powędrował z nimi samochodem. Jerzy O. cichcem rzucił posadę ratownika i prawie miesiąc szwendał się z dziewczyną i jej ojcem.

Taki był początek wielkiej miłości.

W mieście, po powrocie z wakacji Jerzy O. stał się bywalcem domu docenta J. i nie ukrywał, że jest miłośnikiem jego córki i jego kuchni. Zrazu korzystał ze splendorów należnych wybawicielowi, rychło jednak stał się persona non grata. Zbyt uciążliwe dla konsekwentnie opierającego się docenta były jego prośby to o nocleg, to o pożyczkę, lub o nocleg i pożyczkę razem. Niebawem rodzice Mirki spostrzegli, że nowa znajomość córki, a raczej jej romans, rewolucjonizuje styl życia dziewczyny. Nagle zaczęła się inaczej ubierać, malować, trochę pić. Często o późnej porze wracała do domu, a niekiedy o bardzo wczesnej-rannej. Scysje pomiędzy córką i rodzicami nie przybierały wszakże form groźnych, tyle, że zakazano jej zbyt późnych powrotów, a młodzieńcowi wstępu do mieszkania. Posunięciem tym towarzyszyła zapowiedź, że wraz z końcem wakacji i początkiem nowego roku szkolnego panna musi zerwać tę znajomość, ponieważ czasochłonny flirt jest zajęciem niewczesnym w maturalnej klasie.

Niebawem doszło do awantury. Przez kilka dni z rzędu dziewczyna wracała do domu późno. Potem jednej nocy w ogóle nie wróciła, nie było jej cały dzień i dopiero następnej nocy posłyszeli zgrzyt klucza w zamku i kroki w jej pokoju. Kiedy matka weszła, żeby natychmiast zrobić awanturę, w pokoju zastała również Jerzego O., który siedział na krześle. Twarz miał pokrzwawioną. Mirka dała prześcieradło i opatrywała młodzieńcowi rany.

Z wyjaśnień wynikało, że faceta pobili chuligani na ulicy, musiała go więc zabrać do domu dla opatrzenia ran.

Jerzemu O. bez ogródek pokazano drzwi, a dziewczynie zakazano wszelkiego wychodzenia z domu, wyjąwszy spaceru do szkoły i z powrotem.

Tymczasem już od pierwszych wobec Jerzego O. szykan Mirka zdecydowała się uciec z domu i z nim zamieszkać. Jerzy O. entuzjazmował się tym projektem, tyle, że panna docentówna nie miała dokąd uciekać. Jej amant mieszkał wówczas w izbie

chorych hotelu robotniczego, gdzie na tydzień za opłatą przygarnął go kierownik takowego, jako że izba stała wówczas pusta. O wprowadzeniu tam dziewczyny nie było mowy. Bezpośrednio po generalnej awanturze towarzyszącej zdybaniu pokrwawionego amanta w jej sypialni - zaczął się właśnie rok szkolny. Mirka J. zastosowała strajk. To znaczy odmówiła pójścia do szkoły. Domagała się też przyjęcia Jerzego O. do nich do mieszkania, wyjaśniając, że jak tylko zrobi maturę, mają zamiar się pobrać.

Spotkawszy się z odmową dziewczyna nadal nie chodziła do szkoły, przestała rozmawiać z rodzicami i wychodziła z domu wyłącznie na krótkie w tych dniach spotkania z Jerzym.

8 września rodzina J. zasiadła do obiadu. Pani J. podała zupę. Staromodnym zwyczajem wjeżdżała ona w tym domu na stół w wazie. Docentowa nalała wpięć córce, potem mężowi, potem sobie. Mirka nawet nie ruszyła łyżki i posągowo nieruchoma z kamienną twarzą tkwiła przy stole. „Zjedz zupkę” zachęciła matka. Mirka J. nie reagowała. Docent podniósł łyżkę do ust. Skrzywił się i powiedział, że niedobra. Żona skarciła go za to, powiadając, że dziewczyna i tak nie chce jeść, to on jeszcze „obrzydza”. Docent jął więc wcinać. Jego żona też wzięła się do jedzenia. Obojgu zupa nie smakowała. Zjedli po połowie talerza.

Już po pół godzinie oboje docentostwo byli poważnie chorzy. Nie podejrzewali jeszcze niczego. Docent dostał silnych boleści i torsji. Kazano córce zadzwonić po pogotowie, które też zabrało do szpitala jej rodziców.

Współczesną modą w każdym domu stoi mnogość rozmaitych lekarstw na różne boleści i okoliczności. Mirka J. wsypała do zupy prawie całą zawartość domowej apteczki, eliminując tylko lekarstwa do użytku „zewnątrznego” i środki ewidentnie nieszkodliwe. Coctail był piekielny. Zatrucie państwa J. nie ustąpiło po płukaniu żołądka. W pewnym momencie stan docenta był nawet groźny. Szpital nie potrafił określić charakteru zatrucia. Bo też nie miało ono monolitycznej przyczyny. Po trzech dniach stan pani J. poprawił się na tyle, że ze szpitala zatelegrafowała do swojej siostry, mieszkającej w innych mieście, żeby ta przyjechała zaopiekować się jej córką. Ciotka Mirki przybyła po pięciu dopiero dniach od chwili zabrania docenta z żoną do szpitala.

Kilka słów o tym co się działo w trakcie tych pięciu dni. W zeznaniach Jerzego O. wyglądały one następująco:

Mirka znalazła go pod wieczór i powiedziała, że rodziców zabrało pogotowie do szpitala, że są w ciężkim stanie, ulegli zatruciu i zapewne umrą. Może się więc sprowadzić. Jerzy O. zanocował w mieszkaniu państwa J. Wciąż bał się powrotu gospodarzy i naglił dziewczynę, żeby pojechała do szpitala dowiedzieć się o stan ich zdrowia. Mirka J. odmówiła. Jerzy O. sam więc zadzwonił, przedstawił się jako

asystent docenta i dowiedział się, że państwo J. są w ciężkim, acz nie beznadziejnym stanie, w każdym razie co najmniej dziesięć dni pozostaną w szpitalu. Mirka J. wręczyła „narzeczonemu” trochę drobiazgów domowych do sprzedania. Jerzy O. uzyskał gotówkę. Zaprosił kilku kolegów. Zaczęli pić. Sprzedawanie rzeczy trwało parę dni. Mirka J. odmawiała kupienia sobie czegokolwiek za te pieniądze, skłaniając tylko narzeczonego do nieskąpienia w wydatkach. Zdążyli urządzić sobie jeszcze jedną libację, kiedy nagle w mieszkaniu pojawiła się ciotka. Ciotka z niedowierzaniem przyjęła wyjaśnienie, że ów młody, mieszkający tu człowiek, to... korepetytor. Pojechała do szpitala. Tam wiadomość o nowym lokatorze zrobiła odpowiednie wrażenie. Nadal wszakże nie wiązano owej obecności amanta córki w ich domu z tajemniczym zatruciem. Ciotka wróciła do mieszkania kładąc Jerzemu O. natychmiast się wynosić. Wtedy doszło do scysji pomiędzy nią a siostrzenicą. Mirka J. zagroziła, że „spotka ją to samo co mamę i tatę”. Wtedy - po konsultacji z lekarzami - ciotka udała się na milicję, gdzie wyraziła dociekliwe przypuszczenie, że córka urządziła tak tatę i mamę.

Oględziny mieszkania natychmiast wykryły charakter owego zatrucia; Mirka J. nie fatygowała się, żeby zamknąć apteczkę wiszącą w łazience, żeby zakorkować buteleczki i ustawić je na miejscu. Nie wylała nawet resztek nieszczęsnej zupy. Niezmywane naczynia z wielu dni stały w kuchni.

W trakcie dochodzenia ustalono, że Jerzy O. najprawdopodobniej nie wiedział o przyczynie zatrucia rodziców jego dziewczyny. Mirka J. nie wtajemniczyła go, żeby, jak to określiła „nie wystraszył się i nie wyniósł”. Sama twierdzi, że zamiarem jej nie było otrucie rodziców, a jedynie usunięcie ich z mieszkania na kilka dni, nie mogła już bowiem za żadną cenę ścierpieć rozłąki z ukochanym.

A co miało być potem, kiedy nadtruci rodzice wrócą ze szpitala? Mirosława J. w sposób psychologicznie wiarygodny twierdzi, że najzupełniej o tym nie myślała i było jej wszystko jedno, co będzie potem.

Drzwi

Stażystka lekarska Roma M. wysiadała z taksówki przed czerwonymi światłami, na środku jezdni, w pośpiechu. Otwartą torebką, z której wyciągała zapłatę, zawadziła o klamkę i cała zawartość rozsypała się na jezdni. Rozrzut był szeroki. Stanęły samochody, jak to zwykle w takich sytuacjach, jedni kierowcy wysiedli i pomagali zbierać, inni trąbili wściekle, jacyś rycerze skoczyli też z chodnika podnosić damskie drobiazgi. Kiedy Roma M. spokojnie potem sprawdziła zawartość torebki, okazało się, że brakuje legitymacji służbowej, w której miała tysiączłotowy banknot.

Były to pożyczone pieniądze, miały przeznaczenie szczególnej wagi i wiązała się z nimi delikatna sprawa, która w dalszym biegu zdarzeń wyszła na jaw i już nie wróciła w cień publicznej niewiedzy.

Młodzieniec uważany wówczas przez 24-letnią Romę M. za narzeczonego nazywał się Janusz G. Otóż Janusz G. miał z Romą M. jechać wspólnie na urlop i powiedział, że będzie inaczej niż dotychczas. On ma zasady życiowe, więc oczekuje od niej wniesienia wkładu finansowego i także kupienia dla nich biletów. Roma M. nie miała pieniędzy, na respektowanie jego zasad życiowych, więc chociaż była także za tym, że musi objawiać godność osobistą, upierała się, że nie musi tego czynić akurat za pieniądze. Dość, że były między nimi nieporozumienia, aż pożyczyła tysiąc złotych i miała kupić bilety. Te akurat tysiąc złotych diabli wzięli.

Janusz G., z którym kłótnie o pieniądze trwały już kilka dni, nie uwierzył, że ona miała 1000 zł, tylko zgubiła, lecz zarzucił jej oszukaństwo i kręctwo. Wkrótce pokazało się jednak, jak bardzo ją krzywdzi tymi posądzeniami, a pokazało się z listu. W kopercie, którą Roma M. dostała pocztą, była połowa przedartej tysiączłotówki. Nadawca, podpisany „Jan”, pisał, że jeśli ona tego a tego dnia o godzinie tej i tej doń przyjdzie, dostanie drugą połowę banknotu oraz legitymację. „Zaznaczam, że w tym czasie będę sam, a także, że Panią widziałem i bardzo mi się Pani podoba” - pisał, by nie miała złudzeń, o co mu chodzi.

Roma M. pokazała list narzeczonemu i postanowili, że we dwójkę pójda pod wskazany adres. Ona zadzwoniła i weszła do środka, on został na schodach. Przez kwadrans czekał spokojnie. Potem zadzwonił. Nikt mu nie otworzył, bo za drzwiami panowała cisza. Z biegiem czasu dzwonił coraz intensywniej, nie zdejmując palca z dzwonka, walił w drzwi, kopał, wołał. Był bardzo zagniewany i zaniepokojony. Wylegli sąsiedzi, tłumaczył się, dlaczego robi raban, tam jest narzeczona, powinna była zaraz wrócić, a nie wychodzi. Jedni sąsiedzi mitygowali go, inni wspierali radą, któryś zaproponował skorzystanie z telefonu. Janusz G.

zadzwoił po pogotowie milicyjne.

Milicja przyjechała po trzech kwadransach jego pobytu na schodach. Janusz G. wyjaśnił jej, że właściciel mieszkania podniósł na ulicy legitymację i pieniądze pani, która teraz u niego jest, że kazał się osobiście zgłosić, dając do zrozumienia, iż jest to dlań okazja do podrywania. Dziewczyna przyszła z nim, narzeczonym, żeby się ubezpieczyć, więc jeśli gospodarz nie odpowiada na dzwonki i kopanie w drzwi z całej siły, znaczy to, że druga osoba znajdująca się w mieszkaniu, czyli jego narzeczona, straciła możliwość powodowania sobą. Teraz milicjanci podjęli trud dzwonienia, głośno wołając, żeby otwierać, bo milicja. Dłuższą chwilę trwało, nim wewnątrz usłuchano wezwania. Co zastali w środku? Korytarzyk długi na dwa, a szeroki na półtora metra. Z niego wiodło troje drzwi do pokoju, kuchni i łazienki. Drzwi do pokoju mają wprawioną matową szybę. To jest istotne, gdyż wyklucza, by ktokolwiek wewnątrz tego mieszkania nie słyszał dzwonienia, pukania lub wołania. W- pokoju zobaczyli butelkę winiaku i dwa kieliszki. Brakowało w niej 150 gramów trunku, kieliszki były użyte. Można także było stwierdzić, że jedzono słone paluszki i kopcono papierosy. Żadnych nieporządków, śladów walki czy czegoś takiego. Roma M. była ubrana, uczesana, miała nienaruszony makijaż. Zdradzała oznaki zdenerwowania.

Na pytanie milicji, dlaczego właściciel mieszkania Zdzisław J., mechanik lotniczy, kawaler, lat 28, nie reagował na dzwonienie, walenie, a także, przez pewien czas na wezwania milicji do otwarcia drzwi, odpowiedział spokojnie, że nie będzie zeznawać. Jeśli MO chce odeń coś usłyszeć, niechaj zabierze stąd tego pana, czyli Janusza G. W komendzie milicji Zdzisław J. opowiedział, jak to było. Przyznaje, że wtedy na ulicy nie oddał legitymacji i pieniędzy, żeby mieć pretekst do zawarcia znajomości i listownie zaprosił tę dziewczynę, która sypała forszą po jezdni - bo wydała mu się ona niczego. Z tego samego powodu, to znaczy ponieważ wydała mu się niczego, zaprosił ją do siebie, wyznaczając taki termin, kiedy nie będzie w domu panienki, z którą ostatnio zamieszkuje. Ta sama przyczyna sprawiła, iż kupił winiaku luksusowego. Po wejściu tej Romy do jego mieszkania zaproponował winiak i papierosa. Przyjęła poczęstunek, zapytała o legitymację i połowę tysiączłotówki. Podał jej niezwłocznie włożone w legitymację pół banknotu. Powiedziała, że to dziwne owo oddawanie pieniędzy w dwóch połówkach, i zapytała, czy da się banknot skleić i czy potem będzie ważny. Upewnił, że nic nie straci na wartości i sam go skleił przezroczyłą taśmą. Zapytała, jak ma na imię i czy sam mieszka. Odpowiedział, że Zdzisiek, i że w zasadzie sam, to jego mieszkanie, własnościowe. Zapytała, czy ma jakieś płyty, bo zobaczyła adapter. Odparł, że ma bardzo dużo i wymienił tytuły. Adapter jest zepsuty, ale jak ona przyjdzie następnym razem, to już będzie w porządku. Zapytała, dlaczego sądzi, że ona przyjdzie, skoro już dostała pieniądze. Odpowiedział, że dlatego, żeby posłuchać płyt. Nalał znowu winiaku i wypili. Wtedy odezwał się dzwonek do drzwi

i on chciał pójść otworzyć. Roma powiedziała, żeby nie otwierał: to jej narzeczony. Kazała mu ze sobą przyjść i czekać na schodach, bo przecież nie wiedziała, od kogo jest ten list i bała się sama przychodzić. Mógł to być przecież jakiś bandyta, zboczeniec albo staruch. Wyraził przypuszczenie, że dałaby sobie radę ze staruchem. Ona także sądziła, że dałaby sobie radę, ale to mógł być także nie staruch, tylko chłopak, który na siłę chciałby wykorzystać sytuację. Dzwonek dzwonił, zdradzając coraz większą niecierpliwość czekającego. Zdzisław J. powiedział, że jak już przyszła z narzeczonym, to wypada go wpuścić. Znajdzie się i trzeci kieliszek. Ona już zna drogę, niech więc przyjdzie pojutrze bez narzeczonego, to on do tej pory wyreperuje adapter. Poprosiła, żeby nie otwierał. Narzeczonemu bardzo dobrze robi, jak się trochę podenerwuje. „Jak chcesz” - odpowiedział Zdzisław J. i zaczął ją gładzić po szyi, a potem rozpinać bluzkę. Narzeczony kopał już wówczas w drzwi. „Chyba trzeba otworzyć. Wywali mi drzwi” - rzekł Zdzisław J., mechanik lotniczy, ale ona go przyciągnęła i całowała.

Wówczas począł ją rozbierać i to z nerwowym pośpiechem, głowę miał bowiem zaprzątniętą kwestią wytrzymałości drzwi wejściowych. Roma M. odsunęła go, powiedziała, żeby dał spokój. Przecież w tej sytuacji nie mogą czegoś takiego robić! Podzielał jej pogląd. Wszedł do łazienki przemyć twarz. Kiedy wrócił, kończyła doprowadzać się do porządku. Drzwi nie pozwoliła mu otworzyć, nawet kiedy rozległo się wezwanie milicji. Uczynił to dopiero po dłuższej chwili. Jej dziwne zachowanie jest dla niego jasne. Nie czyniła tajemnicy ze swoich motywów: robiła na złość narzeczonemu, załatwiała z nim porachunki.

Roma M. zupełnie inaczej przedstawiała bieg zdarzeń. Została zgwałcona. Nie mogła krzyczeć, gdyż cały czas gospodarz trzymał rękę na jej ustach. Wnosi oficjalną skargę o zgwałcenie.

Ponieważ Roma M. odmówiła poddania się oględzinom lekarskim, poproszono ją w następnym przesłuchaniu o wyjaśnienie, jak jej zdaniem, osoby, która zdawała egzamin z medycyny sądowej, możliwe jest zgwałcenie, gdy jedną ręką ciągle trzymana była za pysk. Oficer MO nie taił, że w ogóle jej nie wierzy. Roma M. w tym drugim przesłuchaniu zmieniła zeznanie: gość tylko usiłował ją zgwałcić.

W trakcie trzeciego, odbytego w kilka dni później, przesłuchania odwołała oba poprzednie zeznania. Oskarżała Zdzisława J., bo po wyjściu z jego mieszkania okazało się, że narzeczony z nią zrywa urażony rolą, jaką mu przeznaczyła, za tymi zamkniętymi drzwiami. Chciała ratować ich związek, przedstawiając się jako ofiara przymusu. Teraz jednak okazało się, że niesnaski między nią a Januszem O. są tak silne, że i tak ze sobą zrywają niezależnie od tego, czy ją gwałcono czy nie. Nie wyjeżdżają już razem na urlop. Powie prawdę. I potwierdziła zeznania Zdzisława J. w każdym ich szczególe.

W trakcie przesłuchania jej u prokuratora, już jako podejrzanej o składanie fałszywych oskarżeń, urzędnik ten pokazał podpisany przez Romę M. protokół, z którego wynika, że była uprzedzona o odpowiedzialności karnej za mówienie nieprawdy. „Nie jestem osobą, która tak boi się więzienia, że będzie do niego wtrącać innego, niewinnego człowieka” - odparła z godnością.

Historia przez duże „W”

Doktor Julian S., wenerolog, powiada, że tylko raz na tysiąc wypadków zakażenia człowieka przez człowieka chorobą, która stanowi jego specjalność, dochodzi do procesu sądowego o umyślne zakażenie. Artykuł 162 kodeksu karnego jest jak nowy - tak mało używany (prawnicy mówią - martwy). Wydawnictwa statystyczne w ogóle nie podają liczby osądzonych przestępców tego rodzaju, bo liczy się je na palcach, a nie komputerach. Doktor Julian S. uważa, że gdyby solidnie karano u nas zgodnie z prawem za narażanie drugiej osoby na chorobę weneryczną - za co można siedzieć do trzech lat - ludzie byłoby bardziej ostrożni, a choroby weneryczne by się mniej szerzyły.

Podwładny doktora S., lekarz Franciszek A., jest odmiennego zdania. Gdyby zacząć ludzi pociągać do odpowiedzialności za zarażanie - chorzy baliby się podawać z kim mieli „kontakty”, przez to służbie przeciw-wenerycznej byłoby trudniej docierać do chorych i choroby szerzyłyby się właśnie silniej.

Prokurator Adam B. powiada, że rzadkością są wypadki zarażenia, kiedy można udowodnić umyślny jego charakter. Tylko człowiekowi, który już zaczął leczenie w przychodni, a potem poszedł i zaraził, można udowodnić, że wiedział, iż jest chory, czyli działał umyślnie. Mało kiedy udaje się jednak złapać na gorącym uczynku roznosiciela, który już zaczął leczenie, a jeszcze zaraża. Jego zdaniem celowe ze zdrowotnego punktu widzenia jest ściganie tylko prostytutek. One pracują nawet w trakcie choroby i są rozsądnikami na dużą skalę, a i tak nie podadzą w przychodni swoich kontaktów, bo klient im nie zostawia wizytówki z nazwiskiem i adresem. prostytutka powinna wiedzieć - sędzi prokurator - że jeśli w trakcie choroby nie powstrzyma się od zarabiania - pójdzie siedzieć.

Franciszek A. nie zgadza się również z tym poglądem. Jeśli prostytutki spostrzegą, że po podjęciu leczenia są obserwowane, czy nie zadają się z klientami - nie tyle skłonne będą zaniechać pracy, co zgłaszać się do lekarza. Lękać się zaczną faktu stwierdzenia u nich choroby, co już się działo, kiedy powszechnie w takich wypadkach stosowano izolację szpitalną. Nie leczące się prostytutki to straszliwe zagrożenie zdrowotne. Dlatego kary tylko przeszkadzałyby w zwalczaniu chorób. Skuteczne tu są wyłącznie środki społeczno-lecznicze, nie represje.

Dyskusja toczy się na korytarzu sądowym. Adam B. oskarża, obaj lekarze występują jako biegli. Trwa właśnie rzadki proces o zarażenie. Jak zawsze jest on wynikiem doniesienia, które do milicji złożyła strona pokrzywdzona, czyli zarażona. Jak zawsze do rozprawy doszło dzięki temu, iż strona zarażająca przed kontaktem intymnym była w przychodni wenerologicznej, więc wiedziała, że jest chora.

Drzwi sądowej sali pozostają przede mną zamknięte, a uczestnicy procesu rozmawiają ze mną tylko o problemach ogólnych. Obowiązuje tajemnica. Rozprawa nie jest jawna. Nie otrzymam akt do wglądu, ani żadnych informacji. Muszę zdobywać je poza sądem. Bohaterowie zdarzeń są jednak na szczęście rozmowni.

Oskarżoną jest Ewa K. Liczy 26 lat. Inżynier architekt z zawodu. Mężatka. Jeździ bardzo kosztownym samochodem. Mąż, także architekt, od roku pracuje za granicą.

Poszkodowany, inżynier chemik ma 53 lata. Nazywa się Tomasz N. Jest na bardzo poważnym stanowisku. Mimo to zdecydował się zwrócić do milicji. Bardziej mu zależy na pognębieniu dziewczyny, która zrobiła mu takie świństwo, niż na tym, aby nie było skandalu. Zresztą wszystko dzieje się dyskretnie, w pracy niczego nie wiedzą. Ale gdyby nawet, to on, chociaż dyrektor, jest wybitnym fachowcem. Nikt go i tak nie ruszy, a gadać sobie mogą.

Bywa, że dyrektor Tomasz N. z pracy wraca dopiero wieczorem - aż tak poważne ma stanowisko. Tak było i owego dnia. Rodzina czekała z kolacją i pech chciał, że najmłodsza córka przez okno wypatrzyła, że papa zajechał już samochodem. Stąd to straszne zdenerwowanie żony: wrócił a nie ma go. Już północ i dalej go nie ma. Zona wyszła go szukać. Przecież człowiek nie może zaginąć na podwórzu czy na schodach.

Tymczasem w tym zniknięciu nie było niczego tajemniczego. Pan N. znał architektkę Ewę K. z widzenia. Ich wozy sąsiadowały ze sobą w garażach. Akurat tego dnia poznał ją osobiście. Było to na cocktailu z okazji otwarcia wystawy budownictwa przemysłowego. Wracając do domu spotkał Ewę K. powtórnie tego dnia, na podwórzu. Zachęciła go, aby zaszedł do jej mieszkania. Kolacja, czekająca w domu, kolacją, ale to wyjątkowo efektowna dziewczyna.

Wyszedł od niej w nocy. Obiecał, że zadzwoni nazajutrz około szóstej przed wieczorem i umówią się znowu, kiedy on już ustali, jak w domu kształtuje się sytuacja. Ale w domu sytuacja kształtowała się tak źle, że nie zadzwonił ani tego popołudnia, ani w następnym dniu.

Młode, efektowne, zmotoryzowane kobiety z dobrą pozycją zawodową mają przewrócone w głowie. Po kilku dniach Tomasz N. dostał telegram na adres domowy: „Idź do lekarza chorób wenerycznych. Powodowana życzliwością Twoja Misiu”. Dyrektor N. mówił do Ewy K. „Misiu”. Tak się zwraca zresztą do wszystkich swoich kobiet, nawet do żony. Pieszczotliwe to jest i praktyczne, bo nie można pomylić imion.

Dyr. inż. mgr Tomasz N. niezwłocznie poszedł do poradni skórno-wenerycznej, gdzie mu zrobiono badania i kazano przyjść za miesiąc na następne wyjaśniając, że

telegram nie jest respektowanym przez medycynę objawem kiły. Trzeba czekać. Gdy po miesiącu uzyskał diagnozę, że jest chory, poszedł na milicję. Pokazał wynik próby Wassermana i analizy dokonanej w wyniku badania miejscowego oraz telegram i oskarżył... 38-letnią Romanę Stefanię L. o umyślne zarażenie go chorobą weneryczną. Objaśnił także motywy kierujące panią L.: zazdrość to raz, a złość na niego to dwa. Chodziło o bagatelkę. Przed tak fatalną dlań w skutkach wizytą u Romany Stefanii L. obiecał załatwić jej synowi miejsce w liceum, kiedy zaś zaniedbał tego i zadzwoniła doń do biura z wyrzutami, potraktował ją ostro, przypominając ileż to on, bądź co bądź dyrektor, ma spraw na głowie. Przemówili się wówczas i cisnęli słuchawkami. Mimo to po kilkudziesięciu godzinach odwiedził ją w środku nocy.

O Ewie K. dyrektor N. w ogóle milicji nie wspominał, gdyż wówczas jeszcze zupełnie nie kojarzył jej osoby z depeszą i kiłą także, rzecz jasna. Kojarzył ją z cocktailem i z BMW 1800 koloru yellow, chociaż nie bahama. Kojarzył także z awanturą, którą mu urządziła żona. Domowy skandal był powodem, dla którego nie zadzwonił do architektki. Później zaś nie uczynił tego z innych już przyczyn: jakże takiej szykownej i efektownej dziewczynie powiedzieć, że stosunki muszą ograniczyć się do konwersacji, gdyż zapadł na zupełnie nieelegancką chorobę.

Owego wieczoru, kiedy zawarł bliższą znajomość z architektką Ewą K., wyszedł od niej w środku nocy i nie miał ochoty wracać do domu. Czuł, że chętnie by się czegoś napił. Miał ochotę odwlec awanturę, która czekała na niego w domu i potrzebował czasu, żeby wymyśleć jakieś usprawiedliwienie przed żoną. Poszedł do Romany Stefanii L., pani, u której bywał od czasu do czasu, choć ostatnio ją zaniedbywał, nie bez związku z obietnicą załatwienia jej synowi miejsca w liceum.

Romana S.L., rozwódka, z zawodu pracownica pralni chemicznej, mieszkała w tym samym co Tomasz N. i Ewa K. kompleksie domów i handlowała wódką. Nie była to broń Boże melina. Żadnych szumowin, obrót niewielki, zaopatrywała tylko stałych gości. Dyr. Tomasz N. zachodził tu zazwyczaj przy okazji spacerów z psem. Wielka to wygoda mieć tuż pod bokiem takie miejsce, gdzie o każdej porze można wpaść i pod każdym względem się odprężyć. Od Ewy K. dyrektor poszedł tedy do swojej starej, podręcznej przyjaciółki. Zabawił tu ponad godzinę. Rozstali się źle. Po pierwsze gospodyni wiedziała, że przed wizytą u niej był u tej przystojnej architektki. Widocznie takie wizyty nie pozostają nie zauważone przez damską społeczność podwórza. Po drugie wypłynęła sprawa liceum. Dyrektor nazwał starą przyjaciółkę słowem na „k” i powiedział, że jego noga więcej tu nie postanie. Kiedy więc po paru dniach dostał telegram, nie wątpił, kto go nadał, a gdy po sześciu tygodniach miał w ręku wyniki badań stwierdzające, że jest chory - powodowany wielką złością poszedł na milicję i Romanę Stefanię L. oskarżył.

Milicja stwierdziła, że Romana Stefania L. leczy się w przychodni wenerologicznej

tej samej, gdzie dyrektor N. Wszystko się zgadzało i wobec tego oskarżona została o umyślne zarażenie, czyn z premedytacją. Broniła się twierdząc, że sprawy miały się akurat odwrotnie. To dyrektor ją najpewniej zaraził. W każdym razie nic nie wiedziała o tym, że jest chora, póki nie otrzymała wezwania z poradni. Dyrektor przypuszczalnie podał ją jako swój „kontakt” i teraz w oparciu o to twierdzi, że to ona jego zaraziła i to umyślnie. Żadnej depeszy nie wysyłała!

Prokuratura powołała biegłego lekarza-wenerologa. Stwierdził on, że według wszelkiego prawdopodobieństwa choroba Romany S. L. jest bardziej zastarzała, niż Tomasza N., choć z drugiej strony prawdą jest, że to on jej nazwisko podał w poradni i dopiero wtedy zaczęła się leczyć. Innymi słowy ona mogła wiedzieć, przyjmując Tomasza N., że jest chora i zarazić go umyślnie, ale mogła także nie wiedzieć, bo się wtedy jeszcze nie leczyła. Prokurator zdecydował się sporządzić akt oskarżenia w oparciu o fakt, iż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nadała depeszę dowodzącą, że wiedziała o swojej chorobie.

Sprawa sądowa Romany S.L. czekała na swą kolejkę w sądzie. W trakcie całego dochodzenia dyrektor w ogóle nie wspominał o inż. arch. Ewie K., ani nie podał jej także jako swego „kontaktu” w przychodni przeciw-wenerycznej.

Sąd powołał drugiego biegłego. I ów biegły, przygotowując się do sprawy, natknął się na coś, co spowodowało, że prokurator wycofał z sądu akt oskarżenia przeciwko Romanie S.L., uznając, że sytuacja wymaga uzupełnienia śledztwa. Oto w kartotece pacjentki poradni W., 26-letniej Ewy K., znaleziono wzmiankę o tym, że pytana o osoby, z którymi miała stosunek, a więc które mogą także wymagać leczenia - podała Tomasza N. Podyktowała imię, nazwisko i adres Tomasza N., w tydzień po owej nocy, kiedy dyrektor odwiedził dwie kobiety po kolei. Jednakże Ewa K. podała lekarce, która z nią rozmawiała, że leczyć zaczęła się o kilka tygodni wcześniej, tyle że prywatnie. Doktor, pod którego kierunkiem rozpoczęła badanie i miała przejść kurację wyjechał wszakże na urlop i dlatego zgłasza się do poradni dla kontynuowania leczenia.

Ewa K. wezwana na milicję od razu przyznała, że to ona wysłała Tomaszowi N. telegram. Czekala bowiem na jego telefon, a on nie zadzwonił. Owa depesza to była złośliwość, odpłata za urażoną ambicję. Ale przecież kiedy go przyjęła u siebie, nie mogła doń mieć o nic żalu - ledwie się przecież poznali. Nie zaraziła go złośliwie. Ponieważ zaczęła już była leczenie, sądziła, że nikogo już nie może zarazić.

Sąd nie dał tym tłumaczeniom wiary. Przyjął, że osoba o takim poziomie wykształcenia, otarta już o leczenie przeciw-weneryczne, musiała wiedzieć, iż może zarazić. Telegram jest tego świadectwem. Skazana została na rok z zawieszeniem.

Romana S.L. skazana została także, a to przez kolegium do spraw wykroczeń za to, że swojemu synowi, temu który aspiruje do liceum, poleciła wypatrzeć chwilę,

kiedy samochód Ewy K. będzie stał na podwórzu nie ulokowany w garażu i kiedy będzie ciemno, wziąć puszkę farby olejnej, którą miała w domu i wymalować na karoserii napis: „Uwaga, syf” oraz odpowiednio sprośny rysunek.

Ileż zbiegów okoliczności - zważmy - potrzebne było, żeby inż. arch. Ewa K. odpowiedziała przed sądem! Na ogół w karnym ściganiu osób, które wiedząc, że są chore i wykazują niefrasobliwość w szafowaniu cudzym zdrowiem, przeszkadza to jednakże, że rozsadnikami chorób wenerycznych są zwykle ludzie o niewygórowanej ambicji, którzy nie wysyłają złośliwych telegramów do swoich partnerów.

Kark

Mgr inż. Jan B. - obywatel w randze dyrektora departamentu w jednym z ministerstw gospodarczych - stanął przed sądem jako oskarżyciel Krystyny W., żony profesora wyższej uczelni technicznej, obwiniając ją o to, że dnia 16 czerwca o godzinie 17,40 ugryzła go w kark tak silnie, iż niezbędną była interwencja chirurgiczna lekarza pogotowia ratunkowego, polegająca na oczyszczeniu i zszyciu rany szarpanej. Kto wie, czy gdyby dyrektorska głowa nie była masywnie osadzona, nie doszłoby do naruszenia kręgosłupa.

Przed sądem leżały akta wielotomowe, jakie widuje się przy zabójstwach albo gospodarczych przestępstwach grupowych.

Krystyna W., lat 54, wykształcenie średnie, nie pracująca, matka trojga dzieci przyznała się do winy wyjaśniając, że jej czyn był spowodowany przez mgr inż. dyr. Jana B. w okolicznościach, które stanowiły przedmiot rozprawy przed kolegium orzekającym. Skazało ono dyrektora na zapłacenie trzech i pół tysiąca złotych grzywny. Od orzeczenia tego Jan B. się odwołał, więc nie jest ono prawomocne, wszakże przed kolegium przyznał się do czynu, to jest do wyrzucenia z balkonu mieszkania profesorostwa W., położonego na siódmym piętrze, psa rasy pekińczyk, wabiącego się Cezar, który poniósł śmierć na miejscu. Cezar stał sobie na balkonie i niewykłuczone, że czekał. Dyrektor zadzwonił do drzwi. Profesorowa otworzyła mu. Nie mówiąc „dzień dobry” Jan B. począł wrzeszczeć, normalnie wrzeszczeć, że zwariuje i ma tego dosyć. Zanim gospodyni dowiedziała się czego ma dosyć, wszedł na balkon i złapał Cezara za kark. Przenikając jego zamiary pani W. rzuciła się ku dyrektorowi usiłując mu przeszkodzić. Wtedy odtrącił ją, odwrócił się tyłem i cisnął Cezara w przepaść. Ona zaś oszalała z rozpacz, usiłowała obronić psa, w jego, biedaczyny, zastępstwie gryząc dyrektora w znienawidzony kark. Krystyna W. pragnie dodać, że jej mąż piastuje kilka stanowisk i pracuje od wczesnych godzin rannych do późnego wieczora. Jej dzieci są już dorosłe i Cezar był wszystkim, co miała w życiu i z życia.

Dyrektor Jan B. stwierdził, że wszystko było tak jak twierdzi oskarżona, z tym, że pominęła ona w swoich zeznaniach, iż kiedy przyszedł prosząc, aby uciszyła psa, nazwała go kolejno: gadem, świnia, bydlakiem, chamem, wieprzem i zbiorem. Pragnąłby sądowi przedstawić odpisy szesnastu skarg na piśmie, jakie składał w administracji domu, komitecie blokowym i na milicji, żądając, żeby psa Cezara trzymano w mieszkaniu, gdyż całymi dniami, a często i w nocy leżał on z pyskiem wściubionym pod skrzynki z kwiatami, w rzeczywistości więc trzymał łeb właściwie na obszarze mieszkalnym Jana B., który zajmuje mieszkanie pod profesorostwem W. i bezustannie przeraźliwie czekał. Prośb i to grzecznych,

kierowanych bezpośrednio do pani profesorowej W., dyrektor nie potrafiłby zliczyć. A przecież wyjaśniał jej, że ma męczącą, odpowiedzialną pracę państwowej wagi, że w domu pracuje lub chce korzystać z niezbędnego wypoczynku, że ciągle szczekanie przyprawiło go o rozstrój nerwów, na co ma zaświadczenie lekarskie, i że dwoje jego dzieci jest w wieku szkolnym i szczekanie psa rozpraszało ich uwagę przy odrabianiu lekcji. Od tego zaś stawały się nerwowe i miały gorsze wyniki w nauce niż dwa lata wcześniej, kiedy pani W. nie trzymała jeszcze u siebie Cezara. Wreszcie - dodać musi, że jego żona pracuje i prowadzi gospodarstwo, oboje są przemęczeni i już dłużej nie mogli znieść tego szczekania. Jeśli ktoś ma szczekliwego psa, niech go trzyma zamkniętego w domu, a nie na balkonie.

Krystyna W. wyjaśniła, że dyrektor Jan B. i jego żona ustawicznie mają jakieś niesłychane pretensje. Na przykład w piśmie do komitetu blokowego z dnia 22 września 1971 roku domagali się, by komitet zabronił jej chodzić w pantoflach po własnym mieszkaniu, nakazał zaś chodzenie w rannych papuciach, gdyż obcasami stuka w podłogę. Sąd chyba podziela jej przekonanie, że we własnym mieszkaniu człowiek ma prawo nosić takie obuwie, jakie mu się podoba.

Dyrektor Jan B. wyraził przekonanie, że owo stukanie obcasami miało charakter umyślnej szykany, a współżycie z profesorostwem w ogóle jest nieznośne. Pragnie odwołać się do akt zgromadzonych na sędziowskim stole na wniosek jego obrońcy. Jeden z tomów zawiera dokumenty sprawy karnej, którą już w 1969 roku zmuszony był wytoczyć Krystynie W. o to, że w biurze spółdzielni, do której ich dom należy, nazwała go publicznie bydlakiem i chamem. Nie mógł tego puścić płazem ze względu na swoje stanowisko. Sąd skazał Krystynę W. Znajdują się tu także akta sprawy przed kolegium orzekającym. U profesorostwa W. przez całą noc trwało tłumne i głośne przyjęcie, jedno z tych, które stale urządza ich córka, nie dając spać ludziom w całym domu. Rano żona Jana B. zauważyła, że cały balkon jest zasłany kawałkami jarzyn. Zażądała wtedy od pani profesorowej posprzątania. Krystyna W. odmówiła, używając ordynarnych jak zawsze słów. Wezwał więc milicję i wniósł sprawę do kolegium, że Krystyna W. obiera jarzyny na balkonie i spłukuje je wodą na balkon sąsiadów z dołu. Może sąd zechce zobaczyć w aktach, co dziewiętnastoletnia córka profesorowej W. powiedziała przed kolegium: „Mama nie obiera na balkonie żadnych jarzyn, tylko mój kolega zapawiawał balkon, zmyłam to wodą i trochę widocznie pociekło na balkon państwa B”.

Rozpraw o zakłócanie ciszy nocnej przez gości szalejących w mieszkaniu państwa W. było aż sześć, z czego pięć zakończyło się uznaniem ich winy i odpowiedzialności. Raz, kiedy po nocy trwały już nie hałasy, ale chyba demolowanie sprzętów w mieszkaniu W. i ryczał magnetofon, dyrektor nie mogąc usnąć po całodziennej odpowiedzialnej pracy wezwał milicję. Po jej odjeździe gromada pijanych wyrostków i rozwydrzonych dziewczyn wtargnęła do jego

mieszkania usiłując siłą wyciągnąć go z łóżka: „Ty stary, nie możesz spać, to chodź do nas, trochę poskaczysz”. Jan B. chce podkreślić, że ma 51 lat i jest zasłużonym działaczem państwowym, odznaczonym licznymi orderami.

Rodzina dyrektora B. sąsiaduje z profesorstwem W. od siedmiu lat i to jest siedem lat gehenny. Dla ilustracji dyrektor chce wspomnieć, że kiedy córkę państwa W. znał jeszcze jako małą dziewczynkę, zaczepił raz na schodach, pytając, dlaczego mu się ona nie kłania, to dziewczyna odpowiedziała: „Jestem kobietą, pan powinien kłaniać się pierwszy”. Może to zobrazuje sądowi skalę rozwydrzenia panującego w domu profesora.

Krystyna W. w swoich wyjaśnieniach przyznała, że Jan B. przyjmuje gości tylko dwa razy w roku w imieniny swoje i żony, ale wtedy - stwierdziła - odbywają się chóralne śpiewy, właściwie wycie. Krystyna W. jest zdania, że Jan B. mieszka w bloku, a chciałby się tu czuć jak we własnej willi. Wszystko mu przeszkadza. Jeśli zaś u niego są hałasy - to w porządku, bo on jest na wysokim stanowisku. Jej mąż ma poważne stanowisko, nawet kilka i współpracuje z osobami na pewno wyżej postawionymi niż Jan B., a przecież nie ma tak dygnitarskich fochów, jak Jan B. Cezar był dla niej równie drogi, jak dzieci, a ona przecież nie poszła i nie wyrzuciła dyrektorowi przez balkon syna albo córki.

Na pytanie sądu pod adresem oskarżyciela i oskarżonej czy długo jeszcze sądy i kolegia będą musiały podejmować beznadziejny trud regulowania ich sąsiedzkiego współżycia, Jan B. odparł, że nie wie. On złożył podanie o zamianę mieszkania i jest ono rozpatrywane przez odpowiednie czynniki. Docenia znaczenie nauki, ale uważa, że tacy ludzie jak rodzina W. powinni być osadzani w specjalnych obozach - profesor nie profesor wszystko jedno. Co się jego tyczy, to niezależnie od tej tutaj sprawy złoży doniesienie na MO, że córka państwa W., 19-letnia studentka Maria W. wykroczyła przeciwko ustawie antyalkoholowej, gdyż powodowana złośliwością i nienawiścią zaciągnęła do swojego mieszkania jego 14-letnią córkę Magdalenę B. i spoiła ją winem.

Na zakończenie rozprawy pani Krystyna W. powiedziała, że mimo wszystko co wycierpiała od Jana B. i jego żony żałuje szczerze, że pana dyrektora ugryzła w kark. Gdyby nie to pogryzienie i gdyby nie znajomości dyrektora B., to po tym co zrobił on z Cezarem mogłaby była uzyskać eksmisję państwa B. z tego mieszkania. Tak twierdzi jej mąż, który nieszczęście, jakie spotkało ich rodzinę, omawiał na bardzo wysokim szczeblu i ona nie chce martwić dyrektora B., ale także z jego przełożonymi. Na miejscu inż. B. ona by się poważnie zastanowiła, czy będzie zdrowo dla jego kariery podtrzymywać tu przed sądem to oskarżenie i czy nie lepiej byłoby dlań wycofać się ze sprawy.

Tu sąd przerwał jej wywody pouczając, że oskarżycielowi nie wolno grozić. „Ja nie

grożę, ja przecież radzę”, zachnęła się profesorowa, po czym skazana została na grzywnę, gdyż w interesie społeczeństwa leży odstraszenie od gryzienia dyrektorów departamentów w kark, na którym powinni mieć głowę.

Wiara

Sąd miał rozstrzygnąć spór mieszkaniowy. Emerytowana nauczycielka muzyki 67-letnia Bronisława W. czuła się oszukana. Biorąc od początku, Bronisława W. z mężem i dwiema córkami zajmowała przedwojenne jeszcze mieszkanie - trzy pokoje z kuchnią. Mąż umarł, mieszkanie się zestarzało, a córki podrosły i wyszły za mąż. W roku 1970 sytuacja była taka, że duży pokój przejściowy zajmowała Bronisława W. i instrument koncertowy (emerytka dawała lekcje prywatne). Tymczasem w jednym bocznym, pokoju mieszkała córka z mężem i dwojgiem dzieci, a w drugim małym, młodsza córka z mężem i kotem. Ściany zżerał grzyb.

Zięć Bronisławy B. - mąż starszej córki - stawiał sobie domek pod Warszawą, budowa trwała cztery lata i w 1970 r. miał się już przeprowadzić. Rodzina uradziła, że jest to okazja, żeby stare mieszkanie zamienić na dwa mniejsze, nowoczesne. Udało się to, ale niezupełnie. Starsza córka z rodziną objęła swój domek, młodsza uzyskała w wyniku wymiany nowoczesne M-3. Bronisławie W. przypadł pokój w jakimś wspólnym mieszkaniu. Wszakże umowa między matką a córkami przewidywała, że one jej dadzą po 15 tys. każda, aby mogła za dopłatą zamienić sublokatorski pokój na coś samodzielne. Równocześnie pięcioosobowa, wyrosnięta z M-3 rodzina, która oddała swoje mieszkanie za trzy pokoje w starym budownictwie zobowiązała się umową, że przez rok w ich obecnym mieszkaniu jeszcze postoji fortepian koncertowy i Bronisława W. wykorzystywać będzie pokój do dawania lekcji.

Koło sprawy krzątał się energicznie nowy właściciel starego mieszkania Bronisławy W., któremu bardzo zależało na tym, żeby pozbyć się z domu fortepianu i bębniących gamy bachorów. Potem w sądzie zeznał, że będąc zainteresowany sprawą skontaktował Bronisławę W. ze swoją znajomą, która mówiła, że ma z kolei znajomą interesującą się wymianą mieszkania na pokój i pieniądze. Świadek ów podkreślił, że z dalszym biegiem zdarzeń nie ma nic wspólnego.

Znajoma tej znajomej, która chciała wymienić mieszkanie zeznała, że pozwaną Kazimierę F. zna od 47 lat jako kobietę porządną, uczciwą, ciężko pracującą. O tym, że szuka ona pieniędzy, żeby zapłacić grzywnę za syna, odsiadującego ją w więzieniu, żeby wyszedł, dowiedziała się od samej Kazimierzy F. w czasie nabożeństwa w kościele. Nigdy nie była u niej w mieszkaniu.

W świetle zeznań Bronisławy W. sprawy miały się tak. Kazimiera F. stawiła się na spotkanie w owym pokoju z fortepianem, gdzie emerytowana nauczycielka dawała lekcje gry. Opowiedziała pani W. o synu, który ma do zapłacenia 50 tysięcy grzywny, inaczej będzie dodatkowo siedzieć przez prawie dwa lata i że z tego

względu ona gotowa jest zamienić swoje piękne mieszkanie na pokój przy rodzinie. Innej drogi do pieniędzy nie widzi, jest bowiem sprzątaczką za tysiąc dwieście.

Bronisława W. zadawała pytania: jaki metraż? Czy jest łazienka? A centralne? A gaz? A okna czy na południe? Wszystkie odpowiedzi były pomyślne. Wobec tego Bronisława W. umówiła się na oględziny. Kazimiera F. pokazała jej ładne, zadbane mieszkanie: duży pokój z widną kuchnią i wygodami. Położone nieco zbyt daleko od centrum, jak na zawodowe potrzeby emerytki, mieszkanie kusiło za to panującą dokoła ciszą i obfitością zieleni. Kazimiera F. żądała 50 tys. dopłaty. Bronisława W. dawała 30 tys. twierdząc, że tylko tyle ma. Stańto na 40 tysiącach.

Jakiś czas trwało załatwianie formalności. Obie panie wypełniały formularze, kompletowały zaświadczenia i składały podpisy. Wreszcie wszystko było załatwione. Bronisława W. zapłaciła 40 tys. Panie umówiły się, że przeprowadzki dokonają tą samą ciężarówką, żeby było taniej. Kazimiera F. zajęła na podwórzu domu, gdzie Bronisława W. miała swój pokój we wspólnym mieszkaniu, wynajęci ludzie wynieśli z samochodu jej meble, ustawili na podwórzu i poczęli znosić graty nauczycielki oraz ustawiać je na ciężarówce. Potem wnieśli na piętro rzeczy Kazimierzy F. i następnie obie starsze panie pojechały na przedmieście lokować Bronisławę W. w nowym mieszkaniu.

I oto Bronisława W. prosi sąd, żeby wyobraził sobie jej zaskoczenie, osoby mającej wiarę w ludzi i nie obytej z łajdactwami - kiedy Kazimiera F. otworzyła przed nią nie owo zgrabne, widne mieszkanko na pierwszym piętrze, ale norę, suterенę, mroczną, wilgotną izdebkę na wpoł wpuszczoną w ziemię z okratowanym oknem, bezokienną kuchenkę, urządzoną w niszy korytarzyka, locum bez łazienki. Bronisława W. w ogóle nie rozumie zrazu, o co chodzi, zaś ta oszustka wmawia jej w żywe oczy, że to właśnie mieszkanie oglądała, za nie dopłaciła 40 tysięcy.

Ciężarówka z meblami stoi przed domem, zaś Bronisława W. idzie na milicję. Przyjeżdża radiowóz z dwoma podoficerami, oglądają papiery i co się okazuje: nakaz, który ma Bronisława W. opiewa na tę właśnie norę. Milicjanci są bezradni, starsza pani odmawia wprowadzenia się. Kazimiera F. oświadcza, że nie odda pieniędzy ani kluczy od poprzedniego mieszkania Bronisławy W., bo zamiana jest już dokonana. Bronisława W. wzywa zięcia, ale co zięć pomoże, jak milicja nie jest w stanie nic poradzić? Meble stoją na ciężarówce, wynajęci do ich noszenia ludzie niecierpliwią się. I oto Bronisława W. wraz z meblami musiała spaść na kark starszej córce, zamieszkać w jej nowym, nieprzestronnym domku i dochodzić przed sądem swoich praw. Nadużyto jej zaufania. Podpisywała papiery, nie sprawdzając, czy zgadza się numer mieszkania, metraż, opis. Gdzież mogło zaświtać jej w głowie, że będzie tu jakieś oszustwo?

Zeznaje Kazimiera F. Twierdzi ona, że Bronisława W. wpierw przystała na

wymianę, a potem, kiedy wszystko zostało załatwione namyśliła się i teraz opowiada cuda, żeby unieważnić swoje własne podpisy. Było tak. Kiedy Bronisława W. przyjechała oglądać jej mieszkanie, miała w nim rozwieszane wielkie pranie. Lokal się gościowi podobał, ale nie było gdzie usiąść, żeby wszystko omówić. Kazimiera F. miała klucze od mieszkania jednych państwa z pierwszego piętra, gdzie chodzi sprzątać i tam zaprowadziła Bronisławę W. O żadnej jednak pomyłce nie może być mowy. Ona wyraźnie pokazała suterенę jako swoje mieszkanie, o lokalu na piętrze powiedziała, że tu tylko sprząta. Formalności trwały długo. Jej byłe mieszkanie jest w dokumentach szczegółowo opisane. Cóż to, inteligentna osoba, nauczycielka, będzie sądowi wmawiać, że nie wiedziała, co podpisuje? Co do Kazimierzy F. to ona przyznaje, że wzięła za mieszkanie dopłatę. Legalne to czy nie - wzięła pieniądze, bo jej chodziło o syna.

I to jest już cała sprawa. Nie ma żadnych świadków. W aktach leżą dokumenty, z których wynika, że Bronisława W. zamieniła swój pokój, znajdujący się we wspólnym z inną rodziną mieszkaniu na suterенę właśnie. Dylemat sądu: czy kontrahentka pokazała jej inne mieszkanie, jako własne, czy emerytowana nauczycielka pragnie drogą sądową wycofać się z ewidentnie niekorzystnej dla niej transakcji?

Sąd dał wiarę Bronisławie W. Sprawa powędrowała do następnej instancji. Dramatyczna sytuacja sądu polega na tym, że nie może on uchylić się od rozstrzygnięcia i że danie wiary, przy braku dowodów, poszlakom polega w końcu na tym, iż jedna ze starszych pań zrobiła przed sądem lepsze, a druga gorsze wrażenie. Oparty o wrażenia wymiar sprawiedliwości traktować można sceptycznie, ale w końcu także w życiu, nie tylko w sądzie, wygrani bywają ci, którzy robią dobre wrażenie i nikt nie pyta, czy to sprawiedliwe.

Porwanie

Było to coś takiego, jak gdyby włamano się do pilnie strzeżonego skarbcza bankowego, żeby zrabować stary guzik, jaki można podnieść z ziemi na każdej ulicy.

Duże zakłady przemysłu maszynowego w R. Brama wjazdowa, obok portiernia, w niej strażnicy. Podjeżdża „Nysa”. Na drzwiczkach ma wymalowaną nazwę innego przedsiębiorstwa. Kierowca wyciąga rękę przez okienko, trzyma jakiś papierek, strażnik zbliża się, kierowca dodaje gazu, ale ogląda się wstecz, co na to strażnik. Strażnik przyzwalająco macha ręką. Wozów wjeżdżających nikt specjalnie dokładnie nie sprawdza.

Furgonetka przejeżdża kilkaset metrów między halami fabrycznymi i staje przed parterowym, murowanym barakiem, gdzie mieszczą się warsztaty tutejszej szkoły przysposobienia zawodowego. Dwóch mężczyzn wysiada z zasłoniętego blachą pudła „Nysy” i jeden z szoferki. Nakładają duże, ciemne okulary przeciwsłoneczne. W rękę każdy trzyma identyczny metalowy łom. Wysoka technika gangsterska. Wchodzą do baraku, gdzie przy maszynach pracuje kilkudziesięciu wyrostków. Nikt nie zwraca na nich uwagi. Podchodzą do jednej z trzech tylko tutaj dziewczyn-uczennic przyfabrycznej szkoły, do Grażyny Sz. Bez słowa dwóch opryszków bierze ją pod pachy i ciągnie przez salę ku wyjściu. Dziewczyna krzyczy „Ratunku! Na pomoc!” Opiera się. Wyglądała - mówią później - groteskowo. Ubrana była w spodnie i sweter, na to nosiła nieforemny chałat, który powiewał, kiedy ona zginała nogi w kolanach i starała się wrosnąć w ziemię wbrew sile ramion oprawców ciągnących ją ku wyjściu. Gwałt ubezpieczał trzeci rzezimieszek, który szedł przodem z uniesionym łomem. Tak odmalowywano tę scenę. Ktoś krzyknął „Co się dzieje!”, ktoś zawołał „Puście ją!” Ten i ów z uczniów ruszył nawet ku opryszkom, ale wszystko trwało bardzo krótko i właściwie nikt nie zdążył zorientować się, co właściwie się dzieje.

Dziewczyna zostaje załadowana do „Nysy”, która rusza pełnym gazem. Przed bramą wjazdową jest rozpostarty łańcuch, sama brama przymknięta, ale nie domknięta. „Nysa” musi stanąć. Pech to dla porywaczy, bo łańcuch zagrządzający wjazd zwykle leży na ziemi. Strażnik stoi nie opodal, ale z kimś rozmawia, nie rusza ku „Nysie”. Kierowca wyskakuje: „Szybko, bo nam zamkną magazyn!” - powiewa papierami, które ma w rękę. Strażnik idzie ku niemu. Kierowca odczepia łańcuch, sam umożliwia sobie przejazd. Wsiada do szoferki. Strażnik już się zbliża, żeby sprawdzić papiery, kiedy „Nysa” rusza mu sprzed nosa, uderza w bramę, rozchyła ją tym uderzeniem, jedno z metalowych skrzydeł rozhuśtane wali w blachę karoserii, „Nysa” wyjeżdża na ulicę trąbiąc i świecąc światłami. Znika po chwili.

Strażnik z portierni dzwoni na milicję, że „Nysa” z wymalowaną na drzwiach nazwą takiego to a takiego przedsiębiorstwa, umyślnie wymijając kontrolę, wyrwała się z zakładu. Dyspozytura milicyjna zarządza pościg. W rekordowym czasie, bo osiem minut później znajdują „Nysę” o trzy kilometry od zakładu, z którego przed chwilą wyrwała się, bez kontroli. Wóz jest pusty. „Już przeładowali?!” - zdumiewa się dowódca patrolu. Liczy czas. Zanim zadzwoniono z portierni na milicję i zanim on w radiowozie odebrał wezwanie, upłynęły przypuszczalnie jakieś dwie minuty. Tamci w minutę później mogli już być w tym miejscu. A więc mieli jeszcze pięć minut, żeby przenieść to co zrabowali do innego wozu i odjechać. Teraz nie wiadomo jakiego wozu szukać i jakiego ładunku.

Prowadzący stale tę „Nysę” kierowca przedsiębiorstwa, do którego wóz należy, siedzi w bufecie i je śniadanie. Śniada już od godziny, więc w każdym razie to nie on rabował. Milicja informuje go, że ukradziona „Nysa” jest już znaleziona. Skradziona? Nikt nie zauważył kradzieży. Wóz stał na podjeździe. Od początku pracy, czyli od przeszło dwóch godzin, nie robił żadnego kursu.

Milicja tymczasem przybywa do zakładu, z którego „Nysa” wywiozła dziewczynę. Ani instruktor, który prowadził zajęcia w warsztacie, ani uczniowie nie zawiadomili dyrekcji o porwaniu. Do końca tego dnia dyskutują o tym co się stało, snują różne domysły, są zemocjonowani, ale nikomu w ogóle nie wpada do głowy zawiadomić jakiegokolwiek władze. Ulokowana w zakładzie ekipa śledcza przy współpracy przedstawicieli dyrekcji usiłuje więc ustalić co zginęło, co zostało wywiezione. Trwa to kilka godzin i nie daje efektu. „Cały zakład można wam wywieźć i nawet nie zauważycie, że coś zginęło” - zżyma się przedstawiciel milicji. Nikomu nie wpada do głowy, że skradziono nie coś, a kogoś, że łup nie ma żadnej wartości materialnej.

W sześć godzin po porwaniu kolega szkolny Grażyny Sz. zawiadamia jej rodziców o tym, co się stało. Są bardziej zdumieni niż niespokojni. Matka Grażyny Sz. idzie na milicję wraz z kolegą, który widział porwanie i przyszedł o nim opowiedzieć. Zbigniew Sz., ojciec ofiary kidnapingu, spawacz w dziale montażu tych samych zakładów, z których dziewczynę porwano, zostaje w domu, żeby chronić przed niebezpieczeństwem dwoje młodszych dzieci, chodzących do szkoły podstawowej. Boi się, bo przecież to co się stało, jest nie do pojęcia. Czytywał o pomywaniu dzieci, ale takich ludzi, od których można się spodziewać okupu.

Są już godziny przedwieczorne, kiedy milicja dowiaduje się, co właściwie zginęło z zakładów. Teraz trzeba szukać odpowiedzi na pytanie: po co porwano Grażynę Sz.? Dzięki temu można będzie ustalić, kto ją porwał. Najciekawsza jest wszakże inna kwestia. Grażyna Sz., uczennica zasadniczej szkoły zawodowej i córka spawacza w oddziale montażu, nie jest osobą pilnie chronioną. Bez żadnej straży codziennie przejeżdża tramwajem do zakładu, po czym bez osobistej ochrony

wraca do domu na obiad. Przed jej mieszkaniem nie stoi warta. Jawi się wobec tego pytanie: dlaczego ktoś, kto chciał ją porwać, wybrał drogę po temu tak trudną i ryzykowną jak wdzieranie się do zakładu, wymagające dwukrotnego wyprowadzenia w pole straży przemysłowej? Gdyby zaś Grażynę Sz. wzięto przez pomyłkę... Kogóż na Boga można szukać w warsztatach zasadniczej szkoły zawodowej? Panny Windsor?

Milicja zajęła się oglądaniem „Nysy”. Złodziej dla uruchomienia silnika posłużyć się musiał podrobionym czy dopasowanym kluczykiem. Wewnątrz wozu nie było żadnych śladów, które miałyby znaczenie dla prowadzących dochodzenie.

Rodzice byli bardzo niespokojni. Minęła teraz już doba, jak porwano im córkę i żadnej wiadomości od mej albo od porywaczy. Dla milicji nie było »innej drogi działania jak bardzo żmudna: ustalanie listy znajomych Grażyny Sz. i dociekanie natury łączących ich z nią stosunków.

Życiorys samej porwanej był niebogaty i nie dawał punktu zaczepienia. Miała piętnaście lat, kiedy ukończyła szkołę podstawową, zdawała do technikum, oblała, rok siedziała w domu i potem ojciec zapisał ją do zasadniczej szkoły zawodowej w swoim zakładzie pracy. Jeden tylko był chłopak, z którym chodziła przez kilka miesięcy. Rodzice widywali go, jak czekał na nią na schodach. Wiedzą, że ma na imię Szymek. Żadnych innych jej kolegów nie znają. Ich córka nie miała żadnych skłonności do chłopców, była domatorką.

Koleżanki były lepszymi informatorkami. Wiedziały, że z Szymkiem Grażyna Sz. skończyła przed kwartałem, jakie on ma nazwisko i gdzie mieszka. Wiedziały o jeszcze dwóch czy trzech facetach, z którymi widziano Grażynę Sz. w kinie, kawiarni lub w parku. W ciągu kilkunastu godzin milicja zdołała dotrzeć do wszystkich wskazanych jej młodzieńców, z którymi ktokolwiek Grażynę Sz. widział, ale nie dało to żadnej poszlaki, kto ją porwał i po co. Starsza pani Sz. już histeryzowała. W 48 godzin po porwaniu przyszedł pocztą list od córki adresowany do państwa Sz., a nadany w tym samym mieście. „Drodzy rodzice! Jak się mają dzieci?” - pisała Grażyna Sz. ni w pięć ni w dziewięć. - „Niestety nie mogę wrócić, niestety. Nie martwcie się o mnie, szczególnie mamusia. Nic mi złego nie jest. Zawsze Was kochająca Grażyna”.

O okupie jakoś ani słowa.

W kilka godzin po wydobyciu tego listu ze skrzynki zjawiała się w domu Grażyna. Była bardzo blada, słańiała się na nogach. Na pytanie, co jej jest, mówiła, że nic, co jej zrobili - nic, kto ją porwał - mniejsza o to, po co - ona nie ma głowy do rozmów. W ubraniu rzuciła się na łóżko i wyglądała na cierpiącą.

Rozeźlony jej milczeniem ojciec powiedział: „Nie bój się, zaraz będziesz gadać” -

i wyszedł., Pojechał na milicję. Na odchodnym matka porwanej powiedziała, żeby sprowadził jakiegoś lekarza. „Nie trzeba, nic mi nie jest” - rzekła Grażyna. I po wyjściu ojca wyznała, że jest blada i chora, bo wymiotowała, a wymiotowała, bo wypła dużo wina. Niech się tylko ojciec o tym nie dowie!

Potem spała, dopóki rano nie przyszedł po nią milicjant, żeby poszła zeznawać. Panna Sz. była zdumiona, skąd milicja wie o jej przygodach, wpadła w panikę. Ona sama jest wszystkiemu winna - powiedziała - i nie potrzebuje, żeby za nią ktoś poszedł siedzieć.

Ostatnio ojciec pracował na rannej zmianie, więc razem wracali do domu. Ojciec zawsze oczekiwał na nią teraz za fabryczną bramą. Było jej to wcale nie na rękę, bo poprzednio, kiedy w drodze do domu na obiad nie miała niańki - czekał tu na nią jeden chłopiec, Jan T., pracujący na poczcie jako konwojent. Kiedy teraz wychodziła z ojcem udawała, że go nie zna, bo bała się ojca, ale Jan i tak przychodził. Któregoś dnia wywołał ją z domu poprzez koleżankę i żalił się, że ona w ogóle się z nim nie spotyka, chociaż przecież mówił, że gotów byłby nawet się ożenić. Odparła, że rodzice nigdy na to nie pozwolą. Musiałby ją chyba porwać. Powiedział, że jak trzeba, to porwie.

Zeznawał Jan T., jegomość 24-letni, kawaler, pięć klas szkoły podstawowej. O sobie potrafi powiedzieć tylko tyle, że ma amatorskie prawo jazdy, a marzy o zrobieniu zawodowego, do czego brakuje mu ogólnego wykształcenia i że to on zabrał i prowadził „Nysę”, którą wjechali z kolegami na teren zakładów. Było to tak. Grażyna Sz. mu wyjaśniła, że póki ona się uczy, a nie pracuje i póki jej rodzeństwo wymaga jeszcze opieki - rodzice za nic nie dadzą jej wyjść za mąż. Chyba, żeby dowiedzieli się, że się z kimś przespała, to wtedy uznają, że musi wyjść za mąż. Ale gdyby przyszła i powiedziała coś takiego, ojciec nie wiadomo co by z nią zrobił. Dlatego mówiła o porwaniu. Wtedy to już nie byłaby jej wina.

Jan T. począł kombinować, jak najlepiej ją porwać. Sądziła, że to oczywiście żarty. Śmiała się, że nie sposób ją porwać w taki sposób, żeby w domu uwierzono, że była porwana a nie, że się sama gdzieś zawieruszyła. Jan T. powiedział, że porwie ją tak, iż rodzice nie będą mieli wątpliwości. I że robi to jutro. Pytał tylko, w jakich godzinach ona ma zajęcia w warsztatach. Brała to oczywiście wciąż za żarty, a tu nazajutrz tak ją wyjęli z warsztatu, że ani zdążyła się obejrzeć. Myślała, że skona ze śmiechu. Potem koledzy mu pomogli, pożegnali się z nim, a Janek T. porzucił samochód na ulicy i tramwajem pojechali do niego. Tam napisała list do rodziców, żeby się nie martwili. Nigdy nie przypuszczała, że ten Janek T. rzeczywiście ją porwie, ale jeszcze mniej się spodziewała, że rodzice dadzą znać milicji.

Jan T. zeznał, że przed wieczorem, w cztery godziny mniej więcej po porwaniu, dziewczyna pożegnała go i wyszła od niego. Żadnego wina nie pili. Do żadnego

między nimi zbliżenia nie doszło. Spieszyła się do domu.

Zapytano ją z kolei, czy to prawda, że była u porywacza tylko kilka godzin. Stropiła się, potwierdziła to, ale w żaden sposób nie chciała powiedzieć, gdzie spędziła te dwie doby, kiedy jej nie było w domu, a milicja urządzała wielkie poszukiwania. Nic nie odpowiedziała także na pytanie, czy czasem to nie było tak, że zgodziła się na urządzenie porwania po to, żeby mieć pretekst do spędzenia dwóch nocy poza domem i to wcale nie z Janem T. Zacięła się w milczeniu. Wtedy przesłuchujący ją oficer zagadnął ją tak poza protokołem, czy chce wyjść za mąż za Jana T. Odparła, że może wyjść, może nie wyjść - jest jej wszystko jedno. Następnie oficer zapytał, czy ojciec jest bardzo surowy. Odparła, że bardzo. „Czy za bardzo?” - „Nie wiem”. Oficer rzekł, że sądzi, iż gdyby wyszła za Jana T. to po to, żeby nie bojąc się już ojca wychodzić sobie na noc tam, gdzie była po „porwaniu”. Że nie zależy jej na tym Janie T., tylko na swobodzie. „Chyba jest właśnie tak” - odparła.

Jana T. zawiadomiono oficjalnie, że wyniki dochodzenia idą wyżej z wnioskiem o umorzenie, ponieważ z punktu widzenia prawa nie było to porwanie. Ale za wzięcie bez pytania „Nysy” poniesie odpowiedzialność, więc wyjdzie na swoje.

Trzy panie W.

Stanisław W. studiował wtedy na politechnice, mieszkał w domu akademickim i był lekkomyślny, a potrzebujący. Tkwił na marginesie bujnego życia erotycznego tych otwartych koszar, jakimi są domy studenckie. Brakowało mu powodzenia, czyli śmiałości, pieniędzy, fantazji, wiary w siebie. Po trzech latach bezskutecznych starań, żeby coś znaleźć, w sprawę wdali się koledzy. Sprowadzali sobie właśnie transport dziewczyn na prywatkę i jednej z nich przykazali wyszukać chętną koleżankę dla ich kumpla, bardzo miłego fajtlapy. Ta z góry dla Stanisława W. przeznaczona dziewczyna nazywała się Olga D., miała 18 lat, była brzydka, szara, zastraszona, zabiedzona. Pracowała u zakonnicy w pralni. Do tego wszystkiego nie chciała się przespać ze Stanisławem W., a tylko chodzić do kina. Dokładniej rzecz biorąc, Olga D. skłonna była się przespać, ale za bardzo wysoką cenę, płatną z góry. Interesowało ją małżeństwo. W szczenięcej desperacji Stanisław W. z wielkim pośpiechem się z nią pobrał i wcale tego nie żałował, gdyż po pierwsze i tak z Olgą nie mieszkał, po drugie zaraz potem wszystko w jego życiu odmieniło się na lepsze. Zawierał znajomości z dziewczętami i już mu się szczęściło.

Teraz z żoną starał się widywać jak najrzadziej, a ona ciągle go męczyła tym, że ma przecucie, iż z nią nigdy nie zamieszka, mimo że udzielał zapewnień, że zamieszka z całą pewnością, jak już będzie inżynierem i uzyska mieszkanie. Jego życie stało się trudne, gdyż żona wciąż nań czatowała i usiłowała się spotkać. On zaś wystawiał czujki przed akademikiem, wymykał się tylnym wyjściem, chował przed nią w ubikacji i w ogóle miał mnóstwo kłopotów, gdyż był słabego charakteru. Teraz dziewczyna ciągle dokładała starań, żeby przespać się ze swoim nieosiągalnym mężem i znów nie była w tym bezinteresowna. Przy pierwszej sposobnej okazji postarała się zająć w ciążę, bo, jak potem mówiła jego kolegom, dziecko skłoni go do niej. Stanisław W. na wiadomość o ciąży wpadł w wielką złość. Tak dużą, aż okazał charakter i zażądał od niej, żeby usunęła płód. Olga W. odmówiła i wtedy zapowiedział jej ucziwie, że więcej go nie zobaczy na oczy. Ona wystawała przed akademikiem, łapała go za ubranie. On wyrывał się, wskakiwał w biegu do tramwaju, a kiedy się do niej odczuwał, to lżył ją tylko publicznie. Olga W. zacięła się, urodziła dziecko. On także się zaciął, nie poszedł dziecka obejrzeć. Wkrótce potem skończył studia i postarał się, żeby pracę dostać możliwie najdalej. Nie znała jego adresu i nie dochodziła alimentów. Mieszkała jak i przedtem z matką, też praczką. Jakoś tam we dwie wychowywały dziecko. Młodsza wierzyła, że mąż do niej wróci, a starsza, matka-wdowa, miała nadzieję wyjść jeszcze za mąż.

Przez cztery lata Stanisław W. nie dawał znaku życia, aż nagle zjawił się i położył na stole dwa tysiące. Opowiedział, że wrócił do Warszawy, ma narzeczoną, pragnie się ożenić i ułożyć sobie normalne życie, więc prosi, żeby udzieliła mu rozwodu.

Sama chyba rozumie, że ich małżeństwo nigdy nie było prawdziwe. Olga W. odparła, że on jako człowiek żonaty nie może mieć narzeczonej, a ona rozwodu mu nie da.

Stanisław W. wziął adwokata i wystąpił do sądu o rozwód. Adwokat wezwał Olę W. i zaproponował jej 10 tys. złotych jednorazowo i 600 zł miesięcznie alimentów, jeśli nie będzie stawiała przeszkód. Nie ma przecież nic do przegrania. Stanisław W. nigdy z nią nie zamieszka. Olga W. odmówiła i potem na rozprawie pojednawczej oświadczyła, że się na rozwód nie godzi, mimo że mąż nie chce z nią mieszkać. Woli mieć męża zdalnego niż żadnego. Dziecko nie powinno być bez ojca, a sprawy Stanisława W. jej nie obchodzą, tak jak i jego nie obchodzą jej sprawy.

Otrzymała potem wezwanie na następną rozprawę i oznaczonego dnia spotkała swego męża na korytarzu sądowym. Zapytał, czy zgodzi się na rozwód. Odparła, że nie. Wtedy oznajmił, że wobec tego nie mają po co męczyć się w sądzie, bo bez jej zgody on rozwodu i tak nie dostanie. „Chodźmy” - powiedział i pożegnał ją przed budynkiem sądu.

Minęło od tego dnia pięć lat i sześć miesięcy. Ona dobiegała trzydziestki, jej dziecko miało ponad dziesięć. Dotknęło ją wtedy nieszczęście. Olga W. miała faceta, z którym żyła. Był to dobry człowiek, który dawał jej pieniądze i produkty i lubił dziecko. Miał jednak tę wadę, że lubił kraść. Z początku wada ta była zaletą, gdyż przywoził do Olgi W. towar, a ona z matką go sprzedawały i miały zarobek. Ale pewnego dnia kochanka posadzili. W jej i matki mieszkaniu zrobili rewizję. Obie poszły siedzieć, a że ją po tygodniu wypuścili, to tylko dlatego, że miała dziecko, które podrzuciła sąsiadce mówiąc, że to tylko na kilka godzin. Cekał ją proces, musiała wziąć adwokata. Ten zaś dowiedziawszy się, że ona ma męża-inżyniera powiedział, że od tego męża można wydobyć alimenty, nawet zaległe za dziesięć lat, to będzie miała forsy na adwokata, koszta sądowe i grzywnę.

Znalazła Stanisława W. przez biuro adresowe i pojechała doń bez zwłoki. Nie było go w domu. Zastała tylko młodą panią, bardzo brudną, bo malarzkę. Ale mieszkanie było piękne. „Męża nie ma” - powiedziała ta pani, a Olga W. nic się nie odezwała, tylko sobie poszła, stanęła pod domem, jak za jego studenckich Jat i starym swoim zwyczajem czekała, aż się doczekała. Poznał ją, zabrał do kawiarni, powiedział, że grosza nie da. On się paserstwem nie zajmował, to nie on będzie za to odpowiadał. Zapytała, jakim cudem ma żonę-malarzkę, skoro jest ożeniony z nią, Olę W. „To nie żona, tylko z nią mieszkam”. Kiedy rozstali się, obejrzała listę lokatorów. Mieszkanie było na jej nazwisko, a nosiła nazwisko - W.

Adwokat Olgi W. zaprosił na rozmowę Stanisława W. Powiedział mu, że ma zamiar wystąpić do sądu o alimenty, ale może on dobrowolnie określiłby kwotę? Stanisław W. oświadczył, że nie da forsy. Adwokat na to, że wobec tego sąd tym się zajmie.

Wspomniał wszakże, że może sprawa zainteresuje nie tylko sąd, ale i prokuraturę, bo on rozmawiał z dwiema paniami i każda mieniła się być poślubioną Stanisławowi W. A rozwodu nie było. Bigamia?

Właśnie Olgę W. wezwał na przesłuchanie prokurator w tej jej sprawie o paserstwo, więc przy okazji powiedziała o swoim mężu. Wezwany na przesłuchanie inż. Stanisław W., naczelnik w zjednoczeniu przemysłowym, oświadczył, że jego była żona jest nędzną kryminalistką, która usiłowała go szantażować. Oczywiście on wpierw otrzymał w sądzie rozwód, a dopiero później powtórnie się ożenił. Złożył formalne zeznanie o tym, że Olga W. żądała odeń 200 tysięcy. Pokazał orzeczenie o rozwodzie.

Olga W. odpowiedziała, jak to było z tym rozwodem. Wzięto akta sprawy. Wynikało z nich, że odbyła się druga rozprawa, na której Olga W. wyraziła zgodę na rozwód i został on orzeczony, a także określona była kwota alimentów, których ona później nie egzekwowała. Znowu wezwano Olgę W.: „Zeznawała pani nieprawdziwie! Do tego sprawa o paserstwo, podejrzenie o szantaż. Wygląda raczej na to, że trzeba panią zamknąć”. Olga W. upierała się, że nie stawała drugi raz przed sądem, nie mówiła, że zgadza się na rozwód. Wszystko, co jej czytają z protokołu rozprawy, jest zmyśleniem. Przesłuchują potem jej adwokata, który zaświadcza, że Stanisław W. gotów był płacić za nie-zawiadamianie prokuratury o bigamii. -I jeszcze jedna dziwna okoliczność. Wedle protokołu ze sprawy rozwodowej, tej merytorycznej, Olga W. mówiła o mężu dziwnym, nieswoim językiem: „neurastenik”, „konflikt osobowości”. Druga rozprawa odbyła się dopiero w osiem miesięcy po pierwszej.

Komplet sędzący i protokółantka są wezwani jako świadkowie. Pokazują im Stanisława W. i Olgę W. Nikt z tych czworga nie poznaje ani jego, ani jej. Tyle lat! Tyle w międzyczasie twarzy na sądowych salach. Adwokat Stanisława W. poznaje natomiast swojego klienta i stwierdza, że Olga W. nie jest tą osobą, z którą dwukrotnie przed sprawą rozmawiał, jako z jego żoną Olgą W. i która w tym charakterze występowała przed sądem.

Stanisław W. zostaje aresztowany i przyznaje się do winy. Kiedy poznał swoją obecną żonę, malarkę, przedstawił się jej jako rozwodnik. Postanowili się pobrać. Trwały przygotowania do ślubu. Jej ojciec miał kupić im mieszkanie. Musiał więc uzyskać rozwód, a z Olgą W. nie było dyskusji. Przyjaciel mu poradził: sam rozwodził się niedawno i na drugiej rozprawie nie żądano już od stron dowodu osobistego. Wystarczy tylko spowodować długą przerwę między pierwszą a drugą sprawą, żeby sąd nie pamiętał twarzy. W charakterze Olgi W. przed sądem na drugiej rozprawie rozwodowej wystąpiła Wanda tego samego nazwiska, rodzona siostra Stanisława W.

Magazyn manekinów

Na bliskiej centrum miasta ulicy, w porze szczytowego ruchu przechodniów spadła z nieba naga dziewczyna i legła na trotuarze, krwawiąc i jęcząc. Ktoś ją przykrył płaszczem, ktoś wezwał pogotowie. W szpitalu stwierdzono złamanie nogi i potłuczenie głowy. Zaraz po wypadku przybyła także milicja, która ustaliła, że dziewczyna wypadła lub wyskoczyła z wysokiego, pierwszego piętra, gdzie mieści się pracownia projektowa i krawiecka salonu mody. Na górze nikogo nie zastano. Obecne w pracy trzy członkinie personelu: woźna i sprzątaczkę, niczego nie widziały i nie słyszały, gdyż były w tym czasie na parterze, w pomieszczeniu od podwórza służącym do parzenia kawy i herbaty. Garderoba desperatki leżała w opustoszałej sali krawieckiej. Okno tu było otwarte. Żadnych śladów walki czy libacji.

Ustalono, że desperatka jest etatową modelką tej firmy, nazywa się Danuta P. i ma 19 lat. Leżąc w szpitalu dziewczyna nie chciała powiedzieć, co się stało. Ponieważ na nagabywania milicji reagowała spazmami, lekarze zakazali ją przesłuchiwać.

Dozorczyńni budynku opowiedziała milicji, że kiedy stała w tłumie gapiów, otaczających leżącą na trotuarze Danutę P., spostrzegła wychodzącego z budynku Eugeniusza Z., mistrza krawieckiego. 43-letni E. pracuje w tej sali, gdzie znaleziono garderobę dziewczyny. Jego zachowanie wydało się dozorczyńni dziwne, ponieważ mistrz nie podszedł popatrzeć, co to za zbiegowisko, a przecież taki jest normalny odruch człowieka, tylko nie zwracając na nic uwagi szybko pomaszerował ulicą.

Zapytany o to, czy wie, co się zdarzyło około wpół do piątej w firmie, w której pracuje, Eugeniusz Z. odpowiedział, że i owszem. Wie, że Danuta P. skoczyła na ulicę i jest nawet mimowolnym sprawcą tego nieszczęścia. Dlatego właśnie tak się przeraził, że uciekł do domu.

Kilkanaście dni wcześniej Danuta P. wyszła za męża. Dał 30 złotych na składkowy prezent ślubny od personelu i jeszcze indywidualnie kupił kwiaty. Był na ślubie. Dlatego też ogromnie go oburzyło, kiedy zobaczył to, co zobaczył po godzinie szesnastej. Został w pracy chwilę dłużej i wszedł do pomieszczenia, które jest magazynem manekinów krawieckich i w ogóle rupieciarnią. Połyszał, że coś tam się rusza i w zasłoniętym kącie przyłapał Danutę P. in flagranti z pracującym u nich plastykiem-projektantem Stanisławem Ch. Bardzo go oburzyło, że mało co po ślubie, w miejscu pracy, takie rzeczy. Zamknął ich od zewnątrz na klucz i zawołał przez drzwi do dziewczyny, że zaraz dzwoni do jej męża, żeby przyszedł i sobie pooglądał, co ona robi. W rzeczywistości nigdzie nie miał zamiaru dzwonić, bo to nie jego sprawa i nie telefonował. Chciał tylko postraszyć.

Kochankowie dobijali się do drzwi, ale nie reagował. Nagle usłyszał z ulicy krzyk. Przez okno zobaczył, co się stało. Przerażony tym, że to za jego sprawą dziewczyna ze strachu wyskoczyła przez okno, zabrał się do domu. Był strasznie roztrzęsiony nerwowo.

Zapytano mistrza, dlaczego wobec tego rzeczy desperatki znaleziono w sali krawieckiej, a nie w pokoju, w którym przyłapał ją z amantem. Przecież nie rozebrała się w jednym pokoju, żeby nago powędrować korytarzem do drugiego na randkę z plastykiem. Eugeniusz Z. odparł, że nie wie, ale specyfika miejsca pracy jest taka, że i to jest możliwe. Modelki specjalnie się nie krępują personelu. Krawcy są jak lekarze. Praca u nich rozbierana. Najpewniej jednak jej rzeczy przeniósł Stanisław Ch. Po wypadku zaczął on walić w drzwi i krzyczał, że Danka skoczyła, więc mistrz go wypuścił. Pewnie plastik chciał zatrzeć ślady randki w magazynie i stworzyć wrażenie, że dziewczyna normalnie w sali krawieckiej rozebrała się do pracy i stamtąd skoczyła.

Milicja ustaliła, że Danuta P. skakała istotnie z okna magazynu manekinów. Natomiast nie udało jej się przesłuchać Stanisława Ch. W domu go nie było do późnej nocy. Nazajutrz nie przyszedł do pracy. Próby spotkania go w salonie mód lub w mieszkaniu w następnych dniach także spełzły na niczym. Gość dał nogę. Widocznie bał się męża dziewczyny. Natomiast zjawił się z wizytą w szpitalu u Danuty P. Milicja dowiedziała się o tym po fakcie. Poszukiwań nie rozpoczęto, uznając, że gość ochłonie z bojaźni i przecież wróci do domu lub pracy. Nie było powodu, żeby go podejrzewać o to, że wyrzucił ukochaną przez okno i ukrywa się w strachu przed odpowiedzialnością.

W końcu milicji pozwolono przesłuchać Danutę P. Nie była rozmowna. Dla zachęcenia do zwierzeń oficer milicji, zresztą kobieta, opowiedziała jej, co prowadzący dochodzenie wiedzą o zdarzeniach pamiętnego popołudnia. Danuta P. zaczęła wówczas gadać. Energicznie zaprzeczyła wszystkiemu. Eugeniusz Z. kłamie!

Tego dnia, kiedy personel krawiecki zakończył pracę, została w pracowni, bo chciała zwięzić sobie bluzkę na maszynie. Eugeniusz Z. zamiast iść do domu wdał się z nią w rozmowę, a kiedy zostali sami, począł się do niej dostawiać coraz bardziej obcesowo. Czują do tego człowieka szczególne obrzydzenie, ponieważ już kilkakrotnie się do niej przystawiał, a nawet usiłował ją szantażować. Swego czasu groził mianowicie, że oskarży ją o kradzież, jeśli nie przyjmie jego zalotów. W rzeczywistości brała tylko ścinki materiału, żeby uszyć sobie cygańską suknię z różnokolorowych resztek. W zasadzie nie wolno tego brać, ale cóż to komu szkodzi?

Tamtego popołudnia, kiedy Eugeniusz Z. zauważył, że jego namowy zawodzą,

począł się do niej dobierać siłą. Uciekła przed nim do magazynu manekinów. Pobiegł tam za nią, obalił ją na podłogę, ściągnął z niej sukienkę i bieliznę, groził, że zamknie ją na klucz, zadzwoni do męża i oskarży Bóg wie o co. Potem zrobił zdecydowany użytek ze swojej fizycznej przewagi. Wyrwała się ostatkiem sił i wiele nie myśląc, ratowała skokiem przez okno. Bujdą jest, że romansowała w magazynie ze Stanisławem Ch. Nie wie, dlaczego on zniknął. W ogóle go nie było przy całej tej hecy. Początkowo nie chciała zeznawać, gdyż było jej wstyd. To nie jest przyjemne dla dziewczyny opowiadać takie rzeczy i narażać się na stawanie przed sądem.

Eugeniusza Z. aresztowano. Upierał się przy swojej wersji: ale jego sprawy dobrze nie szły. Dochodzenie przeprowadzone w salonie mód potwierdziło, że wciąż napastował w niewybredny sposób tę całkowicie mu niechętną dziewczynę. Że założył się z kolegami o wódkę, iż znajdzie sposób, żeby ją zaliczyć i rzeczywiście uciekał się do szantażowania. Groził, że oskarży ją o kradzież.

Przypuszczano, że po tym jak dziewczyna skoczyła przez okno, zabrał jej rzeczy do sali krawieckiej, zamknął skład manekinów na klucz. Po prostu gorączkowo robił co popadło, żeby zatrzeć ślady, pogmatwać śledztwo.

Wszystko więc składało się w zwartą logicznie całość i można by Eugeniusza Z. oskarżyć, gdyby nie wyrazista luka w materiale dowodowym: dlaczego Stanisław Ch. ciągle się ukrywa?

Stwierdzono, że powtórnie odwiedził Danutę P. w szpitalu. Dziewczyna wykręcała się od odpowiedzi, o czym rozmawiali. Kolega z pracy - twierdziła - zwyczajnie wpadł raz i drugi ją odwiedzić. Nie on jeden przecież...

Stanisław Ch. posłał do dyrekcji list z prośbą o udzielenie mu miesięcznego urlopu wypoczynkowego z datą wsteczną. Uznano, że nie będzie sensowne szukanie go po całej Polsce. Pewno za miesiąc wróci. Dokładnie po trzydziestu dniach od chwili, kiedy nie zjawił się w pracy, wywiadowca zastał go w domu przy rozpakowywaniu walizek. Stanisław Ch. podał trzecią, prawdziwą wersję zdarzeń.

Uciekł, skrył się, wyjechał - objaśnił milicję, bo nie wiedział, co zeznawać. Danuta P. błagała go, żeby zaprzeczył, że w ogóle pamiętnego dnia między szesnastą a szesnastą trzydzieści był w lokalu pracowni projektowej i krawieckiej salonu mód i by wyparł się, że cokolwiek go z nią łączyło. Danuta P. ledwo co wyszła za męża i bała się, że jeśli cała prawda wyjdzie na jaw, natychmiast rozleci się jej małżeństwo. Ze strachu przed tym właśnie skakała przez okno i w szpitalu, namawiając go do świadczenia nieprawdy, znów groziła: „w szpitalu też są okna”. Nie mógł brać na siebie takiego ryzyka. Ale z drugiej strony nie może dopuścić do tego, żeby ten łajdak Eugeniusz Z. został niesłusznie skazany za gwałt. Tego nie potrafi wziąć na swoje sumienie i dlatego zdecydował się zeznawać prawdziwie,

a nie tak, jak obiecał Danucie P.

Romansuje z tą dziewczyną od kilku miesięcy. Jej ślub nic im nie przeszkodził. Tamtego popołudnia pewni, że nikogo już nie ma na całym piętrze skryli się w magazynie manekinów. Nagle włął tam Eugeniusz Z. i nim Stanisław Ch. zdążył temu zapobiec, zabrał ich ubrania, zamknął magazyn od zewnątrz na klucz i powiedział przez drzwi, że albo Danka zgodzi się teraz z nim z kolei pofiglować, albo zaraz dzwoni do jej męża. Niech sobie ją obejrzy nagą, z kochankiem. Walili jak oszaleli w drzwi, ale mistrz Z. w ogóle nie reagował. Danuta P. poczęła histeryzować, że zaraz nadejdzie jej mąż. Skoczyła przez okno, nim Stanisław Ch. zdołał ją powstrzymać.

Wtedy dopiero Eugeniusz Z. wypuścił go z zamknięcia. Stanisław Ch. wezwał telefonicznie pogotowie, ubrał się i zbiegł na dół. Pojechał do szpitala. Potem zdecydował się przemocować u przyjaciół i nie poszedł do pracy. Bał się, że mąż Danuty P. już o wszystkim wie. Wolał uniknąć spotkania. Potem w szpitalu prosiła go, żeby fałszywie zeznawał. Bał się kłamać milicji, bał się, że jeśli jej nie posłucha - ona znów zrobi głupstwo. Wybrał trzecie wyjście. Wyjechał.

Eugeniusza Z. nie postawiono przed sądem, ale zwolniono z aresztu umarzając sprawę. Oskarżenie o gwałt upadło, zaś nie było podstaw obwinienia go o szantaż, mający na celu wyłudzenie od Danuty P. świadczeń erotycznych. Eugeniusz Z. zamknął kochanków na klucz, ale nie czynił żadnych kroków, żeby od dziewczyny uzyskać zapłatę w naturze za niedzwonienie do jej męża. Raczej tworzył pozory tego, że już stało się, że zadzwonił. „Pofigluj teraz ze mną, bo zadzwonię do męża, żeby przyjechał” - owszem, tak powiedział, ale zaraz odszedł od drzwi.

Więzienia nie są dla świń, tylko dla przestępców.

Motyw zbrodni

We wtorek, trzynastego czerwca o godzinie 12.48 sekretarka dyrektora fabryki „Wiefara” w G. zobaczyła szefa leżącego na podłodze i pokrwawionego. Wybiegła na korytarz z histerycznym krzykiem: „Dyrektora zabili!” Skąd wiedziała, że nie żyje i że ktoś go zabił - dociekała milicja. Przecież tylko spojrzała na dyrektora od drzwi i zaraz zaczęła krzyczeć. Sekretarka, Wanda B., pani lat 58, od szesnastu na tej posadzie (przettrzymała siedmiu kolejnych dyrektorów), opowiedziała, że poznała, iż nie żyje, ponieważ dyrektor się nie ruszał. Domyśliła się, że został zabity, gdyż był cały pokrwawiony i na dywanie koło niego leżał umazany krwią sputnik. Ten ciężki, metalowy model sputnika na postumencie zawsze stał na dyrektorskim biurku. Zresztą, dużo wtedy nie myślała. Od razu, jak to zobaczyła, wybiegła z gabinetu i zaczęła krzyczeć. Nie zastanawiała się, co krzyczy.

46-letni inżynier Bogdan W. istotnie został zabity w swoim gabinecie. Zginął od uderzenia ciężkim przedmiotem w głowę. Wiefara jest zakładem zatrudniającym 650 pracowników. Kierował nim od niespełna trzech lat. Czy miał wrogów? W aktach zachowała się odpowiedź na ten temat naczelnego inżyniera, mającego pokój naprzeciw dyrektorskiego gabinetu oraz wspólny z nim sekretariat i sekretarkę: „Człowiek na tym stanowisku nie ma w zakładzie wrogów, bo nikt się nie ujawni w ten sposób. Ale co drugi człowiek coś musi mieć przeciw dyrektorowi. To normalne”.

Mniej więcej kwadrans po dwunastej skończyła się w gabinecie dyrektora narada z działem zaopatrzenia. Bogdan W. przeżył ją z całą pewnością. Wyszedł do sekretariatu razem z czterema uczestnikami posiedzenia, kończył rozmawiać, był w dobrej formie, bo krzyczał.

Sekretarka zadzwoniła do głównego księgowego, że szef już jest wolny, bo główny księgowy był zapisany do dyrektora na dwunastą. Przyszli we trzech: główny księgowy, kierownik działu finansowego Józef M. i jego zastępca Antoni F. Siedzieli jakieś dwadzieścia minut i wyszli całą trójką. Była to mniej więcej godzina 12.35. Zaraz potem był do dyrektora telefon z miasta i sekretarka zaświadcza, że podniósł słuchawkę i rozmawiał, więc jeszcze żył. Pamięta, kto dzwonił. Rzecz jest do sprawdzenia. W trakcie trwania tej rozmowy, a może po jej skończeniu do sekretariatu wrócił Antoni F., zastępca kierownika działu finansowego. Powiedział, że ma jeszcze słowo do dyrektora. Sekretarka przez telefon zapytała dyrektora, czy go przyjmie. Bogdan W. odpowiedział że nie, więc nadal żył. „Dyrektor nie ma teraz czasu” - oznajmiła interesantowi. Poza Antonim F. naczelnym inżynierem, który był w tym momencie w sekretariacie, widział i słyszał, że Wanda B. rozmawia z szefem. Potem obaj wyszli z pokoju, gdzie pracuje sekretarka

i ta została sama. Musiała już być 12.37. Dyrektor więcej się nie odezwał. Chyba z dziesięć minut nic się nie działo. Potem zadzwonił telefon z miasta. Wanda B. nacisnęła guzik w swoim aparacie chcąc zaanonsować dyrektorowi rozmowę, ale nie podnosił słuchawki. Zajrzała wobec tego do gabinetu i ujrzała szefa leżącego we krwi na dywanie. A sputnik koło niego.

- Jak to się mogło zdarzyć, skoro nikogo w gabinecie nie było, nikt tam nie wchodził? Przecież dyrektor nie wziął tego sputnika i nie tłukł się nim własnoręcznie w głowę tak długo, aż umarł! - powiedziano pani B. - Są trzy możliwości: albo ona zabiła dyrektora, albo ktoś wszedł do gabinetu w trakcie krytycznych dziesięciu minut i ona tego kogoś osłania, albo ona jednak między 12.25 a 12.45 wychodziła z sekretariatu i w tym czasie ktoś, kogo nie widziała, wszedł, zabił i wyszedł. Wanda B. wykluczyła wszystkie trzy możliwości, ale nie potrafiła podać jakiejś czwartej. „Skoro nie ma czwartej, to znaczy, że pani kłamie” - oświadczyła milicja, ale badała także różne inne, istniejące jednak, możliwości. Więc po pierwsze, że dyrektor upadł, uderzył się i zabił. Wersję nieszczęśliwego wypadku wkrótce jednak wykluczono. Po drugie, że sprawca wszedł nie przez sekretariat. Biuro dykcji położone jest na pierwszym piętrze, ale jest to wysokie piętro. Biurowiec mieści się bowiem w starych fabrycznych zabudowaniach. Można, oczywiście, dostać się do gabinetu przez okno po drabinie albo spuścić się po linie z drugiego piętra. Okno zresztą było przez cały czas, od samego rana, otwarte. Ale wychodzi ono na wewnątrzfabryczny dziedziniec, gdzie kręci się kupa ludzi. Ktoś musiałby zauważyć takiego magika z drabiną lub linoskoczka. Były także drugie drzwi. Zamknięte na głucho, pozbawione klamek, obite ceratą drzwi wiodące z gabinetu wprost na korytarz. Ale od kiedy przed laty przemeblowano gabinet, nikt tych drzwi nie otwierał.

Teraz ślady. Na sputniku, który przypuszczalnie był narzędziem zbrodni, wyraźne były tylko ślady palców sprzątaczk, która rano zawsze wyciera kurz na biurku.

Przesłuchiowano wszystkich pracowników biur na tym piętrze i ludzi, którzy w tym czasie chodzili po podwórzu. Klucz do rozwiązania zagadki posiadała - sądzono - jednak chyba Wanda B., która niczego, twierdzi, nie widziała, niczego nawet nie słyszała, a przecież trudno przypuścić, że dyrektor w milczeniu dał się zabić. Głos zaś dociera z gabinetu do sekretarki nawet przez materac, którym obite są drzwi. Szukano więc motywu zbrodni i równocześnie człowieka, którego związki z Wandą B. są tego rodzaju, iż chciałaby go kryć. Sekretarka, jeśli się jednak z kimś przyjaźniła, to z dwiema czy trzema urzędniczkami, a kobiety nie wchodziły w rachubę.

Sylwetka Wandy B. rysowała się nieciekawie jak na zbrodniarkę lub współniczkę mordercy. Żona stolarza mającego prywatny warsztat. Pracę zaczęła, kiedy jej dzieci usamodzielniały się. Ma maturę. Pani dosyć bezbarwna, w żadnych konfliktach

i rozróżbach nie uczestnicząca.

Przed prowadzącymi śledztwo jawiła się straszna perspektywa: w biały dzień, niemal w samo południe, w centrum fabryki o kilkusetosobowej załodze, w gabinecie strzeżonym przez sekretarkę i okolonym mrowiem pracujących w sąsiedztwie ludzi zabity zostaje dyrektor, co jest zdarzeniem więcej niż niecodziennym. I oto wszystko wskazuje na to, że sprawca nie zostanie wykryty. A w całym G. plotki szaleją: że mąż kochanki, że sprawa polityczna, że dyrektor kradł i wspólnik go załatwił.

Morderca jakby wyczuł, że organy śledcze są w trudnej sytuacji i potrzebują pomocy. Dziewiątego dnia po śmierci dyrektora „Wiefary” Bogdana W. sam zgłosił się na milicję. Przyszedł od razu z walizeczką: pidżama, sweter, czekolada, papierosy, książka Meissnera, zapasowe skarpetki, dużo, dużo różnych lekarstw: na serce i uspokajających. Powiedział, że przywiódł go na milicję niepokój sumienia. „To było niechcący” - zapewnił.

Za półtora miesiąca kończy 64 lata - zaczął opowieść. Od emerytury dzieli go rok i te półtora miesiąca. W zakładzie pracuje od 26 lat, od kiedy tylko ruszyła produkcja. Przed wojną był urzędnikiem w banku. Skończył gimnazjum handlowe i kurs bankowości. Nazywa się Antoni F., od dziewięciu lat zajmuje stanowisko zastępcy kierownika wydziału finansowego „Wiefary”.

Na trzy tygodnie przed zdarzeniem dyrektor zawiadomił go, że zostanie przesunięty na stanowisko zastępcy kierownika działu administracyjnego z zachowaniem obecnego uposażenia. Przeniesienie motywowane jest tym, że za rok główny księgowy przechodzi na emeryturę i dotychczasowy kierownik działu finansowego przewidziany jest na stanowisko głównego księgowego. Wobec tego już teraz trzeba kierownikowi dać innego zastępcę, młodszego, wykształconego, żeby poznał robotę i mógł objąć potem funkcję kierownika. Trafił się taki kandydat, a właściwie kandydatka po studiach wyższych ekonomicznych i z praktyką w księgowości. „W dziale administracyjnym pan spokojnie doczeka emerytury”.

Antoni F. odmówił. Nie jest rupieciem, żeby go przesunąć, aby zwolnić stanowisko dla jakiejś smarkuli! Zęby zjadł na sprawach finansowych i nie będzie na starość wciągał się w nową robotę. Zresztą między finansowym a administracyjnym jest taka różnica, jak między frontem a taborami. On się nie zgadza, a wymówić mu nie mają prawa, jest przed emeryturą, więc chroniony ustawą. Cała załoga go zna, wie, że jest mózgiem fabrycznych finansów. Nie będzie się zajmował kupowaniem papieru toaletowego do wychodków!

Dyrektor powiedział, że to konieczność. Antoni F. zaczął chodzić do różnych władz na skargę. Pisał także listy, również do Warszawy. „Własnymi rękami dźwigałem zakład pracy”. Dyrektor wściekł się i zaczął mu grozić, że jak doprowadzi go do

ostateczności, to on już znajdzie na Antoniego F. taki paragraf, że na rok przed emeryturą będzie chodził po mieście i szukał pracy. Gdyby każdy urzędnik przesunięty z jednego działu do drugiego stawiał na nogi ministerstwo, w Polsce byłby zupełny chaos. Tu już nie chodzi o Antoniego F. tylko o to, czy dyrektor fabryki może przesunąć urzędnika do innej, równorzędnej pracy, czy nawet to jest niemożliwe (w sprawę Antoniego F. wglądać zaczęły różne wysokie czynniki, dyrektor codziennie musiał coraz to komuś innemu tłumaczyć sens swojego postępowania i był już w szewskiej pasji).

13 czerwca upływał trzynasty dzień od chwili, kiedy dyrektor podjął finałową wojnę psychologiczną z zastępcą kierownika działu finansowego. Przestał on otrzymywać cokolwiek do roboty. Omijały go wszystkie sprawy i papiery. Siedział za biurkiem po osiem godzin i demonstrował. To znaczy, nie czytał gazety, nie pił herbaty, nie odzywał się do nikogo - siedział, patrzył przed siebie. To trwało trzynaście dni, odliczając niedziele i myślano, że zwariował. 13 czerwca w południe Antoni F. był bliski zwycięstwa. Jego bezpośredni przełożeni: główny księgowy i kierownik działu zamówili się wraz z nim do dyrektora, żeby przedstawić mu nową koncepcję rozwiązania sprawy; Antoni F. do emerytury zostanie na swoim stanowisku, a tę panią, która ma zostać kierowniczką sekcji, tam się przyuczy, a później awansuje na samodzielnego szefa działu finansowego. Dyrektor nie chciał ich słuchać. Uparł się, zawział: postawi na swoim - powiedział. Albo Antoni F. pójdzie do działu administracyjnego, albo za bramę. A jeśli ministerstwo, komitet czy ktokolwiek zdecyduje inaczej, to on - dyrektor, z miejsca odchodzi. Dosyć tego skakania mu po głowie.

Wyszli z gabinetu. Antoni F. po chwili wrócił do dyrektorskiego sekretariatu. Jeszcze czegoś nie spróbował: po prostu po ludzku nie powiedział, że on dyrektora prosi. Uświadomił sobie, że tego właśnie w ogóle przez cały czas nie powiedział i chciał wypróbować tę szansę. Sekretarka nie wpuściła go do gabinetu. A on był przekonany, że jeśli poprosi - to poskutkuje.

Pamiętał, że klucz i klamka od drugich drzwi gabinetu, wychodzących wprost na korytarz, leżą w szafie, gdzie sprzątaczkę trzymają swoje szmaty i proszki do czyszczenia. Tam go sekretarka nie zatrzyma. Otworzył drzwi gabinetu - te z korytarza - wszedł do dyrektora. Chciał naprawdę tylko prosić. Na jego widok dyrektor skoczył zza biurka jak zwierzę. Antoniemu F. zdawało się, że go pobije. „Każę was siłą wyrzucić za bramę. Potem niech mnie zdejmują”. Antoni F. poczuł przestrasz i nienawiść. Dyrektor szedł na niego. Walnął go kilka razy klamką w głowę.

Skąd sputnik wziął się na podłodze, tego Antoni F. nie wie. Wyszedł tą samą drogą. Gdy wracał później do domu, poczuł, że klamka ciąży mu w kieszeni. Wyrzucił ją

do ścieku razem z kluczem. Nie umie powiedzieć, dlaczego to się stało. Szedł prosić, nie zabijać.

W sprawozdaniach z procesu po prostu napisano, że urzędnik zabił dyrektora, gdyż nie chciał być przeniesiony do innego działu na równorzędne stanowisko i była to relacja ścisła.

Nowy obywatel

Było to jedno z tych zdarzeń, które stanowią największy koszmar, jaki w ogóle może się trafić w życiu urzędników. Polski specjalista Marcin M. wrócił wraz z żoną do Polski po czteroletnim pobycie w Afryce. Tu zjawił się w urzędzie stanu cywilnego i oświadczył, że w drodze z Afryki do kraju, którą odbywał kombinowanymi środkami lokomocji: promem, statkiem i samochodem - jego żona powiła dziecko płci męskiej, które właśnie pragnie zarejestrować. Poród miał nastąpić na wodach międzynarodowych, na pokładzie promu płynącego pod banderą jednego z państw wschodnioafrykańskich, a kursującego między dwoma krajami tego kontynentu. Poród odebrał przypadkowo obecny na pokładzie lekarz o nie ustalonym kraju pochodzenia, który wydał w tej sprawie odrębne zaświadczenie, napisane po arabsku. Fakt przyjścia na świat dziecka potwierdza także kapitan promu w piśmie odręcznym, pozbawionym pieczęci i napisanym w miejscowym języku. Do dokumentu dołączono tłumaczenie angielskie. Jego zgodność z oryginałem potwierdził tenże kapitan.

Polski urząd wpada w panikę, bo oczywiście żadne przepisy nie pasują do tego przypadku. Rejestracja bardzo się przeciąga, gdyż sprawa wędruje do Warszawy i dopiero stamtąd przychodzi polecenie, żeby zarejestrować dziecko na podstawie takich dokumentów, jakie istnieją, bo żadnych innych niepodobna zdobyć, a człowiek (którym w urzędowym spraw rozumieniu jest także dziecko) nie ma prawa żyć, jeśli jego istnienia władze nie przyjęły do wiadomości, potwierdzając to adnotacją w odpowiedniej księdze, w arkuszu statystycznym i dokumencie metrykalnym. Polska Rzeczpospolita Ludowa stwierdziła dnia 16 lutego 1964 roku, że piątego grudnia 1963 r. przyszedł na świat Stanisław, syn Marcina i Ludwika M., obywatel polski. Nie wiemy, jakie wpisano mu miejsce urodzenia.

Inżynier M. z rodziną mieszka w niewielkim, 50-tysięcznym mieście. Nikt z jego otoczenia nie znał treści metryki ani wersji urzędowej przyjścia na świat Stanisława M. Inżynier pilnie ją skrywał, czemu nie dziwota, gdyż w lutym 1964 roku trzymiesięczne wedle dokumentów dziecko jeździło już po ulicy na trzykołowym rowerku, trajlowało z innymi dziećmi i wyglądało na to, że ma cztery lub pięć lat. Sensację wzbudziła wszakże nie chwackość niemowlęcia (bo jego urzędowego wieku nikt nie znał), tylko coś stokroć bardziej szokującego. To było najczarniejsze z czarnych, murzyńskie dziecko. Marcin W. wyjaśniał krewnym i znajomym, że owego ciemnoskórego Stasia powiła w Afryce jego żona, jest to więc ich dziecko w prawnym i uczuciowym sensie. W prawnym - bo zrodzone w małżeństwie. W uczuciowym, gdyż pan M. przyjął je za swoje. Całe miasto szumiało na ten temat, że Ludwika M. puściła się z Murzynem i przyprawiła mężowi wyjątkowo wyraziste, szczególnie widoczne i nadzwyczaj jaskrawe rogi

Stanisław M. stał się lokalną osobliwością, ale taką, do której wszyscy szybko przywykli. Dziecko uczęszczało do przedszkola, potem do szkoły, mówiło tylko po polsku, niczym poza kolorem skóry nie różniło się od rówieśników. Po jakimś czasie już tylko przyjezdnych epatowało to, że coś czarnego biega po ulicy i wrzeszczy: „te oddaj piłkę, bo powiem tatusiowi, to ci nogi z d... powyrywa”. Kiedy Stanisław M. poszedł do szkoły, objaśnił kolegów, że jest takim samym Polakiem jak wszyscy, tylko kiedy się urodził, tatuś i mamusia byli w Afryce, zaś dzieci, które tam się rodzą, są czarne. Jego wiedzy o genetyce nikt oczywiście nie spieszył wzbogacać.

Początek kłopotów ze Stanisławem M. datuje się właśnie od momentu zapisania go do szkoły, która wzbraniała się przed przyjęciem trzyletniego wedle dokumentów dziecka. Inż. Marcin M. przyprowadził syna do inspektoratu, pokazał, że wygląda on na dobre osiem lat i upierał się, iż przy wystawianiu metryki popełniono omyłkę w dacie urodzenia. Ewidentnie trzyletnie dziecko przyjęto warunkowo, ale jego papiery powędrowały do odpowiedniej komórki w radzie narodowej dla sprostowania daty urodzenia i tam ugrzęzły na rokco najmniej. Po roku władze doszły do wniosku, że inż. Marcin M. złożył oświadczenie i podanie o treści wzajemnie wykluczającej się: jeśli twierdzi, że jego syn skończył obecnie osiem lat, to nie mógł urodzić się 5 grudnia 1963 roku w drodze z Afryki do Polski, ale musiał urodzić się trzy lata wcześniej, zapewne na lądzie, więc oświadczenie Marcina M. i zaświadczenia będące podstawą wydania dziecku metryki są fałszywe. Zwrócono się o pomoc do polskiej placówki konsularnej w odpowiednim kraju afrykańskim z prośbą, by ustaliła kiedy i gdzie Ludwika M. naprawdę powiła dziecko.

Stanisław M. kończył już drugą klasę szkoły podstawowej, kiedy nadeszła odpowiedź: kierownik wydziału konsularnego zawiadamiał, że polska placówka nic nie wie o powiciu przez Ludwikę M. dziecka w czasie, kiedy wraz z mężem przebywała ona w owym afrykańskim kraju. Również tamtejsza instytucja prowadząca akta ewidencjonujące urodzenia nie odnajduje śladu powicia dziecka przez żonę polskiego inżyniera M. Konsul dodaje od siebie, że liczba obywateli polskich, którzy w owym czasie zamieszkiwali ten kraj nie przekracza kilkunastu rodzin, więc gdyby pani M. była brzemienna i rodziła dziecko, polski personel dyplomatyczny i konsularny po prostu prywatnie by o tym wiedział. Konkluzja: Ludwika M. nie urodziła żadnego dziecka w czasie swego z mężem pobytu w Afryce, ani w drodze do kraju. W związku z pytaniami w tej sprawie, jakie polski konsul skierował oficjalnie do władz miejscowych, wdrożono tam policyjne śledztwo. O jego wynikach przedstawicielstwo konsularne będzie poinformowane i wtedy zawiadomi odpowiednie władze polskie w Warszawie.

Stanisław M. zaczął uczęszczać do trzeciej klasy szkoły podstawowej, kiedy

w kraju, gdzie się urodził, tajemnica jego pochodzenia została wyświetlona i stała się przedmiotem międzynarodowej afery kryminalnej. Otóż policja kraju, gdzie państwo M. mieszkali przez kilka lat, stwierdziła, że Ludwika i Marcin M. są podejrzani o porwanie dziecka, syna takich a takich obywateli miejscowych, którzy w stosownym czasie zawiadomili zresztą policję. Są też podejrzani o potajemne wywiezienie go. Wobec tego żąda się natychmiastowego zwrotu dziecka i ekstradycji obojga kidnaperów.

Teraz państwo M. przesłuchiwani są przez milicję i wyznają prawdę stanowiącą potwierdzenie domniemań afrykańskiego państwa. Oto co zeznali: w Afryce mieszkali w willi otoczonej ogrodem pozbawionym wszakże ogrodzenia. Do ich ogrodu bardzo często przychodziły różne tamtejsze dzieci. Państwo M. są wbrew swojej woli bezdzietni, przepadają zaś za dziećmi i tamtejsza dzieciarnia zorientowała się, że jest mile widziana w ogrodzie państwa M., gdzie ma do dyspozycji huśtawkę, basenik kąpielowy, psa, słodycze i inne atrakcje. Państwo M. mieli swoich stałych małych gości. Czasem te ich zaprzyjaźnione dzieci sprowadzały ze sobą inne. Część rodziców swoich gości inżynierostwo M. znali, część nie. Najmniejszym spośród dzieci, które ich odwiedzały w ostatnim okresie pobytu, był obecny Staś M., wyglądający wówczas na jakieś trzy lata. Przywiązali się bardzo do tego dziecka. Jego rodziców nie znali. Wpierw przyprowadzało go któreś ze starszych dzieci, potem przywędrowywał do nich samodzielnie.

Przed samym wyjazdem państwo M. zajęci byli likwidowaniem mieszkania, pakowaniem i wysyłką rzeczy. Dla dzieci nie mieli już czasu i głowy. Tylko to jedno (już wówczas nazywali je Stasiem) nie odchodziło, ale asystowało w trakcie pakowania i zbijania skrzyń do wysyłki. Wreszcie bagaże zostały wyekspediowane. Zostali tylko z podręcznymi walizkami. Załadowali je do przygotowanego do drogi samochodu i wyszli na ostatnią już godzinę do ogrodu, żeby wypocząć po ekspedycyjnych mozołach. Dziecko było z nimi. Nie mieli wówczas żadnych jeszcze wobec niego zamiarów. Decyzja dojrzała dosłownie w ciągu kilku minut. Inż. Marcin M. włożył walizki do bagażnika, oddał klucze od willi. Na ten widok dziecko wybuchnęło płaczem. I wtedy zdecydowali się po prostu zabrać je ze sobą, nikogo o nic nie pytając i nie mając żadnego planu, w jaki sposób je wywieźć i przez wielki szmat świata przewieźć do Polski.

Z samym wyjazdem nie mieli zbyt dużego kłopotu. W porcie wjechali autem na prom. Skontrolowano ich dokumenty. Ukrytego w aucie dziecka nikt nie zauważył. Dopiero na promie zaczęli gorączkowo myśleć, co dalej robić. Uzyskanie za pieniądze wątpliwej wartości dokumentów, stwierdzających, że pani M. powiła tu dziecko było raczej owocem ich bezradności, braku pomysłu, jak przewieźć dziecko, którego istnienie nie było odnotowane w ich paszportach. Zmienili plan podróży. Postanowili płynąć do Europy statkiem i tam dopiero przesiąść się na

samolot, którym poprzednio zamierzali odlecieć już z Afryki. Linie lotnicze są bardziej skrupulatne w badaniu dokumentów, a policja na lotniskach bardziej dociekliwa niż w porcie, gdzie każdy może wchodzić i wychodzić bez żadnej kontroli, a dziecko w ogóle nie zwraca niczyjej uwagi.

Na samolot Staś M. załadowany został już jako dziecko urodzone w drodze. Nie wyglądał na noworodka, ale nikt go przecież nie oglądał przy wystawianiu biletu. Po prostu osobno zajmowano się dokumentami, a osobno jego niewielką w końcu i nie rzucającą się w oczy osobą. Wwiezienie do Polski, okazało się, też nie nastęrczało trudności.

Po zamknięciu dochodzenia, państwa M. poinformowano jakie będą reperkusje sprawy. Polska odmówi ich ekstradycji i jako polscy obywatele zamieszkali obecnie w Polsce tu odpowiadać będą przed naszym sądem za porwanie dziecka i fałszerstwo dokumentów. Dziecko zwrócone być musi rodzicom prawowitym i przywiezione do kraju pochodzenia.

Zaraz potem dziecko zniknęło. W związku z tym oboje państwo M. zostali aresztowani. Odmówili zdradzenia miejsca ukrycia swego Stasia. Powiedziano im, że zachorują się śmiesznie: chcą w Polsce ukryć przed władzami murzyńskie dziecko?! Bzdura! I rzeczywiście. Już po trzech dniach milicja je znalazła u jakiejś kuzynki pana M. Inżyniera i jego żonę zwolniono z aresztu, ale dziecka już im nie oddano. Po załatwieniu różnych formalności miało ono zostać przewiezione do kraju pochodzenia. Inżynier M. zgłosił się wówczas do władz oświadczając, że pragnie wraz z dzieckiem jechać do Afryki, stanąć przed tamtejszym sądem i próbować załatwić z naturalnymi rodzicami malca kwestię adopcji. Odmówiono mu paszportu, bo oczekuje go rozprawa karna, ale też poinformowano, że taka podróż byłaby sprzeczna z jego interesami. W Afryce czekałby go o wiele cięższy wyrok od tego, którego może się spodziewać w kraju.

Mimo że inżynier i jego żona wydeptali wszystkie możliwe urzędowe ścieżki, odwoływali się do najwyższych czynników i grozili samobójstwem - dziecko, które bezprawnie zabrali, odjechało do swojej ojczyzny. Później odbył się proces małżonków M. Sąd wymierzył pani M. karę półtora roku więzienia, inżynierowi zaś dwa lata więzienia. Wykonanie kary warunkowo zawieszono. Następnie inż. M. otrzymał paszport zagraniczny. Nasze władze uprzedziły go, że po przekroczeniu granic afrykańskiego kraju, w którym ongiś mieszkał, może zostać aresztowany i powtórnie stawać przed sądem i że nie jest wykluczone osadzenie go w więzieniu na długie lata. Mimo to pojechał i wrócił z dziewięcioletnim już teraz chłopcem, zabranym legalnie, za zgodą rodziców, którzy zrozumieli, że de facto przestał on być już ich dzieckiem. Od chwili zabrania Stasia od państwa M. dziecko było w ciężkiej depresji.

Przełaliśmy akta sądowe jednej tylko, ostatniej już związanej z tą historią sprawy sądowej. W postępowaniu niespornym sąd PRL nadał afrykańskiemu dziecku imię Stanisław i nazwisko M.

Takie są w skrócie dzieje wzbogacenia fizjonomicznej kolekcji Polaków o jednego z niewielu obywateli PRL, który jest rdzennym czarnoskórym Afrykaninem.

Auto

W kilka miesięcy po rozwodzie z mężem pani Krystyna B. jęła na drodze sądowej dochodzić swych pretensji do spłaty przez męża połowy wartości jego samochodu. Wóz ów, wyrokiem sądu udzielającego rozwód, zasądzony był niepodzielnie panu Krzysztofowi B. Spóźniony tedy refleks powódka tłumaczyła dwiema okolicznościami. Pierwszą natury psychologicznej: w czasie przewodu rozwodowego tak jej zależało na wolności, iż za nic miała dobra materialne. Drugą, bardziej ważką: dopiero post factum zorientowała się dokładnie, z jakich pieniędzy samochód został kupiony, czyli zdała sobie sprawę ze swojego udziału w zakupie skody, ocenionej przez rzeczoznawców na 28 tys. złotych, z których pragnęła uzyskać połowę.

Argumenty adwokata strony męskiej:

Samochód kupiony był w 1958 roku za 62 tysiące złotych. Z tego: 20 tysięcy kupujący posiadał na książeczce PKO, a były to oszczędności z jego zarobków, które od biedy, w świetle prawa można uznać za wspólny dorobek jego i niepracującej Krystyny B. Około 10 tys. stanowiła darowizna rodziców pana B., do której jego eks-żona żadnych pretensji rościć nie może. Około 18 tysięcy kandydat na automobilistę uzyskał ze sprzedaży biżuterii. Nie ma tu jednak racji powódka, twierdząc, że biżuteria ta stanowiła jej niepodzielną własność i jako przedmiot osobistego, „jednopłciowego”, użytku stanowi jej osobisty wkład w cztery koła. Albowiem w całości zakupiona została ona z funduszy męża zakumulowanych przed zawarciem małżeństwa. Ponadto nigdy przedmioty te nie stanowiły jej własności. Były one po prostu lokatą kapitału. Nigdy nie zostały wyraźnie jej darowane. Zresztą w czasie procesu rozwodowego (taka a taka strona akt) sama powódka żaliła się, że mąż nie zezwalał jej na noszenie owej biżuterii w obawie, że ją pogubi oraz z tego powodu, iż przeznaczeniem takowej nie było zdobienie żony. Trudno tu więc mówić o indywidualnej własności zgłaszającej pretensje. Wreszcie pozostała część gotówki pochodzi z pożyczki zaciągniętej przez klienta przemawiającego właśnie mecenasa. Pożyczka ta zwracana była w ratach przez niego już po rozwodzie, a więc też nie zawierała w sobie pieniędzy stanowiących wspólny dorobek.

Wobec tego jego klientka mogłaby rościć sobie pretensje do połowy sumy z książeczki PKO, czyli 10 tys. zł. Mogłaby, gdyby nie to, że nie może, a jeśli właśnie pokazuje, że może, to stanowi to ewidentną bezczelność. Otóż dziś samochód wart jest o połowę mniej niż w momencie kupna. Owe 10 tys. redukuje się więc do niespełna 5 tys. Poza tym ostatnio samochód przeszedł kapitalny remont, który kosztował ponad 20 tys. zł. Remont dokonany był już po rozwodzie.

Dzisiejszą wartość samochodu zawiera w sobie więc $\frac{3}{4}$ wartości tego remontu, co sprowadzałoby pretensje pani Krystyny B. do około tysiąca złotych. I takich wszakże pretensji nie może ona rościć. Albowiem prawdą jest, że w chwili ślubu wzięta była w jednej koszuli. Jej wkład we wspólny dorobek małżeński o tyle był iluzoryczny, że nie pracowała, a trudno też powiedzieć, że prowadziła gospodarstwo domowe, skoro nie mieli dzieci. Cóż za gospodarstwo bez dzieci? Jajecznicza, starcie kurzy i tyle. Po podziale majątku stanowiącego ich wspólny dorobek zatrzymała przy sobie mieszkanie służbowe męża, większość mebli, naczyń, sprzętów i oczywiście całą swoją, przez męża kupowaną, garderobę. Za to sama nie zgłaszała pretensji do samochodu. „Skończyłem” - skończył adwokat eks-męża i głos zabrał adwokat eks-żony.

Wywodził on, że nie jest prawdą, jakoby jego klientka wzięta była w jednej koszuli, natomiast jest prawdą, że wszelkiego dobra było przy niej tyle, ile przy radzowej hinduskiej.

Nieprawdą jest, iżby książeczka PKO z 20 tysiącami zawierała owoc tezauryzacji dochodów męża, albowiem to ona wniosła mu na książeczce swoje oszczędności. Biżuteria była jej i niczego tu nie zmienia fakt, iż małżonek nie dawał jej nosić takowej, albowiem był tyranem. Wysoki sąd chyba nie widział jeszcze mężczyzny noszącego bransolety i kolczyki, więc co za gadanie. Szanowna klientka pracowała tylko dorywczo. Szanowna klientka sama spłacała większość długów swego małżonka. Jeśli samochód przechodził remont kapitalny, to skutkiem nieumiejętnego się z nim obchodzenia pana B. i niszczenia przezeń wspólnego dobra... i tak dalej, i tak dalej.

Pani Krystyna B. zeznając, podjęła pozafinansowe aspekty sprawy samochodu. Mianowicie wysunęła tezę, że jej małżeństwo rozpadło się przez ten samochód, a nie, jak twierdzi jej mąż, samochód rozpadł się wskutek tego małżeństwa, czyli panikrystynowej nauki prowadzenia wozu.

Po pierwsze, zgodnym ich stałem po nabyciu wehikułu wstrząsać zaczęły burze na tle nieporozumień. Pani Krystyna nie tai, że pragnęła też używać wozu, czemu jej mąż przeciwstawiał się z całą mocą i niebawem zrozumiała, że bardziej zależy mu na samochodzie, niż na żonie. Mimo bowiem takiego postawienia przez nią kwestii - nadal nie pozwalał jej prowadzić, co oznaczało manifestowanie przezeń obojętności wobec żony, w porównaniu z jego adoracją dla wozu, tym boleśniejszą.

U podłoża rozpadu tego stała legły, jak z akt sprawy rozwodowej wiadomo - liczne zdrady jej męża. Gdybyśmy zastanowili się nad czasem - w którym powstały - doszlibyśmy do wniosku, że właśnie wraz z nabyciem samochodu. Był źródłem zdrad, środkiem je ułatwiającym i miejscem zdrad. Skoda była źródłem jej moralnych udręk i życiowej klęski. W zasadzie pani Krystyna rozwiodła się nie tyle

z mężem, co z samochodem, powiedzmy z mężem wzbogaconym o samochód. Jakże więc mizerną byłaby rekompensatą spłata połowy jego wartości...

Kiedyś, na przykład, w czasach małżeństwa szła ulicą, aż tu patrzy, jedzie jej mąż samochodem. Wybiegła na jezdnię i jęła machać, żeby przystanął. On jednak nic, udawał, że nie widzi i jechał dalej. Akurat zapaliło się na skrzyżowaniu czerwone światło, więc musiał przystanąć. Podbiegła do wozu, patrzy, a tam kryje się przed nią skulona poniżej okna jakaś kobieta. Pani Krystyna zaczęła krzyczeć i szarpnęła klamkę. W tym momencie zapaliło się zielone światło i samochód ruszył. Pani B. przewróciła się i pokrwawiła ręce i nogi. A mogła też wpaść pod samochód...

Obaj mecenasii posadzili ją zgodnym staraniem na krześle klarując, że te sprawy nie mają nic do rzeczy i sądu nie interesują.

Zeznawał pan B. Powiadał, że z małżeństwa wyszedł jako człowiek moralnie i materialnie zrujnowany. Już sam mariaż stanowił gehennę. A po rozwodzie pan B. musiał rozstać się z mieszkaniem, meblami, całym swoim dorobkiem, sprzętami, do których przywykł. Wyszedł też unosząc z minionego stadła złą sławę, której autorką była jego dzisiejsza przeciwniczka procesowa. Jedyne zatem co miał, co mu się ostało, to ów samochód, jego radość, jego hobby. I oto teraz...

Potem pan B. wywodził, jak to ów samochód jest tworem nie tylko jego pieniędzy, ale i trudów, gdyż co kilka dni pracuje przy nim przez długie godziny. Jest to już wóz stary, zużyty, utrzymywany na chodzie tylko dzięki szczególnym staraniom. Zresztą to widać na oko. Tu pozwany, zbliżając się do okna, poprosił, żeby Wysoki Sąd był łaskaw podejść i obejrzeć przedmiot sporu, stojący na ulicy. Pan B. podszedł więc do okna, wrzasnął i pędem wybiegł z sali sądowej.

Kiedy Wysoki Sąd, adwokaci i pani B. podbiegli do okna, oczom ich ukazał się widok następujący, tłumek gapiów, w środku rozgnieciona jak żaba skoda, a za nią, czy też na niej, duża ciężarówka.

W związku z nowo powstałymi faktami obiektywnymi, stawiającymi pod znakiem zapytania istnienie przedmiotu pozwu, rozprawa została odroczone i zapowiedziano jej wznowienie w swoim czasie, o ile oczywiście pozew nie zostanie wycofany.

Równouprawnienie

Będzie to historia bardzo osobliwa, bo o kobiecie, która lubiła dawać. Urodziła się ona i żyła w miasteczku N., ale na widoku publicznym pojawiła się i została zauważona dopiero wtedy, gdy Leonowi F., 56-letniemu dyrektorowi największej miejscowej fabryki umarła żona. Bogna C. była wówczas 32-letnią panienką i nawet nie zdążyły zwiędnąć kwiaty na grobie dyrektorowej, kiedy wdowiec począł się z nią afiszować, jako swoją kochanką. Bogna C. pracowała w służbie zdrowia w charakterze urzędniczki i pensję miała marną, ale reszta była w niej niezgorsza. Z tej przyczyny, ale nie tylko, po śmierci żony zaczęło się dla dyrektora F. słodkie życie.

Jeśli popatrzeć prawdzie w oczy, to się z nich zwykle wyczyta, czego podstarzała panienka może chcieć i oczekiwać, gdy romansuje ze zbliżającym się do emerytury dyrektorem. W najlepszym razie małżeństwa, w najgorszym opieki, odrobiny uczucia, ustabilizowania a także od czasu do czasu sweterka, pantofli, wyjazdu do Bułgarii. Romans, o którym mowa, był jednak pod każdym względem niezwykajny. Istnieją pewne reguły gry: albo się kochankę trzyma w ukryciu, czy chociażby pozoruje dyskretny charakter sprawy, albo zyskuje ona status narzeczonej. Ma się rozumieć tak powinno być w N., którego ludność wynosi niewiele ponad dziesięć tysięcy. W miastach większych jest rzeczą nagminną, że narzeczoną czy żonę ukrywa się wstydliwie i nie bez racji, a kochanka służy wyłącznie na pokaz i do tego celu jest dobrana. Inżynier Leon F. taszczył swoją tlenioną Bognę na prośzone przyjęcia, przyjmował w służbowym gabinecie, prowadził się z nią pod rękę po pryncypialnej ulicy a wszystkim wkoło mówił, że się już nigdy nie ożeni powtórnie przez trwałą pamięć o nieboszczce, która go zraziła do samej instytucji rodziny, mimo że zachwala ją konstytucja.

Takie nieobyczajności N. mogło jeszcze ścierpieć. O wiele bardziej obrażało moralność publiczną, że nie on jej, tylko ona jemu kupowała sweterki. Od kiedy dyrektor posiadał Bognę C. w ogóle przestały dla niego istnieć kwestie materialne. Nie było tygodnia, żeby nie otrzymywał prezentu, nie było urlopu, żeby nie został zaproszony na wycieczkę zagraniczną. Codziennie jadał u niej na kolację smakołyki i bynajmniej nie wodą je popijał, ani nie wódką, ale koniakiem, bywało, że francuskim. Wkrótce dyrektor chodził ubrany jak skończony lalusz. Jak papierosa zapalał to zapalniczką „Ronson”, a jak pachniał to lawendą „Yardley”, a jak w zębie chciał podłubać, to miał do tego umyślny antyk z „Desy” z kości słoniowej w srebrnej pochwie. Wykałaczką ta irytowała załogę, a wszystko razem wywoływało straszne zgorzenie ogólne, bo różni się już trafiali szefowie fabryk, ale nikt nie słyszał o 56-letnim dyrektorze-żigolaku. Tak zaś zaczęto o inżynierze F. mówić, kiedy kupił samochód, za swoje, co prawda, pieniądze, ale jakież on miał

wydatki.

Jednym słowem co dyrektor powinien był robić dobrego urzędniczce - to ona jemu robiła. Logiczną konsekwencją takiego skandalicznego prowadzenia się jej i dyrektora były dociekania, skąd ona ma pieniądze. Ponieważ pracowała jako rejestratorka, więc w miejscu pracy nie miała co ukraść. Z drugiej strony gdzieś na pewno dla niego zaczęła kraść, ponieważ do tej chwili, czyli do śmierci pani F., żyła skromniutko, z pensji i nikt u niej nie zauważał rozrzutności na większą, niż dwa ciastka plus mała czarna w kawiarni, skalę. Badania źródeł jej dochodów wypadły uspokajająco. Miała na wsi po matce łąkę i skrawek lasu, który sprzedawała. Nie zastanawiano się potem, na ile sweterków starczy taki płachetek ziemi, na ile butelek koniaków i zagranicznych wycieczek. Czas leciał - Bogna C. łądowała forszę w Leona F. I jeśli ją o co podejrzewano, to o to, że jest niespełna rozumu, ale nie, że kradnie.

Tajemnice tego związku wyszły na jaw po dwóch i pół latach od śmierci dyrektorowej, a wkrótce potem Leon F. porzucił nagłe Bognę C. i ożenił powtórnie z jakąś tam panią.

W czasie, kiedy Bogna C. marnowała jeszcze na Leona F. schedę po mamusi, dyrektor poczuł się bardzo chory, a lekarz kazał mu zrobić różne analizy. Wyniki wykazały, że Leon F. cierpi na zaawansowaną białaczkę. Kiedy w mieście wojewódzkim Leon F. pokazał wyniki analiz specjalście; ten od razu zarządził kładzenie go do szpitala. Dyrektor wrócił załamany do domu, a Bogna C. powiedziała, że pójdzie z tymi wynikami sama i naradzi się z zaprzyjaźnionym lekarzem. Wróciła zapłakana. Doktor - twierdziła - powiedział jej prywatnie, że sprawa jest zupełnie -beznadziejna. Medycyna nic tu już nie może zrobić. Czy chory będzie w szpitalu, czy nie - nie wpłynie to na bieg spraw już nieodwracalnych. Póki pacjent nieźle się czuje, lepiej niech zostanie w domu. Leon F. postanowił nie iść do szpitala, żyć jak dotychczas, a swoją chorobę zataić przed otoczeniem, bo trudno zmuszać ludzi do patrzenia w oczy skazańcowi. Poza tym chciał pracować jak najdłużej, zaś przeniknięcie do przełożonych wieści o jego stanie zdrowia spowodowałoby zawieszenie go w dyrektorskich czynnościach.

Wkrótce Leon F. przelał swoje niemałe oszczędności na książeczkę Bogny C., ofiarował jej również rozmaite kosztowne drobiazgi, jakie zostały po jego żonie. Wreszcie sporządził testament, w którym ustanawiał Bognę C. spadkobierczynią wszystkiego, co miał w mieszkaniu oraz auta.

Bogna C. po dawnemu łądowała forszę w swego dyrektora, opiekowała się nim troskliwie, karmiła, wywoziła na wypoczynek i tak trwało to dwa lata. Pewnego dnia dostał silnych bóli i pogotowie zawiozło go do miejscowego, czyli powiatowego szpitala. Zrobiono tam stosowne badania diagnostyczne i rozpoznanie

brzmiało: wrzód żołądka. Dyrektor oświadczył lekarzowi, że wie, że to nieprawda. Pokazał swoje stare analizy. Powtórnie zrobiono wszystkie badania i lekarz stwierdził, że nie wykazują one ani śladu straszliwej choroby i zupełnie nie przypominają tych sprzed dwóch lat. Doktor, który wówczas na prośbę Bogny C. rzekomo oglądał dawne analizy, był pracownikiem tegoż szpitala i na pytanie kolegi odpowiedział, że Bogna C. nigdy nie przychodziła doń z żadnymi wynikami badań. Zawiadomiono o wszystkim prokuraturę. Bogna C. przyznała się do tego, że preparaty oddane do analizy przez człowieka chorego na białaczkę przekazała do laboratorium opatrując nazwiskiem Leona F. Uczyniła go śmiertelnie chorym, aby stać się dlań niezbędną, aby móc się nim opiekować. Twierdziła, że bynajmniej nie miała na oku korzyści materialnych. Dlaczego wobec tego przyjęła pieniądze i kosztowności, wyzyskując przekonanie swego przyjaciela, że jego dni są policzone? Wyjaśniła, że aby go pozyskać, a także dla przyjemności dawania wydała wszystko, co posiadała. Stała wobec perspektywy, że przestanie kupować mu stroiki i piękne przedmioty, wywozić na zagraniczne urlopy i weekendy, podejmować koniakami i przysmakami. Która zaś kochająca kobieta pogodzi się z nagłym spadkiem jej damskiej atrakcyjności? Po operacji z białaczką uzyskała odeń pieniądze, to prawda. Ale czyż można mówić o przywłaszczeniu ich, skoro wszystko, co do grosza, wydawała na niego.

Gdy odbywał się proces Bogny C. dyrektor Leon F. był już żonaty z inną. Sąd wydał wyrok skazujący. W uzasadnieniu stwierdził, że metoda zawładnięcia cudzą własnością była tu szczególnie perfidna i krzywdząca. I że przeznaczenie zagarniętych podstępem pieniędzy na obsprawianie i dokarmianie okradzionego dyrektora nie przekreśla winy, ponieważ istotą własności dóbr materialnych jest prawo dysponowania nimi i to zostało dyrektorowi odebrane.

O czym na procesie nie mówiono, to o tym, że Bogna C. - jakbyśmy nie oceniali z moralnego i prawnego punktu widzenia jej metod zapewniania sobie uczuć partnera - należy do gatunku bojowniczek-męczennic. Jej ohydny czyn był aktem niezgody ze światem, w którym zawsze i niezmiennie starsi dyrektorowie kupują młodemu urzędniczkom sweterki i próbą odwrócenia tego porządku, więc objawem tęsknoty za człowieczeństwem.

Zabawa tu głuchy telefon

- Dzień dobry. Jestem z telefonów. Pański aparat źle łączy, prawda? - rzekł wchodząc do mieszkania młody człowiek ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię.

- Czy ja wiem... - odparł gospodarz. - Działa. Czasem tylko trzeba trzy razy kręcić, żeby się połączyć, albo są jakieś zwarcia na linii i zamiast połączenia słyszy się cudzą rozmowę, a czasem zanim nakręci się numer już jest sygnał „zajęte”.

- Właśnie - rzekł monter. - Zobaczymy. I zaczął wprawnie rozkręcać telefon, dłubać we wnętrzu aparatu, potem starannie je czyścił. Gospodarz przestępował z nogi na nogę, wreszcie wtrącił, że właśnie miał wyjść, tak, że córka załatwi już z panem monterem co trzeba. Do pokoju weszła córka, krzyknęła na widok montera, on się odwrócił, Ewa! - zawołał i miał bardzo głupią minę.

Poznali się rok temu na statku płynącym przez jeziora mazurskie. Ona powiedziała mu, że studiuje stomatologię, on wyznał, że właśnie skończył ekonomię. Kiedy dobili do przystani namówił ją, żeby odłączyła się na godzinę od wycieczki. Nie opodal ma zaparkowany samochód, wyskoczą na kawę w pewne urocze miejsce. Przejechali kilkanaście kilometrów, wypili kawę, ona nagliła o powrót. Za trzy kwadransy, za pół godziny, za kwadrans jej wycieczka ładuje się do autokaru. „Zdążymy” - uspokajał ją, a kiedy wsiedli do samochodu okazało się, że motor nie chce zapalić. Była zrozpaczona. W autokarze zostawiła rzeczy, koleżanki i siostrę narzeczonego, która jeszcze sobie coś pomyśli. Motor zapalił po godzinie. Mimo bardzo szybkiej jazdy nie było już wycieczki, ani autokaru. Desperowała bardzo. Została - jak stała w szortach, bez grosza. Uspokajał: odwiezie ją nazajutrz do domu. Następnego dnia przestało jej się spieszyć. Wałęsali się przez tydzień po Mazurach, po czym zaproponował jej małżeństwo, a na razie przeniesienie się z jezior na Wybrzeże.

W Gdańsku kupił jej spodnie, sweter, sukienkę i pantofle, żeby nie straszyla w kurortach w jego za wielkich ciuchach. Przejechali od Krynicy Morskiej do Ustki. Do domu zadeszowała, żeby się nie niepokoiłi, potem napisała list, wyjaśniający co się stało i drugi, że po powrocie przedstawi im nowego narzeczonego, że ślub myślą urządzić jesienią i że rodzice będą oczarowani.

Gdzieś tam na szosie pokłócili się - teraz nawet nie pamięta o co. Powiedział wówczas, że ma dosyć, zatrzymał wóz i warknął „wysiadaj!”. Rzuciła jakieś ostre słowo i wyszła z auta. Odjechał. Znów została - jak stała i bez grosza. Szła przekonana, że ochłonął i czeka na nią na szosie. Nigdy więcej go nie widziała. Nawet nie zadzwonił.

Znad morza, w liście do rodziców pisała, żeby nic nie mówili Romkowi. Ona sama, jak wróci - to wyjaśni. Romek to był ów narzeczony, z którego siostrą jeździła na Mazury. Narzeczony był długofalowy, mieli się pobrać, kiedy skończą studia. On był dopiero na drugim roku medycyny. Jej rodzice, molestowani przez owego Romka, dali mu coś niecoś do zrozumienia, a potem wręcz pokazali list. Ten o ślubie jesienią. Po powrocie musiała przez kilka miesięcy wszystko łątać, reperować, klajstrować, odbywać przykre rozmowy z płaczem i udzielać upokarzających obietnic. A teraz sprawca tych nieszczęść stał i dłuwał w telefonie.

Widok ten rozsierdził ją dubeltowo. Znaczył, że facet kłamał od początku, kiedy się przedstawiał jako absolwent ekonomii, że te dwa tygodnie były po prostu na zimno przezeń zaaranżowaną bujdą. Monter szybko zestawił aparat, dokręcił ostatnie śrubki i zabierał się do wyjścia. Zażądała wyjaśnień. Nic nie mówił, tylko zabierał się do wyjścia. Doskoczyła pierwsza do wyjściowych drzwi, przekręciła klucz w zamku, wyjęła go i ścisnęła w garści. Dalej żądała wyjaśnień: - A więc to nie było tak, że zdenerwował się na szosie i powodowany impulsem ją porzucił, ale kłamał od początku i szukał pretekstu, żeby ją wysadzić na szosie? Po cóż jednak wyskoczył z tym małżeństwem?

Powiedział, że nie ma ochoty rozmawiać i żądał klucza. Nie dawała. Zaczął jej wykręcać ręce. Wyrывała się i wyrzuciła klucz przez otwarte okno. Wpadł we wściekłość i zaczął ją bić. Nie zostawała mu dłużna. Krzyczała. Sąsiedzi stali na klatce schodowej i od zewnątrz pięściami bombardowali drzwi. Wzywała pomocy. On zachowywał się nielogicznie. Zatykał jej usta ręką, którą gryzła bez pardonu, a jednocześnie sam starał się od wewnątrz sforsować drzwi wyjściowe, a ona mu w tym przeszkadzała. Wreszcie znalazł w kuchni narzędzie, rozkręcił zamek, podważył coś tam dłutkiem, drzwi stały otworem. Sąsiedzi zobaczyli ją pokrwawioną i poszarpaną i jego w nie lepszym stanie. Zaczął się energicznie przeciskać przez ciekawskich, żeby wydostać się na ulicę. Przytrzymano go. Przez „zreperowany” właśnie telefon sąsiad dzwonił już do milicji, krzycząc, że monter z telefonów usiłował zgwałcić dziewczynę.

Kiedy rzekomy napastnik i jego ofiara milicyjnym samochodem, a świadkowie taksówką zajechali do komisariatu, monter zeznał:

Spędził z tą dziewczyną dwa tygodnie ubiegłego lata i potem nie wiedział, jak po dramatycznym zerwaniu na szosie wszystko naprawić i na powrót nawiązać znajomość. Wpadł na pomysł, żeby zjawić się w jej mieszkaniu jako monter. Pożyczył torbę z narzędziami i poszedł. Nie napadał jej, to ona go zamknęła i poturbowali się w sprzeczce. Liryczne nieporozumienie.

Przesłuchiwana z kolei potwierdza, że jej nie chciał gwałcić, że to ona wyrzuciła klucz przez okno. Czytają jej jego wyjaśnienia. Dziewczyna jest szczęśliwa. On -

okazuje się - nie jest monterem. To dla niej grał tę rolę. Z dokumentów wynika, że jest rzeczywiście magistrem ekonomii.

Ewa nie składa skargi o pobicie. Milicja nie ma podstaw do zatrzymania młodego człowieka. Jeszcze tylko podpisy pod protokołami przesłuchania, żeby formalności stało się zadość.

Świadkowie czekają w korytarzu. Wychodzi do nich milicjant i mówi, że nie będą przesłuchiwać. Poszkodowana nie składa skargi, usiłowania gwałtu nie było, ot, amant posprzeczał się ze swoją dziewczyną. To nie monter telefoniczny. Tylko przed tatą panny - opowiada milicjant - facet udawał montera, żeby się zobaczyć z dziewczyną.

- Jak to nie monter? - Zrywa się jeden ze świadków. - Przecież on pół godziny wcześniej u mnie reperował telefon!

Dochodzenie wykazało, że Waldemar C. od szesnastu już miesięcy krążył po mieszkaniach, udając montera z telefonów. W czasie rewizji w jego mieszkaniu znaleziono książkę telefoniczną, z której wypisywał nazwiska i adresy i zaznaczał gdzie już był, żeby czasem powtórnie nie przyjść w to samo miejsce. Marszrutę przygotowywał sobie starannie tak, że w ciągu przedpołudnia potrafił odwiedzić nawet kilkadziesiąt mieszkań znajdujących się w tym samym domu czy osiedlu. Nie żądał pieniędzy. Wymagał, jak prawdziwi monterzy podpisu na lipnej oczywiście kontrolce i oczekiwał na napiwek. Mówił „należy się, ile pan uważa”. Dostawał zwykle 20, 30, 40 zł. Trafiała się i setka. Bywało, że musiał zadowolnić się dziesiątką. Miał z tego kilkaset złotych dziennie. Nie wpływały nań żadne skargi ani doniesienia. W końcu nie szkodził telefonom, które rozkręcał. Że zaś nie ma u nas dobrze działających aparatów, prawie nikt nie -odprawiał go od drzwi. Kiedy zdarzyło się, że telefon psuł się wkrótce po jego wizycie wzywano montera, któremu mówiono, że niedawno był monter, a mimo to... Nie budziło to żadnych podejrzeń prawdziwych pracowników telefonów.

Znaleziona u Waldemara C. książka telefoniczna zawierała dokładny spis osób, które oszukał. Ich nazwiska były bowiem wykreślone. Zgubiła go ta skrupulatność, gdyby bowiem nie ona, trzeba by ogłaszać wezwania do ludzi, aby zgłaszali się na milicję i przybywaliby wszyscy, których odwiedzał nie wzywany monter, co tworzyłoby straszliwy zamęt i wielką robotę.

Łączne dochody, niespełna dwuletnie, Waldemara C., który z braku czasu w ogóle po studiach nie przystąpił do pracy, oszacowane zostały na blisko pół miliona złotych. Skazany on został na 4 i ½ roku więzienia wyrokiem prawdopodobnie nieprawomocnym. Waldemar C. przestępca twórczy, sprytny i pracowity, pośliznął się na kobiecie i jego wsypa była mniej przypadkowa, niż to się na oko wydaje. Dla świata przestępczego kobiety są prawie tak niebezpieczne jak milicja.

Amerykanin w domu

Od lat, codziennie, listonosz Władysław C. wstępował w czasie obchodu do baru, wypijał małe piwo, zjadał wyjętą z torby kanapkę i oto razu jednego uśmiechnęło się do niego szczęście. Stało się to w następujących okolicznościach.

C. zauważył, że już od kilku dni przy jednym ze stolików siedzi starszy mężczyzna, trochę dziwacznie ubrany, który pije piwo i z widocznym mozołem odcyfrowuje przez okulary gazetę, co chwila zaznaczając sobie ołówkiem miejsce, do którego dobrnął, by pociągnąwszy piwa nie uronić ani słowa z jakiejś tam relacji o produkcyjnych sukcesach miejscowego przemysłu terenowego. Któregoś dnia mężczyzna ten, widząc, że jest obserwowany, zrobił do Władysława C. przyzywający ruch kuflem i uśmiechnął się. To był właśnie ten uśmiech szczęścia, choć wcale na to nie wyglądał.

Mężczyźni wspólnie wypili kilka piw, sprawili, że poczta tego dnia się spóźniła i dowiedzieli się o sobie wzajemnie wszystkiego co ważne. Nieznajomy w podniszczonym ubraniu dziwnego kroju i w olśniewająco białej koszuli dowiedział się, że listonosz ma 51 lat, żonę od lat ciężko chorą, dwoje małych dzieci, jedną córkę dorosłą i domek na przedmieściu. Władysław C. o nieznanym otrzymał informację, że jest najpilniejszym spośród czytelników miejscowej gazety i liczy sobie lat 67. Jako dziesięcioletni chłopiec wyemigrował z rodzicami do Stanów. Przeżył tam ponad pół wieku i wychował sześcioro dzieci. Pięć lat temu umarła mu żona, a rok temu ostatnie dziecko w ślad za innymi rozpełzło się po Stanach. Przybysz przez kilkadziesiąt lat mieszkał w Ameryce, w tym samym średniej wielkości mieście i służył w straży pożarnej. Kiedy przeszedł na emeryturę, postanowił osiedlić się w Polsce. Za swoje 180 dolarów miesięcznie emerytury w USA mógłby żyć z trudem i skromnie. A w sferach polonijnych wiadomo, że za te same pieniądze w Polsce można żyć znacznie lepiej, niż to się kiedykolwiek śniło nawet komendantowi straży pożarnej. Tylko głupi by nie jechał. John R. nie ma się za głupiego.

Nikommu nie zapowiadany i przez nikogo nie oczekiwany R. przyjechał w rodzinne strony, stanął w powiatowym mieście w hotelu, taksówką pojechał do wsi, gdzie się urodził. Nie zabawił w niej więcej niż godzinę. Jego stara wieś spalona została jeszcze w toku I wojny światowej, a pozostałe po pirotechnicznym wyczynie Austriaków resztki połączyły się ze wsią sąsiednią, stanowiąc kilkuchałupową jej ekspozyturę przy szosie. Nie znalazł nikogo, kto by pamiętał jego ojca. Osiedlać się tam nie miał ani gdzie, ani po co. Siedzi więc John R. od tygodnia w uroczyście, poprzez stołeczny „Orbis” wynajętym pokoju hotelowym, pije piwo, czyta gazetę i myśli, co by zrobić dalej. Dotychczas niczego nie wymyślił.

Tego dnia popołudnie i wieczór Amerykanin spędził w domu C. i obaj zapalali do siebie wzajemną sympatią ludzi rozmownych i poczciwych. Od razu też stanęło na tym, że R. zostanie u C.

Dom C. składa się z dwóch pokoi i kuchni. Rodzina opróżniła większy i paradniejszy z pokoi, rozlokowała się w pięcioro w mniejszym i w kuchni. Przez kilka dni R. i C. własnoręcznie malowali pokój. Potem czekano kilka dni, aż PKO przekaże Amerykaninowi pieniądze i odbyło się kupowanie mebli, dywanu i telewizora. Wreszcie R. sprowadził się do C. i zaczęło się dla wszystkich takie życie, jakby rok składał się wyłącznie z Bożego Narodzenia i Wielkanocy, nie przedzielonych od siebie żadnymi przerwami.

Rano wszyscy wstawali. C. ruszał do pracy na pocztę, jego córka Helena C. do ośrodka zdrowia, a R. dobywał portfela i wypłacał pani C. pieniądze na sprawunki. C. ruszała do miasta i przedpołudnie spędzała na zdobywaniu mięsa i wędlin, drobiu i nabiału. Kupowała też każdego dnia piwo i wódkę, i potem rozpoczynała wielkie gotowanie.

Inne niż jedzenie potrzeby domu załatwiane były w ten sposób, że przy stole C. prowadzili między sobą rozmowy, np. na temat butów, które potrzebne byłyby jednemu z ich chłopców czy sukienki dla córki. Raz na kilka dni, przed obiadem, R. wyruszał do miasta i przynosił podarki. Były wśród nich te rzeczy, o których się mówiło, że są potrzebne i poza tym różne upominki ekstra. Znosił, co tylko zobaczył na wystawach i bardzo się tym cieszył. Z czasem C. zaczęła po cichu sprzedawać jawnie zbędne przedmioty. Kiedy R. nie udawały się łowy w sklepach, zasiadał i pisał dyspozycje do Banku PKO wybierając różne rzeczy z katalogu.

Kiedyś C. zaczęła się niepokoić, czy Amerykanin nie przepuści wszystkiego co ma i goły nie zostanie im na karku. C. wtedy zagadał go, czy nie trzeba, żeby bardziej oszczędzali. R. go uspokoił: wydaje tylko swoją rentę. Oszczędności i pieniądze uzyskane z likwidacji domku w Stanach ma nietknięte w banku. A sześcioro dzieci ciągle pisze i pyta, czy mu czegoś nie potrzeba...

Przez kilka miesięcy życie dla obu stron toczyło się szczęśliwie. R. wydawał na C. pieniądze, oni odpłacali mu rodzinnym ciepłem i opieką i każdy miał, czego potrzebował. Kiedy jednak ludziom niczego nie brak, ich zmartwieniem staje się strach, żeby to się nie zmieniło. Najbardziej niepokoił się R. „Jak długo tam może być. Jak długo wy mnie będziecie trzymać, Władek?” R. ciągle czuł się dłużnikiem. Racjonalizował swój strach: a jak córka wyjdzie za mąż, to czy nie stanie się niezbędny jego pokój? C. też się martwili. R. tymczasem wyraźnie tęsknił do swoich dzieci. Otrzymywał od nich obfitą korespondencję. Czuli, że gdyby tylko któreś z nich zaproponowało mu, by zamieszkał z nimi, już nazajutrz emeryt pakowałby walizki.

Kolejarz S., sąsiad C., wracał z pracy o różnych porach dnia lub nocy i jednego razu, właśnie w nocy, zobaczył w piwnicy pod domem C. światło i usłyszał głos sąsiada, który stamtąd dobiegał. W piwnicy był ktoś jeszcze, kto odpowiadał nieartykułowanymi dźwiękami. S. kucnął przy okienku, ale nic nie zobaczył. Zapukał. Światło zgasło. Głosy ucichły. Wtedy zaczął pukać do drzwi. Otworzył mu pijany C. i powiedział, żeby szedł do diabła. Kolejarz urażony w ambicji i czując, że jego obywatelska troska została podbechtana - poszedł do milicji. Powiedział, że coś dziwnego po nocy C. wyrabia w swojej piwnicy. Że ktoś w niej siedzi, ani chybi ten Amerykanin i że według niego źle to pachnie.

Rano do C. przyszła na pocztę milicja i razem poszli zwiedzać piwnicę. Znaleziono w niej związaną, zakneblowaną, wygłodzoną i pobitą Helenę C., 20-letnią pomoc pielęgniarską. Sprawą zajął się prokurator. Władysław C. pociągnięty został do odpowiedzialności za to, że moralnie i fizycznie znęcał się nad córką i że pozbawił ją wolności oraz o to, że siłą usiłował wymusić na niej istotne decyzje życiowe.

Do szokującego dramatu rodzinnego doszło wskutek tego, że C. zauważyli, że ich amerykański gość jakoś dziwnie wodzi wzrokiem za ich córką, że jej widok wprawia go w zakłopotanie i że jej pula prezentów jest najpokaźniejsza. Wtedy małżonkowie odbyli naradę i doszli do wniosku, że wydanie córki za męża za ich gościa na stałe utrwaliliby związek R. z ich rodziną, oddaliło wszelkie niepokoje, że sielanka może się skończyć i zabezpieczyło los ich dziecka. Zaczęło się od perswazji wobec córki i delikatnych aluzji na temat matrymonialny wobec gościa. R. bardzo się mieszał i mówił tylko, że ma już syna, który prawie mógłby być ojcem Helenki. Dziewczyna mówiła, że nie myśli marnować sobie życia. Którejś nocy ojciec, popiwszy uprzednio, kazał córce zejść z sobą do piwnicy, żeby mogli spokojnie porozmawiać. Był pijany. Rozjuszony oporem córki zaczął ją bić. Kiedy dziewczyna zaczęła krzyczeć, zawiązał ją, zakneblował i powiedział, że tak długo będzie tu o głodzie leżeć aż przysięgnie, że wyjdzie za R. Leżała w piwnicy aż do następnej nocy.

Kiedy przed sądem odbył się proces Władysława C., Amerykanin już u nich nie mieszkał. Wyprowadził się zaraz po tym wydarzeniu i nie dosięgły go wezwania sądu, który pragnął go przesłuchać jako świadka. Milicja twierdziła, że kraju nie opuścił, ale poszukiwania musiałyby zająć trochę czasu. Rodzina listonosza, córki nie wyłączając, gorąco świadczyła na korzyść ojca. Przez całe życie nawet psa nie uderzył. Przejściowe zaćmienie umysłu. Było, minęło, nie wróci.

Tak to czasem strach przed tym, żeby szczęście nie uciekło - skutecznie je przepłasza.

Kolorowe fotografie

Było to w końcowym okresie okupacji, gdzieś pod Tarnopolem. Gromada 13-16-letnich wyrostków kradła węgiel z niemieckich transportów frontowych. Wskakiwali w biegu do wolno toczących się pociągów towarowych, napełniali worki węglem, czasem kartoflami, zrzucali je, potem zeskakiwali. Było to źródłem utrzymania dla ich rodzin. Grały też rolę emocje sportowe. Stawka była wielka. Bahnschutze strzelali. Trafili, to trafili, nie - to pociąg jechał dalej. Dziś ryzyko wydaje się absurdalne.

Jednego razu 15-letni Józef M. dostał postrzał w ramię, kiedy napełniał worek. Skoczył z platformy na nasyp i począł uciekać. Ostrzał nie ustawał, póki nie dopadł zarośli. Ale oto strażnicy kolejowi zachowali się inaczej niż zwykle. Pociąg stanął i za Józefem M. ruszył pościg. Z bolącą, krwawiącą ręką biegł dwa kilometry i dopadł domu kolegi, Zdzisława L., ale zbyt późno. Ludzie, którzy go gonili, byli tak blisko, że widzieli, gdzie się ukrył. Już od dłuższego czasu nie strzelali, widać byli pewni, że dopadną ранego. Otoczyli dom.

Zdzisław L., widząc co się dzieje, wepchnął kolegę do piwniczki, wziął jego umorusane węglem ubranie i czapkę, pomazał sobie twarz na czarno, zabrał także szczerwieniłą chustkę od nosa, którą Józef M. tamował krew i wyskoczył przez okno pod lufy karabinów. Rozległy się strzały, pogoń ruszyła za chłopcem, który śmigał, klucząc poprzez ogrody. Odciągnął obławę od swojego domu i od przyjaciela. Wyszedł cało z tej przygody. Fortel się udał.

Po wojnie Józef M. wyjechał z rodzicami na Zachód. Potem jego matka owdowiała, wraz z trzema synami osiadła w USA, u swojego brata, wyszła powtórnie za mąż, mniejsza zresztą o wszystkie perypetie. Obecnie w trzydzieści lat po epizodzie z bahnschutzami Józef M. jest współwłaścicielem i dyrektorem sporej fabryki chemicznej w prowincjonalnym mieście na Wschodnim Wybrzeżu. Nie tak dawno temu minęło 20 lat jak nią kieruje i z tej okazji nakładem przedsiębiorstwa ukazało się ozdobne wydawnictwo jubileuszowe, prezentujące rozkwit firmy pod przewodnictwem Józefa M. i sylwetkę dyrektora. Jubilat własną łapą skreślił wspomnienia z czasów młodości naszpikowane dygresjami dydaktycznymi adresowanymi do współpracowników. W jego treści poczesne miejsce zajmuje okupacyjna przygoda i osoba Zdzisława L., który uratował mu życie. Józef M. w pompatycznych słowach pisze o swoim długu wdzięczności, który nigdy nie zostanie umorzony, twierdzi, że w każdej chwili dałby się porąbać za przyjaciela, który pokazał mu, co człowiek może uczynić dla człowieka. Wywód skręca oczywiście ku sprawie fabrycznego koleżeństwa i jego autor sugeruje, że tak jak Zdzisław L. za niego - tak on za podwładnych gotów jest wystawić się na kule. Jest

to zobowiązanie pięknie brzmiące i niekosztowne.

Album ten przyszedł pocztą do Polski. Adresatem był oczywiście Zdzisław L. W liście dołączonym do przesyłki Józef M. pisze, ile trudu włożył w zdobycie adresu przyjaciela, z którym kontakt listowny urwał się wraz z końcem lat czterdziestych i jak bardzo rad by go zobaczyć.

Zdzisław L., lekarz i kierownik powiatowej stacji sanitarno-epidemiologicznej odwzajemnił listownie uczucie wzruszenia i począł przemyślać o podróży do USA. Uzyskał zaproszenie od ciotki swojej żony, oferującej mu zresztą i gościnę, wykosztował się na paszport, bilet okrętowy, wcześniej na podarunki, jeszcze wcześniej na lekcje podciągające jego znajomość angielskiego - i popłynął. Większą część pobytu spędził nie u swej powinowatej, lecz u przyjaciela, który podejmował go serdecznie i po królewsku, obwiózł autem po Stanach i bodaj piekło po cichu także swoją pieczęć, bo wydał na cześć Zdzisława L. wielki piknik, na który zaprosił powiedzielibyśmy u nas „aktyw fabryczny” i wygłosił mowę, w której powtórzył tezy wydawnictwa jubileuszowego, ilustrując je pokazem bohatera w naturze.

Zdzisław L. powiadał później, kiedy już sprawa nabrała kryminalnego posmaku, że był zażenowany kosztami ponoszonymi na jego pobyt, przesadną wystawnością przyjęcia i opędał się od podarunków tak drogich i licznych, że aż go to krępowało. Opowieść o towarzyszącym jego pobytowi u Józefa M. skrupowaniu miała być uzasadnieniem tego, że przyjacielowi, jego żonie i dzieciom pokazał, a następnie zostawił na pamiątkę zdjęcie.

Były to duże, dobre fotografie kolorowe przedstawiające w różnych ujęciach rodzinne scenki z pewnego niedzielnego poranku w ogrodzie. Jest tam ładna willa wśród wspaniałych róż, które rozebrany Zdzisław L. podlewa z żółtego węża. Jest tam samochód dobrej marki i bardzo przystojna młoda kobieta w kostiumie kąpielowym, ładne dzieci, nie brzydki pies, jest hamak, leżaki, różni inni ludzie i nastrój sielanki. Zdzisław L. objaśnił fotografie, mówiąc, że ta oto piękna kobieta to jego żona, tu jego auto, tam jego róże, tu jego hamak, tam jego dzieci i pies. Eksponował te zdjęcia - twierdzi - żeby pohamować trochę przyjaciela nadmiernie wchodzącego w rolę dobroczyńcy wprowadzającego kopciuszka do krainy czarów. Na fotografiach bowiem było wszystko, co w amerykańskiej imaginacji stanowi wyobrażenie szczęścia i dostatku.

Cała sprawa, która później wynikła, wzięła się stąd, że na tych kolorowych fotografiach - to nie był w rzeczywistości dom Zdzisława L., ani jego samochód, ani jego róże. I nie jego był żółty wąż do podlewania kwiatów, a przystojna rozebrana kobieta jest żoną także nie Zdzisława L. Na zdjęciach owszem, utrwalono również podobizny jego prawdziwej żony, psa i córki, ale gość fabrykanta wyjaśnił,

że to są jego goście. Jednym słowem pokazywał fotografie przedstawiające scenki z wizyty, jaką złożył z żoną, córką i psem którejś niedzieli u swego lepiej sytuowanego kolegi-lekarza, a objaśniając fotografie odwrócił rolę i przywłaszczył sobie dobytek tamtego, żonę, dzieci, psa i róże. A potem - jak się rzekło - tłumaczył się, zakłopotany, że postąpił tak, aby powściągnąć charytatywne zapędy przyjaciela z lat młodości. Przypuszczalnie powodowała nim także zwykła ludzka próżność.

Zdzisław L. zostawia w domu Józefa M. fotografie i wraca do Polski, gdzie opowiada wrażenia przyjaciółom. Przede wszystkim tym przyjaciółom z fotografii, gdyż jest to rodzina, z którą najbliżej współżyje. Z czasem doktorowa Maja K. - owa przystojna dama, którą na zdjęciach pokazywał jako swoją żonę (własną uznając widać za mniej powabną) - zdecydowała się w następnym roku także odbyć podróż do USA, bo również ma tam jakąś rodzinę. Przed wyjazdem Zdzisław L. daje jej adres swego przyjaciela, zapewniając, że zostanie tam dobrze przyjęta. W ostatniej chwili przypomina sobie, że u Józefa M. zostawił fotografie. I że widnieje na nich pani, która teraz w liście jej danym poleca jako żonę przyjaciela, a w USA twierdził, że to jego własna żona. Jest w niezręcznej sytuacji, z której postanawia wykpić się szczerością. Pani Maji K. opowiada, co uczynił i dlaczego i że teraz musiałaby tam wystąpić jako jego żona. Przecież nie będą jej zaglądać do paszportu! Pani Maja K. uznaje wszystko za zabawną bagatelkę i mówi, że to jest nawet po jej myśli. Woli być goszczona jako żona przyjaciela Józefa M. niż jako żona przyjaciela jego przyjaciela. Będzie to dla niej mniej krępujące.

Pani Maja K. wraca zachwycona pobytom i bardzo Zdzisławowi L. dziękuje. Pobyt u jego przyjaciela przeszedł najśmielsze oczekiwania. Noszono ją na rękach i siłą musiała wrywać się z powrotem. Przyjaciół przysłał Zdzisławowi L. mnóstwo kosztownych podarunków. Maja K. przekazuje je pilnie. Ale już z tą chwilą stosunki między doktorostwem L. a doktorostwem K. chłodną gwałtownie. Maja K. dla siebie samej, dzieci i męża przywiozła o wiele więcej o wiele bogatszych prezentów i Zdzisław L. robi o to awanturę. Nie, bynajmniej nie uważa, że należą się one jego żonie i córce, że powinny ozdobić mieszkanie doktorostwa L. Maja K. nadużyła zaufania w ogóle biorąc to wszystko podczas, gdy wyraźnie ją objaśniał, że przyjmowanie kosztownych prezentów jest sprzeczne z jego poczuciem przyzwoitości i dla uniknięcia tego uciekł się nawet do niewinnego fałszerstwa z fotografiami, które w rezultacie stworzyło Maji K. możliwość obrabowania Józefa M., jego przyjaciela z czasów okupacji. Pani K. oczywiście nie rozumie o co chodzi, jest głęboko urażona, przyjmuje to jako wyraz zazdrości lub wręcz pretensji do dóbr ofiarowanych przecież w końcu nie doktorowi Z., ale jej, osobie, która oczarowała Józefa M. i jego anglosaską żonę.

Gdy już stosunki między domami obu lekarzy są faktycznie zerwane Zdzisław L.

otrzymuje list od przyjaciela. Czyta i krew go zalewa. Józef M. pisze doń dobrodusznie, nieco już zwietrzałą polszczyzną, iż cieszy się, że wreszcie jego żona będzie miała własny wóz, skoro Zdzisław L. jest satrapą nie dopuszczającym jej do kierownicy. Otóż wpłacił już kwotę 2750 dol. na konto hamburskiego przedstawicielstwa francuskiej firmy samochodowej i polecił także swojemu bankowi pokryć koszty transportu wozu do Polski. Firma samochodowa sama zawiadomi żonę Zdzisława L., kiedy i gdzie wóz jest do odebrania. Józefa M. prosi o wiadomość w jakiej formie i ile dolarów przesłać na opłacenie cła.

Zdzisław L., oburzony biegnie do Maji K., żeby jej powiedzieć, że to co zrobiła jest zwykłym świństwem. Szczęście, że występowała pod nazwiskiem i imieniem jego żony. On informuje ją, że natychmiast zawiadomi firmę, której adres mu podano, że samochodu ma nie wysyłać, gdyż przesyłka nie zostanie przyjęta. I zaraz zadzwoni do przyjaciela, aby żadnych dolarów na cło nie wpłacał, tylko anulował transakcję. Maja K. wymyśla mu od łachmytów i zazdrośników, co to sami nie mają i drugim zazdroszczą. Ona pierwsza zadzwoni - powiada - do Stanów i opowie wszystko, jak to było z fotografiami. Poprosi o przepisanie wozu na jej imię, gdyż prezent wcale nie był zrobiony dlatego, iż Zdzisław L. za okupacji coś tam dobrego zrobił dla Józefa M., tylko dlatego, że Józef M. był nią po prostu oczarowany.

Ani jedno, ani drugie z nich nie telefonuje. Widać nie jest przyjemnie wprost tłumaczyć się z tak zawikłanych i żenujących kombinacji. Oboje natomiast piszą listy. Zdzisław L. opisuje jak to wszystko było i dlaczego z fotografiami i wyjazdem Maji K., przeprasza, wyraża żal i prosi o anulowanie darowizny, której nie przyjmie. Doktorowa K. wyjaśnia Józefowi M., że te kręactwa nie są jej winą i że jeśli pan M. pragnie jej jako jej ofiarować wóz, a nie jej jako żonie Zdzisława L. - to musi natychmiast darowiznę przepisać na nazwisko Maji K., zamieszkała tam a tam.

Odpowiedzi na te listy nadchodzą dopiero po dwudziestu dniach. Do Zdzisława L. fabrykant pisze, że to był dlań cios, oszukał go przyjaciel itd. itp. Dalej o zbrukaniu więzów młodości i więzów krwi. No, jednym słowem zawalił mu się na łeb jego prywatny ołtarz, a to dlatego, iż na kolorowych fotografiach był nie ten dom, nie ten pies, nie te róże i nie ta żona. Maja K. dostała list, że Józef M. nie ma do niej pretensji, bo rozumie, iż to nie jej wina, lecz Zdzisława L. Polecił darowiznę przepisać na jej prawdziwe imię. Ta należność za wóz to dla niego żadne pieniądze i że w razie jakichkolwiek jej potrzeb jest nadal do dyspozycji.

Nim wszakże z USA nadeszły te oba listy - prezent w postaci auta przybył do Polski. Prawdziwa żona Zdzisława L. napisała w odpowiedzi na zawiadomienie urzędu celnego i firmy przewozowej, że nie przyjmuje przesyłki. Zawiadomiona o tym Maja K. napisała zaś, że prosi o nieodsyłanie wozu, gdyż zostanie przepisany na jej imię, a na razie ona wnosi swoje roszczenia na drogę sądową, aby sprowokować

poprzez sąd tymczasowe wstrzymanie odesłania auta, aż ofiarodawca nie sprecyzuje swojej woli. Istotnie Maja K. załatwia w sądzie odpowiednie formalności.

Na to Zdzisław L. idzie do prokuratora i donosi o przestępstwie Maji K., która dla osiągnięcia korzyści materialnej wprowadziła w błąd obywatela USA Józefa M. co do swej tożsamości. Dochodzenie zostaje wdrożone.

Potem nadchodzi wspomniany już list Józefa M. do Maji K., a w ślad za nim następuje zmiana adresata przesyłki, czyli samochodu. Nie ulega już wątpliwości, że wóz jest przeznaczony dla Maji K., ale objęcie go przez nią w posiadanie zależy od wyroku sądu karnego, który określi czy posiadanie przez Maję K. auta jest owocem przestępstwa (oszustwa), co może spowodować przepadek auta, na rzecz skarbu państwa - czy też nie.

Następuje uniewinnienie. Sprawcą wprowadzenia w błąd Józefa M. co do tożsamości Maji K. jest Zdzisław L. - wywodzi sąd w uzasadnieniu wyroku. Jeśli ona współuczestniczyła następnie w mistyfikacji - to nie ma podstaw do przypuszczania, że powodowała ją chęć zysku; a nie krycie kłamstewka Zdzisława L. List z USA i przepisanie darowizny świadczy o tym, że ofiarowanie samochodu nie miało związku z tym czy Maja K. jest, czy nie jest, żoną przyjaciela z lat młodości ofiarodawcy. Wreszcie Maja K. przedstawiła sądowi plik bilecików miłosnych, jakie w czasie jej pobytu w USA dawał jej wraz z kwiatami Józef M. Są one dowodem dużej zażyłości między ofiarodawcą auta a obdarowaną, co skłania do przypuszczenia, że dla aktu darowizny nie miało istotnego znaczenia to, iż Józef M. myślał, że obdarowuje żonę człowieka, który uratował mu życie, lecz wskazuje na bardziej aktualną inspirację prezentu. I co ważniejsze pozwala przypuszczać, że Maja K. nie dlatego udawała żonę doktora L., aby uzyskać auto, bo raczej mogła przypuszczać, że jeśli będzie obdarowana, to niezależnie od tego kto jest jej mężem.

Uniewinnienie Maji K. pokrzepiło Zdzisława L. moralnie, gdyż napisał do amerykańskiego przyjaciela list, którego sens był mniej więcej następujący: „Pisałeś, że przekreśliłem nasze więzy z czasów młodości i okupacji kiedy, aby powściągnąć Twoją hojność podałem się za zamożniejszego niż jestem, uciekając się do niewinnego wybiegu z fotografiami. Ale Ty, o nieposzlakowany! - spokojnie sypiałeś z kobietą, o której sądziłeś, że jest moją żoną. Moją - przyjaciela z lat młodości, który uratował Ci życie, wobec którego masz niesłychany dług wdzięczności o czym obwieszczasz światu drukiem w jubileuszowym albumie. Jesteś drań, obłudnik i świnia”.

Tak oto zakończyła się pewna wzniosła przyjaźń zrodzona z bohaterstwa i poświęcenia. I takie są zarazem okoliczności pojawienia się na polskich drogach jeszcze jednego luksusowego wozu.

Spisak

To biuro przypomina fabrykę. W jednej hali siedzi prawie 80 dziewcząt i dokonuje obliczeń na arytmometrach. Płaca nie jest akordowa, ale praca tak - trzeba wykonać normę. Kiedyś te arytmetry zastąpi komputer. Już kopią fundamenty pod budynek. Komputer jest kapryśny i byle gdzie nie może stanąć, co innego człowiek. W życiu dziewczyn zmieni to niewiele. Zamiast liczyć, będą perforować taśmy.

Średnio w ciągu roku zmienia się cała załoga. Co prawda są takie dziewczyny, które pracują tu od lat, ale są i inne, które uciekają po dwóch tygodniach i to daje w sumie wskaźnik stu procentowej fluktuacji rocznej. Bierze się ona stąd, że mnóstwo dziewczyn przychodzących do wydziału zatrudnienia reflektuje na pracę biurową i zaraz się do niej rozczarowuje: przez osiem godzin siedzieć i liczyć, boli głowa i plecy, każda przy osobnym biurku, gadać nie sposób, na początek dają 1200, dopiero po roku dostaje się trochę więcej. Jest więc dużo amatek po liceum ogólnokształcącym, które tę posadę chwytają chętnie, a potem szybko uciekają. Nawet w fabryce praca jest lepsza.

Przy hali znajduje się pokój za przepierzeniem z dziesięcioma arytmometrami. Szkołą tam nowy narybek. Cała nauka trwa raptem tydzień. Głupiego robota.

Hala ta, zwana działem obliczeń, przypomina dziewczętom żeński klasztor. Mają osobne wejście od ulicy i własną szatnię. Z mężczyznami spotykają się tylko w stołówce, ale to już po pracy. Wyjątek stanowi kierownik i technicy, których się wzywa do reperowania arytometrów. Gdyby się one nie psuły, trudno byłoby wytrzymać. Technicy są młodzi, wyszczerani, jest z kim pogadać. Cóż, kiedy przy większej awarii, człowieka sadzają do zapasowego arytmetru.

Kierownik nazywa się Sławomir R. i nawet nie jest stary, niedawno obchodził trzydziestolecie urodzin, ale obrzydliwy, wygląda na czterdzieści. Siedzi za biurkiem twarzą do hali. Po bokach ma cztery panie - kontrolerki obliczeń. Sławomir R. jest bardzo dumny, że podlega mu 60-80 osób i gdyby Polską rządził król, to nosiłby się właśnie chyba tak, jak ich kierownik. On tylko myśli o tym, żeby na każdą prośbę pracownicy odpowiedzieć „nie”. On cały dzień czatuje na to, żeby przyłapać którą na gadaniu z sąsiadką, robieniu makijażu lub jedzeniu bułki poza przerwą śniadaniową. Zwraca się do nich nie po nazwisku, ale wymienia numer: „trzydziesta druga daj pracować jedenastej”. Już stawiały tę sprawę w dyrekcji, bo to przypomina powieść o obozach koncentracyjnych. Pracownice ciężarne, a zawsze jest trochę takich, strasznie się męczą, żeby na kierownika nie patrzeć. Boją się, że się zapatrzą i urodzą coś obrzydliwego.

Sławomir R. jest w pogardzie, gdyż ma nieprzyjemny charakter, jest brzydki i wiadomo, że nie posiada żadnego wykształcenia, to jest ma średnie, tak jak one wszystkie. Również dlatego nim gardzą, że jest pies na kobiety, ale sukcesów nie odnosi. Zadać się z kierownikiem - żadna już do takiej by się więcej nie odezwała, puścić się ze Sławomirem R. to jest dno. On wie, że nazywają go Rybą i wyczuwa, co o nim myślą, jako o mężczyźnie. Dlatego, jeśli stara się którąś uwieść, to cichcem. Poluje zresztą na dziewczyny, które wydają mu się łatwe, to znaczy są wyzywająco ubrane i umalowane oraz mają przeszłość jakąś nie bardzo. Przyjmuje się tu i takie (jeśli mają maturę), to znaczy notowane na MO. Ale nawet te z nim nie pójdą, choćby płacił, bo każda jest uprzedzana, że gdyby poszła z Rybą, to nie ma co więcej szukać na tej hali, jest spalona raz na zawsze.

Niektóre tylko drażnią się z kierownikiem: umawiają się, żeby nie przyjść, obiecują, żeby nie dotrzymać i robią mu jeszcze inne fatalne kawały. W końcu co on może? Najwyżej wylać z pracy, a taką posadę wszędzie się znajdzie.

Dziewiętnastoletnia Wanda K., zawsze ubrana w nadzwyczajne ciuchy, opowiadała wszystkim, czy któraś chciała słuchać, czy nie, szczególnie zaś różnym cnotkom, które to strasznie szokowało, że ona pracuje tylko dla „picu”, żeby mieć podkładkę, a tak naprawdę chodzi z cudzoziemcami i ma za wieczór więcej, niż one tu za miesiąc. Potem okazało się, że Wanda K. tylko się przechwała, a w rzeczywistości ma dwóch ojców na dyrektorskich stołkach; ojca naturalnego i obecnego męża mamusi. Obaj oni współzawodniczą, który jej więcej kupi ciuchów. W każdym razie ta Wanda K., którą później zdemaskowano jako zupełnie porządną, chociaż lubiącą rozrywki dziewczynę, jednego razu opowiedziała, że złapała syfa.

Pod oknem z tyłu rozlokowana jest paczka kilku dziewczyn, które ze sobą trzymają i one zdecydowały, że trzeba Wandę K. namówić, żeby zaraziła kierownika. Ryba cię do niej dostawia, o trudnościach nie ma mowy, a ubaw będzie nadzwyczajny i wszystkie bardzo Wandę K. o to proszą. Potem okazało się, że wcale nie wszystkie, gdyż niektóre miały skrupuły moralne. Ryba posiada żonę, to może być zupełnie porządna kobieta, więc dlaczego ona ma cierpieć za to, że trafiła jej się w życiu taka obrzydliwa świnią? W stołówce było głosowanie i przegłosowano, że Ryba ma złapać syfa. Wandzie K. wszystko ułatwiono, powiedziano, jak ma się obrócić, żeby kierownik mógł z nią sam na sam pomówić, jak go zachęcić i gdzie się z nim umówić. Poszło znakomicie. Było wtedy na sali 76 dziewczyn i prawie wszystkie, z wyjątkiem starszych pań, wiedziały, kiedy Ryba ma być zarażony, przez kogo i w jakich okolicznościach.

Dziewczyny spod okna przygotowały Wandzie K. lokal i nawet złożyły się na wino.

Nazajutrz Wanda K. ogłosiła, że wszystko zostało załatwione. Wtedy jednak wszystkim zrobiło się głupio. Po gorączkowych obradach w przerwie śniadaniowej

te spod okna zdecydowały, że jedna z nich zaraz uda chorą i wyjdzie niby do lekarza, a w rzeczywistości pójdzie do domu kierownika i podrzuci list do jego żony. W liście tym, oczywiście anonimowym, napisano, że pan Sławomir R. został zarażony chorobą weneryczną, więc pani R. powinna się trzymać z daleka od męża.

Żona bardzo często upodabnia się do męża, ta musiała być już identyczna jak Sławomir R., gdyż zaraz pobiegła na skargę do dyrekcji, trzeba zrobić, mówiła, porządek, bo pracownice uwodzą jej męża, a takie stosunki są karygodne. Przyjmuje się różne prostytutki, które rozsiewają w zakładzie choroby weneryczne.

Dyrekcja usiłowała dojść, kto napisał anonim, ale tego nie udało się jej stwierdzić. Natomiast wszystkie inne dziewczyny wysypały w czasie rozmów z dyrektorem administracyjnym i personalną: że Wanda K. w myśl postanowienia ogółu umyślnie zaraziła pana kierownika Sławomira R. chorobą „W”. Dyrekcja nie wiedziała co z tym zrobić, więc dała znać na milicję. Wanda K. zeznała, że wszystko co mówię, jest prawdą. Zachorowała wenerycznie, po czym zaraziła za namową koleżanek Sławomira R., który jako kierownik jest niewątpliwie świnią. Wobec tego Wandzie K. powiedziano, że będzie za ten numer siedzieć i ona się z tym zgodziła.

W okresie, kiedy trwało już dochodzenie, Sławomir R. poddał się badaniom i okazało się, że jest zdrowy, ale badanie będzie musiał powtórzyć. Także Wandę K. poddano badaniom i okazało się, że jest ona zdrowa, a więc sprawę zawieszono do czasu powtórnych badań, które także dały u obojga wynik ujemny. Wanda K. zeznała, że o tym, iż jest zarażona, powiedział jej jeden chłopak. Chłopaka także zbadano i także był zdrowy. Przyznał, że on się tylko dziewczynie przechwalał.

Wobec tego, że nikomu nie stała się krzywda, prokurator umorzył sprawę i Wandę K. zaledwie wyrzucono z pracy.

Sławomir R. jest jednak taki łajdak, że wziął adwokata, zapłacił mu i ten adwokat napisał zażalenie na decyzję prokuratora o umorzeniu. Pisał w niej, że Wanda K. działała w przekonaniu, że jest chora. Pragnęła Sławomira R., swojego przełożonego, zarazić, nie wiedząc, że tego nie może uczynić. Powinna więc w myśl prawa odpowiadać tak, jak za zarażenie. Decyzja prokuratora została anulowana i sprawę wznowiono. Tak doszło do procesu. Proces ten w dziale obliczeń wzbudził ogromne oburzenie, bo w głowie się nie mieściło, jak może odpowiadać za usiłowanie zarażenia ktoś, kto zarazić nie mógł.

Obrona Wandy K. zmierzała do udowodnienia, że dziewczyna wcale nie sądziła, iż jest zarażona, a tylko tak mówiła, i że poszła z kierownikiem świadoma, że go nie zarazi, pragnęła natomiast Rybę przestraszyć. Obrona powołała na świadka tego chłopca, który bujał Wandę K., że ją zaraził i różne jego znajome, które zeznawały, że gość w ogóle jest fantastą i żadna z jego koleżanek, w tym także oskarżona, nie wierzyła ani jednemu jego słowu. Niektóre dziewczęta z hali arytmometrów także

zeczynały przed sądem, iż Wanda K. nie mówiła, że jest chora, a tylko twierdziła, że jej chłopak tak ją bajeruje, a ona w ten sam sposób zbajeruje kierownika.

Sąd dał wiarę w chęć zarażenia i skazał Wandę K. na osiem miesięcy z zawieszeniem. Nim dobiegł do końca ten jeden z dziwniejszych procesów, jakie rzadko się zdarzają, procesów na który zostałem zaproszony przez grono spod okna listem zbiorowym, pełnym oburzenia o to, że sądzona będzie osoba zdrowa za nie spełnione zarażenie, dyrekcja zdjęła ze stanowiska Sławomira R. i postawiła na jego miejsce pięćdziesięcioletnią panią z księgowości.

Mówił o tym w sądzie zeznający jako świadek przedstawiciel dyrekcji. Wyjaśniał sądowi, że dyrekcja jest bezradna: gdy postawi się na stanowisku kierownika działu obliczeń energicznego mężczyznę robota jest zrobiona, ale stosunki międzyludzkie nie wychodzą i ciągle się kończy erotycznymi aferami. Teraz, kiedy postawili kobietę, nie umie ona dać sobie rady z tym tłumem dziewcząt. Stosunki międzyludzkie uległy poprawie, ale narastają zaległości w pracy. Jest to dylemat, z którym boryka się niejedno przedsiębiorstwo. Ja bym próbował w dziale obliczeń wyjście pośrednie: zrobić kierownikiem bardzo pięknego, ogromnie morowego, imponującego i całkowicie nieprzystępnego faceta. Powstaje pytanie, skąd się bierze nieprzystępnych? Wziąć na etat także jego żonę. Niech siedzi, liczy i pilnuje.

Kadrowiec

Wczesnym rankiem 46-letnia Wiesława G. wróciła z pracy, z nocnej zmiany i w mieszkaniu znalazła zatrutą gazem swoją 19-letnią córkę Lucynę. Tegoż wieczoru dziewczyna zmarła w miejscowym szpitalu nie odzyskawszy przytomności. Normalnym zwyczajem milicja wdrożyła dochodzenia, ale Wiesława G. niczego nie potrafiła powiedzieć o przyczynach tragedii.

Mąż jej pracuje w „Mostostalu” i więcej niż pół życia spędza gdzieś w Polsce na budowach. Jest czy go nie ma, przysyła na dom 4 tys. złotych. Ona sama pracuje w piekarni i ma średnio 2300. Od dwóch lat pracowała także Lucyna. Ostatnio dostawała 1700 w ekspedycji na pocztę, ale chciała się zwolnić, bo tam nękały ją przeciągi, a córka była delikatnego zdrowia. Miały 8 tys. miesięcznie na dom, a to jeszcze był niecały dochód, bo mąż zatrzymywał część zarobków na swoje wydatki. Źle im nie było, i co się tyczy garderoby, to Lucyna G. tylko patrzyła: aby nowe, aby modne.

Na pół roku przed maturą w Technikum Ekonomicznym rzuciła szkołę, bo mówiła, że od nauki boli ją głowa. W domu nikt jej z tego powodu nie powiedział marnego słowa. Poszła do pracy, posady zmieniała często.

Miała narzeczonego. Technik-konstruktor. Bardzo grzeczny chłopiec. Chyba nic się między nimi nie popsuło, bo do ostatniej chwili odwiedzał córkę każdego wieczora. W dniu przed śmiercią córka była taka jak zawsze. Niczym nie zdradzała swoich zamysłów.

Naręczony był ostatnim człowiekiem, który widział Lucynę G. Zeznał, że rozmowę mieli poważną. On chciał szybko planować ślub ze względów mieszkaniowych i ogólnych. Ona mówiła, że za niego wyjdzie, ale uczciwie uprzedza, że go nie kocha. Ślub może być, kiedy tylko on zechce, jeśli musi się odbyć nim w jego zakładzie zbierze się komisja mieszkaniowa. On odparł, że pokocha go po ślubie, jest tego pewien. „Może” - odpowiedziała i tak się rozstali. Nie była zdenerwowana ani przygnębiona, raczej zmęczona i śpiąca.

Potem Wiesława G., matka zmarłej, przyniosła milicji list. Nadszedł on pocztą w dniu pogrzebu. Był to list pożegnalny od córki. Wrzuciła go do skrzynki przed śmiercią, zamiast po prostu położyć na stole. Zawierał on przeprosiny i wskazywał z imienia i nazwiska winowajcę jej śmierci, moralnego sprawcę, zabójcę właściwie. Nie był to naręczony. Sprawa miała skandaliczny posmak i zaraz się nią zajęły najpoważniejsze w mieście instancje.

W wielkim metalurgicznym zakładzie przez 21 lat kadrowcem był pewien bardzo zasłużony człowiek. Był ludzki, uczynny, lubiany, tylko słabo piśmienny. Dyrekcja

nie mogła się doczekać, żeby stuknął -mu już wiek emerytalny. Pragnęła zmodernizować komórkę kadr. Pięć miesięcy przed śmiercią Lucyny G. urządzono mu wreszcie serdeczne pożegnanie i wzięto na jego miejsce absolwenta psychologii po kursie specjalistycznym. Ma on 26 lat i nazywa się Roman S. Na niego to wskazała Lucyna G. jako na sprawcę swej śmierci.

Na ten temat było zaledwie parę zdań w pożegnalnym liście. Że zgłosiła się do pracy w zakładach metalurgicznych, bo biuro projektowe szukało kandydatek na kursy kreślarskie. Że Roman S. powiedział jej bez ogródek, iż ją przyjmie, jeśli zgodzi się przejść przez jego łóżko. Że nie mogła zdecydować się, rozczarowała się do życia i ludzi i dlatego otworzyła gaz.

Roman S. oświadczył, że nie ma w tym cienia prawdy. Dziewczyna tego nazwiska w ogóle nie składała papierów. Tej, której zdjęcie mu pokazywano w ogóle u niego nie było. Nie widział takiej, nie słyszał o takiej, w ogóle nie wie skąd się wzięło podobne oskarżenie.

Sprawdzono, że Lucyna G. nie składała w kadrach zakładów metalurgicznych podania o przyjęcie do pracy, ani żadnych papierów. Ustalono, że ani narzeczonemu, ani matce, ani przyjaciółkom nic nie mówiła, że ma zamiar iść na kreślarkę do zakładów metalurgicznych, że już chodziła tam do kadr lub że spotkała ją tam jakaś przykrość. Wspomniała tylko ogólnie, że pragnie zmienić pracę. Cóż z tego jednak, że nic nie potwierdzało oskarżenia? Utarło się przekonanie, że kiedy, jak kiedy, ale przed samą śmiercią każdy człowiek mówi prawdę, bo nie ma już żadnych interesów ze światem ani przyczyny, żeby kłamać. Ostatnie słowa mają miażdżącą siłę.

Pytano Romana S.: „A skąd w ogóle znała wasze nazwisko?” „A po co kłamała?” Kadrowiec odpowiedział nieprzekonywająco, że musiała pomylić osobę. Jakże jednak może twierdzić, że nigdy z tą dziewczyną nie rozmawiał? Tyle osób przyjmuje. Czy w ogóle pamięta twarze?

Z drugiej strony było dziwne to, że propozycja Romana S. skłoniła ją do samobójstwa. Lucyna G. miała pracę. Kiedy zaczęła mówić, że chce ją zmienić, różne koleżanki i koledzy zachwalali jej swoje zakłady. Wszędzie przyjmą młodą dziewczynę, którą jeszcze można łatwo przyuczyć do zawodu. A gdyby nawet.. W domu miała taką sytuację materialną, że mogła w ogóle jakiś czas nie pracować, tylko rozglądać się za czymś przyzwoitym. Dlaczego propozycja Romana S. przyprowadziła ją do takiej rozpacz, skoro mogła sobie bimbać na niego i zakłady metalurgiczne?

Takimi przesłankami kierował się prokurator, umarżając dochodzenie przeciwko Romanowi S. Jeśli nawet kadrowiec uczynił jej jakąś niestosowną propozycję - nie mogła to być przyczyna samobójstwa Lucyny G. Nie kochała narzeczonego, a siłą

inercji szła ku małżeństwu, na które nie bardzo miała ochotę. Do niecej propozycji Romana S. dlatego przykładała taką wagę, że był to jakiś element rozczarowania do świata i ludzi, że ta rozmowa ją rozgoryczyła, ona zaś sama nie wiedziała, dlaczego właściwie chce ze sobą skończyć. Nie umiała zracjonalizować powodów, a czuła się w obowiązku coś konkretnego wyjaśnić matce w ostatnim do niej liście.

Romanowi S. powiedziano ostatecznie, że trudno nie wierzyć w fakt podany w przedśmiertnym liście pożegnalnym. Nie sposób jednak go oskarżać, że pchnął dziewczynę do samobójstwa. O nadużycie stanowiska w imię wyłudzenia świadczeń erotycznych oskarżać go jednak można, bo jest na to dowód pisemny. Procesu jednak nie będzie, gdyż nic nie wiadomo o przebiegu jego rozmowy z dziewczyną. Był to szantaż, czy żart, nacisk z jego strony czy ot taka sobie propozycja, tego się już nie ustali. Materiał procesowy byłby nikły i sprawy nie będzie. Ale zaufanie stracił. Niech podpisze prośbę o zwolnienie z pracy ze skutkiem natychmiastowym i cieszy się, że to się dla niego tylko tak skończyło.

Odmowę swoją kadrowiec umotywowował tym, że czuje się niewinny, a podpisując prośbę o zwolnienie przyznałby się tym samym do czynu nie popełnionego. Woli proces. Jako kadrowiec przyjmuje codziennie wiele osób zgłaszających się do pracy. Lucyna G. mogła być u niego, choć nie pamięta ani twarzy, ani nazwiska. W tym może się mylić. Ale nigdy żadnej kandydatce do pracy nie proponował łóżka - i w tym mylić się nie może. Skąd jego nazwisko znalazło się w liście pośmiertnym desperatki i dlaczego rzuciła takie oskarżenie - tego nie wie, ale postara się dociec prawdy, choćby miało to trwać lata.

Jest kawalerem, ma wyższe wykształcenie i dobrze zarabia. Posiada oddzielny pokój w hotelu robotniczym i kogo jak kogo, ale jego portier na pewno nie kontroluje. W tym biurówcu, gdzie ma swój gabinet, pracuje ze sto dziewczyn. W jego hotelu robotniczym jest skrzydło kobiece, gdzie mieszka ponad siedemdziesiąt pracownic. Chociaż jest tu od kilku miesięcy, ma w mieście rozległe stosunki towarzyskie. To nonsens wyobrażać sobie, że on chce lub musi szantażować kandydatki do pracy, żeby znaleźć dziewczynę na noc!

Nikt w zakładzie nie spodziewał się, że Roman S. odmówi podpisania prośby o zwolnienie i powstała kłopotliwa sytuacja. Z jednej strony on postawił się w sposób wzbudzający szacunek i zaufanie. Z drugiej strony skandal był już zbyt głośny, żeby przejść nad sprawą do porządku dziennego. Romanowi S. dano normalne, trzymiesięczne wymówienie i wysłano go na ten czas w podróż, po Polsce, dla zebrania - nazywało się - doświadczeń o pracy służby kadrowej w innych zakładach. W rzeczywistości zaś, żeby zszedł załódze z oczu.

W kilka tygodni po śmierci Lucyny G. Roman S. zjawił się w dyrekcji mówiąc, że

już wyświecił tajemnicę wzmianki o nim w przedśmiertnym liście tej dziewczyny. Potwierdziło się, że nigdy z desperatką nie rozmawiał, nigdy nie widział jej na oczy. A jednak to nie było nieporozumienie, omyłka co do osoby. Nieboszczka świadomie fałszywie go oskarżyła.

Dwa dni temu przypadkiem zobaczył w kawiarni dziewczynę imieniem Ewa, którą kiedyś podrywał na jakiejś prywatce. Przysiadł się do jej stolika i z rozmowy wynikało, że ona była przyjaciółką zmarłej. Oto więc znalazł nagle ogniwo łączące go z Lucyną G. Nic nie opowiadał o sobie, o swoich perypetiach, tylko umówił się z tą Ewą na następny wieczór. Ona nigdy nie była w prawdziwym nocnym lokalu i obiecał ją tam zabrać.

W knajpie, po alkoholu powtórnie nakierował rozmowę na jej tragicznie zmarłą przyjaciółkę. Potem ta Ewa zaczęła wspominać ich pierwsze zetknięcie się, na prywatce. Przyszła na nią ze swoim chłopcem. Podpity Roman S. „dostawiał się” do niej, proponował, żeby z nim wyszła i zostawiła swojego chłopca. Chociaż odmówiła, miała o to straszną scenę. Awantury ciągnęły się tygodniami. Była wściekła na Romana S., że swoją bezczelnością tak fatalnie ją urządził.

Lucyna G. u niej w domu jadła obiad w dniu poprzedzającym jej nocny zamach samobójczy i zwierzyła się przyjaciółce ze swojego zamiaru. Nie wyjaśniała szczegółowo, dlaczego nosi się z myślą odejścia i na kiedy planuje samobójstwo. Mówiła tylko, że tego wieczora znowu ma przyjść do niej narzeczony i że nie ma ochoty na rozmowę z nim. Twierdziła też, że życie nie ma sensu. Owa Ewa nazwiskiem H. podzielała ten pogląd i mówiła, że zazdrości Lucynie G. odwagi.

To u niej wtedy desperatka pisała pożegnalny list do matki. „Jak wrzucę do skrzynki, nie będę mogła się już cofnąć”. W trakcie pisania listu Ewa H. poprosiła ją, żeby jako przyczynę samobójstwa podała, że kadrowiec Roman S. uzależniał danie jej pracy od przejścia przez jego łóżko. Prośba ta padła, kiedy Lucyna G. radziła się przyjaciółki, co matce podać jako powód swej decyzji. Ewa H. to właśnie jej podsunęła, mówiąc, że ten S. jest łajdakiem, który wyrządził jej krzywdę. Ma z nim porachunki.

Roman S. oświadczył, że Ewa H. zamieszkała tu i tu, pracująca tam i tam, może jego wyjaśnienia potwierdzić.

Ewa H. potwierdziła je rzeczywiście w całej rozciągłości, dodając tylko jeden szczegół, który Roman S. pominął. Że wówczas, na tej prywatce, namawiając ją, żeby porzuciła swojego chłopca a z nim poszła, obiecywał, że za to da jej u siebie w zakładach pierwszorzędną posadę. Ale Roman S. naprawdę mógł nie pamiętać takiego szczegółu.

Gra tu łapki

O pierwszej w nocy na ulicy Lotów Kosmicznych, patrolujący tę okolicę milicjant spotkał mężczyznę z workiem na plecach, który zapytany co ma w worku odrzekł, że pakuły i ochoczo je pokazał, po czym wszedł do jednego z domów. Wtedy milicjant spostrzegł, że na chodniku leży łapka karakułowa, skojarzył sobie tę łapkę i ten worek i pożałował łatwowności. Światło paliło się tylko w jednym oknie tego dwupiętrowego domu, milicjant zapukał więc w odpowiednie drzwi i osoba, która mu otworzyła, to była dziewczyna garbata, ale za to naga. Wprost z podestu schodów wychodziło się tu do pokoju, więc milicjant od razu poznał worek, rzekomo z pakułami, który stał w miejscu centralnym. Zapytał, czy może zajrzeć do środka, zyskał pozwolenie i pod cienką warstwą pakuł zobaczył brązowe łapki karakułowe, jakie przeciętna kobieta zna tylko z ogłoszeń gazetowych: „Sprzedam łapki karakułowe”.

Milicjant wezwał wówczas garbuskę, żeby się ubrała, ponieważ nie życzy sobie rozmawiać służbowo z naguską. Worek - dowiedział się - przyniósł pewien facet, którego nazwiska ona nie zna i imienia również, a także miejsca zamieszkania i pracy. Przychodzą do niej różni faceci, widocznie im się podoba, ale ludzie dziś tacy załatani, że mało który ma czas się przedstawiać. Jeśli MO interesuje ten gość i ten worek, to facet ma przyjść, odebrać swoją własność po szesnastej, więc będzie można go spotkać.

Milicjant nie dał się spławić, gdyż na stole zobaczył kiełbasę zwyczajną, ogórki i chleb. Doświadczenie służbowe uczyło go, że kiedy na stole jest przekąska, a nie ma butelki, przy stole zaś naga dama, a nie ma zaś mężczyzny, to znaczy, że mężczyzna wyskoczył po coś do picia i zaraz wróci, co się też sprawdziło.

Ubrana już garbuska od razu krzyknęła, że to nie jest ten facet, który przyniósł worek, ale milicjant rozpoznał w nim osobnika, którego zaczął na ulicy. W komisariacie człowiek z workiem przedstawił się jako Janusz T., pracownik oczyszczania miasta, karany siedmiokrotnie i bez zwłoki, można by pomyśleć z chęcią, wyznał, że łapki karakułowe tejże nocy ukradł niejakiemu Michałowi R., emerytowanemu strażakowi, zamieszkałemu tam i tam. Janusz T. odmówił tylko informacji, skąd wiedział, że Michał R. ma worek wypełniony cennym futrem wartym dziesiątki tysięcy złotych, gdyż - wyjaśnił - nie zwykł jest kapować na kumpli, którzy nadają mu skok. Opisał za to w szczegółach technikę rabunku. Któż zresztą nie ulega słabości pochwalenia się swoim dorobkiem intelektualnym?

Więc Michał R. mieszka w parterowym domku, jest to parter wysoki, ale pod oknem stoi beczka na deszczówkę. Wleźć do środka przez okno, to latem nie sztuka. Wedle wiadomości Janusza T. worek znajdował się w pokoju, gdzie emeryt śpi,

a złodziej nie chciał człowieka budzić akurat w takim nieprzyjemnym dlań momencie zabierania brązowych łapek karakułowych pochodzenia francuskiego. Ponieważ jednak Michał R. trzyma w swoim ogródku psa, który pilnuje jego posiadłości przed złodziejami i pies ten sypia w budzie, więc Janusz T. wpięrow odwiedził psa, związał mu łapy tak mocno, że pies musiał skomleć, potem poczekał aż emeryt obudzi się, wylezie, pójdzie do budy i nim pieska rozwiązał, już Michał R. nie miał, a Janusz T. właśnie miał karakuły.

Następnie wezwano na MO Michała R., emeryta i zapytano, jak mu się spało ubiegłej nocy. Właściciel psa odpowiedział, że jeśli obywatel ma zdrowe serce i czyste sumienie, to niezależnie od wieku nie cierpi na bezsenność. Po długiej rozmowie emeryt podpisał zeznanie, w którym stwierdził, że całą ubiegłą noc spał spokojnie, piesek nie piszczał, a nikt mu niczego z pokoju nie wyniósł, więcej: Michał R. nigdy nie miał żadnych łapek karakułowych.

Albo Janusz T. złożył zeznania mające na celu pogmatwanie dochodzeń, czyli skłamał, że ukradł łapki karakułowe, a prawdziwie skradł je gdzie indziej, albo Michał R. nie przyznaje się, że go okradziono, gdyż i on uzyskał futro z nielegalnego źródła. Żeby wątpliwość tę rozstrzygnąć, zarządzono rewizję u Michała R. i znaleziono u niego dużo towarów pochodzących z rozmaitych kradzieży. Te różne dobra były poukrywane w różnych schowkach. Michał R. miał dom dostosowany do paserskiego zajęcia. Teraz oczywiście Michał R. przyznał się już i do łapek karakułowych. Zeznał, że poprzedniego dnia nabył je za 37 tysięcy od niejakiego Janka Tyczki - nazwiska prawdziwego nie zna i znać nie chce, adresu również. Wie o nim tylko tyle, że Tyczka nocuje na ogródkach działkowych, co prawda nie mówił dokładnie gdzie, ale mówił z kim: z jedną tramwajarką.

Zatrzymany Janek Tyczka - Jan L. przeświadczony, że Janusz T. już powiedział całą prawdę, zeznał bez zwłoki, że to on sprzedał Michałowi R. worek łapek karakułowych, z których można by uszyć kilka futer i wziął za to 37 tys. złotych gotówką. Zaraz po dokonaniu tej transakcji oblewał ją w barze „Smok”, gdzie się dowiedział od ludzi poważnych, że jest cielecym cycem, bo łapki takie są warte najmniej 60 tysięcy złotych, przy czym rozmówca miał na myśli cenę paserską, bo przecież nie komisową. Janowi L. zrobiło się bardzo żal utraconych pieniędzy i wówczas namówił swojego kolegę Janusza T., z którym pół roku, na trzy wówczas przesiedziane, spędził w jednej celi, żeby odebrał łapki karakułowe staremu kanciarzowi Michałowi R., a podzielił się po połowie całą sumą jaką dostaną za nie, kiedy powtórnie je sprzedadzą już nie żadnemu tam paserowi, tylko jakiemuś kuśnierzowi.

Na pytanie, w jaki sposób Jan L. stał się posiadaczem worka łapek karakułowych, zapytany odparł, że nie było tu żadnej „bonanzy”. Poznał dziewczynę, która chodzi sprzątać do siostry jednego kuśnierza i ona mu pokazała worek karakułów, a on

następnego dnia zwyczajnie go wyniósł i zarazem poradził dziewczynie, żeby więcej już tam nie chodziła sprzątać, tylko raczej gdzie indziej. Dziewczyna miała za to dostać skórki na jedno futro, ale ułożyło się tak, że nie dostała, gdyż z jednej strony futro z łapek wcale do niej nie pasuje, z drugiej Jan L. akurat się odkochał. Nazwiska ani adresu siostry kuśnierza Jan L. nie zna, ale może iść i pokazać, gdzie to jest.

Pani Halina J., z której mieszkania Jan L. wyniósł worek łapek karakułowych, na pytanie, czy meldowała milicji o kradzieży, odpowiedziała przecząco. Nie zawiadamała MO ponieważ żadne karakuły z jej mieszkania nie zginęły i zginąć nie mogły, gdyż ich tam nie było. Komuś widocznie zależy na tym, żeby jej brata - wyjątkowo uczciwego rzemieślnika wrabiać w jakieś nielegalne źródła surowca. Rewizja urządzona w jej mieszkaniu spowodowała znalezienie różnych zagranicznych futrzarskich półfabrykatów wartości około pół miliona złotych.

Brat Haliny J. powiedział, że to nie są jego zapasy, tylko siostra widocznie na własną rękę uprawia jakieś handle. Stwierdzono jednak, że ma on w swoim warsztacie wyroby i w robocie futra sporządzone lub sporządzane z takich samych skór, jak znalezione u jego siostry.

U krańca tego łańcuszka było dwóch pracowników naukowych i jeden inżynier dużo służbowo jeżdżący za granicę i na Wschód i na Zachód. Ale to już banał. Z całego biegu zdarzeń i zeznań wynika, że kradnący jakoby bali się najmniej, szczerzy byli wobec milicji i elokwentni. Prawdziwy strach dusił okradanych, którzy bardzo boją się złodziei, ale jakby nie od tej strony, co inni ludzie.

Zapytałem prawnika, czemu złodzieje najmniej się boją, czyżby ich czekały niższe wyroki, niż paserów, szmuglerów i rzemieślników pracujących na nielegalnie zdobywanym surowcu? Okazuje się, że nie. Tylko, że normalny złodziej przyzwyczajony jest do siedzenia, a okradani robią z tego zaraz wielki dramat. Lepsze mają od złodziejów życie, więc więcej do stracenia.

Opowieść rewolwerowa

Strażnik bankowy zeznał: nazywa się Wiesław I., urodzony w r. 1927, właściciel dwuhektarowego gospodarstwa rolnego, którym zajmuje się jego żona. W banku pracuje od 11 lat. Tego wieczoru miał dyżur w portierni przy bramie wjazdowej do gmachu banku, ale z nudów, a także dla zdrowia, wyszedł na ulicę zaczerpnąć świeżego powietrza. Ruch był już niewielki. Dla zabicia czasu obserwował wszystko, co się działo. Dostrzegł więc, że mija go duży biały samochód z dziewczyną za kierownicą. Wóz przeleciał jeszcze kilkadziesiąt metrów i gwałtownie hamując zjechał do krawężnika. Staął, a potem pojechał do tyłu i zatrzymał się na wprost niego. Wsiadła z niego młoda i ładna dziewczyna ubrana w krótki kożuszek, wysokie buty i spodnie w kolorową kratę. Dziewczyna wyszła z auta, oparła się o nie, zapaliła papierosa i poczęła się nań gapić. On trochę patrzył na nią, a trochę starał się patrzeć w bok, gdyż czuł się głupio i nie wiedział, czego ona tu szuka. Ten samochód był marki BMW 2000 i miał prawe drzwiczki nie pokryte lakierem, ciemne.

Potem zauważył, że dziewczyna uśmiecha się do niego, więc zrozumiał, że ona zatrzymała się, żeby robić zeń wała. Odwrócił się ku bramie, chcąc wrócić do portierni. Wtedy usłyszał: „Niech pan poczeka! Przejedziemy się?” - „A po co?” „Po co? Tak sobie”. „Pan nie jest mężczyzną?” - „Jakiś zakład?” - zgadywał. „Dlaczego? Przecież pan na mnie patrzył”. „To pani na mnie patrzyła”. - „Zdawało mi się, że pan patrzy”. - „No patrzyłem, ale mnie nie wolno stąd iść”. - „Szkoda”. Poczuł ciekawość, co to będzie, więc powiedział, żeby chwilę poczekała, dał znać komendantowi, że musi wyjść w pilnej sprawie i wrócił na ulicę. Myślał, że już jej nie będzie, ale czekała, powiedziała, że bardzo nerwowo czekała. Otworzyła mu drzwiczki, ostro ruszyła. Jechali bardzo szybko. Zapytał, dokąd jadą. Nic nie odpowiedziała. Zapytał, ją ile ma lat. Znowu nie odpowiedziała, tak jakby w ogóle nikogo nie było przy niej w wozie. Zirytował się: „Panienko! Ja się nie prosiłem. Może mnie panienka podrzuci z powrotem i już”. - „Jedziemy gdzieś do lasu”. - Wyjaśniła. „Może pan sam określić, gdzie stanąć, jeśli pan się boi, że tam ktoś czeka, a ja jestem na wabia”. „Tu nie chodzi o bank - dodała. - Skręcę byle gdzie. Proszę powiedzieć. Bo mnie chyba się pan nie boi”. „Przecież się w ogóle nie boję” - odpowiedział, co nie było prawdą, gdyż wyjaśnia, że przypuszczał, iż ma do czynienia z wariatką, a nigdy nie wiadomo, co taka robi. Z drugiej strony przecież każdy na jego miejscu wykorzystałby, na Boga, okazję.

Zjechali w polną, błotnistą drogę, stanęli w lesie. Dziewczyna opuściła oparcie jego siedzenia, zdjęła kożuszek, podciągnęła sweter do góry i zaczęła odpinać spodnie. „Na co pan czeka? Rozbieraj się!” Było mu strasznie głupio i musi wyjaśnić, że pomyślał sobie wtedy o tym, że jeszcze nigdy w życiu nie miał na trzeźwo do

czynienia z obcą kobietą. Gdyby wypił chociaż z setkę, miałby inne samopoczucie. „Mam córkę starszą od pani. Już zamężna” - bąknął mocując się z klamrą od paska. „To co, że pan ma? Nie chcesz? Siłą cię nie porywałam...” Zaczął się rozbierać, ale w aucie nie było wygodnie ściągać mundur. Działo się to w listopadzie i wyjaśnia, że mimo ciepłej pogody coś niecoś już człowiek wkładał na siebie o tej porze roku. Ona była już wtedy w samych rajstopach i swetrze. Zaczęła mu niecierpliwie pomagać w rozbieraniu. Jednocześnie otworzyła drzwiczki wozu. „Zimno” - zaprotestował, bo jest wrażliwy na przeziębienie. Nic nie odpowiedziała, tylko szarpnęła go za nogawki. Nagle wyskoczyła bez butów i spodni z auta i zaczęła szukać czegoś na ziemi. Powiedziała, że zleciał jej pierścionek. On na to nic, czekał, aż nagle usłyszał taką wiązanekę, że niejedna zawodowa prostytutka zapadłaby się pod ziemię. Chodziło, okazało się, o to, że ma jej pomóc. Włożył buty i wylazł z auta w samych kalesonach, usiłując wypatrzeć pierścionek na leśnej drodze. Powiedziała, że cofnie wóz i poświeci mu reflektorami. Usiadła za kierownicą, ruszyła do tyłu. Patrzy, a ta wariatka cofa i cofa, już chyba ze sto metrów cofnęła. Potem zawraca, on zaś przecie dureń nic tylko patrzy, bo myśli, że to jakiś manewr dla łatwiejszego znalezienia pierścionka. Dopiero kiedy zobaczył, że samochód się oddala zrozumiał, że został zrobiony na szaro. Ciemno, zimno, las, on w samych kalesonach i koszuli. Począł biec za autem i krzyczeć. Jechała nie za szybko z światłem zapalonym wewnątrz wozu, więc zauważył, że wyrzuca przez okno jego rzeczy. I tak pozbiarał z błota spodnie, kurtkę, czapkę i godzinę szedł szosą, nim go ciężarówka podrzuciła do miasta.

Mieszka, jak już podał na wsi, na powrót do domu było za późno, poszedł po nocy do kolegi jakoś się oczyścić i przespać. Kolega dziwił się, że gość trzeźwy a utyłany, ale on nie mógł opowiadać co i jak, gdyż ten kolega jest żonaty, a żona była, rzecz jasna, obecna. I dopiero tam, u kolegi, przypomniał sobie, że wychodząc z banku nie oddał broni i że teraz ma tylko sam pas, a kabury z rewolwerem nie. Ten kolega ma kolegę, a kolega z kolei motor. Poszli budzić go po nocy. Wiesław I. powiedział, że zapłaci. Motor nie bardzo był na chodzie. Dwie godziny przy nim robili, nim mogli wyruszyć. Miejsce, gdzie był samochodem z tą dziewczyną znalazł nie od razu. Potem kolega kolegi szedł prowadząc motocykl i świecił reflektorem, a on szukał rewolweru. To jest wszystko co może powiedzieć o utracie broni osobistej.

Następnie Wiesławowi I. jeszcze raz kazano opisać dziewczynę i samochód, pytając: A włosy? A oczy? A usta? A podbródek? Oceniał ją na jakieś siedemnaście lat. Kiedy zaś podpisał zeznania oficer milicji wściekle nań spojrział i powiedział:

- Boję się panie I., że ten wasz pistolet już wystrzelił!

*

Matka dziewczyny jeżdżącej białym BMW, 39-letnia kosmetyczka Halina P., żona urzędnika handlu zagranicznego, nieobecnego w tamtym czasie w kraju, zeznała, że tego wieczoru, kiedy Wiesław I. utracił broń służbową, położyła się wcześniej, bo około jedenastej do łóżka i zgasiła światło, ale nie mogła usnąć, tak, że słyszała powrót córki do domu. Przed północą usłyszała więc przekręcanie klucza w zamku, kroki, otwieranie drzwi od jej sypialni. Potem rozbłysło górne światło. Jej córka, osiemnastoletnia Iwona, stała przy drzwiach z rewolwerem w ręku, co matce zdało się bardziej zabawne niż groźne. Na widok leżącej w łóżku matki Iwona P. rozpląkała się, rzuciła rewolwer na stolik i wybiegła z pokoju.

Nazajutrz po obiedzie pani P. miała zamiar zadzwonić do znajomego adwokata i poradzić się, jak postąpić z tym rewolwerem, który jej córka przyniosła z miasta, ale zanim to wykonała zjawiała się milicja i zabrała broń. To jest naprawdę wszystko co tyczy się rewolweru.

Fakt, że córka zdecydowała się go zdobyć i zdobyła tak szokującym sposobem - to jej, matki, wina. Iwona P. nie strzeliła, gdyż nie miała już powodu strzelać. Po powrocie do domu spodziewała się zastać zupełnie inny widok. Okoliczności sprawy mają wymiar i charakter intymny, bardzo intymny.

Córka ledwie miesiąc wcześniej podjęła studia, a już w tydzień po immatrykulacji wyznała matce, że zakochała się tam na uczelni. Halina P. o nic nie pytała, gdyż była pewna, że wchodzi w grę kolega, więc rzecz jest normalna. Iwona P. wracała teraz zawsze późnym wieczorem lub w nocy, ale uspokajała matkę, że na razie nie ma na uczelni żadnych obowiązków poza przedobiednimi zajęciami. Po kilku dniach córka zaczęła wspominać, że jadła kolację w takim to albo owakim lokalu. Wymieniała najdroższe. Halina P. dalej nie podejrzewała niczego, co można by uznać za złe. Sądziła, że amant Iwony jest nadzianym forszą bananowcem i to wszystko. Po dwóch mniej więcej tygodniach takiego życia córka powiedziała, że ma dosyć tego włóczenia się po knajpach i zapytała, czy zanim ojciec nie wróci z zagranicy nie mogłaby przyjmować amanta u siebie w pokoju. Halina P. chętnie wyraziła zgodę po pierwsze dlatego, że uznała, iż to przecież lepsze dla dziecka niż codzienne balowanie, po drugie skutkiem satysfakcji, jaką odczuła z racji tego, że córka ją pyta o pozwolenie. Już od lat Iwona przyjmowała u siebie kogo chciała, wcale się nie opowiadając. Zrozumiała to jej pytanie dopiero wtedy, gdy zjawiał się ten facet. Amant okazał się być docentem pod pięćdziesiątkę o odrażającym wyglądem: gruby, łysy, uszy odstające, wielkie, wejrzenie oślizgłe, przynajmniej kiedy patrzył na jej córkę. Uznała, że trudno, skoro to preceptor dziecka, a nie jakiś pętał - trzeba pełnić honory domu. Już pierwszego wieczoru dowiedziała się, że ma on żonę i dwoje dzieci i wysłuchała wszystkiego, co miał on do powiedzenia o swojej żonie, a było tego dużo i same złe rzeczy. Przy bliższym poznaniu wydał się jej jeszcze bardziej obrzydliwy niż poprzednio. Więcej nie zwracała sobie nim

głowy. Bywał co wieczór, ale nie wychodził z pokoju córki, a ona nie fatygowała się go witać. Zawsze około jedenastej, dwunastej odchodził. Wiadomo żona. Czasem tylko przed snem natykała się na to indywiduum w okolicy łazienki.

Przed córką nie tajiła niechęci do tego romansu. Iwonę denerwowały jednak wszelkie jej tego rodzaju uwagi. Nie miała zamiaru bezskutecznie drażnić córki i przestała mówić na ten temat. Dziewczyna wyraźnie była półprzytomna z afektu. „Jej sprawa” - myślała Halina P., - ale już po tygodniu bywania u nich tej kreatury córka oświadczyła, że adorator rzuca żonę i będzie się z nią żenić. Halina P. była w autentycznej rozpacz i nie chciała, ani nie mogła, pozostać bezczynną. Uznała, że jest tylko jeden sposób przerwania tych amorów, ale nadzwyczaj kosztowny: odbić docenta córce. To, że budził on wyjątkowe jej obrzydzenie nie było tym największym kosztem, jaki wiedziała, że przyjdzie płacić. Rozumiała, że co gorsza, Iwona znienawidzi ją serdecznie i dopiero to dołożone do łysiny docenta wyznaczało miarę poświęcenia, na które się jednak zdecydowała.

Otyły docent okazał się być wdzięcznym odbiorcą jej zalotów. Trochę byle jakiej z jej strony kokieterii, a obmierzłe spojrzenie łakomego świntucha przeniosło się z córki na matkę. Nic się nie działo poza tym, że niepostrzeżenie zmienił się klimat wieczorów w jej domu, że siadywali teraz we trójkę i że docent ociągał się z pójściem za Iwoną do jej pokoju. Córka szybko zorientowała się, co się święci. Potem pani P. poszła z docentem na kolację w miasto, a córeczka siedziała w domu. Podejrzewała z kim mama ma randkę, bo usłyszała, że jej amant tego wieczoru nie ma dla niej czasu i szlag ją trafiał. Nazajutrz Halina P. powiedziała córce, że o ósmej wieczorem chce kogoś u siebie przyjąć, więc prosi Iwonę, żeby zechciała tak sobie ułożyć czas, żeby zniknąć z domu. Niech nie waży się wracać przed pierwszą w nocy. Halina P. wiedziała, iż córka będzie miała trudności ze zorganizowaniem sobie wieczoru, gdyż jej amant okaże się zajęty, co też dziecko potrafi skojarzyć w sposób właściwy. Kłapouchemu docentowi umyślnie kazała przyjść do siebie już wpół do ósmej tak, żeby córka była jeszcze w domu i słyszała jego wejście oraz wstępne tokowanie. Natychmiast, kiedy docent wszedł z przedpokoju w głąb mieszkania, Iwona trzasnęła drzwiami wejściowymi.

Kiedy przyszło jednak do rzeczy Halina P. nie umiała się przemóc, by iść z kimś tak ją brzydzącym do łóżka i to mimo, że Iwona jest jej jedynym dzieckiem.

Koło dziesiątej wieczorem, po długiej ze sobą walce, wyprawiła zawiedzionego docenta do domu i poszła wkrótce spać, czyniąc sobie wyrzuty, iż okazała się marną matką. Później zjawiła się córka z rewolwerem w ręce.

Bilans tych tragikomicznych zdarzeń przyprawia Halinę P. o rozpacz: primo jej jedyna córka będzie miała sprawę sądową, secundo wychodzi za mąż za starego, grubego, wyjątkowo antypatycznego łysonia z dwojgiem dzieci i tertio czuje teraz

do matki nienawiść w przekonaniu, że chciała jej ona odebrać, aby przywłaszczyć sobie ten skarb jedyny i bezcenny - grubego docenta i to on - mniema - oparł się tym zakusom i odmówił pójścia z przyszłą teściową do łóżka.

Strażnika bankowego i osiemnastoletnią studentkę Iwonę P. połączył związek silniejszy od tego, którego się Wiesław I. spodziewał, wsiadając do białego samochodu jej ojca. Posadzono ich, mianowicie, razem na ławie oskarżonych, nie przedzielając nawet milicjantem, jako że obydwójce odpowiadali z wolnej stopy.

Kompleks zastępcy

Mgr inż. Feliks N. cierpiał na chorobę wstydliwą, która trapi wielu ludzi, chociaż nie ma swojego numeru ewidencyjnego w nomenklaturze służby zdrowia, a śmiertelność na nią jest zerowa. Nazywa się ta choroba „kompleks zastępcy” i u Feliksa N. miała przebieg ostry. Można przez całe życie być woźnym i nie ulegać z tego powodu frustracji, można być kierownikiem czegoś malutkiego i nieważnego, a mieć poczucie doniosłości swojej roli, dobrze prosperować i nie czekać awansu. Jednak funkcja zastępcy, choćby zastępowało się dyrektora albo kogoś niepomiernie ważniejszego, gdy sprawuje się ją przez dłuższy czas, staje się czymś w rodzaju choroby, zaleczalnej ledwie przez awans na zastępcę wyższego szczebla, zaś uleczalnej przez awans na szefa, choć także przez degradację. Wiecznym zastępcą bywa się zwykle przez przypadek, fatalny zbieg okoliczności, posiadanie jakiegoś haka. Jest jednak kategoria pracowników, którzy, idealni jako zastępcy, nie nadają się na szefów samodzielnych, ci także chorują i to beznadziejnie. Może to chłopski u Polaków atawizm, że każdy chce być na swoim?

Feliks N. od szesnastu lat był zastępcą do spraw technicznych dyrektora fabryki w powiatowym mieście, przetrwał siedmiu szefów, co powinno mu być pokrzepieniem, ale nie było. Kompleks zastępcy ma dwojaki objawy. Facet albo staje się znudzony, nietwórczy, obojętny w pracy, jego energia słabnie, demonstruje niezainteresowanie robotą połączone z biorącą się z rutyny pewnością poczynań; albo, co częściej, zaczyna wojnę z pryncypałem, usiłuje go wygryźć w nadziei, że vacat zostanie wypełniony nim samym. Nasz bohater zabrał się do siódmego swojego szefa, metodycznie podstawiając mu nogę, aż wygryzł. Tu jednak doznał rozczarowania. Jego awans, co okazało się po zwycięskiej i trudnej batalii, w ogóle nie wchodził w rachubę. Nowy naczelny przysłany został z zewnątrz, awansowany z naczelnika w zjednoczeniu. Jest to dosyć typowy efekt walki zastępcy z przełożonym. Feliks N. zebrał na szefa dość, żeby go wykończyć, ale w toku zmudnych z nim zmagania przecie i tamten nie pozostawał bierny. Też znalazł co nieco na zastępcę. Władze przełożone zaś, gdy mają do czynienia z rozróżą, konfliktem, lubią - dla zapewnienia spokoju - rozstawić po kątach obie walczące strony - i każdej, choćby nierównomiernie dać po nosie. Racje mało kiedy są całkowicie po jednej stronie, więc ten sposób rozstrzygania personalnych wojen daje największe gwarancje sprawiedliwości i ładu. Feliks N. powinien był więc być zadowolony, że został na swoim stanowisku, ale nie; jeszcze w nim tkwiły siły witalne, jeszcze nim nie owładnęło paraliżujące zmęczenie, które jest efektem każdej przewlekłej choroby. Ledwie się pojawił nowy naczelny - pierwszy jego zastępca szyć mu zaczął buty.

Działanie zmierzające do wygryzienia nowego dyrektora może być skuteczne

dopiero po dłuższym czasie. Każdy nowy uważany jest przez władze zwierzchnie za świętego, właśnie dlatego, że jest nowy. Doszukiwanie się w nim skaz, albo przyjmowanie ich do wiadomości, podważałoby przecież jakość decyzji przez siebie dopiero co podjętych. Zresztą trzeba czasu, żeby nowy dyrektor zdążył nabroić i naknocić, żeby jakiegokolwiek dziejące się w fabryce zło można było przypisać na jego konto. Dyrektora - co warto wiedzieć - trudno jest wygryźć przez pierwsze dwa lata urzędowania, chyba że zajdzie coś nadzwyczajnego, ale na to trudno liczyć. Po szesnastu latach czekania inżynierowi Feliksowi N. bardzo się śpieszyło, więc już w czwartym miesiącu urzędowania dyrektora naczelnego mgr inż. Mikołaja Sz. dojrzał szansę wyrzucenia go. Szansę taką stanowiło urządzenie skandalu. Własna sekretarka powiedziała mu, że sekretarka naczelnego zwierzyła się jej, iż szef poczynił biedaczce nieprzystojną propozycję, aby przyszła doń wieczorem do domu. Gdy odmówiła - dyrektor po jakimś czasie ponowił zaproszenie, za powolność obiecując awans, a nawet skierowanie na studia i dał równocześnie do zrozumienia, że lepiej by namyśliła się nim odmówi, bo po pierwsze bardzo mu się podoba, a po drugie może ją przenieść do gorszej pracy albo nawet zwolnić.

Do miasta, w którym stoi powierzona mu fabryka, Mikołaj Sz. sprowadził się bez rodziny i zastępcą wiedział, że jego tu samotność ciągnąć się może latami. Żona dyrektora jest asystentką w klinice Akademii Medycznej, więc przenosiny na prowincję przekreśliłyby jej karierę naukową. 36-letni dyrektor mieszkał samopas, w kawalerce tymczasowo oddanej do jego dyspozycji (mieszkanie zachował w mieście, skąd przyjechał). Wyglądał na faceta, któremu niczego nie brakuje, również rozmaitych chętek. Można się było spodziewać, że kimś sobie zechce wypełnić wieczory. Feliks N. poszedł za tym podmuchem i namówił swoją sekretarkę, żeby namówiła koleżankę z sekretariatu naczelnego, 23-letnią Krystynę Z., do dyskretnej z dyrektorem technicznym rozmowy na temat kłopotów, jakie ma ze swoim szefem. Pani przyszła, rozmowa się odbyła. Mówił o tym, że naczelnicy się zmieniają, ten nowy zdaje się bawić tu wręcz przejazdem, on zaś, inż. N. reprezentuje stabilność fabrycznej władzy, przypominać nie musiał, to się rozumiało samo przez się. O tym, że i on jest władny awansować, ułatwić studia lub degradować i wyrzucać, wspominał tylko aluzyjnie, żeby w trakcie późniejszego roztrząsania sprawy nie można go było oskarżać o zastosowanie podobnych metod, jak te, o które będzie się miało pretensje do Mikołaja Sz. Uświadomił dziewczynie, że jej alternatywa jest marna. Wda się w romans z dyrektorem? Kiepski jej los. Miasto niewielkie, dyrektor czołowego zakładu na widoku. Jej mąż się dowie, a przecież mają dziecko. Dyrektorowa Sz. też się dowie. Będzie skandal, a przecież nie dyrektor, lecz ona wyleci wtedy z pracy i na dokładkę mąż może ją rzucić, lub co najmniej odplacić pięknym za nadobne. Odmówi dyrektorowi? On zawsze może zmienić sobie sekretarkę i nikt palcem nie kiwnie. Kto zwolnionej już osobie

uwierzy, że szef naprawdę ją szantażował? Każdy uzna, iż się odgrywa i to niecie, głupio, metodami z magla. Jedyne więc dla niej wyjście to wystawić do dyrektora Mikołaja Sz. nogę w taki sposób, żeby się o nią potknął.

Zdesperowana Krystyna Z. okazała się dobrą słuchaczką i powolnym narzędziem. Rozumu miała akurat tyle, żeby pojąć, że jak Feliksa N. nie posłucha, to wyleci i to z komplikacjami, a jeśli zrobi to co on radzi w szczerzej o jej skórę i los trosce - awansuje i pójdzie na studia, zaś niegodziwiec pchający się służbowo odeń zależnej dziewczynie do łóżka poniesie właściwą karę. Przyrzekła dyskrecję i zaakceptowała plan Feliksa N. Punkt pierwszy. Za dziesięć dni jej mąż wyjeżdża na tydzień na kursokonferencję. Krystyna Z. ma oddać na ten czas dziecko do matki i powiedzieć szefowi, że mąż na tydzień wyjeżdża, a dziecko usunęła z domu, więc będzie mogła zostawać trochę dłużej w pracy, by zrobić w sekretariacie generalne porządki.

Wkrótce Krystyna Z. donosi inżynierowi Feliksowi N., że ryba chwyciła przynętę. Dyrektor namawia ją, żeby złożyła mu w domu wizytę któregoś wieczoru. Nie - powiada naczelny inżynier. - To ona ma zaprosić szefa do siebie. Niechaj będzie ofiarą najścia, nie zaś osobą, która wieczorami szwenda się po cudzych kawalerkach. Dyrektor naczelny przyjmuje zaproszenie. Teraz umyślny jedzie po męża sekretarki, bawiącego na kursokonferencji i przywozi go do domu. Mąż jest już wtajemniczony w to, jakie miał mieć rogi. Odgraża się, że on już trafi, gdzie trzeba i pokaże dyrektorowi.

Wszystko jest urządzone jak w przedwojennej farsie francuskiej. W pierwszym pokoju wyelegantowana sekretarka, koniak, muzyka, przyćmione światło, w drugim zainstalowani są: mąż, wicedyrektor N. i czynnik społeczny. Próba dźwięku. Muzyka musi być na tyle głośna, żeby Mikołaj Sz. nie usłyszał jakiegoś przypadkowego ruchu czyhających i na tyle cicha, aby w przyległym pokoju słychać było przebieg karesów. Pani domu ma mówić, że za nic nie chce zdradzić męża, ale boi się utracić posadę, więc zaprosiła dyrektora, żeby go uprosić, aby ją zrozumiał, uszanował, nie mścił się. Równocześnie Krystyna Z. ma poić go koniakiem i wbrew temu co mówi - wodzić na pokuszenie. A kiedy już będzie sprowokowany, krzyknąć, aby nie przedwcześnie. Wtedy trzech świadków wpadnie do pokoju.

Dalej wszystko toczy się już nie tak jak we francuskiej farsie bulwarowej. Nic się bowiem nie dzieje. Przez dwie godziny zgromadzeni czekają całą czwórka, ale dyrektor nie przychodzi.

Feliks N. jest wściekły, czuje się ośmieszony. Pyta Krystynę Z. czy czasem to nie była jej imaginacja, że dyrektor taki ku niej zapalony. Wygląda na to, że jest intrygantką, która bezpodstawnie pomawia szefa o łajdactwo. Krystyna Z. zapewnia, że jej dyrektorowi musiało coś nadzwyczajnego wypaść i obiecuje nazajutrz sprawę

wyświetlić. „Nie mogłem przyjść” - lakonicznie i bez przeprosin mówi inż. Mikołaj Sz. „Ale niech pani do mnie wpadnie” - rzuca od niechcienia i przechodzi do spraw służbowych. Sekretarka powtarza rozmowę wicedyrektorowi. Nie wygląda mu to obiecująco. Tak zachowuje się pewny swych wdzięków, więc niedbały podrywacz, nie zaś człowiek usiłujący aż nadużyć władzy, aby tylko zniewolić kobietę. Ale jest jeszcze szansa, no i mąż sprowadzony z kursokonferencji, bez którego nic nie można by zdziałać. Krystyna Z. idzie wieczorem do dyrektora Mikołaja Sz. Jest to oczywiście gorszy wariant łapania naczelnego in flagranti, bo nie będzie trzech świadków na to, że dyrektor szantażował sekretarkę, a tylko jej w tej sprawie oświadczenie, osoby, która przedstawiać się będzie w gorszym, niż według roli z pierwszego scenariusza, świetle, skoro sama polazła do szefa do domu.

O ósmej wieczorem Krystyna Z. idzie więc do dyrektora, a o dziewiątej jej mąż, inż. Feliks N. i czynnik społeczny dzwonią do jego drzwi. Nikt nie odpowiada, a przecież pali się światło w oknie dyrektora, to sprawdzili. Krystyna Z. ma teraz krzyczeć, z wewnątrz wzywać pomocy, a nie krzyczy. Dzwonią dalej, w końcu odzywa się zza drzwi dyrektor. Feliks N. żąda, aby im otworzyć. Mikołaj Sz.: „O co chodzi? Teraz nie mogę panów wpuścić”. Wicedyrektor żąda otwarcia drzwi, sekunduje mu nieznany dyrektorowi głos męża jego sekretarki. Gospodarz odmawia, coś mówi z irytacją. Feliks N. zaczyna wywalać drzwi. Słychać, że Mikołaj Sz. telefonuje. Kwadrans mordują się z drzwiami. Na schodach już pełno lokatorów. Kiedy drzwi ustępują, niemal równocześnie zjawia się milicja. „Tym lepiej” - myśli Feliks N. i wbiega do środka, za nim mąż, czynnik społeczny, milicja i sąsiedzi. Wewnątrz jest dziewczyna, ale nie Krystyna Z. Jakaś obca, w ogóle nietutejsza. Stół zastawiony do kolacji, łóżko pościelone, dziewczyna ubrana, klęska. Milicja spisuje protokół o zajściu. Będzie proces o włamanie.

Krystyna Z. opowie swoim niedoszłym wybawcom, że przyszła o ósmej i odeszła od drzwi nie wpuszczona. Nikt się nie odezwał, więc po pół godzinie próbowała jeszcze raz. Znowu nikt nie otworzył drzwi. Wróciła do domu, ale minęła się widać w drodze ze swoimi obrońcami.

Nazajutrz Feliks N. podpisuje prośbę o natychmiastowe zwolnienie z pracy. Zostaje ona przyjęta. Tym sposobem także wyleczyć się można z kompleksu zastępcy. Nie wszyscy chcą zrozumieć, iż jest on najprostszy.

Koszula

Na wolnym rynku cena dobrego narzeczonego kształtuje się obecnie: dziewięcioletnia książeczka samochodowa PKO, pierścionek złoty z krwawnikiem i sweterek węgierski w kolorze pistacjowym, mało znoszony...

*

Technik odzieżowy, Sylwia N., panienska lat 26, zamieszkała przy rodzicach, weszła do sklepu z obuwem, zapytała o interesujący ją rodzaj i rozmiar, dowiedziała się, że nie ma i uzaliła głośno, że od tygodnia już biega i bezskutecznie szuka. Jakiś pan, oglądający gablotę, głośno dał wyraz swojemu oburzeniu: jak to może być, żeby kobieta biegała, szukała i nie znajdowała? Ludzie patrzyli na niego ze zdziwieniem. Pan był postawnym brunetem, mało co po czterdziestce, nosił baki, a poza tym wyjątkowo był wytworny. On zna dyrektora od obuwia, zadzwoni do niego do domu i na jutro wystara się o te pantofle. Sylwia N. wręcz nie wie, jak ma dziękować i wyjmuje pieniądze, ale nie trzeba. Pan wyłoży za buty, spotkają się, to mu odda. Spotkanie odbywa się nazajutrz w kawiarni. Butów nie ma, bo dyrektor wyjechał za granicę, ale jest kawa, koniak i jeszcze raz koniak. Pan nazywa się Ryszard L. i jest lekarzem. Do Sylwii N. chociaż znają się tak krótko, nabrał nadzwyczajnego zaufania. Jej szczera, otwarta twarz wręcz prowokuje do zwierzeń. Pan ma wszystko: stanowisko, pieniądze, auto, tylko szczęścia nie ma. Właśnie odchodzi od żony. Ona go nie kocha, bo nie umie kochać, on marzy o dziecku, ona nie marzy o dziecku - kolosalny zawód życiowy.

Następna randka. Butów nie ma, ale jego żona wyjechała i Ryszard L. własnoręcznie przygotował w domu kolację. Może Sylwia N. ma jakąś przyjaciółkę, to by ją też zabrali. Wolałby nie robić wrażenia, że usiłuje z nią zostać sam na sam, aby wykorzystać sytuację. Sylwia N. ma przyjaciółkę, ale zabieranie jej uznaje za zbędne. Jadą taksówką, bo samochód w reperacji. Mieszkanie jest imponujące, kolacja dobra, Ryszard L. zachowuje się jak amant z filmów dozwolonych od lat 11. Znow się zwierza, wręcz nałogowiec. Sylwia N. czuje się wreszcie komuś potrzebna.

Następne spotkanie. Ryszard L. składa deklarację uczuciową. Taki zakochany, że rozstał się z żoną, zostawił jej mieszkanie, auto, wszystkie, jakie miał, pieniądze, jest do dyspozycji Sylwii N. Oczywiście to co uczynił, do niczego jej nie zobowiązuje. Sylwia N. dzwoni do koleżanki, że potrzebuje pokoju na kilka godzin, a Ryszard L. kupuje butelkę wina. W trzy dni później siostra Sylwii N., z którą dzieliły pokój, przenosi się do pokoju rodziców, a Ryszard L., narzeczonego Sylwii, zostaje piątym lokatorem dwupokojowego mieszkania.

Ryszard L. dalej jest uroczy, ale ma mało czasu, żeby to uzewnętrznic. Czasem pracuje przez całą noc i wówczas przez pół dnia odsypia, to znów pracuje przez cały dzień i tylko na noc wraca. Posiada tylko jedną zapasową koszulę, więc prac trzeba codziennie i nie ma ani grosza. Żona - mówi - położyła łapę na jego pensji.

Sylwia N. wciąż nie wie, gdzie on pracuje, a to ją ciekawi - pory pracy takie dziwne! I nie rozumie, jak można zawładnąć w całości czyjąś pensją. Ryszard L. wyznaje, że mijał się z prawdą mówiąc, iż jest lekarzem. A nie chce kłamać dalej, bo kłamstwo jest sprzeczne z jego naturą. Pracuje w takiej szczególnej, tajnej służbie państwowej, że ani nie wolno mu nikomu, nawet osobie najbliższej, powiedzieć co robi, ani nawet w przybliżeniu określić miejsca czy rodzaju pracy.

Mijają miesiące. Ryszard L. jest niezmiennie uroczy, czuły, kochający. Pobrac się mają, jak tylko dostanie mieszkanie, a to kwestia kwartału, najwyżej dwóch. Jego pobory idą na opłacenie wkładu w spółdzielni, trochę pieniędzy czasem wszakże przynosi. Sylwia N. oddaje mu część swojej pensji. O utrzymanie troszczą się jej rodzice.

*

Osiem miesięcy wcześniej, niż Sylwia N. szukała dla siebie w sklepie pary pantofli (które to szukanie nie jest oczywiście chwilą ważną dla Historii, ale przecie istotną dla biegu niniejszej historyjki), niejaka Krystyna A., 32-letnia wychowawczyni w przedszkolu, poznała w autobusie specjalnym, niedzielnym, wywożącym latem ludzi z miasta na trawkę, pana, który wpierw objawił zainteresowanie jej trzynastoletnim synem, a później nie taił, że jego zainteresowanie nią samą jest jeszcze większe. Nazywał się ten pan Ryszard L., spędził niedzielę aż po zmrok z Krystyną A. i jej chłopcem i był bardzo miły. Ponieważ syn Krystyny A. mówił doń „proszę pana”, Ryszard L. powiedział dobrotliwie: „możesz mi mówić panie pułkowniku”. Prosił tylko panią A. żeby go nie pytała, czego jest pułkownikiem i gdzie pracuje. Nie pytała więc. Że pułkownik - tego była aż nadto pewna. Jej mąż miał stopień sierżanta, a i to tylko straży przemysłowej. Tej niedzieli syn wrócił do domu sam, pouczony co powiedzieć ojcu, zaś Krystyna A. została jeszcze z pułkownikiem na czas niezbędny, żeby się z nim spoufalić. Romans rozwijał się, a po jakimś czasie (jeszcze ciągle długo przedtem nim Sylwia N. szukała pantofli) zyskał niespodziewanie pomyślne warunki rozwoju. Męża pani A. - sierżanta - zamknięto i uhonorowano pierwszym na liście oskarżonych miejscem, jako organizatora kradzieży w fabryce, więc Ryszard L. zamieszkał razem z Krystyną A. i jej synem. Okazał się człowiekiem nadspodziewanie szlachetnym. Czas, energię, pobory i znajomości bez reszty poświęcił ratowaniu obcego sobie człowieka, którego nigdy nawet nie widział na oczy: męża-sierżanta, któremu kroić się perspektywa długoletniego więzienia. Energicznie zajął się wychowaniem chłopca, pełnił obowiązki męża z zapałem i umiejętnością.

Ponieważ niebagatelna pułkownikowska pensja szła na przekupywanie różnych osób mogących mieć wpływ na los byłego sierżanta - żyli: Krystyna A., pułkownik i chłopiec, nadzwyczaj skromnie z pensyjki przedszkolanki. Szczęściem pułkownik nie pił, kontentował się posiadaniem dwóch tylko koszul, a wymagania życiowe tego domatora były mniej niż minimalne.

*

Sylwia N. obchodziła sklepy obuwnicze szukając dla siebie butów w przededniu finału jeszcze jednego romansu Ryszarda L., który ma dla tej opowieści znaczenie tylko epizodyczne. Przez długi czas w jego życiu, którego poprzednich kolei zresztą nie znamy, zajmowała ważne miejsce 23-letnia bileterka kinowa Genowefa P., osoba ułomna, kulejąca. U panny owej, mieszkającej ze swoją babką-emerytką, w ciągu prawie czterech lat Ryszard L. jadał obiady.

Romans - bo tak to trzeba nazwać, choćby w grę wchodziły wyłącznie emocje gastronomiczne - urwał się za sprawą Sylwii N. Otóż matka Genowefy P. zmarła o sześć lat wcześniej niż Sylwia N. szukała w sklepach dla się pantofli, a była owa matka gosposią u pewnej wybitnej i ogólnie znanej osobistości z branży artystycznej. Po śmierci pomocy domowej państwo zaopiekowali się jej ułomną córką, otaczając ją pomocą i protekcją. W godzinach, kiedy kino było zamknięte, wolna wówczas od obowiązków państwowych Genowefa P. chadzała do chlebowców zmarłej matki sprzątać i gotować. Kiedy gdzieś wyjeżdżali pilnowała im mieszkania i to właśnie mieszkanie pożyczyła Ryszardowi L., kiedy potrzebował reprezentacyjnej chaty, aby w roli wybitnego lekarza podejmować kolację Sylwię N.

Osobistość ze świata artystycznego i jego żona po powrocie zastali nieporządku, resztki jedzenia i trunków alkoholowych na stole, drzwi niedokładnie zamknięte, więc zrobili Genowefie P. awanturę. Pod jej wpływem zerwała ona z Ryszardem L. - trudno powiedzieć czy powodowana oburzeniem za naruszenie świętości, jaką jest porządek w mieszkaniu państwa jej matki, czy zazdrością, boć za resztkami jedzenia i napitku musiała kryć się kobieta. Tak powstał u Ryszarda L., który teraz nie miał gdzie jadać obiadów, vacat uczuciowy. Wypełniła go Sylwia N.

Wspomnieliśmy, a był to szczegół, którego nie należało pomijać, że mieszkający z Sylwią N. jej narzeczony Ryszard L. był posiadaczem koszul, z których jedną ona codziennie prała. Obie koszule były identyczne: jasnoszare z lekko błękitnym odcieniem.

Razu jednego Sylwia N. użyła w trakcie prasowania zbyt gorącego żelazka i zostawiła brązowy odcisk żelazka na tylnej dolnej części koszuli, tej, którą nosi się w spodniach. Ryszard L. włożył tę koszulę i poszedł do pracy. Po powrocie rozebrał się i położył do łóżka, a Sylwia N. wzięła jego koszulę do przepierki. I oto

stwierdziła, że tylny płat jest nieprzypalony. Sprawdziła drugą koszulę, myśląc, że może jej się pomyliły. Także była nieprzypalona. Po jakimś czasie wszakże brunatny odcisk żelazka powrócił na plecy jednej z koszul, aby później znów zniknąć. Zjawisko wyglądało na nadprzyrodzone, ale z drugiej strony jakże trudno sobie wyobrazić, że jeśli już Istota Wyższa czyni cuda, to obiera sobie dla nich miejsce akurat niżej pleców na koszuli Ryszarda L.

Kobieta może całymi latami nie objawiać ciekawości, gdzie jej narzeczony, a nawet faktyczny już mąż właściwie pracuje, czym jest, co robi - nawet jeśli ta sfera jego życia jawi się nadzwyczaj zagadkowo. Jest jednak zupełnie niemożliwe, aby nie zechciała dociekać prawdy o plamach na koszuli. Kiedy Ryszard L. wyszedł do pracy - poszła więc za nim. Skręcił do domu, który zupełnie nie wyglądał na biuro, czy coś w tym rodzaju. Wszedł do któregoś z mieszkań. Godzinę cierpliwie odczekała, nim zdecydowała się zadzwonić i wejść. Zastała swojego przyszłego, jak mniemała, właściwie już faktycznego męża Ryszarda L., leżącego w pościeli i czytającego gazetę w pokoju, gdzie jakiś uczeń odrabiał lekcje i jakaś kobieta lakierowała sobie paznokcie.

*

Pierwsze co Sylwia N. wyjaśniła z Krystyną A. to była sprawa koszuli. Trzeci identyczny egzemplarz leżał przygotowany do włożenia.

Obie kobiety Ryszarda L. rozmawiały długo, rzeczowo, spokojnie i szczerze. Doszły do zgodnego wniosku, że on nigdzie nie pracuje, ale po prostu część czasu spędza w jednym, a część w drugim ze swych domów i że jego głównym życiowym pożytkiem jest dubeltowe jedzenie i picie. Że te skromne pieniądze, które czasem dawał jednej współlokatorce brał od drugiej i vice versa. Że przypuszczalnie dwa domy były mu potrzebne tylko do tego, aby pozorować, że jest normalnie żyjącym, czyli pracującym człowiekiem. Że Ryszard L. jest w gromadzie trutni niewątpliwym odkrywcą całkowicie oryginalnego stylu i sposobu życia, a jest to akurat ta dziedzina, w której ludzie objawiają najmniejszą pomysłowość. I obie kobiety doszły także do wniosku, że go kochają, że to człowiek poczciwy jako mąż i wręcz idealny przez swą pogodę ducha, małe wymagania, domatorstwo i czar osobisty.

Przez kilka tygodni trwały pertraktacje, wyprowadzki Ryszarda L. od jednej do drugiej, zmiany decyzji, jego próby kontynuowania teraz już jawnie dotychczasowego dwudomowego trybu życia. Pierwsza miała tego dość Sylwia N., u której w owej chwili Ryszard L. nie mieszkał, ale za to zapowiadał, że się do niej lada dzień przeniesie i to definitywnie. Po kilkugodzinnych płaczach i awanturach rzekła się go na rzecz Krystyny A. Krystyna A. zobowiązała się za to wyrównać wartość straty. Ekwivalent Ryszarda L. stanowiła książeczka samochodowa na 9 tys. złotych, przepisana z Krystyny A. na Sylwię N. pierścionek i sweterek węgierski.

Transakcja została zawarta, tyle że bez wiedzy Ryszarda L., który tylko to przyjął do wiadomości, że go Sylwia N. nie chce więcej widzieć na oczy.

W dwa miesiące później Ryszard L. bez słowa porzucił Krystynę A., zabierając trzy swoje koszule i wyniósł się do Sylwii N. mówiąc, że ją tylko kocha, z nią tylko zostanie i zacznie niechybnie pracować.

Krystyna A. zażądała wówczas od Sylwii N. zwrotu 9 tys. złotych, pierścionka i sweterka. Spotkała się z odmową, gdyż po pierwsze sweterek został już do końca znoszony, pierścionek sprzedany i wszystka forsa wydana, po drugie zaś Sylwia N. powiedziała, że ona wywiązała się z umowy i nie za jej przyczyną lub z jej winy Ryszard L. wreszcie zrozumiał, że tylko ją kocha.

Krystyna A. wystąpiła wówczas do sądu o zwrot pieniędzy i rzeczy, którymi zapłaciła za narzeczonego, ale przegrała sprawę. Narzeczonego - wywodził sąd - jest to w rozumieniu prawa osoba ludzka i nie może jako taka stanowić przedmiotu kupna - sprzedaży, ergo umowa zawarta między obu kobietami jest - znów w rozumieniu prawa - bezprawna i przekazanie dóbr sąd traktować musi jako darowiznę bezwarunkową.

Od siebie, jako osoby ludzkiej, sąd dodał Krystynie A. słowa pociechy. Zdaniem sądu Ryszard L. wart jest tej straty.

Aria na głos męski

Sąd był prząsny, powiatowy, sala mała, zakurzona, bohaterki procesu olśniewające, przedmiot sprawy niezwykle.

Szedł w jednym mieście program estradowy, dawany przez objazdowy zespół w świetnej wystawie i oprawie. Śpiewały na przemian dwie szansonistki, zresztą również jeden pieśniarz, ale to nie ma znaczenia. Obie piewice miały fonię z playbacku, czyli że nie dawały naturalnego głosu z gardła, tylko ruszały ustami, a piosenki uprzednio nagrane puszczane były z taśmy magnetofonowej. Po co to się robi? Artystka jest dysponowana albo nie, miewa katar lub ból gardła, w formie bywa lepszej, ewentualnie gorszej. Jeśli zaś śpiewa przez mikrofon (a bez wzmacniacza potrafią dziś dawać głos jeszcze tylko w operze), publiczności jest wszystko jedno, czy naprawdę śpiewa, czy robotę odwała za nią „Grunding”.

Na taśmę nagrywa się piosenkę tylko raz, bardzo starannie, pod kontrolą aranżera, powtarzając po kawałku i lepiej to wychodzi niż z płuc. Zapytać można teraz po co w objazd jedzie żywa artystka, a nie sam magnetofon? Gdyby publiczności do taśmy nie dodawano żywca, nie byłoby uzasadnienia, że zarabia śpiewem Teresa Ż., zwana „Tutą”, tylko po Polsce powiatowej jeździć by mogła nieboszczka Edith Piaf.

Krytyczny moment wyglądał jak następuje. Pan Czesiu zakręcił nakładkę na reflektor i wtedy po kremowej kotarze, stanowiącej horyzont sceny, biegać zaczęły białe świetliste punkty i czerwone gwiazdki. Orkiestra dała przygrywkę. Teresa Ż. wyszła w sukni białej, ukwieconej, romantycznie zwiewnej, po kostiumie też zaczęły biegać punkty świetlne i gwiazdki. Szansonistka zdjęła mikrofon ze stojaka, wykonała uśmiechy, poczęła się kolebać w biodrach i przebierać nogami tak, jak należy przy beacie. Zespół orkiestrowy ściszył gałką dźwięk, wyprowadził melodię bardzo rzewną, artystka zrobiła minę zwaną przez aranżera i zarazem reżysera „orgazm na słodko”, dała z siebie drzenie warg, a lewą ręką kiwnęła, żeby Kajtek puścił śpiew. I wtedy sala usłyszała arię heroiczną w wykonaniu barytona. Orkiestra zamilkła, szansonistka przez moment stała zbaraniała, potem cisnęła mikrofon o podłogę i uciekła. Aria umilkła, słyhać było tylko śmiech, a właściwie ryk publiczności i akurat wtedy, gdy on ucichł i na widowni rozlegał się tylko szmerek, zza kulis usłyszano dwa donośne policzki: pac, pac.

Na pytanie sądu, dlaczego Teresa Ż., artystka, złała po buzi nie technika, który podłożył jej baryton, ale swoją koleżankę Danutę U., szansonistka odpowiedziała, że pan Kajtek był tylko wykonawcą. Od razu wiedziała, że Danuta U. przez zazdrość i nienawiść wszystko to zaplanowała i urządziła. „Skąd pani wiedziała od razu? - ciekawił się sąd. Pani D. stała przecież za kulisami po drugiej stronie estrady, niż magnetofon?”. „Ona przecież żyje z tym Kajtkiem” - zachnęła się gwiazda estrady

zniecierpliwiona, że sądowi brakuje wiedzy wręcz podstawowej.

Oskarżoną była zbita po buzi Danuta U., która stwierdziła, że oskarżycielka prywatna powinna czuć do niej wdzięczność, że nie podała jej do sądu o publiczne właściwie zlanie po buzi. Ona rozumie zdenerwowanie koleżanki, ale to nie była kulturalna reakcja. Poza tym Danuta U. przyznaje się do winy i jest jej bardzo przykro wobec sądu, przedsiębiorstwa, publiczności, no i tej Teresy Ż. również, bądź co bądź. Przygotowała taśmę, ukartowała wszystko z operatorem magnetofonu Kajetanem K., ale zrobiła to dlatego, że Teresa Ż. ukradła jej piosenkę.

Sąd był ciekaw, jak wygląda technika kradzieży piosenki piosenkarce przez piosenkarkę. „Zwyczajnie” - odparła Danuta U. i udzieliła dokładnych wyjaśnień.

Więc jej mąż i aranżer Jan Rz. poszedł do kompozytora Waldemara S. i zamówił dla niej piosenkę. Podrzucił kompozytorowi szlagword i potem miał napisać słowa pod gotową melodię. Panie przyjaźniły się wówczas, więc Danuta U. otrzymawszy tę wiadomość natychmiast pojechała do Teresy Ż. podzielić się radosną nowiną, że będzie miała nową piosenkę. Tuta strasznie się ucieszyła i pocałowała ją kilkakrotnie. Kto mógł przypuszczać, że ona tak postąpi? Ona zaś postąpiła w brzydki sposób. Nazajutrz rano robiła mruzcando w radio, w audycji dla przedszkolaków i w budynku spotkała znajomego, którego wzięła na obiad. Kto płacił, w to Danuta U. absolutnie nie wnika.

Dość, że zaraz z restauracji oboje pojechali do Waldemara S. (on sam jej to wszystko później opowiadał). Tuta przedstawiła znajomego jako redaktora. Danuta U. nie wypowiada się, czy jest on, czy nie, redaktorem. Powiedziała kompozytorowi, że wpadła doń z redaktorem z czystej przyjaźni, bo jak ma on coś gotowego, to redaktor mógłby to szybko wylansować. Bubek dostał kilka wódek i sobie poszedł.

Danuta U. nie wnika również w to, kiedy Tuta wyszła od kompozytora, czy to było następnego dnia rano, czy następnego dnia w obiad. Nie wie, więc się nie wypowiada. Pamięta tylko, że wieczorem dzwonił mąż Tuty pytając, gdzie ona może być, skoro nie ma jej w domu. „Bo to jest taka szmata, że jak nie wróci do północy, to w ogóle nie wraca” - objaśnił Danutę mąż Tuty. Dla sądu - twierdziła oskarżona - jest bardzo ważne tylko to, że Teresa Ż. wyszła od Waldemara z nutami jej melodii w torebce. Kompozytor potem się tłumaczył, że sam nie wie, jak to się stało. Na pewno nie chciał jej dawać nut, najlepszy dowód, że melodia nie była jeszcze rozpisana na zespół. Waldemar S. przysięgał też, że ten kawałek w ogóle mu nie wyszedł i, że robi dla Danuty U. lepszy. Niestety poszedł w Polskę i nie było go przez tydzień. Danuta U. wyjechała w tournée bez jednego choćby świeżego kawałka i co wieczór czuła gorąco na plecach, jak Tuta brała salę jej melodią.

„Stosunki między ludźmi w zespole układały się bardzo pomyślnie” - zeznał kierownik, Wszystko co się stało, miało przyczynę polityczną. Zespół wynajął salę i umowa przewidywała, że jest ona do dyspozycji między osiemnastą a dwudziestą drugą, każdego dnia, przez dwa dni. Wbrew umowie drugiego dnia powiedziano mu, że trzeba zwrócić lokal na kwadrans wcześniej, czyli o 21,45, ponieważ następnego dnia rano jest konferencja organizacji młodzieżowej i przez noc trzeba wysprzątać i „przedekorować” salę. Co tu zmieniało 15 minut, tego on nie rozumie, nie wie i wiedzieć nie chce. Takie jakieś były układy. Program trzeba było obciąć o 10 minut. Wyjęto jeden monolog i jedną piosenkę - Danuty U. właśnie. Na to ona powiedziała, że może w ogóle nie śpiewać, albo niech wyjmą jeden numer także Tucie, bo one muszą mieć po równo. Na to kierownik odparł, że jak dziewczyny będą mu się pchać do spraw programowych, to on już naprawdę nie wie, gdzie mu się nie wepchną. Numery mają tak lecieć, jak powiedział i nie będzie dyskusji. Więc Danuta U. przez zemstę, że ma o jeden numer mniej, puściła Teresie Ż. arię na głos męski.

Kajetan K. razem z Danutą U. oskarżony o dokonanie postępku mogącego Teresie Ż. utrudnić wykonywanie zawodu skutkiem poniżenia jej wobec publiczności, stwierdził przed sądem: „Danka mówi nieprawdę i zgrywa bohaterkę”. Niczego złego nie ukartowała przeciwko koleżance. Niewłaściwą taśmę puścił po prostu przez pomyłkę, a tylko krowa się nie myli. Oboje tedy z Danutą U. są niewinni. Adwokat Teresy Ż. oświadczył wówczas, że ma pytanie i zadał je: „Dlaczego wobec tego Kajetan K. gdy pomyłkę spostrzegł, nie wyłączył magnetofonu, ale puszczał arię nawet wówczas, kiedy Teresa Ż. uciekła z estrady?”. „Bo ja wiem... było śmiesznie, to nie wyłączałem”.

Przedstawiono sądowi świadka, który słyszał jak Kajetan K. odgrażał się uprzednio, że wytnie Tucie taki numer, iż więcej nigdy w życiu nie pokaże się ona na żadnej estradzie. Na to Kajetan K. powiedział, że teraz wyjawi całą prawdę, ale przy drzwiach zamkniętych, bo tu chodzi o bardzo osobiste sprawy. Okazało się jednak, że drzwi sądowej sali musiały być zamknięte również przed Danutą U. a sąd nie jest władny wystawiać za drzwi oskarżoną i Kajetan K. nie wyjawiał swojej tajemnicy.

Potem zarządzono przerwę, a kiedy po kwadransie sąd powrócił na salę, obie piosenkarki miały twarze mokre od łez, obejmowały się i całowały. Zaraz po wznowieniu obrad Teresa Ż. oświadczyła, że cofa oskarżenie.

Sąd przyjął to do wiadomości. Dalej sędzia, przewodnicząca rozprawy, uprzedziła Teresę Ż., że nie musi odpowiadać na to pytanie - sąd jednak od kilku godzin mozolnie pracuje, żeby coś z tego galimatiasu zrozumieć, może więc Teresa Ż. zechce wyjaśnić, co się nagle stało. „Ona jest w gruncie rzeczy kochana” - powiedziała dotychczasowa oskarżycielka o dotychczasowej oskarżonej - „poza tym oddam jej piosenkę, a ona mi za to da skórzane spodnie”.

Sąd podyktował do protokołu stosowną formułkę, zamknął rozprawę, rozpiął togę, po czym powiedział waszemu sprawozdawcy, że jego zdaniem Kodeks Postępowania Karnego winien zawierać przepis, że przedmiotem zajęć instancji sądowych nie mogą być takie sprawy, podmiotem zaś takie osoby, które by siłą rzeczy obniżały powagę wymiaru sprawiedliwości. „Za późno o tym myśleć, to się zaczęło od Rewolucji Francuskiej ta równość wobec prawa” - odparłem.

Anons

Ekspertowi od psychologii stosunków damsko-męskich pokazałem kolejno cztery dokumenty:

I. Anons prasowy: „Inżynier 40-latek pozna przystojną panią do lat 35, która czuje się samotna. Małżeństwo mało prawdopodobne, ale nie wykluczone”.

Opinia: Ogłoszenie zamieścił ktoś dobrze znający kobiety. Jest ono szalenie zaczepne. Badania preferencji matrymonialnych, oparte o analizę liczby zgłoszeń na różnego typu oferty prezentowane w biuletynach biur matrymonialnych wykazują, że zaskakująco pokaźne wzięcie u kobiet mają ludzie o życiu nieudanym, przegrani, inwalidzi, nerwicowcy, alkoholicy itp. Co pociąga w tego typu kandydaturach? Primo: budzą one instynkt władzy i posiadania. Partnera słabego można całkowicie zawłaszczyć. Rola żony w takim związku rysuje się jako wielka, jej miejsce w życiu kandydata skancerowanego będzie ważne, totalne, oparte o jednostronną zależność. Przewidując te wszystkie korzyści kandydatki jednocześnie czerpią przyjemności z przeświadczenia, że zgłoszenie swojej gotowości jest aktem altruizmu. Pozwala na upiększenie się w swoich własnych o sobie mniemaniach.

Secundo: kandydaty nerwicowców, alkoholików, kryminalistów, zboczeńców i ludzi w różny sposób zdesocjalizowanych pobudzają ambicje amatek. Każda żywi przekonanie, że własnymi rękami ulepi z takiego męża „innego człowieka”, a przez to, że będzie jego stwórcą, dodatkowo potwierdzi swoje prawa do wyłącznej własności i panowania. Optymizm ten bierze się z właściwej większości ludzi megalomanii, z przeświadczenia mniej więcej takiego: „mój urok, moje wartości, moje uczucia są i będą tak niepowtarzalnie wielkie, że nikt nimi ogarnięty się nie oprze i pod moim wpływem ulegnie pożądanej przeróbce”. Inżynier, który dał ogłoszenie sugeruje w zwartej formie bardzo wiele, niczego nie dopowiadając, przez co pobudza też pasje poznawcze. Z ogłoszenia można wnosić, że dolegliwie odczuwa samotność, ale nie jest wylewny w zwierzeniach, tedy tajemniczy. Ma opory przed trwałym związkiem - widać jego życiorys erotyczny pełen jest bolesnych doświadczeń. Ponadto kokietuje uczciwością: on nie jest z tych co wiele obiecują. Przeciwnie. Raczej odstręcza, niż kusi. W rzeczywistości kandydatki nie będą jednak zniechęcone wzmianką o nikłym prawdopodobieństwie małżeństwa. Przeciwnie. Podjudzi to ich ambicje, w oparciu o przekonanie, że jeśli gość zobaczy i doceni to cudo, którym ja jestem, natychmiast pobiegnie do ołtarza.

II. Oferta: „...w ogłoszeniu Pana ujęła mnie szczerą uczciwość”. „Jestem samotna, ale nie interesuje mnie małżeństwo za wszelką cenę. W gruncie rzeczy nawet lubię swoją samotność, którą ciężko musiałam wywalczyć. Kiedy jednak przeczytałam Pańskie ogłoszenie tak różne od innych, nieszablonowe, poczułam pokusę...

A może? Miałam uczucie, że nie odpowiedzieć, to przekreślić jakąś szansę. Czyż zresztą małżeństwo to jedyny sposób na zwyciężenie samotności?” Potem następuje tekst powściągliwie reklamowy: 33-letnia dentystka z 10-letnią córką. Rozwódka. Towarzyska, myślicielka, zgrabna, średni standard materialny, życie samotnicze biorące się z rozczarowania do mężczyzn a nie z konieczności, czy jakiejś obyczajowej surowości.

Opinia: Mało to pomysłowe, zupełnie nieszczerze, ale wystarczająco sprytnie. Dentystka traktuje serio sygnalizowany w ogłoszeniu lęk przed małżeństwem z pewnością nieprawdziwy, skoro deklarowany był w ogłoszeniu matrymonialnym. Nie chwytą tego, że słowa: „małżeństwo mało prawdopodobne” są po prostu sitem, mającym selekcjonować kandydatki i zniechęcić wulgarne łowczynie mężów. Przynajmniej w intencjach dawcy ogłoszenia, bo w rzeczywistości są magnezem, nie sitem.

Można bez wielkiej obawy błędu założyć, że osoba odpowiadająca na ogłoszenie matrymonialne pragnie wyjść za mąż i taki jest cel wysłania przez nią listu. Jego treść służy zaś zwiększaniu własnych szans jako kandydatki. Jeśli w odpowiedzi na ofertę matrymonialną pisałby ktoś, że w ogóle wyklucza małżeństwo możemy spokojnie przyjąć, że kłamie i owe odżegnywanie się od ślubu jest trickiem, który służy wabieniu nieufnego kandydata. Z listu dentystki przebija przede wszystkim staranie, żeby gościa nie spłoszyć, przekonać go, że nie będzie brany za kark i ciągnięty do urzędu stanu cywilnego, że oferuje mu się tylko kontakt otwarty na bardzo rozmaite możliwości. Ostrożność ta jest przesadna, tym więcej, że druga część listu - autoreklamowa, bardzo zresztą obszerna, zawiera autodemaskację intencji rzeczywistych autorki. Nie zachwala się tak intensywnie osoba reflektująca li tylko na luźny kontakt wstępny. Dentystka pisze o sobie z udawanym obiektywizmem, sygnalizuje swoje wady, a raczej rzekome wady; jednym słowem udaje rzetelność w tej autocharakterystyce.

Człowiek inteligentny wyczytałby z listu przede wszystkim kunktatorstwo i zauważył, że druga część listu przeczy pierwszej. Ale też błędem byłoby zakładanie, że dawca nawet sprytnie sformułowanego ogłoszenia matrymonialnego akurat jest inteligentny.

III. Odpowiedź na ofertę: „...Sam nie wiem, dlaczego dałem to ogłoszenie. Lepiej byłoby, gdybym nie dawał, bo właściwie w ogóle nie chcę się żenić, a też nie interesują mnie łatwe znajomości”. „Człowiek ma chwile, kiedy chciałby coś zmienić w swoim życiu, ale potem przychodzi strach, że zmiana będzie na gorsze”. Potem następują skąpe dane: rozstał się z żoną dla innej, która go porzuciła, ale niczego nie żałuje, bo małżeństwo nie było szczęśliwe. Jest niezwykle ujęty, wręcz zafascynowany listem „drogiej pani”, ale gdyby nawet miał zamiar się żenić nie zdecydowałby się nigdy na kobietę z dzieckiem przez wzgląd na odpowiedzialność,

jaką to za sobą pociąga.

Opinia: Oczywiście ten pan chce się pilnie żenić skoro dawał ogłoszenie i odpowiada na oferty. Jego cechą dominującą jest lenistwo. Sam palcem nie kiwnie, chce być zdobywany, zostawia inicjatywę drugiej stronie i pobudza ją do energicznych działań, wzmacniając swoją tajemniczość w ogłoszeniu, tj. działając na ambicję, pogłębiając swoją tajemniczość i znowu sugerując uczciwość ową wzmianką o dziecku. Gdyby wykluczał związek z kobietą z dzieckiem nie odpowiadałby na tę ofertę, albo napisałby list czysto kurtuazyjny, bez tych wszystkich przynęt i podjudzeń. Brama jest otwarta na oścież, gdyż można stawiać na to, iż dentystka ruszy do ataku w poczuciu pewności, że na sam jej widok wszelkie uprzedzenia inżyniera do dzieci znikną. Inżynier zaś rysuje się jej jako odpowiedzialny ojczym, co dla dentystki pewno jest bardzo ważne.

IV. Oskarżenie. Do sądu wpłynęło oskarżenie o fizyczne i moralne znęcanie się nad współmałżonkiem, zaś akta sprawy zawierały trzy cytowane lub streszczone dokumenty: ogłoszenia i oba listy. Sensacja polegała na tym, że to inżynier Lucjan U. skarżył swoją żonę Janinę U. o znęcanie się nad nim. Niezwykle rzadko zdarza się, by mężczyźni szukali ochrony sądowej przed żonami. W środowisku ludzi z wyższym wykształceniem nie trafia się to nigdy i nasz przypadek jest chyba pierwszy. Pretekstem bezpośrednim było rozwalenie Lucjanowi U. głowy. Żona cisnęła weń kryształowym koszykiem do owoców, a już uprzednio rzucała weń różnymi przedmiotami, bez krwawych wszakże skutków. Natomiast ongiś ciężko go poparzyła, kiedy chlusnęła mu w twarz wrzącą zupą. Była to replika na pytanie: „Kiedy będzie obiad?” Znęcanie się moralne polegało na wysyłaniu na męża donosów, iż ją bije, czemu na rozprawie nie przeczył, zasłaniając się samoobronną koniecznością. Polegało też owo moralne znęcanie się na publicznym uwłaczaniu mu. Wszystko to działo się pod wpływem alkoholu.

Oskarżyciel przyznaje, że Janina U. czas pewien po ślubie nie piła, przed zamęciem ponoć też nie miała skłonności do alkoholu, dopiero w tym związku rozpiła się tak bardzo, że nawet przestała uprawiać swój zawód. Wszystkie dolegliwości współżycia z Janiną U. objawiały się, kiedy była pijana. Na trzeźwo była wzorem cnót rodzinnych i dlatego inż. Lucjan U. kultywował związek, gdyż przykre doznania tych chwil, kiedy żona była pijana, niwelowały chwile przyjemne, kiedy była trzeźwa.

Lucjan U. w toku procesu stwierdził, że oskarżenie wniósł, gdyż wyrok skazujący ułatwi mu przeprowadzenie rozwodu, któremu żona jest przeciwna.

Janina U. wyjaśniła, że mąż ją ignorował, nie krył się z nienawiścią. Przeszkadzała mu w tym. Te przeżycia spowodowały jej pijaństwo oraz brewerie, jakie po alkoholu wyczyniała, tracąc nad sobą kontrolę, a potem zgoła nawet nie pamiętając,

co czyniła.

Została skazana, a zaraz potem Lucjan U. uzyskał rozwód z korzystnymi dla się postanowieniami dotyczącymi spraw materialnych. W toku procesu rozwodowego Janina U. szantażowała sąd, że w wypadku dania jej mężowi rozwodu natychmiast i nie oglądając się na to, że ma dziecko - popełni samobójstwo. Sąd się nie wystraszył, zaś z akt sprawy oczywiście nie dowiedzieliśmy się dalszego ciągu, tj. czy Janina U. żyje. Chęci samobójcze uzasadniała silnym uczuciem wobec męża.

Opinia: Nieprawda, że małżeństwa realizowane przez ogłoszenia i biura matrymonialne kojarzą się na zasadzie zminimalizowanych oczekiwań i rezygnacji. Oczekiwania są wielkie, tylko szanse ich urzeczywistnienia odpowiednio mniejsze, gdyż sztucznymi były sposoby kojarzenia. I na tym właśnie polega szkodliwość biur matrymonialnych i ogłoszeń. Normalnie, bez pośredników, przyszłego partnera lub partnerkę poznaje się obok wielu innych ludzi bez określonego nakierowania intencji tej znajomości. Z góry założony matrymonialny cel pierwszego kontaktu oznacza brak selekcji. Każda sprecyzowana celowość kontaktu człowieka z człowiekiem mobilizuje go do dobierania środków, które najlepiej pomogą cel osiągnąć, czyli kłamstwa i komedianctwa. Takie są ogólne przyczyny, dla których Janina U. rozpiła się, a Lucjan U. miał rozbitą głowę. Obok tego istnieją oczywiście przyczyny szczególne, tylko diabli wiedzą jakie.

Prawda i nieprawda

19-letni Janusz E. poznał w kawiarni 17-letnią Stefanię T. dotychczas całkowicie mu nie znaną, gdyż mieszkającą w innej dzielnicy. Znajomość zawarł przez zaskoczenie, to znaczy zaszedł Stefanię T., uczennicę technikum, od tyłu i krzyknął jej w ucho: „uuuu!”, czym zwrócił na siebie uwagę. Następnie usiadł przy innym stoliku i kazał kelnerce, żeby upatrzonej Stefani zanieść od niego butelkę piwa. Następnie skinieniem głowy odwołał Stefanię T. od stolika w poblizsze toalety i zaproponował, żeby z nim wyszła. Podrywana odpowiedziała, że ewentualnie, ale razem z koleżanką. „To nie” zdecydował Janusz E. pracownik fabryki, ale kiedy wychodził z kawiarni Stefania T. również wstała. Koleżanka - okazało się - sama zrozumiała, że z jej strony ładnie będzie spłynąć.

Na ulicy Stefania T. powiedziała Januszowi E., że jest mężatką, że jej mąż służbowo wyjechał do Czechosłowacji, gdzie śpiewa w radio; że ona jest tancerką, że następnego dnia on będzie mógł obejrzeć ją w telewizji oraz, że posiada adapter i dużo płyt Janusz E. dał temu wszystkiemu wiarę, ale powiedział, że nie wierzy. Miał w tym swoje męskie wyrachowanie. Byli właśnie pod jej domem i Janusz E. stał się sprytny z tego swojego do niej zapachu. Zapowiedział, iż uwierzy, jak sam zobaczy adapter, płyty, ślady po mężu i wszystko. Stefania T. odpowiedziała, że z pewnych względów nie może do niej wejść, ale niechby przyszedł nazajutrz, to sam zobaczy. Wobec tego udali się do innej kawiarni i na jej pytanie, czy Janusz E. pracuje, a jeśli tak, to gdzie, on odpowiedział, że na milicji. Nie było to zgodne z prawdą, ale zdrowy jest tylko laki związek pomiędzy mężczyzną i kobietą, w którym obie strony sobie imponują, a nie tylko jedna drugiej.

Umówili się na dzień następny z tym, że on przyjdzie w mundurze i wówczas ona sama się przekona. Wyznaczyli sobie na spotkanie bramę jakiegoś domu: „Mandacik proszę” - powitał ją, salutując i nastawał, żeby iść do niej do domu. Opierała się, twierdziła, że jest za szybki, a pogoda zbyt ładna, żeby nie spacerować. Wyraził zwątpienie w męża-piosenkarza, zwierzył się, że naszała go myśl, że może ona w ogóle nie ma nawet adapteru. „Przekonasz się” - uniosła się ambicją. I przekonał się, że mieszkanie, jak mieszkanie, adapteru nie ma, a jedynym śladem mężczyzny jest kolejarski mundur w przedpokoju. „To ojca” - objaśniała, a mówiła prawdę. Potem twierdziła, że adapter akurat komuś pożyczyła wraz z płytami, a z mężem właściwie mieszka gdzie indziej. Ma on willę za miastem. „Dobra, dobra” powiedział Janusz E. i pomyślał, że nie z mężem ostatecznie przyszedł tu się kochać i myśl tę wyraził słowami. Potem dali spokój gadaniu, a zawarli znajomość. Od tego czasu chodzili ze sobą i okazało się to, co się okazać musiało, że Stefania T. jest uczennicą technikum, męża nie ma i adapter jakoś do domu nie wracał.

Nie wracała i Stefania T. do drażliwego tematu, a także jej amant nie wspominał o mężu ani tańcu w TV, bo był delikatny w obejściu. Mówiła mu za to coraz to nowe rzeczy: że jej mamusia z jej tatusiem mieszka tylko z litości, ale ma kochanka-pułkownika. Albo, mówiła, że po wojnie jej tatuś miał sklep bardzo olbrzymi. Sporo opowiadała o wujku, który mieszka w Ameryce, jest gubernatorem stanu i jeszcze zostanie prezydentem. Ona sama przeżyła wielki romans ze starszym człowiekiem, profesorem, który jej w technikum nauczał księgowości, a mimo to gotów był dla niej tak żonę porzucić, jak i dzieci. Janusz E. cierpliwie słuchał, ani udawał, że wierzy, ani wyznawał, że nie wierzy. Zorientował się, że taki już ona ma charakter.

Zauważył, że kiedy jej opowieści nie przerywa - w miarę mówienia wujowie awansują, wille ogromnieją, samochody drożeją, a kochankowie własni Stefanii T. i jej mamusi robią coraz to większą karierę służbową i materialną. W końcu więc ją przyhamowywał kpina, kiedy już miało się okazać, że panienka jest księżniczką perską, która tylko na chwilę urwała się z dworu padyszacha. A ona nawet się nie upierała przy swoich mitach, tylko milkła i przy najbliższej okazji zaczynała od początku. „Ja tam jestem skromnym milicjantem” - mawiał niekiedy Janusz E., ona zaś oburzała się, że przecież nie skromnym, tylko sierżantem.

Janusz E. raz tylko pokazał się w służbowym stroju i odtąd randki odbywał po cywilnemu. Kiedyś wszakże poprosiła go, żeby przyszedł w mundurze. Ma bowiem prośbę. Jej przyjaciółka odbędzie jutro randkę z chłopakiem. Chłopak ten poprzednio był jej własnym chłopakiem, ale zdradliwa przyjaciółka ją wykołowała, a jego wzięła jak swojego. Niech więc tam jutro pojedzie, zadzwoni, powie, że milicja, wejdzie, zapyta czy Franciszek F., a kiedy tamten odpowie, że tak, Janusz rzeknie, że go aresztuje i każe mu iść ze sobą. Na to Franciszek F. wystraszy się i zapyta za co i dlaczego. „Ty już wiesz dlaczego - niechaj mówi Janusz E. - rozchodzi się o tę obrączkę, coś ją człowiekowi ukradł”. Potem Janusz E. miał gościa zabrać i popędzić mu kota.

Jak zostało wszystko zaplanowane, tak się i stało. Kiedy Franciszek F. usłyszał, że chodzi o obrączkę, zaczął tłumaczyć gorączkowo i z przestachem, że on przecież nie ukradł. Wziął tylko dla zabawy, a potem zgubił. Janusz E. mało co go jednak słuchał, tylko kazał się zbierać. „On nie ukradł, on by nigdy nie ukradł” - mówiła dziewczyna - wiarołomna przyjaciółka Stefanii T.

Janusz E. kazał aresztantowi wsiadać do autobusu i pojechali. Chłopiec opowiadał, jak to było: więc mieli prywatkę i tam była jedna dziewczyna, która nosiła złotą obrączkę. Wszyscy się naśmiewali, że gra mężatkę. On jej w tańcu obrączkę zdjął, dlaczego - tego nie wie, tak sobie. Zdjąwszy, schował do kieszeni i później o niej zapomniał, a wyszedł cichcem z inną dziewczyną. Na drugi dzień tamta od obrączki przybiega do niego do domu, żeby oddała. Chce oddać, szuka - nie ma. Obiecał

przeszukać całe mieszkanie i zrobił to, ale obrączki nie było. Musiał ją na ulicy wyrzucić z kieszeni, kiedy wyjmował chusteczkę. Dziewczyna przychodziła, groziła mu, powiedział, że odkupi. Ale za co?

„Dobra, dobra” mówił Janusz E. - posiedzisz, to zobaczysz”. Myślał jednak, nie o obrączce, tylko co dalej z tym chłopakiem robić. Kiedy autobus dojeżdżał już do końcowej pętli położonej w prawie szczerym polu aresztant zaczął się rozglądać ze zdziwieniem i pytać, gdzie właściwie jadą. Janusz E. nic na to nie powiedział, tylko kazał mu wysiąść i poprowadził w kierunku lasu. Szedł i kazał iść tamtemu, nie żeby miał jakiś określony zamiar, tylko właśnie dlatego, że nie wiedział co robić, więc chciał zyskać na czasie.

Gdy zbliżyli się do lasu prowadzonego chłopaka obleciał wielki strach. „Nie bój się” powiedział Janusz E. „Nie! Nie! Nie pójdę!” - krzyczał tamten. „Nie chcę tego widzieć” - błagał. „Wszystko powiem” - zapewniał. „Od razu czułem, że nie chodzi o obrączkę”. Zaciekawilo to Janusza E., zaś z tego co teraz aresztant mówił, a jeszcze dokładniej z tego, co mówiono potem w sądzie wyłoniła się następująca historia. Poprzedniego lata ów prowadzony teraz chłopak - Jan U. i jego koledzy znaleźli w tym lesie niewypał. Dla zabawy zawiesili go na gałęzi drzewa, przeciągnęli w poprzek ścieżki sznurek, połączyli z niewypałem. Miało być tak, że jak ktoś będzie szedł ścieżką zawadzi nogą o sznurek, niewypał spadnie i wybuchnie. I dokładnie tak właśnie się stało. Chłopcy ukryli się i czekali. Ścieżką szła dziewczynka, zawadziła nogą o sznurek, niewypał spadł na ziemię, nastąpił wybuch, zobaczyli leżącą na ziemi nieruchomo dziewczynkę, więc uciekli.

Jak Janusz E. usłyszał opowieść Jana U. (który przypuszczał, że dopiero teraz milicja znalazła ciało dziewczynki i prowadzi go na miejsce zbrodni) - oburzył się na swojego aresztanta tak bardzo, że raz i drugi dosunął mu w głowę. Tamten krzyknął i zaczął uciekać ku szosie, a Janusz E. pobiegł za nim. Na przystanku autobusowym stał milicjant i jak zobaczył, że chłopiec ucieka, a kolega-milicjant go goni zabiegł uciekającemu drogę.

Niewypał nie zabił dziewczynki, ani w ogóle nic jej nie zrobił, i o tej sprawie wiemy tylko tyle, ile mówiono o niej na rozprawie Janusza E., który dwa razy bez wiedzy właściciela zabrał mężowi swojej kuzynki jego milicyjny mundur, żeby zaimponować dziewczynie i raz nadużył uzurpowanej władzy. Na procesie Stefania T. nazwała go łobuzem i kłamcą i miała nie tylko rację, ale i moralne prawo, żeby się oburzać. Nie taki człowiek jest bowiem łgarzem, który gęsto zalewa, ale taki, który oszukuje skutecznie.

Ciężka sprawa

Adwokat Wilhelm N. opowiadał, że miał ostatnio ciężką sprawę i trudnego klienta. Szło o rozwód. 38-letni inżynier, właściciel warsztatu samochodowego, pojął za żonę (trzecią) 24-letnią modelkę. Inżynier nazywa się Karol Sz., jego obecnie już była żona - Agata A.

Poznali się w ten sposób, że dziewczyna przyprowadziła do jego warsztatu bardzo leciwą „Zastawę”, w której właściwie wymienić należałoby wszystko z wyjątkiem numerów rejestracyjnych. Wyjaśniła, że auto to miała pożyczona, pojeździła nim póki mogła, że zaś trudno było zwracać wóz nie na chodzie, nabyła go za 15 tysięcy, które ma spłacać ratami. Koszt kapitalnego remontu inżynier Sz. oszacował na 25-30 tysięcy złotych, przeprowadził go, ale Agata A. nie zjawiała się po odbiór swojej własności, ani nie reagowała na listy. Karol Sz. wybrał się ostatecznie pod adres, który zostawiła mu klientka i jeździł tam kilkakrotnie nim zastał ją w domu. Wyznała szczerze, że nie ma pieniędzy na wykupienie auta. Zaproponowała, aby Karol Sz. wypłacił jej 15 tysięcy, uznał wóz za swój i komuś go sprzedał. Inżynier wzbraniał się niepewny tego interesu, ale że poszli wtedy do miasta na kolację, a po kolacji zawarli bliższą znajomość, więc się zgodził. Okazało się, że modelka nie ma przerejestrowanego tego auta na swoje imię, ani żadnej umowy stwierdzającej kupno, więc zanim to wszystko załatwiło się z poprzednim właścicielem, którego trzeba było spłacić, Agata A. i Karol Sz. spotykali się tyle razy, iż w końcu wyniki romans z tego przesypania się ze sobą przy okazji interesów. Ponieważ mieszkali już wspólne interesy i łóżko, a oboje byli stanu wolnego, postanowili zalegalizować sytuację i pobrać się. Mecenas Wilhelm N., który o tej parze wie dużo więcej, niż zazwyczaj adwokaci prowadzący sprawy rozwodowe wiedzą o swoich klientach, opowiada, że to Karol Sz. uparł się żenić. Agata A. nie miała ochoty, długo dała się namawiać, broniąc swobody życiowej i związanej z nią bez troski, a uległa przekonana argumentami natury praktycznej: że mieszka w wynajętym pokoju, że są okresy, kiedy nie ma na życie, że inaczej musiałaby odwyknąć od posiadania auta i że co jej to w końcu szkodzi? Inżyniera urzekła zaś dekoracyjność modelki. Są zresztą ludzie bardzo serio traktujący własność, którzy lubią śluby jako potwierdzenie zawłaszczenia. Posiadanie czegokolwiek bez pisemnego kontraktu nie daje im pełni przyjemności.

Pech chciał, że po ślubie inżynier Sz. zakochał się w swojej, pięknej podobno i morowej żonie. Ona jednak nie dała się wciągnąć w tę grę, przeciwnie, na jego skłonności dośrodkowe odpowiadała wzmaganiami tendencji odśrodkowych, co wulgarnie można by nazwać posiadaniem kochanka. Scysje stały się ich codziennym sposobem bycia i w osiem miesięcy po ślubie Agata A. porzuciła męża, a nawet więcej - wyprowadziła się odeń. Była już wtedy w ciąży, mało

zaawansowanej, ale nie rokującej rozejścia się po kościach. Agata A. zapowiedziała bowiem na odchodnym, że będzie rodzić.

Powodowany uczuciem i chory na ranę miłości własnej mąż począł robić wszystko możliwe, żeby wróciła. Szedł np. na ustępstwa gwarantujące żonie na przyszłość pełną swobodę angażowania kochanków, czyli wolność osobistą. Deklarował te ustępstwa mimo kolosalnych trudności technicznych w ich przedstawianiu: na dźwięk jego głosu odkładała słuchawkę, listy odsyłała nie rozpieczętowane. Imał się także metod mniej romantycznych. Agata A. odeszła w gniewie, tak jak stała w jednym spodniemie. Odmówił zwrócenia garderoby. Kiedy chciała się przebrać, musiała do niego dzwonić, przyjeżdżać, wysłuchiwać próśb i gróźb oraz zostawiać na miejscu łachy, które zdejmowała: dbał o to, żeby nie ubywało mu fantów. Nadto zwykł był kłaść ją w takich razach do łóżka, przewycięzając mniejszy lub większy opór Agaty A. Nasza praktyka prawna jest w tym punkcie anachroniczna i drobnomieszczańska: własną żonę można bezkarnie niewolić, jeśli tylko nie pobije jej się przy tym, nie pokrzwawi, nie połamie ani rąk, ani nóg. Jeszcze nigdy nie było procesu o zgwałcenie własnej żony, chociaż kodeks karny nie robi różnicy między małżonką a jakąkolwiek inną osobą ludzką i chociaż badacze zjawisk społeczno-ginekologicznych stwierdzili, że u nas gwałty na żonach zdarzają się tysiąckroć częściej, niż na nieżonach, choć tylko z tych drugich robi się wielkie hallo.

Osoba zamężna przestaje być w jakimś stopniu człowiekiem i obywatelem.

W tych warunkach Agata A. rzadko decydowała się na zmianę garderoby. Wizyty jej w tej sprawie niosły ze sobą jeszcze jedną dolegliwość. Karol Sz. po wypróbowaniu próśb, namów i męskich wdzięków, przystępował do grożenia. Ona jest - argumentował - kurwą, a on ma pieniądze. Wystarczy złożyć te dwa czynniki, żeby zrozumieć, że kiedy ona urodzi dziecko, on odbierze je poprzez sąd. Agata A. odpowiadała na to (i w tych rozmowach tête-à-tête i potem w sądzie), że Karol Sz. ma już od cholery dzieci z byłymi żonami i nie tylko. Po cóż mu jeszcze jedno? Twierdził, że nowe dodatkowe dziecko chciałby sobie zabrać jej na złość. Owszem ma już troje ślubnych dzieci i jednego bastarda, ale płaci alimenty, wysyła przychówkowi prezenty i od czasu do czasu odwiedza progeniturę. Wedle kryteriów sądowych jest więc idealnym ojcem.

Mimo tych pogróżek, Agata A. wystąpiła do sądu z pozwem rozwodowym i żądaniem, aby Karolowi Sz. nakazano oddanie jej garderoby. Inżynier zaangażował wówczas adwokata Wilhelma N. jako swego pełnomocnika i nakazał mu sprzeciwić się rozwodowi.

Na pierwszej rozprawie merytorycznej Agata A. zademonstrowała sądowi swe zbliżające się do spełnienia macierzyństwo i mecenas poczuł, że błędą jego szanse

uzyskania od sądu orzeczenia, iż Agata A. jest stroną wyłącznie winną rozkładu pożycia i jako taka nie ma prawa uzyskać rozwodu. Widoczna ciąża automatycznie przemienia każdy nasz sąd w alianta strony brzemienniej. Zaraz też adwokat przeciwniczki przedstawił sądowi świadka w osobie też modelki, koleżanki Agaty A., która powiedziała, że kiedy odwiedzała Agatę jej mąż wyzyskiwał nawet bardzo krótkotrwałą nieobecność żony do dokonywania z nią zdrady małżeńskiej. Plastyczność opisów takich sytuacji była przemożna. „Agata zeszła do sklepu po kawę. Nie było jej dziesięć minut. Starczyło, żeby Karol... itd... chociaż przecież w każdej chwili mogła wrócić i...”

Wilhelm N. uznał, że nie osiągnie orzeczenia wyłącznej winy Agaty A. (choć przecież ta jej koleżanka pewnie łągała w żywe oczy), a tym samym rozwód będzie orzeczony. Złożył więc wniosek o odroczenie sprawy. Ma zamiar - argumentował - wystąpić o powierzenie opieki nad dzieckiem państwa Sz. swemu klientowi inżynierowi Karolowi Sz., wybitnemu technikowi i ofiarnemu działaczowi społecznemu PZMot. Prosi więc, by następną rozprawę merytoryczną wyznaczyć w czasie, kiedy dziecko będzie już na świecie.

Wilhelm N. odwalił dużą i kosztowną dla Karola Sz. robotę tak, że na następnej rozprawie sytuacja Agaty A. przed sądem była niepomniernie gorsza. Modelka już urodziła i prezentowała sędziemu oraz ławnikom talię modelki, co wymiarowi sprawiedliwości kazało ją widzieć w gorszym świetle. Na próżno stawiała się nieumalowana i uczesana jak nauczycielka wiejska z socrealistycznych filmów, a ubrana jakby właśnie wstąpiła do nowicjatu u sióstr szarytek. Wilhelm N. przedstawił sądowi dokumenty: od trzech lat Agata A. mieszka to tu to tam, ale ciągle poza miejscowością, gdzie jest na stałe zameldowana. Nie ma mieszkania ani stałego źródła utrzymania. Rok temu nocowała w izbie wytrzeźwień. Trzy sprawy przed kolegium orzekającym o naubliżanie dozorczyńni, zakłócanie ciszy nocnej i o mieszkanie bez meldowania. Pomieszkuje u różnych mężczyzn i jest ich utrzymanką. Świadczyć na ten temat mogą ci i ci.

Wilhelm N. zwrócił się do sądu o oddalenie wniosku Agaty A. o rozwód, o uznanie, że jest wyłącznie winną rozkładu pożycia, o niedanie wiary jej świadkowi, o nieprzywiązywanie wagi do faktu, że inż. Sz. nałożył areszt na jej garderobę, gdyż pobłądził tu wiedziony miłością do żony i pragnieniem scementowania związku. Gdyby jednak sąd rozwiązał małżeństwo jego klienta, wnosi o przyznanie opieki nad nowo narodzonym chłopcem imieniem Jakub Ferdynand inżynierowi Karolowi Sz.

Sąd jeszcze zapytał Karola Sz. dlaczego nie chce się rozwieść, skoro do spółki ze swym pełnomocnikiem maluje sylwetkę Agaty A. barwą tak czarną. „Miłość jest ślepa” - zadeklarował w odpowiedzi inżynier, choć to jego uczuciowe zaślepienie skądinąd nie objawiło się przed sądem. Adwokat Agaty A. zaprotestował przeciwko

zamiarowi odebrania matce niemowlęcia. Nazwał to pomysłem nieludzkim. Protestował przeciwko nadużywaniu kłopotów mieszkaniowych jego klientki do spotwarzania jej. Objaśnił różnicę między niepracowaniem a nieposiadaniem etatu. Pokazał odpisy kontraktów zawieranych z jego klientką przez państwowe firmy handlowe. Ujemnie scharakteryzował obyczaje erotyczne Karola Sz. Zażądał dla swej klientki wysokich alimentów. Potem poprosił o zarządzanie przerwy w rozprawie, żeby strony mogły się ze sobą porozumieć.

Po wznowieniu przewodu adwokat modelki ogłosił, że jego klientka zgadza się na powierzenie wykonywania opieki nad Jakubem Ferdynandem Sz. jego ojcu Karolowi Sz. Sąd udzielił Agacie A. rozwodu i dziecko przyznał jej byłemu mężowi.

Gdy wyrok uprawomocnił się Agata A. zaraz zadzwoniła do Karola Sz., że może zabrać dziecko. Pojechał po nie w asyście wynajętej piastunki i adwokata, żeby aktowi przejęcia nadać powagi. „Przyjął nas - wspomina Wilhelm N. ciemnoskóry student, z którym ta Agata A. mieszka. Rzeczy dziecka były już spakowane. Agata A. podała mężowi lotniczą torbę do przewożenia noworodków. Leżało w niej ciemnoskóre niemowlę. Myślałem, że tego Sz. trafi apopleksja. Nie wziął dziecka”.

Adwokat powiada, że obecnie sprawy mają się następująco: Agata A. wystąpiła ze skargą, że Karol Sz. uchyla się od spełniania obowiązków opiekuńczych, których przyznania mu, wbrew jej sprzeciwom, domagał się przed sądem. Adwokat N. w imieniu Karola Sz. wniósł sprawę o zaprzeczenie ojcostwa. Równocześnie inżynier powierzył Wilhelmowi N. misję namawiania jego byłej żony, by doń wróciła. Jeśli to uczyni, on wycofa sprawę o zaprzeczenie ojcostwa, zaś wychowania dziecka podjęłaby się za opłatą jego pierwsza żona. Na propozycję tę Agata A. odpowiedziała, że do Karola Sz. nie wróci za żadne skarby. Zajmie się wychowaniem dziecka, jeśli Karol Sz. wycofa wniosek o zaprzeczenie ojcostwa i będzie płacił 5 tys. miesięcznie alimentów. Na to jednak jego klient nie pójdzie, bo Wilhelm N. go zapewnił, że sprawę o zaprzeczenie ojcostwa bez trudu oczywiście wygra.

Agata A. szczerze wyjawiała Wilhelmowi N., że przed porodem nie wiedziała, iż dziecko wyglądem swym zdradzi, że to nie Karol Sz. je spłodził. Ale po porodzie, na drugiej rozprawie merytorycznej zgodziła się, aby Karol Sz. zabrał dziecko, mimo że przecież rodziła je dlatego, że go chciała i nigdy za nic by się nie pozbyła syna, ponieważ z góry wiedziała, iż jej były mąż za nic nie weźmie kolorowego niemowlęcia i nie zademonstruje światu rogów, jakie mu przyprawiła. Zamiast handryczyć się z nim w sądzie o prawa opiekuńcze, wołała zobaczyć minę tego bydlaka, kiedy wręczy mu upragnionego synka.

„To jest fajna, morowa dziewczyna” - kończył opowieść adwokat. - A on?

Broniłem już wielu morderców, ale taka kanalia jak Sz. rzadko się zdarza nawet wśród klientów. No, ale prawdą jest, że on szaleje za tą modelką. I to szaleje z miłości. Bo miłość własna to także uczucie piękne i wzniosłe. Nawet kiedy jej obiekt jest plugawy”.

Rodzice

„Mów natychmiast, kogoś ty przyjmowała” - z bólem, oburzeniem i łzami w oczach Julia K. zwróciła się do córki. „ Nikogo” - skłamało dziecko, a brylantów nie było. Dwóch pierścionków z kamieniami, poza tym bransolety i papierośnicy ze złota, nie licząc już starych arabskich wyrobów ze sreber, bo mniej wartych. „Mów wreszcie, cała lokata przepadła” - krzyczała matka i miała powód. Biżuterię trzymała w pudełku od czekoladek, każda sztuka zawinięta w papierowe serwetki, a wszystko zamknięte na klucz w masywnym biurku męża inż. Ferdynanda K. Biurko jak było zamknięte, tak jest, bombonierka jak leżała, tak leży, tylko pusta, a córka Mirosława kłamie w żywe oczy, że nikt u niej nie bywał, chociaż widać, że przewalały się tu zgraje dzikusów.

Inżynier Ferdynand K. przez dwadzieścia lat z przerwami pracował za granicą na placówkach żeglugowych, a teraz jest naczelnikiem w banku na zwykłej pensji i te parę błyskotek, to wszystko co zostało z lepszych czasów, cała lokata. Jakiś złodziejasek, kolega córki, przekreślił sens długotrwałej, nerwowej pracy na obczyźnie, sens oszczędności, wyrzeczeń i oporu wobec konsumpcyjnych pokus atakujących człowieka w kapitalizmie. Biżuteria warta była około 140 tysięcy.

Pan K. czynił wyrzuty żonie, a ona mężowi. Zachowali się tak lekkomyślnie, jakby byli ludźmi nie posiadającymi biżuterii. Zdarzyła się dosyć okazyjna możliwość urlopu w Jugosławii i oni się skusili. Zakład pracy oferował pobyt w maju-czerwcu albo wrześniu-październiku. Córka Mirosława chodzi wtedy do szkoły. Pierwszy raz w życiu miała zostać sama. Powiedzieli jej, że jest prawie dorosła, i że jej przywiozą piękny prezent i że w razie czego ma telefonować do cioci.

„Jeśli nam nie powiesz, kto u ciebie bywał, powiesz to milicji” - mówił ojciec i tłumaczył, że ona chyba nie rozumie, jaka to dla niego poważna sprawa. Auto („zrozum Mirka”) mamy już trzyletnie. Za rok trzeba je sprzedać, kupić nowe i dopłacić 50 tysięcy. Potem cztery lata i znowu 50 tysięcy. Cztery lata i znowu. Mamusia i on nigdy z nią o tych sprawach nie rozmawiali, ale z pensji jego i mamusi tylko się żyje. Czy córka chce, żeby on, który przez całe życie od wojny miał wóz - na starość żył bez samochodu?

Mirosława K. odpowiedziała, że u niej bywały koleżanki i koledzy, nie żadni złodzieje. Na pewno nikt niczego nie ruszył i ona donikąd nie będzie chodzić i pytać o brylanty, bo to nonsens i ona się wstydzi. Wolałaby umrzeć, niż pytać: „Piotrek, Franek, a może u mnie coś ukradłeś? Jak sobie właściwie tatuś to wyobraża?”

Nazajutrz poszła jednak opowiedzieć, co się stało przyjaciołom i do państwa K.

przychodzili różni grzeczni kawalerowie i zafrasowane panienki, aby mówić, że to taka przykra sprawa i zastanawiać się głośno nad sylwetką moralną różnych rówieśników, którzy tu przychodzili. Raz i drugi padło nazwisko Piotra Z. Bo ilekroć u Mirosławy K. było towarzystwo - Piotr Z. uczestniczył w prywatce. I Piotr Z. karany był za kradzież przez sąd dla nieletnich. „Widzisz ty idiotko!” - krzyknął triumfalnie inżynier K. i poszedł na milicję. A córka błagała go, aby tego nie robił. Bo Piotr Z. - to niemożliwe. Piotr Z. - to zupełnie wykluczone. Ona za niego gwarantuje, tak jak za siebie.

Dwa lata wcześniej szesnastoletni wówczas Piotr Z. chodził z Mirosławą K. do jednej klasy. Był drugoroczny. Po przyłapaniu go na kradzieży odszedł ze szkoły ogólnokształcącej do zawodowej i teraz jest jedynym w jej towarzystwie, który pracuje, zarabia, funduje i może w ogóle nie nocować w domu.

Przed sądem dla nieletnich Piotr Z. stawał przed dwoma laty za kradzież roweru, bardzo sprytną, chociaż nie do końca. Piotr Z. wszedł do sklepu z rowerami i powiedział, że chciałby wypróbować. Ekspedient odparł, że owszem, jeśli złoży kaucję - równowartość. Piotr Z. wiedział, że taka obowiązuje zasada i miał przygotowane pieniądze - około 1300 zł. Wręczył tę kwotę, wziął rower, pojechał, potem wrócił i powiedział, że odpowiada mu maszyna, bierze ją. Ale Piotr Z. nie przyprowadził roweru z powrotem do sklepu, tylko ukrył go w pobliskiej bramie pod opieką młodszego brata jego kolegi. Powiedział, że zostawia pieniądze i bierze rower, po czym załatwił formalności -- a ze sklepu wyprowadził zupełnie inny, drugi rower. Tym sposobem miał dwa rowery, płacąc tylko za jeden, bo nikt z personelu nie zauważył machinacji.

Pieniądze na to, żeby ten plan zrealizować, 16-letni Piotr Z. wyjął matce z torebki. Nim wrócił z rowerami, matka to zauważyła a kiedy wrócił, była awantura.

Piotr Z. powiedział mamusi, że najdalej jutro jej zwróci. Pożyczył sobie tylko, bo musiał. Jego matka jest jednak bardzo czuła na punkcie pieniężnym, bo pracuje w fabryce i zarabiała wtedy tylko 2200 na ich dwoje, a tatuś ma inną żonę i nic nie daje, bo z nową żoną posiada pięcioro dzieci, więc matka Piotra Z. nie ma serca.

Posiadłszy dwa rowery Piotr Z. przez cztery dni nie chodził do szkoły, tylko biegał po kolegach i usiłował jeden z nich sprzedać, ale mu się nie udało, a matka płakała i zapowiadała, że go odda do poprawczaka. Wówczas postanowił postąpić inaczej. Poprosił swojego najlepszego przyjaciela, żeby wziął paragon i gwarancję, poszedł do tego sklepu, powiedział, że kupił rower, ale oddaje i prosi o pieniądze z powrotem, bo rower mu nie odpowiada, ma złe torpedo. Wadę tę Piotr Z. uprzednio tak sprokurował, żeby robiła wrażenie fabrycznej. Gdyby w sklepie się nie zgadzali albo chcieli tylko wymienić rower na inny, trzeba bardzo prosić. Kolega poszedł i nie wrócił. Personel w międzyczasie doliczył się, że brakuje

roweru, a ekspedient przypomniał sobie, jak to musiało być, że zginęła jedna sztuka. W sklepie myślano, że to ten kolega właśnie jeden rower wypróbował, a drugi zabrał, rozpoznano go nawet. Kiedy przyszła milicja, on już był taki zdenerwowany, że powiedział, iż to Piotr Z. go przysłał. Milicjant przyszedł po Piotra Z. Kolega nie miał sprawy. Zeznał, że nic nie wiedział o tym, że jego przyjaciel wyszwindlował rower, a Piotr Z. potwierdził, że nie wtajemniczył przyjaciela w operację, tylko prosił, żeby za niego załatwił legalną sprawę zwrotu pieniędzy, bo sam wstydzi się - mówił przyjacielowi - prosić o zwrot pieniędzy, a musi je odzyskać ze względu na mamusię.

Pani Z. bardzo płakała przed sądem, że jej syn zachował się jak złodziej, i także dlatego, że mimo woli go unieszczęśliwiła przez głupie 1300 zł. Syn, mówiła, zawsze był uczciwy i więcej kraść nie będzie. Sąd dał Piotrowi Z. kuratora i na tym się skończyło, chociaż niezupełnie. Został wyrzucony ze szkoły ogólnokształcącej i dyrektor mówił, że jak ktoś kradnie po sklepach i psuje tym dobre imię szkoły, to powinien iść do zawodowej.

Teraz zaś wynikła poważniejsza od rowerowej sprawa, sprawa brylantów tyle wartych co samochód i mówiono Piotrowi Z. na milicji, żeby się przyznał, tak będzie dla niego lepiej. Tylko on mógł ukraść, bo Mirosława K. przyznała, że on u niej nocował i przez czas nieobecności państwa K. miał klucze do ich mieszkania. Poza tym jest ślusarzem narzędziowym i dla niego otworzyć biurko to mucha. Wszyscy inni co tam byli, to szkolne pętaki. Zawsze na urządzanych u Mirki prywatkach siedzieli stłoczeni w gromadzie. Nie mieli okazji dobrać się do biurka. Poza tym Piotr Z. w ciągu ostatnich tygodni kupił skórzaną kurtkę za 3000 zł i powiększalnik z importu za 1600 zł, a przymierzał się do kamery z szerokokątnym obiektywem. Skąd tyle luźnej gotówki? Spadek mu się trafił? W czasie rewizji znaleziono u niego 3200 w gotówce, a ostatniej wypłaty wziął 800. Może wyjaśni, skąd jest nagle taki bogaty, chociaż cały miesiąc balował u Mirosławy K. i stawiał szczeniakom wino? Piotr Z. uparcie przeczył, że wziął kosztowności, ale nie potrafił powiedzieć, skąd ma pieniądze. Siedział więc, żeby mieć czas do namysłu, a milicja sprawdzała, z kim się spotykał, przez kogo mógł opylić biżuterię. A spotykał się z niejakim Lucjanem L., którego żona karana była za paserstwo i to trzykrotnie się spotykał. Milicja miała więc poszlaki, ale brakowało dowodu, to jest biżuterii lub jej śladu.

Siedział więc Piotr Z. w areszcie tymczasowym, a Mirosława K. chodziła do pani Z. mówić, że wierzy w jego niewinność, tylko że wiara ta była mu jak psu na budę. I zwierzał się Piotr Z. w czasie przesłuchań, że już więcej nigdy nie chciałby być pierwszą wielką miłością panienek, których mamusie trzymają w biurku świecidełka warte majątek. Ale mówił tak - niesłusznie. Na milicję przyszła bowiem Mirosława K. i powiedziała, że pragnie złożyć dodatkowe zeznania w sprawie

Piotra Z., a treść ich była następująca:

Zaklinała rodziców, żeby wycofali oskarżenie ponieważ Piotr Z. jest niewinny, był jej pierwszym, ona go kocha, i on ją kocha, więc choćby z tego wynika, że nie mógł ukraść. Rodzice sami mówili, że po ich śmierci wszystko co mają będzie jej, gdyż jest jedynaczką, no to ona ze wszystkiego rezygnuje, aby powiedzieli milicji, że brylanty się znalazły. Ona wyjdzie za mąż za Piotra Z. i oboje będą pracować i spłacać państwu K. 140 tysięcy ratami, chociaż on tego nie ukradł. Ale tatuś odpowiedział, a mamusia tym bardziej, że jeśli ona, mając 17 lat i żadnego doświadczenia życiowego zakochała się w złodzieju i szumowinie, to tym bardziej dla jej dobra nieźle będzie, jak on parę lat posiedzi, a jej przez ten czas przejdzie miłość. Skoro zaś powiada, że Piotr Z. jest niewinny, to proszę, niechaj powie, kto ukradł brylanty. Tego jednak Mirosława K. nie wiedziała i tylko płakała i groziła, że coś sobie zrobi.

Poprzedniego wieczoru mamusia weszła do jej pokoju i poprosiła, żeby przyszła do nich, bo oboje z tatusiem pragną z nią poważnie porozmawiać. Kiedy weszła do dużego pokoju, zauważyła, że telewizor jest zgaszony, więc musiało się stać coś niezwykłego, nadzwyczajnego. Mamusia zaczęła mówić o tym, że Mirosławie zdaje się tylko, że jest dorosła. Ma przed sobą studia, a nie ma pojęcia, jak łatwo jest o chorobę weneryczną, czy w ogóle zwichnięcie sobie życia. I że jeszcze będzie się kochać na pewno w niejednym chłopcu. A teraz ma okazję dać dowód uczucia dla tego złodziejzaka. Jeśli mianowicie przysięgnie, że nigdy więcej z Piotrem Z. się nie spotka i że o nim zapomni, to tatuś pójdzie na milicję, powie, że kosztowności się znalazły i jej chłopca wypuszczą. A jeśli nie przysięgnie, to on pójdzie siedzieć na długie lata i sama będzie miała dowód, że go wcale nie kocha, a tylko jej się zdaje. Prawdziwa miłość objawia się bowiem zdolnością do poświęceń, co miała możliwość zaobserwować, kiedy jej tatuś cierpiał na korzonki nerwowe i nie mógł się ruszać, a mamusia nawet w nocy do niego wstawiała.

Mirosława zaś powiedziała, że nie może obiecać, iż więcej z Piotrem Z. się nie spotka, ale błaga rodziców, żeby postąpili tak, jakby obiecała i powiedzieli na MO, iż brylanty się znalazły, a ona przysięga, że skończy studia i że razem z Piotrem spłaca im te brylanty albo znajdą złodzieja. Na to pani K. odparła, że to znaczy, iż Mirka tego chłopaka nie kocha, jeśli dla jego dobra nie chce się go wyrzec. Niech idzie spać, przestanie beczeć i wmawiać sobie jakąś tam miłość. I niech się jeszcze namyśli. Mirosława K. zauważyła jednak, że rodzice są dziwnie pogodni, traktują ją z uśmiechem, pobłaźliwie, jacyś tacy odświętni, jakby nie stracili brylantów. Coś ją tknęło.

Poszli spać, a ona nie mogła usnąć, tylko myślała, co robić. Ale wciąż wracało do niej wspomnienie rodziców takich odprężonych, jakby nie dotknął ich ten straszny dramat, że zginęła cała biżuteria. Podejrzewając, że coś się jednak stało, wzięła

z bieliźniarki klucze od biurka i zajrzała w miejsce, gdzie zawsze stało pudełko po czekoladkach z mamy brylantami. Pudełka nie było, gdyż zabrała je milicja dla zbadania odcisków palców, ale stało inne po słonych paluszkach, a w środku były wszystkie kosztowności.

Ubrała się, bo postanowiła opuścić ten dom, tylko wpierw weszła do ich sypialni z tą puszką w rękę i zapaliła górne światło. Umyśliła sobie nic nie powiedzieć lecz tylko pokazać, dlaczego odchodzi. Kiedy tatuś się obudził, wyskoczył w pidżamie z łóżka krzycząc: „Odłóż to natychmiast na miejsce!”, Cisnęła brylantami o podłogę i uciekła z domu. Dobrze, że była ubrana. Przesiedziała do rana na ławce na ulicy i prosiła, żeby milicja szybko pojechała do niej do domu, bo rodzice, jest pewna, gdzieś te kosztowności ukryją i powiedzą milicji, że Mirosława wszystko wymyśliła.

Milicja jednak nie musiała nigdzie jeździć, bo inżynier Ferdynand K. z samego rana sam przyszedł powiedzieć, że jest mu bardzo przykro, ze względu na trud, który sobie milicja zadawała i ze względu na tego młodzieńca, co siedzi, ale brylanty się znalazły. Przed wyjazdem do Jugosławii żona, lękając się włamania, owinęła kosztowności w watę i poutykała w czubki pantofli stojących w szafie. Dwa dni temu chciała rano włożyć inne pantofle, wsunęła nogę i czuje, że ją coś uwiera...

Dlaczego pan Ferdynand K. dwa dni zwlekał, przecież chłopak i tak dosyć już długo siedzi niewinny? Zapytany inżynier odparł: milicja powinna mieć zrozumienie dla rodziców. Pragnęli przy okazji wyciągnąć córkę ze złego układu. Ten Piotr Z., mimo wszystko, to nie jest dla niej towarzystwo.

Nikt się nie dowie, czy Ferdynand K. przyszedłby na milicję, gdyby nie czuł, że poszła tam już jego córka. Nie został oskarżony o usiłowanie zatajenia prawdy, bo cóż to jest dwa dni zwłoki w doniesieniu milicji, że kradzieży nie było, gdy chodzi o ojca zatroskanego o przyszłość swojego dziecka?

Prawo i życie

Sąd w Warszawie rozpatrywał spór o samochód. Orzec miał, czyją własnością jest trabant, rok produkcji 1967, oceniony przez rzeczoznawcę na 21 tys. złotych. Opisać pragniemy okoliczności, które sąd, wyrokując, wziąć musiał pod uwagę.

W roku 1964 Natalia M. ukończyła studia ekonomiczne i znajomy dyrektor przedsiębiorstwa turystycznego zaproponował jej pracę w swojej firmie - żywą, ciekawą i stwarzającą perspektywę wyjazdów zagranicznych. Warunek: sama potrafi załatwić sobie meldunek stały w stolicy. 22-letnia Natalia M. była jednak stałą mieszkanką miasta powiatowego zameldowaną w mieszkaniu osiadłych tam rodziców. Nadto miała narzeczonego, który tkwił w domu akademickim, studia inżynierskie wybierał się kończyć w rok po niej, a wywodził się ze wsi i także nie miał stołecznego meldunku i szans na jego uzyskanie. Ten naonczas narzeczony nazywa się Zbigniew L. Trzeba było coś szybko wymyślić, bo Natalia M. uzyskawszy dyplom traciła także dach nad głową w domu akademickim.

Zbigniew L. znał młodego człowieka nazwiskiem Karol Z., pracującego jako elektryk w domu towarowym. Pan Z., 20-letni kawaler, mieszkał w obrębie Wielkiej Warszawy. Z matką zajmowali we dwójkę czteropokojową willę, rudere, którą zostawił im w spadku ojciec Karola Z., przed wojną właściciel fabryki papy. Karol Z. znany był w towarzystwie jako człowiek stale szukający pożyczek. Żył wesoło i kosztownie, a pobory miał mikre, był tylko elektrykiem. Zbigniew L. umówił się z Karolem Z., że wynajmie jeden pokój w jego „willi” za 800 zł miesięcznie, nadto zapłaci mu 15 tys. złotych jednorazowo za wzięcie ślubu z jego narzeczoną Natalią M., która w ten sposób uzyska prawo stałego zameldowania w Warszawie. Następnie, kiedy minie czas przewidziany prawem o ograniczeniach meldunkowych, Karol Z. na koszt Zbigniewa L. rozwiedzie się z Natalią M., mającą już pełnię uprawnień stałej mieszkanki stolicy. I wtedy pojmie ją za żonę Zbigniew L. W ten sposób z kolei on uzyska prawo stałego zameldowania w Warszawie. Zbigniew L. ma opłacić koszty rozwodu - przewidywała umowa ustna. W wynajętym pokoju będzie mieszkał razem z narzeczoną.

Potrzebne pieniądze student politechniki L. uzyskał od swojego brata rolnika w zamian za zrzeczenie się praw do udziału w spadku po żyjącym zresztą jeszcze ich ojcu, właścicielu gospodarstwa rolnego.

Odbył się ślub Natalii M. i Karola Z., na którym jako świadek wystąpił narzeczony panny młodej Zbigniew L. Następnie żona Karola Z. ze swym narzeczonym zamieszkali w domu jej męża, jako sublokatorzy.

Pewnego razu Karol Z. wrócił nocą z miasta w towarzystwie dziewczyny, która już

u niego została. Nazywała się Bożena G., miała 19 lat i była pielęgniarzką w przychodni lekarskiej. Natalia M. i Zbigniew L., zaprzyjaźnieni z Karolem Z. szybko weszli w zażyłość także z jego dziewczyną. Zrazu nic nie mąciło przyjaźni tej czwórki, ale później, po dwóch trzech miesiącach, pielęgniarzka stała się zarzewiem kwasów. Nie tała, że pragnie ustabilizować swoją pozycję w tym domu oraz sytuację życiową i towarzyską i poślubić Karola Z., szczególnie że jej matka, także pielęgniarzka, utrzymuje, iż umrze, bo nie przeżyje tego, że jej córka wyniosła się z domu do faceta, z którym żyje na wiarę, czyli została dziwką. Karolowi Z. jest coraz trudniej opierać się tym naciskom, sceny zatruwają mu życie, dziewczyna przykładą wielką wagę do ślubu, on boi się, że zwlekając utraci ją - jednym słowem musi wystąpić o rozwód. Jeśli Natalia M. nie będzie mu czynić przeszkód, spłaci te 15 tys., a to w ten sposób, że przez odpowiedni okres nie będzie brać czynszu za pokój. O ile ona się nie zgodzi pójść mu na rękę - nie odda piętnastu tysięcy, a rozwód i tak dostanie, gdyż dosyć życzliwych mu wspólnych znajomych wie, że ten ślub był dętą lipą. Natalia M. odpowiedziała, że na rozwód się nie zgadza, dopóki nie minie czas, kiedy uzyska prawa stałej mieszkanki stolicy i będzie mogła to dobrodziejstwo przelać na narzeczonego.

Finalizujący pracę dyplomową Zbigniew L. namawiał swoją dziewczynę, żeby już teraz dała rozwód Karolowi Z. Inżynier L. parł do rozwodu, bo podejrzewał narzeczoną, że zdradza go ze swoim mężem. I były to podejrzewania, które pewnego wieczoru przemieniły się w pewność. I to był również powód, dla którego Natalia M. nie chciała dać rozwodu Karolowi Z.: zakochała się w swoim mężu.

W obliczu skomplikowanej sytuacji domowej Karol Z. miotał się lękliwie. Tu histeryzująca narzeczoną, osoba wcale mu nieobojętna, mająca za złe, że posiada żonę i do tego zdradza z nią narzeczoną. Tam kochanka tym niebezpieczniejsza, że będąca w obliczu prawa jego żoną, co groziło ześliznięciem się związku formalnego w faktyczny. Skłaniał się elektryk to ku jednej, to ku drugiej, obu coś tam podkłamywał, lawirował, a w wolnych chwilach prowadził szczerze męskie rozmowy z przybitym Zbigniewem L. Ten znów ani nie potrafił machnąć ręką na narzeczoną, ani zaakceptować owego układu, więc wybrał trzecie wyjście, które uspokoiło ów dom wariatów, jaki powstał w willi po przedwojennym fabrykancie papy: pocieszył się z Bożeną G. Romansowi swojemu nadali oni charakter ostentacyjny. Tak oto na naszej ziemi i pod naszym niebem powstało pierwsze małżeństwo grupowe zrodzone ani przez perwersyjne skłonności, ani obyczajowy awangardyzm - tylko przez dawne przepisy meldunkowe.

W zarysowanym tu układzie przewijały się dążenia dwóch osób do odmiany sytuacji: Zdzisława L., aby Natalia M. wyszła za niego za męża i żeby się wyprowadzili z willi Karola Z. i Bożeny G., która pragnęła wyjść za Karola Z. i pozbyć się tamtej pary. Po zrobieniu dyplomu inżynier L. osiągnął to, że jego

narzeczona wystąpiła z pozwem o rozwód i pojechała na urlop do Paryża, aby odpocząć zarówno od narzeczonego, jak i męża-kochanka i zastanowić się spokojnie kogo i czego pragnie. Efektem tej podróży był potem samochód marki trabant, ale to już jest historia niezwykła, ocierająca się o kryminał, dla której odpowiedzenia warto zrobić dygresję.

Natalia M. wyjechała na zaproszenie swojej, mieszkającej we Francji kuzynki ojca, córki emigranta-murarza, kuzynki, której nigdy w życiu nie oglądała na oczy. Na miejscu okazało się, że krewna ma troje dzieci, męża, teściową i ciasne mieszkanie, więc dla gościa wynajęła pokój w pobliskim hotelu, przy czym miała przychodzić do nich na posiłki. Gdy po pierwszej spędzonej w tym hotelu nocy rano pojawiła się w portierni, recepcjonista poradził jej, żeby raczej przed wyjściem spakowała swoje rzeczy i zniosła na dół, bo tak będzie bezpieczniej, nic jej nie zginie. Pomyślała, że widać panuje tu straszne złodziejstwo. Wieczorem zabrała walizki z powrotem na górę, a kiedy rano dłużej się wylegiwała, zapukano, ponaglając ją, żeby już oddawała swoje walizki i wyszła z pokoju. Okazało się, że kuzynka dla oszczędności wynajęła jej pokój, do korzystania z którego miała ograniczone prawa: tylko w nocy. W dzień jej numer wynajmowany był na godziny przygodnym parom, zazwyczaj prostytutkom z klientami.

Kuzynkę zdziwiły jej pretensje, przecież Natalia M. i tak za dnia biega po mieście, albo siedzi u nich, po cóż więc płacić za pełną dobę? *Nolens volens* Natalia M. przywykła do sytuacji, że rano wstaje i pakuje manatki, a wieczorem czeka w hallu, aż portier powie, że użytkownicy jej pokoju już oto wyszli. Przywykła także do mężczyzn, którzy do niej pukali, bo pomylili drzwi, albo przybywali odświeżyć dobre wspomnienia łączące ich z tym numerem. Wzięła tylko od kuzynki dwa prześcieradła, bo hotel bynajmniej nie zmieniał po dziennej szychcie powleczeń.

Któregoś wieczoru znalazła w pokoju cudzą teczkę. Wiedziona ciekawością otworzyła ją. Były w niej papiery. Zorientowała się, że są to dokumenty finansowe jakiejś firmy. Rano oddała teczkę portierowi. Wieczorem czekał na nią w hallu jakiś pan o wyglądzie na tyle nobliwym, że zgodziła się porozmawiać z nim u siebie w pokoju. Od razu wyjaśnił, że on w sprawie teczki. Powiedziała, że oddała ją portierowi. Pan odparł, że portier i właściciel hoteliku - oświadczyli mu, że żadnej teczki nie widzieli na oczy. „nie chcesz, powiedz sumę i niech ci się nie zdaje, że byle k... potrafi nas szantażować”. Odparła, że teczkę oddała portierowi. „Nie wyglądasz na aż tak głupią, żebyś to wypuściła z ręki” - rzekł ów gentleman i oświadczył, że nazajutrz wieczorem przyjdzie, niech ona namyśli się, ile forsy żąda.

Natalia M. zbiegła z pretensjami do portiera. Ten powiedział, że Natalia M. ma szczęście. Przejrzał teczkę. Z zawartości wynika, że należy ona do adwokata prowadzącego sprawy podatkowe jakiejś prowincjonalnej firmy. I że są tam na jego

oko niewątpliwe dowody fałszerstw podatkowych. Ten adwokat preparował bilans. Sądzi, że można zażądać 10 tys. franków i trzymać się tej sumy. Oto teczka. Gdyby adwokat próbował ją odebrać siłą, niech Natalia M. naciśnie dzwonek. Przyjdzie właściciel hotelu i zagrozi wezwaniem policji, że niby napastuje się lokatorkę. Natalia M. wzięła teczkę i, jak twierdzi, powiedziała, że nie jest szantażystką. Hotelarz miał odpowiedzieć, że połowa tej sumy dla niej. I podobno dalej było tak, że adwokat zjawiał się, ona mu bez słowa dała teczkę, on starannie sprawdził zawartość i wyszedł, a potem na stoliku znalazła dwa tysiące franków i nie wiedziała, gdzie właściciela teczki odszukać, aby mu to oddać. Następnie zmieniła hotel, grożąc na pożegnanie policją piekłacemu się właścicielowi. Kupiła to i owo na handel i po powrocie do Warszawy nabyła „Trabanta”.

Wraz ze wzbogaconą w Paryżu Natalią M. wrócić należy na warszawski grunt i do willi - siedziby małżeńskiego czworokąta. Natalia M. kupuje trabanta. Wóz jest zarejestrowany na jej nazwisko, przydział opiewał na jej nazwisko i był realizowany, kiedy sprawa rozwodowa wchodziła już na wokandę.

Rozwód odbył się za zgodą stron i sąd nie zostaje wprowadzony w istniejące w willi układy, ani prawdziwe motywy zawarcia małżeństwa, które rozwiązuje. Treść pozwu, który jest podwaliną rozwodu, nie ma żadnych związków z rzeczywistością. Kosztami postępowania obciążone zostają obie strony po równi i Karol Z. żąda od Natalii M., żeby pokryła jego część należności. Przecież małżeństwo było fikcyjne, zawarte w jej interesie. Natalia M. odmawia płacenia pieniędzy, twierdzi że coś niecoś się przecież zmieniło od tamtych czasów, kiedy zawierali umowę; Karol Z. wnosi do sądu o podział majątku będącego „wspólnym dorobkiem”. Konkretnie chodzi o połowę wartości trabanta. Teraz na procesie o auto mówi się dopiero przed sądem o fikcyjnym małżeństwie, paryskich przygodach, a także stosunkach finansowych w łonie czworokąta. Inż. Zbigniew L. i Natalia M. od dawna już nie płacą ośmiuset złotych miesięcznie. Gospodarstwo domowe i kasa są okresami wspólne dla całej czwórki, okresami separowane na dwa. Raz wspólnota materialna łączy Natalię M. ze Zbigniewem L., po jakimś czasie znowu z Karolem Z., podczas gdy Bożenę G. współżycie finansowe z inżynierem. Wszystko zależy od kolejnych układów romansowych. Proces się ciągnie.

Nim sprawa sądowa dobiegnie końca, Natalia M. wychodzi za mąż za Zbigniewa L., a Bożena G. za Karola Z. Obie ceremonie ślubne odbywają się jedna za drugą i pary są wzajemnie swoimi świadkami, mimo że czworokąt jest skłócony na tle finansowym. Bardzo szybko po ślubie rozlatuje się ostatecznie. Natalia M. ma dosyć. Zabiera rzeczy i samochód, staruszka, wynosi się do zupełnie innego mężczyzny, gdzie indziej mieszkającego. Po raz wtóry wnosi pozew rozwodowy. Równolegle toczy się dalej proces o auto wniesiony przez jej byłego, pierwszego męża, Karola Z. W nowej sytuacji włącza się doń inż. Zbigniew L. On także ma

roszczenia. Po zawarciu z Natalią M. ślubu włożył 13 tys. w remont kapitalny wozu i żąda tej sumy z powrotem.

Toczy się proces o auto, ale wypadki toczą się szybciej od niego, „stany faktyczne” ulegają zmianie, a wraz z nimi przesłanki przyszłego wyroku. Formalnie trabant stanowi wspólne dobro Natalii M. i jej pierwszego męża Karola Z., lecz jej adwokat twierdzi, że uznanie istnienia wspólnoty majątkowej w małżeństwie fikcyjnym, które nie prowadziło wspólnego gospodarstwa jest sprzeczne z zasadami współżycia społecznego. Adwokat Karola Z. upiera się, że małżeństwo, acz pomyślane fikcyjnie, nie było jednak takie, skoro małżonkowie razem mieszkali i gospodarzyli, a także sypiali ze sobą. Drugi mąż wniósł 13 tysięcy, ale auta używał. Nadto zapłacił za remont, kiedy z Natalią M. mieli wspólnotę majątkową będącą prawnym skutkiem zawartego małżeństwa, więc niejako włożył 7,5 tysiąca, bo druga połowa była jej.

Przybywamy na kolejną dziewiątą rozprawę i oto błysk szczęścia w oczach sędziny. Obaj panowie wycofują pozwy. Nie ma sprawy. Trabant już się rozleciał. Strach pomyśleć, co by było, gdyby przedmiotem sporu był rolls royce, albo plac dajmy na to.

Atrapa

Jest kategoria ludzi, którym częściej niż innym zdarza się odchodzić ze świata z przyczyny tak rzadkiej, jaką jest zabójstwo. Matylda B., przez swój przesadny makijaż nosząca zawodowe pseudo Atrapa, 24-letnia prostytutka, została uduszona.

Od kilku miesięcy dziewczyna wynajmowała samodzielny pokój z niekrępującym wejściem ze schodów w starym, odrapanym domu na przedmieściu. Właściciel lokalu, emeryt, wynajął go na czas określony „do pierwszych przymrozków” i przeniósł się do drewnianego domku, jaki miał w ogródku działkowym. Inkasował 2 tys. miesięcznie i oczywiście zapewniał potem, że nie miał pojęcia, czym zajmowała się jego sublokatorka.

Zwłoki znaleziono z powodu jakiegoś stałego klienta Atrapy. Bywalec ów późnym wieczorem przylazł pijany pod jej dom i począł pukać. Ponieważ zdawało mu się, że słyszy odgłosy świadczące, że ktoś jest w pokoju - zaczął walić w drzwi i wołać Atrapę. Pobudził sąsiadów. Któryś z nich usiłował spuścić pijacznę ze schodów. Gość przytrzymał się klamki, wtedy drzwi ustąpiły i dokonano straszliwego odkrycia.

Matylda B. zaczęła późno, prostytutką była dopiero od trzech lat. Przedtem mieszkała na prowincji i pracowała u prywatnego ogrodnika. Którejś wiosny patron nałożył na nią obowiązek wożenia do miasta koszy z nowalijkami dla odbiorcy na targu warzywnym. Wkrótce poznała na bazarze różnych pysznych chłopców, więc zdarzało się, że do domu wracała po nocy, jeśli nie rano. Ojciec, emerytowany kolejarz, bił ją za to lub rugał, więc odwlekała powroty do domu. Potem przestała pracować u ogrodnika, wracała do domu coraz rzadziej i rzadziej. Zaczęła w mieście uprawiać miłość zarobkowo.

Przez pierwszy rok tkwiła w orbicie bazaru i tamtejszej publiczności. Siedziała za handel kradzioną garderobą. Potem poznała dziewczynę tej samej profesji, która wprowadziła ją w lepsze regiony kawiarniano-hotelowe. Upacykowana i ubrana w zagraniczne rzeczy miewała teraz kontakty z cudzoziemcami, co stanowi szczyty tej specyficznej kariery.

W śledztwie wykluczono mord na tle erotycznym. Nie było to także zabójstwo rabunkowe. Wszystkie rzeczy Atrapy znajdowały się - stwierdziły przyjaciółki - na swoim miejscu. Na rękach zmarła miała zegarek i połączaną bransoletę, w torebce kilkaset złotych. Znaczyło to, że w grę wchodzi przypuszczalnie porachunki. Nie udało się jednak wpaść na trop rozżalonego klienta, bezwzględного sutenera, czy kogokolwiek mającego powody do zemsty. Środowisko zmarłej nie potrafiło poddać żadnej sugestii, a zabójca nie zostawił śladów. Ktoś wszedł, zabił, wyszedł -

nie wiadomo dlaczego. Wiadomo było tylko, kiedy to się stało. Zgon nastąpił przed południem. Żaden z mieszkańców tego i sąsiednich domów nie zauważył jednak nikogo obcego.

Zajęto się wobec tego wszystkimi nieobecnymi, którzy tam się kręcili tego przedpołudnia: sąsiadami, ich gośćmi, technikiem telewizyjnym, który w czasie, gdy zdarzył się dramat, reperował telewizor piętro wyżej. Nie dawało to żadnych rezultatów. Ostatecznie jedyną osobą podejrzaną był „narzeczony” pewnej koleżanki Atrapy. W kręgu, w którym się zmarła obracała, wiadomo było, że Matylda B. pożyczyła od jej koleżanki półkożuszek i nie oddawała. Właścicielka żądała od swojego chłopca, zapewne po prostu sutenera, żeby pojechał do Atrapy i odebrał jej własność. Młodzieniec ów mówił dwukrotnie narzeczonej, że jeździł do Atrapy, ale jej nie zastał. Taką podróż miał odbyć także w dniu śmierci dziewczyny. Milicji wszakże powiedział, że narzeczoną okłamał. Wcale u Atrapy nie był. Nigdy, ani razu. Miał tylko adres zapisany w notesie. Kłamał jej, bo lenił się załatwić sprawę.

W rzeczach, które zostały po zmarłej, kożuszek nie było. Sądono, że może ów facet był jednak u Atrapy. Powiedzmy, że ona nie chciała oddać półkożuszka, on perswadował jej, żeby go zwróciła w sposób przyjęty w tym światku, przyduślił trochę za mocno, więc potem doszedł do wniosku, że kożuszek trzeba usunąć, bo jest to niebezpieczny dowód rzeczowy. Istniał dostatek pretekstów, żeby tego młodzieńca potrzymać w areszcie. Puszczono go, kiedy po żmudnych poszukiwaniach okazało się, że Atrapa już dwa miesiące wcześniej sprzedała kożuszek jakiejś koleżance. Mogła co prawda zginać za karę z ręki przyjaciela właścicielki, ale nie było na to dowodów. W każdym razie sutener wyszedł z aresztu, a śledztwo ugrzęzło na mieliźnie.

W półtora miesiąca później na Wybrzeżu milicja zatrzymała prostytutkę nazwiskiem Zofia G., która siedząc w barze skorzystała z chwili nieuwagi barmana, ściągnęła z kontuaru butelkę francuskiego koniaku, z której przed chwilą barman nalewał i usiłowała z tą zdobyczą w torbie opuścić lokal. Przechwycono gryps, który G. próbowała wysłać z aresztu. Był adresowany do jej matki, której zalecała, aby poszła do Atrapy i odebrała pieniądze, bo będą jej potrzebne na adwokata. Zapytano Zofię G., co to za pieniądze i ile. Nie chciała mówić. Dopiero, kiedy powiedziano jej, że Matylda B. nie żyje, okazała rozmowność wynikłą ze zrozumienia, że sprawa jest poważna. Wysłała w sprawie tych pieniędzy gryps zamiast normalnego listu, bo chodziło tu o transakcję nielegalną.

Któregoś dnia Zofia G. spotkała Atrapę, która powiedziała jej, że jest okazja dobrego zarobku. Miała klienta, który wyraził chęć kupienia dolarów albo bonów PKO, gdyż chce nabyć samochód. Potrzebuje - mówił - prawie półtora tysiąca, więc niech Atrapa pozbiera wśród dziewczyn, które zadają się z cudzoziemcami, a on da

dobrą cenę. Zofia G. zajęła się skupowaniem walorów, zresztą częściowo na kredyt i wręczyła Matyldzie B. 1450 dolarów w bonach i banknotach. Atrapa miała zawiadomić klienta. Umówiły się w kawiarni. Matylda B., która miała przedtem zainkasować złotówki, obiecała przynieść Zofii G. umówioną kwotę. Na spotkanie nie przyszła. Zresztą przyjść nie mogła, bo już w tym czasie nie żyła. Zofia G. znowu nie miała czasu jechać do koleżanki do domu. Trafiała się jej atrakcyjna okazja samochodowa nad morze. Myślała, że wróci za kilka dni i dociśnie dłużniczkę, ale sezon był nad morzem wyjątkowo dobry i tak jej zeszło.

W torebce ani w mieszkaniu zmarłej nie znaleziono żadnych dewiz. Znany był już przypuszczalny motyw zabójstwa. Tylko kim jest ów klient, który potrzebował bonów i dolarów? Zofia G. umiała tyle tylko powiedzieć, że zmarła określała go, jako wyglądającego na dyrektora. W Polsce są miliony ludzi wyglądających na dyrektorów. Znając stereotypy pojęciowe prostytutek można było sobie wyobrazić, że chodzi o człowieka niemłodego, mógł być tęgi, powinien ubierać się w garnitur i krawat, ewentualnie nosić okulary. Sporo ludzi o wyglądzie dyrektorów kupuje auta za dewizy.

Poszukiwania takiego człowieka toczyły się poprzez rozmowy z koleżankami zmarłej. Wypytywano wszystkie uchwytnie dziewczyny, które znały Atrapę, czy nie widziały jej kiedykolwiek w towarzystwie człowieka, który wyglądał na dyrektora. I oto okazało się, że któregoś wieczoru istotnie zjawiła się ona w nocnym lokalu u boku gościa około pięćdziesiątki, łysego, grubego, eleganckiego i w okularach, który nie był cudzoziemcem, a więc miał wszelkie możliwe dyrektorskie cechy. Niebawem miało się okazać, że ten człowiek na domiar wszystkiego rzeczywiście jest dyrektorem.

Wtedy w lokalu starszawy towarzysz Atrapy zwrócił uwagę jej koleżanki bardzo śmiesznym szczegółem. Położył na stoliku przed sobą małe budzik, taki kieszonkowy. I pił tylko wówczas, kiedy ten budzik zadzwonił. Takiego sposobu dozowania alkoholu nikt nigdy nie widział. Gość ów, mimo przemyślnej metody picia, urznął się jednakże. Kieszonkowy budzik został na stoliku. Nazajutrz dzwonił do knajpy, dopytywał się o swoją własność. Z kierownikiem lokalu łączyła go przez telefon sekretarka, która wymieniła nazwę instytucji i nazwisko szefa. Ustalono, że Kazimierz D. wkrótce po owym pobycie w lokalu wpłacił dewizy na samochód.

W czasie przesłuchania Kazimierz D. potwierdził, że przez swoją znajomą dziewczynę, zwaną Atrapa, skupował dewizy na samochód. Liczył na jej dyskrecję, ale się zawiódł. Nigdy nie był u niej w domu i nie wie, gdzie ta dziewczyna mieszka. Umówili się w kawiarni i tam sfinalizował transakcję. Kazimierz D. oświadczył milicji, że o tym, iż Atrapa nie żyje i że zmarła nienaturalną śmiercią dowiaduje się dopiero w tej chwili. Potem Kazimierz D. dokładnie opowiadał, jak tę dziewczynę

poznał, gdzie i kiedy się z nią spotykał i co o niej wie. W trakcie tej opowieści padło nazwisko jego znajomego. Urządzał on kiedyś kawalerski wieczór, zorganizował dziewczyny i wtedy właśnie Kazimierz D. zetknął się z Atrapą. Nim D. skończył składać swoje wielogodzinne zeznania, milicja odszukała owego znajomego. W podpisanym przezeń protokole znalazło się stwierdzenie, że mówił kilka dni temu Kazimierzowi D., iż Atrapa została zamordowana. D. zdziwił się i zdenerwował. Zdawał się potem zamyślony, jakby nieobecny, widać było, że go ta wiadomość przejęła. Rozmówca dyrektora D. pomyślał sobie, że wygląda na to, iż ta dziewczyna nie była mu obojętna.

Kazimierz D. przyłapany więc został na kłamstwie. Wiedział o śmierci Atrapy. Tłumaczył się przesłuchującemu go oficerowi śledczemu, że zapomniał o tej rozmowie ze znajomym, bo wiadomość nie miała dlań znaczenia. Nie brzmiało to przekonywająco. Poproszono go, by pokazał swój kalendarzyk. Zbladł i oświadczył, że nie ma. Zagrożono mu rewizją osobistą, wtedy wyjął z kieszeni małą książeczkę. Pod datą, kiedy Matylda B. została zabita widniał zapissek; adres dziewczyny i godzina umówionego spotkania. D. uzupełniając poprzednie zeznania stwierdził, że owszem miał tam jechać, ale nie stało mu czasu, bo wówczas miał ważną konferencję. Gdy nie przybył, dziewczyna zadzwoniła i umówili się w kawiarni.

Ustalono, że istotnie o zaznaczonej w kalendarzyku porze Kazimierz D. przewodniczył konferencji i przez całe przedpołudnie nie wychodził z biura. Nie wyglądał zresztą na człowieka, który mógłby i potrafił sprawnie, nie prowokując dłuższej walki, pozbawić życia młodą, silną dziewczynę.

Jak się okazało, w tydzień po ojcu kupił sobie sportowy, przechodzony wóz i zarejestrował na własne imię syna Kazimierza D., 21-letni student Antoni D. Nie potrafił powiedzieć, skąd miał pieniądze. Zapytany o to ojciec, zeznał wówczas, że przyznaje się do winy, to on zabił Matyldę B. i dał synowi forszę na wóz. W czasie, kiedy dyrektor improwizował niezgodne z rzeczywistością okoliczności zgonu dziewczyny i sposób zadania jej śmierci, jego syn już przyznawał się do winy. Owego przedpołudnia ojciec nie mógł się urwać z biura i poprosił jego, aby pojechał, zawiózł takiej to a takiej panience złotówki, wziął zaś od niej bony i dolary. Matylda B. - twierdzi Antoni D. wpiernw wzięła odeń pieniądze, przeliczyła i schowała do torebki, następnie powiedziała, że to za mało. Cena dolara jest wyższa. Brakuje około 2000 złotych. Niech wraca, weźmie od ojca, ona będzie czekać i wypłaci mu dolary. Antoni D., jak utrzymuje, zażądał zwrotu gotówki. Ona nie chciała oddać, podejrzewał, że pragnie ulotnić się z forsa. Użył siły, zabił ją niechcący, rękami, potem upozorował bardziej wyrafinowane morderstwo. Zabrał i dolary i złote, dewizy oddał ojcu, a za złotówki kupił sobie wóz.

Opowieści tej nie dano wiary choćby dlatego, że badanie zwłok i miejsca

przestępstwa nie wskazywało na to, by śmierć Atrapy poprzedzała walka. Antoni D. oskarżony jest o zwykły mord rabunkowy. Wszedł, zabił i zabrał dewizy, albo udusił dziewczynę po dokonaniu transakcji i wziął dane jej uprzednio złotówki. Jak było dokładnie, nie wiadomo, bo Antoni D. trzyma się konsekwentnie opowieści o tym, że zastosował przemoc fizyczną, gdyż dziewczyna chciała go oszukać i zabił niechcący.

Kazimierz D. zeznawał teraz, że zdziwił się bardzo, kiedy jego nie śmierdzący groszem syn kupił wóz, i zżymał, że nie udziela mu odpowiedzi, jak doszedł do tak kolosalnej sumy. Domyślił się źródła jego zamożności dopiero wtedy, kiedy kolega wspomniał mu w rozmowie, że Atrapa, ta miła, wesoła dziewczyna, zabita została przed półtora miesiącem, w biały dzień w swoim mieszkaniu. Nie zagadnął o to syna. Nie było mu spieszno upewniać się, że ma pod swoim dachem mordercę.

Walizki

Po siedmiu miesiącach, dwóch tygodniach, jednym dniem i czterech godzinach małżeństwa 29-letnia Michalina A., znana w kręgach towarzyskich stołecznej dzielnicy Saska Kępa jako Mucha, wystawiła za drzwi walizkę swojego męża Karola B., który ów czas, dzielący go od wejścia do mieszkania Muchy do wyjścia, czas małżeństwa, dokładnie mógł obliczyć, jest bowiem doktorem matematyki.

Zdarzenia następne wzięły swój początek z tego, że była to niewielka walizka, ta wystawiona za drzwi. Rozstanie nastąpiło późną wiosną. Z każdą zmianą sezonu, ba pogody, dr Karol B. dzwonił do żony i prosił o pozwolenie wzięcia stosownej do potrzeb garderoby. Mucha wpierw tylko prosiła, żeby się odczepił, potem objaśniała, że ją nudzą te telefony, potem bez słowa odkładała słuchawkę.

Z nastaniem jesiennych chłódów matematyk zrobił się natarczywy, a że dalej miał w kieszeni klucze od mieszkania Muchy, które wielkodusznie zostawił jej na pamiątkę poprzednik doktora, krytyk bodaj literacki, postanowił zrobić z nich użytek wbrew woli i bez wiedzy gospodyni. Krążył więc po bocznej uliczce, czyhając na taki czas, kiedy Mucha wyjdzie z domu. To czego potrafiłby dokonać byle włamywacz, nie posiadając kluczy do mieszkania, dla doktora okazało się za trudne z kluczami w kieszeni. Trwając na czatach zauważył wszakże, że u Muchy pomieszkuje szatyn - właściciel volkswagena bordo. Któregoś niedzielnego poranka szatyn, który, jak przyjdzie co do czego, okaże się 26-letnim inżynierem C., wsiadł do swojego auta i odjechał, ale sam, ku utrapieniu doktora, nie z Muchą. Karol B. wsiadł do swojego auta i pojechał za nim, miał już bowiem pomysł.

Volkswagen bordo zajeżdżał na Żoliborz, zabrał czekającą na ulicy dziewczynę i zawrócił ku śródmieściu. Potem pojechał przez Wilanów, Konstancin i wertepy do Góry Kalwarii. Matematyk jechał za nim. Szatyn zaparkował wóz i legł z dziewczyną na kocu, nad Wisłą. Pogoda im sprzyjała. Doktor zawrócił do miasta bardzo spieszenie, poszedł do siebie do domu i następczyni Muchy, pannie z którą mieszkał, kazał zadzwonić do Michaliny A. „Proszę pani” - powiedziała dziewczyna aktualnie mieszkająca z doktorem matematyki do wciąż jeszcze żony Karola B. - Volkswagen bordo rozbił się na wiadukcie w Górze Kalwarii. Ten pan krwawi. Prosił, żeby pani wzięła taksówkę i zaraz przyjechała. Jego zabiorą, pewno do szpitala, więc trzeba się zająć autem”.

W momencie, gdy dziewczyna obecnie mieszkająca z młodym matematykiem odbywała tę rozmowę - Karol B. już stał na tej ulicy Saskiej Kępy, na której ostatnio spędzał sporo czasu i widział, jak jego była żona wybiega, jak rozgląda się za taksówką, jak szybko dopada najbliższego postoju i jak tłumaczy ludziom w kolejce do taksówki, że powinni ją przepuścić, wreszcie - jak odjeżdża. Karol B. wyobrażał

już sobie, że za moment weźmie z szafy ciepłą bieliznę, swetry, ubrania i płaszcz nieprzemakalny, a jego była żona dozna kary - nadzieje się na szatynę, zupełnie świeżą swoją zdobycz, leżącego z trzecią osobą na kocu, nad Wisłą w stroju, aż przyjemnie pomyśleć, plażowym. Doktor Karol B. wkłada klucz do zamku i konstatuje z ulgą, że Mucha zamków nie zmieniła.

Tymczasem Michalina A. jedzie do Góry Kalwarii taksówką i szuka miejsca oznaczonego jej przez nieznaną rozmówczynię. Napotyka wreszcie volkswagena bordo i dziwi się, że po kraksie wygląda on jak prosto z fabryki. Poniżej wiaduktu, na pierwszym planie pejzażu leży szatyn z dziewczyną. Szatyn też już ją widzi. Patrzy na nią, spogląda na taksówkę, gwizdże: „Lubię jak na mnie nie żałuje się pieniędzy” - powiada. „Ach to pani dzwoniła”?! - warczy Mucha na dziewczynę w kostiumie kąpielowym i nie doczekując się odpowiedzi radzi szatynowi, żeby spieszył się z powrotem na Saską, bo ona zaraz wystawi na schody jego walizkę z rzeczami. Jak się nie pospieszy, to nie wykluczone, że ktoś ukradnie rzeczy. Różnie można oceniać obyczaje Michaliny A., lecz i wrogowie przyznać muszą, że są one stałe.

Nim Mucha dojechała do Góry Kalwarii, Karol B., doktor matematyki wszedł do mieszkania swojej byłej żony, rozłożył na kanapie przyniesioną walizkę i zakrzętnął się wokół szafy. Kiedy uwaga jego skoncentrowana była na garderobie, nagle usłyszał za plecami wulgarne słowo i zaraz dostał czymś w głowę. Odwrócił się, ujrzał przed sobą mężczyznę, dysponującego dwoma pięściami, nim coś zdążył powiedzieć, dostał w podbródek, zaczął się bronić i po kilkunastu sekundach już był bardzo ciężko, pobity i skopany.

Mężczyzna, który go tak urządził, zatelefonował na milicję, mówiąc, że ma włamywacza i zatelefonował na pogotowie, by zwrócić tej instytucji uwagę na to, że człowiek potrzebuje pomocy. Pogotowie było szybsze. Wydezynfekowało rany doktora, oblepiono go plastrami, stwierdzono, że rzecz nie jest nawet godna fatygi pacjenta na stację pogotowia, bo „szycia tu nie ma” i jeszcze lekarz powiedział, że jak pacjent chce, to może potem przyjść do rentgena, by się upewnić, czy na pewno ma całe kości.

Milicja zastała Karola B. już wydobrzałego, jeśli nie pod względem cielesnym, to w każdym razie intelektualnym. Młody człowiek, który wezwał milicję, oświadczył przybyłej władzy, że oto leży przed nim włamywacz, którego zdybał w mieszkaniu swojej znajomej. Sierżant usiadł za stołem i począł urzędować. Karol B. leżał, uśmiechał się, zachowywał milczenie i niczego nie wyjaśniał. Sierżant wpierw wziął dowód młodzieńca, który dzwonił na milicję i spisał personalia, a potem wziął dowód Karola B. i uczynił to samo, dziwiąc się, że doktor a włamywacz. Kiedy jednak następnie przystąpił do ustalania stanu faktycznego, którego esencją był fakt, że Karol B. zawód - naukowiec, funkcja - adiunkt, włamał się do cudzego

mieszkania i plądrował szafę - Karol B. zwrócił władzy uwagę na brzmienie adresów: swojego własnego i faceta, od którego dostał po łbie. Z dowodu osobistego wynikało bowiem, że Karol B. jest legalnym i stałym mieszkańcem tego mieszkania.

„I czegośmy dożyli panie sierżancie” - ciągnął doktor wietrząc ojca rodziny pod mundurem. - „Mało, że gachy naszych żon przychodzą do naszych mieszkań nie czekając, aż wyjdziemy, mało że nas leją po głowach i gębę we własnym naszym pokoju, a potem doprawiają nogą - to jeszcze na doprawkę dzwonią po milicję”!

Sierżant poczuł się skołowany, zapowiedział młodzieńcowi, że jeszcze go poproszą na MO i wyszedł. Młodzieniec (który zdążył był przybyć do Muchy między momentem, kiedy szatyn odjechał volkswagenem bordo, a chwilą, kiedy u Muchy rozległ się telefon) oświadczył, że nie rozumie, że nie wiedział i że przeprasza, po czym wyszedł.

Doktor B. widział ze swojego łóżka byłą żonę, jak wraca, dostrzega go i wydaje okrzyk zdumienia, a potem przyjmuje do wiadomości, że lekarz zakazał Karolowi B. ruszać się z miejsca. Tak paskudnie go urządził młodszy z jej kochanków! Michalina A. pakuje walizkę. Kiedy to czyni, ktoś dzwoni do drzwi. Jest to, zgodnie z jej spodziewaniem, szatyn jeżdżący volkswagenem bordo. Każe mu czekać za drzwiami, bo walizka nie zapakowana. Potem skompletowany bagaż wystawia na schody i zatrzaskuje drzwi. Karol B. dalej leży pooklejany plastrami, syka z bólu przy każdym ruchu i milczy. Michalina A. powiada, że nie zrezygnuje z wysłuchania wyjaśnień, co Karol B. robił w jej mieszkaniu. Oczywiście spodziewa się ich po jego wyzdrowieniu. A skoro nie może się teraz i w ogóle dzisiaj ruszyć, na razie tu go zostawia. Karol B. nie jest tak chory, by nie widzieć jak Mucha wkłada niezbędne drobiazgi do walizeczki i odchodzi.

W tydzień po tych zdarzeniach Michalina A. w asyście milicji brała z mieszkania swoje rzeczy. Przez kilka dni dzwoniła do Karola B. w pierw żądając, żeby się wynosił, potem żeby chociaż na razie wydał jej garderobę, a później załatwiała inne sprawy między nimi. Karol B. mieszkał już wtedy na dobre w willi na Saskiej Kępie ze swoją dziewczyną i byłej żonie odpowiadał przez telefon, że go nudzi.

Pół roku minęło, nim zakończyła się rozprawa rozwodowa państwa B. i orzeczono podział mieszkania. Michalina A. wносиła powództwo, poniosła koszty sprawy i proponowała, żeby jej mieszkanie uznać za wymagające podzielenia między rozwodników i wymienienia na dwa mniejsze. Uprzednio zabiegów takich nie podejmowała, ani propozycji nie zgłaszała, lecz po prostu wyrzuciła męża i już. Sytuacja Karola B. i jego pozycja w przetargach z byłą żoną zmieniła się radykalnie, kiedy raz wszedł do jej mieszkania i nie wyszedł.

We wstępie tej historii traktowaliśmy ironicznie doktora matematyki bezradnie

kręcącego się po ulicy i niezdolnego do dokonania najprostszego włamania. Cieszy nas więc, że młodzi czytelnicy nie zakończą lektury w nastroju pogardy dla jajogłowych. Przeciwnie, dowiedzą się, że intelekt zwyciężył w zmaganiach z pięścią.

Cień drogisty

W pewnym poważnym wojewódzkim urzędzie pracował inżynier Jerzy B., który zajmował się nadzorowaniem kilku przedsiębiorstw. Sumienny i fachowy nie miał jednak sympatii kolegów, ponieważ usposobienia był mrukliwego, wódki nie pił i nawet na trzeźwo z nikim z biura nie utrzymywał stosunków towarzyskich, a nadto oczy miał jakieś świdrujące i samochód mercedes ni mniej, ni więcej. Lata trwało, nim zauważono, że inżynier B. posiada forsy jak lodu, ale nią nie szastał. Z drugiej strony nie nastawał o awanse, czy premie, a pożyczyć potrafił dziesięć i dwadzieścia tysięcy, kiedy, ktoś potrzebował, aby było to w dyskrekcji. Skąd u niego pieniądze, nikt nie wiedział, może z łapówek, może skądinąd.

Raz na schodach głównych inż. Jerzy B. skręcił nogę i dostał zwolnienie lekarskie, a radca zakładowy postanowił go odwiedzić, raz, że skręcenie nastąpiło w trakcie pełnienia obowiązków, dwa, że akurat w urzędzie wzmagano troskę o człowieka. Radca przyszedł do mieszkania inż. B., otworzyła mu kobieta, nie zapytała kto on, ani do kogo, ani po co, tylko kazała siadać w przedpokoju. Radca zakładowy zdziwił się, ponieważ krzesła obok niego zajmowało kilka rajcujących kobiet w różnym wieku. Z ich rozmowy wynikało, że przyszły do znachora, czy kogoś w tym rodzaju, ale radca raczej sądził, że kolega Jerzy B. jest sublokatorem znachora, niż, że sam leczy. Z dalszej kobiet rozmowy radca wywnioskował, że nie przyszły do znachora tylko wróża, Mistrza Ali i więcej, niż mocno, się zdumiał, gdy okazało się, że kolega inżynier B. jest tym Mistrzem Ali właśnie. A okazało się to wtedy, kiedy Jerzy B. wyszedł prosić kolejną klientkę, zobaczył radcę, zdenerwował się i cd razu poprosił kolegę do siebie. Owszem wróży - powiedział, nie, że jest to zakazane, ale oczywiście wolałby, żeby w biurze o tym nie wiedziano. Nie robi tego dla pieniędzy, chociaż parę groszy wpadnie za wróżenie. Jeśli kolega zechce zachować dyskrecję, on chętnie się wywdzięczy. Znany jest z uczynności, a każdy przecie potrzebuje na przykład pieniędzy. Inżynier Jerzy B. powiedział radcy o sobie, że długo studiował różne magie, a także psychologię zwykłą i psychologię głębi, psychoanalizę, tudzież okultyzm. Po prostu takie ma hobby, co chyba każdy kulturalny człowiek uszanuje.

Aluzję do pieniędzy radca zakładowy puścił mimo uszu, ale o swoim odkryciu nie rozpowiadał, gdyż z jednej strony nie lubił nikomu szkodzić bez żadnego w tym swojego interesu, z drugiej zaś wiedział, że jeśli tylko coś komuś powie, dojdzie to zaraz, skutkiem ludzkiej ciekawości i wścibstwa do kolegi B., a ten już będzie wiedział, kto mu podstawią w tej sprawie nogę.

Drugim w owym urzędzie wojewódzkim człowiekiem, który miał podwójne życie, był właśnie ów radca zakładowy Hieronim W., co jednak nie wytrzymuje

porównania, gdyż miał on po prostu kochankę. Sprawiała mu ona dużo kłopotu, bo o ile radcy Hieronimowi W., lat 51 całkowicie i aż nadto wystarczała jedna kochanka, to jego kochance 32-letniej Julii C. bynajmniej jeden kochanek nie wystarczał. Jej życie romansowe ulegało ciągłym komplikacjom, więc ustawicznie zwierzała się Hieronimowi W., szukając jego rady doświadczonego człowieka, nie miała bowiem przyjaciółki zazwyczaj służącej do podobnych posług, a mężowi spowiadać się nie mogła, gdyż zazdrosny, nie okazywałby zrozumienia. Hieronim W. nadawał się widocznie nie tylko na przyjaciela, ale miał i walory przyjaciółki. Radca zakładowy cierpiał, słuchając o komplikacjach we współżyciu Julii C. z admiratorami i urządzał jej sceny zazdrości, jak publiczne bicie w bufecie zakładowym, które jej przyniosło wstyd, a jemu śmieszność (Julia C. pracowała jako archiwistka w innym niż Hieronim W. wojewódzkim urzędzie, do którego radca zakładowy przybywał z rozlicznymi interesami służbowymi).

Mimo, że Hieronim W. miewał, jak na człowieka po pięćdziesiątce, bardzo spontaniczne reakcje, a może właśnie dlatego, Julia C. zwierzyła mu się, że pokochała młodego i pięknego kierownika drogerii, który wzajemność posuwa tak daleko, że obiecuje rzucić dla niej żonę i dwoje dzieci, zapisać się na studia zaoczne i tyle nakraść, aby starczyło na samochód. Drogista żąda jednak, aby najpierw na dowód miłości i dobrej woli Julia C. o wszystkim powiedziała mężowi i zażądała rozwodu, a także zerwała z Hieronimem W. i odtąd nigdy nawet słowa z nim nie zamieniła.

Ma ona wszakże innego, jeszcze młodszego, trzeciego amanta - studenta pomaturalnej szkoły zawodowej, który wyśledził, iż kombinuje ona z drogistą i zwyczajnie grozi, że zabije ich oboje z rewolweru, który posiada nielegalnie po zmarłym ojcu, który posiadał go nielegalnie, odziedziczywszy po dziadku, który był w 1939 roku sierżantem zawodowym i ukrył na czas okupacji broń osobistą. Julia B. obawia się - mówiła Hieronimowi W., że kiedy ona powie o wszystkim mężowi, wniesie o rozwód, wtedy drogista ją oszwabi, nie rzuci żony, nie pójdzie na studia, nie pokombinuje na samochód, tylko zostawi ją na lodzie. Jeśli zaś okaże się nawet człowiekiem poważnym, który naprawdę z nią zamieszka, a potem się ożeni, zostaje jeszcze student z rewolwerem, zupełny wariat. Julia C. jest przywiązana do męża, a także do Hieronima W. Nie wie więc co robić, bo jakże przeniknąć, co przyniesie przyszłość i w którym zwrócić się kierunku?

Hieronim W. próżno ją namawiał, żeby została przy mężu. Julia C. oskarżyła go o egoizm i zostawiła zgnębionym tym, że tak mało stanowił w jej planach. Oto okoliczności, w jakich Hieronim W. przypomniał sobie o koledze inżynierze Jerzy B.

Przygotowano wszystko delikatnie. U Julii C. w jej archiwum akt i dokumentacji zjawia się pewna maszynistka, która, zgodnie z wyznaczoną jej rolą, opowiadała

z zapalem o wspaniałym wróżu, który przejrzał na wylot jej przeszłość, teraźniejszość, więc zapewne i przyszłość. Julia C. bardzo się zapaliła do tej drogi przewycięzenia rozterek, wzięła adres i zwierzyła się Hieronimowi W., że idzie do wróża w najbliższy piątek, co rzeczywiście zrobiła, wkładając sto złotych w przedsięwzięcie.

Hieronim W. starannie przygotował Mistrza Alego do tej wizyty, opowiedział mu wszystko, co wie o Julii C. i dał jej zdjęcie, żeby przepowiadacz przyszłości bez trudu rozpoznał klientkę. Przez dwie godziny Mistrz Ali stawiał kabałę i oglądał dłonie Julii C. i przez dwie godziny mówił, a kiedy klientka chciała wstać i wyjść okazało się, że nogi już jej w ogóle nie trzymają i zemdłała. Wróż bowiem przejrzał jej najtajniejsze myśli i uczynki, powiedział wszystko o życiu przeszłym z taką dokładnością, jak gdyby od niemowlęcia jej towarzyszył w każdej godzinie, a i przyszłość Julii C. nie kryła w sobie dlań ani źdźbła tajemnicy.

Mistrz Ali widział koło niej mężczyznę, wokół którego czuł zapach mydeł i perfum. Mężczyzna ten obiecuje, a kłamie, ma intencje złamania jej życia, sponiewierania i ukrzywdzenia. Nie wolno wierzyć ani jednemu słowu, bo on właśnie pragnie tylko tego, aby mu uwierzono, żeby wykonać swój diaboliczny plan krzywdzielski. Trzeba zerwać z nim natychmiast wszelkie kontakty. Dalej mistrz dostrzegał strzelający pistolet w ręku szalonego młodzieńca. Szczęście dla Julii C. układało się w kartach u boku jej męża przy wsparciu uczuciowym starszego mężczyzny, jedyne, który kocha ją naprawdę. Winna wybrać ten układ pod rygiorem dodatkowym straszliwych chorób, jakie na nią czyhają, gdy puści się na drogę moralnej zguby. Choroby te zdały się Julii C. także straszne, mimo, że właściwie nie miały znaczenia ani czasu na wylęgnięcie, skoro jej życie i tak miał przerwać strzał z rewolweru.

Julia C. wpieryw wykonała wszystko, co jej wróż zalecił, następnie z miłości do drogisty zażyła 20 luminali i otworzyła gaz. Kiedy mąż ją znalazł, było już za późno. Hieronim W. objawił w sposób szczególny wyrzuty sumienia, odwiedził mianowicie prokuratora, oskarżając inż. Jerzego B. o to, że spowodował śmierć Julii C. doprowadzając ją do samobójstwa. Sam siebie nie oskarżył o zbyt kategoryczną ingerencję w życiowe decyzje zmarłej. Prokurator nie nadał sprawie biegu, uznając związek przyczynowy między treścią wróżb a samobójstwem za zbyt luźny. Sprawę praktyk wróżbiarskich urzędnika państwowego przekazał, wedle kompetencji, wydziałowi spraw wewnętrznych miejscowej rady narodowej.

Piramidy

W biurze wszystko się rozchodzi, rozeszło się więc w biurze, że chluba firmy, inż. Paweł J., zamierza wyprawić się na urlop z „Orbisem” do Egiptu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo wiadomo ogólnie, że 43-letni inż. J. ma forsy jak lodu. Tu jest naczelnym konstruktorem, ówdzie głównym specjalistą, najważniejszym konsultantem albo specjalnym doradcą. Co wróci z zagranicy, to znowu się gdzieś wybiera, a diety lecą. Paweł J. ma jedwabne życie i samochód. Ile miesięcznie wyciąga - pewno sam tego nie liczy; ile krajów zwiedził, tego się chyba nie umie dorachować. Tymczasem panie, które o tym rozmawiają, za dwa albo trzy tysiące muszą odsiadywać po osiem godzin dziennie i jeśli gdzieś się wypuszczą, to z FWP na urlop do Polanicy. Przez panie rozumieć należy urzędniczki, kreślarki, maszynistki, pracownice powielarni - razem 170 osób żeńskiej obsady.

W wiadomości o tym, że inż. Paweł J. wypuszcza się aż do Egiptu, to było fascynujące, że, mówiono, wykupił od razu dwa miejsca, a jeszcze sam nie wie, dla kogo jest to drugie. Jechać ma bowiem zamiar w towarzystwie damskim i podobno na razie nie ma nikogo na widoku.

Kiedy doszło już do skandalu, było bardzo ważną rzeczą ustalić, skąd wyszła ta wiadomość. Jeden z inżynierów powiedział, że kiedy na wiosnę tak w ogóle rozmawiali o planach urlopowych, Paweł J. mówił, że wybrałby się do Egiptu, najchętniej z jakąś dobrą dziewczyną. Ale to nie było nic konkretnego, każdy, mniej więcej, człowiek wybrałby się na urlop do Egiptu z jakąś dobrą dziewczyną.

Kasjerka znów stwierdziła, że jednego razu Paweł J. do niej przyszedł, dowiadując się o termin wypłaty kwartalnej premii i nagrody specjalnej. Niecierpliwiał się mówiąc, że musi wpłacić pieniądze na poczet urlopu. Z tego wynikało co prawda, że nie jedzie z FWP, bo w grę wchodziły poważne pieniądze, ale z drugiej strony nie było w tej rozmowie zapowiedzi, że inżynier wybiera się akurat do Egiptu i to nie sam. Natomiast bardzo wiele osób potwierdziło, że o tym Egipcie i o poszukiwaniu dziewczyny słyszano. Tyle, że nie od samego Pawła J., a to jest wielka różnica.

Na wniosek trzech pań, które zmówiwszy się poszły razem do prokuratora, inż. Paweł J., lat 43, rozwiedziony, zamieszkały w miejscowości Włochy pod Warszawą, oskarżony został z artykułu 168 § 1 kodeksu karnego, który mówi: „Kto przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem doprowadza inną osobę do poddania się czynowi nierządному lub do wykonania takiego czynu podlega karze pozbawienia wolności od 1 roku do 10 lat”.

Trzy panie, które złożyły doniesienie, przedtem zrezygnowały z pracy, gdyż

okoliczności całej sprawy były takie, że albo musiałyby siedzieć cicho i nie szukać rewanzu, albo zejść z oczu personelowi biura, w które to oczy nijako byłoby im patrzeć, po tym co się stało. Przedłożyły słodycz zemsty nad rozkosz pracy.

Chodziło o to, że Paweł J. skłonił je do czynów nierządnych podstępem. Każdej z nich z osobna obiecał wspólny urlop w Egipcie. Kiedy jednak lato się zbliżało a on, zamiast którejkolwiek z nich mówić, żeby składała papiery, wyłgiwał się i kręcił, panie znalazły sposób, aby stwierdzić, że Paweł J. w ogóle się na żadną wycieczkę nie zapisał, więcej - w kadrach nie dopełnił tych formalności, które są niezbędne, gdy ktoś wybiera się za granicę. Wtedy porozumiały się, sprzymierzyły, poprosiły o zwolnienie z pracy ze skutkiem natychmiastowym i poszły do prokuratora.

Obraz nietypowej sprawy, nad którą zastanawiał się sąd, był statecznie następujący:

Nie stwierdzono, aby Paweł J. umyślnie rozpuszczał wiadomość, że wybiera się do Egiptu i gotów jest jakiejś młodej kobiecie opłacić podróż. Takie przekonanie powstało w biurze w wyniku jego luźnych rozmów z kolegą na tematy urlopowe. Brak poszlak, aby przypuszczać, że prowadząc je inżynier chciał sprowokować zainteresowanie sobą biurowych kobiet.

Ustalono, że Paweł J. nie poczynił żadnych kroków, aby zrealizować wyjazd na jakąkolwiek zagraniczną wycieczkę. Ostatecznie wziął tylko dwanaście dni urlopu, które spędził obwoząc autem po kraju znajomych z zagranicy.

Stwierdzono, że pracująca jako analityk w dziale ekonomicznym biura 27-letnia Aleksandra W., która do tej pory miała z Pawłem J. kontakty tylko służbowe (przeprowadzała kalkulację projektu, którego opracowaniem on kierował jako główny projektant), sama nawiązała z inżynierem rozmowę na temat Egiptu. Przyszła, powiedziała, że słyszała, iż on wybiera się, a ona też o tym myśli, tylko nie ma pieniędzy, ale chce się poradzić, czy warto i jak to się ewentualnie załatwia.

Ustalono, że inżynier powiedział, że rzeczywiście jedzie i żeby się sprawami pieniężnymi nie martwiła, co mgr Aleksandra W. potraktowała jako zapowiedź fundy. W rezultacie tej rozmowy, kontynuowanej nazajutrz poza biurem, w kawiarni, Aleksandra W. nawiązała z Pawłem J. stosunki w języku sądownictwa nazwane intymnymi.

Mgr W. przekonana, że wyjeżdża z inżynierem na urlop, nie trzymała tego w tajemnicy, przeciwnie - opowiadała o zamierzonym wyjeździe i brała od jednej z koleżanek adres krawcowej, aby się w tę podróż obsprawić. Co prawda nie mówiła, że Paweł J. ma za nią płacić, ale to w opinii biurowej rozumiało się samo przez się i było żywo, nieprzychylnie dla Aleksandry W. komentowane.

W jakiś czas później Kazimiera C., 19-letnia windziarka, wioząc inżyniera

zagadała, że jak słyhać, planuje on piękny urlop. Ona bardzo zazdrości, bo chętnie obejrzałaby piramidy. Paweł J.: „Nic straconego. Mogę panią zabrać, panno Kaziu”. „Kiedy pan podobno nie jedzie sam”. „To się jeszcze pokaże, z kim pojedę”. W efekcie tej rozmowy inżynier nawiązał stosunki intymne z windziarką, przyniósł jej kwestionariusz paszportowy do wypełnienia i kazał jej przygotować fotografie. Wiadomość o tym także rozeszła się w biurze i dotarła do Aleksandry W., którą w prywatnej rozmowie poinformował o tym wicedyrektor ekonomiczny, nie tając złośliwej satysfakcji. Aleksandra W. poszła więc do Pawła J. pytając, czy to prawda, że wbrew uprzednim obietnicom wyjeżdża z kimś innym. Paweł J. kazał jej na wszelki wypadek (tak się wyraził) także wypełnić kwestionariusze i zrobić zdjęcia. Dał jej do zrozumienia, że sytuacja jest przetargowa.

Trzecią kobietą, której zamajaczyły piramidy, była Elżbieta Z. maszynistka, 22-letnia mężatka. Dyktując jej pismo inżynier zapytał o plany urlopowe. Gdy powiedziała, jakie ma, zaskoczył ją nagłą propozycją: „A gdybym pani zaproponował wspólną wycieczkę do Egiptu?” Mówiła, że mąż, że dziecko, że co by powiedziała mężowi, że co by zrobiła z dzieckiem. Podsunął jej, aby mężowi powiedziała, że to wyjazd służbowy, zaś dziecko zostawiła na ten czas u swoich rodziców.

W dwa dni później przyszedł do hali maszyn i wrócił do tej kwestii. Wątpiła, czy mąż uwierzy, że maszynistkę wysyła się służbowo do Egiptu, ale przyjęła kwestionariusz paszportowy do wypełnienia. Wkrótce jednak dowiedziała się, że ma już dwie konkurentki. Do głębi urażona obraziła się na Pawła J. i przestała z nim rozmawiać.

Eliminacje do wyjazdu rozgrywane przez ekonomistkę i windziarkę trwały około dwóch tygodni. Potem inżynier przestał się spotykać i z jedną i z drugą. Nie wspominał już o Egipcie, niebawem wyjechał na urlop krajowy. Wówczas obie kobiety spotkały się, żeby skonstatować, że zostały oszukane, że inżynier postawił je w sytuacji upokarzającej i że całe biuro o tym wie. Postanowiły zmienić pracę. W trakcie załatwiania tej sprawy wicedyrektor ekonomiczny namówił Aleksandrę W., żeby nie puszczą tego inżynierowi płazem. Wraz z windziarką postanowiły iść do prokuratora. Dowiedziały się, że maszynistka Elżbieta Z. też jest w sprawę zamieszana i namówiły ją do pójścia wraz z nimi.

W trakcie procesu inż. Paweł J. twierdził, że ani nie zamyślał oszustwa, ani nie oszukiwał. To nie on biegał po dziewczynach, proponując im wyjazd. Co jednak najistotniejsze naprawdę myślał o tym, żeby z jakąś dziewczyną pojechać do Egiptu i w każdym z wypadków kusił je tą perspektywą, nie myśląc sprawić zawodu. Nie wiedział, którą wybrać, a kiedy bliżej je poznał - zniechęcił się do perspektywy wspólnego wyjazdu, i z jedną i z drugą, więc zwrócił się z propozycją w najlepszej wierze, do trzeciej - Elżbiety Z. Ona jednak obraziła się, on zaś dostał wiadomość,

że z zagranicy przyjeżdża jego dobry znajomy z rodziną - co automatycznie odmieniło jego plany urlopowe, miał tu bowiem kategoryczne zobowiązania, gdyż sam uprzednio korzystał z ich gościny.

„Gdyby na ławie oskarżonych sadzać mężczyzn, którzy romansując z kobietami nie dotrzymują obietnic, któż z nas obecnych na tej sali i któż z nas poza tą salą znajdowałby się na wolności?” - mówił adwokat inżyniera.

Prokurator utrzymywał, że to nie była po prostu niespełniona obietnica, bo z okoliczności sprawy wynika, że Paweł J. od początku nie miał zamiaru jej spełniać. Oszukał trzy kobiety po kolei. Nie ulega wątpliwości, że podstępem doprowadził do zbliżenia fizycznego z dwiema z nich, a usiłował uczynić to także i z trzecią.

Sąd wydał wyrok uniewinniający, powołując się na to, że mimo iż Paweł J. nie podjął żadnych kroków dla załatwienia wycieczki do Egiptu, istnieją wątpliwości nie do rozstrzygnięcia, czy taki zamiar miał i potem zrezygnował zeń, czy oszukiwał na zimno, więc był to podstęp. Co się tyczy moralnej oceny sprawy - istniała równowaga w postawie obwinionego i pokrzywdzonych. Trudno na przykład mówić, że wyzyskiwał czyjeś przymusowe położenie. Chodziło o atrakcyjną wycieczkę i nic więcej.

Wyrok skazujący byłby sprzeczny z tradycją polskiego orzecznictwa i tworzyłby precedens egzekwowania pod sankcją karną obietnic, jakie mężczyźni składają kobietom lub *vice versa* w sytuacjach romansowych. Nawet obietnic błahych czy niewiążących. Mogłoby to doprowadzić do uznawania, że np. nie zrealizowana obietnica małżeństwa może być przestępstwem z art. 168 § 1, co ograniczałoby w sposób jaskrawy wolność osobistą jednostki do stanowienia o swoich sprawach. Sąd stwierdził, iż uważa, że tego rodzaju delikatne sprawy między ludźmi muszą być regulowane przez normy współżycia społecznego, a nie sąd karny.

Norma współżycia? I owszem. Tylko czy w ogóle istnieją romanse bez podstępów?

Parasol na surowo

Jest naszą ambicją referować tu, w miarę możliwości, sprawy precedensowe, przez co rozumie się procesy sądowe dwojakiego rodzaju: takie, kiedy nowością jest sytuacja prawna lub jej rozstrzygnięcie i takie, gdy samo zdarzenie, będące przedmiotem procesu, zanotowano po raz pierwszy.

Proces, o którym będziemy mówili, dotyczył właśnie precedensowego zdarzenia: obywatel PRL zmusił drugiego obywatela PRL do zjedzenia parasola będącego własnością strony pokrzywdzonej moralnie (upokorzenie), materialnie (około 360 zł) i fizycznie (mała strawność parasola).

Naukowe, pod względem stylu i metody, wykładu wprowadzenie o tyle nie jest od rzeczy, iż parasol swój konsumował naukowiec, dr Bronisław B. Zniewolił go do tego konserwator dźwigów osobowych Jerzy R. w okolicznościach szczegółowo przez nas zbadanych.

Faktem pierwszym, który pociągnął za sobą łańcuch następnych, było poślubienie przez konserwatora w październiku 1970 roku osoby imieniem Magdalena, liczącej 19 lat, a zatrudnionej jako pakowaczka w branży cukrowniczej. W lutym 1971 r., wedle domniemań męża, Magdalena R. dopuściła się zdrady małżeńskiej: „choć miała w domu wszystko, czego chciała” - jak wyjaśnił w sądzie oskarżony i pobudzony do tego śmiechem widowni szybko uzupełnił: „tak pod względem wyżywienia, jak i ubrania”.

Domniemana zdrada małżeńska zdarzyła się (lub nie zdarzyła) w nocy. Obwiniony R. poszedł na wódkę i nie wrócił. Przyczyną pójścia na wódkę było spotkanie kolegi, zaś miejsce, gdzie była ona pita, oskarżony określił następująco: „Tak jest, u jednej koleżanki, a bo co?”. Magdalena R. wróciła z pracy o godzinie 22 minut 40, drzwi do mieszkania nikt jej nie otwierał, a akurat nie miała przy sobie kluczy. Ogarnęła ją złość, że nie może wypocząć po pracy, a także z tego powodu, że mąż pije. Na trzeźwo bowiem nikt przecież nie zawierusza się o tej porze w mieście.

Postanowiła pójść do pobliskiego baru kawowego i poczekać tam te 20 minut, przez które lokal będzie jeszcze otwarty. W barze zauważyła starszego mężczyznę, z parasolem, lat na pewno więcej niż trzydzieści, który jej się przyglądał. Był to, o czym przekonała się później, Bronisław B. Mężczyzna jej nie zaczepiał, a tylko ciągle na nią patrzył, na co ona nie zwracała już więcej uwagi jako mężatka, a także z powodu późnej pory i zdenerwowania. Po zamknięciu baru poszła w kierunku domu. Mężczyzna z parasolem szedł za nią, ale się go nie bała, bo do domu miała blisko, on zaś szedł w dużej odległości.

Po stwierdzeniu, że męża dalej nie ma, Magdalena R. wyszła znowu na ulicę,

zastanawiając się co robić: męża szukać czy noclegu u rodziny? Na ulicy zobaczyła mężczyznę z parasolem, który się oddalał. W pewnej chwili obejrzał się, zauważył ją i zawrócił. „Czy mogę w czymś pomóc?” - odezwał się grzecznie, robił przyzwoite wrażenie i mieszkał niedaleko.

Kiedy rano wróciła do domu, mąż był jeszcze pijany, więc zbił ją i naubliżał. Zamiast iść do pracy, nazywał ją słowem na „k” (które ona wstydzi się powtórzyć) za to, że nie zanocewała w domu, tylko na pewno oddawała się za pieniądze. W pewnej chwili złapał jej torebkę, otworzył i wszystko co w niej było, wyrzucił na podłogę, krzycząc, że musi się przekonać, ile ona bierze za jedną noc. W torebce było tylko 36 złotych z groszami i tak jej moralność wyszła na jaw. Mąż zamiast się zawstydzić i przeprosić, począł kopać na wszystkie strony i deptać to, co było w torebce. Wtedy znalazł wizytówkę „Dr Bronisław B.” z adresem i numerem telefonu. Wizytówkę tę otrzymała, żeby mogła do tego pana zatelefonować i wcale się nie wstydzi przyznać, że ją wzięła. Co mąż dalej wyczyniał, strach nawet wspominać i dopiero wieczorem jej uwierzył, po stu chyba przysięgach „żeby mamusia mi umarła...”, że u tego faceta tylko z konieczności przenocowała i nie doszło do żadnego zbliżenia.

Odtąd nie było dnia, a jeśli nie dnia to nocy, żeby mąż jej nie wypytywał, czy spała z tym panem, czy tylko u niego spała i ciągle musiała przysięgać, a on krzyczał „kłamiesz”, aż nie mogąc znieść więcej bicia, w miesiącu marcu, wyprowadziła się do mamusi. Mąż przychodził do niej, namawiał, żeby wróciła do domu, ale ona nie dawała się przekonać, bo przeczuwała, że się nie zmieni. Za każdą wizytą prosił, żeby wreszcie przyznała się, że przespała się z tym facetem. Nie dawało to nadziei na zgodne współżycie małżeńskie i to jest wszystko, co Magdalena R. wie w rzeczonyj sprawie.

Któregoś popołudnia, było to z końcem marca, dr B. usłyszał dzwonek do drzwi wejściowych, otworzyła je żona, która w lutym spędzała urlop zimowy w górach. Przybyły mężczyzna oświadczył, że musi z nim porozmawiać sam na sam i żona wprowadziła gościa do pokoju. Facet powiedział niegrzecznie, że nie będzie siadać, wyjął z kieszeni wizytówkę gospodarza, położył na stole i rzekł: „Zwracam. To przecież pana”. „O co chodzi?”. „Oddaję”. „Skąd pan to ma? I właściwie dlaczego pan się fatygował?” „Pan dobrze wie, skąd ja to mam! To była moja żona!”

Doktor nie rozumiał, o co chodzi, a tylko czuł, że od przybysza zajeżdża alkoholem. Facet zaczął krzyczeć: „Jak Boga kocham, nic panu nie zrobię. Ja w ogóle nic panu nie zrobię. Ja chcę wiedzieć tylko jedno: miał ją pan, czy nie?” Krzyki te usłyszała żona Bronisława B. i weszła zaniepokojona do pokoju, na co gość bez słowa wyszedł z jego mieszkania. Bronisław B. nie rozumiał, kto to jest i o co w ogóle chodzi. Nie kojarzył tego z żadnymi zdarzeniami ze swego życia. Dwa dni później dostał list i wtedy zrozumiał sens wizyty. Jerzy R. pisał, że

Bronisławowi B. nie spadnie włos z głowy, niech tylko mu odpisze: miał ją tamtej nocy, czy nie miał?

To co Bronisław B. odpisał, może z pamięci sądowi zacytować niemal słowo w słowo: „Kobiety czasem kłamią swoim mężom, że z kimś nie spały, a czasami, wprost przeciwnie, kłamią swoim mężom, że z kimś spały. Jeśli Panu odpowiem - mogę Pańską małżonkę narazić na zaistnienie sytuacji, że treść mojego kłamstwa będzie niezgodna z treścią jej kłamstwa”. Na pytanie sądu, czy Jerzy R. zrozumiał sens listu, konserwator odpowiedział, że jedno owszem zrozumiał: temu facetowi musi obić mordę.

W domu, gdzie Bronisław B. mieszka, znajduje się w piwnicy warsztat ślusarsko-hydrauliczny, podległy administracji budynków mieszkalnych. Pracuje w nim dobry kolega Jerzego R. W kilka dni po dostaniu listu od Bronisława B. konserwator przyszedł koło 14-tej do swojego kolegi, postawił na stole dwa razy po pół litra i zwierzył mu się ze swoich zmartwień. Blisko trzy godziny pili i czekali, aż Bronisław B. będzie wracał do domu, a kiedy nadszedł, kolega konserwatora zawołał przez okno: „Panie, zejdź no pan tu”. Gdy Bronisław B. znalazł się w warsztacie, ów kolega zaraz wyszedł, mówiąc, że nie chce z tym mieć nic wspólnego.

Bronisław B. poznał swojego niedawnego gościa, zauważył, że jest on pijany i wystraszył się. Facet przybrał groźną postawę i krzyczał, że dla Bronisława B. lepiej jest się przyznać, że spał z jego żoną. Czynność, do której dokonania Bronisław B. miał się przyznać, napastnik określał w sposób bardzo wulgarny. Doktor odparł, że nie spał z jego żoną. „Kłamiesz!” zaczął wrzeszczeć Jerzy R., więc Bronisław B. powtarzał swoje twierdzenie wielokrotnie, przysięgał i dawał słowo honoru.

Jego zaprzeczenia wzbudziły straszny gniew konserwatora, który złapał kawał metalowej rury, uniósł go w górę i ryknął na doktora: „Żryj parasol!” Bronisław B. chwilę się wahał, ale tamten powtarzał swoje i widać było, że za chwilę uderzy. Wyglądał na szaleńca. Doktor zaczął więc szarpać zębami materiał, odrywać go po kawałku i przełykać. „Żryj! Szybciej! Kłamiesz!” darł się konserwator i ciskał nim, razem z parasolem z kąta warsztatu w kąt. „Zeżresz cały z drutami, jeśli się nie przyznasz!” Doktor przyznał się wobec tego. „Tak” - rzekł. „Co tak?” „Spałem”. W tejże chwili dostał w twarz ze straszliwą siłą. „Nieprawda, krzyknął przerażony, nic nie było”. „To żryj parasol, ty kłamco!” - zdecydował konserwator. Doktor zorientował się wówczas, że nie ma żadnego wyjścia, jak tylko drzwi. Skorzystał z nich sprawnie.

Tak skończyło się spotkanie tych dwóch ludzi.

Siostra

Szanowny gość, dr T.B. z Kanady, stanął w warszawskim Grand Hotelu. 38-letniego jegomościa sprowadziły do Polski zajęcia naukowe, ale rad był szczególnie tej podróży, ponieważ pochodzi z Polski i opuścił ją jako kilkunastoletni chłopiec. Późnym popołudniem w pokoju doktora zadzwonił telefon. Damski, pełen zawodowej serdeczności i kokieterii głos zapytał, czy doktor nie chciałby poznać jego właścicielki. Gość bywały w hotelach tego świata, więc nie zdziwiony, wyraził ochotę. Spotkanie nastąpiło w hallu na dole. Przystojna, choć nie pierwszej już młodości pani przedstawiła się jako Maryla i zgodziła się zjeść z doktorem obiad.

Pan T.B. trochę podpił i zaprosił Marylę do siebie na górę. Poszła. W tym miejscu przestaje się zazwyczaj opowiadać „co dalej”, ale ja będę opowiadać, ponieważ nic nie było dalej.

Rozochocony doktor raz dwa wypowiedział jakieś zdawkowe komplementy i dał do zrozumienia, że teraz oczekuje od gościa świadczenia usług. Maryla zaś wymykała mu się z rąk, mówiła „nie” i śmiała się tajemniczo. Gość otworzył portfel i zaczął dobywać banknoty. Pani śmiała się coraz serdeczniej i nie przyjmowała pieniędzy. Doktor otworzył walizkę i zaczął wyciągać różne drobiazgi. Jego gość patrzył, jak układa rzeczy na łóżku i pękał ze śmiechu. „Po coś tu przyszła?” - wściekał się doktor. „Nie chcesz prezencików?” Nie chcesz pieniędzy?”.

- Chcę - odparła Maryla - sama sobie wybiorę. - I zaczęła grzebać w walizce, biorąc różne rzeczy i ładując je do dużej torby, którą przemyślnie ze sobą wzięła. Potem z wiszącej na krześle marynarki wyjęła portfel. Ku zdumieniu właściciela odliczyła sobie kilkaset dolarów - mniej więcej $\frac{2}{3}$ posiadanej przezeń sumy i coś z tysiąc złotych.

- O nie - oprzytomniał gość. - Tyle ci się nie należy.

- Należy mi się o wiele więcej - odparła Maryla i znowu zaczęła się śmiać.

- Oddaj - denerwował się doktor. Zmięta banknoty niedbale i położyła na stole. Uspokojony ponowił zaloty. Znowu bezskutecznie.

- Wyjdź - zdenerwował się.

Zabierając się do wyjścia zgarnęła forszę do torebki. Dr. T.B. zagroził jej drzwi i sięgnął po telefon, zapowiadając, że zaalarmuje portiera, każe wezwać policję...

- Nie zrobisz tego. A w każdym razie nie radzę - rzekła Maryla bardzo groźnie, pewnie siebie i stanowczo. Przestraszył się, ale i zaintrygował. To była przygoda. I to o wiele oryginalniejsza, niż myślał. Dr T.B. zaczął być dociekliwy: dlaczego chce zabrać pieniądze? Dlaczego, nie chce świadczyć nic w zamian? Czy on jej się

nie podoba?

Maryla odpowiedziała na to, że podoba się, tylko ona nie może. Doktor nie rozumie, co znany „nie może”. Maryla wówczas zmienia sposób bycia. Siada bardzo poważna i pyta:

- Czy pamiętasz Złoczyniec?

Doktor T.B. dębiej i pyta skąd ona wie... Skąd zna jego życiorys...

- Czy pamiętasz panią Buhałczyk? Czy pamiętasz, jak zakopałeś żywcem królika w ziemi i jak właściciel królika, taki wysoki Antek, chciał ciebie żywcem zakopać? Czy pamiętasz... - ciągnęła dziwna Maryla, i wspominała ludzi, miejsca, zdarzenia, choroby z wojennego dzieciństwa na Podolu dzisiejszego gościa z Kanady.

- Skąd wiesz? Kim ty jesteś? - denerwował się doktor. Maryla znowu zaczęła się śmiać i odpowiedziała na pytanie pytaniem:

- Teraz już rozumiesz, dlaczego ja z tobą nie mogę?

- Nie rozumiem - rzekł bezradnie gość.

Maryla znowu zaczęła ładować sobie dolary do torebki, a kiedy doktor znowu zrobił ruch do telefonu, powiedziała:

- Bo jestem Twoją siostrą.

- Kira! - zawołał doktor i zerwał się ku niej.

- Zostaw! - zawołała. - Po dwudziestu latach nagle taki się robisz czuły? - po czym wyszła.

Doktor czekał do południa następnego dnia. Nikt nie zjawił się, ani nie zadzwonił.

Gość zaczął męczyć służbę hotelową, czy widziano go wczoraj w towarzystwie tak to a tak ubranej pani, czy służba ją zna... Nikt jej sobie nie przypominał.

Wtedy doktor przedłużył pobyt w Polsce i zwrócił się do władz z prośbą o pomoc.

*

Działo się to w latach okupacji w stanisławowskim getcie. Państwo B., kiedy nasilały się wywózki i ostateczna likwidacja getta zdawała się perspektywą coraz bliższą, przesznułowali dwoje swoich dzieci: 15-letniego chłopca i 12-letnią dziewczynę na „drugą stronę”. Dzieci przez pewien czas mieszkały razem u niejakiej pani Buhałczyk, na wsi, ale kiedy stało się to zbyt niebezpieczne, a ich opiekunka znalazła innych jeszcze ryzykantów, którzy zgodziliby się wziąć dziewczynkę, uznała, że bezpieczniej jest rodzeństwo rozdzielić. Kira powędrowała do innej wsi. W 1944 r. spalili ją ukraińscy nacjonaści, część polskiej ludności

postradała życie, część rozbiegła się po lasach. Po Kirze zginął wszelki ślad. Brat usiłował jej szukać. To natrafiał na jakieś ślady, to ją tracił. W 1945 r. wsiadł do transportu repatriacyjnego odjeżdżającego do Polski. W 1947 r. jego kanadyjscy krewni sprowadzili go za ocean. Uznał siostrę za zmarłą, chociaż nigdy nie dociekł miejsca, ni okoliczności jej hipotetycznej śmierci. Ponieważ wszakże dziewczyna znała adres kanadyjskich krewnych - gdyby żyła - sto razy mogłaby się odezwać. Doktor T.B. opowiedział to wszystko władzom.

Obiecano mu pomóc.

Z Polski dr T.B. wyjechał do Brukseli i tam po kilku tygodniach dostał telegram od swoich warszawskich znajomych, którym powierzył troskę o tę sprawę. Depesza informowała, że siostra została odnaleziona. Zaraz zatelefonował gorączkowo pytając: „Dlaczego wtedy uciekła i więcej nie wróciła?” Znajomi nie potrafili mu nic powiedzieć. Wiedzą tylko, gdzie siostra mieszka, jak się nazywa i że go oczekuje.

Dr T.B. szybko dostał polską wizę, przybył do Warszawy i pojechał pod wskazany adres. Osoba, która przyjęła go, jako jego siostra - to nie była dziewczyna z hotelu.

*

Kira B. przedstawiła bratu męża i dzieci... Okazała się być lekarzem tej samej, co i on specjalności. Nie był to zresztą przypadek. Po prostu oboje, na dwóch różnych półkulach urzeczywistniali wspólnie w dzieciństwie podjęte plany zawodowe. Kira B., nosząca zresztą teraz inne nie tylko nazwisko, ale i imię, opowiedziała swoje losy.

Po pacyfikacji polskiej wsi, w której znalazła schronienie, wzięła ją na wychowanie rodzina ukraińska, która wyrobiła jej ukraińskie papiery, niszcząc wszystkie poprzednie. Po wejściu armii radzieckiej, dziewczynka nie miała już tytułu do repatriacji do Polski. Zresztą nie umiałaby załatwić skomplikowanych formalności związanych z powrotem do poprzedniej tożsamości, porzucić opiekunów, którzy uznali ją za córkę itd. Wraz ze swoją nową rodziną wyjechała w głąb Rosji. Mając 17 lat wyszła za mąż. Mając 19 lat rozwiodła się i wyjechała na studia do Moskwy. W czasie studiów wyszła powtórnie za mąż, tym razem za studenta z Polski i wróciła z nim do kraju w 1956 r., robiąc już w Warszawie dyplom medycyny.

Nie potrafi wyjaśnić, dlaczego przez tyle lat nie dawała o sobie znaku życia. Po prostu upłynęło tyle czasu, że nie pomyślała jakoś o szukaniu brata. Odkładała to z roku na rok: ma dwie posady, dwoje dzieci, męża i bardzo mało czasu...

Kto zaś owa pani w pokoju hotelowym, nie wie, nie może sobie nawet wyobrazić.

Siostra lekarza z Kanady uznała, że sprawą powinna się zająć milicja. Warto

bowiem ukarać osobę, która dopuściła się wyłudzenia pieniędzy, warto też by je odzyskać, nade wszystko zaś warto wyświecić przedziwną zagadkę.

Milicja uporała się z tym rebusem dość szybko. Klucz do sprawy - to byli warszawscy znajomi dr T.B., ciż sami, którzy depeszowali doń do Brukseli. Otóż znali oni oczywiście wojenne perypetie chłopca, gdyż w pierwszych po wojnie latach mieszkał on u nich i nie skąpił opowieści. Gdy teraz miał przyjechać do Warszawy, w ich mieszkaniu odbyła się przy gościach rozmowa na ten temat. Padło w niej imię, nazwisko lekarza z Kanady, nazwa hotelu, gdzie ma stanąć i trochę szczegółów z jego okupacyjnych dziejów. Mówiono też o zaginionej siostrze. Była przy tej rozmowie owa dama, która później miała się przedstawić jako Maryla. Przyszła z bratankiem gospodarza (potem została jego narzeczoną). Pani ta (dorywczo, jak się zdaje) zajmowała się umilaniem cudzoziemcom pobytu w Warszawie. Tym razem uznała, że dzięki zasłyszonym informacjom da się zarobić więcej i bez fatygi.

Przygoda z rogu ulicy

28 marca 1964 r. około 8 wieczorem 17-letnia uczennica Elżbieta Ł., jadąc samochodem octavia Alejami Niepodległości ze śródmieścia Warszawy na Mokotów, zatrzymała samochód przy Rakowieckiej, gdzie spotkała ją przygoda. Panna Ł. dała się jej ponieść z przyczyn, które można sobie bez trudu wyobrazić.

Prawdopodobnie stawka przygód w jej życiu nie była ani nadto obfita, ani podniecająca: ktoś uciekł i nie wrócił, jakiemuś Jankowi oblała krawat winem, albo mama miała migrenę. Ponieważ lektury, filmy a także telewizja pozwalały jej mniemać, że zdarzają się na świecie przygody bardziej wyrafinowane, i że niebanalne zestawienia faktów dają silne a interesujące przeżycia, tedy, kupiwszy paczkę papierosów w kiosku „Ruchu”, złapała przygodę za rękaw, kiedy tylko ta wyłoniła się zza kiosku.

Nie od razu zresztą ją złapała, a dopiero potem, kiedy wynurzający się człowiek przedstawił się jako przygoda. Wszedł więc zza budki niepozorny młody człowiek i coś do Elżbiety Ł. zagadał. Sądziła, że chce ją „poderwać”, wzięwszy więc papierosy odwróciła się bez słowa i poszła do samochodu. Facet mówił niebanalnie:

- Niech mnie pani kawałek podrzuci! Uciekłem z więzienia - i wskazał na masyw wysokiego ceglanego muru więzienia mokotowskiego.

Elżbieta Ł. „nie myśląc” - jak potem wyjaśniła - zabrała faceta do samochodu. Wypytała ciekawie. Dowiedziała się, że przed chwilą przesadził mur więzienny i obawia się pogoni. Trochę się wtedy wystraszyła tego, co zrobiła, więc pasażer szybko powiedział, że siedział za przejechanie człowieka na szosie, żeby nie myślała że jest mordercą-rękodzielnikiem i coś jej grozi. Dodał nawet:

- Jak pani będzie tak brała zakręty, to pani też to się może zdarzyć.

Zapytała, dokąd chce jechać. Odpowiedział: „A bo ja wiem?”. I zmieniwszy temat, zaczął opowiadać, jak to było z zabiciem człowieka na szosie, dając tym do zrozumienia, że to, gdzie jechać, to już jest jej sprawa.

- No co tu dużo mówić, nie mam dokąd jechać - powiedział, kiedy zobaczył, że stoją przy krawężniku i dziewczyna nie wie, co dalej robić.

W kilka minut później siedział w pokoju na piętrze willi na Mokotowie, zamknięty na klucz od wewnątrz. Wprowadzony tu został tak, by pozostali domownicy nie zauważyli, że panna Elżbieta ma gościa.

Noc wystarczyła zbiegowi na opowiedzenie gospodyni, jak to było z zabiciem człowieka, a także o tym, że jest studentem uniwersytetu, że ma samochód fiat, który

został na szosie, podczas kiedy on powieszony został do więzienia i że lepiej ucieknie w Bieszczady albo za granicę, niż odsiedzi kilka lat za to, że wolał, żeby ktoś na szosie stracił życie, niż żeby on sam się z nim rozstał, waląc z całej siły wywołanej stukilometrową szybkością w drzewo. A taki miał właśnie wybór. Gość pocieszał też dziewczynę, że go tu nigdy nie znajdą. Nie będą przecież przeczesywać całego miasta.

Dziwny gość dzień spędził w kotłowni c.o. a na noc znowu wydźwignięty został do panińskiej sypialni, ale czy to jeszcze ciągle była dla Elżbiety Ł. przygoda kryminalna, czy już również uczuciowa, na ten temat nic nie wiemy, a następne wydarzenia rzucają na te kwestie nikłe światło, pozwalające snuć dowolne przypuszczenie, jeśli oczywiście ktoś lubi tego typu gierki wyobraźni.

Po drugiej nocy, rankiem, matka Elżbiety Ł. odkryła, że ktoś jest w pokoju córki, zaczęła się doń dobijać, ale nie została wpuszczona. Elżbieta Ł. zeszła do matki na dół. Usłyszała tu przypomnienie o tym, że papa jest chory na serce, mama na nerwy, a ona jest smarkulą. A kiedy matka ją wyrażać przypuszczenie, że przygoda zamknięta na klucz w panińskiej sypialni ma kształt zupełnie banalny - wtedy broniąc opinii o swym morale - oświadczyła matce, że przechowuje u siebie zbiega z więzienia.

Pan Ł. bawił już wtedy w pracy. Jego żona podjęła więc stosowne działania. To znaczy nie bacząc na płacz córki podbiegła do telefonu i ją szukać w książce numeru milicji. Elżbieta Ł. zaczęła od tej chwili działać z determinacją. Wyrwała mianowicie sznur telefoniczny z gniazdka, za co dostała po buzi. Pani Ł. włożyła palto i pobiegła do komisariatu.

Elżbieta Ł. pobiegła na górę i uświadomiła gościa, co mu grozi, każąc mu natychmiast uciekać. Objawił on wszakże pewne wahania i daleko idący spokój.

- To niech mnie już więżą - powiedział. - Gdzie ja pójdę bez grosza i czym ucieknę?

Po chwili uciekinier ładował sobie do kieszeni pewną kwotę pieniędzy, którą Elżbieta Ł. sprawnie wyciągnęła z bieliźniarki matki. Było tego około 7 tys. zł. Jeszcze po chwili otrzymanym kluczykiem wprawiał zbieg w ruch octavię ojca jego dobrodziejki. Kiedy nadjechała milicyjna warszawa, po młodym człowieku nie było już śladu.

Ujęto go w kilka godzin później, kiedy na znak dany przez drogowy patrol MO powożona przezeń octavia pokornie stanęła na szosie. Numer się zgadzał. Elżbieta Ł. już teraz wystraszona i syta przygód zechciała młodego człowieka rozpoznać i zidentyfikować. I tak zaczęła się dziwna sprawa Kazimierza S., 26-letniego technika i majstra budowlanego.

Pierwszy, dziarsko przez milicję ustalony fakt: Kazimierz S. nie uciekł z więzienia

mokotowskiego, ani żadnego innego, ponieważ w takowym nie siedział. Fakt drugi: S. nie popełnił żadnego przestępstwa, a tylko dwie nieprzystojności, godne wymienienia po kolei. Pierwsza, że jak 5 dni temu zapił się z kolegami, tak go od tej pory nie widziano w pracy. Druga, że pokłóciwszy się z żoną, co nastąpiło nie bez związku z tym pijaństwem i uchyleniem się od chodzenia do pracy, rozstał się z nią więcej niż zimno, i miał zakazane pokazywanie się żonie na oczy.

Solennie wyjaśnił milicji, że do żoninego zakazu zastosował się w całej pełni. Spędził noc na dworcu. Nie miał dokąd iść. Cały dzień przeszwał się o głódzie i chłodzie po mieście, nie miał bowiem ani grosza. A kiedy jawić się zaczęła przed nim perspektywa powtórnego noclegu na dworcu, jego skacowany umysł imać się jął różnych kombinacji, aby tego uniknąć. Przygadanie jakiejś dziewczyny narzucało się w tej sytuacji. Na rogu Niepodległości i Rakowieckiej zaczął motać jakąś gadkę do Elżbiety Ł. Kiedy zaś nie zareagowała, puścił, jak powiada, „żart” o ucieczce z więzienia. Pomysł wpadł mu na widok więziennego muru, który rozpościerał mu się przed nosem.

Kiedy zobaczył, że „chwyciło” - brnął dalej. A teraz prosi uprzejmie obecną tu reprezentację organów MO o wyjaśnienie, czemu miał od swojej przyjaciółki serdecznej Eli nie wziąć kilkutyśięcznej pożyczki i nie pożyczyć samochodu, skoro spotkał się z taką propozycją, a właśnie potrzebował i jednego, i drugiego?

Wątek Kazimierza S. miał jeszcze ciąg dalszy. Został on mianowicie oskarżony o to, że posługując się oszustwem wyłudził samochód i pieniądze.

Obrona kategorycznie sprzeciwiła się tej kwalifikacji jego czynu. Twierdziła ona, że całe zachowanie się S., a także jego nienaganna w kryminalnym sensie przeszłość nie pozwalają przystać na takie przypuszczenie. Gdyby S. chciał coś ukraść, to przecież było takich kilka godzin, kiedy był pozostawiony zupełnie sam w owej willi państwa Ł. na Mokotowie i mógł bez przeszkód zanurzyć ręce w jej zasobach. Dalej idąc - Elżbieta Ł. dała mu pieniądze i samochód z własnej woli i nawet bez wyraźnej jego w tym względzie prośby. Wreszcie, co prawda pośpiech, w jakim S. opuszczał willę na Mokotowie sprawił, że nie umówił się, czy i kiedy odda pożyczone dobro, oraz, że zaniedbał przedstawić się, ale z tego nie wynika wcale, iżby cokolwiek miał zamiar sobie przywłaszczać. Zresztą gdyby nawet nie oddał rzeczy danych mu z dobrej woli, to i tu wątpliwa byłaby kwalifikacja „kradzież” i kwestia raczej mogłaby być przedmiotem roszczeń cywilnych i żalów o nadużycie zaufania. Twierdzenie oskarżenia, że S. oszukał Elżbietę Ł. w celu uzyskania nieuczciwego zysku jest więc bezpodstawne. Ale czy w ogóle mówić można o jakimkolwiek oszustwie?

Nie każde kłamstwo jest oszustwem. Czyżby sąd miał uważać, że człowiek, który przedstawia się, jako przestępca, zabójca, uciekinier z więzienia, poszukiwany przez

milicję tym samym wkłada się w zaufanie, zatajając, że w rzeczywistości jest uczciwym obywatelem?

Sąd uniewinnił Kazimierza S.

W dniu, kiedy S. złapano na szosie - samochód i pieniądze wróciły do państwa Ł. W kilka miesięcy później Kazimierz S. w ciemnym ubraniu i nienagannie białej koszuli i z bukietem kwiatów w ręce złożył wizytę państwu Ł., by oddać 50 zł, jakie owego burzliwego dnia ucieczki z ich willi zdążył być wydać, nim go złapano, uszczuplając tym zabraną od ich córki sumę.

[1] Obwolutę projektował Janusz Kaczorowski

Redaktor Zofia Głowiakowa

Redaktor techniczny Małgorzata Kwiecień-Szczudłowa

Printed In Poland

WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 1974 Wyd. I. Nakład 50 000+283 egz.

Ark. wyd. 22,8. Ark. druk. 28,5 Pap. druk. sat. imp., kl V, 62 g, 84X108 Oddano do składania 11 III 1974

Podpisano do druku 1 X 1974 Druk ukończono w listopadzie 1974 Zam. 506/74 S-66-100 Cena zł 45 -

DRUKARNIA WYDAWNICZA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8

[2] Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza Warszawa 1975

Okładkę i kartę tytułową projektował: Andrzej Pilich

Redaktor: Ewa Heynar-Skowrońska

Redaktor techniczny: Zbigniew Winiarski

Korektor: Roman Szczechura

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1975

Dwa tysiące czterysta czterdziesta czwarta publikacja LSW

Wydanie I. Nakład 30 000 + 305 egz. Pap. druk. sat. kl. V 82 g 12X104 cm Oddano do składania 8 VIII 1974 r.

Podpisano do druku w styczniu 1975 r. Druk ukończono w lutym 1975 r.

Ark. wyd. 20,25. ark. druk. 33,5 Białostockie Zakłady Graficzne Białystok, Aleja 1000-lecia 2 Zam. nr 2265.

O-2.

Cena zł 40.-

Table of Contents

Wszystkie nasze ciemne sprawy.	7
Biuro.	7
Kupon.	9
Na służbie.	12
Goła.	14
Sceneria romansów..	18
Z soboty na poniedziałek.	21
Lekarz zagapiony.	23
Pod karetą.	26
Pociąg I	29
Pusty ekran.	32
Miraż.	34
Jasne plamy.	38
Poker.	40
Ulica Leona Ż.	43
Warkocz.	49
Święty.	52
Wójcik.	54
Mąż aktorki	56
Pretendentka.	59
Dyzma.	62
Prorok ze spółdzielczych bloków..	65
Czekolada.	68
Doktor Karol N.	70
Recydywa.	73
Ład moralny.	75
Grzybek.	78
Sprawiedliwość.	80
Walizka.	83
Prawo i władza.	86
Do końca życia.	89
Dwa żywioły.	91
Strach I	95
Rodzaj randki	98
Ucieczka.	100
Koleina.	103
Egzamin.	106
Okulary.	109

[Pożar. 111](#)

[Urok miłości 115](#)

[Umowa. 118](#)

[Sufit. 120](#)

[Pociąg II 123](#)

[Dom I 126](#)

[To załóż się pan. 129](#)

[Taksówkarz. 132](#)

[Okazja. 134](#)

[Wedle potrzeb. 137](#)

[Kula. 139](#)

[Pokłosie romansu. 142](#)